

JOSEF ŠKVORECKÝ

Przypadki inżyniera
ludzkich dusz

Meridian

Wiedziom

POGRANICZE

Josef Škvorecký

*Przypadki inżyniera
ludzkich dusz*

Entertainment ze starymi tematami życia,
kobiet, losu, marzeń, klasy robotniczej,
tajniaków, miłości i śmierci

Z języka czeskiego przełożył
Andrzej S. Jagodziński

POGRANICZE



SEJNY 2008

Mojej Wydawczynie

*Autor pragnie podziękować rządowi Kanady
za grant, który umożliwił mu napisanie tej powieści.*

*Przyszedszy w dni smutne, oddałem się radości,
Oddawszy się radości, stałem się rzewny.*
Viktor Dyk

*Generalizować znaczy być Idiotą. Partykularyzacja jest
jedynym znakiem Wartości. Wiedza ogólna to wiedza Idiotów.*
William Blake

*...o ludzie żyjący w ciemności, opadłym liściom podobni,
bezsilni, słabi, ulepieni z gliny, jak cienie mgliste żyjący,
bezskrzydli, śmiertelni, żyjący przez dzień, wy, senne
mary ulotne...*
Arystofanes

przeł. Janina Ławińska-Tyszkowska

Prawda tkwi w niuansach.
Anatol France

*To co najbardziej kochasz – pozostanie, reszta to śmieci
To co najbardziej kochasz, nie będzie ci wydarte
To co najbardziej kochasz, to twoje prawdziwe dziedzictwo*
Ezra Pound
przeł. Andrzej Szuba

*Proszę postuchać, Tar. Prawdziwy problem polega na tym:
w każdych okolicznościach będę pana bronił przed lufami
plutonu egzekucyjnego. A pan będzie musiał się zgodzić,
by mnie rozstrzelano.*
Albert Camus
przeł. Jan Cywiński

*The skies they were ashen and sober;
The leaves they were crisped and sere –
The leaves they were withering and sere;
It was... in lonesome October...*

Ulalume

*Cały szereg myśli i uczuć,
a wszystkie są organicznie związane ze śmieszną melodyjką walca.*

Aldous Huxley

przeł. Maria Godlewska

Drogi Daniel,

W pierwszych słowach mojego listu pszyjmij serdeczne pozdrowienia często o tobie myślę. Jestem w sanatorium Karlsbad jusz tydzień i czuje sie dobrze. Jestem w sanatorium dzięki akci Rajnarda Hajdrycha. To jest akcja dla robotnikuw, gdzie wcześni jeździli tylko bogaci to teraz tesz mogom robotnicy. Jedzenie mamy 4 x dziennie śniadanie – chleb ze sztucznym miodem albo marmeladom obiat gdzie jest mięso 3 x na tydzień, podwieczorek herbata i bółki i kolacja tesz tak opfita jak w poudnie. To jest akcja Protektora Rzeszy Rajnarda Hajdrycha dla robotnikóf. Dawni takich akcj dla robotnikuw nie było. Mnie wybrał pan betrypslajtr Schilink bo mu powiedział pan Doktor Selich że mam cienie na płucach więc rzebym nie dostał gruźlicy to mnie dali do akci Rajnarda Hajdrycha dla robotników. Czuj sie dobrze. Jeszcze wcionsz robisz na meserszmitach? Ja jusz sie z akcj Rajnerda Hajdrycha do fabryki nie wruce bo sie zgłosilem dobro wolnie do Rzeszy bo tam potrzebujom piekarzy i wiency płacom jak sie pracuje

na noc. Napisze ci znowu z Rzeszy, trzymaj się szkoda że cie nie mogom wysłać tesz do akcj Rajnarada Hajdrycha bo to jest akcja dla robotnikuw ale może by cie tesz wysłali jak teras robisz we fabryce. Jest tu bardzo ładnie. Na koniec mojego listu pszyjmij serdeczne pozdrowienia tu jusz mi nie pisz bo za 6 dni odjerzdżamy do Rzeszy stamtont ci pośle adres to mi tam napisz. Na koniec mojego listu pszyjmij serdeczne pozdrowienia często o tobie myślę.

Tfuj przyjaciel Lojza

* * *

Za oknem, które jest wąskie i wysokie – szklana gotycka kiszka – zimny kanadyjski wiatr miesza dwie biele: rozdrobniony śnieg, który jak proszek sypie się z ciemnych chmur, i śnieżny pył, który wiatr unosi z równiny ciągnącej się od Mississaugi na południe, w stronę jeziora Ontario. Drobnny śnieg wiruje na białej pustyni; gdzie nie ma nic prócz paru nagich, szerniałych drzewek. Uczelnia stoi w dzikim polu. Przewiduje się, że za kilka lat miasto Mississauga rozrośnie się na tyle, że budynek zyska bardziej urozmaicone sąsiedztwo. Na razie stoi na odludziu, o dwie i pół mili od najbliższego developmentu domków jednorodzinnych. Te już nie są wszystkie jednakowe – od czasów George’a F. Babbitta czegoś się tu nauczono. Może wzięli to z literatury. Są tam przynajmniej cztery typy familyhausów, przeplatające się w nieregularnych odstępach, więc development wygląda jak szwajcarska wioska, naszkicowana przez jakiegoś bardzo stylizującego artystę. To przyjemny widok.

Ale ja go nie dostrzegam; najwyżej wewnętrznym wzrokiem, podczas gdy w głowie kłębią mi się różne myśli. W rzeczywistości widzę białe, zimne, wietrzne kanadyjskie pustkowia. Oczami wyobraźni widzę zresztą często wiele pięknych rzeczy, które oglądałem

na własne oczy w tym kraju miast bez przeszłości. Choćby skajlajn toronckich drapaczy chmur, czarnych, białych i pokrytych złotymi lustrami. Czoła mają wbite w mgliste obłoki, świecą jak złote szachownice w wieczornej poświacie prerii, a za nimi zachodzi słońce, wielkie jak Jowisz i krwawe jak anilinowy rubin – a wszystko to na tle zielonego nieba o zmierzchu. Bóg wie, dlaczego jest zielone. Pewnie dlatego, że to Kanada. Porównuję tę panoramę z Račanami i wydaje mi się piękniejsza, ale obiektywnie biorąc, jest pewnie taka sama. Ziemia jest piękna wszędzie. Piękniejsza tam, gdzie człowiekowi jest dobrze, a dobrze jest tam, gdzie już niczego nie odkłada na przyszłość, bo nie musi, a do tego niewiele mu tej przyszłości pozostaje. Gdzie wyzbył się strachu, bo nie ma się czego bać, ani w sensie ogólnym – działa tu co prawda również Partia, ale ta na razie nie ma władzy – ani osobiście: nie ma tu czeskiej krytyki literackiej i nie tworzy się rankingów pisarzy według ich wielkości. Moje powieści, które tu wydaje firemka pani Santnerovej, są tylko czytane, a prawie nierecenzowane, bo nie ma kto ich recenzować. Tych dwóch czy trzech wdzięcznych amatorów, którzy piszą o nich do prasy emigracyjnej, wciśnięci między reklamy balów maskowych i Tuzeksu*, zna się najwyżej na czytaniu, ale nie na literaturze. W Saskatchewan mieszka co prawda pan profesor Koupelna, któremu handlowy dom wysyłkowy Passer z Chicago czasem do paczki z domowym dżemem i praską szynką jako bonus doda książkę. Książka budzi w profesorze dziki instynkt, o którym sądzi, że jest to duch krytyczny. Wysłał potem atak do kwartalnika Towarzystwa Sztuk i Nauk, lecz na szczęście atakuje z wyżyn tak znakomitego wykształcenia, że zniechęca to więk-

* Odpowiednik polskiego Peweksu. (Wszystkie przypisy tłumacza).

szość członków Towarzystwa. A ponieważ to wykształcenie ma jednak zbyt wiele białych plam, więc na tych, których nie zniechęci, atak też nie robi wrażenia.

Jest mi dobrze. Jest mi na tym pustkowiu cholernie, niebezpiecznie dobrze.

Sharon McCaffrey, prześlicznie ruda i niezwykle piegowata Irlandka z Burnham Lake Settlement, recytuje za moimi plecami referat o *Pymie*. Chce go mieć jak najszybciej z głowy, ja zaś pragnę, żeby mówiła jak najdłużej, bo wtedy ja nie będę musiał mówić długo. Oczywiście poznaję, skąd to przepisała. Zachowuje jednak minimalny poziom akademicki: nie przepisała z broszurek Colesa, tylko z całkiem solidnej książki profesora Quinna i w dodatku zrobiła to pieczołowicie, niczego nie opuszczając. Akurat, choć jej o to nie prosiłem (ale jest to u Quinna), porównuje *Pyma* z *Białym wielorybem*.

– Pierwsze zdania są praktycznie identyczne: „Nazывam się Artur Gordon Pym” i „Mówcie na mnie Ishmael”. Obydwaj mówią o mieście Nantucket. Niektóre postaci w obu powieściach starają się odkryć ukryte znaczenia: Pym i Peters znaczenie hieroglifów wyrytych w skałach na wyspie Ts... – Oczywiście, potknęła się na słowie zaczynającym się, jak w językach słowiańskich, zbitką spółgłosek. – ...Tsalal. Załoga Pequoda znaczenie złotego dublonu, który Ahab przybił do masztu. Pym i Augustus na początku opowieści niemal zginął na morzu – Ishmael odwiedza kaplicę wielorybniczą i studiuje płyty pamiątkowe marynarzy zaginionych na morzu...

Patrzę na białe wiry za oknem i – przyjemnie w ciepłe – wiem, jak są nieludzko lodowate. Słyszcć lekkie wycie wichru, a w moim wewnętrznym uchu brzmią rosyjskie wiersze, które wczoraj czytałem dzieciom pre-rii. Poe, obawiam się, może ich nudzić, w telewizji pokazują straszniejsze horrory, dlatego jak mogę, staram się

go urozmaicić. Po to przeczytałem im rosyjskie wiersze. I dlatego że znów uległem głupiemu, choć chyba niedającym się zabić, pragnieniu, żeby wytłumaczyć niewytłumaczalne. Irena Svensson, dziewczyna o pięknej, pełnej pogardy twarzy (to samoobrona), wstała i oświadczyła, że *Kruk* to bezwartościowy, sentymentalny kicz. Zrobiła to z zemsty: dostrzegła, że załamuje mi się głos (nic na to nie poradzę, jestem sentymentalny) zawsze, kiedy czytam wiersze... *if, within the distant Aidenn, / It shall clasp a sainted maiden whom the angels call...* więc sądziła, że sprytnie i wobec wszystkich zemści się na mnie za to, że w poprzednim semestrze, w ciszy swojego gabinetu, niemal przez dwie i pół godziny sadystycznie ją dręczyłem. Nałożyłem wtedy profesorską maskę i jak zupak zadałem jej pytanie, na które nie było odpowiedzi: – Jak to możliwe? Dlaczego pani to zrobiła? – ale oczywiście dziekanowi nie zgłosiłem jej plagiatu. Pod koniec okrutnych dwóch godzin łaskawie pozwoliłem jej napisać nową pracę, ale do rana następnego dnia, więc załatwiłem jej przyjemny wieczór. Żadnej dziewczyny, która ma na imię Irena, nie potrafiłbym naprawdę skrzywdzić. To bariera jeszcze z dawnych lat. Irena Svensson napisała w nocy pracę i myślała, że mnie przerobiła. Miała jednak pecha. Za pierwszym razem nie doceniła mojej profesorskiej wiedzy, a za drugim nie wzięła pod uwagę czeskiej zasady pechowych przypadków. Kupiła pracę od Term Papers Inc., a ci oszuści odpalili jej referat, który dwa lata wcześniej sprzedali ślicznej Chince Joan Pak Wong, gdy ich wtedy odwiedziła, pośrednio za moją radą; musiałem od tej dziewczyny z Trynidadu mieć choć jedną pracę bez błędów w co drugim słowie i bez orientalnych ornamentów w rodzaju „Ta powieść jest powieścią. Jest to wielkie dzieło, bo ma formę książki”. W przeciwnym razie nie mógłbym jej z czystym sumieniem przepuścić. Choć właściwie nie wiem, dla-

czego miałem niespokojne sumienie. To raczej też był sadyzm, bo przecież po profesorach już nikt nie czeka je prac. Zresztą gdyby czekowali, to mielibyśmy oboje problem – Joan Pak Wong i ja – bo zakupione dzieło tak dalece przewyższało poprzednie bzdury, że różnice można by wytłumaczyć chyba tylko lobotomią. Krótko mówiąc: anonimowy pisarz z Term Papers Inc. odpalił jej pracę już raz sprzedaną. I oto panienka z West Indies, Irena Svensson, siedziała w moim gabinecie po raz drugi, ja po raz drugi, z maską profesora na twarzy, dręczyłem ją tym razem przez trzy godziny, aż wreszcie zalana łzami się przyznała. Była to rozkosz widzieć pełne wzgardy oblicze z wydętymi dumą ustami pewnej siebie młodej damy, które nagle przybrało rozczulający wyraz niepewnej dziewczynki z Oshawa, Ontario. Aż sam siebie pytałem w duchu: – Gdzie się podział jej kobiecy instynkt? Czy ta pachnąca dezodorantem i lawendą szwedzka dziewczyna nie widzi, że ja przecież nigdy w życiu nie doniosę na nią do dziekana?

Jednak to nie jej brakowało instynktu, tylko mnie doświadczenia. Nie mogła przecież wiedzieć, nawet jeśli miała na imię Irena, że życie uodporniło mnie na jakiegokolwiek zgłaszanie czyichkolwiek przewinień jakimkolwiek autorytetom. Ta bariera we mnie jest nieprzepuszczalna jak żelazna kurtyna. Zbyt długo żyłem w kraju, w którym nawet najczystsza prawda, gdy zostanie zgłoszona, zmienia się natychmiast w kłamstwo dzięki mało znanym na Zachodzie prawom marks-leninizmu.

Poleciłem więc wtedy Irenie Svensson, żeby wzięła pióro i papier. Wyjęła srebrnego parkera i swój absurdalny kanadyjski blok w linie, żeby przez następne dwie godziny na moich oczach płodzić pracę na temat *Funkcja kolorów w „Szkarłatnej literze” Hawthorne’a*. Po ciła się jak na siłowni, tak że lawenda z trudem niwelowała zapach jej potu, nerwowo gryzła parkera, aż atra-

ment zabrudził jej usta i przez następne dwa tygodnie chodziła na zajęcia z wargami jak u martwej Ligei.

Ja wtedy wpadłem na szalony pomysł, by z kwadratu zrobić koło, i idiotycznie próbowałem wykazać irracjonalnej Irencie oraz miłym dzieciom prerii z eden-valeskiego kampusu, że – jak mówi Hemingway – jeśli coś jest dobrze napisane, to może mieć wiele znaczeń. Dlatego na swój wykład przyniosłem rosyjską adaptację *Kruka* dokonaną przez Jesienina-Wolpina.

Szalejąca za oknem biała wichura teraz nawet delikatnie zadzwoniła o szybę, idealnie osadzoną w chromowanej ramie, a ja usłyszałem Poego, usłyszałem go swoim wewnętrznym słuchem, po rosyjsku:

Kak-to noczju, w czas tierrora, ja czitał wpierwyje Mora –

Twarde rosyjskie „r” zadudniło w na wpół ospałej sali wykładowej – było to też zimą, za oknem wichura, na tydzień przed feriami bożonarodzeniowymi. – Tanie, mechaniczne rymy wewnętrzne – mówiła Irena, a pełne wzgardy usta wykrzywiły się w nienawiści. – Nie na darmo już współczesna mu krytyka nazywała go *jingle man*. – Było widać, że dobrze się przygotowała do zemsty, studiując źródła. – W istocie jego monotonna poezja była tylko słabym echem romantycznej poezji angielskiej i niewiele może wnieść do współczesnej sen... – zająknęła się – ...sensybilności. – Efekt diabli wzięli. Grupa tego co prawda nie zauważyła, ale skompromitowała się przede mną i poczerwieniła ze wściekłości.

I w somnienije i w pieczali ja szeptał: „To drug jedwa li, Wsiech druziej dawno ustali...” –

Łzy napłynęły mi do oczu. Chciałem Irenę usadzić, ale nie mogłem. Musiałem na chwilę przerwać lekturę i poczekać, aż minie pawłowowski odruch poezji i doświadczeń, narodowych i międzynarodowych, z faszystowskich i komunistycznych imperiów. Irena poczuła wiatr w żaglach, ponieważ *tabula rasa* jej umysłu uzna-

ła to po prostu za kolejny przykład mojego śmiesznego sentymentalizmu. Wzrok ślizgał mi się po tekście:

*O prorok, nie prosto ptica! Jest' li nynie zagranica,
Gdzie swobodnyj ob isskustwie nie opasien razgowor?
Jesli jest', to dobiegu li ja w tot kraj, nie wstrieti w puli?
W Nidierlandach li, w Pieru li ja rieszył by staryj spor –
Romantizma z rializmom do sich por nie konczen spor!
Karknuł Woron: „Nevermore!”*

Sharon duka i już za chwilę będzie to miała z głowy. – Nie było pisarza, który byłby bardziej skoncentrowany na całkowicie osobistym doświadczeniu. Był to pierwszy i największy artysta parapsychologii. Przejawiał tendencję do pogrążania się w problemach, których rozwiązanie wymagało niemal genialnej bystrości umysłu, nie wymagało natomiast żadnych doświadczeń życiowych. – Wyczerpała swoje poprzednie nieujawnione źródło, a teraz powtarza za Krutchem. Wpatruję się w zadymkę, korytarzem wśród białych wirów z namysłem kroczy wielki, wypasiony kruk albo po prostu jakiś czarny kanadyjski ptak, a z białej mgły wyłania się upiorny statek kapitana Guya –

*„Nikогда!” – skazała ptica... Za moriami zagranica...
...Tu włomilis' dwa sołdata, sonnyj dwornik i major...*

Wewnętrzne rymy, mechaniczne rymy wewnętrzne zapijaczonego błazna. Irena usiadła ze złością, mając jednak poczucie pyrrusowego zwycięstwa, ja z trudem opanowałem łzy; zemsta za dwukrotne wykrycie i trzecie poníženie – usta wciąż jeszcze miały lekką barwę akwamaryny – oto się dokonała.

*Pieried nimi ja nie szarknuł, odnomu w lico lisz'charknuł –
No zato kak prosto garknuł czernyj woron: „Nevermore!”
I wożu, wożu ja taczku, powtariaja: Nevermore...
Nie podniatsia... Nevermore!*

Musiałem udawać, że smarkam, długo smarkam... badawczy wzrok dzieci prerii spoczywał na mnie z bezce-

remonialnym zaciekawieniem. Zacząłem czytać własny przekład angielski, który wszystko zamordował: twarde rosyjskie „r”, najsmutniejszą samogłoskę Poego – „o”, dużo smutniejszą po rosyjsku niż w języku geniusza znad rzeki Avon, tego dworskiego wazeliniarza – ale mnie w uszach wciąż brzmiał rosyjski i mimo absurdalnej odległości długiego stulecia i ogromnego oceanu opowiadał o Edgarze Allanie Poe z nieporównywalnie większą wiedzą profesorską – z wiedzą życiową, którą Poe jakimś zrzędzeniem losu i na przekór Krutchowi posiadał, z wiedzą, jakiej nie ma Joseph Wood Krutch...

...Potomu czto s dawnich por

Ja bojus' drugoj pucziny w carstwie, griaznom s dawnich por...

Karknuł Woron: „Nevermore!”

– Jeśli podróży Pyma nie będzie się interpretować jako wędrówki Myśli, to nie jest to nic innego, jak jedna z wielu całkiem zwyczajnych opowieści o morskich przygodach. – Tu Sharon kończy, jakby nożem uciął. Odwracam się. Sharon patrzy na mnie zielonymi irlandzkimi oczami, lekko zmieszana, nie z mojego powodu, ale dlatego, że musi się intelektualnie produkować przed całą grupą (z tym przedwczesnym cynizmem dzieci z Etobicoke nie jest chyba tak dramatycznie). Odczytała swój plagiat i teraz pozostaje jej przeżyć jeszcze jedną nieprzyjemność: odpowiadanie na moje pytania, o ile będę czegoś ciekaw.

Rozglądam się. Ted Higgins, kłortrbek University Blues, je kanapkę zasłonięty wydaniem Poego autorstwa Davidsona. Irena Svensson prowokacyjnie (to też część zemsty, ostentacyjny brak zainteresowania) maluje sobie paznokcie czymś, co wydaje jej się piękne, a co wygląda jak srebrna farba do rur. Vicky Heatherington, która w szkolnym jazzbandzie gra na pu-zonie (tak, mają tu nawet prawdziwy swing-band, nie

rock-group, i grają w nim muzycy. Reszta robi hałas w kilku innych elektronicznych łomot-bandach), flirtuje z długowłosym facetem o nazwisku William Wilson Bellissimo, najeżonym jak jego zamerykanizowane, trzy razy podwójnospółgłoskowe nazwisko. Robi to fizycznie: coś trzyma w prawej ręce, wyrrywają to sobie, a Bellissimo trzyma rękę na piersiach Vicky, dobrze rozwiniętych dzięki grze na puzonie, uwypuklonych pod T-shirtem z krzykliwym portretem mężczyzny. Kiedy spytałem ją, kto to jest, i oczekiwałem niewiedzy, odparła mi, że to autoportret Van Cocka. Spoza tej zabawiającej się pary patrzą na mnie, przeze mnie, przez smutne oczy Veroniki Prstovej, melancholijnej dziewczyny z praskich Vinohradów, która uciekła tu z wycieczki na Kubę i od razu w pierwszym tygodniu pobiła się z Hakimem, który był na Kubie na praktykach.

– Uważa pani, że to prawda? – pytam Sharon. – Że *Pym* to rzeczywiście albo wędrówka Ducha, albo zwyczajny thriller? – Natychmiast sztywnieje. Naturalnie nie ma żadnego zdania w tej kwestii, ale nie może się przyznać. – Tak! – oświadcza buntowniczo. Zabieram swoje nieokiełznane myśli do drewnianej kabiny na drewnianym statku kapitana Guya, do pradawnych czasów pierwszego terroru, kiedy zawsze przed zaśnięciem płynąłem z Juliuszem Verne’em tym statkiem po czarnobłękitnym morzu, przesmykiem między ogromnymi lodowcami, w alabastrowej bramie od południa, pomiędzy chmurami nisko nad horyzontem świeciło letnie słońce, a przed statkiem rozpościerało się spokojne, lekko pofalowane morze, z tyłu na horyzoncie ląd, a na nim, bardzo daleko, dzikie, fioletowe góry. Dlaczego akurat fioletowe, tego jeszcze nie wiedziałem. W powietrzu wirowały arktyczne jaskółki – zobaczyłem Poego skrobiącego gęsim piórem, zimą, w nieogrzewanej izbie, w jakiejś ruderze w Baltimore –

jak ja w tym łóżku, w tej drewnianej kabinie, zamknięty pod impregnowaną plandeką Protektoratu Böhmen und Mahren, bez dostępu do pięknych mórz – on bez dostępu do świata z powodu biedy, zapisujący na papierze marzenia o ekspedycji Wilkesa, do której nie wzięli Jeremiasza Reynoldsa, a na łożu śmierci szepczący jego imię – dlaczego? Czy to miało być jego życie? W pięknej i przerażającej wolności fioletowych gór szaleństwa? Ale nie było – upływało w koszarnej niewoli nędzy, niedającego się wywietrzyć zaduchu rudery w Nowej Anglii. Wędrówka ducha? Wędrówka w duchu. Bardzo konkretna, wspaniała, chłopacka przygoda. Tylko bogaci ludzie sukcesu, potężni i ważni, przestają być chłopakami i dziewczynami...

Te łyzy. Chyba to wstyd. Anglosasi nie są sentymentalni – prawi tradycyjna mądrość. Anglosasi – Bellissimo, Hakim, Svensson. Ale Irena już nic nie powiedziała. Patrzyła na mnie badawczo szarymi skandynawskimi oczami i nie powiedziała nic więcej o tandecie rymów wewnętrznych błazna. Może przynajmniej jej spodobał się egzotyczny warkot – *Kak-to noczju, w czas tierrora, ja czytał wpierwyje Mora* – nie powiedziała nic i obserwowała mnie bez protestu, w zamyśleniu, badawczo, spod swojej fryzury vidal sassoon. Ku mojemu zaskoczeniu – sadystycznie dałem jej tylko C minus jako ostateczną ocenę wstępnego kursu – zapisała się w tym roku na mój kurs dla zaawansowanych, częściowo powtarzający (teoretycznie: pogłębiający) materiał poprzedniego, gdzie natychmiast spotkały ją trzy katastrofy. Znow omawiałem na nim Poego. Prace miała tym razem świetne, może wynajęła sobie jakiegoś *teaching assistenta*, albo może wręcz się uczyła i przeważnie była cicho, obserwowała mnie... *kak-to noczju, w czas tierrora... Morra... Morrra...*

Od kiedy żyjemy, otaczała nas groza. A także piękno...

Drogi Dan,

pamiętasz ten piękny wiersz/rym: Umarła, powiedzmy, że suchoty miała. / Suchoty to coś, co przynosi śmierć ciała. Nie wiem, dlaczego wciąż brzmi mi to w uszach, niezależnie od tego, czy staram się zasnąć, czy kiedy trzymam wąż, gdy biegniemy gasić. Widać muszę mieć stale coś pięknego – w duchu. Ale czy to jest piękny wiersz? Dlaczego jest piękny? Suchoty to przecież nie jest nic pięknego. Odkryłem tu nowego poetę, nazywa się Erich Kästner. Nasz Einsatzführer Ernst Hübel pożyczył mi jego tomik „Eine kleine lyrische Hausapotheke”. Wspaniały! Na przykład:

Ein Mathematiker hat behauptet,
dass es allmählich an der Zeit sei,
eine stabile Kiste zu bauen,
die Tausend Meter lang, hoch und breit sei.

In diesem einen Kubikkilometer
hätten, schrieb er im wichtigsten Satz,
sämtliche heute lebenden Menschen
(das sind zirka zwei Milliarden) Platz!

Man könnte also die ganze Menschheit
in eine Kiste steigen heissen
und diese, vielleicht in den Kordilleren,
in einen der tiefsten Abgründe schmeissen.

Kreischend zögen die Geier Kreise.
Die riesigen Städte stünden leer.
Die Menschheit läg in den Kordilleren.
Das wüsste dann aber keiner mehr.

Co Ty na to?

Piszę Ci o tym tak otwarcie, bo jeden kolega ma Urloubschein i jedzie do Hradca, więc ten list wyśle Ci stamtąd. Erich Kästner mieszka bowiem w Szwajcarii. Musiał uciekać

z Niemiec, jak tylko hitlerowcy wzięli tu wszystko w swoje ręce. Nasz Einsatzleiter jednak u nich nie jest. Dogadałiśmy się, kiedy raz przypadkiem podczas inspekcji sali znalazł u mnie Eliota.

Because I do not hope to turn again

Because I do not hope

Because I do not hope to turn...

– powtarzam sobie te wersy bardzo często. Ojciec Ernsta Hübla jest Schulratem, profesorem gimnazjum, jest u nich, ale tylko dlatego żeby mu dali spokój i żeby nie miał kłopotów z powodu czegoś, co robił przed Machtübernahme. Czy to nie jest absurdalne, Dan? Kiedy idę ulicą w mundurze Technische Nothilfe, wyglądam jak esesman. A tym bardziej Ernst – jest blondynem, ma niebieskie oczy i jest trochę podobny do Heydricha. A kiedy idziemy obok siebie, recytujemy półgłosem wiersze Kästnera, każdy na przemian po jednym wersie. Ja: Da lägen wir dann, fast unbemerkbar, a on: als würfelförmiges Paket. I znów ja: Und Gras könnte über die Menschheit wachsen. I jeszcze raz on: Und Sand würde daraufgeweht.

Życie jest piękne, Dan, ale gdyby nie było poezji...

...była to gazety starej pierwszej strona

*widniał na niej wielki portret Edisona...**

Uważaj na siebie, kochany Dan! Musimy przeżyć wojnę.

A potem...

Twój Jan

* * *

Powinienem chyba coś zakręcić z Ireną Svensson. Wykazuje wszelkie oznaki oczekiwania. Mogłaby co prawda być moją córką, ale w końcu mam tu aureolę faceta, który przeżył życie w policyjnych dyktaturach, a w czasie wojny brał udział w antyfaszystowskim ruchu

* Przełożył Józef Waczków.

oporu. Kiedy popisuję się tym przed panienkami z Chitagoogi i z Yellow Pants, sprytnie nie nazywam tego *resistance group*, ale *guerilla group*; ten termin lepiej znają i kojarzy im się z bombami. Ten interesujący człowiek uprawiał w dodatku zawód pisarza, tak niebezpieczny w policyjnych krajach. Zabili mu najlepszego przyjaciela – oczywiście robię z towarzysza Huberta Steina najlepszego przyjaciela, chociaż nigdy za mną nie przepadał. Ale z jego sądowym zabójstwem to czysta prawda – czy raczej brudna prawda – której trochę wyobraźni nie zaszkodzi. W dodatku tego człowieka wypędziły z ojczyzny radzieckie czołgi; jak na swoje czterdzieści osiem lat nieźle się trzyma i nosi naturalną, falującą fryzurę, przetykaną srebrem, która dzięki używaniu dry looku lśni najintensywniejszym dull shinem.

Powinienem więc nie mieć obiekcji w sprawie Ireny. Zdaniem opinii publicznej współczesne kanadyjskie dziewczyny łatwo dają się namówić na przyjemności. Nie mam pod tym względem osobistych doświadczeń, bo moje potrzeby w tej kwestii w pełni zaspokaja Margitka. Ale od czasu kiedy rozmawiałem z Larrym MacAlearem, trochę powątpiewam w tę łatwość. Larry przez jakąś pomyłkę znalazł się na kursie podstawowym, gdzie większości młodych akademików kłopoty sprawiało wymówienie słowa *ratiocination*, a on dla rozrywki czytał sobie *Finnegan's Wake*. Przyłąził do mnie do gabinetu i chciał wciąż o tym gadać. Nie mogłem mu jednak powiedzieć, że nnie *Finnegan's Wake* nudzi, więc zawsze wekslowałem rozmowę z Joyce'a na koleżanki Larry'ego. On był potężnym wąsaczem, rudym, uczesany na Chrystusa, w modelowo porwanych dżinsach, przez które na siedzeniu prześwitywały *jockey shorts*, co mu dodawało sex appealu. – Nie jest to takie powszechne, jak się mówi – twierdził. – Ale to, co się mówi, jest bardziej *newsworthy*, *you know*. De facto

większość z nich pilnuje własnej... – i tu z naturalnością swego bezpruderyjnego pokolenia wymawiał słowo na cztery litery, będące określeniem kobiecego przyrodzenia. Jeśli chodzi o język, nie ma tu rzeczywiście barier i jestem przekonany, że nawet Irena Svensson przed tym słowem by nie uciekała. Gdyby jednak miało dojść do fizycznej manipulacji z tą czteroliterową częścią ciała... – ...bo niemal każdej zależy na akademickim tytule. Wie pan, jakim? – MA? – spytałem, bo mimo demokratycznych wymagań edenvaleskiej uczelni większość z dziewczyn nawet chyba nie marzyła o doktoracie. – MRS – odparł wężacz i porozumiewawczo zamrugnął oczami. Przez chwilę nie rozumiałem. Ale tylko przez chwilę. Potem mi zaświtało. Bez przekonania, bo jest przecież Women's Lib, miałem jednak świadomość, że wszystkie radykalne ugrupowania robią hałas niewspółmierny do liczby swych rzeczywistych sympatyków. Oczywiście, Mrs.

Więc kto wie. Jednak spróbować chyba powinienem. Nieustająco obserwuje mnie pięknymi, wyblakłymi oczami z Kiruny, gdzie podobno kiedyś jej dziadek był właścicielem kopalń rudy żelaza w tym mieście północnego słońca. Jak ładnie ze swymi płowymi włosami musiałyby się odbijać w lalkach z lśniącej stali. W odróżnieniu od wierzb płaczących zuniformizowanej większości, zawsze ma pieczołowicie ułożoną kosztowną fryzurę. Nie zgłasza się sama. Kiedy ją wywołałam, odpowiada tak, że mam wrażenie, jakby rzeczywiście czytała książki z ułożonej przeze mnie listy i jakby nawet znała książki różnych profesorów. Na twarzy wciąż ma wyraz pogardy, ale nie ośmiesza już Edgara Allana Poe. Niedawno nawet włączyła się do dyskusji – wyjątkowo zgłosiła się sama – twierdząc, że Poe był znakomitym artystą wizualnym, przy czym, mówiła, nie mam tu na myśli jego romantyzujących opisów wy-

śnionych krajobrazów, ale jego realistyczne obserwacje wizualne. Jako przykład podała opis wybuchu statku Jane Guy na wyspie Tsalal. Pochwaliłem ją i w duchu pomyślałem, że chyba istotnie ma literackie czy wręcz pisarskie wyczucie – może rzeczywiście w tym roku pisze swoje prace naprawdę sama, bo ja przynajmniej nie pamiętałem analizy tej sceny z żadnej profesorskiej książki. Może dlatego, że nie jestem w nich za bardzo odczytany. Kiedy jednak jechałem do domu przez czarnoszarobiałą edenvaleską pustynię w stronę migoczących wież toronckiego dauntaunu, nagle uświadomiłem sobie, że przecież to ja sam wychwalałem tę scenę przed rokiem, na kursie podstawowym. Obniżyło to trochę moją ocenę literackiej inteligencji Ireny, ale uczyniło ją w moich oczach jeszcze bardziej interesującą.

Tylko że to już nie jest takie proste. Kiedyś łatwo mi było zapłonąć i paliłem się z przyjemnością. Dziś już nie da rady. A o moje zdrowie perfekcyjnie troszczy się dobra, stara Margitka.

Wtedy to było łatwe. Z powodu symulowanej choroby wyrzucili mnie z kursu spawaczy i zaprowadzili na wiertarkę. Były dwie, przy drugiej stała wysoka dziewczyna w rozdartym swetrze i zabrudzonej spódnicy. Długa, koścista dziewczyna o bardzo pięknej, białej twarzy, w chustce jak u baby i w bawełnianych pończochach, na których miała jeszcze doszczętnie sprane narciarskie skarpety. Te zaś wystawały z męskich sznurowanych traktorów. Spojrzała na mnie, jej czarne oczy płonęły, a ja natychmiast spaliłem się jak Jan Hus.

– Będziesz robił nawierty – polecił mi majster Vachouszek. – Tego chyba nie powinienesz spieprzyć. Ale trzeba je robić dokładnie na kaliber, tolerancja plus minus pół milimetra. Norma jest dziesięć minut na jeden krzyżak, a gotowe będziesz odnosił na drugą linię, tam do Szvestki i Hetflajsza. Tu Nadia wszystko ci pokaże.

Kiwnął na kościstą dziewczynę. Ta się wyszczerzyła. Dosłownie. Miała naprawdę wspaniałe, zdrowe uzębienie i usta szerokie od ucha do ucha. Kiedy potem trochę poznałem jej warunki domowe, nie mieściło mi się w głowie, jak przy całej tej nędzy może mieć tak zdrowe zęby. Dopiero tutaj, w Toronto, z broszurki w poczekalni pana doktora Żizali wyczytałem, że głodującym narodom nie psują się zęby, bo nie mają na cukier. U Jirouszków nie mieli. Słodzili sacharyną. – Mmhmm – westchnęła Nadia z rozkoszą i na raz połknęła całą bułkę z powidłami, jedną z tych, które czasem, także za okupacji, piekła moja mama, bo jej brat – zarządca majątku hrabiego Czernina – nie tylko nie pozwolił nam zginąć z głodu, ale nawet odczuwać niedostatku. – Mmhmm, ale dobre – westchnęła. – Nie masz jeszcze? – Oddałem jej więc wszystkie swoje cztery bułeczki, patrzyłem, jak w z wirtuozerią je połyka, i cieszyłem się, że jej smakują. Kiedy później się całowaliśmy, usta pachniały jej marmoladą. Ale po chwili mnie odtrąciła i powiedziała:

– Zostaw mnie!

– Ale Nadiu!

– Franta to po mnie pozna.

– To co z tego?

– Ja go kocham.

– Mnie przecież też, prawda?

– No, też. Ale ty się ze mną nie ożenisz.

Tym mnie załatwiła. Rzeczywiście nawet nie pomyślałem o ślubie. Nie byłem proletariuszem, jak Nadia. Zbyt głęboko tkwiło we mnie przekonanie, że zanim mężczyzna może się ożenić, musi najpierw kimś być. W moim przypadku oznaczało to uniwersytet, w tym czasie zamknięty. Nadia była też starsza, a jej Franta pracował w przędzalni i został przeszkolony – w odróżnieniu ode mnie z sukcesem – jako spawacz. Całowaliśmy się w takiej komórce, zawsze, kiedy Władia Nosek

chodził się obijać w toalecie. Wtedy nas tam zamykał. A po jakimś czasie odmykał – przesadnie długo – wtedy natychmiast przestawaliśmy się całować, a Nadia robiła się czerwona. Ale wciąż tam ze mną chodziła.

– Tak masz trzymać – tłumaczyła mi i położyła na duraluminiowym krzyżaku kościstą dłoń z połamanymi paznokciami, całą w drobnych zadrapaniach – ale prawą ręką nie możesz za bardzo naciskać na wiertarkę. Jak już ci się będzie wydawało, że jest dosyć wywiercone, to włożysz w dziurkę kaliber. – I zademonstrowała mi to. Kaliber to był żelazny stożek z uchwytem; schował się w stożkowatym zagłębieniu jak ulany. – On musi pasować. Jak wiercisz, to kaliber powinien troszkę wystawać – instruowała mnie. – Potem zawsze na jedno dotknięcie można to dorobić. Jak zrobisz za głęboko, to jest afera. Majster by cię opieprzył.

Patrzyłem na duraluminiowy krzyżak i podziwiałem, jak zręcznie sobie radzi.

– Do czego to właściwie służy? – Nie interesowało mnie to, ale chciałem z nią rozmawiać.

– No, przecież do samolotów. Do meserszmitów. Do tych dziurek dojdą cztery śruby, które trzymają bęben.

– Bęben?

– Z amunicją – odparła. – Do karabinu maszynowego.

– Meserszmit be ef sto dziewięć ef – perorował Benda. – Miał mniejszą siłę ognia od spitfajerów, więc dołożyli mu dwa działka pokładowe kaliber dwadzieścia milimetrów, jedno pod każde skrzydło. Nie zmieściły się do środka skrzydeł, więc są pod nimi w takich metalowych schowkach. Wygląda to jak odwrócona wanna.

– Ja wiem – odparłem – przyśrubowują je na końcu linii montażowej.

– W środku jest tylko bęben z nabojami. Na tym duraluminiowym krzyżaku.

Choć byłem technicznym antytalentem, to jednak pojąłem, skąd ta troska o precyzję. Benda, który o samolotach wiedział wszystko, potwierdził mi to. – Jasne. Jak nawiert jest zbyt głęboki, to blacha bębna napnie się przez krawędź i kiedy się zacznie strzelać, to może pęknąć.

– I bęben może się urwać – dodał Przema.

– No – przytaknął Benda. – Dlatego te kalibry.

Przema, którego samoloty interesowały tylko jako możliwy obiekt sabotażu, zamknął oczy i powiedział z rozmarzeniem:

– Panowie, wyobraźcie to sobie! Wyobraźcie sobie szkopa. Ma na muszce spiffajera, naciska spust... rata-ta... i oba bębny mu się urywają, i koniec pieśni!

Siedzieliśmy pod wyblakłą żarówką w magazynie tytoniowym i śniliśmy o bohaterstwie wojennym. Tam wpadłem na ten głupi pomysł.

To przez to, co mi powiedziała Nadia, a oczy jej przy tym płonęły ni mniej, ni więcej, tylko miłością.

– Gdybym wiedziała, kto był taki odważny, to dla takiego zrobiłabym wszystko! Wszystko, wiesz, Daniel? Bo taki ktoś to naprawdę bohater!

Z powodu Nadii i jej uwielbienia dla bohaterów pry-sły resztki mojego zdrowego rozsądku.

Skorzystałem z pobytu Franty w szpitalu – dostał zapalenia ślepej kiszki – i wyciągnąłem Nadię na randkę. Rodzice pojechali w sobotę do majątku hrabiego Czernina, żeby uzupełnić prowiant, a ja w niedzielę po kościele czekałem, aż usłyszę na schodach stukot butów Nadii. Wtedy otworzyłem drzwi. Wlokła się trochę ciężko jak na tak młodą dziewczynę – miała dziewiętnaście lat z hakiem – ale przypisywałem to jej permanentnemu głodowi. Na głowie miała niedzielną chustkę, a na białych policzkach czerwone rumieńce. Była cała zdyszana, ale to pewnie przez te buciory. Zaprowadziłem ją do pokoju i najpierw poczęstowałem maminy mi bułeczkami.

– Ty nie masz rodziców? – spytałem, kiedy mi opowiedziała, jak wyprowadziła w pole stryja Venhodę, który był z nią w kościele, ale najdalej za pół godziny musi iść, bo stryjek by się dziwił, gdzie jest. Łakomym wzrokiem rozglądała się po naszym pokoju. Oglądała brązowy żyrandol z kryształowymi wisiorami i podobne cuda, a jej nozdrza cały czas pracowały. Zapewne węszyła, co by tu się jeszcze dało zjeść.

– Chcesz jeszcze? – spytałem. Kiwnęła głową. Poszedłem myszkować do kuchni, a Nadia bez pytania poszła za mną. Na płycie kuchennej mama zostawiła mi obiad, polędwicę z koniny. Nozdrza Nadii zadrżały. Włączyłem kuchenkę. – Za chwilę będzie gotowe – powiedziałem. – Ty nie masz rodziców?

– Mam tatę – odparła. – Ale jest w obozie. – Rozejrzała się i usiadła na stołku przy piecu. Instynkt klasowy, mówię sobie dziś we wspomnieniach. Klasyczny tron czeskich służących. Wtedy mi to nie przyszło do głowy. Pod jej znoszoną czarną spódnicą do kościoła dostrzegłem jasnoniebieskie reformy niemal do kolan. Nie sprawiała wrażenia, że się za nie wstydzi. Zdjęła chustkę, odwróciła się w stronę polędwicy – a więc pięknym profilem do mnie – i nozdrza znów jej zadrżały.

– Za co go zabrali?

– Za Sokoła. On był szefem organizacji na Czernej Horze.

– Kim był... – natychmiast poprawiłem złowieszczy czas przeszły. – Kim jest twój tata? – Ale Nadia nie była uczulona na takie rzeczy. Możliwość czy prawdopodobieństwo śmierci ojca nie wywoływały u niej strachu czy łez, ale góralską nienawiść.

– Pracował u Mautnerów na maszynie – odparła. – Na Czernej Horze prowadził ćwiczenia, a jak były urodziny pana prezydenta Masaryka, to miał przemówienie. Jeszcze zanim zakazali Sokoła. To już będą prawie trzy lata.

– Macie od niego... jakieś wiadomości?
– Już długo nie. Czy ja wiem, on już może, biedak, nie żyje... Ty, Daniel...
– Co?
– Ja wiem, że to chyba jest grzech... ale Niemca mogłabym spokojnie zabić. Spokojnie! A ty nie?
– No... też – powiedziałem niepewnie, bo miałem co do tego spore wątpliwości. Ale ostatecznie ja swego Niemca zabiłem, a Nadia nie; tylko kto wtedy mógł o tym wiedzieć? Połudwica zapachniała. Była prawie jedenasta. Nałożyłem Nadii całą swoją porcję – obfitą: mamy zdaniem wciąż jeszcze rośłem – i rozkoszowałem się widokiem wychudzonej dziewczyny, pochłaniającej połędwicę niczym wygłodniała kotka. – Mmhmm, ale to doobre! – pochwaliła obiad podobnie jak wcześniej bułeczki i wiele razy później różne strucle, makowce, kołaczki i domowe kotlety z koniny. Przyszło mi do głowy, czy przypadkiem droga do jej serca nie prowadzi przez żołądek i czy pod tym względem nie zamieniliśmy się rolami. Ale nie wierzyłem w to. Nadia nie była taka. Objąłem ją, jak tylko dojadła, bez protestu pozwoliła się całować i chętnie oddawała mi pocałunki, wygłodzone jak jej gargantuiczny apetyt. Jej usta od ucha do ucha pachniały marynowaną koniną. Potem przyznała mi się do bezbrzeżnego uwielbienia dla nieznanego bohatera, który przed dwoma miesiącami wysadził w powietrze magazyn benzyny w Kostelcu.

* * *

*Danny,
pozdrawiam Cię z Pragi. Spotkałem się z Matiejem. Czerśnie zakwitną jeszcze dwa razy.*

Twój kolega

P.

W następnym semestrze nasz wydział będzie się przeprowadzał do nowego budynku. Już stoi. Ma okna z miodowego szkła, które przepuszcza do środka światło słoneczne, ale nie ciepło, na zewnątrz zaś nie przepuszcza żadnych sygnałów optycznych. Człowiek zapewne będzie się mógł rozebrać do naga i na oczach pełnej łąki undergraduatek, zjadających na zalanej słońcem trawie swoje południowe french fries z keczupem, wystawić całą swoją goliznę na światło (choć już nie na ciepło) promieni słonecznych. Architekt uwzględnił również życzenia szczególnie radykalnych studentów, więc w niektórych salach wykładowych nie będzie żadnych mebli, a za to w różny sposób ukształtowane wybrzuszenia w podłodze, wszystkie *wall-to-wall* pokryte karpetem. Na jednej takiej kuli będę siedział ja jako profesor, a na pozostałych i między nimi – niczym Guliwero wie między piersiami Brobdingnagianek – moi studenci. Ma ich to pozbawić tremy, zrelaksować, zwiększyć uwagę i w sumie podnieść poziom. Na naszej uczelni w ogóle sporo się eksperymentuje. Rocky McBeth złożył u dziekana projekt zakupu starych spadochronów Królewskiego Lotnictwa Kanadyjskiego. Mają je podwiesić w salach wykładowych w taki sposób, żeby zasłaniały okna. Powstanie dzięki temu coś w rodzaju namiotu, a w nim przyjazny półmrok i poczucie bezpieczeństwa, intymności, macierzyńskiego łona. Celem jest również zrelaksowanie nerwowych studentów, ich rozluźnienie i osiągnięcie większej koncentracji na naukach, które im wykładamy.

Przeprowadzka do nowego budynku rodzi też jednak problemy. Rocky, podobny do Dürera z jego autoportretu, a więc także do Chrystusa, chmurzy się, obraża i protestuje. Dlaczego właśnie jemu ma zostać przydzielony gabinet bez okien, tylko z klimatyzacją i świet-

łówkami, skoro spośród wszystkich kolegów to właśnie on najbardziej potrzebuje okna? Wszyscy wiedzą, że w swoim gabinecie ma rozciągnięty eksperymentalny spadochron, a do zbadania psychologicznych efektów jego działania niezbędne jest naturalne światło dzienne, a nie świetlówki!

Powstaje spór, początkowo spokojny, ale szybko zmienia się w dziką kłótnię. Pryncypał sucho oznajmia z oksfordzkim akcentem, że naturalnie komu nowy budynek nie odpowiada, może zrezygnować. Freddy Cohen, nasz *chairman*, czerwienieje jak burak i oświadcza, że ta wypowiedź nie była fair. Atmosfera lodowacieje, a ja ukradkiem spoglądam na zegarek, bo mnie osobiście wszystko jedno, czy będę miał gabinet bez okna czy z oknem. I tak staram się w nim przebywać jak najmniej, bo nigdy nie lubiłem gabinetów.

Ale kolegów wciągnęła sprzeczka. Walczą ostro. Są to strasznie mili ludzie, którzy mimo mojego akcentu i przedziwnych niekiedy sformułowań przyjęli mnie jak swego. Jednak spór o gabinet z oknem czy bez okna obudził w nich polityczne namiętności. Wojują zaciekle, ze zmarszczonymi brwiami, i wygłaszają wspaniałe zdania, pełne sofistycznej ironii w anglosaskim stylu. To absurdalne, ale budzi się we mnie czułość. Wydaje mi się, że kocham tych przyjemnych Amerykanów, tak szczerze oburzonych na próbę pogwałcenia praw człowieka Rocky'ego przez pryncypała.

Rocky jest Kanadyjczykiem, jedynym na naszym angielskim wydziale. Chłopak z Maritimes, zdumiewający Chrystus, specjalista od brytyjskiego XVII wieku, ale niedawno, nie wiedząc, co czynię, otworzyłem mu drzwi do prehistorycznego świata dadaizmu, fowizmu i surrealizmu, a on wkroczył weń całym sercem. Stare, europejskie izmy obudziły w nim potrzebę twórczenia. W zeszłym tygodniu przyjechałem wcześniej

rano na uczelnię, a przed nią siedziała oparta o fasadę gigantyczna kukła, zszyta z plastikowych worków na śmieci i wypełniona zapewne też śmieciami. Sięgała aż do trzeciego piętra i oczami zrobionymi z dekli od kół samochodowych gapiała się tępo przed siebie, ponad edenvaleską pustynią, w stronę jeziora Ontario. Plastikowy, dadaistyczny Brobdingnagianin, zrodzony z twórczych wysiłków brodatego chłopca z Ziemi Księcia Ruperta. Musiał nad tym pracować przez cały weekend. Nie miałem pojęcia, jak w ogóle potrafił zeszyć tego dziesięciometrowego kolosa, unieść go i oprzeć poliestrowymi plecami o fasadę. Ale piękna superkukła siedziała tam tylko przez jeden dzień. Potem, na polecenie pryncypała, zniknęła. Nie wiem, co przedstawiała. Może nic.

Narada kończy się brakiem porozumienia. Rocky z dumnie wzniesioną czarną brodą znika w swoim namiocie, ja znikam w swoim pustym gabinecie i za chwilę z niego wychodzę w kozuchu i z teczką. Zbiegam tylnymi schodami, bo nie chcę z nikim rozmawiać o problemie z oknem czy bez okna ani o żadnym innym. Zapada ontaryjski wieczór, w którym od dołu świeci śnieg, a od góry niebo, rozświetlone odbiciem złotych okien w drapaczach chmur przy Front Street. Nieniepokojo-ny przez nikogo, chcę jak najszybciej ruszyć w ich stronę. Zaczynam się chyba starzeć, bo pragnę się pograć w myślach. A myśli to przeważnie wspomnienia.

Uczelnia jest już pusta, studenci wyjechali ostatnim autobusem albo swymi poobijanymi samochodami. Idę długim, pustym, ogrzewanym korytarzem w stronę wyjścia.

Nagle skądś dobiega mnie muzyka. Jazz. To, co my nazywaliśmy jazzem, kiedy graliśmy w Kostelcu. Czyli swing. *Różową wstążkę miałam, / gdy jeszcze dzieckiem byłam...* – brzmi to przedziwnie w tym kanadyjskim bu-

dynku, czeski głos Eviny Fitzpilarovej na tym antyseptycznym korytarzu, oblepionym plakatami informującymi o kursach szybkiego czytania powieści, o wykładach, które ujawnią prawdziwe oblicze kontrrewolucji w Chile, o jeszcze większych prawach dla i tak już uprzywilejowanych kobiet, o tanim przepisywaniu prac, o zaletach wiary w Hare Krisznię... Muzyka wydobywa się spoza uchylonych drzwi studenckiego *common room*, który jest podłączony do systemu komunikacyjnego Radia Edenvale. Wchodzę do środka. Puste, ogromne pomieszczenie, stoły pokryte resztkami jedzenia kupionego w automatach Canteen Canada. Ich kolorowe elektroniczne oczy świecą w półmroku wzdłuż ścian i oferują tej pustce donaty, gumowe ciastka, trygonometryczne sandwicze z syntetycznym kurczakiem, kawę, ekstramocną kawę, herbatę i syntetyczny bulion w konserwie – kanadyjski futuryzm... Elektroniczne oczy świecą w białej szarówce za oknami, a z głośnika Evina: *...wstążkę diabli gdzieś wzięli, / na czoło włosy lecą, / a życie nie jest hecą...* Stoję, rozglądam się, słucham... Swing się kończy. Potem z głośnika dobiega inny głos, też dziewczęcy, po angielsku, z leciutkim akcentem, charakterystycznym dla Veroniki Prstovej. Mówi do nikogo. Siebie nie liczę. Mnie jej przesłanie nie jest potrzebne.

– Więc patrzę sobie przez okno, *well*, mamy prawdziwy, kanadyjski sezon zimowy, sypie się wata, więc znów nie będzie widać gwiazd, *well*, właściwie księżyc. Dziś ma być pełnia. W szkole i tak już nikogo nie ma, prawda? To wam zagram takiego rocka, jakiego nie słyszeliście, moi kochani głupcy. *Czarna limuzyna*. Wiecie, co to jest *Czarna limuzyna*? Jak w Pradze spalił się pewien chłopak, Palach, to tajna policja zabiła jedną dziewczynę i zwała to na Niemców zachodnich. Na szpiegów zachodnioniemieckich. Ale każdy oczy-

wiecie wiedział, kto to zrobił, i każdy oczywiście musiał trzymać język za zębami. To jedziemy. Czarna limuzyna. Gra zespół Flamingo a śpiewa Bożena Rotterova...

Veronika milknie, zaczyna Rotterova:

*Miałam sen, że sfrunął do mnie anioł,
smutną, żalobną pieśń mi śpiewa.*

*Nie deszcz ślady jego skrzydeł zmasał,
to tylko gdzieś śmierć już dojrzewa.*

Nie wiem, czy interpretacja tekstu Veroniki Prstovej nie jest tylko jej pobożnym życzeniem i czy Rotterova i młodzi ludzie z Flaminga raczej w aluzjach nie propagują ubeckiej wersji – nie dlatego, żeby w nią wierzyli, ale żeby potem mogli grać Simona i Garfunkela czy innego Amerykanina. Jednak w pustym komonrumie Alma Mater Edenvalensis, stojącej na pustkowiu w pobliżu jeziora Ontario, ta pieśń brzmi przerażająco. Jak przy lekturze *Kruka* łyży napływają mi do oczu. Widzę ją w duchu, tę dubčekowską sierotkę, tę smutną czeską dziewczynę, jak sama w kabinie radiowej na szóstym piętrze budynku nadaje do wyludnionych kafeterii swoje przesłanie, które dociera najwyżej do uszu nic nierozumiejących włoskich sprzątaczek.

Więc słucham przynajmniej ja. Jedyne tutaj, który to rozumie.

*Dlaczego właśnie ja
mam być tą, której los
dzisiaj głowę ścina?*

– *That's Czechoslovak?* – rozlega się za moimi plecami. Odwracam się przestraszony. Irena Svensson. W eleganckim płaszczyku z selskinowym podbiciem, jakiś ekskluzywny butik w Yorkville. Pojawiła się tu jak duch.

– Nie, czeski – odpowiadam i dodaję lekko zirytowany, bo po niemal dwóch latach moich instruktaży nawet tępa Kanadyjka mogłaby to wiedzieć. – Żaden język czechosłowacki nie istnieje.

– *Really?* – mówi niby zdziwiona i wsłuchuje się w śpiew. – *She's a terrific singer!* – stwierdza chłodno w superlatywnej terminologii swojego kraju. Jej płowe włosy rozrzucone na kołnierzu ze skóry młodych fok iskrzą się w odbłasku świecących automatów z coca-cola. Słucha. Ja słucham z nią.

*Kocham swoje dni pełne frasunków,
parę grzechów, nie będę inna.*

*Dlaczego mnie straszy koszmar ze snu,
ta długa, czarna limuzyna?*

– Soul? – pyta Irena. Jeśli chodzi o muzykę rockową, ma chyba wysokie IQ. Opowiadam jej treść piosenki i interpretację Veroniki.

– Dlaczego ją zabili?

– Nie wiem.

– Przecież musieli mieć jakiś powód.

– Z pewnością.

– Ale pan nie wie jaki?

– Nie.

– A jaki mogli mieć? Taka młoda dziewczyna...

– Nie czytała pani nigdy Jamesa Bonda?

Błysnęła w moją stronę luksusowo wypłowiałymi oczami.

– Nie. A czy powinnam go czytać, panie profesorze?

– Nie z powodów literackich. Ale cokolwiek by sądzić, jest to jednak część naszej kultury. Nawet dość symptomatyczna. – Do komonrumu wpada grupa sprzątaczek. – Chodźmy. – Przechodzimy przez pokój w stronę szklanych drzwi, a przez nie wychodzimy w noc. Wichura już ustała. Za nami słychać jeszcze samotny głos Veroniki:

– Już prawie szósta. Na dworze wciąż sypie się wata. A może puścimy coś na Boże Narodzenie? Już się zbliża. Coś mamy. *Purpura*. Napisał to pan, który się nazywa Jiří Suchý.

Rzeczywiście sypie się wata. Ruszamy wzdłuż domu w stronę parkingu.

– OK – odzywa się Irena. – To ja za pańską radą kupię go sobie na drogę, panie profesorze. Którego mi pan poleca?

– Bonda? Którego pani chce. Każdy jest doskonałym *pars pro toto*.

– *That's Latin, isn't it?*

– *It is.*

– *I took some Latin in high school. But I never learned much. What does it mean?*

– Że jak przeczyta pani jednego, to tak, jakby pani przeczytała wszystkie.

Śnieg chrupie pod nogami Ireny w szarych kozaczkach z miękkiej skóry, które wyglądają raczej jak rękawiczki uszyte na miarę szczupłych łydek. Płatki śniegu osiadają na jej misternej fryzurze niczym północne robaczki świętojańskie.

– Cieszę się, że jeszcze pana złapałam, sir – mówi.

– Chciałam przeprosić, że w przyszłym tygodniu nie będę na zajęciach.

– Coś poważnego?

– Lecę z matką na Hawaje. Lekarz jej to zalecił, ojciec nie ma czasu, a matka boi się latać sama. Zostanę tam z nią tylko przez kilka dni. Ona zawsze szybko się przyzwyczaja.

– Zazdroszczę pani. Proszę się ładnie opalić.

– Mnie słońce nie służy – zatrzymuje się przy małym, ognistoczerwonym porsche. Patrzy na mnie wyblakłymi oczami, w których odbijają się oświetlone okna komonrumu.

– Była pani kiedyś w Kirunie?

– Jako dziecko. Miałam tam dziadka.

– Wiem. Ja też tam byłem.

– *Really?* A kiedy?

Mówi to ze szczerym zainteresowaniem.

– To już chyba z dziesięć lat. Może pani też w tym czasie akurat tam była? Dziesięć lat temu musiała pani być małą dziewczynką.

– Może – odpowiada Irena. Wyblakłe oczy pilnie mnie obserwują, nie są niczego pewne. Ciągnę dalej.

– A słońce tam pani służyło? Słońce północy.

– Tam tak. Podobało się panu w Kirunie?

– Bardzo. Gdybym mógł wybierać, mieszkałbym w Kirunie. Albo w San Francisco.

– To dlaczego jest pan w Toronto?

– Jestem tam, gdzie mam robotę.

Coś takiego Irenie jeszcze chyba nigdy nie przyszło do głowy.

– *I see* – mówi. A po chwili dodaje: – Mogę pana podrzucić?

– Tam mam samochód.

Przez chwilę panuje między nami cisza. Wyblakłe oczy wciąż badawczo mnie obserwują. Potem Irena, wydaje mi się z lekką ironią, mówi:

– *That's too bad.*

Nie da się tego przetłumaczyć, ale jest to międzynarodowo zrozumiałe. Wszystko wydaje się oczywiste. Irena elegancko wsuwa się do swego parterowego samochodziku o Bóg wie ilu setkach koni mechanicznych, selskinowy płaszcz rozchyła się i tonące w lśniącym smogu niebo rozświetlają nylonowe kolana i dziewczęce uda. Irena nie ma jasnoniebieskich reform, przelatuje mi przez głowę absurdalna myśl, autko ryczy i jak tygrys wskakuje na autostradę.

– Szczęśliwej podróży!

– *See you in a week, sir!*

Rączka skandynawskiej królowny w automobilowej rękawiczce lekkomyślnie kiwa mi z autka.

Chyba jednak coś z nią zakręcę.
Życie jest piękne. I straszne.

* * *

Siemanko, Daniel!

Więc jestem w Pradze w Szkole Graficznej, natirliś dzięki protekcji. Jak pewnie podejrzewasz, i słusznie, wepchnął mnie tu stary Balasz, co mnie zawsze pokazywał jako cudowne dziecko Vratia-maluj, a ja kredą bazgrałem po całej tablicy scenki z życia kosteleckiego. Balasz był tym zawsze tak zachwycony, że nigdy nie zauważył, że w tę breughlowską płótninę ciąż zawsze gdzieś wkomponowałem jakiś akt kobity, a miałem wtedy dopiero dwanaście lat, więc co dopiero teraz, jak będę miał osiemnaście. Wepchnął mnie tu częściowo dlatego, żeby mi pomóc, a częściowo po to, żeby Rajchowi zabrać jedną siłę roboczą, bo Balasz czyta takie dziwne książki, wystrzępione, i spotyka się z dziwnymi ludźmi, wcale nie z branży artystycznej.

Nie wiem, czy ci opowiadałem, jak właściwie do tego doszło. W trzech fazach to było, czyli, jak by powiedział Balasz, dialektyczna triada (ale ty głównie o tym wiesz, bo jesteś przygłupim kosteleckim saksofonistą). Więc najpierw przyszedł pan Daszek po ług, a ten (tego?) przechowywaliśmy całkiem na górze, na stelażach (stelarzach?), chyba jakieś trzy metry nad ziemią. Więc wziąłem drabinkę, taką z tą platformą na górze, wlażłem na nią i sięgnąłem po ten ług, ale choć stałem na palcach, to sięgałem do niego tylko czubkami palców, tyle że ręcznych. Więc zacząłem przesuwać go palcami w stronę brzegu, że go chwycę, jak będzie się przeważał. Tylko że jak się przeważał, to przeważała się też drabinka, czyli jak z tego wynika, również ja. A nie mówiłem ci, że pan Helebrant miał na tych stelarzach (-żach?) różnokolorowe lemoniady na leżać, że wystawały im na zewnątrz tylko szyjki. Więc jak ten przeważony ług leciał, zgodnie z zasadą swobodnego spadania, czyli coraz szybciej w stronę ziemi, to

poutraćał szyjki chyba ze dwudziestu butelek z tymi kolorowymi lemoniadami. Ja tymczasem, jako ciało cięższe od ługu, leżałem już na ziemi, więc te lemoniady lały się na mnie, jakby sikało dwudziestu moczymordów, a każdy miał w sobie ten jakiś lek, po którym lejesz w barwach tęczy.

Teraz to była teza, żebyś cię trochę przyuczył. Musiałem tylko pokryć straty z mojej pensji, a poza tym to pan Helebrant nawet za bardzo się nie gniewał.

Potem Janka Helebrantova robiła sobie ze mnie zbytki (jak mawia mój ojciec), że jestem lalusz i nie umiem palić papierosów. Więc ukradłem brachowi (-chu?) fajkę i po kryjomu uczyłem się palić w magazynie, siedząc na beczce. Nagle do środka wszedł pan Helebrant, strasznie coś wrzasnął, wyrwał mi fajkę i zgasił ją dwoma palcami, przy czym się oparzył.

Okazało się, że w tej beczce była benzyna. Tym razem pan Helebrant mi pogroził, że jeśli nadal będzie u mnie występował brak odpowiedzialności i zręczności, to wyrzuci mnie z roboty i odda do dyspozycji Urzędu Pracy, który pewnie wyśle mnie do Rzeszy.

To była antyteza.

Niezręczność i nieodpowiedzialność niestety u mnie znów wystąpiły, ponieważ przyłapał mnie wcześniej, niż zdążyłem zrobić to, co chciałem zrobić (niezręczność), i to w dodatku nie z jedną ze sprzedajnych kosteleckich kobit, ale z jego córką Janką (nieodpowiedzialność). Chociaż w sumie prawie nic się jeszcze nie stało, to wylał mnie z roboty w drogerii, co było syntezą. Na szczęście na niedzielę przyjechał z Pragi pan profesor Balasz, niczym kubistyczny anioł (nosi teraz brodę obciętą od dołu przy linijce, co mi przypomina grzywkę na czole, którą matka obcinała, wkładając mi na głowę rondel), i powiedział, że mnie wepchnie do szkoły graficznej, gdzie ma duże koneksje. Ma i rzeczywiście mnie tu wepchnął, więc mam nadzieję, że już do końca wojny mam z głowy. Ty do Rajchu chyba też nie pojedziesz, skoro działasz w przemy-

śle zbrojeniowym Rzeszy w Kostelcu, więc po wojnie spotykamy się w Pradze. O szóstej wieczorem u Kalicha.

Twój

Vratia

PS Ucałuj ode mnie Janinkę Helebrantową, jak ci dostarczy ten zapieczętowany list. Już zrobiłem to, co chciałem zrobić. Jak tu była z wycieczką na „Sprzedanej narzeczonej”.

* * *

Znałem nieznanego bohatera. Dowiedziałem się, kto to jest, ale *post factum* i przypadkiem. To była duża sprawa. Pieprznięto akurat, kiedy wracałem z Ireną i z aparatem z lasu, gdzie ją fotografowałem w różnych pozach, o których ona sądziła, że są uwodzicielskie, i sądziła słusznie. Przynajmniej jeśli o mnie chodziło. Mam te zdjęcia z sobą do dzisiaj, tu, w Toronto. Jest na nich całkiem ładna panienka z małego miasta w sukience w kwiatki i z nogami w kształcie litery „o”. To mi nie przeszkadzało. Później tłumaczyłem to sobie za Lordem Verulamem stworzonym przez Edgara Allana Poe’go: *There is no exquisite beauty without some strangeness in the proportions*. Poe miał tu jednak na myśli oczy Ligei i nie wiem, czy myślałby podobnie o krzywych nogach. Ale dla mnie Verulam miał rację także później – w moich licznych książkach, w których Irena była wszechobecna (choć nie wszędzie obecna), pięknie wyrównałem te jej hokejowe nóżki. Oczywiście podczas całego spaceru w głębokim lesie, z licznymi postojami na fotografowanie, namawiałem ją, żeby dała sobie zrobić zdjęcia bez ubrania, a ona oczywiście się nie zgodziła. Wszystko, co w tej sprawie osiągnąłem – ale to dopiero później, na Jerychu – to to, że pozwoliła mi się sfotografować w kostiumie kąpielowym i nawet nie był on dwuczęściowy. Za to między udami, dokładnie pod cipką, miała piękną dziurkę, a kiedy ustawiałem na niej ostrość

mojego voigtländera, dokładnie w tej dziurce dostrzegłem twarz Zdeńka, który siedział z tyłu na ręczniku Ireny. W ten sposób otrzymałem pierwszą lekcję artystycznego symbolizmu.

Wracaliśmy wzdłuż rzeki, a ja miałem w voigtländerze całkiem nowy film, bo łudziłem się nadzieją, że może jej taty nie będzie w domu i wtedy jednak ewentualnie da się namówić. Szliśmy nad rzeką w zielonym cieniu lasu, przeciwnym brzegiem niż browar, kiedy nagle walnęło. Łup! Albo raczej: Buuum! Podskoczyliśmy ze strachu, a z magazynu Velcla, kawałeczek za nami, wystrzelił wielki płomień, a zaraz za nim dym. – Oj! – krzyknęła Irena, a we mnie pornograf natychmiast ustąpił miejsca fotoreporterowi wojennemu. Kilkoma skokami (jak to się pisze, ale rzeczywiście skakałem) dotarłem jak najbliżej pożaru i zacząłem uwieczniać go na kliszy. Dym walił coraz ciemniejszy, obfitszy i groźniejszy, nad magazynem wznosił się jego potężny, wysoki słup, a ja fotografowałem jak opętany. Nagle coś wokół zaczęło trzaskać, pękać, tak jak kiedy się praży kukurydzę. Z czarnego dymu coś wyleciało, coś ciężkiego i płonącego, i jak nic leciało to wprost na mnie. Uskoczyłem, a niedaleko mnie spadła płonąca baryłka i po chwili eksplodowała. Znów uskoczyłem, a kiedy opadałem na ziemię, nogi mi się obsunęły, bo było to na brzegu stromo opadającym w stronę rzeki. W jasnych spodniach i spranej kamizelce zjechałem prosto do wody. Zadziałał jednak refleks fotoreportera: choć cały pogrążyłem się w zimnej wodzie, rękę z aparatem potrafiłem utrzymać ponad powierzchnią. Absurdalnie przyszło mi wtedy do głowy (później można by to było wykorzystać w materiałach kadrowych), że jestem jak syn King Konga, ratujący w dłoni Fay Wray na tonącej wyspie. Na szczęście rzeka była płytka, więc zaraz wypęzłem na brzeg i pokryty błotem dokończyłem reporterskiego dzieła.

Potem się rozejrzałem. Na brzegu pan radca ciągnął swoją córkę za rękę i krzyczał do mnie: – Panie Smirzicki! Proszę natychmiast do domu! Natychmiast!!! – Nie pojąłem w pierwszym momencie, czemu się tak denerwuje, ale zaraz dostrzegłem dwie szare dekawki z niemieckimi żołnierzami, jak w zawrotnym pędzie mkną ulicą od strony dworca do magazynów Velcla, które tymczasem zamieniły się w gigantyczny fajerwerk. Zrozumiałem obawy pana radcy i czując się jak amerykański komandos na Pacyfiku, wskoczyłem z powrotem do rzeki, przedostałem się na drugi brzeg i pod osłoną lasu, koło browaru, szczęśliwie dobiegłem do miasta i do domu. Po drodze zrobiłem jeszcze kilka ostatnich zdjęć.

W domu na szczęście nikogo nie było. Przebrałem się i zamknąłem w łazience, gdzie ojciec miał ciemnię. W godzinę zdjęcia były gotowe. Te z pożarem. O dziwo, o drugim filmie, tym z Ireną, który miałem w bakelitowym puzderku w kieszeni, całkiem zapomniałem. Pomyślałem o nim dopiero w chwili, kiedy oglądałem dzieło utrwalające obraz katastrofy, jakiej do tej pory w Kostelcu nie widziano, ale wywoływacz wlałem już z powrotem do butelki, więc Irenę odłożyłem na następny raz. Nie mogłem się bowiem doczekać, kiedy pokażę te zdjęcia Przemie.

Przema był szefem podziemnej organizacji, z którą – jak by się to dziś powiedziało – luźno współpracowałem. Do tej pory nie dokonała ona jakichś bardzo bohaterskich wyczynów, poza powtarzaniem od czasu do czasu w lesie nocnym przecinaniem kabli telefonicznych, o których myśleliśmy, że łączą kosteleckie dowództwo wojskowe z Berlinem. Był to jednak błąd. Okazało się później, że odcinaliśmy letnią restaurację U Mistrza Aloisa Jiráska na Czernej Horze od kosteleckiej poczty.

Pobiegłem do Skoczdopolów. W mieście już stały podniecone grupki ludzi i dyskutowały. W rekordowym czasie dotarłem do magazynu tytoniowego, wbiegłem po schodach na pierwsze piętro i zadzwoniłem. Nic. Ani po drugim i trzecim dzwonku. Przeszedłem więc korytarzem za róg, gdzie Przema miał małą pakamerę z osobnym wejściem, i zastukałem do drzwi.

– Kto tam? – usłyszałem głos Przemy.

– Ja, Danny.

– Wchodź, szybko!

Wszedłem do środka i przestraszyłem się. Przema był w koszuli, a lewą rękę od łokcia do ramienia miał jakby usmażoną. Zobaczyłem ognistoczerwone, spękane mięso z tkwiącymi w środku strzępami spalonej koszuli.

– Ludzie! – wyjąkałem. – Ty tam też byłeś?

– Ja to podpaliłem, człowieku – Przema zrobił dziwny grymas. – Cholera, co za świństwo...

Zobaczyłem, że jest spocony. Z czoła spływały mu cate strużki. Był też blady.

– Psiakrew – mruknąłem. – Masz coś na to?

– Posmarowałem niveą, ale pali jak sto diabłów. I więcej nie mam.

– Ja ci przyniosę. Myślę, że matka jakiś krem ma.

– Myślę, że nivea na to jest gównem warta. – Zamilkł, a po twarzy spływał mu niemal wodospad. – Nie macie w domu jakiegoś oleju?

– Oleju?

– Roślinnego. Albo do opalania.

– Myślę, że nie.

Zamilkliśmy obaj. Przema usiadł na łóżku, a rękę położył obok na stoleczku.

– Cholerna robota. Prysnęło na mnie, zanim zdołałem odskoczyć. Tylko kropla. Najwyżej łyżeczka. Ale zobacz, jaki zrobiło syf.

Patrzyłem na rękę. Nie wyglądała dobrze.

– A co resztą?

– Zrobiłem to sam. Wypatrzyłem, że prawie tego nie pilnują. Tylko taki dziadek, Austriak. Ten nawet na stojąco spał... O, w dupę! Szlag by to trafił!!!

Przema się krzywił. Brało go ostro.

– Słuchaj – odezwałem się – pójdę po doktora Labskiego. On jest godny zaufania. Mnie już dwa razy wypisał zwolnienie, jak spóźniłem się na szychtë. Benda też dostał, pamiętasz? Jak chciał udawać żóltaczkę, a on mu napisał, że ma kamienie żóltciowe...

Przema chyba jęknął. Wcześniej nigdy nie słyszałem, żeby ktoś jęczał, ale pomyślałem, że to musi być jęk. Po prostu wydawał dziwne odgłosy.

– Ja wiem, że jest dobry. Tylko że tu chodzi o głowę. Żeby... żeby nie narobił w portki...

Patrzyliśmy na spalone przedramię.

– Ale coś z tym trzeba zrobić.

– No tak...

Przema znów zrobił grymas i rzucił przekleństwo. Zdecydowałem się:

– Idę. A ty na razie to sobie obejrzyj.

Zostawiłem mu zdjęcia, żeby przynajmniej ucieszyła go dokumentacja tego, co zrobił. Znaczy, co zrobił Niemcom.

* * *

Wiedziałem, że u doktora Labskiego jak zawsze będzie tłok. Wtedy jeszcze nie było zapisów na dzień i godzinę, a lekarze nie mieli recepcjonistek. Po prostu człowiek przychodził do gabinetu, liczył, ile jest osób przed nim, i pilnował, żeby się nie wpychali ci, którzy przyszli później. Dość często próbowali to robić. A ponieważ w czasie wojny każdy starał się bumelować, więc wiedziałem, że o tej porze w poczekalni będzie przynajmniej piętnaście osób.

Dopiero na ulicy w pełni do mnie dotarło znaczenie tego, co zrobił Przema, i pod wrażeniem jego wielkości zdecydowałem się na trik, który też wymagał pewnej dozy bohaterstwa. Oczywiście niewielkiej, malutkiej. Malutkiego przelania krwi, ale jednak krwi. Krwi przelanej za ojczyznę, pomyślałem, i od razu zrobiło mi się głupio, choć w sensie dosłownym była to właściwie prawda. Skoro jednak Przema potrafił wysadzić w powietrze magazyn z benzyną, to ja nie mogę być takim tchórzem, żeby się bać drobnego bólu. Wyciągnąłem scyzoryk i czystą chusteczkę, a potem zamknąłem oczy. Zobaczyłem gigantyczny fajerwerk, płonące beczki pękające jak prażona kukurydza, które złotym deszczem opadały na tle ciemnozielonego lasu i syczały w rzece – jednym pociągnięciem rozciąłem sobie opuszek kciuka do samej kości, aż syknąłem z bólu. Wytrysnął wspaniały strumień krwi, który złapałem w chusteczkę, a następnie przycisnąłem ją do nosa i rozmasałem sobie świeżą krew po całej twarzy. Tak ucharakteryzowany wpadłem do poczekalni pana doktora Labskiego.

Jak przypuszczałem, był tam straszny tłok, ale zakrwawiona twarz zrobiła na chorych wrażenie. Mruknałem coś przez chusteczkę o wypadku na motocyklu, jakiś dziadek wstał i z miną człowieka ratującego życie załomotał do drzwi gabinetu. – Co jest? – dość nieuprzejmie odezwał się ze środka pan doktor Labsky. – Panie doktorze, jest tu wypadek. Młody cały zmasakrowany! – Dziadek trochę przesadził z moimi ranami, a ze środka, wydawało mi się, że ze sporą irytacją, rozległo się: – Moment! – Po chwili drzwi się uchyliły i wyrzwał z nich doktor Labsky. Spojrzałem na niego – był to niemal dwumetrowy przystojniak, jeszcze dosyć młody, tak ze trzydzieści pięć lat – i wybełkotałem przez chusteczkę: – Kręci mi się w głowie, chyba

przez ten krwotok. – To wejść dalej – odparł pan doktor niechętnie i chyba od razu zgadł, jak bardzo jestem bliski śmierci. – Żebyś mi się nie wykrwawił na dywan! – Chusteczka go nie oszukała i pomyślałem, że przyszedłem w niewłaściwym momencie ze swoją bohaterką misją.

Tak istotnie było. Przy stole ginekologicznym stała Marie Dreslerova i dopinała bluzę. Zaczzerwieniła się jak piwonia. Staralem się ją przeprosić. – *Sorry!* – mruknąłem pod nosem. Ona dumnie zadarła nosa, cynicznie też chyba odgadła miarę niebezpieczeństwa, w jakim się znajdowałem, i zasyczała z fałszywym współczuciem jak żmija: – Coś ty znowu wyprawiał, Daniczku? – po czym odwróciła się do doktora.

– Więc te proszki trzy razy dziennie, panienko – odezwał się słodko przystojniak. – Obficie popijać wodą i za tydzień proszę mi się tu pokazać.

Mimo sytuacji, w jakiej się znalazłem, poczułem wściekłą zazdrość. Proszę mi się tu pokazać! Dobre sobie! Na stole ginekologicznym! Maria dumnie wyszła z gabinetu na swych najpiękniejszych nogach w Kostelcu, a ja odwróciłem się do pana doktora.

* * *

Przyszedł do Skoczdopełów mniej więcej kwadrans po mnie i zadał Przemie dokładnie takie samo pytanie, jak ja na początku. Kiedy przekonał się, że była to solowa robota, wyjął z kuferka swój towar i zabrał się do sprzątnięcia tego pobojuwiska. Przema zaprezentował całą gamę różnych grymasów i z pięć razy przeklął.

Potem doktor wyjął znany nam obu formularz, na którym w fabryce zgłaszano niezdolność do pracy, i zamyślił się.

– Mogę ci dać tylko trzy dni. Potem musiałbyś iść na kontrolę i za dużo ludzi by o tym wiedziało.

– Rozumiem – odparł Przema tonem spiskowca. – Trzy dni wystarczą.

– Nie gadaj – powiedział pan doktor Labsky. – Do-
staniesz gorączki, ale nic na to nie poradzę. Musisz wy-
trzymać.

– Pan się nie boi, panie doktorze. Wytrzymam!

Doktor Labsky długo na niego popatrzył.

– Ja się nie boję – stwierdził. – Lekarzy nie biorą
na zakładników, bo ich potrzebują. Ale czy zastanowi-
łeś się, chłopcze, co robisz?

Twarz Przemy lekko się zachmurzyła.

– Oczywiście – odpowiedział, ale nie zabrzmiało
to przekonująco.

– Jak myślisz, ilu ich wezmą, co?

Przema milczał.

– Piętnastu? Dwudziestu? Pięćdziesięciu?

Ostatecznie zabrali ich czterdziestu ośmiu. W tym
mojego ojca, ale on przeżył.

Przema wciąż nic nie mówił.

– A ilu ich nie wróci?

Dziesięciu. Ale tego oczywiście jeszcze wtedy nie
wiedzieliśmy.

W ten sposób zostałem wtajemniczony w relatywizm
ludzkich czynów.

– Przecież jest wojna – wymamrotał w końcu Prze-
ma. – A gdyby wszyscy srali w portki, to... Ktoś w koń-
cu musi coś robić...

Doktor Labsky znów obrzucił go tym swoim długim
spojrzeniem.

– Ty pewnie myślisz, że jesteś bohaterem?

– Nie – odparł szybko Przema. – Ale jest wojna. Mu-
simy Niemcom...

– Gdybyś był bohaterem, tobyś poszedł i sam się
przyznał. Oszczędziłbyś życie nie wiem ilu niewinnych
ludzi, którzy za to zapłacą. – Doktor Labsky wstał. – Ale

raczej tego nie rób. Wydusiliby z ciebie, kto cię opatrywał, boby poznali, że to fachowa robota. Zmieniaj opatrunek co trzy godziny. Przyjdę jutro na ciebie popatrzeć. Żegnam.

Zatrzasnął swój kuferek, pochylił się w drzwiach, żeby sobie nie nabić guza, i wyszedł.

Siedzieliśmy w milczeniu i było nam głupio.

– Do diabła – odezwał się po chwili Przema. – To mi nie przyszło do głowy. Myślisz, że ma rację?

– Ma. Rzeczywiście nikt by ci nie uwierzył, że sam się opatrzyłeś.

– Ale nie – burknął Przema z rozdrażnieniem. – Że zrobiłem głupotę. Że to się nie opłaca. Rzeczywiście nie pomyślałem, że może za to zapłacić nie wiem ilu ludzi...

– Przecież sam powiedziałaś, jest wojna.

– Tylko że oni wezmą niewinnych ludzi. Niektórych mogą zastrzelić.

– Niewinnych, ale tchórzy. Z tchórzami nie wygra się wojny.

Wygłaszając to zdanie, czułem się jak bohater. Nie przypuszczałem, jak szybko będę żałował, że nie zostałem wśród tchórzy, ale jednak niewinnych.

Przema intensywnie myślał. Już się nie pocił. Chłodzące oleje zbawiennie zadziałały. Ale blade, zapadnięte policzki mongolskiej twarzy Przemy zaczerwieniły się, pewnie z powodu zaczynającej się gorączki.

– Mógłbym zniknąć – powiedział – i napisać do gestapo list, w którym bym się przyznał.

– I tak by ich zabrali, z zemsty. Gdyby cię nie złapali. Pamiętasz, jak w czasie heydrichiady odgrażali się, że zastrzelą co trzeciego, dopóki nie znajdzie się winny?

– No fakt – odparł Przema, a po chwili dodał z lekkim wahaniem: – Mógłbym się zastrzelić, a potem napisać ten list. Znaczy odwrotnie.

– Nie masz czym.

– Mam.

Nigdy mi tego nie powiedział. Ogarnęła mnie zazdrość. Ojciec miał przed wojną pistolet, ale jak przyszli Niemcy, to gdzieś go schował i w czasie powstania nie mógł go znaleźć. Całe powstanie spędził na poszukiwaniach. Więc ja byłem nieuzbrojony.

– Nie wygłupiaj się – zaprotestowałem. – Oni i tak to wykorzystają, żeby wyrównać rachunki z tymi, z którymi chcą. Wszystko jedno, czy się zgłosisz, czy nie. A jak się zgłosisz, to będzie mniej o jednego takiego, który przynajmniej nie jest tchórzem.

W ten sposób sofistycznie wyjaśniłem Przemie odwieczny dylemat ludzkiego bohaterstwa. Albo przynajmniej pomogłem przeżyć jego instynktowi, jaki mają także bohaterowie. Do domu wracałem już o zmroku i mimo oczekiwanych represji i hekatombi niewinnych, grzało mnie poczucie współuczestnictwa w skutecznym spisku, który miał wszelkie cechy przygody, a może nawet heroizmu, o ile nie była to młodzieńcza nierozważność.

Zadzwoniłem i otworzyła mi zapłakana matka.

Represje właśnie się zaczęły.

I to akurat od naszego domu.

* * *

Przedemną rzeka krwi, na wprost mnie rzeka złota. Przez te długie, krótkie dziesięciolecia dzielące mnie od chwili, gdy pomiędzy udami pod świątynką Ireny dostrzegłem twarz mego ówczesnego rywala Zdeńka Pivońki, na której ćwiczyłem ostrość aparatu fotograficznego, przyzwyczaiłem się już do tego, że niemal wszystko może oznaczać coś innego, ale że w końcu i tak najlepsze jest to pierwotne, właściwe znaczenie, konkretna rzeczywistość. Najlepsze i najpiękniejsze.

Najprawdziwsze. Jadę czerwonym dusterem autostradą królowej Elżbiety II, jest ciemno, *rush hour*, rzeka krwi to tylne światła karawany samochodów przede mną, rzeka złota to przytłumione reflektory wozów pędzących z Toronto do miasteczek wzdłuż brzegów jeziora: do Oakvill, Clarkson, Mississauga, Etobicoke, i dalej do Hamilton, do St. Catherine's, do Niagara on the Lake. Przestał padać śnieg, tysiące sztucznych światel na ziemi oświetla chmury lecące nisko nad równiną Ontario, a chmury lśnią niczym *stardust*. W tym pobły-skującym wieczorze wyciągają się w moją stronę nierównej długości czarne i białe palce drapaczy chmur dauntaunu, pionowe złote szachownice, mrugają do mnie czerwone sygnały na iglicy Canadian National Tower, które ostrzegają lądujące jumbo jety, aby nie nadsiały się na szpikulec. Piękna, zimowa, bezpieczna, kanadyjska, przedbożonarodzeniowa noc, nie do podrobienia w Europie, w tej części Europy, skąd pochodzę. Przede mną noc, w której nic mi się nie może stać, najwyżej powali mnie zawał – spóźniony efekt wielu nocy w ojczyźnie albo tego, co kiedyś nazywałem ojczyzną, lecz już nie nazywam. Po nocy przyjdzie dzień i najgorsze, co oprócz zawału może mi się przydarzyć, to to, że Irenie Svensson minie dobry humor, że złośliwie wykuje się coś na temat Poego, czego ja nie znam (miałaby z tym jednak wiele roboty i raczej powinna zaczekać, aż weźmiemy na warsztat Joyce'a), i skompromituje mnie przed Bellissimmem i Tedem Higginsem, o ile naturalnie oni to zrozumieją. Ale to mało prawdopodobne. Irena Svensson jest wprawdzie kuta na cztery nogi, nie tylko naukowo, ale ja, przeżywszy pięćdziesiąt lat, jestem większy cwaniak. Łatwo sobie z taką sytuacją poradzę. A to najgorsze, co może mnie spotkać.

Jest mi dobrze. Wciąż na nowo wydaje mi się, że życie jest piękne, że właściwie zawsze miałem szczęście,

bo bez żadnego uszczerbku tyle przeżyłem, a teraz jestem w kraju, w którym – jeśli będę jeździł ostrożnie – nie mogą mi nawet wlepić mandatu.

Rozmyślałem, marzę. Ze wspomnień wyłania się ojciec, kiedy wrócił, w niecały miesiąc po swoim aresztowaniu, a noga śmierdziała mu niczym ser gorgonzola. Tata był bohaterem wojennym. Tak nazywają wszystkich ciężko rannych, choćby nawet spotkało ich to w trakcie posiłku, a tata został ciężko ranny pod Zborowem. Ale zbyt często się tym nie chwalił, ponieważ otrzymał bohaterską ranę po złej stronie frontu, od kuli prawdopodobnie wystrzelonej przez czeskiego legionistę. Kilkakrotnie próbował podretuszować swą opowieść, twierdząc, że został ranny w czasie próby przejścia na stronę nieprzyjaciela, ale nikt w to nie wierzył, a już najmniej ja. Tata był na wskroś Czechem. Zawsze ulegle służył, myśląc przy tym zupełnie coś innego, niż powinien. Ale służył. Wcale nie usiłował zbiec na drugą stronę. Gdzie tam. Na rozkaz swego austriackiego porucznika ostrożnie wyskoczył z okopów, lecz ostrożność w czasie wojny nie na wiele się zdaje, więc ledwie wyskoczył, zaraz był z powrotem w okopach z roztrzaskaną nogą. Bitwa szalała przez kilka dni i nie było czasu ani środków, aby ewakuować na tyły wszystkich rannych, wobec tego tata leżał w podziemiach zbombardowanego zamku, cierpiąc z bólu i pragnienia. Felczer nie poświęcał rannym zbyt wiele uwagi. Przez cały dzień próbował przebić sobie drogę do ukrytej piwniczki z winami, nad zamkiem z rykiem przelatywały szrapnele, aż w końcu mu się udało i zniknął w ciemnościach, by po chwili pojawić się z naręczem omszałych butli. Ranni i umierający wydali okrzyk, a felczer, niczym święty Mikołaj, rozdawał butelki na lewo i prawo. Był to mądry felczer. Wiedział, że flaszką jodyny i pudełkiem aspiryny, które miał do dyspozycji, nie pomoże swym podopiecz-

nym tak jak alkoholem, który ukołi wszelkie cierpienia. – I masz ci los! – opowiadał o tym tato, a potem wymawiał to straszne słowo, którego meteorycznej niemoralności jego czysta dusza nie była w stanie pojąć: – Jebemtipizdutvojimatimateri!

Utrąciłem szyjkę, przechylałem butlę, a ze środka, Danny, leci czarna kasza jak powidła! Pić się tego nie da, jeść też nie. To wino było tam chyba ze trzysta lat i durchundurch się zepsuło!

Więc jęczał, wysycał z pragnienia i umierał przez całą noc, felczer wybiegał przed zamek i znów wracał, aż rano przyleciał, cały przejęty: przyszedł ksiądz kapelan z ostatnim namaszczeniem. Nie wiem, na ile ich to podniosło na duchu, w nocy zresztą kilku zmarło. Tatę chyba nie za bardzo, bo on nie był zbyt religijny. Interesowały go raczej ćwiczenia fizyczne, turystyka. Działał w organizacji Sokół. Babiarem też jakoś specjalnie nie był. U wejścia do piwnicy rozsunęła się płachta i wszedł księżulek prosto z seminarium, blady jak śmierć, ale ładny, jak ze świętego obrazka. Biedaczek pewnie jeszcze nigdy w życiu nie widział naraz tylu trupów. Gdy tak się rozglądał wkoło, tata jęknął: „Karel!” To był jego brat, a mój stryjek Karel, który chciał być inżynierem chemii i chodził z dziewczyną imieniem Josefina. Ale rodzice wydali ją za mąż za urzędnika podatkowego; w niecały rok później umarła na gorączkę połogową, a stryjek pozostał jej wierny aż za grób i wstąpił do seminarium.

Życie jest dziwne. Straszne. I piękne.

W tym zamku, pośród szrapneli, stryjek zrobił coś, co chyba nie bardzo przystoi kapelanowi polowemu. Udzielił wprawdzie ostatniego namaszczenia kilku rannym, którzy jeszcze nie umarli, a jednemu z nich pozwolił się wykrzyknąć na temat ciemnoty i zabobonów (to był wolnomyśliciel, który tak się zdenerwował, że zapadł

w śpiączkę i nie przetrzymał do wieczora), ale zaraz potem zdezerterował. Przekupił miejscowego chłopca, położył tatę na wóz drabiniasty i we dwóch odwieźli go za linię frontu. Tam postarał się o bumagę – zapewne kapelani polowi w armii austriackiej mieli pozycję politrucków – i wepchnął tatę oraz siebie do pociągu sanitarnego do Lwowa. We Lwowie wykupił cały przedział w ekspresie do Wiednia, a tam umieścił ojca w szpitalu dla oficerów. Potem pokornie wrócił na front.

Tata miał już nogę w takim stanie, że chcieli mu ją amputować. W końcu tego nie zrobili i tata zmarł pięćdziesiąt lat później podczas operacji kości goleniowej, w tym czasie już zupełnie zgniłej. Kiedy przyjechałem do szpitala i przywiozłem świąteczne ubranie do trumny dla taty, pan docent powiedział, że gdyby tacie amputowali nogę w czasie wojny, oszczędziliby mu wiele cierpień i mógłby teraz żyć jeszcze wiele lat. Podobno z wyjątkiem tej nogi był doskonałej kondycji fizycznej. Może. Nie wiem. Ale w Wiedniu tata rozpaczał. „Sokół bez nogi? Turysta bez nogi?” Stryjek, jeszcze nim odjechał, znów uruchomił swoje kontakty, dzięki czemu słynny i zapracowany profesor Lebensold zdecydował się na eksperyment i uratował nogę. Żyjemy w świecie absurdalnych związków, może przypadków, może nieodgadnionych kaprysów okrutnie żartującego Pana. Uratowali nogę, która gniła przez następne pięćdziesiąt lat, ale nadal była przyrośnięta do taty. Tata cierpiał. Nie mógł już ćwiczyć, ale przynajmniej z jeszcze większą energią ćwiczył innych. Wśród nich także Irenę, co sprawiło, że mimo wstrętu do ćwiczeń fizycznych też się wzięłem za gimnastykę. Zanim jednak mogłem coś zrobić, Niemcy zlikwidowali Sokoła.

Jest mi błogo. U wylotu Jarvis Street trzypasmowa karawana łagodnie rozdziela się na dwa strumienie: jeden płynie dalej Gardiner Expressway, drugi – a ja

w nim – nie mniej płynnie zjeżdża na zielonym świetle pochyłą pętlą na dół. Widzę nieskalanie błyszczącą reklamę Breggfast z rumianą twarzą piegowatego kanadyjskiego brzdąca, opychającego się sadzonymi jajami, i z błogim uczuciem decyduję się ukoronować dzień kolacją w Mourek Inn, gdzie dają najlepszą polędwicę na północ od granicy Stanów. Skręcam wobec tego w Richmond Street, z niej w Avenue Road i w końcu na College Street, gdzie stoję na czerwonym świetle. Przez ulicę przechodzi grupka chińskich studentek medycyny we włóczkowych czepkach, z twarzami jak u orientalnych laleczek. Błyska żółte światło, ale za Chinkami biegnie jeszcze czarna studentka i mruga do mnie wielkimi białkami. Czuję się jak w raju. Właściwie jestem w raju.

Cieszę się. Nic mnie nie niepokoi. Wydaje mi się, że w kraju nie przeżyłem takiego wieczoru. Wspominam tatę, który tak uwielbiał polędwicę. I biedaczkę Nadię, jak się nią opychała. Gdyby tacie amputowali tę nogę, Bóg wie, jak potoczyłyby się jego losy. Może bez nogi sędzia Neuthaler uznałby go za nieciekawą ofiarę zwykłego wypadku samochodowego i tata pojechałby wprost do Bergen-Belsen? Ale nasz absurdalny Pan Bóg robi czasem dobre kawały.

* * *

W kolorowej przedświątecznej nocy na Eglinton Avenue Mourek Inn błyszczy przyjemniej niż inne lokale. Wielkie niebieskie litery na beżowej szybie są podświetlone równomiernie od wewnątrz, więc wchodzącego człowieka zalewa beżowe i niebieskie światło. Ktoś właśnie śpieszy do wyjścia, usuwam się na bok i co widzę: okrągła słowiańska twarz Milenki Cabicarovej, niesprawiedliwie, lecz sympatycznie nazywanej Debilinką. I już trajkocze:

– Haj, Danny! Co jest, że cię tak dawno nie widziałam? To jesteś taki lejzy, że nawet nie zadzwonisz? Ja będę ryli engry, jak do mnie kiedyś nie dropniesz. Anforcznetly teraz jestem akurat brazy, a enylej, ty masz w środku jakiś dejt, rajt? No to baj, baj i nie chcę słyszeć żadnych ekskjuzów!

Przebiegła koło mnie w jakichś srebrnych potwornościach z gejowskich kramików na Yonge Street; ma to chyba z ćwierćmetrową podeszwę i jest całe usiane bzdurnymi, złotymi słowami w rodzaju LOVE, DEAR, HEART, DOVE; widzę jednak, że to nie jest takie głupie, bo w tym słowniku poezji romantycznej schował się małutki napis FUCK, a kawałek dalej jeszcze mniejsze OFF. Całość błyszczący i sięga Debilince aż do kolan. Potem wiadać ze ćwierć metra kuszących ud w nylonach, a wyżej najminimalniejsze supermini ze sztucznej skóry w kolorze różowego staniolu. Przez myśl przebiega mi wspomnienie bożonarodzeniowych ciast, ale co Debilinka ma od pasa w górę, tego nie zdołałem zauważyć, bo już koło mnie przefrunęła. Dostrzegłem tylko, że na szyi wisiała jej ogromna złota śruba. Nauczony dawnym prześwitem między udami Ireny rozumiałem, że śruba ma znaczenie symboliczne. Oglądam się za tym ciasteczkiem i widzę powiewający płaszcz, długi do samej ziemi, zszyty ze sztucznych łąt; na głowie tkwi ogromny, turkusowy kapelusz, spod którego zwisają do ramion godne zazdrości, lśniące, kasztanowe włosy. Tylko że Debilinka końce włosów, mniej więcej dwa centymetry, ufarbowała na fioletowo, więc sprawia wrażenie, jakby miała wokół szyi źle przymocowaną aureolę. W sumie, muszę przyznać, wygląda jak ścierka, i to mocno sfatygowana. Ale to nieprawda. W ciągu dnia, ubrana schludnie zgodnie z tradycją tego fachu, pracuje pilnie jako tellerka (utworzyła z tego piękny neologizm: talerzyca) w jednym z okienek Royal Bank of Canada na rogu Bloor i Yonge, a tylko

wieczorem bez poczucia umiaru odbija sobie wszystko, czego pozbawił ją komunizm. O tym, jak nieprecyzyjne jest jej przezwisko, świadczy fakt, że Debilinka przebywa w Kanadzie legalnie: latem 1968 roku, kiedy do Pragi ścigali hippisi i *marihuaneros* z całego świata, poderwała jakiegoś lebiegę ze Saskatchewan i w ten sposób wyfrunęła z klatki. Dojechała z nim tylko do Toronto, gdzie lebiedze skończyła się forsa, ale Debilince to wystarczyło; pozostała żoną dokładnie do chwili, w której zdobyła status osiadłej imigrantki, a potem uwolniła się także od lebiegi. Ponieważ w kraju zdobyła tylko wykształcenie podstawowe, zrzeczenie się obywatelstwa czechosłowackiego kosztowało ją zaledwie trzy stowy. Kiedy tylko to zrobiła, siup do Pragi, w kreacjach pochodzących częściowo z magazynu Armii Zbawienia i proletariacko-włoskiego Jarmarku Uczciwego Eddy'ego, a częściowo z murzyńskich sklepików w Buffalo; więc siup na plac Wacława, niech ją wszystkie dziewczyny (i chłopaki) zobaczą! Istna rozkosz wolności wystawionej na podziw w państwie policyjnym, a jej szczytem jest, jak twierdzi, gdy jakiś pechowy milicjant zwróci się do niej z typową odzywką: „Obywatelko, to nie maskarada!” W tym momencie przepadł. Płynna kanadyjszczyzna Debilinki zapiera mu dech w piersiach.

Czasem mam wrażenie, że Debilinka wyemigrowała głównie dla tych powrotów. Ale zawsze potem wraca, odświeżona, i znów rozpoczyna wielkie polowanie, aby wreszcie złapać na łąso jakiegoś bogacza. Z całego serca jej tego życzę, bo z naszej emigracyjnej wspólnoty Debilinka jest moją najmilszą przyjaciółką, choć jej agresywnie obnoszony seks na mnie nie działa. Ale ani jej, ani mnie to nie przeszkadza. Zresztą podejrzewam, że Debilinka jest właściwie staroczeską małżonką, a ja, ponieważ nie jestem bogaczem, nie mogę być dla niej nikim więcej niż kumplem.

Ostatnio wygląda na to, że łąso zacisnęło się wokółszy pana o nazwisku Zawynatch, skądinąd Briana, który dorobił się w branży konfekcyjnej, a obecnie żyje z posiadanych akcji i ruchomości. Mam niemal ochotę się modlić, aby rzadko kiedy dobrotliwy Bóg pozwolił panu Zawynatchowi uwięzić na dobre w pętli łąso.

* * *

Tata opowiadał o tym, jak wrócił z gestapowskiego aresztu z nogą jak gorgonzola. Noga wymagała codziennie dwugodzinnych zabiegów: czyszczenie, płukanie, dezynfekowanie, zasypywanie, obwiązywanie. W więzieniu oczywiście nie było na to szans. Kiedy więc stanął przed obliczem sędziego, ten pociągnął nosem i spytał groźnie:

– Co to za smród? – I odwrócił się do strażnika z surową naganą: – Nie pilnujecie, żeby więźniowie myli się zgodnie z przepisami?

Więzienie w Hradcu Králové nie było obozem koncentracyjnym. Panowała tam jednak surowa dyscyplina, obejmująca również sprawy higieny.

– Pilnuję, *Herr Gerichtsrat!* – stuknęła obcasami strażnik i ofuknęła ojca: – Dlaczego śmierdziej?!

Prowokacyjna grubiańskość tego pytania obudziła w ojcu dawne c.k. reakcje. Wypiął pierś i energicznie zameldował:

– *Ich melde gehorsam, że nie śmierdziej!*

– Nie gadajcie, że nie śmierdziej, skoro śmierdziej! Czuję to! Pierdziej możecie sobie w celi, ale nie przed sądem!

– Melduję posłusznie, że nie pierdziej! – recytował tata, wciąż wyprężony na baczność, wczuwający się w tradycyjną czeską rolę Szwejka.

– Więc jak to możliwe, że śmierdziej?

– Śmierdzi mi noga.

– Skoro wiecie, że wam śmierdzą nogi, powinniście je myć! W każdej celi jest chyba wiadro, mydło i ręcznik? Jest czy nie ma?

– Melduję posłusznie, że jest! – ciągnął tato zgodnie z rolą, choć jak sam twierdził, o mało nie narobił ze strachu. – Melduję posłusznie, że nie śmierdzą mi nogi, ale noga!

Anomalia higieniczna zainteresowała gerichtsрата. Wychylił się przez ławę:

– Czy mam rozumieć, że śmierdzi wam tylko jedna noga, a druga nie?

– Melduję posłusznie, że tak.

– Która? – nie wiadomo dlaczego spytał gerichtsрат.

– Melduję posłusznie, że lewa. *Ein Beinschuss aus dem Ersten Weltkrieg.*

Gerichtsрат leciutko drgnął:

– Wy walczyliście w czasie pierwszej wojny?

– *Jawohl!* – odparł tato.

– W której armii?

– *In der k. und. k. österreichischen Armee in Galizien.*

– Który pułk?

W ściśle wojskowej terminologii i z wzorową precyzją wymienił tato pułk, kompanię, pluton, miejsce bitwy i dzień zranienia. Gerichtsрат siedział jak skamieniały. Po chwili zaszeleścił papierami.

– *Wie war der Name?*

– Smiritzky! – zameldował po raz ostatni tato.

Gerichtsрат drgnął i popatrzył na ojca. Potem oświadczył:

– Rozprawa zostaje odroczonea.

I w ten sposób tatę puścili. *Frontkameradschaft* okazała się silniejsza niż podziały narodowe i rasowe. Gerichtsрат był Austriakiem. Zaprosił tatę do swojej kancelarii i żeby dopełnić przymierza z dzielnym wiarusem, upili się wspólnie jałowcówką, a rano żegnali się

ze łzami w oczach, śpiewając starą pieśń żołnierską z czasów marszałka polowego Windischgrätza. Okazało się bowiem, że młody porucznik, za którym wtedy ojciec posłusznie, choć z sercem w gardle, wyskoczył, by po chwili, już jako bohater, spaść znów do okopów, był tym właśnie gerichtsratem o nazwisku Neut-haler. Dlatego tato wrócił do domu dopiero w dwa dni po wypuszczeniu z więzienia, noga śmierdziała mu jak gorgonzola, a z ust zalatywało alkoholem.

* * *

Debilinka niczym kometa zniknęła w podstawionej taksówce, a ja wreszcie wchodzę do przytulnego ciepła Mourek Innu. W środku panuje tradycyjny amerykański półmrok, a z głośników po cichu Pilarová i Matuška śpiewają piosenkę *Nie chodź dalej*, o której pan Mourek nie wie, że jest rosyjska, bo wyciąłby ją z taśmy. O tej porze jeszcze tu nie ma tłoku. Przy kilku stolikach siedzą Kanadyjczycy: jedzą polędwicę z jednym knedlikiem, choć pan Mourek postawił przed nimi kopiasty półmisek. Przy pozostałych stołach siedzą nad polędwicą Czesi: półmiski są puste, a z sosu na talerzach wystają góry knedlików. Przysiadam się do towarzystwa zajmującego stół w rogu: pan Pohorsky, Milan, Frank, który w naszej wspólnocie reprezentuje skrajną prawicę i który do niedawna uchodził za największego pocziwca. Czwartego nie znam. Przedstawia mi się: magister Maslo. Ma rozbiegany wzrok, jakby cierpiął na chroniczną gorączkę. Swoim przyjściem przerwałem wypowiedź pana Pohorskiego, ale ledwie zająłem miejsce, mówca ciągnie dalej. Słucham z zainteresowaniem; od niego zawsze można się dowiedzieć czegoś ciekawego.

– Dziesięć kafli! – mówi pan Pohorsky. – Chłopaki, tylko dziesięć kafli. Przecież tyle na pewno da się zdo-

być. Ja to mam wyliczone. Samych nowych jest w Kanadzie prawie piętnaście tysięcy. Jeśli każdy da tylko trzy kłortery, to mamy w sumie jedenaście tysięcy dwieście pięćdziesiąt. Jeśli każdy da pięćdziesiątaka, mamy siedem tysięcy pięćset. Mało, to prawda, ale powojennych i przedwojennych jest tu ponad trzydzieści tysięcy! – Magister Masło zapisuje sobie coś na serwetce. Może chce kontrolować wyliczenia, ale to niepotrzebne. Wiem, że pan Pohorsky ma zawsze wszystko dobrze wyliczone. – Jeśli każdy z przedwojennych i powojennych da tylko kłortera, mamy następne siedem i pół tysiąca, czyli w sumie jest piętnaście kafli! A ja potrzebuję tylko dziesięć!

– Na co? – pytam.

– Na radio – odpowiada Frank.

– Etniczne?

– Jakie tam etniczne! Amerykańskie!

– Jakieś komerszls?

– Żadne komerszls! – oburzył się pan Pohorsky. –

Wartościowy program! Wie pan, ile kosztuje godzina czasu na ferst klas stejszn, którą przejmują cały amerykański netłork?

– Nie mam pojęcia.

– Tylko dwa tysiące dolców! To za dziesięć kafli jest pięć godzin, a jak je podzielić na pięciominutowki, mam sześćdziesiąt programów! Ja wam mówię, chłopaki: dajcie mi pięć minut dziennie przez dwa miesiące na amerykańskim netłorku, a poruszę Amerykę! – wzrok pana Pohorskiego błyszczy ogniem Demostenesa. – Dwa miesiące i amerykańska opinia publiczna wymusi na tych kretych w Białym Domu zerwanie stosunków dyplomatycznych z ceeseres*!

* CSRS – nazwa Czechosłowacji do 1990 roku.

– To pan sam będzie przemawiał, panie Pohorsky? – pytam. Jego angielszczyzna jest, mówiąc eufemistycznie, nie najlepsza. Ale bierze to pod uwagę.

– Ja będę tylko pisał. Do odczytania tego już ktoś się znajdzie. Na przykład Voskovec.

– Jemu nie pozwolą pracować za darmo. Jest w aktorskich związkach zawodowych.

– To mu się zapłaci – decyduje pan Pohorsky. – Słuchajcie, chłopaki. Moja kalkulacja opiera się na tym, że nowi dadzą trzy kłortery. Ale de facto większość z nich da całego dolca. Jeśli tylko połowa z tych piętnastu tysięcy da zamiast trzech kłorterów dolca...

Magister Maslo szybko liczy na serwetce, a pan Pohorsky daje się unosić matematycznym wizjom, w których wszystko się zgadza. Do stołu zbliża się okrągły pan Mourek, oświadcza z wyrzutem, że coś dawno mnie nie widział (byłem tu przedwczoraj), i pyta, czy przed kolacyjką życzę sobie coś łyknąć. Ma na myśli drinka. Wybieram coś, co się zwie Rusty Nail; nie dlatego, żeby mi smakował bardziej od konwencjonalnych manhattanów i krwawych mary, ale wciąż jest we mnie coś ze starej sympatii do surrealizmu. Pytam Milana, jak tam kobiety.

* * *

Moja znajomość z Milanem zaczęła się od afery i nie jest wykluczone, że na aferze się skończy. Po siedmiu latach pobytu na Zachodzie człowiek odzwyczajają się od przydatnej cechy, którą towarzysz prezydent Gottwald wbił w podświadomość narodu pod nazwą czujności albo bacności. Kiedy owego dnia późnym popołudniem wróciłem z uczelni do domu, telefoniczny lokaj przekazał mi czeską wiadomość. Mężczyzna, który ją nagrał, był najwyraźniej speszony tym osiągnięciem techniki. Powiniennem był zwrócić uwagę na wahanie w jego głosie,

całkowity brak słówek z repertuaru Debilinki, a nawet cień wschodnioczeskiego akcentu. Nie byłem już jednak ani czujny, ani baczny i wszystko to zauważyłem dopiero, kiedy cała afera była już w toku i kiedy zmuszałem lokaja, by wciąż na nowo odtwarzał mi: „Mówi Novak. Ja... ja bym bardzo chciał... czy mógłbym z panem porozmawiać. Jestem... tu na kilka dni i mieszkam w hotelu Hilton... Przepraszam, że... czy byłby pan tak uprzejmy i zadzwonił do mnie... jak... to... do widzenia”.

Nie zostawił numeru pokoju. Mogłoby to nie być potrzebne, gdyby dzwonił z oberży Pod Lwem w Zdicach, ale ponieważ chciał się ze mną połączyć z jednego z czterystu siedemdziesięciu pokoi hotelu Hilton, więc powinno mi to coś powiedzieć. Nie powiedziało, a najpopularniejsze w Pradze nazwisko naturalnie też nie. Lekkomyślnie uznałem, że pewnie to jakiś czytelnik książek z wydawnictwa pani Santnerovej, który – jak to się czasem zdarzało – przyjechał służbowo do Toronto i zaprasza mnie do hotelu na drinka. *Free drink* był zawsze nie do pogardzenia. Nakręciłem wobec tego numer Hiltona i spytałem recepcjonistę, w którym pokoju mieszka Mr Novack. Trwało to chwilę, ale w końcu odpowiedział:

– *Room 3316, sir.*

Słyszałem, jak na trzydziestym trzecim piętrze dzwoni telefon, ale nikt nie podnosił słuchawki. Po chwili recepcjonista zameldował:

– *I'm sorry, there's no answer, sir.*

A ja zamiast podziękować, odłożyłem słuchawkę i dzwonić w odstępach godzinnych – za darmowego drinka to by się opłacało, zwłaszcza że prawie nigdy nie kończy się na jednym, a czytelnicy nie żałują grosza – zostawiłem w recepcji swoje nazwisko i numer telefonu i poszedłem popływać w basenie bejzmentu naszego hajrajzu (jak mawia Debilinka) przy Wallesley Street 100.

Kiedy wróciłem, zadzwonił telefon.

– Halo?

– No... tu Novak.

– Dzień dobry.

Czekałem, co Novak ma na sercu. On najwyraźniej też. Wciąż się jeszcze nie połapałem. Po dłuższej przerwie powiedział zmieszany:

– Pan... pan do mnie dzwonił? Miałem wiadomość w recepcji...

– Tak. A ja miałem tu wiadomość od pana.

– Ode mnie?

– Szur. Pan Novak, hotel Hilton.

– Ale ja... ja do pana nie dzwoniłem – a potem szybko, z absurdalnymi wyrazami szacunku. – Ja oczywiście pana znam, panie Smirzicky. Czytałem wszystkie pańskie książki... te, co pan wydał na emigracji też. U na to idzie z rąk do rąk. Ludzie to sobie przepisują...

Wreszcie zrozumiałem, tak nieoczekiwanie, jak nieoczekiwanie w czasie wojny wyleciał w powietrze magazyn Velcla. Zrozumiałem też, że może to mieć podobne konsekwencje, choć pewnie nie tak drastyczne, bo jednak nie ma wojny. Zrobiło mi się słabo. Pochlebne wysiłki pana Novaka z Pragi nie sprawiły mi radości. Prawie krzyknąłem:

– Chwileczkę! Pan jest z Pragi?

– Nie... ja jestem z Litomierzyc. Jestem tu z wycieczką.

Bardzo energicznie, lecz niestety za późno starałem się złapać byka za rogi. Myśli latały mi po głowie z ponaddzwiękową szybkością, ale wszystkie nic niewarte. Nie wpadłem na nic innego niż na głupie pytanie:

– Więc pan do mnie nie dzwonił?

– Skądże. Ja bym się nie ośmielił... Ja tu znalazłem wiadomość, na dole, przy kluczach...

Pan Novak zawahał się i doszedł do równie logicznego wniosku, co ja:

– Zaraz, zaraz, Mistrzu... to jest pomyłka! Tu z nami przyjechał jeszcze jeden Novak i tamten chyba jest z Pragi. Ja go nie znam, ale mogę go ostrożnie wybać...

– To... to bardzo miłe z pańskiej strony – powiedziałem mdło, a beczki z benzyną nadlatywały do mnie na drugą stronę Atlantyku z dawnych czasów, które w starym kraju nigdy właściwie nie minęły. – Dziękuję panu.

– Nie ma za co – i Novak rozgadał się ochoczo i usłużnie, a moja zapomniana czujność obudziła się wreszcie z podwójną czy potrójną siłą. Prawił mi wciąż komplementy, z niewiarygodnym respektem dla ludzi pióra. – Było mi bardzo przyjemnie, Mistrzu, że dane mi było z panem porozmawiać. I bardzo proszę... – zrobił małą pauzę, po czym powiedział tak patetycznym tonem, że oblał mnie zimny pot – ... bardzo proszę, niech pan tak dalej pracuje. Bardzo tego w kraju potrzebujemy!

Odłożyłem słuchawkę. Ręce mi się trzęsły. Wróciłem do starych czasów, do klasycznego dylematu demokracji ludowych.

* * *

Czy szpiclem jest Novak numer jeden (ten, który mi zostawił wiadomość) czy Novak numer dwa (ten, który przez pomyłkę dostał moją kontrwiadomość)? Nie zastanawiałem się natomiast nad powodami, dla których ten pierwszy (jeśli jest szpiclem) ma mnie szpiclować. Dawno już doszedłem do wniosku, że informatorzy służby bezpieczeństwa uprawiają jakiś wariant sztuki dla sztuki. W dodatku mocno sformalizowany, więc powoli zmienia się to w sztukę schematyczną. *Formula art.*

Siedziałem w fotelu z podwójną albo potrójną ostrą szkotką (jak by powiedziała Debilinka), ręce mi się tak trzęsły, że pochlapałem sobie koszulę i zapewne śmierdziałem jak łajnos na skidroł (Debilinka). W ostatnich

dwóch latach odwiedziło mnie ich siedmiu, a technika wykazywała wyraźną paternę (znów Debilinka, ale ona używała tego słowa tylko w odniesieniu do materiałów na damskie sukienki). Więc odbywa to się tak: dzwoni telefon, odzywa się głos: „Dzień dobry, tu Iks-igrek, ja jestem emeryt, przyjechałem do córki do Toronto. Czy mógłbym pana odwiedzić, Mistrzu? Nie zajmę dużo czasu. Mam dla pana wiadomość od pana Vaculíka”. W tym miejscu paterna trochę się różni: raz jest to Vaculík, innym razem Havel, czasem Suchý, rzadko Hrabal, nigdy Kohout. To pierwszy ślad, bo oni wiedzą, że akurat Kohout nie miałby mi do przekazywania żadnych wiadomości. (Występuje, jak mawiają tutejsi profesorowie: *thinly disguised*, w roli bufona w zbyt wielu moich książeczkach. Nie dlatego, żebym go nienawidził, bo raczej go lubię. Ale co zrobić, skoro on ma taką przeszłość, że *difficile est*. A ja na takie rzeczy jestem łasy; wołałbym chyba zabić własną matkę niż oprzeć się pokusie). Więc ponieważ już wiem, albo przynajmniej wydaje mi się, że wiem, o co chodzi, mówię: „Proszę, niech pan przyjdzie”. Przychodzi emeryt, rozgląda się, nalewam mu wiskacza (Debilinka, kiedy jest lekko zwiskaczowana). „Więc co mi chce przekazać pan Vaculík?” Oczywiście z góry już to dokładnie wiem. Emeryt pije dla kurażu: „Pan Vaculík prosił, żebym pana pozdrowił”. „Bardzo dziękuję. A czego ode mnie chce?” „No...” – emeryt się waha, to znaczy: albo toczy wewnętrzną walkę, czy ma powiedzieć, co mu kazali – że na przykład Vaculík proponuje mi przesłanie tajną pocztą rękopisów z Pragi bądź że mnie prosi o pomoc finansową za pośrednictwem Tuzeksu – albo nie wie, co ma wymyślić. W tym drugim przypadku kapituluje; znów sobie łyknie, często do samego dna, bo w domu jest przyzwyczajony do śliwowicy. „No... – mówi z wahaniem – ...on po prostu chce pana pozdrowić”. „Pan zna Vaculíka?” „No, właści-

wie to nie bardzo. Ja go tylko przypadkiem spotkałem...” Tu następują trzy warianty; na meczu, w knajpie U Pinkasów albo w saunie. (Nie wiem, czemu akurat w saunie. Wydaje się, że zakazani pisarze są tam częstymi gośćmi. Może mikrofony są tak zawilgocone, że nie można zrozumieć nagrań?) Gość ciągnie dalej: „No i zgadaliśmy się, że jadę do córki do Toronto, no to wtedy pan Vaculík (Havel, Suchý, Hrabal – ten ostatni jednak nigdy nie w saunie, tylko U Pinkasów – są dobrze poinformowani) poprosił mnie, żebym pana pozdrowił”. „Bardzo dziękuję”.

Dolewam whisky. Albo ten wiskacz, do którego facet nie jest przyzwyczajony (zwłaszcza strejt), albo zakumulowana i powstrzymywana ochota wulgarnego wyklinania tzw. stosunków w kraju, albo też próba *captatio benevolentiae* – rozwiązuje język emerytowi, który przez następne pół godziny w straszliwy sposób obgaduje i oczernia reżim. Słuchając go, można by odnieść wrażenie, że towarzysz Štrougal ma długi czerwony język, towarzysz Bilak ukryty w spodniach ogon, towarzysz Husák śmierdzi siarką, a ludzie żyją w warunkach podobnych do tych z kazań ojca Arnalla z Joyce’a. Emeryt strasznie cierpi z powodu braku swobód intelektualnych, a zwłaszcza literackich. Po półgodzinie strumień żalów wysycha, albo też mówca uznaje, że nie pozyska mojego zaufania, i zwiskaczowany wytacza się na wesołą toroncką ulicę.

Czy mówił prawdę? Czy istotnie odtłuszczał się w saunie z dość potężnie zbudowanym Vaculíkiem? Czy tylko chciał się pochwalić kompanom, że zdobył się na tak niebezpieczną wizytę u politycznego emigranta? A może okupił swój wyjazd do Kanady obietnicą, którą w ten oto niezaangażowany sposób pro forma spełnił?

Nie wiem. Wiele bym dał za to, żeby wiedzieć. I dręczy mnie to.

Tylko że teraz – zastanawiałem się owego dnia po-
grążony w fotelu, tępo wpatrując się w lśniące morze
dauntaunu – teraz nie chodzi o to, czy jakiegoś rencistę
opieprzą w ubeckiej centrali. Z tego może być poważna
afera. A ja będę miał na swoim sumieniu jednego z tych
dwóch Novaków. Jeśli szpiclem jest Novak numer dwa,
to Novak numer jeden jest w niebezpieczeństwie. Jeśli
natomiast szpiclem jest Novak numer jeden, a Novak nu-
mer dwa spełni obietnicę, że go wybada, to on właśnie
może się znaleźć w niebezpieczeństwie. Jedyna nadzieja,
że ani jeden, ani drugi nie są szpiclami albo – co jeszcze
bardziej prawdopodobne – że szpiclami są obaj.

W tym momencie znów zadzwonił telefon.

– Halo?

– Dobry wieczór. Mówi Novak. Ja już raz do pana
dzwoniłem, ale pan miał włączony taki... magnetofon...

Czyli Novak numer dwa nie zdążył go jeszcze wyba-
dać. Natychmiast umawiam się z nim w knajpie Bill's
Place, niedaleko hotelu Hilton. Twierdzi, że mnie pozna.
Ale nie powiedział do mnie: Mistrzu. Szpicel? Czy nie?

W Bill's Place czekałem nerwowo ze dwadzieścia mi-
nut. Amerykańskim zwyczajem panował tam półmrok,
a ja usiadłem przy stoliku w rogu. Niczym w Pradze
natychmiast się przestraszyłem. Dokładnie na wprost
mnie przy kilku stolikach siedziało z piętnastu mło-
dych ludzi, jednakowo długowłosych i odzinsowanych;
pili piwo i uporczywie wpatrywali się prosto we mnie.
Poczułem się niczym w teatrze absurdu, jak w sztuce,
którą chyba musiałby napisać Havel w trutnowskim
browarze. Znów zaczęły mi dygotać ręce. Siedziałem
jak królik pod obstrzałem piętnastu niezdefiniowa-
nych, lecz nieruchomych spojrzeń. Coś za mną trzas-
nęło – znany dźwięk uderzenia twardej pięści w twar-
dy podbródek – więc odwróciłem się i natychmiast
absurd zmienił się w amerykański realizm. W rogu

sali, na stoliczku, tuż nad moją głową, stał telewizor. Ta kanadyjska brygada kulturalna zabijała czas, gapiąc się na seryjną przemoc.

Kamień spadł mi z serca i przez następne dwadzieścia minut zabawiałem się obserwacją gapiących się młodzieńców, z których część okazała się jednak zakamuflowanymi panienkami. Po chwili pojawił się błędnie rozpoznawalny, krótko ostrzyżony pan Novak, niosąc pod pachą papierową torbę z napisem SUPRA-PHONE. Nie był jednak sam. Za nim wszedł inny ostrzyżeniec. W pierwszej chwili pomyślałem, że obaj Novakowie się porozumieli, ale jednak ten drugi przybysz nazywał się Fikejz.

Usiedli, zamówiłem drinki i przez chwilę milczeliśmy. Ponad naszymi głowami skamieniali młodzi ludzie obserwowali, jak rewolwerowcy z mafii z odległości pięciu kroków nie mogą trafić stu pięćdziesięciokilogramowego Cannona. Potem pan Novak wziął z kolan torbę Supraphonu i podał mi ją:

– Ja panu przyniosłem taki drobiazg... może się panu przyda...

– Jezus Maria, dziękuję! – spojrzałem na nowiutką, pewnie wystaną w kolejkach (o ile nie był to szpicel) płytę Suchego *Bukiet*. – Strasznie dziękuję! To wspaniałe! – cieszyłem się, nie wspominając, że w domu mam już trzy takie egzemplarze. Stale są jeszcze w Pradze dobrzy przyjaciele, którzy znają moją słabość do teatryku Semafor, a zwłaszcza do jednej, obecnie już rzadko tam śpiewającej, piosenkarki.

– Bo to jest w zamian za tę płytę – powiedział pan Novak – którą pan wtedy... którą pan wtedy z mojej winy stracił..

Straciłem płytę? Z jego winy? Spojrzałem na niego uważnie, ale pięćdziesięcioletnia twarz szeregowego obywatela niczego mi nie powiedziała.

– Pan już pewnie nie pamięta – ciągnął dalej, a jego akcent przypomniiał mi rodzinne strony. – My właściwie tylko raz się widzieliśmy. Ja miałem tę płytę pożyczoną od Haryka, który pożyczył ją od pana... *I've Got a Guy*... puszczałem ją na lodowisku i Ceeh wpadł do kabiny, i mi ją zabrał, i...

* * *

Był to jeden z mniejszych problemów, mały problemik pośród wielu superproblemów naszego życia.

– Afera, stary! – przywitał mnie Haryk. Cekał na mnie, kiedy o siódmej wieczorem wróciłem z fabryki, ogłupiały po szczególnie długim seansie w komórce i z lekko opuchniętymi wargami (próbowałem się nawet dobrać do piersi Nadii, ale wymacałem raczej żebra). – Ten palant Novak puszczał *I've Got a Guy* na ślizgawce i Ceeh mu to zabrał!

Natychmiast wytrzeźwiałem z rozmarzenia.

– To dlaczego mu pożyczyłeś, ty idioto?! Przecież dałem tylko tobie!

– Skąd mogłem wiedzieć, że to taki debil? Mówił, że nie miał pojęcia, że to jest śpiewane. Włączył i poszedł jeździć, a jak usłyszał śpiew, to poleciał do kabiny, ale Ceeh był tam szybciej.

– Szlag by to trafił! Jak myślisz, co może zrobić?

Obaj pograżyliśmy się w nieprzyjemnych rozmyślaniach. Pan Ceeh przed okupacją nazywał się Czech. Typowa czeska świnią. Amerykański śpiew na publicznej ślizgawce! No, ładny gips!

– Chyba nic chrześcijańskiego. Raczej powinniśmy się zastanowić, co my zrobimy.

Nie wpadliśmy na nic oryginalnego: przekupstwo. Oczywiście nie za pomocą nic niewartych pieniędzy Rzeszy. Alkohol, i to jak najmocniejszy. Nie mieliśmy jednak nawet słabego.

Źródło też nie było oryginalne. Poszliśmy do Lima.

Popatrzył na nas przez wizjer. Jak zobaczył, że to my, otworzył. W kuchni miał całą manufakturę. Zatrudniał w niej również Marię Dreslerową, która, jak mnie zobaczyła, wybrała z repertuaru swoich min najmniej przyślepłą. Obok niej pracował fryzjer Leneczek, a z drugiej strony jeden chłopak z kwinty, którego znałem tylko z widzenia. Każde z nich miało w ręku pędzel, maczało go w szklaneczce z rozrobioną farbą wodną i zrećnie kolorowało jakieś rysunki. Ledwie Maria pomalowała jeden, podawała go Leneczce, ten malował swoim kolorem i podawał chłopakowi z kwinty. Spojrzałem na rysunek. Przedstawiał Hradczany i wyglądał na autorstwa Rostii. Praca szła im błyskawicznie. Leneczek malował dachy na czerwono, chłopak z kwinty na zielono drzewa, a Maria, pac, pac, nanosiła delikatny błękit nieba, pozostawiając dwa białe obłoczki. Seryjnie produkowali oryginały.

– O co chodzi? – spytał Lim.

Wyjaśniliśmy, w czym rzecz.

Lim na godzinę się upłynął, a my skracaliśmy sobie oczekiwanie obserwacją szybkościowych malarzy. Okazało się, że Lim sprytnie żerował na uczuciach narodowych. Oprócz malarzy miał też wynajętą całą siatkę sprzedawców, którzy w sugestywnych słowach przekonywali ewentualnych kupców, że kiedy Amerykanie zaczną bombardować Pragę, historyczna sylwetka prawdopodobnie zniknie z powierzchni ziemi i ręcznie kolorowany prawie-oryginał zmieni się w nieocenioną pamiątkę. Później dowiedziałem się, że Limowi ten plan się powiódł. Sprzedał około siedmiu tysięcy sztuk, po stu dwie każda, a Maria zarobiła na miesięczny pobyt w Pradze, dokąd ostatecznie jednak rodzice jej nie puścili.

Po godzinie Lim wrócił. Dwie butelki podrobionego francuskiego koniaku sprawiły, że Ceeh oddał płytę.

Jednak czy przez złośliwość, czy też z powodów ideologicznych, co w końcu na jedno wychodziło, rozbił ją przedtem na drobne kawałki.

Zrobiło się późno. Manufakturzyści zbierali się do wyjścia, wyszliśmy więc z nimi. Przed domem pożegnałem się z Harykiem i zabrałem się z Marią, która szła w przeciwną stronę niż pozostali. Miała na sobie słynne niebieskie palto zimowe z kapturem obszytym białą futrzaną lamówką, która na plecach tworzyła jej wielkie „V” jak *Vau fiir Viktoria*, na nogach filcowe walonki i prążkowane pończochy. Zrobiła się zadymka, w niebieskim świetle zaciemnionych latarni złota grzywa Marii wyglądała na platynową, a płatki śniegu na niej jak brylanci.

Zanim jednak spróbowałem naciągnąć ją na randkę, sama odezwała się przymilnym głosem, wyraźnie wiedząc, co chcę powiedzieć:

– Ty, zanim zaczniesz, podobno masz jakąś nową panienkę? Jakaś z fabryki?

– Ja? – udałem fałszywe zdziwienie.

– No ty, przecież nie ja.

– Kto ci to powiedział? To plotki!

– Podobno Vladia Nosek zamyka was razem w jakimś warsztacie.

To łajdak! A ja myślałem, że jest dyskretny. Nie mogłem za bardzo zaprzeczać, użyłem więc tradycyjnego argumentu, jakiego w stosunku do Marii używałem już co najmniej ze dwadzieścia razy:

– No, muszę mieć jakąś dziewczynę, skoro ty mi ciągle dajesz kosza.

– Ale robotnicę!

– W fabryce nie ma innych, tylko robotnice. Zresztą to nie jest ważne. U dziewczyn liczy się tylko, czy są ładne.

– To ty tak uważasz – odparła Maria, żeby jako ładna wziąć w obronę mniej szczęśliwe. – Mnie nie o to chodzi, że jest robotnicą. Ale podobno ma narzeczonego.

– No i co? Ty też masz Koczandrlego.

Wprawdzie jeszcze do tej pory bolały mnie przygryzione wargi, ale jakoś nie przyjąłem do wiadomości, że z faktu istnienia Koczandrlego Maria wyciąga wnioski, jakich Nadia nie wyciąga z faktu istnienia swego narzeczonego. Maria jednak, jako kobieta, przyjęła inną logikę.

– Tylko że ten jej naręczony może mieć twarde pięści. Robotnicy podobno takie mają. Więc radziłabym ci uważać, Daniczku!

Zatrzymałem się:

– Co chcesz przez to powiedzieć?

– No, żebyś na siebie uważał. O, cześć, Franto!

Pewnie tam na nią czekał. Wyłonił się z zadymki i spojrzał na mnie bez cienia przychylności.

– W tył zwrot! – zakomenderował.

– Daj spokój, Franto! – powiedziała Maria.

– No co, baranie! – odparłem buńczucznie. – Przecież ci jej nie zjem.

Sam też to wiedział. Wiedział, że sobie nawet nie pozwoli.

– Na twoim miejscu poszedłbym do domu, żeby się nie zaziębić – burknął.

– Co ty powiesz! – odgryzłem się, ale słabo. – To cześć, Mario!

– Cześć, cześć, Daniczku! – odpowiedziała słodko. W jej głosie słychać było współczucie.

Szedłem do domu w zadymce przepelniony bezsilną wściekłością, myśląc jednocześnie z obawą o opisanych przez Marię właściwościach robotników. Kiedy w domu zdejmowałem palto, trafiłem w kieszeni na kawałki płyty. Wziąłem je do pokoju i rozłożyłem na łóżku. Naliczyłem ich aż siedem, więc nie było mowy o sklejeniu. O mało się nie popłakałem. Akurat *I've Got a Guy!* Akurat te miodowe saksofony Chicka Webba! Już nie będę

ich słuchał przed snem. Chyba po raz pierwszy w życiu odczułem nieodwołalną bezpowrotność niektórych spraw. Z powodu tej płyty, którą złośliwie rozbił przekupiony dwiema butelkami denaturowanego koniaku członek partii narodowosocjalistycznej Ceeh. Wszystkie elementy tej małej przygody miały później jeszcze wielokrotnie wystąpić w naszym życiu: bezpowrotnie zniszczone piękno, ideologiczna zawziętość czarnosecińców, wysokoprocentowa waluta łapówki. Trzy z podstawowych doświadczeń naszego życia.

I oto sprawca tej drobnej afery siedział teraz ze mną w toronckiej knajpie przy Queen Street i mówił:

* * *

– ...i pan musiał go potem z Limem przekupić koniakiem. Zaraz potem wzięli mnie na roboty do Rajchu, więc chyba mnie pan nie pamięta...

Miałem intensywne odczucie boskiej obecności, a Pan Bóg lubi żarty. Pamięć Novaka była zrozumiała: ja przez ten czas stałem się znany, więc kiedy tylko natykał się na moje nazwisko, które dość często pojawiało się w druku, zawsze przypominał sobie o stracie płyty. Z mojej pamięci historia ta wyłaniała się tylko wtedy, gdy wspominałem Kostelec. Ale w Kostelcu zostało przecież tyle różnych wspomnień. I teraz właśnie odczułem dotyk żartobliwej i złośliwej boskiej interwencji. Surrealistyczne wrażenie, a więc poczucie Prawdy. Wzruszyłem się.

– Panie Novak – powiedziałem. – Mnie jest strasznie przykro, ale możliwe, że dla odmiany teraz ja przysporzyłem panu kłopotów.

I opowiedziałem mu całą historię z telefonicznym lokajem.

Trochę zbladł, ale opanował się. Ja jednak z doświadczenia wiedziałem, ile kosztuje taki udawany spokój, i całą moją duszę wypełnił ogromny, bezsilny żal.

– Zaraz, zaraz... – mówił lekko drżącym głosem. – Który to może być?

– To chyba ten łysy – wtrącił się do rozmowy Fikejz. – Co stale opowiada, że prowadzi trening dziewczyn przed spartakiadą. Ten, co wczoraj kupił „Playboya”.

Kupno „Playboya” mogło łatwo tłumaczyć obsesyjne gadanie o treningu przed spartakiadą. Ale Novak jeszcze bardziej się zdenerwował. Szef wyszkolenia na spartakiadzie... z drugiej jednak strony fultajmowi szpicle (Debilinka) nie byliby chyba tak sprytni.

– Aha, ten... – mruknął. – Ty, zaczekaj, ale on w Toronto też miał do kogoś dzwonić... do jakiejś siostrzenicy, która ma syna w Głosie Ameryki. Opowiadał o tym Matiatce...

– To może być kamuflaż. Matiatko go zna?

– No, nie. Dopiero z wycieczki.

– Taaa... cholera...

W Colonial Tavern grał akurat Earl Hines. Zapropnowałem, żebyśmy poszli go posłuchać, w nadziei, że spojrzenie na żyjącą legendę swingu pomoże im choć na chwilę się odprężyć i zapomnieć o czechosłowackim problemie, sprowadzonym przez biuro podróży Čedok do Kanady.

Ale Novak nie zapomniał. Napompowałem go ogromną ilością sody i whisky, lecz mimo to zachwycając się w słowach *powerhouse* Hinesa, myślami był zupełnie gdzieś indziej. Wiedziałem gdzie. We wspomniałym czeskim kraju okrytym mrokiem.

Milan Fikejz też pewnie tam tkwił myślami. Nie wypowiadał się na temat Hinesa, milczał i pił szkocki gelbgespritz. Kiedy około północy zbieraliśmy się do wyjścia, ni stąd, ni zowąd zwrócił się do Novaka:

– Jarek, ja tu zostanę!

Oczywiście nie chodziło mu o to, że chce zostać w Colonial Tavern aż do rana. Jeszcze tej nocy wyniósł z ho-

telu walizkę i dał mi ją na przechowanie. Następnego dnia przyszedł po nią z informacją, że nie udało im się, niestety, sprawdzić, czy drugi Novak jest szpiclem. Znowu ogarnęły mnie smutek, rozpacz i bezradność. Wziąłem Milana do urzędu imigracyjnego i pomogłem mu wydebić pozwolenie na pracę na jeden rok. Potem wróciłem na uczelnię i przez długi czas w nocy budziło mnie smutne wspomnienie człowieka, który przez ocean wody i czasu przyniósł mi rekompensatę za dawno zapomnianą płytę i któremu teraz nie byłem w stanie pomóc.

* * *

– Jaki jest ten twój, co chce się z tobą ożenić? – wypytywałem Nadię. Wciąż jeszcze leżał w szpitalu, ze ślepą kiszka; podobno były jakieś komplikacje, ale wyglądało na to, że się z tego wyliże. Siedzieliśmy na skrzynce koło wiertarek, a Nadia jadła jedną z moich pajd chleba ze smalcem. Drugą (mama dawała mi dwie pajdy, bo ponoć wciąż rośłem) jadłem ja. Mieliśmy piętnaście minut przerwy na śniadanie. Niedawno przedłużyli nam czas pracy do trzynastu i pół godziny dziennie, więc zrobili nam piętnastominutowe przerwy o dziewiątej i o piątej. Do tego jeszcze pół godziny w południe, czyli w ciągu całego dnia dawało to godzinę, którą mogłem przegadać z Nadią, dopóki ten, co się chce z nią ożenić, będzie w szpitalu. Po pracy nie mogłem jej odprowadzać do domu. Mieszkała na Czernej Horze, oddalonej wprawdzie tylko o cztery kilometry, ale różnica poziomów wynosiła czterysta metrów, więc przy przedłużonym czasie pracy dotarłbym do domu krótko przed północą (trzeba by przecież doliczyć jeszcze czas na całowanie się w lesie), a musiałem wstawać już o piątej (Nadia o czwartej). Ale i tak była to tylko teoretyczna możliwość, bo przy bramie Nadia mu-

siała zawsze przyłączyć się do gromady górali z Czernej Hory. Wdrapywali się wspólnie na stromy szczyt – zwłaszcza zimą, kiedy szalejący wichur wbił w policzki ostre igiełki śniegu – i kolejni mężczyźni zmieniali się na prowadzeniu, niczym w kolarskim peletonie. Poza tym wszyscy wiedzieli, że Nadia ma narzeczonego, a niektórzy – zamiast siedzieć na skrzynkach i jeść śniadanie – stawali koło wiertarek i patrzyli na nas potępiająco. Nadia była jednak młoda i lekkomyślna, może jej się podobałem, a już na pewno fascynowały ją moje drugie śniadania. Po ostrzeżeniach Marii Dreslerovej miałem jednak wciąż nieprzyjemne uczucie, że twarde pięści w każdej chwili mogą mi spaść na głowę. Dlatego właśnie spytałem:

– Jaki jest ten twój, co chce się z tobą ożenić?

– Dobry. Robotny – odpowiedziała wysmarowanymi smalcem ustami.

– Silny jest?

– No, i to jak! Podnosi mnie jedną ręką!

To jeszcze niewiele znaczyło. Mimo stałych dostaw prowiantu z majątku hrabiego Czernina wydawała mi się coraz szczuplejsza.

– Nie wścieka się czasami?

– No, czasami.

– Jak?

– Co jak?

– Co robi, jak jest zły?

– No... krzyczy...

– A... przyłożył ci kiedyś?

– Nie. Na mnie się jeszcze nigdy nie wściekał. Ale paru chłopakom w knajpie to nieźle dołożył, jak go wkurzyli.

To już nie było zbyt pocieszające. Żułem swój chleb i nie udawało mi się przestać myśleć o twardych pięściach.

– A jakby się na ciebie kiedyś wkurzył?

– On jest dla mnie dobry.

– No, ale na przykład jakby mu ktoś powiedział o mnie...

Zamyśliła się. Pewnie nigdy dotąd coś takiego nie przyszło jej do głowy. Popatrzyła na mnie błyszczącymi oczami, zakryła sobie usta brudną dłonią i parsknęła śmiechem, aż krople smalcu przeciekły jej przez palce.

– No, toby mi dał!

– Zbiłby cię?

Wciąż chichotała z ustami ukrytymi w dłoniach, aż mnie wzięła złość na tę świętą prostotę. Błyszczące oczy patrzyły na mnie przez palce i Nadia powiedziała dokładnie to, czego się obawiałem:

– Ale najpierw by ciebie stłukł!

Na potwierdzenie jej słów odezwała się fabryczna syrena, oznajmiająca koniec przerwy.

* * *

Danielku,

ten pan policjant, który przyjeżdża tu służbowo, obiecał mi, że Ci prześle ten list. Mam do Ciebie ogromną prośbę. Wpadnij, proszę, do Dolfa (nie chcę do niego pisać, bo pewnie go obserwują) i powiedz mu, że gdybym nie wróciła, to ta miniatura z portretem mamusi nie jest u was, tylko u mojej koleżanki W. Ja mu o tym zapomniałam powiedzieć, więc żeby potem nie chciał jej od Twojego ojca i nie myślał, że Twój ojciec nie chce mu oddać. Moja koleżanka W. na pewno mu odda, jeśli ja nie wrócę.

Mamy tutaj bardzo źle i stale wysyłają ludzi do transportów. Wywożą ich gdzieś do Polski i jeszcze nikt stamtąd nie wrócił. Jestem strasznie smutna i zrozpaczona. Dlaczego to wszystko tak musi być? Dużo ostatnio wspominam, także o tym, jak się razem bawiliśmy w piasku na podwórku, i znów mi się przypomina, jak na nas Twój tatuś krzyczał z okna z trzeciego piętra, i wydało mi się to śmieszne, chociaż to nie było nic ładnego. Ale przecież byliśmy jeszcze dziećmi. Ja chyba już nie wrócę, Danielku, więc czemu nie miałabym Ci o tym napisać, że jest

mi żal, że na wolności nigdy z nikim nic nie miałam, nawet z Bertem. Umrę i nawet nie będę wiedziała, jak to z tym jest na wolności. Czasem myślę, że chyba stracę od tego wszystkiego rozum i że tak właściwie byłoby najlepiej. Ale pewnie tak się nie stanie, bo ja nigdy nie miałam szczęścia i nigdy mi się nic nie spełniło. A jeśli nawet, to i tak tylko na krótko.

Muszę już kończyć, bo za chwilę przyjdzie pan policjant.

Danielku, módl się za mnie, żebym wróciła. Chociaż nie jestem chrześcijanką. Ty zawsze byłeś taki pobożny i pamiętam, że nawet byłeś ministrantem.

Twoja koleżanka

Reba

* * *

– Ale dlaczego? Dlaczego właśnie pan?

Magister patrzy na mnie oczami pełnymi chronicznej gorączki:

– Pan mi też nie wierzy?

– Wcale nie, to znaczy... wierzę. Oczywiście wiem, że to robią. Ale z jakiego powodu wybrali właśnie pana?

– Piszę artykuły. Jestem dla nich niebezpieczny, bo mam wpływ na młodzież.

– Ja niestety ich nie czytałem, ale...

– Do emigracyjnego „Skauta-Junaka” – przerywa mi. – Taki Peroutka czy Tigrid* nie są dla nich tak niebezpieczni. Oni piszą dla średniego i starszego pokolenia, a tych to już spisali na straty. Ale ja wywieram wpływ na młodzież.

Ręka mu się trzęsie, jakby miał chorobę Parkinsona; podnosi kufel piwa i moczy w nim swój nondeskryptywny krawat.

– Widzi pan? Jestem kłębkim nerwów. Panie, niech pan spróbuje wejść w moje położenie! Na Kłין Elizabet

* Człowi publicyści emigracyjni.

o północy, przy szybkości osiemdziesięciu pięciu mil, i nagle zaczynają pana spychać na pobocze.

– Specjalnie ich do tego trenują. W Izraelu – dodaje Frank.

– Gdzie?

– W Izraelu – powtarza Frank. – W Rosji nie mają autostrad. Do takich celów żydowskie centrale w Moskwie wykorzystują Izrael.

– To dziwne. Przecież Moskwa popiera Arabów.

– Arabowie to też Żydzi. Sadat przecież publicznie przyznał, że jest Semitą.

– Chyba Chamitą?

– To prawie to samo – macha ręką Frank. – Moskiewscy Żydzi mają z waszyngtońskimi podzielone zadania. Moskiewscy mają rządzić na Wschodzie, a waszyngtońscy – na Zachodzie. Oczywiście na zewnątrz udają, że są głównymi wrogami, ale naprawdę światowemu żydostwu chodzi o panowanie nad całym światem.

Jakże odświeżająca jest taka ideologia, która łączy wszelkie skomplikowane konflikty świata we wspólną, dialektyczną jedność. Ale magister Masło nie zgadza się z Frankiem:

– Tutaj bym się z panem kłócił – mówi. – Żydzi są zwolennikami demokracji. Dlatego ich w Związku Sowieckim prześladują.

– Na niby – stwierdza Frank. – A Kaganowicz? Albo Beria?

– Z naszego punktu widzenia ważne jest, czy Żydzi popierają naszą sprawę – oświadcza pan Pohorsky. – A rzeczywiście popierają. W Vancouver poznałem faceta nazwiskiem Egon Levene – fabrykanta, strasznie bogatego. Na razie jeszcze jestem związany tajemnicą, bo nie wszystko zostało ostatecznie ustalone, ale mogę wam powiedzieć, że już niedługo będę miał dobre wiadomości!

Milknie, związany tajemnicą, a my wracamy do nocnej przygody, jaka spotkała magistra Masło na autostradzie Królowej Elżbiety.

– Czarna limuzyna. Cadillac – opowiada skautowski weteran. – Dogonił mnie przy szybkości osiemdziesięciu pięciu mil i zaczął spychać na prawe pobocze, tam, jak jest ta przepaść nad samym jeziorem.

Szybko zaczynam się zastanawiać, gdzie przy autostradzie Królowej Elżbiety jest przepaść, lecz nie przypominam sobie. No ale mnie nikt tam nie spychał.

– Przyśpieszam do dziewięćdziesięciu mil – ciągnie dalej magister. Wyobrażam sobie jego chevroleta z 1956 roku, kupionego od jakiegoś bezrobotnego za dziewięćdziesiąt dolarów. – Cadillac też przyśpieszył. Zwalniam, on też. Gdyby nie moja przytomność umysłu, ale to właściwie musiała być ręka Boskiej Opatrzności, bo sam bym na to nie wpadł... – Wlewa resztkę piwa w żylaste gardło. – Najpierw zwolniłem, cadillac za mną, a potem w odpowiedniej chwili błyskawicznie ruszyłem naprzód, wyprzedziłem cadillaka z lewej strony i teraz z kolei ja zacząłem go spychać na pobocze. Oni spanikowali, dali po hamulcach i wpadli w poślizg. Zanim z niego wyszli, to ja już dziewięćdziesiątką dogoniłem kolumnę samochodów, dołączyłem do niej i dojechałem aż do Toronto. W tej sytuacji oni już się nie odważyli atakować. – Jeszcze raz przechyła kufel, ale wszystko już wypił lub wychlapał. – Szefie, rachunek! – krzyczy do czarnej kelnerki, ta przywołuje pana Mourka i magister płaci. – Wybaczcie, panowie, muszę iść się położyć. Nerwy mam całkiem stargane.

Milczymy, dopóki magister Masło nie przejdzie przez niebiesko-beżową aureolę i nie pochłonie go toroncka noc, pełna praskich agentów.

Wtedy mówię:

– On rzeczywiście jest całkiem wytracony z równowagi.

– Nic dziwnego – mruczy zachmurzony Frank. – Skoro napastują go syjonistyczni mordercy.

– Poza tym ma za sobą dziesięć lat kopalni uranu – dodaje pan Pohorsky. – Ja go znałem. Nieźle mu wtedy dawali popalić. On jest pedzio, a te ubeckie zakapiory bardzo zwracają uwagę na te sprawy.

* * *

– Dla takiego faceta to ja bym zrobiła wszystko. Wszystko, Danielku! Jeszcze tylko powinien załatwić tego dziada, który tam pilnował.

– Tego to oni sami załatwią – odparłem. Nadia zeszywniała.

– Ty myślisz, że go za to zabiją?

– Jasne. Przecież musiał tam usnąć albo co. Żeby w biały dzień pozwolić na wysadzenie magazynu!

Widmo egzekucji powstrzymało w Nadii żądzę krwi.

– No widzisz – powiedziała, nie uświadamiając sobie własnej nielogiczności. – Powinien go zastrzelić. Tak by było lepiej.

– Dla kogo?

– No przecież dla tego dozorca!

– Ty go żałujesz?

– Coś ty, Daniel! – zaprotestowała bez przekonania i rozejrzała się po kuchni. – Nie macie cykorii?

Wstałem ochoczo, postawiłem na maszynie dzbanek, w którym mama parzyła kawę, i ze schowka w kredensie wyciągnąłem przedwojenne zapasy Meinla. Nadia też podniosła się ze stołka, podeszła do kredensu i ogłądała filiżanki.

– Te są piękne! – westchnęła. – My mamy ładne po babci, ale nie takie.

Wziąłem jedną z serwisu do herbaty i zaprezentowałem Nadii cud sztuki ceramicznej. Kiedy patrzyło się pod światło do środka filiżanki, na dnie pojawiały

się portret pięknej gejszy, niczym fotografia. Nie było tam jednak żadnego rysunku, a cały efekt uzyskany był dzięki przemyślnemu ukształtowaniu warstw porcelany na dnie naczynia. Nadia zareagowała w sposób zupełnie nieoczekiwany.

– Kto to jest?

Bóg raczy wiedzieć, dlaczego odpowiedziałem:

– Reba Silbernagel.

– Kto?

– Jedna dziewczyna. Schowali to u nas na okres wojny.

Popatrzyła na mnie pałającym wzrokiem i nagle spoważniała. Potem znów spojrzała do środka filiżanki.

– Jest bardzo ładna. Ale wygląda jak Japonka.

– No... ona jest Żydówką. Żydzi to właściwie rasa orientalna.

– To jest... twoja dziewczyna?

Byłem młody, napalony i do tej pory nic mi się nie udawało. Pochlebiało mi, że ślicznotka z Czernej Hory łączy mnie erotycznie z tokijską prostytutką.

– No... tak. To znaczy była. Wywieźli ją do Terezina.

Znów spojrzały na mnie oczy płonące jak śmierć. Jak mało wiedziałem.

– Daniel, oni ci ją tam zabijają. Jak mojego tatę.

Nic na to nie odpowiedziałem.

– Musisz ją pomścić!

Straszne, rozpalone, czarne oczy. Czułem się głupio.

– Ja naszego tatę też pomszczę. Jeszcze nie wiem jak. U nas chłopaki mają organizację, ale dziewczyn nie chcą. Będę musiała sama coś wymyślić.

– Przecież nawet nie wiesz, czy on nie żyje.

– Wiem. Ja to czuję, Daniel. Wiem to, odkąd nie mieliśmy od niego żadnej wiadomości. Zabili go. Tylko mi się śni po nocach.

– Taaa... – westchnąłem i przez chwilę pomyślałem o tym, żeby namówić Przemę i wziąć ją do nas, skoro konspiratorzy z Czernej Hory nie przyjmują dziewczyn. Ale Przemę też by jej nie chciał; był zdecydowanym wrogiem dziewczyn, nie tylko w działalności konspiracyjnej. Poza tym Nadia dowiedziałyby się, że to właśnie on wysadził w powietrze magazyn z benzyną, i odnalazłyby w ten sposób swojego bohatera. A zgodnie z jej własnymi słowami zrobiłaby dla niego wszystko. Odrzuciłem więc ten pomysł i powiedziałem: – Coś wymyślimy.

Nadia znów popatrzyła na dno filiżanki. Kawa była gotowa. Zdjąłem dzbanek i nad rzekomym portretem Rebiny Silbernagel zaczęła się unosić woń przedwojennych czasów.

* * *

W holu mojego apartamenthausu zatrzymuje mnie portier.

– *You have a visitor, sir.*

Oglądam się. Pod asamblażem z samochodzików i starych lalek autorstwa Mistrza Skopiczaka (za jeden taki asamblaż na miesiąc panowie z Miriam Company pozwalają mu mieszkać za darmo) wstaje z pluszowego fotela dziewczyna w modnym płaszczku i z krokodylem w kształcie torebki.

– Pan Smirzicky? – pyta po czesku.

– Tak, o co chodzi?

– Ja jestem Svobodova. Dzwoniłam do pana z Ottawy, jeśli pan sobie przypomina...

– Ach, to pani – patrzę na ten kolejny dylemat. Może i mówi prawdę, ale sądzę, że raczej nie. Jeśli istotnie nie, to przynajmniej po tych siedmiu rencistach wymyślili tym razem ciekawszy wariant.

– Bardzo proszę do mnie na górę.

W apartamencie zdejmuję płaszcz, ujawniając tym samym bluzę co najmniej za pięćdziesiąt dolarów i najnowszy model spodni: lekko rozszerzane dzwo-ny, od wewnętrznej strony ud białe, na zewnątrz – niebieskie. Niestety ma za szczupłe uda do tych dobrze wymyślonych spodni. Mechanicznie nalewam wiskaną szkotkę (Debilinka), nierozcieńczoną, a sobie, według prymitywnej metody doświadczonych prostytutek, robię gelbgespitz.

– Przyjechała pani z wycieczką? – doskonale pamiętam, że przez telefon mówiła mi coś o studenckiej wymianie. Chwył się udał. Mata Hari zapomniała już o wymianie.

– Skąd, przecież nie mogłabym do pana przylecieć. Jestem tu u narzeczonego w Ottawie.

Pytam więc dalej:

– Ja myślałem, że to Amerykanin. No, to na zdrowie.

Upijam trochę wiskaczowej lemoniady, a dziewczyna goli czysty trunek. Robi mi się przyjemnie, że w Pradze pełnej samych Miss Wszechświata nie potrafią zwerbować do tych celów nic lepszego, tylko taką wywołkę. Panienska jest płaska jak decha, twarz usiana wyciśniętymi i zamejkapowanymi pryszczami. I kogo ma to oczarować? Mnie! Uznanego przez całą Partię i Rząd za największego pornografa?

– On rzeczywiście jest Amerykaninem – płacze się. – Ale mieszka w Ottawie. Jest tam przedstawicielem jakiejś amerykańskiej firmy.

– Aha – uśmiecham się. – To dopiero romansik. Gdzie go pani poderwała?

– W Paryżu. On mnie zaklinał, żebym przyjechała do niego do Nowego... znaczy do Ottawy. No tak, ale niestety...

Przerywa, a ja szybko łykam swoją jasnobursztynową wodę. Trik się udaje i w jej szklaneczce pozostają tylko wiskaczowe kostki lodu.

– Co niestety?

Robi minę, jakby musiała się do czegoś przyznać. Zapewne opowie teraz o jakimś miłosnym rozczarowaniu, żeby zdobyć pole manewru i ewentualnie zostać przez kilka dni w Toronto.

– No, niestety. Tutaj okazało się, że to było tylko gadanie. Że po prostu jest żonaty.

– To nieźle panią wykołował! – Czy ona nie zachowuje się, jak panienki z moich powieści? – myślę. Wszyscy moi bohaterowie to pechowcy. Zaraz to się potwierdza, ale wcześniej łyka resztkę trunku.

– Wie pan, jestem kobietą... „nikt nie wyswobodzi nas z niewoli, która istnieje w nas samych, w delikatnej budowie tkanek...”.

Musiała się nawet nauczyć cytatów. No proszę, przygotowali ją doskonale, szkoda tylko, że zapomniała o tej wymianie studentów.

– Coś takiego! – mówię. – Powinienem być dumny jak paw! – Wstaję, biorę puste szklaneczki i idę do kiczeny.

– A powinien pan! – odpowiada i też wstaje. – Ma pan pełne prawo. Pożyczyłam to sobie tylko na jeden dzień – już jest za mną w kiczenie – i przeczytałam jednym tchem. Zdążyłam jeszcze nawet zrobić sobie wypisy.

Udaje mi się, zaślanając się plecami, wyprodukować nową dużą szkotkę z odrobiną kosteczek lodu i burstynowego szprycera dla siebie.

– Mam też dla pana pozdrowienia od Lestera.

To jest zupełnie nowy wariant. Czuję się mile poślaskotany. Widocznie przekazano mnie starszym, bardziej doświadczonym pracownikom.

– Pani go zna?

– Znam. Znaczy się, przez Jandę – to teoretyk popu, mniej więcej z jej pokolenia, czyli wszystko jak najbardziej wiarygodne. – Powiedziałam mu, że jadę.

– No, to za Lestera! – unoszę swoją szklaneczkę.

– Nawet pan nie wie, ilu ma pan w Pradze wielbicieli. I wielbicielek. – Tak, doskonale wyszkolona. Szkoda, że słabo dobrana. Piję. Jedna trzecia. Na szczęście zapomnieli ją przeszkolić w sprawach alkoholowych.

– Tak? A co u Suzi Kajetanovej? Wie pani, strasznie mi przykro, że wcale do mnie nie pisze. Jak się żegnaliśmy w Pradze, to zaklinała się, że będzie pisać, ale... obiecanki cacanki. A może się boi?...

Wracamy do liwingrumu i siadamy: ja w fotelu, ona – na czesterfildzie.

– Pewnie to drugie – mówi. – Jeśli pan... chce – lekko czka, co przyjmuję z zadowoleniem – to ja mogę jej przekazać.

– Co?

– Żeby do pana napisała.

– Pani ją zna?

– Znam. To znaczy... trochę.

– Jak się boi, to nie będzie miała do pani zaufania.

– Będzie.

– No, to za Suzi! Niech jej się dobrze śpiewa!

Łyk prawie do dna.

– Ach – wzdycha. – Ja właściwie wciąż nie mogę uwierzyć, że tu z panem siedzę...

– No ale siedzi pani. – Wracam do kiczeny i zastanawiam się, czy można już zaryzykować wniesienie całej flaszki. Ostatecznie się na to decyduję. Jak tylko jej dolewam, zaczyna zasysać. Oddycham z ulgą. Nawet nie poprosiła o lód.

– Czy nie... nie chce pan jeszcze komuś czegoś przekazać?

– Komu?

– Na przykład Steinowi... albo Barvirkowi... Ja ich wszystkich znam...

Dolewam i zachęcam ją, żeby pochwaliła się swoimi znajomościami, które, jak przypuszczałem, są zastanawiająco identyczne z moimi.

– Kogo pani jeszcze zna? Oczywiście spośród moich znajomych?

Zaczyna nawet liczyć na palcach.

– Doktora Rusa... pana Stejskala z Odeonu...

– A Plnovsa?

Tego wymyśliłem.

– Oczywiście, że znam.

– Coś podobnego... pani wszystkich zna!

– No.

– Pani musi być bardzo popularną dziewczyną.

– No, jestem!

Była już na bani. Jeszcze jedna całkiem mała szkotka i zobaczy mnie podwójnie.

– Ale niech mi pani powie, w jaki sposób panią tu wypuścili? Przecież to nie takie łatwe.

– P...powiem panu, ale w tajemnicy. Ja mam dobrego znajomego dy...dyrektora banku i on mi przy...przydzielił promesę dewizową! To jest ważniejsze niż paszport. Pro...promesa dewizowa!

– To musi być rzeczywiście jakiś dobry znajomy.

– Ba...bardzo dobry!

– Czyli dobrze się znacie?

Lekko nią wstrząsa, ale kupuje sprawę.

– Ja...jasne. Ale z pana do...dowcipas!

– No, to za dyrektora banku!

– Niech ży...żyje!

Dla pewności w następnej rundzie zaryzykowałem trzy nieistniejące obiekty: Rameszową, Sniehurka i nawet kawiarnię Komplex. Tę też znała. Podobno bardzo często tam bywa.

Jestem trochę rozczarowany. Agenci naślani do zlikwidowania magistra Maslo są chyba lepszymi profe-

sjonalistami. Chociaż czy ja wiem? Dać się w cadillaku wyrolować chevroletowi z 1956 roku? Ale właściwie jakie zadanie ma panna Svobodova?

Najpierw powtarzam pytanie:

– A niech mi pani powie, w jaki sposób panią puścili. Przecież to nie takie łatwe?

– Prze...przecież już panu po...powiedziałam!

– Rzeczywiście! Już mi się trochę mąci w głowie. Na tę wymianę naukową, przypominam sobie...

Zaczynam nową butelkę.

– A...dzie tam! Do narzeczonego!

– Przecież nie mogła im pani w papierach napisać, że jedzie pani do Kanady złowić chłopca!

– No nie! Powiedziała, że jadę na ko...kongres!

– Jaki kokongres?

– Nie...niech się pan ze mnie niena...nie nabija. Żaden kokongres tylko ko...kongres – czka. – Świa...światowej federacji a...artystów!

– Pani jest artystką?

– Gdzie tam! Mój stryjek jest tam ka...kadrowcem, więc m...mnie wkręcił jako żo...żonglerkę...

– A ten kongres jest w Ottawie?

– N...no, wo...Ottawie.

– Ale tam nie ma żadnego kongresu – mówię twardo.

– N...no, to nie ma!

– Więc jest czy nie ma?

– Ja...ja nie wiem! Wi...wisi mi to!

– Rozumiem. Pani stryjek kadrowiec wymyślił ten kongres, żeby pani mogła jechać na wymianę naukową do żonatego amerykańskiego narzeczonego do Kanady, tak?

– Ja...jasne...

Wstaje. Ma już spore kłopoty z utrzymaniem równowagi.

– Gdzie ma...ma pan to po...pomieszczenie?

Wskazuję jej drogę.
Za drzwiami tęsknie huczy niagara.

* * *

Czekam, rozczarowany i rozbawiony. Sukces nieoczekiwane był tak łatwy, że zaczynają mnie ogarniać męczące wątpliwości. Czy przypadkiem jednak nie krzywdzę szczerą i absurdalną wielbicielki moich literackich wypocin, która dzięki jakiemuś surrealistycznemu trikowi wyrwała się ze szponów patafizycznego reżimu i ryzykując wszystkim, za ciężko zarobione dewizy przyjechała wyznać mi literacką miłość? Odrzucam to jednak. Szeroki krąg naszych wspólnych znajomych ma zbyt duży promień. Poza tym, przyjeżdżając tu, wymieniła zbyt wiele powodów naraz. Robak wątpliwości jest jednak niezniszczalny. Nie krzywdzę jej? Nie ulegam więziennej manii prześladowczej, skoro spotykam się tutaj z tylu byłymi więźniami? I z twardymi antykomunistami? A nawet reprezentantem czeskiego faszyzmu Frankiem Obnovą?

Ale wszystko to jest zbyt wielkie dada. Przypominam sobie ósmego emeryta z wiadomością. To też był nowy wariant – wiadomość pochodziła od mojego ojca. Kiedy oświadczyłem emerytowi – a było mi przy tym głupio za niego – że mojego ojca mógł odwiedzić tylko ze świeczką na Wszystkich Świętych, przestraszył się tak, że omal nie przewrócił whisky. Zaczął się jąkać, poczerwieniał i poprawił się. Wiadomość jest właściwie od mojej matki, ale nie chciał tego mówić, żebym sobie czegoś złego o niej nie pomyślał, skoro ona jest wdową, a on też wdowcem. Zapewniłem go, że sprawiłoby mi to tylko radość, gdyby moja matka wdowa miała takiego kochanka jak on, ale niestety, jest to niemożliwe, albowiem moja matka nigdy nie była wdową, ponieważ to ojciec był wdowcem, a po raz drugi już się nie ożenił.

Przez chwilę rozwiązywał tę łamigłówkę, a potem zerwał się, jakby zobaczył Frankensteina, i uciekł. Zapomniał nawet kupioną w Kanadzie czapkę z bobrów.

A mimo to w stosunku do niego też miałem wątpliwości. Czy naprawdę mógł dostać tak marne instrukcje? Czy referent był pijany i z kimś mnie pomylił? Albo emeryt cierpiał na starczą sklerozę. Ale czy jest możliwa aż taka pomyłka? Czy on po prostu nie chciał się pochwalić przed znajomymi?

Ten robak to straszne zwierzę.

* * *

Pod nieobecność Maty Hari dopełniłem nasze zasobniki. Nie było to potrzebne. Panna Svobodova doskonale opanowała opisywany w pamiętnikach styl intymnej rozmowy między przesłuchiwanym a przesłuchującym, tylko role się zmieniły.

– Czemu pani to robi?

– N...no a czemu bym te...tego nie miała ro...robić?

– Dla rewolucji światowej?

– Co...co takiego?

– Ładną ma pani bluzę.

– N...nie? Ko...kosztowała siedem...demdziesiąt dolarów.

– Pasuje na panią. Te panty (Debilinka) też.

– Nie...niech pan tu...tu siada. Ko...koło mnie. Dlaczego pa...pan jest tak da...daleko?

– Niestety mam akurat okres.

To straszny dowcip. Nie zdobyłby się na niego nawet najbardziej chandlerowski Marlowe, zresztą Marlowe był moralnym detektywem, a ja jestem kontrrewolucyjnym gorszycielem.

Jednak Mata Hari śmieje się:

– Pan to jest świ...świnia! Dokładnie taki, ja...jak o panu piszą.

- Gdzie?
- W artyku...kułach.
- Czego się pani miała dowiedzieć?
- Wszy...wszystkiego.
- Na przykład co? Kochanki?
- Też. Ko...kochanki też.
- Wolno mi mieć kokochanki. Nie jestem żonaty.
- Ale zameżne ko... – stara się wymówić to słowo bez zająknięcia, ale daremnie – ko...kochanki.
- Kokochanko, chce pani kawy?
- Che... che...
- Chętnie.

Wstaję, idę do kuchni. Włączam perkolator i dzwonię po taksówkę. Zjawia się szybciej, niż zdążyłem zrobić kawę. Dziewczyna protestuje. Chce u mnie zostać na noc.

- Kokochanko – mówię – Gdybyś chociaż była Geraldinką...

Po raz ostatni słabiutko budzi się w niej szpiclowski instynkt:

- Kto to...to jest Geraldin...dinka?

- Taka jedna babcia – odpowiadam zgodnie z prawdą, bo ledwie ją wypuścili, Geraldinka natychmiast powetowała sobie pięcioletni post, uprzykrzony jeszcze obcymi jej naturze próbami miłości lesbijskiej. Tę samą spragnioną namiętność odziedziczyła widać jej córka, bo już w wieku piętnastu lat została matką. Geraldinka ma trzydzieści osiem lat. Około pięćdziesiątki może zostać prababką.

Pomagam nocnemu gościowi włożyć płaszcz. Zwożę ją windą i pakuję do taksówki.

- Ho...hotel Wi...windsor Arms – zwraca się do taksówkarza.

Noc pełna agentów wchłania i tę biedną praską Matę Hari, nędzne, dialektyczne przeciwieństwo dawnej,

wielkookiej, wesołej Geraldinki, choć co prawda na francuskim żołdzie. Gdyby tak chociaż nastali na mnie jakąś nową Geraldinkę... zaczynam marzyć... dla niej już bym coś wymyślił... coś wiarygodnego...

Jadę na górę, dopijam czarną kawę z perkolatora, czarną jak metaforyczna noc, czarną jak niezapomniane oczy Geraldinki, jak oczy tamtej jeszcze dawniejszej dziewczyny, błyszczące zawsze jak w gorączce.

* * *

Drogi Daniel,

w pierwszych słowach mojego listu przyjmij serdeczne pozdrowienia często o tobie myślę. Pozdrawiam cie z rzeszy gdzie teraz robie. Majster jest surowy ale żarcia mam dosyć bo jak na wojenne warunki całkiem dobrze. Robie na noc bo wiesz że w piekarni inaczy sie nie da. Pszesyłam ci pozdrowienia z Oberszarau to jest koło Berlina. Mamy prawie karzdej nocy alarm ale nie chodzimy do schronóf bo chleb musi być rzeby nawet sufit sie walił a Oberszarau bombardowali tylko 2 x przeważnie latajom bombardować Berlin. To straszne ile niewinnych ludzi traci rzycie. Pan Majster Akrman muwi że rzesza ma tajnom frgeltunkswafe i odpłaci pluto kratom że zabijajom niewinnych i kobiety i dzieci. Muwi, że to bedzie promień śmierci i nikt sie pszed nim nie schowa a po wojnie bedzie Nowa Europa. Do poudnia śpie a puźni często chodze do kina grajom świetne filmy bardzo mi sie podobał Grubas Trenk. Tesz była ładna Zagłada Tytanika i Om Krugl. Tesz Jud Sus jak go powiesili tego jeszcze nie widziałem i Romanca mol tesz mi sie podobala Tesz ich frtraue dir mejne frau, w tym grała czeska gwiazda. A. Mandlova i Ruman oba bardzo ładne ale ona sie teras nazywa Lilaladina. Najlepiej mi sie podoba gwiazda Hajdemari Hatajer bo jest najładniejsza, tesz jest ładna Ilse Verner. Tylko mi zdrowie nie sturzy jak dawni znowu mniej spie kaszle i pluje krfiom ale dochtur mówi że to jest bronchial katar. Muj adres jest

A. Mutoń bei Akerman Bakerei Hans – Jost Str 5 Oberscharau bei Berlin to mi napisz. Na koniec mojego listu przyjmij serdeczne pozdrowienia często o tobie myślę.

Tfój pszyjaciel Lojza

* * *

– Co wymyślimy? – spytała Nadia. Znalazłem w krendencie specjał mamy, który nazywała makowcem, więc Nadia opychała się osłodzonym makiem i popijała z filiżanki Silbernaglów.

Popijała, aż wreszcie zobaczyła na dnie Japonkę.

– Ona naprawdę jest bardzo ładna. – Trzymała kubek na wprost białego zbocza Czernej Hory za oknem. Śniegowa chmura przykrywała letnią restaurację i wioskę na szczycie wzgórza, a na zbocze, Port Artur, browar i rzekę sypał gęsty śnieg.

Nadia popatrzyła na mnie pałającym wzrokiem.

– Co wymyślimy?

– Jeszcze nie wiem. Najpierw trzeba to dobrze przemyśleć.

– Ale co?

I wtedy błysnął mi w głowie ten idiotyczny pomysł. Oślepiiony mrocznym światłem płonących oczu nie dostrzegłem jego głupoty. Bohaterstwo Przemy było wciąż jeszcze świeże w naszej pamięci, a sposób, w jaki ta kościśta dziewczyna o pięknej twarzy, wpatrzona w dno filiżanki, wielbiła to bohaterstwo, całkiem zamącił mi umysł.

– Na razie ci nie powiem – odpowiedziałem. – Jak mówię, trzeba to bardzo dobrze przemyśleć.

– A kiedy mi powiesz?

– Może jutro.

– Słowo?

– Słowo.

Nadia westchnęła, po raz ostatni spojrzała na Rebinę i wstała.

– Ja ci pomogę umyć naczynia. I dziękuję. Było to baaardzo dobre!

Przepasała się matczynym fartuchem – właściwie okręciła się nim chyba ze dwa razy – zakasała rękawy powyciąganego swetra, zaniosiła wszystko do zlewu i zabrała się do roboty. Ja wycierałem. Niezwykle błogie uczucie zagłuszyło chłód białego, niedzielnego, wojennego popołudnia. Już nigdy w życiu nie doznałem czegoś takiego.

Nie wiem dlaczego.

Hawthorne

*Niestraszne mi ściany deszczu
I oślepiające mgły
Choćbym upaść miał do grobu
Idę ile w nogach sił*

*Wodą dzielę się z węzami
Sól na włosach mi osiada
Przemierzyłem oceany
I piekła i eldorada*

*Tu koliber mnie zachwyci
Tam przez ogień trzeba przejść
To ginąć to znów się rodzić
I z diamentów krzesać sen*

Josef Kainar

przeł. Zbigniew Machej

Sztuka to choroba, a głupota jest tylko inną nazwą zdrowia.

Colin Wilson

– Ona też jest aktorką? – spytała Wendy.

– Kto?

– Żona tego aktora, którego pan zna?

Czy to anegdota? Życie takie produkuje. Doskonale wykształcona koleżanka Webster, Brytyjka – którą zamiast wymarzonej, sprawdzonej daty z chronologii dworskich zabaw Elżbiety I przywiózł z Muzeum Brytyjskiego kolega Webster – niedawno opowiadała jedną taką anegdotę. Z ogromnym zdumieniem, ponieważ po raz pierwszy

w praktyce natknęła się na znaną sobie tylko z teorii różnicę w skojarzeniach Brytyjczyków i mieszkańców mojego nowego kraju. Po czterdziestu minutach wykładu o czarnym humorze w *Nieodżałowanej* Waugha zgłosiła się właśnie ta legendarna Szkotka z Horseman's Saddle w północnym Ontario, Wendy McFarland, i zapytała:

– Ja tego nie rozumiem, pani profesor, przecież tam nie ma żadnych Murzynów?

Koleżanka Webster najpierw pomyślała, że to jakiś dowcip. Piegowata twarz Wendy wygląda tak, jakby dziewczyna wciąż stroiła sobie żarty. Ale nie był to dowcip. Tylko różnica między podstawowymi znaczeniami tego samego słowa między Cambridge University a Horseman's Saddle.

Tym razem też nie chodzi o anegdotę. I również sedno tkwi w różnicy życiowych doświadczeń. Doświadczenie Wendy jest głównie telewizyjne, moje pochodzi z europejskiego *theatrum mundi*. Dzisiejsze pytanie Wendy odnosi się do filmu Costy-Gavrasa *Zeznanie*, na który wysłałem moich studentów i mniejsza ich część rzeczywiście poszła. Jego film sprzed dwóch lat Z widzieli wszyscy, bo recenzenci pisali, że to najlepszy film o powojennym faszyzmie, a faszyzm przyciągał dzieci prerii. Komunizm już nie, dlatego widownia była znacznie mniejsza. Faszyzm to jedna ze wstydliwych rzeczy na świecie, a co do komunizmu, to uważali, że ich nie dotyczy. W dodatku ze swych podręczników skróconej historii znacznie lepiej znają Grecję niż kraj, którego nazwa w ich uszach musi brzmieć jak jakaś Rurytania. Dlatego Wendy spytała mnie wesoło:

– Ona też jest aktorką?

Opowiedziałem im, że znam żonę jednego z zamordowanych, a ona zrozumiała to w telewizyjnym sensie. Dzięki temu stało się dla mnie jasne, że *Zeznanie* to dla nich tylko kino. W swoim krótkim życiu widzieli setki takich filmów. W jednych bili po szczęce Barnaby'ego

Jonesa, w innych świecili światłem prosto w oczy Kojakowi, a w jeszcze innych, trzymając za włosy, objali o ścianę głowę Cannona.

Ogarnęła mnie rozpacz z powodu tych rzesz studentów, których profesorem literatury amerykańskiej nie jest ktoś stamtąd, tylko człowiek z Harvardu – na zajęciach poświęconych funkcji kolorów w *Szkarłatnej literze* rzeczywiście omawia funkcje kolorów w tym utworze. Dla nich chyba naprawdę na zawsze pozostanie to tylko filmem. Właściwie nie na zawsze, tylko do czasu upadku Zachodniego Świata.

Stoję znów przy gotyckim oknie i myślę o takich sprawach zamiast o symetrycznej konstrukcji *Szkarłatnej litery*, o której czyta swą pracę piłkarz Higgins. Zaskoczony moją niedawną filipiką przeciw plagiatom, jaką wygłosiłem w związku z przepisaniem z Quinna referatem Sharon McCaffrey, szpikuje każde zdanie zaklęciem „jak pisze David Levin” (zaglądając mu przez ramię dostrzegłem, że je dopisał; są innym atramentem). Główne postaci powieści, jak pisze Levin, symbolizują grzesznika Publicznego – Hester, grzesznika Tajnego – Artur i grzesznika Niewybaczalnego – Chillingworth.

Futbolista nie jest w stanie przerzucić piłki ponad słowem *Unpardonable* i głos mu się załamuje. Chyba skończył. Odwracam się. Ręka Wendy jest znów w górze. Kiwam głową, a Wendy pyta, wcale nie à propos referatu Higginsa:

– Sir, słyszałam, że w Europie jeszcze całkiem niedawno stosowano takie kary. Podobno w Niemczech na początku wieku w czasach faszystowskich, kiedy jakiś człowiek ożenił się z Żydówką, to musiał nosić na płaszczu wyszyte wielkie „JL” (czyli *Jew Lover*), podobnie jak Hester szkarłatne „A” (czyli *Adulteress*)?

Ach, Wendy! Święta naiwności! Ty niewybaczalny grzechu zaatlantyckiej cywilizacji!

Drogi Dan,

Bardzo mi było przykro, że nie zastałem Cię w domu. Wpadłem jednak do Pragi tylko na dzień i wieczorem musiałem wracać, bo miałem kolegium redakcyjne. Ale nie była to całkiem daremna podróż; w jednym małym antykwariacie udało mi się zdobyć „Sztuczne kwiaty” J. Friča, które od dawna chciałem mieć. Do tej pory znałem tylko niewielkie fragmenty z notatek Nezvala. A jest to piękna poezja: jednocześnie społeczna i nowoczesna, trochę jak Wolker, ale bardzo oryginalna. I nie taka sucha jak S.K. Neumann: Syrena płacze a życie wielkie / o tych górnikach myśleć nie może / bo przecież dwa miliardy ludzi / kocha się i nienawidzi. Czytałem ten tomik w drodze w pociągu i dzięki niemu choć trochę się pocieszyłem, że nie dane mi było z Tobą porozmawiać.

Ale przede wszystkim uspokoiłem się po tym, co przeżyłem przed południem i co właściwie było główną przyczyną mojej wizyty w Pradze. Jak wiesz, redaguje w Kostelcu pismo Związku Młodzieży Czechosłowackiej „Slovo”. Z tego powodu, a ściślej mówiąc z powodu kilku moich artykułów, zaproszono mnie do centrali do Pragi. Nie przypuszczałem, że jest to wezwanie „na dywanik”. Pierwszy z tych tekstów to był wstępniak o Winstonie Churchill. Wydawało mi się straszną niewdzięcznością, że w tym roku, zaraz po wojnie, przegrał wybory. Przecież w sumie był chyba jedynym, a już z całą pewnością najbardziej zdecydowanym przeciwnikiem każdego porozumienia z Hitlerem, uratował Anglię i dzięki temu także nas, a jak się głębiej nad tym zastanowić, to również Związek Radziecki – nie potrafię sobie wyobrazić, że ZSRR potrafiłby się obronić, gdyby Anglia zawarła separatystyczny pokój z Niemcami i ci mieliby w Europie wolne tyły. Napisałem więc taki, przyznam, że chyba dość sentymentalny, artykuł „Good Bye, Mr Churchill”. Może go nawet czytałeś. I wyobraź sobie, w centrali mi powiedzieli, że ten tekst jest

reakcyjny! Bo Churchill jest imperialistą, a jego upór, by kontynuować wojnę z Hitlerem, nie był powodowany żadnymi humanitarnymi celami – jak choćby pomoc dla okupowanych narodów – ale wyłącznie interesem imperium brytyjskiego i brytyjskich kapitalistów.

Stałem tam jak oniemiały. Zrozum mnie dobrze, nie jestem na tyle naiwny, by myśleć, że Churchill kierował się wyłącznie interesem podbitych narodów. Z pewnością też chodziło mu o imperium brytyjskie, a może również o kapitalistów. Ale coś takiego? Ten towarzysz w centrali w kółko to powtarzał i sprawiał wrażenie, jakby wiedział absolutnie wszystko, a ja zupełnie nic.

Wiesz, Dan, co mi to przypomniało? Jak kiedyś podczas wojny, zanim jeszcze wystali mnie na roboty do Rajchu, przechodziłem obok witryny kosteleckiej Hitlerjugend. Był tam wywieszony plakacik, coś w rodzaju scholastycznych pytań i odpowiedzi: DIE FRAGE DES IDEOLOGIELEITERS: Wer ist Winston Churchill? – DIE ANTWORT DES HITLERJUGEND: Winston Churchill ist der grösste Kriegshetzer, der in dem Interesse des internationalen Kapitalismus, Reaktion und der jüdischen Plutokratie eine Fortsetzung des Krieges gegen das Neue Europa fördert und in seinem Hass gegen den Nazional-Sozialismus sich sogar mit dem Bolschewismus verbindet.

Mam pietra, Dan. Ty o czymś takim mówiesz już w czasie wojny, ale ja ci za bardzo nie wierzyłem. Czytałem Błoka: Papieros w zębach, kaszkiet przyciasny. / Wszystko – ferajna spod ciemnej gwiazdy. Ten człowiek, ten towarzysz – mówili do mnie towarzyszu, choć podkreślałem, że nie jestem członkiem partii komunistycznej ani socjaldemokratycznej – a więc ten człowiek-towarzysz nie miał ani papierosa w zębach, ani przyciasnego kaszkietu, ale była to istotnie ferajna...*

* Przetłumaczył Wiktor Woroszyński.

Nie wiem, Dan. Czuję się winny, kiedy to wszystko piszę. Potem jeszcze mnie zbeształ za artykuł o obrazach Rostii. Jeśli go czytałeś, to wiesz, że była to w istocie recenzja jego portretu Mani Dreslerovej, który naprawdę mi się podobał i myślałem, że jest w dosłownym tego słowa znaczeniu piękny (Ty jako znany wielbiciel kobiet z tym się pewnie nie zgodzisz, ale ja jestem przekonany, że jest piękniejszy niż Mania in corpore). Człowiek-towarzysz powiedział mi jednak, że źródłem poezji nie jest Piękno, jak napisałem, tylko Nienawiść Klasowa, Walka Klasowa. I zalecił mi, żebym sobie przeczytał Wolкера: najgłębiej, biedny, czuję nienawiść. Ale to przecież tylko jedna strona Jiříego Wolкера, a i ten wiersz ma w sobie poezję dzięki temu, że jest piękny, a nie dlatego, że mówi się w nim o nienawiści.

Dan, trochę się tego boję. Może jeszcze wciąż mam zszarpane nerwy, bo przecież wojna skończyła się niemal wczoraj. Może... Mam nadzieję, Dan, że nie miałeś racji!

Twój Jan

* * *

Pocą się, piszą test. Jestem sadystą o miękkim sercu. Robię co prawda niezapowiedziany test, ale na temat, który właśnie w zeszłym tygodniu omówiłem i o którym jest dostatecznie dużo informacji w każdym bryku: *Funkcja kolorów w „Szkarłatnej literze”*. Oczywiście połowy z nich nie było na wykładzie. Na przykład Wendy. Zamiast pisać, znów coś rysuje. Zapewne dowiem się niezłych historii o ulubionych kolorach Hawthorne’a. Irena Svensson pracuje z surową, niemal belferską miną. Od początku semestru nie opuściła ani jednego wykładu. Vicky obgryza długopis dokładnie tak samo, jak robiły to dziewczyny z szóstej klasy gimnazjum w Kostelcu przy rozwiązywaniu równań matematycznych na lekcjach profesora Bivoja. A Wendy wciąż rysuje. Patrzę na nią i nie wiem, czemu przycią-

ga mniej jej komiczna, dosłownie pstrokata twarz, pieg na piegu. Nie wiem. Jej prace też są bardziej podobne do kolaży niż do materiałów literackich. Na przykład na stronie tytułowej ostatniej z nich nakleiła portret Marilyn Monroe autorstwa Andy'ego Warhola, a kolejną stronę z szacunkiem pozostawiła pustą. Pomyślałem, że chyba dlatego, aby dzieło Warhola zostało oddzielone od tekstu rzemieślniczki Wendy, niegodnej takiego sąsiedztwa. Za to na kolejnej kartce figurował tylko cytat z *Filozofii kompozycji poetyckiej*: ...*the death, then, of a beautiful woman is, unquestionably, the most poetical topic in the world...* Poprawiłem błąd, odwróciłem kartkę, a na nowej stronie było tylko jedno słowo: LIGEJA. Za to jakie litery... Wendy zapewne musiała w bibliotece kartkować Arcimbolda, a następnie dopełniła go pornograficzną wyobraźnią rysowników „Penthouse'a”. „L” to był siedzący akt kobiecy z profilu, „I” damska frontalna nagość z rudym łonem (chyba autoportret) i arbuzem na głowie, zaś „A” to mężczyzna i kobieta, oboje nadzy, stojący ukosem na wprost siebie i nawzajem się podpierający, przy czym sterczący członek mężczyzny... Przewróciłem stronę wstrząśnięty i jednocześnie zaintrygowany, czy tekst Wendy będzie tak samo pikantny. Na ten trzeba jednak było jeszcze poczekać: za tytułem z Arcimbolda pojawił się tylko suchy, profesorski, przepisany z mojej listy tematów apel: „Wybierzcie jedno opowiadanie Poego i na jego przykładzie przedstawcie, w jaki sposób autor wykorzystywał własne postulaty teoretyczne w konstrukcji utworu”. Poza tym nic więcej. Z pewnym zniecierpliwieniem znów odwróciłem kartkę. Teraz pojawiła się tylko czerwona jedyńka rzymska. No to dalej. Cytat, tym razem moja parafraza zasady Poego: „Już pierwsze zdanie powinno zawierać w pigułce nastrój i emocjonalną treść opowieści i jej efektu końcowego. Profesor Daniel

Smirzicky". Pod nim rysunek piórkim, przedstawiający twarz kobiecą i podpisany „Ligeja” – oczy jak talerze, okrągłe, ale puste. Tutaj inspiracją była zapewne Little Orphan Annie, ale ściśle według mojej recepty już pierwszy rysunek miał pokazać efekt finalny opowiadania – na końcu książki Wendy (nie dało się tego nazwać pracą semestralną) znalazłem podobną twarz kobiecą, tym razem podpisaną „Lady Rowena”, z równie okrągłymi oczami, a w jednym z nich wklejony był portret Ligei z początku tomu, pomniejszony na kserografie. Wendy miała tu problem: w opowiadaniu Poe’go Ligeja się nie rozdważy, ale jedynie zmienia doczesną powłokę; jednak zmysł estetyczny nakazywał artystce umieścić ją też i w drugim oku. Potrafiłaby wprawdzie realistycznie narysować źrenicę, ale surrealistycznej duszy wydawało się to mało interesujące. Wkleiła więc w drugie oko fotografię pingwina. Z konieczności: podczas „przesłuchania” w moim gabinecie przyznała, że miało to być kruk, ale nie mogła znaleźć żadnego jego zdjęcia, a ponieważ bała się przekroczyć termin, użyła tego, co miała pod ręką. W pewnym sensie potwierdziło to prawdziwość sentencji, która zdobiła definitywnie ostatnią stronę: *FINIS CORONAT OPUS!*

Pomiędzy tym przejawem radości a cytatem ze mnie na stronie siódmej były jeszcze czterdzieści dwie kartki, tworzące pewne sekwencje. Każdą z nich rozpoczynała strona z rzymskimi cyframi od II do XII, a następnie kartka z obrazkiem: starego zamku (posiadłość Roweny), kobiecej twarzy z potwornie wykrzywionymi ustami (*some strangeness in the proportions*), dziewczyny grającej na lutni (która jednak bardziej przypominała gitarę basową) – z ust lutnistki wydobywał się komiksowy balonik, w który pięknym, mikroskopijnym i kaligraficznym pismem wpisana była pierwsza strofa z *Robaka zdobywcy*, i tak dalej. Po obrazku następowała zawsze

kartka z cytatem z jakiegoś teoretycznego tekstu Poe'go, a po niej kartka z cytatem z *Ligei*, który ilustrował ten teoretyczny postulat. Na końcu każdego cytatu była wymalowana piękna, regularna gwiazdka, a na dole pod ozdobną kreską wcale nie odsyłał do właściwej strony i wydania tekstu, lecz komentarz do cytatu. Na przykład: „Jest oczywiste, że to początkowe zdanie doskonale obrazuje wyobrażenia Poe'go o tonalnym zabarwieniu”. Albo: „estetyka makabry, wyrażona w słynnym *the death, then of a beautiful woman is, unquestionably, the most poetical topic in the world*, nie mogła znaleźć bardziej wyrazistego obiektu niż ten wysniony portret kobiety, której przytrafi się to, co nie mogło się przydarzyć przyjaciółce Poe'go”. Czy te inteligentne komentarze wymyśliła Wendy? Miałem dziwne poczucie rozczarowania: tak jakby tę wspaniałą jedność numerów i kolaży naruszyła ingerencja własnych przemyśleń Wendy. Potem pomyślałem o surowym koledze Websterze i jego świętej wojnie z plagiatami, więc spędziłem cały dzień w bibliotece, na co normalnie jestem zbyt leniwy. Był to jednak owocny dzień, który ostatecznie zaspokoił moją potrzebę jednolitego stylu. Uwagi pod kreską były też cytatami, ale tym razem nieujawnionymi. To z kolei też mnie trochę zmartwiło – podważało przecież absolutną uczciwość edytorskiej pracy Wendy – ale ona jednak okazała się uczciwsza, niż przypuszczałem. Dwa dni po oddaniu pracy czekała na mnie przed salą zajęć i z miną, z jaką dziewczyny z Kostelca usprawiedliwiały się profesorowi Bivojowi, że z powodu „niedyspozycji” nie mogły napisać wypracowania, podała mi kartkę papieru, którą „przez pomyłkę zapomniała włączyć do swojej pracy”. Nosiała tytuł POSTSCRIPTUM (litery znów z Arcimbolda – „P” jako stojąca na baczność piersiasta kobieta z profilu) i zawierała pełny spis źródeł krytyczno-literackich, na których częściowe wysłędzenie straciłem cały dzień.

Nie mogłem więc nawet zarzucić jej plagiatu. Spędziłem nad pracą jeszcze jedno popołudnie i bił się we mnie solidny, dobrze opłacany profesor z poputczykiem surrealizmu. Ostatecznie wygrał poputczyk. Za pracę o objętości niewielkiej dysertacji dałem jej B, uzasadniając to bezsensownym pingwinem w oku Roweny. Wendy była rozczarowana: za tak ogromny wysiłek oczekiwała lepszej oceny. Dlatego obawiałem się, że w następnej pracy wybierze bardziej konwencjonalną formę. Jednak tekst o Hawthornie nie został napisany, lecz stworzony: na różnobarwnym papierze, a każdą stronę zdobiła w nagłówku wielka, szkarłatna litera, wycięta z jedwabiu i nie przyklejona, lecz przyszyta do kartki ozdobnym ścięciem. Razem litery te stworzyły napis: *ADULTERY: VOLUNTARY SEXUAL INTERCOURSE OF A MARRIED PERSON WITH SOMEONE OTHER THAN HIS OR HER LAWFUL SPOUSE*. Na podstawie tego można się zorientować w długości pracy.

Był to jednak jedyny tekst, jaki ta praca zawierała. Dałem jej A minus.

Och, Wendy!

I podczas gdy Ted Higgins mówi, że – jak napisał Lelland Schubert – precyzyjną symetrię *Szkarłatnej litery* tworzą trzy sceny pod szubienicą: na początku, w połowie i na końcu powieści, a między nimi, znów symetrycznie, wkomponowano pary rozdziałów, po dwie i po trzy, w lustrzanym odbiciu, co w dodatku – jak napisał Lelland Schubert – obramowane zostało tekstami luźno związanymi z powieścią: „Urząd Celny” i „Zakończenie” ... Więc podczas gdy Ted Higgins opowiada, co takiego napisał Lelland Schubert, mój wzrok pada na coś, co napisał Nathaniel Hawthorne: „– Moje wypanie – przemówiła pięćdziesięcioletnia jejmość o twardej rysach – ja wam powiem, co o tym myślę. Zdało-

by się bardzo dla publicznego dobra, żebyśmy to my, kobiety w latach dojrzałych i członkinie Kościoła o dobrej reputacji, wzięły w swoje ręce sprawę takiej zbrodniarki jak ta Hester Prynne. (...) – Ta kobieta ściągnęła hańbę na nas wszystkie i powinna umrzeć – zakrzyknęła inna, najbrzydsza, a także najbardziej bezlitosna z samozwańczych sędziów”^{*}.

Podnoszę wzrok i patrzę na białe pustkowie za oknem, zakończone grubą, czarną kreską jeziora Ontario, oddzielającą w zimie mroźną równinę od posępnych i wspaniale szarych obłoków. Po chwili przestawiam się na swój wewnętrzny wzrok i przed oczami defiluje długi pochód najbrzydszych, bezlitosnych kobiet; wszystkie je znałem i każda z nich raz czy więcej razy pojawiła się w kręgu mojego życia w rolach podobnych do fikcji Hawthorne’a. Wszystkie domagały się kar surowych, ale sprawiedliwych, jak to nazywano nie tylko w Salem, ale także w moim kraju. Kobiety młode i stare, jednonogie i garbate, ważące sto trzydzieści i trzydzieści kilo, o końskich twarzach albo końskich nogach, a nawet kobiety na pierwszy rzut oka niedotknięte kompleksem niższości, ale skaleczone gdzieś w środku, przez żart biochemii, albo pozbawione miłosierdzia, co jest znakiem niepełnowartościowej duszy.

– Zatrzymała mnie w Moskwie na placu Czerwonym – opowiadała mi kiedyś dawno pewna dziewczyna, niejaka Jana Honzlova, śpiewaczka – i mówi: „Towarzyszko Honzlova, natychmiast pójdziecie do hotelu i przebierzcie się! Uświadomcie sobie, że reprezentujecie Czechosłowację! A wy tu chodźcie jak jakiś bikiniarz!” Chodziło o moją sukienkę, którą sobie sama uszyłam, bo nie stać mnie było na kupowanie w sklepie, a tym bardziej szycie u krawcowej. Przyszyłam do niej dwie wielkie kie-

^{*} Cytaty ze *Szkarłatnej litery* w przekładzie Bronisławy Bałutowej.

szenie, do których zmieściłby się Marks łącznie z *Kapitałem*, żebym nie musiała ze sobą targać torebki. Strasznie tego nie lubię i wszędzie chodzę z plecakiem. Faceci nawet nie wiedzą, jak mają dobrze z tyloma kieszeniami. Ta zezowata krowa ryknęła do mnie po rusku, choć mówiła w tym języku jak I sekretarz Komunistycznej Partii Pigmejów. Specjalnie, bo na tym placu Czerwonym stała z Borysem, a to był naprawdę bardzo przystojny rosyjski blondyn i na dodatek hrabia. „Zrozumieliście, towarzyszeko Honzlova?” Zrobiła to z czystej zazdrości, towarzyszka jedna! – syczała jadowicie Honzlova.

Ze starszej warstwy wewnętrznego świata przeskakuję do nowszej, do uczelni Edenvale. *The Blithedale Romance*: „Świat doszedł już do tak złego gustu, że człowiek w bardziej bezczelny sposób nie potrafi wyrazić pogardy dla bliźniego swego niż wtedy, gdy zwraca się do niego per przyjacielu. Użycie tego słowa najdobitniej podkreśli skrytą nienawiść, która szczególnie silnie wprawia w ruch różne sekty i tych, co z jakichkolwiek powodów odizolowali się od społeczeństwa”.

– Cholerna towarzyszka! – ciągnęła dalej Honzlova. – Taka towarzyszka, że można by z niej zrobić trzy i każda byłaby tłusta jak świnia. Nawet gdyby sobie szyła u Rosenbauma, to ciągle by wyglądała jak spasiony bałwan! – Honzlova prychała ze wściekłością, choć wszystko to wydarzyło się dwa lata wcześniej, w ataku irracjonalnej kobiecej wściekłości, która – zdaniem Hawthorne’a – ujawniając podświadomą prawdę serca, pokazuje przy okazji prawdę o tym świecie, nieustannie fałszowaną i retuszowaną przez piękne słówka...

– Ta krowa jedna! Gruba beka! Jak jeszcze raz z czymś na mnie wyskoczy, to jej wsadzę pod żebro tego knypa! – Honzlova wyciągnęła z kieszeni (w której zmieściłby się nie tylko Marks z *Kapitałem*, ale chyba nawet żywy towarzysz Breżniew) scyzoryk z dziewczyną w wol-

no opadającym kostiumie kąpielowym (zapewne prezent od koleżanki z wyjazdu na Zachód, na który Honzlovej nie puścili) i pomachała mi nim przed oczami. – Pieprzona cipa! Żeby ją tak ktoś brutalnie zgwałcił! Na śmietniku! I żeby tak złapała syfa! I inne świństwa! Tfu, na psa urok! – wykrzykiwała interpretatorka romantycznych pieśni ludowych, a mnie wprawiało to w zachwyty, bo też znałem towarzyszkę Satrapovą. Kiedyś napisała o mnie anonimowy list do sekretariatu Związku Pisarzy, że sypiam z żoną jakiegoś towarzysza Kozaka, o którego istnieniu nawet nie wiedziałem (potem się okazało, że pomyliła mnie z kimś z aparatu partyjnego, z którego żoną sypiał ten Kozak), i nie zauważyła, że ten anonim powstał na odwrocie papieru firmowego Państwowego Zespołu Pieśni i Tańca „Stokrotka”, na którym wcześniej tworzyła tekst rezolucji protestacyjnej przeciw sztuce Vratislava Blažeja *Gdzie jest referent?*. Na zebraniu rady zakładowej „Stokrotki” tekst nie został zatwierdzony, ponieważ w „Rudym Pravie” ukazała się pozytywna recenzja sztuki, choć z zastrzeżeniami. Satrapova schowała jednak sobie tekst tej rezolucji do ewentualnego późniejszego wykorzystania (był dość uniwersalny). Wkrótce sztukę sfilmowano, „Rude Pravo” oskarżyło ją o titoizm i organizacja związkowa „Stokrotki” uchwaliła nową rezolucję, również autorstwa Satrapovej, ale tym razem ostrzejszą. Dzięki Honzlovej łatwo wytropiłem autorkę tekstu na odwrocie, a zirytowana dziewczyna chwyciła mnie za rękę:

– Ty, słuchaj! Posłuchaj! Znasz Cincibusa? Tego dźwiękowca? Jak do nas przyszedł, był zielony ze strachu, bo na pierwszym koncercie się zorientował, że mikrofon mu nie łapie głosu Satrapicy. Stary, on tak się starał, żeby było słyhać to jej gęganie, że podsunął go jej pod samą gębę i o mało go nie połknęła, a tu i tak nic z tego. Słyszał nas trzy, a Satrapovej ani trochę. No, więc mówi:

„Jano, albo całkiem straciłem słuch, albo to jest zagadka światowej akustyki! Ten mikrofon – a to jest nowiusieńki zachodniemiecki Braun – nie tylko nie łapie głosu Satrapicy, i to w ogóle!, ale jeszcze w dodatku wasz kwartet brzmi jak trio! Ja po prostu zeświruję! Przecież tu chodzi o mój zawodowy honor! O takim zjawisku akustycznym nie czytałem ani w naszej, ani w zachodniej literaturze przedmiotu!” Czy ty to rozumiesz? – z tym pytaniem Honzlova zwróciła się do mnie.

– Nie – odparłem. – Ona co prawda nie ma głosu jak słowik, ale może wydaje takie tony, które słyszą tylko słowiki, podczas gdy my myślimy, że one tylko bezgłośnie otwierają dzioby?

– No, zgadłeś! Ta bulwa koślawa ma głos tak zwany kadrowy supersopran! – Kulturalna Honzlova znów zaczęła strasznie przeklinać, aż jej głos sam z siebie przeskoczył na strasznie wysokie tony.

– Co to jest kadrowy supersopran? – spytałem, a ona wytłumaczyła mi, podobnie ja wtedy Cincibusowi. Mikrofon nie łapał głosu towarzyszki Satrapovej, ponieważ na scenie ona głosu nie wydawała, a to z tego powodu, że nie umiała śpiewać, natomiast była sekretarzem organizacji partyjnej Państwowego Zespołu Pieśni i Tańca „Stokrotka” oraz stałą współpracownicą Ministerstwa Spraw Wewnętrznych, więc posiadała doskonale kwalifikacje do sprawowania nadzoru nad zespołem podczas występów w kapitalistycznej zagranicy.

– A to trio? Jak możecie brzmieć jak trio, skoro macie piosenki zaaranżowane na kwartet?

– Ty to jesteś przygłup, ty saksofonisto z Koziej Wólki – odparła Honzlova. – To jest proste jak drut! Fedor Krsziak, który aranżuje te piosenki, robi je od razu dla tria! Przecież to publiczna tajemnica, że towarzyszka Satrapova śpiewa jak gwizdek na psy.

Przypomniałem sobie tę szczególną osobkę, której mówiony folklor był bardziej oryginalny niż ten, z którego śpiewania żyła; przypomniałem sobie o niej teraz, przy okazji Hawthorne'a. Słońce wyszło ponad równinę ontaryjską i ta zaczęła migotać jak bożonarodzeniowa witraż u Eatona. Nie, ludzie się nie zmieniają, a żadne reżimy nie są całkiem nowe. Są tylko potężniejsze. Boże, miej nas w swej opiece. Hawthorne przecież pisze: „Czyż nie potraficie sobie wyobrazić, że ktoś może myśleć o świecie przychylnie i chcieć jego dobra na podstawie zupełnie innych idei niż te, które wy wyznajecie?” Hawthorne pyta o to radykalnego kolegę, dla którego, podobnie jak dla Hollingwortha, „ludzkość nie jest niczym więcej niż zaprzęgiem wołów, upartych, głupich i powolnych, które trzeba popędzać batem. Ale czy my jesteśmy jego wołą? I co daje mu prawo być naszym woźnicą?” Hawthorne nie był jednak naukowcem, a radykał tylko by się uśmiechnął nad tym cytatem, za którego pomocą staram się ilustrować niezbyt zainteresowanej młodzieży leninowską zasadę kierowniczej roli awangardy klasy robotniczej. Ideologia naukowa to nie *contradictio in adiecto*, powiedziała by, gdyby potrafił być uczciwy. To metoda, jak wykorzystać fałszywą świadomość.

* * *

Daniel,

Urodził nam się, waży dwa kilo dwadzieścia i będzie się nazywał David. Ty chyba sobie nie potrafisz wyobrazić, jak bardzo jestem szczęśliwa. A może potrafisz? Wiesz o mnie wszystko, i to, jak mi było, kiedy wreszcie wróciłam do domu, a Leo był zaginiony i ja zupełnie wariowałam, że go zabili. Ale to już jest za nami, za obydwójgiem, poza wszystkim! Teraz JEST David i Ty MUSISZ przyjechać na chrzciny. To oczywiście żart – my, tacy ortodoksyjni Żydzi – naturalnie nie będziemy Davida chrzcic, a co się zamiast tego robi

żydowskim chłopcom, tego z wrodzonego wstydu Ci nie napiszę. Będzie tam też Vanda i jedna moja daleka kuzynka, ostatnia, która została z całej naszej rodziny. Jak Cię znam, na pewno Cię zainteresuje. Ma dziewiętnaście lat i właśnie ją przyjęli do akademii dramatycznej. Ale zresztą po co się męczę i namawiam, żebyś przyjechał. Ty i tak przyjedziesz! Dla Davida, żebyś był obecny, gdy zostanie ochrzczony.

Twoja Rebina

* * *

Stawało się dla mnie coraz bardziej oczywiste, że proces zakończy się katastrofą. Milan w dobrze wyczyszczonej konfekcji marki Przemysł Odzieżowy Prostejov stanął przy barierce dla świadków i położył dłoń na nigdy nieotwieranej Biblii, ale zaledwie wypowiedział pierwsze słowa po angielsku – *so help my God* – z błędem nawet w tak prostej formułce, natychmiast straciłem nadzieję. Nie odzyskałem jej już przez całe przesłuchanie.

Celem obrońcy Milana w tym kanadyjskim miniprociesie-monstrum było po pierwsze: wykazanie, że Milan był w Czechosłowacji prześladowany i dyskryminowany z powodu swoich przekonań politycznych i religijnych, a po drugie: że jeśli zostanie deportowany z Kanady do Czechosłowacji, będzie znów poddany prześladowaniom i narażony na utratę wolności czy nawet życia. Po stronie kanadyjskiej słowo „wolność” wystąpiło po raz pierwszy i ostatni, natomiast Milan powtarzał je jak opętany. Sąd, jak się wydaje, słowem tym nie był zainteresowany. W napięciu słuchałem, jak człowiek zagrożony deportacją stara się opisać samego siebie jako ofiarę prześladowania chrześcijan, i ponuro wpatrywałem się w twarze członków składu sędziowskiego. *His Honor Mr Justice Przitelczuk* dawał pewną nadzieję. *Mr Melieux* – nie wiedziałem, co mam o nim myśleć. *Mrs Braithwaite* wyglądała jak jedna z kobiet z Hawthorne’a

i gdy tylko mój wzrok spoczywał na wielkiej brodawce na jej nosie, natychmiast gasł optymistyczny ognek nadziei, który zatlił się dzięki pełnemu spółgłosek nazwisku sędziego. Oskarżyciel miał niespełna trzydziestkę i nie posiadał żadnych cech szczególnych, z wyjątkiem wielkiego sygnetu.

Milan starał się, jak mógł. Z pseudozdań, które brzmiały jak nieznane idiomy, dało się jakoś zrekonstruować jego życiorys: syn drobnego przedsiębiorcy, którego jednak po Zwycięskim Lutym 1948 roku* zostawili w jego dawnej firmie jako kierownika (wstąpił do partii komunistycznej), po maturze chciał studiować na wydziale elektryczności słaboprądowej, ale ponieważ zabrakło tam miejsc, musiał iść na elektroenergetykę i dopiero po roku się przeniósł. Mimo rozpaczliwej walki z językiem i faktami Milan nie za bardzo zbliżył się do chrześcijan rzucanych lwom na pożarcie. Patrzyłem na *Mr Justice* Przitelczuka i myślałem o pokonanych oddziałach Bandery uciekających z Ukrainy, a potem na ławnika Melieux, i przed oczami stała mi wizyta generała z dużym nosem w Quebecu. Milan zeznał, że po absolutorium proponowali mu pracę w Brnie, ale odmówił i znalazł sobie w Pradze robotę jako szef konserwatorów hotelu Flora, co nie odpowiadało jego zdobytym kwalifikacjom. Przyszło mi do głowy, że z Pragi do Brna jest najwyżej taka odległość jak z Toronto do Buffalo. Milan mógł przynajmniej dodać, że tam nie było autostrady.

Jedynym jasnym punktem był świadek obrony pan Newton z Ontario Center w budzącym zaufanie businessuicie, który przedstawił Milana jako posiadacza wszystkich starokanadyjskich cnót. Ale tu trzeba było

* Przejęcie władzy przez komunistów.

udowodnić prześladowania, a nie dowieść zapału Milana, jego optymizmu i pragnienia osiągnięcia sukcesu.

Była to taka gra. Słowem „wolność” starał się w niej szermować wyłącznie człowiek zagrożony deportacją. Wydawało mi się, że w tych laminowanych ścianach to słowo brzmi staromodnie, jak przeżytek. Świat już poszedł dalej. Wcale nie chodzi o wolność, o jakiś absolutystyczny idealizm szaleńców z XVIII wieku, tylko o dopuszczalną miarę jej ograniczenia. Dopiero dalej zaczyna się sfera prześladowań. Takie słowa, jak szykany czy prześladowania, brzmiały znacznie bardziej nowocześnie.

A Milan z uporem powtarzał swoje: fridm, fridm, fridm. Słowo to spadało jak ziarno na glebę zbyt wyjałowioną wielokrotnymi zbiorami. Siedzę tu teraz nad resztką knedlików i obserwuję go, pobladłego i wcale nie tak optymistycznego, jak twierdził jego szef, bo werdykt pozna dopiero za dwa tygodnie. Zastanawiam się, czy facet Melieux z Quebecu i monarchistka Braithwaite uznają „fridm” za wystarczający powód. Zrozumieją, o co chodzi? Może zrozumie Przitelczuk. Tajemnicze prawa skojarzeń powodują, że przeskakuję w myślach do Ireny Svensson, która – przynajmniej na moim kursie – stała się po prostu kujonem. Ona zrozumiała. Dałem wszystkim zadanie, żeby na następne zajęcia każdy pomyślał, co ze *Szkarłatnej litery* jest relewantne dla współczesnych czasów. Opętany własną obsesją nie oczekiwałem, że Bellissimmo uzna za relewantną pruderię seksualną, jaka ponoć do tej pory panuje w Kanadzie; że dla Teda Higginsa relewantna jest forma powieści, bo – jak twierdzi Lelland Schubert – ma charakter symetryczny, a Wendy przyzna, że nic jej się nie udało wymyślić, bo nie za bardzo wiedziała, co znaczy słowo „relewantny”, a gdzieś zapodziała słownik. Irena Svensson – na głowie vidal sassoon, w ciemnozielonym ko-

stiumie z bursztynowymi guzikami i wpiętą orchideą – otworzyła książkę dłonią, na której jasnym złotem lśniła bursztynowa bransoletka, i niemal z oksfordzką wymową powiedziała: – Strona sto dziewiętnasta krytycznego wydania Nortona. – I zaczęła czytać: – „Pozwalała sobie na rozmyślenia i spekulacje dość powszechne po drugiej stronie Atlantyku, lecz gdyby wiedzieli o nich nasi przodkowie, uznaliby je za grzech bardziej śmiertelny niż ten, który piętnowała szkarłatna litera”. – Zamknęła książkę i ciągnęła dalej tonem młodego naukowca: – W przypisie pod kreską wydawca mówi, że tutaj Hester wykazuje charakterystyczne rysy bohaterki feministycznej. Ja jednak uważam, że ten fragment ma znacznie szersze znaczenie i dlatego jest tak istotny dla współczesnych czasów i dla świata, w którym żyjemy. W niektórych krajach intelektualny nonkonformizm do tej pory uważany jest za znacznie cięższe przewinienie niż polite przestępstwa, nie wspominając już nawet o moralności seksualnej.

Zrozumiała. Miałem nadzieję, że zrozumie również *Mr Justice Przitelczuk* i we właściwy sposób wpłynie na swych ławników.

* * *

– Już wymyśliłeś? – przyparła mnie w poniedziałek Nadia podczas drugiego śniadania.

– Jeszcze nad tym myślę. To... dosyć skomplikowane...

– Ale powiedz mi!

– Jak to będę miał całkiem wymyślone, Nadiu. Trzeba też to będzie narysować...

Oczy Nadii lśniły w cieniu wiertarki niczym błyszcząca stal. W całej wielkiej hali fabrycznej rozłożyli się ze śniadaniem mężczyźni w drelichach i kobiety w bardzo różnych strojach – od ubrań roboczych aż po za-

tluszczoną szarą spódnicę i pocerowany sweter Nadii. Przez pomalowane na niebiesko okna w suficie sączyło się na nas trupie światło zimowego poranka. Nadia oblizywała sobie palce ze smalcu. Miała je też ubrudzone smarem z wiertarki.

– Będę też musiał jeszcze coś zmajstrować, zanim...

– Zanim co?

– No, zanim będę mógł zacząć.

– Ty? A ja to co? Przecież obiecałeś, że wymyślisz też coś dla mnie!

– No nie wiem, Nadiu. To jest ryzyko...

– Takie rzeczy to zawsze ryzyko.

– No właśnie...

– Ja się nie boję!

– Ale ja się boję.

– To tego nie rób!

W oczach coś jej zaświeciło. Pogarda? Nagle była to jakaś inna Nadia.

– Boję się ciebie w to wciągać.

– Przecież jest odwrotnie – zaprotestowała. – To ja ciebie wciągam. Ty tylko musisz to wymyślić, bo od tego jesteś facet, nie?

– No właśnie. To jest sprawa dla facetów – i tu niemal zacytowałem Przemę. – Wydaje mi się nieodpowiedzialne wciąganie w to naszych kobiet.

– A czy ja jestem twoja kobieta? Ja mam narzeczonego i to nie jesteś ty.

– No widzisz. A może najpierw spytałabyś Frantę?

– On by mi nie pozwolił.

– A ja ci mam pozwolić?

– Ty mi nie masz co pozwalać.

Rozległa się syrena, koniec śniadania. Szvestka i Hetflajsz za nami zerwali się na równe nogi i natychmiast zaczęli walić młotami pneumatycznymi w duraluminium. My siedzieliśmy dalej.

– Nadiu, ale ja... – zacząłem, lecz nagle za mną odezwał się gestapowski głos obermajstra kontroli Otto-na Uippelta:

– *Na, meine Herrschaften?*

Delikatnie zwracał nam uwagę, że nie zachowaliśmy się tak wzorowo, jak Szvestka i Hetflajsz. Nadia starała się to naprawić, ale uderzyła głową o uchwyt wiertarki i znów usiadła, rozłożywszy w powietrzu nogi w barchanowych rajstopach i górskich butach jak Chaplin w filmie. Ja też się zerwałem, nie wpadłem na nic, odwróciłem się do oberkontrolera, ale zanim zdążyłem coś zrobić, z ust wyrwało mi się dixielandowe:

– *Sorry!*

Natychmiast się ugryzłem w język, ale było już za późno. Uippelt w zdumieniu uniósł brwi, aż mu spadły binokle. Gag za gagiem. Patrzył na mnie jasnoniebieskimi oczami spod krótkiego języka, a wąsik à la Wódz drgał mu nerwowo na okrągłej twarzy. Przyszła mi do głowy absurdalna myśl, że wygląda jak pan Babbitt, którego właśnie czytałem, nawet w oryginale.

– *Was... haben... Sie... gesagt?* – spytał powoli Herr Uippelt. Raczej jednak ze zdumieniem niż z groźbą.

A ja, zahipnotyzowany jego wzrokiem i całkiem ogłupiały, brnąłem dalej:

– *I'm sorr... Verzeihen Sie, Herr Obermeister!*

– *War... das... Englisch?*

– *Ja, bitte. Ich... ich...*

– *Kommen Sie mit mir* – powiedział i odwrócił się do mnie tyłem. Na ciemnoszarym filcowym płaszczu miał na wysokości siedzenia odcisnięty hakenkrojc, który jakiś partyzant namalował kredą na krześle. Zrobiłem głupią minę do Nadii, ale w istocie strasznie mi się zachciało do toalety. Nadia do mnie nie zrobiła żadnej miny. Widać było, że najzwyczajniej jest przerażona. Taka głupota, żeby tę wiejską dziewczynę wciągać

w jakieś awantury. Ale oczywiście całkiem się myliłem. Nie wiedziałem, że Nadia po prostu nie kieruje się gangsterską etyką, którą ja czerpałem z wyszmelcowanej książki Przemysła Życie Legsa Diamondsa, i nie wie, co to jest *poker face*. Gdyby jej strach o siebie miał się mierzyć z moim...

Idąc, wpatrywałem się w gruby kark Uippelta. Przyszła mi do głowy absurdalna myśl, że przecież on wcale nie jest gruby, tylko źle ostrzyżony. Miałem wrażenie, że narobię ze strachu w portki. Lodowata panika myszy w pułapce. A przecież jeszcze nic się nie stało! I pomyśleć, że ja chciałem organizować sabotaż! Ludzie!

Doprowadził mnie do swojego szklanego kantorka i usiadł za biurkiem, pokrytym różnymi wykresami. Ja stałem. Po chwili uświadomiłem sobie, że stoję na baczność.

Popatrzył na mnie przenikliwie, ale nie było to jego zwyczajowe spojrzenie *geheime Staatspolizei*.

– *Sorry...* – powiedział w zamyśleniu. – *Warum haben Sie diesen Englischen Ausdruck benützt?*

– *Ich... ich lerne Englisch. Es kam heraus... ganz automatisch...*

– *Warum lernen Sie Englisch?*

Do diabła! Właściwie dlaczego obywatel Protektoratu uczy się angielskiego, skoro Rzesza prowadzi zwycięską wojnę z mówiącym po angielsku światem? Dlaczego nie włoskiego? Albo, biorąc pod uwagę wojenne sukcesy Włochów, na przykład nie japońskiego?

– *Ich... wir haben es in der Schule gelernt. Ich... will es nicht... vergessen...*

– *Warum wollen sie's nicht vergessen?*

Zapędzał mnie w kozi róg, stosując znaną taktykę wojskową.

– *Ich... ich...*

– *Na?*

Znów coś chlapnąłem. Autorem ewidentnego kłamstwa był tym razem pan nauczyciel Katz, zapewne już martwy.

– *Was einer weiss, das kann einem niemand nehmen.*

Uippelt uniósł brwi i nasadził binokle, a ja czułem, że robię w gacie. Wbrew własnej woli wygłosiłem mocno kolaborancki tekst:

– *Ich meine... nach dem Krieg werden wir... ich meine, die Deutschen werden England besetzen... und dann werden wir... vielleicht... auch benutz...*

Oczka zamrugały i pan obermajster nachylił się w moją stronę. Czekałem na wybuch w barokowym stylu, ale Herr Uippelt mruknął poufale półgłosem:

– *Bullshit.*

Musiałem się chyba przestyszeć. Mechanicznie szukałem w myślach jakiegoś niemieckiego słowa, które brzmiałoby podobnie. Ale obermajster ciągnął dalej:

– *Don't kid me, son. You don't believe we're goin' to win this war.*

Całe niemieckie zdanie na pewno nie mogło brzmieć jak angielskie. Zwłaszcza że miałem wrażenie, jakby mówił to Wallace Beery.

– *You...* – wyjąkałem. – *You speak English?*

– *Sure, I do* – odparł Mr Babbitt. – *Ever heard about the Bund?*

– *Su...* – ugryzłem się w język, ale zaraz mężnie dokończyłem. – *Sure, I have.*

– *I was one of them* – stwierdził i melancholijnie zdjął binokle. – *Ich hab heim ins Reich gekehrt.*

Westchnął? Patrzył na mnie badawczo. Ale dlaczego? A potem rzeczywiście westchnął.

– *Na gut. Nächstes Mal passen Sie auf, was Sie sagen. Sie können gehen.*

– *Jawohl. Danke schön.*

O mało nie stuknąłem obcasami, ale obermajster wyglądał już bardzo anglosasko. Odwróciłem się i wybiegłem z kantorka. Kiedy po chwili obejrzałem się za siebie, Uippelt wciąż siedział nieruchomo w swojej kanciapie i wpatrywał się w pustkę. Rzeczywiście niezwykle podobieństwo, wypisz wymaluj Georgie F. Babbitt.

Obszedłem halę i zobaczyłem Nadzię. Pracowała jakoś niezwykle ochoczo, może dlatego, że stał nad nią Hetflajsz i bał się, że nie dostanie gorzałki. Strach całkiem ze mnie opadł i zastąpił go świetny nastrój.

Nadia wcisnęła Hetflajszowi gotowy krzyżak w rękę. Hetflajsz wybiegł, a ona zaczęła robić następny. Ja też od niechcienia zabrałem się do roboty. Nadia syknęła:

– Słuchaj, co to było, Dan?

– Trzymaj się, Nadia – szepnąłem. – Nasz pan obermajster to Amerykanin!

* * *

Zanim udali się na naradę, ostatnie słowo wygłosił jeszcze prawnik z sygnetem. Było krótkie, ale dobitne:

– Pan Fikejz – mówił młodzieniec w stroju prosto od krawca – próbował udowodnić, że jeśli zostanie deportowany do Czechosłowacji, zostanie oskarżony i uwięziony, czyli będzie spełniony warunek przesładowania, dzięki któremu Wysoki Sąd mógłby mu nadać status uchodźcy. Jednak kiedy pan Fikejz zdecydował się opuścić Czechosłowację, wiedział, że łamie w ten sposób obowiązujące tam prawo. Naturalnie możemy mieć swoje zdanie na temat tego prawa, ale nie zmienia to faktu, że prawo to obowiązuje w kraju pana Fikejza i on je naruszył z pełną świadomością tego, że będzie za to pociągnięty do odpowiedzialności. Jeśli więc po deportowaniu do Czechosłowacji zostanie aresztowany, nie można tu mówić o przesładowaniu, lecz jedynie o odpowiedzialności karnej.

Wszyscy oklapliśmy. Po angielsku to zdanie zabrzmiało jak letrystowski *wisecrack*: *It will not be PERsecution, but merely PROsecution.*

Teraz Milan siedzi nad misą niedojedzonych knedlików. Debilinka głaszcze go wymalowaną dłonią, a pan Mourek pyta, czy chcemy coś słodkiego na ząb. Z kolei Larry Hakim (dla odmiany dezertier z Wietnamu) zacytował Irenie Svensson Hawthorne'a: „Ze wszystkich możliwych hipokryzji niewątpliwie udało nam się osiągnąć tę najbardziej jałową, kiedy próbowaliśmy wprowadzić jedynie słuszny system”. On to odnosił do Ameryki.

Może i coś w tym jest również w przypadku Ameryki. Ale mnie, zahartowanego w Europie Środkowej, nie musi to tak bardzo interesować. Czy to, co jest ważne dla Ireny, może interesować Mr. Melieux? Niby dlaczego?

* * *

Moja ukochana Liduszko,

Od czasu mojego powrotu nie było nawet godziny, żebym o Tobie nie myślał. Nieustająco widzę przed sobą Twoją białą twarz, tak wspaniale jasną, chociaż Ty się ze mnie śmiejesz i mówisz, że jest beżowa i piegowata. Dla mnie jest biała jak świeży śnieg. Nie mogę też zapomnieć Twojego przepięknego kraju i tego, jak szczęśliwie tam ludzie żyją i jakie mają wspaniałe warunki. Ty wiesz – rozmawialiśmy o tym często i długo – że w kraju, w którym mieszkam, wiele rzeczy mi się nie podoba. Jest to jednak moja ojczyzna, więc chciałbym, żeby tu także ludzie mieli to samo co u was. Mam dla Ciebie małą niespodziankę, która z pewnością bardzo Cię ucieszy. Jak tylko wróciłem, odwiedziłem sekretariat Partii Komunistycznej i poprosiłem o przyjęcie mnie w poczet członków. Towarzysz Slepidae, który jest szefem sekretariatu, obiecał, że moją prośbę rozpatrzą już na najbliższym zebraniu. Jak się cieszę, że wkrótce będę Ci mógł napisać, że ja też jestem towarzyszem! I to nawet bardziej towarzyszem niż Ty, bo jesteś przecież na razie dopiero

członkiem Socjalistycznego Związku Młodzieży. U nas jednak takiej organizacji nie ma. Ta, która się nazywa Liga Młodych Socjalistów, to trockiści i w dodatku połowa z nich to Żydzi, więc nie chcę mieć z nimi nic wspólnego. Zresztą nie nadają się do organizacji młodzieżowej z powodu wieku. Jestem jednak przekonany, że nim towarzysze rozpatrzą nasze podania – moje tutaj, a Twoje w Pradze – ty także zostaniesz członkinią Partii. Potem z przeniesieniem się do naszej Partii na pewno nie będzie żadnego problemu.

O, Happy Day, jak się śpiewa w tym popularnym spirituału! Jak ja się cieszę na tę chwilę! O Happy Day! Moja najdroższa Liduszko, wiesz, co mam na myśli, pisząc o tym dniu...

Twój i tylko Twój

Booker

* * *

Spróbowałem przekazać Nadii te kilka wrywkowych informacji, jakie miałem na temat amerykańskiego Bundu. Strasznie ją to przeraziło:

– Panno Przenajświętsza! On naprawdę wrócił z Ameryki? Do Rajchu?

– Może go stamtąd wylali?

Widać było, że się nad tym zastanawia. Zimne światło odbijało się w opiłkach aluminium na jej woskowych policzkach. Wielkie oczy płonęły w tym wosku jak dwie gromnice.

– Mogło tak być – odezwała się po chwili. – Przecież takim kretynem to chyba nawet Niemiec nie może być. Żeby wracać z Ameryki do Europy!

* * *

Grabulka, Daniels!

Wyobraź se, że jest ze mnie teraz reakcjonista, na szczęście z prognozą uzdrowienia, i żeby ta prognoza się sprawdziła, uzdrawiam się na kamandirowce w kopalni węgla brunatnego

w Kladnie. A wszystko przez ten głupi pomysł, żeby napisać sztukę! Ja, malarz-realista i prawie absolwent szkoły graficznej! Że też tyś mnie, człowieku, nie palnoł wtedy w łeb! Tylko że ty pewnie o tym nic nie wiesz, bo dla ciebie kultura kończy się na tym, co wydmucha saksofon, a najwyżej jak w jakiejś sztuce teatralnej rozbiera się jakaś sztuka.

Moja sztuka to była przypowieść w stylu takich, co nam opowiadał wielebny ksiądz Meloun; o synu marnotrawnym i o tej dziwce, co ją Chrystus Pan obronił przed ukamienowaniem, bo mu się chyba podobała, no i takie tam kawałki z życia. Ja sobie wybrałem takie coś o Arce Noego. Rozumisz, jak budują tę arkę i jedni zapieprzają, a drudzy się opieprzają, cwancykują i podkładają sobie świnie. Znasz to, nie? Albo może i nie znasz, bo nie jesteś w partai. Ty pewnie o mnie myślisz, że jestem kretyn, że jestem w tej partai i że od razu nie wiedziałem, że wszystko jest trochę inaczej i że myślałem, że wszystko jest dokładnie tak, jak miało być, i dlatego dziś partajnik baranieje, a bezpartajnik się dziwi. Tylko że ja, ty cwaniaczku, zawsze byłem mało cwany, nieostrożny i zapalony. Mnie już w czasie kryzysu było żal tych robotników, jak stali bez roboty, a ja chodziłem koło nich po flaki do Souczków. Ty też czasem ze mną chodziłeś, ale ty nawet ich chyba nie widziałeś, bo zawsze byłeś introwertyczne bydlę. No więc zaraz po przewrocie władowałem się do tej partai i do dziś myślę, że miałem rację, tylko że wtedy partaja wydawała mi się jak Greta Garbo, a dopiero dziś widzę, że ma na mordzie różne wady kosmetyczne. No ale tylko takie narcyzy jak ty przestają być zakochani, jak kobiecie wyskoczy syf na nosie.

Teraz o tych wadach kosmetycznych:

Sztuka składała się z dwóch części. Pierwszą napisał aktor Sztioviczek, nazywała się „Ksenia Latrynowna Stolicznaja” i mówiła o towarzyszcze referentce szaletów publicznych, czy też, jak się mówiło przed wojną, babie klozetowej. I właśnie ta towarzyszka przedstawia pomysł racjonalizatorski, żeby

lepiej i radośniej wykorzystać moce przerobowe publicznych odlewni, na które w czasach republiki burżuazyjnej istniało zbędne obce słowo tualety (lud. kibel, z niem. Der Kübel). Według tego pomysłu wszyscy ludzie pracy, którzy zgłoszą się do publicznej odlewni z powodu dużej potrzeby, najpierw płacą, a potem ustawiają się w szeregu wzdłuż kabin. Dopiero jak zbierze ich się tyle co kabin, towarzysza Stolicznaja, nacisnąwszy guzik, włącza mechanizm otwierający wszystkie drzwi naraz, ludzie pracy wchodzą, ściągają spodnie albo podnoszą spódnice, siadają i srają (z franc. je serai). Tymczasem towarzysza Stolicznaja kompletuje następną zmianę i zbiera forszę. Kiedy jest już znów komplet, naciśnięciem innego guzika wprawia w ruch urządzenie sputkujące, czeka dziesięć sekund wyznaczonych na podtarcie oraz następne dziesięć na podciągnięcie spodni i spuszczenie spódnic, a następnie za pomocą trzeciego guzika uruchamia mechanizm otwierający wszystkie drzwi naraz. Towarzysze, którzy sobie ulżyli, wychodzą na lewo, a z prawej strony wchodzą towarzysze, którzy chcą sobie ulżyć, zaś towarzysza Stolicznaja przygotowuje następną ekipę. Dla towarzyszy zesrawszych się, bądź z powodu zbyt krótkiego czasu w środku, bądź zbyt długiego w kolejce na zewnątrz, towarzysza Stolicznaja ma przygotowane świeże kalesony, które wypożyczą z zastawem 100 koron i po okazaniu dowodu osobistego.

Taka po prostu, jak widzisz, konstruktywna satyra.

Tuż przed premierą ministerstwo kultury zaskoczyło wszystkich pomysłem, że dzień wcześniej będzie się grać dla „robotniczych referentów kulturalnych”.

Kiedy towarzysze robotniczy referenci kulturalni obejrżeli kawałek o towarzysze Kseni Latrynownej, wywołało to w czasie przerwy żywą dyskusję w odlewni. W nalewni tyż. A po przerwie obejrżeli moją socjalistyczno-realistyczną przypowieść o ludziach pracy pracujących i ludziach pracy gadających, którzy razem budują arkę w celu wyprawy do ziemi obiecanej.

Jak na nich patrzyłem z proscenium, zechciało mi się lecieć do odlewni. Po prostu z nerw. W scenie końcowej ludzie pracy pracujący gromadzą się na wprost ludzi pracy gadających i zaczynają śpiewać taką piosenkę (w rytmie fokstrota):

*Pozwólcie nam dziś inny plan
wam tu zaproponować;
może i ta nowa szlachta
zechce też popracować.*

W tym momencie wstał jeden towarzysz referent kulturalny, chyba bardzo robotniczy, bo w czasie przerwy palił w nalewni fajkę, która mi coś przypominała, ale nie lordowską, i zakrzyknął w moim rodzinnym narzeczu:

– No, to już przekracza wszelkie granice?

I rzeczywiście. Towarzyszom grającym ludzi pracy pracujących pieśń zamartała na ustach, a towarzysz referent robotniczy wlaźł po schodkach na scenę i ryknął jeszcze głośniej:

– To już zaczyna być sprawa dla towarzyszy z bezpieczeństwa!

Byłem z siebie dumny, że stworzyłem sztukę, która ma tak ogromny oddźwięk, ale jednocześnie po tym okrzyku towarzysza musiałem pędem gnać do odlewni, dokąd i tak nie zdążyłem.

Potem udałem się do nalewni.

Obudziłem się na szczęście nie w odpoczywalni, tylko w domu. Jana kładła mi na czole lodowate kompresy, a na sercu, że mam się trzymać swojego fachu, malować pierwsze małe i traktory, jak się pasą na łąkach, a nie pisać sztuki, nawet konstruktywnie krytyczne.

Teraz studiuje życie naszej klasy robotniczej w terenie, na dole, i to bardzo na dole, bo w kopalni. Wpadła mi w ręce taka książka wydana staraniem Akademii Socjalistycznej: „Życie towarzyszy Marksa i Engelsa”. Tam właśnie wyczytałem, że towarzysz Engels miał przyjaciółkę robotnicę w swojej fabryce, którą to (oczywiście fabrykę) posiadał tylko dlatego, żeby mógł towarzysza Marksa utrzymywać na studiach.

No więc wpadłem na pomysł, żeby następna moja sztuka była miłosna, o towarzyszu Engelsie i jego przyjaciółce robotnicy. Chciałbym go w ten sposób tak jakoś przybliżyć naszej klasie robotniczej, bo wydaje mi się zbyt marmurowy.

Jana mówi, że jak to zrobię, to już będzie koniec wszystkiego. Więc nie wiem.

Chyba pójdę do towarzyszy górników do nalewni, tylko że oni sobie tam opowiadają różne anegdoty, a ja wiem, co jest moim obowiązkiem. Owszem, muszę się jednak przyznać ze wstydem, że go nie wypełniam.

Więc nie wiem, co mam robić.

Poradź mi, Cole Manie Hoł Kinsie!

Ale ty mnie i tak olejesz. Bo ty uważasz za głupie, że mimo wszystko w to wierzę.

Może jestem mniej mądry, ale zobaczysz, że w końcu będę miał rację, której ty, mądry, zobaczysz, że nie będziesz miał.

I tym proroctwem żegnaj się z tobą wcale nie na zawsze
Twój

Vrat'ka – dramaturg

* * *

– Panienska na pewno ma ochotę – pan Mourek przy-
milla się do Debilinki Cabicarovej. – Przecież damy lubią
słodkie!

– *And gentlemen prefer blondes!* – wykrzykuje pan
Zawynatch i obejmuje Debilinkę wokół grubiejących
ramion w bluzie, za którą w Pradze by ją zamknęli.
Z przodu jest na niej wymalowany nagi mężczyzna, ty-
łem do publiczności. Leży na kobiecie, która jest mocno
zakryta ciałem mężczyzny, ale to, co spod niego wysta-
je, jest również nagie. Co razem robią, byłoby w Pra-
dze jasne dla każdego dorosłego. W Kanadzie jest jas-
ne dla każdego, kto skończył przynajmniej cztery lata.
Kiedy Debilinka się odwraca, okazuje się, że na plecach
ma nagą kobietę, tyłem do publiczności. Leży na męż-

czyźnie, którego mocno zakrywa swym ciałem, ale to, co spod niej wystaje, jest również nagie. W ten sposób Debilinka zmieniła się w chodzący stosunek seksualny i to zadziało. Pętla się zacisnęła i Debilinka będzie wychodzić za męża. Opijamy to, a pan Zawynatch zamawia strudel dla całego stołu oraz kawę z cointreau.

Stojący z boku pan Mourek szybko wybiega z zamówieniem do kuchni. Niknie w amerykańskim półmroku, a z malowanych, elektrycznie podświetlonych okien błyszczy cała czeska geograficzno-historyczna mitologia: góra Říp, Račany, Karlštejn, a także ostatni postój J.A. Komenskiego w drodze na emigrację. W półmroku miga też pilnie się uwijający młodszy syn pana Mourka, starszy miksuje drinki za barem, a ze ściany spogląda na knajpę obowiązkowy ojczulek Masaryk oraz wymienialni Elżbieta II i Mr Pierre Trudeau (nieuleczalną miłość do wiszących na ścianie mężów stanu właściciel przywiózł do Kanady z Czechosłowacji). Synowa pana Mourka w stroju ludowym roznosi piwo i drinki, zmieniając co chwila kokieteryjne uśmiechy kierowane do gości na surowe spojrzenia, z jakimi kontroluje pracę trzech małych chińskich pikolaków i jednej wyrosniętej murzyńskiej kelnerki. W kuchni pani Mourkova, niewidzialna dla gości, przyrządza polędwicę w śmietanie i nadziewa jabłkami strudel. Knajpa kipi życiem, biznesem i egzotycznym jedzeniem. Przychodzi mi do głowy, że realizuje się tu główna myśl *Dziela sztuki* Lewisa. Pan Mourek niepowstrzymanie przebiega do przodu niczym ucieleśnienie amerykańskiej legendy *from rags to riches*, która zdaniem tutejszych ekspertów nigdy nie przystawała do rzeczywistości. Pewnie dlatego, że pan Mourek jest emigrantem i nie zna amerykańskich legend.

– Pan jesteś podobno pisarz? – wytrąca mnie z filozofowania pan Zawynatch.

Przytakuję mu.

– Chciałby pan wydać jakąś książkę? Można by to załatwić.

Nie chcę intelektualnie zawstydząć pana Zawynatcha, więc nie zdradzam mu, że moje książki już od trzech lat ukazują się u pani Santnerovej.

– Nie mam nic przeciwko temu – odpowiadam. – Pan zna jakiegoś kanadyjskiego wydawcę?

– Nie tutaj. W Pradze!

– Tam chyba nie da rady, bo jestem na indeksie.

Pan Zawynatch macha w proteście rękami i szczerzy wspaniałe zęby z macicy perłowej od najlepszego dentysty.

– To nie jest tak!

– Co nie jest tak?

– Wszystko to tylko gra.

– Gra?

Pan Zawynatch ścisza głos.

– Słuchaj pan. Ten Husák, wiesz pan, kto to jest?

Kiwam głową.

– Wcale pan nie wiesz! To mój najlepszy przyjaciel. Tajnie, *of course*. Razem byliśmy skazani. On na dożycie, a ja na śmierć.

– To jak to się stało, że pan żyje?

– *Well*, było, jak było – pan Zawynatch przyczesuje dry look i we włosach zostają mu rowki po siedmiu masywnych pierścieniach, a potem poprawia sobie szmargdową muszkę w fioletowe kropki. Muszka unosi się nad potężnym torsem w koszuli w paski koloru zielonego groszku i błękitnego nieba. Koszula rozkwita między szerokimi klapami różowej marynarki, ale materiał, z którego jest uszyta, jakimś cudem techniki dziewiarskiej fosforyzuje na zielono. W mankietach ma pan Zawynatch złote spinki wielkości talerza, z wypukłym popiersiem cycatej kobiety, chyba Meduzy. Pod stołem spoczywają jego zaskakująco małe nóżki w ka-

narkowo żółtych skarpetkach i butach, które zapewne kupił na wystawie op-artu albo zdobył na turnieju szachowym. Kwadraciki są na przemian czarne i prawie złote.

Z zadowoleniem stwierdzam, że ta para narzeczonych bardzo do siebie pasuje.

– Jak mi odczytali wyrok, to wiedziałem, że nie mam nic do stracenia – opowiada. – Poprosiłem o ostatnie słowo i mówiłem przez pełne dwie godziny. Jak skończyłem, to przewodniczący sądu był tak zdezorientowany, że zmienił mi wyrok z kary śmierci na dwa lata więzienia. Siedzieliśmy razem z Guciem Husákem, ale ja po pół roku uciekłem.

Patrzy na mnie, żeby sprawdzić, jakie wywarł wrażenie. Cmokam z podziwem. Pan Zawynatch uśmiecha się.

– A więc mistrzu, jak powiedziałem: znamy się z Husákem. Całkiem dobrze się znamy. Jak ostatnio byłem w Pradze, to się spotkaliśmy. Tajnie, *of course*. Wszystko mi opowiedział. Gra z Moskwą taką grę. Nie będzie problemu wydać pańską powieść.

– Ale moje nazwisko jest na indeksie.

– To wydasz ją pan pod innym nazwiskiem!

Próbuję mu wytłumaczyć, że treści moich książek nie przeszłyby pod żadnym nazwiskiem.

– Jak powiem Guciovi, to on wyda polecenie – macha ręką. – Wszystko jest dogadane. To tylko tak się prezentuje dla mas. Wszystko jest absolutnie ol rajt. W najlepszym porządku.

To stwierdzenie wrywa z letargu magistra Maslo, który do tej pory obojętnie jadł strudel.

– Jak to: wszystko jest w porządku?

– Wszystko. Umowa między Ameryką, Rosją i Chinami. Wszystko jest na niby.

– Jaka umowa? O czym? – wykrzykuje Maslo.

– Po prostu... umowa...

– Jaka umowa? A co Izrael? Bliski Wschód? Albo Portugalia?

– Za tym stoją Żydzi – odzywa się ponuro Frank.

– Z Żydami też jest dogadane – twierdzi pan Zawynatch. – Żydzi dogadali się z Arabami. Z powodu *oil*.

Debilinka nic nie mówi i opycha się strudlem. Już może. Jest niemal pod czepcem. Ciekawe jakim? Błękitno-niebieskim z listkami barwinku?

– Ale przecież tyle wojen! Terrorysty...

– Nie traktujcie tego wszystkiego serio.

– A jak to mam traktować?

– Słuchaj pan – pan Zawynatch kładzie dłoń z siedmioma pierścieniami na rękę nerwowego magistra Masło. – Na niby wszystko jest skłócone. Ale w rzeczywistości nic się nie dzieje. Wszystko jest ol rajt.

Jego idylliczny światopogląd działa na mnie bardzo uspokajająco. Na magistra Masło wręcz przeciwnie.

– Przecież chcieli mnie zamordować! Wczoraj strzelali do mnie do okna! – wskazuje drobną ranę na twarzy, która wygląda jak zacięcie przy goleniu. – To od odłamków rozbitego szkła!

– Spokojnie, panie magister – pan Zawynatch prezentuje uśmiech wtajemniczonych. – To jest oczywiście konieczne. Jakieś drobne akcje, zamachy, lokalne wojny... Taka *small change*. W przeciwnym razie nie dałoby się utaić porozumienia. Masy muszą uważać, że mocarstwa walczą o panowanie nad światem. Ale de facto to jest tylko dogadana gra. Wszystko jest w zupełnym porządku.

– Ale... jaki to wszystko ma sens? – wzdycha po chwili przestraszony magister.

– Rządy Światowego Żydostwa – głos Franka brzmi jak wyrzut sumienia.

– Ależ drogi panie... – mówi pan Zawynatch – ...przecież to wszystko jasne.

– Co jest jasne? – wybucha niemal z płaczem Masło.
– Wszystko – stwierdza pan Zawynatch. Emanuje z niego spokój właściciela nieruchomości i prywatnych informacji, niedostępnych dla mas. – Naturalnie rządy nie mogą tego zdradzić. Umowy są ściśle tajne. Ale wszystko jest w porządku. Nic się nie dzieje. Niech się pan nie martwi.

Mówiąc to, on również zabiera się za strudel.

Kupka świeżo upieczonych jabłek spada mu na pasiastą koszulę.

– Branio! Łoczaut! Znów się upaprałeś! – woła Debi-linka. – Ty się nigdy nie nauczysz jeść proprły, ty świntuchu!

Mówi to jednak z uczuciem.

Pan Zawynatch wyciąga z butonierki jedwabną chusteczkę z rysunkiem czerwonego liścia jaworu na turkusowym tle i energicznie wyciera koszulę.

Wszystkich nas owiewa zapach drzewa sandałowego.

* * *

W kiblu był jak zwykle tłok, ale w kabinach nikt nie siedział. Rozejrzałem się w gęstym dymie, wypełniającym to miłe miejsce, i w odległym rogu dostrzegłem Ponykla. Ruszyłem w jego stronę, ale Kos złapał mnie za rękaw.

– Smichicky, chono tu!

Nawet w tym mroku Kos był łatwo rozpoznawalny po zaplamionych drelichach. W lakierni pokrywał niebieską farbą spody skrzydeł meserszmitów i szablonem malował na nich niemieckie krzyże. W lakierni powinno się pracować w maskach, które wyglądały jak kagańce dla psów i nakładało się je na nos, ale zdaniem Kosa nie dało się w nich oddychać, więc malował bez maski. Był od tego niebieski, kaszlał i odpluwał do pisuaru błękitną ślinę.

– Ty jesteś student, co nie? Jesteś student? – prawie zaaferowany. – Ty, słuchaj! My się tu kłócimy, jak duży jest Księżyc. Moim zdaniem jak przedwojenna pięciokoronówka, a Malina twierdzi, że jak bochenek chleba.

– Jak jest w pełni – dodał Malina, ogrodnik, który pracował w spawalni duraluminium.

– No, to jasne, ty palancie! – odparł Kos. – Jak widać tylko skrawek, to jest skrawek pięciokoronówki.

– To kwestia relatywna – oświadczyłem. – Zależy od tego, z jakiej odległości patrzysz na monetę i z jakiej na bochenek chleba.

– No, jak jest na firmamencie, baranie! – stwierdził Malina.

– Co to jest firmament?

– To chyba wiesz, kretynie!

– Posłuchaj – powiedziałem. – Gdybyś umieścił bochen chleba albo pięciokoronówkę w tej samej odległości, w jakiej znajduje się od nas Księżyc, to po prostu zobaczysz gówno.

– Ty sam gówno wiesz, ty słoni! – burknął Malina.

– W rzeczywistości Księżyc jest tak duży jak ćwierć kuli ziemskiej.

– Ty koniu, nie wstawiaj farmazonów!

– Nie wstawiam. Jeśli chce się wiedzieć, jak duży jest Księżyc, to trzeba go mierzyć w stosunku do wielkości widzialnego firmamentu. Trzeba poprowadzić fikcyjną linię przez nieboskłon i zmierzyć, jaką część tej linii zakrywa Księżyc w pełni.

Patrzyli na mnie podejrzliwie. Zerknąłem w stronę Pomykla. Zgasił dopalonego peta i szykował się do wyjścia.

– Gdyby Księżyc był tak duży jak ćwiartka Ziemi, to musiałby zakrywać ćwiartkę nieba – stwierdził Kos.

– To musiałby być cztery razy bliżej, niż jest – odparłem. – A może i więcej. Nie wiem.

– Ty w ogóle gównu wisz. Jasne, że jest jak pięć koron!

– Takiego! Gdyby był jak pięć koron, tobyś go wcale nie zobaczył na niebie, ty byku! – oświadczył Malina i niemal zbliżył się do zrozumienia teorii względności.

– Werkszuc! – krzyknął ktoś od drzwi.

Uprzedzając Kosa, podskoczyłem do najbliższej muszli klozetowej, ściągnąłem spodnie i usiadłem na zaświnionej desce, a wściekły Kos musiał się tłoczyć przy wejściu z pozostałymi, którzy też nie zdążyli zająć miejsca. W moment pomieszczenie się wyludniło, z wyjątkiem tych, którzy siedzieli w klozetach. Przy samym wejściu stał Leneczek, któremu zaciął się zamek w monterkach. Szarpał się z nim bez powodzenia, a ponieważ w drzwiach stanął Eisler, zamiast całkiem wiarygodnie męczyć się z zamkiem, jak stał usiadł na kiblu.

Eisler jednak znał takie triki. Wzorem wielkich sturmbanführerów zakołysał się nad Leneczkiem w niezbyt lśniących oficerkach i powiedział z pruską ironią:

– *Na, Leneczek, was ist das?* Srają sobie w portki?

– Mam sraczkę, panie werkszuc.

– A co im to da, jak sobie nasrają w gacie?

Leneczek niestety nie znalazł żadnego logicznego argumentu.

– No to wstaną i pójda ze mną do pana betrybslajtra.

Eisler znów się zakołysał, ale przechodzone oficerki nie zaskrzypiały. Rażnym krokiem ruszył wzdłuż klozetów na kontrolę, czy wszystkie spodnie są opuszczone.

Zatrzymał się obok mnie, gdzie siedział Ponykl. W odróżnieniu od pozostałych, którzy spuścili portki aż na ziemię i w stronę werkszucza wystawiali białe kolana, Ponykl zsunął je tylko nieznacznie. Zainteresowało to Eislera. Podszedł blisko do Ponykla i przechylił się nad nim. Z tyłu za deską wisiała spuszczone koszula Ponykla, więc znów nie było nic widać. Werkszuc

ją uniósł i wsadził nos niemal do klozetu. W tym momencie Ponykl pirotechnicznie się zesrał, a Eisler odskoczył jak rażony iperytem.

– *Sie sind aber ein Schwein, Ponykl!*

– Mam ciężki przypadek, panie werkszuc.

Eisler odsunął się i wrzasnął:

– Co takiego? Oni nie mają żaden ciężki przypadek!

Oni tu przychodzą prowadzić rozmowy antypaństwowe przeciwko Rzeszy!

Wściekłym wzrokiem zmierzył nasz szereg.

– *Sie haben zehn Sekunden. Wer binnen zehn Sekunden nicht scheissen beginnt, der kommt mit mir zum Herrn Betriebsleiter!*

Jednym ruchem odsłonił szwajcarski zegarek i zaczął głośno odliczać:

– *Ein... zwei... drei...*

W tym momencie rozległ się głośny wybuch gazów, zmieszanych z wystrzeloną pod wielkim ciśnieniem berbeluchą. Wszyscy aż podskoczyliśmy. Przyłapany Leneczek wykorzystał konflikt werkszucza z Ponyklem, urwał zacięty zamek i siedział obecnie na desce, świecąc gołymi kolanami. Eisler ruszył w jego stronę.

– Czekać, Leneczek! To się nie liczy! – ryknął. – Teraz już się nie liczy. Pójdą ze mną, nawet gdyby tu wysrał własną duszę!

Następowały kolejne eksplozje, choć niektóre tylko ustnie imitowane. Werkszuc nie zwracał na to uwagi. Stał nad Leneczkiem dopóty, dopóki ten nie użył pierwszej strony „Der Neue Tag” z informacjami o poległych za Wodza i Ojczyznę, a potem odprowadził fryzjera do betrybslajtra i całą resztę zostawił w spokoju.

Wstaliśmy.

– Oldo – zwróciłem się do Ponykla. – Miałbym do ciebie sprawę.

– Jaka?

– Mógłbyś mi zrobić coś takiego? – wyciągnąłem rysunek, który zrobiłem poprzedniego wieczoru. Ponykl go obejrzał.

– Dałoby radę. Nie masz fajki?

Bez słowa wyciągnąłem paczkę, którą nosiłem przy sobie na wszelki wypadek. Ponykl skromnie wziął jednego papierosa i wyszliśmy z kibla, który zaczęła wypełniać kolejna zmiana.

* * *

Śnieg wali, jak przystało na ostatni dzień zajęć przed świątecznymi wygłupami, jak by powiedziała Debilinka. Na przystanku autobusowym widzę znajome selskinowe palto i znajome kędzierzawe włosy Ireny Svensson w białych zamszowych botkach, przylegających ściśle do łydek. Wszystko jest nieco zamazane z powodu padających płatków śniegu. Obok stoi postać w dżinsach-dzwonach i dżinsowym płaszczku, na głowie czerwona czapka, a z przodu i z tyłu półkilometrowy szal. Obie po kanadyjsku trzymają pod pachą studencką kupkę książek.

Idę w ich stronę.

– *Hi! Can I give you a lift?*

Ta druga to Veronika. Każda z nich bierze tę propozycję do siebie.

– *That would be great* – odpowiada Irena.

– Byłoby świetnie – sekunduje jej Veronika.

– *Meet Veronika Prst* – przedstawiam. – *Meet Irene Svensson.*

Szczerzą do siebie zęby i już prowadzę je na parking. Po drodze dowiaduję się, że Irena miała wypadek, ale nic jej się nie stało. MG będzie naprawione na przyszły tydzień. Akurat na Boże Narodzenie.

– Dokąd pan jedzie na święta, sir? – pyta.

Dokąd? Donikąd. A pani?

Okazuje się, że do Rocky Mountains. Svenssonowie mają zimową dachę w okolicach Denver.

– *With your boyfriend?* – patrzę przez przetarty wycinek przedniej szyby na świąteczną Mississaugę, która wygląda jak witryna sklepu u Eatona.

– *Haven't got a boyfriend* – odpowiada Irena lodowato.

Obie dziewczyny kanadyjskim zwyczajem usiadły obok mnie, więc z przodu jest całkiem miły tłok, a na tylnym siedzeniu rozparły się dwie paczki książek.

– A pani dokąd jedzie, Veroniko?

– Donikąd.

– To co będziesz robić? – pyta ją Irena.

– Siedzieć w domu i płakać.

– Pani też jest bez boyfrienda? – wtrącam się, ciągle po angielsku.

– Nie z tego powodu. Tak.

– To czemu? – draży Irena.

– Tęsknię. Szczególnie w Boże Narodzenie.

– *I see* – odpowiada Irena. Światło niemal polarnej nocy nasila się i słabnie zgodnie z tym, jak wycieraczki radzą sobie z nawałem eatońskiego śniegu; w tym rytmie odśłania i nieco zasłania nylonowe kolana Ireny, odważnie wystawione na kanadyjski mróz. A obok nich inna para kolan, w džinsach, na jednym z nich smutno przyszyta czechosłowacka flaga.

– Nic na to nie mogę poradzić – mówi Veronika. – Ja w czasie Bożego Narodzenia jestem okropnie sentymentalna. Ostatnie trzy lata zanim... zanim tu przyjechałam... zawsze byłam z zespołem. Chłopaki grali kolędy na rockowo, a ja im wymyślałam teksty...

– Ty jesteś piosenkarka? – przerywa jej Irena.

– Tak. Znaczy byłam. Teraz studiuję angielski i religię, i chemię, i nie wiem, co jeszcze.

– Dlaczego już nie śpiewasz?

Veronika spogląda na mnie. Uśmiecham się do niej. Odpowiada niewyraźnym grymasem.

– *My English isn't good enough for that.*

W oczyszczonym przez wycieraczki kawałku szyby pojawia się weranda jakiegoś bogacza, cała obwieszona kolorowymi żaróweczkami. Zapalają się i gasną, a w rytmie tego zapala się i gaśnie twarz Veroniki. Czerwone, zielone i złote żarówki głoszą: *MERRY XMAS*.

Otworzyłem drzwi i do środka wpadła wycieńczona dziewczyna.

– Proszę pana, pan jest Czechem?

– *I am.* Znaczy, jestem.

– Mogę u pana odpocząć?

Opadła na kanapę, cała lśniąca; to były ciuchy z Zachodu, modne dwa lata temu, które wytrzasnęła gdzieś w Pradze na swój *Grand Tour*. Nielogicznie, biorąc pod uwagę poprzednie pytanie, powiedziała:

– Dostałam pański adres od Suzi Kajetanovej. Ona...

Potem padła. Dosłownie. Zemdląca. Kiedy doprowadziłem ją do stanu świadomości za pomocą whisky i librium, do czego ona dodała jeszcze nieznaną mi sedolor (czeski organizm przeżył jednak bez uszczerbku tę alchemię), opowiedziała mi swoją szaloną historię.

– Suzi mi to bardzo odradzała.

– Dlaczego nie chciała z panią pojechać?

– Powiedziała, że lepiej być pierwszą w Koziej Wólce niż drugą w Pradze. Ale de facto ona wszędzie strasznie tęskni.

– Pani też będzie.

– Możliwe. Ale ja tam nie mogłam zostać.

Uśmiechnąłem się. Wiedziałem, że mało kto przyzna się do istoty sprawy. Ideologia i ideały prawie nikomu nie przeszkadzają. Przeszkadza coś innego. Jej opowieść brzmiała jak emigracyjna *tall tale*. Byłem jednak dzieckiem swojego kraju i swoich czasów, więc

wiedziałem, że ta historia nie pochodzi z krainy mitologii, choć sama Veronika była dzieckiem mitu *des Zwanzigsten Jahrhunderts*. Ojciec Żyd, matka nie. Aryjka, z Kaukazu. Po prostu taka rasa, która dzięki dobrodziejstwu ustaw norymberskich miała możliwość przeprowadzenia rozwodu z Żydem bez żadnych biurokratycznych przeszkód. Mama nie skorzystała z tego dobrodziejstwa, tata dzięki temu uniknął „ostatecznego rozwiązania”. Potem już myśleli, że ich szczęściu na świecie nic nie grozi, i w pięćdziesiątym pierwszym roku zrobili sobie Veronikę. Potem, w roku siedemdziesiątym, mama z tatą po raz drugi się nie rozwiedli. Veronika była właśnie na najlepszej drodze do sławy, może głównie dzięki pięknemu kostiumowi pazia w głównej roli musicalu *Noc na Karlštejnie*. Dyrektor teatru wytłumaczył jednak reżyserowi, że ważne instytucje sfery ideologicznej – jak właśnie choćby teatr – nie mogą tak odpowiedzialnych zadań, jak główna rola w sztuce, powierzać dzieciom z mieszanych małżeństw. Reżyser przestał panować nad sobą i wrzasnął, że nie jest rasistą. „Pojęcie małżeństwa mieszanego w interpretacji Partii nie jest rasistowskie, tylko ideowe – pouczył go dyrektor. – Oznacza małżeństwo dwojga komunistów, z których jedno zostało wykluczone z Partii, a drugie się z nim nie rozwiodło. A więc, co podkreślam, z Veroniką musimy się rozstać nie dlatego, że jest Żydówką... – ciągnął dalej dobrotliwym tonem, pouczony wcześniej przez innego, ważniejszego towarzysza, ale myślał przy tym swoje – ...choć naturalnie nie dodaje jej to politycznej wiarygodności”. „Jak to?” – wybuchnął zbuntowany reżyser, ale tolerancyjny dyrektor wytłumaczył mu, że również ta uwaga nie ma nic wspólnego z rasizmem. Żydzi z powodu specyficznej historii są po prostu w sposób szczególny ukształtowani i dlatego praktycznie nie da się z nich wykorzenić podświadomej sympatii do syjonizmu. „Chyba

do własnego narodu?” – zaproponował reżyser. Brzydził się wyrazów skompromitowanych przed laty. „A jak pan definiuje naród?” – spytał pouczony dyrektor i natychmiast sam zaprezentował przypomnianą mu przez ważniejszego towarzysza definicję autorstwa Stalina, która wykluczała Żydów z takich wspólnot ludzkich. „Czysto z historycznego punktu widzenia – kontynuował – można nawet zrozumieć syjonizm. Całe wieki pogromów... później katastrofa faszyzmu... tylko że w obecnej sytuacji Żydzi stają się obiektywną przeszkodą w walce między...” Reżyser nie chciał dalej słuchać. – „To ja ją wyrzucę i powiem, że to dlatego że jej ojciec jest nie-naprawialnym... kim? Żydem? Syjonistą?” „Nie, nie” – zaprotestował dyrektor. „Ale tak przecież było napisane w »Rudym Pravie!«” „Tam jest to ze względów propagandowych – tłumaczył mu cierpliwie dyrektor. – I to raczej też ogólnie. Jej ojciec przecież nie jest żadnym zorganizowanym syjonistą. Przed wojną był nawet przewodniczącym antysyjonistycznego Towarzystwa Czeskich Żydów. Ale jednak jest Żydem, więc obiektywnie...” „Czyli to nieuleczalny trockista?” – wskoczył mu w słowo reżyser. „To byłoby zbyt mocne – odparł miłym głosem dyrektor. – Powiedzmy: rewizjonista”.

Veronikę wyrzucono więc z powodu obiektywnego pochodzenia żydowskiego jej ojca. Przygarnęła ją Suzi Kajetanova i włączyła do swojego chóru zwanego Czarne Jagody (wcześniej Blueberries).

– Twój angielski jest doskonały – powiedziała Irena Svensson.

– Ale nie do rocka. W rocku publiczność nie zaakceptuje wokalistki z obcym akcentem.

Skręcam na Spadina Avenue, na ulicach już widać przedświąteczny ruch. Przy Kensington Market tłok, widzę mężczyznę w europejskiej baranicy, który w siatce niesie rzucającego się karpia.

– Nie chcesz jechać ze mną na święta do Rockies? – odezwała się Irena.

Dobre serce Ireny Svensson.

– Będzie was tam dosyć beze mnie.

– W naszej chałupie może spać nawet dwadzieścia osób. – Wiem, że słowo „chałupa” to po prostu eufemizm. – Jak masz bojfrenda, to spokojnie możesz go wziąć ze sobą.

– Nie mam bojfrenda – odparła Veronika. – Jestem porzuconą kochanką.

– *What's that?* – roześmiała się Irena.

– Miałam tutaj chłopaka, który uciekł rok wcześniej – powiedziała Veronika. – Ale nie był mi wierny.

– To jeszcze nie musi być powód definitywnego rozstania – oświadczyła wielka znawczyni psychologii seksualnej. – A ty byłaś?

– Jasne. Mam staroczeskie wychowanie.

– Człowiek powinien w sposób realistyczny podchodzić do stosunków seksualnych. Nie da się zbudować trwałego związku na nierealistycznym maksymalizmie – kontynuowała uczona. Ale Veronika odpowiedziała krótko:

– Nie mam ochoty na żonaty.

– *I see* – przyznała Irena.

To był ten problem. Spytała na pocztce i dali jej adres domku w High Parku. Otworzyła gospodyni, zmierzyła ją wzrokiem i powiedziała, że on tu już nie mieszka. „Dokąd się wyprowadził?” „Proszę zapytać na pocztce”. „Tam nie mają innego adresu” – odparła Veronika. „Mnie też żadnego nie dał, proszę pani”. Drzwi się zamknęły. – Więc pewnie już go nigdy w życiu nie zobaczę – powiedziała Veronika i smutno zwiesiła ręce między nogami w mini. Mini kupiła już w Toronto.

Coś mi przyszło do głowy, jakieś oświecenie. Poszedłem do High Parku. Gospodyni miała zapewne swoje

instrukcje i chętnie mi dała adres w Etobicoke. Dotarłem tam już o zmroku. Zupełnie nowa dzielnica pięknych domków. Pod wskazanym adresem otworzyła mi młoda kobieta w wielkich okularach. Taka, jakby to ujęła Debilinka, plejnowa.

– *Does Mr Skvarek live here?*

– *Yes, he does.*

– *You are...?*

– *I'm Mrs Squareck* – oświadczyła młoda kobieta z dumą świeżo upieczonej haustajfki, jak by powiedziała Debilinka.

Delikatnie powtórzyłem to Veronice. Zacisnęła zęby.

– I mówisz, że plejnowa? – byliśmy już wtedy na ty.
– To znaczy brzydka? I okularnica?

– Nie brzydka. Plejnowa. Znaczy, że jak w ciągu dnia spotkam dziesięć takich kobiet, to mam wrażenie, że nie spotkałem żadnej.

– Więc tak kończysz, kozaku! – westchnęła gorzko Veronika. – I to w Kanadzie!

To był jej nekrolog Oldrzych Szkvarka i więcej już się o nim nie mówiło.

– Mogę was zaprosić do nas? – odzywa się nagle Irena. – Bo moja siostra będzie pokazywać film. Może by was zainteresował?

– Ja nie mogę – odparła Veronika. – Jutro piszę test z Freuda.

– Co to będzie za film? – pytam.

– *Triumph of the Will*, Leni Reefen... *something*. – Albo jednak pójdę z wami, jeśli można – nagle decyduje się Veronika.

– *Sure* – przytaknęła Irena. – Moja siostra mówi, że to pierwszy artystyczny film w dziejach kinematografii, który nakręciła kobieta.

Masz babo placek.

Drogi Danny,

Już pewnie nie spodziewałeś się, że o mnie usłyszysz, ale korzystam z okazji, że odjeżdża stąd jeden kolega do Australii, więc on ci pośle stamtąd ten list. Minęły już cztery lata, odkąd się po raz ostatni widzieliśmy. U mnie przez ten czas wydarzyło się dużo rzeczy. Najpierw gnitem w lagrze zaraz za granicami, koło Regensburga, i w żaden sposób nie mogłem się stamtąd wydostać. Sam rozumiesz, nie miałem „pleców”, żadnych krewnych, ani nie umiałem języków. Jak to już trwało ponad półtora roku i miałem tego wszystkiego po dziurki w nosie, to przyjechali akurat z Legii Cudzoziemskiej, no i się zaciągnąłem. Jak tam było, tego ci nawet nie będę pisał, bo było gorzej, niż piszą w książkach. Wywieźli nas na Saharę i ćwiczili do Indochin. Było nas tam sześciu Czechów. Ćwiczenia trwały sześć miesięcy, potem jeszcze trochę czekaliśmy i wreszcie załadowali nas na statek do Indochin. Po drodze zatrzymaliśmy się w Hiszpanii, gdzie powiedziałem sobie, że do Indochin nie pojedę za żadne skarby, więc w nocy wyskoczyłem ze statku i dołynąłem na brzeg. Tam z jakimś łachudrą wymieniłem buty i mundur na cywilne ciuchy, ale mnie złapali, a ja nie umiałem hiszpańskiego ani żadnego innego języka, tylko trochę francuski, co podłapałem w Legii. Dali mi francuskiego tłumacza, ale udawałem, że nie znam nawet francuskiego, więc mnie posłali tutaj, na Sycylię, do obozu dla osób bez żadnego obywatelstwa. Są tu sami esesmani i ustasze, chociaż się tym za bardzo nie chwala, ale jak się w tym zorientowałem i zacząłem się z nimi kłócić, to mnie tak pobili, że o mało co nie wykitowałem. Na szczęście obronił mnie jakiś Łotysz, który też w czasie wojny był w niemieckiej armii, ale mi powiedział, że gdybym miał taki wybór jak on, to też bym tam był. To jest chłop jak byk, więc teraz już mnie nie ruszają. Jest tu nas też więcej z Legii, a też jacyś Niemcy, którzy w czasie wojny walczyli przeciw Rommlowi. Złożyłem podanie do Ameryki (USA),

ale mnie nie wzięli z powodu popsutych zębów. Więc wygląda na to, że wyląduję u kangurów, ale co zrobić, wszystko jest lepsze niż Sycylia. Muszę kończyć, bo nie mam już papieru. Odezwę się od kangurów.

Twój kolega

Przema

* * *

– Łel, enylej – mówi Debilinka, a siedmiopierścienny pan Zawynatch nakrywa swoją łapą jej rękę, też z pierścionkiem, z jakimś robakiem zatopionym w sztucznym bursztynie. Za to druga dłoń, z drewnianym pierścieniem pomalowanym jak wielkanocna pisanka i bransoletą, w której na srebrnych sznurkach połyskują litery, ta druga dłoń energicznie gestykułuje, jakby Debilinka była żydowskim kupcem na targu Kensington. – Przecież to była moja pierwsza noc w dauntaunie, nie? Przez pierwszy tydzień musiałam siedzieć z moją matką, ju noł, ona chce o mnie wszystko wiedzieć, a poza tym ołtajm przychodziły różne ciotki i kazns i nefjus, więc nic dziwnego, że mogłam iść w Pragę dopiero na fikend. No i dlatego wrzuciłam na siebie czerwony miniskert i ten rodzaj tiszertu, jaki mam, z tym rodzajem nejkd busm, wy to na mnie widzieliście, didntcza?

Jakże byśmy mieli nie widzieć? T-shirt ze zdjęciem obnażonych piersi, umiejscowionych dokładnie tam, gdzie Debilinka ma pod spodem własne, równie obfite. Pan Zawynatch śmieje się lubieżnie i kładzie upierścieniona łapę na tyłku nagiego mężczyzny z bluzy Debilinki.

– Łel – ta niezrażona ciągnie dalej. – To jest džastebit derink, ale sołot? Łel, na głowę włożyłam lig, ale nie ten, tamten był karotop, złapałam taksi i drajwowałam prosto na dół do dauntaunu. End łudźbiliwit: dajrektly przed Jałtą biegnę do Lidy! Lida była zwykle zawsze moja najlepsza gerlfrend, ale maj God! Dźłudntbiliwit!

Ona ma na sobie iksaktylę tę samą tiszert, tylko zamiast nejkd buzm ma tutaj z przodu... – łapka z bransoletką wskazuje na piersi Debilinki, błyskotki lśnią i w ułamku sekundy dostrzegam dwie litery: „P” i „R”. Nie układają się w napis, mam jednak przeczucie, że jest on równie nieprzystojny jak (w Pradze) derink tiszert Debilinki. Po chwili widzę jeszcze „D”, a potem długie „Í”. Na Boga, chyba ona nie błyska na Kanadyjczyków jakimś forletfordem po czesku? – ... tu z przodu ma ten rodzaj snepszot... tej sławnej baby, co się śmieje... Co jest jej nazwisko? To jest rodzaj tego sławnego obrazu... Brian, help mi!

Pan Zawynatch głośno się zastanawia:

– Obraz? Śmiejącej się kobiety? Monoliza?

– Dets rajt, Monoliza! – Debilinka głaszcze pana Zawynatcha po drajluku. – Łel, to możecie sobie wyobrazić ten mityng! Imidżetly żeśmy dropły do Jałty i gossipowałyśmy o żywych i umarłych, aż byłyśmy mokre w twarzach. A potem się do nas dołączył ten facet! – Debilinka wytrzeszcza oczy i poprawia sobie blond afro. – Ja jak o tym myślę z powrotem, to się czuję jak Elis w łonderlandzie. Stil!

– Dlaczego? – pytam podczas efektownej pauzy.

– Dlaczego? Łel, bikoż jak tylko mnie Lida introdju-sowała, to ten facet mówi: „Chodźcie do mnie! Ja daję party, tylko dla dwóch moich frends, a dziewczyny się nie pokazały”. Dżast lajk zet! Nawet mnie nie znał! Ja chciałam powiedzieć, że nie, ale Lida mówi: szur! No to nie chciałam spojlować fan i wzięliśmy keb. W kebie spytałam Lidę, czy ma jeszcze dżob jako nersy, a ona, że nie, że teraz pracuje jako interpretr. Łel, za chwilę tam byłyśmy. Ten facet miał hałs, łel, już na zewnątrz wyglądał bardzo fesznebl, ale jak weszliśmy do środka... aj kudnt biliw maj ajz! – Debilinka robi miny i opowiada, jak w hałsie były łolpejpry, co wyglądają

jak dzinsy, lejtyst feszn, które w Toronto mieli właśnie jako big nołty. Fajerplejs dat big (rozpościera ramiona i dzwoni wisiorcami, ale nic nie udaje mi się przeczytać). A w nim ten rodzaj logs, co pali się kolorowymi płomykami na gaz. Meble Skendinejwien, też hajly fesznebl. Telefon najntin senczery stajl, oni je sprzedają w Yorkville, strasznie ikspensiw. Taki ten star end strajps, pokazuje ręką (udaje mi się przeczytać błyszczące literki „P”, „R”, „T” i jeszcze „I”), co je w tym roku robią do bajsentential. W rogu kolounial stajl tiwiset z rimout kontrol, a obok hajlajf stirijo, kładrofon, łel, huewr hez it in Trono iwn!? Enyłej, całkiem najnowszy gadżet. Puszczają z niego hity, co tydzień temu były w Top Ten w Stejts! – rozgląda się wokoło i moczy usta w koktajlu Pink Lady.

Nikt nic nie mówi, tylko Frank coś mruczy, a pan Zawynatch patrzy z dumą, choć wydaje mi się, że nie jest to historyjka całkiem odpowiednia na uroczystość zaręczyn. Debilinka jednak, mam wrażenie, balansuje dokładnie na tej linii, na której pan Zawynatch chce ją widzieć, a skoro ją tam widzi, to jest jak wosk w jej dłoniach. Więc ona, ustylizowana na cnotliwą panienkę, odstawia pinklejdynę na stół i kontynuuje:

– Przy hausbarze siedzieli dwaj koledzy tego faceta. A ten bar, ju szudew sinit! Cziwes Rigal, Gilbys, Dżek Daniels, Koantro, Tekila, ounly wódkę mieli moskowską. Łel, my usiadłyśmy przy barze, wzięłam na zewnątrz sigaret, a ten jeden, co nas przyprowadził, dał mi ogień... Miał gas lajter, a jak mu się podciągnął rękaw, mogłam widzieć, że ma ten nowy fensy ilektronik didżital ristłocz. Jeden z tych dwóch pozostałych powiedział: „Tego zegarka to bym pilnował, Bobby. Wiesz, że Korytenko ma na takie ochotę. Jeden już ukradł Pepie, a chyba też Jirziemiu, więc uważaj!” Czułam, że w tym wszystkim było coś fany, taki strendżowy

filink, więc pochylam się do Lidy i mówię pod swoim oddechem: „Lida, to są jacyś fouks z łestern embasis?” A Lida zaczyna giglować i odpowiada: „Ty jesteś udana! Przecież to bezpieczniaki!”

* * *

Siedzimy u Svenssonów wokół okazałego stołu, a Rosemary Svensson (z domu Rowntree z Tennessee, po ojcu z burbońskich Rowntreech) chwali – co uprzejmie robią wszyscy Kanadyjczycy – moją wspaniałą angielszczyznę. Tłumaczę, że to dzięki częstemu słuchaniu BBC podczas wojny. Kästrin, siostra Ireny, chce się dowiedzieć dlaczego. Nie jest w stanie pojąć, dlaczego ktoś podczas tych dwóch dawnych wojen – koreańskiej i wietnamskiej – miałby słuchać brytyjskiego radia. Rosemary jednak mnie rozumie i tym ją kupiłem. W naszej konwersacji pojawia się klimat wojennych sojuszników. „Gdzie pan był? W armii?” Nie. Niestety. Wspominam mgliście o ruchu oporu, a potem obszerniej o tym, jaką miałem słabość do angielskiego, że nawet raz w tym języku odezwałem się do niemieckiego obermajstra w fabryce i co z tego wyszło. Mam ochotę opowiedzieć, jak z powodu własnej głupoty odrobinę wpłynąłem na losy wojny, ale dostrzegam wpatrzony we mnie wzrok Ireny Svensson, co mi przypomina badawcze i pełne wątpliwości spojrzenia moich edenvaleskich studentów. Dlatego postanawiam, że przemilczę swoje dziś zupełnie nieprawdopodobne bohaterstwo. Opowiadam natomiast, jak grałem w kosteleckim dixilandzie na saksofonie tenorowym, jak swingowaliśmy amerykańskie hity, utwory naszych idoli i sojuszników, a z oczu Ireny znika badawcza nieufność. – *Oh, yes!* – cieszy się mama Rosemary. – *When the Deep Purple Falls* – i zaczyna intonować melodię. Natychmiast się przyłączam: *over sleep garden walls...* Wojenny sojusz przemienia się w sojusz starych utworów.

Dołącza do nas pan Svensson: *and the stars begin to flicker in the sky...* Ma głęboki bas i to, niestety, wszystko, co posiada z muzyki, poza swoją agencją muzyczną. Płomyki w kosztownych świecznikach migoczą jak gwiazdy, bo to prawdziwe świece i prawdziwe płomyki... z takimi Nadia w tłumie wieśniaków szła z Czernej Hory na pasterkę, niczym z bożonarodzeniowej pocztówki... Rosemary – w mocnym uścisku nostalgii, która inauguruje naszą starość – już siedzi przy pianinie i spośród wszystkich utworów wybiera akurat *Lili Marleen*... To jest niemiecka piosenka? Nie chce w to uwierzyć. Ale sojusz jest mocny. Pokrzepiony Châteauneuf du Pape (przypomina mi Pragę i Esterkę, która piła ten trunek z półlitrowych dzbanków) odczuwam wielką sympatię do tej szczupłej, może wręcz w brytyjskim stylu kościstej Brytyjki z Tennessee... *Every star above* – intonuję – *knows the one I love, / oh Sue, sweet Sue...* – a Rosemary natychmiast podchwytuje.

– Wie pani, że to z kolei jest czeska piosenka? – pytam dla żartu, ale nie doceniam amerykańskiej ufności Rosemary.

– *Oh, really? I always thought...*

Szybko wymyślam legendę, jak to po wojnie, pierwszej światowej, zbłądził do Pragi pewien Murzyn, Joe Turner, któremu dla większego efektu przypisuję autorstwo klasycznego bluesa. Usłyszał polkę *Zuzanka*, zeswingował ją, ułożył angielskie słowa i pojechał z nią do Stanów... – Umie pan ją po czesku? – pyta nieufnie Kästrin. Kiwam głową i intonuję: – *Gwiazdy nad głową wiedzą, / że mam ją tylko jedną...*

Nadia – której w dawnym prawieku innego kontynentu, w czasach prehistorycznych, przy akompaniamencie ryku wiertarki śpiewałem ten utwór autorstwa Suzi – w grubej sukni i barchanowych rajtuzach kroczy ze świecą przez ciemny las, patrzę na nią zza krzaków na skraju

drogi, a potem podążam w oddali za pochodem z Czernej Hory do zaciemnionych przedmieść mrocznego Kostełca, tej ostatniej bożonarodzeniowej nocy... Ja też, tak jak Rosemary, tonę w sentymentalnym sosie.

– W Ameryce śpiewa się sporo piosenek, które w oryginale są czeskie – kontynuuję. Tworzę pewnie legendę. Rosemary się dziwi, zapewne opowie to w ulepszonej wersji na *parties* czy podczas *dinners* w damskim klubie. Narodzi się legenda. – Sprowadzili je tu emigranci. Na przykład taka *Clementine*...

– *Sure* – przytakuje Veronika.

– Jedziemy? – pytam ją i zaczynamy, Veronika naturalnie drugim głosem. Rosemary też się śmieje: *No kidding!* To ma być czeska piosenka? No, jest. Irena zapewne się zorientowała i zaczyna się bawić moją grą. Pan Svensson zapala cygaro i słucha, słucha... ale widzę, że nie mnie. Chodzi o Veronikę. Agencja koncertowa działa. Płyty Sigtone. Nic z tego jednak nie będzie, to jasne. Zbyt długo już jestem na emigracji. *Oh, Susannah*... Wraz z upływem czasu wszystko mi się miesza, to było tak dawno, nieskończenie dawno, wszyscy już nie żyją, wielebny ksiądz Meloun głosi kazanie o Dzieciątku Jezus, jakby opisywał sceny z teatryku kukielkowego... Patrzę na twarz Nadii opatuloną w biały szal. Jej oczy płoną jak czarne płomienie piekielnej gromnicy, wpatruje się w okrągłą jak księżyc twarz księżulka, który ma takie odpowiednie nazwisko... Być może jest to jeden z żarcików władcy wszechświata, śledzącego nasze intymne tajemnice... *Jukebox on Saturday Night... Chew Your Bubble Gum... Sesibo*... Same czeskie piosenki. Rosemary dziwi się, nie może wyjść ze zdumienia, pewnie już przestaje mi wierzyć, ale jej oczy wciąż się śmieją... Irena ma z tego ewidentny ubaw, a pan Svensson otulił się dymem z cygara koloru sepii. Nagle Irena nieoczekiwanie się odzywa:

– Dlaczego nie spróbujesz śpiewać w Kanadzie, Veroniko?

Pieśń zastyga nam na ustach.

– Mam obcy akcent – odpowiada Veronika, wbrew swej woli smutno.

– Bzdura. To można ćwiczyć. Prawda, *daddy*? – Irena zwraca się do ojca. Z białego obłoku wydobywa się niezobowiązujące:

– Czasami tak.

Ale Irena naciska:

– Nagraj z Veroniką próbną sesję!

– *Well* – odpowiada pan Svensson jeszcze mniej zobowiązująco.

– *She's got as good voice as any of your Sigtone stars. Why not give her a chance?*

Irena przesywa wzrokiem obłok dymu.

– *There would be problems* – słysząc stamtąd niezobowiązujący głos pana Svenssona... *Riders in the Sky*... to już Rosemary, przy pianinie...

Śniliśmy na jawie, leżąc z Nadią w składziku i nawet się nie całując. Kiedy pilot naciśnie spust, szybkostrzelne działka w korytkach wyplują kilka pocisków w stronę latającej forticy, skrzydła zaczną dygotać, wstrząsy przeskoczą na blachę magazynków bębnowych, które są nadwężone przez zbyt głębokie nawiercenie, i wtedy blacha zacznie pękać, naboje przestaną się wsuwać do działka, a pilot będzie miał problem... nadlatuje za ogon latającej forticy, wpada prosto w tory ołowianych pocisków, które wystrzeliwuje w jego stronę podwójny, sprzężony karabin maszynowy tylnego strzelca, a jego własne działka są nieme, unieszkodliwione dzięki mojemu sprytnemu pomysłowi i dzięki odwadze Nadieжды Jirouszkovej...

– Jakie problemy? – dopytuje się Irena.

– Nie chodzi o głos. Pani naturalnie dorównuje wielu śpiewaczkom z mojej firmy. Ale...

– Wiem, ten akcent... – wpada mu w słowo Veronika.

– Prawie nie masz żadnego obcego akcentu – protestuje poczciwa Irena. – A dobry kouch...

– *Well...* – powtarza pan Svensson. Zaczynam rozumieć, o co w tej sprawie chodzi. Ojciec Ireny strzepuje popiół z luksusowego cygara do popielniczki w kształcie marmurowego serca. – My mamy w Sigtone także czeski zespół Pro Arte Antiqua...

– ...i nie będą mogli niczego udowodnić! – emocjonowałem się. – Oberkontroler zostawia kaliber w pudełku na ostatniej półce. Już mu go wymieniłem. Wie o tym tylko Ponykl, ale on musi trzymać język za zębami. We własnym interesie. Będziemy po prostu wierzyć o pół centymetra głębiej, a gdyby coś się wydarzyło, to po prostu jakiś sabotażysta wymienił nam kalibry. Nieznany sprawca.

– Nieznany sprawca! – Nadia wybuchnęła śmiechem. Spodobał jej się termin z kryminałów. – To jest świetnie wymyślone, Dan. Od razu widać, że jesteś student!

Zerknąłem na nią. Wpatrywała się we mnie z podziwem. Potem popatrzyłem przez wysmolone okienko składziku na fabryczną halę. Zimno, spod źle uszczelnionych przewodów młotów pneumatycznych unosiła się para. Kobiety z żelaznymi gruszkami i w swetrach całą mocą przyciskały się do duraluminiowych dekli, a faceci z drugiej strony walili młotami. Niemal freudowska symbolika. Piekielny hałas. Przed oczami stanął mi meserszmit stodziewiątka ef, przewiercany ołowianymi sznurami pocisków, a sznury tych pereł wieńczyły moje bohaterstwo...

– W ogóle na to nie wpadną – mówiłem lekkomyślnie. – Amerykanie będą mieli z nimi łatwą robotę, jak ich tak rozbiorimy!

– Rozstrzelają ich w drobny mak! – cieszyła się krwiożerczo Nadia, ale po chwili do głosu dochodziło miło-

sierdzie jej duszy. – Pilot pewnie wyskoczy na spadochronie, ale z maszyny zostanie taki złom, że nie będzie można nic poznać!

– Nie będzie można, Nadiu, nie ma mowy!

Nosek zaczął długo chrząścić kluczem w zamku...

– ...dla takiej muzyki na rynku praktycznie nie ma konkurencji.

– A jak pan da szansę emigrantce, to oni stworzą konkurencję dla Pro Arte Antiqua! – stwierdzam.

– *Exactly!* – odpowiada pan Svensson. – Mnie jest naturalnie bardzo przykro. *But I have my responsibility. To my partners.* Takie są realne fakty.

Zerkam na Veronikę. Jest blada, na policzkach rumieńce, jakie miewała Nadia. Wieczór mnie zniszczył swoją nostalgią. Ten swing z czasów wojny. Ta różna odpowiedzialność. To, jak różnie nas oceniają. Jak nic nie znaczymy. Jak świat docenia całkiem inne wartości. Jak mało ich zostało... Biedna Nadia... Pograżam się w nostalgii swinga... Foster... W zeszłym tygodniu go cytowałem mojej grupie niewiniątek, z wielkim zapałem i słabą nadzieją, że zechcą zrozumieć. Ale kiedy spojrzałem na nich znad notatek, zobaczyłem, że schowana za *Drogą do Indii* Sharon podgryza gumowy batonik z baru... „Klasyczne Ateny narobiły niezłego bigosu – ale *Antyгона* pozostała. Renesansowy Rzym narobił niezłego bigosu – ale strop Kaplicy Sykstyńskiej został namalowany. Jakub I narobił niezłego bigosu – ale powstał *Makbet*. Ludwik XIV... – ale powstała *Fedra*. Ci, którzy podobnie jak ja są już zbyt starzy na komunizm i zbyt świadomi krwi, która zostanie przelana przed jego wątpliwym zwycięstwem, uciekają w sztukę...” Więc może jednak nie realne fakty pana Svenssona, lecz delikatne głosy dziewczyn śpiewających ostrego rocka...

Irena zaczyna się z *daddym* kłócić, przeszywa go piorunującymi spojrzeniami. Rosemary cała zmieniła się

w kwokę, aby doprowadzić do zgody. Migocące płomyki cennych świec rejestrują to jak strzałki potencjometru. Świeczki...

...migotały w lesie... Nadia sprytnie została z tyłu, weszła w ciemność, mówiąc im, że musi na stronę. A w tym mroku ja, niczym Czarny Myśliwy, i zmarznięte, spękane, gorące pocałunki tej kościstej dziewczyny z Czernej Hory... – Dan, ja cię kocham. Za to cię kocham! Ty jesteś cwaniak! – Nie uraziło mnie to określenie, mnie – czulego na słowa nienależące do swingowego kodu, mnie – choć nie byłem żadnym cwaniakiem, tylko gnały mnie po świecie wieczne siły, które chyba wcale nie rządzą światem, lecz jedynie komplikują tworzące go realne fakty...

Na chwilę rozłożyłem na łopatki strach, mojego przewodnika, przynajmniej gdy tak stałem z Nadią w czarnym lesie, kiedy obejmowałem jej drobne ramionka, prawie ich nie czując pod grubym ubraniem. Wrócił dopiero w nocy, wtedy po raz pierwszy i odtąd już bardzo często, strach – jądro ciemności, nie z Konga, z jednego małego i całkiem byłego królestwa w geograficznym centrum azjatyckiej przysadki mózgowej... Zimna skóra rozpalonych policzków, a w środku ust ciepło, wilgotno i bezpiecznie... Po chwili ją zawołali, chwyciła świeczkę i zniknęła w czarno-białym lesie, tylko płomyk jeszcze przez chwilę podskakiwał – błędny ogień, brutalnie zerwany do krótkiego, zimowego lotu... bardzo brutalnie...

– No, dosyć już dyskusji! – decyduje Rosemary. – Zaspiewajmy jeszcze.

I zaczyna – zbyt wysoko, żeby w powtórzeniu była w stanie wyciągnąć – *Roll out the barrells...* Veronika milczy. Ja się przyłączam, żeby nie psuć zabawy – *...we'll hale the blues on the run...* Chyba nie. Raczej nie w naszym życiu. To są twarde, realne fakty, codziennie trochę umierające. Pan Svensson też podejmuje pieśń, okropnym basem. Czy agent koncertowy może być taki

głuchy? Ale właściwie czemu nie? Królowie też bywali niepiśmienni, a pierwsi sekretarze również czasem mogą marzyć o demokracji. Nastrój mi się zmienia...
...*sing out a song of goud cheer*... Dlaczego nie? I tak zbliża się *dies illa*.

– To jest też czeska piosenka – stwierdzam.

Rosemary milknie, jakby nożem uciął. Nagle się obraża. Z powodu prawdy, jak to już czasem bywa, gdy ktoś tyknie całą masę mniej czy bardziej fałszywych legend.

– To jest piosenka – mówi sztywno – z którą mój biedny *daddy* wsiadał do amfibii podczas D-day. To była ostatnia amerykańska piosenka, którą usłyszał, nim padł na francuskim brzegu.

Dies irae, dies illa... Zastanawiam się, jaka filozoficzna nauka może się kryć w tej walce niewinności z kłamstwem, przegranej w chwili prawdy.

Ktoś dzwoni do drzwi.

Pewnie zaczyna się już projekcja.

* * *

Wszyscy niemal podrywamy się z miejsc, a Debilinka pociąga tyk pinklejdyny.

– Łel – odzywa się. – Ja myślałam, że dropnę ded na flokę. Ju ken imedzin!

Przytakujemy. Pinklejdyna jest już dopita, siedmopierścienna dłoń pana Zawynatcha kiwa na czarną łejtreskę, a jego zęby lśnią niczym kule do pigmejskiego bilardu. Łejtreska wybiega.

– Łel, byłam wystraszona jak diabli – kontynuuje Debilinka. – Dżast imedzin! Po raz pierwszy w Pradze, tydzień po uregulowaniu sprawy obywatelstwa czechosłowackiego i dżast parę miesięcy po kenejdien sitizenszip, a teraz tu siedzę jak myszka w maustrepie pomiędzy samymi plejnklausmanami. A Lida jeszcze mówi, całkiem kalmly: „Ja dla nich teraz pracuję jako interpret”.

Pojawia się czarna łejtreska i stawia przed Debilinką nową pinklejdynę, a przed każdym z nas śliwownicę Dżelinek; wszystko to na rachunek pana Zawynatcha.

– Enyłej – ciągnie Debilinka. – Nie dało się już nic robić, więc powiedziałam sobie, że nou łej nie mogą poznać, że jestem z Kanady, bo ci agenci pewnie brali mnie za jakąś koleżankę Lidy. Ale to było dyfikt, ju bet. Raz już nawet myślałam, że jestem w dżemie. Ten gaj, co nas tam zabrał, położył mi pytanie, czy ja jestem w eses młodzieży. Łel, co byście na to powiedzieli? W tym momencie o mało mu wszystkiego nie wygadałam – oświadcza tajemniczo, ale po chwili rozumiemy. – Ja myślałam, że to jest dżouk, więc mówię, że w eses nie jestem, ale że jestem w sofomor es a. Lida udała, że się zakrztusiła łiską, i powiedziała: „Milena jest sekretery w związkach zawodowych!” Więc rajtełej wiedziałam, że zrobiłam jakiś blandr, ale ponieważ ci faceci byli już trochę haj, więc na szczęście nikt tego nie zauważył. Łel, żebym zrobiła z długiej story krótką: oni się w ogóle nie zorientowali, że jestem z Trono!

Pan Zawynatch w zachwycie klaszcze: – Splendid, Milenko! Ferst klas andrkawr dżob! – Całkiem już poddał się osobowości swej narzeczonej, więc tylko patrzeć, jak sam zacznie mówić po patagońsku. Mam jednak wrażenie, że Debilinka robi nas w konia, bo czy nawet wzorcowy policjant z najlepszej anegdoty o ubekach mógłby myśleć, że swój toroncki język Debilinka przyswoiła sobie w jakiejś peryferyjnej dzielnicy Pragi?

Nie mógłby.

– Wy sobie możecie wyobrazić, że serczowałam po jakimś ekskjuzie, żebym mogła jak najszybciej stamtąd wyjść. Widzę, że ci dwaj przy barze są już prity gipsy, a ten, co nas tam przyprowadził, ostro pracuje, żeby też był stounowy. Łel, więc sobie tak tajmuję, kiedy jest najlepszy czas im powiedzieć, że mam dejt z mamą, a on

olowesadn mówi dżast lajk dzet: „To zaczynamy, pannenki, nie?” A frajmyrorenojster! Ja nie mogę wierzyć oczom! Lida wstaje, ściąga przez głowę swoją tiszertkę i staje przed nimi na golasa!

Pan Zawynatch, zgodnie z moim oczekiwaniem, rozgląda się wokół z dumą. Pan Pohorsky na wpół otwiera usta. Frank chmurzy się. Wszyscy zaś jak jeden mąż, bez wcześniejszego porozumienia, sięgamy po kieliszki.

– Ja byłam szokt, a hu łudnt – opowiada dalej Debilinka. – Ale to nie wszystko. Ci faceci zerwali się na nogi i zaczęli stripować! Ja byłam iwn mor szokt! Chciałam powiedzieć coś bardzo szarp, ale ponieważ byłam atrly szokt, więc absolutly nie byłam w stanie znaleźć żadnych słów! – milknie, lecz po chwili znajduje następne słowa. – Musiałam blaszować, bo ten jeden facet, co stał już w samych dżokejowych szorts, mówi do mnie: „Co się gapisz? Nie gadaj, że jeszcze nigdy nie miałas grupseks!”

Przerywam jej:

– Powiedział *group sex*?

Patrzy na mnie urażona.

– Neczrly powiedział przekładaniec!

– To dlaczego mówisz grupseks, Milenko?

– Łel, ponieważ hir fir in Keneda, nie?

– W Pradze mówiłaś przekładaniec?

– No coś ty! To on powiedział! Ja bym takiego jednego słowa nie pozwoliła pasnąć moim ustom! Sorry – Debilinka posila się pinklejdyną i wciąż jeszcze trochę dotknięta, że ją o coś takiego podejrzewałem, kontynuuję podniesionym głosem: – Łel, jak on to powiedział, to ja wstaję... – wczuwa się w rolę tak bardzo, że wstaje, strząsa dłoń pana Zawynatcha ze swojego uda i obiema rękoma wskazuje na postać nagiego mężczyzny uprawiającego miłość na jej piersiach – ...i mówię: „Myślicie, że kto ja jestem, enylej, wy świnię!” A ci faceci na mnie

sterują, jak byli serprajst. „Za kogo mnie macie, ju pigs!” I odwracam się, krosam przez pokój do drzwi, otwieram je, wychodzę i porządnie za sobą slemuję. Na zewnątrz zaczynam biec, ale forcznetli akurat jechał obok keb. – Patrzy na nas, którzy ją sterujemy, ze świętym oburzeniem. – Łel, czy to nie jest szoking? Możecie sobie wyobrazić, co sobie ci faceci o mnie myśleli?

Obie dłonie Debilinki wciąż wskazują na scenkę na jej bluzie. Miniskert ma dziś czarną, wokół talii złoty łańcuszek, a na nim wisi symbol kobiecego narządu płciowego, dokładnie nad miejscem, które przedstawia.

– Co? – pytam ją z głupia frant.

– Łel, oni myśleli, że jestem e hor! Łudźju biliwit?

* * *

Drogi Dan,

Nie mogę spać i dlatego do Ciebie piszę. Nie mogę spać, dlatego że jestem zdenerwowany i dlatego że szukam odpowiedzi. Ale gdy tylko ją znajdę, pojawia się zawsze nowe pytanie, a kiedy i na nie odpowiem, przychodzi kolejne – czy można tak in infinitum?

Pamiętasz, jak Ci kiedyś pisałem o tej gablocie u Rupa? Utkwiła mi w pamięci, choć bardzo staram się o niej zapomnieć. Jest to jak ognisko zapalne, ukryte w organizmie tak głęboko, że nie dotrze do niego skalpel chirurga. Wiesz, że zawsze polemizowałem z Twoim sceptycyzmem, że zawsze chciałem iść w parze z czymś nowym, lepszym, bardziej użytecznym dla ludzi. Wiesz również, że mnie zawsze chodziło o sztukę, bo uważam, że w sztuce i nauce są ostateczne cele człowieka.

Ale przecież sztuka, podobnie jak społeczeństwo, musi poszukiwać czegoś nowego, czegoś lepszego...

Wybacz, że Ci się tak zwierzam. Byłem jednak wczoraj na wystawie nowej sztuki radzieckiej i wieczorem o niej dyskutowaliśmy z przyjaciółmi. Wieczorem! Praktycznie aż do rana i ostatecznie się rozeszliśmy, obawiam się, że mocno skłóceni.

Fiala jej bronił. Fiala! Pamiętasz, jak podczas wojny pożyłczał nam manifesty Bretona? Jak mówił, że nasze stulecie jest stuleciem końca realizmu form zewnętrznych i jedynie, co ma prawo istnieć, to surrealizm jako realizm form wewnętrznych... Štýrský, Toyen, Tanguy...

Ta wystawa... myślę, że była straszna. Tłumy mężów stanu i generałów, namalowanych tak, jakby malarz nie miał pojęcia, że kiedyś żył jakiś Rembrandt. Kolorowe fotografie. Kiepskie kolorowe fotografie.

Ale powiedziałem sobie: niech tam! Po prostu sztuka oficjalna. Potem jednak zobaczyłem TEN obraz i przypomniałem sobie... to było jakoś w drugim roku wojny z Rosją. Przyjechałem na święta do domu, spotkaliśmy się u Rostii, a on miał w domu czasopismo „Signal”, w którym znaleźliśmy kolorową reprodukcję obrazu „Zdobycie Sewastopola”. Chyba pamiętasz. Wtedy na przykładzie tego obrazu dyskutowaliśmy o sztuce nazistowskiej. Dyskutowaliśmy to złe słowo: po prostu się z tego wyśmiewaliśmy. Faktem jest, że a priori byliśmy do tej sztuki uprzedzeni. Ale Rostia jest malarzem i prezentował czysto techniczne argumenty. Tłumaczył nam, że malowanie w taki sposób oznacza próbę zastąpienia fotografii, czyli zastąpienia czegoś nowego czymś starym. Nazywał to artystycznym reakcjonizmem i pokazywał nam reprodukcje wojennych obrazów Boscha i całą serię Goi.

Może jednak tego nie pamiętasz. Obraz przedstawiał scenę bitewną, walkę wręcz niemieckich i radzieckich żołnierzy. Obliczyliśmy, że są na nim siedemdziesiąt trzy postaci, z czego czterdzieści dwie radzieckie – byli więc w większości – i podobna, choć jeszcze wyraźniejsza, dysproporcja między liczbą zabitych i rannych żołnierzy: na każdego ranne go Niemca przypadało pięciu Rosjan! W centralnym miejscu obrazu stał esesman, który właśnie wbijał bagnet w brzuch radzieckiego marynarza. Wszyscy Niemcy to były wyidealizowane portrety typów aryjskich, a wszyscy Rosjanie mieli nosy jak kartofle i wyglądali na zbrodniarzy. Rostię najbar-

dziej rozbawił jeden detal: Niemcy byli świeżo ogoleni, a Rosjanie mieli niechlujny zarost.

Dan, ty wiesz, że ja się bronię przed mistyką... Hipochondrycy, esteci, księża... zostawcie sobie... mistykę, powtarzam za Neumannem. Ale ponieważ chcę być szczerzy – wobec samego siebie, bo wobec innych nie zawsze można, jeśli człowiek nie chce być okrutny – nie mogę się pozbyć wrażenia, że to nie może być przypadek, coś z niczego...

Na tej wystawie wisiał obraz „Obrona Sewastopola”. Dan! Mogę uznać, że moje wspomnienie reprodukcji w „Signalu” nie jest ściśle w szczegółach. Ale mimo wszystko – ten obraz po prostu wyglądał jak kopia tamtego, niemieckiego. Nie w sensie duplikatu, ale pod względem identycznej kompozycji, stylu, techniki, nastroju...

Tylko że oczywiście wszystko było na odwrót! W przewadze byli Niemcy, rannych i zabitych też było więcej Niemców. W centrum stał radziecki marynarz i wbijał bagnet w brzuch człowieka w mundurze esesmana. Twarze radzieckich żołnierzy były idealizacją jesieninowskiego typu, a Niemcy to były po prostu karykatury, Dan, a w dodatku byli nieogoleni!

U Fiali w końcu się zdenerwowałem i powiedziałem mu prosto w oczy, że nie rozumiem, jak może bronić tak pustego i wyidealizowanego realizmu fotograficznego! I to akurat on, który... A on wyciągnął z biblioteki Neumanna: „Postęp jest poza dobrem i złem: to, jak funkcjonuje w swoich czasach, zależy od organizacji i od poziomu społeczeństwa...”, i tłumaczył, że ta sama technika i ta sama koncepcja może wywoływać całkiem przeciwny „skutek społeczny” (słyszałeś kiedyś takie pojęcie?) w zależności od tego, czy jakieś społeczeństwo funkcjonuje na bazie postępowej czy reakcyjnej. Wyprowadziło mnie to z równowagi, ale po chwili się opanowałem i spytałem, czy uważa to za postęp w malarstwie. A on znowu cytował Neumanna: „Postępem jest wszystko, co nowe, albo zmienione, albo nam przywrócone, co z punktu widzenia większej liczby kryteriów jest raczej pozytywne niż negatywne”. Stwierdził,

że technika malarska XIX wieku może nawet dziś być postępową, jeśli jest nam przywrócona, to znaczy wykorzystana w postępowym celu – w przypadku malarstwa w takim celu, aby pomagała doprowadzić ludzi do zrozumienia podstawowych zadań dzisiejszych czasów. Esteta może mógłby powiedzieć, że to jest to samo co „psucie smaku”, ale nawet gdyby w wąskim, czysto estetycznym sensie miał rację, to tę „szkodliwość” z nawiązką wyrównują korzyści społeczne osiągnięte dzięki wykorzystaniu starej techniki do nowych celów.

Przyszło mi do głowy: a co entartete Kunst? Fiala na to odparł, że w nazistowskich Niemczech zakaz nowoczesnych kierunków był reakcyjny, ponieważ został wydany w imię najbardziej reakcyjnej teorii politycznej... A w Rosji nie... ponieważ w imię... Zakręciło mi się w głowie. Chciałem go spytać, czy krytyka nowoczesnych kierunków w imię najbardziej postępowej teorii... A czym w takim razie jest postęp? Skoro zapewne może nim być wszystko, to z punktu widzenia jakiej teorii coś jest przywracane?

Szedłem do domu piechotą i jak to bywa, zbyt późno przypomniał mi się Majakowski:

Proszę
pisarzy,
pobladych z trwogi:
przestańcie
seplenić
wiersze dla ubogich.
Rozumie
klasa,
co daje nam wszystko,
i sztukę
nie gorzej od ciebie,
artysto*.

* Przetłóżył Anatol Stern.

Może to mógłby być argument. Nie wiem. Fiala znów by coś znalazł u Neumanna. Dan, to straszne, że na każdą odpowiedź znów jest inna odpowiedź.

W domu też odnalazłem ten tekst Neumanna i czytam: „Jeśli chcemy być postępowi, powinniśmy w innych sferach działać na rzecz postępu, na przykład wspierając demokrację...” Cóż to jest „wspieranie demokracji”? Czy nie jest to na przykład wychowywanie ludzi ku temu, żeby rozumieli rzeczy nowe, także w sztuce? Neumann pisze dalej: „Postęp istnieje również w sztuce: w poezji na przykład wiersze Whitmana i Verhaerena oznaczały wielki postęp, ponieważ otwierały nową drogę liryki do poszerzenia bogactwa jej formy i treści oraz stworzenia nowych środków wyrazu”. Czy może być postępowe coś, co zostało „przywrócone” wprost ze sztalug nazistowskich malarzy albo z mieszczańskich salonów XIX wieku?

Nie mogę spać. Czytam Neumanna:

jeszcze bije

serce dla prawdy, piękna, pełni, istoty,
dla cudów życia i dobra, sprawiedliwości.

Reszta jest

Literaturą i przeszłością i mrokiem

...daremny i złudny poszukiwacz w grobie języka

...wyje z wilkami...

Nie wierzę w Boga, ale pytam swojego sumienia. „Cud życia” – był choćby jakiś jego ślad na tej wystawie? I czy Whitman nie był „daremny poszukiwaczem w grobie języka”? Czy surrealiści nie nazywali ironicznie „literaturą” właśnie takich utworów, które w sztuce literackiej stanowią ekwiwalent malarstwa salonowego?

Ach, Dan, odpowiedz! Ta gabłota wciąż mnie straszy!

Twój

Jan

Film jest wyświetlany w wielkim salonie na parterze domu Svenssonów. To przestronne pomieszczenie udekorowane paneau, z widokiem na ogród zimowy i z pięknymi przeszklonymi drzwiami do holu, z pewnością oryginalny Tiffany. Pan domu nas opuścił; filmy – prócz tych, które sam finansuje – go nie interesują. Rosemary stwierdziła, że nie może na to patrzeć, bo przypomina jej to zmarłego ojca. Mnie, dzięki szczególnie perwersyjnym skojarzeniom, *Triumpf woli* przypomina młodość. Patrzę na maszerujące na ekranie kompanie marszowe i cofam się do Kostelca, kiedy następnego dnia po pasterce Maria mi powiedziała: – Ta twoja robotnica jest ładniutka.

– Nie jest moja, a ty jesteś ładniejsza – odparłem.

– Nie jestem ładniejsza, ale też nie jestem twoja – wycedziła zimno i udawała, że nie widzi, jak się na nią gapią żołnierze maszerujący z naprzeciwka. *Wir werden weiter marschieren, / Bis an das Ende der Welt* – śpiewali dość zmęczeni.

– Mańka – westchnąłem – Ty jesteś potwór!

– Ale i tak mnie kochasz, Daniczku! – uśmiechnęła się zwycięsko, zrobiła pogardliwą minę i odmaszerowała w stronę mroźnych świateł zaśnieżonego rynku.

Patrzę na marszkompanie na ekranie, które wyglądają na wypoczęte, dziarskie, nie takie jak tamta. Przebitka na Rudolfa Hessa. Spocona twarz z nieogolonym zarostem, ramię uniesione jak wykrzyknik. Takiego spoconego widywałem w Kostelcu Icka Lewita, jak nosił z magazynów beczki śliwowicy. Gdzie znalazł swój koniec? Na końcu świata? Na projekcję przyprowadzili jakąś ekspertkę, która wykłada coś, co się nazywa „studia kobiece” w Hunter College. Ekspertka krótko ich wprowadziła, jak mają patrzeć na film. Maszerują esesmani, końskie ogony na rusztowaniach, lirafon, błyszczące

oficerki. W niedawnym wywiadzie, powiedziała ekspertka, Leni Riefenstahl zaprzeczyła, żeby kiedykolwiek była nazistką. *Triumpf woli* nie jest filmem propagandowym, tylko dokumentalnym. W końcu wszystko zależy od tego, w jakim społeczeństwie się go wyświetla, w totalitarnym czy demokratycznym. W demokratycznym to film dokumentalny. Więc w społeczeństwie demokratycznym nikt nie może stawiać Leni żadnych zarzutów. Zaczynam mieć niejasne przeczucie, co to mogą być „studia kobiece” – zapewne coś związanego z logiką. Leni w wywiadzie powiedziała też, dodaje ekspertka, że była wtedy młodą kobietą, więc kto może jej mieć za złe, że wierzyła w coś, w co wierzyli również znacznie bardziej doświadczeni ludzie, w sumie większość narodu. Przede wszystkim jednak, ciągnęła dalej ekspertka, jest to pierwszy film artystyczny w całości nakręcony przez kobietę. Pod względem technicznym doskonały, wykorzystuje tu eisensteinowski montaż, a w dodatku jest pełen wizualnego piękna. Na ekranie maszerują tyłki odziane w opięte bryczesy. Przypominają mi Ottona Uippelta, który miał dokładnie takie same. A także młodość w Kostelcu. Przychodzi mi do głowy, że podstawą wszystkiego są skojarzenia. Skojarzenia dotyczące czasu, kształtu, teorii, serca; skojarzenia wszechmocne i wszechobecne...

Na krześle przede mną ktoś się wierci, stożek światła, który porusza cieniami z pewnością martwych, a zapewne także zmarłych marną śmiercią postaci, oświetla wyszczotkowany czubek głowy. Jakże może mieć skojarzenia Veronika? Przypominam sobie jej dwukrotnie nierozwiedzioną matkę.

Veronika wstaje, po omacku porusza się w ciemności, aż na jej twarz pada słaby odbłask kolorowego światła Tiffany’ego z holu. Uchwyciwszy się go, wychodzi z salonu.

Mówi Wódz i Kanclerz Rzeszy (dlaczego z takim uporem obstawał przy biurokratycznych tytułach? To pewnie też skojarzenia. Biedny niemiecki chłopiec w taki sposób wyobrażał sobie, jak bardzo jest ważny), filmowany od dołu, co już od czasów Pudowkina kojarzyło się z monumentalizmem. A więc dokument monumentalizowany dzięki technice reżyserów przeciwstawnej ideologii. Czy monumentalizowany dokument jest jeszcze dokumentem? Może spytam o to ekspertkę.

– Ty potworze! – zawołałem w ślad za Marią. – Piękny potworze!

Obok akurat przechodził pan profesor Bivoj.

– Smirzicky! Na kogo tak wykrzykujesz jak pastuch?

– Na nikogo – odpowiedziałem klasycznie.

– W takim razie powinieneś się dać zbadać specjalście – stwierdził Bivoj. – Głośne mówienie do siebie to oznaka ogromnego roztargnienia.

– Wołałem do jednej koleżanki, panie profesorze.

Bivoj odwrócił się. Maria nadal dumnie kroczyła w stronę kolejnej kompanii marszowej. A żołnierze śpiewali stylowo: *Lebe wohl, Erika!*

– Wydaje ci się potworem, Smirzicky? – spytał Bivoj.

– Nie wydaje mi się.

– To dlaczego nazywasz ją potworem i dołączasz nielogicznie słowo „piękny”? Na dodatek niezgodnie z gramatyką?

– To jest taka poetycka ozdoba, panie profesorze – odpowiedziałem.

– Tak? A wiesz, jak się nazywa taka poetycka ozdoba?

Przyłapał mnie. Nie wiedziałem. Nawet nie miałem tego na końcu języka. Jeśli kiedyś wiedziałem, musiałem całkiem zapomnieć. Stał nade mną, ogromny jak słoń. Naprawdę nazywał się Mużik. To właściwie taka sama ozdoba poetycka. Uczył nas matematyki.

– Niestety nie mogę sobie przypomnieć.

– To smutne – stwierdził Bivoj. – Maturzystą, a już mu wyparowały z głowy podstawowe informacje. A może pamiętasz jeszcze wzór na obliczenie powierzchni wycinka koła?

Oczywiście tego wzoru tym bardziej nie pamiętałem.

Staliśmy na rynku, obok nas w jedną stronę maszerowała niekończąca się szara kolumna żołnierzy i odbywał się przegląd ulubionych melodii, a w drugą stronę podążali ludzie wychodzący z kościoła. Był pierwszy dzień świąt. Chociaż byłem już pół roku po maturze, pan profesor Bivoj odpytywał mnie na rynku z matematyki.

Obok przechodziła Nadia ze swoją grupą z Czernej Hory i z zaciekawieniem wpatrywała się pałającym wzrokiem w potężnego pana, przed którym się kuliłem. Trzymała pod rękę innego olbrzyma. Pan profesor Bivoj był górą mięsa, szachistą i człowiekiem prowadzącym siedzący tryb życia. Facet Nadii był górą mięśni, co prawda po operacji ślepej kiszki górą nieco pobladłą, ale był to jednak wyrwidąb. Mięśniak.

Więc mam przechlapane także z Nadią.

– Jaka jest całka z trzech?

– Trzech? Bez sensu – wymknęło mi się skojarzenie. Bivoj ze zdumienia uniósł brwi. *Lebe wohl, Erika!*

Rozpoczyna się jakaś straszliwa dyskusja, w której nie biorę udziału, tylko słucham. Wspólnym wysiłkiem udaje im się rozszyfrować ideowy zamiar Leni Riefenstahl – którym jest prezentacja ssaka rodzaju męskiego w całej jego militarystycznej śmieszności, chłopięcym ograniczeniu i stadnej pustce myślowej. Leni jako młoda i całkiem piękna reżyserka filmowa flirtowała z marksizmem, a może tylko sypiała z Bělą Balázsem. Jeśli coś jest dobrze zrobione, może mieć wiele znaczeń. Irena odprowadza mnie do wyjścia z rodzinnej posiadłości.

– Podobał się panu film?

- A pani?
- Całkiem ciekawy, choć trochę zbyt długi.
- Mnie się bardzo podobał. Każda sztuka, która zmusza do myślenia, jest cenna.
- Do myślenia? – zdziwiła się. – A o czym?
- O wszystkim – odparłem. – O czym innym można myśleć?
- *Good night* – odpowiada Irena. Światło – latarnia Tiffany’ego – zmienia ją w kadr z hollywoodzkiego filmu z czasów, kiedy aktorki musiały być piękne, a zbliżenia – trochę rozmyte, żeby wokół ich głów tworzyła się aureola.

* * *

Milczymy. Nie rozumiemy, ale czegoś innego. Pan Pohorsky głupio parska śmiechem. Debilinka mrozi go spojrzeniem. Siedmiopięścienny pan Zawynatch z dumą poprawia krawat.

– Ja nie potrafiłam sobie eksplejnować tej bezczelności! Myśleć sobie, że jestem e hor! – mówi Debilinka i siada. – Następnego dnia Lida zadzwoniła do mnie na górę do mamy i spytała, czy jedna drugą możemy widzieć. Neczryly byłam enkszes wiedzieć, jak to było możliwe, więc powiedziałam, szur, łaj not. Ona przyszła i u mnie w bedrumie całkiem brejkdałnowała. Spowiadała mi się, że nie ma żadnego dżobu i nie pracuje jako interpreter, tylko wzięła prostytutuszn!

Znów rozgląda się wokół wspaniale niewinnym wzrokiem. Pan Pohorsky ponownie się głupio śmieje, a Debilinka zmarszczyła brwi.

– Łel, więc fajny wiedziałam, jak to było, że mnie wzięli za hor! Po prostu z powodu Lidy!

Sięga po drink, dzwoniąca bransoletka rozsypuje się na blacie stołu. Pan Zawynatch zaczyna odwracać literki. Też zapewne chciałby poznać przesłanie tej biżuterii.

– Teraz już rozumiem – zabieram głos. – Ale jednej rzeczy nie mogę pojąć, Milenko...

– Której rzeczy? – pyta Debilinka podejrzliwie.

– Jak mogli nie poznać, że jesteś z Kanady?

– A po czym mieli poznać? Ou, aj si! Ty myślisz, że po tym rodzaju tiszertki? Ale możesz je dziś zobaczyć w Pradze ewryłer. Wiele dziewczyn ma dziś na Zachodzie riletjtiws.

– Walutowe dziewczyny też je mają – dodał pan Pohorsky. – Dostają je od cinkciarzy.

– Nie miałem na myśli tiszertki – zaproponowałem. – *I mean the way you talk.*

Debilinka zamyśliła się głęboko.

– Tak? To mi nawet nie krosnęło przez głowę. Łel, ju noł, ja jestem strasznie seseptibl na to, co słyszę. Jak tam przez tydzień entertejnowałam mamę i wszystkie te ciotki, i kazns, i frends, to prawie całkiem zapomniałam angielskiego. Łel, wyobraź sobie coś takiego: w drodze powrotnej spotkałam w samolocie dwie Brytyjki i łudzibiliwit? Przez cały czas w angielski miksowałam czeskie słowa! Iwn całe zdania!

– Coś ty, naprawdę?

– Szur! Forcznetly potem zrobił na mnie pas jeden Czech z Szikejgo, więc nad Niufaunlend już znowu mówiłam normly.

To rzeczywiście był serprajs. Pan Zawynatch cierpliwie wyrównał na stole błyskotki i bransoletka wreszcie ujawniła swoją tajemnicę:

PRAWDA ZWYCIĘŻA – głosił czeski napis.

Rzeczywiście?

Co takiego robiła Debilinka ze swoją najlepszą przyjaciółką Lidą? Co takiego robiła wcześniej, zanim wyemigrowała do Kanady? Że Lida z taką oczywistością zabrała ją na takie party? Musiała przecież dobrze wiedzieć, że nie będzie to kółko szachowe. Ale może rów-

nież i to, co Debilinka zapewne robiła z Lidą, zanim ruszyła za ocean, obudziłoby w panu Zawynatchu masochistyczne uczucie rozkoszy?

Na głos jednak nie mówię niczego. Nie chcę Debilince psuć szans, bo wszyscy ją kochamy. Wszyscy chcemy ją zobaczyć jako szczęśliwą małżonkę u boku siedmopięściennego właściciela wielu nieruchomości, akcji i ogromnego familyhausu.

* * *

Co robiła Veronika, tego dowiedziałem się dopiero wtedy, kiedy powinienem był mieć (a nie miałem) szczególnie wyostrzony słuch, żeby coś zrobić dla tej smutnej dziewczyny. Czułem jednak tylko bezwzględny pisarski głód historyjek, więc słuchałem Veroniki, a jej słowa zmieniały się w obrazy. Widziałem drzwi Tiffany'ego od drugiej strony, z holu, a na nich, dzięki jakiemś trikowi złośliwej optyki, odbijały się wielkie tyłki, upiękzone secesyjną mozaiką. Realizm zwycięskiej sztuki Trzeciej Rzeszy dzięki zielonym, błękitnym i pomarańczowym barwom Tiffany'ego zmieniony w maszerujące kubistyczne żaby. A na tym tle młodego człowieka o imieniu Percy, odziedziczonym po tym dziadku, który zmarł ze słowami *Polki piwnej* na ustach, *à la longue*, za komunizm. Pykając z fajki, patrzy na maszerujące uda, które optyka Tiffany'ego transformuje z *Paradeschritt* na *passo romano*, a z *passo romano* na krok defiladowy i z powrotem na *Paradeschritt*, ale takich pojęć Percy nie zna. Wpatruje się w żywy *Totentanz*, skaczący w szkiełkach przy akompaniamencie piszczałek i lirafonów, gdy nagle obrazki uciekają w bok i w miejscu tyłków pojawia się dziewczyna z wyszczotkowaną fryzurą, na białych policzkach tradycyjne łyzy, pod rozpiętą kurtką dżinsową tradycyjna koszula w kwiatki, tyłeczek rozkosznie opięty w przylegających dżinsach,

rozszerzających się na dole w dzwony, obramowane solą z toronckich ulic. Na taki trik niczym z Mélièsa Percy drgnął i wykrztusił:

– *Hi!*

– *Hi!* – odpowiedziała dziewczyna, opadła na fotelik przy drzwiach, wyciągnęła z kieszonki kleenex i zaczęła ocierać łzy. Cienie wielkich tyłków maszerują teraz po jej wyszczotkowanej głowie i rozlega się chłopięcy śpiew... *Die Fahne hoch, die Reihen dicht geschlossen...* Dziewczyna płacze.

– *What's the matter?* – pyta Percy, trochę wzruszony, a trochę podniecony. Dziewczyna łka, energicznie wyciera oczy, kleenex zabarwia się mejkapem. Percy pyta:

– Ten film tak panią wzruszył?

Wyszczotkowana głowa energicznie przeczy. ...*SA marschert...*

– Nie! Wkurzył mnie!

– Dlaczego? – Percy nie ma pojęcia, kim jest ta dziewczyna, i nie wie nic o Leni Riefenstahl. Nie ma pojęcia o niczym. I jeszcze mniej wie. Mniej niż jego dziadek z królewskich strzelców, który padł za to, aby Europa stała się bezpieczna dla stalinizmu... ...*mit ruhig festem Schritt...*

Dziewczyna opanowuje się i zadaje Percy'emu klasyczne pytanie:

– Nie ma pan papierosa?

Percy ma fajkę. Ale w pudełku na stoliku do kawy są przygotowane papierosy dla gości pana Svenssona. Percy częstuje, przypala, dziewczyna wydmuchuje obłoczek dymu, a w nim wielkie tyłki zwijają się jak derwisze. ...*Kamraden, die Rotfront...*

– *Never mind* – mówi dziewczyna. – Ja po prostu wolę filmy, które nakręcili mężczyźni.

– Dlaczego? – dziwi się Percy.

– Mężczyźni robią filmy o kobietach. Dlatego. – Już się opanowała. ...*und Reaktion erschossen...*

– Widzę, że mamy podobny gust. Jestem Percy.

– Veronika – odpowiada dziewczyna.

– Ale... – Percy przygląda się okrągłej twarzy z oczami szeroko rozstawionymi i pełnymi wargami, ogarnia go kosmopolityczna męska sympatia – ...ale jakoś ten film jednak na panią podziałał. Jest pani zdenerwowana.

– Pan wybaczy, ale jeśli ktoś rozplęwa się nad nazistowskim filmem tylko dlatego, że ten nazista nosił spódnicę...

...*marschieren im Geist...*

– Oh! *A serious girl, are you?* – mówi tonem znawcy nic nierozumiejący i nic niewiedzący Percy. Dziewczyna odpowiada z komiczną złością:

– *No! I'm a funny girl!*

Percy milknie. Znów wpatruje się w wielkie tyłki. Maszerują szereg za szeregiem. Wydaje się, że jasnowłosa Leni nie mogła się nimi nasycić. Potem spogląda na drzwi Tiffany'ego, które – myśli sobie – do tej pory nigdy nie objawiły mu niczego takiego jak ta dziewczyna. ...*in unseren Reihen mit...*

– Naprawdę nakręciła to kobieta?

Veronika nie odpowiada wprost. Mówi:

– Jestem idiotka, bo polityka nie powinna mi już tak podnosić adrenaliny. Przynajmniej nie tu, w Kanadzie. Ale skoro przypadkiem mój tata kiedyś podpadł prawu tych-tam towarzyszy – wskazuje głową w stronę Tiffany'ego, gdzie zwijają się czarne półdupki i rozbrzmiewa refren ...*Kamraden, die Rotfront...* – o ile wie pan, co mam na myśli.

– *I have a vague idea* – wzdycha Percy.

– Więc jestem okropnie uprzedzona, wie pan? Rozumie pan? Jestem jeden wielki przesąd.

...*und Reaktion erschossen...*

W nic nierozumiejącym Percym bierze górę tokujący samiec.

– *Why don't you tell me about your prejudices, sometimes?*

– Nie wiem, czy miałby pan ochotę słuchać – odpowiada dziewczyna i mierzy go badawczym spojrzeniem. Percy jest ubrany w ciuchy z najdroższego butiku w Yorkville. Veronika wbija wzrok w modny amulet wiszący mu na szyi. Nie przypuszcza, że symbol pokoju, przejęty przez hippisów chyba z indiańskiej mitologii, oznacza dla Percy'ego tylko to, co oznacza: modny gadżet. Dziewczynę jednak zafascynował. Jej policzki nabierają barw.

...marschieren im Geist...

– Dlatego że ja mam też uprzedzenia do rewolucji – spogląda ostro na niewinną twarz Percy'ego. – *Sorry to hurt your political feelings, if any.*

Percy nie rozumie spojrzenia. Nie przypuszcza, że gniew wywołał amulet, o którym nie wie, że symbolizuje Pokój, o którym z kolei dziewczyna wie, że kiedy to pasuje, może oznaczać również wojnę, oczywiście sprawiedliwą, bo taka jest dialektyka. Percy o czymś takim nie ma pojęcia. Zielonego.

Zza drzwi Tiffany'ego dobiega po raz trzeci, potężniej niż poprzednio, chłopiący refren:

*Kamraden, die Rotfront und Reaktion erschossen,
marschieren im Geist in unsern Reihen mit!*

– *I don't suppose you understand German?* – pyta dziewczyna.

– Obawiam się, że nie. Umiem trochę francuski. Ale tylko troszeczkę.

– *I thought so* – stwierdza dziewczyna. – *Rotfront und Reaktion. Well.* Moja mama trochę należy do ofiar tej pierwszej kategorii, a tata – do ofiar drugiej. Nie zastrzelili ich. Mieli szczęście. Tylko trochę zmarnowali im życie. A ja bym chciała wiedzieć, do której kategorii ja należę, wie pan?

Tak mi o tym opowiadała. Tak to zobaczyłem. Było to, niestety, dopiero wtedy, gdy to wszystko już się skończyło.

* * *

Myślę o Debilince. W.W. Bellissimmo wygłasza opinie na temat związku uczuciowego Hester i Dimmesdale'a. Ostro potępia mężczyznę i w ogóle nie rozumie jego dylematu. Ja myślę o willi z tapetami w dżinsowe wzory, ze stereo z kwadrofonią i wódką moskowską – jedynym reprezentantem świata wschodniego. Czytam: „Sute krezy, pasy przedziwnej roboty i bogato haftowane rękawice stały się niezbędnym atrybutem urzędowej pozycji ludzi ujmujących w swe ręce ster władzy (...), nawet wówczas, gdy prawo ogólne wzbraniało takich lub podobnych ekstrawagancji w stanie plebejskim”. Po chwili widzę nie pokój wyklejony dżinsową tapetą, lecz wystawę o ćwierć wieku wcześniejszą. Nad nocną Pragą lata aeroplan, a na brzuchu zapala mu się i gaśnie czerwony neon z literkami JWS 70. Na wystawie masa eksponatów. Wyszywanki artystek ludowych – zamiast gołąbków uśmiecha się STALIN. Obraz zasłużonego artysty, a na nim – niczym Maria Panna u Dürera – STALIN wstępuje na niebiosa. Zamiast świętych śledzą jego lot symboliczni mężczyźni w lotniczych okularach z młotami i sierpami. Czołg T34 z połączoną wieżą – pięćsetny wyprodukowany w zakładach CzKD na cześć STALINA. Serca z piernika, a na nich kolorowym cukrem portrety STALINA. STALIN jako husarz na ludowym koniku. A w centrum tego szaleństwa narodu, który ostatni raz tak fetował kochanka pewnej królowej w okresie baroku – czarnołśniąca salonka kolejowa, wyprodukowana jako dar z okazji urodzin STALINA. W środku salonik konferencyjny, a w nim na wszystkich czterech ścianach obrazy STALINA jako

cztery alegorie: ze staruszką, z pionierami, z rannymi żołnierzami i z mężczyznami dzierżącymi w dłoniach sierpy i młoty. Łazienka STALINA – alabastrowa wanna, a nad nią trzy złote krany, pokazane w prasie: jeden z zimną wodą, drugi z ciepłą i trzeci z wodą PERFUMOWANĄ, wszystko dla STALINA... Widzę nagiego STALINA, jak pluska się w letniej PERFUMOWANEJ wodzie... Ach, Hawthornie, czy ty w ogóle wiesz, co napisałeś?

Bellissimmo kończy jednak surową oceną: *Szkarłatna litera*, przesycona atmosferą czasu swego powstania, nie ma już nam nic do powiedzenia. Nie potępia w sposób jednoznaczny – w świętym zapale Bellissimmo używa ulubionego sformułowania wszystkich rezolucji – Dimmesdale’a za moralną słabość, ani za *male chauvinism*, z jakim pozwolił cierpieć biednej Hester, podczas gdy sam obłudnie budował własną karierę... Bellissimmo kończy i spogląda słodko na puzonistkę. Wciąż myślę o kwadrofonii, o perfumowanej wodzie, o tych, którzy chyba nie istnieją i nie mogą istnieć, dlatego nigdy nie będą mieli tej samej grupy krwi, co ja. Potem myślę o bezrogich krowach George’a Orwella.

Wstaję, zaczynam wykład i nie wiem, jak to wszystko wytłumaczyć.

* * *

Drogi Danielu,

W pierwszych słowach mojego listu pszyjmij serdeczne pozdrowienia często o tobie myśle będę się rzenić. Moja nażeczona to moja daleka kuzynka Słowaczka mają na Słowaci gospodarke 17 ha w Szofroniu koło Koszyc. Jeszcze jej nie widziałem tylko na fotografii nie jest specjalnie ładna ale mi się podoba. Ja mam chore płóca, a pan doktor Labsky muwi, że zmiana powietsza mi pomoże na Słowacji mają czystsze powietsze. Brat Olda tesz się ożenł nie wiem czy wiesz. Jego

rzona jest Litewka inżynierka hemiczna. Mieli słób 7 maja 1945 jak ją pierszy raz zobaczył bo to była miłość od pierszego spojżenia. Jej tesz nie przeszkadzało, że Olda się jąka i że jest tylko robotnikiem we fabryce jak mi nie pszeszkadza, że moja narzeczona nie jest bardzo ładna i że jest Słowaczka. 'ta Litewka jest ofiara wojny muwi, że uciekali pszed Niemcami asz z Litwy i 7 maja od pierszego spojżenia się zakohalu w moim bracie i wzięli ślup w rewolucyjnej radzie narodowej w Kostelcu. Brat chciał cie zaprosić za świątka, ale ty byłeś z rzołnierzami a w Kostelcu byli jeszcze Niemcy widziałem cie jak grałeś z zespołem 10 maja pszy trybunie jak witali Ruskich ale brat jusz był żonaty. Ja nie mogłem iść z rzołnierzami bo mam chore puca i plujęm kref. Wesele będzie 1 września w Vihorku powiat Szulirzow wiec odpowec mi odwrotną pocztom czy byś muk być za świątka jako stary pszyjaciel. Starzy tesz cie zapraszajom będzie tam rzarcia i picia ile zapragniesz mają gospodarke 17 ha. Odpowec mi odwrotnom pocztą czy byś muk być za świątka jako stary pszyjaciel. Na koniec mojego listu pszyjmij serdeczne pozdrowienia często o tobie myśle.

Tfuj przyjaciel

Lojza

* * *

Później ta historia wydawała mi się całkiem nieistotną uwerturą do strachu. Z mównicy, którą zdobił hakenkrojć na trochę obszarpanym czerwonym tle, pan fabrykant Zimmermann odczytywał wiadomość o zamordowaniu zastępcy Protektora Czech i Moraw Reinharda Heydricha. Tekst był suchy i groźny. Pan fabrykant odziany w zielony drelich czytał go tak, że nie brzmiał groźnie, ale jednocześnie nie w taki sposób, aby ktoś mógł pomyśleć, że jest mu obojętny los zastępcy Protektora. Od pogróżek był tu główny majster Ballon, który na tę uroczystość przyszedł w jak zwy-

kle opiętych bryczesach koloru wielkiej kupy i w wyprasowanej koszuli formacji SA z hakenkrojem na rękawie. Pan fabrykant oddał mu głos, a *Obermeister* zaczął na nas wrzeszczeć w stylu wszystkich tego rodzaju mówców, których całe szeregi stają mi przed oczami. Ponieważ robotnicy przeważnie nie znali niemieckiego, Ballon w porównaniu z innymi mówcami z tego szeregu miał niekorzystną sytuację, bo jego płomienne słowa musiał tłumaczyć mistrz kontroli Mozol, który co prawda znał niemiecki, ale sztuka przekładu była mu obca. W sumie to jednak nie przeszkadzało, bo jakkolwiek język użyty w takim celu jest powszechnie zrozumiały. Upraszcza zamienialne pustosłowie i niezamienialne groźby – po niemiecku, po czesku, po rosyjsku czy w hynkelszczyźnie Dyktatora – zawsze pogroźka jest pogroźką. Zawsze wypowiedana w imieniu (teoretycznej) większości, której twarda pięść spadnie na głowy (teoretycznej) mniejszości.

Reszta na podium stała, jak zwykle przy takich okazjach, w tle. Pan główny księgowy Kleinenherr, jedyny Niemiec w fabryce pochodzący z Kostelca. Wyglądał jak sfinks. Nie był członkiem partii, może dlatego, że przed wojną w Kostelcu było tylko trzech Niemców, z tego jeden Żyd, więc było trudno stworzyć podstawową komórkę partyjną. Gdyby pan Kleinenherr mieszkał dwadzieścia kilometrów dalej, w Rounovie, gdzie Niemcy byli w większości, zapewne byłby członkiem partii. Nie dlatego, że dałby się porwać wodzowi – był to rozsądny i grzeczny człowiek – ale od takich partii nawet przyzwoitym ludziom trudno się było wykręcić. Obok niego stał stu pięćdziesięciokilowy Schwarz, którego nie wzięli do wojska z powodu otyłości i dlatego, że był specjalistą od meserszmitów. To był apolityczny, techniczny debil, który stał zachmurzony, bo sądził, że chwila tego wymaga. Doktor Seelich, jednoręki le-

karz zakładowy, miał zamknięte oczy. Chyba spał. Był starym pijakiem. Uippelt stał w rozkroku, też w bryczesach, z odznaką w klapie, a monokl nadawał mu surowy wyraz. Obok niego Gerta Ceehova, szefowa działu personalnego, w mundurze BDM, na który była już jednak trochę za stara. Przed wojną chodziła do gimnazjum, a w czasie okupacji przestała mnie zauważać, bo byłem Czechem. Przedstawicielem mojego narodu był na trybunie inżynier Zavisz, dyrektor handlowy fabryki, który jednak kontaktował się wyłącznie z Niemcami i większość czasu spędzał na podróżach po Rzeszy. Kolaborant. Nie jakiś fanatyk, ale nie do odróżnienia od Niemców. Całkiem w rogu stał majster Jerry Vachouszek ze sztuczną miną wioskowego głupka.

My z Nadią patrzyliśmy na to od strony wiertarek, a hynkłowski akcent Ballona dobiegał do nas ponad głowami stojących z przodu Szvestki i Hetflajsza. Udawali, że gorliwie słuchają, ale tylko udawali, bo niemiecki był im całkiem obcy, a Mozola z tej odległości trudno było zrozumieć. Dalej szeregi robotników ciągnęły się aż do trybuny. Stali w drelichach albo swetrach, przeważnie przyuczeni włókniarze, fryzjerzy lub pracownicy fabryki gumy, bo przed okupacją w Kostelcu nie było żadnego przemysłu maszynowego.

Ballon przeszedł do znaczącego crescendo, uniósł rękę i ryknął:

– *Sieg!*

– *Heil!* – zawołali gruby Schwarz, Uippelt i Gerta. Pan Kleinenherr, Zimmermann i inżynier Zavisz powiedzieli to półgłosem. Doktor Seelich drgnął i obudził się. Jerry Vachouszek nawet nie otworzył ust. Ponieważ naprawdę głośno ryknęła tylko ta trójka, zakłęcie nie zabrzmiało tak, jak Ballon oczekiwał. Stał jeszcze przez chwilę z wyprostowaną ręką, ale po chwili zrezygnował z nowego okrzyku. Poczzerwieniał, gwałtownie opuścił

dłoń, a reszta poszła w jego ślady. Majster Mozol odezwał się podniesionym głosem:

– A teraz, bardzo proszę, wszyscy podpiszemy przygotowaną petycję, że potępiamy zamach na zastępcę Protektora, Obersturmbanführera SS i generała policji Reinharda Heydricha. Proszę o podchodzenie pojedynczo i... i... – chciał jakoś efektownie zakończyć, ale nie był doświadczonej mównicą, więc ostatecznie powiedział: – ...i o zachowanie spokoju.

Widziałem, jak ludzie z przodu, blisko mównicy, zaczęli się oglądać jeden na drugiego.

– Proszę – poganiał ich Mozol.

Po chwili zobaczyłem, jak wysoki Sziszka, z zawodu tkacz, podchodzi do stołu z wyłożoną petycją, pochyła się, bierze pióro i podpisuje. Nad nim unosi się majster Ballon w bryczesach w kolorze gówna, a na jego twarzy maluje się gniew Nibelungów. Robotnicy automatycznie zaczęli się ustawiać w kolejce. Nie chciało mi się, ale nie miałem wyboru. Nie byłem niegramotny i nie mogłem demonstrować, że popieram zamach na wiceprotektora. To po prostu była sprawa życia i śmierci. Ruszyłem się, żeby dołączyć do kolejki. Za mną odezwała się Nadia.

– Daniel! – szepnęła dramatycznie. – Ja tego nie podpiszę.

Drgnąłem przestraszony.

– Nie wygłupiaj się! Co chcesz zrobić?

– Ja tego nie podpiszę!

– Nie wariuj! Przecież o nic nie chodzi!

– Ja nie mogę!

Ale stanęła za mną. Kolejka posuwała się naprzód.

– Ja naprawdę nie mogę. Tata by się przewracał w grobie!

Klasyczne zdanie, ale Nadia przeważnie takimi mówiła. To absurdalne, że przypomniał mi się wiersz

z ostatniego listu Jana: *Wszystko jest w nich mocne, są jak drzewo, zrodzone przez ziemię i słońce, wciąż takie samo, jakie było.* Dosyć to pasowało do Nadii.

– Ja nie mogę, Daniel, nie mogę! – szeptała mi do ucha.

Spojrzałem w stronę stołu. Od petycji protestacyjnej dzielili nas już tylko Hetflajsz, Szvestka, jakieś dwie dziewczyny w swetrach oraz Malina z Kosem. Sytuacja beznadziejna.

O Boże, co ja zrobię, jak Nadia przejdzie obok stolika i nie podpisze? A może chce tam napisać, że popiera zamach? Co ona robi? A co ja zrobię? Przez głowę przelatywały mi takie pytania, a strach, który wszystkim nam kazał podpisywać te bzdury, bił się we mnie z groźbą kompromitacji w oczach tej kościstej dziewczyny. Czy mogę ją zostawić własnemu losowi, skoro nie chce go uniknąć? Poczujęm w sobie gangsterski honor. Szvestka już podpisał, a szykował się do tego Hetflajsz. Na czoło wystąpiły mi krople potu i kolana mi drżały... kiedy nagle Nadia westchnęła, zwiędła i padła na ziemię. Osunęła się trochę, wpadając w moje objęcia, a kiedy ją chwyciłem, miała zamknięte oczy. Pomyślałem, czy człowiek mdleje z zamkniętymi oczami. Wisiała na mnie całkiem bezwładna, twarz blada jak kreda, ale taką miała zawsze, wielkie usta mocno zacisnięte i zwisające ręce. Esaman Ballon wyjął ręce z za pleców i niemal przestraszony spytał:

– *Was ist da lost?*

– *Sie... ist onmächtig geworden* – odparłem.

W tym momencie podskoczył do mnie majster Vachouszek i chwycił Nadię za nogi.

– Do ambulatorium, szybko! – krzyknął i już pędziliśmy z bezwładnym ciężarem, daleko od podpisów. W tym momencie zrozumiałem. Co za świetny pomysł! Ależ genialne! Nadia Jirouszkova jest wspaniała! Trzy-

małym kościstą dziewczynę w objęciach i wraz z majstrem Vachouszkiem pędziłem po korytarzu, a potem przez podwórko do ambulatorium. Na powietrzu otworzyła oczy i wyszeptała:

– Nic mi nie jest. Ja tylko tak. Żebym nie musiała tego podpisywać.

Zupełnie nie było to potrzebne.

Doktor Seelich przyczłapał za nami, podciągnął Nadii sweter, rozpiął pod nim bluzę, pojawiła się jasnoniebieska halka, a doktor wsunął pod nią swą jedyną rękę ze stetoskopem.

Bardzo istotny szczegół. Tego jednak wtedy nie wiedziałem.

Jednoręcznemu doktorowi zajęło dwie godziny, żeby doprowadzić Nadię do porządku. Przez ten czas akcja z podpisami już dawno się skończyła.

* * *

– Co jest istotnego w tym, że Artur Dimmesdale był po prostu tchórzem? – nie rozumie i nie chce rozumieć Larry Hakim. – Ja tego nie pojmuję, sir. Z jednej strony mówi pan, że powieść należy ujmować w kontekście purytańskiej epoki, to znaczy w kontekście ideologii religijnej, która jest już martwa, a z drugiej strony twierdzi pan, że dylemat Dimmesdale’a to sprawa wciąż aktualna w czasach współczesnych.

Cieszy się, że mnie złapał. Czuje we mnie człowieka z drugiej strony barykady. Dla pozostałych jestem w najgorszym przypadku obojętny, bo mam opinię *soft markera*. Może nawet jestem dla nich trochę interesujący. Przybył z kraju dyktatury, a to jednak jest wstrętne słowo. Jedyny, który wie, że zależy tylko od przymiotnika, żeby dyktatura zaczęła pachnieć różami, to właśnie Hakim. Tę wiedzę włali w niego uczynni indoktrynerzy, którzy uczepili się go, ledwie przekroczył grani-

cę przy wodospadzie Niagara i stał się *draft dodgerem*. Od nich też z pewnością się dowiedział, że nie jestem żadnym *freedom fighterem*, tylko rewizjonistą, a może faszystą. Pewnie faszystą, bo rewizjonistą.

Zaciskam pięści, ale robi mi się wstyd. Powinienem go zrozumieć. Amerykański Arab, któremu nie chciało się do Wietnamu, jak mnie nie chciało się do obozu koncentracyjnego czy później na Syberię. Młodzieniec cierpiący na głód filozofii, któremu rozpieszczony przez wolność uniwersytecki establishment nie jest w stanie udzielić jasnej odpowiedzi, tylko pokazuje alternatywy. Jego głód filozofii zaspokoili więc w końcu znani zaspokajacze. Nie dali mu do czytania grubych tomów, w których człowiek gubi się w aparacie pojęciowym, tylko krystalicznie jasne broszurki. Ale ja w sobie też noszę swój irracjonalny Wietnam. Czuję irracjonalną niechęć do dezertera.

– Pan studiował dialektykę marksistowską? – pytam z profesorską ironią. Piwne oczy pałają nienawiścią.

– *Yes... a little.*

– *A little is not enough* – ciągnę dalej z wyższością.

– W przeciwnym razie wiedziałby pan, że przeszłość i terażniejszość, a więc także zrozumienie *temporis acti* i *temporis praesentis*, wzajemnie się nie wykluczają, lecz dopełniają. – Celowo nasycam swoją przemowę obcymi słowami, czego z reguły nie robię, bo nie jestem pewien ich odmiany. – Niech pan otworzy książkę na dziewięćdziesiątej stronie, jeśli ma pan krytyczne wydanie Nortona. A jeśli nie, to rozdział zatytułowany „Medyk-pijawka”, mniej więcej w połowie.

Arabskie oczy miotają leninowskie gromy, ale stosuje się do polecenia. Grupa wyczuła, że szykuje się konflikt, który obiecuje wyrwać ich z nudy już co najmniej dwukrotnie omawianej powieści (czyta się ją w *high school* i na wszystkich pozostałych amerykańskich kursach).

Gorliwie kartkują różne swoje wydania. Wendy zostawiła książkę w domu, ale zagląda przez ramię *quarterbacka*. Irena Svensson ma naturalnie Nortona i – w szarej sukience, której jeszcze na niej nie widziałem, z zielonymi listkami jaworu – jest gotowa przyjąć następne moje przesłanie. Odczytuję je wolno i poważnie:

– „Pan Dimmesdale był prawdziwym księdzem, prawdziwym religiantem, który do wiary swej odnosił się z wielką czcią, a jego umysł nawykł do podążania drogami przez nią wytyczonymi i z biegiem czasu coraz mocniej się do nich przywiązywał. Nigdy, w żadnym społeczeństwie, nie umiałby stać się człowiekiem, jak to się mówi, o liberalnych poglądach. Oparcie, jakie znajdował w wierze, która wywierała na niego presję, a zarazem trzymała w żelaznych ryzach, byłoby zawsze czymś niezbędnym dla jego spokoju. Niemniej jednak odczuwał niekiedy ulgę i nieco trwożną przyjemność, gdy mógł spojrzeć na wszechświat oczyma innego umysłu, odmiennego od tych, z jakimi porozumiewał się zazwyczaj. Miał takie uczucie, jakby otwarto na oścież okno, wpuszczając swobodny powiew świeżego powietrza (...). Lecz to powietrze było zbyt rześkie i chłodne, by można nim było oddychać spokojnie. Tak więc duchowny, a z nim i lekarz, zamykali się znów w granicach ortodoksji, przepisanej przez Kościół”.

Czytam barokowo skomplikowany pasaż – skomplikowany, więc prawdziwy i precyzyjny – mam mistyczne wrażenie, że spotykam się z duchem Hawthorne’a i wspólnie nabijamy się z szacownego towarzysza Hollingwortha, z Brook Farm. Hakim jest naburmuszony. Nie wie, że jego młodzieńcze pragnienie sprawiedliwości, „kiedy stanie się profesją, jest dla społeczeństwa często użyteczne jako impuls energetyczny, ale jednostce przynosi zglębę, jeśli przeradza się w jej na-

miętność, sprowadzoną do jednego wymiaru. Zniszczy serce... A Bóg nigdy nie chciał, żeby obfite soki serca zostały wyciśnięte i przedestylowane na alkohol w nienaturalny sposób. Powinny wsiąknąć w życie, uczynić je słodkim, delikatnym i zbawiennym, a także dyskretnie wpłynąć na inne serca i inne dusze, aby i one osiągnęły ten błogosławiony cel. Dla mnie Hollingworth to przykład najstraszliwszej prawdy w księdze Bunyana: że od samej bramy niebios prowadzi skrót wprost do piekieł!”

Nasycony sokami Hawthorne’a teraz ja zwycięsko patrzę na Hakima.

– Rozumie pan?

– Co?

Rozglądam się po klasie. Wszyscy patrzą z uwagą. Coś zupełnie wyjątkowego.

– Czyż nie jest to precyzyjna charakterystyka myśli, jakie istnieją też w naszych czasach, myśli stworzonych przez nową ortodoksję?

– To, co nazywa pan nową ortodoksją, sir – odpowiada Hakim – to jest światopogląd naukowy, który...

Spada na mnie zmęczenie. Głos Allacha. Ma siłę wielkich prawd. A ponieważ są wielkie, nie znoszą mikroskopu. Ogarnia mnie zobojętnienie.

– Nie ma doświadczenia prócz doświadczenia – mówię mdłym głosem. Hakim uważa, że to niezręczna aluzja do religii połowy jego przodków. Rozglądam się po grupie. Zainteresowanie opadło. Urozmaicenia hawthornowskiej nudy nie było. Wendy wyżebrała od Higginsa gumę do żucia i jej twarz zniknęła za wielkim balonem. W.W. Bellissimo i Vicky Heatherington wspólnie schowali głowy za uniesionym egzemplarzem *Szkartatnej litery*. Kto wie, może się całują.

A więc dziś nic już nie wydaje się istotne w historii Hester i Artura.

Wciąż z Nadią śniliśmy o tych meserszmitach, jak to deszcz pocisków z latających fortac rozrywa je w powietrzu niczym jastrząb wróbla i aluminiowe piórka opadają na ziemię. Robiliśmy nawierty według nowych kalibrów tak dokładnie, do dziesiątej części milimetra, i tak ochoczo, że Hetflajsz i Szvestka ledwo za nami nadążali.

Następnego dnia po tym, jak rozpoczęliśmy nasze dzieło, przy wiertarkach pojawił się majster Vachouszek, który tam nigdy nie przychodził, i stanął nade mną w milczeniu. Stał i patrzył, jak wiercę krzyżak. Ni stąd, ni zowąd sen o meserszmitach zaczął mi się wydawać głupi i znów poczułem znany ucisk w żołądku. Kiedy wziąłem kaliber, ręka mi się strasznie trzęsła. Zmierzyłem dokończone wiercenie. Było precyzyjne co do ułamka milimetra. Zrobiło mi się niedobrze. Majster sięgnął po kaliber i zaczął go uważnie oglądać.

Czy ktoś kiedyś dobrze opisał strach? Mnie opanował taki, który nie daje się opisać.

- Skąd to masz? – spytał majster.
- Ja... to wyfasowałem.
- Nie kłam!
- Nie kłamię.

Mimo wszelkich starań powiedziałem to w taki sposób, że nie uwierzyłyby mi nawet czcigodny ksiądz Meloun.

- Chodź ze mną.

Odwróciłem się i poszedłem za nim. Mijaliśmy kolejne stanowiska, na których widziałem nasze krzyżaki, już przymocowane nitami do duraluminiowych dekle. To było jak Golgota. Tego już nie można było naprawić, chyba żeby oderwać tysiące nitów. Ale co wtedy zrobić z zepsutymi krzyżakami? Ludzie przy swoich warsztatach wyglądali niczym rzymscy legionieści. Przy ostatnim stanowisku stał drażał Sziszka z kluczem fran-

cuskim w rękę. Na stole miał dekiel, a na nim bęben na naboje do działka meserszmita. Nie robił nic. Wydawało się, że czeka na nas.

Rzeczywiście czekał.

Zatrzymaliśmy się, a majster powiedział do mnie:

– No to popatrz. – I do Sziszki: – Pokaż mu to, Tondo!

Wiedziałem, co zobaczę. Były włókniarz wziął klucz i dokręcił śrubę. Potem przymocował dekiel do bębna, uniósł go w górę i podsunął mi pod nos.

– Zobacz!

Jedno można było powiedzieć: dobrze to wymyśliliśmy. Pod względem technicznym.

– Chodź – mruknął majster.

Znów ruszyłem za nim, niczym na szubienicę. Zbyt późno docierały do mnie logiczne myśli, które powinny mi być wpaść do głowy znacznie wcześniej, ale nie wpadły, bo przed Nadią rznąłem gieroja. Że nieznanym sprawcą podrzucił mi kalibry? I gestapo miało w to uwierzyć? Ależ jestem idiota! A nawet gdyby. Tak jakby frycom zależało, czy złapią nieznanego sprawcę, czy też zamiast niego jakiegoś durnia, który twierdzi, że dał mu się zrobić. I tak jest za to kulka w łeb.

Trzęsłem się ze strachu jak galareta, ale kiedy doszliśmy do kanciapy majstra, jeszcze raz zebrałem się na odwagę.

– Ja naprawdę je wyfasowałem!

Majster zmierzył mnie wzrokiem, a w jego oczach widać było zmęczenie.

– Słuchaj, student! – westchnął. – Takich kitów mi nie wciskaj. Może i znasz łacinę, ale nie masz pojęcia o przepisach technicznych. Gdzie ten kaliber ma znak firmowy?

Podsunał mi pod nos lśniący kawałek metalu, który za dwie fajki (jedną przed, a drugą po wykonaniu zadania) zrobił dla mnie Ponykl w imię narodowej solidarności.

– To chyba... – przełknąłem ślinę i o mało się nią nie zadławiłem, bo przętyk miałem wyschnięty na kość. – ...ktoś mi go podrzucił...

– I przypadkiem Jirouszkowej też?

– Jej też? – udałem zdziwienie.

– Pewnie jakiś Arsène Lupin, co?

– Ja...

Nie dokończyłem, bo sam nie miałem pojęcia, co miałbym powiedzieć. Majster milczał i patrzył mi w oczy. Tak jak pan profesor Bivoj, kiedy wpisywał mi ocenę niedostateczną, przyszło mi do głowy absurdatne skojarzenie.

Nie było całkiem absurdatne. Nagle zrozumiałem. Wcześniej nie pomyślałem, idiota, że niemiecka fabryka to nie gimnazjum w Kostelcu. Teraz było za późno. Tu chodziło o głowę.

– Słuchaj, student – ciągnął po chwili majster. – Wszystko na świecie trzeba umieć. Sabotaż też.

Musiał zauważyć, jak się trzęsę. Może nawet zrobiło mu się mnie żal. Mówił dalej:

– Wymyśliłeś to nieźle. Znaczy pod względem technicznym. To... – podniósł bęben na naboje z zastanego wykresami i różnymi gratami stołu – ...się urwie jak przejrzała gruszka, kiedy tylko działko zacznie strzelać. Ale zanim ono zacznie strzelać, przechodzi kilka kontroli. Ostatnia to próbne strzelanie na stojaku. Gdyby nawet ten szmelc przeszedł wszystkie kontrole, to na strzelaniu sprawa się rypnie. A jaki będzie efekt, kiedy to im się rozsypie, pajacu?

Milczałem. Pomyślałem, co człowiek czuje, jak mu wybijają zęby. Przypomniałem sobie, jakie to było uczucie, kiedy pani doktor Heiserova wyrывała mi je ze znieczuleniem.

– Nie wiesz, co? Nie udawaj głupiego. Dla Rzeszy będzie to strata kilkudziesięciu godzin pracy i zepsuty

materiał za parę groszy. To tak, jakby bomba rozwaliła kuchnię połową kompanii piechoty. Powiedziałbym, że Rzesza dość łatwo przeżyje taką stratę.

Nic nie odpowiedziałem. Po prostu z czysto fizjologicznych względów nie byłem w stanie.

– Dla ciebie natomiast będzie to miało taki efekt, że cię powieszą – kontynuował majster Vachousek.

Po raz pierwszy w życiu pociemniało mi przed oczami.

– Co chcesz teraz robić? – spytał majster.

– Może... bym uciekł... – wybełkotałem przez szczękające zęby – ...i schował się... u kogoś...

– A Jirouszková z tym zostawisz? Dzielnym z ciebie skaut! Przecież jak znikniesz, to gestapo zabierze ją. Już choćby tylko z zemsty. I zapewne także mnie. Bohaterstwo, za które płacą inni – nieświadomie zacytował pana doktora Labskiego – to moim zdaniem nie jest bohaterstwo, tylko łajdactwo. A ty jeszcze chcesz się uwiesić komuś na karku, żebyś dostał czapę nie tylko ty, kiedy cię złapią, ale i twój miłosierny samarytanin.

– Ttto... co mam robić... panie majster?

Vachousek trzymał wciąż w ręku bęben i paznokciem dłubał w metalowych rysach na nim.

– Powiedziałbym, że są dwie możliwości. Obie ryzykowne. Jedna to ryzyko tylko dla ciebie. Druga – dla większej ilości ludzi. Powiedz, którą wybierasz, bohaterze?

Zesrałem się. Co prawda tylko metaforycznie, ale po całości.

– Panie majster... a nie można by...

– Co?

– Jakoś... nie wiem... ale...

– Czyli jesteś za tym, żeby ryzyko rozłożyć na wielu ludzi?

– Nie... ale...

– Trzeciego wyjścia nie ma.

Zęby mi dzwoniły. Majster to słyszał.

– Ale właściwie to jest tylko jedna możliwość – stwierdził. – Nie mogę brać dzieci na swoje sumienie. Choć zrobiły głupotę, jaką mogą zrobić tylko gówniarze.

To było jak balsam. W strasznej ciemności latryny, w której pogrążałem się coraz głębiej, nagle pojawiło się światło.

– Ta pierwsza możliwość to zgłosić wszystko na górze i zwalić to na twoją głupotę. Po prostu częściowo trzymać się prawdy. Złe poinstruowany kretyn, dwie lewe ręce, nie pojął w swojej łepetynie, co właściwie ma robić. Ale czy szkopy w to uwierzą? Jak myślisz?

Pokręciłem przecząco głową.

– Drugie wyjście... – majster przez chwilę się zastanawiał, a potem mówił już jakby do siebie – to przereźnić wszystkie krzyżaki. Wyrzucić już się nie da, bo jest ich za dużo. Trzeba zaspawać wszystkie odwierty i zrobić nowe.

– Ja to zrobię!

– Nie pieprz, student! – zgasił mnie majster. – Na szczęście ludzie się obijają, więc normy już są miękkie. Jak się przyłożą, to w normalnym czasie zdążą wszystko zrobić prócz tego, co robią jak na zwolnionym filmie. Oczywiście są w tym dwa ryzykowne momenty. Po pierwsze: jak zrobić, żeby Uippelt niczego nie zauważył, bo Ballon to debil, któremu wystarczy, że widzi, jak ludzie pracują. A po drugie: nie wiem, co się z tym będzie działo na próbnym strzelaniu. Wiesz, głupku, jaki to działko ma kaliber? I ile strzela pocisków na minutę?

Niemy, pokręciłem tylko głową.

– No, ale to ryzyko, którego nie da się uniknąć. Tu masz dwa właściwe kalibry i jeszcze mi przynieś ten lewy od Jirouszkovej. I macie pracować jak szale-

ni, bo musicie zrobić wszystko w normalnym czasie. A teraz już idź do diabła!

Popatrzył na mnie wzrokiem, w którym była mieszanka cierpienia i pogardy. Kiedy chciałem mu podziękować, znów zadzwoniły mi zęby.

– Żebyś tu nie narobił w gacie. Znikaj!

Popędziłem do Nadii. Już mnie wyglądała, też wyraźnie przestraszona.

– Vachousek wpadł na to?

Rozpalone oczy były jeszcze większe niż zwykle.

– Tt... tak...

Wszelkimi siłami starałem się przybrać minę gangstera, ale tę *poker face* wciąż mi burzyły różne tiki nerwowe. Musiałem się oprzeć o wiertarkę.

– Jezus Maria! – jęknęła Nadia.

– Je...jest afe...afery – zęby mi wciąż dzwoniły. – Tu... tu masz właściwy ka...kaliber i mamy wiercić według niego.

Chwyciła mnie za rękę i szepnęła:

– On to zgłosi?

– N...nie... ale on... mówi, że jak się z tym czegoś nie zrobi... to Niemcy na pewno się połapią...

Nadia trzymała mnie za rękę, a potem nagle ją puściła, chwyciła wiertarkę i zaczęła wiercić.

– Daniel – powiedziała. – Jeśli to się wyda, ja to biorę na siebie.

– Zwariowałaś?! – Mimo wszystko już się trochę opanowałem i znów zacząłem strugać bohatera. – Po pierwsze, wymyśliłem to ja, a po drugie, przecież... przecież... – Jak to powiedzieć? Że facet nie może pozwolić, żeby poświęciła się za niego kobieta. W brutalną rzeczywistość Protektoratu Czech i Moraw znów wplatały mi się wątki z książek o kowbojach.

– Ja cię do tego namówiłam.

– To nieprawda.

– Prawda! U was w kuchni, kiedy ci mówiłam, że muszę się zemścić na Niemcach. A ty potem to wymyśliłeś. Z mojego powodu.

– Ty mnie tylko zainspirowałaś, Nadiu...

Wśród stanowisk pojawił się na obchodzie Ballon, więc natychmiast jeszcze szybciej zaczęliśmy wiercić krzyżaki. Ballon podszedł do nas, zatrzymał się przy Nadii, wziął do ręki jeden z krzyżaków – akurat ten, na którym wiercenia były jeszcze o pół centymetra głębsze – parę razy go obejrzał z różnych stron i odłożył na miejsce. Nie miał o tym nawet bladego pojęcia.

– *Na, wie gehts?* – spytał Nadię. – *Fühlen Sie sich schon besser?*

Nadia popatrzyła na mnie. Nie znała niemieckiego.

– *Sie versteht nicht deutsch, Herr Obermeister.*

– *Also übersetzen Sie es doch!*

Powiedziałem Nadii, o co pytał. Spojrzała na esamana Ballona i rozchyliła piękne usta w nieszczerym uśmiechu.

– *Ja* – odpowiedziała.

– *Na gut* – stwierdził Ballon. – *Das freut mich. Was war das mit ihnen eigentlich?*

– Co ci było?

– *Ich habe Tuberkulose* – odparła Nadia.

Ballon w zdziwieniu uniośł brwi.

– *Was? Weisst das der Betriebsarzt? Kurieren Sie sich.*

Tyle Nadia zrozumiała.

– *Ja, ich kurieren sich* – potwierdziła.

Esaman Ballon najwyraźniej nie wiedział, czy ma się nadal interesować stanem zdrowia swojej niewolnicy, czy zostawić tę sprawę doktorowi Seelichowi. W końcu zdecydował się na drugi wariant.

– *Es wird schon gut. Nach dem Kriege wird man Sie in die Schweiz schicken. Ins Sanatorium.*

Wyszczерzył się, jak alegoria wojny z Hieronima Boscha, powiedział: – *Weitermachen!* – i poszedł dalej.

– Czemu mu powiedziałaś, że masz gruźlicę? – spytałem Nadię.

– Przecież nie mogłam się przyznać, że symulowałam.

Nagle przyszło mi do głowy, czy przypadkiem nie powiedziała prawdy. Przecież była chuda jak szczapa. Zacząłem się o nią bać. Dziwne. Przyszło mi do głowy, że właściwie dopiero teraz. Przedtem w kanciapie Vachouszka narobiłem w gacie ze swojego powodu. O niej w ogóle nie myślałem. Teraz mi to przypomniała.

– Co ty wcześniej mówiłeś? Że ja cię co?

– Że mnie zainspirowałaś. Ja i tak bym coś zrobił, ale ty mi podsunęłaś ten pomysł.

– Ty beze mnie nic byś nie zrobił.

Jej słowa mnie przeszyły jak prąd elektryczny.

– Skąd to możesz wiedzieć?

– Bo nie masz powodu. Twojego tatę puścili.

– Ale ja... nienawidzę Niemców.

– No tak, ale nikogo ci nie zabili.

Czyżby Nadia myślała w kategoriach czysto prywatnej zemsty? Było to dziwne. Nikogo mi nie zabili. Ale przyszła mi do głowy Rebeka. Mówiąc ściśle, nie była moja i niczego z nią nie miałem, jeśli nie liczyć tamtego jednego zdarzenia, ale wtedy byliśmy jeszcze dziećmi. Nigdy nawet z nią nie chodziłem, tylko się kolegowaliśmy. Owszem, podobała mi się, ale nie ona jedna.

Wspomnienia chyba istotnie szybują z prędkością światła. Twarz Nadii zniknęła i pojawiło się spokojne, przyjemne popołudnie gorącego lata. Ja i Rebinka bawimy się w piasku. Ona sunie do przodu na czworaka i wypina na mnie tyłeczek w różowych majteczkach. Jest gorąco i nagle czegoś mi się zachciało, choć nie bardzo wiedziałem czego.

– Rebinka – powiedziałem. – Będziemy się bawić w pociąg.

– W pociąg?

– No, w pociąg – odparłem zniecierpliwiony. – Ty się położysz na brzuchu na piasku i ściągniesz majteczki, a ja usiądę na tobie...

Chwilę potem siedziałem na gołym tyłeczku Rebinki, unosiłem się w górę i opadałem, rytmicznie przy tym posapując: – Sz...sz...sz...sz...sz...

To, czego chciałem, się spełniło. Rebeka najpierw leżała nieruchomo, a potem też zaczęła unosić w górę tyłeczek i wtórowała mi: – Sz...sz...sz...sz...

Czułem się błogo, ale gdzieś w głębi miałem wrażenie, że robimy coś, czego się nie powinno robić. Nagle z góry, z nieba, zagrział potężny głos:

– Co tam wyrabiacie?!

Przestraszyłem się. O Boże! Pan Bóg! Błogostan zniknął i ogarnęło mnie poczucie winy. Spadłem z Rebinki na plecy i wytrzeszczyłem oczy w niebo. Nie był to jednak Pan Bóg, tylko mój ojciec. Wychylał się z okna na trzecim piętrze, a jego głowa majaczyła na tle błękitnego nieba.

– Bawimy się w pociąg – odpowiedziałem i stanąłem niemal na baczność. Z moim siusiakiem też stało się coś dziwnego. Był jakby spuchnięty.

Rebinka jest teraz w Terezynie.

Wbrew własnej woli powiedziałem:

– Mnie zabili Rebinę.

Nadia drgnęła.

– To jest ta... ładna, z tego garnuszka?

Nie dało się już tego cofnąć. Mistyfikacja.

– Tak, ona. – Nadia przez chwilę milczała, a potem stwierdziła: – I tak gdybym cię nie... tego... to z jej powodu nic byś nie zrobił.

Nie wiem, czy chciałem przeszkodzić Nadii, by wzięła na siebie całą winę, czy... Raczej to był Hollywood we mnie. *Machismo. Male chauvinism*. Kod gentlemana w kosteleckim ujęciu. Po prostu wcale tego nie chcąc, znów zrobiłem z siebie bohatera.

– Ja już to zrobiłem. Pamiętasz ten magazyn?

– To byłeś ty, Daniel?!

Okropne poczucie kłamstwa, bo przecież to nie byłem ja.

– No... nie ja to podpaliłem. Ale byłem w to wciągnięty. Pomagałem... im...

To ostatnie to właściwie była prawda.

– Daniel!...

Długo na mnie patrzyła, a potem spuściła wzrok i zabrała się za wiercenie.

– Więc widzisz – powiedziałem. – Ja już i tak jestem w tym umoczony. Byłaby straszna głupota, żeby jeszcze ciebie w to wciągać.

Nie przerywała roboty. Podeszedł Hetflajsz i wziął krzyżaki. Ten, który odłożył Ballon, i kilka innych, które były już w porządku.

– Zwijaj się, młody! – mruknął. – Do fajrantu mamy ich jeszcze piętnaście.

Odszedł z łupem. Do jego stanowiska właśnie podeszedł Vachouszek. Widziałem, jak bierze krzyżaki, mierzy wiercenia, jeden krzyżak sobie zostawia, a pozostałe oddaje, coś mu przy tym mówiąc. Potem odchodzi, a Hetflajsz patrzy za nim z głupią miną. O Boże, mam nadzieję, że nie wtajemnicza tych idiotów!

Idiotą byłem ja.

Popatrzyłem na Nadię. Stała pochylona nad krzyżakiem, a z oczu jej kapały łzy. Dostrzegła moje spojrzenie i odwróciła się w moją stronę. Wielkie, płonące źrenice pływały w lśniącej stawie.

– Daniel, ja chcę być w tej sprawie z tobą. Ja i tak...

– Co, Nadiu?

– Ale nic. Ja i tak też jestem umoczona. Jak to się wyda, Niemcy wezmą wszystkich, którzy przy tym robili. Im jest wszystko jedno.

Znów mi zaparło dech. Także bo miała całkowitą rację.

* * *

Za gotyckimi oknami smutno prószы śnieg. Głęboko w oczach Hakima widzę nienawiść. Spuszczam wzrok na dół, na książkę mistrza Hawthorne'a, i ślizgam się po czarnych liniijkach. „Gdy nieuczony tłum próbuje sądzić wedle tego, co widzi (wzrokiem wyobraźni widzę Veronikę w wiosennej sukience w tłumie na Rynku Starego Miasta), bardzo łatwo może się mylić. Jednakże, gdy oceniać zacznie sprawy, jak często bywa, idąc za głosem swego wielkiego i gorącego serca (widzę Veronikę w tłumie, który kamienuje przysadziste czołgi), jego sądy bywają często tak głębokie i nieomyślne, jakby były to prawdy objawione przez źródła nadprzyrodzone”.

Unoszę wzrok znad książki. W oczach Hakima dostrzegam pogardę człowieka przyszłości do człowieka dnia wczorajszego, któremu dzień dzisiejszy daje jeszcze na jakiś czas ochronę za zdradę jutra Hakima. *Ostrożnie niczym zarazy morowej i trądu będą unikać tych, co żonglują pojęciami i uczuciami.* Tysiąc razy wspomniany fragment wiersza Jana. W sali wykładowej czuję wzmagający się niepokój. Z korytarza dobiega tupot, koledzy już wypuścili swoje owieczki. Jedenasta. Tylko Irena w szarej sukience z czerwonymi liśćmi klonu siedzi bez ruchu, patrzy w książkę i tropi zagadki mojej duszy.

– *Class is dismissed!* – wypowiadam upragnioną przez moich studentów formułkę.

Wszyscy zrywają się z miejsc.

Hakim powoli składa swoje książki. Umieśniony, śniady, młody żołnierz, który uciekł od wojny, bo w nią nie wierzył. Ale on akurat nie ze strachu. Nie potrafię go sobie wyobrazić spętanego strachem.

Wszystko to tylko skojarzenia. Powraca do mnie śmiertelne, niedzielne popołudnie sprzed wielu lat. Potrząsam głową i mój wzrok znów spoczywa na biblii według Nathaniela. „Czyż cnota żyje w sercu kobiety tylko pod zbawiennym strachem przed szubienicą?” Czy mam Hakimowi zacytować ten leninowski bonmot? Opowiedzieć mu o sprawiedliwości z gęsią skórką? Nie zrozumiałby. No bo i jakże. Jest przecież „w pełni oddany sprawiedliwości tych, którzy obcuja ze śmiercią, ale sami (na razie) nie znajdują się w niebezpieczeństwie śmierci”. Nie mieszka na razie we wschodnim imperium, w królestwie Mao czy Fidela – nie wiem, w który komiksowy raj wierzy. Nie słyszał o jedynym rozwiązaniu problemu społecznego, jakie znał Sinclair Lewis. Nie ma żadnego rozwiązania.

Jestem już sam w sali. Irena też wyszła. Idzie z innymi studentami na seminarium kolegi MacMountaina o preraphaelitach.

Gdyby zawsze można było powiedzieć: *Class is dismissed*.

Ale w marnej szkole życia bez programu tak się nie da. Nie ma szans.

Nad prerią prószy śnieg. Białą równiną kroczy z powagą wszechobecny, edenvaleski kruk.

* * *

Moja ukochana Lido!

Dziś w nocy mi się śniłaś. Leżałaś naga na tym czerwonym kocu – PAMIĘTASZ? – a ja leżałem obok Ciebie, ale jednocześnie widziałem nas z góry, jak to jest możliwe tylko we śnie. I na swojej gorącej skórze czułem Twoją wilgotną

skórę. Byliśmy jak piękne domino. Oboje młodzi, Lido, piękni, zdrowi i postępowi. Cała przyszłość jest przed nami: nasza osobista, ale też naszych narodów, naszego ludu. Czyż to nie będzie symboliczne, jak my dwoje weźmiemy ślub? Oby to już mogło się stać jak najszybciej! Oczywiście ja rozumiem, że towarzysze u was muszą być ostrożni, kiedy czeska dziewczyna chce wyjść za Kanadyjczyka. Takich dziewczyn jak ty nie jest dużo. Jednak zdarza się często, że młode małżonki kanadyjskich obywateli szybko stają się obojętne na sprawy socjalizmu i sprawiedliwości społecznej, bo w Kanadzie jest wysoki poziom życia. Takie żony nie uświadamiają sobie, że jest tak wysoki, bo Kanada to kraj imperialistyczny, który wykorzystuje Trzeci Świat. Ja jednak wiem, że Ty jesteś inna i jako moja żona nie możesz nigdy zapomnieć o obowiązkach nas wszystkich, towarzyszy. Ja, który urodziłem się w imperialistycznej Kanadzie, też nigdy o nich nie mogę zapomnieć. Chociaż więc rozumiem waszych towarzyszy, że muszą być ostrożni, zanim komuś dadzą zgodę na ślub z cudzoziemcem, to jednak byłbym ogromnie szczęśliwy, gdyby nasza prośba została rozpatrzona jak najszybciej! Już po prostu nie mogę się Ciebie doczekać, najdroższa! Twoich włosów, Twoich ust, Twoich piersi, Twojej...

W zeszłym tygodniu tu, w Toronto, wziąłem udział w mitingu, na którym głos zabrał przedstawiciel OWP, towarzysz Ataraf. Przyszły też faszystowskie bojówki syjonistyczne i robiły taki hałas, że towarzysza Atarafa prawie nie było słychać! Tak właśnie miejscowi imperialiści wyobrażają sobie wolność słowa! Na koniec doszło do potyczki między nami, demokratami, a faszystowskimi chuliganami i muszę Ci się przyznać, że ja też nie wytrzymałem i rozbiłem nos jednemu Żydkowi. Wiesz, że jako student uprawiałem boks i grywałem też w football. Nie soccer, ale football amerykański. Więc ze mną ci faszyci nie mają szans. Publiczność też zresztą przeważnie była po naszej stronie. W Kanadzie też już ludzie zaczynają rozumieć, gdzie jest

prawda, i nie lubią syjonistycznych faszystów, którzy tłumią wolność słowa.

Piszę Ci o tym wszystkim, bo wiem, że takie sprawy zawsze Cię interesują. Myślę wciąż o Tobie i w duchu już się widzę w Ratuszu Staromiejskim – u Twego boku!

Nie będzie to już długo trwało – mocno w to wierzę!

Całuję Cię po całym ciele.

Twój Booker

Twain

*...do mego serca opada ła i dobrze wie,
 że morze większe jest od ziemi;
 na dnie serca ożywa nagle
 dawno zapomniana, zwyczajna dziewczyna,
 co już od pół wieku nie żyje...*

Vladimír Holan

*Tragedia jest prosta, zaś komedia skomplikowana, bo dotyka
 ludzkiego życia w znacznie większej ilości miejsc niż tragedia.*

Madame de Staël

Vicky protestuje. Traktuje *Tajemniczego przybysza* dosłownie. Życie nie jest snem, „ulotną myślą, niepotrzebną myślą, bezdomną myślą, wędrującą samotnie wśród pustej wieczności”*. Życie ma sens. Żyjemy. Nie jesteśmy tylko myślami. Sharon ją pyta, jaki życie ma sens. W.W. Bellissimmo śpieszy na pomoc Vicky:

– Sam w sobie!

Żyjemy po to, żeby żyć. Ale gdzie jest sens tego „żyć po to, żeby żyć”, dopytuje się Sharon. Śniada Hinduska Jenny Razadharamithan, która tylko od czasu do czasu zabłąka się na mój kurs, mówi coś angielszczyzną, której nie rozumiem (i myślę, że nie rozumie też nikt na sali). Coś, że życie to numer. Nie wiem. Następuje chwila medytacji czy może raczej konsternacji, a potem zgłasza się Wendy i stwierdza, że sensem życia jest robienie czegoś, co nam się podoba. Vicky się zga-

* Cytaty z *Tajemniczego przybysza* w przekładzie Teresy Truskowskiej.

dza, Bellissimmo też. Sharon oponuje, że większość ludzi musi robić rzeczy, które im się nie podobają, żeby zarobić na życie. Znów cisza, którą przerywa futbolista Higgins. Oświadcza, że nie rozumie jednej rzeczy. Twain pisze: Nie istnieje nic poza myślą. Ale kto myśli tę myśl? – pyta, zachwycony własną logiką. Pozwalam, żeby czas płynął, bawię się, nie wtrącam się do dyskusji dzieci prerii, szastam drogo opłaconym czasem zamiast pracować i wyprowadzić te dzieci z odwiecznego labiryntu młodości. Zachodniej młodości, poprawiam się w duchu. We wschodnim świecie specjalny nadzór pedagogów nie pozwala im na błędzenie. Dokąd ja bym je zaprowadził, gdybym był wschodnim pedagogiem?

Cofam się w pamięci do własnego wieku cięłego. Intensywność poszukiwań tego, czego oczywiście nikt nigdy nie znajdzie, jest chyba podobna we wszystkich okresach i wszystkich systemach. Na szczęście większość ludzi wkrótce przestają interesować pytania. Ale gdyby żyli na Wschodzie?

Zgłasza się Hakim i zastępuje mnie w roli pedagoga ze Wschodu. Musi się zmienić system społeczny, żeby każdy zgodnie ze swymi zdolnościami mógł robić to, co mu się podoba.

Pragmatyczna Sharon nie daje jednak za wygraną:

– OK – mówi. – Ale jak każdy będzie robił to, co mu się podoba, to gdzie jest sens życia?

Na moich zajęciach, niestety, nie ma żadnego pobożnego człowieka.

– Życie samo w sobie! – powtarza buńczucznie Bellissimmo. – Życ pełnią i...

– I pożytecznie – dodaje Vicky.

Czy powinienem wstać? I powiedzieć: ze wszystkich sił należy przyczynić się do racjonalnej organizacji świata? Żeby świat nie był malowniczą dżunglą, jak Ameryka, ale malowniczym porządkiem, jak... jak...

no, jak nie wiem co. Jak okno gotyckie? Ale ono z reguły stanowi symbol męki świętych. Jak spartakiada? Ale co kto może wiedzieć o prawdziwych odczuciach młodych dziewcząt z obręczami? Może pilnie potrzebują iść do toalety? Tak jakoś chyba powinienem im to powiedzieć. Że trzeba zorganizować świat, aby – w stopniu, w jakim to możliwe – usunąć...

Czemu im tego nie mówię?

Przestaję słuchać dyskusji i otwieram książkę. Na chybił trafił. Trochę wierzę w znaki, jak w nie wierzyła Nadia Jirouszkova. W ciemno zaznaczam palcem jakąś linijkę:

„Wtedy nadszedł jakiś obcy. (...) Zapytał, czy to wszystko prawda, co wyznała, ona zaś powiedziała, że nie. (...) Przysunęła się bliżej do ognia i wyciągnęła ręce, by je ogrzać, a płatki śnieżne miękko i cicho spadały na jej starą, siwą głowę, czyniąc ją coraz bielszą. Tłum już się zgromadził. Ktoś rzucił w nią jajko, które uderzyło ją w oko, rozbiło się i spłynęło po jej twarzy. Na ten widok wybuchł gremialny śmiech. Opowiedziałem Szatanowi (...) o starej kobiecie, lecz nie wywarło to na nim żadnego wrażenia”.

Marks, jak zawsze, miał rację. Człowiek nie może w teorii przekroczyć granicy, której nie potrafi przekroczyć w życiu. *Tych* granic w życiu ja nie potrafiłem przekroczyć, zawsze mnie przerastały. Więc nie mogę tego mówić dzieciom prerii. Niech im o tym mówi Hakim.

Nie jestem człowiekiem wyznającym światopogląd naukowy.

Może gdybym został w tym kraju w Europie, uniikałbym takich pytań, jak to postawione przez Sharon McCaffrey. Pewnie święciłbym to, co w tym kraju można święcić: niedziele na daczy, miniromanse niezależne od maksidramatów. Może też bym pisał. Życ chce każdy, Sharon, nie Sharon. Z pola widzenia usuwał-

bym to, co w tym kraju należałoby usuwać, i to, czego ja nie chciałbym dostrzegać. O ile to drugie byłoby możliwe. Ludzie by mnie czytali i może nawet lubili, bo kiedyś, w innych, mniej ortodoksyjnych czasach, potrafiłem formułować ich nienaukowe odczucia. Dlatego pewnie pozostałoby mi wierni nawet, gdybym już został ujarzmiony. W końcu przecież światopogląd naukowy nauczył mnie balansowania na granicy tego, co dopuszczalne, więc nawet po eliminacji pozostałoby coś z życia. Coś z nienaukowych odczuć. Danina złożona bogom naukowości. Ludzie w tym kraju potrafią wybaczać. Czasami może nawet miałbym wrażenie, że jestem użyteczny. Że innym dostarczyłem przyjemnych chwil. Unikałbym tematów, których z zastosowaniem eliminacji nie dałoby się opisać.

Ale tych rzeczy nie można wyeliminować z mózgu. Najwyżej z kart książki.

Od czasu do czasu, po książkach służących pożytecznej, przyziemnej grze, po tych miłych, sympatycznych książkach poprawiających humor, musiałbym stworzyć książkę z tego, co wyeliminowałem.

Jednak jestem już za stary na pisanie do szuflady.

I przez cały czas bym się bał. Strach wypędził mnie z tego kraju. Zdrowy strach przed szubienicą. I przed jej łagodniejszymi, subtelniejszymi, nie tak krwawymi odpowiednikami.

Kruk kroczy za oknem z powagą. Obserwuję jego człapiący krok po białym śniegu edenvaleskiej równiny, jego wędrówkę do sensu życia.

* * *

W hali pojawił się Eisler i maszerował wprost do mnie krokiem, który zapewne jego zdaniem powinien charakteryzować sumiennego werkszucza. Serce podeszło mi do gardła. Majster Vachouszek od wczoro-

raj się nie pojawił i nie wiedziałem, jak wygląda naprawianie szkód, które wyrządziliśmy. Zauważyłem tylko, że Wagner na piątce raz przylutowuje krzyżyki do dekli, a raz je odlutowuje. W nocy tak się spociłem ze strachu, że musiałem zmieniać piżamę. Rano strach wcale nie minął, a wręcz przeciwnie. Nie byłem nawet w stanie uświadomić sobie, że gestapo nie przysłałoby po mnie przygłupa Eislera.

Stanął koło mnie i ryknął:

– Masz iść na stację!

– Ja?

– No, jesteś przecież Smirzicky, nie?!

– Jestem.

– Telefonował pan *Oberkontroler* Uippelt. Przywiozą pociągiem jakieś części, a ty masz je przynieść na zakład.

– A... te krzyżaki?

– *Das da ist ein Befehl!*

Nadia oczywiście wszystko słyszała. Uśmiechnąłem się do niej, co kosztowało mnie tyle wysiłku, co rozładowanie fury węgla, i ruszyłem na stację.

Na peronie stał Uippelt.

– Czekam na przyjaciółkę – powiedział rzeczowo. – Zanieś pan bagaże do mojego mieszkania.

Ani słowa o jakichś częściach.

– *Jawohl, Herr Obermeister.*

– Tu jest adres. Ja z przyjaciółką pójdę najpierw do biura w fabryce, a pan zaczeka na nas przed domem. Napiwek dostanie pan na miejscu.

– *Jawohl, Herr Obermeister.*

Niemiecki już mi się nie mylił z angielskim. Czy zrobił ze mnie tragarza, dlatego że ma mnie trochę w garści? Spacerował w brunatnych pumpach tam i z powrotem po peronie, a ja w roboczym drelichu stałem koło toalety. Pociąg przyjechał prawie punktualnie. Z jednego okienka wychyliła się jakaś kobieta i pomacha-

ła ręką. Uippelt ruszył pędem w tamtą stronę. Kobieta zniknęła i po chwili pojawiła się na schodkach. Była to brunhilda w tyrolskim kapelusiku, koronkowej bluzeczce, zielonej sukni i butach na korku. Za nią wysiadł jakiś oficer i wyniósł dwie monstrualne walizy. Uippelt odwrócił się i milcząc pokazał mi je wzrokiem. Potem wziął brunhildę pod ramię i ruszył do wyjścia.

Podniosłem walizy. Tona. Albo i dwie. Znów je postawiłem. Jak to zrobić, żeby je zataszczyć pod wskazany adres i nie umrzeć przy tym z wyczerpania? Są jednak gorsze rodzaje śmierci. Ktoś za mną stęknął. Odwróciłem się. Leneczek. Z dwiema podobnymi walizkami. Postawił je na ziemi i jakoś dziko rozglądał się wokół siebie.

– Cześć!

Nie odpowiedział. Przerażonym wzrokiem obserwował coś, co działo się przede mną.

– Wirczafckontrola! – wystękał, tkwiąc w miejscu jak skamieniały.

Odwróciłem się. Jakiś facet w skórze, z policjantem przy boku, szarpał staruszkę trzymającą węzełek. Policjant udawał, że to go nie dotyczy.

– O żesz ty! – szepnąłem, choć wcale nie miałem pietra. Walizy nie były moje. Byłem tylko tragarzem. Za to Leneczek targał swój bagaż i, całkiem spanikowany, próbował jakoś uciec do męskiej toalety. Ale walizy były na to zbyt ciężkie. Leneczek w desperacji oderwał je od ziemi, lecz zdołał zrobić zaledwie ze dwa kroki. Po chwili znów je poderwał i skoczył o następne trzy kroki.

Takie ruchy naturalnie zwróciły uwagę faceta w skórze.

– *Halt!*

Leneczek nadludzkim wysiłkiem zdobył się jeszcze na całe cztery kroki, jednak nie starczyło to, by dotrzeć do toalety. Przez głowę przemknęła mi absurdalna myśl, że widocznie dla Leneczka drzwi toalety publicznej były

czymś w rodzaju drzwi świątyni. Facet w skórze, podobny do Bolesława, brata i zabójcy króla Wacława, skoczył w jego stronę. Może mógłbym wykonać jakiś manewr, żeby odwrócić uwagę od Leneczka? Chwyciłem walizy metresy Uippelta, kolana się pode mną ugięły, lecz mimo to drobnymi kroczkami sunąłem do wyjścia, starając się, żeby to wyglądało na ucieczkę. Gestapowiec rzeczywiście to dostrzegł, ale znalazł wspaniałe rozwiązanie. Machnął niedbale ręką do policjanta, szczeknął: – *Festnehmen!* – i nawet się nie zatrzymał. Pędził do Leneczka, który tymczasem w końcu dotarł do kibla i sięgnął do klamki. Dokładnie w tym samym momencie facet w skórze złapał go za kołnierz.

Do mnie natomiast zbliżył się policjant i mruknął z niechęcią.

– Chodź pan ze mną.

Taszczyłem walizy do pomieszczeń wirtschaftskontroli, policjant zaś szedł obok mnie i mruczał pod nosem:

– Musita tyle tego wozić naraz, ludzie? Przecież na takie wielkie transporty człowiek nie może przymknąć oka. Żeby przynajmniej nie było tu dziś tego Czvanczary.

Aha, czyli gestapowiec jest były nasz rodak. Teraz zapewne pisze się „Tschwantschara”.

– To nie moje walizy. To obermajstra z „meserszmitki”.

Policjant drgnął.

– Tak? A gdzie ten obermajster?

– Poszedł jeszcze do biura. Do „meserszmitki”.

Policjant spojrzał ostro na walizy, a potem w kierunku toalety. Leneczek ciągnął stamtąd swój bagaż, a za nim dumnie kroczył Tschwantschara.

– Właź pan do środka! – Policjant kiwnął w stronę drzwi wirtschaftskontroli.

Wszedłem do środka, postawiłem walizy i natychmiast znalazłem się znów przy drzwiach. Policjant po-

biegł do wyjścia. Z drugiej strony zbliżał się Leneczek z wywieszonym językiem i zamiast do świętego Wacława podobny był teraz do Chrystusa Pana w ostatniej chwili jego ziemskiego życia. Tschwantschara pokrzykiwał za nim:

– *Weiter, weiter! Aber dalli!*

Krótkie komendy już sobie z niemieckiego przyswoił. Przez chwilę obserwowałem kalwarię Leneczka. Peron był jak wymieciony. Kto tylko miał nogi, zmył się wraz z kontrabandą. Potężne walizy Leneczka sprawiły, że szmuglerzy okradli dziś Rzeszę z paru ładnych garnców smalcu i słoniny.

Schowałem się do środka. Po chwili pokazał się Leneczek, lecz taszczył tylko jedną walizę. Drugą, niczym Józef z Arymatei, przywłókł sam Tschwantschara. Nie przydało mu to dobrego humoru, ale zaledwie dostrzegł mnie i kolejne dwie równie wielkie walizy, rozpromienił się od ucha do ucha.

– Ładnie, ładnie – powiedział po czesku, bo szykował się zapewne do dłuższego przemówienia. – Widzę, że się podróżuje, co? – Nie wyprowadzałem go z błędu. – I to daleko! Takie kufry! – Z radością popatrzył na moje walizy, a potem znów na Laneczkowe i jeszcze bardziej poprawił mu się humor. – *Also aufmachen!* – rozkazał znów po niemiecku.

Ochoczo sięgnąłem do zamka. Zamknięty. Leneczek trochę uchylił wieko jednej z walizek, ale kiedy zorientował się, że całą uwagę Tschwantschary pochłonał mój zamknięty bagaż, natychmiast znów je zamknął.

– Powiedziałem: *aufmachen!* – gestapowiec ryknął na mnie z radosną groźbą w głosie.

– Coś się zacięło.

– No to otworzymy po niemiecku!

Podszedł do mnie i niezbyt dobrze oczyszczonym butem z całej siły kopnął walizę Uippelta. Trafił w zamek

i ten łącznie z butem uwiązał w środku walizy. Starał się uwolnić nogę, ale nie szło mu, więc się wściekł. Przez chwilę szarpał nogą, aż wreszcie się udało, a kiedy zobaczył zawartość walizy, na nowo wpadł w zachwyty. W obramowaniu różowej halki jego oczom ukazały się trzy butle jakiegoś szlachetnego trunku. Po chwili rozległo się kolejne tępe uderzenie butem o zamek i drugie wieko odskoczyło. W tej walizie, niczym w luksusowej bombonierze, na podkładzie z aksamitnego szlafrocka spoczywało pięć następných butli i jakieś konserwy. Na butlach widniał napis Cognac Martell.

Tschwantschara na swój sposób wytłumaczył sobie damskie opakowanie kontrabandy:

– Masz zamiar się żenić?

– *Nein, bitte* – celowo odpowiedziałem po niemiecku.

Jeszcze przez chwilę rozkoszował się widokiem alkoholu, a potem odwrócił się do Leneczka. Ten, zgarbiony, stał nad zamkniętymi walizami. Tschwantschara ryknął, aż zadzwoniły szyby:

– Powiedziałem: *Aufmachen!!!*

Leneczek pochylił się i wstydliwie uchylił wieko.

Oczom naszym ukazał się poćwiartowany trup. Nie był to na szczęście człowiek, lecz potężne prosię. Z jednej walizy sterczał różowy ryj z cytryną w środku.

– To jest, proszę pana, kawałek świniaka z legalnego uboju, od mojego stryjka z Opočna... – tłumaczył ze strachem Leneczek.

– Kawałek?

– No, parę kawałków – przyznał Leneczek.

Tschwantschara pochylił się nad walizami i długo obserwowował wieprzowy kolaż. Potem wyprostował się, popatrzył wokoło i wskazał ręką na szerokie biurko.

– No to wyłóż tutaj te parę kawałków!

Leneczek pochylił się i spojrzał jeszcze spode łba na Tschwantscharę, jakby błagał o litość. Gestapowiec

nadał się i zrobił groźną minę. Leneczek kucnął nad walizą, wziął potężną szynkę i zamiast do biurka nieśmiało ruszył w kierunku kontrolera. Cel był oczywisty, Tschwantschara jednak tylko wybałuszył gały i ryknął:

– *Was? Auf den Tisch hab ich gesagt!*

Pechowy łapówkarz szybko się odwrócił i podszedł do biurka. Potem z wyraźną niechęcią zabrał się do roboty. Po chwili na biurku piętrzyła się sterta wieprzowych szynek, golonek, nóżek, boczków i innych niezidentyfikowanych części.

– Parę kawałków prosiaka! – gestapowiec prawił z dobitną ironią. – Od stryjka z Opočna...

– Bo, proszę pana, stryjek jest na diecie i dlatego dał mi właściwie wszystko z tego uboju...

– *Na, was hamwirda eigentlich?* – Tschwantschara chwycił prosięcy ryj i wraz z głową umieścił go pośrodku biurka. Potem głęboko się zamyślił, niczym nad zadaniem szachowym, i dołożył do ryja dwie nogi. Znow się zamyślił.

Leneczek cofnął się do walizek i nie wiadomo dlaczego je zamknął. Mrugnąłem do niego, ale nie zareagował. Był blady jak kreda. Zrobiło mi się głupio z powodu tego mrugnięcia. Przypomniałem sobie niedawną informację w gazetach o straceniu jakiegoś rzeźnika. Spojrzałem na wieprza, ale on też mi przypomniał coś, o czym nie chciałem myśleć. Tschwantschara tymczasem zajmował się anatomią eksperymentalną.

Głupia sprawa. Na biurku pojawiła się świnia z dwiema szynkami. Miała też pięć nóg i trzy boki. Niezwykłe zwierzę sprawiło Tschwantscharze wyraźną radość. Dołożył trzecią nogę do dwóch szynek i odwrócił się do Leneczka.

– *Ein fünfbeiniges Schwein!*

Sprawił wrażenie przyjemnie zaskoczonego.

– Nie, proszę pana – odparł niepewnie Leneczek. – Stryjek musiał się pomylić.

– Jak to pomylić?

– No bo świniak ma tylko cztery nogi.

– Czyli piąta tam nie pasuje.

– No... nie...

– A gdzie pasuje?

– No, tam nie... – mamrotał zrozpaczony Leneczek.

– Nie?

– Nie... – Leneczek zrobił krok ponad walizami, wstydliwie zbliżył się do biurka, wziął jedną z trzech zadnich nóg i przeniósł je na przód, pod ryj.

Tschwantschara spojrział na niego przeciągle.

– To jest, proszę pana, przednia noga – stwierdził Leneczek.

– *Ach, so!* – gestapowiec popatrzył na jego dzieło, po czym sięgnął po jedną szynkę i też przeniósł ją pod ryj. – A to jest przedni zad!

– Nie – szepnął Leneczek. – To jest... znaczy się... rozdzielony tylny zad... na dwie połowy. Zad, to znaczy nierozdzielony, ma dwie połowy... A jak się go rozdzielili, to są z tego... cztery połowy... – Tu głos mu się wreszcie załamał.

Tschwantschara w zamyśleniu podparł sobie brodę i stwierdził:

– *Merkwürdig!*

Trwał tak długo, patrząc na potwora. My również zachowaliśmy milczenie. Wreszcie sięgnął do stosu nieuporządkowanych fragmentów i wyciągnął... kolejną przednią nogę. Umieścił ją pod ryjem, więc potwór miał teraz trzy nogi z przodu, zamiast z tyłu. Jedna z przednich nóg z całą pewnością była zadnia.

– Czy tak jest dobrze? – spytał.

Leneczek wyciągnął drżącą rękę w stronę dziwnego wieprza i zawahał się. Po chwili niepewnie wziął za-

dnia nogę spoczywającą pomiędzy przednimi i wolniutko przeniósł ją do tyłu. Tam jednak już leżały dwie nogi. Znów się zawahał. Tschwantschara pochylił się nad stołem i wziął jedną z tylnych nóg. Leneczek jak zahipnotyzowany położył na tym miejscu nogę, którą trzymał w ręku.

– *Jetzt ist das endlich in Ordnung* – stwierdził z wyraźnym rozbawieniem Tschwantschara. – A ta noga? – popatrzył na nogę, którą przed chwilą podniósł z biurka. – Aha. *Ich verstehe*. Przecież to po prostu jest ogon!

Spojrzał pytająco na Leneczka, ale temu nie przyszło już nic do głowy.

Gestapowiec wetknął nogę w zad prosiaka.

Cała komedia śmierziała cmentarzem.

– *Na, und was werma dazu trinken?* – zupak odwrócił się do mnie, pochylił się nad moimi walizami i wyciągnął dwie butle. Jedna z nich to Martell, a druga jakiś szampan. Tschwantschara smakował dramatyczną pauzę i z zainteresowaniem zaczął studiować francuskie napisy.

– *Was soll das sein?!* – od strony drzwi rozległa się nagle generalska komenda. Wszyscy drgnęliśmy, a najbardziej Tschwantschara. W progu stał Uippelt, z hitlerowskim wąsikiem zjeżonym jak koci grzbiet, monoklem na nosie i grzywką stojącą dęba jak kaktus. – *Was ERLAUBEN SIE SICH?!!!* – ryczał.

Za nim stała brunhilda w tyrolskim kapelusiku.

Tschwantschara przestraszył się, upuścił szampana i nastąpiła eksplozja. Odłamek szkła trafił go w nos, powodując krwotok. Uippelt jednak zignorował jego ranę i bez słowa wskazał ręką walizy. Trzęsący się Tschwantschara błyskawicznie umieścił ocalałą butelkę w różowym obramowaniu, wytarł sobie nos i skaleczył się w dłoń o inny odłamek.

– *Diese Dame hier* – cedził lodowato Uippelt – *ist Frau General der Waffen SS von Kater! Der Herr General hatte*

die SS Division Grossdeutschland bei der Kesselschlacht von Kiev unter Befehl. Jetzt erholt er sich in Paris!

Tschwantschara stuknął obcasami, ukucnął przy walizach i próbował je zamknąć. Były jednak zbyt ostro skopane. Odwrócił się więc do policjanta, który tymczasem niepostrzeżenie zjawił się w pomieszczeniu, i prawie szeptem poprosił go o sznurek. Potem przy pomocy policjanta zaczął wiązać walizy.

Leneczek nieoczekiwanie ożywił się i przytomnie wykorzystał sytuację. Tak jakby i amorficzne prosię stanowiło majątek *Frau General SS*, w rekordowym czasie rozłożył je na czynniki pierwsze, wrzucił do walizek i wybiegł z ładunkiem ważącym ze sto kilo. Nie wiem, skąd zdobył się na tak nadludzką siłę.

Uippelt tymczasem ponuro obserwował walkę Tschwantschary ze sznurkiem.

Pomyślałem sobie, że jednak, niestety, nie ominie mnie fucha tragarza. Ale jednocześnie przyszło mi do głowy, że jeśli człowiek się boi – a czarna komedia znów napędziła mi strachu – to wysiłek fizyczny całkiem dobrze robi. Rozprasza po prostu myśli o śmierci.

* * *

Drogi Dan,

Kiedyś po wojnie pożyczyłeś mi jakiś swój rękopis. Uznałem to za jeden z Twoich cynicznych żartów i nie potraktowałem poważnie. Rękopis nosił tytuł „Wstęp do teorii końca”. Wtedy interesowałeś się paleontologią i natknąłeś się na hipotezę jakiegoś Dolla – chyba nazywałeś to „przespecjalizowaniem”. Chodziło o zagadkę wymierania gatunków. Dollo, o ile dobrze pamiętam, twierdził, że wyginiecie przynajmniej niektórych gatunków da się paradoksalnie wytłumaczyć zbyt wielkim powodzeniem najlepszych z nich w walce o przetrwanie. W przypadku niektórych zwierząt następuje bowiem ogromny rozwój pewnych cech anatomicznych, które początkowo zapew-

niają im przewagę: roślinożerne dinozaury osiągają na przykład takie rozmiary, że stosunkowo małe drapieżniki po prostu do nich nie dosięgają. Albo tygrysom wyrastają kły, które potrafią przebić nawet skórę dinoterium. Jednak od czasu do czasu coś się w tym mechanizmie psuje i rozwój nie zatrzymuje się w optymalnym punkcie: brontozaury rosną wciąż bardziej i bardziej, a kły tygrysów wciąż się przedłużają. Ten proces ciągnie się ad absurdum, aż wreszcie – zdaniem Dolla – „powstają zwierzęta niezdolne do życia, które wymierają”. Czterometrowym tygrysom kły zakratowują paszczę do tego stopnia, że w końcu mogą się żywić tylko myszkami. Brontozaury osiągają gigantyczne rozmiary, ale mózg, który jest wielkości mózgu kota, nie potrafi zapanować nad tym ciałem, dlatego tworzy się jeszcze jeden, w okolicach miednicy, lecz nie ma między nimi koordynacji. Brontozaury wymierają z powodu anatomicznej schizofrenii.

Tyle Dollo. Natomiast Ty, stary cynik, zastosowałeś to do ludzi. W walce o życie człowiek poszedł w ślady brontozaurów czy tygrysów. Jego mózg stawał się coraz większy, co stanowiło ogromną zaletę w walce o przetrwanie. Ale ewolucja również nie zatrzymała się w optymalnym punkcie. Możliwości rozumu rosną, a emocje i wola pozostają bez zmian. Wskutek hipertrofii rozumowej części mózgu rzeczywistość coraz bardziej się komplikuje i wchodzi w coraz bardziej beznadziejne konflikty z uczuciami i wolą. Powstają jednostki niezdolne do działania, które może wywołać tylko inteligencja instrumentalna, ale nie refleksyjna – czyli jednostki niezdolne do życia. Jest ich coraz więcej. Dziś to już są całe klasy czy – mówiąc ściślej – warstwy społeczne. Kiedy to „przespecjalizowanie” dotknie całą ludzkość, to homo sapiens po prostu wyginie.

Znam cię, Dan, i wiem, że nie traktowałeś tego całkiem poważnie. Ale może wpadłeś na trop choroby, którą przeczuwali także Marks i Engels. Na szczęście do tej pory nie objęła całej ludzkości. Tylko intelektualistów, takich, jak my.

We are the hollow men
We are the stuffed men
Leaning together
Headpiece filled with straw. Alas!
Our dried voices, when
We whisper together
Are quiet and meaningless
As wind in dry grass
Or rats' feet over broken glass...

Jak precyzyjnie zostało to wyrażone! Albo stary Rilke: wachen, lesen, lange Briefe schreiben/ und (...) in den Alleen hin und her/ unruhig wandern, wenn die Blätter treiben...

Ja dokładnie coś takiego robiłem. Przez całe życie. Pisałem listy, słuchałem wiatru, czytałem wiersze. A jednocześnie – na tym polega ironia mego losu – byłem wciąż między ludźmi: prostymi, niedotkniętymi jeszcze hipertrofią mózgu, i to w sytuacjach, kiedy ich człowieczeństwo przejawiało się w sposób najbardziej bezpośredni. Nigdy Ci o tym nie pisałem ani nie opowiadałem, ale wiesz, co to znaczy przejeżdżać ulicą rano po nalocie dywanowym i widzieć dziecko straszliwą siłą fali powietrznej rozpląszczone na zwęglonej ścianie niczym karykatura? Płaski, monsturalny, posiekany relief z kawałka spalonego mięsa? I widzieć facetów, którzy – wiesz, jakim językiem mówią do siebie w noclegowniach – ze łzami w oczach patrzą na to przerażające, artystyczne dzieło wojny, a potem mdleją?

Ja przed czymś takim uciekałem w poezję. W tamtych dniach wciąż na nowo do niej wracałem. I znalazłem wiersz Neumanna: Poezja / to nie jest daremna ucieczka od ziemi i ludzi. Tak jakby to był zarzut skierowany osobiście do mnie. Otoczony ludźmi – żywymi, cierpiącymi, walczącymi – uciekałem w wiersze. Odkryłem poetę, którym wcześniej trochę gardziłem. Dawniej wydawał mi się zbyt deklaratywny, suchy, propagandowy. Ale to tylko powierzchwnia, bo pod nią jest wielka mądrość:

Kocham wszystko, co w życiu jest proste i jasne.
I kocham też najbardziej właśnie takich ludzi,
których prostodusznością człowiek się nie znudzi,
stworzonych z pramaterii, o smaku jak bukiew.
Człowiek podchodzi do nich bezpiecznie i ufnie
jak do wiejskiego stołu z razowcem i mlekiem.
Nie są jak kalejdoskop z kolorowych szkiełek,
co po każdym obrocie łąze inną rozgwiadą...*

Ja wiem, że Ty się teraz ze mnie naśmiewasz, Dan, i myślisz, że jestem strasznym naiwniakiem. Ale nie mogę już dalej iść tą drogą, o której pisałeś. Czuję, że w tym jest prawda. Muszę wreszcie spróbować napić się z tej studni.

Twój
Jan

* * *

I been there before.

Goście Milana, którzy przyszli na *housewarming party*, śmieją się z mojej opowieści. Podrasowałem trochę historyjkę o tym, jak na pytanie zawarte w ankiecie rozesyłanej przez kolegę Billa Hogartha i koleżankę Sugar Schwartz: „Czy jeśli na uniwersytecie Edenvale powstanie grupa studiów marksistowskich, jest kolega zainteresowany, by zostać jej członkiem?“, odpowiedziałem końcowym zdaniem Hucka Finna, ulubionego bohatera koleżanki Sugar:

I been there before.

Goście – także ci, którzy nie zrozumieli – śmieją się i ktoś zaczyna opowiadać dowcip, dlaczego gliniarze chodzą zawsze trójkami.

Barbarze zapaliły się iskierki w oczach i odwróciła się do Milana.

– O czym wam opowiadał? Coś śmiesznego?

* Przełożył Zbigniew Machej.

– Strasznie. Ale byś tego nie zrozumiała.

– Skąd możesz wiedzieć, że bym nie zrozumiała?

– *You never been there before!* – Milan śmieje się z dowcipu, którego nawet Sugar wtedy nie zrozumiała, choć sam cytat był jej naturalnie znany. Bo tak naprawdę rozumiemy go tylko my, którzy tam byliśmy.

– Ja cię nie rozumiem – mówi Barb pojednawczo po kanadyjsku. – Mówił coś o Huckleberrym Finnie?

– O czym? Widzisz! Nie masz pojęcia, o czym się rozmawia!

Barbara nie daje po sobie niczego poznać. Dostrzega, że w mojej i Milana szklaneczce już wyszło, bierze je palcami ozdobionymi biżuterią i odchodzi do stołu, na którym Milan zrobił wystawę butelek, jaką można zobaczyć jedynie na przyjęciach w ambasadach krajów socjalistycznych. Nikt nie wie, co wpłynęło na sąd, kiedy wydawał wyrok w jego beznadziejnej sprawie. Może samobójstwo Polki, która wołała śmierć niż powrót do gierkowskiej Polski Ludowej? Tak czy inaczej Milan jest już *landed immigrant* i może tu budować swoje szczęście. W rogu przy nowiutkim stereo siedzi na ziemi Veronika, na uszach ma ogromne słuchawki, a na policzkach łyzy. Barbara nabiera lodu z termosu, polewa go bursztynową whisky i podchodzi do nas. Ktoś opowiada dowcip o gliniarzu, który próbował zdeptać peta wrzuconego do Wełtawy i utopił się. Wszyscy się strasznie śmieją.

Barbara podaje Milanowi szklaneczkę.

– *Does he tell jokes?*

– *Yeah.*

– *Well* – mówi spokojnie Barb. – Nie mógłbyś mi ich przetłumaczyć?

– To są wszystko gry słowne. Mój angielski jest na to za kiepski.

– To przynajmniej spróbuj. Mnie się wydaje, że już w wielu sprawach nieźle sobie radzisz z angielskim.

Ale Milan znowu egoistycznie zasysa atmosferę Pragi, którą z pomocą Čedoku dobrowolnie opuścił.

Obserwuję Barbarę, która w tym związku jest jak rozbitek. Podchodzi znów do stołu z alkoholami, robi sobie drinka, siada w fotelu i ze stolika do kawy bierze leżące tam czasopisma. „Mladý svět”, „Kino”, „Melodie”, a nawet „Dikobraz”. Zaczyna je przeglądać. Mieszanka partyjnych twarzy i twarzy ze świata pop music nic jej nie mówi. Wstaje i idzie usiąść koło stereo. Tam w papierosowym dymie samotnie błyszczą dziewczęce kolana w nylonach. Znowu wybuch śmiechu, tym razem wokół pana Zawynatcha. Potem robi się poważnie.

– Radiostację zbudujemy w Abisynii – słyszę głos pana Pohorskiego. – Ze względów atmosferycznych w kraju stamtąd najlepiej słyhać. Początkowo będziemy nadawali osiem godzin dziennie, a potem dwanaście. Dajcie mi tylko dwa miesiące.

Odwracam się od pana Pohorskiego w obawie, żeby mi przypadkiem nie zaproponował pracy, patrząc na lśniące kolana i na dwie dziewczęce głowy w ogromnych słuchawkach stereo.

Barbara właśnie je zdejmuje, wstaje, zahacza wzrokiem o Milana, ale ten duchem jest chyba w Abisynii. Barb podchodzi do biblioteczki, bierze nowiutkie puzzle i siada na ziemi.

Idę więc do Veroniki ja. Pokazuję ręką słuchawki. Veronika wystawia jedno ucho.

– Czego słuchasz?

– Milan ma nowe płyty z Pragi! – jej oczy błyszczą jak koktajl szczęścia i smutku. – Znasz Ulrychovą?

– Wiem, że jest taka.

– Ja ją znałam. Taka gruba dziewczyna. Ale ten głos! Wielki!

Nakładam na głowę cudowny hełm i łączę się ze światem Veroniki. Kiedyś był też moim. Przynajmniej część-

ciowo. Tej drugiej części, literatury, już tam nie ma. Nie była może wielka, ale czasem było w niej coś z pana, który nosił białe stroje i był wielkim pesymistą. Klóci-liśmy się o wolność, a kiedy powoli rosła, wypełniali-śmy ją małymi historyjkami. Teraz słucham. Wydaje się, że coś się da zrobić bez wolności. Może nawet sporo. To znaczy: z tą wolnością, na którą nam pozwalają, dopóki – zgodnie z Platonem – kiedyś wreszcie nie wypędzą nas z rajcu.

Słucham. Z płyty leci muzyka elektroniczna i smyczki. Skąd więc tyle zmartwień? Zawsze więcej niż to konieczne, by uzyskać tak kiepski efekt. Potrzeba wyrazu ma zwykle większą intensywność niż potencjał. *Das Spiel ist ganz und gar verloren, und dennoch wird es weitergehen.* Biedny Jan. Oczywiście gdybyśmy się tak bez sensu nie wyklócali o tę wolność – my, którzy potem nie potrafiliśmy jej wykorzystać do niczego wielkiego – to w słuchawkach pewnie nie mógłby rozbrzmiewać wielki, piękny i zapewne nieznormalizowany głos, któremu jest wszystko jedno, że jego filozofia bardziej pasuje do *Tajemniczego przybysza* niż do socjalistycznych organizacji młodzieży, głos destylujący z tej niewielkiej ilości swobody (wywalczonej chyba głównie przez nas) całkowite maksimum:

*Pędzi pociąg czarną nocą,
W pierwszej klasie każdy śpi.
No i dobrze jest!
Jego światła w mroku świecą,
Maszynista fajkę ćmi.
NO I DOBRZE JEST!*

Zamykam oczy. Co taki głos mógłby śpiewać przed dwudziestu pięciu laty, kiedy zaczynaliśmy? Przypominam sobie inny, też wielki i wspaniały. Należał do dziewczyny, która nazywała się Venusze Paroubkova. Śpiewała:

*Idziemy naprzód w stronę jaśniejszych dali,
Z pochodnią zwycięstwa, choć w trudzie i znoju.
Drogę wytyczył mądry wódz, towarzysz Stalin,
On żyje tu z nami w szczęściu i pokoju.*

Nie dlatego, że chciała. Kiedy te estradowe występy się kończyły, śpiewała inaczej.

*Właśnie z tego nastroju
wziął się swing, rytm spokoju!
Jako pierwszy na to wpadł
pijany obieżyświat.*

Na scenie śpiewała jednak wysokim altem, jak przykazywali nadzorcy. Gdzie teraz jest Venusze Paroubkova? I gdzie jest Jan, śmiertelnie poważny, niezbyt wybitny poeta? A w końcu gdzie ja jestem, niepoważny opowiadacz cynicznych historii?

Z tej trójki jestem niewątpliwie w najlepszej sytuacji. Żyję, mieszkam w Kanadzie i z magicznego hełmu słucham o dwadzieścia lat młodszego, lecz podobnego głosu piosenkarki – szczęśliwszej, bo później urodzonej – która śpiewa utwór nieznanego mi tekściarza, też mającego to szczęście, że dwoje moich rówieśników płci odmiennej spłodziło go o dwadzieścia pięć lat później niż dwoje rówieśników moich rodziców spłodziło Venusze.

*Jest nam fajnie, jest nam smutno,
Rano czasem boli łeb,
Ale potem przyjdzie jutro,
Blisko chaty mamy sklep.
No i dobrze jest!*

*Wszechświat pędzi wciąż dalej i dalej,
choć skrzyżowania dróg ciągle te same...*

Nagle czuję, jak chwyta mnie w szpony potężny smutek. W takim stanie nie płyną łzy, jakie – widzę kątem oka – ściekają po policzkach Veroniki. Tekściarz, któ-

rego nazwisko mnie nie interesuje, zrealizował ideał. Okładka płyty gdzieś zginęła i nikt już nie wie, kto to napisał, ale płaczą przy tym młode dziewczyny, w których sercach w tych mizernych czasach zostało jeszcze – może – coś czystego...

Nadia, jej blada twarz deszczowego dnia latem... Siostra Udelina posłała mnie po wodę destylowaną i kiedy tak szedłem szarym, śmiercionośnym korytarzem dawnego sierocińca, zamienionego teraz na oddział internistyczny, dostrzegłem tę bladą, białą jak śnieg twarz i starcze, płonące gorączką oczy spod chusty jak u babiny.

– Nadiu! Co za... Co tu robisz?

– Miałam badania na płuca – odparła.

Zatrzymała się, trupie światło odbierających nadzieję, szarych okien oświetliło jej policzki szpitalną białą, zsunęło się po swetrze, z przodu leciutko uniesionym, po szarej spódnicy, która nie miała żadnego kroju, po cienkich nogach w bawełnianych pończochach, aż na jej wciąż te same, męskie, wysoko sznurowane buty.

– Nadiu – odezwałem się. – To świetnie, że się leczysz... – w śmiercionośnej szarości mój głos zabrzmiał okropnie nieszczerze. – Jak ci zrobili badania, to teraz już szybko będzie lepiej...

Żołądek mi się ścisnął strasznym smutkiem. Tędy, przez tę kryptę, którą nazywano korytarzem, siostra Udelina wiozła wczoraj na wózku dziewczynę-szkielet z niebieskim numerem na przedramieniu.

– Co jest?... – szepnąłem do doktora Preisnera.

– Końcówka – odparł szeptem. – Absolutnie nic się z tym nie da zrobić.

Obejrzałem się za szkieletem na wózku. Po białej skórze, która pokrywała czaszkę, spływały żywe łyzy. Z migdałowych oczu, jakie miała Rebinka, jakie ma Sugar Schwartz. To było latem, Roku Pańskiego 1945.

– Wyzwolili ją Amerykanie w Buchenwaldzie – powiedziała mi siostra Udelina. – Chciała do domu. Modłę się do świętego Józefa. O szczęśliwą godzinę śmierci. Każdy chce umrzeć w domu.

Ale dziewczyna-szkielet bardzo chciała żyć. Jej oczy były inteligentne. Wiedziały, że V-day czy D-day w jej przypadku nie mają już żadnego znaczenia. Odjeżdżała, popychana przez życzliwą siostrę Udelinę, do białego grobu łóżka w starym sierocińcu.

No i dobrze jest!

Wszechświat pędzi wciąż dalej i dalej,
choć skrzyżowania dróg ciągle te same...

Śpiewa wspaniały, piękny, mocny głos. Przeczuwa coś tylko uczuciem hawthornowskiego serca, tą studnią mądrości w głupim człowieku. Wzmacnia słowa nieznanego tekściarza, który osiągnął ideał Čapka:

Skrzyżowania uczuć, myśli i obłoków,

Skrzyżowania nieskończonych dróg.

No i dobrze jest!

Ja chyba jestem smutny smutkiem jednego z tych, którzy za wszelką cenę chcą się wyrwać z odwiecznej sytuacji człowieka. Sekunda wspomnień odcisnęła piętno na wszystkich moich tekstach, ale gdzie jest to maksimum wydestylowane z drobnutkiej kropelki wolności? Wydaje mi się, że nigdzie. Pocieszam się, że mam przynajmniej niewielki udział w tej kropelce, z której inni destylują prawdy absolutne, skrzyżowania dróg. Pocieszam się daremnie. Nie jestem jednym z tych, którzy potrafią się zaspokoić losem ludzkiej zbiorowości. Niewielki udział mnie nie interesuje. Chciałbym żyć wiecznie, dlatego że chyba nigdy nie żyłem dosyć (bo chciałem żyć wiecznie): ten *circulus vitiosus* pisarzy, tekściarzy, opisywaczy.

– Nie wiem – powiedziała Nadia. – Pan doktor też tak mówi, tylko że on tak musi mówić. Ale ja się nie boję.

A czy ty się kiedykolwiek bałaś, Nadiu? To ja się bałem. Strasznie. Okropnie się bałem.

– Chodź ze mną – burknął ponuro majster Vachouszek. Poszukałem wzrokiem oczu Nadii, ona puściła uchwyt wiertarki i wyciągnęła do mnie rękę.

– Słyszałeś? – huknął Vachouszek, a ja ledwo odlepiłem się od ziemi. Nogi miałem tak ciężkie, jak człowiek skazany na śmierć przez powieszenie, kiedy prowadzą go korytarzem z celi na więzienne podwórze, gdzie stoi to straszliwe, rewolucyjne urządzenie – ciężkie siłą grawitacji potężnej Ziemi i gotowe, by za chwilę przerwać skazańcowi kręgosłup. Szedłem za mistrzem ledwo przytomny.

– No, siadaj – polecił Vachouszek w swojej kanciapie. – Bo i tak usiądziesz. Jest afera. Uippelt na spawalni dorwał jeden krzyżak.

Rzeczywiście usiadłem. Grawitacja ziemską wcisnęła mnie w drewniany taboret i na próżno starałem się coś powiedzieć. Majster jednak nawet tego nie oczekiwał.

– Teraz chodzi o to, czy się połapie, że jest ich cała seria – ciągnął dalej. – Sądzę, że tak. Bo jakby to były dwa, trzy krzyżaki, to dalibyśmy je na złom i nie spawalibyśmy ich. – Popatrzył na mnie. Był poważny, ale nie potrafiłem odgadnąć, czy też się boi. – W tej sytuacji istotne jest, czy przyklepie te zaspawane, czy też będzie je sprawdzał. Raczej obawiam się, że to drugie. – Czuję się, jakby mi już nakładali strychnię, i miałem wrażenie, że za chwilę zemdleję. Na głowę spadł mi czarny kaptur, przestałem widzieć majstra, a jego głos dobiegał jakby z zaświatów. – Jest dla ciebie jasne, student, w jaki jedyny sposób może się zabezpieczyć, żeby sam nie miał problemów? I to wielkich, gdyby przepuścił wybrakowane części do samolotów bojowych!

To zabrzmiało jak wyrok! Wyszedłem z kanciapy jak pijany, cała fabryka kręciła się wokół własnej osi. Skie-

rowałem się w stronę toalet, bo żołądek podchodził mi do gardła. Zwymiotowałem do jednej z brudnych muszli, a potem oparłem się czołem o ścianę.

– Ty, słuchaj! – zwrócił się do mnie Kos. – Ten kretyń Malina nie chce wierzyć, że ślimaki to samiec i samica w jednym.

– Nie wierzę – potwierdził Malina – bo sam widziałem, jak się dymają.

– No i co z tego? – kłócił się Kos. – Oni się dymają podwójnie, ty baranie! Połówka samicy z samcem, a druga połówka – samiec – z połówką samicy. Wy tłumacz to temu idiocie! – rzucił w moją stronę.

Nie miałem najmniejszej ochoty nauczać proletariuszy, ale co było robić? W głowie kłębił mi się wir myśli, napędzany potężnym pragnieniem znalezienia gdzieś jakiegoś ratunku, kręcił się i tysiącem rąk chwycił najmniejszych patyczków, ale te natychmiast się łamały.

– To prawda – odparłem. – Ślimaki są hermafrodytami. Czyli są obupłciowe.

– Pieprzysz, wielbłądzie! – zaprotestował Malina. – Dlaczego by tak miało być? Po co?

– Tego nie wiem – powiedziałem mdłym głosem. – Ale po prostu tak jest.

– Obaj jesteście byki jordańskie! Przecież to by było zupełnie bez sensu! – nie dawał za wygraną Malina. – Gdyby już miały fiuta i cipę w jednym ciele, to każdy by się mógł dmuchać sam ze sobą, ty bizonie!

– Takie stworzenia też istnieją – stwierdziłem. – Na przykład tasiemce.

– Nie rób ze mnie idioty. Myślisz, że ja wszystko łyknę, ty tapirze – Malina rzucił na mnie nieprzyjazne spojrzenie.

– To jak myślisz, że się dymają tasiemce? Co, każdy z nich ma w brzuchu dwa – samca i samicę? – wsparł mnie Kos.

– Panowie, wyobraźcie sobie, jak tasiemcowi staje i on zabiera się do roboty! – wtrącił się do dyskusji Pomykl. – No, nie chciałbym być w skórze kogoś takiego, komu w brzuchu rąbią się tasiemce! O, nie!

Wir w głowie chwycił się coraz to nowych patyczków. Przyszła mi do głowy Nadia, potem Przema...

Co by się wtedy stało, gdyby...

*Wszechświat pędzi wciąż dalej i dalej,
choć skrzyżowania dróg ciągle te same...*

Veroniki nie było jeszcze wtedy na świecie. Ani Sugar Schwartz. Profesor Hogarth już był, ale w Kanadzie, i liczył sobie zaledwie dziesięć lat. Nie miał okazji paść na brzegach Normandii, z *Polką piwną* na ustach, za komunizm, który obecnie ma zamiar zgłębiać.

– Nadiu, twój facet już się na mnie nie wścieka? – spytałem.

– Coś ty, on jest dobry. Nie możesz mu się dziwić, bo on wtedy się o mnie strasznie bał.

Wiem, Nadiu. Poznałem to po sile uderzenia. Strasznie się bał o ciebie, a ja tylko o siebie. Ale tak samo mocno, jak mogłem ocenić po sile ciosu Franty.

– On na mnie czeka na dole z bryczką – roześmiała się. – Już jestem zupełnie jak Łazarz, Daniel. Nawet na Czarną Horę nie dam rady wejść. – Rozkaszała się. – Gdybyś chciał... – rozpalone jak węgle oczy w śnieżnej twarzy na zboczach tej góry, tej nocy, tej zimy, patrzyły na mnie po raz pierwszy od czasu, kiedy ją poznałem, z jakimś egoistycznym pragnieniem, z jej własnym pragnieniem – ...to mógłbyś przyjść do nas z wizytą. Bardzo bym się cieszyła.

Już nigdy w życiu czegoś takiego nie usłyszałem. Nie z ust kobiety. Podała mi gorącą dłoń. Patrzyłem w okna pokoju, w którym poprzedniego dnia umarła dziewczyna-szkielet. Na drodze przed sierocińcem stał konik zaprzężony do wiejskiej bryczki. Facet jak dąb czekał

obok konika, a kiedy Nadia w swoich ogromnych butach wyszła przed sierociniec, pomógł jej wejść na kozioł i delikatnie otulił jej ramiona grubą chustą. Patrzyłem z piekła do raju, a straszliwy smutek szarpał mnie od środka...

Skrzyżowania uczuć, myśli i obłoków,

Skrzyżowania nieskończonych dróg.

No i dobrze jest!

NO I DOBRZE JEST!

Zdejmuję cudowną przyłbicę. To nie jest zdrowe. Potrzebuję zastrzyku pana Pohorskiego, Briana Zawynatcha albo Debilinki Cabicarovej. Rozglądam się po mieszkaniu. Barbara wdzięcznie siedzi na ziemi nad rozłożonym dżigso pazlem. Nad nią wielka złota rama z jej wielką twarzą, ogromnym blouapem, zrobiona w którymś ze specjalistycznych sklepików na Yonge Street. Milan traktuje to więc z odpowiednią narzeczeńską powagą. Z pazla przed Barb powoli wyłania się Sherlock Holmes, jeszcze nie całkiem gotowy. Idę w jej kierunku i staję się świadkiem konwersacji, bo z drugiej strony zbliżył się do niej Milan, już trochę pod gazem.

– *Well, well.* Kanadyjskie zwyczaje. Puzzle.

Barb spogląda w górę i mierzy go poważnym wzrokiem. Jest nawet zdolna do ironii.

– To nie są żadne kanadyjskie zwyczaje. Robię to, bo mnie to bawi.

Milan podaje jej drinka. W środku dzwoni lód.

– Napij się. To cię będzie bardziej bawić.

Ale Barbie nie podejmuje tej zabawy. Celowo umieszcza niewłaściwy element w kolanie Holmesa. Potem znów podnosi wzrok na swego bojfrenda i przyłapuje go na nieznamości cytatu, którego Milan nie zna, podobnie jak nie znał ostatniego zdania z *Hucka Finna*. Ale skąd mógłby znać? Kiedy w Pradze grali *Obywatela Kane*, Milana nie było jeszcze na świecie.

– *You never give me anything I really care about* – mówi Barb i daremnie czeka, że Milan zrozumie. Nie rozumie, nawet gdyby miał czas się zastanowić. Ale nie ma, bo zostaje odwołany.

– Milan! Milan! – słychać okrzyki czeskich panów, którzy przemieścili się do stolika z alkoholem.

Barb przez chwilę patrzy za nim, a potem bierze do ręki następny element układanki i zaczyna się zastanawiać, co z nim zrobić.

No i dobrze jest.

Wracam do Veroniki.

No i dobrze jest.

No i dobrze jest.

Odsuwam jedną słuchawkę i ryczę do filigranowego uszka:

– Gdzie jest rycerz Percival?

Veronika wzrusza ramionami i zdejmuje czarodziejski hełm. Dłonią ociera łzy.

– Nie wiem.

– Ale chodzisz z nim, nie?

– Tak jakoś mniej więcej można by to nazwać – odpowiada. – Tu go nie chciałam ciągnąć, bo zepsułyby zabawę. Trzeba by było rozmawiać po angielsku.

Kiwam głową w kierunku Barbary, zajętej puzzlem.

– A ona? Przecież nie psuje zabawy.

– Ja nie jestem takim palantem jak Milanek – stwierdza Veronika.

– Mógłby z tobą słuchać płyt.

– Ceskich? To by go nie interesowało.

– To tak mało cię kocha?

Veronika wyciąga z kieszeni sztruksowej marynarki kleenex i trąbi. Wkłada w to wiele serca. W ten sposób odpędza spleen.

– Słuchajcie, profesorku, nie ciągnijcie mnie za język! Ja się też nie pytam o waszą lolitkę.

Bardzo ładny cios! Jak staroczeska broń przeciw czeskim sytuacjom w życiu. Ale ciągnie dalej:

– Sama nie wiem, jak bardzo mnie kocha. Chyba bardzo, bo ze mną jest okropnie nudno. Mnie nie interesuje nic innego niż Czechy.

– A ty się z nim nie nudzisz?

– Ja nie.

– Tak bardzo go kochasz?

Veronika przez chwilę się zastanawia.

– Raczej mnie wkurwia – odpowiada po chwili.

W jej szarych oczach widać skoncentrowany smutek i wielki wysiłek, by mieć siebie pod kontrolą. Wskazuje głową w stronę stołu z wysychającymi butelkami.

– Wiziwizi – mówi, co w jej narzeczu znaczy, że chce lufę. Zapewne ma ochotę się nawalić.

Dostaje wiskacza i już ma mnie w nosie. Chowa się w astronautycznym hełmie i dzięki laserowi przenosi się do domu, do Pragi.

* * *

Danielu,

Mam nadzieję, że nie będziesz się na mnie gniewał. Nie, Ty na pewno nie będziesz. Ja po prostu nie mam w Pradze nikogo, do kogo mogłabym się zwrócić, tylko Ciebie. Nie, tak źle nie jest, ale nie chcę pisać do Lewitów, w sumie nawet nie wiem dlaczego. A może wiem. Ty zawsze byłeś moim przyjacielem, w czasach dobrych i złych – przeważnie złych, bo tych dobrych zbyt wiele nie było, przynajmniej dla mnie. Więc proszę Cię, żebyś dla mnie coś zrobił. Davidek koniecznie potrzebuje lekarstwa, załączam receptę. Tutaj nie można tego dostać, podobno tylko w Pradze, ale jest to zagraniczny lek i naprawdę nie wiem, gdzie miałbyś go szukać. Mam nadzieję, że Ty będziesz wiedział. W Pradze wszystko zawsze jakoś można dostać, więc jeśli nadal jesteś przyjacielem – a ja wiem, że jesteś, choć przyjaciół jest znacznie

mniej, niż do niedawna sądziłam – to dla mnie to zrobisz, prawda? Nie wysyłam Ci na to pieniędzy, z prostej przyczyny: nie mam ich zbyt wiele. Pracuję tu w tkalni, a przecież wiesz, że do pracy manualnej zawsze miałam dwie lewe ręce (teraz chyba trzeba mówić prawe?), więc nie wyrabiam żadnych norm. Po prostu nie potrafię. Z góry bardzo, bardzo Ci dziękuję. Davidkowi to naprawdę strasznie potrzebne, a ja się o niego okropnie boję.

Teraz już mi jest lepiej, już nie płaczę. Nie tak często. I lepiej nam się mieszka. Jest tu jeden dobry sąsiad, który naprawił mi dach. A ściślej mówiąc, zrobił nowy dach, bo to, co mieliśmy nad głową, jak tu się sprowadziliśmy, można było nazywać dachem tylko... jaki jest na to wyraz? Ten taki uczony. Metorycznie? Nie, jakoś inaczej. Ale Ty będziesz wiedział. Ten sąsiad jest monterem i naprawia maszyny u nas w fabryce, ale na temat Lea nic nie mówi, ani razu go nie wspomniał. Oczywiście wie, bo wszyscy tutaj o tym wiedzą. Przeważnie są dla mnie mili, ale też czasem wścibscy. Tylko jeden dureń, akurat majster, uznał za swój obowiązek pouczenie mnie, że mam przyzwoitą pracę, a mój mąż... Ale Ty przecież wiesz. Pani Bobeszova, która pracuje ze mną przy czótnach, wtedy na niego tak nakrzyczała, że od tego czasu już nikogo nie szkoli. Ale i tak nie mogę uwierzyć, że coś takiego powiedział. Że ludzie potrafią mówić takie rzeczy w prawdziwym życiu, a nie tylko w tym wymyślonym, w którym to się stało z Leem. Pani Bobeszova też mnie o nic nie pyta, ale jest tu wiele innych kobiet, które wciąż to robią. Ja się jednak przyzwyczaiłam, prawie. W sumie za chwilę już do wszystkiego się przyzwyczaję.

Danielku, Ty mój wierny goju, przecież ja mam dopiero dwadzieścia dziewięć lat. Na Boga, mam nadzieję, że już mnie nic gorszego nie czeka w życiu. Będę już do śmierci pracować w tkalni, bo przecież ja już nie chcę niczego więcej, naprawdę. Tylko tego lekarstwa dla Davidka, ale ja wiem, że Ty mi je jakoś zdobędziesz!

A jak Ci się będzie chciało, to też do mnie napisz. Przecież chyba możesz znaleźć chwilkę czasu pomiędzy jedną a drugą korespondencją miłosną (choć pewnie ty teraz już tylko telefonujesz do dziewczyn, a do mnie nie możesz, bo nie mam telefonu)?

*Twoja wierna
Rebele*

* * *

Ktoś głośno stuka do drzwi, ale zanim zdążę powiedzieć: *Come in!*, do mego gabinetu wpada – dosłownie – Ludmila Parkins.

– *Dan! It's awful! It's so frightening! Excuse me but I'm scared!* – krzyczy i siada słowiańskim tyłkiem na jednym z plastikowych krzesłek, zrobionych na anglosaskie tyłeczki studentek, które chcą ode mnie dostać *tutorial*. Za chwilę znów zrywa się z miejsca.

– *It's Rocky! They're killing him!*

– Co takiego?! Kto chce zabić Rocky'ego?

– *The radicals!* Widziałam wśród nich Hakima!

Radykałowie? I w dodatku akurat Rocky'ego? Z całego zespołu wydziału anglistyki jest z nimi najbliżej. W zeszłym semestrze zamiast prac pisemnych przyjmował obrazy, a w tym semestrze podobno na swoim kursie brytyjskiej poezji romantycznej ma przyjmować nawet rzeźby z plasteliny, o ile będą oddawały atmosferę *Ody do wiatru zachodniego*. A może nie rzeźby, tylko greckie urny z plasteliny. Dlaczego więc akurat Rocky'ego?

Zapewne to ukraińska wyobraźnia Ludmili. Ukraińska wyobraźnia jest patologiczna. *Or is it?* Ludmila każdemu życzy tylko dobrze, ale kiedy w gazecie pojawia się artykuł, że do ubezpieczenia zdrowotnego w prowincji Ontario powinna zostać dołączona opieka dentystryczna, to ona pakuje walizy i wraz z czwórką swo-

ich własnych, anglo-ukraińskich dzieci i trójką adoptowanych rasy indiańskiej chce uciekać przed bolszewizmem na południe USA.

– Dan, szybko! Musimy mu pomóc!

Ciągnie mnie za rękę. Biegniemy korytarzem, w którym palą się jarzeniówki i który o tej porze dnia jest już zupełnie pusty. Z oddali istotnie słychać ryk wielu głosów i dźwięk uderzeń.

– Miałam w sali dwieście pięćdziesiąt seminarium anglosaskie i nagle z sali dwieście pięćdziesiąt jeden odezwało się coś takiego! – Słucham wrzasków i biegnę za nią. – Zapukałam do drzwi, ale nikt nie odpowiedział. Więc nacisnęłam klamkę, zajrzałam ośrodek, a tam!...

– Co?

– Duszą Rocky’ego!

Skrećmy za róg. Pod drzwiami sali dwieście pięćdziesiąt jeden stoi dwoje studentów Ludmili.

– Gdzie są Margie i John? – pyta Ludmila.

– Weszli do środka.

– Co tam się dzieje? – pytam.

Oboje studentów wzrusza ramionami.

– Rocky tam miał swoje seminarium – mówi Ludmila ściszym głosem. – Pewnie coś powiedział, co wzburzyło radykałów.

– Ale przecież na współczesny dramat chyba nie chodzi sami radykałowie? – oponuję.

– Ale chodzi tam Hakim. I ta czarna dziewczyna, Gwendolyn Washington...

Otwieram drzwi. Szczególny widok. Na katedrze widzę rozciągniętego Rocky’ego, a jego czarna broda sterczy w górę jak wykrzyknik. Dwójka trzyma go za ręce, dwójka za nogi, dwoje go dusi, a Wendy McFarland pięściami tłucze go w żołądek. Nie sądziłem, że Wendy też przystała do radykałów. Rocky najwyraźniej ma

jednak też obrońców. Jenny Razadharamithan właśnie wali Wendy grubym *paperbackiem* w głowę, na ziemi pod oknem siedzi Bellissimmo i przyciska sobie do nosa zakrwawiony kleenex. Vicky i dwie nieznane mi dziewczyny w dżinsach walczą z kłotrbekiem Higginsem, a kawałek dalej Gwendolyn Washington dusi Larry'ego Hakima. Jest to więc najwyraźniej jakaś walka frakcyjna.

Nagle robi mi się ciemno przed oczami i słyszę łomot. Ludmila za mną jęczy.

Ktoś mnie stuknął w zęby, kręci mi się w głowie. Wyta-
czam się na korytarz, a w oczach mam gwiazdy. Ludmila
zatrząskuje drzwi i opiera się o nie plecami. Trzymam się
za szczękę i sprawdzam zęby. Żaden się nie kiwa.

– *What shall we do?* – łąka Ludmila.

Z sąsiedniego pokoju wychyla się głowa i cybuch.
Doug McMountain. Wyjmuje fajkę z ust i pyta z angielska
flegmą:

– Co się dzieje?

– Nie bardzo wiem – odpowiadam. – Właśnie w sali
dwieście pięćdziesiąt jeden ktoś mi dał w zęby. Ludmi-
la sądzi, że to powstanie radykałów.

– Bzdura – stwierdza Doug, podchodzi do drzwi,
otwiera i zagląda do środka. Nagle cofa się, fajka pada
na ziemię, a obok niej piłka golfowa. Doug zamyka
drzwi, z rozważą obmacuje szczękę, a potem spokoj-
nie oświadcza:

– *I'm going to call the campus police.*

– *Oh, my God!* – krzyczy przerażona Ludmila.

Bing, beng, bang! – słychać wewnątrz uderzenia
czymś twardym w tablicę. Krzyki. Charczenie.

Patrzemy z Dougiem na siebie. Każdemu z nas puchnie
szczęka. Pięść i piłeczka, które się z naszymi szczękami
spotkały, to nie była fikcyjna przemoc rodem z telewizji.

Po korytarzu biegną dwaj ludzie w mundurach kam-
pusowej ochrony.

– *In there! Hurry!* – krzyczy Ludmila.

Mężczyźni w mundurach otwierają drzwi. Na ziemi obok katedry kłębi się teraz sterta ciał, chłopięcych i dziewczęcych, przykrywających ciało leżące na spodzie, z którego wystają tylko nogi w kowbojskich butach profesora Rocky’ego McBetha. Nogi drgają jak w agonii.

Mężczyźni z ochrony fachowo wpadają w kłębowisko i odrzucają kolejne ciała na boki. My ostrożnie posuwamy się za policjantami. Z płataniny džinsów i bluzek w kwiatki wyłania się czubek brody Rocky’ego, a po chwili cały Rocky. Wytrzeszcza oczy na kampusowego policjanta, siada, a twarz robi mu się brunatna. Wygląda trochę jak wtedy, gdy w proteście przeciw gabinetowi bez okna demonstracyjnie opuścił zebranie.

– Co to ma znaczyć! – wrzeszczy piskliwym głosem.

– *Well, sir*, a to co ma znaczyć? – pyta zdziwiony policjant i wskazuje na stertę ciał. Właśnie wygrzebuje się z niego Wendy, której z bluzki pozostało zaledwie kilka strzępków wokół pasa (ale na szczęście nosi stanik).

– To jest test z English trzy siedem trzy – odpowiada poważnie i groźnie Rocky. – *Contemporary Drama*.

No i co?

I dobrze jest!

* * *

Drogi Danny,

Minęły już prawie dwa lata, jak do ciebie pisałem z Sycylii. Miałem szczęście, bo krótko potem zezwolili mi na emigrację do Australii. Tam im nie przeszkadzały moje zęby, które przeszkadzały w USA, bo mówili, że mam popsute. Jestem tu już prawie dwa lata i jest tu ładnie, tylko mnie tutejsi ludzie wkurzają. Nie da się z nimi pogadać. Jeśli chodzi o sprawy polityczne, to oni są sto lat za Murzynami, ale poziom życia jest tu wysoki. Mięso mam codziennie, kawał

na cały talerz, że aż postanowiłem w piątki go nie jadać – nie dlatego, że się ze mnie stał jakiś dewot, tylko po prostu, żeby odpocząć od mięsa. W piątki jadam haddocka, to jest jakaś ryba.

Napiszę ci teraz, co robię. Najpierw pół roku robiłem w fabryce metalowej, bo miałem w tym praktykę jeszcze z Prokuratoratu. Zarabiałem nieźle, ale jacyś Czesi, co przyjechali do Sydney na urlop, powiedzieli mi, że w New Guinea da się zarobić znacznie więcej na polach naftowych. No więc podpisałem tam z nimi kontrakt na rok i pojechałem nielegalnie. To była strasznie ciężka robota, ale nieźle zarobiłem. Przez ten rok prawie wszystko zaoszczędziłem, bo mieszkalem tam na miejscu w noclegowni, sam się żywiłem i nie chodziłem na baby. Teraz za te pieniądze kupiłem sobie kawałek ziemi w Australii i chcę zostać farmerem. Ja zawsze chciałem być rolnikiem, jak stryj Jan. Jak pamiętasz, to był brat mojego taty, który odziedziczył po dziadku gospodarstwo na Morawach, bo nie był inwalidą. Mieliśmy od niego zawsze śliwowicę, nawet w czasie okupacji, co się wtedy nią upiłeś z moim tatą, pamiętasz? No ale w kraju nie mogłem być gospodarzem, bo jak w Sudetach rozdzielali ziemię, to ja byłem w wojsku, a zresztą potem i tak wszystko już było zabrane i upaństwowione. Ale w Australii to jest możliwe – mam ziemi tyle, ile miała posiadłość księcia Czernina, gdzie jeździłeś na wakacje, ale w tutejszych warunkach to jest całkiem normalne. Jadę tam w przyszłym tygodniu i znów napiszę do ciebie, jak już się trochę rozejrzę i pomieszkam. Podobno pocztę tam zabiera raz w tygodniu samolot. Adres ci przyślę, jak już go będę znał. Podobno u nas już będzie teraz lepiej, po tym, jak komuniści mieli w Moskwie ten zjazd i Khruszciov wygłosił tajne przemówienie o Stalinie, nie wiem, czy je czytałeś. Więc może już też będziesz mógł do mnie napisać parę słów.

Twój stary przyjaciel

Przema

No i dobrze jest!

To był zbiorowy test, którego temat brzmiał: *Improvise a performance in the manner of Artaud's Theatre of Cruelty*. Na specjalnym zebraniu, zwołanym na żądanie policjanta, który poczuł się obrażony, bo Rocky oskarżył go o brutalne przerwanie zajęć i naruszenie swobód akademickich, prowadzący zajęcia przyznał, że test troszkę wymknął mu się spod kontroli. Nieodłącznym elementem teatru okrucieństwa jest jednak komponent Przypadku i Zaskoczenia. Inspiracja dla tego rodzaju teatru pochodzi bardziej z podświadomości niż ze świadomości i dlatego najlepiej spośród wszystkich form odzwierciedla naszą sytuację społeczną.

– *Well* – stwierdził dziekan nauk humanistycznych – nasza uczelnia naturalnie popiera metody eksperymentalne i rozwój nowych form pracy naukowej... Ale jak pan to będzie oceniał?

– W kwestii oceny poszczególnych osób decyzja zapadnie w drodze głosowania wszystkich uczestników – odparł wojowniczo Rocky.

– *Well* – dziekan wypuścił z fajki kółko wonnego dymu. – Ale jakie są... ehm... kryteria, na których głosujący będą opierali swoje oceny?

– Takie same jak na każdym innym kursie – Rocky nie daje się zbić z tropu.

– *Well* – powiedział znów dziekan, po czym na chwilę umilkł, wypuścił kolejne kółko i dodał: – *I see*.

Ale co widzi, nie wyjaśnił.

Nie można było powiedzieć, że boli mnie głowa. Czułem w niej ciśnienie i miałem ogromne poczucie krzywdy: że akurat ja mam być tym, którego los zdekapituje. Ale dlaczego? Właściwie przez Nadię. Z po-

wodu idiotycznego pragnienia – czy może lepiej chętki, to byłoby bardziej ściśle określenie – by zaimponować tej dziewczynie. Popisać się przed większą panią, która nawet nie zna zasad ortografii. Zataczałem się w tłumie, który wyciekał z fabryki, mijał rozkraczanego werkszuca Eislera i rozpływał się w zimowej nocy. Nagle wyparowała ze mnie cała miłość do tej dziewczyny w błękitnych drelichach. Robotnica, mówiła Marie, ale ja – idiota byłem zawsze w gorącej wodzie kąpany. Mogłem przecież przewidzieć, że zanim zamontują karabin maszynowy w meserszmicie, wszystko dokładnie skontrolują. Przestał mi się podobać obraz zablokowanego działka i niemieckiego samolotu pięknie rozsiekanego przez tylnego strzelca latającej fortecy. Jak powracający koszmar widziałem inny obraz: stoję na więziennym dziedzińcu i kat zakłada mi pętlę na szyję, a potem słychać cichy trzask czy chrupnięcie. Po technicznej ekspertyzie majstra Vachouszka stało się dla mnie jasne, że ten pierwszy obrazek to wytwór młodzieńczej fantazji, natomiast drugi dość łatwo może się stać rzeczywistością.

Miałem za sobą trzynastoipółgodzinną zmianę. Była za kwadrans ósma, mroźna zimowa noc. Przerazenie gnało mnie aleją Jiráska i nagle pomyślałem o Panu Bogu. Od zawsze miałem do niego szczególny stosunek. Za bardzo nie wierzyłem w jego istnienie, ale też nie byłem pewny, że nie istnieje, więc na wszelki wypadek zabezpieczałem się przez modlitwę. A właściwie to nawet nie tak. Po prostu pod wpływem wielebnego księdza Melouna modlitwa stała się dla mnie naturalną reakcją na stan błogości, pragnienia albo strachu.

Teraz się bałem. Minąłem wejście do naszej kamienicy i smagany porywami wiatru poszedłem dalej w stronę rynku. Z okien kościoła sączyło się słabiutkie światło, bo okna były zaciemnione. O tej porze kościół

już pewnie będzie zamknięty. Ale stanę pod drzwiami i będę się modlił na mrozie i wietrze. Ofiaruję Bogu ten trud, jak nauczał ksiądz Meloun. Podczas modlitwy należy klęczeć! Nie stać czy siedzieć. Klęczeć! Żeby bolały kolana i żebyśmy w ten sposób choć troszkę uświadomili sobie mękę Chrystusa na krzyżu, która była znacznie, nieporównanie, niewyobrażalnie bardziej straszna – mawiał ksiądz Meloun i wodził po nas wzrokiem. Będę więc cierpieć na mrozie i wietrze, wyszeptalem w duchu. Ale cóż, jeśli Pan Bóg zechce, abym z powodu Jego straszliwego cierpienia złożył znacznie większą ofiarę niż zmarznięte uszy? Powieszenie zapewne nie powoduje tylu cierpień co ukrzyżowanie, ale... Znów ścisnęło mnie w żołądku. Ujawnił się strumień świadomości, niezależny od mojej woli, która nie była w stanie odpędzić natrętnych obrazów. Tłum obszarpanych nędzników, których zmuszają, aby sami nieśli krzyż aż na miejsce własnej egzekucji, aż na Golgotę – Miejsce Czaszek, jak nam opowiadał wielebny ksiądz Meloun. A potem na górze, wycieńczeni z wysiłku i przeżycia, muszą się położyć na krzyżu... nie, powalają ich żołnierze i całą mocą przytrzymują, a oni się wyrывают, ale bezskutecznie, kat wbija im gwoździe w nadgarstki i nogi... potem ten ból, kiedy legionieści wznoszą krzyż, a oni na nim bezwładnie zwisają... ach Boże, Jezu Chryste! Po raz pierwszy dotarło do mnie, o jakim to cierpieniu tragicznym głosem mówił ksiądz Meloun. Ojciec nasz, któryś jest w niebie! Sięgnąłem do klamki wrót kościoła, a tu okazało się, że jest jeszcze otwarte! Może Bóg chce mi powiedzieć, że mam otwartą drogę? Wszedłem do środka niesiony euforią pobożności. Na dnie serca czułem jednak małą żarłoczną myszkę wątpliwości. Nocne epifanie nie przyniosły mi zbyt wielkiej ulgi. Doszedłem aż przed ołtarz. W czarnym palcie klęczał tam Uher i się modlił.

Ja też przyklęknąłem. Nie na dywanie, rozciągniętym wzdłuż nawy, ale obok, żeby bardziej cierpieć. Nagle przyszedł mi do głowy pomysł. Był to co prawda tylko kolejny patyczek, jakich się chwyciłem od chwili, kiedy majster Vachouszek przekazał mi straszną wiadomość, ale w tym momencie wydawało mi się, że to doskonałe rozwiązanie, bezpieczna przystań, jedyny możliwy ratunek. Coś znacznie bardziej realnego niż ucieczka do teoretycznych partyzantów w kosteleckich lasach.

Pomysł się narodził, kiedy spojrzałem na Uhera. W gimnazjum był o klasę wyżej ode mnie. Grał w piłkę w kosteleckich juniorach, chodził z Daszą Szafrankową, która go jednak rzuciła, bo dziadek znalazł jej w Pradze bogatego narzeczonego. Po maturze – kiedy ci bez wpływowych stryjków rozpoczęli pracę w fabrykach, a ci ze stryjkami w różnych urzędach – Uher został przyjęty do seminarium w Zielonym Hradcu i potem od czasu do czasu pojawiał się w mieście w księżowskiej koloratce.

Obserwowałem go, jak się modli, ale sam właściwie się nie modliłem, albo tylko chwilami, bo analizowałem w myślach swój pomysł i wszystko wydawało mi się cudownie proste. Wstąpię do seminarium! Na to chyba Niemcy pozwalają? A gdyby wykryto sabotaż, to czy aresztowaliby seminarzystę? Jemu by przecież chyba uwierzyli, że to nie był sabotaż, tylko niezręczność. Pośród fragmentami *Ojciec nasz* pocieszałem się w taki sposób, bo na plecach naprawdę czułem lodowaty pot strachu. Ale czy puszczą mnie z robót przymusowych? Chyba tak. Chyba... przecież musi być jakieś porozumienie w takich sprawach między Niemcami a Stolicą Apostolską... Jak zahipnotyzowany wpatrywałem się w czarne plecy Uhera, w jego czarną głowę, nad którą – ale to chyba mi się wydawało – w bladej poświacie wiecznej lampki przed ołtarzem świeciła aureola.

Po chwili zrobił szeroki znak krzyża i wstał. Też się przeżegnałem i zerwałem się z zimnej posadzki kościoła. W tym miejscu nie wypadało powiedzieć „cześć”. Kiwnąłem więc w jego stronę głową, on mi odpowiedział i obaj ruszyliśmy do wyjścia. Przy drzwiach odwróciliśmy się w stronę ołtarza, zmoczyliśmy palce w wodzie święconej, przyklękaliśmy i jeszcze raz majestatycznie uczyniliśmy znak krzyża. Potem wkroczyliśmy do przedsionka kościoła, gdzie po obu stronach przy obrazach nad klęcznikami płonęły czerwone lampki.

– Oldo – odezwałem się półgłosem. – Mógłbym z tobą chwilę pogadać?

– Jasne. O co chodzi?

W świetle wiecznych lampek ogorzała chłopska twarz Uhera wydawała się czerwona. Z nastroszonym językiem przypominał raczej kukiełkowego diabła niż przyszłego księdza. Nagle zrobiło mi się głupio na myśl, że mam wypowiedzieć swą prośbę, ale nic się już nie dało zrobić.

– Ja... chciałbym... do seminarium...

Zrobił zdziwioną minę. Moja osoba zapewne łączyła mu się głównie z jazzbandem i z dziewczynami. W końcu nic dziwnego, bo też pochodził z Kostelca. Kiedyś jednak również byłem ministrantem – jeśli się nie mylę, po raz ostatni w czwartej klasie, nie licząc jednego zastępstwa w siódmej. Tak czy inaczej to było dawno.

– Ty? – spytał. – A dlaczego?

Nieoczekiwane pytanie nie dodało mi pewności siebie. Pomyślałem jednak, że to też rodzaj cierpienia, ofiara za niewysłowione męki Chrystusa.

– Ja myślę, że... mam... powołanie...

– Ty? – powtórzył zdziwiony. – A co tak nagle?

– Nie wiem. To chyba te czasy. Nagle...

– Ale ty przecież jesteś na robotach?

– Tak, w „meserszmitce”.

– To niestety nie da rady. Będziesz musiał poczekać, aż się skończy wojna. – Patrzył na mnie wciąż tak, jakby nie wierzył własnym uszom. – O ile do tego czasu ci nie minie...

– No a ty tam jesteś!

– To było dwa lata temu. Z twojego rocznika nie puścili nikogo i cały skierowali na roboty.

– Nawet jakby w mojej sprawie interweniowali?

– Kto?

– No, seminarium... albo ksiądz biskup...

Już wiedziałem, że gadam głupstwa. Strach jest jednak mocniejszy niż wola i zdecydowanie mocniejszy niż intelekt. Uher, podobny do drewnianego Belzebuba, patrzył na mnie z zaciekawieniem, a po chwili wydawało mi się, że także z ironią.

– Po pierwsze – odparł – dlaczego ksiądz biskup miałby to robić? Bo ty nagle wpadłeś na taki pomysł? Zaczekaj z tym. Jak wytrwasz w swoim postanowieniu do końca wojny, to nikt się za tobą nie będzie musiał wstawiać...

– Ale ja naprawdę bardzo chcę...

– A po drugie – przerwał mi – masz jakieś strasznie naiwne wyobrażenia o możliwościach księdza biskupa. Wiesz, ilu w jego diecezji jest aresztowanych księży? Trzydziestu siedmiu. W sprawie ich wszystkich ksiądz biskup interweniuje, chodzi na gestapo, przekupuje, ale udało mu się wyciągnąć tylko arcydziekana Szvechlę, wyłącznie dlatego że ma już osiemdziesiąt lat i jest ciężko chory.

Mimo całego strachu wiedziałem już, że z takimi argumentami nie poradzą sobie żadne siły nadprzyrodzone. Patyczek bezpowrotnie ginął wśród wzburzonych wirów. Ale udało mi się jeszcze na chwilę go uchwycić.

– A nie mógłbym przynajmniej wstąpić do klasztoru jako laik. Do jakiegoś zakonu...

– Do jakiego? – spytał ostro Uher.

Było mi to obojętne. Wizja klasztoru nagle wydała mi się jeszcze bezpieczniejsza niż seminarium. Ale jednocześnie gad szczeroci pokazał zęby i oświetlił mi niezbyt zbożny cel, kryjący się za tym zbożnym – że jak minie niebezpieczeństwo, to wtedy wystąpię z tego jakiegoś klasztoru. Zrozumiałem bluźnierczą wiarołomność i straciłem nadzieję.

– Na przykład – odparłem niepewnie – do cystersów.

W całej rozciągłości uświadomiłem sobie absurd takiego pragnienia w piątym roku okupacji. Uher przez chwilę milczał, a potem powiedział:

– Ty masz jakiś problem, prawda?

Niezły *uppercut*.

– Ja? Skąd ci coś takiego...

– Słuchaj, nie jesteś pierwszy, który potrzebuje się schować w klasztorze. Ludzie to robią już prawie dwa tysiące lat.

– Ale to bzdura... – zaprotestowałem niezbyt przekonująco.

– Nie gadaj.

– Naprawdę! Nie mam żadnego problemu. Po prostu... Po prostu chcę zostać księdzem.

– Powiedz prawdę – nalegał Uher. – Jeśli coś będzie można zrobić, bracia cystersi to zrobią. Ale za dużo nie mogą. Gestapo co chwila odwiedza ich klasztor. Oni doskonale wiedzą, że bracia nie tylko się tam modlą. Jednak co się da, to zrobią.

Mam się cofnąć? Przyznać, że jest dokładnie tak, jak mówi? Że mnie przejrzał? Popatrzyłem na jego czarcią twarz, pod którą miał wykrochmaloną, śnieżnobiałą koloratkę. Słowo „gestapo” przeszło mi mózg jak piorun. W tym momencie wszystko zrozumiałem. Jest już za późno. Musiałbym zaraz uciekać do partyzantów, jeszcze tej nocy. Jutro zniszczone krzyżaki dostanie ge-

stapo. A gdyby nawet chcieli mnie wziąć do klasztoru, to przecież trzeba by było złożyć jakieś podanie i czekać na odpowiedź. Znow oblał mnie pot. I zrozumiałem też, że kształt przedmiotu mojego spartaczonego sabotażu jest symboliczny – krzyż. Ale zamiast wykazać się chrześcijańską pokorą (może już jestem w sidłach Szatana?) udawałem wobec seminarzysty gieroja, nawet większego niż wobec Nadii, aż się sam przestraszyłem.

– Całkiem się mylisz. Nie mam żadnych kłopotów, nic z tych rzeczy. Tylko naprawdę chciałbym zostać księdzem. Jak ty – spojrzałem mu w oczy. – Po tobie też jeszcze w ósmej klasie nikt się tego nie spodziewał. A jednak poszedłeś do seminarium.

Chciał coś odpowiedzieć, ale się rozmyślił.

– Ale chyba masz rację. Będzie lepiej, jak poczekam do końca wojny – dodałem po chwili.

Na twarzy czarta znow pojawił się cień ironii, więc szybko dodałem:

– I nie bój się, to mi nie minie. Już prędzej tobie.

Patrzyliśmy na siebie właściwie jak dwaj wrogowie. O mało mnie nie rozszyfrował. Ale faktycznie – właściwie dlaczego on poszedł do seminarium? Z powodu nieszczęśliwej miłości? Przecież z Daszą to nie było aż tak wielkie uczucie.

– Jeśli jest tak, jak mówisz, to w porządku – powiedział. – Ale tak czy inaczej, gdybyś potrzebował jakiejś pomocy, to możesz się do mnie zwrócić. Zrobię, co będę mógł. – Podał mi rękę. – Z Panem Bogiem.

– Cześć – odparłem i szybko się poprawiłem: – Z Bogiem.

Uher otworzył drzwi i zniknął w ciemnej nocy.

Odwrociłem się znow w stronę ołtarza. Po dywanie szedł kościelny z wielkimi kluczami. Chciał już zamykać.

Znów wydało mi się to symboliczne. Bóg zamyka przede mną swój przybytek. Bo przecież właściwie się go wyparłem. Jak Piotr Chrystusa. Zamiast pokornie się przyznać Uherowi, że kłamałem i że jestem w strasznych kłopotach, znów uległem idiotycznej próżności. Co za grzeszna pycha! A potem znów skłamałem, i to jeszcze gorzej. Sam zamknąłem sobie drogę do Boga, a teraz...

Kościelny znacząco potrząsał kluczami. Zadzwończyły jak kości. Szybko klęknąłem i znakiem krzyża dotknąłem czterech miejsc na ciele, jednak nie myślałem przy tym o męczeńskich ranach Chrystusa, lecz o czterech zbyt głębokich nawiertach aluminiowego krzyżaka. Wstałem i jak Judasz wybiegłem ze świątyni.

Na zewnątrz znów chwycił mnie strach niczym gestapowska łapa.

* * *

Pan Senka jest zdenerwowany. Stoi z Santnerową przy stoliku, na którym wydawczyni prezentuje swój towar, trzyma w ręku książkę i pokazuje na nią palcem. Za wydawczynią kuli się jej gruby mąż z nosem czerwonym od whisky. Mała grupka wokół nich z zainteresowaniem słucha pana Senki.

– Proszę mi nie opowiadać takich rzeczy! – mówi pan Senka bardzo głośno. – Niech pani to sobie sama przeczyta, o tutaj, na stronie dziewiętnastej! – macha książką w niebieskiej okładce, na której po błękitnym niebie płyną jakieś cegły i z jednej z nich wyrasta zielone drzewo. – No, proszę! O, to: „Ja strzeliłbym nawet Matce Boskiej w tyłek, żeby tylko uratować swój łeb”. Jak pani nie wstyd drukować takich rzeczy?!

– Przecież nie jestem cenzorem! – kręci Santnerowa ewidentną peruką. Włożyła ją, bo nie zdążyła zrobić sobie ondulacji. Wygląda w niej lepiej niż z własnymi włosami, bo nigdy nie ma na nie czasu. Po piątej whisky

jej mąż skarżył się na to w knajpie Mourków. Również na to, że żona nie ma czasu na inne rzeczy i że praktycznie zajmuje się tylko tymi swoimi książkami. – Autor tak to napisał – broni swego – a ja nie jestem cenzorem, żeby mu coś skreślać!

Santnerowie wyemigrowali po sierpniu 1968 roku, pan Senka – po 1939. Wydawczyni nie domyśla się, że słowo cenzor nie ma dla przedhitlerowskiego pana Senki tego samego bogactwa znaczeniowego. Znałem ją trochę z Pragi. Niemal stała się tam pisarką. Niemal, ponieważ rękopis jej zbyt szczerych opowiadań z panińskiego życia został przez cenzurę zatrzymany jako pornografia. Santnerova wydała to dzieło dopiero na emigracji, a ponieważ dołożyła tam jeszcze opowiadania, których w Pradze w ogóle nie odważyła się włączyć do książki, z całej gminy emigracyjnej nie zgorszyli się tylko emigranci ekonomiczni z lat dwudziestych, bo oni czytali już tylko kalendarze.

Obecnie malutki i łysy pan Senka poczuł się zgorzszony książką, której Santnerova wcale nie napisała, tylko wydała.

– Nie jest pani cenzorem, ale powinna pani być – krzyczy Senka. – To już naprawdę przekracza wszelkie granice!

– Powinien pan to czytać w kontekście – broni się Santnerova w sposób zbyt uczony. – Mówi to przecież członek antyhitlerowskiego ruchu oporu, który się boi, że go złapie gestapo. Kiedy ludzie się boją, nie zwracają uwagi na mocne słowa. Przecież to znana sprawa.

– Ale to jest w książce, moja pani! W książce!!

Tego z kolei nie rozumie Santnerova. Jej słowo „książka” nie kojarzy się z cennym sprzętem domowym, który człowiek bierze do ręki tylko od wielkiego dzwonu, z wyjątkiem dawnych lat, kiedy w szkole musiał często brać do ręki czytanki. Mąż pochyla się nad nią i szepcze:

– Betty, nie kłóć się! – ale ją prowokuje to tylko do większej fachowości:

– Nic na to nie poradzę, że w kontekście jest to funkcjonalne. W takich sytuacjach ludzie tak mówią!

– Ale nie mówią tak w KSIĄŻKACH!!

Oboje częściowo mają rację, każde zgodnie ze swym doświadczeniem. Do stołu podchodzi facet z pomarszczoną twarzą. Na rękawie ma opaskę organizatora. Sięga po książkę i kartkuje, szukając strony dziewiętnastej. Młodzik w dwurzędowej marynarce bierze w obronę Santnerovą:

– Pani wydawczyni ma rację, panie Senka. Niech pan na przykład weźmie *Szwejka*. Tam przecież też są takie wyrazy.

Pan Senka garbi się i spogląda na apologetę spod okularów. Potem unosi palce:

– Tak, ale to jest SZWEJK!

– I co z tego – protestuje młodzian. Jest z demokratycznej opozycji, wyemigrował po sierpniu 1968. – Skoro wolno było Haškowi, to dlaczego nie ma być wolno temu... – stara się przeczytać nazwisko autora – ...Janowi Drobkowi. Drabkowi.

Pan Senka błyskawicznie podsuwa palec aż pod brodę młodzieńca, więc ten odruchowo się cofa.

– A jak by się panu podobało, gdyby ktoś napisał: „Ja strzeliłbym nawet panu prezydentowi Masarykowi w tyłek”? Jak by się panu podobało takie coś?

– Przecież to z tym nie ma nic wspólnego! Ja tylko powiedziałem, że skoro Hašek miał prawo, to dlaczego nie Jan Drabek...

Santnerova trzęsie się ze wściekłości, albo może z żalu. Jej oczy podejrzanie lśnią. Kiedy mąż Santnerovej urznął się u Mourków, opowiadał, że jego żona jest jak Dickens: książki są jej dziećmi, ale w odróżnieniu od Dickensa, każde ma z kim innym. W tej właśnie

chwili wydawczyni w przyptywie macierzyńskiej miłości popęła kolejne faux pas.

– Więc proszę posłuchać. Gdyby ktoś napisał, że strzeliłby Masarykowi w tyłek, a w kontekście książki byłoby to funkcjonalne, to nie można by mieć przeciwko temu żadnych, ale to żadnych zastrzeżeń!

– Co takiego? – pod panem Senką najwyraźniej uginają się kolana.

– Ależ Betty! – mówi cicho małżonek.

Pan Senka czerwienieje, otwiera szeroko usta, więc czekam na indiański okrzyk. Lecz mały człowieczek, o dziwo, odzywa się płacliwym głosem.

– Czemu nam pani to robi? Nasza emigracja jest już i tak dostatecznie podzielona... a pani jeszcze wbija między nas klin! Zamiast się z nami zjednoczyć, to pani... pani... – wydaje się, jakby naprawdę płakał.

– No widzisz, Betty! – szepcze mąż.

– Pan nie zrozumiał tej pani – zabiera znów głos młodzian. – Jej nie chodziło o to, że komuś wolno byłoby obrażać prezydenta Masaryka...

– A o co jej chodziło? – załkał pan Senka. – Pana prezydenta Masaryka! W tyłek! Ja, mój panie, jestem człowiekiem liberalnym. Ale ja nigdy, jak się nazywam Petr Senka... – słowa toną w płaczu, przez co nazwisko brzmi jak „piosenka” – ...żeby ktoś... żeby pana prezydenta Masaryka...

– Przecież pan to powiedział pierwszy – nie poddaje się młodzian. – To znaczy, dał pan to jako przykład.

Pana Senkę zawodzi jednak pamięć.

– Ja? Proszę mnie nie obrażać, mój panie! Jak żyję, coś takiego nie przeszłoby mi przez usta! Kopnąć... pana prezydenta...

Rozlega się jakieś klaśnięcie. To facet z opaską organizatora energicznie zatrząskuje książkę, uderza nią o stół i mówi:

– Więc pani Santnerova, tego pani tu sprzedawać nie będzie! Ja na to nie pozwolę! Takie komunistyczne świństwo. Książki, proszę bardzo! Ale tylko takie książki, których – jak słusznie zauważył kolega Senka – nie wahałby się umieścić w swojej bibliotece pan prezydent Masaryk! Proszę to zapakować do kartonów i wynieść!

Tym razem czerwienieje dla odmiany Santnerova. Mąż, który już posłusznie zaczął składać książki do pudeł, dostaje – wcale nie symbolicznie – po łapach, a wydawczyni wybucha:

– Co pan! Przecież sam mi pan pozwolił!

– Ale ja sądziłem, że pani sprzedaje porządną literaturę! Nie komunistyczną propagandę!

Santnerova unosi książkę, którą organizator rzucił na stół, i macha nią nad głową. W pierwszej chwili odnoszę wrażenie, że zdzielił ją faceta po głowie.

– Komunistyczną propagandę!?! Czy pan wie, kto to napisał, panie Baur? Człowiek, który uciekł przed komunizmem w czterdziestym ósmym! To jest powieść antybolszewicka! Gdyby się pan pofatygował i kupił coś od nas, a na dodatek to przeczytał...

– Ja kupuję tylko książki, które nadają się do czytania nawet przy jedzeniu, moja pani!

– To nie jest żaden literacki... tego... żadna literacka kategoria – śpieszy Santnerovej z pomocą młody demokracja.

Organizator uśmiecha się jednak złośliwie.

– Daruje pan... jeśli to robią komuniści, to proszę bardzo. Po nich można się spodziewać takich książek. – Santnerova, oskarżona w Pradze o pornografię, chce go pouczyć, że mija się z prawdą, ale traci głos ze zdenerwowania. – Po nich można się spodziewać wszystkiego – kontynuuje facet. – Ale żeby w książce wydanej na emigracji obrażać pana prezydenta Masaryka...

– Przecież tam nie ma nic o Masaryku – jęczy wydawczyni drżącym głosem. – To ten pan go tu zaplątał – wskazuje na pana Senkę, który trzyma się ręką za serce. – Tam jest tylko o Marii Pannie...

– A czy to nie to samo? – wtrąca się dama w futrze z norek, która do tej pory milczała. – Obraza uczuć religijnych to jest to samo co obraza uczuć narodowych!

– Betty, kochanie! – szepcze mąż.

– Przecież nikt tu nie obraża niczyich uczuć! – krzyczy Santnerova. Jej mąż podejmuje nową próbę spełnienia rozkazu organizatora, ale znów dostaje po łapach. – Pani kochana, czy pani nie rozumie, co jest funkcjonalne w literaturze?

– Nie rozumiem i nie chcę rozumieć! – odpowiada dama w futrze. – Słowo Masaryk jest dla mnie tak samo święte jak słowa Maria Panna.

– Proszę pani – odzywa się znów demokrat – ale w tej książce o Masaryku pisze się pozytywnie. – Szybko kartkuje książkę. – Ja tego tak na poczekaniu nie znajdę, ale jest tam o nim pozytywnie. To znaczy, chciałem powiedzieć, że mówi się tam o nim z uznaniem. Ojciec tego głównego bohatera...

– Oczywiście, że mówi się dobrze! – wścieka się Santnerova. – Tylko że wy o tym nic nie wiecie, bo niczego nie czytacie, a już najmniej Masaryka! Dla was literatura czeska kończy się na Bożenie Němcovej!

Niewątpliwie ma niezwykły dar popełniania faux pas. Nie rozumie, że damie w futrze, panu Sence i organizatorowi Božena Němcová nie kojarzy się z nazwiskiem stalinowskiego ministra kultury Zdeňka Nejedlego.

– W odróżnieniu od was my swoich klasyków szanujemy – ciągnie z kobiecym uporem dama. – Niestety, pani wybaczy, wy jesteście skażeni wychowaniem komunistycznym. Może to nie wasza wina, ale taka jest smutna prawda. Dla nas na przykład język ojczysty jest

święty. A co z czeszczyzną robią pani autorzy? Uratować swój łeb! Fu! – mówi ze wstrętem. – Aż się wstydzę to powtarzać!

– Trochę nas pani nie docenia – przyłącza się do damy jej mąż w delikatnej skórzanej marynarce. – My czytamy również dobrą literaturę współczesną. Moja żona ma rację. Weźmy na przykład czeszczyznę takiego Čapka albo Vančury...

– Vančura był komuch! – warczy gniewnie młody demokrat.

– No... – pan w cielęcym płaszczyku traci nagle pewność siebie, ale szybko sprowadza dyskusję na neutralny grunt. – No, gdyby nawet... Przecież nie o to chodzi. W końcu zamordowali go Niemcy.

– A męża tej autorki dla odmiany powiesili komuniści. – Santnerova podnosi ze stołu inną książkę. – Czytał pan to?

– Betty – znów szepcze małżonek.

– No... chętnie sobie przeczytam – odpowiada pan.

– To niech pan ją kupi! Proszę! Cztery dolce!

– No zaraz, droga pani – śmieje się nerwowo. – Niech mnie pani nie łapie za słowa...

– Dlaczego nie? Powiedział pan, że chętnie pan przeczyta, więc jest okazja!

– No ale...

– Ale pan woli to sobie pożyczyć od bezrobotnego stryjka, co? Albo ukradnie pan z biblioteki publicznej?

– Betty, na Boga!

– Ciągle zamawiają u nas nowe książki, bo ktoś im je stale kradnie. A z pewnością nie kradną ich Kanaadyjczycy!

– Betty, milcz!

Okrzyk ten rozlega się jednak za późno, a prócz tego mąż Santnerovej nie wygląda na pana domu.

– Wypraszam sobie takie impertynencje! – prawi ostro pan w cielej skórcie. – Staralem się pani po prostu wyjaśnić, że dobrzy pisarze, czy to klasyczni, czy współcześni, *never mind*, szanowali nasz język ojczysty i nie pisali o rzeczach, które nie powinny się znaleźć w książkach. A skoro chce pani porównywać tego Drabka z takim... takim... – szuka w pamięci, ale prócz komucha Vančury nie utkwilo mu tam zbyt wiele nazwisk czeskich pisarzy – ...takim na przykład Karelem Hynkiem Machą, który czegoś takiego, co nam tu pani cytowała o Marii Pannie, nigdy by...

– A zna pan dziennik Machy? – przerywa mu gwałtownie Santnerova. Pan traci rezon. Zapewne nie ma żadnych informacji na temat dziennika Machy, bo znów przybiera neutralną postawę.

– No, dobrze. I co z tego?

– Słyszał pan, że tam pisze, jak... – Santnerova też się chwilę waha, ale jest już zbyt rozpędzona – ...jak spółkuje ze służącą...

– Betty! Błagam cię!

– ...od tyłu?

– Niech nam pani nie rozbija emigracji!

Okrzyk pana Senki zbiega się z paniką całego zgromadzenia. Amoralność wydawczyni zaparła wszystkim dech w piersiach i zmusiła do ucieczki. Odeszli niemal wszyscy, z wyjątkiem młodego demokrata, który pyta:

– Poważnie?

Mąż już obydwojma rękami wrzuca książki do pudeł. Organizator nabiera powietrza i ryczy:

– Dość tego! Proszę zabierać swoje manatki i zamknąć drzwi z drugiej strony!

– Pan mnie nie będzie wyrzucał – odpowiada krzykiem Santnerova. – Ja tu kupiłam bilet!

Mąż z pudłami w obu rękach zdąży już do drzwi, żeby je zamknąć z drugiej strony.

– Moja pani, ja, jako organizator, odpowiadam za spokojny i godny przebieg wieczoru! Pieniądze zostaną pani zwrócone, ale zabraniam pani dalszego przebywania w naszym towarzystwie!

– Chodź, Bożenko! – woła rozpaczliwie mąż, stojący już w drzwiach. O dziwo wydawczynie uspokaja się.

– No, dobra jest – krzywi się ironicznie. – A zresztą, wiecie, wy patrioci, za ile tu sprzedawałam czeskiej literatury? Za osiem dolców! Cześć, bawcie się dobrze!

Zwraca się z takim pożegnaniem do organizatora i prowokacyjnie wypina w jego stronę tę część ciała, która, nazwana w książce, wywołała całą dyskusję, a potem w eleganckim, choć nieuprasowanym komplecie z aksamitu dumnie opuszcza salę.

* * *

Drogi Danielu,

W pierwszych słowach mojego listu pszyjmij serdeczne pozdrowienia często o tobie myślę. Piszę do ciebie bo moja curka Suleika ma dziś piersze urodziny jest urodzona na dzień Zwycienstfa to zabiliśmy barana. Bo pszyjechali krewniaki asz z Szarisza a z Kostelca pszyjechał tesz brat Olda ze swoim żonom Litewkom. Brat Olda jest tera fabrykant jego rzona jest inżynierka dostali pożyczke od banku i załorzyli fabryke wyrobu sfetruw jusz nawet wystawiali na Praskich Targach. Pszyjechali własnym autem marki doge, co go brat kupił od amerykańskiej armii.

Curka Suleika była jusz do mnie podobna na pierszej rocznicy ślóbu, kturom tesz obchodziliśmy i zabiliśmy indyka bo to było 6 grudnia i na Mikołaja ta podoba nie była jeszcze taka wielka jak tera. Nos ma jak ja jak to sie muwi nohala tylko oczy ma dalej od siebie a ja mam bliżej i ma piwne a ja niebieskie ale ona ma oczy po matce ktura ma je czarne.

Ja sie czuje znacznie lepi bo tu jest wiejskie jedzenie i świeższe powietsze na razie tylko troche pomagam ale pan dochtor

muwił że na rzniwa to jusz bede muk robić normalnie. Ras na tydzień pieke chlepi i tesz karmie i drup oporzadzam Konie bo mamy cztery i tesz dwanaście kruf nie licząc młodych a świnią miała dwanaście małych. Jedną zabijemy na dorzynki bo jusz będzie miała ze sto kilo. Jestem bardzo szczęśliwy w małurzeństwie i wszystko sie dobrze udało chociaż wcześniej mojej żony nie znałem i widziałem jom pierwszy ras dzień pszed słóbem. To jest jedyna curka i jak starzy rodzice przejdą na spoczynek to ja bede sam gazdował. Daniel kto by to powiedział, że kiedyś będzie ze mnie rolnik i piekasz? To jest moja daleka kózynka, ale pan dochtor muwił, że daleki krewny nie pszeszkadza i dzieci nie bedom zde generowane. Po Suleice to widać jest zdrowa i porut miała łatfy ledwo pszyszła baba pomagać to ona jusz sie urodziła. Jest bardzo ładna włosy ma jak cygan chyba po dziatku bo moja żona jest blondynka a ja jestem rudy. Nazywa sie Suleika to pewnie sobie myślisz co to za dziwne imie bo ono jest dziwne. Ale to jest po gruzińsku i tesz jest w tej piosence co się ją wszendzie śpiewa. Mojej rzone sie tak podobało to imie ze nie dała sobie powiedzieć i curka musiała się nazywać Suleika chociaż to jest dziwne imie gruzińskie. Ale rzeby tylko była zdrowa bo jedynie sie boje żeby po mnie nie była słaba w płócach. Do kina chodzimy ras na tydzień do miasta widzieliśmy Zaśnierzony romas to było ładne z Sonią Hynie i rosyjski film Groźny Iwan to nie było takie ładne ale tesz ciekawe. Na koniec mojego listu pszyjmij serdeczne pozdrowienia często o tobie myślę.

Tfuj stary pszyjacieli

Lojza

* * *

Tęsknie szumi Niagara
szumi we dnie i w nocy...

– śpiewa chór mieszany, ubrany w dżinsy i sombrero, przy akompaniamencie gitary i bandzo. Organizator odło-

żył swoją opaskę i od razu stał się bardziej ludzki. Śpiewa drugim głosem, wysokim tenorem. Młodzian-demokrata bez marynarki i koszuli w kratkę brzdąka na przemian trzy akordy, ma zamknięte oczy i błogi wyraz twarzy.

...rzewnie tka ma gitara

już nie zaznam pomocy...

Siedzę obok Margitki na rogu stołu, bo Margitka mocno trzyma za rękę swojego męża na wózku inwalidzkim. Koła wózka są zablokowane przez dwie książki z kolorowymi okładkami. Dzisiejszy utarg Santnerova zawdzięcza zapewne kalece. Przypominam sobie, że Margitka musi mężowi czytać na głos, bo kulka, która drasnęła czaszkę, uszkodziła mu nerw wzrokowy, więc on prawie nie widzi. Druga kulka przeszła kręgosłup i sparaliżowała nogi. Wpatruję się w szlachetny profil Margitki, podobny do najlepszych rzeźb maryjnych z okresu gotyku. Mam ochotę położyć rękę na jej udzie, mąż w końcu ma krótki wzrok, ale z drugiej strony siedzi dama w norkach. Opanowuję swe żądze. Z tyłu słyszę angielski szept: to Veronika tłumaczy Percy'emu na angielski czeskie hity country&western.

Strumień wody w przepaść

spada

cud dziewczyna pod nim

pływa

Szkoda że to tylko

zjawia...

– *What a pity I can't embrace that beautiful delusion* – tłumaczy Veronika smutnym głosem. Dalej już nie pod słuchuję, bo za bardzo ciekawi mnie występ na scenie. Opowiadała mi o tym później, zbyt późno, tego wieczoru, kiedy niczego nie rozumiałem i niczego nie zrobiłem. Powiedziała Percivalowi, że na spotkaniu drużyn trampów z Ontario usłyszy współczesny czeski folklor, więc Percy pojawił się w garniturze od Saksa z Piątej

Avenue w oczekiwaniu, że usłyszy elektroniczne cymbały. Tymczasem usłyszał ozembuch sporządzony z laski, którym pan Szestak dynamicznie akcentował finał songu i piorunującym basem utrzymywał jednocześnie wszystkich śpiewaków we właściwej tonacji.

Więc Percy powiedział:

– Wyobrażałem sobie coś innego, kiedy powiedziałeś, że to będzie folklor.

– Bo ty, kochany, masz w głowie wyobrażenia z dziewiętnastego wieku – odparła Veronika. W oczach niczym ze szkła miała cudowną jesień i wpatrywała się rozmazana w grupkę osób na scenie, wyelegantowaną dzięki Army Surplus Store z Yonge Street. – To jest właśnie folklor. Chyba jedyny, jaki istnieje za żelazną kurtyną. Niagara i dzikie gęsi, łososie i Góry Skaliste. – Umilkła na chwilę. – Czy ty w ogóle słyszałeś kiedyś o żelaznej kurtynie?

– To jest całkiem powszechnie znana metafora – stwierdził Percy. – Czy nie wymyślił jej Churchill? Z pewnością to był jakiś zimnowojenny polityk.

– Na pewno nie Churchill. Nie wiem, kto ją wymyślił. Może jakiś inżynier w Moskwie albo w Pradze. To jest metafora skonstruowana z drutu kolczastego i pułapek na ludzi.

– *No kidding!* – powiedział Percy. – *I always thought it was a way of speaking...*

Wziął dziewczynę za rękę, zawstydził się i postanowił, że musi sobie o tym poczytać. Kto o tych sprawach pisał? Orwell? To możliwe. Ale czy nie mówili na kursach, na które w swych chaotycznych studenckich latach czasem uczęszczał, że *Nineteen Eighty Four* to satyra na Amerykę? Chyba z czasów McCarthy'ego? Nie wiedział dokładnie. Percy właściwie niczego nie wiedział dokładnie. Na BA to nie było potrzebne.

Na zachód jest droga daleka,

I wiele pułapek tam czeka...

– Piosenka o drodze na Zachód – przetłumaczyła mu dziewczyna.

– Dlaczego nie nauczą się jakiegoś prawdziwego country&western, skoro już tu są? – spytał. Dziewczyna wzruszyła ramionami, a on mechanicznie ciągnął dalej: – Może amerykańska rzeczywistość nie jest zbyt podobna do ich marzeń?

– Rzeczywistość jest zawsze różna od marzeń – odparła Veronika. – A poza tym marzenie to jest teraz Czechosłowacja.

– To dlaczego nie śpiewają piosenek o Czechosłowacji, skoro...

Uwolniła rękę z dłoni Percy'ego, wyciągnęła chusteczkę i głośno zatępiła, akurat w tym momencie, gdy pan Szestak mocniej stuknął ozembuchem.

– Bo to jest to najlepsze, co pamiętają z Czechosłowacji.

Ludzki organizator, demokratyczny młodzieniec w koszuli w kratkę, dwie dziewczyny w sombreroach i dżinsowych spódnicach, dwaj gitarzyści i jeden muzyk grający na bandžo oraz pan Szestak ze zmyślnie skonstruowanym ozembuchem śpiewali:

*Zachód mnie wzywa i spać już nie mogę,
Więc zaraz wyruszam w daleką drogę...*

Ozembuch stuka o deski podium, wspaniały bas jak grom, a reszta nuci w tle, jak wiatr nad przepiękną prerią:

*Trawą już droga dawno zarosła,
Lecz na mnie wciąż czeka ma miła...*

* * *

– Nie przyszedł dzisiaj na zmianę – powiedział majster Vachousek.

– Dlaczego?

– Za dużo ode mnie oczekujesz. Zdaniem Ballona pojechał służbowo do Hradca. Służbowo, rozumiesz?

– C...co to znaczy?

Majster stukał miarką o blat stołu.

– Albo nic, albo aferę. W Hradcu jest warsztat montażowy. Te części, które tu fuszerujemy, tam skręcają w całość, aż powstaje z nich meserszmit sto dziewięć ef.

Przerażenie trzymało mnie już od kilku dni i wcale się nie zmniejszało. Przy słowie „meserszmit” zaczęła mi pulsować żyłka w głowie.

– Tam są też próbne strzelania, rozumiesz, student? – przestał stukać i spojrzał mi z powagą prosto w oczy. Rozboliła mnie potylicca.

– Co... co mamy robić? – spytałem jak przygłup.

– Nie da się nic innego robić, tylko dalej ćwiczyć jazdę figurową na lodzie. I trzeba mieć nadzieję, że nie stracimy równowagi – odparł majster. – Chłopaki w spawalni dalej będą naprawiać tę twoją kretyńską dzieciadę, jakby się nic nie stało. Aha, no, jeszcze możemy się modlić.

Milczałem. Majster westchnął.

– Spadaj, palancie.

Nadia przywitała mnie z szeroko otwartymi oczami. Oznajmiłem jej, że Uippelt nie przyszedł na szychotę i pojechał do Hradca.

– To chyba dobrze, nie? – spytała. Wytłumaczyłem jej ponuro, że najbliższe gestapo jest właśnie w Hradcu.

Od tej chwili była cicha jak myszka. Po raz pierwszy od czasu, gdy Vachousek przyszedł na wiertarki i ja po raz pierwszy dłużej na nią popatrzyłem. W ciągu tych kilku dni jakoś schudła, o ile w jej przypadku było to w ogóle możliwe. Zawyła syrena. Zupełnie zapomniałem, że jest już niemal po robocie, chociaż zawsze czekałem na syrenę jak na wyzwolenie.

Nadia wyłączyła wiertarkę i podeszła do mnie.

– Daniel, powinienes jednak... dopóki jest jeszcze czas...

– Co?

– Mógłbyś się schować u nas na strychu. Wojna już nie może zbyt długo potrwać...

Pokręciłem przecząco głową.

– Fajna jesteś, Nadia, ale u ciebie nie mogę się schować. Ktoś mógłby na to wpaść, że dwa i dwa to cztery...

– Jak to, dwa i dwa?

– No, po prostu...

Umilkła, a po chwili spytała rzeczowo:

– Myślisz, że nas ktoś szpiegował w komórce?

– Wie o tym Nosek. On co prawda milczy, ale może się upić i gdzieś wygadać albo co...

– No, to cię wezmę do stryjka do Vrchovin. On tam ma młyn, to jest dobra skrytka...

Rzeczywistość wciąż jeszcze nie chwyciła mnie za gardło na tyle, żebym zwalczył strach tak radykalnym działaniem. A w dodatku znów się we mnie obudził gieroj.

– Nie, Nadia. Nie mogę w to wplątywać jeszcze twojej rodziny. Ja mam się gdzie ukryć.

– Tutaj, w mieście?

– Nie. Pamiętasz ten magazyn? Koledzy. Z nimi mnie nikt nie skojarzy, bo spotykamy się tajnie.

Wzmianka o najbardziej bohaterskim czynie w Kostelcu, który kosztował już wolność pięćdziesięciu ludzi, znów napęłniła Nadię szacunkiem.

– Aha, to co innego! – zawiązywała sobie chustkę.

– Ale Daniel, dasz mi znać, prawda? Nie, gdzie jesteś, bo lepiej, żeby wiedziało o tym jak najmniej ludzi. Ale że jesteś bezpieczny. Prawda, Daniel?

Składała się już tylko z pary pałających czarnych oczu i białej skóry.

– Ja bym... gdybym mogła... – rozejrzała się wokoło. Zostaliśmy już sami. – Muszę już lecieć. Franta na mnie czeka przed bramą.

Nagle odwróciła się w moją stronę i mnie pocałowała.

– I tak jesteś dla mnie zuch, Daniel! Chociaż nam się nie udało!

Odwróciła się i popędziła do wyjścia. Wielkie buciorry stukały na betonie. Biegła jak facet albo jak wiejska dziewczyna.

Szybko narzuciłem palto i poszedłem do Skoczdo-
polów.

Przemy nie było w domu. W kuchni siedział pan Skoczdo-
pole przy radiu, które nadawało komunikat Oberkommando der Wehrmacht. Jak zobaczył, że to ja, wyjął z kieszonki gałkę, osadził ją na właściwym miej-
scu i przestawił na BBC. Wszystko robił jedną ręką; z drugiej został mu tylko kikut, ubrany w szarą mę-
ską skarpetę.

– Siadaj – kikutem wskazał mi krzesło. Twarz miał ca-
łą czerwoną, a nos jak burak o kształcie ogórka. Źródło
tego zabarwienia stało na stole w butelce, a pan Skocz-
dopole gościnnie powiedział: – Napij się.

Była to domowa śliwowica z morawskiego sadu je-
go brata, który był co prawda młodszy od pana Skocz-
dopole, ale nie stracił ręki na wojnie, więc odziedziczył
gospodarkę. O pana Skoczdo-
pole postarało się pań-
stwo. Dostał magazyn wyrobów tytoniowych, a z pracy
na gospodarstwie pozostała mu tylko ta domowa śli-
wowica. Na nieszczęście było jej zawsze dużo i dlatego
jednoręki legionista tak zakwitł na twarzy.

Patrzyłem na jego nos, barwą przypominający bu-
rak, a kształtem – ogórek. Nie byłem przyzwyczajony
do picia, a już na pewno nie dziewięćdziesięciopię-
cioprocentowej śliwowicy. Już pierwszy kieliszek tro-
chę mnie oszołomił, a kiedy nieposłuszne oczy usiłowa-
łem zwrócić w stronę legionisty, przez myśl przebiegła
mi pewna alkoholowa historia. Opowiadał mi ją Prze-
ma, o ile oczywiście nie zmyślał. Jego zdaniem – a kie-
dy mi to opowiadał, sam był też zalkoholizowany wi-

nem jabłkowym – do zabarwienia skóry jego ojca przyczynił się też wróżbita Brych. Co prawda decyzją władz Rzeszy stracił koncesję – władze obawiały się bowiem wpływu wróżb na moralność publiczną – ale dalej wykonywał swój fach, tyle że na lewo. Był to litościwy człowiek, też sporo pił, a kiedy Niemcy swoją decyzją uczynili z niego żebraka, często zdarzało mu się wróżyć, gdy był w sztok pijany. Pan Skoczdo pole od lat należał do jego wiernych klientów: ponoć Brych nawet wywróżył mu panią Skoczdo polową, a to w taki sposób, że odpowiedzi, które ten dostał na ogłoszenie („Legionista-inwalida [ręka] szuka przystojnej kobiety do 35 lat”), układał na szklanej kuli i patrzył przez nie. Pani Skoczdo polowa pochodziła z rodziny obdarzonej jedenastoma córkami. Wszystkie były ładne, sześć z nich wydało się do Ameryki, jedna do Anglii, a trzy do Austrii. Ona była najmłodsza i najładniejsza. Matka nie chciała, żeby ostatnia z córek również wyjechała za granicę, więc sama odpowiedziała na ogłoszenie, a pan Brych za pomocą kuli odgadł charakter proponowanej panny i wywróżył, że jest posłuszna. Pod tym względem się nie mylił. Pani Skoczdo polowa, jak pamięć sięga, była nie tylko najpiękniejszą panną w mieście, ale też najbardziej posłuszną. Bez sprzeciwu wzięła sobie za męża inwalidę i zmieniła się w żonę jak z obrazka. Pan Skoczdo pole, całkowicie zadowolony z małżeństwa skojarzonego dzięki wróżbie, z wdzięczności dawał sobie wróżyć co roku, zawsze w rocznicę ślubu. A ponieważ od wesela już nigdy nic szczególnego go nie spotkało i wróżby miały charakter bardzo ogólny, wydawało się, że zawsze się spełniają, i dlatego wiara pana Skoczdo pole w kulę Brycha nieproporcjonalnie rosła.

Niestety potem wróżbicie odebrano koncesję, akurat na kilka dni przed kolejną rocznicą ślubu, więc kiedy pan Skoczdo pole zgłosił się po doroczną wróżbę, pi-

jany Brych ze wściekłości na Niemców wyróżył mu śmierć w rodzinie. Legionistę to przeraziło. Po latach spokojnych wróżb nie był przygotowany na coś takiego. I tak się przestraszył, że podskoczył, zahaczył guzikami o obrus i ściągnął go na ziemię razem z kulą. Stała się co prawda jeszcze przytrzymać ją kikutem, ale nadał jej tylko większą prędkość, więc przeleciała nad głową Brycha i roztrzaskała się o miedziane dekoracje na ścianie. Rozżalony Brych mściwie dodał jeszcze, że śmierć przyjdzie po głowę rodziny i że w tym roku pan Skoczdopole nie doczeka już dojrzałych śliwek.

Było to w styczniu. Ponieważ pan Skoczdopole nie miał powodu nie wierzyć wróżbicie, zaczął się przygotowywać na śmierć. Nie po chrześcijańsku, ale w taki sposób, że postanowił jeszcze sobie użyć życia. Przez wiele lat szczęśliwego małżeństwa z piękną i pod każdym względem posłuszną kobietą był już jednak tak usatkwony, że używanie życia potrafił sobie wyobrazić jedynie pod postacią flaszki. Tego roku, niezależnie od normalnej dostawy, brat za grube pieniądze musiał wykupić wszystkie zasoby śliwowicy w swojej wsi i pan Skoczdopole jął praktykować hedonizm. Zakwitł, zmienił się w sad rajszych jabłek, a kiedy zaczęły dojrzewać śliwki, zabrali go do szpitala, bo na rynku zatrzymała go policja, kiedy galopem obiegał kościół i krzyczał, że goni go stado białych dzików.

Potem leżał w szpitalu, śliwki opadały, zamiast alkoholu dostawał zastrzyki, spadł śnieg i pan Skoczdopole zorientował się, że proroctwo się nie spełniło. Ze szpitala wypuścili go na Mikołaja, na wszelki wypadek pił jeszcze do sylwestra, ale i tak nie umarł. W styczniu, przed kolejną rocznicą, ukradkiem wybrał się do Brycha dręczony obawami, że ten przed rokiem pomylił datę. Wróżbity nie było jednak w domu, a nowy lokator powiedział legionście, że jesienią Brych został

aresztowany i zastrzelony. Dobra żona po prostu zataiła to przed mężem. Pan Skoczdopole się uspokoił, bo doszedł do wniosku, że wróżbita nie pomylił daty, tylko osobę. Od tego czasu pił już tylko czasami, żeby utrzymać jasność umysłu.

W radiu mówili, że Armia Czerwona zdobyła jakieś miasto w Polsce, a Amerykanie cofnęli się przed niemiecką ofensywą w Ardenach.

– To łązęgi – skomentował pan Skoczdopole. – Oni się tam z nimi cackają, a my tu do wiosny będziemy mieć bolszewików. – Zerknął na mnie mocno zaczerwienionymi oczami i kiwnął kikutem. – No, napij się!

Prawie nigdy wcześniej nie piłem. Tylko parę razy szampana na sylwestra i raz rum na dacy u Rostii, kiedy próbowałem uwieść Marię. Wtedy się upiłem, ale to było wszystko. Jednak tym razem miałem potwornego pietra i już jedną śliwownicę w sobie, więc ochoczo chwyciłem kieliszek.

– Na zdrowie!

Pan Skoczdopole też powtórzył ten paradoksalny toast i wlał w siebie zawartość kieliszka, a ja poszedłem w jego ślady. Moja sytuacja od razu zaczęła mi się wydawać prosta, bohaterska śmierć – pożądana, a w chudej Nadii ujrzałem najbardziej wyrośniętą maewestkę na świecie. I bardzo mnie zainteresowała wojskowo-strategiczna koncepcja legionisty.

– Pan myśli, że nas wyzwolą Ruscy? – spytałem.

– Co ty gadasz? Jakie wyzwolą? – odparł jednoręki bohater. – Wpadniemy z deszczu pod rynnę. A te amerykańskie jełopy przestępują z nogi na nogę, jak w osiemnastym roku w Rosji.

W radiu powiedzieli, że teraz będzie komentarz wojskowy, więc pan Skoczdopole je wyłączył.

– Napij się! – powiedział oschle. – Jak myślisz, co będzie, jak przyjdą bolszewicy? Hitler, zamiast się rozło-

żyć, daje w kość Amerykanom. Twoim zdaniem kto teraz zatrzyma bolszewika?

– No tak. Oni są dobrzy. Znaczą jako żołnierze.

Pan Skoczdo pole machnął kiutem.

– Jacy tam dobrzy! Dużo ich jest. Napij się, chłopcze! Ale Niemcy to mają za to, że w siedemnastym roku podpisali z nimi pokój. A nawet nie tylko pokój! Oni wraz z nimi walczyli przeciw demokratycznym władzom Rosji! Gdyby nie Niemcy i inni durnie, to dziś nie byłoby żadnych bolszewików. Ani nazistów. Napij się!

Napiłem się. Strach zginął bez śladu. Miałem wrażenie, że stoję na progu wielkich odkryć historycznych. O bolszewikach wiedziałem tylko tyle, że ojciec się ich obawia. I że zamordowali Polaków w Katyniu. Ale to drugie twierdzili Niemcy, więc nie całkiem można im było wierzyć.

– Naprawdę Niemcy walczyli wspólnie z nimi, panie Skoczdo pole? Przeciwno wam?

– Oczywiście, chłopcze! Sam ich rozstrzeliwałem. Napij się!

Rzeczowa wypowiedź legionisty na chwilę zneutralizowała lecznicze działanie śliwownicy. Dlatego musiałem natychmiast łyknąć nową dawkę.

– Kogo pan tego... Bolszewików?

– No, bolszewików. Tyle że nie rosyjskich. Rusczy byli u siebie i walczyli przeciwko nam. Byli wrogami, to prawda, ale nie zdrajcami. Ja rozstrzeliwałem naszych ludzi. Byli początkowo jeńcami wojennymi, tak jak my, a potem zamiast walczyć za naszą sprawę dali się namówić na bratobójczą wojnę. Zobacz! – uniósł w górę swój kikut w skarpecie. – I pij, żebyś cię nie musiał poganiać!

Napiłem się. Do dna.

– Stracił ją pan w walce? – spytałem z szacunkiem.

– W wyniku walki – odparł pan Skoczdo pole. – Pod Pemzą. Poharatał mi ją bagnetem taki jeden bydlak. Pospiszil. Przypadkiem go znałem. Byliśmy w jednej marszkompanii jeszcze w armii austriackiej i razem przeszliśmy na drugą stronę. Ale on był jeden z pierwszych, którzy przyłączyli się do bolszewików. Jeszcze przychodził do nas do obozu agitować. Dlatego tak się bił jak lew. Wiedział, że nie uniknie śmierci, łajdak. Napij się!

Hasło „Napij się” w tym czasie zmieniło się już w znak interpunkcyjny i pan Skoczdo pole mówił krótkimi akapitami. Zaczął też trochę pływać we mgle i był jak nieociosana islandzka skała wapienna.

– Walczyli jak lwy – stwierdził. – Cała Pemza była już w naszych rękach, tylko jeszcze ze dwustu czeskich zdrajców broniło się w środku miasta. Ta dzielnica nazywała się Akropolis. Ci ruscy bolszewicy byli do niczego. Samych karabinów maszynowych mieli dziesięć razy tyle co my, a wystarczył prosty fortel, który wymyślił już Žižka, żeby się zesrali w gacie! – Pan Skoczdo pole zarechotał. – Ale to właściwie nie byli żadni żołnierze, tylko robotnicy z fabryk Pemzy, których ta świnia Liberson wypędził do walki. Jedyni żołnierze to byli ci nasi zdrajcy... – rozkastał się i musiał użyć śliwownicy.

– Jaki fortel Žižki?

Pan Skoczdo pole spojrział na mnie przekrwionym wzrokiem.

– Chcesz to usłyszeć? Żebyś nie myślał, chłopcze, że się przed tobą popisuję.

Zapewniłem go, że niczego takiego nie myślę, i znów wypiliśmy.

– Prawda jest taka, że istotnie ja na to wpadłem – ciągnął legionista. – Podsunąłem ten pomysł pułkownikowi Szvecowi. Pod Pemzą to on chyba jeszcze był tylko porucznikiem, ale dowodził całą bitwą. U nas w Myd-

lochovicach jako dzieci bawiliśmy się zawsze w husytów i Krzyżaków. Słyszałeś o tym, jak Žižka kazał załadować wozy kamieniami i puścić je z góry na Krzyżaków?

To był naturalnie jeden z najśłynniejszych czeskich epizodów wojennych i pani profesor Trejtnarova już w pierwszej klasie gimnazjalnej wbijała nam do głowy, że czołg właściwie wymyślili Czesi. Przytaknałem.

– Dzień wcześniej na dworcu w Pemzie zdobyliśmy pociąg pancerny – opowiadał dalej. – Znow bez jednego strzału. Bolszewicy uciekli. Tym razem to byli Chińczycy, więc pozwoliliśmy im odejść. Nie wiedzieliśmy, czy w ogóle mają pojęcie, o co chodzi. A w tym pociągu były załadowane tankietki. Napij się! Rano, kiedy leżeliśmy rozłożeni wokół Pemzy i patrzyliśmy, jak na wprost nas obrona jeży się karabinami maszynowymi, to wtedy właśnie wpadłem na ten pomysł. Mówię do Szveca: „Obywatelu poruczniku...”, no po prostu powiedziałem mu o tych wozach wyładowanych kamieniami. Do jednego samochodu pancernego włożyliśmy dynamit, dołączyliśmy lont, ja wsiadłem do środka, ruszyłem na pozycję wroga, zacząłem strzelać z obu karabinów maszynowych, zablokowałem spusty, zapaliłem lont i wyskoczyłem. Szkoda, że tego nie widziałeś! Tankietka sunęła prosto przed siebie, bolszewicy walili do niej ze wszystkich luf, ale to był wóz pierwszej klasy, zdobyty na Niemcach, i kule się od niego odbijały. Więc jak oni ostrzeliwali tankietkę, my skoczyliśmy do przodu, a bolszewicy prawie nas nie zauważyli, bo wszyscy pruli do tego auta. I kiedy już wyglądało, że samochód wbije się w pierwszą linię, któryś z tych łachudrów wreszcie trafił w ładunek, albo może dopalił się lont, i nagle rozległo się BUM! – Pan Skoczdo pole zamachnął się kikutem i wyrzucił butelkę. Na szczęście była już pusta. Schylił się

pod stół i wyciągnął nową. – Bum! – powtórzył ciszej. – Tankietkę rozerwało w drobny mak, a my patrzymy, jak bolszewicy biorą tyłki w troki, bo się zesrali ze strachu. Cały ten odcinek zdobyliśmy ze stratą zaledwie dwóch ludzi.

Było mi dobrze. Z oparów alkoholu, pierwszy raz od dłuższego czasu, wyłonił się znów meserszmit i po chwili rozpadł się na drobne kawałki, bo trafił w niego tylny strzelec latającej fortocy.

– Tak było, chłopcze – westchnął pan Skoczdoполе. – No i to była też moja ostatnia bitwa. Bo później tego samego dnia Pospiszil przebił mi rękę bagnetem, rana się zainfekowała, weszła gangrena i musieli mi łapę amputować. Ale zdążyłem jeszcze rozwalić tego Pospiszila, zdrajcę zasranego. Bo początkowo wyglądało to na płytką ranę.

Wypiliśmy z drugiej butelki, a teraz wyglądam przez gołyckie okno uczelni Edenvale i jak dżin z tej dawno wypitej butelki wyskakuje mi kolejna alkoholowa historyjka. Tym razem z drugiej ręki, ale też o gangrenie. Patrzę i wspominam tatę. Było trzydzieści lat po bitwie pod Zborovem, a noga doszła już do takiego stanu, że postanowili ją amputować. Ojciec miał jednak słabe serce i zmarł im na stole operacyjnym. Vicky papla coś o rzeczce Missisipi jako o elemencie jednoczącym struktury *Hucka Finna*, ale moje myśli uciekają od obowiązków, za które mi płacą, do niezwykłych wspomnień, którymi żyję. Do brzydkiego dnia z wiosny 1948 roku, kiedy we mgle poranka zobaczyłem pana Pytlika, czy raczej towarzysza Pytlika, z plutonem milicji robotniczej, jak w imieniu rewolucji prowadzi mojego ojca do aresztu, podobnie jak pięć lat wcześniej zrobiło to gestapo. Ale kostecki areszt pękał w szwach: sami członkowie Sokoła, paru przywódców skautów, dwaj księża, więc mój dwumetrowy ojciec już się tam nie zmieś-

cił. Co z nim zrobić? Po namyśle wsadzili go do piwnicy w starej pralni Mautnera, zamknęli na cztery spusty i zapomnieli o nim. W piwnicy było tylko jedno okno pod sufitem, a w nim gęsta krata, zapchana błotem i trupami much w pajęczynach. My nie wiedzieliśmy, że tam jest, i myśleliśmy, że siedzi w więzieniu.

Wkrótce po zastraszonej Kostelcu zaczęła krążyć legenda. W piwnicy Mautnera leży trup! Komuniści wrzucili tam obywatela Smirzickiego, którego wcześniej zatłukli w budynku Partii. Z początku z piwnicy rozlegały się jęki, jak Smirzicky konał. Potem oddał ducha i już się rozkłada. Wkoło czuć potworny smród. A komuniści nawet nie chcą pogrzebać trupa.

Nam jednak nikt nic nie powiedział. Mamusia codziennie chodziła do więzienia, skąd ją zawsze wyrzucali i twierdzili, że taty tam nie ma. Matka była przekonana, że go zabili i nie mają odwagi się przyznać.

Legenda obiegła już całe miasto i w końcu dotarła też do nas. W towarzystwie odważniejszych kobiet z kręgu Sokoła matka pobiegła do fabryki Mautnera. A ja z nią. Matka przyklękła przy siatce, a ze środka istotnie wydobywał się straszliwy, trupi smród. – Józek! Józek! – krzyczała matka jak w powieści. Ale ojciec nie odpowiadał. Więc matka rzuciła się na siatkę, zaczęła ją rwać palcami i po chwili miała już całe dłonie we krwi. Kobiety starały się ją oderwać od tego okna, kiedy nagle na miejscu zjawił się towarzysz Pytlik na czele oddziału rewolucyjnej milicji. Legenda bowiem akurat dotarła też do sekretariatu Partii.

Vicky zmienia autorytet, przekonuje salę, że Huck i Jim byli homoseksualnymi kochankami, ponieważ symplifikacja to los, jaki czeka wszystkie inteligentne teorie, ale ja wyobrażam sobie, jak w sekretariacie Partii odbywała się strategiczna narada. Męczeńska śmierć sokolskiego starosty, w dodatku dwumetrowego, w na-

piętej atmosferze tamtych czasów, byłaby z politycznego punktu widzenia fatalną sprawą. Przybiega łącznik i melduje, że przed fabryką gromadzi się tłum, już nie tylko kobiety, ale i mężczyźni, a atmosfera gęstnieje z minuty na minutę. Wtedy pan towarzysz Pytlik pyta: „Który z was go załatwił, towarzysze? Przyznajcie się! To straszny błąd! Nie można było zaczekać, aż się sytuacja znormalizuje?” Nie wiem, czy już wtedy znali to słowo, ale jeśli nie, to używali jakiegoś innego ze swojego żargonu. Nikt się oczywiście do tego nie przyznaje, jeden spogląda na drugiego i przeważnie jest im głupio, bo to nie są żadni rzeźnicy – oczywiście z wyjątkiem pana towarzysza Pytlika. Ten zaś głośno się zastanawia: „Czyżby on zdechł ze strachu? Co prawda był to tchórz, to fakt...” Mówi z własnego doświadczenia, bo już raz udało mu się zastraszyć mojego ojca. Przynajmniej on tak myśli, ale w rzeczywistości ojciec dał mu dziennik, bo całą sprawę uznał za żenującą, a to, co odkrył, tak go zaskoczyło, że właściwie do końca w to nie uwierzył. Tata nigdy nie potrafił podejrzewać ludzi o coś, do czego sam nie był zdolny. Dziennik znalazł w rzeczach osobistych pana Zillingera, niemieckiego dyrektora banku, który na kilka dni przed końcem wojny zniknął i zostawił po sobie tylko wielki obraz Wodza nad kupą szpargałów w salonie. Ojciec wygrzebał dziennik właśnie z tych śmieci. Czytał go potem jako pornografię, bo pan Zillinger był strasznym dziwkarzem i w dodatku zboczonym, ponieważ wszystko to potem z detalami opisywał. Wśród opisów wymyślnych orgii z żołnierzkami z Luftwaffe Hilfefrauenfunkerschule tylko od czasu do czasu pojawiały się mementa w rodzaju: *Kam Herr Pytlik mit der wöchentlichen Lagemeldung. Abgeschickt an Gestapo Grätz*. Takie zapiski ojciec przeskakiwał. Po pierwsze, dlatego że w jego naiwności coś takiego w ogó-

le nie przychodziło mu do głowy, a po drugie – zbyt go rozgrzała lektura czegoś, czego nigdy wcześniej nie czytał. Cennej lektury nie zostawił tylko dla siebie, lecz najlepsze pasáže przeczytał w najbliższą sobotę wieczorem swoim kolegom w restauracji Sokolovna. Legenda dziennika coraz bardziej się rozpowszechniała, aż dotarła do uszu *Herr* Pytlika. *Herr* – w tym czasie już wcale nie *Herr*, lecz pan, a właściwie towarzysz – Pytlik pojawił się na czele oddziału Gwardii Rewolucyjnej i w imieniu Rady Narodowej kategorycznie zażądał wydania dziennika. Ojciec był zażenowany i chyba w tym momencie nawet nie pomyślał o tych zdaniach, które przeskakiwał. Wstydził się tylko, że wyszło na jaw, jakie to świństwa czyta, i dlatego wydał dziennik towarzyszowi Pytlikowi. W ten sposób zaginął ostatni ślad po dyrektorze Zillingerze. Portret Hitlera gwardziści powiesili w toalecie publicznej na rynku, a pijacy zakładali się, który dosika Wodzowi na głowę.

Ojciec jednak nie umarł ze strachu, a nawet wcale nie umarł. Leżał tylko nieprzytomny i niemal zdychał z powodu gangreny, a z nogi ciekła mu ropa. Kiedy rewolucyjna milicja otworzyła drzwi do piwnicy, to jak jeden mąż wyciągnęli chusteczki do nosa, bo smród niemal ich zwałił z nóg. Ten sam smród, który – znacznie słabszy – pięć lat wcześniej zwrócił uwagę gerichtsrata Neuthalera. Milicjanci wynieśli tatę z piwnicy na zaimprovizowanych noszach, sokolskie kobiety uderzyły w płacz, stary pan Vavruszka – choć przyszedł w kapeluszu – zaszalutował, a mama z krzykiem rzuciła się na pana Pytlika i wydrapała mu trzy długie krechy w rewolucyjnej brodzie, w które później wdało się zakażenie – pewnie dlatego, że mama miała za paznokciami brud i szczątki muszych trupów. Z powodu tego zapalenia zarost zlązł panu Pytlikowi z połowy twarzy, więc musiał się ogolić i nawet później, kiedy stały się

modne bródki *barbudos*, towarzysz Pytlik chodził gładko ogolony niczym Anglik.

– Więc wybrali mnie do plutonu egzekucyjnego, bo z tą ręką z początku nie wyglądało tak poważnie – powiedział pan Skoczdopole. – Wyprowadziliśmy ich za miasto do lasu, a ten bydlak jeszcze miał czelność po drodze do mnie coś mówić, zdrajca zdradziecki!

Coś żółtawego zaświeciło, zabułgotało i pojawił się nad tym czerwony ogórek. Było mi bardzo dobrze i czułem się jak bojownik wśród bojowników.

– Co... – czknałem. – Co panu powiedział?

– Tego byś nie zgadł, chłopcze. Mówi mi: „Nie wstydzisz się, Skoczdopole, ty, pracujący rolnik, wymierzyć broń w swojego brata klasowego?” Ja! Ja się miałem wstydzić! Ja, który walczyłem o wolność! O naszą Republikę Czechosłowacką, podczas gdy ci zasrańcy ze swym gangsterem Leninem na czele zawarli separatystyczny pokój z Niemcami i wbili nam nóż w plecy! Dla nich wolność narodu była gównowarta. Im chodziło o jakieś względy stanowe!

– Tak mu pan powiedział?

– Ja? Nie! Napij się. Powiedziałem mu: „Zamknij mordę, zdrajco narodu!” A potem ich w lesie rozwaliśmy. I to mieli być czescy robotnicy!

Vicky skończyła, a ja dochodzę do siebie i otwieram książkę.

– Nie wiem – mówię lekko omamiony marihuaną niewłaściwych wspomnień – jaki jest dla was podstawowy *message* tej wspaniałej powieści, tej cudownej improwizacji literackiej, której kościec – niczym dobrze intonujący basista – stanowi pomoc techniczna zwana Mississippi. Otwórzcie książki na stronie dwieście dwadzieścia dwa – w wydaniu Bantama.

Odczekuję chwilę, aż to sobie znajdą, i spoglądam przelotnie przez okno na czarnego kruka, który jest

chyba właścicielem edenvaleskiego kampusu. Spaceruje powoli, z dumą, po lśniącej w słońcu równinie i pozostawia za sobą nieproporcjonalnie wielkie ślady. W myślach jeszcze raz przeskakują trzydzieści lat życia i powracam do tego pijanego wieczoru, który uległ zapomnieniu, śmierci. Legionista już nie żyje.

– Ładni mi czescy robotnicy! – oburzał się. – W wielu sprawach mogli sobie podać rękę z faszystami. To prawda, że ich rozwalaliśmy, bo to byli zdrajcy. Ale oni nas też. Za to, że walczyliśmy przeciw zdrajcom ojczyzny! Raz nawet... Napij się! – znów mnie zachęcił i sam pociągnął potężny łyk. – Człowiek o tym prawie się wstydydzi mówić. Żeby nie był tak napity, tobym ci tego, chłopcze, wcale nie opowiadał. Był u nas taki Sedlica. Ile mógł mieć lat? Najwyżej ze dwadzieścia dwa. Też chłop ze wsi. Pod Samarą ogłuszył go granat i wpadł im w ręce. Następnego dnia wzięliśmy Samarę szturmem, ale przyszliśmy za późno. Znaleźliśmy Sedlicę na jednym podwórku, zakłutego bagnetami i przysypanego śmieciem. Czescy robotnicy! To były zwykłe bydlaki! Parszywi zdrajcy! – Wściekle gestykulował kikutem, ale ja już przestałem widzieć i słyszeć.

Przeważnie nawet nie starają się znaleźć właściwej strony. Wiedzą, że nic im nie zrobię. Nie interesuję się ich stopniami; jestem kaznodzieją, nie pedagogiem. Może się cieszą, że usłyszą następny klasyczny pasaż, czytany z komicznym akcentem. Tylko wierna Irena Svensson, znów w innej sukience, groszkowozielonej z żółtą lamówką, z powagą otwiera książkę.

– Mniej więcej w połowie strony – mówię, a potem czytam, akcent nie akcent, czytam im przesłanie:

„Domyśliłem się, że jest to Król i Książę, bo byli całkiem oblepieni smołą i pierzem, i w ogóle nie przypominali ludzi; wyglądali jak dwa ogromne pióropusze. Hm, na ten widok zdjęło mnie obrzydzenie i żal mi się

zrobiło tych dwóch biednych łotrzyków, i jakoś nagle minęła mi cała złość, co ją do nich czułem. Bo też straszno było na to patrzeć. Ludzie potrafią być dla siebie nawzajem paskudnie okrutni”*

Unoszę głowę znad książki, jakbym właśnie rozładował furę węgla. Te piękne dzieci. Wendy z gołymi kolanami wystającymi spod szkockiej spódnicy, choć jest właśnie ontaryjski grudzień; Irena niczym obrazek z „Vogue”; zakochany narwaniec Bellissimo, który za przykładem Murzynów zrobił sobie z głowy u fryzjera półmetrową kulę... ale ja wciąż widzę czerwony nos biednego legionisty, las za Pemzą, majstra Vachuszka... zawsze mi się pojawiają... niemal w każdym wspomnieniu...

Kiedy Przema wrócił do domu, byłem już jak me-serszmit. Twardy, prosty, sztywny, milczący. Obudziłem się straszliwym, zimowym porankiem. Bohaterstwo zostało przeze mnie wchłonięte razem z alkoholem, patrzyła na mnie śmierć siedząca na szubienicy, a ja uświadomiłem sobie, że jestem w domu zamiast w lesie, w kryjówce u partyzantów Przemy czy we młynie, u stryjka Nadii.

Takie wyjście zresztą też mi się wydawało niemożliwe.

* * *

Dzwoni telefon.

– Mogę?

Margitka Boczarova.

– Możesz.

I tyle.

Przyjdzie za pół godziny. Idę do sypialni, trochę poprawiam prześcieradło na moim łóżku *queen-size*, przetrzepuję poduszki, w łazience wieszam na wieszaku jas-

* Mark Twain, *Przygody Hucka*, przełożyła Krystyna Tarnowska.

noniebieski ręcznik Margitki z obrazkiem ciężarnej Lucy i napisem: *GOD DAMN YOU, CHARLIE BROWN!*. Potem idę do kuchni, wyciągam Jacka Danielsa, którego trzymam specjalnie na te chwile troski o zdrowie, wyjmuję dwie szklaneczki i pucuję je nową ścierką. Margitka jest uczulona na niewypucowane szklaneczki i w ogóle na każdy cień brudu. Sprawdzam, czy w lodówce jest dosyć lodu, przenoszę Danielsa na stolik do kawy i idę wziąć prysznic. Na koniec wkładam piżamę i szlafrok, wyciągam z biblioteki *Kamasutrę* i zaczynam studiować pozycję, którą poprzednio zakreśliła mi Margitka.

Margitka jest praktykiem-seksuologiem.

Nabieram ochoty na whisky. Dawniej byłem niemal abstynentem, ale w macierzystych krajach whisky jakoś się rozpuściłem. Jednak Daniels to jak wino mszalne. Wracam do kuchni i nalewam sobie straight scotch. Pewnie nie powinno się tego mieszać w żołądku, ale byłem abstynentowi, wyleczonemu z grzechów młodości, koktajl scotcha i bourbona na pewno nie może zaszkodzić.

Piję więc scotcha i nabieram ochoty na Margitkę.

Brzęczy buzzer.

Wstaję i podchodzę do mikrofonu przy drzwiach.

– Tak?

Margitka wymawia indyjską nazwę zakreślonej przed tygodniem pozycji.

– Tak – mówię i naciskam guzik.

Uchylam drzwi i patrzę na drzwi liftu. Po chwili rozlega się brzęk, ale najpierw wychodzi Cindy, czarna dziewczyna bez stałego zatrudnienia, w której mieszkaniu niemal co noc trwają tańce. Mruga do mnie rzęsami, które wyglądają jak czarne druciki, i rzuca:

– *You men!*

Znika za swoimi drzwiami. Jej faceci przyjdą około dziewiątej.

You women!

Olśniewająca, śnieżnobiała Margitka już szeleści w moich drzwiach, w wyprasowanym mundurku. Wpuszczam ją do środka i patrzę z tyłu na jej szczupłe plecy i apetyczny tyłeczek. Postęp jednak istnieje. W pokoleniu moich rodziców czterdziestoletnie kobiety bywały horyzontalnie trzy razy szersze.

Margitka zatrzymuje się pośrodku pokoju i ostentacyjnie wciąga powietrze.

– *Sorry!* – biegnę do łazienki.

– Ty już mnie nie kochasz!

– Ale za chwilę będę!

Przynoszę *sandalwood* i rozpraszam po pokoju.

Margitka poznała ten zapach u Chandlera. Zakochała się we mnie, czytając mój przekład tego pisarza. Tak twierdzi. Że podczas lektury i że się zakochała. Oczywiście zalewa, albo raczej paple. Pomiedzy nami nie istnieje nic tak dziecinnego jak miłość.

Faktem jest jednak, że Chandlera czytała w moim przekładzie, bo żeby czytać w oryginale, nie znała dostatecznie angielskiego. Faktem jest też, że powiedziała mi to od razu na pierwszym spotkaniu, chociaż wtedy przedmiotem jej miłości była panna Adrianne Fromsett. Czy raczej jej ideałem. I wreszcie faktem jest: to ja stwierdziłem, że Margitka wygląda jak siostra-bliźniaczka. Panny Fromsett.

I to też jest fakt.

Pierwsze wrażenie, jakie Margitka sprawia na człowieku, to platoniczna idea czystości. Absolutnej, higienicznej, aseptycznej czystości ciała i ubrania. A kiedy już ją poznałem bliżej, zorientowałem się, że także ducha.

Co oczywiście może brzmieć dziwnie.

Pachnie lizolem pomieszanym z konwaliami.

W trakcie miłosnego aktu te zapachy z niej wyparowują i nasiąka drzewem sandałowym, którego zapach – na jej prośbę i na cześć panny Fromsett – rozpylam w całym mieszkaniu.

Teraz też to robię.

Margitka siada w fotelu, kolana w białych pończochach trzyma przy sobie, a spod pończoch przebija lekko zaróżowiona skóra.

W sumie Margitka jest jednak cała biała. Na zewnątrz, w pielęgniarskim mundurku, i pod spodem, dzięki swej jasnej karnacji.

White is Wonderful.

Włosy ma naturalnie blond, choć dla kaprysu nada je im różny odcień.

Wygląda na dwadzieścia siedem lat.

Zdradza ze mną swojego skazanego na wózek inwalidzki męża mniej więcej trzy razy w miesiącu.

Więc w sumie nie jest mu tak bardzo niewierna.

Mnie nie zdradza z nikim.

Tak przynajmniej twierdzi.

Mówi:

– Daniczku, wiesz, że Lilka znów uciekła Rudzie?

– Nie mów! Z kim?

– Z jakimś Słowakiem z Calgary.

– To już trzeci raz?

– Czwarty! Pierwszy raz to było z Honzą Popelką, drugi – z Cincibusem, potem z tym Murzynem, no, jak on się nazywał... nieważne, a teraz z tym Słowakiem, Fero Galuszką.

Składa mi w ten sposób sprawozdanie z aktywności erotycznej czeskiej wspólnoty w ciągu ostatnich dziesięciu dni. Sączymy Jacka Danielsa z lodem i w ciągu kwadransa już mam pełną informację.

Przy okazji nabieram strasznej ochoty na Margitkę.

Ona na mnie również.

Tylko myślę, że jestem bardzo wymienialny.

Dlaczego już od czterech lat mnie nie zmienia na kogoś innego?

Takie są zagadki organizmu.

Dopija, wstaje bez słowa i wychodzi do sypialni. Ja za nią. Ściąga przez głowę biały mundurek, pieczołowicie układa go na oparciu fotela, rozpiną biały stanik i w świetle trzydziestu siedmiu rozświetlonych pięter przeciwległego hajrajzu – nie zapalamy światła, bo permanentnie świeci nam to drzewko choinkowe – wyłania się biały cud kobiecej anatomii. Potem zdejmuję białe rajstopy, wysuwa się z białych *panties*, a w bieli jej ciała odznacza się jasnoblond trójkącik. Skacze do łóżka i staje na głowie, zgodnie z zakreślonym ćwiczeniem.

Ćwiczymy.

Potem idę się odświeżyć Danielsem, Margitka wyskakuje do łoszrumu i wraca przesycona drzewem sandałowym, upija łyk i rozkosznie kładzie się na łóżku. Ja obok niej, a ona mówi:

– Nigdy w życiu nie myślałam, że będę miała kochanka słynnego pisarza.

– Czy słynny pisarz jest słynny również w łóżku?

– Widziałam już lepszych.

– Margitko! Ty, taka dziewica?

– W kinie widziałam.

Mówi prawdę.

– Masz czasem wyrzuty sumienia, Daniczku? – pyta.

– Nieustająco.

– Ja też. Okropne! Ale co mam zrobić?

– Może tego nie rób?

– Nie mogę.

– W Lovecraftcie sprzedają pasy cnoty.

– Nie bądź niesmaczny.

– Byłoby ciekawe zobaczyć cię w pasie cnoty. Powinien być biały. Wtedy bym wierzył, że jesteś mi wierna.

– Dorobiłabym sobie u Simpsona dodatkowy klucz, ty cwaniaku.

– A na podstawie czego? Do pasów cnoty dają tylko jeden klucz i miałbym go ja.

- No to wytrych.
 - Przedtem musiałybyś go zdjąć, żeby wzięli miarę.
 - Czemu nie.
 - A ślusarz by cię zgwałcił.
 - Jeśli by mnie otworzył.
- Śmiejemy się.
- Ty jesteś taka świnia, Smirzicky!
 - Ty masz takie wyrzuty sumienia, Boczarova!
- Gramy w taka grę.
Początkowo w nią nie graliśmy.

* * *

Śnieg padał i padał. Świszczący północny wiatr tworzył z jego płatków wiry, które mnie wciągały do środka, kiedy szedłem aleją Jiráska w stronę kościoła. Nadii tam nie było. Nikogo z Czernej Hory nie było dziś w kościele. Nie przyszli. W tłumie przed ołtarzem dostrzegłem jedynie blond główkę Marii Dreslerovej. Czekałem potem na nią przed kościołem, ale wyszła z jakąś koleżanką, wiatr rozwiewał im suknie, przytrzymały je przy kolanach i po chwili zniknęły w zamieci.

Irena do kościoła za często nie chodziła. Nie chciało mi się wracać do domu. Na ulicy czułem się niemal bezpieczny. Bolała mnie głowa. Obszedłem rynek, wiatr wciąż na nowo przeganiał po nim kłęby śnieżnych wirów, targał mną, marzły mi uszy. Ostatecznie postanowiłem wpaść do Berana.

W rogu przy oknie siedzieli chłopaki z kapeli: Leksa, Haryk z Lucie, Benno z Aleną, Fonda, Venca Sztern, Brynych i Vladia Nosek, który grał na alcie z kapelą Red Music w Rounovie. Przysiadłem się do nich. Z czegoś się śmieli, ale ledwie mnie dostrzegli, ucichli i obserwowali, jak idę. Szedłem i miałem wrażenie, że między nimi a mną jest jakaś ściana. Więzienna. Czyli że już nie należę do tego towarzystwa.

– Ty jesteś dobry! – przywitała mnie Lucie. – Nie pokazuj mi się na oczy!

– Co się dzieje? – Pewnie wymyślili sobie jakąś grę do śmiechu. Zawsze chętnie uczestniczyłem w ich zabawach, ale dziś wcale mi nie było do śmiechu.

– Jestem obrażona! – oświadczyła Lucie.

– Jakim prawem?

– Jeszcze się pytasz?

– Pytam się, bo nie wiem.

– Nie udawaj niewinnego, łotrze! – włączył się Benno.

– Albo głupiego – dodał Leksa.

Staralem się, ale mi się nie chciało. Na siłę zwalczyłem niechęć. Nacisk w głowie, gorszy niż ból z powodu kaca, nawet na chwilę się nie zmniejszył. Powiedziałem do Lucie:

– Mam czyste sumienie. Przynajmniej w tym, co dotyczy ciebie.

-- Akurat! Masz je brudne jak... – nic jej nie przyszło do głowy, więc dokończyła: – ...jak to czy tamto.

– Tamtoramto! – przytaknął Benno.

– Beniku! – odezwała się Alena.

– Ty zdrajco! – zaatakowała mnie Lucie.

– Ale o co chodzi? – wciąż się nie mogłem połapać.

– Mówi ci coś imię Nadieżda? – spytał Leksa.

Ach tak! Spojrzałem na Lucię, a potem na Noska.

– Ja nic nie powiedziałem! – wypalił natychmiast Nosek i podniósł trzy palce. – Przysięgam na wodza i kanclerza Rzeszy.

– Rozumiesz chyba, że Lucie ma prawo być obrażona – wtrącił się Haryk.

Znowu spojrzałem na Lucię. Skąd się dowiedziała? Nosek jej nie powiedział, on ma charakter. Pewnie zauważyły nas baby w fabryce. Te wysłędzą wszystko. Włączyłem się do gry.

– Nie wiem, dlaczego ty się czujesz obrażona? Gdyby to była Irena...

– Albo Marie... – dodał Fonda.

– Albo Judy Garland... – dorzucił Benno.

– Albo... i tak dalej – podsumował mnie Leksa.

– Czyżbyś nie kochał Lucie? – spytał Haryk. – To mnie obraża!

– Ciebie? No wiesz... – odparłem.

– Jasne! Co, nie jest dla ciebie dostatecznie dobra, skoro dla mnie jest? Popatrz na te włosy! Albo na jej lica! Albo na to niżej!

– A dokładnie, co niżej? – dopytywał się Benno.

– Beniku! – Lucie sparodiowała Alenę.

– No, przecież chodzi o te eleganckie ciuchy, bęcwa-le! – stwierdził Leksa.

– Albo o te eleganckie nogi – dodał Haryk. – Jakim prawem ośmielasz się jej nie kochać?!

– Nie powinienes raczej być zazdrosny? – zapytałem.

– Dlaczego, skoro jej nie kochasz?

– No to co cię obraża?

– Urażasz męską dumę Haryka, prawda, kochanie? – oświadczyła Lucie i pogłaskała Haryka po wypomadowanej głowie. – Nędzniku! – to było tym razem do mnie. – Jak się w ogóle ośmielasz pokazywać mi na oczy?

Z wielkim samozaparciem grałem ten tysiąc pierwszy wariant gry, w którą się bawiliśmy od czasu, gdy tylko powstała nasza kapela. Nagle do kawiarni weszła Irena, w zielonym hubertusie, cała zaśnieżona; rozejrzała się, a potem usiadła przy pustym stoliku na drugim końcu sali.

– To tylko uraża jego poczucie własności – powiedziałem. – Bo on jest właścicielem wszystkich futerek. Monopolizuje cię jak Bata buty.

– Przez Danny'ego przemawia doświadczenie – stwierdził Benno.

– Poważnie? – spytał Leksa. – Mam to wypróbować?

– Tylko spróbuj! – warknął Haryk.

– Mogę ci sięgnąć pod spódnicę, Lucie?

– No, spróbuj – odparła.

– Do usług – oświadczył Leksa i błyskawicznie wjechał jej pod spódnicę. Lucie krzyknęła i klepnęła go po rękę. Leksa natychmiast ją wyciągnął, chwycił się za nadgarstek i ryknął:

– Au! Trafiłaś mnie w nerw!

– Chyba cię pokręciło – powiedziała dziewczyna. – Nerw jest w łokciu.

– Co takiego? O, żesz ty! – wrzasnął Haryk. – Ty jej tam wsadziłeś rękę aż po łokieć? To trzeba skontrolować! – i tym razem on błyskawicznie wjechał Lucie pod spódnicę. Ona znów krzyknęła i chwyciła go za rękę.

– Panowie, nie chcielibyście się trochę miarkować? – spytała Alena, chociaż jej nikt nie wkładał rąk pod spódnicę.

Benno natychmiast to naprawił i Alena też krzyknęła. Kiedy indziej chętnie przyłączyłbym się do tej zabawy, ale dziś zupełnie nie miałem do tego głowy. Haryk wyciągnął rękę, położył ją na spódnicy Lucie i udawał, że mierzy, dokąd dosięgnie, kiedy łokieć będzie leżał na kolanie. Oczywiście wyszło mu, że aż tam. Wstał i zwrócił się do Leksy:

– Sir, domagam się safis... sapis... po prostu, proszę oczekiwać mojego sekundanta!

– Kiedy? – zawołał z udanym przestraczem Leksa.

– Nie minie rok i dzień, jak się pojawi!

– To kamień spadł mi z serca! – odetchnął Leksa. – Mam jeszcze rok i dzień życia przed sobą.

Zmroziło mnie. Leksa zwrócił się do Aleny i udawał, że teraz jej chce włożyć rękę pod spódnicę. Specjalnie pomału, żeby mogła go chwycić za rękę. Zrobił to za nią Benno.

- Ty też jesteś monopolista? – zdziwił się Leksa.
- Każdy jest – odparł Benno. – Zaczekaj, co się będzie działo, jak monopolista Nadzieży dowie się, co Nadieżda robi za jego plecami w czasie pracy i z kim to robi!
- Oj, kiepsko będzie – stwierdził Haryk.
- Będzie mordobicie – dodał Benno.
- Raczej bombardowanie – przyłączył się Leksa.
- Wstałem.
- To cześć, panowie! – Odwróciłem się w stronę Noska. – I dzięki za szlachetną dyskrecję!
- On nam tego nie powiedział. Naprawdę! To opowiadała Marie na rytmice – odezwała się szybko Lucie.
- A ty to musisz opowiadać dalej!
- No, bo mnie to uraziło.
- Jasne! – wtrącił się Haryk. – Obraziło to jej kobiecą dumę. Podobno ta Nadia waży ze sto kilo.
- Cześć! – odwróciłem się i poszedłem przez cały lokal prosto do Ireny, która siedziała ciągle sama przy swoim stoliku. Nie miałem chęci na wygłupy, natomiast pragnąłem jej pocieszającej obecności.
- Nawet nie siadaj! – warknęła na dzień dobry. – Nie czekam tu na ciebie.
- Tylko na chwilkę. Muszę z tobą porozmawiać.
- Ale ja nie muszę.
- Ja wiem, że ty nie, Ireno. Ale może mogłabyś zrobić jeden dobry uczynek. I tak już długo nie będę cię prześladował.
- Nie? A to dobra nowina!
- Nie myślała tego na serio, ale mnie zakłuło w sercu.
- Gdybyś wiedziała, Ireno, to tak byś nie mówiła.
- Co takiego? Masz złamane serce? Mówili na rytmice, że...
- Wiem, co mówili na rytmice. Tylko że na rytmice guzik wiedzą!

– Poważnie? Ja miałam wrażenie, że są tam całkiem nieźle poinformowani.

– Ireno, mówię serio. Nie możesz być dla mnie choć trochę miła? Może już mnie nie zobaczysz.

Nagle poczułem, że już nie mogę wytrzymać ze swoją straszną tajemnicą. Jak nigdy dotąd w życiu potrzebowałem się zwierzyć tej sńiadej dziewczynie, którą już od sześciu lat naprawdę kochałem. Oczywiście oprócz Marii. No i Nadii. Ale Irena odparła:

– W taki sposób jeszcze nigdy mnie nie bajerowałeś!

Nagle jej wielkie, brązowe oczy koloru mlecznej kawy rozbłyły szczęściem. Nawet nie musiałem się odwracać, żeby wiedzieć, że nie będzie żadnych zwierzeń.

– To cześć, Ireno – bąknąłem i już bez słowa przeszedłem obok Zdeńka, który strzepywał z siebie śnieg.

– Dlaczego nigdzie nie idziesz, Danny? – spytała mnie po obiedzie mama. – Jest tak ładnie! Powinieneś przecież przewietrzyć płuca po całym tygodniu w tej fabryce.

Wichura ustała. Nad Czerną Horą wisiało jasne, zimowe słońce, a zbocza bielily się świeżym śniegiem.

– Nie chce mi się. Muszę odpocząć.

– A nie chcesz iść z nami? – mama stała niezdecydowana, ubrana już w futro. – Idziemy z wizytą do pana prokurenta Kudlaczka. Ich Nadia też podobno będzie tam miała jakichś gości.

– Nie, mamo. Idźcie sami. – Imię córki Kudlaczków z szóstej klasy znów skierowało mój wzrok na Czerną Horę. Na zboczach między willami już się roiło od czarnych punkcików. Narciarze.

– To pa, Danny! – powiedziała mama i pocałowała mnie na pożegnanie. Zostałem sam w mieszkaniu. Zwalił się na mnie potworny strach. Gardło mi się ścisnęło, jakbym na nim miał pętlę. Co robić? Co można zrobić? Gdyby chociaż Niemcy brali Czechów do wojska, tobym się zgłosił i przeszedłbym na stronę Ameryka-

nów. Całkiem poważnie zacząłem marzyć o poborze. Patrzyłem na białe zbocza Czernej Hory, ale we śnie widziałem amerykańskich oficerów. Ale co by było, gdyby mnie wysłali na front wschodni? A przecież zapewne posłaliby mnie właśnie tam. Przejść na stronę Rosjan? Bo co innego miałbym zrobić? Trafienie na front wydało mi się zupełnie bezpieczne w porównaniu z sytuacją, w jakiej się znalazłem. To absurd! Absurd? Jak to, skąd takie uczucie? Dlatego że znalazłem się w klatce. Na froncie można przejść na drugą stronę, ale z klatki nie ma wyjścia. Działanie w ruchu oporu wymaga większej odwagi niż walka w armii. W klatce jest większy strach niż na froncie. Nie przypuszczałem, że definiuję jedną z podstawowych prawd naszego stulecia. Przyszło mi do głowy, że wojna już wkrótce się skończy, ale zaraz się przestraszyłem, żeby nie wypowiedać tego w złą godzinę. Zacząłem szybko myśleć o przeszłości. Tylko że wszystko, co w niej teraz odnajdowałem, kojarzyło się ze strachem. Podstawowe odczucie z mojego najwcześniejszego dzieciństwa to był strach przed pozostaniem w domu samemu. A zostawałem w każdej sobotę, bo rodzice wychodzili do knajpy. Już od rana, im bliżej było ósmej wieczór, tym mocniejszy czułem ucisk w żołądku, który promieniował aż do głowy. Zupełnie jak teraz. Przed ósmą mama układała mnie do snu, podawała książkę, mówiła, żebym nie zapomniał zgasić światła, potem pocałunek na dobranoc – jak dziś – i drzwi się zamykały, a w zamku chrzęścił klucz. Zamykali mnie z zewnątrz w klatce pełnej duchów, straszdeł i morderców. Jeszcze przez chwilę było słyhać, jak schodzą z ojcem po schodach, a potem wszystko cichło. Nadstawiałem uszu. W sypialni na drugim końcu przedpokoju trzasnął parkiet. Siedziałem w swoim łóżku z otwartą książką, a parkiet znów zaskrzypiał. Morderca. Będzie bezpieczniej, jak zgaszę. W ciemnoś-

ci przynajmniej mnie nie zobaczy. Zgasiłem. W kuchni coś wyraźnie brzęknęło. Prawie nie mogłem złapać oddechu. Potem w sypialni. Kroki. Skrzypienie drewna. Oszalały ze strachu znów zapaliłem światło, wyskoczyłem z książką z łóżka i rozejrzałem się po klatce. Coś trzasnęło za mną. Błyskawicznie się odwróciłem. Nic. Znów za mną. Znów się odwróciłem. I znów nic. Z sercem w gardle wyszedłem na paluszkach do przedpokoju. W sypialni łomot, jakby ktoś demolował meble. Skoczyłem do drzwi toalety, wpadłem do środka i zasunąłem zasuwkę. Toaleta była mała, tylko z niewielkim okienkiem za sedesem, które wychodziło na światlik. Usiadłem na ziemi, opierając się plecami o boczną ścianę w taki sposób, że widziałem zarówno okienko, jak i zaryglowane drzwi. Tak siedziałem, zdecydowany wytrzymać tam do pierwszej w nocy, kiedy rodzice wracali. Wytrzymywałem. W każdą sobotę. Ile to trwało? Tego już nie pamiętam. Pewnie kilka lat. Ani razu nie usnąłem. Takie to było przerażenie. Za drzwiami toalety szalał karnawał duchów, powoli, nieskończenie powoli odmierzany biciem zegara ściennego co pół godziny. Z napięciem liczyłem uderzenia: dziewięć, dziesięć, jedenaście, dwanaście – a między nimi nieskończoność. Najgorsze pół godziny było jednak dopiero przede mną. Nie mogłem dopuścić, żeby rodzice znaleźli mnie w tak upokarzającej sytuacji w toalecie. Kiedy po niedającej się wytrzymać przerwie po dwunastu uderzeniach rozległo się wreszcie kolejne, oznajmiające w pół do pierwszej, odbezpieczałem drzwi i gnany przerażeniem pędziłem do swojego pokoju. W ślad za mną podążały wyraźne kroki. W sypialni ktoś strzelał z karabinu maszynowego. Wskakiwałem do łóżka i gasiłem światło. Długo, długo leżałem z szeroko rozwartymi oczami, wpatrując się w szklaną część półotwartych drzwi. Kiedy pojawi się na nich ledwo widoczna poświata, jak w czasie świ-

tu, to znaczy, że rodzice weszli do domu i zapalili światło na korytarzu. Nie było ich jeszcze słycać, bo mieszkaliśmy na trzecim piętrze. Po nieskończonej długim czasie poświata zawsze się pojawiała – choć czasem znów zniknęła i nie było słycać otwierania drzwi: to inny lokator wrócił z gospody. Przeważnie jednak byli to rodzice. Poświata nie zniknęła, ze schodów dobiegały ciężkie kroki ojca, jeden głośniejszy, drugi cichszy, bo tata utykał na zranioną nogę. Wreszcie, wreszcie rozległ się chrzęst klucza w zamku...

Nagle zapadłem w błogi półsen, w kojącym poczuciu całkowitego bezpieczeństwa i... Wytrzeszczyłem oczy. Przed sobą zobaczyłem białe zbocza Czernej Hory. Niebo się znów zaciągnęło i pociemniało. Padał śnieg i dął wiatr. Nie byłem wcale bezpieczny. To tylko słodki sen z dawnego dzieciństwa, kiedy zawsze wszystko dobrze się kończyło. Teraz byłem w wielkim niebezpieczeństwie. I było prawie niemożliwe, żeby to się dobrze skończyło.

* * *

W lokalu obok teatru jest po staroczesku wesoło. Pan Szestak odłożył ozembuch i zasiadł do bębnow, demokratyczny młodzian, znowu w marynarce, zmienił gitarę na harmonijkę, a bandzysta molestuje skrzypce. Przy barowej ladzie, nad szklaneczką brandy i resztkami monstualnego serdelka, bardzo głośnie śpiewa całkowicie już ucztowieczony organizator:

*Rude, rude, rude,
Te najbardziej lubię...*

– Idźcie sobie potańczyć, Margit! – mówi Boczar do swojej żony. Ta liczba mnoga to jestem ja. Przychodzi mi do głowy nieprzyjemna myśl, czy on czegoś nie podejrzewa. Ale nigdy nie daje tego po sobie poznać. A Margitka przysięga, że jest strasznie ostrożna.

*Ja ją chciałem kochać,
A ona nie, nie, nie,
Lecz skoro taka ruda,
To wabi serce me!*

– Nie będzie ci przykro, Milo? – pyta obłudnie Margitka.

– Co za głupstwa opowiadasz!

Wstajemy. Boczar mruga do mnie ze swojego fotela na kółkach.

– Nie chcesz jeszcze jednego piwa? – mówi sumienie Margitki.

– Żebym musiał wciąż jeździć? – Boczar wali dłońmi w koła swojego wózka. – To jest wynalazek, doktorze! – zwraca się do mnie. – To człowieka oduczysz każdej rozpusty. – Mam wrażenie, że czerwienieję, ale Boczar – po krótkiej pauzie, która wydaje mi się znacząca – ciągnie dalej: – Wiesz pan, doktorze, jaki to dla mnie problem choćby się wysikać? Dlatego już prawie nie piję. Jeszcze szczęście, że mam Margit! – próbuje ją klepnąć w tyłek. Mam nieprzyjemne wrażenie, że nie tylko podejrzewa, ale wręcz wie.

– Też coś! – mówi Margitka i płoni się. To jedna z jej najbardziej uroczych właściwości, możliwa dzięki alabastrowej cerze, ale w tej sytuacji jest to raczej niezręczne. Boczar tę niezręczność natychmiast jeszcze bardziej pogłębia.

– No, nie mam racji? Taka piękna sztuka! – znów usiłuje ją klepnąć i niemal wypada z wózka.

Szybko obejmuję ją w pasie i znikamy wśród tańczących. Przez ramię partnerki widzę, że Boczar kiwa na kelnerkę. Margitka czyta w moich myślach.

– Uważasz, że on coś wie?

– Niestety, mam takie wrażenie...

Milczymy. Obok nas pojawia się Veronika z Percym, słyszę tylko strzępek konwersacji: – *I didn't say I hated playboys...*

– Ale kto by mu coś mógł... – medytuje szeptem Margit. – Bo ja naprawdę zachowuję niezwykłą ostrożność. U nas w domu żadni krajanie nie mieszkają, a w szpitalu też żadni nie pracują...

– A nie przychodzę do was zbyt często?

– W tym roku byłeś dwa razy. Niektórzy koledzy odwiedzają Milę dwa razy w tygodniu.

– Ale ja nie jestem byłym więźniem.

– To prawda – Margitka milknie. Tańczymy dalej w ciszy. Obok nas, niczym na plaży, walcuje pan w ciętym płaszczyku, obecnie już w tweedowej marynarce. Tańczy z wydawczynią i trzyma jej rękę na plecach tak nisko, że nie dałoby się tego nazwać talią. To wydawczyni jest aż tak ugodowa? A właściwie dlaczego wróciła, skoro ją wyrzucili? Odpędzam naiwne myśli i dochodzę do wniosku, że tak jak wszystko inne, zrobiła to dla biznesu, czyli dla dobra literatury czeskiej. Więc w sumie również dla mojego dobra.

– Mила jednak nigdy nie był podejrzliwy. Dopiero dziś wstawia takie głupie gadki...

– Musi jej pani wybaczyć, szanowna pani. Ona ma strasznie stargane nerwy. Rozumie pani, jest z tym wszystkim sama... – Oglądam się, a to mąż wydawczyni rozważnie tańczy z pobożną damą. Najwyraźniej dostał odpowiednie polecenia.

– Ktoś nas musiał szpiegować – mówi ze smutkiem Margitka.

– Chyba nie. Powiedziałbym raczej, że do tych podejrzeń doszedł drogą logicznego rozumowania. Ile przychodzi do was do domu osób, które nie są byłymi więźniami politycznymi? Takim on ufa. Może jest to z jego strony naiwne...

– Nie w moim przypadku – odpowiada Margitka. – Ty mi nie wierzysz?

– Wierzę. Ale on mi nie wierzy.

– Ale mi wierzy.

Milczymy. Dostrzegam, że ręka pana w tweedzie opadła jeszcze niżej, jeśli to w ogóle możliwe. Pewnie ma artretyzm.

– Przyznałaś mu się, jak wrócił z łagru? – pytam.

– Nie było do czego.

– A on ci wierzył?

– Oczywiście, że mi wierzył.

– Musiał mieć wielką wiarę. Taka wiara przeniosłaby Mont Blanc przez Pik Stalina do Wenezueli. Dziesięć lat, to by było, mówiąc bez przesady, dość nienormalne.

– Ale też to nie była żadna normalna miłość, nie sądzisz? On za kratkami, a ja na wolności.

– I on wierzył, że ty przez dziesięć lat z nikim...

– Nie musiał wierzyć. Miał na to dowód.

– Jaki?

– Ten normalny.

– Normalny?

– Jesteś taki niedomyślny, Smirzicky! No tak, ale ty na pewno się w życiu z czymś takim nie spotkałeś, prawda?

Nagle zaczynam rozumieć i niemal przysiadam. Ale Margitka jest kłamczucha.

– Wtedy mi o tym nie powiedziałaś.

– Bo mnie nie pytałeś.

Z sąsiedztwa słyszę klasyczne zdanie, wypowiedziane po angielsku:

– *I've known lots of emigrant girls. But you're different...*

Percy podrywa Veronikę. Czy to możliwe, że Veronika też?... Nie, to bzdura. Zupełna. Margitka robi mnie w konia. Tylko że tak, jak to z nami się zaczęło... Zerkam na Veronikę o smutno zaróżowionych policzkach. Po raz pierwszy, odkąd ją znam, nie wygląda na bardzo smutną. Odpowiada niemal wesoło:

– *I'm not an emigrant. I'm in exile.*

– A jaka to różnica? – tokuje Percy.

– *Elementary, my dear Watson* – oświadcza dobrze literacko wykształcona Veronika. – Ja nie mogę jechać do kraju, a emigracyjne dziewczyny mogą. Tylko to nas różni.

– Miałabyś nieprzyjemności, gdybyś tam chciała... – Percy jest najwyraźniej omamiony.

– Ach! – słyszę Veronikę. – Czegoś ty dzisiaj słuchał, Percy? A czym ja cię od rana zanudzam?

– Niczym mnie nie zanudzasz!

– *Than it must be my English.*

– To jest dość niewiarygodne – mówię do Margitki. – Jak długo z Miłą ze sobą chodziliście, zanim?...

– Gdzieś ze trzy czwarte roku.

– I co przez ten czas ze sobą robiliście, Boczarova?

– Kochaliśmy się.

– Jak?

– Chyba bardzo, skoro potem wytrzymałam dziesięć lat, żeby na niego czekać.

– Pytam, jak to technicznie robiliście? Czegoś takiego nie ma chyba nawet w *Kamasutrze!*

– Ja wtedy nawet nie miałam pojęcia, że istnieją takie świńskie książki!

– To co ze sobą robiliście?

– To, o czym z kolei ty nie masz pojęcia.

– To mnie poucz.

– Nic – mówi Margitka. – Po prostu ze sobą chodziliśmy. W dosłownym znaczeniu tych słów.

Uświadamiam sobie, że młodość Margitki oceniam głupio z perspektywy mojej zdegenerowanej dorosłości, ale przecież kiedy sam byłem młody...

– Oboje byliśmy skautami – wspomina z czułością Margit. – Ja z tych katolickich, on z wodnych.

To mnie rozśmiesza. Margitka najpierw czerwienieje jak burak, ale po chwili też parska śmiechem.

– No i dokąd doszliśmy? – pyta z nostalgią i tłumnie śmiech. – Ale poważnie myślisz, że nikt nas nie szpieguje?

* * *

Prawie się ściemniło. Popołudniowy wiatr dmucha jeszcze mocniej niż przedpołudniowy. Całe okna są zaniezione śniegiem, a Czarna Hora już całkiem zniknęła w białociemnych wirach. Nie było jeszcze nawet czwartej, a już prawie zapadł zmrok. A w tym samym czasie na Golgocie... Wyobraziłem sobie, jak ich przybijali do krzyży, i zacząłem się trząść. Nie ma wyjścia! Żeby tak ta burza chciała się nieustająco nasilać, aż porwałaby cały Kostelec w jakiś niszczący malstrom. Żeby tak zza horyzontu, zza Czernej Hory, wyłonił się jakiś King Kong i potężnym uderzeniem wszystko zniszczył: miasto, życie i mnie. Chyba wariuję! Zawsze to sobie tak wyobrażałem, kiedy byłem mały. Gdyby tak nagle, kiedy patrzę z okna na Czarną Horę, wyłonił się zza horyzontu King Kong, przeskoczył Chatę Jiráska i następnym krokiem znalazł się na dole w mieście, burząc budynki – to dokąd bym uciekł? Przecież i tak kierowałby się prosto na mnie. Schowałbym się z tyłu, w sypialni, ale wydłubałby mnie palcem... Potem siedziałem przy tym samym oknie, miałem już czternaście lat, a zamiast King Konga zza Czernej Hory wyłaniały się bombowce, leciały wprost na mnie, na nasz dom, i zrzucały bomby z trującym gazem... To było jesienią trzydziestego ósmego, podczas mobilizacji: na drogach stały wtedy betonowe zapory („ostrogі Žižki”), a ludzie ustawiali się w kolejkach przed sklepem, w którym sprzedawano maski gazowe. Kupowali je na ostatnią chwilę, ale moi rodzice już dawno to zrobili. Przymierzałem maskę przed lustrem w sypialni i wyobrażałem sobie, że jestem nurkiem albo człowiekiem z Marsa; wtedy to jeszcze była zabawa,

ale potem, we wrześniu trzydziestego ósmego, już się na serio bałem. Nie tego, że zostanę sam w domu; strach miał wiele przyczyn. Czytałem broszurki ojca o iperycie i było dla mnie jasne, że taka maska nie pomoże, jeśli na Kostelec zrzucą iperyt. Jednak nie wyglądało na to, żeby ludzie się bali. Zachowywali się normalnie. Ale ja przecież też się zachowywałem normalnie.

Ojciec chyba się bał, choć może tylko o mnie. Tak czy inaczej podczas mobilizacji mnie jedyne go z całej klasy rodzice wysłali do centrum kraju. Pojechaliśmy z mamą do babci do Kolina. Mieliśmy wielką walizę, a na ramiona zarzucone torby z maskami gazowymi. Pociąg był przepełniony, same maski. Nie mogłem przestać myśleć o iperycie. Powinniśmy mieć cały skafander przeciwiperytowy, a takiego nie mieliśmy. W Kolinie zaraz pierwszego dnia w gimnazjum – do którego miałem chodzić, zanim minie niebezpieczeństwo – wydawało mi się, że wojna jest nieunikniona.

– A czemu chce go pani tymczasowo zapisać do nas, szanowna pani? – pytał łysy dyrektor w sztywnym kołnierzyku.

– Gdyby... – mama się zająknęła – ...coś się stało, to Kostelec leży w pasie umocnień...

– Nie sądzi pani, że to bez różnicy, szanowna pani? Kolin jest miastem przemysłowym i można przypuszczać, że będą tu naloty. No ale skoro pani ma takie życie...

I znów byłem w klatce, która tym razem nazywała się Kolin. Ja po prostu chyba nosiłem ze sobą tę klatkę.

Pierwszego wieczoru poszliśmy z babcią do sąsiadów posłuchać radia. Miał przemawiać Hitler. Wszyscy twierdzili, że to będzie ważne przemówienie. Pewnie pojawią się w nim decyzje, czy czeka nas wojna... Sąsiad nazywał się pan inżynier Błażek. Siedzieli przy radiu, on jego żona i jeszcze dwoje jakichś ich znajomych

z małym chłopcem. Chłopiec bawił się blaszanym samolocikiem i warczał tak głośno, że musieli go upominać. W radio rozległ się straszny ryk, a potem zabrał głos Hitler. Rozumiałem już dobrze po niemiecku, ale bardziej przerażał mnie sam jego głos niż to, co mówił. Wydawało mi się, że skoro ma taki głos, to wojna jest pewna. Przeskakiwałem wzrokiem z mamy na pana inżyniera, na tych dwoje jego znajomych i na babcię – wszyscy mieli zamysłony wyraz twarzy i wpatrywali się przed siebie, tylko mały chłopiec po cichu warczał i robił samolocikiem pętle w powietrzu. W pokoju było prawie ciemno – paliła się tylko jedna lampka w rogu, osłonięta abażurem z materiału, a w oknach wisiały koce. Najjaśniej błyszczało magiczne oko radioodbiornika. Głos był coraz bardziej wściekły, mówił jakby sylabami, a między nimi słychać było ogłuszający ryk... Co mówił dyrektor? Można się spodziewać nalotów. Dlatego te koce w oknach. Broszurka ojca o iperycie... – *Hier stehe ich!* – wrzeszczał Hitler. – *Und dort steht Herr Benesch!* – Znowu ryk, potem jakiś głos solo: – *Sieg!* – i ponownie ryk: – *Heil! Sieg! Heil! Sieg! Heil!...* Zadzwoń! dzwonek i ten dźwięk przewiercił mnie na wylot, od głowy aż do pięt, niczym eksplozja.

– To pewnie nasza Jirzinka. Była w Sokole – stwierdziła pani Blažkova, wstała i wyszła z pokoju. Hajlowanie przerodziło się w ogłuszający ryk. Czy nikt z tych krzykaczy nie boi się wojny? Pan inżynier Blažek w milczeniu wyłączył radio. W drzwiach nieoczekiwanie rozległ się świeży, dziewczęcy głos:

– Dobry wieczór!

Odwrociłem się i zobaczyłem dziewczynę w takim samym wieku jak ja. Trzymała siatkę, w której miała czarne szorty i białą koszulkę.

– To nasza Jirzinka – powiedziała pani Blažkova, a dziewczyna uprzejmie się uśmiechnęła.

– Mnie wzięli na stracha – mówi Boczar. – Pętkiem i wszystko wyśpiewałem. Oczywiście nie było tego dużo. Ot, taka dziecinna konspiracja. Margit na szczęście miała tego dnia grypę, więc jej nie capnęli. A znowu nikt z nas aż tak nie nasrał w portki, żeby i ją w tym umoczyć.

Jest już po północy, tylko demokratyczny młodzian wciąż wytrwale gra na harmonijce. Organizator imprezy śpi z głową na barku, a Veronika, znowu smutna, wbija wzrok w Boczara. Tak, jakże absurdalny jest ten czas – przecież wtedy Veronika bawiła się jeszcze lalkami. Teraz zabawia się z playboyem i tłumaczy mu pełną idiomów opowieść Boczara na doskonały, idiomatyczny kanadyjski. Margaritka trzyma rękę na kole wózka inwalidzkiego męża, więc znajduje się on, opowiadający swą historię, między nią a mną. Pan Pohorsky, z drugiej strony, trzyma dyskretnie rękę na oparciu krzesła.

– *Wie sich die Konspiration der kleine Moritz vorstellt* – ciągnie dalej Boczar. – Dowódcy zwołali pięć oddziałów, z tego dwa dziewczęce, tajnie, do parku Stromovka i tam rozdzielali zadania.

– Nie wystawiliście nawet straży? – pyta ze zdumieniem pan Pohorsky.

– Oczywiście, że wystawiliśmy. Ale straże miały meldować o osobach podejrzanych, tymczasem towarzysze nasłali na nas durchundurch niepodejrzane typy, które dopiero później stały się podejrzane. Krótko mówiąc, nagle ze wszystkich stron rzuciło się na nas ze dwustu zupełnie niepodejrzanych facetów w skórzanych płaszczach, z jeszcze mniej podejrzanyymi wilczurami, które zapewne naszym strażom wydawały się psami-przewodnikami niewidomych. Po chwili mieli nas wszystkich brutto netto tara w przygotowanych budach, łącznie z dowódcami. No i właśnie dowódcy pierwsi nasrali w pory.

– Tak, strach – wtrąca zamyślony pan Pohorsky. – Znam to...

Dostrzegam znaczący szczegół: podobnie jak Margitka umieściła między nami swojego męża, również dama w futrze na wprost nas wcisnęła się między wydawczynię a miłośnika prozy Vančury. Chyba jednak i tak nie uda jej się zapobiec zamawianiu podejrzanych książek, bo pan w sposób widoczny zakochał się w literaturze.

– Jasne, że na początku każdy wszystkiego się wypierał. No, to wymyślili psychodramę – mówił Boczar. – Brali nas po dwudziestu na przesłuchania: – Przyznajesz się? Nic nie zrobiłem! Wyprowadzić! Dwóch zbirów chwyciło skauta pod ręce i odciągało go do sąsiedniego pokoju. Przesłuchujący milczał, my też. Po chwili rozlegał się suchy trzask.

– Dostawał w pysk?

– No, wiesz co, Pohorsky! I ty jesteś były więzień? Oczywiście, że był to strzał. Tego, który się nie chciał przyznać, po prostu zastrzelili.

Veronika drga przerażona:

– Poważnie?

– Momencik, panienko – odpowiada Boczar. – Po chwili obaj goryle wrócili i stanęli znów za śledczym. Ten wywołał następnego i apiać:

– Przyznajesz się? Następny już nie był tak pewny siebie. Widziałem, jak mu zaczęły dygotać kolana. Ale się nie przyznał, tylko przecząco pokręcił głową. Nazywał się Novak i miał chyba z piętnaście sprawności. Śledczy tylko kiwnął głową, zbiry bez słowa zabrały się do roboty, Novak podświadomie próbował się opierać, ale po sekundzie już był za drzwiami. Minutka ciszy – i bach! Jak to się mówi: suchy strzał. I znów obaj goryle bez słowa wrócili. Jeden z nich jeszcze wsuwał pistolet do kabury, którą miał pod pachą, jak w ame-

rykańskich filmach. Zanim schował broń, wydmuchnął dym z lufy.

– Ale to... – odzywa się Veronika.

– Co?

– To jest tak... niewiarygodne...

– Powiedziałem: momencik, panienko! Teraz była moja kolej. Kiedy tylko śledczy na mnie spojrział, poczułem smród prochu strzelniczego. Ze wstydem muszę stwierdzić, że nawet nie czekałem, aż spyta, czy się przyznaję. Sam z siebie wychrypiałem: „Ja się przyznaję!” Kurcundgut, po prostu się stentegowałem.

– Wcale się panu nie dziwię – szepcze Veronika.

Percival domaga się tłumaczenia:

– *What's he saying?*

– Momencik, panienko! Jeszcze proszę nie tłumaczyć! Załatwili tylko dwóch, ale po mnie już się przyznawał każdy, z wyjątkiem jednej dziewczyny, na którą mówiliśmy Akela. Kiedy zbiry ciągnęły ją na egzekucję, to zemdląca, ale się nie przyznała.

– I... zabili ją? – pyta drżąc Veronika.

– Suchy strzał, jak przy dwóch przede mną.

– Ona była ostatnia? – wtrąca znów pan Pohorsky.

– Z naszej dwudziestki. Wszyscy pozostali zaczęli śpiewać; najpierw niezbyt czysto, ale potem śledczy dla potrzeb sądu przetłumaczyli im to z rosyjskiego i wygładzili stylistycznie. W tym właśnie brzmieniu opublikowane to zostało na całym świecie. Że chcieliśmy ideologicznie i światopoglądowo wpływać na młodzież, mimo zakazu jakiegokolwiek wywierania naciśków światopoglądowych, z wyjątkiem światopoglądu naukowego, to znaczy, że jeśli ktoś nie wierzy towarzyszowi Gottwaldowi, to pionier ma obowiązek go zadenuncjować. W następnej dwudziestce po nas byli odważniejsi i zaczęli się przyznawać dopiero po trzecim strzale. W kolejnej znalazł się nawet taki bohater, któ-

ry, piętnasty z kolei, nie tylko się nie przyznał, ale jeszcze coś zawołał. Wprawdzie nie można go było zrozumieć, bo też był sztywny ze strachu, niemniej jednak nim go wyprowadzili, coś krzyknął.

– Ja to muszę Percy’emu przetłumaczyć – mówi Veronika. – Tylko on i tak nie uwierzy. On nigdy w takie rzeczy nie wierzy.

Pan Pohorsky marszczy brwi:

– On jest lewy?

– No... – waha się dziewczyna – ...nie aż tak bardzo.

Ja mu to przetłumaczę.

– Jeszcze chwileczkę, panienko! – wtrąca Boczar. – Proszę mu najpierw przetłumaczyć, że w końcu przyznali się nawet ci zastrzeleni.

Veronika podskakuje:

– Pan sobie ze mnie żartował? – brzmi to niemal boleśnie. Najwyraźniej nie odpowiada jej mieszanka grozy i humoru.

– To oni robili sobie żarty! – Boczar zaczyna rechotać. – Taki czarny humor w praktyce. Nikogo nie zastrzelili. Nie dlatego że nie byli do tego zdolni. Te goryle to naprawdę były niezłe zakapiory. No ale nie byłoby zbyt dobrze, gdyby tylu skautów zmarło nagle w areszcie śledczym na zapalenie płuc. Po prostu goryle wyprowadzali skautów do piwnicy i wracając, strzelali ślepymi nabojami. Tymczasem w piwnicy inni goryle przekonywali bohaterów tak intensywnie, że ci dali się przekonać. Z wyjątkiem Akeli i jednego faceta, którym i tak przyłożyli po dwanaście lat. Mimo że się nie przyznali.

Veronika milczy i patrzy na Boczara. Percy bierze ją za rękę.

– OK – mówi dziewczyna. – *It's just black humor, only...*

Potem w końcu – tego dnia, kiedy nic jeszcze nie rozumiałem – opowiedziała mi o swoim dyskretnym dziesięciominutowym zniknięciu, którego też nie za-

uważyłem, bo nie dostrzegłem faceta, który nagle pojawił się w lokalu. Veronika zbladła. – *Xcuse me a minute!* – wyjąkała i ruszyła w stronę przybysza. Wyszli na zewnątrz. A tam Veronika mówi:

– Więc ty się na mnie wypiąłeś! A ja jechałam do tego dzikiego kraju z twojego powodu, przynajmniej częściowo!...

– Niko, zrozum...

– Nie zrozumiem. Jak mogłeś się na mnie wypiąć dla takiej zdziry?!

– No, bo... to trwało tak długo... Ja już myślałem, że ci się nie uda...

– Tak myślałeś? I dlatego kazałeś gospodyni, żeby nie dawała twojego adresu żadnym kobietom?

– To nie było z twojego powodu... – młodzian o nazwisku Tom Szkvarek ugryzł się w język, ale za późno.

– To jeszcze lepiej! Znaczy nie byłam jedyna, na którą się wypiąłeś!

– Ja... byłem taki samotny... w obcym kraju...

– Powiem ci, Tomik – mówi rozważnie Veronika. – Dla mnie niedoświadczonej to było coś zupełnie nowego. Jeszcze teraz mnie z tego trochę mdli.

– Niko, przecież ty... znajdziesz sobie innego...

Veronika zeszywniała. Zadrżała. A potem mówi spokojnie:

– Widzisz to?

– Co?

– To jest dłoń. Tutaj w Kanadzie nazywają nas etnikami. Podobno mamy różne ciekawe stare zwyczaje.

– Tak?

– Tak. To czemu nie spełnić ich życzeń?

I wlepiła Szkvarkowi taką fangę, że natychmiast spuchł. Nie etniczną. Zaoceaniczną.

– Diabelskie, ale sprytnie wymyślane – powiada pan Pohorsky. – Ja nie mam nic przeciwko temu, żeby w tych

sprawach nauczyć się czegoś od komuchów. Strach to pierwszorzędną broń. Nasza pierwsza akcja też opiera się na tym, żeby im napędzić stracha. – I pokrótce wyjaśnił swój plan: na falach eteru emitowanych z Abisynii zwrócą się do obywateli, żeby każdy z nich kupił przynajmniej dziesięć pudełek zapalek. Jeżeli kupi tylko co piąty i jedynie te dziesięć, będzie to oznaczało około dwudziestu pięciu milionów pudełek. Komuniści będą musieli szybko wyprodukować nowe i w ten sposób zostanie osiągnięty pierwszy cel strategiczny – dotkliwy cios dla komunistycznej gospodarki. Jeśli jednak co piąty zamiast dziesięciu pudełek kupi dwadzieścia...

– A co ludzie będą robić z tymi zapalnikami? – przerywam tę statystykę. – Wypalą je na pusto? W przeciwnym razie nie byłby to żaden cios dla bazy surowcowej, bo po prostu przez rok już nikt nie kupowałby zapalek.

– Będą je łamać i układać w kształcie litery „V” przed drzwiami najbardziej znanych komuchów.

– Co to będzie znaczyło?

Pan Pohorsky wie, że jestem politycznie niedojrzały.

– Oczywiście „V” jak *Victory*. To wojenne hasło Winstona Churchilla!

– A czego się pan po tym spodziewa? – pyta z powagą miłośnik Vančury.

– To będzie ogromny efekt psychologiczny – odpowiada pan Pohorsky. – Wyobraźcie sobie: komuch wychodzi z mieszkania, a na progu ma wielkie „V” z zapalek. Przez pierwsze dwa, trzy dni nie będzie na to zwracał uwagi. No ale potem zacznie się zastanawiać. Za jakiś miesiąc, dwa ci słabsi będą popełniać samobójstwo. A mocniejsi trafią do czubków.

Rozgląda się zwycięsko po zebranych. Nie ma wśród nas ani jednego złego człowieka, który zepsułby mu radość.

– A gdzie będzie partia? – pyta świntuch Boczar.

– W... Budziejowicach – odpowiada po chwili wydawczyni. Dama, która już chciała się zarumienić, nie musi tego robić. Boczar wybucha głośnym rechotem, który budzi organizatora i od strony baru dobiega mdły głos:

*Kudłatą, kudłatą,
Tę najbardziej lubię...*

* * *

...dziewczyna miło się uśmiechnęła. Miała błękitną sukienkę, tenisówki i żółty podkoszulek, a pod nim urocze wypukłości. Na chwilę, tylko na krótką chwilę, zapomniałem o Hitlerze. Dziewczyna usiadła w rogu na taborecie i wystawiła w moją stronę kolana; wiedziałem już, że za parę dni wybuchnie wojna, ale ta dziewczyna w podkoszulku wbiła mi się w pamięć. Przez cały tydzień, zanim w Monachium podpisali umowę, a my z mamą wróciliśmy do Kostelca, codziennie odprowadzałem ją do szkoły i ze szkoły. Pozostała już we mnie na zawsze – kapliczka radości w morzu czarnego strachu – kiedy tak weszła w żółtym podkoszulku, z siatką do poszarzałego pokoju i uprzejmie się przywitała... Nagle rozległ się dzwonek. Ktoś dzwonił do drzwi! W okrutny sposób wyrwało mnie to z cudownego snu i z powrotem przywróciło koszmarnej rzeczywistości. Czarna Hora wyłoniła się z szalonych porywów śnieżycy i przesłoniła poświatę wspomnień. Zapadł mrok. Instynktownie poczułem, że to gestapo.

Dzwonek znów zaterkotał. Przychodzą raczej w nocy, ale niedziela jest może nawet gorsza niż noc.

W mieszkaniu panowała cisza. Wstrzymałem oddech i nasłuchiwałem. Za drzwiami słychać było podkute buty, kiedy gestapowiec przestępował z nogi na nogę.

Jeśli nie pójde otworzyć, wyłamię drzwi. Czyli się wydało. Uippelt musiał donieść. Ładny mi Amerykanin! Może stoi za drzwiami wraz z nimi.

Uciec się nie da; mieszkamy na trzecim piętrze.

Nagle chciałem to już mieć z głowy. Lepiej być pod kluczem i dokładnie wiedzieć, na czym stoję, niż taka niepewność...

Wstałem i na palcach zakradłem się do przedpokoju. Nie było to logiczne. Chciałem się poddać, ale przesuwałem się bezszelestnie. W drzwiach mieliśmy staroświeckiego judasza. Wstrzymując oddech, delikatnie odsunąłem wieczko i spojrzałem komuś prosto w oczy...

Stała tam Nadia, pokryta śnieżnym szronem.

Gwałtownie otworzyłem drzwi.

– Nadiu! Co tu robisz?!

– Daniel, ty nie jesteś schowany?!

– Idę... dopiero dzisiaj w nocy... – skłamałem jak zwykle pośpiesznie i w ten sposób zatrzęsnałem sobie drzwi przed jej propozycją, całkiem konkretną, żeby ukryć się w młynie jej stryjka. Ale zapewne tkwiło we mnie jeszcze coś silniejszego niż strach przed gestapo. Choć nic szlachetnego. Taka freudowska podświadomość.

Stała przede mną w chustce zawiązanej na modłę starej babki, w rzadko noszonym palcie, które mogło być (i zapewne było) zarówno damskie, jak i męskie – taki uniseks górskiego proletariatu. Wszystko to było absurdalne. Silniejsze niż strach.

– Ja się o ciebie strasznie martwiłam, Daniel. Strasznie!

– Wejdz dalej!

– Rodzice są w domu?

– Nie, jestem sam.

Weszła, zamknąłem za nią drzwi. Zatrzymała się na wycieraczce.

– Żeby tu nie nabłociła – powiedziała zawstydzona. – Otrzepywałam się na schodach, ale śnieg jest przy-marznięty.

– To tylko woda. Zdejmij palto.

Pomogłem jej się rozebrać i powiesiłem palto na wieszaku. Pod nim miała niebieską bawełnianą bluzę w żółte kropki, pewnie niedzielną. Jeszcze jej na niej nie widziałem.

– Zdejmę też buty, dobrze, Daniel?

– Nie musisz.

– Muszę. Wy tu macie wszędzie dywany i nie chcę ich pobrudzić.

Schyliła się i zgrabiającymi palcami zaczęła się mocać ze sznurowadłami.

– Mam zmarznięte ręce – stwierdziła.

– Poczekaj, ja ci rozsznuruję.

I tak oto swoją pierwszą kochankę zacząłem rozbiierać od butów. Ciężkich, sznurowanych, topornych butów górskich z metalowymi żabkami, które dzwoniły jak buty gestapowca. Musiałem w tym celu uklęknąć. Kiedy już wreszcie uporałem się z butami, dotknąłem jej stóp w tysiąc razy pranych i cerowanych narciarskich skarpetach. Były jak z lodu.

– Ty jesteś cała zmarznięta, Nadiu!

– Jestem, na kość.

Dopiero w tym momencie dostrzegłem, że lekko dzwoni zębami. Drobne ramionka w bluzie dygotały.

– Nadiu, szukałem cię rano w kościele...

– Dzisiaj nikt z nas nie poszedł. Była burza. Ale ja nie mogłam sobie znaleźć miejsca, Daniel. Cały czas myślałam o tym, czy jesteś schowany.

– Szłaś w burzy?!

– Nie mogłam wytrzymać tej niepewności.

Patrzyłem na nią, ale byłem zbyt młody i głupi. Trzęsła się jak piesek wyciągnięty z przerębla.

– Chodź do pokoju. Ja ci zrobię herbaty. I weź kapcie.

– Zacząłem biegać po mieszkaniu, wyciągnąłem z komórki kapcie matki i jej ciepły szlafrok, otuliłem Nadię

i posadziłem w pokoju na otomanie. Potem pobiegłem do kuchni, wstawiłem wodę na maszynkę i wyciągnąłem z kredensu przedwojenną herbatę.

Pojawiła się w drzwiach i skierowała się prosto do taboretu. Wielkie, płonące oczy.

– Co ty byś... co byś zrobiła? To zupełny przypadek, że jestem w domu.

– Chciałam po prostu być pewna, że jesteś schowany. A jakby to nie wyszło z tymi kolegami, to pomyślałam, że jednak bym cię zaprowadziła do stryjka...

– Ty jesteś wspańska, Nadiu!

– Schowają cię? Naprawdę? A gdzie?

Bała się o mnie. Przynajmniej tyle wyczytałem z jej palającego wzroku. Nigdy wcześniej niczego takiego nie przeżyłem. Przypomniałem sobie Irenę przed południem w knajpie. Wszyscy oni wydawali mi się jak dzieci...

– Nie martw się. Ale nie powiem ci gdzie. Im mniej ludzi...

– To prawda – odparła natychmiast. – Ale dasz mi znać, prawda? Że wszystko jest w porządku.

– Jasne!

Czajnik zasyczał, wlałem wrzącą wodę do dzbanka i wyciągnąłem z kredensu tackę z bułeczkami. Nalałem herbatę do wielkiego kubka, podałem go Nadii na taboret, a tackę z bułeczkami postawiłem na kuchni.

– A ty się nie napijesz?

– Mnie nie jest zimno.

– Ja sama tego wszystkiego nie wypiję.

– Ale za to zjesz.

Zmarznięta twarz roztąjała we wstydliwym uśmiechu.

– Jestem straszny żarłok, wiem. Ale twoja mama robi takie dobre bułeczki!

Roześmiałem się.

– I tak nie mam gdzie usiąść. Chyba że na piecu.

– No to chodź!

Usiadłem na kuchence. Nadia się trochę przesunęła z taboretu, żeby zrobić mi miejsce. Dzbanek i tackę postawiłem dalej i nalałem sobie herbaty. Piliśmy ją, a Nadia wzięła pierwszą bułeczkę do ust.

– Jakie są? – spytałem.

– Doobre! – odpowiedziała. Stara Nadia. – Ile ich mogę zjeść?

– Ile chcesz.

– Ale żeby twoja mama nie poznała.

– Powiem jej, że byłem głodny.

Więc Nadia wzięła następną. Rozejrzała się po kuchni. Na zewnątrz zapadał mrok, a kuchnia lekko połyskiwała. Na kredensie lśnił mosiężny młynek do kawy.

– Bardzo mi się tu podoba.

– Nie jest ci zimno?

– Teraz już nie. Ta herbata jest dobra.

– Nadiu, a co powiedziałaś Francie? Że dokąd idziesz?

Pochyliła głowę nad tacą i wzięła następną bułeczkę. Na palcu miała cieniutki srebrny pierścionek z niezapominajką.

– Franta pojechał do Volesznej odwiedzić ciotkę. Ona jest ciężko chora. Wróci pociągiem dopiero rano, prosto do fabryki. – Spojrzała na mnie gorejącymi oczami. – Więc nic nie musiałam mówić.

Byłem głupi, niedoświadczony. Potrafiłem tylko gadać, jak nieustannie twierdziła Marie. Właściwie tylko jeden raz wcześniej przeżyłem coś takiego, co było trochę podobne do tej chwili zmierzchu, gdy na kredensie lśnił młynek do kawy niczym symbol wspaniałego poznania. Wtedy to było w górskim hotelu, ale w pokoju czekał tata Aleny. Byłem głupi i zielony, choć nie aż tak, żeby nie zrozumieć, że dziś to już nie ograniczy się do butów, herbaty czy bułeczek, ani nawet do pocałunków, gdy tylko Nadia do reszty odtaje. Młynek do kawy świecił niczym monstrancja, a strach całkiem

minął. Na dzień świadomości wiedziałem, że znów powróci, ale nie tak szybko. Teraz bowiem czeka mnie wielkie szczęście. Przyszłości nie ma i jeszcze przez chwilę nie będzie. Bo ja za moment pięknie umrę i poznam coś, co jest większe od śmierci – przez chwilę. Potem to może na siedemdziesiąt lat oszukać śmierć, przedłużyć nierówną walkę gatunku *homo sapiens* z naturą o jedno kolejne życie, ale ja... To wszystko przemknęło przez moją tępą głowę w chwili, kiedy Nadia przeżyła ostatnią bułeczkę. Wstałem i powiedziałem:

– Chodź do pokoju, Nadiu. Tam jest ciepiej.

A ona posłusznie wstała i w narciarskich skarpetach poszła za mną niczym kotka. Biała szarość zimowego dnia, który jeszcze się całkiem nie skończył, odbijała się w pokoju od kryształowego żyrandola. W tej szarości zaświeciła jej twarz, dwa ogniki czarnych jak smoła oczu. Podeszła prosto do otomany, usiadła przy mnie i od razu poczułem jej duże, miękkie, wilgotne i popękane usta na moich wargach, już się całowaliśmy. Po chwili położyła się, ja obok niej, na niej...

Nie wiem, jak to zrobiłem. Po amatorsku. To jedno jest pewne. Szukałem drogi w bawełnie i trykotach, walczyłem z jakąś gumką, ścigałem ją w dół ze szczyptych i gorących krągłości, a Nadia mi pomagała. Zrobiliśmy to z bożą pomocą. Właściwie nawet nie o to chodziło. Chodziło o to, że w chwili gdy stałem twarzą w twarz ze śmiercią, ofiarowała mi to, co miała i co było dla niej najcenniejsze ze wszystkiego, co mogła mi dać. Dała mi siebie i sama z tym przyszła. Bała się o mnie. Chciała mnie schować u swojego stryjka.

Leżeliśmy na otomanie w kłębowisku trykotów, bawełny i żółtych kropek na niebieskim tle. Nadia wciąż miała na nogach swoje bawełniane pończochy i narciarskie skarpety. Lekko świeciły w mroku, który tymczasem zapadł niczym dwa szarozółte szczenięta. Świecił

półksiężyc. Nadia tuliła się do mnie i wszystko właściwie wydawało się w porządku. W objęciach miłości, innej niż te, które do tej pory znałem, było mi całkiem wszystko jedno...

* * *

Na przystanku autobusu przytupuje znajoma postać. Marznie w kanadyjskim stylu, po Yonge Street hula ontaryjski wiatr. Zatrzymuję się.

– Cześć, Frank! Podrzucić cię?

– Chętnie, dzięki!

Siada obok mnie, ma zimowe paletko z materiału, który wygląda jak koc, i płaską czapkę.

– Vilmington strit fajf. To jest koło Karlton ist.

– Akurat jadę w tamtą stronę.

Jedziemy Yonge wśród wiatru i drobnej śnieżnej zamieci. Wycieraczki pracują. Ich cienie skaczą po zachmurzonej twarzy Franka. Chociaż nie znoszę tego głupiego pytania, jednak je stawiam:

– Jak leci?

– Jak krew z nosa.

– Co się stało?

– Wyfajrowali mnie.

– Dlaczego?

– Nie trzymałem gęby na kłódkę.

Czechosłowacka odpowiedź mnie zaskakuje. Pytam więc po amerykańsku:

– Miałeś romans z żoną bossa?

Frank kręci przecząco głową.

– Powiedziałem im otwarcie, co myślę o ich programach. No i za chwilę ekspresowo leciałem. Tu jest sama komuna.

– Chyba trochę przesadzasz!

– Oczywiście, nie są w Partii. Ale poza tym to typowa komusza banda. Salonowi bolszewicy.

Zbliżamy się do jasno oświetlonego skrzyżowania. Mrugają neony. Zatrzymuję się. Frank zapala papierosa. Za szybą świeci witryna księgarni, pełna bestsellerów w błyszczących okładkach. Jak w eisensteinowskim montażu złote litery głoszą: *ANGELA DAVIS: THE LIFE OF A REVOLUTIONARY*. Zapala się zielone światło, jedziemy dalej.

– O jakich programach mówisz?

– Na Juniversal tivi nie masz wyboru. Wszyscy są zakręceni w lewo, niektórzy aż za róg. Prawa kobiet, prawa Indian, prawa Murzynów, prawa pedałów. Jeszcze tylko im brakuje „Rudego Prava”.

Naciskam pedał gazu i suniemy szybko po Yonge Street. Jest wpół do drugiej w nocy, północny wiatr i prawie żadnego ruchu.

– Jeśli musisz się na to stale gapić, jak ja – ciągnie dalej Frank – to masz wrażenie, że już chyba lepiej wrócić do Pragi. Same prześladowania. Nasz szef napisał scenariusz *hard porno* i chciał na to szmal od gawrmentu, ale nie dostał, bo nie chciał w głównej roli obsadzić kanadyjskiej prostytutki. Chciał mieć tę amerykańską kurwę z Dip Srout. Co to za straszne bezprawie!

Te historię sobie przypominam. Rozmowa w telewizji z damą uwędzoną papierosami i mocno sfatygowaną. Robisz to na ostro przed kamerą? Naprawdę? *Sure!* Ile razy robiliście to przed kamerą na ostro? Roześmiała się, jakby ktoś szorował żelazem o chodnik. *How could I remember? Maybe – five hundred times? Or more? I wouldn't know.*

– Widziałem to – mówię. – Dużo straciliśmy przez nasz rząd. Ta dziwka jest takim liberałem, że dałaby się chyba nawet sfilmować, jak sra na klozecie. Z wielkim zbliżeniem tyłka. Ten pierwszy otwór już widziałem w *Deep Throat*. W wielkim zbliżeniu i ogolony.

Frank śmieje się ponuro.

– Powinienem mu być to powiedzieć, człowieku! Że też mi to nie przyszło do głowy. W końcu mu tylko powiedziałem, że kiedy będzie tak, jak chcą, to będziemy tu mieli prawa kobiet, prawa lesbijek, prawa kurew, prawa pedałów, prawa skrobanek, prawa narkomanów, prawa morderców i nie wiem czyje jeszcze prawa, tylko nie będziemy mieli praw człowieka. To stwierdzili, że jestem faszysta, i ciupasem mnie wyfajrowali.

– Twój błąd – odparłem. – Czemu nie trzymasz się kamery, skoro jesteś kamerzysta? Dlaczego krytykujesz dramaturgów? Na to są wszyscy wszędzie uczuleni.

– Nie mogę się powstrzymać – stwierdził Frank. – Uciekłem do Kanady, żeby móc mówić tak, jak mówię.

Zatrzymuję się na następnych światłach. Przez ulicę przebiega grupka męskich prostytutek z klientami. Chłopcom płaczą się nogi w wysokich butach ze srebrnej i złotej skóry, z wyszytymi na brązowo Bóg wie (ale on pewnie też nie wie) jakimi symbolami. Spodnie opięte na szczupłych tyłkach, a pod spodem, jak u kobiet, rysują się *jockey shorts*. Jeden ma w uchu wielki kolczyk, a wszyscy są napaleni marihuaną. Noc pełna Einsteina.

– Bolszewizm na nich nasłać!

– W bolszewizmie homoseksualizm jest tolerowany.

– Ale nie pedalskie maskarady.

Jedziemy dalej. Wiatr jest coraz silniejszy. Wmiata pod ciężko pracujące wycieraczki zamarznęty śniegowy proszek.

– Coś sobie znajdziesz. Ja nie znam ani jednego Czecha, który by tutaj prędzej czy później nie znalazł sobie dobrego dżobu.

– Ci po sierpniu sześćdziesiątego ósmego może tak – mruczy Frank. – Bo to same komuchy.

– A ty nie jesteś posierpniowy, Frank?

– Ja uciekłem w sześćdziesiątym szóstym.

– Dlaczego? Przecież wtedy zaczynało być całkiem nieźle.

– Już miałem tego dosyć.

Ale właściwie czego? Pracował przez wiele lat jako kamerzysta na Barrandovie, a potem nawet jako operator w filmie dokumentalnym. Miał samochód. Czego mu brakowało?

– Już nie chciałem trzymać gęby na kłódkę – odpowiada, jakby czytał w moich myślach. – Jak tu przyjechałem, to nie musiałem. Miałem złudzenia. Człowieku, ja w kraju myślałem, że tu rządzą kapitaliści. No więc przez długi czas zmywałem naczynia. Skręć tutaj, już jesteśmy na Karlton.

Skręcam w lewo, a Frank ciągnie dalej:

– To była dla mnie niespodzianka! W pierwszym dżombie wytrzymałem tydzień. To była dobra fucha, u jednego prywatnego producenta. Ale oczywiście on był kornuch. Zaraz na drugi dzień mnie zaczął szkolić, że film, który kręcimy, to film rewolucyjny. No i rzeczywiście był. Takie gówno, jakiego świat nie widział. W kinach to leciało najwyżej trzy dni, a ten bolszewik na tym zbankrutował. Powiedziałem mu, że nie będę kręcił rewolucyjnych filmów, a on mi na to, że nie muszę, że skoro wybrałem wolność, to ją mam i nikt mnie do niczego nie może zmusić. I wyfajrował mnie. Tu się zatrzymaj.

Hamuję. Wellington Street to obskurna uliczka z samymi drewnianymi domkami. Zatrzymuję się przed jednym z nich, w którym kiedyś był jakiś sklepik, ale już go nie ma. Witryna jest zabita deskami, a na nich nędzne, na wpół zerwane ulotki. *DON WRIGHT IS RIGHT* – czytam pod zdjęciem elegancika o niskim czole, z wąsikiem. Następne z wielu praw zagwarantowanych w tym kraju. *FIGHT FOR WHITE RIGHTS!* – świeci napis letrasetem nad niskim czołem.

– To cześć! Dzięki!

– Cześć!

Frank otwiera zaświnione drzwi obok witryny. Zapalam silnik, skręcam w Carlton i zjeżdżam w dół Yonge w stronę wielkich, oświetlonych hoteli.

* * *

Za przeszklonymi drzwiami zapaliło się słabe światelko. W pierwszym momencie nie dotarło do mnie jego znaczenie. Leżeliśmy obok siebie w półśnie, w dłoń grzała mnie gorąca skóra na brzuchu Nadii, a w policzek jej rozpalona twarz. Po chwili chwycił mnie dawny strach i nagle uświadomiłem sobie, co oznacza blade światelko za szybą drzwi. Zerwałem się z otomany.

– Starzy!

– Jezus Maria!

Upadłem na podłogę starając się jak najszybciej wskoczyć w spodnie. Jakoś mi się udało. Jak długo trwa wejście na trzecie piętro? Kiedy byłem dzieckiem, wydawało mi się, że nieskończenie długo, ale jednak nie zajmuje to więcej niż dwie minuty.

Nadia za mną walczyła ze swoją garderobą. Wypadłem do przedpokoju, zapaliłem światło w kuchni, potem wróciłem do przedpokoju i zapaliłem również tam właśnie w tym momencie, kiedy rozległ się chrzęst klucza w zamku.

– Już jesteście z powrotem?

– Przecież jest prawie szósta – odparła matka i pocałowała mnie na powitanie. Zajrzała do kuchni. – Dany! Nie zaciemniłeś!

Chciałem to naprawić, ale mama mnie uprzedziła. Podbiegła do okna i szybko je zasłoniła. Odwróciła się w moją stronę.

– O czym ty myślisz, dziecko! Wiesz, jaka z tego mogłaby być afera?

– Zupełnie o tym zapomniałem – powiedziałem niezbyt mądrze.

Wzrok mamy spoczął na kuchence. Do tej pory stał tam dzbanek, tacka z okruszkami po bułeczkach i dwa kubki. Matka spojrzała na mnie pytająco. W tym samym momencie z przedpokoju rozległ się głos ojca:

– Czyje te buciory? Nieźle tu ktoś naświnił!

Spojrzeliliśmy w tamtą stronę. Rozsznurowane buty Nadii stały w kałuży wody.

– Ty masz tu jakiegoś kolegę? – spytała matka.

– Tak. To znaczy... jedna... koleżanka z fabryki... coś mi...

Mama skamieniała, a ojca to rozbawiło.

– A, to przepraszam! – powiedział.

– Koleżanka? – matka rozejrzała się wokół po pustej kuchni i dostrzegła zamknięte drzwi do pokoju. Za szybą było ciemno. – A gdzie ta twoja koleżanka?

– No... w pokoju...

– Tam jest ciemno! – oświadczyła matka. Jeszcze bardziej zeszytniała i uniosła w górę brwi.

– Oni wywoływali duchy – powiedział ojciec i mrugnął do mnie.

Beznadzieja. Gorączkowo zastanawiałem się, czy Nadia jest już ubrana. Nie rozebrała się całkowicie, nie miała też żadnego pasa do podwiązek czy innego skomplikowanego mechanizmu. Tylko zwykłe gumki nad kolanami. Powinna już być gotowa. Za drzwiami panowała cisza.

– Nie chcesz nam jej przedstawić? – spytała mama bardzo nienaturalnym głosem.

– Oczywiście... jeśli chcecie... – zabełkotałem.

– Dobre wychowanie tego wymaga – odparł ojciec i kilkakrotnie do mnie mrugnął.

Podszedłem do drzwi i uchyliłem je.

– Nadiu, rodzice chcieliby cię poznać...

Przez chwilę nic się nie działo, a potem z mroku wyłoniła się Nadia, jakiej jej jeszcze nie widziałem. Była purpurowa, jakby się właśnie spaliła nad morzem na słońcu. Jedną pończochę miała lekko skręconą w spiralę, ale poza tym zdołała się całkowicie uporządkować. Jednak i tak wszystko było całkiem jasne.

– Dzień dobry – odezwała się.

– Dobry wieczór – odpowiedziała mama znacząco. Jakby była druga w nocy, a nie szósta po południu.

– To jest Nadia Jirouszkova – wykrztusiłem.

– Miło mi – odparła mama, ale nie podała Nadii ręki. – Smirzicka.

Staliśmy wszyscy jak posągi, a Nadia płonęła. Była bardzo ładną dziewczyną, choć chudą jak szczapa i wyglądającą jak sierota. Ojciec, stary świntuch-teoretyk, natychmiast to spostrzegł i w odróżnieniu od matki podał jej rękę, mocno nią potrząsając.

– Bardzo mi miło, panno Nadiu – wyrecytował i zamrugał oczami jak czarny charakter z grotesek Chaplina, a potem dodał tonem amanta-amatora: – Zostanie pani u nas na kolacji, nieprawdaż?

– Och, nie! – zaprzeczyła Nadia. – Już strasznie późno.

Błądziła wkoło spojrzeniem, za wszelką cenę unikając wzroku mamy i taty. Po chwili dostrzegła pustą tackę.

– Ja i tak dzisiaj zrobiłam państwu szkodę... – zacięła się, a blednące policzki znów zapłonęły.

– Szkodę? – mama uniosła brwi, aż niemal sięgnęły zaondulowanych włosów.

– Zjadłam wszystkie bułeczki. Dan zjadł tylko jedną...

– Przecież nie umrzemy z głodu – stwierdził ojciec i znów zamrugał oczami. – Będzie nam naprawdę bardzo miło, jeśli pani zostanie.

Mama obrzuciła go piorunującym spojrzeniem, a Nadia to dostrzegła.

– Ale ja mam daleko do domu. Już muszę iść.

- A gdzie pani mieszka? – spytała matka.
- Na Czernej Horze.
- No to ma pani rzeczywiście daleko – powiedziała mama z przekąsem niczym lady Windermere.
- A teraz zimą...
- Idzie pani na piechotę? Tak po nocy? – zapytał ze szczerym zdumieniem ojciec.
- Ja jestem zwyczajna. Chodzę codziennie o czwartej rano do fabryki, a o czwartej teraz to jeszcze noc.
- Mama milczała. Wiadomość, że to robotnica z Czernej Hory, całkiem ją zamurowała. Nie spodziewała się czegoś takiego po mnie. Całkiem chętnie ze mną rozmawiała o Irence pana radcy, wiedziała, że się w niej podkochuję, i wcale jej to nie przeszkadzało. Wspominała też o Marii Dreslerovej, bo sądziła, że to nie ja staram się działać na dwóch frontach, tylko te dziewczyny o mnie walczą. Ale ani Irena, ani Marie nie mówiły żargonem, a na Czerną Horę chodziły na narty.
- Próbując jakoś rozładować sytuację, oświadczyłem:
- Nadia jest moją koleżanką z pracy. Pracujemy przy jednym warsztacie.
- Na bormaszynie – wtrąciła szybko Nadia.
- Na bor... – powtórzyła mama z lekkim obrzydzeniem.
- Na wiertarce – przetłumaczyłem.
- Pani też jest na robotach przymusowych? – spytał ojciec.
- Ja? Nie wiem – zawahała się Nadia i znów poczerwieniała. – Pośredniak mnie tam skierował z przędzalni Mautnera.
- A tam pani pracowała... na wiertarce? – ciągnęła dalej mama z wyraźnym samozaparciem.
- Nie, gdzie tam! Wiertarki tam mieli tylko na warsztacie ślusarskim. Tam robiłam na krosnach.
- Ach tak – stwierdziła mama.

Zapadła cisza. Żenująca.

– Przędło się na nich nici – dodała Nadia.

Znów staliśmy jak słupy.

– To ja... odprowadzę Nadię – odezwałem się. – Żeby nie szła sama.

– Teraz? Na Czarną Horę? – mama znów strasznie wysoko uniosła brwi. – Kolacja jest o siódmej! – dodała znacząco.

Nie poznawałem jej. Mama nie była żadną jaśniępanią. No tak, ale jeszcze nigdy nie spotkało jej coś takiego, żeby synka jedynaka niemal przyłapała z dziewczyną w łóżku. I w dodatku, jak niedawno stwierdziła Marie – z robotnicą!

– Daniel ze mną nie musi – powiedziała szybko Nadia. – Ja już nie będę przeszkadzać. – Błyskawicznie przyklęknęła na jedno kolano, wsunęła nogę w narciarskiej skarpecie w but i zręcznie zaczęła go sznurować.

Staliśmy nad nią jak skamieniała Święta Rodzina. W pewnym momencie Nadia uniosła wzrok i spojrzała na ojca, który zaczął do niej mrugać jak Jack Sennett, więc znów spurpurowiała. Palce zaczęły jej się plątać w sznurowadłach.

W końcu wstała, a ja pomogłem jej włożyć palto hermafrodyty i narzuciłem też swoje. Nadia zawiązała sobie jeszcze chustkę. Dopiero teraz zauważyłem, że to dokładnie taka sama wełniana chusta, jaką w zimie nosiła nasza służąca. Cała czerwona wymamrotała:

– Bardzo dziękuję za wszystko i do widzenia!

– Na p r a w d ę nie ma za co, panienko! – odparła mama nieswoim głosem, a ojciec znów straszliwie zaczął mrugać i powiedział:

– Bardzo nam było miło! Niech panienka znów nas odwie... dzi, panno... Nadiu... – ledwo zdołał dokończyć swoją kwestię, bo tym razem mama zaczęła intensywnie mrugać. Do ojca.

Było dla mnie jasne, o czym będą rozmawiali, jak wyjdziemy.

– To na razie – mruknałem.

– Najpóźniej o siódmej – stwierdziła mama z naciskiem.

Wybiegliśmy.

Nadia pędziła ze schodów i dzwoniła podkówkami. Odezwała się dopiero przed domem, gdzie porwał nas wiatr i zawieja, kręcąc nami na wszystkie strony:

– Ale wstyd, Daniel!

– Jaki wstyd?

– Że nas przyłapali!

– Nic się nie stało.

– Ty dopiero dostaniesz, jak wrócisz do domu!

– Daj spokój, Nadia! Nie jestem małym dzieckiem!

– I co z tego? Przynajmniej na ciebie nakrzcyczą!

– Jestem pełnoletni.

– Ale to jest twoja mama. A ja się jej wcale nie podobalam. Zresztą zupełnie jej się nie dziwię.

Zirytowało mnie to.

– Za to ja się bardzo dziwię!

– Bo ty jesteś facet. W dodatku młody.

Nie wiedziałem, co miała na myśli.

– Ale ojcu bardzo się podobałaś. O mało cię nie zjadł!

– Nie mów tak brzydko!

Zamurowało mnie. Dlaczego brzydko? Wiedziałem, że kocham Nadię. I że się nie boję.

– Chodź, Nadia. – Wziąłem ją pod ramię. – Ty musisz strasznie rano wstawać.

Przez chwilę szliśmy w milczeniu w wietrze i zawiei. Po pewnym czasie Nadia cichutko szepnęła:

– O której musisz... O której masz być?...

– Gdzie?

– No, tam, gdzie cię schowają...

Zupełnie zapomniałem, że tej nocy mam uciec do partyzantów. Wciąż nie czułem strachu.

– Dopiero po północy. Odprowadzę cię do domu.

– Nie, Daniel! Przecież o siódmej masz być w domu. W dodatku powinieneś oszczędzać siły.

– Mam ich naprawdę dosyć. Ty mi ich dałaś tyle, że mi starczą do... do końca wojny.

– Akurat! Faceta to tylko męczy.

Dopiero po chwili uświadomiłem sobie, co miała na myśli. Zalała mnie potężna fala absurdalnej zazdrości. Jakie ona ma doświadczenia? Strasznie zazdrościłem osiłkowi Francie Melicharowi. Do diabła, nawet nie zauważyłem, czy była dziewczicą. Pewnie nie była, skoro nie zauważyłem. Teraz z kolei zalała mnie fala miłości. No i co z tego, że nie była. Za to ma doświadczenie. Ma tego Frantę. Ale ma też mnie. To nie jest tak, jak z Ireną czy z Marią. Próbowałem znów być zazdrosny, poczułem jednak tylko zadowolenie. Że mam taką dziewczynę. Taką ładną dziewczynę w śmiesznych buciorach. Myślałem o niej z wielką czułością.

– Naprawdę nie powinieneś ze mną iść. Przynajmniej nie na samą górę.

– Nie chcesz, żebym z tobą szedł?

– No, nie powinieneś. Wiem, że jesteś silny – powiedziała, a ja nadałem się z dumy, choć moja siła była bardzo względna. – Ale nie jesteś do tego przyzwyczajony. A ja jestem.

– Wytrzymam.

I rzeczywiście wytrzymałem. Niespodziewanie za to nie wytrzymała ona. Wdrapywaliśmy się na górę stromą i zaśnieżoną leśną drogą mniej więcej godzinę i nagle Nadia zaczęła ciężko oddychać, a potem powiedziała:

– Daniel, ja muszę odpocząć.

Zatrzymaliśmy się, ale mimo to ona nie mogła złapać tchu. Chwylił mnie strach, choć właściwie nie wiedzia-

łem, z jakiego powodu. Nadia chrapliwie oddychała. Chciałem odpędzić strach, więc powiedziałem:

– Widzisz! Udajesz gieroja, a na koniec to ja cię będę musiał zanieść!

– Przepraszam cię, Daniel.

– Ale daj spokój! Ja się nie wkurzam.

Nadal oddychała z dużym trudem. Półksiężyc już zaszedł, na niebie wisały szklane, zimowe gwiazdy, wokół nas huczał czarny las. Byliśmy zupełnie sami, w zimie, w nocy, w lesie, dwie białe twarze niczym dwa błyszczące koła.

– Po tej burzy... to jednak... – Nadia chwytała oddech.

– Słuchaj, ty jutro zostań w domu, dobra? Ja znam doktora Labskiego, on ci wypisze zwolnienie na trzy dni. Zadzwońię do niego i nie będziesz musiała nic robić. W fabryce powiem, że byłem u was i że masz gorączkę...

– Ale przecież... – dyszała – przecież... ty już nie idziesz do fabryki!

No tak! Znów zapomniałem. Nagle ta cała partyzancka historia wydała mi się straszną bzdurą. I strach też. Nawet gdyby mnie wzięli, to przecież nie byłbym sam. Trochę bym chyba wytrzymał, skoro inni wytrzymują, nawet dziewczyny. Wymawiałbym się głupotą. Zresztą to była głupota, a nie żaden sabotaż. Jedyna prawda, którą dziś wypowiedziałem, to ta, że Nadia dała mi siłę. Postanowiłem, że wszystko jej powiem.

– Ja cię oszukałem, Nadiu! Nigdzie nie idę się chować. To nie będzie takie straszne.

– Daniel, przecież Uippelt wie o tych krzyżakach!

No nie. Z prawdą nigdy w życiu daleko nie zaszedłem. Znów zacząłem fantazjować.

– Przecież wiesz, że Uippelt jest amerykańskim Niemcem i faszystów za bardzo nie kocha...

– Żeby tylko to była prawda... – odparła niepewnie. Było jednak widać, że pomysł mojej ucieczki do nieistniejącej kryjówki też jej zbyt nie cieszył. Jeszcze przez chwilę ją przekonywałem, że wszystko będzie dobrze. W końcu przestała dyszeć i ruszyliśmy dalej.

Mniej więcej dwieście metrów przed wioską, kiedy się kończy las, stroma droga nagle wznosi się niemal pionowo. Tam nieoczekiwanie i ostatecznie Nadię opuściły siły. Usiadła w śniegu i zaczęła dygotać. Takiej jej jeszcze nie znałem. Choć była strasznie chuda, zawsze wydawała mi się niezwykle silna.

– Nie wiem, co się ze mną dzieje – dyszała. – Nogi się pode mną uginają...

Rozejrzałem się wokoło. Nad nami wznosił się nagi szczyt Czernej Hory, a ponad nim widniały gwiazdy. Wioski nie było widać, ale wiedziałem, że jest zaraz za szczytem. Na tle gwiazd ciemno majaczył kamienny krzyż na zboczu góry. W dolinie niczym na pstrokatej tarczy leżał Kostelec. Nagle poczułem przerażenie.

– Już jesteśmy prawie na miejscu – powiedziałem. – Nie chcesz... żebym cię zaniósł?

– Przecież ty mnie... nie uniesiesz. Ja jestem... ciężka. Same kości... – próbowała się śmiać. Wstała i wlekliśmy się na tę straszną górę. Podpierałem ją i sam zacząłem dyszeć jak zdezelowany parowóz. Z nią jednak było jeszcze gorzej i w końcu rzeczywiście musiałem ją nieść. Nie na rękach, tylko na plecach. Tak jak się nosi dzieci. Nie była wcale ciężka, ale ja nie byłem przyzwyczajony do noszenia ciężarów. Myślałem, że padnę. Z zaciśniętymi zębami w końcu wgramoliłem się na szczyt Czernej Hory.

Doniosłem ją aż do kamiennego krzyża i tam ostrożnie postawiłem na ziemi. Oparła się o mnie. Lodowaty wiatr zaczął nas szarpać. Wioska była na wyciągnięcie ręki. Dowlekliśmy się tam, oparci o siebie. Stanęli-

śmy przed chałupą. Była to góraska chata z drewnem na opał poskładanym aż pod dach z gontów i małymi okienkami. Kiedy Nadia otworzyła drzwi, ze środka wyszedł kot i zamruczał. Pocałowaliśmy się, a kot tarł się o nasze nogi.

– Dobranoc, Nadia. Ja cię... Kocham...

– Ja cię bardzo lubię, Daniel – odpowiedziała.

Drewniane drzwi zamknęły się za nią. Stałem jeszcze przez chwilę, dopóki w środku nie zapaliła się lampa nadtowa. Na Czernej Horze do tej pory nie było elektryczności. Światelko słabo błyszczało w wymarłej wiosce.

Odwrociłem się i powoli ruszyłem w stronę szczytu góry. Na tle gwieździstego nieba rysował się kamienny krzyż.

To były znaki, którymi los witał mnie w dorosłym życiu.

* * *

Serwusik, D'Aniell!

Pozdrawiam cię z miejsca, którego byś się nie spodziewał, czyli z naszej rodzinnej małej metropolii. Najważniejsza nowina: Mańka Dreslerova nosi przed sobą coś, co za czasów burżuazyjnej republiki nazywało się bębniem, ale to słowo już nie istnieje, bo jest slangowe, a jak pisze towarzysz Stalin, generalissimus (teraz już nie wiem, czy pisze to się z trzema s na końcu czy w środku, bo zawsze byłem słaby z ortografią), w swojej pracy, która – jak już z nazwy wynika – jest naukowa, „Marksizm a nauka o języku”, slang to wymysł burżuazji, żeby klasa robotnicza nie nauczyła się mówić poprawnie i żeby w ten sposób uniemożliwić jej dostęp do lepiej płatnych zawodów. Nasza klasa robotnicza jest już jednak wykształcona i nie mówi na to bęben, tylko mówi, że Mańka Dreslerova jest ciężarówka.

Mniej istotna, ale wciąż ważna nowina: Rostię Pittermana zapuszkowali, ale nie za sprawy polityczne, jak się ostat-

nio często zdarza, tylko za obyczajowe, co w naszych burzliwych czasach jest zupełnie niezwykłe. W dodatku ja go zawsze uważałem raczej za człowieka politycznego niż za maniaka seksualnego. No, w każdym razie dziwny to on był zawsze, więc jego zapuszkowanie mnie nie zaskoczyło. Przeleciał nieletnią, co jako nauczyciel ma zabronione. To jakaś Róża Rzechaczkowa z Czernej Hory, która chodziła mu pozować jako modelka, choć nie skończyła jeszcze szesnastu lat. A ponieważ on, cwaniaczek jeden, jest żonaty, nie mogli go za tę zbrodnię ukarać dożywotnim małżeństwem (gdyby był stanu wolnego), a jedynie pięcioma latami mamra.

Teraz sobie uświadamiam, że nie napisałem wszystkiego dokładnie. Otóż, żebyś sobie z kontekstu nie myślał, że Mańka ma tę przypadłość jako wolna panienska, ponieważ już nazywa się Koczandrlova. Ale mu to długo trwało, nie? Ja wiem, że się w niej kochałeś, chociaż Pan Bóg i Koczandrle bronili ci dostępu, ale na pocieszenie chcę ci powiedzieć, że nie ty jeden. Ja też się w niej kochałem, tylko że jeszcze bardziej tajnie niż ty i jeszcze bardziej platonicznie (o ile to jest w ogóle możliwe).

Kolejna ważna nowina: również moja żona Jana jest ciężarórką i ponoć z całą pewnością to moja sprawka. Ja jej w sumie wierzę, choć szczerze mówiąc, bardzo mnie to zaskoczyło, co oczywiście nie znaczy, żebyś miał myśleć coś złego o mojej Janie, tylko muszę się przyznać, że ostatnio ona ze mną nie bardzo użyje, bo ja przeważnie jestem na zebraniach, brygadach, czynach społecznych i innych komandirowkach. Kiedy się raz na jakiś czas pojawię w domu, to Jana z powodu tego niezwykłego wydarzenia za każdym razem robi wyżerkę, a ponieważ po tych knajpach jestem stale wygłodzony, to zawsze się tak nawpycham, że Jana ze mną za bardzo nie użyje czy, mówiąc ściślej – nie użyje nic. Więc chociaż nie pamiętam, żeby w ciągu ostatnich dwóch-trzech miesięcy w ogóle w tych sprawach do czegoś między nami doszło, to jednak będę ojcem. Ale tak to bywa. Małżeństwo to zwią-

zek wzajemnego zaufania, jak gdzieś mówi chyba Stalin (bo któżby inny).

Teraz wreszcie przechodzę do najważniejszego: dlaczego tu właściwie jestem. Oczywiście jestem tu na brygadzie bardzo artystycznej. Zaatakowaliśmy właśnie Przedsiębiorstwo Państwowe Kovotex, dawniej Messerschmitt A.G., gdzie ty spędzałeś młode lata na pracy dla Rzeszy, chociaż w sumie twoja praca na nic się Rzeszy nie przydała. Prezentowaliśmy tam klasie robotniczej program literacki napisany przez towarzyszy, w tym między innymi przeze mnie. Inspirację do tego czerpałem w kopalni węgla brunatnego w Kladnie, zakłady Marii Majerovej, ale ostatecznie zacerpnałem ją z „Arkuszy humorystycznych” Vilímka, które ma nasz dozorca na strychu. Był to jednak program w większości poważny, zawierający też piękne pieśni, żadne tam bzdury w rodzaju „Daj mi jeszcze pięć minut”, tylko na przykład „Gdziety jesteś, ma Suliko”, ulubioną pieśń towarzysza Stalina, generalissimusa (już chyba wiem, że te trzy s są w środku, a nie na końcu, ale jednak nie jestem tego pewny). Recytowano też wiersze towarzysza Stanisława Kostki Neumanna i towarzysza Buriana, zwanego E.F. Burian. Moja scenka satyryczna, zatytułowana odkrywco „W urzędzie kwaterunkowym”, jakoś nie za bardzo pasowała do tego poważnego i artystycznego programu i zapewne dlatego nagrodzono ją burzliwymi oklaskami, żeby nie było mi przykro, że nie jest tak piękna, jak na przykład poemat towarzysza Stanisława Kostki „Dwieście trzydzieści siedem i pół procent szczęścia”. Możliwe jednak, że przez tyle lat wykorzystywana klasa robotnicza ma wciąż jeszcze nieco spaczony gust. Trzeba więc będzie chyba przynajmniej dwudziestu lat i chociaż ze trzech następnych towarzyszy Eefburianów, żeby jej gust poprawił się na tyle, aby takimi samymi oklaskami nagrodziła na przykład wiersz „Dwieście trzydzieści siedem i pół procent szczęścia”.

Nasza brygada artystyczna była jednak tylko wstępem do właściwego aktu. On to dobitnie wykazał, że nasza kla-

sa robotnicza, mimo swego spaczzonego przez burżuazję gustu (bo jej się podoba „W urzędzie kwaterunkowym”), jest jednak politycznie uświadomiona. Był to bowiem akt składania podpisów, który dobitnie wykazał, że nasi robotnicy nie tylko potrafią się podpisać, ale również dobrze wiedzą, co podpisują, a gdyby nawet nie wiedzieli, jak im się nakaże, to i tak podpiszą.

Podpisywali petycję w sprawie jak najsurowszej, ale naturalnie sprawiedliwej kary dla kliki towarzysza Slanskiego – tego towarzysza skreślcie, towarzyszu, i niczym go nie zastępujcie: w ten sposób wyraża się swoją pogardę (np. nie mówi się „towarzysz Bata” itp.). Cały akt był bardzo podniosły, a my mieliśmy bardzo dobry widok. Staliśmy w wielkiej hali (w której ty kiedyś pracowałeś dla Rzeszy) na podium za mównicą, na której był z przodu portret towarzysza Stalina w bardzo pięknej ramce, niemal secesyjnej. Towarzysz dyrektor fabryki czytał informację o bandzie towarzysza Slanskiego (znów wykreśl tego „towarzysza”, bo mnie się to ciągle myli). Za bardzo mu to nie wychodziło i wszystko było dość bezbarwne. Ale można to zrozumieć, bo przemówienia to nie jego resort i od tego ma towarzysza dowódcę milicji robotniczej Hetflajsa, który przyszedł – jak przystało na taką okazję – w nowiutkim niebieskim uniformie i ze szczególnie wielkim pistoletem. On tak o tym opowiedział, że wszyscy bardzo się rozgniewaliśmy na bandę towarzysza Slanskiego (cholera, znów wykreśl „towarzysza”!). Trochę tylko był problem, że była tam obecna delegacja towarzyszy z ZSRR, więc żeby też coś z tego użyli, to trzeba było wszystko tłumaczyć na paruski, czym zajął się towarzysz kierownik kontroli technicznej, towarzysz Mozol. O dziwo, bo on za bardzo paruskiego nie znał. Mikrofony też niezbyt dobrze działały, więc nie dało się zrozumieć ani słowa z przemówienia towarzysza Hetflajsa, ale w sumie ja jednak coś zrozumiałem, bo miało sporo takich jakichś akcentów międzynarodowych. Więc mimo że nie rozumiałem słów, to jednak w sumie

zorientowałem się, że towarzysz Hetflajsz zakończył mowę bardzo pięknie: okrzykiem „Niech żyje towarzysz Stalin!” Towarzysz Stalin z pewnością będzie żył, czego nie da się z taką samą pewnością powiedzieć o bandzie Slanskiego (tu już wreszcie nie musisz niczego skreślać).

Teraz towarzysz Mozol podszedł do mikrofonu, który już całkiem przestał działać, więc towarzysz Mozol powiedział podniesionym głosem: „A teraz, bardzo proszę, wszyscy podpiszemy przygotowaną petycję, że domagamy się surowej, ale sprawiedliwej kary dla zdradzieckiej bandy Slanskiego. Proszę podchodzić pojedynczo i... i...” – towarzysz chciał jakoś ładnie zakończyć, ale ponieważ nie jest mówcą, powiedział tylko – „...i zachować spokój”.

Towarzysze robotnicy przez chwile patrzyli po sobie, ale potem chyba w nich zapłonął gniew, twardy, lecz sprawiedliwy (czy coś w tym rodzaju), i jeden taki dryblas z głową jak szyszka wstał pierwszy, schylił się nad stolikiem i zaczął podpisywać. A potem już wszyscy podchodzili, a wcześniej zdyscyplinowanie ustawili się w kolejce jak u rzeźnika i jeden po drugim ciężką robotniczą ręką (kobiety też, nieco lżejszą, ale jednak też ciężką i robotniczą) podpisywali to sprawiedliwe żądanie naszego ludu, którego wolą nasz rząd zawsze konsekwentnie się kieruje. Uroczystego charakteru całego aktu nie mógł naruszyć nawet drobny incydent: jakaś młoda towarzyszka w kolejce zemdląta i jeden związkowiec musiał ją zanieść do ambulatorium, niestety zanim oboje zdolali podpisać petycję, więc wystali ją panu prezydentowi bez tych dwóch podpisów. Teraz na pewno bardzo żałuje – oczywiście nie pan prezydent, tylko ta młoda towarzyszka. Ale rozumiem, że zbrodni bandy Slanskiego było jak dla niej za dużo.

Teraz mi przychodzi do głowy, że ty – stary cwaniaku – często się mnie pytasz, czy wciąż jestem zadowolony, że wlałem w to towarzystwo. Jeśli po tym liście stawiasz sobie jeszcze takie pytanie, to jesteś nie tylko głupi, ale również idiota. Jednak skoro już jestem w tym towarzystwie, to muszę

jakoś oddziaływać na resztę towarzyszy, żeby podobnie jak ja uświadomili sobie, ile jeszcze czeka nas pracy, zanim wybudujemy socjalizm, do którego wiedzie nas towarzysz generalisssimussss Stalin (wydaje mi się, że tych s jest tam jednak za dużo, choć towarzyszowi Stalinowi jak najbardziej się należą).

Zawsze twój

Vratislav

PS Ta Mania ślicznie wygląda, chociaż przed sobą nosi bęben chyba turecki.

Crane

*Człowiek ma jedno serce
I jedną idzie drogą
Lecz jeśli się jej boi
Do czego dojdzie? Dokąd?*

*Miłość rysuje mapy
Różowo Niedokładnie
Kto chciałby mieć los pewny
Niczego z nich nie zgadnie*

*Kto nie brnie w ciężkim błocie
Gdy nocą dzwoni dzwon
Nie pozna życia pociech
Przyniesie marny plon*

*Ten już nie żyje tylko śpi
I niech tak dalej w śmierci tkwi...*

Josef Kainar
przeł. Zbigniew Machej

*Zmiana rzadko wpływa na bieg rzeczy... Może wcale nie jest prawdą,
że historia się powtarza: to tylko człowiek pozostaje wciąż taki sam.*

Walter Sorell

Drogi Danielu,

Z pewnością śledziłeś, jak mnie opluli w gazetach i czasopiśmie, że nawet parszywy pies nie wziąłby ode mnie skórki chleba. Zarzucają mi, że użyłem slangu i argotu, które szpecą język czeski i dewaluują poezję. Z takim zarzutem potra-

fię sobie jednak łatwo poradzić. Język ma korzenie w tym, jak ludzie mówią. Kiedy zamykasz go szczelnie w książkach, traci soki, usycha. Oczywiście starasz się to zastąpić ornamentami, ozdobami, złożoną składnią, ale to jest sztuczne i jak wszystko, co sztuczne, po jakimś czasie marnieje, wychodzi z mody i umiera. Żywi pozostają tylko ci pisarze, którzy wniosą do swoich książek język w jego naturalnej formie – oczywiście stylizowanej, ale nie korygowanej!

Gorsza jest druga sprawa. Wiesz, że decyzję o tym, żeby pójść do przemysłu, podjąłem pod wpływem Neumanna:

Kocham wszystko, co w życiu jest proste i jasne.

I kocham też najbardziej właśnie takich ludzi, których prostodusznością człowiek się nie znudzi, stworzonych z pramaterii, o smaku jak bukiew.

Jest absurdem, że właśnie za te wiersze kilku krytyków zjechało mnie jak burą sukę. Ponoć bohaterowie moich „Monologów” to burzuje przebrani za proletariuszy. W moich tekstach ich uczucia i psychologia są rzekomo równie dekadencjne, jak związki między ludźmi z klasy próżniaczej. Jest w nich zbyt wiele seksu i niemal żadnej polityki. Dokonują nawet politycznej maskarady. A jeden krytyk na dowód, że widzę ich w złym świetle, zacytował mi urywek z Neumanna:

Nie są jak kalejdoskop z kolorowych szkiełek,
co po każdym obrocie łże inną rozgwiadką...*

Ach, Danielu, ja naprawdę w nich wszedłem. Zaprzyjaźniłem się z nimi, zdobyłem ich zaufanie, pieczołowicie ich obserwowałem czy wręcz studiowałem. Tym razem skorzystałem z okazji, jaką odrzuciłem w czasie wojny, i stwierdziłem, Danielu, że oni mogą się jedynie wydawać nieskomplikowani, ale w istocie są równie złożeni jak ja czy Ty! Nie różnią się od Ciebie czy mnie niczym istotnym. Jedyna różnica polega na zdolności do werbalizacji swojej złożoności – tej nie posiadają. Ale czyż właśnie werbalizacja tego, co pozostaje w nich niewypo-

* Obydwa fragmenty w przekładzie Zbigniewa Macheja.

wiedziane, nie jest jednym z podstawowych obowiązków pisarza? Wszystko jest w nich zdecydowane. Ale czym jest owo wszystko? Mnie się pod wieloma względami wydają raczej ostrożni czy obojętni niż zdecydowani. Może jest to wynik stu-letnich doświadczeń, a może efekt tych czasów. Nie wiem.

Ja w ogóle nie wiem, co to wszystko znaczy: dla mnie, dla mojej pracy, dla literatury.

Wiem tylko tyle, że w świecie wszystko jest zawsze trochę inne, niż sobie myślimy, Danielu.

Twój

Jan

* * *

Moje jedyne szczęście, że nie wybrałem sobie tego zawodu, lecz wybrały go za mnie okoliczności. Jeszcze większe szczęście, że okoliczności zmusiły mnie do tak świetnie opłacanej roboty, która w dodatku wymaga bycia w miejscu pracy tylko przez kilka godzin tygodniowo i to zaledwie przez osiem miesięcy w roku. Największym szczęściem jest jednak to, że profesja ta nie jest wynikiem mojego wolnego wyboru, więc nie muszę się zamartwiać pytaniem, jaki ma sens. Kolegów natomiast to pytanie bardzo męczy. Niemal ze wstydem rozmawiają ze mną o swoich badaniach – wydają im się nic niewarte w porównaniu z moimi powieściami, których co prawda nie czytali (tłumaczono je tylko na inne języki, a koledzy należą do tej grupy, która nie odznacza się znajomością języków obcych), jednak słynne hasło: *Publish or Perish* wyposażyło ich do śmierci w bałwochwalczy szacunek dla słowa drukowanego... Próbuję ich przekonać, że na przykład odkrycia kolegi Webstera dotyczące drobnych różnic tekstowych w twórczości jakiegoś zapomnianego dramatopisarza z doby elżbietańskiej, wykazujące błędy dotychczasowego datowania, stanowią znacznie bardziej konkretne wzbogacenie

summy ludzkiej wiedzy niż wszystkie moje powieściowe improwizacje razem wzięte. Naprawdę tak myślę, ale oni uważają to za uprzejmość. Ja natomiast poważnie sędzę, że drobiazgowa, mrówcza analiza, która wykaże źródło, wpływ czy zależność, jest niesłychanie konkretna, a konkrety mają ogromną wartość. Nie mam za to takiej pewności co do swego dzieła. Wydaje mi się, że próbuję tylko w jakiś sposób odgadnąć życie, zinterpretować je, wyfantazjować. Problem jednak w tym, że – jak się wydaje – studentów raczej interesuje fantazjowanie na temat życia niż drobne konkrety.

Podczas wykładu o podstawowych cechach literackiego impresjonizmu grupę ogarnęła chorobliwa senność. Kiedy zaś pięknie, w kilku punktach, podsumowałem im główne cechy naturalistycznego widzenia świata, pod koniec zajęć zgłosił się Higgins:

– Sir, czy moglibyśmy raczej od razu mówić o tej powieści? *I enjoyed it so much!*

Taki cios z pewnością zatrząsłby moją profesorską duszą, gdybym z własnej woli wybrał sobie ten zawód. Ale wybrały mi go okoliczności, więc tylko się na Higginsa wściekłem i dałem mu za karę referat. Skoro tak mu się podoba *Szkarłatne godło odwagi*...

Chociaż Higginsowi powieść istotnie się podobała, uważał za sprawę swego akademickiego honoru, żeby o niej nie mówić, tylko interpretować za pomocą zapożyczeń od innych, bardziej znanych interpretatorów. Teraz właśnie udowadnia sali, jak zwykle nieobecnej duchem, że *Szkarłatne godło odwagi* wcale nie jest powieścią o wojnie, lecz o uczuciowym i intelektualnym dojrzewaniu młodego człowieka oraz o przebytej przez niego drodze od idealizujących złudzeń do poznania i pełnego przeżycia odidealizowanej rzeczywistości.

Moją pierwszą reakcją jest znowu wściekłość.

– Więc pan twierdzi, że to nie jest powieść o wojnie?

- Nie jest. Jest o dojrzewaniu młodego...
- Ani o strachu?
- O strachu też – zgadza się Higgins.
- Ale nie o wojnie?

Tu Higgins traci na chwilę rezon, ale decyduje się jednak trzymać *auctoritates*.

- Nie.
- Przecież dzieje się podczas wojny...
- To nie jest istotne – Higgins zaczyna się wahać.
- Ważne, że mówi o drodze przebytej przez młodego człowieka od...
- Więc niech pan przeczyta to: „Chłopak spostrzegł jednego z wrogów, który wdrapał się na płot, siadł na nim okrakiem i dał pożegnalny strzał”*

Ten pasaż zawsze mi przypominał śmierć biednego Hrocha, który klęczał z pancerfaustem obok rozbitych umocnień, a z niemieckiego czołgu wyskoczył esesman, który spokojnie – choć wkoło była strzelanina – stanął na rozkraczonych nogach i wycelował. Z karabinu wyskoczył drobny płomyczek, ale z tej odległości strzału nie było słyhać. Hroch upadł, esesman wskoczył z powrotem na czołg i pojazd z łoskotem ruszył dalej. Pożegnalny strzał.

Spoglądam na Higginsa. Na jego twarzy nie ma jednak niczego poza zwykłą przekorą posiadacza prawdy objawionej, który chce dostać ocenę A.

– *Well, what about this?* – nie daję za wygraną. – „Sierżantowi ordynansowemu kompanii chłopca kula przeszła na wylot policzki. Ponieważ wiązadła szczęki zostały uszkodzone, zwisła w dół, ukazując w szeroko otwartej jamie ust pulsującą miazgę krwi i zębów”.

Znów nic. *Elementary, my dear Watson*, mówię sobie w duchu. Jeśli w mózgownicy Higginsa jest w ogóle

* Cytaty ze *Szkarłatnego godła odwagi* w przekładzie Bronisława Zielińskiego.

coś, co by się wiązało z tym tekstem, to chyba moje konkretne uwagi, że naturaliści lubowali się w okropnościach, a zamiarem autorów impresjonistycznych jest wywołanie silnych wrażeń wizualnych, do czego te okropności dobrze pasują. Ale w przeciwieństwie do mnie Higgins nie niósł na noszach w spalone słońcem majowe popołudnie człowieka w niemieckim mundurze, nie pomagał go złożyć na stole operacyjnym, nie widział, jak pan doktor Czapek dłubał szpachelką w miazdze krwi i zębów wiszącej pod górną szczęką mężczyzny i nie słyszał bulgocącego dźwięku, jaki wydobywał się z krateru jego ust. Pan doktor Czapek przez chwilę stał nad tą jamą, a potem odezwał się do mnie:

– Tu by był potrzebny chirurg wojskowy. Szczerze mówiąc, nie mam pojęcia, co z tym zrobić.

Potem mężczyznę uśpiono, a doktor Czapek próbował coś zrobić. Pacjent zmarł na stole operacyjnym. Pewnie udusił się własną krwią.

Nic? Do trzech razy sztuka, Higgins. Może historyjka o liście „do rodziny”, który Wilson dał Henry’emu, a kiedy niebezpieczeństwo minęło, natarczywie domagał się jego zwrotu... Nadia, której kłamałem, bo wstyd był równie silny jak strach, ale jednak strach był mocniejszy... Henry, jego galopujące myśli, próby znalezienia ratunku, samousprawiedliwianie...

Nie, to nie ma sensu. To nie wina Higginsa, że w Kanadzie nigdy nie było gestapo. Raczej można by powiedzieć, że to zasługa jego rodziców, którzy nie dopuścili tu gestapo. I wylądowali na wybrzeżu Normandii, gdzie z pewnością zionęło wiele takich kraterów ust...

Mówię więc tylko:

– Nadal pan myśli, że to nie jest o wojnie?

– *Well*, to jest TEŻ o wojnie. Ale to nieistotne. Fragmenty, które pan cytował, to typowe naturalistyczne

detale. W istocie jednak powieść mówi o uczuciowym i intelektualnym dojrzewaniu...

Gdyby to nie była opowieść o duszy, byłaby to tylko zwykła, morska przygoda. Poddaję się. Zerkam na zegarek. Jeszcze dwadzieścia minut, więc zadaję następane pytanie:

– A czy sądzi pan przynajmniej, że powieść tę można uznać za antywojenną?

Higgins zastanawia się i kręci przecząco głową:

– Nie. Crane nie potępia wojny. Traktuje ją jako element naturalnych katastrof. Powieść jest o uczuciowym i intelektualnym...

– Sharon! – przerywam mu, ponieważ Irlandka gwałtownie się zgłasza.

– To JEST powieść antywojenna! – mówi z jakimś osobistym zaangażowaniem.

– Dlaczego tak pani uważa?

– Wyraźnie pokazuje okropieństwa wojny. W ten sposób wywołuje w nas obrzydzenie do niej.

– Jednak z powieści nie wynika jednoznacznie, czy Henry jest żołnierzem armii Północy czy Południa. Nie sądzi pani...

– To nie ma znaczenia – przeczy Sharon. – Wojna jest jednakowo straszna dla żołnierzy wszystkich armii.

Jestem w klasycznej sytuacji. Pogląd powstały na podstawie doświadczenia i lektury wielu źródeł jest konfrontowany z poglądem uformowanym przez atmosferę tych czasów i telewizję.

– Są wojny sprawiedliwe i niesprawiedliwe... – powtarzam za wielkim Stalinem.

Nieoczekiwanie przerywa mi zemocjonowany głos Wendy McFarland:

– Sir! Niech mi pan wymieni choć JEDNĄ sprawiedliwą wojnę!

Trochę mnie to wybija z konceptu. Ukryty cytat z Generalissimusa ją naprawdę oburzył. Jej pełne temperamentu wystąpienie wszystkich budzi. Nikt nie ziewa. Vicky odłożyła torebkę z frytkami, a Wendy triumfuje:

– Chociaż jedną!

Ach, Boże. Spuszczam wzrok. Przez myśl przelatuje mi Rebinka, która jako jedyna z licznej rodziny Silbernaglów... Te żydowskie dziewczynki, mój ojciec, wstydliwie uratowany dzięki śmierdzącej nodze. Budzi się we mnie wściekłość. Nie na Wendy i jej kolana, absurdalnie gołe podczas kanadyjskiej zimy. Na okrutne marsze w śmiertelną pułapkę. I jeszcze Przema, i Nadia: „Ja ich nienawidzę! Tatuś jest już pewnie na Sądzie Ostatecznym...”

Unoszę wzrok. Ale w moim imieniu walczy już czarna Gwendolyn... przeciw handlarzom niewolników... chociaż motywy były głównie ekonomiczne...

– To dlaczego nie jest jasne, po której stronie jest Henry? – pyta przyłapaną, pokonaną, trochę zawstydzoną Wendy.

– Bo Crane był rasistą. Tak naprawdę nie zależało mu na losie czarnych niewolników. *Szkarłatne godło odwagi* mnie obraża! – Jasne pioruny biją z twarzy Gwendolyn o barwie czarnej kawy. – Nie rozumiem, dlaczego czytamy taki *trash*!

Na Gwendolyn też się nie wściekam, chociaż – nieświadomie – wytacza działa, z których kiedyś krytycy strzelali do biednego Jana, o mnie już nie wspominając. Ale to było w innym kraju, a poza tym te dziewczyny...

Trash. Krater ust... strzelec okrakiem siedzący na płocie... Historia jest jednak okrutna. Także historia literatury, w okrutnych rękach zielonej młodości. A jeszcze bardziej okrutna w rękach starców czerwonych jak jaworowe liście jesienią. Starzy ludzie powinni być bladzi...

– *Class is dismissed.*

– Patrz – powiedział Przema. Własnymi plecami zasłonił wylot ulicy i wyciągnął coś spod palta. Potem mi to pokazał. Parabellum. Szykuje się na wojnę.

– Gdyby się nie zwinął, wyciągnąłbym gnata.

Wtedy bylibyśmy mniej więcej tam, gdzie ja byłem przed czterema laty, kiedy dzięki śliwowicy pana Skoczopole uniknąłem wyjątkowego losu kosteleckiego partyzanta. Przedwczoraj zmarł prezydent i w kraju panowało coś w rodzaju nieoficjalnego stanu wyjątkowego. Stałem z Przemą, zieleniarzem, Bendą i Vaharzem na rogu koło Granady, a ci czterej, ku memu przerażeniu, rozmawiali o organizacji podziemnej.

Przyjechałem z Pragi w odwiedzin. Nie przypuszczałem, że będą mieli jakąś organizację. Spotkałem ich przypadkiem w alei Jiráska i Przema bezceremonialnie wprowadził mnie w spisek – taki sam jak ten, w który się wplątałem cztery lata wcześniej, dokumentując aparatem fotograficznym jego bohaterski wyczyn. Tylko przeciwnik był inny. Ale liczyło się, że też zlikwidował wolność. Ja już przesiąknęłam uczelnianym marksizmem, więc nie rozumiałem, do czego robotnikowi z magazynu tytoniu potrzebna jest intelektualna wolność.

Staliśmy jak zawodowi spiskowcy, z pochylonymi ku sobie głowami, gdy nagle za nami rozległ się głos:

– Co się dzieje, panowie?

Malina. Ten sam, ale teraz w mundurze milicji obywatelskiej.

– A co cię to obchodzi? – spytał buntowniczo zieleniarz.

– Obchodzi mnie, ty byku – odparł Malina. – Widzisz ten mundur?

– No i co?

– Nic ci nie mówi ten mundur, ty indyku?

– Nie. To ty się przyczepiłeś.
– O czym rozmawiacie?
– Nie twój interes!
– A właśnie że przypadkiem mój – oświadczył Malina. – Prowadzicie rozmowy antypaństwowe. Człowiek wcale nie musi być mądry, żeby to od razu poznać.
– Całe szczęście, że nie musi. Bo ty nie jesteś – wtrącił się Vaharz.

Stojący przy mnie Przema włożył rękę za połę palta niczym Napoleon.

– Nie obrażaj mnie, dobra? Żebyś nie musiał iść ze mną! – pogroził mu Malina.

– Z powodu tego munduru?

– Ty! Żeby ci się nie zrobiło smutno!

– Dlaczego miałoby mi być smutno? Jestem wesoły. Przecież mamy socjalizm...

– No to słuchaj, Vaharz! Idziesz ze mną!

Pod paltem Przemy coś cicho szcęknęło. Zdenerwowałem się i postanowiłem interweniować.

– Nie wariuj, Malina – powiedziałem. – Gadaliśmy o babach.

– Akurat o babach, ty pawianie! Gadaliście o polityce!

Między kibelem w fabryce meserszmitów a mundurem Maliny istniała historyczna granica. Wierny wspańniętej tradycji stwierdziłem:

– Gówno prawda! Gadaliśmy o jednej takiej, co ma jak owca.

– Zalewasz! – odparł Malina z groźną miną, ale urzędowa atmosfera wyraźnie zelżała.

– Mówię ci! Mam w Pradze świetną pannę, ale nie mogę w nią wejść.

– No to jak to robicie? – spytał z zaciekawieniem.

Przema wyciągnął rękę zza poły palta.

– Nijak. Mówię jej, żeby sobie zrobiła operację.

– A to się da, taką operację?

– Da się, tylko może się zdarzyć, że jej zrobią za wielką i znów masz problem. Bo wtedy z taką babą się nie wyrobisz.

– Malina by się wyrobił – oświadczył Benda.

Funkcjonariusz się roześmiał.

– To masz problem, ty ratlerku. Powinieneś sobie znaleźć jakąś inną.

– Chyba będę musiał. Gdyby ta operacja się nie udała, to mam ją na karku i co potem z nią robić?

– Podrzucić ją Malinie – zaproponował Benda. – On ma takiego jak King Kong.

Malina znów się roześmiał i nie zdementował tej informacji, ale po chwili sobie uświadomił, że za bardzo się spoufala.

– No, byki – stwierdził pojednawczo. – Jak chcecie rozmawiać o babach, to idźcie do Berana. W miejscach publicznych mamy nakaz nie dopuszczać do zgromadzeń.

– A kto urządza zgromadzenia? – znów odezwał się zaczepnie zieleniarz.

– Idziemy, Malina, nie bój się – wtrąciłem szybko. – My ci nie zrobimy żadnej afery.

– Nie chodzi o aferę, tylko o porządek publiczny – oświadczył funkcjonariusz i oddalił się dostojnym krokiem.

To wtedy Przema powiedział:

– Gdyby się nie zwinął, wyciągnąłbym gnata.

– I bylibyśmy w dupie – podsumowałem.

Przema wsunął parabellum pod palto. Na szelkach pod pachą miał przytwierdzoną pochwę. Pewnie to widział w jakimś filmie.

– Jak go znam, podkuliłby pod siebie ogon.

– Na chwilę – odparłem. – Potem by pobiegł na komendę i zgadnij, co by było dalej.

– Trzeba brać wszystko pod uwagę – powiedział Przema.

Później w pokoju, w którym przed czterema laty doktor Labsky opatrzył mu poparzenia, wytłumaczył mi, czego ode mnie oczekuje. Do fizycznej walki mają podobno dostateczną liczbę ludzi. Potrzebują kogoś wykształconego, żeby im sformułował program, hasła, apele. Wyciągnął szufladę, w której miał mały powielacz.

– Napisz nam jakąś ulotkę.

– Jaką?

– Wszystko jedno. Na przykład, że nie ma masła, bo wywożą je Ruscy.

– Aha.

Usiadłem i wyjąłem pióro. Znów w pułapce. Gdybym odmówił Przemie, czułbym się jak Malina w mundurze. Ale nie chciało mi się pisać. Ani o masle, ani o niczym innym. Nie marzyłem o nowych przygodach w ruchu oporu. A w dodatku nie byłem pewny, jak to właściwie jest.

No ale Przema był stary kumpel. Przypomniałem sobie to popołudnie, gdy z narażeniem własnych spodni sfotografowałem jego dzieło zagłady, dzięki czemu na kosteleckiej tablicy pamięci pojawiło się siedem nazwisk. Łączyła nas mocna więź, więc nie mogę go zdradzić. Chyba tak całkowicie nie ma teraz takiej racji, jaką miał wtedy. Ale nie mogę zdradzić jego przyjaźni z powodu jakiejś racji, która może...

Po prostu znów znalazłem się w klasycznej pułapce życiowej.

I dlatego napisałem:

„Pytamy towarzyszkę inżynier Jankovcovą: Gdzie jest czeskie masło?

I odpowiadamy: W pociągach jadących do Związku Sowieckiego!

Zamiast czeskich dzieci smarują sobie nim chleb towarzysze na Kremlu!”

Przemie się podobało.

– Krótkie i dobitne – stwierdził.

Z zażenowaniem i poczuciem narastającego przerażenia patrzyłem, jak z każdym obrotem korbki moje wy pociny rozmnażają się i rozmnażają:

„Pytamy towarzyszkę inżynier Jankovcovą

Pytamy towarzyszkę inżynier Jankovcovą

Pytamy towarzyszkę inżynier Jankovcovą”

– Przyjdź wieczorem o dziewiątej – powiedział do mnie Przema, kiedy już wyprodukował ze sto sztuk. – Będziemy nadawać.

Żołądek podszedł mi do gardła. Stara, tradycyjna reakcja organizmu. Przecież nie będę znów takim samym idiotą jak wtedy...

Przyszedłem punktualnie o dziewiątej. Wciąż jeszcze wielu spraw bałem się bardziej niż własnego strachu.

Przema otworzył szafę na ubrania. W środku stała ogromna radiostacja.

– Skądżeś to wziął, człowieku? – poczułem, jak uchodzi ze mnie powietrze.

– Ukradłem nad granicą, jak byłem w wojsku. Wiedziałem, że kiedyś to się może przydać.

Coś sobie przypomniałem.

– Masz też jeszcze ten karabin maszynowy?

Przema zrobił tajemniczą minę. Na jego mongolskiej twarzy pojawił się błogi uśmiech.

– Spokojnie – odparł. – Mamy umówioną długość i czas. Ale Robert nie umie po czesku. Po to jesteś potrzebny. Będziesz mówił po angielsku: Zys is lida, kolin słań. Tak się umówiliśmy z Robertem, jak był tu na wiosnę. A on się odezwie: Zys is słań, kolin lida.

– A potem?

– Potem? – Przema wzdryga się zaskoczony. – No, powiesz mu, że będziemy nadawać na tej samej długości fali znów za tydzień.

Lekko odetchnąłem. Za tydzień będę już w Pradze. Przema musi znaleźć innego operatora radiostacji. Jak

go znajdzie w Kostelcu, to jego sprawa. Ja w każdym razie nie zdradziłem.

No więc nadawałem. *Leda calling Swan*. Mój głos ginął w mieszance głosów wołających po rosyjsku, niemiecku, patagońsku czy w innych językach, których nie znałem. Skądś z tego Babilonu miał się odezwać Łabędź. Nie odezwał się. Robert, syn jednej z dziesięciu siostr pani Skocz-dopolowej, które wyszły za mąż za granicą, pewnie zapominał o umowie. Albo go z tym w Anglii wyśmiali – żeby krawiec miał mieć swoją radiostację... Przema z zieleniarzem siedzieli w napięciu obok mnie. Na stole stos ulotek o maśle. *Leda calling Swan*. Łabędź milczał.

O dziesiątej zrezygnowaliśmy.

– Na pewno to miało być dzisiaj?

– Jasne – przytaknął Przema. – Mam to zapisane.

– Dobrze zrozumiałeś? Przecież on nie mówi po czesku.

– Rozmawialiśmy po niemiecku.

– A ty znasz niemiecki?

– Nie za bardzo – przyznał się Przema. – Ale na pewno to było dzisiaj.

Zamknęliśmy radiostację w szafie i przeszliśmy do kuchni. Tam od pamiętnego wieczoru sprzed czterech lat nic się nie zmieniło. Kwitnący pan Skocz-dopole siedział z butelką domowej śliwownicy.

– Napijcie się, chłopaki.

Uśluchałem tylko ja i zieleniarz. Przema nie pił. Zachowywał zakonne reguły konspiracji. Pan Skocz-dopole pił za duszę niedawno zmarłego prezydenta chyba od chwili jego śmierci. Był już w proroczym nastroju. Słuchałem go i pomyślałem, że jako prorok będzie może lepszy niż biedny zamordowany Brych.

– Teraz to dopiero się będzie działo, chłopaki! Najpierw Masaryk i przyszły szkopy. Ledwo to przeżyliśmy. A teraz Beneš i są tu bolszewicy. To już jest koniec!

– Będziemy się bronić – oświadczył zieleniarz.

– Sami się nie obronimy. A Zachód nas zostawił na pożarcie. Jak wtedy. Ale wtedy my byliśmy silni, a oni jeszcze nie byli zorganizowani. Tylko podstępni. Teraz już mają wszystko w garści. To będzie tragedia. Napijcie się, chłopaki!

Zastosował się do własnego apelu, a my wraz z nim.

– Chłopaki, zaczynam mieć pietra. Wy nie wiecie, co nas czeka! Ale ja wiem! Jak sobie przypomnę... – pan Skoczdo pole sobie dołał. – ...taki Sedlica. Pod Samarą ogłuszył go granat i dostał się w ich łapy...

Głos mu się załamał i zapoznał nas z historią, którą usłyszałem już tamtej czarnej nocy cztery lata temu. O legionistach zakłutym bagnetami i zagrzebanym w gnoju. Ale dziś dodał do tego szczegóły, które wtedy pominął, albo ja byłem już tak sztywny, że mi wyleciały z pamięci.

– Wiecie?... – załkał. – Wiecie, co mu zrobili, zanim go zatłukli na śmierć? Nie potraficie sobie nawet wyobrazić! Ja też nie sądziłem, że to możliwe, dopóki nie zobaczyłem tego na własne oczy. Napijcie się!

Chociaż postanowiłem, że tym razem zachowam ostrożność, żeby nie skończyć jak wówczas, to jednak posłuchałem go. Kikutem starł łzę z nosa, podobnego do czerwonego ogórka.

– Wykastrowali go, chłopaki! Na żywca! Czeski lud, chłopaki! Czeskiego człowieka!

Obaj automatycznie się napiliśmy.

– Chłopaki! Skoro potrafili zrobić coś takiego, kiedy nie byli jeszcze zorganizowani, to możecie sobie wyobrazić, co potrafią zrobić teraz?

Z kłębow papierosowego dymu wyłoniły się na chwilę jego żółte gałki oczne. Byłem niemal w tym samym miejscu co przed czterema laty. Powinienem natychmiast wyjechać z Kostelca.

Wydaje się, że Veronikę już przyjęto do rodziny. Stoi wystrojona w jasnoniebieskiej sukience obok Percy'ego i szczerzy zdrowe zęby do gości Svenssonów, którym Percy ją przedstawia. Znowu jedna mądra czeska dziewczyna dobrze wyjdzie za mąż, myślę sobie, zbliżając się do niej. Kiedy jestem już tak blisko, że mogę ją słyszeć, wzdrygam się przerażony. Czeska dziewczyna podcina gałąź, na której siedzi. Prowadzi niebezpieczną grę z rytuałem, odgrywa teatr absurdu.

– *Meet Veronica Perst* – mówi Percy z odpowiednim akcentem do damy w długiej sukni. – Miss Perst jest z Czechosłowacji.

– Jakże ciekawe – recytuje dama z taką samą intonacją. – *How long have you been in Canada?*

A Veronika obdarzona absolutnym słuchem, polegając na semantycznym znaczeniu odpowiedniej intonacji, odpowiada jej z miłym uśmiechem:

– *Bout a century.*

Dama się nie dziwi i rewanżuje się klasyczną repliką:

– *How do you like Canada?*

– *Not at all!* – z miłym uśmiechem i radosną intonacją.

– *How nice!* – mówi na to dama, a potem dodaje: – *Przepraszam, tam jest Molly Smithers. Muszę jej powiedzieć hello. See you later!*

– Mam nadzieję, że nie!

Veronika po prostu igra z ogniem.

Trochę jestem na nią wściekły, że stroi sobie żarty z tych przyzwoitych ludzi, którzy nie zrobili jej nic złego. Liczy również na to, że jej anglosaski narwaniec Percival jest zbyt oszołomiony, żeby tę grę zauważyć.

Narwaniec rozmawia z jakimiś panami. Próbuję spojrzeć na Veronikę jego oczami. Dlaczego akurat ta smutna dziewczyna z Pragi, całkiem ładna, ale nie ładniejsza niż choćby siostra Percy'ego i kilka jej koleżanek?

Jest to jednak tajemnica organizmu. Kiedyś, w czasach bratania się, pojawiła się w Pradze pewna Mabel. Murzynka z Chicago, brzdąkała na gitarze i śpiewała postępowe pieśni o marmurowych bankach. Nic szczególnego, ale nagle dostrzegłem, że ma różowe dłonie. Natychmiast przetłumaczyłem *Marmurowe banki* na czeski. Czekoladowa Mabel o różowych dłoniach mnie omaiła. Prawda, że nie na długo. Czy lekki akcent Veroniki ma w sobie urok różowych dłoni? Mam nadzieję, że w przypadku Percy'ego nie jest to tylko *skin-deep*.

A ta zwariowana dziewczyna wciąż piłuje gałąź. Wy-myśla coraz to nowe wariacje. Na przykład:

– *See you later!*

– *Don't come back!* – i do tego jeszcze ultrabrytyjski uśmiech.

Od czasu do czasu na twarzy którejś z konwersujących osób pojawia się cień podejrzenia, ale albo są zbyt uprzejme, albo myślą, że ta biedna emigrantka nie zna angielskiego. Biedactwo. A taka jest ładna.

– *I'll see you later, Veronica. Perst, is it?*

– *You bet, honey!*

– *Are these games people play in your country?* – słyszę nagle za sobą.

Odwracam się. Szare oczy Ireny Svensson.

– Sądzi pani, że Percy to zauważy? – zadaje pytanie zamiast udzielić odpowiedzi.

– *So what?* – stwierdza Irena. Znów ma na sobie nową kreację. – Jaki to problem?

– Mam wrażenie, że pani brat jest dla Veroniki ważny.

– A panu zależy na Veronice? – pyta Irena z powagą. I tajemniczo.

Uśmiecham się.

– Czuję się trochę jak jej ojciec. Nikogo w Kanadzie nie ma...

– Ojcowie bywają zakochani w swoich córkach.

– *You've been reading Freud!*

– *So what?*

Stoi przede mną w połyskującej sukni, w scenerii, o jakiej marzyłem jako młodzien upojony hollywoodzkim kiczem. Pali papierosa, możliwe, że z marihuaną. Ta absurdalna odległość pomiędzy Kostelcem a Svenssonami. I wszystko to w jednym krótkim życiu.

– No nic – odpowiadam. – To po prostu moja rodaczka i mogłaby być moją córką.

– Ja też bym mogła.

– *So what?*

– *Don't you know what?* – pyta. A potem się odwraca i odchodzi. O, do diabła! Ma szczupłe nogi i trzewiki ze złotymi obcasami. Wygląda jak profesorski sen o miłosnej przygodzie z najładniejszą studentką w grupie.

Ale to jest XX wiek. Wszystko jest możliwe. Dlaczegoż by więc nie coś przyjemnego?

I czy nie takie same gry ludzie prowadzą zarówno w Kostelcu, jak i w Kanadzie?

* * *

Dowiedziałem się, że Irena jest w Kostelcu. Zaprzagnąłem ją zobaczyć, zanim wrócę do Pragi. Było krótko po południu, dzień po przygodzie z radiostacją, świeciło słońce. Przema się nie pokazał; zapewne gdzieś krążył z moimi beznadziejnymi ulotkami i wciskał je ludziom pod drzwi. Nieprzyjemne wspomnienie. Musiałem zobaczyć Irenę.

Była już mężatką, ale nie znałem jej wybranka. I już się w niej nie kochałem. Przeszło mi to, kiedy mama ciężko zachorowała, a Irena nagle zaczęła być dla mnie dobra. Przyszła nawet do nas i zaproponowała, że umyje podłogę w kuchni. Kiedy ją myła, miłość nagle minęła, jak ręką odjął. W jednej chwili. Jednak nie powiedziałem jej tego, a jej to było obojętne, bo wkrótce po-

tem romantycznie zakochała się w jakimś docencie, który ponoć był strasznie przystojny. Potem za niego wyszła. Mieszkała w Pradze, była elegancka, parę razy ją spotkałem. Za każdym razem trzymała rakieta i szła na tenis albo z tenisa. Zawsze miło sobie pogadaliśmy i każde z nas ruszało w swoją stronę. Potem kiedyś jechałem z Harykiem pociągiem do Pragi, żartowaliśmy z dziewczyn i opowiedziałem mu o tym niewytłumaczalnym końcu mojej długoletniej miłości. Jak mi nagle Irena przeszła, kiedy zobaczyłem ją myjącą podłogę. Śmialiśmy się z tego, a obok w przedziale siedziała ciotka Ireny i wszystko słyszała. Oczywiście opowiedziała jej i Irena się na mnie obraziła. Od tego czasu ze sobą nie rozmawialiśmy. To był zamknięty rozdział, ale było miłe od czasu do czasu go czytać.

Skręciłem w stronę jej domu, wdrapałem się na trzecie piętro i zadzwoniłem do drzwi. Otworzyła mi Alena i miałem wrażenie, że się przestraszyła.

– O, cześć! – powiedziała cicho. – Przyjdź innym razem, dobra?

– Co się dzieje?

– Nie mogę ci teraz tłumaczyć, ale przyjdź kiedy indziej. A wcześniej zadzwoń!

– Ty tu kogoś masz?

– Zgadłeś!

– Dzień dobry – rozległo się za Aleną. W komiczny sposób przyłożyła sobie dłoń do ust, bojąc się, że będzie afera. Mężczyzna, który wyłonił się z drzwi pokoju, nie mógł tego widzieć, bo stała do niego tyłem.

– Dzień dobry – odpowiedziałem mu.

– Pan?...

– Smirzicky.

– Proszę dalej, panie Smirzicky – odparł. Zacząłem przeczuwać, że powinienem był posłuchać Aleny i o nic nie wypytywać. Ale musiałem już wejść.

W salonie na kanapie siedziała Irena, miała długie spodnie, czego jeszcze na niej nie widziałem. Dobrze w nich wyglądała. Nie była jednak miła. Nie odpowiedziała nawet na moje „cześć”.

– Cóż to jest, Renko? – powiedział pan, który, jak się domyśliłem, był jej mężem. Przystojniak. Wyglądał jak Grau, wuefista, w którym się Irena kochała w trzeciej gimnazjalnej. Duży cielący blondyn. Pewnie to był jej typ: cielący blondyni. – Gość się wita! – stwierdził.

– Cześć – mruknęła Irena bardzo nieuprzejmie.

– Proszę siadać – zwrócił się do mnie pan. Usiadłem na krześle, a pan spoczął w fotelu. Alena przykucnęła koło Ireny, z drugiej strony kanapy. Zapanowała cisza. Najwyraźniej przyszedłem w nieodpowiednim momencie. Nie wiedziałem tylko, skąd się wzięła taka atmosfera.

– Chce ktoś herbaty? – spytała po chwili Alena.

– Czy gość sobie życzy? – wyrecytował pan w taki sposób, żeby nie było wątpliwości co do ironii.

– Niekoniecznie – odparłem.

– Przecież nie będziemy tu siedzieli na sucho – ciągnął dalej pan – skoro już siedzimy w milczeniu.

– To ja pójde zrobić – oświadczyła Irena i uciekła.

Pan w zadumie wpatrywał się w okno, Alena w rogu kanapy czerwieniała, tłumiąc śmiech. Założyłem nogę na nogę i przy okazji potrąciłem stolik do kawy. W tej ciszy zabrzmiało to jak strzał z pistoletu.

– Przepraszam.

Pana to jednak nie wyrwało z zadumy i patrzył nadal w okno.

Siedzieliśmy w takim ciężkim milczeniu chyba z minutę, która dłużyła się jak dziesięć minut, a ja zastanawiałem się, co mógłbym sensownego powiedzieć. W końcu się odezwałem:

– Miło mi, że mogę pana poznać...

Pan jeszcze przez chwilę kontemplował widoki za oknem, a potem powolutku przeniósł wzrok na mnie.

– Miło mi, że panu miło – powiedział.

Znów cisza. Alena w kącie była już jak piwonია. W kuchni zagwizdał czajnik. Wyduśiłem z siebie następne zdanie:

– Irena mi... o panu opowiadała...

– Hm – mruknął pan. – Dużo?

– Słucham?

– Czy dużo? Czy dużo panu o mnie opowiadała?

– No... trochę...

Pokiwał głową. Do pokoju wróciła Irena z herbatą i czterema filiżankami na tacy. Postawiła wszystko na stoliku do kawy i zaczęła nalewać. Mnie przelała. Celowo. Każde z nas wzięło swoją filiżankę i zaczęło mieszać łyżeczką. Cisza. Próbowałem znowu zacząć rozmowę:

– Kiedy... wracacie do Pragi?

Nic.

– Gość się pyta – powiedział pan.

– To mu odpowiedz – odburknęła Irena.

– Jestem niemal pewien – pan wyraźnie artykułował każde słowo – że wolałby, żebyś mu ty odpowiedziała, Renko.

– Aleno, powiedz mu, że jedziemy jutro.

– Jadą jutro – Alena z trudem powstrzymywała śmiech. – Autem.

– Aha – wypilem głęboki łyk herbaty i zatkało mnie. Była strasznie gorąca. Mąż głośno siorbnał. Komuś zaburczało w brzuchu. Milczeliśmy.

– Możesz tu jeszcze parę dni zostać, jeśli chcesz, Renko – przerwał ciszę pan. – Powiedzmy... do niedzieli. Wystarczy ci?

– Nie chcę – mruknęła Irena.

– Nie? Dlaczego?

Irena nic nie odpowiedziała.

– Rozumiem – mówił dalej pan. – W małym miasteczku trudno się żyje... ale za to są tu piękne lasy!

Alena znów niemal parsknęła śmiechem.

– Albo nie. Wiem co! Ty jedź do Pragi, Renko, a ja tu zostanę do niedzieli.

– W takim razie ja też tu zostanę – oświadczyła... Renka.

Pan wzruszył ramionami i spojrzał na mnie jakby przepraszająco. Na Boga, co to za facet! Uznałem, że skoro przyszedłem w złym momencie, to najlepiej będzie jak najszybciej stąd zniknąć.

– Będę już musiał iść...

– Ależ dlaczego miałby pan wychodzić! – Wstał. – Ja pójdę! A pan niech tu zostanie! Alenka pójdzie ze mną, nieprawdaż? Pójdziemy na przykład do kawiarni. – Odwrócił się do Ireny. – Wystarczy, powiedzmy, godzina? Albo raczej dwie, Renko. Co ty na to?

– Oto, nie wygłupiaj się! – odezwała się Irena.

– Idziemy, Alenko?

Alena wstała.

– Ja idę z tobą! – oświadczyła Irena.

Pan stanął.

– A co z gościem? Gość przecież przyszedł do ciebie. Czy nie mam racji? – odwrócił się w moją stronę.

– No... – wykrztusiłem – pomyślałem... czy przypadkiem Ireny nie ma w domu...

– No i ona była! – zaśpiewał pan. – Niestety nie sama. Zaraz to jednak naprawimy!

Chwycił Alenę pod ramię i zaczął ją ciągnąć do wyjścia. Alena już tego nie wytrzymała i parsknęła śmiechem. Irena krzyknęła ze wściekłością:

– Oto, jeżeli pójdiesz!...

Pan tylko wyszczerzył zęby w uśmiechu i wyprowadził Alenę. Trzasnęły drzwi w przedpokoju. Irena od-

wróciła się na kanapie tyłem do mnie, podkładając pod siebie jedną nogę.

Przez chwilę milczeliśmy.

– Nie wiem, zapewne przyszedłem w niewłaściwej chwili... – odezwałem się pierwszy.

– Jesteś niezwykle domyślny!

– Zawsze byłem.

Irena odwróciła się i napiła herbaty. Oparzyła się. Wściekle trzasnęła filiżanką o podstawkę.

– Najchętniej bym cię...

– Co?

– Nic. Nie wystarczy, że mnie...

Umilkła.

– Co że cię?

– Prześladowałeś przez całe gimnazjum i potem, to jeszcze teraz musisz mi stwarzać problemy w małżeństwie!

– Ja? – zdumiałem się całkiem szczerze. – Przecież od czasu jak wyszłaś za mąż, w stosunku do ciebie absolutnie na nic sobie nie pozwoliłem – zrobiłem krótką pauzę i dodałem złośliwie: – Renko!

Schyliła głowę, potem zaś nagłym ruchem podrzuciła ją w górę, a jej włosy, świeżo od fryzjera, zafalowały w powietrzu. Powiedziała:

– Bo już ci na mnie nie zależy.

– Jak możesz tak mówić... Renko.

– Mogę, bo wiem. A tę Renkę możesz sobie darować, dobra?

– Wiesz o tym od ciotki?

– Tak, od ciotki.

– Ciotka źle mnie zrozumiała. W pociągu jest hałas.

– Ciotka cię bardzo dobrze zrozumiała. Powiedziałaś, że kiedy zaczęłam myć podłogę, to cała twoja miłość zginęła.

– E, tam, miłość... – odparłem. – Jesteśmy już starsi i bardziej doświadczeni. Pożądanie to co innego...

– Daj spokój!

– Ireno – wychrypiałem – gdybyś tylko chciała...

– Jeszcze mi tego brakowało! On już i tak jest zazdrosny.

– Dlaczego? Coś wie? Nie może nic wiedzieć. Przecież między nami nic nie było.

– On to przeczytał. – Wyciągnęła rękę i wyjęła maszynopis ze stojącej obok biblioteczki. Był mi jakoś znajomy. Otworzyłem go. No tak. *Siedem lat u Pani służyłem...* Moje opus o Irenie, które dokończyłem mniej więcej dwa miesiące przed tym, jak umyła u nas podłogę. Dostała je ode mnie na urodziny. Przyczyniło się też pewnie do tego, że nagle zaczęła być dla mnie miła.

– No to mógł się tylko przekonać, że nic między nami nie było. W przeciwnym razie bym to opisał.

– A ci pozostali? – spytała sucho.

– Aha...

Ludzie! *Siedem lat...* to była z jednej strony kronika moich daremnych starań, ale z drugiej opis niewątpliwie skutecznych romansów Ireny, o których wiedziałem. A przy całej skromności, jednak byłem dobrze poinformowany. Grau, Zdeniek, Koczandrle, doktor Czapek, ten maratończyk z Pragi... Były tam też meldunki o tym, gdzie się podziewała Irena w czasie, gdy rzekomo przebywała na wybieżce z drużyną lekkoatletyczną kosteleckich junierek albo z koleżankami. Po każdym takim meldunku następował dość nudny opis stanu mojej duszy.

– No tak... – westchnąłem i zamknąłem maszynopis.

– Mówisz o tym tak spokojnie?! Przez ciebie rozpadnie się moje małżeństwo!

– Jak to przeze mnie? – poczułem się dotknięty. – Raczej przez Graua, Zdenka, Frantę i tego biegacza z Pragi. Ja to tylko opisałem.

– No właśnie! Gdybyś tego nie opisał, to Ota by się nie dowiedział.

Odniosłem wrażenie, że wizja rozpadu małżeństwa nie budzi w niej jednak szczególnej grozy. Zaraz mi to zresztą potwierdziła, mówiąc całkiem przyjaźnie:

– Nie chcesz się czegoś napić?

Więc jesteśmy całkowicie dorośli, przemknęło mi przez głowę. Herbatę piłem już u Ireny wiele razy. Ale coś mocniejszego... w dodatku tak we dwoje...

– A co masz?

– Czy ja wiem, co tu jest? – Wstała i podeszła do baraku. Obok popiersia prezydenta Masaryka pan radca trzymał karafkę ze szlifowanego kryształu i takie same kieliszki jak te, które znałem. Irena napełniła dwa z nich i upiła.

– Kminkówka – skrzywiła się. – Ale wszystko jedno. Każdy alkohol jest dobry na ból.

Napiliśmy się. Irena wypiła na raz, a ja najpierw upiłem, ale widząc, jak ona pije, poszedłem w jej ślady. Irena zaraz ponownie napełniła kieliszki.

– Niech ma, czego chciał! – stwierdziła.

– Co to znaczy?

– Jak wróci, zastanie małżonkę zhańbioną. Ale tylko z powodu alkoholu.

– Nie w inny sposób?

– W jaki?

– Ty nie wiesz?

Spojrzała na mnie piwnymi oczami. Wy płynęły z nich wspomnienia, jak opaleni aniołowie.

– Mój drogi, oczywiście, że wiem – powiedziała. Była już dorosła. Zrobiło mi się jakoś przyjemnie smutno. – Ale przecież nie pozbawię się tej odrobiny uroku, jaki dla ciebie jeszcze mam.

Po prostu nie była mi pisana.

– Jednego nie rozumiem – odezwałem się po chwili. – Dlaczego się tak do nas przyczepił, skoro z mojego dzieła wie, jaki jestem lebiega.

– Ale wytrwały lebiega – odparła Irena. – Przeczytaj sobie ostatni akapit. Pewnie już go zapomniałeś.

Chyba tak. Otworzyłem ponownie rękopis: „Jaki jest zysk tych siedmiu lat? Trzy pocałunki i dwa tysiące pięćset dwadzieścia pięć dni. Jakże wspaniałe zysk! Jesteśmy młodzi. Gdy za rok znów podliczę swoje zyski...”

Okropne! Spojrzałem na Irenę. Patrzyła, jak ocenię te swoje upragnione nadzieje. Pusty kieliszek po kmin-kówce przyłożyła sobie do policzka tuż pod piwnym okiem.

– Już rozumiesz? – spytała. – Za wszelką cenę chciał ze mnie wydobyć, jak to było z tym zyskiem w ostatnim roku, bo w twoim tekście już tego nie ma.

– Nie było żadnego. Zbankrutowałem.

– Tylko że na to już nie mam takiego pisemnego potwierdzenia.

Nalała mi. W głowie kłębiło mi się masę wspomnień. Irena była świetną dziewczyną. To znaczy – młodą żoną.

– Ten twój facet musi mieć niezłego hopla – powiedziałem. – Jeszcze nie spotkałem się z kimś takim, kto by był zazdrosny retrospektywnie.

– Żeby tylko retrospektywnie! On jest zazdrosny także... no, jak by to powiedzieć? Z góry... do przodu...

– Perspektywicznie?

– Perspektywicznie.

Oboje się roześmialiśmy.

– Zrobiłaś błąd, Ireno. Zrobiłaś błąd, że wyszłaś za niego, a nie za mnie!

– Ale ty mnie nigdy nie prosiłeś o rękę, mój drogi. Chciałeś tylko wszystkiego bez ręki.

– Z powodu niepełnoletności nie miałem odpowiedniego zabezpieczenia materialnego. I nadal nie mam.

A przecież wiesz, w domu zawsze mnie uczono, że mam być odpowiedzialny.

– Uczono, ale nie douczono – odparła Irena. – Ty nigdy nie zrozumiesz, co to jest odpowiedzialność. I nigdy nie osiągniesz materialnego zabezpieczenia.

– Zobaczysz, że osiągnę – zaprotekowałem. – Jak stanę tym, kim mam być.

– A kim będziesz?

– Nikim.

– No, to już jesteś.

Posmutniałem.

– Napij się, biedaku – powiedziała Irena niczym pan Skoczopole. – Ty jesteś mój i zawsze będziesz mój.

– Będę – wychyliłem kieliszek. – Dla ciebie zawsze będę nikiem.

– Ale moim nikiem – Irena też łyknęła. – A to już przecież jest coś!

– No tak! – oświadczyłem z zachwytem. – Jeśli nic jest twoje, to już jest nie byle jakie nic! To już jest nic za milion!

– I to właśnie jesteś ty! Za milion! Więc masz to docenić! – Powiedziała ta wspaniała, piwnooka młoda kobieta.

– Jasne! Napij się! – zachęciłem ją. Usłuchała. Czuję się jak w siódmym niebie. Alkohol nie tylko łagodzi ból, ale potrafi obudzić dawną miłość z dorosłego snu zobojętnienia. Ale inną miłość. Byliśmy już dorośli, a to było smutne. Ale zarazem wesołe. Wiedziałem, że jej niesamowity facet czeka zapewne pod drzwiami z uchem przy dziurce od klucza.

– Jeśli chodzi o twój wdzięk, Ireno, to dla mnie nigdy w życiu go nie stracisz – stwierdziłem.

– Wiem – odparła. – Co do tego nie mam najmniejszych wątpliwości. Napij się!

Napiłem się.

– Nie bądź taka zarozumiała, Ireno! – powiedziałem.
– Oczywiście masz rację, ale...

– Wcale nie jestem zarozumiała. Na przykład... – czknęła. – Na przykład bardzo dobrze wiem, że mam nogi w kształcie „O” i że jeśli chodzi o wygląd kobiety, to ty jesteś bardzo spostrzegawczy. A jednak gdzie tylko się pojawiaam w tej książce... – wskazała na mój beznadziejny dziennik – ...to znaczy w jednej z tych dwóch książek... albo w obu... a występuję tam niemal na każdej stronie... to ani na jednej stronie nie mam tam nóg takich, jakie mam. To znaczy koślawych!

– Dlatego że masz dla mnie taki wielki wdzięk. Wobec twojego wdziękku nogi w kształcie „O” nie mają żadnego znaczenia!

Łyknęła następny kieliszek. Ja już nic nie musiałem łykać, bo nie mogło mi być lepiej. Mimo to pragnąłem być wobec niej lojalny.

– Chciałabym tylko wiedzieć, jak to się stało, że mimo tego wdziękku przestałeś mnie kochać!

– Nie przestałem, Ireno!

– Ciotka mi wszystko opowiedziała!

– Ona się przesłyszała. Ja się wtedy pomyliłem, jak myślaś tę podłogę. Ja ciebie wciąż Kocham! I wciąż cię będę kochał, zawsze!

– Aha! – przytaknęła Irena. – Posłuchaj, do którego kieliszka mam nalać? Do tego po lewej czy po prawej?

– Do tego pośrodku.

Irena trafiła sobie dokładnie między nogi. Wytarła płamę ręką.

– O, do diabła! – wymamrotała. – Chyba jestem jakaś... wstawiona... – zawahała się z karafką w jednej ręce i kieliszkiem w drugiej, a potem napiła się prosto z karafki i mi ją podała. Też się napiłem.

– Kocham cię, Ireno! – zapewniłem ją. – Dla mnie nigdy nie przestaniesz mieć wdziękku.

– Wiem! A wiesz, skąd wiem? Skąd mam taką stuprocentową pewność? – Była rzeczywiście wstawiona. Miałem też wrażenie, że to małżeństwo jednak nie za bardzo jej się udało.

– Bo mi ufasz – starałem się zgadnąć.

– Pudło! – odparła. – Dlatego że ci nigdy nie dam!

Wypowiedziała wtedy wielką prawdę, ale dopóki nie staliśmy się dorośli, nigdy by tak nie powiedziała. Była strasznie pruderyjna. No tak. Więc już jesteśmy dorośli. Nawet tego nie zauważyłem. Patrzyły na mnie wesołe i pijane oczy.

– Wiesz, Daniczku? – śmiała się do mnie tymi oczami. – Tak do ciebie zawsze mówiła Mania Dreslerova, prawda? Daniiczk... – starała się naśladować śpiewną intonację Mani. Posmutniałem. Ale po chwili znów zrobiło mi się wesoło. W karafce było już widać dno. Wypiłem troszeczkę, a resztę zgodnie z gentlemeńskim kodem zostawiłem Irenie.

– W przypadku takich romantycznych miłości jak nasza, Danny – mówiła już dość bełkotliwie – to gdyby zrobić coś takiego nierozsądnego, wtedy wdzięk pryska. Tak to jest i już. I już...

Jednak ma problemy w tym małżeństwie. Postawiła karafkę na stoliku i zbladła.

– Danny, wiesz co?

– Co?

– Mnie jest niedobrze!

– To się napij!

– Ty to potrafisz doradzić! – wymamrotała. – A zresztą i tak już nie ma czego. Wszystko wypiliśmy.

– Aż do dna.

– Aż do dna. Tobie nie jest niedobrze?

– Na razie nie. Ale będzie. Na pewno, Ireno.

Chwyła się za brzuch.

– Mnie już jest! – zsiniała. – O kurczę blade! – jęknęła jak za dawnych-niedawnych czasów.

Wybiegła z pokoju.

Na korytarzu ktoś otworzył drzwi. Wstałem, ale zatonczyłem się i znów opadłem w fotel. Do pokoju wpadła Alena. Stała jak wryta i rozłożyła ręce.

– No, bardzo stylowy widok!

Ktoś ją odtrącił.

Piękny cielący blondyn. Nie miał w ogóle żadnego wdzięku.

Wyciągnął ręce w moją stronę.

* * *

– W Rosji nie chciałabym mieszkać – powiedziała reżyserka. – Ale Fidel to ktoś całkiem inny niż...

– Ma dłuższą brodę!

Veronika już nie panuje nad sobą. Reżyserka uśmiecha się pobłaźliwie.

– Oczywiście wiem, że nie wszystko tam jest idealne – w jej głosie coraz bardziej słychać pogardę i agresję, te straszne bliźniaki – ale walczą tam w imię wartości, o które warto walczyć.

– To dlaczego tutaj nie walczycie w obronie wartości, które sami macie? – krzyczy Veronika.

– *Are there any values in this society worth fighting for?* – pyta reżyserka.

* * *

I pofrunąłem. Dosłownie. Chwytał mnie za kołnierz i rzucił ze schodów. Jeszcze szczęście, że w ostatniej chwili udało mi się uchwycić poręcz. To sobie Irena znalazła męża! Co za niekulturalny cham, mimo że docent z Pragi!

Trochę tym otrzeźwiony wytoczyłem się ze starej kamienicy Ireny i od razu wpadłem na pana Skoczdo-

le, który pędził w stronę lasu, niosąc coś w wypchanej teczce. W pośpiechu machał swoim kikutem, a kiedy się zderzyliśmy, zdzielił mnie nim w oko.

– Serwus – wymamrotał, gdy mnie rozpoznał. – Co też on znowu narobił, ten nasz łobuz, nie wiesz?

Nogi się pode mną ugięły i natychmiast zupełnie wytrzeźwiałem.

– Nie wiem. A co się stało?

– Przyszli po niego. Dwóch. – Legionista z trudem odychał. – Na szczęście nie wiedzieli, że jego pokój ma wejście od sieni, więc dzwonili od strony kuchni. Dobijali się do drzwi jak szaleni. Musiał więc ich usłyszeć i wyskoczyć przez okno. Przynajmniej taką mam nadzieję.

– Dokąd poszedł?

– A czy ja wiem? Siedzieli u nas ze dwie godziny, bo powiedzieli, że na niego czekają. Ale potem przyszedł spytać o niego ten kolega, co ma zieleniak...

– Vaharz.

– Tak, właśnie. No to go zabrali i poszli. Jeden mówił, że jest w to wplątanych wielu ludzi, ale ten nasz podobno tym kierował. Więc ty o niczym nie wiesz?

Panie Boże, dlaczego mnie karzesz? Za co?

– Panie Skoczdoполе, a był pan w pokoju Przemy, jak już sobie poszli?

– No jasne! Zobacz! – Na wierzchu pełnej teczki jadowatych granatów leżało parabellum Przemy, a obok dziecięca łopatka. – Miał to wszystko w szufladzie biurka. Idę to zakopać do lasu.

– A jakichś ulotek pan tam nie znalazł?

– Ulotek? Nie – popatrzył na mnie podejrzliwie. Przełknąłem gęstą ślinę. Czułem się beznadziejnie.

Pan Skoczdoполе znów ruszył przed siebie. Popatrzyłem w ślad za nim – jego odziany w skarpetkę kikut opisywał obszerne koła. Potem się odwróciłem i w tym samym tempie popędziłem do domu.

Tam czekała już na mnie niespodzianka.

– Jest tu Przemek! – szepnęła mi w drzwiach matka. Istotnie był. Kiedy wszedłem do pokoju, wstał z poważną miną z otomany.

– Cześć!

– Afera! – pozdrowiłem go.

– Nie wiesz, czy coś znaleźli?

Powiedziałem mu o akcji jego taty. Kiedy usłyszał o parabellum, zaklął:

– Cholera! Powinienem być je wziąć. A ja idiota zamiast broni wziąłem ulotki. Ale spanikowałem.

– A co z nimi zrobiłeś?

– Spotkałem Vaharza i dałem mu, żeby poszedł je spalić.

– No, to go nieźle urządziłeś. Akurat go z nimi złapali!

– Szlag by to trafił!

Była to powtórka sytuacji sprzed czterech lat. Mongolska twarz Przemy płonąła blaskiem wieczornej zorzy.

– Trzeba coś zrobić z radiostacją – stwierdził. – Gdyby ją znaleźli, nie uwierzą, że ojciec o niej nie wiedział.

Upadłem na duchu. Wyrzałem przez okno. Światło zachodzącego słońca zalewało Czerną Horę. Na szczycie bieląła kropka kamiennego krzyża. Ze wściekłością uświadomiłem sobie, że zrobię wszystko, co mi powie Przema. Niebo nad wzgórzami miało jasny, błękitny kolor, z lekko różowawym odcieniem.

– Rozbierzemy ją w nocy i schowamy na daczy.

– Przecież zrobią tam rewizję.

– To zakopimy w lesie. Ale muszę powiedzieć o tym rodzicom.

Tylko jak to zrobić? Łamaliśmy sobie głowę, aż w końcu wymyśliliśmy plan. Zostawiłem Przemę w pokoju i poszedłem na Hadrnicę, gdzie mieszkał Benda. Pół godziny później mała Irka Bendów pobiegła do Skocz-

dopolów z karteczką. Liczyliśmy na to, że na dziecko nikt nie zwróci uwagi. Udało się.

Ale mama nie chciała mnie wieczorem wypuścić z domu.

– Danny, w mieście są aresztowania! Pani Vavruszkova mi powiedziała, że zamknęli pana Krocana i pana doktora Bohadlo! Ja cię nigdzie nie puszczę!

– To mi nie pomoże – powiedziałem cynicznie. – Pomoże mi tylko, jak zrobimy to, co mamy zrobić.

– Mój Boże, Danny! Ty się w coś wplątałeś?!

– Nie, ale muszę załatwić parę spraw...

– Ja cię nie puszczę!

Głupia sprawa. W końcu włączył się ojciec.

– Daj mu spokój, matka! Jest dorosły i wie, co robi...

Przema stał z boku speszony.

– Nie wie! Właśnie o to chodzi, że nie wie!

– Wiem, mamo!

Wiedziałem, że robię głupstwo, ale nie miałem wyboru. *Ich hatte einen Kameraden...*

W końcu się poddała. Albo może zrozumiała, że w tych naszych przełomowych czasach pozostanie u matki i tak człowieka nie uratuje. Biegliśmy bocznymi uliczkami. Noc była niestety jasna, księżyc w pełni. Przed nami biegły nasze cienie. Doszliśmy do Skoczopolów od tyłu, od strony rzeki, w której księżyc odbijał się jak srebrna moneta pięciokoronowa. Albo jak bochen chleba. Przeskoczyliśmy przez płot i oknem – które zgodnie z prośbą zawartą w liście, dostarczonym przez małą Irkę, pan Skoczdopole zostawił uchylone – weszliśmy do domu. W drzwiach kuchni czekał już na nas ojciec Przemy, a za nim jego posłuszna żona.

Przeszliśmy przez sień do pokoju Przemy. Od chwili otrzymania listu pan Skoczdopole nie marnował czasu. Rozmontowana radiostacja leżała już na podłodze w trzech brezentowych tłumokach. Materiał pochodził

ze starego namiotu Przemy, zrobionego dawno na wypadek wojny partyzanckiej. Wreszcie można go było wykorzystać.

– Waży to chyba tonę – powiedział pan Skoczdo pole.

– Ja wezmę tę najlżejszą paczkę, bo jedną ręką się kiepsko niesie. Mama zabierze narzędzia.

Przema podszedł do okna i odsunął zaciemniającą roletę, jeszcze z czasów wojny. Napiętą twarz zalało mu światło księżyca.

– Kiepska sprawa – stwierdził. – Kiedy zajdzie?

– Dopiero rano – odparł pan Skoczdo pole. – Ale spokojnie, chłopaki. Oni zaczęli zamykać po południu. Na razie aresztują przede wszystkim sokołów, a też ludowców i narodowych socjalistów. Legionistów do tej pory się nie odważyli, boby to zrobiło złą krew. To dopiero przyjdzie później. Więc dla nas to dobra sytuacja. Mają pełne ręce roboty, a ludzie pochowali się w domach. Jak będziemy mieli trochę szczęścia, to nas nikt nie zobaczy.

Otarł kikutem pot z czoła, ale był spokojny. Za to jego posłuszna żona cała się trzęsła. Ze mnie, o dziwo, strach opadł. Może dlatego, że coś się działo? Albo już mi było wszystko jedno. A może to kwestia treningu? W każdym razie nie czułem się, jakbym był w klatce, jak wtedy...

– Ja tylko przez cały czas kombinuję, w jaki sposób się dowiedzieli? – odezwał się Przema.

– Pewnie kogoś przycisnęli – odparł pan Skoczdo pole. – Dostał parę razy w zęby i zaczął śpiewać.

– To mógł być tylko Wagner – głośno myślał Przema. – Vaharza wzięli dopiero po wizycie u mnie, a Benda jeszcze po południu był w domu...

– Chłopaki – powiedział pan Skoczdo pole, a w jego głosie słychać było obawę. – Mam nadzieję, że nie macie jakichś list nazwisk czy czegoś w tym rodzaju. To by nie było rozsądne...

– Nie martw się, tato. Ta grupa istnieje już od wojny
– uspokoił go Przema.

– A o mnie ktoś wie? – spytałem.

– Nie. – Przema spojrzał na mnie swoimi szczerymi oczami. – Tylko Vaharz. Ale on jest twardy. W przeciwnym razie już dawno by po to przyszli. – Wskazał głową na paczki.

Było to logiczne.

– Tylko nie mogę zrozumieć, po co tu wracał?

– Nie wiem, chłopcze – odparł pan Skoczdopole.

Przema znów odsunął roletę i blask księżyca oświetlił jego twarz nomady.

– Powinniśmy już chyba ruszać, chłopaki. Mamy przed sobą ciężką noc. To będzie niezła harówka, żeby wszystko to zakopać – przerwał chwilę ciszy pan Skoczdopole.

– Dobra, idziemy – przytaknął Przema.

– Zaczekaj! – Pan Skoczdopole sięgnął zdrową ręką gdzieś do tylnej kieszeni. Wyciągnął płaską butelkę, którą z pewną przesadą można było nazwać piersiówką. – Napijmy się na drogę!

Przycisnął kikutem butelkę do piersi i odkorkował ją.

– To na zdrowie!

– Na zdrowie!

Pan Skoczdopole pociągnął głęboki łyk i podał mi butelkę. Napiłem się. Śliwowica. Pociągnąłem jeszcze raz i przekazałem pałeczkę Przemie. Rozlało się we mnie znajome ciepło bliskiego przyjaciela i powolnego mordery. Nie bałem się. Groziło nam najwyżej więzienie. Nie szubienica, jak przedtem. Tak mi się przynajmniej zdawało. Niech żyje przygoda!

Znów mi przyszło do głowy, że pomagam ludziom, którzy spiskują przeciw reżimowi, do którego ja – skażony uniwersyteckim marksizmem – na razie właściwie nic nie mam. Ale co znaczy jakaś uniwersytecka abs-

trakcja w porównaniu z legendą... Zobaczyłem Nadie w sznurowanych butach, jak idzie po łące w moją stronę. Serce mi wali, a w krzakach na skraju łąki skrywa się Przema, z parabellum, w kieszeniach ma pełno granatów, na głowie furażerka. Nadia idzie długimi krokami przez zieloną łąkę, wśród długich cieni wysokich sosen... Co znaczy uniwersytet w porównaniu z tym pięknym dniem, gdy rękę spaloną benzyną...

– Idziemy, chłopaki! – wyrwał mnie z marzeń pan Skoczdoполе.

Zarzuciliśmy sobie pakunki na plecy. Były ciężkie, ale wzmocniony śliwowicą, wspomnieniami i naszą przeszłością rażno wkroczyłem z Przemą i panem Skoczdopole w księżycową noc. Za nami pani Skoczdopolowa niosła motykę i szpadel.

Bez kłopotów, idąc gęsiego, minęliśmy ostatnie domy przedmieścia. Trzy garbate cienie, a z tyłu drobna pani z czymś, co na cieniu wyglądało jak krzyż. Księżyc schował się za zasłoną mgły, która popłynęła także w naszą stronę z przedmiejskich ulic.

– Dobra nasza, chłopaki! – szepnął pan Skoczdoполе.

W tym momencie z mgły wyłonił się pan Hornych, miejski strażnik. Zobaczył nas, ale udawał, że nie widzi. Majestatycznie przesunął się obok zgarbionego pana Skoczdopole i syknął kącikiem ust: – Zamknęli kolegę Kaldouna! – I zaraz potem majestatycznie zniknął we mgle. W mieście najwyraźniej nadal trwała łapanka.

Ostatnie domy przedmieścia zniknęły w białym mleku. Przeszliśmy mostem przez rzekę i zaczęliśmy się wspinać stromym zboczem w stronę lasu. Na jego skraju stanęliśmy. Pan Skoczdoполе znów kikutem otarł sobie pot i wyciągnął flaszkę.

– Kracafuks, chłopaki, już nie mam takiej pary! – Głośno bulgocąc, wypił kilka łyków.

Samara, przypomniałem sobie, bitwa o Pemzę, ten rozstrzelany proletariusz, te boje w odległych stornach, a teraz jego syn... dziwna mieszanka. Nagle dotarło do mnie w pełni, że przecież Przema opuszcza kraj. Ten kraj, za który pan Skoczdopole oddał rękę. Ten raj na ziemi. Ale tylko na pierwszy rzut oka. Prawie wszystkie kraje są piękne. Ten jest piękny, bo jest tu paru pięknych ludzi. Są, byli, będą, nie będą, nie są. Są też miejsca z nimi związane, piękne miejsca. Czarna Hora, słońce oblewające złotem wierzchołki skał, baranki chmurek pływające w białej kawie, fau fir wiktoria, szczupłe nogi Nadii w męskich buciorach. Nic innego nie jest ważne. Jeśli tego nie ma, to po co ten kraj? Na co kraj, skoro ludzie muszą z niego... Pan Skoczdopole podał mi flaszkę. Napilem się, naśladowując jego gulgotanie. Podałem piersiówkę Przemie. On też się napił i oddał ją ojcu. Posłuszną panią pominęliśmy. W milczeniu stała za nami, szpadel i motyka na ramionach tworzyły za jej głową krzyż.

Szliśmy w milczeniu przez las. W świetle księżyca na pajęczynach migotały krople rosy, słychać było układające się do snu ptaki. Doszliśmy na polanę porośniętą jeżynami i zabraliśmy się do pracy. Przema i ja. Jednorożki legionista nie mógł nam w tym pomóc. Podczas gdy my kopaliśmy, on układał plan.

– Prześpisz się u szwagra w Karlinie i pójdziesz tego dnia, co będzie pogrzeb pana prezydenta Beneša. Sądzę, że oni wtedy ściągną wszystkich policjantów do Pragi. Granice powinny być puste. Pepik powinien wiedzieć, co i jak. Myślę, że ci poradzi.

Kopaliśmy, aż pot ściekał po nas strumieniami. Nad głową przeleciała sowa.

– Dziś w nocy dojdiesz do Starego Miasta i tam wsiądziesz do pośpiesznego. Ale nie z peronu, tylko z drugiej strony, jak są pola i krzaki. Bilet ja kupię tutaj.

Znajdziesz mnie w pociągu. – Legionista mówił zupełnie inaczej niż wtedy, gdy snuł opowieści nad flaszką.
– Ja potem wysiądę w Hradcu.

– Dobra – przytaknął Przema.

W końcu wszystkie trzy paczki znalazły się pod ziemią. Na wierzch nałamaliśmy jeżyn. Za bardzo nie było to zakamuflowane, ale na więcej już nie mieliśmy siły. Kiedy dzieło było gotowe, stanęliśmy nad nim jak rodzina nad grobem zmarłego.

– Szkoda jej – odezwał się Przema. – Mogła jeszcze służyć.

Pan Skoczdopole się napił.

– Tak, chłopcy, chcieliście dobrze – westchnął. – Tylko że byliście za bardzo naiwni. Teraz już nic nie możemy zrobić. Już z nami koniec. Ja ich znam. Napij się.

Przema się napił.

Staliśmy we mgle osrebrzeni księżycem, wielkim jak bochen chleba, białym spodem odwróconym w stronę Ziemi.

Pani Skoczdopolowej puściły nerwy.

– Dziecko kochane! Przemku! Ja cię już nigdy nie zobaczę!

– Ale zobaczysz, mamó. – Przema objął drobną panią. Ona tuliła się do niego i zanosila się szlochem. Po chwili go puściła.

– To na razie, tato – powiedział Przema.

– Na razie, chłopcze! – Pan Skoczdopole podał synowi zdrową rękę. Miałem dziwne wrażenie, że to tylko jakiś film. Ale to nie był film. Pan Skoczdopole otarł kikutem łzę.

Na koniec ja się pożegnałem.

– My się jeszcze zobaczymy. Też jutro jadę do Pragi, to wezmę twój adres.

– Dobra – odparł Przema.

Odwrócił się. Pan Skoczdo pole znów pociągnął z butelki. Przema dziarsko ruszył przed siebie, minął krzaki jeżyn i po chwili zniknął we mgle.

Wziąłem szpadel i motykę i zaniósłem je Skoczdo polom aż pod same drzwi. Pani przez całą drogę łkała.

Kiedy szedłem aleją Jiráska do domu, białą mgłę przeszyły żółte promienie wschodzącego słońca. Nagle z mgły wyłoniła się grupka ludzi w drelichach i z karabinami, prowadzona przez mężczyznę w skórzanym płaszczu. Był to pan Pytlik. A w środku zataczała się jakaś wysoka postać z rękami związanymi na plecach. Poznałem ojca, bladego jak ściana.

* * *

Veronika naprawdę przesadza. Przyjaciele odciągnęli Percy'ego gdzieś na bok, a Veronika odrzuca pomoc kelnera. Ma przed sobą pięć szklaneczek i nalewa: do pierwszej whisky, do drugiej gin, do następnych wódkę i sherry, a do ostatniej koniak. Goście pana Svenssona ciągną dalej konwersację, ale dyskretnie obserwują poczynania dziewczyny w jasnoniebieskiej sukience.

Bo też jest na co popatrzeć. Veronika wyjęła z wysokiej szklanki pięć rurek, włożyła je do swoich szklaneczek, a ich końce jednocześnie wsunęła sobie do ust. Mrugając na gości Svenssonów mocno umalowanymi oczami i trzymając rurki w ustach, zmieniała się w bohaterkę *Stokrotek* Věry Chytilovej. Przypomina to też scenę z jeszcze innego filmu, którego zapewne nie widziała. Przez pięć rurek jednocześnie wypija zawartość wszystkich szklaneczek i obraca oczy w słupek.

Jest już jednak Percy. We właściwym momencie. Veronika zaczyna bełkotać:

– Angela, biedactwo, musi nosić okulary! Nawet w podróż dookoła świata musi je brać ze sobą! To do-

kładnie tak samo jak tutaj. Życie w dyktaturze by mi się nie podobało...

– *Nica! You're stoned!*

– ...ale taki Che to coś zupełnie innego...

Zostawiam ją pod opieką Percivala i przechodzę przez pokój. Od strony ogrodu zimowego dostrzegam szary, chłodny wzrok Ireny Svensson. Jej ojciec z grupką znajomych omawia interesy:

– ...to jest biznes. Ich sprawa...

– ...za taką cenę żadnego Ellingtona nie...

Pętla czasu zaciśnięta z całej siły. Czy to jeszcze ja? Tak. W jednym życiu potrafi się zmieścić strasznie dużo.

* * *

Następnego dnia rano Nadia nie przyszła do roboty. Przy osieroconej wiertarce postawili jakiegoś dziadka, który nazywał się Varzeczka i od razu zaczął bić rekordy. Przerażony zacząłem się zastanawiać, jak go przyhamować, żeby nie zauważył tego Ballon. Hetflajsz przyszedł po krzyżaki i zabrał ich trzy razy więcej niż zawsze.

– O kurde, wam to się dzisiaj robota pali w rękach!
– zdziwił się.

Dziadek Varzeczka uśmiechnął się, uznając to pewnie za pochwałę. Kiedy tylko Hetflajsz zabrał całą partię krzyżaków, odezwałem się do dziadka:

– Straszny leser!

– Co takiego?

– Obija się, żeby się nie przepracować.

– Aha – mruknął Varzeczka i zarył wiertarką w dur-aluminium, jakby mu to sprawiało rozkosz.

– Dziadku – powiedziałem. – Zepsujecie nam normy!

– Co takiego?

– Tę robotę normalnie robi jedna taka dziewczyna. Jak będziecie pracować jak szalony, tak jak do tej pory, to podniosą nam normy i ona nic nie zarobi.

– No ale ja jestem przyzwyczajony, żeby robić. – Całą siłą naparł na wiertarkę i nie przestawał wiercić, więc zrobienie jednego krzyżaka zajmowało mu może z pół minuty. Zacząłem się zastanawiać, czy na takiego niewolnika można oddziaływać politycznie.

– Dziadku – zacząłem – jak by wszyscy robili tak jak wy, to Niemcy już dawno by wygrali wojnę.

– Ale oni wcale jej nie wygrywają! – ucieszył się Varzeczka.

– Tylko że to nie jest wasza zasługa! – wycodziłem ze wściekłością. Varzeczka wyciągnął wiertarkę z krzyżaka, pochylił się w moją stronę i szczerząc brązowe zęby, których większości i tak brakowało, powiedział:

– Masz rację, młody! Co tam ja. Ja gównu mogę! Ale Ruscy to dopiero ich gnają! Londyn mówił, że podobno są już w Prusach! Czyli lada dzień możemy się ich tutaj spodziewać!

Fo tym manifeście znów jak szalony zabrał się do roboty.

Poddałem się.

Wykonywałem swoją pracę w standardowym tempie, jak mnie nauczyła Nadia, i szukałem w sobie strachu. Na dzień żołądka ciągle czułem tę ropuchę, ale skurczyła się. Wczorajszy dzień skręcił kark tej bestii. Miałem euforyczne poczucie, że wszystko bym przeżył, nawet gdyby mnie złapali. A gdyby mnie powiesili... no nie, tak nie... Znów mnie zmroziło. Ale strach ma wielkie oczy, pomyślałem. Zawsze przecież mogę udawać idiotę, zgodnie z naszą tradycją. Obrzuciłem dziadka pogardliwym spojrzeniem, wyłączyłem wiertarkę i poszedłem do toalety.

W kłębach dymu Kos i Malina kłócili się o istnienie Atlantydy. W jednej kabinie związał się Ponykl i srał, wydzielając okropny smród. W następnej dwóch ślusarzy walczyło na rękę. Przy pisuarze stał Franta Melichar i sikał.

Zawahałem się. Właściwie nigdy dotąd z nim nie rozmawiałem, tylko wiedziałem, że to on, a Nadia twierdziła, że jest przyzwoity. Jest też chyba fujarą, pomyślałem i przez chwilę poczułem dumę ze swojego sukcesu miłosnego. Plotki o pocałunkach w komórce dotarły już co prawda do uszu Lucii i Haryka, ale Franta nie ma o tym pojęcia.

Zapiął rozporek i odwrócił się. Zwalisty byczek o czerwonej góralskiej twarzy.

– Cześć – odezwałem się. – Co jest z Nadią, że dziś nie przyszła?

– Podobno poszła rano do doctora. Ja nie wiem, bo przyjechałem z Rounova prosto do fabryki.

– Pytam się, bo zamiast niej przysłali jakiegoś dziadka, który tak zasuwa, że zepsuje jej normę.

Franta patrzył na mnie błękitnymi oczami, pełnymi obawy. Z poczuciem triumfu uświadomiłem sobie, że wczoraj przespałem się z jego narzeczoną. Pomyślałem, że jestem kimś.

– Martwię się o nią – powiedział. – Podobno kaszłała krwią.

– Co?!

– Kaszłała krwią. Dlatego poszła rano do doctora.

– Werkszuc! – ostrzegł ktoś od strony drzwi. Kto mógł, natychmiast doskoczył do pisuarów i rozpiął rozporek. Ja wbiegłem do kabiny i usiadłem na sedesie ze spuszczoneymi spodniami.

Do kibla wparadował Eisler i stanął w rozkroku.

– Jest tu Smirzicky?

Znów chwycił mnie strach, jakby wczoraj nic się nie wydarzyło.

– Tutaj.

– Masz iść do *Herr Oberkontrolera* Uippelta! – wycedził Eisler. – Pośpiesz się z tym sraniem, człowieku!

Herr Oberkontroler czeka na ciebie w domu. Podobno już u niego byłeś, więc wiesz, gdzie mieszka.

Serce zaczęło mi walić jak oszalałe, a pozycja ze spuszczoneymi spodniami przestała być kamuflażem.

* * *

Moja ukochana Lido!

Dziś tylko krótko, bo prawie nie mogę pisać. Jak tylko siadam do pisania, to zaczynam tak pożądać Twojego białego ciała, że muszę iść na dół popływać w basenie, żeby się opanować. Chcę Ci jednak napisać o wielkim przeżyciu, jakie mnie spotkało wczoraj. Z toroncką Filharmonią wystąpił jako gość towarzysz Jirzi Krupka i cudownie wykonał koncert wiolonczelowy Dvořáka. Wiesz przecież, najdroższa Lido, że ja całkiem przyzwoicie gram na puzonie. Potrafisz więc sobie wyobrazić, jak głęboko przeżywałem tę wspaniałą muzykę, a zwłaszcza że grał ją artysta z kraju, z którego Ty pochodzisz! Artysta – przedstawiciel postępowego społeczeństwa, które kiedyś – mam nadzieję, że jak najszybciej – my też będziemy tu mieli w Kanadzie. W tej muzyce czuło się wdzięczność towarzysza Krupki za to, co wasze społeczeństwo daje artystom!

Zacytuję Ci, co napisał towarzysz Williams, nasz krytyk muzyczny, do biuletynu Komunistycznej Partii Kanady: „Towarzysz Krupka swoim mistrzowskim wyczuciem utworu Antonína Dvořáka, postępowego artysty z XIX wieku, doskonale pokazał, jak dalece sztuka socjalistyczna góruje nad pustą wirtuozerią artystów kapitalistycznych. Oni co prawda w twardej konkurencyjnej walce starają się pokonać jeden drugiego formalną doskonałością, ale ginie w tym wszystkim humanistyczna treść. Tymczasem towarzyszowi Krupce udało się dotrzeć do samego sedna kompozycji Dvořáka i w sposób jasny, zrozumiały zinterpretować jej sens”.

W pełni się z tym zgadzam.

*Nieustająco o Tobie myślę, moja kochana, i o tym, że już
wkrótce będziesz moja!*

Całuję Cię wszędzie!

Twój Booker

* * *

Uippelt mieszkał kawałek za browarem, w secesyjnej willi, która dawniej należała do pana doktora Strassa. Stała w zaniedbanym parku angielskim, wyrastała ze śniegu i mgły niczym dziwnie asymetryczna rafa koralowa z czerwonego kamienia, a daszek nad werandą podpierał słup w kształcie najady. Na piersiach miała czapeczki ze śniegu, a na gładkim, stylizowanym łonie ktoś narysował jej kredą pionową kreskę.

W głowie tętno dudniło mi niczym dzwon, choć starałem się przekonać samego siebie, że gdyby mnie Uippelt chciał wydać gestapo, to przecież nie wzywałby mnie do siebie do domu. Zadzwoiłem. Długo nic się nie działo. Ponad zboczem, całkowicie zasypanym śniegiem, patrzyłem na miasto o białych dachach. Po ośnieżonej grządce obok amorka z piaskowca dostojnie kroczył wielki kruk. Zatrzymał się, spojrzał na mnie okrągłymi oczami i zakrakał.

Drzwi się otworzyły. Stała w nich pani generałowa Waffen SS von Kater. Jej męża zapewne całkowicie absorbowały operacje wojenne.

– *Kommen Sie herein* – odezwała się.

Wszedłem.

W holu wszystko było jak za czasów pana doktora Strassa. Wielki obraz Beneša Knüpfera, przedstawiający zielonkawę morze i syrenę na skale, a także drewniany niedźwiedź z wyciągniętymi łapami, gotowy przytrzymać pacjentom parasole i laski.

– *Otto ist in seinem Arbeitszimmer im ersten Stock* – powiedziała generałowa, wskazując mi białą dłońią scho-

dy, i zniknęła. Ruszyłem w górę. Mroził mnie strach. W holu było szaro, panował niemal mrok. Zastukałem w rzeźbione drzwi. – *Herein!* – rozległo się z drugiej strony. Z sercem miotającym się jak złowiona ryba i mimo prób zachowania spokoju sztywny jak mumia, wszedłem do gabinetu Uippelta.

Nie siedział przy szerokim biurku, które było zdumiewająco puste. Znajdował się w ciemnym kącie wyłożonym fioletową tapetą we wzory ze złotych winogron, rozwalony w czarnym, skórzanym fotelu. Wypolerowane buty z cholewami od munduru SA zimnym połyskiem konkurowały z cenną skórą fotela, w którym kiedyś siadywał doktor Strass. Była dopiero dziesiąta rano, ale na okrągłym stoliku przed oberkontrolerem stała już otwarta butelka. W rękę trzymał Uippelt grube cygaro, zapewne też od generała SS z Paryża.

– *Kommen Sie näher* – odezwał się po niemiecku. Angielskiego ani śladu.

Ubrany w roboczy drelich zrobiłem kilka kroków w jego stronę po perskim dywanie i zatrzymałem się. Uippelt poprawił sobie monokl i zlustrował mnie od stóp do głów.

– *So!* – powiedział. – *So sieht also ein Saboteur aus!*

Cios prosto w szczękę! Nogi mi się ugięły i zaczęły telegrafować. Oczy zza binokli patrzyły na mnie całym po gestapowsku.

– *B...bitte?*

– Dobrze to było wymyślone. Prosty trik i załatwi najlepsze myśliwce na świecie!

– *Ich...* – głos mi się załamał, zakasłałem, ale i tak nie odpuściłem mdłości. – *Ich weiss nicht... wovon Sie reden...*

– *Ich rede von den deutschen Industrienormen. Die Versenkung ist ein halbes Zentimeter zu tief.*

Gulgocąc, napił się prosto z butelki i łyknął całość zupełnie tak samo jak pan Skoczdo pole, bohater dawnych

wojen. Serce miałem już chyba w gardle. Właściwie nie ma sensu cokolwiek mówić. On wie wszystko.

– *Well, all right* – znów przemówił. – *OK. Sit down somewhere. Have a drink.*

Mam halucynacje? Próbowałem coś wybełkotać, ale mi przerwał.

– *That chair, over there!* – Uippelt wskazał mi fotel stojący trochę z boku, pod obrazem Mojżesza.

Chwyciłem fotel i przywlokłem go do stolika. Mechanicznie się napiłem, choć nie wiedziałem czego. Alkoholu.

– Dobrze to wymyśliłeś, ale nie znasz przepisów kontroli – powiedział Uippelt. – Znaczy, albo ty to wymyśliłeś, albo ta chuda panienka. Ale ona raczej nie. To wymaga sporej wyobraźni technicznej. – Świńskie oczka schowane za binoklami patrzyły na mnie niemal wesoło. – Ale oczywiście musiała o tym wiedzieć i pewnie jej to imponowało.

Żołądek przewracał mi się na drugą stronę pod wrażeniem tego, jak mnie rozszyfrował. Uniosłem się w fotelu:

– Panie inżynierze... ona... jeżeli pan chce...

Nogi odmówiły mi jednak posłuszeństwa i opadłem z powrotem, a jak ślizgałem się po luksusowej skórze, wydałem dźwięk, który był symboliczny dla mojej sytuacji psychicznej. Szklaneczka spadła na ziemię. Schyliłem się, ale roztrzęsione dłonie sprawiły, że jeszcze dwukrotnie ją przewróciłem.

Pan oberkontroler obserwował ten teatrzyk z rozbawieniem.

– Ależ ty jesteś strachajło – stwierdził.

Ludzki organizm to jednak zagadka. Nagle poczułem wściekłość.

– Zrobiłem to z głupoty. W ogóle nie myślałem, jakie to może mieć konsekwencje. A ta dziewczyna o niczym

nie wiedziała. Uszkodzone części są wszystkie moje – odburknąłem z pogardą.

Uippelt nalał mi do szklaneczki i sobie też.

– OK, nie wściekaj się – powiedział. – W sobotę byłem w Hradcu i zrobiłem próby. Przyspawane części jakoś się trzymają. Jak mocno i na jak długo, tego nie wiem, bo wykażą to dopiero testy.

Pograżył się w dymie i w milczeniu. Gapiłem się na niego i opuszczała mnie wiara w istnienie obiektywnego świata. To po to jechał do Hradca? No tak, Amerykanin... Ale i tak nie byłem w stanie w to uwierzyć. Połysk skóry i trawionego szkła w oknie przenosił mnie wraz z amerykańskim esamanem w inny świat, inny wymiar.

Byłem to jednak ja i siedziałem w willi doktora Strassa. W willi, w której esaman nie wymienił Mojżesza na portret swojego wodza.

– Panie Uippelt... dlaczego...

Wstał i zrobił przysiad. Typ piwosza. Mundur SA leżał na nim jak ulał.

– Powiedzmy, że nie tylko ty zrobiłeś coś z głupoty, nie zastanawiając się, jakie to może mieć konsekwencje. – Podszedł do wielkiego okna o brzegach z trawionego szkła. Za nim, przykryty białym śniegiem, leżał Kostelec. Czarna sylwetka pana oberkontrolera na tle tego uroczego, choć zimnego miasteczka przypominała kruka. Stał do mnie tyłem.

– OK. Więc jeśli teraz chcesz zrobić coś dla ojczyzny czy dla kogoś, dla kogo to robisz, to masz możliwość. Nie będzie to nic tak spektakularnego, jak zablokowanie działka meserszmitta sto dziewięć, ale kto wie. Pojedziesz po prostu do Pragi po jakieś narzędzia. A przy okazji wpadniesz pod jeden adres i zostawisz tam kopertę. I to wszystko.

Odwrócił się w moją stronę, ale nadal był tylko czarną sylwetką na tle lśniącego biłą Kostelca. Patrząc w stronę okna, nie mogłem rozpoznać rysów jego twarzy.

Wraciałem do fabryki niemal biegiem. W zimowej mgle czerwona willa za mną wyglądała jak na romantycznym obrazie. Ciężar strachu spadł ze mnie i rozbił się w drobny mak. Był z porcelany. Jakieś ewentualne przyszłe ryzyko w Pradze w ogóle mnie nie przerażało. Byłem znów wolny, swobodny i cieszyłem się, że wkrótce dziadka Varchezkę znów zmieni przy wiertarce Nadia.

Potem uświadomiłem sobie, że właściwie się cieszę, bo sabotaż się nie udał.

Ale stałem się bohaterem.

Papierowym.

Mimo to się cieszyłem.

* * *

Pada biały śnieg, płatki migocą. Na ulicy mdło lśnią blade litery TEATR MASARY... – resztę napisu zakrywa plakat z nieudolnie nakreślonym pajacem, szczerzącym zęby jak trupy marynarzy u Edgara Allana. Nad jego zdumioną głową świeci czerwony napis: *WE PLAY BINGO EVERY NIGHT!* Ludzie wchodzą do teatru na przedbożonarodzeniowe spotkanie.

Są tu wszyscy: Debilinka w mini, chyba ze strusich piór, narzeczony Zawynatch w beżowej marynarce, jakiej nie da się zobaczyć nigdzie na świecie. Gladys Hlavaczkova, dobroczynna dama, jakby skonstruowana dla potrzeb pisma satyrycznego „Dikobraz”, rok po roku rzucająca niezatapialne koła ratunkowe awanturnikom, którzy dopiero co dobili do tych niegościnnych brzegów. Margitka w bieli, pchająca przed sobą Boczara na wózku. Pobożna dama w selskinach i jej małżonek w cielęcej skórcie. Pan Podprsenka. Organizator z opaską. Mąż bez wydawczyni. Wydawczyni z bogatym panem Seymourem. Milan w *dernier cri*. Demokratyczny młodzian w konfekcji w kratę. Nawarstwione pokolenia emigrantów, różne, splątane losy w tak odległym kraju. Zbankrutowani, wyniesie-

ni do chwały, obrotni, chciwi pieniędzy, sentymentalni, pragnący wolności, źli, miłośni, głupcy i intelektualiści. Różni. Niezniszczalni. Zdradziecka emigracja. Ludzie. Do mikrofonu zbliża się dama, słodka dama. Miłym głosem oznajmia, że usłyszemy wiązaną pieśń ludowych, które zaśpiewają nasze dziewczęta: Jennifer Brabczakova, Pearl Czerychova, Rosemary Novakova i Heather Szisz-kova. Dziewczęta wchodzą na scenę.

To ładne dziewczęta, pulchne panienki. Mają na sobie stroje ludowe: morawski, czeski i czikagowsko-toronckie. Do tych strojów włożyły modne buty: tutaj nie potrafią wyprodukować ludowych kozaczków. Ta najładniejsza ma botki z jednego ze sklepów z Yonge Street: złote z jaskrawozielonymi sercami, na ćwierćmetrowych obcasach. Dzięki temu przewyższa pozostałe. Zaczynają śpiewać młodymi, świeżymi głosikami:

*Kjeeby mi kossali
s tyszionca fybiracz
too by jo fieeciata
kczóreemu roczke daacz...*

Trochę fałszują. Czerwieni się najpierw jedna, potem druga. Nie są zbyt zgrane. Milknie jedna, milknie druga i obie przyłączają się do pierwszego głosu. Potrójny pierwszy głos grzmi w sali ponad girlandami i marcepanową mapą Republiki Czechosłowackiej, nieokrojonej o Ruś Podkarpacką, a w górze niepewnie trzepocze osamotniony drugi głosik ładnej dziewczynki w pedalskich botkach z Yonge Street:

*Syjaas jo se, syja
syjaas jo se czeeros?
Tfuoja, kłopsze, tfuoja
nyykomu mie niee dosz...*

Wielobarwna, zdradziecka emigracja w ekstazie wsłuchuje się w to przesłanie, przefiltrowane przez szeroki ocean i *vowel shift*. Zbawca narodu pan Pohorsky

z błogim uśmiechem wystukuje rytm nieobciętymi paznokciami...

Niedawno dzwonił do mnie z propozycją, żeby do niego wpaść i poznać pana Levene'a. Sądziłem, że chodzi o współpracę z radiem abisyńskim, ale było to coś poważniejszego. Pan Pohorsky z powodu wierzycieli często zmieniał mieszkania. Dotarłem najpierw pod jeden stary adres w dzielnicy portugalskiej i dopiero po kilku skomplikowanych telefonach do znajomych udało mi się ustalić, że obecnie ukrywa się w polskiej dzielnicy. Kiedy wreszcie wszedłem do pokoju w śmierzącym domku, Levene był już urżnięty, a ja sądziłem, że to efekt mojego godzinnego spóźnienia. Dopiero późniejsze doświadczenia nauczyły mnie, że do niego nie da się przyjść wystarczająco wcześnie, by rozmawiać na trzeźwo. Był to wysoki, przystojny Semita, kropla w kroplę podobny do Chrystusa w seryjnym wykonaniu, jakie można było dostać w Caritasie. Stwierdziłem też, że chyba potrafi powtórzyć pierwszy cud Chrystusa: w jego żołądku woda musiała się zamieniać w wino.

– Niech mu pan we wszystkim przytakuje – pouczył mnie pan Pohorsky przy drzwiach. – Ma dobry humor, nie można mu go popsuć. Potem i tak zrobimy po swojemu. Ale ma dobry pomysł...

Ten pomysł to była założona właśnie przed godziną w sypialni pana Pohorskiego organizacja pod nazwą „Narodowowyzwoleńcza Armia Ludu Czechosłowackiego”. Obaj panowie mieli nadzieję, że nazwa organizacji umożliwi im zdobycie statusu członka ONZ-etu, a przedstawicielem zostałby pan Pohorsky. Levene ze smutkiem zgodził się z tym, że gdyby on został delegatem, mogłoby to spowodować oskarżenie, iż za wszystkim stoją syjoniści.

Wyraziłem się sceptycznie co do szans zdobycia statusu członka ONZ-etu, ale pan Pohorsky mnie ofuknął:

– Skoro wzięli tam tych arabskich zbójów, to dlaczego nie mieliby wziąć nas?

– Arabowie mają za sobą akcje: porwania, zamachy bombowe i tak dalej. U nas w kraju o niczym takim nie słyszałem.

Okazało się, że tym właśnie zajmie się Levene, który ze względów taktyczno-politycznych nie może zasiąść w ONZ-ecie.

– W kraju nie robią takich rzeczy, bo nie mają broni – powiedział. – Dlatego właśnie zakładamy armię narodowowyzwoleńczą. Broń się znajdzie.

– Będziecie inkorporować ten ruch? – spytałem ironicznie. Wino zmieniło się już jednak w whisky, więc ta myśl zainteresowała Levene'a.

– *Czechoslovak National Liberation Army Incorporated* – powiedział na próbę, żeby się przekonać, jak to brzmi.

– Dobra nazwa! – zapewnił go pan Pohorsky.

Odezwałem się takim samym tonem jak Levene:

– Czechosłowacka Armia Narodowowyzwoleńcza i s-ka?

– Jaka iska?

– I spółka.

– Głupio brzmi – stwierdził Levene.

– Fakt – potwierdził pan Pohorsky. – Raczej to zostawmy po angielsku. Inkorporejtyd.

– Ale jak to jest czeska organizacja, to jednak trzeba będzie czasem przetłumaczyć – powiedział zmartwiony Levene.

Przez chwilę w ciszy zastanawialiśmy się nad tym problemem. Oświadczyłem:

– W Kanadzie częściej spotyka się oznaczenia Ltd.

Pan Pohorsky spytał już z wyraźną podejrzliwością:

– Co to jest?

– *Limited*. Czechosłowacka Armia Narodowowyzwoleńcza z ograniczoną odpowiedzialnością.

– To brzmi jeszcze gorzej! – zawołał Levene.

– Masz rację, Egon – przytaknął pan Pohorsky. – Więc nie będziemy inkorporować.

– Z tym, że w kołach handlowych lepsze wrażenie robi firma inkorporowana – zastanawiał się Levene.

Problem był trudny do rozwiązania. Po dłuższej chwili zadumy znów zabrałem głos:

– Ja myślę, że ONZ-etowi tak bardzo na tym nie zależy. To nie giełda. Tam powinny się bardziej liczyć konkretne akcje.

Pan Pohorsky niepewnie spojrział na Levene'a.

– *Right!* – stwierdził Levene. – Nie będziemy inkorporować organizacji, za to ją uzbroimy po zęby. Co powiecie na to?

Sięgnął pod łóżko pana Pohorskiego, na którym – jako honorowy gość – siedział, i wyciągnął elegancki kuferek z delikatnej skórki, jeden z takich, w jakich członkowie rad nadzorczych noszą papiery czy nawet akcje. Kuferek posiadał monogram EL, chyba nawet złoty. Położył kuferek na łóżku i otworzył. Zamiast papierów na aksamitnej podszewce spoczywał bajecznie lśniący karabin, jak ze sklepu jubilera. Był jednak trochę mały.

– To zabawka? – spytałem.

– *Yeah* – mruknął Levene i pieszczotliwie pogłaskał broń w wyściełanej jedwabiem kołysce. – Dla dorosłych tinejdżerów. Szybkostrzelność sto dwadzieścia pięć na sekundę. Szybkość przy opuszczeniu lufy... – tu następował obszerny wykład o zaletach broni. Karabin był najnowszym, ściśle tajnym modelem, który właśnie wchodzi na uzbrojenie elitarnych jednostek US Marines. Levene nie zdradził, w jaki sposób zdobył egzemplarz. Ale jego fabryka w Vancouver produkowała wentyle, podobno do rakiet, więc zapewne miał kontakty z żonami zaufanych senatorów.

Pan Pohorsky błyskawicznie przeprowadził fantastyczne obliczenia:

– Człowieku, sto dwadzieścia pięć na sekundę, to na minutę masz siedem tysięcy pięćset! Ludzie, tą zabawką można w trzy minuty załatwić całą dywizję piechoty! Jak będzie ich dziesięć, to taką dywizję można zniszczyć w osiemnaście sekund, a przy stu wystarczą niespełna dwie sekundy...

– Oczywiście jeśli każda kula trafi – uściśliłem.

– *Right!* – stwierdził Levene i czknał. Ja jąrzyłem dalej:

– Poza tym jeśli to wystrzeliwuje siedem i pół tysiąca kul na minutę, to gdzie one wszystkie się zmieszczą?

Popatrzyliśmy na małą broń. Levene zaczął obracać karabin na wszystkie strony, aż wymierzył lufą w pana Pohorskiego.

– To jest tak cwanie skonstruowane – powiedział nerwowo pan Pohorsky.

Levene nacisnął jakąś wajchę i wyciągnął magazynek. Był wypełniony mnóstwem kulek niczym ikrzak.

– Siedmiu tysięcy tu nie będzie – stwierdził. – Chyba trzeba go kilka razy nabić, jak się chce strzelać przez całą minutę.

– Fakt – odezwał się pan Pohorsky. – Ale i tak wystarczy sekunda. Po seryjce z takiego automatu nieprzyjaciel będzie miał już całkiem dosyć.

Levene wsunął z powrotem magazynek, chwycił broń jak Patty Hearst na znanej fotografii i okręcił się na pięcie. – Ratatatata! – krzyknął. Potem odłożył automat na łóżko i wyjaśnił mi, że na początek ma zamiar uzbroić jedną kompanię, ale za to tak, że będzie miała siłę ogniową batalionu. Wyciągnął z kuferka plik przeczytanych broszurek, wydawanych przez różne firmy w USA. Traktowały przeważnie o technice wojny partyzanckiej, a jedną z nich napisał nawet jakiś generał Fidela, który zastrzegł sobie copyright. Levene poin-

formował mnie, że oprócz zaprezentowanego automatu kompania będzie wyposażona w miotacze napalmu, granatniki i działka bezodrzutowe. Jedno nawet już ma u siebie w ogrodzie, jako próbkę. On sam obejmie dowództwo i wyląduje wraz za całą kompanią na spadochronach w lasach w pobliżu Pragi.

– Ludzie, potraficie to sobie wyobrazić? Z taką kompanią będziemy w Pradze w ciągu godziny! Wykorzystamy moment zaskoczenia i miasto jest nasze!

Spytałem, co zrobią potem, kiedy minie zaskoczenie. Rozwinęła się ożywiona dyskusja. Pan Pohorsky uważał, że na ich stronę przejdzie większość armii – może z wyjątkiem politruków – oraz że uzyskają pełne poparcie ludności cywilnej. On tymczasem wykorzysta tę akcję w Nowym Jorku, aby zdobyć dla Armii przynajmniej status obserwatora w ONZ-ecie. Wtrąciłem, że trudno jednak oczekiwać, aby na stronę naszej kompanii przeszły również okupacyjne jednostki Armii Czerwonej. Brali to pod uwagę. Kompania spowoduje konflikt między wojskami czechosłowackimi a rosyjskimi, wykorzysta to Pohorsky w ONZ-ecie i doprowadzi do głosowania w sprawie interwencji Narodów Zjednoczonych; albo do niej dojdzie, albo też Rosjanie przestraszą się groźby konfliktu atomowego z USA i wycofają się z Czechosłowacji.

Mieli wszystko obmyślane w najdrobniejszych szczegółach. Kompania miała wyskoczyć ze specjalnych samolotów, które latają w stratosferze, więc są poza zasięgiem rakiet przeciwlotniczych. Spytałem, czy nie zlikwidują wszystkich w powietrzu, bo lot na spadochronach ze stratosfery trochę trwa... Nie. Wszyscy będą spadać bez spadochronów i otworzą je dopiero dwieście metrów nad ziemią.

Oczarowała mnie ta wspaniała wizja. Levene rozłożył wojskową mapę okolic Pragi z zakreślonymi wa-

riantami taktycznymi niczym jakiś drzeworyt Williama Blake'a. Myślał o wszystkim. Miał nawet opracowane sposoby zaopatrzenia, a na wypadek gdyby kompanii nie udało się nawiązać kontaktu z wojskami czechosłowackimi, w Niemczech miała stać gotowa eskadra wojskowych helikopterów, które mogły zapewnić zorganizowaną ewakuację. Ludzie wyznaczeni do osłony odwrotu mieli otrzymać kapsułki z cyjankiem.

Wyraziłem jeszcze jedną wątpliwość:

– A czy znajdzie się na emigracji dosyć ochotników?

Pan Pohorsky uśmiechnął się:

– Lekko biorąc, jest na emigracji przynajmniej dwadzieścia tysięcy mężczyzn w wieku poborowym i to tylko wśród tych z sześćdziesiątego ósmego roku. – Jak zawsze wszystko skrupulatnie wyliczył. Ci z 1948, z 1938 i starsi tworzyli pierwszą, drugą i trzecią rezerwę. Wyszło mu niezbitcie, że nawet gdyby zgłosił się tylko co trzechsetny młodzieniec czeskiego pochodzenia, to starczyłoby ludzi na dziesięć kompanii. – A gdyby mimo to trochę brakowało, to uzupełni się najemnikami i ochotnikami z kraju. Tam ludzie są bardziej bojowi, bo muszą walczyć z komunizmem każdego dnia. Rekruci przetransportowani zostaną do obozu szkoleniowego w USA...

Narada skończyła się tak, że zmorzony trunkiem Levene usnął. W tej sytuacji już nie było trzeba mu przytakiwać, więc urznął się także pan Pohorsky i przeszliśmy na ty. Ja się jeszcze trochę trzymałem, ale i tak przed pójściem do domu zdążyłem jako ochotnik wstąpić do Armii Narodowowyzwoleńczej, a ponieważ odbyłem zasadniczą służbę wojskową u czołgistów i zdobyłem stopień sierżanta, pan Pohorsky natychmiast awansował mnie na porucznika i przydzielił mi funkcję dowódcy plutonu czołgów pływających, które również miały zostać zrzucone na spadochronach ze stratosfery...

Wielobarwna, zdradziecka emigracja w ekstazie wstuchuje się teraz w przesłanie przefiltrowane przez szeroki ocean i *vowel shift*. Zbawca narodu pan Pohorsky z błogim uśmiechem wystukuje rytm nieobciążonymi paznokciami.

Dziewczęta ciągną dalej już w czystym, czterogłosowym unisono świeżymi, wysokimi głosikami:

Prenej sie wosendom

Góry s tolynami

jako se wosendzie

miuoś miensy nami...

* * *

Nadia nie przyszła do pracy także we wtorek, a dziadek Varzeczka wpadł w taką neurozę, że za Hetflajszem i Szvestką piętrzyły się gotowe krzyżaki. Jak się obawiałem, dostrzegł to Ballon, postąpił przez chwilę z rękami założonymi z tyłu i odszedł.

– Dziadku, za bardzo się przykładacie – szepnąłem ostrzegawczo. – Będzie afera!

– Jaka tam afera! Według tej normy będę dostawał dziennie o stówkę więcej niż na moim poprzednim warstacie.

– No, zobaczymy w sobotę – syknąłem złośliwie.

Moje proroctwo się spełniło. Ballon wrócił ze stoperem i postąpił pięć minut nad dziadkiem, który wytrzeszczył oczy i chcąc się mu przypodobać, zasuwał jak opętany.

Ballon gwałtownie zatrzymał stoper.

– *Wie ist das möglich? Dieser da ist neu, und er arbeitet fünfmal schneller als du und das Mäd, das jetzt irgendwo simuliert?*

– *Wir sind ungeschickt* – odpowiedziałem. – *Er ist ausserordentlich tauglich.*

Dziadek nie znał niemieckiego, więc słysząc ryk, tylko się przygarbił.

– *Na! Werma sehen!* – wrzasnął Ballon i znów odszedł.

– C...c...co się stało? – szcząkał zębami przerażony Varzeczka.

– Mówiłem wam, że będzie afera! Musieliście mocno zasuwać i jemu się teraz wydaje, że robicie pomąłu.

– Jezus Maria! Przecież ja się nie chciałem śpieszyć!

I dopiero teraz pokazał, co potrafi, ale nie wyszło mu to na dobre. Ballon wrócił z normowaczem, wszystko jeszcze raz zmierz yli, po czym oświadczył mi, że mam sobie szukać nowego stanowiska w fabryce, bo tutaj nie potrzeba dwóch ludzi. Pod koniec tygodnia dziadek Varzeczka wyfasował o sześć pięćdziesiąt więcej, bo podnieśli mu normę. Jako premię dostał kartkę na ćwierć litra bliżej nieokreślonego alkoholu.

Jeszcze nie zdążyłem rozejrzeć się za nowym miejscem pracy, kiedy Uippelt skierował mnie do zadań specjalnych. W Pradze oddałem list pod adresem, który miałem zapamiętać, wraz z pytaniem: *Wohnt hier Herr Seifert?* Pan, który mi otworzył, nie mrugnął nawet powieką i odparł: – *Jawohl.* Tyle zrobiłem dla ojczyzny. Popołudnie spędziłem w kawiarni Lloyd z daremną nadzieją, że tego dnia wyjątkowo przed szóstą wpadnie tam zagrać orkiestra Vlacha. O siódmej musiałem jechać z powrotem. Na dworcu spotkałem Machaniego. Skierowali go do roboty do jakiegoś laboratorium w Pradze, ale ponieważ się bał nalotów, codziennie dziesięć godzin dojeżdżał tam i z powrotem. Wstawał o wpół do czwartej, a szedł spać po północy. Przyzwyczał się jednak do spania w pociągu. Teraz też spał przez większą część drogi, więc miałem wystarczająco dużo czasu na rozmyślanie.

* * *

Rano Nadia znowu nie przysłała do pracy. Ja miałem znaleźć niejakiego Samca, forajbartera zaopatrzenia, żeby przydzielił mi robotę. Nie mogłem jednak znaleźć

ani jego, ani innych zaopatrzeniowców, tylko natknąłem się na niepozornego, wyschniętego facecika, który na dziedzińcu toczył wielką beczkę.

– Nie wie pan, gdzie jest Samec?

– W kiblu – facet z beczką nawet się nie zatrzymał.

Ruszyłem w tamtym kierunku, licząc, że spotkam tam też Frantę.

W toalecie unosiły się jak zwykle kłęby dymu, a Kos i Malina prowadzili seminarium na temat bliźniaków syjamskich. Kos twierdził, że mają jeden żołądek, a ponieważ każde lubi coś innego, więc nieustannie się kłócą. Malina uznał, że to bzdury.

– Gówno bzdury! Też jedno ma mocny łeb, a drugie może się urznąć jednym kielichem.

– A jak to, co ma mocny łeb, porządnie się zaleje, to drugie może mieć zatrucie alkoholowe, nie? – spytałem.

– No, może – przytaknął Kos. – I to pierwsze potem też zdechnie, ponieważ połączone z trupem zatruje się trupim jadem.

– Głupoty pieprzycie – protestował Malina.

– Oni w ogóle mają masę problemów – ciągnąłem dalej. – Czytałem o takich, to były akurat dziewczyny, z których jedna wyszła za męża.

– A co robili z tą niezamężną? – spytał ktoś z uczestników seminarium.

– Przykrywali ją kocem – stwierdził Kos.

– Wstawiasz farmazony! – powiedział przyszczaty chłopak ze spawalni. – Robił to z obydwoma! Ożenić się mógł tylko z jedną, bo inaczej to by było przestępstwo bigamii. Ale dymał obydwie.

– Wcale nie dymał – sprzeciwiłem się. – Ta niezamężna zmarła jako dziewica. Wykazała to sekcja zwłok.

– Będziesz nam tu kit wciskał! – rozżłościł się Malina. – Przecież żadna by się z tym nie wyrobiła! Leżeć

co wieczór obok tych dwojga i nic, baranie! To by musiała być nienormalna!

– To prawda! To są jakieś banialuki! – poparł go lakiernik Habr.

Wciągnięty w grę, która brzmiała dla mnie jak poezja, oświadczyłem z przekonaniem:

– Czemu się dziwicie, panowie? To było jak z tym żołądkiem. Niezameżna czuła dokładnie to samo co mężatka, tylko miała to bez żadnego wysiłku.

– Jesteś nosorożec! – wrzasnął Malina.

– A ta mężatka miała dzieci? – spytał Kos.

– Wydaje mi się, że dwoje.

– A bóle porodowe? Też je obie czuły?

– Też.

– Jeszcze powiedz, że jedno dziecko urodziła ta dziewczica, ty koniu! – nie dawał za wygraną Malina. – To by było niepokalane poczęcie!

Chciałem mu potwierdzić tę koncepcję, ale uprzedził mnie Kos:

– To by musiała być jak Maria Panna, ty krowo!

Malina chmurnie popatrzył na Kosa i splunął na podłogę:

– Oba jesteście krowy jordańskie.

Ktoś powiedział, że Maria Panna była dziewicą tylko do porodu. Jakiś domorosły teolog stwierdził jednak, że pozostała nią także potem. Kos uważał, że Maria Panna wcale nie była dziewicą, tylko wmówiła to świętemu Józefowi, który był poczciwcem, a tak naprawdę zrobiła sobie Jezusa ze świętym Janem Chrzcicielem, który przychodził do niej przebrany za anioła. Lakiernik Habr oświadczył, że nie będzie słuchał bluźnierstw, ale nie wyszedł, tylko rozwiązał ten problem, waląc Kosa w głowę. Zaczęła się bijatyka. W kłębach dymu dostrzegłem wreszcie Samca i spytałem go, co mam robić. Ten się zamyślił i stwierdził po namyśle:

– Jak już tu jesteś, to się najpierw wysraj. Nie ma gwałtu. Potem idź na podwórko i zgłoś się do Nejezchleby. To jest ten mały, wyschnięty, który toczy beczki. Powiedz mu, że cię przysyłam, żeby cię przeszkolił.

Przeniknąłem przez kotarę dymu do pisuarów. Stał tam Franta i wyglądał na załamane. Poinformowałem go, że Ballon wyrzucił mnie i Nadię od krzyżaków, więc jak Nadia przyjdzie...

– Nadia już nie przyjdzie. Ona ma gruźlicę.

W pierwszym momencie nie rozumiałem, co to znaczy. Niemal się ucieszyłem. Przynajmniej już do końca wojny ma fabrykę z głowy. Dopiero po chwili to do mnie dotarło. Pomyślałem o Lojzie i zacząłem się o Nadię bać.

* * *

W rogu nad kuflem siedział zachmurzony Frank.

– Załatwili Masłę. Jest w hospitalu.

– Kto go załatwił?

– Chyba wynajęty zabójca. Dzwonił do Pohorskiego.

– Wynajęty zabójca?

– Nie, Masło. Chrypiał coś do telefonu. Jak do niego Pohorsky dotarł, zastał go w kałuży krwi.

– Dlaczego od razu nie dzwonił po ambulans?

– Nie można im ufać. Wszędzie pełno komuchów.

Frank się rozejrzał, jakby mieli być i tutaj. Ale tu są najwyżej byle komuchy. I jeden Kanadyjczyk, Percy. Frank się uspokoił.

– Masło usłyszał huk i zobaczył, że z zewnątrz ktoś mu odstrzelił zamek. Pobiegł do drzwi, ale zanim tam dotarł, facet już był w środku. Na pistolecie miał saj-lencr. Masło usłyszał podobno takie psyknięcie i zemdlał. Jak się ocknął, miał kulkę w ramieniu. Trochę bardziej w lewo i dostałby prosto w serce.

– Widział twarz tego bandziora?

– Nie. Miał maskę z pończochy. Pewno ktoś z ambasady albo wynajęty morderca. Ale ten by nie musiał mieć maski. Wynajmują ich zawsze bardzo daleko od miejsca akcji.

Niebezpieczny przywódca skautów został więc niemal wykończony.

Wchodzi Debilinka. Dziś wyprzedziła wszelkie oczekiwania tych, którzy zawsze z napięciem oczekują, jaki kolaż z siebie zrobi. To, co koszulka z namalowanym biustem, w której poszła się pokazać na Václavské Náměstí, tylko sugerowała, tym razem stało się faktem. Debilinka ma na sobie szatę z pozłacanej mgły, od pasa w dół pod nią mieniącą się halkę, ale od pasa w górę jest całkiem *braless*.

– Właśnie dlatego się cieszę, że jestem teraz citizen of Kanada – rozkłada ręce. – Czechosłowacja jest, ajm sorry tu sej, rasowa kantry.

Obok niej pan Zawynatch w lśniącej marynarce i kamizelce w serca udaje, że niby nic, ale jest dumny jak paw z powodu *braless* biustu Debilinki.

– Też doceniam Briana, bo on dażnt majnd.

Z wysiłkiem odrywamy wzrok od pozłacanej mgły i spoglądamy na pana Zawynatcha, który szczerzy zęby w biało-złotym uśmiechu.

– Ja mam nawet najlepszych przyjaciół wśród Murzynów.

– Rajt – chwali go Debilinka. – Ja byłam zaręczona, a mój fiansej był taki najs boj, więc pomyślałam sobie, dlaczego mu nie powiedzieć. Mogłoby się to wydać enylej, więc mu powiedziałam, że mój dziadek był blek. On na to, że się nie martwi, bo i tak to się na mnie nie pokazuje. Ju si? Jak w tym żydowskim dzouku, że będą linczować Żydów i fryzjerów, a fryzjer się pyta: – Ale dlaczego fryzjerów?

– To był *slip of tang* – wtrącam się.

– Oukej. Też byłam chętna tak to rozumieć. Ale wiedzielibyście? On to wypowiedział w domu, a jego rodzina mu się postawiła szczupakiem.

– Okoniem – poprawił ją grzecznie pan Zawynatch.

– No, może okoniem. Aż się rozstaliśmy! Podobno razem moglibyśmy mieć czarne bejbi! Podobno według dżenetyks to jest możliwe!

– Dlaczego by mu to miało przeszkadzać, skoro nie był rasistą? – pytam.

– Ponieważ jego przyjaciele by nie wierzyli – Debilinka niemal krzyczy, bo tak ją ta historia zdenerwowała – że to jest jego bejbi! *Cause they would think I got myself knocked up by one of those African bastards that hang around the nightclubs I used to hang around!*

Piersi ze wspaniałymi brodawkami unoszą się i opadają pod złotą mgłą. Nie mogę oderwać wzroku.

– Jednak – odzywam się po chwili – ściśle mówiąc, nie jest to rasizm. Po prostu fiansej bał się podejrzenia, że jest rogaczem...

Debilinka na chwilę milknie.

– Co takiego? Hm. Łel. Enyłej, ale predżudys to jest. Żeby sobie jego stupid friends nie myśleli, że ma horns, skoro mnie elidźibli kochał!

* * *

Stałem na rogu koło warsztatu spawalniczego, rozglądałem się za Nejezechlebą i wspominałem. Jak Nadii występowały rumieńce na policzkach, jak jej lśniły i pały oczy. Jak siedziała u nas w kuchni, wpatrywała się w garnuszek i połykała drożdżówki...

– *Hasta nix zu tun?* – zaskrzypiał za mną głos Eislera. Rozejrzałem się. Pod ścianą warsztatu stała metalowa beczka. Schyliłem się i zacząłem ją toczyć. Eisler przez chwilę patrzył za mną, a potem się odwrócił i z ważną miną pomaszzerował w stronę wartowni.

Za rogiem niemal zderzyłem się z niepozornym wysuszonym facetem, też toczącym beczkę. Ledwo mnie zobaczył, zatrzymał się i zawołał:

– Młody, gdzie to toczysz?

Też stanąłem.

– Pan jest Nejezchleba?

– Tak. Gdzie z tą beczką? To moja beczka!

– Przysyła mnie Samec. Ma mnie pan przeszkolić.

– Co? A w czym?

– Nie wiem. W pracy.

– W mojej pracy?

– Chyba tak. Tak mi się wydaje.

– Tak ci powiedział? Że mam cię przeszkolić w mojej pracy?

Facet mnie trochę wkurzał. Zobaczyłem, że Eisler zmienił kierunek marszu i skierował się w stronę drzwi do kibla. W zimowe popołudnie fabryka huczała, produkując sprzęt wojskowy dla przegranej armii. A śmierć z kosą grasowała na Czernej Horze...

– No przecież panu mówię...

– To załatw sobie beczkę.

– Już mam, nie widzi pan?

– Tę natychmiast odtocz na miejsce, z którego ją wzięłeś. To jedna z moich beczek!

Pochyliłem się nad beczką i zacząłem ją toczyć z powrotem. Nejezchleba toczył swoją tuż za mną. Dotarliśmy do spawalni.

– To co mam robić? – spytałem.

– Przecież ci mówiłem: znajdź sobie swoją beczkę. Zwykle jakieś są przy dźwigu. I tu z nią nie przyłaż. Ani do kantyny, ani do głównego magazynu. Znajdź sobie swoje miejsce.

Nejezchleba postawił drewnianą beczkę obok metalowej i zaczynał odtaczać tę drugą.

– Dokąd pan idzie?

– Tę odtaczam do głównego magazynu. Tam mam inną, zieloną, którą odtoczę do kantyny. A tę pasiastą z kantyny do lakierni i potem z lakierni...

W końcu wytłumaczył mi metodologię pracy w zapatrzaniu. Chodziło o to, żeby znaleźć sobie beczki: przynajmniej trzy, a lepiej więcej. Każda powinna być zupełnie inna: duża, mała, metalowa, drewniana, kolorowa, bezbarwna. Gdyby ktoś toczył ciągle tę samą, to werkszuc mógłby to zauważyć. Nejezchleba był naprawdę mistrzem w tym szczególnym fachu. Pracował już trzeci rok. Wyglądało na to, że ja też mam zapewnioną ciekawą pracę do końca wojny.

Los jednak zdecydował inaczej.

* * *

Dziewczęta kończą śpiewać następną piosenkę, pani Rużena Smrk-Forest gra *Tańce słowiańskie*, Priscilla Kouba – po matce piegowata Szkotka, niemal kropka w kropkę podobna do Wendy Mc Farland – przebieając nóżkami jak na sznurkach, tańczy szkocki taniec w szkockiej spódnicy, od pasa w górę nieruchoma jak posąg, kolega Senka wygłasza mowę o T.G. Masaryku – w odróżnieniu od przemówień na temat innych herosów, jakie słyszałem w Pradze, całkiem pozbawioną uczuć, ale także treści. Do mikrofonu podchodzi słodka, wspaniale uczesana (Beauty Salon Kroupa) dama informując nas, że oto wreszcie nadeszła chwila, na którą wszyscy tak niecierpliwie czekaliśmy. Dzięki najnowocześniejszej technice, którą wypożyczył kolega Pilnacek, właściciel sklepu z tiwi i stereo Praguesonic, usłyszymy za moment niezapomniany głos naszego pierwszego prezydenta wyzwoliciela Tomáša... Wszyscy cichną. – Proszę, kolego Pilnacek... – Powabna pani wykonuje pełen gracji gest...

Zapada cisza. Tylko jakieś dziecko z tyłu płacze i ktoś je uspokaja. Kolega Pilnaczek przesuwaj wajchę i z ogromnych, supernowoczesnych głośników rozlega się głos... Mickey Mouse.

To jeden z cynicznych żartów losu czy Pana Boga, który – jak się wydaje – trzyma stronę bolszewików. Dama zachowuje profesjonalny spokój, a na jej twarzy pojawia się przepaszający uśmiech. Kolega Pilnaczek mocuje się z wajchą, ale z drugiej strony trzyma ją ręką złośliwego bóstwa. Dziecko, zaciekawione miki mausem, przestaje płakać. Staram się zrozumieć przesłanie, które na pełen regulator dudni w sali. Jest jednak bardziej niezrozumiałe niż słowa na bransolecie Debilinki.

A myszka szczebioce strasznie długo. Nikt jej nie rozumie. Bóg raczy wiedzieć, czego chce. Kolega Pilnaczek z wysiłkiem majstruje śrubokrętem w aparaturze.

Wreszcie się udało. Sala oddycha z ulgą. Za chwilę przemówi drugi głos, myszka ucichła. Jednak zamiast niej odzywa się teraz... King Kong. Przerażone dziecko znów zaczyna wrzeszczeć. Koledze Pilnaczkowi wypada z ręki śrubokręt. Słodka dama wysyła zdradzieckiej emigracji kolejny słodki uśmiech. Głos King Konga dudni ze wspańniętych głośników stereo, ale także jego przesłanie jest całkiem zaszyfrowane – dźwięk ma takie natężenie, że ludzkie ucho nie jest w stanie niczego zrozumieć.

Wydaje się, że wszystko przepadło. A jednak nie! Kolega Pilnaczek, żołnierz spod Tobruku, nie zamierza się poddać. Śrubokręt znów jest w dłoni, kolega Pilnaczek się poci i... wreszcie wajcha wskakuje na właściwe miejsce! Starczy, drżący głos wypowiada ostatnie słowa przesłania:

– ...nasza demokracja musi być nieustającą reformą, nieustającą rewolucją. Ale – rewolucją głów i serc!

I tyle. Głos z otchłani całkowicie martwego czasu umilkł. Jego absolutystyczne postulaty rozbiły się o fale

innych rewolucji, które wyśmienicie potrafiły wciągnąć wiele serc i niejedną głowę. Głos z cudownej krainy baśni z tysiąca i jednej nocy. Na twarzy słodkiej damy maluje się błogość, jaką odznaczają się chyba anioły. Kolega Pilnaczek zdejmuje z aparatury płytę gestem arcybiskupa unoszącego hostię. Panuje grobowa, nabożna cisza.

Z tej ciszy, niczym diabeł z pudełka, wrywa się tenor kolegi Kocmana. Zrywa się z miejsca, w klapie łśni mu odznaka dziewiątego zlotu wszechsokolskiego, a w pełnym wzruszenia głosie słyhać potężną, bezbrzeżną nostalgię... *Kdeee domov můůůj...* Niestety tenor kolegi Kocmana jest zbyt wysoki, a na domiar złego zaczął hymn w najwyższym rejestrze. Wszyscy wstają. Niektórzy starają się utrzymać wysokość Kocmana, ale po chwili z niej spadają i milkną. Inni próbują o oktawę niżej, ale toną w głębinach. Ostatecznie słyhać tylko wysoki tenor unisono z sopranem stareńkiej pani Zdislavy Warwick, byłej profesorki Royal Conservatory.

Ale jestem szczęśliwy. Nagle – czy kiedykolwiek przeżyłem coś podobnego? – czuję się integralną częścią małej całości, odczuwam totalny brak sztucznej powagi, ludzką bliskość naszej śmieszności, naszych absurdalnych pragnień, naszej równości. Nie ma tu pompy opłacanego przez państwo, sztucznego entuzjazmu, tylko mały, dialektyczny kabaret, oparty na własnych źródłach. W euforii tej chwili próbuję się cofnąć na pozycje ironisty, ale nie daję rady.

– Jest w Łest Dżermený taka kompený – mówi Debilinka – i oni panu zrobią taki specjalny kompartment w karze, ju si? Kastmejd na miarę pańskiego ciała i kształtów, it fits lajk jor skin. Żaden celnik go nie znajdzie. Naczrli to nie jest komfortebli i trzeba się stripnąć do naga, żeby się do tego wsklizować. Dotrze pan w tym do wolnego świata jak njuborn bejbi. Za grani-

cą ma pan już przygotowany dres. Czardżują za to jakieś pięćdziesiąt tysięcy marek, bat! W tym jest inkudowany trip ich ejdżenta do Czechosłowacji, gdzie on panu weźmie meżrments, a potem drugi trip ejdżenta ze specjalną karą. Łel, ma to cenę pańskich pieniędzy, ale przy tym jest to kawałek pieniędzy.

– Pieniądze nie znaczą jednej sprawy – odpowiada pan McEachen w garniturze od nowojorskiego krawca i z sygnetami konkurującymi z biżuterią pana Zawynatcha. Nazywał się naprawdę Macecha, ale brzmienie Mesesza mu się nie podobało. – To nie jest, co mnie łoriruje.

Widzę, że Debilinka spotkała równego sobie.

– Pan myśli – ciągnie dalej – że pańska stara dama by się wstydziła. Niech pan nie łoriruje. Oni są bardzo dyskretni. Ejdżent patrzy na bok, jak klient się stripuje.

– To nie jest, co mam na mojej myśli – tłumaczy pan McEachen jeszcze bardziej zmartwiony. – Moja stara dama jako młoda dziewczyna miała w zwyczaju pozować artystom. Tym... jak się mówi, pejntrs...

– Malarzom – pomaga pan Zawynatch.

– To jest to. Malarzom. Ten obraz ja mam nad fajerplejsem. Wolność prowadzi legionistę, od mistrza Slabinoha, to jest moja matka. Co odtąd aż do góry... – pan wskazuje od pasa w górę. Wszyscy, nie ma rady, zezujemy w stronę złotej mgły. Łącznie z panem, który chciałby wyciągnąć matkę ze starego kraju. – ...jest wszystko widoczne. Moja stara dama, jeśli wiecie, co mam na myśli, nie miała się za co wstydzić.

– Łel, co jest trabl? – pyta Debilinka. – Ejdżent jest też łiling patrzeć, jak to jest, co sobie klient życzy.

– Ona jest bardzo gruba – mówi ponuro pan McEachen. – Dwieście osiemdziesiąt paundów. Taki kompartment by chyba nie mogli fitować do kary. Serio w to wątpię.

Nikt go nie pociesza, bo rzeczywiście to jest chyba techniczny problem wielkiej wagi.

– Może być – odzywa się pan Zawynatch – że gdyby wzięli jakiś większy stejsznłegn...

– To by to neczrli zrobiło więcej droższe – odpowiada Debilinka. – Oni normalnie operują tylko ze standardowymi karami.

– Pieniądze nie znaczą jednej sprawy – powtarza pan McEachen. – Ale stejsznłegn jest... łotłord?... pusty z tyłu. Gdzie by dali kompartment.

Znów milczymy. Nikt z nas nie jest technikiem.

– Łel, to jest ich problem – stwierdza pan Zawynatch. – Skoro pieniądze nie są problemem, to nic nie może być problemem.

Wielka wiara pana Zawynatcha w siłę pieniądza nie jest ślepa. Mimo największych pieniędzy Debilinka jest nadal bergejn. A jednak zaczynam podejrzewać, że ona tę miłość traktuje poważnie.

– Problemem może być coś innego – wtrąca się kolega Pelikan, młodszy emigrant, z lutego 1948 roku, który przed zwycięstwem ludu pracującego miast i wsi był szefem organizacji studenckiej partii ludowej na wydziale filozoficznym. – A jeśli ta kompeny nie ma tego wydizajnowanego, to powinien pan się domagać upustu z ceny.

Kolega Pelikan przyjechał do Toronto tylko z wizytą. W rzeczywistości mieszka w Nowym Jorku, gdzie jednak nie jest filozofem, tylko dyrektorem sieci nocnych klubów.

– Mówię z własnego doświadczenia – ciągnie dalej – i powiem wam, panie i panowie, że ten rodzaj komunikacji może pana matkę, panie McEachen, doprowadzić do bardzo wstydliwego trabl.

– Ależ panie Pelikan – protestuje Debilinka. – Jak pan miał defekt, to ta kompeny nie była jeszcze w biznesie!

– Rajt – przytakuje pan Pelikan – ale istniały podobne sposoby. Ja wyostałem się właśnie w taki sposób i po-

wiem wam, że znalazłem się niemal w sytuacji Tychona Brahe. – Robi efektowną pauzę, żeby zwiększyć napięcie, a potem opowiada dalej. Wtedy jeszcze jeździł międzynarodowy ekspres Praga-Monachium, były to pierwsze dni po zwycięstwie ludu pracującego (nie mylić z partią ludową) i koledzy umieścili pana Pelikana w wagonie restauracyjnym. Byli przezorni i na wypadek takiej sytuacji, jaka rzeczywiście nastąpiła w lutym 1948, mieli w dachu wagonu przygotowane małe pomieszczenie, dokładnie na jednego człowieka. Dogadali się z kucharzem, pan Pelikan zwinął się w dziurze jak kot, a kucharz go tak mocno zaśrubował, że nie mógł się nawet ruszyć. A ponieważ w tym napięciu myślał o tysiącu rzeczy, to przed wejściem do pociągu zapomniał się wysikać. Ledwo go zaśrubowali, dał o sobie znać pech.

– Miałem taka malutką dziurkę, akurat na wprost oka – pan Pelikan wczuwa się w ówczesną sytuację – bo chyba zapomnieli tam włożyć śrubkę. I panowie, diabli nadali, w pewnej chwili widzę, jak przy stoliku dokładnie pode mną siada Hubert Stein z jakąś damulką. Pani zapewne nie wie, kto to był Hubert Stein? – Debilinka przecząco kręci głową. – To kolega, przynajmniej do czasu komunistycznego puczu. Szef wydziałowej organizacji partii komunistycznej na filozofii. Mający poza tym jeszcze inne funkcje – tłumaczy pan Pelikan. – To było zaledwie dzień po tym, jak Gottwald miał przemówienie na Rynku Starego Miasta, a Stein już jechał do Monachium. Oczywiście nie na emigrację. No, po prostu wyjątkowy pech. Cały czas powtarzałem sobie w duchu: słuchaj Pelikan, śmierć z powodu pęknięcia pęcherza jest niehonorowa. Skoro wytrzymał Tycho, to ty też możesz wytrzymać. Ale masz taką silną wolę jak on? Wytrzymasz?

Pan Pelikan trzymał się dzielnie aż do granicy. Tam jednak pociąg stał półtorej godziny i przeprowadza-

no drobiazgową rewizję. Przez cały ten czas pod panem Pelikanem Stein z damulką pili szampana. Pelikan już zaczął myśleć, że dotrzyma kroku Tychonowi Brahe. Walczył całą siłą woli, ale kiedy pociąg wreszcie ruszył, pęcherz okazał się mocniejszy od woli i z pana Pelikana zaczęła wyciekać zawartość. Tworzyła się kałuża, a kiedy spojrział przez dziurkę na dół, zobaczył, że ciecz kropla po kropli kapie Steinowi wprost do kieliszka z Château Mělník.

– Cały czas się modliłem – ciągnie swą opowieść – bo przecież Stein wciąż jeszcze mógł pociągnąć, jak to się mówi, za brejk. Ale uratowała mnie damulka. Mówi: „Hubi, czy to pada?” Oboje patrzą przez okno, a tam nie pada. „To czemu sufit przesiąka?” Hubi wyciągnął rękę, żeby kropla kapnęła mu na dłoń, a potem – przepraszam panią, że jest to trochę disgusting – ją oblizał. Zdziwił się i powiedział: „Jakiś dziwny deszcz. Jak morska woda”. I oboje spojrzeli mi prosto w oczy przez dziurkę po śrubce. Oni mnie nie widzieli, ale ja ich doskonale. I wtedy nadszedł ratunek. „Tu stacja Furth im Wald!” – rozległo się z zewnątrz. To już były Niemcy. Byłem zbawiony!

Zaraz przybiegł kucharz i odśrubował pana Pelikana. Ten jednak był tak zeszywniały, że nie utrzymał się na górze, spadł na stół wprost między Steina a damulkę z bezpieki i upodobił się do wodotrysku. Stein wiedział, że pan Pelikan jest już poza jego zasięgiem, więc przynajmniej wycedził z jadem: „O proszę, nasz demokratyczny bohater, co się zeszczął ze strachu”.

– I co mu pan odpowiedział? – krzyczy Debilinka. – Przecież to nie było ze strachu!

– Ja? – pan Pelikan poważnieje i kiwa głową. – Gdybym wtedy wiedział to, co dopiero później nauczyłem się rozpoznawać, tobym mu nic nie powiedział. Wtedy jednak stwierdziłem: „Słuchaj, Stein, ja się zeszcz-

łem ze strachu, kiedy stamtąd uciekałem. Ale ty się tam kiedyś zesrasz ze strachu, tylko już nie będziesz mógł uciec!” No tak... – smutno kręci głową. – Nie minęły nawet cztery lata, jak go powiesili.

Denouement znów wprowadza pana McEachena w ponury nastrój. Wyraża obawy, czy starą damę może wystawić na takie tortury. Ona ma nerwy w nie najlepszym stanie. Już trzykrotnie zwracała się o pozwolenie na wyjazd z wizytą do syna, ale jej odmówili.

– Dlaczego? Przecież prawie każdemu pozwalają, jak jest to sinjir sitizn – dziwi się Debilinka.

– Nie wiem – odpowiada nieszczęsny pan McEachen. – Oni powiedzieli, że ja jestem aktywny. Dopóki będę aktywny w polityce, to ona nie może wyjechać. Nic innego nie zostaje, jak ją wysmagłować.

– Jest jedna metoda, która jest nawet bardziej bezpieczna – odzywa się Debilinka. – Ale ona dłużej trwa. Nawet rok.

– Która jedna to jest?

– Że stara dama wyjdzie za cudzoziemca.

Z pana McEachen uchodzi powietrze.

– Ona jest bliżej osiemdziesięciu. Kto sobie ją ożeni?

– Są tacy ludzie – stwierdza Debilinka – ale to kosztuje pieniądze.

– Pieniądze nie znaczą jednej sprawy. A znalazłaby pani człowieka?

– Szur – zapala się Debilinka. Potem tłumaczy, że sprawa jest jednak dość skomplikowana. Wynajęty narzeczony musi najpierw odwiedzić Pragę jako turysta i tam, niby przypadkiem, poznać narzeczoną. Potem wraca do kraju i pisze... Debilinka rozwija złożony i długoterminowy plan.

– Seksy? Pesznt? – powątpiewa pan McEachen. – Stara dama jest bliżej osiemdziesięciu i ma dwieście dziewięćdziesiąt paundów...

– No! problem – twierdzi Debilinka. – Wybierze się kogoś fitting w wieku i wadze. Czescy goście są bardzo poszukiwani.

Nawet nie wie, ile ma racji.

* * *

Brakowało mi Nadii. Toczenie beczek było co prawda znacznie lepszą pracą niż wiertarka, bo miałem dużo ruchu i mogłem zostawać w kiblu, jak długo chciałem; trzeba było tylko unikać kontroli Eislera. Jednak za każdym razem, gdy wracałem z kibla do swoich na razie tylko dwóch beczek i widziałem dziadka Varzeczkę, jak się zwija, żeby wypełnić podniesione przez własną głupotę normy, z bólem uświadamiałem sobie nieobecność tej chudej dziewczyny. Co teraz może robić, skoro ma gruźlicę?

Pod koniec tygodnia już byłem całkiem opętany myślami o Nadii. W niedzielę przyszło mi do głowy, że z powodu gruźlicy nie chodzi co prawda do fabryki, ale może przyjdzie do kościoła. Nie przyszła. Więc musiała to być poważna sprawa. Kościół bez niej był pusty. Ożywiała go tylko trochę Marie, ale ona była z Koczandrem, stali jedno tuż obok drugiego na chórze, jakoś strasznie pilnie śpiewali i nabożnie odmawiali wyznanie wiary.

Nadia nie przyszła. Wyobraziłem sobie ich chałupę ze szczapami drewna piętrzącymi się aż pod sam dach, z malutkim oknem wyciętym w belkach i z mrużącą kotką. Nie byłem w stanie dłużej tego wytrzymać. Po obiedzie zebrałem się i ruszyłem w stronę Czernej Hory. Nie wiedziałem za bardzo, co tam będę robił. A właściwie wiedziałem, że nic, tylko będę gapił się na tę chałupę, która dzięki Nadii stała się tak niezwykła i inna od pozostałych chałup we wsi. Podobnie jak inny był dom nad rzeką, w którym mieszkała Irena, oraz luksusowa willa Marii na zboczu pod Czerną Horą. Mogę

się tylko gapić, bo w środku z pewnością będzie narzeczony i chyba by się zdziwił, że tak przesadnie interesuję się zdrowiem Nadii. A ona na pewno by się czerwieniła. Do tego nie można było dopuścić.

Narzeczony rzeczywiście tam był. Dostrzegłem go spod krzyża, jak w progu rąbie drewno. Był słoneczny dzień, wszędzie biało, a Franta rąbał drewno w koszuli w kratę z podwiniętymi rękawami. Kawalek za wioską, na zboczu pod Chatą Jiráska, ludzie z Kostelca jeździli na nartach i sankach. Nie chciałem, żeby Franta mnie zobaczył. Byłem w kombinezonie narciarskim, więc skręciłem w stronę czarnych postaci na zaśnieżonej trasie zjazdowej, nad którymi na górze wznosiła się drewniana, wykładana kamieniem restauracja. Zatrzymałem się za krzakami i klęcząc gapiłem się na chałupę Nadii. Słońce odbiło się w drobnych okienkach, aż musiałem zmrużyć oczy. Przesunąłem się w bok i zobaczyłem kotkę w okienku, jak wpatrywała się w białe błonia. Franta wyszedł z chałupy z bańką, przeszedł przez drogę do sąsiednich zabudowań, podstawił bańkę pod pompę opatuloną gałązkami świerku i zaczął pompować. Ponad białą równiną słychać było skrzypienie rączki, mieszające się z głosami narciarzy. Nadia była gdzieś za tym okienkiem, może w łóżku. Ciekawe, co tam razem robią, pomyślałem. O czym Nadia rozmawia z Frantą? Nie potrafiłem sobie tego wyobrazić. Nie mogłem sobie wyobrazić nawet Nadii, tylko jej męskie buciory i bezkształtne, powyciągane swetry i spódnice. Będzie na zawsze w tej chałupie z tym byczkiem, który wciąż chodzi w samej koszuli, choć za oknem mróz. Właśnie wracał z pełną bańką do chałupy i niósł ją, jakby w środku było powietrze. Ale właściwie dlaczego nie. Ktoś przecież musi zostać w tych wioskach. Ja nigdy, nawet przez chwilę, nie myślałem o tym, żeby zostać w Kostelcu. To za-

wsze było tylko prowizorium. Tu się urodziłem, a ponieważ wciąż jeszcze nie byłem pełnoletni i w dodatku była wojna, musiałem tu być. Ale gdy tylko wojna się skończy... Nie wiedziałem dokładnie, co zrobię, prócz tego, że pojedę do Ameryki. Nie rozumiałem, jak ktoś na całe życie może zostać w Kostelcu i w ogóle się przed tym nie bronić. Ale chyba tacy byli. Chłopakom z naszego fabrycznego, kiblowego uniwersytetu nawet do głowy nie przyszło, że mogą gdzieś wyjechać i robić coś innego. Kostelec i fabryka, to były dla nich oczywistości. Może było tak, bo oni coś umieli. Ponykl był spawaczem, Kos ślusarzem, Malina też, ponadto stolarze, malarze. Ja nic nie umiałem. Najwyżej trochę grać na saksofonie, ale nie na tyle dobrze, żeby z tego żyć. Żyć w Pradze. W Kostelcu może by się dało. Ze szkoły prawie nic nie wyniosłem, bo nic mnie tam nie pasjonowało, tylko książki, ale nie te, które powinniśmy byli czytać. Może to było dlatego. A Nadia? Cóż, ona też nic nie umie. Tylko prace domowe, ale jest kobietą, a kobietom to wystarcza. Franta się z nią ożeni... Przyłapałem się na tym, że choć najwyraźniej jestem w niej zadurzony, to kiedy tak się gapię na chałupkę, z której komina bije dym, zupełnie nie myślę o tym, że to ja mógłbym się z nią ożenić. Dym z komina oznacza zapewne, że Nadia szykuje kolację. Na piecu, bo mają tam jeszcze wiejski piec... Przypomniałem sobie, jak mi było dobrze, kiedy nakarmiłem ją matczynymi bułeczkami i jak potem zmywaliśmy naczynia...

Za mną rozległ się jakiś świst, a potem krzyk dwóch dziewczyn. Odwróciłem się. Niedaleko mnie leżały przewrócone sanki, a obok nich Marie w narciarskich spodniach i norweskim swetrze, a z drugiej strony serek jakaś inna dziewczyna. Właśnie zbierała ze śniegu okulary i sprawdzała, czy już po nich.

– Ratunku! – krzyczała Marie i śmiała się do mnie.

– Co ci jest? – spytałem. – Upadłaś na tyłek. To tak, jakbyś spadła na poduszkę.

– Skąd wiesz? – zapytała Marie. Wstała i zaczęła sobie otrząpywać ze śniegu tę część ciała.

– Kobiety mają więcej podskórnego tłuszczu niż mężczyźni. Zwłaszcza na tyłku – odparłem. – Tak mówił już w piątej klasie Starzec.

– To sobie wymyśliłeś. Tego nie mówił. – Marie podeszła do mnie i odwróciła się plecami. – Dotknij.

– Co takiego?

– Dotknij mojego tyłka!

Cóż to się dzieje? Taka nabożna panienska i coś takiego? Druga dziewczyna powoli zbierała się ze śniegu, mrużyła krótkowzroczne oczy i wyciągała chusteczkę.

– Mówisz poważnie?

– Nie traktuj tego tak, jak na pewno to traktujesz. Chodzi wyłącznie o praktykę z anatomii. No, dotknij!

Dotknąłem, Marie miała tyłek sprężysty jak materac w sali gimnastycznej. Żadnej grubej warstwy podskórnego tłuszczu. Po prostu twardy.

– Masz sprężysty tyłek – powiedziałem to na głos.

– Czyli nie jak poduszka.

– Jak nadmuchiwana poduszka – stwierdziłem i znów chciałem go dotknąć. Marie jednak tym razem się odsunęła i odwróciła twarzą do mnie. Była zaróżowiona od mrozu, a złote loki przykrywała niebieską czapeczką.

– Co tu robisz? – spytała.

– Nic. Spaceruję. Idźcie sobie pojeździć.

Patrzyła na mnie badawczo, a potem przez krzaki spojrzała na chałupkę. Z komina unosił się teraz gęsty dym. Pewnie dołożyli świerkowe gałązki.

– Co tak się zachowujesz, jakbyś w ogóle mną nie był zainteresowany? – drążyła dalej Marie. – Ty tam kogoś masz?

– Daj spokój! Tutaj?

– No, przecież to jasne! – Marie znów zmierzyła mnie wzrokiem. No tak, nie miałem nart i byłem tu sam. – Ty nigdy nie poszedłbyś ot tak sobie na spacer na Czeroną Horę!

– Dlaczego nie?

– Stałoby to w sprzeczności z prawami psychologii, Daniczku!

Podeszła do nas druga dziewczyna, już w okularach na nosie. To był taki typ: miała zapewne tyle samo lat co Marie, ale wyglądała tak, że spokojnie mogła mieć nawet trzydziestkę. Marie nas przedstawiła. Nazywała się Hana Klegrova i była z Hradca. Kiedy usłyszała moje imię, parsknęła śmiechem.

– To jest on?

Marie też zachichotała.

– Tak, to on.

– Co macie na myśli, drogie damy?

– Że to jesteś ty – odparła Marie. Obie wciąż się śmiały. Patrzyłem na nie poirytowany.

– Co we mnie jest szczególnego, że was tak bawię?
– zapytałem.

– Jesteś zabawny – odparła Marie.

– Pisze pan bardzo zabawne listy – stwierdziła ta Hana. – To znaczy, słyszałam, że pan pisze. Do mnie pan na razie żadnego nie napisał.

I nie napiszę, ty jędz, pomyślałem.

– On to naprawi – powiedziała Marie. – On jest taki pisarz.

– Nie mam teraz czasu. Pracuję na rzecz zwycięstwa Rzeszy – odburknąłem. – Daj jej przeczytać jakieś swoje. Zresztą na pewno i tak już dałaś.

Było jasne, że dała. Ale mnie tam wszystko jedno. Zresztą to były naprawdę całkiem ładne listy.

– Ja? – udała zdziwienie Marie. – Jeśli już ktoś, to najwyżej Jarmila Dovolilova. Ona jest cioteczną siostrą Hany.

– Nikt mi niczego nie dał do czytania – zaprzeczała Hana. – Ale wszystkie dziewczyny mówią, że bardzo pięknie pan do nich pisze.

Nie dość, że jędzą, to jeszcze pełna jadu.

– No to cześć – powiedziałem. – Idźcie się bawić, dzieci!

– Widzisz go? – uniosła się Marie. – Widzisz, jaki jest zimny? A przed chwilą klepał mnie po tyłku! On ma jakąś inną.

Obie znów ryknęły śmiechem. Do chałupki Nadii zbliżała się jakaś para: stryj w baranicy i ciotka w chustce. Zapukali, w drzwiach stanął Franta i wszyscy weszli do środka. Z domu wybiegł kot i ostrożnie stał po śniegu.

– On ma jakąś nową! – słyszałem wesoły głosik Marii. – Do niedawna chodził z jakąś robotnicą, a teraz chyba ma panienkę ze wsi.

Znów zachichotały. Były coś bardzo rozbawione.

– Jakaś jesteś wyjątkowo wesoła! – odezwałem się z irytacją w głosie.

– Zgadłeś, Daniczku!

– I ten twój cię nie pilnuje?

Dziewczyny popatrzyły na siebie i parsknęły śmiechem.

– Znów zgadłeś, Daniczku.

– No to mi go żal – mruknąłem. – Idźcie sobie pojeździć na sankach.

– Posłuchaj – Marie zaczęła do mnie robić słodkie oczy. – Skoro dziś mnie nie pilnuje ten mój, to nie chciałbyś skoczyć dla mnie po kawę z brukwi? Jest mi zimno.

Zaczęła udawać, że szczęka zębami.

Spojrzałem na chałupkę. Znowu przy drzwiach stał jakiś stryjek i Franta wpuszczał go do środka. Uświadomiłem sobie, że też jest mi zimno. Popatrzyłem na Ma-

rię. Ślicznie wyglądała. Błękitne oczy jasno świeciły w aureoli złotych włosów.

– Nie gap się tam ciągle! – powiedziała.

– Jestem zakochany, Marie.

– Wiem. We mnie – odparła.

Do diabła, czy to prawda? Marie była bardzo piękna. Kochałem się w niej już przynajmniej z pięć lat. Więc jak to właściwie jest? Jak to jest teraz?

– Oczywiście także w Irenie – mówiła dalej Marie. – Ale we mnie bardziej.

Wciąż milczałem, roztrząsając ten problem. No tak, miała rację. Wcale mi nie była obojętna. Ale Nadia... tamtego popołudnia u nas na otomanie... jej szczupły nagi brzusek... te wzruszające buciory...

– Ponadto również w tej wiejskiej dziewczynie i tak dalej. Ale przecież nie ma żadnego przeciwwskazania, żebyś mnie – swojej starej miłości – nie mógł kupić kawy z brukwi.

W sumie miała rację. I tak jest strasznie zimno. Słońce chyli się ku zachodowi. A więc kawa z brukwi.

W restauracji panowała ożywiona atmosfera. Mieli tę kawę, ponadto lipową herbatę i zieloną lemoniadę. Jeszcze jakieś kotlety na kartki, ale nikt z nas nie miał katek. Przy jednym stole rznął w karty Vratia Blażej i dwaj urzędnicy od Bartoniów, a paczka Jarki Mokrego przy innym stole grała w tysiąca. Było też jeszcze kilka rodzin z dziećmi oraz paru piwoszy z wioski, pijących wojenne, siedmiostopniowe piwo.

Dziewczyny wciąż chichotały. W drodze Marie pięć razy się przewróciła się na zboczach, z tego cztery razy specjalnie, a piąty nie. Potknęła się o wystający spod śniegu korzeń i wyciągnęła się jak długa, o mało co nie rozbijając sobie nosa. Złapała się zaraz za niego i udawała, że płacze.

– Nie rycz – powiedziałem. – Nic ci nie jest. Upadłaś na poduszki. W dodatku dwie.

W normalnej sytuacji by się obraziła i powiedziała-by, że jestem świnia. Albo gdyby była w wyjątkowo dobrym humorze, to stwierdziłaby, że powinienem się starać panować nad swoją wyobraźnią. Ale tym razem coś się działo. Wypięła na mnie siedzenie i spytała:

– Chcesz pomacać?

– Tam nie – odparłem.

– On chce pomacać twój nos – wtrąciła się Hana.

– Proszę bardzo – powiedziała Marie i nadstawiła nos. Obie znów zaczęły zataczać się ze śmiechu, a po chwili, jak na komendę, razem zwały się w śnieg. Po prostu zabawa.

Przy kawie z brukwi Marie wyjęła lusterko – ciekawe, gdzie je trzymała w tym stroju narciarskim – i zaczęła oglądać sobie nos. Coś sobie szeptały z Haną i były jedną wielką radością.

– Ty naprawdę jesteś dziś wyjątkowo wesoła – powiedziałem.

– Bo spadł mi kamień z serca – odparła.

– Jaki kamień?

– Wielki.

– Ale niematerialny – dodała Hana.

Te ich spiski coraz bardziej mnie drażniły.

– Tak bym nie powiedziała – oświadczyła Marie.

– No, właściwie masz rację – przytaknęła Hana. – Częściowo materialny.

O czym one mówią? Jakieś szkolne kłopoty? Marie wciąż jeszcze chodziła do szkoły. Do ósmej klasy. Ale właściwie za bardzo nie chodziła. Wciąż jeszcze było wolne z powodu braku węgla.

– Ledwo przeszłaś na okres z matmy, tak? – spytałem.

– Ledwo – potwierdziła Maria. – Ale co w matmie jest materialnego?

– Różga – odparłem. – Twój tata by jej użył wobec tej części twojego materialnego ciała, której dzisiaj dotknąłem.

– Mam nadzieję, że o tym napiszesz jakiś bardzo piękny list – powiedziała. – Do mnie oczywiście. Nie do Ireny czy Jarki Dovolilovej. Do nich napisz, kiedy którąś z nich dotkniesz. A potem mi to opisz, dobra? Tak porównawczo.

– Prawdę? – zapytałem złośliwie.

– Jasne. Ja się prawdy nie muszę obawiać.

– Teraz już nie – zgodziła się Hana. – Teraz już prawda nie może ci zaszkodzić.

O czym one mówią? Ich tajemnice nie dawały mi spokoju i bardzo chciałem zostać w nie wprowadzony.

Coś z Koczandrlem? Przypomniałem sobie, jak rano zgodnie śpiewali na chórze.

– Z kim zdradziłaś tego swojego? – próbowałem zgadywać.

– No wiesz! – oburzyła się Marie. – Za kogo mnie masz? Przecież tylko z tobą. Z żadnym innym.

Znów wybuchnęły śmiechem.

– O mnie to on wie – stwierdziłem. – Z mojego powodu nie musiał ci spadać żaden kamień z serca. Mnie on toleruje.

– Żebyś wiedział, że ten kamień częściowo spadł mi też z twojego powodu.

– Mania, tego nie rozumiem – wtrąciła Hana.

– Bo nie chciałabym, żeby mnie przestał kochać – odparła. – Skoro już mnie kocha.

– Kto? Ten twój?

– Nie on. Ty!

– Oni podobno z takiego powodu nie przestają – powiedziała Hana. – Jak kochają, to kochają.

– Do alleluja! – dodała Marie i znów się roześmiały.

– Mówicie jak Pytia – mruknąłem zniechęcony.

– *Ibis, redibis, non moriaris in bellum* – wyrecytowała Marie.

– Siadaj, masz dwóję, Dreslerova! – oświadczyłem.
– *In bello*.

– Ja już się będę uczyła, panie psorze – zaszczębiotała. – Ja przepraszam, w ostatnim okresie byłam taka trochę roztargniona.

– Teraz już ci łacina dobrze pójdzie – przytaknęła Hana.

Nagle, jakby gdzieś w przyszłości urwał się fragment czasu, pomyślałem, co będzie za dziesięć lat. Albo za dwadzieścia. Gdzie wtedy będą te roześmiane dziewczyny? Ta piękna Marie? Gdzie będzie Nadia? Gdzie Irena? Zrobiło mi się smutno. Będą wyglądały jak moja mama. Będą też miały swoje osiemnastoletnie, roześmiane dziewczyny, ale same już nie będą się śmiać. Minie im to poczucie humoru. Nie znałem żadnej tak wesołej czterdziestolatki. Zacząłem się bać, czy to wszystko za chwilę nie przeminie. Dlatego chciałem jeszcze jak najdłużej ciągnąć z nimi tę grę.

– Hana, idzie tutaj ten twój – usłyszałem Marię.

Uniosłem wzrok. Do restauracji wpadli chłopaki z orkiestry z dziewczynami, a z nimi jakiś obcy facet. Rozejrzeli się i kiedy nas zobaczyli, ruszyli w naszą stronę.

– Widzicie go, jaki padalec! – pozdrowiła nas Lucie. Wszyscy byli w strojach narciarskich, ale na głowach mieli różne kapelusze: Haryk okrągły słomkowy, Benno melonik, a Leksa cylinder.

– Idź precz od tego zakazanego owocu! – powiedział Haryk, wskazując na Marię.

– Co za bezczelność! – oburzał się Leksa. – Ma ukochaną o rzut kamieniem, a on poi kawą jakąś inną.

– Z brukwi – dodał Benno. – A może mają tu żytnią?

– Myślisz w tej chałupce? – spytała Lucie.

– W tej ze słomianym dachem.

- W chałupce pod górami – odparł Leksa.
- W górach – poprawił go Benno. – Podobno to ślicznotka.
- To wy już o niej wiecie? – zdziwiła się Marie. – O tej wiejskiej panience?
- Przecież już ją bałamuci przynajmniej od miesiąca – stwierdził Haryk.
- Zaczekaj! Przed miesiącem bałamucił jakąś robotnicę, albo ona jego – zaprotestowała Marie. – A nie wioskową.
- No jasne! – wytłumaczył jej Haryk. – Robotnicę z wioski.
- Pod górami – dorzucił Leksa.
- Z chałupki w górach – podsumował Benno.
- Zaczyna mi świtać! – uradowała się Marie i zwróciła się w moją stronę. – Musisz mi wybaczyć, Daniczku, że myślałam o tobie tak źle. Ty wcale aż tak często nie skaczesz z kwiatka na kwiatek! Ja myślałam, że robotnica to ktoś inny niż ta wiejska panna.
- Jest to jedna i ta sama osoba, *Madame* – potwierdził Haryk.
- Wielka piękność – dodał Benno. – Podobno.
- Panowie, rozmawiajmy o czymś innym – zaproponował Leksa.
- Na przykład o literaturze – powiedział Benno.
- Ale ona nas nie interesuje – zaproponował Haryk. – Chyba że jest erotyczna.
- To rozmawiajmy o *Babuni* Boženy Němcovej – ciągnął Leksa.
- Też wielka piękność, znaczy Němcová – stwierdził Benno. – Podobno.
- Hana, będziemy musieli jechać – wtrącił się ten obcy facet. – Już jest prawie ciemno.
- No i wyszło tak, że zostałem z Marią. Obcy koleś odwiózł Hanę do Hradca samochodem marki Praga

na gaz drzewny. Chłopaki i Lucie mieli z sobą pożyczoną od Benna czteremiejscowego bobsleja. A Marie tylko swoje saneczki i była sama. Mimo wspólnej porannej mszy w kościele Koczandrle najwyraźniej był w odstawce. Ale wciąż chodziło mi po głowie, co znaczy jej wesoły nastrój i co to za tajemnica.

Ruszyliśmy wszyscy w stronę krzyża i tam czwórka wsiadła do bobsleja, a chłopaki odepchnęli się nogami. Zaczęli sunąć w stronę stromego zbocza Czernej Hory.

Słońce było już czerwone i wisiało nisko nad horyzontem. Kostelec rozpościerał się w dole pod nami, za delikatną zasłoną pary unoszącej się z lasu. Okna zamku błyszcząły, bo odbijało się w nich słońce. Nagle ogarnął mnie zachwyty nad pięknem życia, pięknem młodości. Po chwili błysnęło mi w głowie, że tydzień temu w nocy niosłem tędy Nadię, ale to wspomnienie również było przyjemne – mrok tamtego popołudnia na otomanie, duże i wilgotne usta Nadii, młodość... Oparłem się o bobslej, Leksa krzyknął: „Módlmy się!”, pojazd przechylił się przez krawędź zbocza i już pędzili w stronę niebieskawego cienia na drodze do lasu. Lucie krzyczała, bobslej wciąż się zmniejszał, aż stał się czarną, podłużną kreską, która łagodnym łukiem skręciła na drogę i zniknęła wśród drzew.

– Ale prują! Zatrzymają się dopiero na dole w mieście – odezwała się za mną Marie.

– My też będziemy pruli – odparłem. – Tylko że ja bym się chętnie zatrzymał po drodze.

– Ale ja nie – oświadczyła Marie – wiesz, Daniczku?

– Niestety wiem – stwierdziłem z udawanym smutkiem, bo w istocie było mi wesoło. – Tylko że twoje życzenia są zbyt słabe w porównaniu z prawem cięży.

W pomarańczowym świetle zachodzącego słońca Marie poczerwieniała.

– Znaczy, chciałem powiedzieć: z prawem ciążenia – poprawiłem się szybko. – Od kiedy jestem robotnikiem, mam wrażenie, że ubywa mi inteligencji.

Odwrociłem się w stronę sanek i usiadłem na nich. Marie usadowiła się za mną i objęła mnie w pasie. Plecami wyczułem jej sprężyste piersi w norweskim swe-trze, a jej uda od zewnątrz przycisnęły się do moich. Dostrzegłem, że ktoś wdrapywał się zboczem pod górę. Zaczekaliśmy, aż przejdzie, bo szedł prosto na nas.

Po chwili go poznałem. To był narzeczony Nadii. Do-tarł do krawędzi zbocza i spojrzał w moją stronę.

– Cześć – zawołałem.

Zatrzymał się, jakby chciał mi coś powiedzieć. Wy-głądał na zmartwionego. Przez myśl znów przemknę-ło mi wspomnienie Nadii, ale czułem za sobą ten przy-jemny bagaż, więc było to tylko jak mgnienie oka, jak strzał z karabinu.

Franta nie odpowiedział na moje pozdrowienie. Po chwili namysłu ruszył dalej przed siebie.

– Startujemy, Mania! – krzyknąłem. – Módlmy się!

– Nie bluźnij, żebyśmy się nie potłukli – zaprotesto-wała Marie.

Odepchnęliśmy się i już po chwili pędziliśmy, jak wcześniej bobslej, w czystym, górskim, mroźnym po-wietrzu, kierując się w stronę niebieskiego cienia lasu. Drzewa rosły, zakryły Kostelec, tylko gorejący zamek wyłaniał się znad koron sosen. Po chwili piętami le-wych nóg zaczęliśmy trzeć po śniegu i sanki łagodnie skrzyły w stronę lasu. Zamek zniknął nam z oczu, a my jak strzała wpadliśmy w leśny mrok.

Przez las ciągnęła się zaśnieżona wstęga białej drogi, skręcająca najpierw w prawo, a po chwili w lewo. Nad nią szaroniebieskie niebo z kilkoma gwiazdami, a po bo-kach czerni i migające od czasu do czasu różowe smugi słonecznego światła. Marie milczała i tuliła się do moich

pleców, bo musiała, lecz mimo to czułem niewysłowioną rozkosz. Las był piękny, a my czuliśmy, że żyjemy. Wonne usta Marii wyszeptaly wprost do mego ucha:

– Daniczku...

– Co?! – rozdarłem się na całe gardło.

– Nie krzycz – powiedziała Marie czule. – Ty jesteś fajny chłopak. A ja dziś jestem szczęśliwa.

– Bo ci spadł kamień z serca? – ryknąłem.

– Nie krzycz, nie krzycz – powtórzyła Marie.

– Co to był za kamień? – wrzasnąłem nieco ciszej.

– Ty byś tego nie zrozumiał – odparła pieszczotliwie – mimo że jesteś taki inteligentny.

– Czemu? – krzyknąłem, a w tym miejscu było chyba sześciokrotne echo.

Sanki już trochę zwolniły, więc echo wołało za nami: Czemu? Czemu? Czemu? Czemu? Czemu? Czemu?

– Bo jesteś facetem – szepnęła mi do ucha Marie. – I tak już będzie zawsze. To jest o-sta-tecz-ne!

Bóg jeden wie, co miała na myśli. Sanki zwalniały, wyjechaliśmy z lasu i mieliśmy go już tylko po prawej stronie, bo z lewej pojawiły się pierwsze wille. Jechaliśmy coraz wolniej i wolniej, aż wreszcie się zatrzymaliśmy. Ja siedziałem nadal. Marie też. Potem nagle mocno ścisnęła mnie ramionami, którymi przez cały czas trzymała mnie wokół pasa, i wstała.

Było już ciemno. Kiedy też się podniosłem, dostrzegłem jedynie szczupłą, miejscami zaokrągloną sylwetkę Marii i tylko jej różowy nos lśnił na tle białych policzków, a złote włosy nabrały w mroku koloru platyny.

– Odprowadzisz mnie, prawda?

– Przecież cię nie zostawię samej na łup jakichś samotnych podrywaczy.

Marie uśmiechnęła się, odwróciła i ruszyła drogą po zboczach, prowadzącą do ich willi. Dołączyłem do niej, ciągnąc za sobą sanki.

– Naprawdę coś do niej czujesz? – spytała. – Do tej... robotnicy?

Milczałem.

– To fajna dziewczyna – odpowiedziałem po chwili.

– Chciałabym, żebyś był szczęśliwy, wiesz? Ze mną nie możesz, bo ja mam... tego swojego.

– Wiem, że masz.

Zwróciła w moją stronę twarz o białych policzkach i wydawało mi się, że poczerwieniała.

O, do diabła, pomyślałem. To dlatego tak nabożnie śpiewali. Teraz już rozumiem. Ona musiała się bać spowiedzi! Taka pobożna panienka! Więc to był ten kamień, który jej spadł z serca. Częściowo materialny! No tak. Więc Marie z tym swoim...

Pomyślałem sobie, że nie jestem tak bardzo zazdrosny, jakbym mógł być innym razem, gdybym usłyszał to jej gadanie i zobaczył, jak się rumieni... Pomyślałem o Nadii. No tak. Ja też już nie mam na koncie wyłącznie platonicznych i werbalnych związków. Marie nie jest już dziewicą. A ja nie jestem... no, męskim odpowiednikiem tego słowa. Strasznie nie lubiłem tego wyrazu, choć jego żeński wariant mi się podobał.

Wchodziliśmy pod górę i zbliżaliśmy się już do ich willi.

– Naprawdę bym chciała, żebyś też był tak szczęśliwy jak ja – powiedziała cicho. – A gdybyś rzeczywiście był, to nawet bym nie była zazdrosna. Bo w przeciwnym razie bym była, skoro mnie kochasz.

Zatrzymałem się. W zaciemniającej rolegie ich dziewiczo białej willi niczym gwiazdka błyszczała niewielka dziurka.

– Ty mnie nie kochasz, Marie?

– Przecież wiesz, że kocham – odparła przekonująco, a potem bez żadnych ceregieli zrobiła coś... właściwie dokładnie sam nie wiem co, ale po prostu było jasne,

że powinienem ją objąć, więc to zrobiłem. Zwiotczała w moich ramionach, poczułem jej ciepło, moje usta zetknęły się z jej ciepłymi i wilgotnymi ustami i po chwili odnalazłem koniuszek jej języka. Całowaliśmy się chyba z pięć albo nawet dziesięć minut. Strasznie długo, bardzo wygłodniałymi ustami tych młodych lat. Potem znów coś zrobiła, a ja też nie wiedziałem co, ale delikatnie ją puściłem, bo to był koniec. Wzięła sanki za sznurek, otworzyła sobie wielkim kluczem, który – podobnie jak lusterko – nie wiadomo gdzie chowała, za furtką się odwróciła i szepnęła:

– Dobranoc, Daniczku!

– Dobranoc, Marie!

Postawiła sanki na sztorc pod schodami i pobiegła ku drzwiom willi. Znów się odwróciła, a potem roześmiała, jak wcześniej na Czernej Horze, ale tym razem sympatycznie, głęboko dygnęła, posłała mi całusa i drzwi się za nią zamknęły.

Przez chwilę gapilem się na willę, jak wcześniej na chałupkę, w której dymiło się z komina. Przepętniało mnie poczucie intensywności życia, a także – nagle to do mnie dotarło – poczucie bezpieczeństwa, bez którego przecież chyba nie można życia smakować. Afera z krzyżakami została zażegnana, wojna chyliła się ku końcowi, Nadia, Marie... Odwróciłem się. Nad lasem świeciły bliskie, zimowe gwiazdy.

Przepętniony szczęściem powoli schodziłem w dół.

Na wprost mnie wspinał się jakiś człowiek.

Kiedy zbliżyłem się do niego, stanął.

W tym momencie go poznałem. To był narzeczony Franta.

Przyszła mi do głowy absurdalna myśl, że ten Marii też ma na imię Franta.

– Ty gnoju! – usłyszałem.

Potem do gwiazd na niebie dołączyły gwiazdy w głowie. Coś mi w niej chrupnęło.

Obudziłem się w szpitalu z wielkim bólem tej części ciała.

* * *

Drogi Danielu,

w pierwszych słowach mojego listu pszyjmij serdeczne pozdrowienia często o tobie myślę. Pszychodzm agitować i agitujom żebyśmy przystąpili do sputdzielni rolniczy a na to też mówi że tylko po jego trupie ale jusz tam pszystompilo 1/2 wsi a nawet więcy. To som świnnie zabrać majątek by chcieli którego nie zapracowali tak jak ja zapracowałem bo sie uczciwie wżeniłem w majontek a teraz mam go znów stracić i iść rzebrać albo do piekarni. Obiecują Buk wi co a potem wszystko zeżrom. Ale jusz więcy nisz pół wsi pszystąpiło bo się bojom. Tych co nie wstompili majom zamykać a ja nie chce być zamknięty co by tu zrobiła moja córka Sulejka. To jest imię gruzińskie jakbyś sie pytał co to jest za dziwne imię? To co nam zostaje tylko cieszyć się z tego trochę co jeszcze mamy. Świniak ma jusz prawie 200 kilo za miesiąc go zabijemy i będziemy mieć mięso na puł roku tesz kiszki i kieubasy. Mukbyś pszyjechać do nas jak ani na wesele ani na hszest mojej córku Sulejki niemogłeś pszyjechać. Moja córka to jedyne co mnie cieszy w tej całej nendzy ty jej jeszcze niewidziałeś jusz niedługo będzie miała pięć lat ale nie jest za bardzo do mnie podobna tylko nos jak to sie mówi ma po ojcu cygańskie włosy ma chyba po teściu ja jestem rudy. Do kina chodzimy mniej nie ma teraz na to głowy bo ci komunisci chcom mi ukraść wszystko co mi sie według prawa należy. Widzieliśmy Kaśka o dziewczynie co poszła ze wsi do fabryki to było ładne i komedja. Tesz Miczurin co chodował takie wielkie truskafki jak pomarańcze ale to chyba tylko we filmie bo naprawde nie jest możliwe. Ale najlepszy był Żym o 11 godzinie tam sie oberwał balkon z dziefczynami i fszystkie były ładne. Tyl-

ko nie zrozumiałem jak sobie zdjęta płaszcz i miała pod dnim koszulke z jakimś napisem to nie było wytłumaczone powinny być lepsze napisy. Na koniec mojego listu pszyjmij serdeczne pozdrowienia często o tobie myślę.

Tfój stary pszyjaciel Lojza

* * *

W kiblu przebywałem teraz już praktycznie od rana. Na naszym seminarium trwała debata o tym, czy w Australii mówi się po angielsku, czy po australijsku, jak się upierał Malina. Skonfrontowany z przykładem sąsiedniej Austrii udowodnił, że naprawdę ma zakutą pałę, bo bronił istnienia języka zwanego austriackim. Kiedy Kos go zapytał, czy w Protektoracie mówi się po protektoracku, nazwał go kangurem i dyskusja skończyła się bijatyką.

Eisler już wcale się nie pokazywał. Był koniec lutego. Przez Kostelec ciągnęły kolumny niemieckich chłopów, którzy cztery lata wcześniej wyruszyli na wschód, by kolonizować Ukrainę. W fabryce panowała niemal idylliczna atmosfera. Ostatni atak obowiązkowości Eisler przechodził na Boże Narodzenie, kiedy generał Kurt „Panzer” Meyer i jego dywizje pancerne SS przełamały linie amerykańskie pod Bostogne i wpadły do Belgii. Eisler wtedy wykrzykiwał w kiblu: – *Das ist der Wendepunkt! Jetzt kommt des Führers Geheimwaffe!* – i wypędził nawet tych, którzy tam byli w uzasadnionych potrzebach. Ale esesmanom skończyła się benzyna, Eisler zaś schował się w portierni i siedział tam nieobecny duchem od rana do wieczora. O czwartej zawsze włączał radio i słuchał wiadomości z głównej kwatery Wodza. Potem wyłączał radio, nalewał sobie z termosy kawy z rumem i do wieczornego fajrantu zawsze się zdążył schlać.

W kiblu było teraz trudno się ruszyć. Nawet ostrożny Nejezchleba dał sobie spokój z toczeniem beczek,

a ja robiłem to tylko od czasu do czasu dla ruchu. Czekaliśmy na koniec wojny.

Z kłębow dymu wyłonił się Franta i ruszył prosto w moją stronę. Przestraszyłem się, że z Nadią jest gorzej.

– Młody – wyszeptał – jest kiepsko. Wczoraj wieczorem gestapo wzięło Vachouszka.

Idyllę nagle diabli wzięli.

– Ty myślisz, że z powodu...

– Nie wiem, z jakiego innego. Nadia jest u stryja Venhody w młynie. Jakoś tam przeczeka do końca wojny.

Wpadłem w panikę i nawet nie zauważyłem, że Franta zamilkł. Odezwał się dopiero po chwili.

– Nadia się o ciebie boi, młody. Jak chcesz, możesz też iść do młyna. Tam się spokojnie schowa więcej ludzi.

– Ja bym... nie chciał znów jej w coś wciągać...

– Teraz i tak już wszystko jedno. Oboje jesteście umoczeni, więc jakoś musimy wam pomóc.

Z Nadią w młynie. Franta patrzył na mnie poważnie i szczerze. Ogarnął mnie już jednak zbyt wielki strach, więc nawet nie pomyślałem o przyjemnych aspektach tej propozycji. Zamiast tego automatycznie wyrecytowałem starą kwestię:

– To ładnie z waszej strony, ale będzie lepiej, jak każdy się schowa w innym miejscu. Ja pójdę do... jednego kumpla.

– No, jak chcesz. Ale bądź ostrożny – powiedział. Potem odwrócił się i zniknął. W tym dymie i smrodzie wyglądał jak człowiek z innego pokolenia, chociaż był moim rówieśnikiem. Miałem wrażenie, że jest mi wstydy.

Przeszedłem szybko przez podwórze do budynku dyrekcji i zapukałem do drzwi biura Uippelta. – *Herein!* – rozległo się ze środka. Miał tam jakąś konferencję, albo raczej pijatykę. Na stole stało kilka butelek, a wokół w komplecie wszyscy Niemcy z fabryki z wyjątkiem pana Kleinherra i Gerty Ceehowej. Gruby inżynier

Schwarz płakał, a doktor Seelich wyglądał, jakby spał. Fabrykant Schilling palił angielską fajkę. Był z nimi też kolaborant inżynier Zavisz.

Pomyślałem, że zrobiłem błąd i nie powinienem był tam chodzić, ale Uippelt powiedział, jakby na mnie czekał:

– *Da sind Sie endlich. Hier ist der Passierschein und hier die Bestellungskarte.* – Szybko napisał coś na karteczce i podał mi ją.

Odwrociłem się i wyszedłem. Na karteczce stało: *Go to my place and wait for me there.*

* * *

Zapomniał jednak dać mi klucz, a generałowa już wyjechała. Czekałem na niego prawie dwie godziny na otwartej werandzie Willi Strassa i było mi zimno. Śnieg już się przeważnie stopił, leżał tylko w rowach i dołach na zboczu przy rzece, ale było wietrznie i mroźno. Obserwowałem kruka, jak wściekle grzebie w liściach, a potem z czymś w dziobie dostojnie kroczy gdzieś za dom. Wyglądało to na kawałek sflaczałego mięsa. Może niedawna odwilż odkryła trupa jakiegoś zwierzątka.

Uippelt przybiegł i zaprowadził mnie wprost do wytapetowanego pokoju. Za panoramicznym oknem optymistycznie błyszczał przedwiosenny Kostelec. Obermajster natychmiast skierował się do barku i szczerze napełnił kieliszki dla nas obydwu.

– Wiesz coś o tym Vachouszku?

– Nie. Tylko tyle, że odkrył... tamto...

– Nic więcej? Jest w jakiejś grupie?

– Nie wiem. Myślałem, że... w tej waszej...

– Z naszą nie ma nic wspólnego.

Odwrocił się do okna i łknął całą zawartość kieliszka.

– Myśli pan?...

– *Höchst wahrscheinlich* – znów zwrócił się w moją stronę. – W każdym razie powinieneś zniknąć.

Mierzył mnie wzrokiem. Co za absurdalna sytuacja: szkop martwi się o moje bezpieczeństwo podobnie jak Nadia, przemknęło mi przez głowę.

Zaraz jednak wybił mi z głowy myśl, że kieruje nim altruizm.

– Bo jakby cię złapali, to wątpię, żebyś nie śpiewał.

Miał uzasadnione powody, żeby tak myśleć. W końcu niedawno omal mu tu nie zemdlałem. Ale mimo wszystko mnie to zirytowało.

– Ja coś niecoś potrafię znieść!

Oczka za okularkami zamrugały, a usta pod hitlerowskim wąsikiem skrzywiły się w ironicznym uśmiešku.

– *Don't kid yourself, baby.* – Nalał mi, a potem powiedział: – To nie ma sensu. I tak chodzi o miesiąc, najwyżej dwa. – Znów się odwrócił do okna i patrzył na Kościelec. Nic już nie mówiłem. Za oknem cicho szumiało górskie, przemysłowe miasteczko.

– *Das Leben ist ein grosser Irrtum* – oświadczył Uippelt tonem Zaratustry.

Irtum czy nie irtum, mnie nie interesowało nic poza tym, żeby przeżyć. Byłoby piękne irtum pozwolić się załatwić na pięć minut przed...

– Co myślisz o narodowym socjalizmie? – spytał, ale raczej retorycznie, bo sam sobie odpowiedział. – Wiem, co myślisz. Tylko że *ex post* to każdy jest mądry. W trzydziestym trzecim w Detroit ja taki mądry nie byłem. – Zrobił pauzę, a po chwili dodał: – *That was at the height of the depression.*

Zamilkł i patrzył na urocze miasteczko. Ja jednak nie miałem jego problemów. Zastanawiałem się, czy Prze-ma wie o jakiejś kryjówce. Uippelt znów się odwrócił, podszedł do barku i nalał. W szlifowanej szklaneczce złoto błysnęła mordercza ciecz. Jedna iskra odbiła się w jego binoklach.

– So – powiedział pan Oberkontroler – *ich fuhr ins Paradies*.

To były ostatnie słowa, jakie słyszałem z jego ust. Wybiegłem i ruszyłem pędem do Skoczopolów.

* * *

Siedziałem po ciemku w chacie Pejskara i spoglądałem na łąkę, która opadała w stronę wąskiej polnej dróżki. Z drugiej strony łąki dróżka ginęła w lesie. Nad nim nisko wisiał księżyc w pełni, blady, jasnozielony. Zaczynała się wiosna. Koniec marca. Siedziałem tu już od miesiąca. Przema dwa razy w tygodniu nosił mi jedzenie od rodziców.

Chata Pejskara stała w dolinie po drugiej stronie Czernej Hory. Znajdowała się na uboczu, a z okien można było doskonale obserwować jedyną wiodącą do niej drogę – gdyby ktoś szedł przez las. Ale gestapo w tym czasie miało już inne pomysły niż skradać się w zaroślach do jakiejś chaty, żeby złapać uczniaka, który uciekł z robót przymusowych.

Byłem więc bezpieczny. Chyba ze dwa razy z Przemą, Vaharzem i Bendą wybraliśmy się na przecinanie kabli, ale właściwie tylko po to, żeby się nie nudzić. Raz ścieżką obok chaty przemaszerował niewielki oddziałek zmęczonych żołnierzy. Przestraszyłem się i wyskoczyłem przez tylne okno do lasu, ale oni nawet nie zauważyli domku. Poza tym nic się nie działo. Pejskar miał w szafie masę literackiego chłamu, same książki o kowbojach. Kiedy przeczytałem piątą, miałem już dosyć. Dlatego z nudów sam jedną napisałem, *Zemstę Bezbożnego Jeźdźca*, i przez Przemę posłałem Nadii do młyna Venhody. Oczekiwałem pochwał, ale Nadia w liście informowała mnie o bułeczkach, które piecze ciotka Venhodova, a na dole dopisała: „Daniel, ty STRASZNIE bazgrzesz. Nie mogłam przeczytać o tym Bezbronnyim Jeńcu”.

Z lasu wyszła na drogę jakaś postać i w świetle księżyca prędko zdążyła w stronę domku. Szybko rozpoznałem Przemę.

Siedzieliśmy w ciemnościach przy oknie, księżyc częściowo już się schował, a wokół chaty krążyła sowa.

– Jesteś pewny? Naprawdę to nie było z powodu tych krzyżaków?

– Z całą pewnością – potwierdził Przema. – Wczoraj wypuścili Sagnera i Tichego. Obaj twierdzą, że Vachuszek należał do ich grupy. A to są sami socjaldemokraci. Wygląda na to – ciągnął dalej Przema – że gestapo już cienko przędzie. Wydaje się, że szkopów za bardzo nie musimy się obawiać. Raczej innych.

W rajskim spokoju oświetlonej księżycem doliny głos Przemy zabrzmiał złowieszczo.

– Kogo masz na myśli?

– Obejrzyj!

Wyciągnął z kieszeni papier, rozłożył go na stole i rozprostował dłoń. Zapaliłem zapałkę.

„ŚMIERĆ NIEMIECKIM OKUPANTOM!

TOWARZYSZE! Zbliży się Armia Czerwona – Wyzwolicielka!...”

Zapałka zgasła. Zapaliłem następną i szybko spojrzałem na koniec tekstu:

„...przygotowani do zdecydowanej likwidacji mieszczkańskich grup tzw. ruchu oporu, dyrygowanych z Londynu...”

W chacie był chyba przeciąg, bo i druga zapałka zgasła. Trzeciej już nie chciałem zapalać. Spojrzałem na Przemę. W jasnozielonkawej poświacie księżyca śmiertelnie poważna twarz Przemy miała wyraźne rysy mongolskie.

– To właśnie my – powiedział ponuro. – Ta grupa tak zwanego ruchu oporu.

W szmaragdowej nocy wyobraziłem sobie jego ojca, z kikutem ręki w skarpecie i kieliszkiem w dłoni, jak

opowiada dawno zapomniane historyjki. Zmieniłem temat. Taki pesymizm nie pasuje do końca wojny.

– Dlaczego nie wypuścili z nimi Vachouszka?

Przema wzruszył ramionami.

– On podobno kierował całą tą grupą. Miał łączność z Pragą.

– A za pośrednictwem Pragi dyrygował nim Londyn

– nie mogłem sobie jednak odmówić sarkazmu.

– Tak jak i nami – odparł Przema. – Ale my podlegamy czechosłowackiemu rządowi doktora Beneša.

Znów milczeliśmy. Sowa zahukała gdzieś w pobliżu chaty. Księżyc na chwilę zniknął w oparach mgły.

– Myślisz, że z tego wyjdzie? – pomyślałem o ironicznym majstrze, który – jak się wydaje – uratował mi głowę. Teraz sam jest w niebezpieczeństwie.

– Trudno powiedzieć. Niektórzy gestapowcy już to mają w dupie, ale inni wciąż jeszcze młócą na oślep wokół siebie.

– To by był straszny pech... – odezwałem się. Nie potrafiłem znaleźć słów na określenie tego, co czułem do majstra. – Gdyby teraz, po tym wszystkim, miał stracić życie...

Znów milczeliśmy. Po chwili Przema stwierdził, że idzie spać. Leżeliśmy w ciemności na łóżkach, a za oknem wciąż pohukiwała sowa.

– Co będziesz robić po wojnie, Przema?

– Najpierw sobie odśłużę wojsko – ziewnął – a potem zobaczymy. Może rozejrzę się po świecie? Na przykład, człowieku, pojedę do Ameryki Południowej? Ja zawsze chciałem być rolnikiem. Mam to we krwi. A w Ameryce Południowej podobno można tanio zdobyć ziemię. Tylko że trzeba wykarczować puszcze, wypalić ją... – jego głos ucichł. Przema zasnął.

W nocy zdecydowałem, że wracam do domu. Niebezpieczeństwo już najwyraźniej minęło, więc nie było

sensu tu tkwić. Następnego dnia czekałem, aż zapadnie zmrok, bo jednak powrót w ciągu dnia wydawał mi się zbyt ryzykowny. W głowie krążyły mi dziwne myśli. Nagle przestał mnie cieszyć koniec wojny. Nie potrafiłem zapomnieć przyniesionej przez Przemę ulotki. Czy to możliwe, żeby ludzie, ledwie się uwolnią od jednego raju, pędzili wprost do drugiego? *Ich fuhr ins Paradies...*

Ludzie. Pomyślałem o Nadii, o Marii i Irenie, o chłopakach z orkiestry, o Francie Melicharze. A potem o Kosie i Malinie. Przyszedł mi do głowy jeszcze Hetflajsz. I majster Vachouszek. A potem dziadek Varzeczka – stówa więcej na tydzień.

Ale czy ja wiem, co oznacza stówa więcej na tydzień?

Nadia jednak o tym wie, a mimo to...

Wpatrywałem się w pustkę. Słońce za oknem stało nisko nad skrajem lasu. Łąka zaczynała już się zielenić. Las rzucał na nią szeroki pas cienia. Na jego skraju pojawił się inny cień, drobny i wąski. Ktoś szedł po łące od strony lasu w kierunku chaty.

Wyteżyłem wzrok i przestałem myśleć o nierozwiązywalnych łamigłówkach.

Po łące szła w stronę domku Nadia – w męskim raglanie, kupionym chyba w latach, kiedy się urodziłem.

Fitzgerald

*Ty, co czyste wody trujesz,
młodość i ducha rujnujesz,
a zbrodnię popełniać śpieszysz,
ty, co się lubieżnie cieszysz,
gdy niewinny na torturę
idzie w interesie kurew
opłaconych polityków,
i z mordercami się bratasz,
i syna kształcisz na kata,
bądź przeklęty, Al Capone wszechświata!*

František Zavřel

przeł. Zbigniew Machej

*Podstawą wszelkiej literatury jest sen na jawie... Jawa nie jest
tym, co w danym momencie przypadkiem wydaje się nam najbardziej
rzeczywiste. Jawa to coś, co dociera do nas w chwilach największej
intensywności przeżyć.*

Colin Wilson

Drogi Danny,

*Więc już przestałem być farmerem i jestem w Sydney, ale
nie udało mi się zdobyć roboty w fabryce, tylko pracuję poza
miastem. Wydaje mi się, że ostatnio pisałem ci, w jaki sposób
kupiłem farmę. Właściciel owdowiał i sprzedał mi ją bardzo
tanio. Trochę się dziwiłem, że tak tanio, ale myślałem sobie,
że skoro nie miał dzieci i jest już dość stary (67 lat), to mu
się nie chciało w takim wieku pracować. Ale to nie było z po-
wodu wieku, tylko po prostu nie chciał być sam. Początko-
wo mi się tam podobało – ładna przyroda, chociaż inna niż*

u nas. Eukaliptusy i kolorowe krzaki, kangury – nawet mieli tam jednego oswojonego. Tylko że żadnych ludzi, za to masa królików. Musiałem tam przede wszystkim naprawiać płoty, żeby króliki mi wszystkiego nie zżarty. Stuchiałem radia, ale nie było tam nic specjalnie ciekawego. Kupiłem sobie też krowy i miałem pięknego konia wierzchowego. Jeździłem na nim przez całe dni. Był to taki zakątek świata, który wydawał mi się nawet większy od całego naszego kraju, ale nigdzie w okolicy żywego ducha, tylko kangury. Nawet nie było Abo-rygenów – to są tutejsi Murzyni, dosyć okropni, ale można się z nimi jakoś dogadywać. Tylko że tam, gdzie miałem farmę, to nawet ich nie było. Więc z tego wszystkiego zaczęła już mi odbijać szajba. Ten dziadek, który mi to sprzedał, był tam przynajmniej z żoną, ale jak mu umarła, to pewnie też zaczął świrować. Mnie się nie chciało żenić, bo tutejsze baby są głupie, więc chyba musiałbym sobie wziąć jakąś Włoszkę, a te z kolei gadają jak nakręcone. Więc w końcu naprawdę zaczynałem wariować, uciekł mi ten oswojony kangur, a potem wciąż mi się śnił Kostelec, jak się włóczyliśmy po alei Jiráska, pamiętasz? I Vaharz, który wtedy z powodu tych ulotek poszedł siedzieć, ale mama mi pisała, że już go dawno wypuścili i pracuje teraz w fabryce meserszmitów, która teraz się nazywa Kovotechna czy jakoś tak. I jak podglądaliśmy dziewczyny na miejskim kąpielisku, a Pitrman najadł się wstydu z powodu tej, co tobie się podobała. Co ona teraz robi? Widujesz ją jeszcze czasem? No po prostu stał się ze mnie taki wariat, że więcej spałem niż pracowałem, z powodu tych snów, a gospodarstwo zaczęło się zamieniać w ruinę. Śnił mi się też ojciec, bo pewnie wiesz, że w tym roku umarł. Legioniści byli na jego pogrzebie, ale podobno nie pozwolono im się ubrać w mundury, mama pisała. Więc ma już wszystko za sobą. I tak cud, że wytrzymał do 64 lat, przy tym picciu i z powodu jego inwalidztwa. Mama mi też pisała o Vachouszku, więc w sumie się cieszę, że jestem tutaj. W kraju zapewne skończyłbym w podobny sposób.

Muszę kończyć, bo mi się chce pić, a nie mam w domu żadnego piwa. Tutaj mają je tylko w puszkach, nawet w knajpie. No, ale co się dziwić, to po prostu dzikusy. Są sto lat za Murzynami – nie ma tu nawet zasiłku chorobowego, a o emeryturach to w ogóle nie wspominam. Napisz do mnie, jeśli się nie boisz pisać, co nowego w Kostelcu. Jak się mają chłopaki – Vaharz, Benda i reszta? I jak dziewczyny – Dreslerova i Jana pana radcy, w której się kochałeś. Myślę, że już ci to przeszło. Tak, stary kompanie, czas płynie, my się starzejemy, a dziewczyny pewnie też.

Twój kumpel

Przema

* * *

Nad szarostalową powierzchnią jeziora Ontario dmucha zimny wiatr, a bryzgi mętnej wody uderzają w okrągłe okienka jachtu Svenssonów. Jacht się kołysze i zaczynam mieć obawy, że dostanę choroby morskiej.

Ta zimowa wyprawa nad puste jezioro to taka przygoda dla mnie i pięciorga moich studentów, których zaprosiła Irena. Pozostałe żaglówki zimuja w dokach jachtklubu niczym trumny przykryte płóciennymi wiekami, tylko nasza łódź kieruje się na południe, ku amerykańskim brzegom. Kiedy wypływaliśmy w północnym wietrze, z miniaturowego lotniska na zachodnim cyplu toronckiej wyspy wzbil się w powietrze jaskrawozielony jednopłatowiec, zatoczył koło i skierował się prosto w naszą stronę. Przeleciał kilka metrów nad masztem, a Irena do niego pomachała.

– *Bobby Harkins. He's an aviation buff.*

Musi być *buff*, skoro lata nawet zimą. Podobnie jak Irena, która przekupiła i namówiła sternika, żeby wypłynął. Na jeziorze wiatr dmuchał tak ostro, że wszystkich nas zapędził do kajuty. Zostawiliśmy przy sterach marynarza, który – jak przystało – pociągał z płaskiej

butelki, a sami siedzimy w środku na plastikowych ławach: w uchwytach na stole stoją butelki, a za okienkami szarostalowe, zimowe niebo. Pierwsza upiła się Wendy, ale tylko trochę. Bellissimo spojrzał na mnie niepewnie, wyciągnął marihuanę i z jeszcze większym wahaniem mnie poczęstował. Jesteśmy więc napaleni, na pokładzie Jane Guy albo może Pequoda... północny wiatr... krople wody na okienkach... nigdy właściwie nie miałem więcej niż siedemnaście lat... przez całe życie na szkunerze uniwersytetu Miskaton szukałem południowego przesmyku, pływałem na Tsalal, Wyspy Kerguelena, Ultima Thule...

Wendy jest wstawiona, zeszytywniała, zwiskaczowana. Tryska duchem i wiedzą literacką.

– *Hey, Nicole! I mean Irene! Is it true that trains begin their run at Chicago for your sake?*

Jej praca na temat *Fitzgerald's use of Period Objects* to była jak zwykle obrazkowa galeria. Której ofiarą stała się niezliczona liczba numerów „New Yorkera” i „Cosmopolitan”, obawiam się, że wypożyczonych z biblioteki Samuela. Ale dobrze czytała swojego Fitzgeralda, tak jak się powinno czytać powieści. Odnosiła książkę do rzeczywistego świata wokół siebie.

Tak zastosowany Fitzgerald – Irena Svensson siedzi obok mnie w marynarskim kubraczku, odpowiednim do sytuacji, i w białych pantalonach. Jak zawsze (jak to Nicole) odróżnia się od dżinsowego standardu. Bogaci ludzie są inni niż my. Mają więcej pieniędzy. Na jej włosach vidal sassoon spoczywa kapitańska czapka.

– *Sure. Half-bread Indians toil on Brazilian coffee plantations, also for my sake.*

– To nie całkiem tak, Ireno – wtrącam się.

– Ten pasaż czytał nam pan trzy razy. Znam go na pamięć.

– Bo to jest właśnie o tobie! – upiera się Wendy.

– *Evergrateful Czech musicians fiddle for peanuts for my sake* – mówię. – *Hare-brained Soviet dancers break their legs also for my sake.*

Irena z tego się nie śmieje. Reszta nie rozumie. Może z wyjątkiem Hakima, ale on tylko na swój sposób.

– *Isn't she like Nicole?* – zawianej Wendy płacze się język. – *Isn't she exactly like that loony girl?*

– Irena nie jest schizofreniczką – oponuję.

– Ale jest piękna!

– *Stop it!* – irytuje się Irena. Jest w tej kajucie bardzo stylowa. Zauważa to nawet zakochany Bellissimmo.

– *And rich!* – mówi z szacunkiem.

– *I'm not beautiful!* – broni się coraz bardziej rozżłoszczona Irena.

– To jaka jesteś?

– *I'm just...*

– *Well dressed?* – proponuję.

– *And beautiful!* – upiera się Wendy z głębokim przekonaniem. Jacht mocno się zakołysał. Wendy chwytą się stolika i pijackim wzrokiem wpatruje się w różową twarz Ireny. – Ja uważam, że ona jest najładniejsza na całym Edenvale.

– *Oh, shut up, Wendy!* – krzyczy na nią Irena i naciska guzik pilota do telewizora.

– *You talk like a lesbian* – odzywa się Vicky, która nie uległa urokowi Ireny. Pewnie dlatego, że dziś troszeczkę uległ mu Bellissimmo.

– *Maybe I am one* – odpowiada Wendy.

– *Are you a socialist?* – pytam jak Filip z konopi. W oczach Hakima dostrzegam błysk.

– *I guess so* – wyrywa się Wendy. – *I'm a buddhist for sure.*

W telewizorze pojawia się kobieta o twarzy podobnej do koszmarnej białej maski. Poruszają się tylko usta, z których wydobywają się monotonne dźwięki. Kobie-

ta opowiada się za rewolucją kobiet, Murzynów, kurw i proletariatu.

– Myślicie, że ma *face-lift*? – odzywa się Wendy.

– *Sure* – mówi Irena. – Dała nieźle popalić całemu zespołowi chirurgów plastycznych.

...chęć z nas zrobić towary przeznaczone na sprzedaż.

– Kupiłby pan ją sobie? – zwraca się do mnie Irena.

– Nie wziąłbym jej nawet w prezencie.

– I może popełniłby pan błąd – ciągnie. – To jest panna Vanderhouten, z tych filadelfijskich Vanderhoutenów. Nie jest bogata. *She is superrich*.

Hakim wpatruje się w maskę, ale nie wiem, co się w nim dzieje. Ani co się dzieje w masce. Pytam Irenę:

– Panno Svensson, czy nie wie pani, co się stało z Dickiem Dinerem, kiedy się ożenił z Nicole z chicagowskich Warrenów?

– Wiem – odpowiada i w dziwny sposób patrzy mi prosto w oczy. – Ale on się z nią nie ożenił dlatego, że była z chicagowskich Warrenów. On ją kochał.

* * *

Miałem wstrząs mózgu, złamaną przegrodę nosową, wybity ząb i pęknięte dwa żebra. Tego wszystkiego dokonał Franta jednym legendarnym ciosem, który mi niedawno przepowiedziała Marie, a potem chłopaki z orkiestry. Leżałem na chirurgii w wielkiej sali, a obok mnie jeszcze dwaj narciarze z połamanymi nogami, dwa wyrostki robaczkowe i jeden chłopak z wypadku samochodowego, podczas którego eksplodował zbiornik z gazem drzewnym. Z okna miałem widok na zaśnieżone zbocze Czernej Hory, na narciarzy i zjeżdżające na sankach dzieci; była też okazja do rozmyślań. Miałem straszne wyrzuty sumienia, obudzone pod wpływem głosu wielebnego księdza Melouna. Ależ ze mnie świnia! Najpierw uwodzę Francie Nadię,

zakochuję się w niej tak, że idę piechotą na Czarną Horę, a tam natychmiast o niej zapominam i zalecam się do Marii! Z teologicznego punktu widzenia interwencji Franty nie można nazwać inaczej niż palcem bożym, w tym przypadku w postaci twardej góralskiej pięści.

Wystarczyła jedna jedyna fanga prosto w nos, a reszty dokonała matka ziemia. Padłem jak zabity, a Franta się przestraszył i uciekł. Znalazł mnie dopiero pół godziny później pan Dresler, który wracał z kawiarni. Natychmiast zatelefonował po ambulans, więc o wypadku zaraz dowiedziała się Marie. Oczywiście była ciekawa, co się stało, więc nie licząc matki, była pierwszą osobą, która mnie odwiedziła w szpitalu. Miałem już wtedy za sobą rachunek sumienia i wiedziałem, że nie mogę Franty wydać. Chociaż bowiem wystąpił w roli palca bożego, to jednak ze świeckiego punktu widzenia popełnił czyn karalny uszkodzenia ciała, ale nie byłem taką świnią, żeby o tym mówić. Wmawiałem więc Marii, że się poślizgnąłem na lodzie i wszystkie rany były tego skutkiem. Ona jednak wcześniej zasięgnęła informacji od doktora Czapka, więc na moją wersję zareagowała swym standardowym, choć niepowtarzalnie słodkim stwierdzeniem:

– Zalewasz, Daniczku! A ja ci przecież mówiłam, że robotnice miewają facetów obdarzonych bardzo mocnym ciosem!

– Co ty gadasz, Marie? – zdziwiłem się, ale niezbyt przekonująco. – Mówiłem ci, że upadłem.

– A ten nos już ci taki zostanie? – spytała i dotknęła koniuszka mego nosa, który spuchł jak rajskie jabłko.

– Tobie to przecież może być obojętne, nie? – odburknąłem.

– Z takim nosem to po wojnie powinienes chyba wyjechać do Afryki – powiedziała słodko. – No po prostu coś strasznego! To cześć, Daniczku!

Wstała i w drzwiach zderzyła się z Ireną. Powiedziały sobie dość chłodno „cześć” i już przy moim łóżku siedziała ta druga. Brązowe oczy niemal jej wychodziły z orbit.

– Uuu-ła! Ale cię urządził! Ten nos ci taki zostanie?

– Po pierwsze nie wiem, o kim mówisz. Ja się po prostu poślizgnąłem. A po drugie, nos mi naprawią i będę go miał...

– Jak to nie wiesz, o kim mówię, skoro każdy wie?

– To plotki – mruknąłem. – Upadłem na lodzie.

– Ondra mówi – odparła Irena (Ondra to był doktor Czapek, w którym była zakochana, ale on w niej nie) – że upadek nie mógłby spowodować nawet połowy tych obrażeń.

– Ondra to zwykły wiejski konował! – rozżłościłem się. – Po wojnie pójdę do Buriana i on mi zrobi taki nos, że się we mnie zakochasz bardziej niż w Czapku.

– Ty to masz fantazję – stwierdziła Irena. – Tylko że chyba trochę zdegenerowaną. Raczej sobie wyobraź, jak może wyglądać ta twoja dziewczyna, skoro jej facet tak ciebie sfastrygował. Aż mi jej żal, mimo że nie pochwalam zdrady – oświadczyła świętoszkowato i z tym faryzejskim tekstem na ustach wstała.

W drzwiach wpadła na Lucie i chłopaków z orkiestry. Leksa chwycił ją za rękę, udał, że ociera łzy, i złożył kondolencje. Irena wściekle mu ją wyrwała i wyszła.

– Ludzie, widzicie ten nos?! – krzyknęła Lucie. Najwyraźniej musiało to być niezłe kuriozum. Jak sobie pójdą, muszę iść do toalety spojrzeć w lustro.

– Jak kartofel – stwierdził Haryk.

– Rozdeptany – dodał Benno.

– Co pan z tym pocznie, sir? – spytał Leksa. – Z takim nosem trudno będzie cieszyć się powodzeniem u dam!

– Już dwie dały mi to dziś do zrozumienia – odparłem. – A Lucie jest trzecia.

– Jak to trzecia? – zdziwiła się Lucie. – Mnie się ten nos podoba! Właśnie czegoś takiego ci brakowało, Danny! Teraz wyglądasz dokładnie jak... jak...

– Jak Louis Armstrong – dokończył Benno.

– Tak jest! – przytaknął Leksa. – Jak wyzdrowiejesz, kup sobie złote kółko do nosa.

– Świetny pomysł – zgodziła się Lucie. – Z takim kółkiem będziesz wyglądał jeszcze piękniej.

– Ale jeżeli nawet wtedy nie podobałbyś się Irenie... – ciągnął dalej Leksa.

– Ani Marii... – włączył się Haryk.

– Ani żadnej innej... – kontynuował Benno.

– To w takim przypadku zaoferuję ci swój nos do transplantacji – oświadczył Leksa. – Przecież jestem twoim kumplem.

– Ładnie by na tym wyszedł! – powiedziała Lucie. – Z twoim nosem nie byłby nawet taki przystojny jak Benik.

Przerzucali się takimi dowcipami mniej więcej przez kwadrans, aż przyszła siostra Udelina i ich wyrzuciła. Byłem nawet ciekaw, z kim zderzą się w drzwiach, ale przyszedł już tylko doktor Czapek na wieczorny obchód. Też się interesował moim nosem i wypytywał, kto mi to zrobił. Powtórzyłem wersję o upadku na zmarzniętą ziemię, a on powiedział, że jemu osobiście jest to obojętne, ale nie może wystawić na szwank swojej reputacji i uznać, że dość poważne obrażenia ciała, niewątpliwie spowodowane przez inną osobę, powstały w wyniku zwykłego upadku. Jednak skoro nie chcę mu niczego zdradzić, to napisze, że w stanie nietrzeźwym zostałem napadnięty przez nieznanego sprawcę, bo przecież musi to zgłosić na policji. Pomyślałem sobie, że doktor Czapek, choć z powodu Ireny go nie lubię, ma jednak charakter i nie jest plotkarzem. Niestety, po chwili zniszczył mój idealizm, bo wstając z łóżka,

lubieżnie mrugnął do mnie okiem, tak jak ojciec niedawno do Nadii, i spytał retorycznie:

– Czy ten grzech wart był przynajmniej takiej kary?
– mówiąc to, odwrócił się i wyszedł z pokoju.

Przez cały czas największy ubaw mieli obaj narciarze ze złamanymi gnatami, ponieważ doskonale mnie znali, podobnie jak wszystkie dziewczyny, które mnie przyszły dzisiaj odwiedzić. Ten plotkarski łańcuch zaczął mnie strasznie irytować. Zacząłem też trochę się bać, czy istotnie Franta tak samo nie pobił Nadii, kiedy się zorientował, że mu przypawiła rogi. Chociaż w sumie, o dziwo, nie była to nawet obawa, lecz raczej satysfakcja. Z zadowoleniem pomyślałem, że jestem naprawdę wielka świnia.

Leżałem pogrążony w myślach, a od strony zbrocza dobiegały głosy narciarzy, przeważnie dzieci, bo w dzień powszedni mało kto mógł sobie na to pozwolić. Słońce chyliło się ku zachodowi i nad horyzontem pojawiła się różowa luna, gdy nagle ktoś w drzwiach zakasał. Spojrzałem w tamtą stronę, a instykt w pierwszym odruchu kazał mi się zerwać z łóżka i uciekać. Gdy tylko jednak lekko się uniosłem, ostry ból w głowie i żebrach sprawił, że znów zwałem się na poduszki.

W drzwiach pokoju stał Franta z baranicą w ręku i mrużąc oczy, rozglądał się po łózkach. Właśnie wpatrywał się w złamane nogi, wiszące na wyciągach pod sufitem. Po chwili przeniósł wzrok na mnie. Z przerażeniem próbowałem wymacać dłonią dzwonek, by wezwać siostrę Udelinę. Przecież tutaj nikt mi nie pomoże, bo leżą sami łazarze!

– Dobry wieczór – wymamrotał Franta.

Otworzyłem usta, ale wydobył się z nich tylko nieokreślony dźwięk.

– Ja nie będę długo przeszkadzał – ciągnął dalej. – Widzę, że jesteś zmęczony... – Zbliżył się do samego

łóżka i wlepił we mnie zażawiony wzrok. – Ja przyszedłem przeprosić – powiedział. – Nadia nie dawała mi spokoju.

Nic z tego nie rozumiałem. Przyszedł mnie przeprosić za to, że mu przeleciałem narzeczoną? Aż taki jest z niego chrześcijanin?

– Poniosło mnie – kontynuował. – Nie mogłem się opanować. Wściekłem się na ciebie, że naraziłeś Nadię na takie ryzyko...

W tym momencie rozumiałem swój niesamowity błąd w interpretacji. To rzeczywiście chrześcijanin! Dla czystego człowieka wszystko jest czyste!

– Jak Vachouszek mi o tym w niedzielę powiedział, to myślałem, że cię rozerwę na kawałki – mówił narzeczony. – Bo przecież gdyby Nadię zamknęli, toby umarła. Ma gruźlicę i nie przeżyłaby obozu. Głód, złe warunki... musisz mnie zrozumieć, zupełnie straciłem panowanie... – popatrzył na mnie zawstydzony.

– Doskonale rozumiem – wykrztusiłem.

– Ale wystarczyłoby, żebyś na mnie nawrzeszczał, albo dał ci w gębę...

– Przecież mi dałeś w gębę!

– Tylko że pięścią. A powinienem otwartą dłonią. Wiem, że pięścią to mógłbym nawet zabić wołu.

Poczułem się jak malutki wół. Pewnie dlatego, że Franta naprawdę wyglądał jak byk. A on tymczasem jękał się niczym na spowiedzi.

– Ja tego... bardzo żałuję...

– Nie żałuj – odparłem. – Ja... – zaraziłem się jego mądrością ludową, która wszystko potrafi wytłumaczyć – ...tego potrzebowałem jak świnia kartofli.

Nieśmiało się uśmiechnął. Błądził wzrokiem po linkach, na których wisały połamane gnaty. Od góry do dołu. Potem znów odwrócił się w moją stronę i wyciągnął dłoń.

– No, jak się za bardzo nie gniewasz, to... sztama na śmierć i życie!

Załamione oczy patrzyły prosto w moje i nie było w nich żadnej podejrzliwości.

Podał mi rękę i zaraz tego pożałowałem, ale po chwili uznałem, że to następna kara. Coś mi chrupnęło w dłoni i poczułem, że zaczyna puchnąć.

– To do widzenia – powiedział Franta i obrzuciwszy współczującym spojrzeniem nogi w gipsie, wytoczył się z pokoju.

Pomyślałem, że go Kocham. Czy ja jestem perwersyjny czy co? To znaczy, że chyba nie Kocham Nadii, skoro nie jestem o niego zazdrosny. Rozmyślałem o tych tajemnicach i przyszło mi do głowy, że wszystko jednak do siebie pasuje.

A może jednak jestem świnia? A Marie? Irena? Wszystkie pozostałe? Wierciłem się na posłaniu, myślałem o brzuszku Nadii, potem o zaśnieżonym zboczach, o chałupce i o Marii. Nie potrafiłem sobie z tym wszystkim dać rady i znów zacząłem cierpieć. Panie Boże, ja muszę być straszna świnia. Straszna!

Do pokoju weszła siostra Udelina i z hałasem zaczęła spuszczać rolety. Potem zapaliła światło, podeszła do mojego łóżka, sięgnęła pod fartuch i podała mi list w niebieskiej urzędowej kopercie.

– Przyniósł to panu listonosz!

* * *

Drogi Danielu,

Nie wiem, czy jeszcze czytujesz poezję, bo nigdy jej zbyt dużo nie czytałeś. O ile dobrze pamiętam, znałeś na pamięć tylko kilka wierszy Seiferta i Nezvala, w dodatku – mam nadzieję, że się nie pogniewasz – tych najbanalniejszych. Niewątpliwie wykorzystywałeś je też do celów pozapoetyckich. Ale czy przynajmniej zajrzałeś do tomików, które wy-

szły w ostatnim czasie? Powinieneś. Chciałbym tego z egoistycznych powodów, ponieważ te nowe zbiorki wraz odkryciem na nowo Kafki i tym, co się dzieje w krytyce literackiej, stanowią dla mnie, jeśli już nawet nie odpowiedzi na pytania, które – jak wiesz – sam sobie stawiałem od czasu wojny, to przynajmniej potwierdzenie tego, że – może instynktownie i błędząc – jednak szedłem dobrą drogą.

Pamiętasz tę gablotę koło Rupy w Kostelcu? I jak się na mnie rzuciła krytyka – dziś mam ochotę umieścić to słowo w cudzysłowie – kiedy wydałem swój pierwszy tomik? Wszystko to mnie przygniatało niczym ciężki głaz. Niczego sobie nie lekceważyłem, jak niektórzy moi przyjaciele. Po wielu bezsennych nocach – nie przesadzam, chociaż Ty z pewnością mi nie wierzysz, bo pewnie nigdy Ci się nie zdarzyło nie zmrużyć oka z powodu jakiegoś problemu literackiego – mam wreszcie jasno w głowie.

Wiesz, że chociaż nie jestem i nigdy nie będę komunistą, to zależy mi na tym, żeby u nas zbudować lepszy, to znaczy bardziej sprawiedliwy system społeczny. Jednak lepszy pod jednym względem nie może oznaczać gorszego pod innym. Wydaje Ci się to maksymalistycznym założeniem? Twój ulubiony Hemingway napisał: „Rewolucja to wspaniała sprawa. Na jakiś czas. Potem się degeneruje” – a ja doszedłem do przekonania, że równie ważne, jak przeprowadzenie rewolucji, czy może jeszcze ważniejsze, jest nie pozwolić, żeby się zdegenerowała. Zauważ, że używam słów w rodzaju „chyba”, „może”. To dlatego, żeby moje subiektywne i prywatne poglądy nie przesłoniły obiektywnej i powszechnej sprawy.

Ale prawda jest jednak taka: system społeczny można nazwać lepszym jedynie wtedy, gdy jest lepszy pod każdym względem. W okresie bezpośrednio rewolucyjnym – czyli, powiedziałbym, najwyżej przez pięć lat, zanim rewolucyjne organa władzy się nie umocnią – z obiektywnych względów sytuacja w niektórych istotnych dziedzinach może ewentualnie wyglądać „gorzej”. Na przykład w kwestii legali-

zmu. Rewolucja jest to działanie z użyciem przemocy, więc eo ipso stoi w sprzeczności z formalnym legalizmem prawnym. We wspomnianym okresie bezpośrednio po rewolucji są też pewnie bardziej potrzebne plakaty niż obrazy, a proste bajeczki bardziej niż skomplikowany Kafka. Ale to wszystko musi być jedynie przejściowe! Nie może trwać tak długo, żeby pochłonoło życie człowieka! W przeciwnym razie bowiem rewolucja anulowałaby samą siebie!

Skoro sztuka burżuazyjna albo feudalna potrafiła głęboko wnikać w człowieka i pokazać jego złożoność, to sztuka socjalistyczna nie może od tej złożoności uciekać i pokazywać tylko powierzchnię, a w dodatku jeszcze tę powierzchnię ubarwiać czy lakierować.

Kiedyś cytowałem Ci wiersz S.K. Neumanna, nad którym długo łamałem sobie głowę:

Kocham wszystko, co w życiu jest proste i jasne.

I kocham też najbardziej właśnie takich ludzi, których prostodusznością człowiek się nie znudzi, stworzonych z pramaterii, o smaku jak bukiew.

Dzisiaj zacytowałbym Ci inny wiersz, który też jest o ludziach prostych:

W małym zakładzie masarskim mężczyzna

Nadziewa kiszki, a kobieta

Na końcach je wiąże. Wrze woda w kotle.

Kobieta śpiewa. Para

Bucha na szare podwórko, na którym

Dzieci patroszą martwego kota. Mężczyzna

Nadziewa kiszki (czasem błysnie

Obrączka), zapada wieczór.

Dzieci wbijają patyczki

W kota, pełnego robaków.

Różowych i żywych, bardzo

Żywych, zapada wieczór

Różowy i żywy; czasem

Błysnie obrączka w tym

Rózu, kobieta podśpiewuje
(Pęto w jej ręku
Zwisa) i rośnie wał z
Kiełbas, różowych jak
Wieczór w małym zakładzie
Masarskim...

Rozumiesz to? Neumann to abstrakcja, a Kolář – konkret. To dająca się sprawdzić prawda. Obraz, nie plakat. Bo przecież co my właściwie wiemy o „pramaterii”? Kto wie, jak bardzo mogą być skomplikowane stosunki między ludźmi, których „życie jest proste i jasne”? O tym Ci już zresztą pisałem: czy ich „prostota” nie jest głównie spowodowana naszą niewiedzą albo lenistwem, które nie pozwala zastanowić się również nad takimi ludźmi, a nie tylko nad strasznie skomplikowanymi intelektualistami? Czy pod tym względem nie byli mądrzejsi starzy czescy autorzy – Baar, Světlá, Němcová – którzy potrafili zajrzeć pod ten lakier prostoty i zwerbalizować labirynty duszy?

Ale może Ty nie masz cierpliwości do poezji? Przypominam Ci znów Twoją teorię paleontologiczną. Gdyby stosunki między prostymi ludźmi w XX wieku (czy kiedykolwiek indziej) były istotnie „proste”, musielibyśmy je z naukowego punktu widzenia nazwać „prymitywnymi”, czyli odpowiadającymi niższemu stopniowi inteligencji. Ale ludzie prymitywni nie mogą stanowić celu społeczeństwa socjalistycznego, bo czegoś takiego nawet nie da się osiągnąć, przeczyłoby to prawom ewolucji. W literaturze (i polityce) odpowiednikiem takiego prymitywizmu jest właśnie lakierowanie: hasła zamiast poznania, ucieczka od konkretności do abstrakcji. Jest to więc w pełnym tego słowa znaczeniu sztuka reakcyjna. Dusza człowieka naszego stulecia zawiera w sobie historię całego rozwoju ludzkości, dlatego nie może wydać z siebie sztuki, która prymitywizuje. Lakierowanie nie daje efektu. A sztuka, która człowieka nie porusza, jest nic niewarta.

Dlatego literatura społeczeństwa socjalistycznego, jeśli chce być lepsza, musi być bardziej złożona niż starsze litera-

tury. Musi pokazać złożoność człowieka z większą precyzją, pełniej, z wielu punktów widzenia. I może to robić właśnie dlatego, że to społeczeństwo usunęło czy stara się usunąć te najważniejsze komplikacje – mające swoje źródło w stosunkach własności, wykorzystywaniu itp. Coraz bardziej może się więc poświęcać związkom serca i myśli, a nie dawnym ideom Wielkiego Dziadka.

U nas zaczyna się tak dzieć. Jest szansa, że niektóre ukazujące się rzeczy staną się prawdziwie socjalistyczną literaturą, choć wcale tak się nie nazywają. Jest to jednak literatura socjalistyczna, ponieważ jest ludzka.

Wybacz mi ten patos, ale zawsze w niego wpadam, bo te sprawy są dla mnie niezwykle ważne. W nich tkwi sens mojego życia i – możesz się z tego śmiać – jeśli go nie odnajdę albo przynajmniej nie będę mógł go szukać w nieskrępowany sposób, to nie będę przydatny ani temu, ani żadnemu innemu społeczeństwu.

Rewolucja powinna człowieka oswobodzić nie tylko z nędzy materialnej, ale i duchowej. A może przede wszystkim z duchowej, ponieważ w tym tkwi esencja człowieczeństwa. Ma stworzyć społeczeństwo pod każdym względem lepsze – „gorsze” może tylko w takim ujęciu, że trudniej jest być człowiekiem konkretnym, czyli skomplikowanym, niż człowiekiem abstrakcyjnym, a więc tzw. prostym. Rewolucja po prostu musi wszystko uczynić lepszym. Jeśli poprawi tylko coś niecoś, nie jest to rewolucja, ale Machtübernahme. Że to jest postulat absolutystyczny? Maksymalizm? Kto nazywa siebie rewolucjonistą, musi być maksymalistą. Jeśli nie jest, to po prostu staje się zwykłym gangsterem bez poczucia odpowiedzialności. Jest łobuzem, nawet gdyby sobie tego nie uświadamiał.

Pozdrawiam Cię z całego serca, Dan. Wybacz, że w tych antypoetyckich czasach tak się rozpoetyzowałem.

Twój

Jan

Mój statek buja się w podmuchach północnego wiatru na jeziorze Ontario, marihuana już przesiąknęła umysły wszystkich moich podopiecznych, łącznie z Hakimem, a towarzyska Vanderhouten ciągnie swój monolog i w najlepszym stylu Sinclaira Lewisa prezentuje słuchaczom bukiet rewolucyjnych nienawiści: jest przeciw depilatorom, przeciw imperialistycznej agresji na Angolę, przeciw dyskryminacji kobiet, które chcą być górniami w kopalniach węgla kamiennego Luizjany, przeciw lalkom bez realistycznych narządów płciowych.

Moje edenvaleskie owieczki nie wykazują zainteresowania panią Vanderhouten ani obiektami jej miłości czy nienawiści. Mnie jednak ta maska fascynuje. Rozsiewa woń starych paradoksów. – *Dr Agostinho Neto* – mówią poruszające się usta – *and the Popular Movement for the Liberation of Angola which represents the true aspirations of the Angolan people...* Ale ja też na własne oczy widziałem czołgi T-54 we własnym kraju, które reprezentowały aspiracje jakiejś budowli z dużą liczbą korytarzy. Przysadziste, niebezpieczne wozy bojowe.

Za okrągłym okienkiem czapeczki piany na falach staro indiańskiego jeziora i porozrywany wiatrem księżyc, któremu się kłaniał Chingachgook. Dzielni chłopcy Fidela w tych przysadzistych wozach bojowych, nakręceny wizją szybkiego awansu na wyższe stopnie wojskowe, używając najnowszych wersji wielokrotnie ulepszonych katuszy, przerabiają na befsztyk tatarski imperialistyczną soldateskę Jonasa Savimbiego. Dziwna, śmieszna, krwawa wizja. Czuję na sobie spojrzenie Hakima. Czyta w moich myślach? Sprawdza stan mojego sumienia? Ale ja mam je czyste. Ja nie udzielałem odpowiedzi, które istnieją tylko w jednej wersji – pod postacią katuszy. Już przed trzydziestu laty, chociaż nieulepszone, przerabiały na befsztyk ludzi z muzułmańskiej dywizji

SS Handżar dowodzonej przez Obersturmbannführera SS Sauberzweiga. Może jakiś wujek Hakima też przemienił się tam w befsztyk. Oczywiście nie ma to nic wspólnego z wiarą Hakima. To tylko w toku myśli, naszego wewnętrznego czasu, porwanego jak konstrukcja nowoczesnej powieści, nigdy nieukładającego się w przejrzystą fabułę, w tej *Zone*, wszystko to tworzy szczególne, pełne znaczeń kontrasty ludzkich losów. Tak jakbym obok siebie postawił Hakima i pewną ładną dziewczynę, która kiedyś nadała imię gejszy z kubeczka. Koło życia, koło szczęścia, diabelskie koło istnienia.

Czuję na rękę drobną dłoń swojej Nicole, Ireny Svensson:

– Pana to interesuje?

– Nie, nie słucham tego – kręcę przecząco głową.

– *A penny for your thought!*

Klasyczne wyzwanie panienki z wiktoriańskiej powieści. O czym myślę? Ja właściwie nie myślę.

– Jestem żywy *stream-of-consciousness*.

– Czy wszyscy tacy nie jesteśmy? – pyta dziewczyna, nauczona przeze mnie, ale szczególnie dokładnie przez profesora Steigera z Psychologii 235 na temat charakteru ludzkiej świadomości.

– Jednak w Tamizie każdego z nas pływa inny *bric-à-brac... empty bottles, sandwich papers, silk handkerchiefs, card-board boxes... cigarette ends...*

– Ale zasada jest taka sama.

– Tak, zasada jest identyczna.

– Więc co pływa w pańskiej Tamizie?

– Widzisz, nie pytasz o zasadę. Chcesz znać konkrety...

– Bo zasadę znam. Nie znam konkretów...

O czym myślę?

– Nie o Odyseuszu – odpowiadam. – Moje wewnętrzne nurty nie składają się w antyczny mit.

– *Well*, pan nie pisze powieści – stwierdza Irena. – To Joyce pisał. W panu jest teraz prawdziwa Tamiza...

Tamiza... czyżby dlatego, że towarzyszka Vanderhouten broni teraz prawa homoseksualistów do służby wojskowej? Telefon w lutową noc. Tu Alan. *Listen*. Dzwonię z lotniska. Jestem w Pradze. Taka niespodzianka! Więc się spotkaliśmy i całą noc, do rana, gadamy, gadamy, gadamy. Poeci chętnie rozmawiają, chyba chętniej niż piszą wiersze. Nie znał w Pradze nikogo, tylko mnie. A to dlatego, że kiedyś przetłumaczyłem jego poemat *Gromobicie* i kawałek z tego wyszedł w „Světovej literaturze” (nie miał pojęcia, że „trockistów” zmieniłem mu na „rewolucjonistów”, a ja już wtedy wiedziałem, że nie ma sensu tłumaczyć mu dlaczego. Na szczęście cenzor był zbyt leniwy, żeby sprawdzać z oryginałem, albo nie znał angielskiego). Więc z trockistów zrobili się rewolucjonisci, z hippisa – postępowy poeta; gadaliśmy do rana, a wszystko to potem znalazło się w notesiku naiwnego Amerykanina. W notesie poety, wraz z pomysłami na metafory i zapisanymi neologizmami. Towarzysz z SB wyciągnął przede mną ten notesik, przekartkował go i pytał: „A jak, towarzyszu, wytłumaczycie coś takiego? Tutaj on zanotował: A potem śpiewaliśmy *Horst Wessel Lied*”.

W łatwy sposób. Ale nie funkcjonariuszowi służby bezpieczeństwa. Ponieważ on zbiera materiały do wykazania nowej przemiany Alana – z postępowego poety w hippisa, z rewolucjonisty w trockistę, a w sumie – w reakcjonistę. Od chwili gdy po raz pierwszy zobaczyłem notesik w rękach Alana, do momentu spotkania z funkcjonariuszem postępowy poeta zrobił bowiem rzekomo wiele złego. Został nawet królem juwenaliów. Czy teraz ma zostać faszystą? Czemu nie? Będzie w dobrym towarzystwie Sartre’a, Orwella, De

Gaulle'a, Oswalda Mosleya, Bertranda Russella i prezydenta Tito, a może także T.G. Masaryka. Pozostaje tylko zagadką, dlaczego nagość tego pomysłu władzy zakrywać takim kurewskim *G-stringiem* ideologii?

Poważne pytania. Każda działalność człowieka wykazuje na koniec tendencję do *l'art-pour-l'artyzmu*.

– Jak mi to wytłumaczycie, towarzyszu? – pytał cierpliwie towarzysz ubek.

– Byliśmy pijani – przyznałem się zgodnie z prawdą.

Niestety trafiłem na rzadki okaz – wykształconego ubeka.

– *In vino veritas*.

Przeskoczyłem więc na jego poziom. Porozmawialiśmy o skojarzeniach wywołanych za pomocą alkoholu. Śpiewaliśmy różne piosenki polityczne, na przykład *Los Cuatros Generales*, więc...

Zaglądał do notesu, zastanawiał się. Czterej antyfaszystowscy generałowie byli tam zapewne również zapisani, więc towarzysz poddawał to analizie i w końcu wyszło mu to, czego potrzebował.

– Tak, ta pieśń rewolucyjna jest tu istotnie wzmiankowana. Ale jak wytłumaczycie, że zaraz po niej śpiewaliście faszystowski hymn, a następnie... – znów zapuścił wzrok do notesika i zamyślił się, bo pojawiło mu się wspaniałe skojarzenie między trzema piosenkami, spośród których dwie początkowo chciał przemilczeć – ... nawet *Międzynarodówkę*.

Skojarzenia? Co za głupie tłumaczenie. Powiedziałem więc:

– O ile dobrze pamiętam, to po *Międzynarodówce* śpiewaliśmy jeszcze *Annie Laurie*...

– A TEN fakt jak wytłumaczycie? Czy to nie jest oburzająca zniewaga hymnu międzynarodowej klasy robotniczej, jeśli go się śpiewa między faszystowskim i jakimś amerykańskim szlagierem?

Pewnie znał *Annie* tylko w wersji zeswingowanej. Zastanawiałem się, czy nie powinienem dokonać jakiejś analizy folklorystycznej, ale dałem sobie spokój.

– Towarzyszu, czy fakt, że śpiewaliśmy taką absurdalną mieszankę utworów, nie stanowi dowodu na to, że byliśmy pijani?

Wszystko marno. Znokautował mnie obowiązującym przepisem prawa:

– Stan upojenia alkoholowego nie stanowi okoliczności łagodzącej!

Wiem. I w dodatku *in vino veritas*.

– Jak to jest, kiedy pisze się powieść? – pyta nieźle zmarihuanowana Wendy. – Od początku wiadomo, jaki będzie miała *message*, czy najpierw się pisze, a potem dopiero widać, jaki właściwie jest *message*?

– I tak, i tak – odpowiadam. – Po prostu się pisze, ale już od początku wiadomo, jakie powieść będzie miała przesłanie.

– To jest nielogiczne – oponuje Irena. – Skoro od początku wiadomo, jakie będzie przesłanie, to nie „po prostu się pisze”. Pisze pan wtedy powieść *à la thèse*.

Pod moim wpływem zdobyła sporą wiedzę. Muszę jednak ją rozczarować i podważyć jej zbyt wielką wiarę w logikę.

– Każda poważna powieść, nie mówię tu o *hack-writing*, jest *à la thèse*. Lecz teza jest zawsze taka sama, z wyjątkiem powieści *à la thèse*.

Irena nic nie mówi. Albo nie zrozumiała, albo oszłomiłem ją swoją mądrością. W okienku rozbryzguje się brudna woda wzburzonego jeziora. Statek się buja, wiatr na zewnątrz luksusowych ścian wyje wręcz przerażająco. Odzywa się za to Hakim. Jak zawsze tonem pełnym pogardy.

– *That's a nice-sounding wisecrack. But it's nothing, except just a wisecrack.*

Powstrzymuję niechęć. Jego wujek już może na zawsze stał się składnikiem ludzkiego befsztyka.

– Moje wieloletnie studia literackie przekonały mnie – odpowiadam – że najbardziej przekonujące prawdy na dowolny temat, łącznie z prawdami o życiu, miewają charakter *wisecracków*.

– Na przykład?

– Wiem, że nic nie wiem.

W ten sposób zamykam mu usta. Za to ocknęła się Irena.

– A co to za teza?

– Bardzo stara. Dr Johnson powiedział kiedyś: „Pisarze, którzy polują na to, żeby złowić coś nowego, raczej nie mają szansy na wielkość, ponieważ wielkie sprawy nie mogły ujść uwadze wcześniejszych obserwatorów”.

– I to jest ta teza?

– Nie. Teza brzmi: *Homo sum, humani nihil a me alienum puto*. Terencjusz. Teza licząca sobie ponad dwa tysiące lat.

Zastanawiają się? Czy tylko odpływają na falach marihuany?

Nie odpływają. W ich wieku wszystko, co stare, jest jeszcze nowe. A potem też wszystko się zestarzeje. Na razie jednak odkrywają swoją Amerykę. Pierwsza odzywa się Irena, marszcząc brwi:

– Jeśli jednak dr Johnson ma rację, że ludzkość już wszystko odkryła i powiedziała przed nami, to w takim razie po co...

To też jest Ameryka, Ireno.

– Zapewne dlatego, że tyle ludzkich spraw jest jeszcze ludziom obcych.

– *Nothing but wisecrack* – wykrzywia się ironicznie *Zauberlehrling* Jerry Hakim. – Czasem dobrze, że wiele ludzkich spraw jest ludziom obcych. Reakcjonizm to też ludzka cecha. A jednak...

– Masz całkowitą rację, Hakimie – przerywam swojemu studentowi. – Ale prawda, jak dobrze wiecie, jest procesem dialektycznym. Kiedyś spytano Evelynę Waugha, czy dobry artysta może być reakcjonistą...

– *Another wisecrack?*

– Czy nie zauważyliście, że wszystkie dobre *wisecracki* są oparte na dialektyce? – w oczach Hakima widzę błysk wściekłości. – Tak, są – mówię i ciągnę dalej: – A Waugh odpowiedział, że artysta musi być reakcjonistą. Musi iść pod prąd swoich czasów, nie może płynąć z prądem. Musi wnieść choć odrobinę sprzeciwu. Choć odrobinę, Hakimie...

A podczas gdy ich rozpraszali dosłownie na wszystkie strony świata, z wyjątkiem wschodu, skąd ich wypędzono, Alan na swej farmie w Pear Valley jednym palcem komponował na harmonium piosenki do wierszy Williama Blake'a. Przyjechałem tam pod wieczór, Alan wyszedł i ucałował mnie wilgotnymi ustami. Na stogu słomy opowiadałem mu, jak to się wtedy skończyło. Wkoło krążył papieros; ja go brałem od młodzieńca podobnego do mordercy Mansona; ten od dziewczyny uosabiającej wyświechtany frazes o poruszaniu się jak we śnie; ona od bladego mężczyzny z podwiniętymi rękawami, którego przedramiona były dziwnie spuchnięte; on od młodej kobiety o wielkich, zwisających do pasa piersiach, w sztywnej wiejskiej bluzie – pod spódnicę zaglądała jej pięcioletnia dziewczynka i z czegoś chichotała; a ta kobieta od mężczyzny, który jednak nie używał papierosa, tylko podawał go jej od Alana. Słońce ciepło oświetlało parę unoszącą się z kupy siana, pejzaż górnego New Yorku jako tło podobny był do pejzażu środkowych Czech. Wokół stogu siana goniły się dwa psy, którym towarzyszył prosiak, usiłujący we wszystkim je naśladować i nawet próbujący szczekać. Wieczorem kobieta z piersiami do pasa ugotowała

gulasz z trawy i kaszę z siana; obok harmonium stał wielki magnetofon stereo, z którego rozlegały się pieśni Alana (później stały się hitami, a zdobyte dzięki nim pieniądze zasiliły kasę gospodarstwa). Mężczyźni, kobiety i dzieci wszystkich czterech płci dzielili wspólną sypialnię, ale Alan powiedział, że ja mogę sobie wybrać: albo z nimi, albo postawi mi namiot. Wybrałem namiot. Przełykając trawę, zachwycali się rozkoszami prostego życia; gdzieś w pobliżu strasznie śmierdział kibiel, gorzej niż w fabryce meserszmitów. Piękno pracy na farmie, baraszkujące zwierzęta, jedzenie wyprodukowanej przez siebie żywności; do gulaszu z trawy podawano tylko keczup Heinza. Poruszająca się jak we śnie dziewczyna rozmawiała z Alanem po patagońsku; to jej wewnętrzny, indywidualny język, mówił Alan, nikt jej nie rozumie prócz niej samej, dlatego można do niej mówić cokolwiek, dowolne słowa, a ona wszystko pojmie. *Es kusta malabhad al nekreysol*, powiedział i dziewczyna najwyraźniej rzeczywiście zrozumiała; jej ładna, blada twarz rozpromieniła się w uśmiechu. Miała najwyżej dwadzieścia lat i chodziła w długiej, workowatej sukni, którą sama obszyła niezrozumiałymi, brzydkimi, nieudanymi znakami kabalistycznymi. Jej ojciec jest bankierem w Nowym Jorku, ale ona odeszła z domu i mieszka z nami, powiedział Alan. *I enjoy this life on my farm so much. So much!* W nocy nad ranem rozpełtała się straszna burza i namiot zaczął przeciekać. Byłem wściekły. Iść spać do kuchni? Z kibla unosił się potworny fetor. Mieli sflukiwany klozet, ale wodę spuszczano tylko raz dziennie. Tu jest mało wody, musimy ją oszczędzać, mówił Alan. Gdybyś chciał skorzystać, to nie sflukuj. Wolałem pójść do lasu. Poprzez zmoczoną plandekę dostrzegłem światło, ktoś skrobał z zewnątrz. Była czwarta rano. *Are you OK?* Troskliwy głos Alana. *I'm OK, except that I'm wet.* Chodź się schować

pod daszek. Poszliśmy. Koło chlewu wiejski daszek, a pod nim kupa gnijącego siana przemieszanego z gnojem. Alan zapalił papierosa i paliliśmy go wspólnie. Patrzyliśmy na wschodni horyzont, gdzie przez deszcz zaczął się przedzierać skrawek światła – najpierw jasnoniebieski, a potem jasny pas pod ciemnymi, deszczowymi chmurami. Wschód słońca. Jestem tu taki szczęśliwy, powiedział Alan. Taki szczęśliwy, chwilami aż myślę, że jestem egoistą. Ludzie umierają w Wietnamie, w obozach pracy, a ja sobie tu używam życia. Ośliniony papieros zgasł, Alan zapalił nowego. Promienie słońca pokonały deszcz; z gnoju, z kupki siana i z łąki zaczęły się unosić poranne opary. Smród z kibla eksplodował z nową świeżością, wydawało mi się, że śnię sen z pełnym pęcherzem o kiblu, który jest cały tak obsrany, obsikany, wypełniony fekaliami, że nie da się z niego skorzystać. Odniosłem nagle wrażenie, jakby Alan bez wstępu tu zasiadał na ogromnym kiblu świata niczym na tronie i medytował: Widzisz? To Ameryka! Czy nie jest piękna? Czy nie jest piękna właśnie wtedy, gdy pozbawi się ją naskórka idiotycznej cywilizacji? Wciąż uważam, że idea rewolucji, walki z amerykańskim idiotyzmem jest słuszna, że dobre jest to, co jest na Kubie, i oczywiście także nasza porażka w Wietnamie. Ale co przyjdzie potem – ten dogmatyzm, to jest groza. A każdy ten dogmatyzm usprawiedliwia; no, mówią, to jest niestety nieunikniona konsekwencja walki z amerykańskim ucieszeniem. I może to prawda – tak medytował Alan na tym ogromnym kiblu Zachodu. Słońce się wspięło wysoko nad horyzont, farmerzy z Pear Valley wciąż jeszcze spali heroinowym snem, w chlewie rozpaczliwie buczała krowa i cienko meczała koza, prosiątko stało bezradnie pod zamkniętymi wrotami i próbowało buceć, meceć, dostać się do środka, a potem tylko kwiknęło i pobiegło za obydwojema psami, które goniły

motyla. Może to jest prawda, tak, Alanie. Tyle że w tamtym kraiku nie było żadnego amerykańskiego uciemienienia, a i tak przyszedł dogmatyzm. Tak, masz rację, to była groza, szubienice. Ty troskliwy, opiekuńczy królu sracza w górnej części stanu New York... pisarz musi być reakcjonistą... wnieść choćby odrobinę sprzeciwu... Z domu wychynął pierwszy farmer, związane w koński ogon włosy do samego tyłka, przeciągnął się, ziewnął, usłyszał buczącą w chlewie krowę, podniósł z ziemi upaprane koryto i zniknął w środku. Krowa zaczęła jeszcze głośniej ryczeć, przybiegł prosiak i też się przyłączył, a po chwili farmer wyszedł z chlewu oblanym od stóp do głów mlekiem. Z domu jak we śnie wyszła dziewczyna w worku. *O hare maranthula kerguethule kramoluelez...*

* * *

Mój drogi Danielu,

Na początku mojego listu przyjmij serdeczne pozdrowienia. Ja o tobie ciągle myślę, żebyś nie myślał sobie, że powiedziałam to Francie. To mu powiedział majster Vachouszek i on się strasznie zezłościł, że jesteś nie odpowiedzialny, bo mnie w to wciągnąłeś i wcale nie chciał słuchać, że to ja sama cię do tego namówiłam, żeby się zemścić, że nam zabili tatę. Ja to Francie powtarzałam przez cały dzień, ale on cię zobaczył popołudniu, jak jeździsz na sankach z jakąś dziewczyną i wtedy przyszedł do domu i powiedział: widzisz go, ciebie w to wciągnął, a teraz sobie saneczkuje z jakąś lafiryndą, jakby nigdy nic. I w ogóle nie chciał słuchać, jak mu mówiłam, że sam majster Vachouszek powiedział, że już niebezpieczeństwo chyba się skończyło, skoro Ipelt nic w tej sprawie nie zrobił. Ale on mówił, że to wszystko jedno i ciągle tak chodził po izbie, a potem poszedł na dół do Machaniów po sól i znów cię zobaczył i to była ta ostatnia kropla i ja już nic nie mogłam zrobić. Ja się bardzo źle czułam i leżałam

w łóżku, bo miałam gorączkę, to on mi zrobił herbaty i powiedział, że pójdzie na powietrze, żeby mu przeszła złość i poszedł. A jak wrócił to był cały przerażony i mówił: Ja go chyba zabiłem! Ja go chyba zabiłem! Więc się przestraszyłam, ale byłam tak słaba, że nie mogłam wstać z łóżka, więc wysłałam Frantę do stryjka Venhody, żeby się poszedł przepytac. A Franta wciąż mówił: Ja się pójdę przyznać! Ja się pójdę przyznać! Więc mu powiedziałam, żeby poszedł się przepytac, żeby ze stryjkiem zadzwonili z Chaty Jiráska do Szpitala, bo pewnie tam będziesz. I bardzo się o ciebie bałam, bo Franta mógł cię naprawdę zabić. On ma wielką siłę i nawet jak nie chce, to może zrobić krzywdę. On był wtedy na ciebie bardzo wściekły, ale w ogóle to cię bardzo lubi i zawsze mnie się pyta, o czym rozmawiamy. To mu powiedziałam, jak mi opowiadałeś o Układzie Słonecznym i że do najbliższej gwiazdy światło leci 300.000 lat, a on się pytał, czy myślę, że mógłbyś kiedyś do nas przyjść na kawę, jakbym cię zaprosiła, ale to było jeszcze przedtem, niż mu majster Vachouszek powiedział. Potem już się na ciebie tylko wściekał. Kamień mi spadł z serca, jak stryjek Venhoda zatelefonował do Szpitala i powiedzieli mu, że tam jesteś i że tylko lekko ranny. A Franta ciągle chciał się iść przyznawać, ale mu powiedziałam, że tylko sobie biedy by napytał i też Tobie, bo by chcieli wiedzieć, dlaczego cię pobił i co by im wtedy powiedział. Też się bałam, że gdyby poszedł się przyznać, to ludzie by o tym mówili i Franta mógłby się czegoś dowiedzieć i potem mógłby cię naprawdę zabić, chociaż chciałby tylko zbić. Więc mu powiedziałam, że będzie lepiej, jak nikt się nie dowie, kto to zrobił i żebyś tylko poszedł go przeprosić za to, co zrobiłeś, a on jest inteligentny i będzie wiedział, że nie chciałeś zrobić nic złego, tylko byłeś wściekły. A on ciągle mówił swoje, ale w końcu powiedział: Ty jesteś taka święta, a ja taki poroczy, ale też wiem, że gniew to grzech, więc ja tam pójdę, ale mogę dopiero pojutrze, bo jutro muszę sobie wymienić dzienną szychtę na nocną, żebym mógł być w szpitalu po-

południu, bo wieczorem tam nikogo nie wpuszczą. Więc poszedł teraz na rano, a ja ten list dam Mańce Krpatovej, żeby go wrzuciła. Ona jest moją najlepszą przyjaciółką, więc chociaż sobie przeczyta, do kogo jest ten list, to i tak nie powie Francie, bo ona nigdy na mnie nic nie powiedziała, a ja Oldowi na nią też nie. Ona wie, że jak dziewczyna jest młoda, to musi się wyszumieć dopóki jest młoda, bo potem przyjdą dzieci i inne obowiązki. Ja wiem, że to grzech, ale ja cię przecież tak lubię, Kochany Danielu, a przed ślubem się wyspowiadam i już będę wierna Francie, bo on jest dobry człowiek i wcale nie grubianin – to było tylko z powodu tej jego złości. Gdybym mogła, to nie wiem, co bym za to dała, żebyś mogła cię też odwiedzić w Szpitalu, ale jestem ciągle słaba, leżę w łóżku i mam gorączkę. Ale biorę proszki, więc już niedługo wyzdrowieję i wtedy może znów się zobaczymy, jeśli będziesz chciał, tak jak ja bardzo.

Na koniec mojego listu przyjmij serdeczne pozdrowienia.

Tvoja

Nadia Jirouszkova

* * *

Opowiadała mi Nika:

Nie uświadamiała sobie, że nad nią stoi. W hełmie na głowie odjeżdżała pociągiem, który się zderzy, ale co z tego. Będąc w apartmencie Milana w Toronto, była w Pradze, w domu, w swoim pokoiku z tyłu za kuchnią, z okienkiem wychodzącym na podwórze, i słuchała muzyki. Aż usłyszała, że Milan do niej mówi. Powiedział: „Ty jesteś muzyczny wariat, Niko!” Ale w hełmie na głowie nic nie rozumiała, więc go zdjęła, a Milan nad nią stał i trochę się kiwał, bo był wstawiony.

– Co mówiłeś?

– Że... że to przyjemny widok, jak słuchasz muzyki...

Rozejrzała się. Mieszkanie już było puste, tylko pod sufitem wisiał jeszcze obłok dymu i powoli opadał na dół.

– Ludzie! To już wszyscy sobie poszli?
– Już... tak...
– A gdzie jest Barb? Ona tu z tobą nie została?
– Barb? – Milan niezbyt przytomnie rozejrzał się dookoła. – To dziwne... ja w ogóle nie zauważyłem... że sobie poszła... Może jest... w sypialni!

Wstała i podeszła do drzwi sypialni. Milan płątał się za nią. W środku nie było nikogo. Odwróciła się i nagle zauważyła, że w pokoju coś bardzo ważnego się zmieniło. W ramie, gdzie na początku party był wielki blouap twarzy Barbary, teraz widniał równie wielki blouap Suzi Kajetanovej. Na jej ustach był przyczepiona karteczka. Z ramy zwisał oderwany papier, zapewne pierwotny blouap Barb, który ktoś oderwał.

– Milan! Ale ty jesteś bęcwał!

Podeszła do ramy i odpięła karteczkę. Przeczytała ją najpierw sama, a potem na głos:

Bye, Bye, Bluebeard! Barb

Spojrzała na portret Suzi Kajetanovej. W przypadku Milana była to zapewne tylko platoniczna miłość z rockowych czasów w Pradze. Nika dobrze się orientowała co do większości facetów Suzi. Uniosła zerwany blouap i odkryła pod nim jeszcze jeden. Wzięła ten środkowy, wyprostowała go w ramie i przeżyła spory szok. Z blouapu patrzyła na nią... ona sama, chociaż nic jej z Milanem nie łączyło, podobnie jak Suzi. Podstawę stanowiła amatorska fotografia, którą na jakimś party zrobił Percival. Na zdjęciu w oryginale obok niej stał Milan, ale na blouapie się odciął, ją powiększył i zakrył nią przeszłość zwaną Kajetanova. Nieodwracalną przeszłość. Co za narwaniec, platoniczny głuptas. A potem terazniejszość zwaną Nika zakryła nowość pod tytułem Barbie. Nika podniosła blouap Barbary i przypięła go z powrotem do złotej ramy.

– Milan! Ty naprawdę jesteś *bluebeard!*...

– Tak myślisz... chyba nie...

– Ty jesteś szczyt męskiego szowinizmu!

Wyrwała wszystkie trzy portrety z ramy i zwinęła je w rurkę.

– Czemu to robisz?

– Bo z powodu tej wystawy uciekła twoja dziewczyna, ty palancie!

Milan machnął ręką i zatoczył się.

– Niech tam! I tak z nią była nuda. Straszna... kanadyjska nuda!

– Myślisz, że ciebie uważała za szczególnie zabawnego?

– W jaki sposób człowiek... ma zabawiać taką... nudną jędzę?

Znów się zatoczył, aż musiała go podtrzymać, żeby nie upadł.

– Biedny Milanek! Tak cię nie rozumieją te strasznie nudne Kanadyjki!

– To są same jędze! I nudne... strasznie nudne! NUDA!

Mrużył oczy i patrzył na Nikę.

– Ty jesteś... zupełnie inna niż one... Niko!

– Masz talent do obserwacji! Ale na moim blouapie powiesiłeś Barbarę. *How come?*

– To ze złości... że poderwałaś tego swojego... kanadyjskiego nudziarza...

– A Suzi zostawiłeś pode mną wyłącznie na wypadek, gdybym się trzymała tego swojego nudziarza i go nie rzuciła?

Podjął pijacką próbę objęcia Niki.

– N...Niko! Ja cię kocham!... Od pierwszej chwili, tylko... ci tego nie powiedziałem...

– A co Suzi?

– To... to było tylko... na odległość...

– A Barb? Też na odległość?

– N...nie... to nie...

– To biegnij do Barb!

Tu Milan się zezłościł. Chciał coś powiedzieć, ale tylko fuczał:

– *F... f... f...*

– Co?

– *Fuck Barbie!* – wydusił wreszcie z siebie.

Veronika lekko uniosła pomalowane brwi.

– *You'd better, buddy!* – powiedziała.

W tym momencie Milan padł na twarz. Nika przez chwilę obserwowała, jak daremnie usiłuje stanąć na nogach.

– Ale się złomotałeś, dziecko!

Nastąpiła krótka i nierówna walka trzeźwej dziewczyny z pijanym facetem, której wspólnym mianownikiem było zaciągnięcie drugiej osoby do łóżka, choć w zupełnie różnych celach. Zwyciężyła dziewczyna.

Wróciła do pokoju i spojrzała na zegarek. Już po drugiej. Nie miała ochoty jechać nocą sama do domu. Chociaż młoda, była zaprawioną weteranką wielu balang w Pradze, po których zmęczeniu balowaniem osobnicy obu płci padali, gdzie się dało, na ziemi, na otomanach, na dywanach, i spali jak zabici, niekoniecznie praktykując przy tym seks indywidualny czy grupowy. Ziewnęła, poszła do łazienki i znalazła tam szlafrok Milana. Rozebrała się, włożyła szlafrok, wróciła do pokoju, sprawdziła, że z sypialni dobiega chrapanie drwała, przerzuciła swoje rzeczy przez poręcz krzesła i położyła się na kanapie. Pokój był po kanadyjsku przegrzany, więc nie potrzebowała nawet koca.

A ponieważ była młodzieńka i umęczona nostalgią, usnęła natychmiast jak dziecko. Nie słyszała, jak po dziesięciu minutach ktoś cicho otworzył drzwi wejściowe. Ten ktoś usłyszał potężne chrapanie i zatrzymał się w drzwiach. Przez okno do środka świecił księżyc, a jego światło padało na niewątpliwie kobiece ciuszki

na krześle. Ten ktoś przez chwilę stał bez ruchu, a potem szepnął: *Well, you ARE a Bluebird, bitchboy!*, odwrócił się i cicho zamknął za sobą drzwi.

A Nika spała twardym snem i śniły jej się pociągi.

* * *

W porównaniu ze starymi, złotymi czasami moja sława skurczyła się mniej więcej do dziesiątej części – o ile oczywiście mierzyć ją liczbą sprzedanych egzemplarzy książek – ale ponieważ dzięki niezwyklej mądrości Partii zmieniłem się z cennego okazu w zakazany owoc, nawet i ta mierna jedna dziesiąta wystarczała, aby z najodleglejszych kątów tego wielkiego i zaśnieżonego kraju zjechali się rodacy w swych dacanach i pontiacach, aby zasiąść w auli miejscowego uniwersytetu (oni tu w najbardziej zapadłej dziurze też mają przynajmniej jeden uniwersytet) i wysłuchać najnowszych plotek z Pragi oraz interpretacji współczesnych dzieł literackich wydawanych w starym kraju. Źródła tych plotek jest zawsze pod dostatkiem. Są wśród nich przecieki z kół dyplomatycznych, więc można z tego zrobić niezły kabaret. W mojej interpretacji wszystkie dzieła współczesnej prozy praskiej wyglądają jak produkty ludzi odznaczających się katastrofalnym niedorozwojem inteligencji. Przy tej okazji sprawdzam dwie rzeczy, których w kraju sobie nie uświadamiałem: że krytyka literacka to dość łatwe i bardzo zabawne rzemiosło, a Hemingway miał całkowitą rację („Słuchaj, skoro nie możesz pisać, to czemu nie zostaniesz krytykiem? Wtedy mógłbyś pisać bez przerwy. Nie musiałbyś się martwić, że ci się nie uda, że zamilkłeś już na zawsze, że nie masz nic do powiedzenia. Ludzie by to i tak czytali i szanowali...”), oraz że surowa cenzura literacka potrafi nawet giganta przykroić do urzędowych wymiarów. W naszej erze normalizacji wyrosliśmy już jednak

ze starych, socrealistycznych westernów, a przykrojeni geniusze, nawet ci mniejszego formatu, władają piórem i nie są partaczami. Zachód jest im jakby nieco bliższy, znają technikę, dzięki której – zanim ich przykrojono – chcieli „oddać najwyższą sprawiedliwość widzialnemu światu przez wydobyć na światło dzienne wielorakiej i jedynej prawdy, kryjącej się w każdej jego postaci”. Przykrojeni, wykorzystują ową technikę do tego, aby uczynić niewidzialnymi triki, jakimi się posługują w stosunku do widzialnego świata, aby objawić te aspekty prawdy – ograniczone i szczątkowe – które odpowiadają panującym władcom. Żyjemy w wieku wielkich nadużyć, czyli *wisecracków*. Pisać w takiej sytuacji poważną literaturę oznacza pisać bzdety; i odwrotnie. „Jeśli jest taka sytuacja, że autorowi uniemożliwiają publikowanie (...), powinien pisać i nie publikować. Jeśli nie może się utrzymać nie publikując, niech zarabia na życie w inny sposób” – Hemingway. W takiej sytuacji pozostaje pisarzowi święta trójca możliwości: żyć z czegoś innego i pisać do szuflady, pisać dla dzieci oraz pisać bzdety. Pisanie rzeczy poważnych (w tej sytuacji tylko „tzw. poważnych”) to jedyna rzeczywista zdrada ojczyzny (i sztuki), jaką pisarz popełnia.

Taki oto niemarksistowsko-leninowski wykład wygłaszam przed publicznością zgromadzoną w auli McMahan's University. Nie wszyscy mnie rozumieją, to jasne. Niektórzy opuścili kraj w czasach, gdy literatura nie była jeszcze taka ważna, ponieważ nie było to takie niebezpieczne dla państwa, bo i też nie było to takie państwo. Słuchają uprzejmie, ale moja abrakadabra z epoki budowania i ostatecznego zniszczenia socjalizmu jest dla nich sprawą odległą, zupełnie niepojętą. Nasze batrachomyomachiańskie boje o prawo do tego, aby na wydrukowanej stronie można było położyć męską dłoń na kobiecej piersi, zupełnie ich nie

ekscytują. Zresztą czemu miałyby ekscytować? W istocie są przecież tylko skeczem kabaretowym, wymyślonym przez potworną samicę-szubienicę tamtych czasów. Są szaleństwem upadłym do poziomu zwykłego debilizmu.

Gdzieniegdzie jednak wśród tych uprzejmie słuchających rodaków siedzi dziewczyna – tak, przeważnie są to dziewczyny; kobiety zawsze bardziej kochają literaturę, a wyjątki tylko potwierdzają regułę – która naprawdę jest zafascynowana, że ja wiem wszystko o sprawach, o których właściwie nikt nie potrzebuje nic wiedzieć. O mieście zwanym *Praga Normalisata*. Nikt? Te dziewczyny potrzebują to wiedzieć. Wiem również wszystko o tej prawdziwej ojczyźnie, którą noszą w sercu, o świetle, które świeci tylko w dyktaturach, ponieważ w demokracji przesłania je cień drukowanych na kredzie magazynów. Prawdziwa religia życia i prawdziwa, modlitewna adoracja literatury nie mogą nigdy pojawić się w demokracji – w tym nudnym i smutnym imperium wolności: nie czytać, nie cierpieć, nie pragnąć, nie wiedzieć, nie rozumieć. Wpatrują się we mnie, te wygnane z rajy veroniki, chłoną anegdotki o efemerycznych bohaterach ery przeddubčekowskiej i ery normalizacyjnej prostytucji. Raj nie jest sprawą obiektywnych, lecz subiektywnych warunków i okoliczności, a jego świętymi są czas i Epiktet. Raj jest produktem zielonych lat; tego, co się komu z tym pojęciem łączy. Z pałającym wzrokiem słuchają więc, te piękne, wyszczotkowane veroniki, moich dobroduszných (nie potrafię nienawidzić, wypominać, pogardzać – takim już mnie stworzył wszechmogący) idiotyzacji nowych dzieł starych bohaterów, których książki kiedyś czytały (i do tej pory czytają, sprowadzają je tutaj ze starego kraju), o których wyklócały się w czasie długich nocnych dyskusji przy szklaneczce wina czy kieliszku ko-

niaku, wystawały po nie od świtu w kolejkach (całkiem nieznanymi w tych szerokościach geograficznych), najpierw na ulicy, potem w środku, aby prosić ich – ćmiących z namysłem wielkie cygara – o autograf, a może nawet dedykację, jeśli mistrz będzie tak uprzejmy: mam na imię Veronika... Mistrz naturalnie zawsze będzie tak uprzejmy. Wszyscy Mistrzowie lubią kobiety.

Ach, nie powiem im, że literatura też staje się kurwą, ponieważ w warunkach normalizacji stają się nią wszyscy i wszystko, więc wybaczam jej z poczucia solidarności. Nie powiem im, jak się przestraszyłem, gdy Lida Lewis przeinterpretowała moje interpretacje. Że dzięki historycznemu treningowi prostytutka delikatnieje i że kiedy tzw. zewnętrzne okoliczności znikną w mrokach pamięci, uchodzić będzie za pannę niepokalaną, dziewicę bez grzechu. A dzieło pozostaje: warunki mijają, brudne ręce rozpadają się w proch i tylko dzieło pozostaje. Nie powiem im tego. Czy zostaje jakieś dzieło? Nie powiem.

Po kabarecie przychodzą do mnie, tak jak wtedy, tam, a ja też palę wielkie cygare – falliczny symbol mądrości. Veroniki starsze o siedem, osiem lat, ale stale niezwykle kuszące dzięki intensywnej miłości do tej literatury, do tego kraju, który nosimy tylko w sercu i którego nie można zabić ani ukraść. Dają mi do podpisu książki już z manufaktury pani Santnerovej, byłej śpiewaczki, która je składała własnoręcznie w dymie setek papierosów. Od czasu do czasu pojawiają się „starodruki”, jeszcze z raję; wzięły je ze sobą na bezludną wyspę. Rozpadające się, pochłapane winem, zaczytane do końca tomiki – moje jedyne nagrody literackie. I mówią: – Rozmawiałam kiedyś z panem w Trzebiczy, czy pan pamięta? Pewnie pan nie pamięta. Wstydzę się, ale rzeczywiście nie pamiętam. Błazen na mównicy jest charakterystyczny, gdy tymczasem nawet najpiękniejsza veronika ginie w tłumie, scho-

dzi błaznowi z oczu i z myśli – i wyłania się dopiero jako ozdobna klamra za oceanem, pośrodku pełnej pszczoł manitobskiej prerii, na krańcach północnych lodowców, w Fisherman's Wharf w San Francisco, na równinach Kolorado... Veroniki, wszechobecne zamawiaczki orwel-
lowskich koszmarów, beznadziejnego wszechskurwienia realnego komunizmu... te święte grzesznice.

Takie oto sentymentalne myśli krążą mi po głowie; wspominam je jeszcze w domu profesora Abrahama – agenta (według ustaleń władz w Pradze) jednocześnie gestapo i CIA, a zapewne też wywiadu japońskiego. W rzeczywistości jest to specjalista od chrząszczy z rodziny kózkowatych.

* * *

– Byłem trochę zaskoczony – opowiadał doktor Toth, najświeższy, dopiero zeszłoroczny emigrant. – Następnego dnia po powrocie z Anglii przychodzę do biura, jak co rano rozkładam „Rude Pravo” i moją uwagę zwraca artykuł wstępny. Zwraca uwagę, ponieważ ma niezwykły tytuł. Tytuły wstępniaków, jak zapewne wiecie, to sprawa dość skostniała, spetryfikowana. Na przykład: o coś. O lepszą realizację. O wyższy urodzaj. Albo: przeciw. Przeciw mieszaniu się. Przeciw niemieszaniu się. Przeciw niesłusznemu mieszaniu się itepe. Spetryfikowana formuła pozbawiona jest treści, daje więc w efekcie nudę. Ale ten artykuł nosił tytuł *Historia pewnego zdrajcy*, czyli sygnalizował coś konkretnego, więc istniała szansa na dobrą zabawę. Komu znowu nakładają maskę zdrajcy? – pomyślałem, mając nadzieję, że go znam, bo wtedy takie sytuacje są jeszcze zabawniejsze. Włożyłem okulary i czytam: „Nasze społeczeństwo dało panu doktorowi wszystko, czego tylko potrzebował, a nawet spełniało wiele jego zwykłych zachcianek. A mimo to pan doktor zdecydował się wkro-

czyć na drogę zdrady i w ubiegłym tygodniu w Londynie, dokąd został wysłany przez nasz rząd na konferencję naukową na temat wykorzystywania słabych prądów w technice, wydał oświadczenie dla prasy kapitalistycznej, stwierdzając, że nie wraca do Czechosłowacji. Za swoją zdradę otrzymał naturalnie sowitą zapłatę w postaci etatu na uniwersytecie w Leeds, gdzie rozpoczął już wykłady". W tym momencie przestałem czytać. Historyjka wydała mi się jednocześnie znana i nieznana. Otóż bowiem, panie i panowie, ja też byłem na tej konferencji w Londynie i właśnie dopiero co z niej wróciłem, ale zupełnie nie zauważyłem, że niby miało nas tam być dwóch i że jeden zdradził. Zacząłem więc jeszcze raz spokojnie od początku: „Nasze społeczeństwo dało panu doktorowi... w ubiegłym tygodniu w Londynie... na temat wykorzystywania słabych prądów...". Wszystko się zgadza, tylko nie mogłem uwierzyć, że przegapiłem udział drugiego delegata. Zresztą nawet ze względów technicznych było to niemożliwe, ponieważ delegaci zobowiązani są do cowieczornych spotkań w pokoju szefa delegacji radzieckiej, aby złożyć raport i wysłuchać instrukcji na następny dzień. Stosowałem się do tego codziennie, ale byłem u radzieckiego towarzysza zawsze sam i nie widziałem żadnego innego delegata z naszego kraju... Zacząłem czytać dalej. Jak wiecie z doświadczenia, maska zdrajcy składa się z wielu warstw: najpierw jest część ogólna, a potem konkrety. Czytam, czytam, ale wbrew dobrym zwyczajom dalej też była abstrakcja – kazanie o tym, co nasze społeczeństwo zrobiło dla pana doktora, a pan doktor – dla społeczeństwa. Znowu wydawało mi się to jednocześnie znane i nieznane. Prócz tego było nudne. Przyśpieszyłem lekturę i przeskoczyłem do ostatniego zdania wstępniaka. W tym momencie przed oczami zaczęły mi latać czerwone plamy. Czytam po raz drugi, potem trzeci, wsta-

ję, przecieram okulary, robię kilka kroków po pokoju, uderzam się w policzek, spoglądam w lustro i czytam to zdanie po raz czwarty. Jeśli nie zapomniałem czytać, to zdanie jest jasne i brzmi: „W ten sposób pan doktor Ctibor Toth z Państwowego Instytutu Słabych Prądów w Pradze stał się zdrajcą”. Zaczynam gorączkowo myśleć: we wspomnianym instytucie w Pradze jest tylko jeden doktor Ctibor Toth, czyli ja. Ten właśnie Toth był w zeszłym tygodniu na konferencji naukowej w Londynie. Według „Rudego Prava” został tam i zdradził. Ja jednak siedziałem w swoim gabinecie w Pradze i czytałem o sobie samym, że w tej chwili wykładam na uniwersytecie w Leeds. To nie jest więc amnezja, lecz schizofrenia. Rozdwojenie osobowości. Ale ponieważ ja jestem bardzo realny i realistyczny człowiek, przychodzi mi do głowy jeszcze inna możliwość: ktoś dał redaktorowi „Rudego Prava” fałszywą informację.

– Albo redaktor „Rudego Prava” sobie to wymyślił! – zahuczał mężczyzna podobny do wielkiego jaja, który przy drugim końcu stolika opychał się kanapkami.

– To jest następna ewentualność, jednak należy spytać: po co? – doktor Toth zrobił chytrą minę. – Proszę sobie uświadomić, Mistrzu, że ja jako zweryfikowany bezpartyjny fachowiec byłem bardzo cenną osobą. Podobnie jak pan, Mistrzu, *timeo communistas et dona ferentes*, lecz ja jednak w nic się nie angażowałem: wieszałem flagi, dekorowałem okna itepe. Można mnie było wykorzystywać we wszystkich okolicznościach i nikt się nie musiał bać, że mu to zaszkodzi, jeśli poleci mnie do jakiejś pracy czy na jakieś stanowisko. I nagle taka publiczna egzekucja! Przecież to nielogiczne.

– Od bolszewików trudno wymagać logiki! – mruknął mężczyzna-jajo.

– Obawiam się, że nie ma pan racji, Mistrzu. Od bolszewików, jak pan mówi, trudno wymagać wielu rze-

czy: prawdomówności, moralności, grzeczności itede. To wszystko prawda. Ale logiczni to oni są. Są logiczni nawet w sprawach pozbawionych logiki. One im po prostu służą, a więc w pewnym sensie są logiczne. Nie, nie. We wstępniaku musiała być jakaś logika. Tylko jaka?

– A nie pomylili pana z kimś innym? – spytał profesor Abraham.

Doktor Toth wzruszył ramionami.

– Schowałem „Rude Pravo” do kieszeni i w tej chwili widzę swoją sekretarkę wchodzącą na palcach jak spiskowiec. „Panie doktorze! – szepcze. – Nie powinien pan być wracać, to wielki błąd! Czy nie potrzebuje pan się gdzieś schować? I niech pan raczej wyjdzie tyłem, a nie przez portiernię, bo Novotny jest kapusiem!” Novotny to był nasz portier, a nie dawny prezydent. Machnąłem tylko ręką i powiedziałem jej, że to jakaś pomyłka, która się wkrótce wyjaśni. Muszę dodać, że odniosła się do tego dość sceptycznie.

– Mądra kobieta! – wtrącił mężczyzna-jajo.

Doktor Toth uśmiechnął się.

– W „Rudym Pravie” wylegitymowałem się dwóm rewolwerowcom, którzy nie zwrócili uwagi na moje nazwisko. Może nie czytają „Rudego Prava”. Bez kłopotów dotarłem do redaktora, który napisał artykuł, i w milczeniu pokazałem mu dowód osobisty. Zajrzał do niego i mówi: „Siadajcie, towarzyszu doktorze, co mogę dla was zrobić?” Czyżby i ten nie czytał swojego artykułu? Wyjąłem więc z kieszeni egzemplarz gazety, pokazałem wstępniak i powiedziałem bardzo wyraźnie: „To ja jestem ten doktor Toth!” Trochę się zachmurzył, poskrobał się po policzkach, przeczytał fragment artykułu i wydawało mi się, że odetchnął. Powiedział: „Towarzyszu doktorze, ja z tym nie mam nic wspólnego. Ten artykuł przysłali mi z bezpieczeństwa.

Ja go tylko umieściłem w numerze. Jak chcecie wyjaśnić, to musicie do emeswu”.

Przerwał, a mężczyzna-jajo ryknął:

– Trzeba mu było dać w zęby, świni bolszewickiej!

– Pewnie tak – zgodził się doktor Toth. – Ja jednak jestem człowiekiem spokojnym, a ponadto cała sprawa interesowała mnie bardziej od strony intelektualnej niż emocjonalnej. Przyznam się jednak, że wzmianka na temat bezpieczeństwa trochę mnie zaniepokoiła. Potwierdzała bowiem moje domysły, że nie chodzi tu o żaden błąd redakcyjny, lecz że jest to część jakiejś większej, celowej gry. Byłem już dość zdenerwowany, kiedy klucząc korytarzami znanego budynku na Letnej, dotarłem wreszcie do pracownika, który spłodził swym piórem (ale nie wiedziałem jeszcze, czy używając własnej głowy) wspomniany artykuł. Facet ten nazywał się Sedlaczek.

– Akurat! – nie wytrzymał mężczyzna-jajo.

– Tak mi się przynajmniej przedstawił. Wysłuchał mnie, zmarszczył czoło, przez chwilę rozmyślał, a potem na jego stole zadzwonił telefon. Podniósł słuchawkę, milczał, bez słowa odłożył ją na widełki i poprosił mnie, żebym powtórzył wszystko jeszcze raz od początku.

– Spieprzył im się magnetofon!

– Zapewne. Powtórzyłem więc wszystko, on znów wysłuchał w milczeniu, a potem stwierdził, że jestem w Pradze, nie w Londynie, więc zaszła tu chyba jakaś pomyłka. Poprawiłem go, że jednak z całą pewnością zaszła pomyłka, a on się z tym zgodził. „Ale jak do tego mogło dojść?” - spytałem. Powiedział, że pomyłka zaszła w Londynie, ponieważ tę wiadomość dostali z ambasady, i że sprawę wyjaśnią. „A zamieścicie potem w »Rudym Pravie« sprostowanie?” – indagowałem go dalej.

Mężczyzna-jajo nie wytrzymał i parsknął śmiechem.

– Ma pan rację – ciągnął doktor Toth. – Przez chwilę miałem wrażenie, że poprosi mnie, abym jeszcze raz

wszystko powtórzył, bo bardzo długo milczał. W końcu jednak odezwał się: „Towarzyszu, popatrzcie na to w ten sposób. Tych kilka osób, które was zna osobiście, zorientuje się, że to pomyłka i że nie jesteście zdrajcą. Ci, którzy was nie znają i przeczytają artykuł, odniosą wielkie korzyści pedagogiczne. Posłuchajcie na przykład tego... – i zaczął mi czytać zdania z drugiej części wstępniaka, z kazania: – Choć pan doktor jest synem kapitalisty, władza ludowa obdarzyła go pełnym zaufaniem i umożliwiła mu ukończenie studiów na koszt społeczeństwa... Przerwałem mu i odważyłem się zaprotestować, że nawet fakty w tym miejscu się nie zgadzają: mój ojciec miał tylko mały sklepik, nikogo nie zatrudniał i zmarł z przepracowania na zawał serca w wieku czterdziestu sześciu lat, a mnie z jego powodu nie przyjęli nawet do technikum, więc zostałem elektromonterem, studia zaś ukończyłem zaocznie, wieczorami... Tutaj z kolei on mi przerwał i wyjaśnił, że to są detale, bo jako pedagogiczny przykład lepsza jest pierwsza wersja, a cel uświęca środki. Tak napisał Lenin. Spytałem go jeszcze, co pomyślał ci, którzy mnie znają i którzy rozumieją, że w artykule były fałszywe informacje. Tego już jednak nie powinienem był robić. Popatrzył na mnie, potem na artykuł i nagle przed nami jakby zmaterializował się ten raport. Panie i panowie, ja po prostu czułem, że on wolał, abym był w tym Leeds, i uważał to za bezczelność z mojej strony bezczelność, że tam nie jestem. Zacząłem się bać, choć jeszcze nie wiedziałem czego.

– Miał pan rację – odezwał się gospodarz. – Przecież pańskie istnienie w Pradze podważało wiarygodność czy wręcz prawdziwość informacji prasy partyjnej...

– Człowieku, przecież pan ich właściwie prowokował! – ryknął mężczyzna-jajo i znowu parsknął śmiechem. Zabrzmiało to jak reakcja łańcuchowa w magazynie rakiet nuklearnych.

– Naturalnie – uśmiechnął się doktor Toth. – A jaki wyciągnąłby pan z tego wniosek, Mistrzu, gdyby był pan na miejscu Sedlaczka?

– Kazałbym pana zamknąć, żeby pan zgnił w pierdlu! – ucieszył się mężczyzna-jajo.

– Może i tak – ciągnął doktor Toth. – Wracając z bezpieczki do biura, zastanawiałem się nad całą historią i przypomniał mi się kryminał. Nazywał się *Morderstwo z powodu hipotezy*. Znajdują trupa jakiegoś lorda, zmasakrowanego nie do rozpoznania, ale identyfikują go na podstawie ubrania i zawartości kieszeni. Detektyw udowodnił zbrodnię biednemu dzierżawcy, który został skazany na śmierć i powieszony. Jednak wkrótce potem znajduje się drugi trup, też zidentyfikowany jako lord Brougham; tym razem już bezspornie, bo po odciskach palców. W końcu młodszy brat lorda odkrywa, że lord z jakichś powodów wyjechał incognito za granicę, a kiedy wrócił, miał pecha, że spotkał akurat detektywa, który tak „świetnie” wyjaśnił zagadkę jego śmierci i dzięki temu awansował. Detektyw wtedy zabija lorda, aby rzecz się nie wydała, a on mógł zachować twarz. Kiedy tak szedłem z bezpieczki do biura, zacząłem się zastanawiać, czy ja też nie jestem w sytuacji tego dwa razy załatwionego lorda. Wkrótce to podejrzenie zaczęło się potwierdzać.

– Zamknęli pana?

– Nie. Odebrali mi tylko paszport służbowy. Na szczęście u nich też jest bałagan, więc pozostawili mi turystyczny. Za to zainstalowali mi w mieszkaniu nowe urządzenie podsłuchowe, dużo lepsze niż poprzednie. Jak je zobaczyłem, naprawdę dostałem pietra.

Doktor Toth pokrzepił się łykiem kawy i rozejrzał po pokoju profesora Abrahama, ozdobionym obrazami prezydenta Masaryka na wspianiałym koniu i prezydenta Beneša uchylającego kapelusza typu dyplomata.

Z całą intensywnością uświadomiłem sobie, jak w tej Kanadzie jesteśmy bezpieczni. Ten kapelusz z pewnością nie kryje mikrofonu, a z oczu Masaryka nie wydobywają się promienie laserowe.

– Z czasem lęk doprowadził mnie do jakiejś obsesji, nocnych koszmarów – mówił po chwili doktor Toth. – Budziłem się w nocy zlany potem, a raz tak głośno wołałem przez sen o pomoc, że obudziłem sąsiadkę. W blokach wszystko słyhać. Dobijała się do drzwi, więc musiałem jej otworzyć i wytłumaczyć, że to był tylko zły sen.

– A była chociaż warta grzechu? – zatrąbił mężczyzna-jajo.

Doktor Toth znacząco podkreślił wąsika i ciągnął dalej:

– Jeśli pan pozwoli, to na ten temat nie będę się wypowiadał. Jestem bowiem zaręczony z pewną damą w Londynie. Tak czy inaczej złe sny nadal mnie prześladowały i zacząłem się czuć jak szczur w klatce; niemal zupełnie zrezygnowałem z możliwości obrony. Wreszcie przyszedł mi do głowy ostatni, zwariowany pomysł. Doszedłem do wniosku, że panujący u nich bałagan, o którym świadczył chociażby fakt pozostawienia mi paszportu turystycznego, daje mi jeszcze pewną szansę. I tak oto w biurze podróży Čedok wykupiłem wycieczkę narciarską w austriackie Alpy. A oni, panie i panowie, bez żadnych trudności mi to załatwili!

– Burdel! – ryknął mężczyzna-jajo.

– To jedna możliwość – stwierdził doktor Toth. – A druga jest taka, że Sedlaczek zorientował się, po co chcę jechać na narty w Alpy. Przecież powinien znaleźć w moich papierach, że nie mam pojęcia o jeździe na nartach. Zresztą ludzie, którzy mnie śledzili, musieliby donieść, że na swoją wyprawę kupuję zupełnie nowy sprzęt, bo do tej pory niczego takiego nie miałem. Może Sedlaczek pomyślał, że to jest właśnie najprost-

sze rozwiązanie. W ten sposób w końcu popełniam zarzucany mi wcześniej czyn i bezpieka nie będzie musiała fizycznie likwidować w Pradze błędu, który dotąd kłuł ją w oczy. Tak czy inaczej pięknego dnia, dwa miesiące temu, stałem w nowiutkim stroju narciarskim i z nowiutkim sprzętem przed budynkiem biura podróży, czekając, aż nam podstawią autokar.

* * *

Znalazłem pusty przedział i niecierpliwie rzuciłem się na gazetę. Artykuł był na drugiej stronie. *SPRAWIEDLIWA KARA DLA GRUPY ANTYPAŃSTWOWEJ*. Pociąg ruszył, za oknem powoli zaczęły się przesuwac światła dworca imienia Wilsona, a ja pochłaniałem tekst. Pokazał się stalowy pas nieba nad Kobylisami i odbijał się od jasnej kuli libeńskiej gazowni. Czytałem o zaciekłych wrogach, o zdradzieckich spiskach podżegaczy, o ujęciu reakcyjnej bandy. Dopiero zapoznawałem się ze słownikiem nowych czasów, była jesień pierwszego roku tej władzy, a na czele listy widniało nazwisko Przemysl Skoczdompole. Potem siedem kolejnych nazwisk i na końcu – „Benda Josef, za udzielanie pomocy”. Uszeregowani według wysokości wymierzonych kar. Za nazwiskiem „Skoczdompole” widniał dopisek „zaocznie”. Czytałem życiorys-nekrolog-słownikowe hasło mego starego druha z kosteleckiego deptaka, współgangstera z magazynu tytoniu, bohatera, który był winny śmierci siedmiorga niewinnych, nomady romantycznej przygody. Do przedziału dosiedli się jacyś ludzie i o czymś rozmawiali, ale ja nie zwracałem na nich uwagi, tylko czytałem. Jak zdrajca Skoczdompole uciekł przed surową, lecz sprawiedliwą karą i schronił się we wrogiej zagranicy. Termin „surowa, lecz sprawiedliwa kara” jeszcze wtedy oznaczał cztery lata więzienia, a już dwa lata później – szu-

bienicę. Mężczyźni na przeciwległej ławce prowadzili suchą debatę, a ja wciąż czytałem ten nieco podkolorowany życiorys. Że pochodził z rodziny legionisty, odznaczonego burżuazyjnymi i imperialistycznymi orderami za mordowanie bolszewików. Że w czasie okupacji był inicjatorem i przywódcą burżuazyjnej tzw. grupy oporu (ze specyficzną semantyką tego skrótu też się dopiero zapoznawałem), która jednak bardziej niż walką z okupantem zajmowała się tym, żeby przetrwać do czasów powojennych i móc odgrywać rolę w próbach ponownego wprowadzenia władzy burżuazji. Te wysiłki – czytałem i wydawało mi się to jednocześnie znane i nieznane – w ostateczności doprowadziły grupę do działań jawnie pronazistowskich, kiedy np. w gorącej atmosferze powstania narodowego w maju 1945 roku starała się zapobiec atakowi komunistów na pociąg z amunicją na dworcu w Kostelcu i nie wahała się skorzystać ze wsparcia wycofujących się jednostek niemieckich. Po wojnie, stało dalej w tekście, członkowie tej zdradzieckiej grupy (w emocjach nie uświadomiłem sobie absurdalności tego sformułowania, a później już wszyscy się do niego przyzwyczailiśmy) utrzymywali nadal kontakty, by natychmiast po Zwycięskim Lutym 1948 roku wznowić działalność antypaństwową (również i w tym w zdenerwowaniu nie zauważyłem braku logiki). W mieszkaniu Skoczdopole została uruchomiona drukarnia do produkcji podżegających ulotek, a ich resztki zostały znalezione w piecu skazanego Vaharza, który próbował je zniszczyć. Zamiast odważnie przyznać się do swej zdradzieckiej działalności i za nią odpokutować, Skoczdopole tchórzliwie uciekł za granicę. Również skazany Vaharz próbował ucieczki, ale został zatrzymany przez organa bezpieczeństwa i osadzony w areszcie. Podczas przeszukania w jego mieszkaniu znaleziono wiele obciążających dokumen-

tów, a wśród nich m.in. pełną listę członków tej terrorystycznej bandy.

Przestałem czytać. Na szczęście Vaharz nie zdążył mnie dołączyć do tej listy. Gdyby był bardziej skrupulatny, mógłby radykalnie zmienić całe moje życie. Patrzyłem przez okno na przesuwaną się za nim wieczorny krajobraz, na szosę obramowaną z obu stron rzędami drzew, którą jechały samochody przedwojennej produkcji, i na spóźnionego wieśniaka, pędzącego z pola parę zmordowanych krów zaprzężonych do wozu drabiniastego. Ale w myślach zobaczyłem, jak Przema wstaje od stołu, ze swoją poważną twarzą o wystających mongolskich kościach policzkowych, na stole mapa, pokój ciemny, bo zasunęli rolety jeszcze z czasów wojny, obok mapy rozkład jazdy pociągów. Plan był prosty i chyba dobry. Pociągi do Niemiec na razie jeździły, a kuzyn Przemy potwierdził przypuszczenia pana Skoczdo pole, że w dniu pogrzebu prezydenta ściągną wszystkie jednostki służb granicznych do Pragi. Mniej więcej kilometr przed granicą jest wzniesienie i pociąg powinien zwolnić. Tam Przema musi wyskoczyć i dojść kawałek piechotą do niepilnowanej granicy. Będzie druga w nocy. Siedzieliśmy nad mapą, w mieszkaniu grało staroświeckie radio z pieczołowicie przechowanym ostrzeżeniem, też z czasów Protektoratu, że słuchanie zagranicznych stacji radiowych może być karane nawet śmiercią. Grało, żeby sąsiedzi nie rozumieli, o czym mówimy. Potem już nie było o czym rozmawiać. Wstałem, Przema też. Podałem mu rękę, a przez myśl przebiegły mi wszystkie jego dokonania. Płonący magazyn; czołg ostrzelany z karabinu maszynowego przechowywanego przez całą wojnę; radiostacja, tak dobrze schowana przez jednorękiego legionistę, że bezpieka nie wykryła jej istnienia. W przeciwnym razie z pewnością by zastąpiła w artykule nieefektowny powielacz, mimo że zmieniony w ma-

szynę drukarską. Ani do magazynu, ani do czołgu Przema po wojnie się nie przyznał, a ja i pan doktor Labsky też milczeliśmy. Dla historii Kostelca był więc postacią nieznaną. Teraz wejdzie do niej jako zaprzysięgły zdrajca, bandzior z pokolenia na pokolenie i podżegacz. Spojrzałem w jego wąskie, mongolskie oczy, odziedziczone po jakimś dawnym tatarskim harcowniku, który zgwałcił którąś z jego prapraprababek. Powiedziałem: „To cześć. I powodzenia!” „Cześć” – odparł Przema. W taki sposób pożegnaliśmy się na zawsze. W drzwiach jeszcze się odwróciłem. Przema stał w kręgu żółtego światła nad mapą i rozkładem jazdy – szczipły, umięśniony, w brudnej koszuli. Bohater, zdrajca, kumpel. Odwróciłem się i wyszedłem z mieszkania jego kuzyna.

Uniosłem głowę znad gazety i napotkałem spojrzenie mężczyzny z przeciwległej ławki. Coś podobnego, Uher!

– Cześć – powiedziałem.

– Cześć – odparł i spojrzał na dwóch swoich towarzyszy. Coś mi się w nim nie podobało, ale nie wiedziałem co ani o czym z nim rozmawiać. Nie widziałem go od czasu spotkania w kościele. Potem sobie uświadomiłem, co mi w nim nie pasuje. Nie miał koloratki.

– Jak tam? Masz już probostwo? – spytałem.

Zmarszczył brwi.

– Zaraz po wojnie dałem sobie z tym spokój. Nic nie wiesz?

– Dlaczego odszedłeś? – byłem naprawdę zaskoczony.

Jeszcze bardziej zmarszczył brwi, a potem zrobił dziwny grymas.

– Byłem w seminarium z takiego samego powodu, dla jakiego ty tam chciałeś trafić. Chowałem się przed robotami przymusowymi.

Znów spojrzał na swych dwóch kolegów, którzy patrzyli na mnie jakoś dziwnie. Z takimi spojrzeniami

też dopiero się zapoznawałem i jeszcze nie wiedziałem, co oznaczają. Pamiętałem, jak w mroźnym kościele klęczał pod wieczną lampką, a ja za nim, specjalnie na zimnych kamieniach, żeby być bardziej podobnym do cierpiącego Chrystusa. Powiedziałem:

– Ale byłeś pobożny?

– Ja? Daj spokój!

– No, chodziłeś do kościoła.

– Przecież jako seminarzysta musiałem.

Z nieznaney przyczyny nagle poczułem wściekłość do niego. Może chciałem się w ten sposób zemścić za tamtą upokarzającą sytuację, której jednak sam byłem winny przez własne tchórzostwo.

– Ty tam chodziłeś, nawet jak nie musiałeś – stwierdziłem. – Pamiętasz, jak się tam któregoś wieczoru spotkaliśmy?

Jednak w ten sposób nagrałem mu na smecz.

– Jasne. Tylko że ty mnie wtedy zapewniałeś, że chcesz do seminarium. A jesteś w seminarium?

– Nie jestem! – złość mną coraz bardziej targała, więc straciłem czujność. – Chciałem tam wtedy iść z jeszcze lepszego powodu niż ty. Zorganizowałem w fabryce sabotaż i to się wydało. Z jedną dziewczyną, taką Jirouszkową. – A potem, Bóg raczy wiedzieć po co, dodałem: – Skoczdopole też był w to wplątany. Jak ty mnie nie chciałeś schować w seminarium, to on mnie schował w chałupie Pejskara. Znałeś go, nie?

– To był?... – Uher poczerwieniał.

– Tak, tak, ten! – w moim głosie prócz wściekłości można jeszcze było usłyszeć ślad oburzenia i wzruszenia. Nie chciałem, żeby tak było, ale nie potrafiłem się powstrzymać. Wskazałem na wyrok w gazecie i wyrecytowałem prześmiewczo. – Ten inicjator i przywódca burżuazyjnej tak zwanej grupy oporu! Ładne, co? – Niemal krzyczałem, ogarnięty nagłym wzruszeniem.

W tym czasie jeszcze nie miałem świadomości wszystkich niebezpieczeństw. – Ja przypadkiem znałem tę grupę. Jedynym burżujem byłem w niej ja, chociaż właściwie nie byłem jej członkiem. Tylko o nich wiedziałem.

Uher i jego dwaj koleżkowie wymienili dziwne spojrzenia.

– To była grupa podporządkowana rządowi w Londynie. A ten był burżuazyjny – oświadczył Uher.

– A co mnie obchodzi rząd?! – ogarnęła mnie zupełna ślepotą polityczna. – Te chłopaki to sami robotnicy. Skoczdopole przez całe życie nie robił nic innego, tylko pracował fizycznie. Wyrzucili go ze szkoły, bo nie chciał się uczyć niemieckiego. Języka okupanta, rozumiesz? I była to grupa oporu, nie żadna tak zwana!

Oparłem się o twardą ławkę, a wściekłość wciąż mną miotła. Jednak zza niej wyłaniało się już coś innego. Znajomego. Koleżkowie sprawiali bardzo niemiłe wrażenie. Wpatrywali się we mnie jak dwa homoseksualne sfinksy.

– Skoro znałeś tę grupę, to wiesz – powiedział sucho Uher – że tylko bawili się w ruch oporu. Wszystko, czego dokonali, to przecięcie kilku prywatnych linii telefonicznych. Wielki mi ruch oporu! I dlatego „tak zwana grupa oporu”.

Niestety, to nowe, co się we mnie zaczęło pojawiać, stłumił kolejny atak złości.

– Tak, Skoczdopole tak się bawił, w dodatku zapalnikami, że wysadził w powietrze cały niemiecki magazyn benzyny! – ryknąłem.

Cała trójca skamieniała. Po prostu zapało im dech.

– To był Skoczdopole? – spytał Uher już bardzo dziwnym głosem.

– Jasne!

– Ma pan na to świadków? – wtrącił się ostro jeden z jego kolegów.

– Spytajcie doktora Labskiego. On go wtedy opatrywał, bo był poparzony płonąca benzyna. Ja go do niego przyprowadziłem.

– To czemu się nie przyznał do tego po wojnie? – znów pytał Uher.

Dlaczego? Właściwie tego nie wiedziałem. Pewnie z powodu tych siedmiu, co stracili za to życie. Ale Prze-
ma nie ujawnił też wielu innych spraw.

– Pewnie nie chciał robić z siebie bohatera, jak tylu innych – wycedziłem z jadem, a potem ze mnie wyleciało. – Ten czołg na Homoli też on zniszczył!

– Jakoś dużo bohaterskich czynów jak na jednego skromnego człowieka! – odezwał się drugi koleżka, równie ostro.

– Tylko dwa – odparłem. – A prócz tego, masz rację, tylko przecinał te druty. Ale jeśli wysadzenie w powietrze magazynu benzyny nie było działaniem ruchu oporu, to już sam nie wiem, co nim było. Może pisanie obelżywych ulotek o innych grupach? Ale on tego nie robił.

– To robił dopiero teraz! – warknął drugi koleżka. – I już wtedy się szykował, że będzie walczyć z władzą ludową!

Najwyraźniej wszyscy byli bardzo dobrze zaznajomieni ze sprawą kosteleckich zdrajców. Trochę mnie to zmroziło, ale ciągnąłem dalej:

– Tego nie wiem. Mnie wtedy niczego takiego nie mówił. Wiem tylko, że w Kostelcu wyrządził Niemcom największe szkody.

– Wiesz, ilu ludzi straciło z tego powodu życie? – spytał Uher.

– Wiem. Ale może nie zauważyłeś, że była wojna.

Czułem się nieprzyjemnie. Wreszcie pojąłem, co we mnie przytłumiło wściekłość. To był strach. Mój stary, dobry znajomy.

– To była akcja podobnego charakteru co zamach na Heydricha – oświadczył pierwszy z koleżków. – Typowa dla nieodpowiedzialnego, burżuazyjnego pojęcia ruchu oporu. – To jakiś uczoney, pomyślałem. Ale w tym czasie nie znałem jeszcze zbyt wielu podobnych, „bro-szurkowych” mędrców. – Sami sobie siedzą bezpiecznie, a płaci za to życiem wielka liczba cywilów.

Po raz ostatni złość okazała się we mnie silniejsza.

– Skoczdopole nie siedział w ukryciu – zaprotestowałem. – Ale faktem jest, że zamiast odważnie przyznać się Niemcom do swej terrorystycznej działalności i za nią odpokutować, to tchórzliwie uciekł.

Chyba poznali cytat, bo głęboko nabrali powietrza. Uher zmrużył oczy:

– Ty się z nim jeszcze spotykałeś po wojnie?

Wreszcie instynkt samozachowawczy okazał się silniejszy od wściekłości. Pojąłem, że przez swą głupotę wmanewrowuję się w sytuację niebezpiecznie przypominającą tę, w której kiedyś prosiłem o pomoc tego fałszywego księdza.

– Nie. On był zaraz po wojnie dwa lata w wojsku, a ja od razu trafiłem do Pragi.

Uher i jego koleżkowie jeszcze przez chwilę mnie świdrowali wzrokiem, a potem zaczęli rozmawiać o swoich sprawach. Tym razem już ich słuchałem. Mówili o ruchu związków zawodowych. Fajna zabawa.

Wyszedłem do toalety. Wracając, zostałem na korytarzu i patrzyłem przez okno. Zrobiło się już prawie ciemno, pociąg przejeżdżał przez las i jakiś brązowy liść przyczepił się do okna od zewnątrz, dokładnie na wprost mojej twarzy. W drzwiach przedziału pojawił się Uher, który wychodził w tym samym celu. Przycisnąłem się do szyby, żeby mógł przejść. Przeszedł. Ale potem stanął. Wahał się, ale chyba jednak ostatecznie zwyciężyły w nim jakieś resztki seminarium, bo powiedział:

– Jak ci mogę coś poradzić, Smirzicky, to trzymaj lepiej język za zębami.

Spojrzałem mu prosto w oczy, ale zbyt wiele miłości chrześcijańskiej w nich nie znalazłem. Dodał jeszcze:

– Nie żyjemy w żadnych sielankowych czasach.

– Zdążyłem zauważyć.

Jeśli jednak były w nich jakieś resztki chrześcijańskich uczuć, to w tym momencie całkiem zniknęły.

– A tę ironię też sobie daruj. Mogłaby cię drogo kosztować – rzucił sucho.

Odwrócił się i rozkołysanym krokiem ruszył w stronę toalety. Z tyłu jego postać wydała mi się groźna. Ale to miłe, że mnie ostrzegł.

Za oknem zawirowały jesienne liście. Pociąg wyjechał z lasu, a czerwony skrawek nieba odbił się w jakimś stawie. Lśnił, jakby był wypełniony krwią.

Pobożny jednak był, niech nie zaprzecza. Klęczał przecież w nocy pod wieczną lampką i się modlił. W powszedni dzień. I to w Kostelcu. A seminarium było w Hradcu Králové. Kłamie, że nie był pobożny.

* * *

– To była przedziwna wyprawa narciarska. Przedziwna! – stwierdził doktor Toth. – Z wyjątkiem trzech mężczyzn same kobiety. A ja najmłodszy ze wszystkich. Ściślej mówiąc, była to w istocie wycieczka emerytów. Chyba żadna z tych dam nie miała poniżej siedemdziesięciu pięciu lat. Wszystkie jednak oczywiście miały narty, choć wybrały się w podróż w sukniach, więc widać im było żylaki na nogach. Niektórym nawet wnuczki musiały nieść narty, a jedna cierpiała na chorobę Parkinsona. Musieliśmy jej pomóc przy wsiadaniu do autokaru i rozłokowaniu bagażu. A muszę tu dodać, że wszyscy uczestnicy wycieczki mieli opłacone dwa tygodnie jazdy na nartach w Al-

pach austriackich, w tym także treningi na skoczni narciarskiej.

Mężczyzna-jajo ryknął śmiechem jak sto piorunów.

– Była to, żeby wyrazić się precyzyjnie, specyficzna forma socjalistycznej emigracji – kontynuował z uśmiechem doktor Toth. – Wszyscy, z jednym wyjątkiem (również ci dwaj starcy, z których jeden miał osiemdziesiąt dwa lata), jechali do Austrii do dzieci, które przyjechały tam po nich z całego świata (jedne na przykład aż z Nowej Gwinei). Czekały przy samej granicy austriackiej i zaraz ich zabrały, więc autokar pojechał dalej pusty. Zostałem tylko ja i pewna starsza dama, po którą brat miał się zjawić dopiero w Linzu. Ta przez całą drogę płakała, bo musiała wracać. Miała jechać na narty z mężem, ale on na dzień przed wyjazdem ciężko zaniemógł, więc rozpaczła, że zobaczy brata po raz ostatni w życiu. Miała siedemdziesiąt osiem lat, wydali wszystkie oszczędności i sprzedali nawet meble, żeby mieć na opłacenie ekwipunku i całej wycieczki. Zanim na coś takiego znów uzbiera, będzie miała dziewięćdziesiąt osiem lat, a mąż – sto pięć. Trochę jednak przedzam zdarzenia. Przez całą drogę do granicy narastało we mnie uczucie, że coś jeszcze powinienem zrobić. Uświadomiłem to sobie dopiero w Taborze, gdzie była przerwa na obiad. Wyszedłem do toalety i wyrwałem z notesu wszystkie adresy znajomych na Zachodzie. Wśród nich był też adres pewnej młodej damy, która – jak się potem okazało – odegrała w mojej historii decydującą rolę. I jeszcze pewnie odegra.

– Jak to? O co chodzi? – spytał zdziwiony entomolog.

– Chciałem przez to powiedzieć, że wkrótce zostanie moją żoną.

Mężczyzna-jajo z rykiem mu pogratulował. Przez chwilę wszyscy się cieszyliśmy, a potem naukowiec ciągnął dalej:

– Okazało się, że moje przeczucie było słuszne. Na granicy poddano nas tak ostrej kontroli, że rozkręcono nawet kije narciarskie, a kilka osób poproszono na tak zwaną szczegółową kontrolę osobistą. Pozwólcie, że ze względu na obecność dam nie będę wyjaśniał, co to znaczy. Jedną parę małżeńską zawrócili po takiej kontroli do Pragi. Usiłowali przemycić rodzinną fotografię w pozłacanej zabytkowej ramie, na którą nie mieli papierów. Możecie sobie wyobrazić, do jakich scen doszło.

– Obedrzeć ze skóry na żywca! I to jeszcze mało! – ryknął człowiek-jajo.

– Mnie też pieczołowicie przejrzeni notes, ale nie znaleźli nic podejrzanego. I tak oto znalazłem się po drugiej stronie granicznej bariery. Tam już czekały dzieci tych dwojga nieuczciwych rodziców. Przyjechały po nich aż z Ekwadoru.

– Wyciąć jaja, usmażyć i kazać im zeżreć! – wrzasnął mężczyzna-jajo, nie zwracając uwagi na obecność dam. Żona entomologa smutno pokiwiała głową, a doktor Toth pełnym dystynkcji gestem upijał kawę.

– I stamtąd pojechał pan do Anglii, tak? – spytała gospodyni.

– Nie od razu – odparł doktor. – Dotarłem do Alp, do tego ośrodka narciarskiego, i zatelefonowałem do narzeczonej, żeby do mnie przyjechała. Po prostu było mi żal tracić dwa tygodnie tak wspaniałego urlopu. Vilma rzeczywiście przyjechała i spędziliśmy, jeśli tak można powiedzieć, coś w rodzaju podróży przedślubnej...

– I tylko pan jeden? – zatraił mężczyzna-jajo. – A chociaż pan sobie poskakał? Znaczy z tej skoczni narciarskiej?

– Niestety – roześmiał się doktor Toth. – Z trudem opanowałem podstawy sztuki narciarskiej. Za to w rozmowach z Vilmą rozwiązałem całą zagadkę.

– Jaką zagadkę? – spytała pani domu.

– Artykułu w „Rudym Pravie”, który był przyczyną tego wszystkiego – odpowiedział doktor Toth. – Nieprawdziwą wiadomość o mojej ucieczce wysłał do Pragi attaché kulturalny naszej londyńskiej ambasady, niejaki Czechyna. Z pewnością zapytacie dlaczego. Otóż z klasycznego powodu. Był o mnie zazdrosny. Sam próbował zdobyć Vilmę, ale bezskutecznie. Chciał więc przynajmniej i mnie pokrzyżować szyki.

– Ale jak to sobie wyobrażał? – zdziwił się profesor Abraham. – Przecież wiedział, że wiadomość jest fałszywa...

Doktor Toth pokiwał głową:

– On znał swoich kompanów. Doszedł do takiego samego wniosku jak ja. Moje istnienie w Pradze będzie w sprzeczności z twierdzeniem „Rudego Prava” i ten pocziwina uznał, że Partia, zamiast sprostować błąd, postara się raczej zmienić rzeczywistość. Krótko mówiąc, sądził, że mnie po prostu załatwią, albo przynajmniej wsadzą za kratki.

Milczymy wszyscy w osłupieniu, wreszcie jako pierwsza odzywa się pani Abrahamova:

– A jak pan się o tym dowiedział? Przecież chyba ten pan Czechyna nie zwierzył się pannie Vilmie... z powodu wyrzutów sumienia...

Doktor Toth kręci przecząco głową:

– Czysta dedukcja na podstawie faktów, łaskawa pani. Fakt numer jeden: Czechyna kochał się w Vilmie, a ona go odtrąciła. Fakt numer dwa: jak tylko ukazał się wstępniak w „Rudym Pravie”, Czechyna poprosił o azyl polityczny w Anglii. Fakt numer trzy: Sedlaczek z bezpieki powiedział mi, że wiadomość o mojej ucieczce przyszła z ambasady londyńskiej. Dedukcja: informację wysłał Czechyna, aby mnie zniszczyć, a sam ratował się ucieczką na emigrację.

Całe towarzystwo znów zaniemówiło, ogłuszone wspaniałym przykładem leninowskiego stylu myślenia.

Potem znów wybucha mężczyzna-jajo i z mocą kilkuset decybeli przeklina bolszewizm ogólnie i w szczególności. W końcu zabiera się za rodaków, którzy za pośrednictwem Tuzeksu wysyłają pieniądze do bolszewickiej ojczyzny. Pani domu bierze w obronę wspomniany bank, bo właśnie w ten sposób wysłała pieniądze na jakieś szwajcarskie lekarstwo dla chorej córki swej siostrzenicy. Mężczyzna-jajo oświadcza, że wolałby raczej, żeby umarła jego matka, niż miałby wysłać choćby jednego centa do bolszewickiej kasy. Entomolog stara się zmienić temat, zaczyna więc opowiadać o nowo budowanym ośrodku kultury, na który zbierano pieniądze przez dwadzieścia lat, aż w końcu budowa mogła ruszyć dzięki szczodrości fabrykanta Levene'a z Vancouver. Nie powinien jednak wymieniać tego nazwiska, bo mężczyzna-jajo ryczy:

– To też niezła świnią!

– Za pozwoleniem! – oburza się gospodyni. – Przecież to taki patriota! Taki mecenas!

Szybko spoglądam na pana Pohorskiego, który siedzi między mną a doktorem Tothem i który powinien jako pierwszy stanąć w obronie naczelnego dowódcy wojsk. O dziwo nie robi tego, tylko nerwowo kręci się na krześle. Mężczyzna-jajo zmienia się w piorun kuli sty i nie daje się uciszyć:

– Przecież on w swojej fabryce produkuje urządzenia do atomowych łodzi podwodnych, które w Ameryce sklasyfikowane są jako top sekret, i wysyła je do Związku Sowieckiego! To jest łajdus, który domami kultury chce złagodzić wyrzuty sumienia! Zaprzedany szczur! Szmata jedna! U mnie ma przerypane, choćby nawet ugotował cały Ocean Atlantycki flaków dla wszystkich ochronek na świecie! Dla mnie to jest bandyta, łachudra i zdrajca!

Słucham tego nadprzyrodzonego głosu i podziwiam naturę, która obdarzyła go taką mocą. Profesor Abraham próbuje brać w obronę Levene'a. Mówi, że części do rosyjskich łodzi podwodnych eksportowane są na podstawie kanadyjsko-rosyjskiej wymiany handlowej, ale mężczyzna-jajo niecierpliwie mu przerywa. Do rozmowy usiłuje się jeszcze włączyć jakiś starszy pan, który tłumaczy, że gdyby Levene odrzucił takie zamówienia rządowe, musiałby pewnie zamknąć fabrykę, a zatrudnia w niej prawie wyłącznie naszych ludzi, więc rodacy straciliby pracę. Ale mężczyzna-jajo nie jest materialistą i zagłusza te przyziemne argumenty. W końcu słyhać już tylko jego bawoli ryk, prawdziwy cud natury. Dom drży, a my kulimy się na krzesłach, bo niepokojąco zaczyna nam dzwonić w uszach.

Spoglądam na pana Pohorskiego. Zbladł, zszarzał, siedzi w kałuży rozlanej kawy i drżą mu nogi. Robi mi się go żal. Biedny pan Pohorsky. Mężczyzna-jajo w swym olimpijskim gniewie zniszczył mu kolejny patriotyczny sen, rozbił go na drobne kawałki.

* * *

Cześć pracy, Danielu Josipowiczu!

No więc byłem pierwszy raz w kraju, gdzie jutro znaczy wczoraj. Jest tam pięknie, ludzie naprawdę szczęśliwi i syci. Wszędzie porządek i entuzjizm, a zwłaszcza czystość. Co prawda czasem aż do przesady. Wyobraź sobie choćby to, że na przykład w toaletach publicznych zabronione jest wrzucanie do środka zużytych papierów, żeby się nie pobrudziły (te toalety). Na zużyty papier jest w każdej toalecie kosz i jednocześnie przeciw zemdleniu jest obok tego kosza automat, do którego wrzucasz kopiejkę i wydmuchuje ci prosto w nos wonne duchy Moskwy, więc nie zemdlejesz. Co za genialna idea! Kurcundgut, jak mawiał pan Kleinenherr: jest tu tak doskonale, że już chyba bardziej nie da się udoskonalić, dlatego jest strasznie nudno.

Z powodu tej nudy chyba byśmy się tu wzajemnie pozagryzali, gdyby nie jedna czeska artystka, która o sobie mówi, że jest twoją byłą przyjaciółką, ale może to o sobie mówić chyba każda kobieta z teatru, łącznie z krawcowymi. Ta właśnie artystka ujawniła wprost niezwykły talent popadania w kłopoty, chociaż w tym doskonałym kraju coś takiego stanowi właściwie nieznanne pojęcie. Tutaj wszyscy są dla siebie tacy mili, że nikomu nic się nie może stać. Po tej ostatniej aferze wysłali ją jednak ciupasem do Pragi. Na wypadek, gdyby mówiła prawdę i rzeczywiście była twoją przyjaciółką, to była to niejaka Jana Honzlova; żebyś nie pomylił jej z innymi.

Związek Radziecki powitał nas wspnianym przeżyciem, rodem niczym z klasyków (literatury rosyjskiej, a nie marksizmu-leninizmu). W drodze pociągiem do Moskwy zatrzymał się nasz teatrzyk gościnnie w miasteczku Głogock w guberni moskiewskiej i w sobotnie popołudnie moja żona Janka doszła do wniosku, że skończył jej się szampon, a na wieczornej premierze musi być naszamponowana. Więc ruszyłem do Głogocka po szampon. Kaprys urbanisty sprawił, że nasz hotel stał w szczerym polu, ze dwie wiorsty od najbliższych przedmieść Głogocka. Idę więc sobie przez to pole i mniej więcej w połowie drogi napotykam jakiegoś towarzysza, który – jak widać z daleka – nie miał już kopiejki na te duchy Moskwy. Ale nie zemdlałem, bo miałem jeszcze z samolotu, w aluminiowej torebeczce, szmatkę umoczoną w wodzie kolońskiej. Więc kiedy dotarłem już w pobliże tego towarzysza, obszedłem go szerokim łukiem i pytam go swoją perfekcyjną ruszczyzną: Kuda do Guma? Towarzysz wskazał tylko palcem za siebie i mruknął: – Sleduj muzykow!, co wytłumaczyłem sobie tylko tak, że ze wszystkich stron do miejscowego Gumu podążać będą zastępy towarzyszy. Aliści gdy tak idę i idę, to na jakieś dwadzieścia metrów przed pierwszymi zabudowaniami przedmieścia widzę nagle leżącego na ziemi muzyka w welonkach. Podeszedłem do niego spietrany, bo wyglądał na truposza. Ale jak się nad nim pochy-

liłem, zobaczyłem, że tylko śpi. Był przyssany do pustej butelki po wódce. Postąłem nad nim, bo wyglądał tak ślicznie, rosyjsko, jak niemowlę, które zasypia z piersią matki w ustach. Oczywiście piersi nie miał. Gdyby miał, i to w miejscu publicznym, byłaby to obraza moralności. Musiałem go, choć niechętnie, bo wyglądał tak uroczo, uznać za relikwiarz przeszłości. Wyglądał najwyżej na osiemnaście lat, więc przeszłości nie znał. W tej sytuacji był to tym bardziej wyjątkowy przypadek, że tu już dawno rozprawiono się z alkoholizmem. No to idę dalej. Po chwili spotykam następnego muzyka; wygląda, że również zasnął, i to na siedząco. Siedział oparty o latarnię, a obok w rynsztoku znów butelka po wódce. Rozglądam się. Następny leży kawałek dalej, na schodkach domu, z którego właśnie wychodzi babuszka. Nadeptuje mu przy tym na pierś, muzyk robi „buuaa”, babuszka podskakuje przerażona, drugą nogę stawia na pustej butelce po wódce, pada, wali się głową o schody i już leży obok niego. Tymczasem z domu wychodzi towarzysz z psem-przewodnikiem niewidomych i ładuje się na nich. Idę dalej, a wszędzie muzyki, mniej więcej w dwudziestometrowych odstępach, każdy z pustą butelką przy sobie albo w ustach i wszyscy jak jeden muzyk śpią. To jest dyscyplina! Tak mnie to zainteresowało, że postanowiłem olać szampon Janki. Co tam! I tak kobita ma ładne, rude włosy, więc na co jej szampon? Tak pomyślałem i zamiast do Gumu ruszyłem aleją muzyków, zastanawiając się, czy to przypadkiem nie są jakieś zawody, bieg sztafetowy z wódką czy co. Albo czy przypadkiem nie zmarło się przewodniczącemu głogockiej organizacji partyjnej i czy oni nie piją z żalu? No a ponieważ w Związku Radzieckim wszystko jest ogromne i gigantyczne, więc ten szpaler śpiących ciągnął się dalej ulicami następne trzy wiorsty. Wszyscy leżący na ziemi, wszyscy przyssani do butelek lub z butelkami u boku. Wreszcie zobaczyłem jednego, który jeszcze nie leżał, a dopiero się kładł, przyssany do butelki. Dalej już zacząłem spotykać towarzyszy jeszcze przytomnych: bełkotali, ale

w sposób zdyscyplinowany, w regularnych odstępach, każdy z głową odchyloną do tyłu, przypięty do flaszki. Im dalej szedłem, tym poziom wódki w butelkach podnosił się coraz wyżej i wyżej, więc logicznie wywnioskowałem, że zbliżam się do wódopoju. Tak mnie wciągnęło studium owej szczególnej strony radzieckiego życia, że zamyśliłem się i wpadłem na muzyka, który właśnie wyciągał zębami szpunt z pełniutkiej flachy. Patrzę na drzwi, z których wyszedł, a nad nimi wisi wielki neonowy napis UM. G im się nie świeciło.

Dopiero w tym momencie zrozumiałem słowa tego towarzysza, który nie miał na duchy i na wódkę też chyba nie: – Sleduj muzyków!

Cóż za mądry i świadomy naród!

Wchodzę do środka UM-u po ten szampon i widzę wielki okrągły kontuar, a wewnątrz niego dwie towarzyszki. Stoją po pas w rublach, tymczasem z głębi UM-u wyłania się ku nim zdyscyplinowany rząd muzyków: każdy w ręku odliczone trzy ruble, a jak podchodzi do lady, to jedna towarzyszka odbiera od niego forszę i rzuca pod siebie, druga zaś daje mu flaszeczkę, on tymczasem chwytą szpunt w zęby. I już do lady podchodzi następny, wręcza towarzyszce trzy ruble itd., a wszystko w absolutnym porządku i ciszy, bez żadnego chamstwa.

Cóż za szczęśliwy i zdyscyplinowany naród!

No ale chciałem ci właściwie napisać o tej Honzlovej, tylko że tak mi jakoś myśli się kłębią po tych niezapomnianych wrażeniach, zwłaszcza zaś po obejrzeniu doskonale zachowanego towarzysza Lenina. Tam też stoi kolejka, ale ci, co wchodzi, przeważnie zostają przytomni. Więc ta Honzlova opowiadała mi jeszcze o jednej ciekawej kolejce i odniosłem takie wrażenie, człowieku, że jest to po prostu jakaś cecha charakterystyczna społeczeństwa socjalistycznego, tak jak charakterystyczną cechą kapitalistycznego społeczeństwa zachodniego są nieludzkie autostrady pełne samochodów.

No więc Honzlova, żeby sobie dorobić, wzięła jeszcze z dwiema koleżankami – artystkami chaturę w Rydze. To jest

na Łotwie czy gdzieś tam. Pojechały śpiewać na takiej ichniej Nocy Walpurgii. Uroczystość ta ma wprawdzie wiele cech dawnej ciemnoty – dzień letniego przesilenia dnia z nocą – ale jednocześnie ma charakter ludowy, co tę ciemnotę równoważy i z punktu widzenia ideologii rzecz jest dopuszczalna. Tam właśnie Honzlova przeżyła szczególną przygodę. Opowiadała mi: człowieku, zjechała się na to chyba cała Ryga i okoliczne gubernie. Nad brzegiem Morza Bałtyckiego mają tam amfiteatr; z jednej strony otaczają go sosny, które umacniają wydmy piasku nad brzegiem, jak również stanowią granicę amfiteatru. Rosną jednak dosyć rzadko, co jak się później okazało, miało funkcjonalne konsekwencje ideologiczne. Oczywiście Honzlova nie jest taka mądra, to słowo „funkcjonalne” podłapała od jednego architekta, z którym miała znajomość, ale go załatwili właśnie za formalistyczny funkcjonalizm, bo w głowie Stalina na froncie budynku partii komunistycznej, który projektował dla Hradca Králové, chciał umieścić archiwum materiałów kadrowych. Skutkiem tego miała być nagana, ale jeden towarzysz słusznie zinterpretował to nie w sposób funkcjonalny, lecz symboliczny, więc architekta zdemaskowali i wlepili mu dziesięć lat. To drugie słowo, „ideologiczne”, podłapała z powietrza. No, więc śpiewaliśmy w tym amfiteatrze, opowiadała dziewczyna, ale nasz śpiew, chociaż nagłośniony, gubił się w śpiewie Łotyszy na widowni. Oni śpiewali, bo na specjalnie przygotowanych wózkach przywieźli ze sobą długie kadzie, które wyglądały na gnojówkę, ale w środku mieli piwo, dość straszne, jak twierdziła Honzlova, za to było go dużo i do tego zagryzali jeszcze lepszym, specjalnym łotewskim serem. Grzali tak i grzali to piwo pod nocnym niebem, jasnym jak za kołem podbiegunowym; tysiące, a może i miliony (o ile ich tyłu jest) Łotyszy i Łotyszek, wśród nich te wozy z kadziami, przy każdym kobyła udekorowana wstążeczkami i zielonymi gałązkami. Kobyłom wyraźnie smakowały te liście, zżerały jedna drugiej, ale Łotysze, jak już ich ten straszny płyn rozmoczył na mięk-

ko, stale skądś przynosili nowe gałązki z zielonymi listkami. Na estradzie tymczasem zmieniały się zespoły, wprowadzicie wszystkie profesjonalne, ale niektóre już tak stare, że do tańczenia kozaka mieli takie niskie stołeczki na kółkach i chłopcy, siedząc na nich, fikalili nogami, zapewne zartretyzowanymi, opowiadała nasza artystka (to słowo z kolei wzięta od jednego medyka, który, jak go puściła w trąbę, zgłosił się ochotniczo do Korei i tam się zaraził, ale nie żadnym z niegroźnych – ideologicznie – pasożytów, tylko jedną bardzo brzydką i w dodatku kosmopolityczną chorobą, bo chyba zbyt intensywnie starał się zapomnieć o Honzlovej). No i wyobraź sobie, opowiadała dziewczyna, nagle coś mi to wszystko zaczęło wyglądać dziwnie. Tak jakby czegoś istotnego brakowało. Rozglądałam się, ale wszystko tu jest. Profesjonalne zespoły ludowe, masowy udział, naród po ciężkiej pracy zasłużenie chleje, piękne ludowe dekoracje ze wstążek i zielonych gałązek na kobyłach, wstążeczki powiewają w nocnym wiaterku, a mnie stale coś tu nie gra, tak jak gdybyś w marksizmie pominął towarzysza Stalina (jak to mówiła, to oni w Moskwie dopiero obradowali i towarzysz Stalin jeszcze nie był ujawniony). A potem nagle: no jasne! Wiedziałam! Gdzie są towarzysze z sekretariatu Partii, że tego nie dopilnowali? Z tego trzeba będzie wyciągnąć konsekwencje! Właściwe! Taka prowokacja! (Strasznie się wściekła, jakby to jej osobiście dotyczyło). Ikony! Nie było tam nigdzie ikon wodzów! Takie niedopatrzenie? Czy też czyjeś złe zamiary? Ruszyłam na poszukiwania, bo nie mogłam uwierzyć, że taki naród: łotewski, ludowy, folklorystyczny, nie kocha swoich rosyjskich reprezentantów i nie otacza ich szacunkiem, który im się słusznie należy. Obeszłam więc cały amfiteatr, wyszłam pomiędzy sosnami na zewnątrz, po wschodniej stronie, i tam dopiero odetchnęłam.

Za sosnami rozpościerała się zielona łąka, rozległa, pusta i w tej białej łotewskiej nocy łatwa do kontroli, a na jej końcu, mniej więcej dwieście metrów od amfiteatru, wznosiła

się ogromna, przeogromna tablica plakatowa, jak oczy tego zbankrutowanego okulisty nad Doliną Popiołów w „Wielkim Gatsbym” (to z kolei panienka podłapała od jednego tłumacza literatury amerykańskiej, który potem, zamiast trzymać się swego koryta, kretyn jeden, z powodu chorobliwych i antyspołecznych ambicji napisał swoją własną powieść i musiał ze względu na osobiste bezpieczeństwo emigrować aż na Borneo, bo ta powieść wzbudziła takie zainteresowanie). No ale, opowiadała dalej, nie miało to oczu. Była to sylwetka – czarna na krwawoczerwonym tle – towarzysz Lenin klasy deluks, z czapką wznoszącą się mu, również z profilu, nad głową. Wyglądało to jak te czarne wycinane obrazki, które kiedyś na jarmarku przyklejaliśmy na białym papierze dla całej rodziny, tylko miało to nieporównanie wspanialsze rozmiary. Tak mnie to oślepiło, mówiła Honzlova, że musiałam zamknąć oczy, a mimo to nadal widziałam towarzysza Lenina – biała sylwetka na czarnym tle – a ponieważ nie chciał zniknąć, więc znów otworzyłam oczy i patrzę, a tu przez tę ogromną łukę wali niekończąca się kolejka Łotyszy do lewego rogu sylwetki, a od prawego rogu wychodzi szereg wracających na zabawę. Pomyślałam sobie, że chodzą mu tam składać hołd, jak do mauzoleum w Moskwie, i tak mnie to chwyciło za serce, że stanęłam na końcu kolejki, żeby mu też oddać hołd. Szliśmy powoli do przodu. Zauważyłam, że Łotysze patrzą na mnie jakoś dziwnie, ale wytłumaczyłam sobie, że w świetle nocy polarnej mogę wyglądać jak miss piękności, powiedziała skromnie (bo ona jest całkiem niezła sztuka, nawet w świetle T-Clubu, gdzie się z nią spotykam, żeby o tym nie wiedziała Janka). No ale potem zauważyłam, że w obydwu kolejkach, jak tylko daleko sięgał mój wzrok, byłam jedyną kobitą, co pod względem ideologicznym było dość dziwne, ponieważ towarzyszkami są zazwyczaj bardziej zapalone niż towarzysze, Jeden Łotysz za mną coś nawet powiedział, ale po łotewsku, czego ja nie rozumiałam, więc mu odpowiedziałam po rosyjsku, a tego pewnie on nie zrozumiał,

bo ucichł i więcej już się do mnie nikt nie odezwał. Słuchaj, Klegr, ciągnęła dalej Honzlova (ona tak do mnie mówi, nie wiem dlaczego), jak już wreszcie dotarłam do rogu sylwetki, to miałam nadzieję, że zobaczę, jak z drugiej strony wychodzą Łotysze z obnażoną głową. O, takiego! To, co zobaczyłam po drugiej stronie, tylko ci opiszę, bo jestem jeszcze damą i chociaż piosenkarką, to jednak dobrze wychowaną. Łotysze nie obnażali tam głowy, lecz zupełnie inną część ciała, specyficznie męską (to z kolei wzięta od jednego filozofa, który tak długo tłumaczył jej metafizyczne prawdy życia, aż ją to znudziło), a po co to robili, tego ci też nie powiem wprost, bo mam nadzieję, że się domyślisz. Po prostu te sosny rosły zbyt rzadko i nie można się było za nimi schować, a piwa było strasznie dużo. Z tego widzisz, jaka Honzlova jest skromna dama i jak ci łotewscy architekci wzięli sobie do serca hasło, że każdy jest gospodarzem w swym miejscu pracy. Oni tam nie zbudowali toalet publicznych, bo z góry uznali, że do tego celu równie dobrze może służyć ta płaszczyna z towarzyszem Leninem, więc wykorzystali ją w sposób funkcjonalny i jednocześnie ideologiczny, a na dodatek państwu oszczędzili kosztów. Aha, a na Honzlovą nie patrzyli się tak dziwnie z powodu jej kobiecej urody, choć pewnie też, ale przede wszystkim dlatego, że dla towarzyszek mieli tam sylwetkę towarzysza Stalina po zachodniej stronie amfiteatru, za sosnami.

Cóż za oszczędny, funkcjonalny naród!

A jak już jestem przy tej naszej interesującej paniencie, to muszę ci powiedzieć, że nam się tu, biedaczka, zakochała. Załapał się na nią pewien rzeczywiście świeeetny facet (jak się wyraziła moja żona Janka), coś pośredniego między Jesieninem a towarzyszem Chruszczowem, tak że przy nim całkowicie ginął jej dziewczęcy urok, choć jest to taka seksbomba, że kiedy na nią spojrzę, to muszę potem przez godzinę znośić wyrzuty Janki, ponieważ nie potrafię na nią patrzeć bez grzesznej żądzdy w oku. A na dodatek był to szlachcic! Arcy-

książę! Oczywiście w ZSRR nie uznają mu tego tytułu, ale zgodnie z prawem dziedziczenia mu się należy i jestem niemal zupełnie pewny, że ta Honzlova przykleiła się do niego z powodu tego tytułu, bo na męską urodę ona wcale nie zwraca uwagi. Na mnie na przykład nawet nie spojrzę.

Chodziła dziewczyna jak we śnie i gdzie tylko chodziła, tam opowiadała, że ten arcyksiążę tak bardzo ją kocha, że jest dla niej gotów skorzystać z równouprawnienia płci i wyjechać z nią ze Związku Radzieckiego do Pragi! Wyobraź to sobie, opuścić ZSRR! Taka miłość!!!

Zupełnie niewyobrazalna.

Ale biedaczka miała z nim kłopoty. Najpierw spisał ją milicjonier, kiedy próbowała sprzedać na bazarze swoją bieliznę, żeby kupić arcyksięciu futro z bobrów w GUM-ie. Wtedy dostała pierwsze ostrzeżenie. Potem zgodnie z prawem dieżurnaja otworzyła o drugiej w nocy jej pokój i znalazła ją w łóżku z arcyksięciem, chociaż jej (dieżurnej) wcześniej tego nie zgłosiła. Taka Sodoma i Gomora! Przyszło drugie ostrzeżenie. No a na domiar złego, jak się malowała na randkę z arcyksięciem, spadła jej pincetka do rzes do klozetu! Włożyła tam rękę i natknęła się na coś twardego. Chciała to wyciągnąć, ale było dobrze przymocowane, więc się zaparła i urwała. No i nie zgadłbyś, co to było!

No?

Mikrofon.

Po co tam był, tego nie wiem, ale jak znam doskonałość radzieckiej techniki, to z pewnością nie był przypadkowo. Jana twierdzi, że z powodu gości. Że są podłączone do gabinetu lekarza hotelowego, żeby od razu wiedział, do którego pokoju posyłać rycynę, a do którego węgiel.

Oczywiście, co za dużo, to niezdrowo. Przyleciała zaraz dieżurnaja, Honzlovą zamiast na randkę doprowadzili na KGB (to jest biuro podróży, które organizuje głównie wycieczki pod hasłem „Poznaj piękno Syberii”), a stamtąd odesłali ją natychmiast do Pragi z powodu lekkomyślnego niszczenia

hotelowych urzędzeń, stanowiących własność ludu pracującego. Dobrze jej tak! Czy musi się od razu za wszystko łapać, baba jedna napalona!

Arcyksiążę został w Moskwie, ale zaledwie Honzlovą wyłali, znów się zakochał, tym razem w Troniczkovej, perukarce. To jest ta, co ma lewą nogę krótszą, ale za to prawe ramię wyżej. Z nią też jest skłonny wyjechać do Pragi. No, wyobraź to sobie! Tylko sobie wyobraź! Wyjechać ze Związku Radzieckiego!!!

Obawiam się, że Honzlovej złamie to serce, jak ich zobaczy w Pradze. Powinieneś zrobić dobry uczynek i jakoś ją pocieszyć. Albo, jeśli obecnie masz roboty w nadmiarze, to mógłbyś jakoś sprytnie ją podestać, tylko tak, żeby się Janka o tym nie dowiedziała. Ja jako stary kumpel mógłbym ci ewentualnie coś popchnąć w tej sprawie.

Ostatniego dnia wieczorem odbyło się przyjęcie, w czasie którego artysta narodowy Obrazcow tak się zaprawił, że wpadł głową w kawior i o mało się nie udusił. Na szczęście tego kawioru jeszcze trochę zostało, więc w nocy dostałem ostrego przeciwieństwa zaparcia. Ale chociaż długo siedziałem na klozecie, to jednak hotelowy lekarz nie przystał mi żadnego węgla. Więc nie wiem. Rano lecieliśmy do Pragi i cały lot dosłownie przesrałem, dlatego poznałem tylko znikomą część wyposażenia TU.

Na tym kończę i zachęcam cię: Jedź do Związku Radzieckiego!

Ja drugiej takiej strony nie znaju i ty też nie!

Twój

Vratislav Czeńkowicz

PS Ten szampon w Głogocku jednak dostałem. Janka ma po nim włosy różowe w niebieskie kropki.

I jeszcze jedno PS

Pytasz się, dlaczego nie wystąpię z tej partii. Otóż częściowo ze strachu i żeby nie stracił chałtur, a częściowo ze szczerego przekonania, że to nasze niedoskonałe społeczeń-

stwo da się ulepszyć, żeby było takie jak radzieckie, tylko za pośrednictwem Partii, więc dlatego w tej partii muszą pozostać tacy ludzie jak ja, którzy nie dadzą się zaślepić i wyraźnie widzą, jak to w Związku Radzieckim jest pięknie, i tak go kochają i szanują, że z powodu tego uwielbienia absolutnie nie pozwoliliby sobie go naśladować.

I jeszcze PS

Teraz już nie wiem, co to miało być.

I jeszcze jedno PS

Aha, pozdrawia cię Mania Dreslerova. Jesteś podobno bydlak, że się nie odzywasz. Mam ci przekazać, że jeśli się boisz, to nie musisz. Franta już się podobno ustatkował i w każdy poniedziałek, środę i piątek od ósmej do jedenastej (nie podobno, ale na pewno, jak twierdzi Mania) chodzi na piwo i na mariasza pod Barana, a Mania jest w domu tylko z córką, którą ewentualnie może posyłać po zakupy do Białej Wsi.

I jeszcze jedno PS, definitywnie ostatnie.

To poprzednie PS napisałem dopiero po tym, gdy Janka (jak to ma w dobrym zwyczaju) ocenzurowała mi ten list pod względem przyzwoitości. Ona by mi nie pozwoliła pisać takich bezeceństw.

PPPPPS (podobno tak się to powinno pisać, podpowiada mi Janka – nie żona, tylko córka; ta jeszcze nie wie, o co chodzi). Mania stale się świetnie trzyma. Chyba to jakaś organiczna wada, bo przecież każdy się jednak starzeje.

PPPPPS

A może Mania jest nieśmiertelna?

* * *

Proszę nam to wyjaśnić!

Zapał już prawie zmierzch. Na horyzoncie nad jeziorem świeci przedziwnie jasny, białozółty i bardzo zimny pasek nieba, jakie można oglądać tylko nad tym dzikim i bezpiecznym kontynentem. Oddziela ciemnoszarą wodę od czarnoszarego obłoku nad nią. Na po-

łudniu już błyska niewidoczne Rochester w amerykańskiej iluminacji.

– To trudne – mówię. – Człowiek nie jest zdolny do zadowolenia. To zapewne jego najlepsza, a więc najbardziej ludzka cecha.

– Ale dlaczego nie walczą? Czy nie z tego powodu, że są zadowoleni? – pokpiwa ze mnie Hakim.

To trudna sprawa, Hakimie. Nie samym chlebem, ale głównie chlebem. Moje przykłady byłyby dla ciebie zbyt subtelne, bo ty wciąż jeszcze tkwisz w czarno-białym świecie. Nie samym chlebem, ale przeważnie chlebem. Straszna, okrutna darwinowska niesprawiedliwość natury, na nowo przyjęta jako zasada funkcjonowania społeczeństwa, boli tylko tych, których dotknie. Boli tylko tych, których boli – i zaledwie paru tych, którzy nie samym chlebem. Ale powiedzieć to Hakimowi? Albo Sugar Schwartz? Jej Koło Studiów Marksistowskich uprawia heglizm, a nie *storytelling*. Spoglądam przez okrągłe okienko w stronę lodowato jasnego horyzontu. Kiedy w nocy zadzwonił telefon... ale ja już od dawna się go nie boję. Już od dawna. Pan pisarz Smirzicky? Tak. Tu mówi Lida Lewis. Mam dla pana pozdrowienia od pana Ptaka. Legitymuje się: ma męża Amerykanina, więc może tu co jakiś czas legalnie przyjeżdżać. To znów sytuacja, której nie zrozumiesz, Sugar. Wyjedziesz sama – jesteś zdrajca. Skurwisz się – nie jesteś. Mówiłem to do siebie ze złością, w tym momencie byłem marksistą. Nie odnosiło się to do wyjątkowej sytuacji Lidy Lewis, ale do ogólnego stanu prawnego. No więc: pani Lewis, co słyhać u Ptaka? Znowu wszystko jest w porządku. Już mają pieniądze. Kotiak też. Tekstów im nawet specjalnie nie cenzurują, wystarczy, że nie są zbyt ponure. Już znowu wszystko dobrze. A co z Martą?, pytam. Z jaką Martą? No, z Martą. A, z Martą! No, ta ma przechlapane, mówi Lida Lewis. Ona już nawet nie może pisać. Czyli znów

jest wszystko w porządku, mówię z niewybaczalną (wybaczalną) złośliwością i odkładałam słuchawkę, uciszam miły praski głosik, obecnie z Santa Monica w Kalifornii. Czy tamtego dnia też siedziała przy pomniku spalonego świętego i przysięgała, że nigdy?... Ale minęło już siedem lat. Obojętność – nasza matka, nasze zbawienie, nasza zguba. Tak, Marta już nawet nie piśnie.

No i dobrze jest.

Więc czy nie wiem? Wiem, Hakimie. Nie jest to takie trudne. To bardzo prosta próbka socjologiczna. Statystyczna większość walczy tylko o większe dawki chleba. Statystyczna mniejszość także o nie-chleba. Obowiązuje to również w społeczeństwie, które do tej pory anachronicznie przetrwało na tym dzikim kontynencie i gdzie prócz nieuleczalnych chorób nie ma już niczego niebezpiecznego. Niczego. Któż by tu się bał prezydenta czy premiera?

W tamtym społeczeństwie?

Przykłady?

Nadchodziły cudowne czasy. Kiedyś w redakcji mówiono o bikiniarzach, chuliganach. Co robić, żeby ich nie było albo żeby nie byli tacy, jacy są? Wychowywać ich? Dać im ich muzykę i dzięki temu sobie ich kupić? (Ja zawsze myślałem, że trzeba ich zostawić takimi, jacy są: to bakterie w jelicie grubym, szczupaki w stawie. Ale cudowne lata dopiero nadchodziły, więc trzymałem to tylko dla siebie). Z tyłu w rogu siedział milczący gość – dramatopisarz Kach. Milczał, a kiedy marksiści doszli już do teorii doktora Strziża, który w domu poprawczym w Dobrzyszu wprowadzał system zaufania, Kach się odezwał: „Ja tak słucham, towarzysze, i nie mogę się nadziwić! Co to za problem? Jaki system zaufania? Tuż przed wojną mieli w Moskwie podobny problem – *stiliagi!* No, to towarzysz Stalin polecił: Zabrać wszystkich i na Syberię! No i było po *stiliagach*”.

Na chwilę marksistom zaparło dech w piersiach, ale zaraz znów zaczęli dyskutować. Nadchodziły cudowne lata. Generalskie rozwiązania już w nich nie budziły zachwyty.

Ale takie są rozwiązania w tamtym społeczeństwie.

Wiesz, kim był Chruma, Sugar? Skąd byś mogła wiedzieć. Niedawno podczas lunchu mówiłaś: „Ale tak czy owak jedno należy Fidelowi przyznać: pozbył się z Kuby mafii. A my nie możemy się jej pozbyć”.

Przykład:

Chruma, nadęty dumą, namówił mnie, żebym ich odwiedził. Chciał mi go pokazać. Zeszliśmy pralnianymi schodami do sutereny, a w kuchni siedział niewielki tatuś, pokasływał, na sobie miał sweter w paski, a nogi w pręgowanych bucikach trzymał oparte na stole, jak Amerykanin. „Właśnie wrócił z mamra! – szepnął z dumą Chruma. – Odsiedział dwudziesty wyrok”. Pan Chruma-senior był kasiarzem z zawodu. Czy raczej z zamiłowania, bo rzemiosło chyba nie było zbyt dochodowe. Rozglądałem się po wilgotnej, pełnej pary kuchni, a w jej rogach na całego plecił się grzyb. Chruma w zbyt dużym garniturze z opieki społecznej Masaryka z szacunkiem wpatrywał się w niewielkiego lamparta, któremu spod zawiniętych nogawek prześwitywała biała skóra. Tak mi utkwił w pamięci. Jego nekrolog? Skończył szybko i gładko, jak twoi kuzyni, Sugar. Tyle że nieopłakiwany przez rabinów, nieumieszczony na listach narodowych męczenników. Gdyby na nich był, prawdziwi patrioci by się obrazili. Sprawna biurokracja tamtej dyktatury wymyśliła mniej znane *Endlösung* i w ciągu jednej nocy kasiarze przestali istnieć. Zniknęli w jakiejś otchłani. W Bergen-Belsen, w Buchenwaldzie, w Dachau... W czasach przed Monachium państwo nie potrafiło się ich pozbyć... aż tu nagle przestępczość przestała istnieć. Było tylko gestapo.

Mają to we krwi. W nerwach. W podświadomości, Hakimie. Dlatego się nie buntują. Zamiast Cyryla i Metodego na szczycie katedry stoją dziś pogańscy bożkowie „Nic Nie Widzę” i „Gęba Na Kłódkę”.

Odrywam wzrok od stalowego nieba nad krainą Chingachgooka.

– Czesi to dziwny naród – odpowiadam Hakimowi.
– Ale nie są naiwni. Są tylko jak katar sienny, likwidowany za pomocą dekondestantu. Jak tylko przestaje się brać pigułki, katar wybucha ze wzmożoną siłą. Tacy są Czesi. Ich druga rewolucja...

– Co pan ma na myśli, mówiąc: druga rewolucja? – pyta Irena, a zmarszczone brwi (z czym jej do twarzy) są oznaką myślenia.

– Ta z sześćdziesiątego ósmego roku – odpowiadam. Hakim znów przybrał wzdorczywy wyraz wszechwiedzącego mędrca. – Czesi to zabawny naród. Niewdzięczny. Kto ich nakarmi chlebem, nie doczeka się podziękowania. Jak tylko zapomną wziąć dekondestant... – *Revolution for the fun of it*. Ale może to sobie tylko wmawiamy? Może druga rewolucja jest tylko kontrrewolucją, a wolność trzeba zastąpić policyjnym porządkiem, który w ludzkiej świadomości z czasem zmieni biurokratyczne zarządzenia w prawa naturalne? Człowiek będzie wolny, bo nie zechce się starać być wolny. Dokona dialektycznego skoku od Engelsa do Epikteta... „Pozwólcie, żeby wszystko się działo, jak wy chcecie, niewolnicy, ale chciejcie, żeby wszystko działo się tak, jak się naprawdę dzieje, a będziecie wolni...” Znów błądzę wzrokiem po tej dzikiej i wolnej przyrodzie wokół jeziora, stalowe niebo nad horyzontem już ozdobiły gwiazdy. Może przywiązanie do wolności to naprawdę tylko atawizm. Także bezkompromisowe upieranie się przy twórczej swobodzie. Może to raczej przejaw małego, a nie wielkiego talentu...

Może wielki talent posiada zdolność epiktetowskiego skoku do królestwa wolności... Myślę o Szekspirze, obojętnym na los Essexów, na okrucieństwa królowej. O Nabal, który teraz w swoim mieście wojewódzkim, z dała od Pragi, przepisuje swą sagę z czerni na biel, z moll na dur, z negatywu na pozytyw – a wszystko z taką samą techniczną brawurą. „On sam jest jak jakiś chomik”, powiedziała Lida Lewis. Na szczęście uznała, że połączenie samo się przerwało, i zadzwoniła znowu; spotkaliśmy się potem w kawiarni Marika. „Doszedł do wniosku, że tkwi w butelce i że próby wydostania się z niej są daremne. Więc zamiast po polu, biega po butelce. I jak na to, że jest w butelce, to biega bardzo pięknie! Niech pan sobie wyobrazi, jak by biegał, gdyby go wypuścili na pole!” To prawda, też tak uważam. Że biegałby bardzo pięknie. „Jeśli im choć raz skłamię, nie będą go już szanować”. Jak wszystkie bonmoty, jest to też jedynie półprawda. A może obowiązuje tylko na tym, dzikim kontynencie? „Pisarz to ten, który pisze”. Nie ten, który milczy. Czy to bonmot dla tamtego kontynentu? Czy nie ma czytelników, którzy głosują byle jak, byle gdzie i na rzecz czegokolwiek? No i dobrze jest. Czy jest jakiś porcelanowy filtr, który z książki napisanej w butelce automatycznie odfiltruje wszystko to, czego nie powinno w niej być? Który bezpiecznie oddzieli wino dla czytelników od wina dla bogów? Wielkość talentu nie jest wprost proporcjonalna do głośnego wołania o wolność. Szekspir milczał wobec święństw swoich czasów. Ale jest też Kafka i jego Milena, która napisała: „Musiał umrzeć, ponieważ nie potrafił zawierać kompromisów i jak inni uciekać się do intelektualnych oszustw...” Ale to tylko hipoteza Mileny. Kafka zmarł, ponieważ miał gruźlicę. Nie uciekł się do intelektualnych oszustw, bo nigdy nie był w butelce. Budzę się ze swojego strumienia świadomości. Gdzie

ja byłem?... – tak więc człowiek będzie wolny, bo nie zechce się starać być wolny. Będzie wolny jak płaz, który nie próbuje latać, tylko czołga się w pyle i brudzie...

– *But sir!*

Miły, zwiskaczowany głosik Wendy. Zgłasza się na jachcie do odpowiedzi, jak na uczelni.

– *Yes?*

– *Birds DID develop from LIZARDS* – wykrzykuje Wendy. – *I take Science 203: Introduction to Paleontology* – z trudem wymawia ostatnie słowo. – Istniała jeszcze taka jaszczurka... *orbito... something...*

– *Ornithosuchus!* – niespodziewanie pomaga jej Bellissimo. Chyba też uczy się na Nauki Przyrodnicze 203.

– Właśnie! *Orbito... something*. One skakały z gałęzi na gałąź, aż im wyrosły pióra na tyłku. – W ten sposób Wendy przyjęła jedną z wielkich formuł nauki – I stała się pierwszym ptakiem... – Z ufnością odwróciła się w stronę Bellissima, a on jej nie sprawił zawodu:

– *Archeopteryx!*

Pewnie świeżo się wykuł na jakiś test.

Ach, Wendy! Już nie pierwszy raz odczuwam wdzięczność dla małej *Irish girl*. Może właśnie wtedy, w tamtych czasach, zaczęły nam wyrastać pióra na tyłku...

Jest już późno. Wiatr ustał. Jacht Svenssonów przestał się rzucać, tylko lekko kiwa się z boku na bok i cicho sunie w stronę mola. Jest ciemno, jedynie w dali jaśnieją ogromne ule dauntaunu, jak luksusowe latarnie morskie dzikiej cywilizacji. Kapitan bezpiecznie cumuje, żegnamy się. Bellissimo z Vicky ruszają w stronę tego lśniącego akwarium, znika też Wendy u boku Hakima.

– *Good night, Miss Svensson* – mówi wynajęty marynarz i przechodzi obok nas.

My powoli idziemy w stronę parkingu. Za rogiem Irena staje.

– *Let's wait till he can't see us.*

Czekamy. Irena w lśniącym kożuszk z lamówką z bobrów, narzuconym na marynarski kostium.

– Ty chcesz wracać?

– Ty nie chcesz?

Najwyraźniej mówi już do mnie per ty, choć w angielskim czegoś takiego nie ma. Sytuacja jest znów jak z hollywoodzkiego filmu. Spełnia się sen starego profesora. No i dobrze jest! Kiedy jest już na to za późno, spełniają się niemal wszystkie marzenia.

Jacht huśta się delikatnie, zachęcająco, i tępo uderza burtą o molo. Brzmi to jak tam-tam, jak akustyczny efekt z dobrze obmyślonego scenariusza. Maszt kiwa się jak odwrócone wahadło, jak wskazówka, wybierająca spośród gwiazd... którą? Oczywiście tę najpiękniejszą...

– *I do* – mówię do Ireny Svensson.

A ona otwiera drzwi do kajuty.

* * *

Straszliwy ryk z głośników we wszystkich zakamarkach knajpy. Nawet w najdalszym kącie, gdzie się schowaliśmy przed niemieckimi decybelami, które produkuje Huczel i jego czeska kapela, wbita w plastikowe portki, przyozdobiona tyrolskimi kapelusikami. Huczel nawet śpiewa i jak wielu muzyków, jest w stanie doskonale imitować dowolny język, choć żadnego się porządnie nie nauczył. Śpiewa lepiej, niż potrafiliby wszyscy zgromadzeni wokół Bawarczycy, którzy machają podwójnymi kuflami do rytmu.

Vor der Kaserne, vor dem grossen Tor...

Bawarczycy ze szczęścia ronią łyzy do piwa, a kilku nawet, byczymi głosami, usiłuje się przyłączyć. Wspomnienia z dawnych lat...

...stand eine Laterne, und steht sie noch davor.

So woll'n wir uns da wiedersehn...

Tę panią z podwójnym kuflem już na pewno gdzieś widziałem. Macha i śpiewa; potężna, choć nie gruba – potężna Niemka w zielonym bawarskim kostiumiku z lamówkami i w tyrolskim kapelusiku na rudawych włosach. Macha kuflem i śpiewa:

...*bei der Laterne woll'n wir steh'n...*

Piosenka ją porywa, wznosi, usuwa zbędne kilogramy. Nagle staje się z niej pulchna, apetyczna niemiecka *Mädl*. *Mädl* w mundurze Bund Deutscher *Mädel*...

Wie einst...

– *Entschuldigung... sind Sie nicht Ilse Selinger? Aus Kosteletz?*

Wyblakłe niemieckie oczka zaczynają mnie świdrować, a potem widzę, jak zagłębiają się w dżungli czasu, dalej i dalej...

– Jezus Maria! Matko Boska, ty jesteś Smirzicky! Saksofonista Smirzicky!

-- *Ego sum – mówię – et amavi te, puella...*

– *Halt's Maul, du...* – kostki mojej prawej dłoni są chyba zmiażdżone. Może to kara za to kłamstwo. Chyba je naprawdę naruszyła. A przecież była to tylko *pia fraus*.

– *Na ja* – wzdycha później Ilse Selinger, z męża Schröder. – Jego to pamiętam. *Sehr gut*. Przyjeżdżała do niego jakaś *Frau General von Kater*, która miała męża na froncie. Niezła dziwka. Ciekawe, co się z nią stało?

Oczywiście wspominamy ludzi z tego zakończonego rozdziału historii ludzkości, którego byliśmy świadkami. Jak to skończymy, każde opowie swoje *life story*. Wydaje się, że naprawdę kocham potężną Ilse, chociaż sądzę, że kiedy w tamtym rozdziale szkoliła mnie w przedziale pociągu do Jaromierza, to szczerze jej nienawidziłem.

– Nie wiem, czy to istotnie była taka dziwka – oponuję. – Kursowała między Paryżem, Berlinem czy Wiedniem, dokąd tylko jej się zachciało. Mam wrażenie, że była łączniczka Uippelta. A Uippelt był szpiegiem.

Ilse otwiera usta ze zdumienia.

– Uippelt? Przecież on był taki *echt deutsch!*

– Z pewnego punktu widzenia to był zdrajca – mówię na próbę. Oczka nad obfitymi policzkami patrzą na mnie równie badawczo.

– Powiedz od razu, że z mojego.

– A nie?

– Z mego ówczesnego punktu widzenia, tak.

– A z dzisiejszego?

– *Schau mal hier* – odpowiada Ilse, milknie, wsłuchuje się w głos Huczela wydobywający się z przesterowanych głośników i unosi pulchny palec, jakby mi chciała zwrócić uwagę na piosenkę. Ach tak. Rozumiem. To dziwna sprawa, że w moim życiu piosenki tyle razy odpowiadały na wielkie życiowe pytania. Chyba częściej niż książki, niż mądrzy ludzie. Croonerowska mądrość odpowiada w imieniu Ilse:

Es geht alles vorüber,

es geht alles vorbei...

Toronckie umpapa to koncentrat nostalgii.

– Pamiętasz, jak wtedy jechaliśmy pociągiem do Jaromierza? – pytam tonem odpowiednim do tego nastroju.

– *Na ja* – przytakuje Ilse. – Ty się wtedy musiałeś we mnie kochać, *was?*

– Kochałem się – potwierdzam. – Ale też się bałem.

– Nie musiałeś – Ilse kładzie dłoń na mojej ręce. – Ja wtedy byłam *ein Ideologe*, to prawda. Ale nie byłam donosicielką.

– Tylko że ja tego nie mogłem wiedzieć – stwierdzam. – Dlatego się bałem.

Ilse wzdycha, zdejmuje dłoń z mojej i chwyta wielki kufel.

– *Die Welt ist ein toller Platz*. Ja przez swą babską głupotę wybrałam wtedy tak, jak wybrałam. Ale wierz mi, Daniel – znów położyła swoją rękę na mojej. – *Wie sagt*

man das? Ja po wojnie długo robiłam rachunek sumienia. Nie przypominaj mi tego. Wtedy jednak nie miałam pojęcia, co się dzieje. Ty mi nie wierzysz, prawda?

Spoglądam jej prosto w oczy. Patrzy na mnie poczciwie, szczerze. Mimo to mówię:

– Powiedzmy, że nie wiedziałaś tego dokładnie i na pewno, ale w zasadzie z tym się zgadzałaś.

Opuszcza wzrok.

– *Verzeihung*. Masz rację.

– To nic. To normalne – mówię. – Dopóki nasze doświadczenie porusza się tylko w sferze teorii, to paradoksalnie zachowujemy się jak zwierzęta. Dopiero kiedy czujemy zapach krwi, robi się nam niedobrze jako ludziom.

– Ja poczułam – wzdycha Ilse. – Naszą grupę złapali Amerykanie i na świeżo pokazali nam Buchenwald.

– Nie przypominaj sobie tego. *Das ist long ago vorüber*.

– W pewnym sensie. Ale o tym nie mówmy, *einverstanden?* Więc co się stało z Uippeltem?

Nach jedem Dezember,

Kommt immer ein Mai...

Z Uippeltem... Pamiętam ten dzień w maju, kiedy szedłem z Ireną...

– Zabili go.

– Gestapo?

– Coś w tym sensie – odpowiadam.

Sabotaż, Uippelt, moja heroiczna wizyta w Pradze – w euforii pierwszych majowych dni wszystko wywietrzało mi z głowy. Przy Irenie, po wojnie, w ogóle nie myślałem o takich sprawach, a zwłaszcza nie w tej chwili, bo śpieszyliśmy się do kina na *Serenadę w Dolinie Słońca*, pierwszy sygnał ze świata moich snów. W kinie miał na nas co prawda czekać Zdeniek, ale i tak drogę miałem tylko dla siebie. Szła w pięknej letniej sukni, z trudem broniąc się przed moim uwodzicielskim tokowaniem, ale w pewnej chwili powiedziała coś zupełnie nie à propos.

– Zobacz! Prowadzą kolaborantów.

Prowadzili. Chłopaczkowie w mundurach Afrika Korps z opaskami na rękawach, na których wypisano „Gwardia Rewolucyjna”. W pierwszym szeregu gruby Velcl, właściciel magazynu, zdemolowanego przez Przemę (któremu ten czyn uszedł na sucho). Robił interesy z Niemcami. Chyba ktoś coś o nim wiedział, albo przeciwnie – nie wiedział. Obok niego Gerta Ceehova, a u jej boku były werkszuc Eisler. Wszyscy z głowami ogolonymi na zero, ale tylko jedna Gerta, najwyższa z tej trójki, miała butną minę. Velcl płakał. Eisler maszerował na baczność, z miną, jakby czekał, z której strony dostanie po pysku. Za nimi, w kolejnych trójkach, następni ogoleni, mężczyźni i kobiety, szczególnie uniseks rewolucji. Rozpoznałem doktora Seelicha, który ciężko utykał na jedną nogę, i inżyniera Zavisza, który był przystojniakiem, mimo łysej głowy. Ballona wśród nich nie było, widać zdołał prysnąć. Za to w przedostatnim szeregu kroczył Uippelt, który bez binokli wyglądał jak prosiaczek. Ogolili mu tylko połowę hitlerowskiego wąsika. Taki żarcik Gwardii. Mimowolnie powiedziałem:

– On tam jest niesłusznie!

– Kto? Zavisz? – spytała dość obojętnie Irena.

– Nie. Ten z połową wąsika, Uippelt.

– Ale to przecież Niemiec!

– Tak. Tylko że on...

Gorączkowo opowiedziałem jej swoją bohaterską historię. Irena była bardzo uświadomioną patriotką i zainteresowało to ją.

– Danny! Musisz im natychmiast o tym opowiedzieć!

– Komu?

– No, w ratuszu. Przecież to jest pomyłka!

– Dobra, powiem.

– To idź!

– Teraz? Zaraz?

– Jasne, że teraz! Przecież niewinny człowiek cierpi!

– Jutro tam pójde, Ireno.

Zatrzymała się i bardzo surowo zmierzyła mnie kawowymi oczami.

– Żadne jutro! Natychmiast! Co ty sobie wyobrażasz? Chcesz zostawić niewinnego człowieka?

– Ale przecież spóźniłbym się do kina.

Wydawało mi się to wystarczającym argumentem, ale nie dla Ireny. Wrzasnęła na mnie:

– Natychmiast idziesz do ratusza! A jeśli nie, to już nigdy z tobą nie pójde do żadnego kina!

– To przynajmniej po kinie!

– Powiedziałam: natychmiast!

Odwróciła się i obrażona, szybkim krokiem ruszyła w stronę kina. Biegłem za nią jak skamlający piesek. Szybko jednak zrozumiałem, że w takiej roli nie mam żadnych szans. Zatrzymałem się i zawołałem:

– To ja idę, Ireno...

Nawet się nie obejrzała, tylko rzuciła za siebie:

– Idź, idź. Po kinie spotkamy się Pod Beranem.

No tak.

Co było robić, poszedłem.

Gdzieś we wnętrzu ratusza znajdował się chyba pan starosta czy przewodniczący rady narodowej, albo jak tam się nazywał, ale widok był tam jak w koszarach. Chłopaczki w mundurach Afrika Korps bawili się w wojsko i wystawiali nawet przepustki, dzięki którym w końcu dotarłem do pana Pytlika. Było to jeszcze, zanim ojciec przyniósł do domu dziennik *Herr Dirigenta* Zillingera. Z pełnym zaufaniem oświadczyłem więc panu Pytlikowi, że w sprawie kolaborantów nastąpiła pomyłka i Gwardia Rewolucyjna zamknęła bohatera ruchu oporu. Opowiedziałem mu też o swojej konspiracyjnej wyprawie do Pragi, a on logicznie spytał, w jaki

właściwie sposób nawiązałem współpracę z Uippeltem. Więc było co opowiadać. Wcale się przed tym nie broniłem i ochoczo przedstawiłem historię sabotażu oraz to, w jaki sposób Uippelt się o nim dowiedział.

– Kto jeszcze z nim współpracował? – spytał pan Pytlik surowo, jakbym był na przesłuchaniu. Popatrzyłem na jego czerwoną gwiazdę. Czerwonoarmiści nosili je na czapkach, ale on miał swoją w klapie. Poczułem dziwne mrowienie.

– Nie wiem. On mi o nikim nie mówił, a ja się nie pytałem. Lepiej było za dużo nie wiedzieć.

Pan Pytlik aprobująco pokiwał głową.

– I nawet nie podejrzewasz, kto z nim mógł jeszcze być?

– Myślałem, że majster Vachouszek, ale Uippelt twierdził, że nie i że Vachouszka zamknęli z powodu tych krzyżaków.

– Myślisz, że to było z tego powodu?

– Nie wiem. On jeszcze nie wrócił. Nie wie pan, co się z nim stało?

– Nie wiemy – odparł pan Pytlik. – Ale nawet jak Uippelt zaprzeczał, to jeszcze nie znaczy, że tamten z nim nie współpracował. Mógł to tylko ukrywać.

– To prawda – przytaknąłem. – Może Vachouszek mógłby to potwierdzić, jak wróci.

– Co potwierdzić? – spytał ostro pan Pytlik.

– No, że Uippelt był w ruchu oporu.

– Aha, to. No, my to sprawdzimy.

– Wy go nie wypuście?

Pan Pytlik się uśmiechnął.

– To nie jest takie proste. Musimy sprawdzić to, co nam powiedziałeś.

– Ale w jaki sposób? O tym nikt nie wie, tylko ja i on. Chyba że... Zaraz, powiedziałem jeszcze o tym Skocz-dopole...

– To ten...

– Co jego ojciec ma trafikę. Ten legionista. Skoczdo-pole też... działał w ruchu oporu.

– Ale jemu to tylko opowiadałeś? On nie był bezpośrednio związany z Uippeltem?

Przyznałem, że nie, a pan Pytlik oświadczył, że to nie wystarczy. Przyszedł mi jeszcze do głowy nieznamy człowiek z Pragi, któremu oddałem kopertę, a pan Pytlik zapisał sobie jego adres i wstał.

– To jest lepszy typ. Jak będzie łączność z Pragą, to go sprawdzimy.

Ja też wstałem.

– A... na razie on musi siedzieć?

– To są poważne sprawy, o których mi powiedziałeś – odparł pan Pytlik. – Wszystko trzeba dobrze zbadać.

To słowo usłyszałem wtedy po raz pierwszy.

– A nie można by go puścić... na słowo honoru? – zapytałem.

– Niemca? – zdziwił się surowo pan Pytlik.

– Nie, no... na przykład to ja bym za niego dał słowo honoru. To znaczy, że bym... za niego poręczył...

– Za Niemca? – głos pana Pytlika zabrzmiał jeszcze ostrzej.

– No, ja wiem z całą pewnością, że pracował dla nas. Pan oczywiście nie musi mi wierzyć, ale ja to wiem na mur-beton!

Pan Pytlik po ojcowsku objął mnie wokół ramion i wyprowadził ze swego gabinetu.

– Posłuchaj, ja wierzę, że chcesz dobrze. Ale jesteś jeszcze młody. Nie masz pojęcia, jak ludzie potrafią się maskować i zmieniać oblicze.

Rzeczywiście wtedy jeszcze nie miałem pojęcia. Poszedłem do Berana i tam przeżyłem jedno ze swych licznych rozczarowań, bo Irena się nie pojawiła. Pewnie Zdeniek ją przekonał, żeby po kinie poszli do niego się kot-

łować. Czekałem w knajpie tak długo, aż stało się jasne, że już nie ma na co liczyć. Potem jeszcze przez chwilę włączyłem się po alei Jiráska i poszedłem spać.

W nocy śnili mi się Uippelt i Irena. Ona wypominała mi, że nic nie zrobiłem, choć zrobiłem tyle, ile mogłem. A może mogłem więcej? Gnany wyrzutami sumienia wcześniej rano poszedłem do starej pralni Hyczmana, gdzie więzili kolaborantów. Dotarłem tam przed szóstą. Przed bramą stał na warcie Ponykl, z automatem i w mundurze Afrika Korps.

– Muszę porozmawiać z jednym kolaborantem – powiedziałem, kiedy patetycznie zastąpił mi drogę i pogroził automatem.

– To jest zabronione.

– Ale on tam siedzi przez pomyłkę. Idę o tym zaświadczyć.

– Nie gadaj, człowieku! Nikt tam nie jest przez pomyłkę!

– Ten jest. Uratował mi życie. – Nagle błysnęła mi w głowie myśl: przecież właściwie Ponykl też był w tym umoczony! – I tobie też, baranie.

– Co ty pieprzysz?

– Pamiętasz, jak mi zrobiłeś ten fałszywy kaliber?

– I co z tego?

Pytanie stulecia.

Wytłumaczyłem mu, o co chodzi. Przypomniałem też akcje ratunkowe spawaczy pod kierownictwem majstra Vachouszka. Ponykl stracił pewność siebie, ale kiedy wspomniałem Vachouszka, zrozumiał to po swojemu:

– Ty chyba jesteś idiota, człowieku! Przecież Vachouszek nie był żadnym kolaborantem! Zresztą go tu nie ma. Bóg wie, czy w ogóle jeszcze żyje...

– To nie Vachouszek! Otto Uippelt. Ten niemiecki oberkontroler.

Wydawało mi się, że Ponykl drgnął.

– Iplt?

– No jasne. Puszczaj mnie tam!

– A to głupia sprawa, człowieku – stwierdził Ponykl. Opanowało mnie złe przeczucie.

I rzeczywiście. Kiedy wreszcie jakiś niby-oficer zaprowadził mnie do piwnicy, Uippelt leżał tam z brodą uniesioną w górę. Na połówce wąsika lśniły krople krwi.

– Dostał w pysk i upadł tak fatalnie, że tyłem głowy uderzył o schody – tłumaczył niby-oficer. – Nieszczęśliwy wypadek.

– Ładny mi nieszczęśliwy wypadek! – wybuchnąłem ze wściekłością. – To był nasz człowiek. Nie żaden kolaborant!

– A kto to miał wiedzieć?

– Ja im to wczoraj przez godzinę tłumaczyłem w ratuszu!

– Mnie nikt nic nie powiedział. W nocy go jeszcze przesłuchiwali jacyś towarzysze... i wtedy właśnie dostał w pysk...

Ale niczego jeszcze nie rozumiałem. Byłem tylko wściekły i całkiem bezradny. Odwróciłem się w stronę Uippelta. Nawet mu nie zamknęli oczu. Bez binokli wpatrywał się w wilgotny sufit piwnicy Hyczmana. Miałbose nogi, a w zaciśniętej dłoni coś trzymał. Rozprostowałem mu sztywne palce, a niby-oficer wciąż mnie śledził. Z dłoni wypadła czerwona gwiazda. Taka, jakie czerwonoarmiści nosili na czapkach. Powoli zrozumiałem kryjące się w niej straszne przesłanie. Ale dziennik pana Zillingera nie został jeszcze wtedy ujawniony. Popatrzyłem znów na nieboszczyka. Przez głowę przelatywały mi w zawrotnym tempie różne obrazy: tamto popołudnie z widokiem Kostelca za panoramicznym oknem, jego ciemna sylwetka... pięcionogi prosiak... pani generałowa von Kater... adres w Pradze... zespawane krzyżaki... Parę takich niby bohaterskich czynów.

Szare pruskie oczka wpatrywały się nieruchomo w wilgotne zacieki na suficie. Spróbowałem mu zamknąć powieki, ale nie bardzo mi się to udało.

– *Na siehst du* – westchnęła Ilse. – *Die Welt ist ein toller Platz.*

No tak.

I dobrze jest.

* * *

Danielku,

Czy Ty jeszcze istniejesz? Czasem mi się wydaje, że należysz do jakiejś innej epoki historycznej. Ale pewnie dlatego, że już ponad rok mieszkam w kibucu Herschel. Dawidek chodzi do klasy, która u nas byłaby kwartą, a wszystko, co było, tego już nie ma. Ale nie zapomniałam o Tobie, żebyś sobie nie myślał. Widzę Cię jak dzisiaj, jak do nas przyjechałeś z tymi lekarstwami od Noska dla Davidka; wtedy to było niemal bohaterstwo. Nawet nie wiesz, że mnie z Twojego powodu przesłuchiwał potem kadrowiec, ale mu nie powiedziałam, kim jesteś, a on już w tym czasie też nie był taki pewny siebie, więc wszystko rozeszło się po kościach. Przynajmniej jeśli o mnie chodzi. Ktoś Cię w nocy widział, jak do nas idziesz, a przecież złożyć donos na syjonistkę to jest ze wszech miar wyraz postępowego myślenia.

Z niezłą syjonistką się kontaktowałeś! Kiedy przyjechaliśmy do Jerozolimy, oprowadzali nas po różnych zabytkach i między innymi wzięli do muzeum pierwszego kibucu. Założyli go syjoniści jakoś przed pierwszą wojną światową. I już wtedy się musieli bronić, bo byli tam ludzie, którzy jak zobaczyli Żyda, to mieli odruch Pawłowa, żeby go zabić. Ale pierwsi syjoniści byli ludźmi pobożnymi, mieli wstręt do broni, więc dla swej obrony wynajmowali arabskich strażników. Ale oni za bardzo się nie przepracowywali, więc w końcu kilku syjonistycznych młodzieńców przymknęło oko na czystość religii i kupiło sobie flinty. Jeden z nich jeszcze żyje, ma osiemdziesiąt lat i jest

przewodnikiem po tym muzeum. Ja go o coś zapytałam po angielsku, a on się obruszył po hebrajsku. Jak dobrze wiesz, uczyłam się hebrajskiego tylko u pana nauczyciela Katza i nie umiałam go nigdy nawet tyle, co łaciny z tercji i kwarty. A przez te lata po śmierci pana Katza (biedak, czy może raczej szczęściarz – umarł zaraz następnego dnia po przyjeździe do Terezina i nie trafił już do Auschwitz. Miał ciężką cukrzycę, a w Terezynie nie dawali insuliny), więc w ciągu tych długich lat resztki języka moich przodków zupełnie mi wywietrzały z głowy i pamiętałam zaledwie niektóre litery. Przyznałam się temu osiemdziesięcioletniemu bojownikowi, że nie znam hebrajskiego, a on się na mnie tak wściekł, aż myślałam, że zdejmie ze ściany jeden z tych historycznych muszkietów i zastrzeli mnie na miejscu, albo przynajmniej znacznie uszkodzi moją semicką urodę (wzruszyła mnie historia o tym japońskim kubeczku, którą nam opowiadałeś, jak przyjechałeś z tymi medykamentami. Jeśli tego nie wymyślicieś, bo ty zawsze lubiłeś opowiadać bajki i nic dla ciebie nie było święte, może z wyjątkiem kolegów. A właściwie nawet nie ich, tylko raczej koleżanek), a dziadek krzyczał: Dokąd zmierza ten syjonizm, skoro już nawet młodzi ludzie są tak leniwi, że nie chcą się uczyć hebrajskiego!

Jak wiesz, my w Kostelcu właściwie nawet za bardzo nie wiedzieliśmy, co to jest ten syjonizm. Ale tutaj, Danielu, doskonale to poznałam! To jest komunizm jak rzemień, przynajmniej w wydaniu kibucu! Z jedyną różnicą, że jesteśmy tu dobrowolnie. Ja zaczynałam w Herschel – nie śmieję się, bo to prawda – jako karmicielka wieprzy. Nie, nie pomyliłam się. Tutaj w kibucu są bowiem też tacy Żydzi, którzy pochodzą z królestwa kotleta schabowego z knedlikiem i kapustą i nie są zbyt pobożni, więc sprawili sobie świnię. Oczywiście są też Żydzi ortodoksyjni, więc gdy ci pierwsi szykowali się na pierwsze świniobicie, przerodziło się to niemal w bratobójczą wojnę, która skończyła się zwycięstwem prawdziwej wiary: świnię zostały zabite, lecz nie zjedzone, tylko zakopane gdzieś nad rzeką. Pewien bluźnierca jednak w nocy wykopał sobie jednego

nieboszczyka i piekł golonkę pod mostem, ale strażnicy tradycji to wyczuli i niewiele brakowało, żeby ten renegat skończył jak fałszywy prorok z Nazaretu – jak on się nazywał, arabscy kuzyni też go czczą? Aha, Kristosvoskres.

Ale w miarę jak do kibucu napływało coraz więcej ludzi z tego wieprzowego królestwa i okolicznych krajów, rosła siła świńskich popleczników i w końcu wymusili prawo obchodzenia święta świniobicia, z tym że nie w samym kibucu. Więc co jakiś czas mamy tu procesje: kiedy zabije się wieprza, towarzysze prowieprzowi kładą go na takich noszach i ze śpiewem pieśni „Nemelem, nemelem, ted’ se pěkně nažerem” (to jest podobno hymn tego królestwa kotleta schabowego z knedlikiem i kapustą), idą trzy kilometry za kibuc Herschel, do gaju oliwnego, gdzie napychają sobie brzuchy. Ja niestety z nimi nie chodzę na te procesje, nie z powodu pobożności, ale z praktycznych względów (chroniczna colitis, jeszcze z Auschwitz), więc nie mogę Ci dokładnie opowiedzieć, co tam robią. Ale stary Aszkenazy twierdzi, że to są żydowskie wersje czarnych mszy. Ponoć tam nawet wyprawiają orgie, które mnie w moim wieku (wydaje mi się, że mam sto siedemdziesiąt sześć lat) już nie interesują, ale Ciebie z pewnością by zaciekawiły. Ale może stary Aszkenazy sobie to wymyśla, bo on jest lubieżnym starcem. Co prawda każdego wieczoru siedzi na przedprożu na oczach wszystkich z Biblią w ręku, ale powiadają, że do znudzenia czyta na okrągło jedynie Pieśń Salomona. Jego jednak nie nudzi.

O czym Ci jeszcze napisać? Davidek uczy się znakomicie, chociaż Ciebie to z pewnością nie obchodzi, ale nie mam innych nowości. Chce zostać doktorem, a jeśli nadal będzie się tak dobrze uczył, to kibuc pošle go na uniwersytet.

No i jest tu pięknie. Właściwie wciąż się czuję jak na urlopie. Klimat mi bardzo odpowiada, a wszystko, co było, to było i wierzę (albo mam nadzieję), że już nigdy się nie powtórzy. Z tego, co było, Ty jesteś jednym z niewielu, których chętnie wspominam.

Jest mi tu tak dobrze, że prawie się boję, choć przecież nie mam czego. Ale to chyba tylko taka neuroza. Po prostu każdy, kto był TAM, jest trochę meszuga.

Napisz mi, Danielu, o Twoich dziewczynach i o dziełach literackich, co w Twoim przypadku jakoś zawsze chodziło w parze. Mam nadzieję, że nie zajęłeś się powieściami o budowaniu nowej rzeczywistości? Ale chyba nie, przecież to już wyszło z mody.

Napisz do mnie, ale na pewno!

Twoja

Rebiko Silberaglisko von dem Teetopf

* * *

Przed Maple Leafs Garden demonstrowali młodzi Żydzi w pasiakach z obozu koncentracyjnego. Przy wejściu zatrzymywały się limuzyny, z których wysiadała toroncka *high society* w eleganckich strojach. Demonstranci rozdawali ulotki, ale bez wielkiego sukcesu. Tylko od czasu do czasu wyciągnęła się po nie czyjaś ręka. Przeważnie goście mijali przebraną młodzież z nieruchomymi uśmiechami, niczym dyplomaci Związku Radzieckiego. Percy nerwowo obserwował Veronikę, która jako jedyna z towarzystwa Svenssonów wzięła ulotkę, a nawet pozdrowiła demonstrantów zacisniętymi dłońmi. Protestujący mieli nad sobą transparent z napisem: *LET MY PEOPLE GO*. Wysoko nad nimi na frontonie hali płonęły czerwone żarówki:

RED ARMY ENSEMBLE TONIGHT AT THE GARDEN

Percy obawiał się milczenia Veroniki. Usiedli w pierwszym rzędzie, a ona podała mu ulotkę. Chciał ją przeczytać, ale nie potrafił się skupić. Spoglądał z ukosa na smutną dziewczynę: siedziała nieruchomo w czarnej sukience, włosy splecione w piękny węzeł, a uroczy profil był strasznie poważny. Za nią mieszanka fraków, *hot pants* i dekoltów. Dziewczyna trzymała na kolanach

torebkę z czarnych koralików i opierała na niej złożone ręce. Na jednym palcu miała pierścionek z flagą. Percy zadrżał z miłości i strachu.

Światła zgasły. Rozległ się marsz wojskowy i na scenę wmaszerowała kolumna śpiewaków i śpiewaczek w kokardach, z przyklepionymi uśmiechami. Veronika mówiła na nie *Colgate smiles*. Mocnymi głosami śpiewali pieśń, którą spośród Svenssonów rozumiała tylko Veronika.

My za mir! I piesniu etu

Poniesiom, druzja, po swjetu.

Pust' ona w sierdcach ludiej zwuczit:

Smielej, wpieriod, za mir!

Słuchając tego, Veronika w podświadomości widziała dziwną scenę, która pulsowała. Podobni mężczyźni w butach z cholewami siedzieli przy harfach. Ich ręce słodko błędziły po strunach. Ta scena zawsze tylko błyskała i znikała. Gdzieś ją musiała widzieć. Może na filmowych spotkaniach u siostry Percy'ego, Kästrin. Poczwała straszny wstręt do butów z cholewami. Obejrzała się; za nią z *hot pants* sterczały kościste kolana, a na bluzce lśniła wielka czerwona gwiazda z brylantami. Odwróciła się do Percy'ego. Ty mój głuptasie, pomysłała. Nie gniewaj się, ale ja muszę to zrobić.

Nie bywat' wojnie pożaru,

Nie pyłať ziemnomu szaru!

Nasza wola twiorze, czem granit!

Wy idioci, przecież oni się z was wszystkich wyśmiewają!

Zespół ustawił się jak pod sznurek, a do mikrofonu zbliżył się grubawy towarzysz wraz z tłumaczem:

Dorogije kanadskije druzja!

Nie słuchała przemówienia. Znała jego melodię. Milion razy wysłuchiwaną, wstrętną. Czekwała. Melodia osiągnęła końcowe, wysokie c, *dorogije kanadskije druzja* klaszcząc zachrzęścili brylantowymi ozdobami. Veroni-

ka wymacała tę rzecz w torebce. Brawa ucichły, dyrygent w obcisłych bryczesach odwrócił się tyłem do drogich kanadyjskich przyjaciół, rozłożył ręce i dźwięczne głosy krasnoarmiejców zatrzęsły Ogrodem Klonowych Liści.

Percy zauważył, że Veronika coś wyjęła z torebki, i przestraszył się. Tydzień temu próba zamachu na Wallace'a... Ale to było coś miękkiego, nie żaden metalowy przedmiot. Pewnie chusteczka. Odetchnął z ulgą. Pieśń brzmiała, a Percy popatrzył na scenę. Śpiewali wciąż tak samo, nie rozumiał ich, ale melodia go porwała. Przyłapał się na tym, że stuka obcasem do rytmu. Obok siebie usłyszał jakiś dziwny, cichy dźwięk. Obejrzał się w tamtą stronę. Veronika nadmuchiwała jakiś balonik. W pierwszej chwili nie zrozumiał, o co chodzi, ale dziewczyna dmuchała tak energicznie, że balonik wkrótce zmienił się w zeppelin. Wtedy zrozumiał. Na białej gumie lśnił czerwony napis:

RUSSIANS GO HOME!

Veronika uniosła balon wysoko nad głowę. W rzędzie za nią zachrząściły bransolety, ale głosy ze sceny niewzruszenie ciągnęły dalej. Percy wpadł w panikę. Nie wiedział, co ma robić. Pan Svensson, który siedział z drugiej strony dziewczyny, syknął:

– *Stop it, Veronica! It's embarrassing!*

A na to rozległ się czysty, wcale nieściszony głos, w którym słysząc były łyzy:

– *I'm glad you say so, sir!*

Veronika wstała, rękę z balonem uniosła wysoko nad głowę. Balon zaśnił odbitym światłem sceny. Dziewczyna odwróciła się twarzą do sali; wśród chrzęstu bransoletek rozległy się zgorzone szept i krzyki: *Sit down! Put it down!*

Ale Veronika stała nieruchomo jak Statua Wolności z dziwną pochodnią w ręku, a w oczach miała szmaragdowe światło.

Pan Svensson wstał i sięgnął po balon, ale Veronika była wyższa. Musiał podskoczyć. W tej chwili skończyła się pieśń i rozbrzmiały oklaski. Nie trwały jednak długo, bo komediowa scena w pierwszym rzędzie przyciągała uwagę. Pan Svensson znów podskoczył i tym razem chwycił balon. W sali było już cicho. I w tej ciszy rozległ się piszczący dźwięk, niczym meczenie owiec. Balon miał w szyjce piszczałkę. Pan Svensson stał zdezorientowany z piszczącym balonem w ręku. Po chwili zapchał ujście palcem, ale wtedy balon przestał się zmniejszać. Czerwony napis wciąż był widoczny w całej sali. Pan Svensson, czerwony na twarzy, okręcał się wokół siebie, więc wszyscy mogli przeczytać hasło. Także ci na scenie.

Od drzwi wejściowych odlepił się mężczyzna w mundurze Royal Canadian Mounted Police. Z kamienną twarzą zbliżył się do pana Svenssona.

– *If you allow me, sir!*

Wyciągnął rękę, a ogłupiały pan Svensson podał mu balon. Piszczalka znów przez chwilę wydawała głos, ale została natychmiast zatkana dużym palcem. Podobnie jak wcześniej Veronika, mężczyzna uniósł rękę z balonem wysoko nad głowę i z powagą, dostojnym krokiem ruszył długą alejką, obserwowany przez wszystkie oczy w Klonowym Ogrodzie.

Obok Percy'ego rozległ się śmiech, wyraźnie histeryczny. Gdy siedzenie zgorzonego pana Svenssona spoczęło w fotelu, ten w tym momencie wydał wręcz nieprzyzwoity dźwięk.

– *Sorry, Percy* – powiedziała Veronika i przestała się śmiać. Dyrygent na scenie szybko machnął rękami i wnet wybuchła następna pieśń. W myślach dziewczyny towarzyszyły jej słodkie harfy:

W zaszczitu mira wstawajcie liudi!

Riady tiesniej, strana k stranie!

*I pust' nad mirom silniej orudij
przyw nasz riejet: Nie byt' wojnie!*

Wśród pełnych profesjonalnego zapału głosów od strony głównego wejścia rozległ się krótki pisk. To facet z RCMP w drzwiach wyjął palec z ujścia balonu.

* * *

Nic się tu nie zmieniło. Z tyłu kawiarni – gdzie zawsze przez cały dzień musiały być zapalone lampy, bo światło z wielkich okien wychodzących na plac bez powodzenia walczyło tam z ciemnością – mężczyźni w pogniecionych ubraniach wciąż grali w bilard, a wzdłuż ścian, przy stołach obciążniętych zielonym sukniem, siedzieli karciarze. Przy jednym Vratia z grupą od mariasza, w której był też Koczandrle. W ogóle mnie nie zauważyli, bo głowy mieli schylone nad kartami. Vratia, w odróżnieniu ode mnie, korzeniami nostalgii pozostał przywiązany do Kostelca. Przyjeżdżał tu przynajmniej dwa razy w miesiącu i całe weekendy spędzał z wiecznie nieruchomymi karciarzami. A ja od czasu, kiedy uciekł Przema, byłem tu może wszystkiego dwa razy. Dla mnie Kostelec stanowił fenomen czasu, nie miejsca, a ludzie jeszcze nie wymyślili maszyny czasu. Istnieje tylko ta, którą mamy w głowie, a jej nie trzeba było wozić do Kostelca.

Przyjechałem tu właściwie z przekory: chciałem swoją obecnością zawstydzić miejscowych patriotów, którzy nie mogli mi wybaczyć tego musicalu. Choć byli bardzo antykomunistyczni, pod tym względem całkowicie zgadzali się z Partią, która moją operetkę zaszczyliła sporą dawką tradycyjnych epitetów. Wdowa po panu starości Prudivym napisała nawet artykuł do miejscowego organu, w którym – obok ataków przejętych *in extenso* z organu centralnego – oskarżyła mnie o to, że ubliżyłem czci kosteleckich dziewcząt. O tej czci wiedzia-

łem jednak więcej niż wdowa i dokładnie ją opisałem w operetce. Mimo to realistyczny zapis moich przeobrażeń z Ireną, sporządzony po latach dzięki dźwiękowej pamięci, przyniósł mi opinię czołowego kosteleckiego pornografa, bezczeszczącego region, w którym urodziła się wielka pisarka Božena Němcová. Pan Moutelik jechał kiedyś z Rostią pociągiem do Hradca i spytał go: „Wie pan, że temu pańskiemu cwanemu koleżce Rada Narodowa w Kostelcu postawi pomnik?” „Co też pan mówi?”, zdziwił się Rostia. A pan Moutelik, wtedy już nie właściciel hurtowni, tylko zwykły sprzedawca, wytrzeszczył oczy, rozłożył ręce i dokończył: „Dziesięć metrów długi i trzy metry gruby, postawiony na sztorc kutas z piaskowca!” Nawet nie wiedział, jak mnie przecenił. A co by dopiero ze mną w Kostelcu zrobili, gdybym sobie coś wymyślił?

Cała ta moja operetka była właściwie wyznaniem miłości do tego tonącego w bzach miasteczka, do jego pięknych dziewczyn i żywych, więc dlatego zabawnych ludzi. Zamiast wdzięczności doczekałem się jednak tylko anonimów grożących mi rozbiciem gęby, ostentacyjnego milczenia i zadartych w górę nosów tych pięknych dziewczyn, a także spluwania mi pod nogi, jakbym był woskową kukłą z kapeluszem w rękę.

Dlatego specjalnie pojechałem do Kostelca, żeby swoją obecnością uświetnić odsłonięcie – nie wielkiego kutasa, tylko pomnika Armii Czerwonej w dwudziestą rocznicę wyzwolenia miasta.

Na trybunę mnie nie zaprosili, więc wtopiłem się w tłum. Rocznicą była okazała. Był tam nawet generał-wyzwoliciel Jabłonkowskij, po upływie tych dwudziestu lat szczuplejszy, za to bardziej pokryty medalami. Pomsutniały sowiecki staruszek siedział teraz przy oknie z trawionego szkła z drobną sowiecką żoną i niezwykle ładną panią o dużych oczach. Tej już nie znałem.

Na jednym ze stołów grali w bilard Kos i Malina, a kibicował im Machanie. Przez dwadzieścia lat nie zrobili żadnego postępu w grze. Kos doszedł do czterech karamboli, a po nim Malina osiągnął trzy. Wyglądali też tak samo, tylko byli bardziej łysi i grubszy, a Malina grał w milicyjnym mundurze.

Podszedłem do stołu.

– Cześć, panowie!

Kos miał właśnie uderzyć bilę, ale się wyprostował. Wszyscy trzej wpatrzyli się we mnie.

– Cześć – odpowiedział po chwili Malina. – Co robisz?

– Nic.

– Pierdzisz w stołek, co? – Kos zaczął smarować kij niebieską kredą. Kule na zielonym suknie były w idealnej pozycji. Malina patrzył na mnie nieruchomym wzrokiem, zupełnie jak w kiblu fabryki meserszmitów. Ci trzej z całą pewnością nie widzieli mojej operetki.

– Tak jest – potwierdziłem. – Żyję sobie jak król.

– W Kostelcu krążyła plotka, że cię zamknęli – powiedział Kos.

– Dlaczego mieli mnie zamknąć?

– Podobno za coś, co napisałeś. Jakiś antypaństwowy teatr. Ja tego nie widziałem – ciągnął dalej Kos. – Ale ty zawsze byłeś stuknięty, więc byłoby to do ciebie podobne.

Miła konwersacja rozgrzała moje serce. Chwycił mnie atak nostalgii.

– Musieli mnie z kimś pomylić – odparłem. – Ja byłem w Australii.

– Nie gadaj, ty koniu! – odezwał się Malina.

– Jako tłumacz z Czeskim Kwartetem. Przywiozłem sobie stamtąd zarodek kangura.

– Ty to jesteś bizon!

Ach, mój rodzinny kraju! Czas się ciebie nie ima!

– Mówię ci! Mam na niego w domu uszytą kieszeń ze skórki królika. On tam włazi i karmię go mlekiem z dziecięcej butelki ze smoczkiem.

– Zarodek, tak? – powątpiewał Kos. – I pije z butelki, tak?

– Zarodek kangura pije – zapewnilem go. – Kangurzyce nie rodzą młodych, tylko zarodki.

– Chcesz w ryja, ty słoniu? – spytał Malina.

– Nie chcę – odpowiedziałem. – Kangury to są tak zwane niedoskonałe ssaki. Rodzą trzycentymetrowe zarodki, które wspinają się po sierści kangurzyca do worka i tam się przysysają do gruczołu mlecznego.

– Z cipy po włosach do worka, tak? – rzucił szyderczo Kos.

– Nie chciałem ująć tego w tak wulgarny sposób, żeby nie zepsuć sobie reputacji w rodzinnym mieście – stwierdziłem. – Ale tak to jest.

– Ty krowo jordańska, mam ci przylutować? – zaproponował Malina.

Jednak zaczęli się zastanawiać.

– Dlaczego rodzą się takie małe? Trzycentymetrowe? – zapytał Kos.

– Nie wiem. Pewnie żeby kangurzyca nie miała bólów porodowych.

Kos się wykrzywił w uśmiechu.

– To by się podobało naszym babom, gdyby tak można było zrobić.

Milczący kibic Machanie też się zaśmiał. Było widać, że ma jeszcze dwa zęby.

– Ty baranie, wyobraź sobie, żeś wylazł z matki trzycentymetrowy i właził jej po brzuchu...

– No tak, tylko że baby musiałyby mieć worek!

– Jesteście goryle, wy barany! – odezwał się Malina.

– Można by je robić z plastiku – zaproponował Machanie.

– Ale pod ubraniem zarodki by się mogły zadusić.
– To baby musiałyby chodzić gołe...
– Chcecie w zęby? – spytał Malina.
– Może zarodki dałoby się nosić w kieszonce na pier-
siach – wtrąciłem się do debaty.

– A kieszonka miałaby w środku dziurkę, żeby zarodek mógł się od razu dostać do cycka! – zarechotał Kos.

– Zamknij dziób, ty koźle! – wrzasnęła Malina.

Urok rodzinnych stron, niezmienionych ani przez czas, ani przez socjalizm. Spojrzałem w stronę stolika Vratii. Koczandrle właśnie bił jego siódemkę, a Vratia zawył identycznie jak przed laty. Odwróciłem się do wyjścia. Generał Jabłonkowskij właśnie rozmawiał po rosyjsku z tą panią o wielkich oczach. Usłyszałem jej rosyjski – był rodem z Kostelca. Wyszedłem z kawiarni na plac.

Niezmienny czar rodzinnych stron. Z kościoła dobiegał dźwięk organów, bo był maj. Nabożeństwo majowe. Głosy zupełnie identyczne jak te, które przed dwudziestu laty śpiewały wewnątrz pieśń maryjną. Tyle tylko, że przed wejściem już nie stała grupka spóźnialskich, którzy nie zmieścili się do środka – po dwudziestu latach strach zrobił swoje.

Zamek natomiast nadal siedział mocno na skale jak na tronie, z nowym dachem. Okna jak zawsze odbijały zachodzące słońce. Wokół placu włóczyły się grupki dziewczyn w letnich sukienkach i dżinsach (to się zmieniło) i grupki chłopaków, czasem z gitarami.

Nagle przyszło mi do głowy jedno z postscriptów listu od Vratii. Był piątkowy wieczór, Koczandrle – całkowicie zgodnie z opisem – grał w karty Pod Beranem. To oznaczało, że Marie jest sama w domu. Majowy wieczór sprawił, że zobaczyłem w duchu tę czarodziejkę; nic się nie zmieniło, ja też nie – fizycznie i duchowo jestem wciąż jak nastolatek, tak jak to miasto, jak ten kościół, wciąż taki sam od XII wieku. Szybko ruszyłem aleją Jiráska, po któ-

rej przechadzały się kolejne grupki chłopaków i dziewczyn, skręciłem koło Granady i przeszedłem przez tory koło dworca, minąłem dom nad rzeką, w którym kiedyś mieszkała Irena i gdzie Marie podglądała nas z mieszkania swej ciotki z naprzeciwka. Przeszedłem przez most, potem koło browaru, a potem w górę drogą aż do miejsca, w którym pewnego prądawnego wieczoru zatrzymaliśmy się z sankami, a potem ciągnąłem je Marii w górę do ich willi. Ruszyłem w tamtym kierunku.

Szczyt Czernej Hory, obramowany ciemnym lasem, świecił różowo i żółtozielono. Na górze biała kreska, kamienny krzyż. Willa Dreslerów była świeżo otynkowana, okna na pierwszym piętrze też odbijały słońce. Oszklone wejście, wciąż tak samo burżuazyjne, a za nim tajemnice prywatnych komnat Marii, dokąd nigdy nie wkroczyłem (w odróżnieniu od mieszkania rodziców Ireny). Marie za każdym razem wyłaniała się ze środka, błękitne paltko, złote loki, fau fir wiktoria...

Nacisnąłem dzwonek. Patrzyłem na przeszkłony ganek, na którym się zawsze pojawiała.

Szyby błysnęły, ktoś od wewnątrz otworzył drzwi i stanęła w nich Marie.

Złote loki, błękitne oczy, wydatne usta jak maliny. Miała na sobie białą koszulkę, a pod spodem te wspaniałe piersi, najpiękniejsze w całym Kostelcu. Była w dżinsach, cudownie wypełnionych szczupłymi udami i dziewczęcym tyłeczkiem.

Jak to pięknie napisał Vratia? *A może Marie jest nieśmiertelna?*

– Dobry wieczór – powiedziała Marie. – Chciałby pan...

* * *

Jesteśmy znów w kajucie, która pachnie drewnem i Ireną. Irena delikatnie pachnie perfumami. Siedzi

na wprost mnie na skórzanej ławie, a dokładnie za nią w okrągłym okienku błyska czerwony sygnał na dachu Toronto Dominion. Pomiedzy nami jest stolik z resztkami popołudniowego poczęstunku. Irena zapaliła tylko lampkę przy kotarze w złote gwiazdy, oddzielającej kajutę od sypialni. Gwiazdy mocno lśnią. Irena jest zdeenerwowana. Jacht się kołysze, uderzenia burty o molo brzmią jak stłumione tam-tamy.

Czy to się naprawdę wydarzy? Spełni się profesorskie marzenie? Dlaczego? *Sic visum Veneri?*

Wstaje.

– *Well...*

– *No! You wait here!*

Irena znika za złotymi gwiazdkami.

Słysząc klasyczny trzask rozpinanych guziczków.

Pod tym względem dzieci nowego świata są tradycyjne. Najpierw wszystko wstydliwie musi ukryć ciemność. Czekam na głos, w którym zabrzmie nagość, aby rozsunać kotarę.

Irena robi to jednak sama, a ja siadam. Dostłownie. Wokół białego brzuszka ma czerwoną pręgę, zapewne od gumki, ale poza tym jest jak z alabastru, lśniąca jak Biała Bogini z *Trader Horna*; wokół głowy złota aureola naturalnych blond włosów, w kobiecym centrum ciała cudowna złota gęstwina, kryjąca rozkoszne pęknięcie. Niemal wstrzymuję oddech...

– Dostaniesz kataru – mówię.

– Nie dostanę – odpowiada i nagle nie wie, co dalej. Nie brała pod uwagę mojego bezruchu. Powinienem wstać i zabrać się do dzieła. Ale obserwowanie cudownej dziewczyny z alabastru jest przyjemniejsze.

Bo wstrzymany dech przywodzi mi na myśl absurdalne wspomnienie.

– *Well* – mówi wyraźnie zdezorientowana – *won't you do something?*

– Kto cię pozbawił dziewictwa? – pytam.

Na białym ciele pokazuje się fantastyczne zjawisko dermatologiczne. Oblewa ją rumieniec od twarzy w dół, aż po koniuszki palców, po paznokcie, które Irena ma pomalowane na absurdalny szmaragdowozielony kolor. Ręce, do tej pory swobodnie zwisające wzdłuż ciała, wykonują mimowolny ruch, aby przybrać klasyczną pozę Wenus. Po chwili Irena się opanowuje, unosi ręce w górę i poprawia sobie złotą czuprynę.

– Nikt – odpowiada krnąbrnie.

– Well – mówię. – No to się ubierz.

– *You... don't like me?* – jej głos klasycznie drży.

– *Sure I like you.*

– *Then... why don't you...* – straszliwie drżący głosik staje się prawie niesłyszalny – *...strip?*

– *Because I want you to like me.*

Pod uderzeniem zbłąkanej fali kajuta lekko się trzęsie, okienka zalewa złota luna rozświetlonego wieżowca. Drgają też piersi Ireny.

– Ty się wstydzisz? – pyta.

– Ty się nie wstydzisz?

Przytakuje, a zjawisko dermatologiczne znów się powtarza.

– Gdybyś też się rozebrał, tobym się nie wstydziła.

– Właśnie dlatego tego nie zrobię.

– *But why?*

– Nie mam dziewiętnastu lat, jak ty.

Jacht znów się kołysze. Ziarenka złota z okien Dominion barwią białe ciało na beżowo.

– *But... I love you* – szeptce Irena. – *Please!*

Potrząsam głową. Tkwi w niej absurdalne wspomnienie, niczym opal osadzony w zielonej monstrancji. Znów potrząsam głową i mówię profesorskim tonem:

– Proszę się ubrać, panno Svensson!

Ręce już jej nie słuchają. Nie rozumie mnie. Z czym się tutaj zderzyło jej doświadczenie, niestety całkiem teoretyczne? Przychodzi mi na myśl rudy wąsacz Larry MacAlear, „niemal wszystkim chodzi o tytuł akademicki, wie pan jaki?” Heroiczna decyzja i zupełnie nic nie wyszło. Stawia mi wzruszające pytanie, na miarę jej teoretycznej wiedzy:

– Ty jesteś... impotentem?

– Nie. Za to ty będziesz miała katar! – śmieję się.

Jeszcze przez chwilę stoi w półmroku, niewiarygodnie piękna. Dygoce, ale tym razem już ze wściekłości.

– *Oh, shit!*

Odwraca się, sprężysty tyłeczek bieleje jak perła, znika za gwiazdzistym parawanem. Trzask guziczków.

Opieram się o skórzane oparcie i z pudełka jej ojca wyciągam komunistyczne cygaro z Kuby. Zapalam i wypuszczam gęsty dym w stronę Toronto Dominion, wesoło błyskającego za okrągłym okienkiem. Co za wzruszająca sytuacja, mówię do siebie w duchu; czuję się jak element w łańcuchu samych cudownych powtórek, ciągnącym się przez pokolenia, ustroje ekonomiczne, ideologie, religie i inne bzdury... Ten piękny, smutny i zabawny łańcuch ludzkiego życia.

Gwiazdy się rozsuwają. Irena Svensson, wściekła w najwyższym stopniu, ale jeszcze piękniejsza niż przedtem, wchodzi do kajuty w białych spodniach i marynarskim żakiecie. Obrażona, odrzuca włosy z czoła. Jest jak kometa przed eksplozją. Siada i wyjmuje papierosa ze szkatułki ojca.

– *Still a virgin* – mówię.

Wciąga w młode płuca połowę papierosa i cedzi przez zęby:

– *I hate you!*

– *Please, don't!*

– Nie mógł mi pan tego powiedzieć?

– Czego?

– No, że jest pan impotentem.

Śmieję się.

– Niech pani nie upraszcza, panno Svensson. Takie samo zachowanie może mieć wiele przyczyn.

Wchłania drugą połowę papierosa i spogląda na mnie pytająco. W ubraniu czuje się jednak znacznie pewniejsza siebie.

– Już mnie nie kochasz? – pytam.

Zapala nowego papierosa. Zastanawia się.

– *Are you some kind of a pervert?*

– Tak się tym przejmujesz, Ireno? – pytam i w tej chwili ją kocham. – Kochasz mnie?

– *I hate you* – odpowiada, ale widać, że jest raczej zaciekawiona. – *Are you a pervert? Tell me!*

– Nie jestem. Tylko wkrótce skończę pięćdziesiątkę, panno Svensson. A z tobą wracam do czasów, kiedy też miałem dziewiętnaście lat.

Dawka nikotyny. Stara się, ale mnie nie rozumie. Po chwili odzywa się jak niezłomny logik i jednocześnie dziecko swego pokolenia.

– *Well... Didn't you fuck when you were nineteen?*

– Ależ panno Svensson! *Is this how a virgin should talk?*

– *Well, did you or didn't you?*

– *Do you?*

Spogląda na mnie ostro.

A ja na nią.

Patrzemy sobie prosto w oczy, jakbyśmy się chcieli zahipnotyzować. W takiej sytuacji ludzie nigdy długo nie potrafią utrzymać powagi. O ile nie ma w nich prawdziwej nienawiści.

Po chwili w tym samym momencie Irena parska, a ja wybucham śmiechem.

– *Oh, you're just an old lecher!* – mówi Irena. – *But really... Why didn't you do it on me?*

– Nie wiem – odpowiadam zgodnie z prawdą. – Czy tu nie jest ładnie? Na tym wspaniałym jachcie? Czy nie jest mi dobrze? Z tą piękną dziewczyną, chwilami rozebraną, chwilami ubraną?

– Mam się znów rozebrać?

– Nie czujesz się lepiej ubrana?

– *Oh, you are a pervert!* Albo zmarzłak.

– Ja odtaję.

– Ale kiedy?

– *Some of these days.*

Podciąga kolana pod brodę. W tej klasycznej pozycji amerykańskiego nastolatka wypowiada klasyczne zdanie:

– *It's such a drag to be a virgin!*

– Straszna męka!

– Ty jesteś brutal!

– To jest męka. Wiem z własnego doświadczenia. *When you are a virgin you suffer. And then there are all those mysteries...*

– *Fuck mysteries!* Ja wszystko wiem. Wszystko jest w książkach, a ja je wszystkie czytałam.

– Nie wszystko jest w książkach.

– Wszystko.

– Nie wszystko – zaprzeczam. – Na przykład nie to, co poznałem dopiero dziś. W wieku niemal pięćdziesięciu lat.

– Co to jest?

– Masz to na sobie.

Mimowolnie patrzy na swoje niebieskie buty.

– Teraz tego nie widać – mówię. – Było widać, jak byłaś naga.

– Ty do pięćdziesiątego roku życia nie widziałeś nagiej kobiety?

– Po raz pierwszy w życiu zobaczyłem nagą, naturalną, skandynawską blondynę. Ja miałem szczęście raczej

do brunetek. A jeśli już blondynki, to były przefarbowane. Ale jedną znałem. Tylko to było strasznie dawno. *I was still a virgin then...*

– A co to jest, co we mnie zobaczyłeś?

– Opowiem ci o tym historię. Tak będzie fajniej. Więc posłuchaj. Okropnie nam to nie dawało spokoju...

– Tobie i tej blondynce?

– Nie. Ona to oczywiście znała. Mnie i jednemu koledze. Obaj byliśmy w niej tak strasznie zadurzeni, że nawet nie byliśmy o siebie zazdrośni.

– *Do you have group sex with her?*

– Niestety nie. Ona po prostu nie była zakochana w żadnym z nas, tylko w kimś trzecim. Ten mój kolega był malarzem, a ona miała na imię Marie. Mój kolega ją malował. Raz też naga, ale tylko z wyobraźni. Wtedy dziewczyny nie były tak bezwstydnym jak dzisiaj.

– Ale jesteś świnia! – odpowiada Irena, dokładnie tak samo jak dziewczyny z Kostelca. Ach ty mój świecie, tak różnorodny, a zarazem zawsze taki sam!

– Mówię o tym, żebyś zrozumiała, dlaczego nam to nie dawało spokoju. Słuchasz? To słuchaj. – I opowiadam Irenie Svensson starą historię, która dziś być może uratowała jej dziewictwo. Intymna lampa krzesze piękne iskry w skandynawskich włosach, a ontaryjski wiatr śpiewa jak meluzyna na Czernej Horze. Opowiadam:

– Rostia przynosił z biblioteki różne monografie, ale wcześniej malarze nie byli całkiem realistyczni. Oglądaliśmy setki Wenus i najad, i Afrodyt, i Modiglianiego, i Renoira, ale nigdzie tego nie było...

* * *

– ...rozmawiać z tatą? Nie ma go w domu. Gra w karty Pod Beranem.

Złote loki, błękitne oczy, wydatne usta jak maliny. Żadnego fau fir wiktoria, tylko biały podkoszulek. Żad-

nych kolan w pończochach w prążki, tylko dżinsy. Ale poza tym Mania. Cała. Nieśmiertelna.

– Ja bym chciał rozmawiać z... – trudno mi było wymówić to słowo, ale niestety, taka była rzeczywistość – ... z mamą.

– Marii też nie ma w domu – odparła „Marie”. – Ale w każdej chwili powinna wrócić. Jeśli chce pan na nią zaczekać...

– A ty jesteś...?

– Ja jestem Dana – stwierdziła „Marie”.

– Mogę...

– Proszę wejść!

Marie zwana Daną usunęła się na bok, przeszedłem przez furtkę, potem schodami prowadzącymi na werandę i przez oszklone drzwi wkroczyłem do nieznanymi, tajemniczych komnat mojej dawnej młodości.

W przedpokoju „Marie” mnie wyprzedziła i otworzyła drzwi.

– Bardzo proszę.

Znalazłem się w salonie. Kiedyś był to zapewne pokój pana Dreslera. Pan Dresler uważał, że pochodzi z jakiegoś nieznanego rodu szlacheckiego, więc zamówił herb u heraldyka. Widniał on na rzeźbionych oparciach dwóch potężnych foteli, obciągniętych popękaną skórą. Na równie potężnym biurku stała fotografia tego nieboszczyka, bardzo niepodobnego do Marii, oraz fotografia pani Dreslerovej. Ona już też nie żyła. Marie miała po niej błękitne oczy, ale poza tym zupełnie nic. Musiała być albo początkiem dynastii, albo pani Dreslerova miała ją z kimś innym. Z lewej strony pod ścianą stała oszklona biblioteczka, z której błyskała złota szczeka jakichś dzieł zebranych, oprawnych w skórę. Zapewne mistrz Alois Jirásek, bo w końcu byliśmy w jego regionie. Pod przeciwległą ścianą stał tapczan, który w tym arystokratycznym otoczeniu wyglądał jak piłka futbolowa na ołtarzu,

a obok mała biblioteczka z książkami. Większość z nich wyglądała na podręczniki. Na niej wycięte z czasopism fotografie Suchego i Šlitra, a na ścianie nad biblioteczką – olejny obraz Rostii Pittermana zatytułowany *Idea* i przedstawiający Marię. Nie tę zwaną Dana.

– Dana? – spytałem. – Czy Daniela?

– No, Daniela – odparła „Marie”. – Ale to jest za długie. Proszę siadać.

Stała przede mną we wspianiałych džinsach, zachodzące słońce malowało ponętne cienie na śnieżnobiałym podkoszulku. Daniela. Czyżby Marie pozostała wierna swojej dawnej miłości, choć wtedy chyba nie była tak bardzo zakochana? Czas jest jednak łaskawy dla niekochanych miłości. Doceniamy je dopiero wtedy, gdy jest już za późno. Jak wszystko w życiu. Bo w życiu zawsze na wszystko jest za późno.

– Napije się pan kawy czy czegoś? – spytała „Marie”.

Pokręciłem przecząco głową i usiadłem w jednym z dwóch potężnych foteli nieistniejącego rodu D’Essler.

– Ja też mam na imię Daniel. Ale każdy mówi na mnie Danny – powiedziałem.

Oczy jak błękitne kamyki rozszerzyły się w zdumieniu.

– Ach, to PAN! To się Marie ucieszy! Tak mi się przy najmniej wydaje...

– To znaczy, kto ja jestem?

– No przecież Daniczek! O Jezu...

– Jesteś coś dobrze poinformowana na mój temat!

– O Jezu, niech pan mnie nie zdradzi. Marie o tym nie wie!

– Zaczekaj... Czego mam nie zdradzać i czego Marie nie wie?

„Marie” podrapała się po złotej głowie.

– Nie chce pan kawy?

– Nie chcę. Siadaj i przyznaj się.

Usiadła na brzegu drugiego tronu, herb z łabędziem i jakąś gwiazdą znalazł się dokładnie nad złotym rumem jej głowy, w którą znów się podrapała.

– No tak – powiedziała.

– O czym Marie nie wie?

– No, że czytałam pańskie listy.

Zamiast się zirytować poczułem miłe ciepło w sercu. Marie je przechowuje! Jakby to były jakieś święte relikwie. Musiały być w nich niezłe bzdury. Dziewczyna, starając się naprawić złe wrażenie wywołane jej postępkami, powiedziała:

– To bardzo piękne listy. Takie... zabawne!...

Oczywiście nie były pomyślane jako zabawne, ale Marie nazwana Daną (miałem nadzieję, że po mnie) należała do mniej sentymentalnego pokolenia.

– Ja je pisałem na poważnie.

– No wiem – odpowiedziała szybko i popatrzyła na mnie z bezceremonialnym zaciekawieniem tego niezainfekowanego pokolenia. – Pan to musiał być niezłe zabujany w Marii!

– Wciąż jeszcze jestem – oświadczyłem z dumą.

W niezapominajkowych oczach pojawiły się ogniki.

– A to się tata ucieszy! – stwierdziła beczelnie.

Nieśmiertelna Mania. Nie była żadnym geniuszem. Z matematyki ledwo przechodziła z klasy do klasy, a w łacinie za Boga nie potrafiła zrozumieć *consecutio temporum*. Ale *in erotics* była zawsze wielkim mędrcom – to znaczy, miała wycucie zabawnej strony tej sfery, podczas gdy ja nie.

– Żebyś się nie ważyła mu o tym powiedzieć. On tego nigdy nawet nie podejrzewał.

Niezapominajki znów złośliwie zabłyśły.

– Jeśli pan nie powie Marii, że czytałam te listy...

Była to chyba moja córka. Oczywiście tylko duchowa. Ale była moja. Po Koczandrzelem nosiła jedynie nazwisko.

– Dobra. *Gentlemen's agreement*?

Musiałem jej wytłumaczyć, co to znaczy. W szkole miała francuski. Okazało się, że do francuskiego zmusił ją nieboszczyk dziadek. No tak, hrabia D'Euslleur, czy jakoś tak.

– Co jeszcze o mnie wiesz, czego nie powinnaś?

– Jeszcze jak wujek Rostia mówił, że jedna scena w pańskim musicalu, w tym o...

– Wiem w którym.

– ...że jest oparta na prawdziwym zdarzeniu. Ta, co jest z niej ta piosenka: *Kiedy patrzę przez ulicę, / w blasku świecy ciebie widzę, / lecz nie jesteś sam.*

– Wujek Rostia ma rację.

– W Kostelcu prawie każdy to widział – powiedziała jakoś smutno. – Podobno to wszystko jest oparte na prawdziwych zdarzeniach.

– A ty tego nie widziałaś?

Pokręciła przecząco głową, też ze smutkiem.

– Ja miałam wtedy jedenaście lat, a potem zabronili to wystawiać.

Jasne. Uświadomiłem sobie, że Marie też przestała się starzeć dopiero w wieku siedemnastu lat. Spojrzałem na obraz na ścianie, który uchwycił właśnie ten moment.

– Dlaczego ukrywasz przed Marią, że czytałaś te listy?

– Bo to jest ciekawsze wtedy, jak...

Przerwała.

– No, dalej – przynagliłem ją surowym tonem. W końcu byłem jej ojcem. – Co jak?

– No, jak się kłóć z tatą.

Coś takiego!

– Kłóć się z tatą? A co z tym mają wspólnego moje listy?

– No bo... oni się czasem kłóć, że tata za mało zarabia i za dużo przegrywa w mariasza, a tata wtedy zawsze mówi: „To powinnaś była wyjść za mąż za Danicz-

ka, skoro ja jestem taki beznadziejny!” A jak Marie jest naprawdę wściekła, to czasem mu mówi: „Jak cię z nim porównuję, to był lepszy od ciebie także pod innymi względami!” I wtedy tata zawsze całkiem wariuje.

Ze smutkiem pomyślałem, co mogą znaczyć te „inne względy”. Oprócz tego, że raz dotknąłem jej tyłka, i w dodatku ona sama mi to zaproponowała, to „inne względy” stanowiły czystą fantazję.

– Wciąż nie rozumiem, co mają z tym wspólnego moje listy...

Przerwała mi:

– No, z tych listów wynika, że tam nic nie było!

– Co masz na myśli? – spytałem surowym, ojcowskim tonem.

– Przecież pan wie.

– Jak ty się ośmielasz pomyśleć coś takiego o własnej matce! – udałem straszne zgorszenie. – Twoja matka jest święta, a ciebie przyniósł bocian.

Parsknęła śmiechem, a ja też nie potrafiłem utrzymać powagi.

– Wydaje mi się, że jesteś niezły typek! – powiedziałem. – O czym ty wciąż myślisz?

– Przecież chyba pan pamięta te swoje listy, nie? O czym pan wtedy myślał?

Była to moja córka. Pogłaskałem ją po złotej główce. Zupełne kazirodztwo. Ale jak zawsze w moim przypadku, wyłącznie duchowe.

– Masz chłopaka?

– No mam.

– I co?

– No nic – odparła. – Też by mógł pisać listy. Ale nie pisze.

– To co robi?

– No przecież mnie kocha.

Zapaliłem cygaro. W cudownym poczuciu szczęścia odkryłem kroplę poznania: to jedyna nasza nieśmiertelność. Te powtórki z różnymi wariantami, nic innego. Ale było to piękne. *Verbleibe doch, du bist so schön!* – przyszedł mi do głowy wierszyk z czasów Protektoratu. Ale nie miał związku z tamtymi czasami, tylko raczej z wiecznością. Z tą powtarzalną, z różnymi wariantami. Marie zwana Daną przyniosła mi popielniczkę, zasiadła na tronie szlachetnie urodzonego dziadka, skrzyżowała nogi i popatrzyła na mnie badawczo.

– Naprawdę nic z Marią nie mieliście? W ogóle nic? Ani troszkę?

– Ani troszkę – odparłem. – Oczywiście oprócz...

– Aha! – ucieszyła się z wyraźną satysfakcją. – Wiedziałam!

– Nie wiem, co wiedziałaś, bo tego z całą pewnością nie wiesz.

– No, całowaliście się...

– Gdyby tylko to...

Niezapominajki niemal wyskoczyły z orbit.

– Coś więcej?

– Na spowiedzi nazywa się to dotykiem – powiedziałem, bo przypomniałem sobie o tej wyjątkowej przygodzie z Marią na sankach. – Ale to nie wszystko!

– No ale więcej to już jest tylko...

– To – podsunąłem jej.

– No!

– Mylisz się – zaprzeczyłem. – Chodziło o pewien zakład.

– Z Marią?

– Nie, z Rostią... To znaczy, z wujkiem Rostią.

– Jaki zakład?

Wypuściłem z ust kółko z dymu. W promieniach zachodzącego słońca miało złotawy kolor. Jak włosy Marii.

– Ty jesteś identyczna blondynka jak Marie – stwierdziłem.

– Niech pan mnie nie zagaduje.

– Nie zagaduję. Przeciwnie.

– To niech mnie pan już nie trzyma w napięciu.

Mam jej opowiedzieć? Przecież... Jednak w obliczu tego pięknego kazirodztwa mój ówczesny skandal objawił mi się w świetle wieczności, która jest bez winy. Nie jako sprawa, o której przyzwoici ludzie nie mówią – w końcu przecież nie ma przyzwoitych ludzi – lecz jako piękny i delikatny, bo poprzez upływ czasu zmieniony w eter figiel młodych lat. Komiczna próba wejrzenia w tajemnice wieczności, dla człowieka i jego wiedzy na zawsze uwięzionej w tym zwykłym przybytku.

– Skoro tak ładnie prosisz... – wypuściłem nowe kółko dymu. Znów zaśnił złotem dawnego wieczoru i jego elektrycznych żarówek. – Przez całe dni łamałiśmy sobie nad tym głowę. Rostia przynosił z biblioteki różne monografie, ale wcześniej malarze nie byli całkiem realistyczni. Oglądaliśmy setki Wenus i najad, i Afrodyt, i Modiglianiego, i Renoira, ale nigdzie tego nie było...

Zrobiłem pauzę i mocno ją przedłużyłem.

– Czego tam nie było?

– Jak będziesz słuchać, to się dowiesz. Nie przerywaj mi.

W tej chwili zachrząścił klucz w zamku.

Oboje drgnęliśmy i spojrzeliśmy w stronę przeszkłonych drzwi. Za nimi jaśniały złote włosy i majaczyła szczupła postać w błękitnej letniej sukience.

– Dana, jesteś w domu? – rozległ się głos Marii. Drzwi się otworzyły i stanęła w nich Marie w pełnej krasie.

Było dokładnie tak, jak napisał Vratia. Ząb czasu na niej się wyłamał.

– *WHAT wasn't there?* – pyta Irena. – *The navel? They did paint the navel, didn't they?*

– Nie chodzi o pępek – odpowiadam. – Pępek widzieliśmy na pływalni. Już wtedy noszono dwuczęściowe kostiumy. Nie takie malutkie jak dziś, ale pępek czasem dało się zobaczyć.

– *Well, WHAT was it?*

– Ja tego nie potrafię inaczej powiedzieć niż w formie historyjki. I nie byłoby to ładne. Prawie nic nie jest ładne, jeśli nie jest opowieścią.

– *Well, tell it! TELL IT!*

– *I'm trying* – odparłem. – Zaczęło się wtedy, gdy Rostia skądś się dowiedział, że u Dreslerów zepsuła się kanalizacja i Marie przyjdzie wykąpać się w wannie do miejskiej łaźni. Jak wszystkie młode panienki lubiła się pływać w wodzie. Rostia przybiegł do mnie na próbę do knajpy Port Artur i powiedział: „Teraz albo nigdy!” Swoją drogą widać po tym, jaki był pesymista, gdy chodziło o jego przyszłość z tą Marią.

– A ty byłeś optymistą?

– Ja byłem sceptykiem. Przerwałem grę w połowie próby i pobiegliśmy do łaźni miejskiej. Tam schowaliśmy się za rogiem i czekaliśmy na Marię. Rzeczywiście przyszła. Była to zima, więc ubrała się w takie piękne paletko z kapturem obszytym białym futerkiem. Ja go nazywałem *fau fir wiktoria*.

– Co to znaczy?

– „V” jak zwycięstwo. Na plecach ten kaptur tworzył jej wielkie „V”.

– A wygrała?

Czy wygrała? Tak, chyba tak. Ale co w naszym życiu jest zwycięstwem? Powtórki o wielu wariantach, wspinały pogrzeb w czasie. Linia rodu, nie arystokratycznego, biegnąca pomiędzy dwiema mutacjami. Chyba nie

wygrała. Bo nie ma zwycięstwa. I Bóg jest pechowcem, pokonanym przez głupi wynalazek wolności.

– Nie wiem – odpowiedziałem. – My się potem już nigdy nie widzieliśmy. Ale nie przerywaj mi. Ta historia zaczęła się właściwie jeszcze wcześniej, niż Rostia się dowiedział, że Marie przyjdzie do łaźni. Zaczęła się od rozmowy w toalecie pewnej fabryki. Tam dowiedziałem się o technicznej możliwości. Ale po pierwsze, była zbyt ryzykowna, a po drugie – w willi Dreslerów mieli łaźnienkę. Ponieważ stale o tym mówiliśmy, Rostię wprost to opętało jako problem artystyczny. Problem twórczy, sztuki. I rozwiązać go mogła jedynie autopsja. Więc postanowiliśmy podjąć ryzyko, teraz albo nigdy. Jak tylko Marie zniknęła w środku, też tam wbiegliśmy i każdy z nas wykupił sobie jedną kabinę. Kiedy łaźniobna nie patrzyła, wskoczyliśmy wspólnie do jednej z nich.

– Była tam dziurka w ścianie? Ale skąd mogliście wiedzieć, że Marie będzie akurat w sąsiedniej kabinie?

– Tego oczywiście nie wiedzieliśmy, ty mądralino. Ale nie miało to znaczenia. Kabiny miały sufit z wielkich kwadratów z jakby zroszonego szkła. Było przez nie widać, ale wszystko jakieś trochę rozmazane, jakby w obłoku czy w aureoli. Taki impresjonistyczny obrazek albo jak na starych filmach, kiedy operator, pokazując detal, trochę zmniejsza ostrość soczewki. Jak Heda Kieslerová w filmie *Extáze*. Po prostu wydawało się, że to, co było za tym szkłem, emanuje jakąś aurę. I co ważne: narożna płyta w każdej kabinie była podnoszona, żeby para mogła się ulatniać. Na tym właśnie polegał nasz plan, który natychmiast zaczęliśmy wprowadzać w życie. Stałem pod tym ruchomym panelem, Rostia po moich plecach wspiął się na górę, uniósł panel i wszedł do środka. Tam wzdłuż wszystkich kabin była wąska rampa. Wiedzieliśmy o niej od Przemy, który

opowiadał o tym w fabrycznej toalecie. Rostia usiadł na tej rampie i pomógł mi wdrapać się na górę. Ale ponieważ wydobywająca się z kabin para skraplała się, więc rampa była okropnie śliska. Była też wążutka.

– To sobie wymyśliłeś – zaprotestowała Irena. – *It's like a scene from a screwball comedy.*

– Panno Svensson – odparłem. – Proszę sobie wreszcie zapamiętać najbanalniejszy truizm, że najbardziej zwariowane komedie pisze samo życie.

– Moje życie jest raczej jak rozkład jazdy.

– Poczekaj, jeszcze wszystko przed tobą – stwierdziłem. – Alchemia czasu wszystko zmieni w komedię. Wszystko. Nawet ukrzyżowanie. Ale słuchajże, *damned!* Krótko mówiąc, wyleźliśmy obaj na tę rampę i plecami oparci o ścianę, wolniutko przesuwaliśmy się w stronę kabiny, w której kąpała się Marie. Nie była daleko, zaledwie w drugiej z kolei. W pierwszej siedział w wannie jakiś grubas z łysiną, która przez szkło wyglądała jak księżyc we mgle, i bawił się czerwoną dziecięcą łódeczką. Po chwili byliśmy nad kabiną Marii. To znaczy, dotarł tam Rostia. Ja przesuwałem się za nim, dlatego jeszcze jej nie widziałem. Tylko w przerwie między kabinami dostrzegłem jej gołe nogi kawałek nad kolanami, pięknie rozplywające się w zielonkawej wodzie. I muszę od razu powiedzieć, że nie dowiedzieliśmy się tego, czego chcieliśmy, bo zaraz nastąpiło coś...

– *What kind of a story is this?* Dlaczego mi to opowiadasz, skoro się nie dowiedziałeś? *This story lacks the final effect!*

Uśmiecham się. Irena dokładnie słucha moich wykładów.

– A jaki ma być finałowy efekt, panno Svensson? Według teorii Edgara Allana?

– Mocniejszy od wszystkich pozostałych.

– Bardzo dobrze. A jeśli autor nie jest w stanie wymyślić efektu, który byłby mocniejszy od poprzedzających, to jakie ma pozostawić zakończenie?

– Otwarte.

– Świetnie! Jak Pym, który wpada w przepaść wirów wodnych i widzi tajemniczą, nadludzką postać, białą i groźną...

– *Oh, God!* – wzdycha zniecierpliwiona Irena. – W jaką przepaść wy wpadliście? I jaka biała postać?

W jaką przepaść? *Vanitas vanitatum, ubique semperque vanitas?*

– W tym opowiadaniu – kontynuuję – jedynym mocniejszym efektem niż nasze oczekiwania byłoby złoto. Ale wtedy by z tego powstała bajka, natomiast tu mamy do czynienia z czystym realizmem. Może realizmem narodowosocjalistycznym, bo działo się to w czasie wojny. Więc ponieważ nie mogło to być złoto, życie pozostawiło nam otwarty koniec. Nie dowiedzieliśmy się tego. Ale ja jednak się dowiedziałem...

– To dowiedziałeś się czy...

– ...choć było to w innym kraju, a poza tym ta dziewczyna jeszcze się wtedy nawet nie urodziła. Po prostu trzeba posłuchać, panno Svensson. Rostia na tej rampie nagle się poślizgnął i na moich oczach, ze strasznym brzękiem tłuczonego szkła, zniknął w kabinie Marii jak diabeł w piekielnych otchłaniach. Z dołu rozległ się plusk wody, Marie przeraźliwie krzyczała, a ja dostrzegłem, że Rostia wisiał na ręce, trzymając się ramy tego wybitego panelu. Zauważyłem, że spomiędzy jego palców trysnęła krew. Ale w tym momencie już jak najszybciej wycofywałem się po rampie i po chwili wskoczyłem do naszej wspólnej kabiny, błyskawicznie porwałem swoje ubranie, a potem – Bóg wie jakim cudem – wygramoliłem się znów na rampę i z góry wskoczyłem do sąsiedniej kabiny, którą też wynajeliśmy. Tam położyłem się do wanny, ale ponie-

waż wpadłem w panikę, wskoczyłem do niej w majtkach. Z kabiny, do której wpadł Rostia, wciąż dobiegał straszliwy wrzask. Ta Marie potrafiła krzyczeć, mówię ci! Potem usłyszałem walenie w drzwi, gdy łazienka zaczęła się do nich dobijać, a po chwili przyłączyły się jeszcze głosy różnych ciekawskich z poczekalni. Pomyślałem, że mogłoby być podejrzane, dlaczego też się nie przyłączyłem, więc wybiegłem na zewnątrz w tych mokrych gaciach, ale na szczęście nikt tego nie zauważył. Wszyscy naturalnie interesowali się Marią, która stała przed swą kabiną opatulona w ręcznik i cała się trzęsała. Nie z powodu zimna, tylko po prostu była strasznie i szczerze przerażona. Trudno się zresztą dziwić, skoro nagle z sufitu spadł jej do wanny półnagi facet! I wciąż jeszcze jęczała. Och, Ireno, jak ona wspaniale jęczała! Nigdy wcześniej i już nigdy potem nie słyszałem tak jęczącej kobiety! Po chwili z kabiny wyłoniła się łazienka i za ucho wyprowadziła stamtąd Rostię, z którego dosłownie tryskała krew. Nie tylko z rąk, bo miał jeszcze okropne zadrapania na brzuchu i na plecach; miał też... – przerwałem.

– Co miał?

– *Well, he had a hard-on.*

– *This is not a screwball comedy* – powiedziała Irena i zmarszczyła brwi. – *This is hard-core porno.*

– Możliwe. Ale tak to już jest na świecie. Wszystko zależy do tego, po co się coś opowiada.

– A ty czemu opowiadasz?

– Z powodu radości, żalu i smutku życia i śmierci, Ireno.

* * *

– No, to mamy naprawdę niespodziewanych gości!

– wykrzyknęła Marie.

– Nie mogłaś przyjść chwilę później, Marie? – spytała z wyrzutem Dana.

Marie badawczo spojrzała na swoją córkę, a potem ostro na mnie.

– Dlaczego później?

Dana i ja byliśmy skonsternowani.

– My tu sobie rozmawialiśmy – powiedziała Dana.

Ciągle wesołe oczy Marii podejrzliwie lustrowały przestrzeń, skrytą w gęstym dymie mojego cygara.

– Przecież możecie sobie spokojnie rozmawiać w mojej obecności, kotku.

– To już nie będzie to samo.

– A o czymże tak rozmawialiście?

– No, ogólnie... o życiu.

– A przypadkiem nie rozmawialiście też o Marii?

Spojrzelśmy po sobie z Daną.

– Ale wyłącznie o przyjemnych rzeczach.

– Tylko czy również odpowiednich?

– Nie wiem, czy odpowiednich. Pan dopiero zaczął...

– odparła sprytnie Dana.

– To niech pan kontynuuje, proszę pana – zwróciła się do mnie Marie i usiadła w fotelu na miejscu Dany. Spod krótkiej sukni wysunęły się jej białe kolana, wciąż takie same jak dawniej. – Mnie jakby tu nie było.

– No tak – wtrąciłem się. – Ale już tu jesteś.

Błękitne oczy opasały półkole, ode mnie do Dany i z powrotem.

– Czyli chyba nie było to nic odpowiedniego dla dziewcząt w wieku szkolnym?

– Wiesz co, Marie? – stwierdziła Dana. – Ja was tu zostawię, niech pan ci sam powie, a jeśli uznasz to za odpowiednie, to mi potem opowiesz, dobra?

Już chciała wstać, ale Marie powiedziała jeszcze:

– Idź coś zrób na kolację. Pan z pewnością jest głodny, nieprawda? – odwróciła się w moją stronę, a potem z powrotem w kierunku Dany. – Ten wujek ma na imię Danny.

– Ja wiem. Po mnie – odpowiedziała beczelnie Dana i zniknęła za przeszklonymi drzwiami we wnętrzu mieszkania.

– Coś ty jej naopowiadał? – spytała Marie. Zupełnie jakbyśmy się ostatni raz widzieli wczoraj na pływalni.

– Ależ nic takiego, Marie – odparłem. – Opowiadałem jej, jak pewnego razu wujek Rostia wpadł do wanny.

– W której byłam ja.

– Tego jeszcze nie zdążyłem jej powiedzieć. I właściwie ten fakt chciałem przemilczeć.

– Ona by się domyśliła – oświadczyła Marie. – Zresztą nie bardzo potrafię sobie wyobrazić, jak w tej historii można by przemilczeć akurat to. Nie doceniasz inteligencji mojej córki. A zwłaszcza tego typu inteligencji. Ten ma chyba po tobie.

– Podobnie jak imię?

Maria wpatrzyła się w swój podolek pod lekkim błękitnym materiałem i zagadkowo się uśmiechnęła:

– Zgadnij!

– No, dla mnie to jest jasne – stwierdziłem. – Nie ma na imię ani Rostienka, ani Alberta, ani Czeńka, ani Leopolda – zacząłem wymieniać tych, których również fascynowało wielkie „V” jak Viktoria. – I już na pewno nie Frantiszka.

– Zapomniałeś o Rudolfie i Gustavie – roześmiała się Marie.

– A kto to był Gustav? – spytałem.

Jego nie znałem.

– Ten saksofonista altowy, co grał z Kowarzikim z Ołomuńca.

– Tak? Tego nie wiedziałem...

– I to jak! – westchnęła Marie. – Ale kiedy zszedł mi z oczu, to jeszcze szybciej zniknął z myśli. Widać tak szybko, że nie zdołałeś go zarejestrować. W dodatku wtedy kochałeś się w Irenie, więc ja miałam wolne.

– Ja Ireny nigdy nie kochałem, Marie. Zawsze tylko ciebie.

– Wiem, bo już mi to mówiłeś. Wiele razy.

– Ty mi nie wierzysz?

– Wierzę. Przecież jak myślisz, dlaczego ona ma na imię Daniela?

– To dlaczego nie wyszłaś za mnie, Marie? – spytałem ze smutkiem.

– Żeby Dana została schizofreniczką?

– Ja przecież...

– Ty masz wspaniale rozdwojoną osobowość, Daniczku. A może nawet podzieloną na pięćdziesiąt kawałków czy jak by to powiedzieć. Nawet jak kłamiesz, to mówisz czystą prawdę. Zarówno mnie, jak Irenie. Jej może czyściejszą.

– Na pewno nie!

Marie się roześmiała. Zachodzące słońce zmieniło jej wydatne wargi w malinę. Boże, pomyślałem sobie, czy rozmowa nie jest istotą wszelkiej rozkoszy człowieka?

– Ależ ja ci wierzę – powiedziała Marie. – Panowie zawsze wolą blondynki.

– Ja cię naprawdę kocham, Marie.

– Ja ciebie też. Jak myślisz, dlaczego nie wyszłam za ciebie?

– No wiem – odparłem markotnie. – Z powodu tej schizofrenii.

– To też. Ale zwłaszcza dlatego, że ty byłeś takim nierzeczywistym ukochanym. Nie chciałam cię stracić w jakiejś beznadziejnej rzeczywistości.

Boże, jak ktoś może twierdzić, że kobiety mają kurzy mózdzek? Przecież mają przynajmniej słoni, albo wielorybi. Są mądrzejsze od nas. My mamy jedynie większą wiedzę. I to też nie jest pewne.

– Ale nie musiałeś opowiadać Danie o takich idiotycznych epizodach naszego życia.

– Jak chodzi o ciebie, Marie, to nie potrafię się opanować!

Marie założyła nogę na nogę, a ja czułem się jak w dawnych czasach.

– Oczywiście ona ma swoje informacje – stwierdziła. – Po pierwsze, sporo wygadałeś w tym swoim musicalu, i w dodatku dodałeś tam o mnie rzeczy, które robiłeś z Ireną. A ponadto Dana odkryła twoje listy, więc byłoby naiwnością coś przed nią ukrywać.

– Ona ci o tym powiedziała? Że czytała nasze listy?

– Co z ciebie za znawca dziewczęcej psychologii, Daniczku – westchnęła Marie. – Na szczęście, jak każda panienka w jej wieku, ma w głowie wiele różnych spraw, więc wśród tych listów zostawiła kartkę pocztową od jakiegoś chłopaka z Pragi. Pewnie zaznaczyła sobie miejsce, do którego przeczytała.

– To by chyba znaczyło, Marie – powiedziałem powoli – że ty też czytasz te listy!

Marie się spieszyła i chyba lekko zarumieniła. Ale może to był efekt zorzy wieczornej.

– No, czytam – przyznała. – Nie będę zaprzeczać. Czytam, kiedy czuję, że się starzejemy. To bardzo budująca lektura. Pokazuje, że się nie zmieniamy. To są takie same głupie historyjki, jak w tym twoim niedawnym dziele scenicznym. Ty w ogóle nie przeszedłeś żadnej ewolucji.

Patrzyła na mnie wesoło oczami jak błękitne niezapominajki i była bardzo piękna.

– Nie zmieniłem się – odparłem z dumą. – I nawet nie chcę. Nie zmienić się to znaczy pozostać wiernym. I widzieć wszystko nieużytymi oczami. Jedyna ewolucja to ewolucja na gorsze. Takie jest prawo natury.

– Ludzie, ja myślałam, że ty jesteś opowiadaczem bzdurnych historyjek, a z ciebie się stał prawdziwy filozof!

– Kolacja na stole!

W otwartych drzwiach stała „Marie”, nazwana na moją cześć Danielą.

* * *

Jedliśmy kolację w białej kubistycznej kuchni z lat dwudziestych. Przez francuskie okno wychodzące na ogród było widać Czarną Horę, a nad nią księżyc koloru miodu. Obgadaliśmy wszystkich po równo: Irenę, jej męża-raptusa, Zdeńka, który z jej powodu się wieształ, ale urwał się sznur, a potem skutecznie się powiesił z powodu jakiejś panienci z Pragi; chłopaków z kapeli i ich małżeństwa, skoki w bok i życiowe karambole; Rostię i jego żonę, o której Marie wyrażała się bardzo jadowniczo, jak to baba (choć żona Rostii była aniołem); leniwego brata Marii, który zapisał się do Partii i pracuje jako powiatowy sekretarz organizacji gimnastycznych, mając za zadanie przygotować raz na miesiąc raport o postępach w treningu młodszych junierek, za co ma tysiąc osiemset koron i osiemnastoletnią sekretarkę. „Ładną?”, spytałem. „Za takie nicnierobienie chciałbyś chyba za dużo”, odparła Marie. Plotkowaliśmy dalej, o rzeczywistym ojcostwie dzieci niektórych naszych starych przyjaciół, przy czym Dana zwróciła uwagę, że podobnie jak ja ma podwójny kieł, a Marie z przesadnym zapałem zaczęła ją przekonywać, że Koczandrle też taki miał, lecz jeden kieł wybił sobie jako nastolatek podczas gry w hokeja. Zupełnie to zmyśliła, bo Koczandrle nigdy w życiu w hokeja nie grał. Ja wtedy spytałem, o której wróci Franta, na co Dana wstała i oświadczyła, że pójdzie otworzyć tylną furtkę w ogrodzie, a trzeci talerz szybko wstawi do zlewu, jak tylko usłyszy, że ktoś otwiera drzwi na werandzie. Było nam razem bardzo dobrze; tworzyliśmy jakąś nierzewyżystą rodzinę, aż wcale mi się nie chciało do domu.

Ale właściwie gdzie ja mam dom? Jednak nieubłaganie zbliżała się północ, kiedy pan domu zwykł był wracać z knajpy. Cóż było robić, wstałem, a Marie i Dana odprowadziły mnie na werandę. Stały tam jak dwie Marie, taka fizyczna schizofrenia – dwie dziewczyny w złotych koronach na głowie, skąpane w srebrnym świetle majowej nocy. Pomachałem im na pożegnanie i po chwili willa zniknęła w mroku.

Kiedy skręcałem w główną ulicę, w miejscu, w którym zawsze zatrzymywały się zjeżdżające z Czernej Hory sanki, usłyszałem za sobą lekkie kroki. Obejrzałem się. Była to Dana niosąca pudełko cygar, które nieopatrznie zostawiłem na stole.

– Wujku Danny – powiedziała. – CZEGO tam nie było na tych Renoirach i Modiglianich, a co miała Marie?

– Tego ci nie powiem – odparłem. – Marie uznała, że nie byłoby to właściwe. A poza tym ty to też masz. Więc pomyśl.

Odwrociłem się.

– Ja i tak sobie to sprawdzę w listach – odezwała się za mną Marie zwana Daną.

– Tego tam nie ma – powiedziałem i ponownie się odwróciłem w jej stronę. Marie zwana Danielą stała w dżinsach i podkoszulku, który lśnił w ciemnościach, a w świetle księżyca miała włosy bardziej złote niż aureola wokół głowy Marii Panny w auli gimnazjum, którą to figurę ustawił tam kiedyś własnoręcznie wilebny ksiądz Meloun. Dana stała przede mną, a głowa świeciła jej jak czyste złoto. – Tego tam nie ma – powtórzyłem. – Marie nigdy się nie dowiedziała, że też tam byłem. Myślała, że znam to tylko z opowieści Rostii. Cześć, złota główko! – powiedziałem i ruszyłem do miasta.

Potem już nigdy w życiu nie zobaczyłem ani Marii, ani mojej duchowej córki.

Drogi Danielu,

w pierwszych słowach mojego listu pszyjmij serdeczne pozdrowienia często o tobie myślę. Mamy już w tym roku po żniwach i teraz mam więcej czasu na pisanie Tobie. W tym roku sie żniwa udały myślę że mniej więcej pułtora do dwóch kwintalów z hektara. Nasza spółdzielnia była oceniona jako tszecia najlepsza w całym powiecie. Dostaniemy dwanaście albo tszynaście koron za jednostke bo spółdzielnia była oceniona jako tszecia najlepsza w powiecie. Napisałem o tym artykuł do Prawa Ludowego gdzie go wydrukowali i zapłacili mi za niego 70 koron. Napisanie zabrało mi nie więcej jak dwie godziny co daje 35 koron na godzinę ile płącom tobie za godzinę? Ten artykuł miał 40 linijek a jak go wydrukowali 15. Myślę że 35 koron na godzinę to jest dużo. Na wiosnę znów napisze artykuł o tym jak sialiśmy.

Nasza Spółdzielnia ma 70 krófi i 3 konie a tesz ubocznom produkcje pisanek i konopianych sznurów. Każdy człowiek ma tesz swoją działkę i na niej może chodować co chce. Ja głównie hoduje szwabki to jak u nas nazywaliśmy kartofel albo ziemniaki. A to dlatego że pszywótcy mówili, że ziemniaki nam nie obrodziły z powodu warunków naturalnych a także przez wrogów ukrytych w spółdzielniach to ja je wtedy sprzedaje z dużym zyskiem i pomagam w ten sposób państwu. Swiniaki karmie jedzeniem z knajpy gdzie robi mąsz kuzynki mojej kobity jako kierownik.

Teras chciałbym ci napisać trochę o rodzinie. Jak wiesz moja curka Sulejka to jest imię gruzińskie dziewczęce ma osiem lat w tym roku i jest domnie bardzo podobna ma nos jak ja tylko u dziewczyny to nie przeszkadza. Włosy ma czarne jak cygan po dziadku. Chodzi do drugiej klasy 8-latki i umie się już podpisać i liczy do 20, ale narazie jeszcze na liczydłach radzieckich zwanych chozraszczoft. Bardzo się niom cieszymy zwłaszcza moja żona bobyśmy chcieli więcej takich dzieci ale na razie nie mamy tylko moją curkę Sulejkę. To imię

chciała moja kobita z piosenki *Gdzie ty jesteś ma Suleiko*. W tym roku zmar teść co był 3 lata zamknięty za antypaństwowe rozmowy i podbużanie ludzi. Niechciał wstąpić do spółdzielni był to rekcjonista i swoje własne 2 konie zabił aż go zamkli. Zmar we więźniu nie był jeszcze taki stary. Teściowa jeszcze żyje ale też nic nie warta.

Muj bracha Olda i jego żona Litwinka inżynierka mają teras chodowle królików angorskich i skurki dostarczają do Kostelca do fabryki która pszedtym była ich. Stale są prywatna incjatywa tylko nikogo nie wyzyskują od kiedy im przed dwoma laty zabrali fabrykę jako ostatniom w powiecie w 1952 roku i moja szwagierka Litwinka inżynierka sie wzięła za chodowle krulików angorskich ale teraz jusz bez wyzyskiwania pracownikuw. Buk da że im tego nie zabiorą bo jusz nikogo nie wyzyskujom.

Kupiliśmy sobie loduwke i mam talon na telewizje to jest wielkia zdobycz kulturalna która przed wojnom w czasach prywatnego gospodarowania nie była możliwa. Nasz prezes naszej spółdzielni ma samochót *Spartak* a kilka innych od nas ma motory jawa ja też chce sobie niedługo kupić motor jawa z pszyczepą żebym mógł wozić swoją żonę i swoją córke *Sulejke* na jarmarki i gdzie indziej co przed wojną też nie było możliwe.

Tesz mi sie lepi żyje pod względem kultury do naszego powiatu przyjeżdza czasem teatr objazdowy i widzieliśmy sztuke dramatopisaza *Jana Vrchcolaba*. Taka wierna miłość która była bardzo ładna chociaz smutna bohaterka popełnia samobójstwo bo jej nie zrozumieli. Do kina też chodze dwa trzy razy w miesiącu i byłem na *Pan Habetin* wyjeżdza co było też dobre tylko nie bardzo ciekawe, też *Mój przyjaciel Fabian* co mi sie wcale niepodobało bo cyganuf nie lubie kradną nam w spółdzielni kury jusz ich więcy jak 3 złapałem i oddałem na milicje gdzie ich zamkli. Są to złodzieje i brudasy obdartusy upijają się i biją i nic nie umią tylko grać na skrzypcach. Tesz widzieliśmy film *Pan Anioł* na urlopie z *Marvanem* co było bardzo ładne. Tylko aktorki mieli dawni lepsze taka *Barova* albo *Mandlova* czy *Hajde Mari Hatajer* to dopiero były kobity. Ale nie powinnem tego

pisać bo jakby zobaczyła moja kobita tobym dopiero miał gadania. Na koniec mojego listu pszymnij serdeczne pozdrowienia często o tobie myślę

Tfój stary przyjaciel

Lojza

* * *

Szła przez łąkę w męskim raglanie, wyprodukowanym chyba w roku mojego urodzenia. Już z daleka jej oczy świeciły światłem, którego ponoć nie ma. Wyglądała jak Narzeczona Śmierci – obrazek, który zapamiętałem ze starej księgi bajek. Przerazający Schweiger namalował ją tam, zanim się urodziła. Ogromne, krwawe słońce nad czarnym lasem, na skraju czarnego cienia lasu wychudzona biała twarz i bijące z oczu światło, które wręcz podpałało chałupę Pejskara. Wydawało mi się, że dziewczyna utyka. Patrzyłem na nią przez okno, ale ona nie mogła mnie widzieć. Nawet promieniami lasera swych oczu. Krył mnie złoty pożar zachodzącego słońca, odbity w lustrze okien. Nie ruszałem się. Spłonąłem w tym pożarze, śmieszny aktor nieudanego sabotażu, goguś Danny.

Była już całkiem blisko, na drewnianych schodkach chałupy zadudniły jej buciory. Słyszałem, jak ciężko od-
dycha. Otworzyłem drzwi.

– Nadia!

– Daniel!

Objąłem ją. Pod raglanem z roku mojego urodzenia nie było już chyba nic. Kiedy ją puściłem, powiedziała:

– Najpierw muszę sobie usiąść. Jestem strasznie zmachana.

Istotnie była. W dodatku wyglądała jak namalowana. Na białych policzkach wyskoczyły jej okrągłe czerwone rumieńce jak na drewnianej lalce. Też malowali je białą farbą, a policzki na czerwono.

Wzdrygnęła się.

– Napalę, dobra?

Przytaknęła niemo, bo chwycił ją atak kaszlu. Zrobiło mi się smutno.

– I zrobię kawy. To znaczy cykorii, bo kawy tu nie mam.

Rozpaliłem w blaszanej kozie i już po chwili w izbie zrobiło się przyjemnie ciepło.

– Daniel, mogę tu zostać na noc?

Drgnąłem.

– A co... z Frantą?

– Franta pojechał do ciotki do Rounova i będzie tam co najmniej do pojutrze. Ciotka jest bardzo chora, a nikogo nie ma. A do fabryki Franta już nie chodzi... tam już prawie nikt nie chodzi...

– Jasne, że możesz, Nadiu.

Zdjęła ten przeraźliwy raglan. Pod nim miała wciąż tę samą szarą spódnicę jak worek i barchanową bluzę w kwiatki. Z przepastnych kieszeni palta wyłowiła bułeczki od ciotki Venhodovej. Więc piliśmy cykorię i zagryzaliśmy bułeczkami. W kozie trzaskał ogień, ale Nadia przez cały czas drżała, jakby jej było zimno. Milczeliśmy. Po chwili ona odezwała się pierwsza.

– Ta dziewczyna, co z nią jeździłeś na sankach, to... twoja dziewczyna?

– Nie, to tylko jedna... koleżanka. Ona chodzi z innym.

Spuściła głowę i wpatrzyła się w obtłuczony garnuszek.

– Nasz tata nie wróci. Ja to wiem. Ale może wróci ta panna Silbernagel. Młodzi ludzie więcej mogą wytrzymać. Jeśli są zdrowi – powiedziała.

Całkiem zapomniałem o filizance, którą zobaczyła u nas w kuchni. Było to zresztą już dawno, jakoś zimą. I zapomniałem też, co jej nakłamałem o Rebecce.

– Rebeka wróci – odparłem. – Była bardzo zdrowa. Pływała wyczynowo jako młodsza juniorka w SK Kostelec.

– Ożenisz się z nią?

– No... – to pytanie niemal mnie znokautowało i poczułem się jak straszny oszust – ... kto wie, czy jeszcze mnie zechce. Bóg wie, co ona tam przeżyła...

– Ale przecież chodziliście ze sobą?

– No... tak. Trochę...

Wstyd z powodu niemoralnego oszustwa niemal zaparł mi dech w piersiach, choć wszystko to było w sumie dość absurdalne. Przecież to ona była zaręczona, a ja wolny jak ptak, bo na temat Rebinki łągałem jak najęty. A mimo to poczułem się jak łajdak.

– My z Frantą weźmiemy ślub, jak tylko będzie po wojnie – powiedziała Nadia. – Już byliśmy na naukach. A zapowiedzi będziemy mieli tylko raz, bo ksiądz proboszcz nas zna od małego...

Chciałem jak najszybciej zmienić temat, więc spytałem:

– A już ci jest lepiej? Pisałaś, że bierzesz jakieś proszki...

– Tak – odpowiedziała. Upiła łyk z garnuszka i ze wzrokiem wbitym w omszały blat stołu ciągnęła dalej. – Ale wiesz, Daniel, ja i tak szybko umrę. Nawet dzieci się nie doczekam.

– Co... co ty opowiadasz, Nadia! – krzyknąłem, bo jej słowa naprawdę mnie замуrowały. – Po wojnie będziesz się leczyć!

– Ja się nie boję, Daniel – mówiła dalej łagodnym głosem i z takim spokojem, jakby opowiadała o bułkach w sklepie. Ja niemo wytrzeszczałem oczy. – Wszyscy ludzie muszą umrzeć. Mnie jest tylko żal, że się już nigdy nie zobaczymy. I że zostawię tu Frantę i nie będziemy mieć dzieci.

– Nadia!

Przełknąłem łzy. Tym razem nie wzruszałem się swoim losem, jak zawsze do tej pory. Nagle zdałem sobie

sprawę, że Nadia ma rację. Za oknem księżyc pojawił się w miejsce słońca; zniknęły też rumieńce z twarzy Nadii. Ma twarz białą jak całun, pomyślałem. A pod oczami głębokie, ciemne cienie. Na ich tle tym bardziej odznaczał się pałający wzrok. Była piękna i straszna. Wciąż mówiła jakby do siebie:

– Ale co tam Franta. On się ożeni, bo jest jeszcze młody. A tata i tak jest już na Sądzie Ostatecznym. Zobaczę go szybciej, niż myślałam.

– Ty tak... – wyrwało mi się, ale zaraz umilkłem. Jednak przywołałem ją w ten sposób z jej świata, do którego ja zupełnie nie pasowałem. Nigdy tam w życiu nie dotarłem i nie mogłem dotrzeć, choć potem nieraz bardzo chciałem.

– Co mówisz, Daniel?

– Że... to bardzo ładnie, że... tak w to wierzysz... że masz taką... wiarę...

Patrzyła na mnie ta piękna i biedna dziewczyna, ale nie rozumiała, co mówię.

– Przecież jestem wierząca katoliczka. Jak ty.

Przytaknąłem ze strasznie nieprzyjemnym poczuciem, że jestem oszustem. Świnia. Łobuzem. Brakowało mi synonimów.

– Może najpierw będę musiała iść do czyścica – stwierdziła. – Ale do piekła chyba nie. Dwa razy w roku chodzę do spowiedzi i świadomie nikogo nie skrzywdziłam... – spuściła głowę – ... tylko Frantę, ale... nie potrafiłam na to nic poradzić.

Miałem wielką ochotę powiedzieć jej, że na pewno pójdzie do nieba, bo dokąd musieliby trafić inni. Dla innych nawet piekło to za mało, a jeśli nie, to dla niej jest za mało niebo. Tylko że żadnego nieba nie ma. Ani piekła. Ani życia wiecznego. W tym momencie miałem co do tego pewność. Skąd brałby się ten smutek, gdyby śmierć była tylko jakąś mutacją? W tym strasz-

nym wszechświecie przecież nic pięknego nie może istnieć wiecznie. On się opiera na okrucieństwie i obojętności. Nie istnieje w nim nic sprawiedliwego. Jest pusty, a najwyżej siedzi w nim gdzieś jakiś gangster, Al Capone wszechświata. To wziętem z jakiegoś wierszyka tego biedaka, którego żona umarła z powodu guza mózgu. Al Capone wszechświata. A Nadia umiera. Pierwszy raz w życiu w ten sposób bluźniłem, niszczone tym smutkiem, który był udziałem wszystkich żywych, bo ten gangster wymyślił śmierć, ale sam jej uniknął. O tym wszystkim jej jednak nie powiedziałem. Ale też nie potrafiłem jej pocieszyć, że pójdzie do nieba. Aż tak nie umiałem kłamać.

– To moja wina – stwierdziłem zamiast tego. – Nie twoja.

– Ale skąd, Daniel. To kobieta zawsze jest winna. Jak ona nie chce, to nic się nie zdarzy.

Znów się zatrzęsała.

– Tobie jest zimno?

Pokręciła głową.

– Mam gorączkę. Mogę... Mogę się już położyć, Daniel?

Była chora. Rozpakowałem koce i pościeliłem jej na tapczanie – jeśli można to było nazwać pościeleniem. Wstała i powiedziała:

– Odwróć się na chwilę, Daniel.

Odwróciłem się. Dołożyłem do pieca. Otwory w drzwiczkach rzucały na ścianę obrazy pięknego tańca ognia. Drewno strzelało.

– Już możesz – odezwała się po chwili.

Spojrzałem w jej stronę. Leżała na tapczanie przykryta po brodę. Na kocu rozpostarła jeszcze swój raglan z czasów moich narodzin. Włosy na brudnej poduszce otaczały piękną, bladą twarz.

-- Chodź do mnie, Daniel. Nie gniewaj się!

Jak ja mogłem się na nią gniewać? Zrzuciłem z siebie ubranie i wsunąłem się do niej, pod ten raglan. Objąłem ją. Była już strasznie chuda. Niewinna, biedna Nadia.

* * *

Obudziłem się w nocy. Na niebie świecił księżyc w pełni, ale mnie się zdawało, że patrzę w absolutną ciemność. W czarny mrok. Po chwili uświadomiłem sobie, że Nadia nie śpi i wpatruje się w moją twarz.

– Kochasz mnie, prawda, Daniel? – odezwała się, gdy zauważyła, że nie śpię. – Ja ciebie bardzo. Ale wiesz, ja w związku z tobą mam takie myśli... bluźniercze...

– Jakie, Nadiu?

– Że to... no, to jest grzech... Straszny. Też z powodu Franty. Ale ja...

Załkała. Po raz pierwszy w życiu widziałem ją płaczącą.

– Nie płacz, Nadienka! To nie jest żaden grzech. A nawet gdyby był... – Jezu miłosierny, mówiłem dalej, ale już w duchu, bo w nic nie wierzyłem. Jezu czystego serca. Czystego serca!

– To jest grzech – łkała dalej. – Przecież wiesz! Przecież też jesteś wierzący chrześcijanin!

Jezu, który ponoć gładzisz grzechy świata!

– Ale przecież sama mi napisałaś, że młoda dziewczyna musi się wyszumieć, Nadiu...

– To się tylko tak mówi. Ale nie powinno się pozwalać, żeby to doszło aż... Człowiek powinien walczyć z pokusą. Ale... wiesz co, Daniel?...

– Co, Nadienko?

– Mnie się wydaje, że ty nie jesteś pokusą. Ty jesteś... mój... Jesteś taki... taki mądry, Daniel...

Ja mądry? Jezu niesprawiedliwy! Jezu głupi, szalony, zły, naigrawający się z naszej ślepoty...

– Ja jestem raczej idiota, Nadiu!

– Nie jesteś. Przecież masz szkoły. Ale kochasz mnie, prawda?

– Bardzo. Bardzo cię kocham, Nadiu!

Przywarła do mnie dużymi, gorącymi ustami, a moje palce zapadły się w zagłębienie pomiędzy delikatnymi, wychudłymi żebrami Nadii. Pomyślałem o figurkach Chrystusa, kiepsko wystruganych z drewna przez ludowych rzeźbiarzy z Czernej Hory, o ich klatkach piersiowych jak kosze na bieliznę. Nadia odchodziła z tego świata. Kogo bogowie kochają? Jezu Niezrozumiały. Opanował mnie straszny gniew i żal, duszący, dławiący żal. Nadiu, wybacz mi, mówił mi w głowie jakiś głos, znajomy, gdzieś zasłyszany. Wybacz mi, córko, że cię stworzyłem. Przebaczcie mi, wszyscy zamęczeni. Ja, nędzny grzesznik, spowiadam się tobie, Nadiu, że bardzo zgrzeszyłem. Wszechnogą, niemiłosierny, niemądry...

Zasnąłem i śniło mi się, że jadę na stepowym koniku na spotkanie jakiegoś wielkiego, pogańskiego księżyca, patrzę nań z czeluści ciemnej jaskini, że w moim mózgu z ciężkiego, bezsennego dyluwialnego-aluwialnego snu z trudem przedziera się pytanie, jest wciąż takie samo, pod księżycem na tej prerii i tu, na brudnym tapczanie chałupy Pejskara; sam Bóg nie potrafi na nie odpowiedzieć, a tym bardziej mniejsi bogowie tego świata, niematerialni, ale ciężsi niż masa Jowisza... Usnąłem w objęciach umierającej dziewczyny... usnąłem i być może już nigdy się nie przebudziłem...

Rano Nadia miała wysoką gorączkę. Odprowadziłem ją przez las aż do Chaty Jiráska na Czernej Horze, ale zatrzymałem się na skraju lasu, żeby mnie tak rano nie zobaczył nikt z wioski. Po drodze musiałem ją podpierać, bo była bardzo słaba i kilkakrotnie chwyciła ją ataki kaszlu.

Patrzyłem za nią, jak powoli oddala się w ciężkich buciorach i obszernym raglanie, jak wspina się na goły

szczyt Czernej Hory, przechodzi obok kamiennego krzyża i zbliża się do pierwszych zabudowań.

Potem już tylko raz w życiu ją widziałem.

A potem zobaczyłem już tylko jej...

7

Tylko poetyckość niszczy poezję...

Vladimír Holan

Gdyby mocarstwa Osi miały przegrać wojnę, większość prawdziwych faszystów, którzy by przeżyli, przeszłaby do komunistów. Potem zasypalibyśmy rów, który dzieli obie rewolucje.

Ardengo Soffici, ideolog i minister z czasów Włoskiej Republiki Socjalnej Mussoliniego, 1943–1945

Moja ukochana Lido,

jestem tak oburzony, że nawet chyba nie powinienem teraz do Ciebie pisać. Zastługujesz tylko na listy miłosne ode mnie, ale oboje wiemy, że świat jest walką przeciwieństw, więc może sprawi Ci radość, gdy napiszę o swoim oburzeniu i nienawiści. Tylko sobie wyobraź: mój najlepszy przyjaciel Lincoln, o którym tyle Ci opowiadałem, z którym razem dorastaliśmy i stanowiliśmy jedną duszę, czytał... Sołżenicyna! I nie tylko to, on jeszcze w to uwierzył!!! Starał się mnie namówić, żebym też przeczytał! A kiedy mu odpowiedziałem, że nie wiem, po co miałbym się zajmować takim świństwem, stwierdził, że powinienem też poznać odwrotną stronę socjalizmu! Spytałem: Po co? Ale on tego nie rozumiał! Spytałem: Dlaczego miałbym poznawać tzw. „prawdę”, o której pisze ten faszysta i której oprócz niego nikt nigdzie nie widział?! Mnie wystarczy prawda, którą widziałem na własne oczy! Przecież byłem w Pradze, poznałem to przepiękne miasto i tych szczęśliwych, wesołych ludzi w teatrach i piwiarniach! Przecież znam Ciebie – a Ty, choć się tam urodziłaś i mieszkasz przez całe życie, też nigdy niczego takiego nie widziałaś!

Lincoln bardzo mocno mnie rozczarował, moja droga Lido. Dopiero wczoraj trochę się uspokoiłem. Odwiedziłem bowiem restaurację, w której spotykają się towarzysze z organizacji miejskiej w Toronto, i towarzysz Goldstick dał mi do przeczytania artykuł z amerykańskiego partyjnego czasopisma „The Working Man”, w którym towarzysz Gus Ball bardzo zdecydowanie i bezkompromisowo rozprawił się z Sołżenicynem. W jego artykule znalazłem tak prawdziwe słowa, że nawet dzięśięć „Archipelagów Gułag” nie jest w stanie ich podważyć: „Na moich mapach na próżno szukam jakiegoś archipelagu Gułag – pisze towarzysz Gus Ball. – To jest oszustwo! Nigdzie na świecie nie istnieje taki archipelag. Został od początku do końca wymyślony i skłamany! Żyje tylko w nienawiści wypełniającej głowę A. Sołżenicyna, autora bezużytecznej książki. Nie ma sensu szukać archipelagu Gułag! Trzeba o nim zapomnieć!”

Taka jest prawda! Zdrajcy w rodzaju Sołżenicyna są jednak tak pełni nienawiści, że nawet gdyby żaden archipelag Gułag nie istniał, oni i tak by go wymyślili tylko po to, żeby oczerniać świat socjalizmu!

Nie miej mi więc za złe, najdroższa Lido, że dziś nie piszę Ci niczego o tym, o czym najbardziej chciałbym Ci napisać. Chciałbym Cię całować i wchłaniać wilgoć Twego słodkiego ciała – a Ty pewnie też. Ilekroć przypominam sobie, jak byliśmy razem w Pradze, wewnątrz mojej osobowości napręża się tą wielką mocą mojej miłości do Ciebie...

Całuję Cię wszędzie, wszędzie

Twój Booker

* * *

Irena połała frytki gęstym keczupem i podała butelczkę Sharon. Ta użyła jej do tego samego celu i przekazała Bellissimmowi. Bellissimmo przyozdobił najpierw frytki Vicky, a potem swoje, i przesunął keczup na drugą stronę stołu, do Teda Higginsa. Rytuał się powtarza: Higgins szarmancko połał najpierw frytki Wen-

dy McFarland. Odmawia tylko Jenny Razadharamithan, która je coś równie rytualnego, podobnego do pieczonego krawata. Odmawia również Hakim, który na swoje frytki nałożył musztardę, a na wierzch szmaragdowo-zieloną galaretę.

Oprócz frytek lśniąca, chromowana, zaautomatyzowana i absolutnie sterylna edenvaleska kafeteria poleca jeszcze trójkąty zwane fish and chips (z frytkami) oraz kwaśną mieszkankę marchwi, groszku, ziemniaków i posiekanego hamburgera, pod nazwą beef stew. W automacie Canteen Canada można kupić pięć rodzajów innych trójkącików, noszących dźwięczne nazwy ham, ham and cheese, tuna, cornbeef oraz chicken salad sandwich, a także cztery rodzaje gumowego pieczywa. Błyszczący ekspres wydaje powodującą zgagę ciecz zwaną coffee, do której studenci sypią proszek pod nazwą Coffee Master, aby zabarwić ją na kolor oczu dawnej ireny. Ponieważ albo nie mają dość pieniędzy (tracą je w trzech edenvaleskich pubach na trzy napoje: beer, ale i lager, które smakują jednakowo i każdego trzeba tyle samo, żeby się upić – trzy butelki), albo też dbają o linię, ich lunch składa się codziennie z frytek z keczupem. Nieżyty żołądka leczą ojntmentem pod nazwą Propa P.H., za dolara i siedemdziesiąt pięć centów. Irena je ten standardowy lunch, żeby się nie wyróżniać. Ja chyba dlatego, że jestem zboczony: french fries z keczupem mi smakuja.

W trakcie tej edenvaleskiej ucztu kontynuujemy debatę rozpoczętą przed lunchem w sali ćwiczeń, gdzie Bellissimmmo czytał, lecz nie doczytał, pieczołowicie przygotowany referat. Teraz kończy go z pamięci:

– Każda z trzech stacji symbolizuje regres ego wystawionego na działanie dżungli. Dżungla opisana jest za pomocą terminologii, jakiej Freud używa do scharakteryzowania id.

Nie wiem, kto – i czy w ogóle ktoś – rozumie Bellissima. Tak czy inaczej Hakim upiera się, że *Jądro ciemności* to krytyka społeczna europejskiego imperializmu, a Irena zajmuje pozycję w centrum:

– Zgadzasz się – mówi – z krytykiem Guerardem, że powieść jest przede wszystkim wyprawą do wnętrza duszy. Doświadczenie Kurtza można uogólnić: wybrał wolność, więc stał się człowiekiem. Ale nie uświadomił sobie, co to dokładnie znaczy być człowiekiem...

Czy Hakim zareaguje na taki manifest idealizmu? Zareagował.

– Kurtz – powiedział sucho – jest zwykłym sługusem imperializmu. Okrada Murzynów, udając, że ich cywilizuje. Jaki jest jednak właściwy cel takiej misji cywilizacyjnej, to w końcu ujawnia nawet sam Kurtz: *Exterminate all the brutes!*

Jenny Razadharamithan dodała coś o wyrostku robaczkowym i kometach. Dyskusja na moment się urwała, bo moi studenci szanują specyfikę narodów niekanadyjskich. Po minucie ciszy Wendy spytała:

– Ale dlaczego to jest takie dziwne?

– Co jest dziwne?

– Dlaczego nie napisał jaśniej? Żeby go można było zrozumieć?

– Dlatego że to był pisarz burżuazyjny! – Masz rację, Hakimie. Żeby nikt w to nie wątpił, dodajesz: – Instynktownie wyczuwał niektóre przejawy zła społecznego, lecz nie potrafił znaleźć na nie lekarstwa.

– A dlaczego? Przecież to był ponoć genialny stylistą? – dziwi się Wendy.

– Ale nie genialny myśliciel. Pokazał obraz kolonializmu belgijskiego w jego...

– To czemu tam jest ten Rosjanin?

Co takiego?

Minuta ciszy.

Po chwili Wendy:

– Rosjanie nie mieli chyba kolonii w Afryce, prawda?

Pojawienie się Rosjanina w belgijskiej kolonii w Afryce w XIX wieku jest rzeczywiście dziwne. Zanim zdołałam zabrać głos, odezwał się Higgins:

– Na końcu, w przypisach, widnieje: „Conrad zdał sobie sprawę z niejasności. (...) Napisał do Garnetta: »Głęboko mnie wzruszyły pańskie bohaterskie wysiłki, by stawić czoła mglistej wizji zawartej w *Jądrze ciemności* i wytłumaczyć to, czemu usiłowałam nadać kształt z zawiązanymi oczami«”. To znaczy, że Conrad sam nie wiedział, co pisze!

Podniósł głowę i obrażony rozejrzał się dokoła.

– Ale co tam robi ten ROSJANIN?!

– On? On tam chyba jest po to, żeby... żeby było ciekawiej.

– To jest wiwisekcja instynktów ludzkiej duszy. Chodzi o kontrast ego i id.

Jenny Razadharamithan oświadcza, że maszyna do szycia toczy się pod górę.

Hakim nie potrafi wytłumaczyć obecności Rosjanina.

Dwie minuty ciszy.

Potem głos bezradnej Sharon:

– *Well, sir*. A pan co o tym myśli?

Co ja myślę?

Że wszystko jest inaczej.

– Że wszystko jest inaczej.

Przestali moczyć frytki w kawie i czekają, jaką im objawię wieczną prawdę. Albo, w przypadku Hakima, jakie wielkie kłamstwo.

A czego się dowiedzą? Co ja o tym wiem? Co wiedział Józef Korzeniowski? Dlaczego chwalił się nieznaną rosyjskiego i rosyjskich klasyków? Dlaczego w tej opowieści o okropnościach dżungli pojawia się Rosjanin?

Patrzę na galerię moich studentów. Stanowią przez nikogo (przez kaprys tego stulecia?) niewybraną socjologiczną próbkę mieszkańców tego kraju i ludzkiego losu. Przenoszę wzrok kolejno na każde z nich i próbuję przyspieszyć czas, aby w myślach odgadnąć ich dalsze losy. Sharon, która bohatercko próbuje zrozumieć przemijające mądrości krytyków bardziej nieprzenikliwych niż mgła wokół jądra ciemności. Wyjdzie za mąż. Hausłajf. Coś z tych mozolnych lat w niej pozostanie. Bellissimo, syn neapolitańskiego wyrobnika. Nie zrozumie nigdy nawet *Chaty wuja Toma*, ale będzie z niego sprytny włoski prawnik, powód do dumy dla zaharowanego tatusia, wyciągnie niejednego *mafioso* z jurydycznych komplikacji. Vicky Heatherington, ta szczęśliwa osóбка. Tajemnica *Jądra ciemności* znaczy dla niej tyle co zeszłoroczny śnieg. Zdziwiona Wendy, do której serca i rozumu trafiają dzieła, a nie eseje i referaty. Kiedyś może będzie robiła *artwork* do katalogu Simpsona i Searsa. Kruki w damskim negliżu. Ted Higgins, dumny antyintelektualista, z góry odrzucający wszelkie wyjaśnienia... Może zostanie pisarzem. Jenny Razadharamithan w żółtym sari zniknie pośród zapachów indyjskiej dzielnicy w High Parku. A Larry Hakim, posiadacz uniwersalnego klucza łatwo przyswajalnej ideologii? Zatrzymuję wreszcie wzrok na Nicole. Czy przynajmniej ona jedna jest w stanie uchylić rąbka tajemnicy Korzeniowskiego? Nie. Obawiam się, że będzie ją to interesować tylko dopóty, dopóki ja ją będę interesował. Spogląda na mnie elegancko umalowanymi oczami i otwiera usta:

– Mówił pan, że Conrad nienawidził Rosjan, bo byli odpowiedzialni za śmierć obojga jego rodziców. Może pod postacią arlekina chciał Rosjan ośmieszyć. Bo arlekin, jak mi się wydaje, jest postacią śmieszną.

– *Very good* – chwaleb dziewczynę, a ona wierci się jak pogłaskany psiak. – Arlekin to istotnie klucz do *Jądra*

ciemności. Poza tym oczywiście książka jest również krytyką kolonializmu, a kto chce, może w niej widzieć alegorię zwycięstwa id nad ego. Przede wszystkim jednak nie jest to powieść. To proroctwo.

Hakimie?

Hakim krzywi się.

– Na jaki temat?

– Związku Radzieckiego.

Nic na to nie odpowiada. Czeką, by łatwo skontrolować moje bzdury. Sharon marszczy brwi.

– Ale przecież wtedy Związek Radziecki jeszcze nie istniał?

– Dlatego jest to proroctwo.

– *Isn't that too far-fetched?*

Napotykam surowe spojrzenie pięknych oczu mojej Nicole. Uśmiecham się.

– Pan Higgins cytował nam tu interesujący list. Conrad pisał *Jądro ciemności* „z zawiązanymi oczami”. To jest ulubiony trik jasnowidzów, czyli proroków...

– To jest określenie metaforyczne – gorszy się Irena.

– Metaforyczne określenie stanu, w jakim pisał powieść. Pisał ją w stanie jasnowidzenia.

– *I'll be damned!* – stwierdza Bellissimmo.

A ja, dobrze opłacany profesor, biorę się za zabawną szarlatanerię, która być może nie jest żadną szarlatanerią, albowiem więcej jest rzeczy na ziemi i w niebie...

Ukrywam przed nimi także i to, iż proroctwo ma całkiem przyziemne, historyczne podstawy. Świństwa bowiem powtarzają się w wariantach, których schematy są do siebie zawstydzająco podobne. *Ab initio orbis terrarum*.

* * *

Facet stanął obok mnie i rozpiął rozporek. Kiedy oddawałem mocz, wyczułem, że na mnie patrzy. Stał z rozpiętym rozporkiem, ale nic z niego nie wyciekało.

Ze wściekłością spojrzałem mu prosto w twarz. Był to ten sam facet, na którego zwróciłem uwagę już ze sceny. Blondyn z jasnymi wąsami, w marynarce à la esterhazy, około czterdziestu pięciu lat. Jakiś stary kawaler na nocnym polowaniu. Na stole stał przed nim duży kieliszek wina, a palcami, w których trzymał papierosa, wystukiwał rytm boogie. Sponad saksofonu tenorowego widziałem, że nie spuszcza ze mnie wzroku.

Samo w sobie nie było to niczym szczególnym. Do Bulvarki przychodzili nie tylko łowcy pańienek, ale także *aficionados*, duchem zazwyczaj trochę ubodzy i często lekko głuchawi na muzykę, ale mocno skoncentrowani na swojej namiętności. Nie tańczyli. Ten też nie. Słuchali nas, jak dziergamy dzikie synkopowe wzory. Bulvarka była jedną z ostatnich oaz muzyki cieszącej się niełaską.

Nie było więc nic dziwnego w tym, że się gapił, jakby mnie chciał zjeść.

Teraz stał nad pisuarem, nie sikał i wciąż na mnie patrzył.

– Sie masz! – powiedziałem wyzywająco.

Jego odpowiedź zaparła mi dech w piersiach:

– Sie masz, Smirzicky! Co robi Nadia?

Kto to jest? Boże... wciąż jeszcze nie byłem pewien... ta marynarka... ten wąsik...

– Pan majster!

– Ciszej, student!

Z wrażenia oblałem sobie spodnie.

Majster Vachouszek!

Jak to się stało, że majster Vachouszek stał się biki-niarzem? W tym wieku?

Po chwili się przestraszyłem.

No tak. Mój Boże!

Blond czupryna zamiast kasztanowego języka. Blond wąsiki zamiast gładko wygolonej twarzy. Marynarka esterhazy zamiast... A był to mniej więcej rok 1950.

Ściszyłem głos:

– Myślałem, że pana załatwili.

– Jeszcze nie – mruknął majster Vachouszek też półgłosem.

Nie zrozumieliśmy się.

– Miałem na myśli gestapo.

– A, gestapo... – rozejrzał się wokoło, ale w toalecie nikogo nie było. Majster złamał się w pasie i spojrzął pod drzwi obu kibelków. Tam też nikt nie siedział, więc się wyprostował.

– Niewiele brakowało. Na szczęście na egzekucję wybrali sobie akurat Drezno, które z kolei też na szczęście wybrali sobie Amerykanie na ten słynny nalot. Co robisz, student?

– Studiuję.

– Nie wyrzucili cię ze szkoły? Ja myślałem, że skoro tu grasz...

– To tylko taka fucha. Jakoś przeszedłem weryfikację.

– To dobry jesteś. I mów mi na ty.

Jakiś goguś wszedł do toalety i skierował się w stronę pisuaru. Majster Vachouszek zapiął rozporek i bez słowa odwrócił się do wyjścia. Na korytarzu przed toaletą panował tłok, a od parkietu dobiegał szum i śmiech. W rogu stał oparty o słup wiadomy pan z gatunku takich, co czasem interweniowali, gdy bikiniarze zbyt dosłownie brali wzór z kroniki filmowej, w której niekiedy dla ostrzeżenia pokazywano zwyrodniałe tańce.

Majster poczęstował mnie papierosem. Zapaliliśmy.

– Pamiętasz jeszcze swój bohaterski wyczyn?

– O tym tak szybko się nie zapomina. Od tego czasu już nigdy tak się nie zesrałem ze strachu.

– Nawet podczas weryfikacji?

– Tam nie chodziło o głowę.

– Hmm... – mruknął majster. – Żebyś dobrze zrozumiał: ja ci wtedy nie przeszkodziłem ze strachu.

– Wiem, że nie. Od początku była to fuszerka.

– To też – odparł majster. – Alą my pracowaliśmy nad grubszą sprawą, niż żeby urwać maszinkwer jakiemuś myśliwcowi. W naszej „meserszmitce” robiono też ausgangdyzny do fau draj.

– Co?

– Pamiętasz te krzyżaki, które spawano na wydzielne metali ciężkich?

Mętnie przypomniałem sobie jedno z „seminariów” w kiblu fabryki, podczas którego Ponykl twierdził, że to, co spawa i co wygląda jak przesadnej wielkości móżdziej, to jest rakietą. Malina nazwał go debilem i stwierdził, że taki kawał żelastwa nigdy się nie wzniesie w powietrze. Wzniesie się, upierał się Ponykl, bo to będzie największa rakietą świata i będą nią strzelać aż do Ameryki. Na to Malina dał mu po gębie i oświadczył, że jest baranem i owcą.

– *Vergeltungswaffe* numer trzy – ciągnął dalej majster.

– Absolutnie nie chcieliśmy, żeby z powodu twojej zabawy zakwaterowało się u nas gestapo. W tym czasie Zavisz miał już praktycznie zmapowaną dyslokację całej produkcji.

– Zavisz? Ten kolaborant?

Majster Vachouszek zaciągnął się papierosem i ukrył w obłoku dymu. Dziwny majster Vachouszek. Wyglądał raczej jak Bull Macha, król bikiniarzy w Bulvarce.

– To był element mimikry, rozumiesz? Element rzemiosła. Był głównym zaopatrzeniowcem, dzięki czemu miał doskonałą mobilność. Przeciwno sobie nie mieliśmy amatorów – przez ścianę dymu spojrział mi prosto w oczy. – I nie mamy.

Charakterystyczny pan odkleił się od słupa i ruszył w stronę toalet. Łypnąłem w jego stronę okiem. Bóg wie dlaczego przypominał mi Eislera. Vachouszek dostrzegł

moje spojrzenie, roześmiał się, klepnął mnie szeroką dłońią w plecy i powiedział bardzo głośno:

– Ale się udało, co, student?

Facet przeszedł obok nas z wyrazem czujności w oczach, ale najwyraźniej nie wzbudziliśmy jego podejrzeń. Zamknęły się za nim drzwi toalety.

– Jestem w Pradze tylko na chwilę. – Majster Vachouszek znów odezwał się ciszej. – Da się u ciebie przespać?

Owiał mnie chłód zimowego popołudnia, zanim przyszła Nadia. Wieczór w pustym kościele, w którym pod wieczną lampką modlił się Uher, później bezbożny. Potem rozpaczający pan Skoczopole: „Co też on znowu narobił, ten nasz łobuz...” Żołądek podszedł mi do gardła.

Nie mogłem jednak odmówić. Tej umiejętności nie nauczyły mnie nawet wszystkie socjalizmy mojego życia.

– Pan zaczeka na mnie po programie – powiedziałem, choć majster zaproponował, żebym mówił mu na ty.

Graliśmy *Ain't Nobody's Business, If I Do*. Miałem w tym długie, dwuchorusowe solo, a przyjemny świat, w którym wtedy żyłem, świat z Lizetką, a jeśli jej nie było, to z Geraldinką, a jeśli jej nie było... – ten świat właśnie się rozpląnął. W slowfoksie bardzo mnie rozprasał inwalida, który źle taktował protezę w skarpetce... pogrzeb radiostacji... głos Hitlera z radia, kiedy weszła tam Jirzina... noce na kłozecie, kroki duchów objających się o meble... zasada organizacyjna mojego strumienia świadomości, zapewne nieznaną Joyce'owi ani Virginii Woolf... *Ain't Nobody's Business, If I Do*. Poprzez rurę saksofonu obserwowało mnie kilka par oczu, również Geraldinka, która była tu z facetem w stożkowatym płaszczu i nagle przestała tańczyć. Może usłyszała nieprzyjemne wycie wichru w moim długim solo, wycie wichru zimowego popołudnia przed moją wyimaginowaną egzekucją, mój *Mousetrap Blues... Goin' to church on Sunday, then cabaret on Monday... ain't nobody's business...*

Czekał na mnie przed Bulwarką. W tym czasie mieszkałem w pewnej willi na Podbabie, która należała do starego pisarza i była dla niego za duża. Pisarz był członkiem drużyny wielbicieli Lizetki, a ponieważ miał znajomości i posiadał tytuł artysty narodowego, załatwił, że wydano Lizetce tomik wierszy jako prywatny druk. Lizetka odwdzieczyła się starymu pisarzowi w taki sposób, że sprowadziła mu mnie do pokoju z osobnym wejściem. I oto tym osobnym wejściem przyprowadziłem w nocy po kryjomu swojego dawnego majstra, a obecnie z całą pewnością dywersanta i agenta. Jakiego wywiadu, o to nawet nie chciałem pytać.

Zresztą o nic go w ogóle nie pytałem. Zasada Uipelta, odnosząca się do nieznanego dywersanta z magazynów Velcla, odżyła we mnie sama z siebie. Powiedziałem mu o Nadii. Potem o Uherze i o tym, jak mi dał przyjacielską radę w ekspresie z Pragi do Kostelca. O Przemie i jego planie ewakuacyjnym, który, jak się wydaje, mu się powiódł. To za bardzo go nie interesowało, ale Uher tak. Powiedziałem mu, że dawny seminarzysta jest obecnie referentem w centrali związków zawodowych. Po jego uśmiechu zrozumiałem, że ma swoje zdanie na ten temat.

– Czyli jesteś nasz – na wpół spytał, a na wpół stwierdził.

Ich? Nie. Nie byłem ich. Seria moich niedoskonałych wyczynów bohaterskich doskonale oduczyla mnie tego, żebym był czyjś. Wyrosłem już też z młodzieńczego przechwalania się przed dziewczynami. Byłem tylko swój własny i nie miałem zamiaru zamieniać solipsystycznej swobody bezczynności na swobodę jakichś sartré'owskich gestów.

– No... – mruknąłem. – Nie jestem przeciw wam. Ale też nie jestem przeciw nim.

– Neutralny – w głosie majstra zabrzmiała lekka nutka pogardy. – W czasach Protektoratu nie byłeś neutralny.

– Jestem niekonsekwentnie neutralny – odparłem. – Widzi pan, że jestem niekonsekwentny, nie?

– Ja zrozumiałem to tak, że jesteś konsekwentny.

Jestem? Nie jestem. Po cholere to robię? No po co? Dlaczego nie odmówiłem Przemie napisania idiotycznego manifestu przeciw wysyłce masła do Związku Radzieckiego? Dlaczego z powodu pięknych oczu Nadii omal nie straciłem paru meserszmitów sto dziewięć i nie trafiłem za to na szubienicę? Z czystej głupoty. Dlatego. Z głupoty, z jakiej dziś nikt już nic takiego nie zrobi.

– Dziewczynie i koledze nie potrafię powiedzieć nie – stwierdziłem. – Ja jestem burżuj. Ale dziwię się, że pan...

Bzdura. Ja też, choć burżuj, zapewne nie uniknąłem skutków kategorycznego imperatywu absolutnych podziałów. Majster Vachouszek był robotnikiem. Żadnym totalajnzacem, jak ja kiedyś. Więc dlaczego robotnik... A dlaczego nie? Czyż każdy saksofonista...

– Czemu się dziwisz?

– Ale... No, że pan się zdecydował na coś takiego...

Już nie proponował, żebym mu mówił per ty.

– Ja jestem stary socjaldemokrata, wiesz, student?

– Ale to jest przecież... amerykański interes...

Upił gamzy, którą mu szcodrze nalewałem.

– Tak myślisz? Tylko amerykański?

– No tak... – zgodziłem się. – Gadam bzdury i nie myślę. Ale fakt, że Amerykanie nie są socjaldemokratami.

– Za to komuniści nie są demokratami. Więc wybieraj, co ci się bardziej podoba.

Zamilkłem. W ten sposób nigdy nie rozumowałem. Zresztą ja o tym w ogóle nie myślałem. Staralem się tylko jakoś z tego wykręcić.

– A, tak... – mruknąłem.

– A tak – stwierdził majster. – A skoro nie potrafisz odmówić koledze i kobiecie, to pozwolisz mi się tu dziś i jutro przespać, a ja potem zniknę. *No questions asked* – wymówił to jak uczeń z kursu dla początkujących.

Koledze i dziewczynie istotnie nie potrafiłem odmówić. Z goryczą uświadomiłem sobie, że znowu się pograżyłem i że tym razem nie będzie tu żadnego Uippelta, a chata Pejskara nie wystarczy. Nie szykuje się żaden koniec, to się raczej dopiero zaczyna. Chyba że... pozwoliłbym mu tu się przespać, a rano poszedłbym na jedną taką ulicę i... kawa na ławę! Potem pozwoliłbym mu przyjść na drugi nocleg, ale w willi staruszka pisarza nie czekałbym na niego ja, tylko Uher...

Burżuj nie potrafi jednak w życiu przekroczyć granicy, której nie potrafi przekroczyć w myślach. Czytałem to u Marksa, kiedy uczyłem się przed weryfikacją. Jak niemal zawsze, Marks miał rację. Z poczuciem bezsilnej rozpaczki uświadomiłem sobie, że jutro w willi starego pisarza będę czekał na majstra Vachouszka tylko ja sam.

I czekałem. Tej drugiej nocy już nie prowadziliśmy żadnych rozmów filozoficznych. Rozmawialiśmy o znacznie przyjemniejszych sprawach. Oczywiście o kobietach. Że Nadia wyszła za Frantę Melichara, a Maria za Frantę Koczandrlego. Że Gertę Ceehovą ostatecznie tylko wysiedlili do Rajchu, bo nie udowodnili jej żadnych donosów, tylko nadmierny entuzjazm dla niewłaściwej dyktatury. Że Ilse Selinger też gdzieś zniknęła w Rajchu, ale pan Kleinenherr został i dali mu nawet medal za działalność konspiracyjną. Majster Vachouszek potem długo opowiadał o jakiejś Heather z Regensburga, którą nazywał Hecr, i mówił:

– Jedyne, co mi w niej przeszkadza, to to, że jak z nią rozmawiam, muszę sobie wykręcać język. Hecr! No powiedz, student, czy to jest imię dla fajnej kobity?

Uznałem, że nie jest.

Rozmawialiśmy o kobiecych imionach.

Uznaliśmy, że ładne imiona kobiece to Maria, Irena, a z obcych Heidemarie, Jessica i Sharon. Rużena nam się nie podobała. Imię Nadia podobało się tylko mnie, a majster Vachouszek stwierdził, że mi się nie dziwi. Ja z kolei dziwiłem się, dlaczego nie podoba mu się imię Hecr. On odparł, że mu się nawet w sumie podoba, tylko go wkurza, że wymawiając je, musi tak strasznie łamać sobie język.

Stał się wulgarniejszy i zmienił się w podtatusiałego gogusia. Ale nawet słowa wulgarne wypowiadał delikatnie i z czułością, zwłaszcza kiedy opowiadał o Hecr.

Za bardzo się nie wyspał; gadaliśmy o kobietach długo w noc.

Rano o świcie zniknął.

Na zawsze.

* * *

– Jest to proroctwo na temat Rosjan i Rosji. *Jądra ciemności* nie można jednak zrozumieć bez znajomości innej powieści Conrada, która nazywa się *W oczach Zachodu*. Czy ktoś ją czytał?

Ich oczy sponad kwaśnej kawy, zagęszczonej końskimi dawkami cukru, i sponad resztek lunchu mówią mi, że nie. Że nikt nie czytał. Ani Hakim, ani Irena. O Nicole wiem, że zaraz po naszym spotkaniu pobiegnie do biblioteki i znajdzie na regałach wspomnianą książkę.

– Nikt? – pytam z udanym zdziwieniem. – Dlaczego właściwie ludzie piszą książki? Chcą „oddać najwyższą sprawiedliwość widzialnemu światu przez wydobycie na światło dzienne wielorakiej i jedynej prawdy, kryjącej się w każdej jego postaci”*. To szczegól-

* Cytat z przedmowy Josepha Conrada do *Murzyna z załogi „Narcyza”* w przekładzie Bronisława Zielińskiego.

ne posłannictwo jest jednak nieuleczalną chorobą, a jeden z jej symptomów to pragnienie naprawy świata. Ludziom pióra pragnienia tego nie udaje się zrealizować, bo nie są ludźmi czynu. Sądzą jednak, całkowicie mylnie, że ludziom czynu wystarczy ukazać „wieloraką i jedyną prawdę, kryjącą się w każdej postaci świata”, aby zrozumieli. I że ludzie pióra są ich sojusznikami. Tylko że ludzie czynu, aby byli zdolni do działania, muszą ignorować wieloraką prawdę. Muszą ją zagłuszać swoją prawdą, jedyną i niepodważalną. Uproszczoną. „Dlatego też ci, którzy potrafią, czynią, a ci, co nie potrafią i cierpią bardzo z tego powodu – piszą o tym”*. Czy ktoś z was zna ten cytat?

Oczy znów patrzą na mnie niewinnie sponad kawy, odbija się jednak w nich przynajmniej głód wiedzy. Niestety wiem, że zdobędą tę wiedzę raczej dzięki czynom niż słowom.

– Faulkner, *Zapach werbeny*. Ale wracajmy do Conrada. W *oczach Zachodu* zawiera kluczowe zdanie dla zrozumienia tego, czemu w *Jądrze ciemności* znalazł się rosyjski arlekin. Cytuję: „My, Rosjanie, jesteśmy bandą pijaków. Musimy się czymś upijać”**.

– Arlekin nie pije – oponuje Ted Higgins. – Przynajmniej w *Jądrze ciemności*.

– „Musimy się czymś upijać”. Posłuchajcie – otwieram książkę, którą pobazgrałem nieakademickimi marginaliami. – Marlow właśnie poznał Rosjanina, który błaga go, aby pośpieszył uwolnić pana Kurtza z niebezpieczeństwa, na razie jeszcze nieznanego. Miotają nim jakieś niezwykle namiętności. Raz jest na szczytach euforii, po chwili zaś na najgłębszym dnie rozpacz. „A z panem Kurtzem pan nie rozmawia?” – pyta

* Przełożyła Ewa Życieńska.

** Przełożył Wit Tarnawski.

Marlow. I teraz uważajcie, co odpowiada Rosjanin: „Z tym człowiekiem się nie rozmawia, jego się słucha! – wykrzyknął z surową egzaltacją”. Zwróćcie uwagę: „z surową egzaltacją”. I nie rozmawia się z nim, lecz się go słucha. Poszperajcie teraz w pamięci, kochani. Kto za naszych czasów budził w ludziach „surową egzaltację”? Z kim się nie rozmawiało? Kogo słuchano?

Niewinne oczy. Ale jakżeby inaczej? Przecież powiedziałem: za naszych czasów. Przeniosłem na nich własne doświadczenie. Dla tych pięknych dzieci nasze czasy zaczęły się od śmierci Jamesa Deana. E, gdzie tam! Od śmierci Janis Joplin.

– *Well*, chodzi o współczesnych dyktatorów – mówię.
– Ponieważ arlekin jest Rosjaninem, weźmy jako przykład Józefa Wissarionowicza.

– Kogo? – pyta Wendy.

Odpowiadam jej, kogo, i szkolę ich dalej:

– Marlow jest jednak na wskroś człowiekiem Zachodu. Chociaż więc dużo myśli na temat arlekina, to już samo jego istnienie stanowi dla niego zagadkę. Cytuję: „Samo jego istnienie było nieprawdopodobne, niewytłumaczalne i wręcz oszałamiające. Stanowił nierozwiązywalną zagadkę. Niepojęte było, jak mógł w ogóle istnieć, jak mu się udało dotrzeć tak daleko... a oto stał przede mną, pełen nieświadomej żywotności, odwagi, i – rzekłbyś – niezniszczalny...”

Na marginesie książki mam uwagę, której im nie cytuję. „*Sie kamen Welle an Welle*. Kosiliśmy ich jak dojrzałe żyto, ale oni szli i szli, tylne szeregi przez sterty trupów parły do przodu. W końcu nasze dostawy amunicji nie mogły dotrzymać kroku ich Uraa! i musieliśmy się cofnąć. Byliśmy lepsi. Mieliśmy lepszych dowódców i lepszych żołnierzy, chyba że za coś lepszego uzna

* Cytaty z *Jądra ciemności* w przekładzie Anieli Zagórskiej.

się bezmyślną, ale niezniszczalną przewagę ogromnej masy...” – Heinz. Bębniarz z tandetnej kapeli Huczila, jedyny z zespołu, na którym dobrze leżały skórzane spodnie. Kontynuuję na głos:

– Więc Marlow nie rozumie arlekin. A arlekin „kiwnął głową, tajemniczo, z mądrą miną. – Mówię panu – zawołał – jak ten człowiek rozszerzył mój horyzont!” Kto? No, pan Kurtz. Człowiek, który tradycyjny kaniibalizm prymitywnych dzikusów wzbogacił o pewne „obrzędy, o których mówić nie sposób”. Wódz, którego dewiza brzmiała: „Wytępić te wszystkie bestie!”, przez co rozumiał swych poddanych. Człowiek, z którym się nie dyskutuje i którego się słuca. W tej drugiej powieści Conrada panna Haldin mówi: „Nie ma nic złego w tym, żeby dał pokierować swymi myślami”. Arlekin jest ucieleśnieniem jej słów. To wspaniały poddany dyktatorów, znakomite ziarno piasku. Nie szuka prawdy. Szuka proroka, który by mu się objawił.

Milknę. Czy to rozumieją? Vicky podnosi się, idzie do automatu i wrzuca do niego ćwierćdolarówkę. Patrzę na nią i mówię:

– Tak więc Conrad w sercu Afryki, wśród dekoracji praktykującego wyzysk zachodnioeuropejskiego kolonializmu, umieścił problem Rosji i rosyjskiej przyszłości.

Vicky wraca z papierowym talerzykiem, na którym niesie niekształtną papkę pod nazwą Apple Pie. Dostrzegam cień ironicznego grymasu na twarzy Hakima. Czy moja interpretacja jest bezsensowna? Czy głupsza od tej, z której zerznął Bellissimo? Biorę tekst i czytuję:

– „Nie zazdrościłem mu jednak uwielbienia dla Kurtza. Wcale się nad nim nie zastanawiał. Przyszło do niego i przyjął je z pewnego rodzaju żarliwym fatalizmem”.

Wreszcie wiem, co jest tu szczególnego. Zwyczajny sylwester, ale wszystkich obecnych przed ich wyjazdem na emigrację jakby ktoś poddał szczególnej selekcji. Są tu młode kobiety ozdobione dziećmi, zrobionymi już w Kanadzie, weteranki ekspedycji badawczych do wykradzonych pustyń Domu Mody, które pewnie dlatego wyglądają w swoich kreacjach jak modelki z katalogu Simpsona, a nie jak klientki Simpsona w jego kreacjach. Nie tylko Debilinka, w pentsjucie w pomarańczowe i zielone paski, podobna do krzyczącej tygrysy. Nie tylko Brian Zawynatch, tańczący w wielkim stylu budapesztańskich kawiarni, którego garnitur – gdy się okręcał – zmieniał kolor ze szmaragdowego na różowy, a potem na jasnoniebieski. Również pani doktor Cziżkova, matka trojga dzieci i właścicielka dochodowej wytwórni sztucznych szczęk, zachowująca się jak zakochana panienska z seksty. Również Georgiana Akatova – *blond, beige and blue* – niezweryfikowana medycza pracująca w Kanadzie jako robotnica, ponieważ jej mąż, niezweryfikowany rzemieślnik, marzył w Kanadzie o patencie na coś bardzo patentowanego. Georgiana właśnie sunie na ukos przez salę w rytmie fokstrota, blond głowa jak słońceznik, pałający ciekawością wzrok bez cienia nostalgii, też ozdobiona chłopczykiem *made in Canada*. Czy to są zwidy? Czy rzeczywistość? Boczar w chromowanym fotelu na kółkach jest mężny jak Ironside w swojej marynarce w kratę. I Margitka w śnieżnobiałym świetle przyciemnionym szarością dymu hopsa na parkiecie z opalonym panem doktorem weterynarii Pereliną, który właśnie otworzył klinikę dla kotów i regularnie odwiedza solarium.

Czy to jest selekcja naturalna? Czy mają w tym zasługę piękni chłopcy kadrowcy? Czy ci wszyscy ludzie są produktem zjawiska zwanego dobozem naturalnym? Czy

może po prostu wszystkie te róże marzyły o tęsknie szumiącej, ale zakazanej Niagarze i w odróżnieniu od większości narodu miały odwagę wyfrunąć na wolność, kiedy kadrowcy zostawili na chwilę uchylone drzwiczki?

W rogu sceny pan Szestak wali o ziemię ozembuchem, a Wimpy Sedlak śpiewa solo:

*W nocnym mroku pod księżycem
jakiś wilk głośno wyje,
zastęp trampów ostrym tempem
do obozu maszeruje.*

Oddaję się dziwnemu zajęciu – w tłumie tańczących próbuję znaleźć jakąś brzydką dziewczynę. Ale nawet gdybym wolał chłopców, byłoby to chyba zadanie beznadziejne. Widzę, jak Percival, poganiany przez trampowską melodię, na próżno próbuje trafić w etniczny rytm Veroniki. A Veroniczka zmieniła się w... chyba w Marię, kiedyś, dawno temu, jesienią, w pewnej małej wiosce w górach tańczącą dzikiego charlestona, aż było jej widać podwiązki. Nawet wydawczyni promieniuje dzisiejszego wieczoru glamoirem (Debilinka), na co dzień ukrytym pod obwisłymi włosami i poplamioną koszulką. Głowę jej ozdabia nowa, kasztanowa peruka, oczy w czarnych oprawkach jak z Violi, na nogach złote pantalone, a od góry bluza z gwiazdozbiorem z Hollywood Bowl. W Kanadzie złożyła swoją krasę na ołtarzu literatury, dziś jednak, ku swej ucieście, wypięła się na ten ołtarz i macha nogami równie energicznie, jak młodsza o pokolenie, zrymowana już w Kanadzie Jarmilka Vokurka, która trzyma za ręce faszystę Franka, ubranego w fioletowawy *formal wear* z wypożyczalni. Zniszczony mąż wydawczyni siedzi koło Boczara, a ten – pokrzepiony czystą – udziela mu rad: – Co ty gadasz, człowieku, że ona nie ma w głowie nic innego prócz książek? Bóg by cię skarał, gdybyś się dowiedział, co ona naprawdę ma w tej głowie! Każda,

rozumiesz? Każda, bez wyjątku, ma w głowie tylko jedno! Dlaczego jej lepiej nie pilnujesz, ofiario? Ty się tylko usprawiedliwiasz tymi książkami, żebyś miał po co pić, prawda?

*...potem w kręgu wiernych druhów
przywita cię dolina...*

Ale mąż się nie usprawiedliwia. Santnerova nie ma w głowie naprawdę niczego poza książkami, wiem to z własnego doświadczenia. Dyskretnie sugerowałem jej własne usługi, lecz wykorzystwała to w zupełnie inny sposób. Całkiem otwarcie, bez żadnych niedomówień stwierdziła, że interesuje ją tylko jako autor, ja jednak do tej pory miałem nadzieję, że doceni też inne moje zalety, nie tylko komercyjne sukcesy moich powieści, i obiecałem jej wszechstronną pomoc, łącznie z lizaniem znaczków pocztowych i dzwiganiami książek na pocztę, więc nie bardzo mogłem odmówić, kiedy mi oświadczyła:

– Jeśli chcesz, żebym dla ciebie miała względy, Don Juanie, to pójdziesz za mnie na bardzo ważną randkę. Ja nie mogę, bo mam prelekcję w Klubie Kobiet na temat *Kobiety i inne zwierzęta w czeskiej literaturze*. Ten kurier przylatuje o siódmej, około ósmej ma czekać na Union Station, a o dziewiątej ma pociąg gdzieś dalej. Ja muszę iść do tego Klubu, bo jestem strasznie głupia i wciąż jeszcze mam nadzieję, że nauczę te baby czytać, a nie tylko słuchać mojego beznadziejnego trucia na temat, o którym wprowadzie coś niecoś wiem, ale raczej nie od strony literackiej, więc im o tym nie będę gadać.

– Ale jak go mam poznać? – spytałem bez entuzjazmu, bo tego wieczoru liczyłem na coś zupełnie innego (o prelekcji w Klubie Kobiet nic jeszcze nie wiedziałem) niż tropienie nieznanego emisariusza w holu Union Station.

– Instynktownie – stwierdziła wydawczyni – oraz po tym, że będzie miał walizę wypchaną rzeczami.

Dzwonił do mnie z lotniska w Montrealu, ale nie powiedział nic bliższego. Ma podobno jakiś strasznie ważny rękopis z Pragi, przemycony do Danii przez rodziców jego kolegi, z którymi się tam spotkał. Poza tym nic o nim nie wiem. Nie ma go w kartotece czytelników, więc pewnie to jakiś matoł. Sądząc po głosie, nie powinien być stary, ale to może być mylące. W każdym razie nazywa się Prochazka. Z całą pewnością zapamiętasz tak pospolite nazwisko, choć nie ma żeńskiej końcówki.

Wbiłem więc sobie do głowy nudne nazwisko i ruszyłem na spotkanie z wysłannikiem praskiego samizdatu literackiego. Był nieprzyjemny wieczór: śnieg, deszcz i ostry wiatr od strony jeziora. Samolot musiał chyba mieć spóźnienie, bo o ósmej nie czekał w holu żaden mężczyzna z walizką wypchaną rzeczami, tylko kilku młodzieńców i dwóch Murzynów. Ci niby mieli walizy, ale nie słyszałem jeszcze, żeby z dobrodziejstw radzieckiej inwazji korzystali również prascy studenci z Afryki. Prócz nich przez hol przepływał nieczekający na nic tłum i tylko na ławeczkach siedziało kilka staruszek z niewielkimi ogródkami róż na kapeluszach; udało im się wcisnąć pomiędzy chłopców i przyszczate panienki z jakiejś szkolnej wycieczki, które opychały się tłustawymi potato chips, kruszyły je na ubranie i krzyczały do siebie tak głośno, że nie było słyhać nawet megafonów. Staruszki, którym nie udało się zmieścić na ławkach, siedziały na walizkach. Tylko wciąż nie było nigdzie Europejczyka około trzydziestki, z wypchaną walizą, który może by wstał z miejsca, gdyby zobaczył stojącą staruszkę, bo pewnie nie był jeszcze całkiem adżustowany.

Ale po jakimś czasie zza stojaka z widokówkami wyłoniła się głowa w amerykańskiej czapce i rozejrzała się wokoło. Spojrzenie to można było opisać tylko za pomocą cytatu z prezydenta Gottwalda. Chwilę potem głowa, znów czujnie i bacznie, zniknęła za stojakiem.

Ruszyłem w tamtą stronę, udając, że chcę wybrać jakiś wyelegantowany obrazek, na którym Toronto wygląda tak, jak sobie w kraju wyobrażaliśmy, że wygląda Nowy Jork: jako niekończące się wzgórze obrębionych neonami drapaczy chmur, a nie jako niekończąca się ogromna wioska. Przekręciłem stojak i udało mi się spotkać wzrok czujnych i baczących oczu. Mężczyzna w amerykańskiej czapce śpiesznie wziął ze stojaka harmonijkę z krzykliwymi zdjęciami Niagary, ale ponieważ trzęsły mu się ręce, harmonijka się otworzyła i długi jezior wodospadów zwiesił się do samej ziemi. Mężczyzna zaczął nerwowo zwijać harmonijkę, ale wysunęła mu się ponownie i na dodatek upadła na ziemię. Kiedy się pochylił, zobaczyłem, że za jego plecami stoi waliza, napchana rzeczami do granic wytrzymałości.

– Czy pan Prochaska? – spytałem. Wyprostował się gwałtownie, a Niagara po raz trzeci wywaliła ozór.

– Wot?

Powiedziałem więc po kanadyjsku:

– *Mr Pchrochaska?*

– Nou.

Pracowicie zaczął znów wpychać język między okładki. Ale waliza była wypchana, a słowo „wot” nie wskazywało na tuziemca. Mogło to wprawdzie być po rosyjsku, lecz wydawało mi się, że w tamtym języku znaczy coś innego. Przez chwilę obserwowałem walkę drżących rąk z szalejącą Niagarą i przyszedł mi do głowy złośliwy pomysł. Z zapamiętanym rosyjskim akcentem spytałem go w języku, który moim zdaniem przynajmniej dźwiękowo podobny był do rosyjskiego:

– *Gospodin prijechał iz Denmarku?*

To niewiarygodne, ale kaskada znów niczym neonowy wodospad runęła na podłogę. Młody człowiek odpowiedział:

– Aj dont anderstent.

Tak, to z pewnością był mój kontakt. Ciągnąłem więc dalej:

– Przecież pan się nazywa Prochazka, nieprawda? Dzwonił pan z Montrealu do pani Santnerovej.

– Nie dzwoniłem – wymknęło mu się nieopatrznie, ale zaraz się poprawił. – Aj dont anderstent.

– Ależ dzwonił pan. Przedstawił się pan jako Prochazka i prosił, żeby Santnerova czekała na pana w holu Union Station. I że będzie pan miał tamto – wskazałem na walizkę. – *Bag*.

Młodzieniec włożył rękę do kieszeni amerykańskiej kurtki i coś tam chwycił w taki sposób, że mierzyło w moją stronę. Pewnie ołówek, bo na kurtce zaznaczyła się spiczasta górka.

– Ju muf... aj szut! – szepnął przestraszony.

– Co panu jest? – spytałem. – Pani Santnerova nie może przyjść, ma *previous engagement*, więc przysłała mnie. Mam od pana odebrać ten rękopis.

Ołówek w kieszeni też drżał. Ale skoro młody człowiek postanowił strzelać, pewnie doszedł do wniosku, że nie ma sensu dalej udawać.

– Jaki rękopis?

– Ten z Pragi.

– A kim pan jest?

– Przyjacielem pani Santnerovej.

– Każdy by tak mógł powiedzieć.

Westchnąłem.

– To nie moja wina, że nie ustaliliście hasła. Wtedy mógłbym je panu powiedzieć. Pani Santnerova poinformowała mnie tylko, że ma pan walizę wypchaną rzeczami, to są jej własne słowa, i że nazywa się pan Prochazka.

Na twarzy młodzieńca pokazał się wyraz niepewności. Ołówek jednak nadal mierzył w moją stronę.

– Prochazka? – brzmiało pytająco. Skrzywiłem się odpowiednio do sytuacji.

- Może to jest pseudonim.
- A jak pan się nazywa?
- Smirzicky.

Było widać, że nie wie, co dalej. Do stojaka zbliżył się chłopak w kosmatej kurtce, wepchnął sobie do ust czipsy i dla zabawy zakręcił stojakiem. Młodzieniec z ołówkiem w kieszeni skamieniał.

Absolutny *impasse*.

– Niech pan posłucha, możemy zadzwonić do pani redaktor Santnerovej do Klubu Kobiet. Niech sama panu powie.

Emisariusz rozejrzał się. Rząddek telefonów stał na wprost Variety Shopu. Był widoczny ze wszystkich stron. Zastanawiał się. W końcu powiedział:

– Więc niech pan idzie zadzwonić. Potem proszę odłożyć słuchawkę i stanąć tam przy kasach – skinął głową w stronę grupki ludzi kupujących bilety.

– OK.

Poszedłem do telefonu, nakręciłem numer Klubu i powiedziałem pani, która odebrała telefon, że mam pilną i niecierpiącą zwłoki sprawę do pani Santnerovej. Obiecała, że poprosi panią redaktor, a kiedy oddała się od aparatu, usłyszałem w słuchawce słaby głos znawczyni stosunków literackich.

– ... no a ona, jak zobaczyła, że ją ignoruje, to zaczęła sobie z nim pogrywać, więc on się wkurzył i dał jej po gębie. Ona zaraz z tym poleciała do tego swojego nowego, a tamten natychmiast zaświadczenie, że ma uszkodzony bębenek w uchu. Tylko że to nie było od tego uderzenia, a od tego, jak dzień wcześniej pobił ją ten nowy, bo odkrył jakiś jej skok w bok...

Wydawczyni nagle umilkła; zapewne przekazali jej wiadomość. Rzeczywiście po chwili podeszła do telefonu. Głos miała charakterystycznie przepalony, więc chyba Prochazka uwierzy, że mówi z Santnerową. Wy tłumaczy-

łem jej, o co chodzi, a potem ściśle według życzenia emisariusza odłożyłem słuchawkę i zająłem miejsce przy kasach. Młodzieniec wrzucił walizę na plecy, aby być zasłoniętym i zarazem móc mnie obserwować. Podeszedł do telefonu. Konwersacja z Santnerową ciągnęła się w nieskończoność, ale wreszcie się dogadali. Młody człowiek odłożył słuchawkę i ruszył w stronę kasy. Kiedy przechodził koło mnie, nie odwracając głowy, szepnął kącikiem ust:

– Gdzie możemy porozmawiać?

– Wszędzie. – Widziałem, że nie podziela mojego poczucia bezpieczeństwa, dodałem więc szybko: – Może w kawiarni?

– Czy jest pan pewny, że nikt nas nie śledzi?

Tak, musiałem przyznać, że cenny rękopis znalazł się w godnych rękach. Dałem więc spokój swej niedopuszczalnej lekkomyślności i poddałem się surowym regułom konspiracji.

– Pójdę pierwszy – powiedziałem – a pan niech popatrzy, czy ktoś za mną nie idzie, W kawiarni usiądę przy oknie i wtedy może pan ruszyć, a ja z kolei będę obserwował, czy pana nikt nie śledzi.

O ile ktoś mnie śledził przez te osiem mil od mieszkania wydawczyni do Union Station, to w holu dworca udało mi się zatrzeć ślady. Agent, który podążał za Prochazką z Montrealu do Toronto, też najwidoczniej zgubił się na dworcu.

Usadowiliśmy się na wprost siebie przy stoliku pod oknem, skąd mieliśmy strategiczny punkt obserwacyjny zarówno w stronę holu, jak też kawiarni, w której siedziały tylko dwie staruszki w różanych ogródkach na głowach i ładna Murzynka, pogrążona w lekturze paperbacku *Helter Skelter*, o zabójstwie Sharon Tate.

Prochazka, wciąż półgłosem, powiedział:

– Bardzo przepraszam, to moja wina. Wydawało mi się, że przedstawiłem się pani Santnerovej jako No-

votny. Wybrałem specjalnie takie popularne nazwisko i wszystko mi się pokręciło. Naprawdę nazywam się Novak.

– Jest pan tego pewny?

– Tak, to moje prawdziwe nazwisko. Pitr Novak.

Cóż, w konspiracji takie rzeczy się zdarzają. Przemknęło mi przez głowę, jak to wiele lat temu wykrzykiwałem na falach eteru hasło: *Leda calling Swan! Leda calling Swan!* Może i wtedy Przema pomylił hasło? Ale chyba nie. Przema był doświadczonym bojownikiem antyhitlerowskiego podziemia, nie amatorem.

Spytałem Novaka, co to za rękopis.

– Wspaniały – stwierdził. – Prawie osiemset stron. W Pradze tego nie wydadzą, bo autor nie jest w Partii. Tam mogą publikować tylko partyjni.

– Jak się nazywa?

– Kropaczek.

– Kropaczek? Kropaczek? To pseudonim?

– Nie, on chce wydać pod własnym nazwiskiem. Nie boi się.

– A czy kiedyś już coś publikował?

– Nie, to jest takie ostre, że nie chcieli mu wydać nawet za Dubčeka.

– Powieść?

– Tak, powieść. Świetna!

– Czytał ją pan?

– Niestety nie. Nie miałem czasu. Ale rodzice mojego kumpla mówią, że to świetne. Strasznie ostre. Prawie osiemset stron.

Nie zgodził się jednak wręczyć mi rękopisu w kawiarni. Podejrzliwie spoglądał to na krwiożerczą Murzynkę, to na sztuczne brzoskwinie na głowach staruszek (były tam zapewne ukryte mikrofony). Zażądał, żebym go zaprowadził gdzieś, gdzie nikt nas nie może widzieć. Wobec tego poszliśmy do toalety.

Nie było tam nikogo, lecz mimo to kurier nalegał, żebyśmy się zamknęli w kabinach, każdy w innej. Okazało się, że nie miał drobnych. Ja miałem tylko dwa kłotry. Stał wobec tego nad pisuarem w pozycji, która sugerowała, że oddaje mocz, z walizką na plecach, a ja ruszyłem do kawiarenki, żeby zamienić swojego kłotra na nikla i dwie dajmy. Murzynka miała tylko dajmy, a kiedy zaproponowałem, żeby zatrzymała sobie nikla, obraziła się. Staruszki zbierały się do wyjścia, ale zgodziły się łaskawie przeszukać torebki, więc po pięciu minutach wróciłem z potrzebnymi monetami.

Tymczasem jednak ktoś zajął jedną z dwóch kabin. Novak szeptem nalegał, żebym też zajął miejsce przy ury-nale i zaczekał, aż facet w kabynie skończy. Wydawało mi się, że to głupio czekać we dwóch, skoro jedna kabina jest wolna, i szeptem powiedziałem o tym Novakowi. Zrozumiał, przyjął ode mnie dajmę, zapiał rozporek i zniknął w kabynie. Po chwili doszedłem do wniosku, że zamiast przy pisuarze powinienem stanąć przed kabiną, w której załatwia się nieznany intruz, i udawać, że czekam na wolne miejsce. Niestety, ten pomysł przyszedł mi do głowy zbyt późno, bo zanim zdążyłem go zrealizować, do łoszczumu wszedł dziadek z klapkami na uszach i wyprzedził mnie. W tej sytuacji wróciłem do pisuaru.

Nieznajomy spuścił wodę i chyba z pięć minut wciągał spodnie. Potem wyszedł, a dziadek z klapkami chwycił drzwi, zanim zdążyły się zatrzasnąć, i w ten sposób zaoszczędził dajmę. Ku własnej wściekłości przypomniałem sobie, że obie dajmy przez pomyłkę oddałem Novakowi, kiedy wepchnąłem go do wolnej kabiny. Nie pozostawało mi nic innego niż poczekać, aż dziadek sobie ulży. Jak można było przewidzieć, odbywało się to z towarzyszeniem mocnych efektów akustycznych i olfaktorycznych. Zastanawiałem się, czy uda mi się powtórzyć trik z drzwiami, aby w ten sposób

uniknąć konieczności dogadywania się z Novakiem, ale kiedy staruszek wyszedł, zatrzymał się przy samych drzwiach i zaczął walczyć z rozporkiem. Zaciął mu się zamek. Drzwi zatrzasnęły mi się przed samym nosem. Próbowałem jeszcze je otworzyć, ale dziadek zmierzył wzrokiem mój tweedowy płaszcz od Harrisa, zamruczał pogardliwie, urwał uchwyt zamka, zaklął, owinał się w podniszczony raglan i wreszcie wyszedł. Powiedziałem przez drzwi kabiny:

– Niech pan mi poda tę drugą monetę. Przez pomyłkę dałem panu obie.

Zza drzwi rozległo się:

– Zaraz, chwileczkę. – Potem długo nic, aż wreszcie.
– Wsadziłem ją gdzieś do kieszeni, moment.

Do toalety wszedł następny interesant i wyraźnie się śpieszył. Był to pan w eleganckim meloniku i stroju szytym przez krawca, a nie seryjnej produkcji. Trochę spanikowałem i skoczyłem do drzwi wolnej kabiny. Nowy klient skręcił wobec tego do kabiny Novaka, a kiedy się przekonał, że jest zajęta, stanął zaciskając kolana i popatrzył na mnie z rozpaczą. Zacząłem grzebać w kieszeni i wyciągnąłem kłotra. Zauważyłem, że gentleman ma w ręce przygotowane drobne. W drugiej ręce trzymał dziurkowane rękawiczki samochodowe z delikatnej skóry.

– *Would you have a change?* – spytałem go, bo nie dało się zrobić nic innego.

– *I'll see* – nieszczęśnik otworzył spoconą dłoń pełną monet i śpiesznie wyłowił dwie dajmy i nikla. Uświadomiłem sobie, że jeśli teraz wejdę do środka, a pan w meloniku zostanie na zewnątrz, Novak może nie mieć odwagi sfinalizować transakcji z rękopisem. Drzwi kabin nie były szczelne, więc groziło niebezpieczeństwo, że przestępujący z nogi na nogę cierpiętnik może zajrzeć do środka, aby stwierdzić, jak jesteśmy daleko.

Przyjąłem więc drobne i skinałem mu głowę:

– *You go ahead!*

Ale melonik nie kłamał. Był to prawdziwy gentleman. Brytyjski.

– *Eu, neu, neu!* – zaprotestował. – *First come, first serve.*

– *Really, you go ahead!*

– *No, please. I really can wait!* – skłamał, jednak zgodnie z tradycją swojego stylu.

Przez chwilę prześcigaliśmy się we wzajemnych uprzejmościach, aż wreszcie z głębin jego wnętrzości dał się słyszeć niebezpieczny dźwięk, więc wrzuciłem jedną monetę do automatu, otworzyłem i energicznie wskazałem mu, aby wszedł do środka. W tak podbramkowej sytuacji zapomniał na chwilę o dobrym wychowaniu. Wkrótce też ze środka rozległy się kompromitujące, lecz niedające się opanować dźwięki.

Czekałem, zastanawiając się, czy rzeczywiście będę w stanie oddać Santnerovej rękopis. Na szczęście w odróżnieniu od dziadka gentleman ulżył sobie w rekordowym tempie, wyszedł, uprzejmie mi podziękował i zaczął myć ręce. Skorzystałem z ostatniej dajmy i chwyciłem za klamkę. Nic.

Potrząsałem drzwiami. Nic. Gentleman włączył elektryczną suszarkę, a ja potrząsałem jeszcze raz, nacisnąłem guziczek „Money Return” i moneta wypadła. Wziąłem ją do ręki. No tak, Roosevelt. Patriotyczne bydlę. Nie przyjmowało amerykańskich dajmów.

Gentleman wysuszył ręce i dostrzegł moje kłopoty.

– *Anything wrong?* – spytał głosem człowieka wdzięcznego, gotowego śpieszyć z pomocą.

Wyjaśniłem mu patriotyczny kaprys wzorowej maszyny. Sięgnął do kieszeni i wyjął okazałą kupkę drobnych, ale znów dał o sobie znać pech. Ruszyłem więc z gentlemanem do kawiarni, by wymienić amerykańskie dajmy na kanadyjskie.

Kiedy wróciłem, już bez gentlemana, w kabinie znów ktoś siedział. Zrezygnowany podszedłem do suszarki i zacząłem czytać instrukcję obsługi, czekając cierpliwie, aż wreszcie będę mógł wejść. Po jakimś czasie nowy klient spuścił wodę i wyszedł z kabiny. Był to chwiejący się na nogach pijaczek. W drzwiach odwrócił się i zaczął coś majstrować przy automacie. Podszedłem do niego i podobnie jak wcześniej gentleman spytałem go tonem uprzejmego zainteresowania:

– *Anything wrong?*

Spojrzał na mnie zamglonym od wina wzrokiem i wybełkotał:

– *Dät däm thing gat stak!*

Do diabła. Pochyliłem się nad automatem. Z otworu wrzutowego wystawała gruba czarna nić, za którą pijaczek wściekle ciągnął. Na szczęście była dość mocna. Odezwałem się zaniepokojonym głosem:

– *Wait a sec! Let me try it!*

Pozwolił mi. Próbowałem uwolnić dajmę uwiązaną na czarnej nitce, ale automat był mocniejszy.

– *It got stuck* – powiedziałem, a pijaczek stwierdził dobrodusznie:

– *You bet, sir. Sir! Can you spare a dime?*

– *You just used one.*

– *Not for shit. For booze. Will you gimme a starter?*

Chciałem się go jak najszybciej pozbyć, więc obdarowałem go bezużyteczną amerykańską dajmą. W likrstorze nie mieli takich patriotycznych maszyn jak automaty w kiblu. Dostanie nawet dwuprocentowy bonus, jeśli zapłaci samymi amerykańskimi monetami. Pijaczek odszedł, a ja ostrożnie chwyciłem nitkę i delikatnie pociągnąłem. Wściekłem się i nitka pękła. Czort z nią. Na wszelki wypadek rozmieniłem w kawiarni dwa kłotry, więc miałem zapas. Lekkomyślnie wsunąłem jedną monetę w otwór.

Ścisłej mówiąc, usiłowałem wsunąć. Ze złością wcisnąłem dajmę do środka, ale nie wziąłem pod uwagę nitki, moneta wprawdzie nie wpadła do pojemnika, jednak wystawał jej tylko malutki kawałek, a drzwi nadal pozostały niczym Sezam.

Bez wielkiego przekonania usiłowałem wydobyć dajmę na zewnątrz, lecz udało mi się tylko złamać paznokiec. Nie miałem zamiaru dłużej cierpieć dla literatury. Rozzłoszczony, użyłem nieprzyzwoitego słowa.

Z sąsiedniej kabiny usłyszałem ponury głos Novaka:

– Co się stało?

– Slot się zapchał.

– Co?

– Slot. To dziurka, do której się wrzuca monety.

Novak nic nie odpowiedział.

– Niech pan posłucha – oświadczyłem. – To jest absurdalne. Proszę wyjść, tu nikogo nie ma. Da mi pan ten rękopis, co zajmie pół sekundy, i wyjdziemy.

Czekałem. W kabinie panowała cisza. Wreszcie Novak odezwał się:

– Niech pan tu wejdzie.

Więc wszedłem. I właśnie w tej chwili, gdy zamykałem za sobą drzwi, dostrzegłem kątem oka, że do toalety wchodzi dwóch następnych klientów w roboczych bluzach. Wątpła nadzieja, że przychodzą tylko za małą potrzebą, wkrótce zgasła, bo śpiesznie rzucili się do drzwi wolnej kabiny i oczywiście natychmiast zorientowali się, że slot jest zapchany. Jeden z nich wprawdzie potraktował mechanizm podkutym butem, lecz bez żadnego skutku. Staliśmy z Novakiem w kabinie ściśnięci jak śledzie, bo miejsca było mało, a najwięcej zajmowała wypchana waliza.

– Mamy po ptokach – szepnąłem do ucha emisariusza, które miałem tuż przy swych ustach. W niebezpiecznych sytuacjach nawet wyjątkowo kulturalny czło-

wiek posługuje się bardziej ludowym językiem. Rozejrzałem się po kabinie. Czy dałoby się jakoś... Na wysokości oczu siedzącego użytkownika dostrzegłem na ścianie filozoficzny wiersz:

*Some come here to sit and think,
Some come here to shit and stink.
And I come here to scratch my balls
And write this bullshit on the walls.*

Odwrociłem wzrok od wierszyka i spojrzałem na Novaka. Zauważyłem, że się poci.

– Co robimy? – szepnął.

Sięgnąłem do ludowej mądrości:

– Masz babo placek!

W tym momencie do drzwi załomotała twarda pięść drwala:

– *Hey! Mister! Hurry up!*

Z ludowego nastroju wyrwała mnie intelektualna asocjacja. Szepnąłem Novakowi do ucha:

– *Hurry up, please, it's time!*

– Co takiego?

– Zmykamy.

– C...co?

W szparze między drzwiami a ścianką coś błysnęło. Mieli twarze mniej więcej dwa jardy od szczeliny. Popatrzyłem tam i zajrzałem prosto w ludzkie oko. Temu spotkaniu spojrzeń towarzyszył radosny okrzyk:

– *Hey! Mike! It's a coupla gays! They're fucking there inside!*

– C...co mówią? – zadzwonił zębami Novak.

Nad pierwszym okiem pojawiło się drugie.

– *Hey! Sweetie! What's the taste of his cock?*

– *Don't make him a baby, Miss!*

Potem gromki śmiech z ludowych gardeł.

– W porządku – powiedziałem. – Tylko się z nas nabijają. Bierz pan walizę i spływamy!

– N...niech pan po...poczeka!

– Panie, na co?! – drzwi zakotływały się pod ciosami pięści. – Aż to przebiją?

– *Hey, gays! We wanna shit! Shittin' comes before fuckin'!*
Nowe ciosy.

– Idziemy! – chwyciłem walizę i otworzyłem drzwi. Novak się cofnął, klozet dostał mu się pomiędzy nogi i usiadł na nim. Obaj drwale, widząc mnie i ogromną walizę, znów zaczęli rechotać. Wypiąłem się na kuriera i pędziłem do wyjścia, unosząc bagaż.

– *Fuck off, lady!* – usłyszałem jeszcze jednego z osiłków i kątem oka dostrzegłem, że chwycili Novaka pod rękę i bezceremonialnie wyrzucili go z kibla.

Spotkaliśmy się znów w kawiarni. Drastyczne doświadczenie przełamało konspiracyjną ortodoksję Novaka i teraz już zgodził się wręczyć mi tutaj bezcenny rękopis z okupowanej Pragi. Musiałem jednak przynieść dwie kawy i orzechowe ciastka; usiedliśmy w najdalszym rogu, choć prócz nas była w kawiarni tylko Murzynka całkowicie zahipnotyzowana swą morderczą lekturą, a więc chyba czysta. Novak zaczął udawać, że delektuje się ciastkiem, a drugą ręką przez ten czas grzebał pod stołem w walizie. Po chwili coś dotknęło moich kolan.

– Pan to weźmie – mruknął Novak. Sięgnąłem pod stół i natrafiłem na gruby rękopis. – Proszę to schować pod płaszcz!

Usłuchałem rozkazu i zapiąłem się. Musiałem chyba teraz przypominać bramkarza hokejowego, ale Novakowi ulżyło. Połknął resztkę ciastka i powiedział:

– Od rana nic nie jadłem. W samolocie z Montrealu podawali tylko drinki.

– Chce pan jeszcze ciastko?

– Musiałby mi pan pożyczyć, bo skończyły mi się kanadyjskie pieniądze. Mam jakieś duńskie korony. Przyślę panu od siebie czek.

– OK.

Wstałem, przytrzymując cenny manuskrypt pod płaszczem, i po chwili wróciłem z trzema pączkami.

Usiadłem. Emisariusz z apetytem rzucił się na elastyczne, gumowe wypieki.

Obmacywałem dzieło.

– To ma przynajmniej z tysiąc stron. Nie wiem, czy Santnerova będzie to w stanie wydać.

– Ale przecież ona podobno wydaje czeskie książki, prawda? Mnie w Danii powiedzieli, że w Toronto wychodzą czeskie książki.

– Pan żadnej nie czytał?

Novak drgnął. Zmieszany połknął resztkę ostatniego ciastka i oblizał sobie palce.

– No, wie pan, ja już nie czytam po czesku. Już nie bardzo potrafię. Człowiek stale mówi po angielsku i prawie zapomniałem czeskiego. I czytam też tylko angielskie książki. Ta pani przypadkiem nie wydaje angielskich książek?

Odpowiedziałem, że nie. Novak spojrział na zegar i podskoczył. Za pięć minut ma pociąg, a nie kupił jeszcze biletu, zawołał ze strachem. Pobiegliśmy do kasy i po drodze pożyczyłem mu dwadzieścia dolarów. Pobiegnął do okienka i krzyknął do biletera:

– Czituka! Wan tykyt.

– *One way or round trip?*

– Wot?

– *One way... or return?*

– Czituka – obstawał przy swoim Novak. Sprzedawca wziął go za etnika z zapadłej dziury i dał mu jakiś bilet.

– Wodor?

– *What's that?*

– Wodor? Trejn tu Czituka? Wot dor?

– *Gate two* – oświadczył bileter z kamienną twarzą. Był przyzwyczajony do różnych odmian angielszczy-

zny. Pobiegłem z nim do wejścia numer dwa i tam szybko się pożegnaliśmy. Czeka mi nie przysłał. Potraktowałem to jednak jako nagrodę za jego niezwykle zasługi dla czeskiej literatury. Wystawiła mi go w końcu Santnerova, która zaksięgowwała to jako „prezent dla partnera handlowego” i odliczyła sobie od podatku. Dołożyłem do tego jeszcze dychę i kupiłem jej trzy butelki Jacka Daniela, dzięki którym utrzymywała wysoką wydajność pracy. Niestety, nie odpłaciła mi niczym choć w przybliżeniu równie wartościowym, a jedynie zaproponowała napisanie recenzji z praskiego maszynopisu.

Lepszy rydz niż nic. Napisałem recenzję. Była to istotnie powieść. Musiała być napisana albo przynajmniej zaczęta z pół wieku temu, bo niektóre strony już zbrązowiały, a prawie wszystkie mocno pożółkły. Nosiła tytuł *Białe mięso* i sądząc po treści, jej autor należał do tego typu ludzi, którzy wierzyli we wszystko, choćby to już tysiąc razy zostało zdemaskowane. Cóż, po doświadczeniach ostatnich dwudziestu pięciu lat nie można było chyba mieć im tego za złe. Ten autor charakteryzował się na przykład niezłomną wiarą w to, że do wyrobu macy Żydzi używają krwi dziewic chrześcijańskich.

W ogóle rękopis był perełką i między innymi spełnił moje odwieczne pragnienie, by przeczytać gdzieś legendarne *Protokoły mędrców Syjonu*. Autor wykorzystał je w scenie ekshortacji, zajmującej niemal sto stron, napisanych na maszynie z najmniejszym odstępem. Kazanie stanowiły dosłowne cytaty z *Protokołów*, od początku do końca, a twórca nawet nie trudził się przepisywaniem. Po prostu nakleił wyrwane strony z książki – zapewne miał kilka egzemplarzy – na papierze maszynowym, ponumerował je zgodnie z paginacją maszynopisu i wstawił w odpowiednie miejsce.

Przekonałem się, że dzieło składa się z kilku warstw, powstałych w różnych okresach i stopniowo włącza-

nych w akcję. Były to zawsze udratyzowane eseje, ujawniające żydowskie pochodzenie znanych osobistości, co stanowiło dla mnie ogromną niespodziankę. Sądząc po zażółceniu papieru, najstarszy był zapewne artykuł o Edvardzie Benešu i jego małżonce (z domu Stein, o czym też nie wiedziałem); żydowski ojciec prezydenta nazywał się podobno Bernstein. Nieco młodsza była znana historia o tym, że Adolf Hitler był nieślubnym synem jednego z Rotschildów, spółdzionym ze służącą tej rodziny. Dalej był tekst demaskujący Ferdynanda Peroutkę (Perlmutter) i zupełnie niedawny – o Dubčeku (Dreifuss). Mimo to w Pradze nie wydano powieści Kropaczka. Widać każdy rasizm boi się nagiej prawdy. Napisałem Santnerovej entuzjastyczną recenzję, aby się na niej zemścić, a ona skłęta mnie, że kradnę jej czas. Potraktowała poważnie mój tekst i przeczytała całe siedem stron maszynopisu, zanim się zorientowała, że robię ją w konia. Straciła w ten sposób trzy cenne minuty. Potem dostaliśmy jeszcze od Kropaczka list, który jakiś zachodni turysta wrzucił na poczcie w Monachium. Życzył sobie, aby zaliczkę przesać mu w bonach tuzeksowskich, a resztę zawsze 1 stycznia i 1 lipca w takich samych ratach. Przez jedną legalnie zamężną Veronikę wysłałem mu antysemitki artykuł Marksa na temat problemu żydowskiego wraz z listem, że książkę wydamy tylko pod warunkiem, że uzupełni galerię Żydów o Engelsa. Istotnie dwa miesiące później przyszedł zamówiony rozdział, przysłany też z Monachium. Dowiedziałem się, że Engels naprawdę nazywał się Ehrlichmann i w swej fabryce zniewalał pracujące tam chrześcijańskie kobiety. Santnerova poleciła, żebym mu przekazał propozycję lekkiego przerobienia dzieła tak, aby się bardziej skoncentrował na tym zniewalaniu młodych robotnic; pornografia dobrze by się sprzedawała, a ponieważ ona jest *mail order business*, nikt by nie potrzebował grzebać

w regałach wśród świńskich książek gdzieś przy Forty Second Avenue i nie musiałby się z tego powodu wstydić. A za uzyskany zarobek można by w jej firmie stworzyć serię poezji, która źle się sprzedaje.

Kiedy do Pragi jechała inna Veronika, przesałem Kropaczkowi list, w którym poinformowałem go z żalem, że pani Santnerova niestety nie może wydać jego dzieła, ponieważ jej biznes utrzymywany jest z pieniędzy CIA, gdzie, jak wiadomo, decydują o wszystkim Żydzi Ford i Moynihan oraz sympatyzujący z nimi odszczępieniec Kissingeres. Wkrótce też nadszedł monachijskim kanałem ostatni list Kropaczka, w którym prosi, aby wyrzucić rozdział poświęcony Engelsowi, a resztę wysłać do wydawnictwa Mołodaja Gwardija w Moskwie. Santnerova ochnoczo spełniła jego życzenie.

Podchodzi do nas cała zdyszana tym stepowaniem i prowadzi z sobą inną ślicznotkę. Brzydkie dziewczyny chyba wyginęły.

– To jest Jirzina O'Reilly – mówi; śniada, czesko-włoska lolobrygidka, co prawda o kształtach nie jak z reklamy, ale za to ze słowiańskim smutkiem w oczach, ubrana jak niemoralny aniołek. – A to jest jej hazbend Jim – przedstawia wydawczyni. Hazbend Jim jest wstrętnym łysoniem w dżinsach, pozbawionym taktu. Długo wpatruje się w chrome nogi Boczara i pyta:

– *What happened? Multiple sclerosis?*

– Chcesz w zęby, palancie? – Boczar na to po czesku, z uczuciem.

Robi się bardzo przyjemna atmosfera.

* * *

Drogi Danielu,

Co powiesz na to, co się dzieje? Chyba powinienem się cieszyć, ale raczej się boję. Oczywiście to, co się dzieje, jest wspaniałe. Wreszcie zaprzestano mówienia frazesami, wresz-

cie władza pyta społeczeństwo o zdanie, wreszcie gazety nadają się do czytania i może nawet więźniowie polityczni doczekają się sprawiedliwości.

Tylko że, Danielu, ja nie wiem...

Pamiętasz kampanię przeciw snobom z początku lat sześćdziesiątych? Było dla nas obydwu jasne, że nie chodzi o snobów, tylko o literaturę. Po prostu wydział kultury Partii bał się niektórych autorów. Ja wtedy napisałem artykuł, który miał taki sens, że nie boję się snobów, tylko cenzury.

Wciąż tak uważam. Co prawda mnie samemu nie bardzo podobano się wielu pisarzy, których bała się Partia, ale jeśli chcę wolności dla siebie, to muszę się jej domagać dla wszystkich.

Tylko, Danielu, dlaczego oni są tacy pewni siebie i jednostronni? Dlaczego robią z literatury wyścigi i gardzą każdym koniem, który nie jest z ich stajni? Czytałeś niektóre recenzje Vietviczki? Ja go osobiście nie znam. To podobno młody krytyk. Mówią, że zdolny. Pewnie tak. Tylko że kiedy dziś przeczytałem jego prześmiewczy tekst o poetyckiej i mądrej powieści kobiecej Aleny Obdrzalkovej, to przypomniałem sobie Chandlera, którego Ty tak kochasz: „Jeśli ktoś wam powie, że nie lubi powieści kryminalnych, to jest to głupiec. Może inteligentny, ale jednak głupiec”. Myślę, że to ściśle pasuje do Vietviczki. Nie chcę go krzywdzić, ale wydaje mi się, że jest podobny do inkwizytorów jak socrealiści, tylko ma inny dogmat. Nasi wrogowie w latach pięćdziesiątych wykluczali z literatury wszystko, co przekraczało poziom umysłowy najprymitywniejszego robotnika. Vietviczka z kolei potępia wszystko, co nie leży w jego guście najbardziej awangardowego estety. Oczywiście to, co on chwali, to bardzo często dobra literatura, podczas gdy tamto było szmirą. Ale obydwu podejścia wykluczają to, co jest między owymi biegunami – czyli większość literatury. A czy zauważyłeś ton Vietviczki? Ten też jest identyczny, ma tylko inny tembr. Lekceważąca, pełna pogardy ironia. Na pierwszy rzut oka wydaje się, że jego ironia opiera się na solidnej analizie, podczas gdy tamta miała korzenie w znanych cechach cha-

rakteru Marksa. Tylko że ironia Vietviczki jest po prostu jedynie bardziej elegancka. Za nią też kryją się etykiety, a każda etykieta świadczy o braku człowieczeństwa w tym sensie, że krytyk rozpatruje dzieło nie jako świadectwo człowieka, który wkłada wysiłek w tę trudną profesję (profesja w znaczeniu Śaldy, a nie tabeli płac), lecz jak materiał kadrowy, z którego trzeba wybrać kandydatów do jakiejś przewodniej grupy. U socrealistów takie etykiety to były „dekadencja”, „niezrozumiałość” czy „formalizm”; u Vietviczki to „klisze”, „konwencja” albo „niestrawiony Robbe-Grillet”.

Niestrawiony Robbe-Grillet? Ja sobie nie potrafię wyobrazić bardziej czeskiej i współczesnej powieści, jak Aleny opowieść o Pradze naszych dni, widzianej oczami młodej fryzjerki. Czy liczy się tylko oryginalność formy (albo w ogóle tylko oryginalność)? Czyż nie jest to socrealizm na odwrót, który tak maksymalizował treść? W rzeczywistości w sztuce obowiązuje inna dialektyka. Forma jest zawsze w większym czy mniejszym stopniu zapożyczona i na to krytycy mają etykiety „wpływ” albo „epigonizm”. Tym, co formie nadaje smak nowości, jest treść. Jednak podstawą tej treści jest wyjątkowość człowieka, który przeżywa to, co przeżywają wszyscy: jego niepowtarzalny wariant powszechnego tematu. I taka jest właśnie powieść Aleny.

A w istocie właściwie nie chodzi o argumenty estetyczne. Znowu Twój Chandler: „Nie spotkałem się w życiu z ani jednym twórcą kryminałów, który by uważał, że to, co robi, nie ma znaczenia. Każdy tylko chciał umieć to robić jak najlepiej”. Zgadzam się: przeczytaj biografie pisarzy, Daniełu. Najmniejszych i największych. Wszyscy pocimy z siebie krew. A snobi – dziś już mogę użyć tego terminu, bo socrealiści milczą – kiedy utwór nam się nie uda, traktują nas jak oszustów czy wręcz zbrodniarzy. Ale mnie się przeważnie wydaje, że oni po prostu nie słyszą.

To znaczy – nie mają słuchu. Na to, co literatura ma wspólnego z muzyką i co czyni z niej sztukę. Elementy techniczne łatwo zdefiniować, zanalizować i pochwalić: strumień świa-

domości, achronologia, punkt widzenia narratora i konsekwencja kategorii narracyjnych. Jakie to jednak wszystko ma znaczenie bez staromodnego, nieprzyswojonego talentu do „mimesis”? Tej tajemniczej i nieobjętej rozumem zdolności obudzenia w czytelniku radości, że dokładnie coś takiego wydarzyło się jemu samemu (Twój Hemingway) – to było dokładnie takie, choć wcale takie nie było, ale właśnie dlatego to (teraz) takie jest. Ecce dialektyka sztuki! Prawda prawdziwsza od prawdy. Cała reszta, jak napisał Henry Miller, to jest literatura. Stream-of-consciousness dawno przed Joyce'em wymyśliła Dorothy Richardson, ale świat nie zapomniał właśnie o nim. Dlaczego?

W końcu każda sztuka jest tajemnicą. A także: nie ma tylko sztuki wielkiej oraz „nie-sztuki” i niczego pomiędzy. Jest też sztuka mała, choć wcale nie bezwartościowa. Jeszcze raz Twój Chandler do Gardnera: „Mówić, że to, co piszesz, nie jest literaturą, to tak jakby mówić, że książka, która budzi w człowieku chęć jej przeczytania, jest nic niewarta. Jeśli jakaś książka, jakakolwiek książka, osiągnie pewną intensywność artystycznego oddziaływania, to staje się literaturą. Ta intensywność może być sprawą stylu, sytuacji, postaci, idei, zabarwienia emocjonalnego albo tuzina innych spraw. Może to być także zdolność doskonałej kontroli nad przebiegiem wątku, podobnej do zdolności opanowania piłki”.

Zrozum mnie dobrze: nie wymagam, żeby o autorze kryminałów pisano z takim samym szacunkiem i równie dużo, jak o wielkim poecie, albo żeby Vietviczka uznał Alenę Obdržalkovą za geniusza. Ale nie znoszę, kiedy mówi się z ironią czy wręcz ze wzgardą o ludziach, którzy uczciwie włożyli w pisanie książki wszystko, co potrafią. Więcej nikt nie jest w stanie włożyć do książki. Ani Joyce, ani Natalie Sarraute. Faulkner powiedział kiedyś, że wszystkie powieści to rozbite statki. Wraki. I tak rzeczywiście jest. W każdej książce, nie wyłączając żadnej, znajdzie się coś niedoskonałego, śmiesznego, uwarunkowanego okresem jej powstania –

tak jak każdy człowiek, bez wyjątku, jest w czymś niedoskonały i śmieszny, jest niewolnikiem swych czasów i środowiska. Ale jeśli jest to człowiek uczciwy i jeśli jest to uczciwa książka, to nikt nie ma prawa do ironii czy wręcz do wzgardy. Kto naprawdę kocha literaturę, temu raczej jest żal, że autor z czymś sobie nie poradził. On raczej na dnie krytycznego morza stara się znaleźć w tym wraku resztki złotego skarbu. A on tam jest, drogi Danielu, znacznie częściej, niż snob w ogóle podejrzewa, i częściej, niż jemu samemu przyjdzie to do głowy.

Snob jednak przeważnie tego nie szuka. A ja, Danielu, boję się, żeby w końcu snobi wszystkiego nie zepsuli. Nie mam tu na myśli tylko literatury. Napisałem polemikę z recenzją Vietviczki. Odeśłali mi ją. Ponoć to problem, który teraz nie jest ważny. Jeden z redaktorów powiedział mi wręcz, że w obecnej sytuacji mój artykuł mógłby być wodą na młyn...

Danielu! Czy naprawdę dziś – kiedy wreszcie można wszystko powiedzieć – musimy się zajmować tym, komu może zaszkodzić prawda? Albo mówiąc precyzyjnie: ocena, którą uważam za prawdziwą?

Gdybym przynajmniej, Danielu, potrafił się pozbyć wrażenia, że oprócz tych, którzy robią coś w dobrej wierze, jest tam też wszędzie pełno chandlerowskich inteligentnych głupców. Niestety, nie potrafię.

Danielu, jak to się wszystko skończy? Naprawdę się boję. Przecież ci inteligentni głupcy są w stanie w ciągu jednej nocy powalić na łopatki to, co w ciągu dwudziestu lat staraliśmy się postawić na nogi.

Ach, Danielu!

Twój Jan

* * *

Chociaż łysoń ma czeską żonę, na szczęście nie rozumie po czesku. Czeska żona o śniadej cerze robi się

purpurowa. Doświadczenia życiowe nauczyły Boczara radzić sobie nawet z najbardziej impertynenckimi uwagami, więc tłumaczy Łysoniowi niezrozumiałe zdanie po czesku na czeską angielszczyznę:

– *Not sclerosis. I'm just lazy. I don't like to work. So I sit in wheelchair and beat my wife she work for me.*

Lolobrygida robi się jeszcze bardziej czerwona. Łysonś ma jednak nie tylko stępioną wrażliwość, ale też nie jest zbyt lotny.

– *Really? You mean it?*

Wykorzystuję napięcie, które jeszcze nie całkiem opadło, i proszę lolobrygidkę do tańca.

Tańczy wspaniale.

– Czy pani mąż zawsze jest taki bezpośredni?

Spuszcza wzrok.

– On jest... wrogiem konwencji. Ja wiem, że przesadza. Ale jest po prostu z tego pokolenia...

– To widać.

– Ale on nie jest jakiś... on studiuje. Nie jest to żaden *dropout*.

– Co studiuje?

– Bierze... chodzi na kursy arabskiego i psychologii. Chce też zacząć historię sztuki. W zeszłym roku chodził na genetykę i chiński.

O nic więcej nie pytam. Łysonś wygląda przynajmniej na trzydzieści pięć lat. Może jednak mieć na to wpływ zniszczenie marihuaną. W zeszłym roku studiował genetykę i historię sztuki, a w przyszłym pewnie wybierze teologię, marksizm i podróże. Po absolutorium zdobędzie pełne kwalifikacje na *welfare*. Już o nic nie pytam. Jestem do niego uprzedzony. Pyta ona, z poczuciem winy, wstydzając się za niego:

– Co się stało temu panu?

– Jest leniwy, więc symuluje kalectwo.

– Nie, poważnie!

– Postrzelili go z rewolweru. Kula uszkodziła mu rdzeń kręgowy. Przytrafiło mu się mniej więcej to, co gubernatorowi Wallace'owi.

– On... był politykiem?

– Nie, więźniem.

Z jej oczu bije słowiański smutek, ale inny niż z tęczyówek Veroniki Prstovej.

– Zranili go... w obozie koncentracyjnym?

– Hmm... – mruknąłem. – Boczar to taka mała życiowa ironia losu. Naszego wieku. Malutka. Całkiem mikroskopijna. Widzi pani tę blondynkę?

Skinąłem głową w stronę Margitki. Przytaknęła.

– To jego żona. Chodził z nią, zanim go zamknęli. Mieli chyba po osiemnaście lat. Ona na niego czekała piętnaście lat, a kiedy wyszedł, wzięli ślub.

– To było z jej strony... naprawdę...

– *Chapeau bas!* Miłość jak rzemień – podpowiadam.

– Musiało to być rzeczywiście wielkie uczucie... na dodatek wychodzić za mąż za inwalidę...

Krzywię się cynicznie, bo taki już jestem. Ale ja w ten sposób, z niewielkim powodzeniem, staram się rozliczyć ze światem i z wyrokami Opatrzności.

– Ależ skąd, z łagru Boczar wrócił w porządku. Wzięli ślub i polecili w podróż poślubną w Tatry. Margitka oszczędzała na to przez dwanaście lat. A w samolocie spotkało ich nieoczekiwane szczęście.

Margitka z faszystą Frankiem w fioletowawym tuxedzie przerokendrolowała obok nas. Człowiek by powiedział, że to dobrze zakonserwowana haustałf.

– Jakiś przedsiębiorczy człowiek porwał samolot do Monachium i Boczar w tym zobaczył cudowną ingerencję Boskiej Opatrzności. Jak wielu ludzi w pierdłu, zrobił się religijny, a Margitka zawsze taka była. Poznali się jako skauci. Ona z tych katolickich, on z wodnych.

Lolobrygidka nie śmieje się.

– Ale pan powiedział, że go postrzelili...

– Tylko że nie mówiłem kiedy. Uznali to więc za łaskę boską, a ponieważ Margitka miała jakichś krewnych w Kanadzie, po miesiącu już tu byli. Jedyny feler polegał na tym, że Boczar nie miał żadnych kwalifikacji, oprócz pracy w kopalni uranu. Chciał to wykorzystać i zgłosił się do podobnej kopalni w Elliot Lake. Szczerze się przyznał do przepracowanych dziesięciu lat, ponieważ myślał, że mu to podniesie kwalifikacje. Niestety się pomylił. Jest tam przepis: nie dłużej jak dwa lata i przepis ten jest respektowany, ponieważ rząd kanadyjski bardziej się troszczy o kopalnie uranu niż czechosłowacki – może dlatego, że jest panem swego kraju. Więc Boczar się wkurzył, zgłosił się z ogłoszenia i stał się pinkertonem w nadziei, że będzie mógł z zemsty pracować jako strażnik komunistów w kanadyjskim więzieniu. Znow się pomylił. Pinkertonował w jakimś apartmenthausie i nie minął jeszcze tydzień, jak dwóch zbirów próbowało się tam włamać do penthausu jednego playboya. Boczar interweniował, zbiry wyciągnęły gnata i – żeby powiedzieć tak, jak się powinno o tym mówić – nafaszerowały mu kręgosłup ołowiem.

– To straszne! – lolobrygidka chyba istotnie myśli to, co mówi. Chociaż jest piękna, odznacza się rzadką zdolnością współczucia ludziom, którzy nie są jej bliskimi.

– Na szczęście zaraz po przyjeździe do Kanady Boczar wykupił jakieś szalone ubezpieczenie, a ponieważ był pinkertonowcem, składki były tak wysokie, że gdyby znow nie interweniował Pan Bóg, pękłaby na nie większość dochodów. Ale Boczar bardzo kochał Margitkę i śniły mu się nocne koszmary z „Rudego Prava”, że coś mu się stanie i Margitka bez środków do życia w kapitalistycznym kraju będzie musiała iść na ulicę – znow zrobiłem grymas. – Margitkę jednak szczególnie rodzaj socjalizmu, jaki przeżyła, zahartował i uczynił

samodzielną. Już w Pradze została dyplomowaną pielęgniarką (oczywiście zaoczne kursy i nauka wieczorami), więc nie miała wielkiego problemu ze znalezieniem roboty. A ponieważ w Kanadzie pielęgniarki nie harują tak jak w Pradze, Margitka jest całkiem dobrze zakonserwowana. Czy pani by powiedziała, że ma już czterdzieści trzy lata?

– Jest bardzo ładna – odparła lolobrygidka.

– Natomiast jeśli chodzi o pobożność i inne szalbierstwa... – mówię i chyba bluźnię. – Skoro Boczar uznał porwanie samolotu za palec boży, to za co miał uznać strzał tego gangstera?

– Za próbę – szepnęła cicho lolobrygidka.

– Pani też jest religijna?

Kręci przecząco głową.

– Nie jestem. Ale życie przeważnie jest tylko próbą...

– Jaką?

– Tego nie wiem – spuszcza wzrok.

Dalej nie pytam. Może spytam wydawczynię. Albo Margitkę.

Jeśli życie jest próbą, to Margitka się nie sprawdziła.

Podeszła do mnie, w roli Veroniki, po jakimś wieczorze autorskim i poprosiła o podpisanie mojego przekładu *Tajemnicy jeziora*. Popatrzyłem na nią, a kiedy jej oddawałem książkę, powiedziałem, że takie najbardziej lubię podpisywać: książki, które ludziom się chciało ciągnąć ze sobą przez ocean.

– Ja jej ze sobą nie wzięłam. Przysłała mi potem rodzina.

Rozczarowała mnie, ale mimo to powiedziałem, że wygląda jak panna Fromsett. Pochlebiło jej to. zaproponowałem, żeby kiedyś do mnie zadzwoniła i że jestem w książce telefonicznej. Zadzwoniła po tygodniu. Zaraz na pierwszym spotkaniu, jak to się romantycznie mówi, stali się z nas kochankowie.

To było wiosną. Boczar był akurat na jakichś trzydniowych badaniach w szpitalu, więc mogła u mnie zostać na noc. W łóżku poznałem wtedy jej melodramatyczną historię. Kiedy lekarze jej powiedzieli, że Boczar nie tylko spędzi resztę życia na wózku inwalidzkim, ale również nie będzie zdolny do fizycznej miłości, to już jednak było dla niej zbyt wiele i załamała się. Ale nie w taki sposób, jak zwykle załamują się kobiety. Margitka w ogóle nigdy nie żyła zwyczajnie.

– A jak? – spytałem.

– Właśnie tak. Moje załamanie nazywa się cudzołóstwem.

– Dziwne załamanie.

– Tobie się wydaje dziwne?! – prawie krzyknęła.

– Ja cię nie krytykuję.

Odwrociła się i potem ryczała w poduszkę.

– Piętnaście lat na niego czekałam. Wiesz, co to znaczy dla młodej dziewczyny? I to dla pobożnej dziewczyny? Przez piętnaście lat w łóżku zamiast faceta różaniec. – Płakała w pokoju, z którego miałem piękny widok na jezioro. Za bardzo nie wierzyłem, ale pozwoliłem jej mówić. – Potem wrócił i kilka dni później ten cud z samolotem. A po trzech miesiącach taki wyrok. Więc w taki sposób się załamałam.

– Nikt ci nie może mieć tego za złe, Margitko.

– Boczar może.

– Wie o tym?

– Pilnuję się. A przed tobą miałam tylko jednego. Doktora u nas w szpitalu. Nie było problemu, żeby to ukryć. Nocne dyżury i tak dalej.

– Już go nie masz?

– Otworzył sobie ofis w Calgary.

Obok w mieszkaniu Cindy urządziła wtedy murzyńską balangę. Hi-fi na cały regulator ryczało *O, Happy Day*, Murzyni tańczyli, stukot modnych butów o pod-

łogę przypominał *Księgę dżungli... when Jesus washed our sins away...* Cindy nie miała dywanów...

– Więc różańca już nie odmawiasz?

– Odmawiam. I chodzę do kościoła. Ale na przekór Panu Bogu. Sprawdzam, czy jest rzeczywiście taki okrutny, że mnie jeszcze za to wszystko ukarze.

– Al Capone Wszechświata?

– Co?

– Jedno z wielu imion bożych – odpowiedziałem. Wymyślił je pewien faszystowski poeta czeski, którego narzeczona umarła na guza mózgu, a ja sobie o tym przypominałem w związku z pewną dziewczyną...

...when Jesus washed our sins away...

...swingujący spiritual cofnął mnie do średniowiecznej kaplicy. Na wiejską nutę grzmiały w niej małe organy, a nad trumną z dykty z przyklejonymi papierowymi wstążkami wielebny ksiądz Meloun wymachiwał kropidłem i dobrotliwym głosem fałszywie zawodził:

Z ziemskiego padołu wołam do Ciebie, Panie!

Panie wysłuchaj moje pokorne wołanie!

Płakałem bezsilnie, nie wstydząc się tego, ale i tak nikt na mnie nie zwracał uwagi. Płakali wszyscy. Wdowiec w przykrótkim niedzielnym garniturze, stryjek Venhoda z siwizną wokół ogorzonej góralskiej łysiny, ciotka Venhodova i tych siedmioro sąsiadów z Czernej Hory, którzy przeszli w zimowej zawiei siedem kilometrów na cmentarz miejski w Kostelcu, bo Nadia życzyła sobie, żeby ją pochować blisko taty. Absurdalne życzenie. Jej tata tam nie leżał, jej tata chyba w ogóle nigdzie nie leżał. Ale na cmentarzu miejskim stał tymczasowy, gipsowy pomnik pamięci zamordowanych, a na nim, wśród nazwisk ofiar zamachu Przemy, było też nazwisko Antonin Jirouszek z Czernej Hory. Złota farba odpadła już z napisu. Dopiero dwa lata po wojnie, a nazwiska już nie dało się odczytać.

*Gdybyś karać chciał wszelkie nieprawości, Panie,
Któż z nas mógłby liczyć na Twoje zmiłowanie?*

Wiadomość o śmierci zastała mnie w Pradze, adres napisany kowalską ręką Franty, w rogu wielkimi drukowanymi literami dopisek EKSPRES. Złapałem ranny pośpieszny i sam w przedziale płakałem i płakałem, choć wcześniej, chyba z rok, pewnie nawet ani razu nie pomyślałem o Nadii. Było mi żal samego siebie, tego cudownego atawizmu, utraconego raju czarnych wzgórz, gdzie byłem tylko na wycieczce, a żyć tam nie mogłem. Za oknem wagonu migały smutne krajobrazy, a w przedziale było zimno, jak tego popołudnia wtedy w niedzielę. Jak wtedy, gdy Nadia powiedziała mi w szpitalu, że chodzi na odmě, kiedy nieśmiało mnie zaprosiła, żebym przyszedł do nich na kawę; za oknami bryczka, a Franta okrywał ją kocem – Nadię, składającą się już tylko z oczu, obramowanych wiejską chustą. Zlekceważyłem to czułe zaproszenie i już nigdy więcej jej nie widziałem. W przedziale wstrząsał mną spóźniony płacz. Zobaczyłem Nadię, już tylko w duchu, jak przesiaduje w malutkim okienku chałupy, patrzy ponad zboczem w stronę białego kamiennego krzyża, ale ja się nie pojawiaam na tej nagiej linii między niebem a ziemią, a krzyż wyłania się z jesiennej mgły, potem z gwałtownych, ostrych zadymek śnieżnych, potem wokół niego kwitną przebiśniegi, potem faluje w słońcu nieskoszona górską trawa, potem znów kryją go mgły, a w końcu zasypuje śnieg. A ja się nie pojawiłem. Umarła. W domu, w niezgrabnych objęciach Franty, tęskna, cudowna świeca woskowa – przyszła i odeszła, nic po niej nie zostało, dziecko, nic, tylko ja i jej prosty mąż, nekrolog, moje wspomnienie w kilku zdaniach, które do dziś słyszę w uszach jak wicher wyrzutów sumienia. „Ale to doobree!” Wichura klasowych wyrzutów sumienia, skorygowana simplifi-

kacja. Jak się oblizywała łasym językiem, jak była prosta niczym melodia wiejskiej fujarki i pełna niespodzianek, jak sprytnie zemdłała wtedy w fabryce, ta mądrość pięknej, małpiej samiczki, którą zdeptano wcześniej, niż mogła spełnić swoją jedyną misję. Ale nie. Nadia miała inną misję. Nie tylko biologię...

– Al Capone Wszechświata! – odezwała się Margitka. – To jest straszne bluźnierstwo!

– Ale pasuje, nie?

– Nie wiem. Czy przeważnie to nie my jesteśmy gangsterami? – spytała. – Może mamy takiego Boga, na jakiego zasługujemy.

– Nie mamy żadnego Boga.

– Może na to zasługujemy...

Wielebny ksiądz Meloun śpiewał:

Ale u Niego jest odkupienie

I naszych grzechów odpuszczenie...

Płakałem. Z ziemskiego padołu wołam do Ciebie, Panie, powtarzałem sobie – daremnie, buńczucznie, nieszczęśliwie, rozpaczliwie, sentymentalnie, za późno. Już nigdy w życiu Nadii nie zobaczyłem. Z dworca wziąłem taksówkę i przyjechałem na cmentarz akurat w chwili, gdy stryjek Venhoda, a za nim malutki orszak z Czernej Hory, wchodził do kaplicy. Trumna już była zamknięta, tylko papierowe szarfy przypominały mi Nadie, jej niedzielną barchanową bluzę w kwiatki. O katafalk stały oparte dwa wieńce ze sztucznych kwiatów, a na nich dwie wstęgi. **OSTATNIE POŻEGNANIE – FRANTISZEK. OSTATNIE POŻEGNANIE – RODZINA VENHODÓW.** A wielebny ksiądz Meloun smutno, dobrotliwie, fałszywie śpiewał:

*Quaesumus Domine, pro tua pietate
miserere animae famulae tuae Nadiezdae
et a contagiis mortalitatis exutam,
in aeternae salvationis partem restitue...*

Per Dominum...

– Nie wiem – powiedziała lolobrygidka. – Ale jeśli życia nie traktować jako próby... to w ogóle nie dałoby się żyć...

– Pani jest albo chrześcijanka, albo komunistka.

Oczy wypełnione słowiańskim smutkiem.

– Nie jestem. Nie wierzę w Boga, a w Partii nigdy nie byłam.

– Człowiek nie musi być w Partii albo w Kościele, żeby...

– Ja po prostu... nie wiem...

Więcej już nie pytam.

Wzięli trumnę na ramiona: mąż, stryjek Venhoda i dwaj sąsiedzi, za trumną stanął ksiądz Meloun, obok niego malutki kościelny, a ja przyłączyłem się na koniec skromniutkiego konduktu. Szliśmy wolno zaśniewoną alejką, lekko pod górę. Padał drobny śnieg. Jego płatki spływały na białą trumnę, na łysinę stryjka Venhody i na języka Franty, na którym pojawiły się pierwsze siwe pasemka. Kostelec stanowił tło, jak na obrazku. Zamek, Czarna Hora, ciemna od zimowych obłoków, posępny śnieg. Postawili trumnę na ubrudzonych ziemią deskach nad dołem, przeciągnęli pod nią pasy, mały kościelny doświadczoną ręką usunął deski i czterej sąsiedzi powolutku spuścili do grobu leciutką trumnę z dykty. Jakaś kobiecina podała mi przywiedły, zimowy kwiatek. Rzuciłem go za Nadią. Już nie płakałem. Uścisnąłem rękę Francie, ale może nawet mnie nie widział, błękitne tęczówki ginęły w opuchniętej czerwieni. Ruszyłem na piechotę do miasta, sam.

– Czemu pan się dziwi? – spytał ksiądz Huniak. – Bóg czasami wybiera do swych planów nawet łotra. Zapomniał pan o tym po prawicy?

– No tak, ma ksiądz rację. Czy mówiłem, że to wcześniej był seminarzysta?

– Były ksiądz?

– Księdzem jeszcze nie został. Po wojnie wystąpił z seminarium i poszedł... ksiądz wie lepiej, dokąd poszedł.

Ojciec Huniak, czarny kruk wśród pstrych sylwestrowych kanarków, dopuszcza się grzechu braku powściągliwości w picciu. Na wymiętym czarnym gorsie pod wytłuszczoną koloratką skrzą się rubinki czerwonego wina i powoli wsiąkają w materiał, nasiąknięty już czym się dało. Boczar trzyma Margitkę za rękę, a nieoczekiwane tło homilii tworzy ozembuch pana Szestaka.

– Co pan powie, Mistrzu? – ksiądz podnosi palec zamoczony w majonezie. – Tego nie wiedziałem. To dlatego mówili na niego „Proboszcz”. Ugrzązł w Bożej sieci jak ryba. Módlmy się, żeby z niej nie uciekł!

– Niech się ksiądz założy, że on z niej nie ucieknie! – stwierdził Boczar. – A gdyby Pan Bóg miał być miłosierny dla takich zbirów, to ja wyciąłbym księdzu taki numer, że wystąpiłbym z Kościoła!

– Pan Bóg jest wspaniałomyślny – oświadczył nasz szczególny ojciec duchowny. – Wobec Niego wszyscy jesteśmy mali. Nawet z naszymi cnotami. Ale to, co wam mówię, to prawda, jak to, że On jest nade mną. Przyszedł w ostatniej chwili, ale przyszedł. Dzets łot kaunts!

...Jak go o trzeciej rano zbudził strażnik, to zrobiło mu się niedobrze, bo pomyślał, że go znów biorą na przesłuchanie, a mógł już się przekonać, czym to się kończy. Jak zawsze skrwawioną gębą, bo naprawdę nic nie wiedział, więc chociaż – Panie Boże, odpuść mi ten grzech przeciw siódmemu przykazaniu! – się zesrał i przyznał do wszystkiego, to był półprzytomny z bólu i nie potrafił zrozumieć, czego od niego chcą i do czego konkretnie ma się przyznać. (Dowiedział się dopiero na koniec: przekazywał szpiegowskie informacje, zaszyfrowane w kazaniach księdza Urbanca, jakiejś katolickiej skautce, która je zanosila do nuncjatury). Chcieli od

niego szyfr. – Ale ja, panowie, w życiu nie rozwiązałem nawet zwykłej krzyżówki z hasłem, a co dopiero szyfr! – Opowiadał dalej, jak na korytarzu czekał tajniak, na którego z nieznanych powodów mówiono „Proboszcz”, i powiedział strażnikowi, że sam odprowadzi więźnia. Szli przez ciche, nocne korytarze praskiego więzienia na Pankracu, długo, w górę i w dół, aż wreszcie doszli do wąskiego przejścia. – A ja się znów przestraszyłem, panowie, bo przez to przejście szło się na szubienicę! Wiecie, wtedy działy się różne rzeczy, a ponieważ byłem (Panie Boże, nie karz mnie za to!) całkiem zesrany, to przyszło mi do głowy, że mnie po prostu chcą powiesić bez sądu. Tak po prostu. No bo co by się stało? Po prostu zniknąłby jakiś klecha, który nie ma ani żony, ani dzieci, więc nikt by się nim nie interesował. Zatrzymałem się, a właściwie nogi same się pode mną zatrzymały, i tylko cały czas w kółko powtarzałem sobie w duchu: „Boże, pomóż mi! Boże, pomóż mi!” Ten tajniak też się zatrzymał, i: „Co jest?!”, a ze mnie wyleciało: „Ja chcę księdza!” „Na co księdza?”, zdziwił się tajniak. Mówię: „Muszę się pojednać z Bogiem!” Tajniak zrobił grymas, straszny, dziwny i powiada: „Po co? Tobie się nic nie stanie. Prowadzę cię do celi śmierci, żebyś pojednał z Bogiem innego klienta, który potrzebuje tego bardziej niż ty”. A ja się znowu zesrałem, ale z innego powodu. – Ojciec Huniak wypił i się wzdrygnął. – Brrr! Panowie, choćbym o tym tysiąc razy wspominał, to za każdym razem czuję mróz w krzyżu. Pomyślałem sobie bowiem: Prowokacja! Oni odmawiają skazańcom ostatniego namaszczenia. Horáková ich o to prosiła, a była przecież prominentnym więźniem, ale nie zgodzili się. Więc mieliby pozwolić komuś innemu, skoro jej nie pozwolili, takiej męczennicy? – Ksiądz znów wypił duży łyk. – Widzi pan, Mistrzu! Dopiero teraz jest to dla mnie jasne. Jak

mi pan powiedział, że on jest byłym seminarzystą. Do teraz to była dla mnie zagadka. Ale złapał się w sieć. Wtedy jednak myślałem, że to jest prowokacja, że odegrają ze mną teatrzyk, jakiś łaps będzie udawał skazanego na śmierć, a jak go wypowiadam, to potem w najlepszym razie zaczną się ze mnie naśmiewać, a w najgorszym oskarżą mnie o prowadzenie nielegalnych praktyk religijnych czy coś w tym rodzaju. Ten tajniak, „Proboszcz”, musiał się domyślić, co mi krąży po głowie, bo powiedział prawie szeptem: „Nie bój się. Biorę to na siebie. Ja go znałem, pochodzimy z jednej wioski. Chcę mu oddać tę ostatnią przysługę, łachu-drze. Robię to na własną odpowiedzialność, rozumiesz? Mogę mieć z tego taką samą aferę jak ty. A raczej większą. Tobie już i tak niewiele można zaszkodzić. Masz załatwione dziesięć lat, a z powodu takiej bzdury nie będą zmieniać wyroku”. Panowie, w tym momencie z kolei mi ulżyło, bo spodziewałem się dwudziestu pięciu lat. I uwierzyłem mu. Wiedziałem, że jest jakąś szychą i musi być dobrze poinformowany. Więc tylko kiwnąłem głową i poszliśmy.

„Proboszcz” prowadził go obok wszystkich cel śmierci, w których skazańcy czekali na egzekucje, a jak doszli do ostatniej, otworzył ją i powiedział: „Macie na to dziesięć minut. Więc radzę się śpieszyć”. Wepchnął go do środka i zamknął go ze skazańcem.

– Siedział na pryczy, wychudły, zniszczony; wiecie, w ostatnią noc przed egzekucją nikt nie jest taki gieroj, żeby mógł spać. Ja, panowie, nigdy wcześniej niczego takiego nie przeżyłem. Udzielałem ostatniego namaszczenia umierającym, to prawda, ale to było coś innego. Nigdy przedtem nie spowiadałem skazanego na śmierć. Nawet nie wiem, z czego się spowiadał, więc choćbym chciał, nie mógłbym zdradzić tajemnicy spowiedzi. To było tak, jakbym raczej ja miał duszę na ra-

mieniu. Mówił, muszę powiedzieć, całkiem spokojnie, za to ja się trząsałem. Że skończył, to się zorientowałem, gdy nagle zapadła cisza. Wymamrotałem po łacinie rozgrzeszenie i po prostu oddałem go pod opiekę Bożą. Powiedziałbym, że z punktu widzenia teologii byłem tam po prostu zbędny. Była to spowiedź pragnienia, żal doskonały. Kościół coś takiego uznaje. Kiedy nie ma pod ręką księdza, a umierający szczerze pragnie rozgrzeszenia, to w takim przypadku udziela go sam Pan Bóg. Ja właściwie byłem tam tylko fizycznie obecny. Duchem byłem już pod szubienicą, widziałem ją przed oczami, tę piekielną maszynę, i nie mogłem jej usunąć z myśli, więc zrobiłem mu tylko krzyżyk na czole, na ustach i na piersiach. W tym momencie skrzypnęły drzwi i tajniak wyciągnął mnie na korytarz. „I co, dusza ma pokój?”, spytał, a ja nie byłem w stanie wydusić ani słowa. „No, jeszcze chyba nie”, dodał tajniak i spojrzał na zegarek. „Gdzieś tak za trzy godzinki”. Brr! – wzdrygnął się ksiądz Huniak. – Co to były za czasy! Chwała Bogu na niebiosach, że je przeżyliśmy!

– Kurwy! – ulżył sobie Boczar. – Bardzo księdza przepraszam! Ale jak ksiądz to opowiadał, to w kieszeni sam z siebie otworzył mi się nóż i skaleczyłem się. Stąd to przekleństwo.

Podnoszę wzrok na Nikę i Percivala. Na scenie słychać ozembuch, bandžo, gitary i głosy:

*Właśnie z tego nastroju
wziął się swing, rytm spokoju!
Jako pierwszy na to wpadł
pijany obieżyświat.*

Wśród śpiewaków najgłośniejszy słychać Milana, przemienionego w koncentrat nostalgii. Ile miał lat wtedy, kiedy kapitan Uher prowadził księdza Huniaka do celi majstra Vachouszka? Pewnie akurat przedierał się przez matczyne wody na świat. W tym momen-

cie, kiedy biedny majster odfrunął z tego świata jako świeżo oczyszczona z grzechów dusza...

...swing, rytm spokoju...

...O, Happy day...

...my za mir! I piesniu etu...

...in a yellow submarine...

Veronika zajęła się tłumaczeniem, a zakochany Percy nadstawia ucha. Margitka obserwuje mnie badawczo. Jirzina O'Reilly na papierowej tacce niesie parówkę tysoniowi, który siedzi z nogami na stole, sterczącymi pomiędzy dwiema niedopitymi butelkami, i dłubie sobie w uchu. Ojciec Huniak oblewa się winem, Boczar kładzie owłosioną dłoń na udzie Margitki. Cmentarzu, cmentarzu, ogrodzie zielony. Nasionko Nadia. Gdzież jest teraz duszyczka Nadii? U Pana Boga? U Pana Boga.

Nadia. Nadia. Nadia.

* * *

Kółko dyskusyjne Kosa i Maliny stało wokół chłopaka o twarzy zielonej jak niedojrzała śliwka. Był nowy w fabryce meserszmitów. Przyjechał z Drezna, fabryka, w której pracował, spłonęła doszczętnie wraz z barakami dla robotników, a on jako jedyny z ośmiu chłopaków, którzy wrócili, poszedł się zgłosić do urzędu pracy. Gerta Ceehova musiała być zaskoczona, kiedy się u niej pojawił. W fabryce już nie było zbyt wiele pracy, a w tym czasie z Rajchu masowo uciekano, ale do pracy nikt się nie kwapił. Uciekinierzy przeważnie się ukrywali. Jednak Voženil był całkowitym sierotą, bez grosza przy duszy. Do Rajchu nie mogli go z powrotem odesłać, bo Rajch się bardzo kurczył, więc znalazł się w „meserszmitce”. Gerta przydzieliła go do zespołu, który wtedy miał już siłę batalionu piechoty. Dlatego większość czasu spędzał w toalecie, gdzie się popisywał.

Był to weteran z kilku zniszczonych bombardowaniami miast, a więc specjalista od koszmarów. Przez ostat-

nie pięć lat jego życie było jednym wielkim horrorem, ale przeżył wszystko bez wyraźnego uszczerbku na zdrowiu psychicznym. Zielony kolor był tylko skutkiem pewnego samookaleczenia, kiedy po raz kolejny próbował wydebić zwolnienie. Za radą jakiegoś algierskiego Murzyna, który jako francuski jeniec wojenny był z nim na robotach przymusowych w fabryce lotniczej, Voženil zjadł niezidentyfikowany proszek, zakupiony od Murzyna za sto marek, który miał wywołać objawy wrzodu żołądka. Zamiast tego Voženil tylko zzieleniał. Innych skutków nie było. Nawet wyjątkowo dokładne badania w szpitalu (lekarzy szalenie zaciekawilo to niezwykle zjawisko dermatologiczne) nie ujawniły w organach Voženila niczego patologicznego. Musiał tylko raz na dwa tygodnie chodzić na kontrolę, ale kolor skóry nie zwolnił go od pracy. Murzyn odmówił zwrotu pieniędzy za nieskuteczny proszek i Voženil z nim się pobił. Miesiąc później fabryka, obóz i szpital legły w gruzach, Murzyn zginął, a Voženila przenieśli z Hamburga do Berlina.

Teraz w kiblu fabryki meserszmitów przechwalał się swoim pobytem w stolicy Rzeszy. Awansował tam, zwykły hilfsarбайter, do fojerabwera i wykonywał funkcję, którą nazywał fojermelder. Z opisu sprawiała ona wrażenie wspomnień z *King Konga*, ale amerykańskich filmów już od trzech lat nie grano. Przez tydzień w nocy i tydzień w ciągu dnia Voženil stał podczas nalotów na dachu wieży obserwacyjnej i przez telefon zgłaszał dowódcy fojerabwera miejsca uderzenia bomb zapalających, a on na tej podstawie kierował w te miejsca wozy strażackie. Była to bardzo ważna funkcja, a hilfsarбайterowi z niższej rasy aryjskiej przydzielili ją tylko dlatego, że była to również funkcja ogromnie niebezpieczna. Zdaniem Voženila fojermelder w czasie nalotu mógł przeżyć minutę i piętnaście sekund, więc panowała wśród nich wielka fluktuacja.

Zielony fojermelder był jednak niezniszczalny jak ludowa legenda.

– Na wieży byłem przywiązany do poręczy – opowiadał, a zieloną gębę miał nieruchomą jak żaba, bo zapewne proszek Murzyna spowodował też paraliż mięśni twarzy. – Ale jak bomba wybuchła bliżej niż pięćdziesiąt metrów, to fruwałeś razem z poręczą, stary. A najgorsze to były powietrzne torpedy, bo one wybuchwały w powietrzu i zdmuchiwały cię, stary, jak pianę z kufła piwa!

– Ciebie też zdmuchnęło? – spytałem sceptycznie.

– Dwa razy. Ale zawsze miałem wielkie szczęście. Za pierwszym razem spadłem do zbiornika wodnego, których fojerabwer miał kilka w każdym becirku do gaszenia pożarów. A drugi raz przeleciałem przez okno domu naprzeciwko, prosto do małżeńskiego łóża z baldachimem.

Zerknąłem na Malinę, czy nie zacznie protestować. Jednak najwyraźniej tak go wytrenowałem różnymi opowieściami o dziwach świata, że już nic go nie szokowało. W końcu była wojna. Dlatego ja się odezwałem:

– To rzeczywiście miałeś szczęście. A ci ludzie byli w łóżku?

– Byli na dole w schronie.

– Też szczęście. Mogłeś ich zabić.

– No – przytaknął Vozenil. – Wyrzuciła mnie w górę powietrzna torpeda, więc mogłem lecieć jakieś dwieście kilosów na godzinę. Ale to małżeństwo nie miało szczęścia. Chałupa się zawaliła, a oni w schronie umarli z głodu, bo dopiero po trzech tygodniach ktoś ich odkrył.

– Zalewasz – zaprotestował Filipec, spawacz, który też był w Rajchu dwa lata. – Przez trzy tygodnie nikt się do nich nie dokopywał. Jak stwierdzali, że zawalenie jest beznadziejne, to ci w środku nie mieli szans.

– Daj mi dokończyć, stary, co? Bądź tak dobry – odparł Vozenil. – Nie mówiłem, że przez trzy tygodnie

ktoś się chciał dokopać. Po trzech tygodniach podczas innego nalotu ta sama chałupa dostała foltrefę i w leju ujawnił się dramat.

Zakwestionowana zagadka wreszcie obudziła Malinę:

– Jaki dramat, ty wielbłądzie?

– Doszło do przypadków kanibalizmu – oświadczył zielony weteran. – Najpierw zeżarli jakąś babę, którą podczas nalotu trafił szlag ze strachu. A potem żarli jeden drugiego.

– Znowu pieprzysz – zaprotestował Filipec. – A ilu ich tam było?

– Chyba siedmioro.

– To ten, co ich wszystkich zeżarł, musiał przeżyć, skoro tam miał taką kopę mięsa.

– Może był jaroszem – zaproponowałem rozwiązanie.

– Puknij się – zaprotestował Kos. – Jak ktoś zdycha z głodu, to zasady idą w ką. Zeżre wszystko.

– Ale nie drugiego człowieka, ty żółwiu! – mruknął Malina.

– Z palcem w dupie – upierał się Kos. – U piratów to było normalne.

– To nie byli piraci! – wtrącił Filipec.

– Ale szkopy. To wszystko jedno.

– Błąd, panowie – stwierdził zielony. – Jeden naprawdę przeżył i został znaleziony w otoczeniu obgryzionych kościotrupów. Ale podczas tego drugiego nalotu trafiła go foltrefa. Znaleźli go tylko od pasa w górę. Dół miał zmasakrowany.

Umilkliśmy, ćmiąc skręty. Wyobrażałem sobie niewiarygodne przygody Vozenila na bardzo realnym tle płonących miast. Ale to był dopiero początek. Filipec miał wciąż wątpliwości.

– Ale i tak opowiadasz głodne kawałki. Mówiłeś, że ta chałupa się zawaliła. To jak to się stało, że ty się nie zabiłeś w tym łożu?

Banalna sprawa. Vożenił odznaczał się wytrzymałością Bustera Keatona:

– Ona się nie zawaliła. Ona osiadła. Bomba podcięła na dole betonowy fundament i cały dom powolutku zsunął się w dół jak lawina. Ja w tym łóżku zjechałem jak na sankach i zatrzymałem się po drugiej stronie ulicy, przy sklepie muzycznym.

– Człowieku, ty jesteś niezniszczalny!

– Faktycznie miałem szczęście, że aż wszyscy się dziwili. Bo działy się straszne rzeczy, stary! Jednego żabojada, nazywał się Oriol, torpeda powietrzna ciepnęła na fasadę domu towarowego, gdzie nie było żadnych okien, a nacisk powietrza tak go rozpląszczył, że był z niego placek, tylko pięć razy większy od niego. Wyglądał jak obraz na ścianie, stary! Został na tej fasadzie rozprasowany jako pięciometrowy gigant.

– To normalnie miał tylko metr? – spytałem.

– No to dziesięciometrowy – odszczeknął się Vożenił. – Ja go nie mierzyłem. Chcieli go zeskrobywać, ale tak mocno go wprasowało, że dali sobie spokój. No i tak wisiał nad miastem jak jakieś monstrum. Mówię wam, to było straszne.

– Idiota jesteś, ty jamniku – obudził się Malina.

– Albo kiedy indziej – ciągnął niezrażony Vożenił – stałem na wachturmie, to było w ciągu dnia, i nadlatywali Amerykanie. Oni na to mówią „latające fortece”, ale to ledwo lata. Za mocne to nie jest. Flugabwehracy zdejmowali je jedna po drugiej, a fokewulfy też. To była jatka, panowie! Latali w takich trzypiętrowych stadach, a fokewulfy z góry do nich strzelały na oślep, zzzim! zzzim!, i zawsze jakąś strąciły albo Amerykanie strącili jakiegoś fokewulfa. Ale przeważnie szkopy robiły z tego stada ementaler.

– Chcesz w ryja, ty krowo? – spytał Malina. – Ty trzymasz stronę szkopów?

– Jakie trzymasz stronę, baranie? – obraził się reżymowy Vożenil. – Mówię obiektywnie, jak było. Amerykanie nie mają na fokewulfa równorzędnej maszyny. Tylko angielskie spitfajery mogą z nimi konkurować.

– Meserszmity są lepsze od fokewulfów – odezwał się chłopak z lakierni. – Mówił o tym Londyn.

– Na myśliwce – stwierdził Vożenil. – Bo mają lepszą zdolność manewrowania. Na latające fortece lepsze są fokewulfy, bo są mniejsze.

Przerwałem zbyt techniczną dyskusję, bo mnie interesowały historie z życia.

– A co przeżyłeś z fokewulfami?

– Właśnie chcę powiedzieć – odparł weteran. Ja nie miałem wątpliwości, że coś przeżył. – Raz stałem na wachturmie w dzień i nagle widzę, że jakieś dziesięć metrów ode mnie opada na spadochronie Amerykan, w stronę wody. To był Murzyn. Pomachałem do niego, ale był sztywny ze strachu, więc mnie nie zauważył. To przecież nie w kij dmuchał opadać na spadochronie, chłopaki, jak pod wami pali się Berlin. I nie tylko to. Nagle widzę, jak jeden fokewulf wyrównuje lot koszący i chce się poderwać w górę, żeby znowu zrobić...

– ...dziurę w ementalerze – dokończyłem za niego.

– No. Ale pilot zobaczył tego na spadochronie i wycelował w niego. Chciał go rozstrzelać. I w tym momencie akurat między tym fokewulfem a Murzynem rozrwała się powietrzna torpeda. No i tego fokewulfa tak dmuchnęło... – Vożenil pokazał ręką niezamierzony lot myśliwca i przypadkowo walnął Malinę w żołądek.

– Nie masz oczu, ty słoniu!? – stęknął Malina, ale Vożenil płynnie ciągnął dalej:

– ...że roztrzaskał się o domy. Ale ten Murzyn, chłopaki... – uniósł zieloną twarz do sufitu. Za oknem padał mokry śnieg. – ...jemu eksplozja tak nadeła spadochron,

że poleciał przynajmniej kilometr w górę i wylądował trzy kilometry dalej, koło ogrodu zoologicznego.

– I tam go pożarł lew – dodałem.

– Jesteś baran, ty nosorożcu! – stwierdził Malina.

– Ty, słuchaj – wtrącił się Kos. – A ciebie to nie porwało, skoro porwało myśliwca?

– Ja spadłem do zbiornika wodnego. A tam, chłopaki, woda się prawie gotowała, bo wokoło spadały same bomby fosforowe.

– I tam ci się mózg ugotował, ty wielorybie! – oświadczył Malina.

– No to mi nie wierz – obraził się Voženil. – Ty nigdzie nie byłeś, bałwanie, tylko tu na tym zadupiu, i udajesz mądrego.

– Za to ty myślisz, bizonie, że jestem idiotą!

Chwilę się spierali w kwestii honorowej, ale potem chłopak z lakierni spytał Voženila o kobiety. Nikt nie protestował przeciwko zmianie tematu, bo kobiety to jeszcze ciekawszy temat niż okropności wojny. Ale okazało się, że również życie erotyczne zielonego weterana upływało pod znakiem koszmarów.

* * *

Spotkanie z Jirzim Krupką zaaranżowała Jirzina, bo znali się jeszcze z konserwatorium. Kolega. Teraz jest jasne, że to był błąd. Na O'Reilly'ego nie działał opis współczesnej dyktatury w Pradze. Zresztą z opowieści Krupki wyłaniał się obraz dość szczególnej dyktatury i niezwykle wyrafinowanego terroru. Na przykład rada narodowa w Chlumku odmówiła mu sprzedaży rokokowego pałacyku myśliwskiego, z którego światowej sławy wiolonczelista chciał zrobić dację. Zaprotestowali przeciwko temu w niezwykłym sojuszu miejscowy nauczyciel i proboszcz, oświadczając, że pałacyk jest za-
bytkiem i powinien służyć całemu narodowi.

– Nauczyciel to komuch, proboszcz jest w kolaboranckiej organizacji księży-patriotów „Pacem in terris”, a pałac leży w gruzach – wykrzykiwał wirtuoz. – Za kilka lat całkiem się rozwali. O ile nie zainwestuje w to osoba prywatna, okoliczna ludność wkrótce rozkradnie cały pałac na chlewy i obory. I tak jest ze wszystkim! Powiedziałem im to prosto w oczy i nie uwierzycie, co mi zrobili!

– Skoro pan tu jest, to chyba nic strasznego – mówi niezbyt przyjaznym tonem Lojza Vrabec, który prowadzi firmę opryskiwania pól farmerów na Środkowym Zachodzie. Ma pięć samolotów i dyrektorę, bo sam jest fanatycznym pilotem i osobiście lata na wszystkie opryskiwania. Członkowie Partii mają u Lojzy przechlapane i nie wprowadza on żadnego rozróżnienia między tymi, co są komunistami, i tymi, co są u komunistów.

Krupka nie zwraca jednak uwagi na zaczepkę:

– Wydusili z województwa specjalne fundusze i odrestaurowali pałac. Wpuszczają tam teraz tylko w niedziele i to wyłącznie zorganizowane grupy!

– Czyli właściwie pomógł pan dobrej sprawie.

– A wie pan, jak by mi się tam komponowało? Hrabia Sporck czy jakiś tam inny wypożyczył ten pałac Myslivečkowi, który stworzył tam jedną ze swoich najlepszych symfonii.

Kłopoty u O'Reillych są takie same, jak z Veroniką: Jirzina musi wszystko tłumaczyć swojemu mężowi, który wprawdzie studiuje języki, lecz nie zna ani jednego. Niestety nie ma lingwistycznego talentu Veroniki i tłumaczy bardzo niedokładnie. Pałac przetłumaczyła jako *castle*, więc tysoń, wygodnie rozwalony w miękkim fotelu, podnosi krzaczaste brwi:

– *What would you need a castle for?*

Wiolonczelista trochę zna angielski, więc tłumaczy, że nie chodziło o *castle*, lecz o *little castle*, *very tiny castle*. Nie przekonuje to jednak O'Reilly'ego.

– *Why would anyone in a socialist country live in a castle?*

– Skoro tyle u nas gadają o pomocy dla artystów...

– Moja żona też jest artystką, a jestem pewny, że nie chciałaby mieszkać w zamku. *Would you, Jirshina?*

Jirzina jest skonsternowana. Przyczesauje włosy ręką skrzypaczki i odpowiada wymijająco:

– Nigdy o tym nie myślałam.

– Ile tu zarabiasz, Jirzino? – cedzi przez zęby Krupka.

– No, różnie – odpowiada skrzypaczka. – Osiem, dziesięć tysięcy rocznie. – Jirzina nie ma stałej posady. Dopiero niedawno udało jej się przebić do związku artystów muzyków, a ponieważ podoba się dyrygentowi toronckiej orkiestry symfonicznej, zastępuje czasem chorych muzyków. Prywatnie dyrygent stwierdził, że gra lepiej niż połowa jego pierwszych skrzypiec, ale on nie może nikogo wyrzucić tylko dlatego, że znalazł się ktoś lepszy. Sama pani rozumie, mówił, tu jest kapitalizm. Zaraz miałbym na karku związek zawodowy, a z nim nie ma żartów. Dopóki ktoś nie umrze, może pani, niestety, liczyć tylko na zastępstwa. Prócz tego udziela prywatnych lekcji rzępolącym córeczkom i synalkom z ekskluzywnych dzielnic Rosedale i Forest Hill. W Pradze była członkinią orkiestry radiowej, a ponieważ czuła rytm, grała też na swingujących skrzypcach w półprofesjonalnej grupie country&western. Ale potem socjalizm zwabił łysonia i Jirzina uległa urokowi egzotycznej osobowości. Teraz, biorąc różne zastępstwa, żywi i utrzymuje na studiach tę egzotyczną osobowość, a Krupka nie przypuszczał, że dotknął bolesnego miejsca.

– Dziesięć tysięcy dolarów – szepcze wirtuoz w zachwycie, z nutą zazdrości. Błyskawicznie przelicza całą sumę na bony i mnoży je przez czarnorynkowy kurs. Wychodzi mu, że Jirzina zarabia rocznie ze ćwierć mi-

liona koron. To dopiero drugi jego wyjazd na Zachód.

– A twój mąż?

– Studiuje.

Wiolonczelista spogląda zdziwiony na studenta w pochryustusowym wieku. O'Reilly tymczasem wstał, rozgarnął kotarę dzielącą sitingrum od kiczeny i poszedł do frizeru po piwo. Kotara jest koszmarna, domowej roboty, wykonana z kapsli od piwa i plastikowych znaczków z imbecylnymi napisami, jakie noszą tutejsze nastolatki. Producent: O'Reilly. Gdy tylko przyszliśmy, Jirzina pochwaliła nam się z dumą, że kotarę, bibliotekę i stół zrobił samodzielnie jej utalentowany mąż. Biblioteczka jest z gotowych prefabrykatów, stół chyba nie. Za to twórcy nie starczyło już wytrwałości czy talentu, żeby go pomalować. Zrobiło mi się żal Jirziny. Była tak dumna ze swego studentasa, jakby właśnie zrobił potrójny doktorat.

Na razie jednak O'Reilly ma tylko nadzieję, że po kolejnym roku nauki osiągnie papier bakalarski z historii sztuki albo z podróżowania.

Krupka odwraca wzrok od kotary i spogląda na Jirzinę ostro, zaczynam więc podejrzewać, że był bliżej związany z tą lolobrygidą jeszcze w Pradze, zanim autostopem zjawił się jej obecny pogromca.

– Coś długo, nie?

– On... – Jirzina przełyka ślinę – musiał przerwać studia. Powołali go do wojska, do Wietnamu...

Nie dodaje jednak, że przerwał studia dopiero po ośmioletnim pobycie na pięciu uniwersytetach, a obecnie, po rocznej przerwie z powodu Wietnamu, już czwarty rok studiuje w Kanadzie. Niedoinformowany Krupka stwierdza ze współczuciem:

– Aha. No, najważniejsze, że to przeżył.

– On nie był w Wietnamie – oświadcza Lojza Vrabec.

– To jest draftdodżr.

– Co jest?

– Dezerter – wyjaśniam. – Zamiast iść i walczyć z komunistami, uciekł do Kanady – dodaję złośliwie, aby odpowiednio nastawić lojalnego obywatela CSRS.

Zgodnie z moimi przewidywaniami Krupka spogląda na Jirzinę z osłupieniem. Pod wpływem jego wzroku skóra dziewczyny przybiera ciemniejszy kolor i w ten sposób Jirzina staje się jeszcze bardziej podobna do Lollobrigidy. Zza zasłony wyłania się dezerter z butelką w ręku. Wszystkim już wyschły szklaneczki, ale O'Reilly nie zwraca uwagi na gości. Jirzina natychmiast wykorzystuje sytuację:

– Kto chce jeszcze piwa?

Mruczymy potakująco. Pociemniała na twarzy Jirzina wybiega i znika za kotarą. Krupka z niechęcią patrzy na dezertera, który znów zapada się wygodnie w swym gąbczastym tronie (dwieście dolarów, czyli równość dwóch Dziewiątych Symfonii na zastępstwie) i przepłukuje sobie gardło. W ciszy rozlega się zegar z kukułką. Jirzina przywiozła go z rodzinnego mieszkania w praskiej dzielnicy Vinohrady. Kukułka odzywa się trzy razy, choć jest dziesiąta wieczorem. To kolejny efekt zręczności O'Reilly'ego. Zegar się śpieszył, więc łysoń go wypatroszył, wykastrował kukułkę, dlatego teraz się spóźnia i kuka trzy razy co pół godziny.

– A co w kraju, zamykają? – pyta Lojza. Jego niechęć do dezertera jest równa niechęci do wiolonczelisty, który sprytnie nagina komunizm do własnych potrzeb, zamiast wreszcie dać nogę, kiedy ma okazję.

– No, zamykają – odpowiada wirtuoz. – Ale ludzie przeważnie się z tego cieszą. Zamykają prawie wyłącznie partyjnych.

Jirzina po cichu wróciła z piwem, a Lojza zwraca się do niej:

– Przetłumacz to!

Święta dziewczyna robi, co może. O'Reilly dopytuje się, za co zamykają.

– Przeważnie za konflikty partyjne – wyjaśnia Krupka, lecz duchem jest gdzieś indziej. Jego uwagę zwróciła ściana z zegarem, którą wszechstronnie utalentowany łysoń okleił tapetą z krzykliwymi obrazkami bohaterów komiksów. Wiem, że się zastanawia, czy jego praskiej dziewczynie wystarczyłyby taki importowany towar zamiast tapet w dżinsowe wzory, które poleciła mu nabyć, ponieważ zobaczyła je w mieszkaniu Janis Joplin na fotografii w piśmie „Mladý Svět”. Zanim rozmowa przeszła na politykę, opowiadał nam o dwudniowej odysei – poszukiwaniu dżinsowych tapet, które w końcu znalazł tylko w jednym, wyspecjalizowanym sklepie w Dominion Concourse, i to w cenie trzykrotnie wyższej od ceny innych najdroższych wzorów. Krupka zdecydował więc, że kupi w sejlu elektroniczny kieszonkowy kalkulator dla referenta z wydziału paszportowego, a narzeczonej powie, że tymczasem dżinsowe tapety przestały być na Zachodzie modne. Co to jest sejl, już wiedział, choć był na Zachodzie dopiero drugi raz.

O'Reilly domaga się wyjaśnienia charakteru partyjnych sporów.

– No, po prostu jedna banda odsuwa od koryta drugą i ta, która straciła dotychczasowe przywileje, krzyczy, jakie to straszne bezprawie. A ponieważ wszyscy są i zawsze byli bandytami, więc się nawzajem zamykają. – Teraz wionczelista zwraca się wprost do dezertera: – To nie jest tak jak w Ameryce, gdzie można spokojnie krytykować rząd i nikomu nie spadnie za to włos z głowy.

Z zadowoleniem stwierdzam, że reakcja O'Reilly'ego jest dokładnie taka, jak przewidywałem.

– To zależy od tego, kim pan jest – oświadcza. – Jeśli jest pan na przykład Murzynem, to nie musi pan nawet krytykować rządu, żeby spotkało pana coś złego.

– Wiem, wiem, u nas też o tym piszą. Stale i od początku to samo, że niby dyskryminacja rasowa. Ja jej, niestety, nie zauważyłem. W Nowym Jorku, gdzie się tylko ruszyć, pełno Murzynów. Nie mam tu na myśli Harlemu. W banku, w urzędzie, w szpitalu, jak mi coś wpadło do oka, to trafiłem na czarnego lekarza. A w hotelu biali kelnerzy kłaniają się w pas, żeby dostać napiwek od czarnucha...

Jirzinka tłumaczy: *from blacks*.

– *You should translate: niggers* – zwracam jej uwagę, żeby spotęgować reakcję. – Albo *shines* czy może *darkies*.

Smutno oczy spoglądają na mnie z wyrzutem. Robi mi się wstyd.

– ...a jeden facet, i to w dodatku krytyk muzyczny!...

– Krupka podkreśla to głosem. Widocznie krytyk muzyczny stanowi dla niego absolutny autorytet – pokazywał mi jakiś szmatławiec, który czarnuchy wydają...

– *Niggers* – posłusznie tłumaczy Jirzina, ale spuszcza wzrok.

– ...na uniwersytecie Harvarda! Taka sama gadzinówka jak nasze „Rude Pravo” czy „Tribuna”. Więc niech mi pan tu nie gada o prześladowaniu smoluchów w dzisiejszej Ameryce! Gdzie tylko spojrzę, pełno czarnych pedałów, odpicowanych jak z obrazka...

– Trzeba było odwiedzić też jakieś więzienie. Tam zobaczyłby pan ich jeszcze więcej – kontruje O’Reilly. Wiolonczelista ma jednak swoje doświadczenia z Murzynami i z łatwością powstrzymuje kontrę:

– Władze dobrze wiedzą, za co ich zamykają. Ja ich znam. W Pradze też ich pełno. Niby studenci. Jedyne, co ich interesuje, to nasze białe dziewczyny i picie. Niedawno w parku przed Dworcem Głównym napadli na jednego poetę, okradli go i pobili tak, że dostał wstrząsu mózgu. Ja nie jestem rasistą, ale to naprawdę było.

Mimo oświadczenia, którym Krupka zakończył swą tyradę przeciw czarnym bliźnim, O’Reilly już wie,

z kim ma przyjemność. Opiera się więc na mocnej podstawie ideologii, której już od pięciu lat dostarcza mu Kanadyjskie Stowarzyszenie Amerykańskich Dezertorów z Wietnamu. Mówi spokojnie, jakby pouczał nic nierozumiejącego prymitywa:

– *Most American blacks come from socially underprivileged classes. They are poor people, who...*

Natknął się jednak na faceta wykształconego w politycznych debatach:

– Tak, to już też słyszałem. To dokładnie to samo co u nas pochodzenie społeczne, tylko że na odwrót. Jak się chce, to można każdego zdolnego i porządnego człowieka zniszczyć, wytykając mu jego burżuazyjne pochodzenie. Można też każdego bydlaka usprawiedliwić, że tatuś był robotniczym moczymordą i stracił pracę.

Jirzina w swoim przekładzie wygładza precyzyjną i jasną wypowiedź Krupki, więc O'Reilly słyszy mniej więcej coś takiego:

– Każdy przestępca jest usprawiedliwiony, jeśli pochodzi z biedoty.

O'Reilly przytakuje.

– *That's right.* Amerykańskie sądownictwo ma charakter klasowy i dlatego całkiem słusznie należy traktować pensjonariuszy amerykańskich zakładów karnych jako więźniów politycznych.

Krupka w zdumieniu unosi brwi i spogląda na koleżankę, która jest już pąsowa jak róża:

– Jirzino, na Boga! Coś ty sobie wybrała za palanta?

– Daj spokój, proszę!

– Teraz już rozumiem, czemu musiałaś szukać męża aż za wielką wodą. Takiego oryginała w Pradze już byś nie znalazła. ON TO WSZYSTKO MÓWI POWAŻNIE!!!

W głosie wirtuoza słychać autentyczne zdumienie.

– *What's that?*

– Nie tłumacz tego, co o nim mówiłem. Spytaj tylko, czy jeśli amerykańskie sądownictwo jest klasowe, to jakie jest czechosłowackie?

Krupka jest jednak dobrym kolegą. Chce uratować Jirzi-
nę przed małżeńską eksplozją, do jakiej zapewne by do-
szło, gdyby Łyson dowiedział się, co o nim powiedział.

O'Reilly słucha tłumaczenia i odpowiada:

– Czechosłowackie jest przynajmniej jawnie klasowe,
a amerykańskie ma ukryty charakter klasowy.

Zamiast wiolonczelisty wybucha Lojza Vrabec:

– Ale trafił kulą w płot! Nasze sądownictwo ma na-
prawdę podwójną miarę. Słyszałeś kiedyś o Apolenie?
Twoja żona to zna! – Lojza mówi płynną kanadyjszczy-
zną z farmerskim akcentem Środkowego Zachodu i ab-
solutnym ludowym talentem narracyjnym. Opowiada
mało znany epizod historii klasowego sądownictwa,
które uratowało życie Apoleny, jednego z niewielu au-
tentycznych (nie tylko samo-się-oskarżających) agen-
tów CIA. W czasie przekraczania granicy dopadł Apo-
lenę i jego kompan patrol Straży Granicznej. Chłopc-
y z automatami chcieli sobie wystrzelać przepustkę
czy też medal za zabicie dywersanta. No ale Apolena
i kompan przeszli twardą szkołę u faceta z *marines* –
Cracka McCrackena, więc dali ognia z biodra i jeden
żołnierzyc wyciągnął kopyta, a drugi dał nogę. Mieli
jednak ze sobą dwa bardzo dobre psy, które ostatecz-
nie pokonały dwóch szpiegów, i odbył się uroczysty
proces. Chociaż sekcja zwłok wykazała ponad wszelką
wątpliwość, że kula, która uśmierciła żołnierza, wyszła
z pistoletu Apoleny, a kompan nie trafił, to czapę do-
stał właśnie ten kompan, natomiast Apolena tylko dwa-
dzieścia pięć lat. Dlaczego? Dlatego że kompana spłod-
ził księgarz, a Apolenę – majster z zakładów CzKD.
Więzienie może więc dobrze wpłynąć na zbłąkanego
syna klasy robotniczej, gdy tymczasem wroga klasowe-

go nic już nie może zresocjalizować. No więc powiesili kompana, a Apolenę wypuścili w czasie dużej amnestii na początku lat sześćdziesiątych; po bratniej pomocy uciekł do Afryki Południowej i wstąpił do policji.

– To było logiczne – mówię. – Szubienica wychowuje każdego, dopóki sznur się nie urwie.

Krupka jest wyraźnie zainteresowany historią, wbił ją sobie w pamięć, zapewne aby później wykorzystać w Pradze czy innej metropolii postępu. Śmieje się. O'Reilly natomiast jest całkowicie pozbawiony poczucia czarnego humoru. Mędzi, jakby robił wykład z paleontologii:

– W amerykańskich sądach dzieje się dokładnie tak samo. Jeśli jest pan czarny albo niewygodny politycznie, dostanie pan za to samo przestępstwo znacznie wyższą karę, niż gdyby pan był biały i miał pieniądze albo wpływy polityczne.

Teraz Krupka przestaje już mieć wzgląd na drogą koleżankę.

– A na przykład taka Angela Davis? – pyta jadowicie i tak zwanym podniesionym głosem. Teraz obie strony przedstawiają zwyczajowe wywody. Teza: w Pradze przy jednej setnej dowodów, jakie miał przeciw Angeli amerykański prokurator, z całą pewnością by ją powiesili, dziewczyna nie dziewczyna. W dodatku zapewne poćwiartowaną, bo pochodziła z obcej klasy – murzyńskiej burżuazji. Antyteza: amerykański prokurator nie był w stanie niczego udowodnić i przekonać stronnicy – bo białej – ławy przysięgłych, a mimo to Angela musiała ponad rok spędzić w więzieniu. Z tego powodu zepsuł jej się wzrok. Syntezy, jak zwykle w takich dyskusjach, nie ma. Więc następna teza: dowody przeciwko Slanskiemu i innym nie tylko zostały obalone, ale wręcz uznane później przez najwyższe władze za sfabrykowane, a mimo to Slanskiego i innych powieszono. Antyteza: różnica między Angielą a bandą Slanskiego jest tylko ilość

ciowa, nie jakościowa: w obydwu przypadkach chodzi tu o ludzi niewinnie trzymany w więzieniach. Wiolonczelista nie jest w stanie zgodzić się na jakościowy znak równości między pogarszaniem się wzroku a skreśleniem karku i zaczyna dziko ryczeć. Krzyczy na niewinną Jirzinę, jakiego to sobie znalazła pieprzonego bydlaka. Biedna Jirzina nie tłumaczy tego, tylko interpretuje w taki sposób, że jednak w odróżnieniu od Slaskiego Angeli nie powiesili. Ja dodaję do tego, że nawet czysto teoretycznie trudno uznać różnicę między szubienicą a okularami za wyłącznie ilościową, ponieważ w przypadku szubienicy chodzi o zmianę stanu z biologicznie żywego na biologicznie martwy, co oznacza przynajmniej takie same przejście ilości w jakość, jak znana przemiana wody w lód czy jajka w kurę, przedstawione przez Engelsa, zdaje się w dziele *Dialektyka przyrody*. O'Reilly wreszcie całkiem słusznie zaczyna mnie podejrzewać, że ironizuję, więc opuszcza bezpieczny teren teorii i sięga po klasyczny przykład z historii: Sacco i Vanzetti. Tym razem lotnik traci nerwy i zaczyna wrzeszczeć, że Sacco i Vanzetti już mu działają na nerwy, bo takich jak oni było w Pradze tysiące. Spór szybko przeraździ się w bój dwóch kohort, z których każda ma opancerzony mózg. O'Reilly przedstawia drugie historyczne exemplum: Rosenbergowie. Lojzę zmienia teraz wiolonczelista i pewnym siebie tonem oświadcza, że było to dwoje agentów sowieckich i szkoda tylko, że załatwili jedynie ich. Jirzina przestaje tłumaczyć, więc wiolonczelista przechodzi na łamaną angielszczyznę, a lotnik go wspiera. W Ameryce jest masa politycznych zbrodni, o których się nie pisze. Policja zabija każdego członka Czarnych Panter, który jest niewygodny... Więc dlaczego wrócił do Ameryki Eldridge Cleaver? Nostalgia, stwierdza O'Reilly. Ale dlaczego wobec tego oświadcza, że Ameryka z całą swoją grozą jest lepsza niż komunizm

z całą swoją czułością? Ponieważ Cleaver ma nadzieję, że dadzą mu za to niższą karę. Ale wobec tego po co wracał? Już mówiłem: tęsknota za ojczyzną. Logicznie rzecz biorąc, oznacza to, że wszędzie dobrze, ale w amerykańskim pierdłu najlepiej, podsumowuję. O'Reilly wściekle rzuca we mnie butelką piwa, uchylam się, Jirzinka wstaje, żeby zamieść skorupy i wytrzeć.

Krupka jęczy po czesku.

– Wrócił, bo nie jest takim kompletnym matołem jak ty, ty ciulu! Poznał na własnej skórze, co to jest socjalizm z gęsią skórką. – Niedoszły nabywca barokowego pałacyku łka z nadmiaru uczuć.

Chcę sprowokować łysonia do rozbicia zegara z kukłą, więc mówię:

– *Entia non sunt multiplicanda praeter necessitatem* – a kiedy zauważam mordercze spojrzenie, dodaję: – Wy tłumaczenie pana Krupki jest prostsze i bardziej prawdopodobne, dlatego daję mu pierwszeństwo przed pańskim, Mr O'Reilly.

– A ja ci dam jeszcze prostsze wyjaśnienie, ty fiucie! – krzyczy lotnik. – Eldridżowi w Korei groziło, że też pójdzie do pierdła, a tam nie jest jak tutaj, nie dają raz w tygodniu befsztyka! On na przykład puścił bąka w mauzoleum Kim Ir Sena, a za to w Korei jest czapa! No ale że był czarny, to może by dostał tylko dożywocie w kopalni uranu czy gdzie tam oni wysyłają wszystkich niewygodnych, żeby wyciągnęli kopyta!

Zapędzony do rogu O'Reilly przechodzi do argumentów *ad hominem*:

– Pan jest socjalistą, prawda?

– Kto panu to powiedział? – wystraszył się Krupka.

– *Well*, sam pan to powiedział, wczoraj w „Star”.

W „Star” był wczoraj wywiad z Krupką. Tuż przed wyjazdem do Kanady Krupka wygrał w Moskwie międzynarodowy konkurs wiolonczelistów, zorganizowany

z okazji rocznicy urodzin (czy może śmierci) W.I. Lenina, więc był *newsworthy*. Kanadyjski dziennikarz tradycyjnie wszystko sobie połączył i zadał mu głupie pytanie: „Czy jako artysta socjalistyczny ma pan poczucie wolności twórczej?” Krupka naturalnie nie mógł zaprotestować przeciw etykietce socjalistycznego artysty, a o poczuciu wolności twórczej też się nie chciał wypowiadać, bo nie bardzo mógł. Odpowiedział wobec tego lakonicznie: *Yes*. Teraz prywatnie, przemówił szczerze:

– Tak! Akurat będę im gadał w gazetach, co sobie myślę!

– Ale był pan zwolennikiem Dubčeka – atakuje Łysonń.

– Byłem.

– A Dubček był komunistą!

– Ale to był porządny człowiek! – argument ten jest niezrozumiały dla ideologicznego dezertera. – Szkoda tylko, że głupi. Za jego czasów wreszcie można było mówić prawdę. Ujawniono różne świństwa...

O'Reilly ze swego tronu wyciąga rękę po piwo, ale uświadamia sobie, że rzucił nim we mnie. Jirzina zrywa się z miejsca i wybiega do kuchni. Łysonń znów truje paleontologicznym tonem:

– To mi tylko potwierdza, że wkroczenie Rosjan było konieczne.

– Właśnie wszystko przez tego lebiegę Dubčeka – stwierdza Krupka, który nie zrozumiał Łysonia.

– Był to rezultat właściwej analizy politycznej Krem-la – mówi w zamyśleniu student.

Krupka zaczyna rozumieć. Purpurowieje:

– Ty popierasz interwencję?

O'Reilly wzrusza ramionami:

– Było to bolesne, ale konieczne.

Rozlegają się dwa okrzyki.

Lojza ze wściekłością:

– *You shut up, you piece of shit, or I'll do it for you!*

Krupka rozpaczliwie:

– JIRZINO!!!

Wszyscy, łącznie z O'Reillym (z nową butelką w ręku), rozglądamy się za małżonką i żywicielką łysonia.

Leży na poduszce, w rogu pokoju, jak urocze siedem nieszczęść i pociąga nosem. Na chwilę tracimy rezon. Nawet O'Reilly'emu zadrżała ręka i piwo wylało się na podłogę. Łyson z wysiłkiem wstaje ze swego tronu, ale nie podchodzi do żony, jak oczekiwałem. Idzie do kiczeny po następną flaszkę.

Wobec tego ja do niej podchodzę i zaczynam ją pocieszać. Rezultatem jest jakościowa przemiana płaczu. Ramionka lolobrygidki drżą w niepowstrzymanym szlochu.

– No, no, spokojnie, kochana – buczę. Wdycham woń świeżutkich, pachnących włosów. – Proszę na to nie zwracać uwagi. To są same bzdury.

– Ale on... – łąka – Patrick tak nie myśli... on jest... taki niedoświadczony... i ma wielką słabość do tej... Angeli Davis... jak się go nie drażni, to można z nim... sobie pogadać...

– Ja wiem – przytakuje i dorzucam kłamstwo: – To jest fajny facet... ja go rozumiem...

Nowa fala płaczu. Lojza głośno wita dezertera wchodzącego z następnym piwem:

– Poczekaj, niech no wam Murzyni zrobią w Ameryce rewolucję! Tacy jak ty pierwsi będą wisieć!

Może i ma rację. Ojciec O'Reilly'ego jest głównym akcjonariuszem chainu hamburgerowego. Nie docenia jednak konsekwencji indoktrynacji łysonia.

– Nie będzie nas szkoda – odpowiada O'Reilly.

– Tu masz całkowitą rację – stwierdza Krupka. – Zdradziliście Amerykę, kiedy was najbardziej potrzebowała!

– My nie zdradziliśmy Ameryki! Zdradzili ją ci, którzy nas posłali do Wietnamu!

– Żeby walczyć z komunizmem! – ryczy Krupka. – Kto ma taką możliwość, to jego święty obowiązek! A wy uciekliście z pola walki!

O'Reilly blednie. Znalazł się na cienkim lodzie. Widzę, że Lojza Lotnik już tylko czeka na okazję. Łysonь szybko mu ją daje:

– Nie chciałem walczyć za coś, z czym się nie zgadzam.

A Lojza:

– Nie zgadzasz się z tym, bo nasrałeś w portki ze strachu!

– To nieprawda! Ale nie chcę rzucać napalmu na niewinnych ludzi!

– Nie pieprz farmazonów! Akurat ci zależy na innych ludziach! Zdeztererowałeś z tchórzostwa!

– Widziałeś zdjęcia z Wietnamu?! Widziałeś te spalone dzieci?

– Tak, widziałem – ripostuje Lojza. – Ale ty się bałeś, żeby ciebie też nie spalili. A dzieci zostaw w spokoju!

Jednak łysonь kurczowo uczepił się dzieci:

– Nie będę zabijał dzieci!

– A ja ci powiem, ty fiucie, że gdybyś w Wietnamie miał przeciwko sobie tylko dzieci, tobyś tam pojechał. Tylko że tam był Wietkong, więc gówno wyciekło ci przez nogawki!

– Nie bałem się!

– Tylko się obsrałeś aż po same uszy! A teraz zgrywasz bohatera!

– Nie obrażaj mnie!

Nie mogę się powstrzymać. Dodaję jeszcze swoje marksistowskie ziarnko pieprzu do młynka mielącego honor łysonia.

– Muszę przyznać, że argumenty pana Vrabca są bardziej przekonujące – mówię, jak o dinozaurach. – W życiu i w świecie decydują siły materialne, ruch fizyczno-biologiczny. W sferze nadbudowy ideologicznej ubie-

ramy je w różne ideologiczne argumenty. Dlaczego więc się nie przyznać? Strach o życie to ludzka rzecz. Równie ludzki jest wstyd z powodu tego strachu. Wobec tego człowiek ex post zastępuje go innym, bardziej szlachetnym motywem. Można ich znaleźć bardzo wiele.

O'Reilly już dobrze nauczył się rozpoznawać moje nieszlachetne zamiary i wściekle błyska oczami. Dla Lojzy brzmi to zbyt uczenie:

– Doktorze, co pan tu będziesz tru! Wiadomo, że to tchórz!

– I zdrajca! – dorzuca Krupka.

Z rogu, z kolorowej poduszki, rozlega się głośny szloch Jirziny. O'Reilly wreszcie uświadamia sobie, że są tu inni ludzie i że może wykorzystać małżonkę do celów samoobrony. Wykonuje wobec tego unik i przechodzi od ideologii do konwencji towarzyskiej:

– To wystarczy – oświadcza tonem salonowca. – Muszę poprosić, abyście panowie opuścili moje mieszkanie!

Wstajemy. Lojza Vrabec, jak bohater gangsterskiego serialu, podchodzi do łysonia i mocną ręką chwytą go za chusteczkę obwiązaną dookoła szyi.

– Twoje mieszkanie, mówisz? A co w nim jest twojego. Tylko tamta czeska dziewczyna, która na ciebie tyra, ty bojowniku o pokój!

– Poważnie? – dziwi się Krupka.

– Sam go spytaj! – warczy Lojza i puszcza łysonia.

– My z Jirshiną jesteśmy zwolennikami równouprawnienia mężczyzn i kobiet – charczy podduszony dezert. – Jak skończę studia...

– Jak skończysz studia, ty dupku, to Jirzina zostanie prababką. Mam tylko nadzieję, że bachory będzie miała z kimś innym, kto bardziej na nią zasługuje!

Delikatna dziewczyna na poduszce chyba już umiera. Sądząc z tonu głosu Lojzy, zapewne siebie uważa za bardziej zasługującego na zrobienie dzieci Jirzinie.

Szczerze mu życzę, żeby tak się stało. Ale z tymi różnie bywa. *Sic visum Veneri...*

* * *

Cześć Danny,

już długi czas do ciebie nie pisałem, pewnie ze trzy lata, czas leci jak woda. Ani się człowiek obejrzał, a już mam 44 lata. Ja przeważnie robię teraz na wykopach, czasem nawet po pas w wodzie, wiesz, w moim wieku już lepszej roboty nie dostanę. Ale dobrze zarabiam, w zeszłym roku byłem na urlopie na Tahiti, są tam tak piękne baby, że prawie się ożeniłem, ale w ostatniej chwili pojawił się anioł stróż i się rozmyśliłem. Nie ma z nimi o czym pogadać i są dobre jako służące, ale nie jako żony. Więc sobie pomyślałem, i co byś mi na to poradził, że skoro to u nas zaczyna lepiej wyglądać, to może bym się wyprawił przez wielką wodę odwiedzić matkę, będzie już miała 71 lat, no i rozejrzeć się, czyby się u nas nie dało znaleźć jakiejś roboty. Tutaj się mówi, że podobno ten Dubček wydał amnestię dla politycznych, to może byś mi się gdzieś mógł o to przepytać, na przykład w sądzie. Może pamiętasz, że ja wtedy wyfasowałem 4 lata in absentia, ale jeden Czech tutaj twierdził mi, że to już powinno być przedawnione, bo w tym roku mija akurat 20 lat. To jest były prawnik, ale tutaj robi jako insurance agent i ubezpieczył mi chałupę. Gdybym ją sprzedał i wyciągnął oszczędności, to mam na podróż tam i z powrotem do Australii, jakby mi się u nas nie spodobało. Ale ty byś musiał się przepytać, czy nie musiałbym siedzieć, bo wtedy bym nie jechał. Ten Czech mówi, że im nie można wierzyć, ale ja polegam na tobie. Ty przez te lata lepiej ich znasz. Tę pracę, co mam tutaj, przeważnie ciężką robotę, to w kraju też bym znalazł. Umieję kierować truckiem i samochodem, nauczyłem się też angielskiego, co w kraju mogłoby się przydać. Ale najpierw byś musiał mi się przepytać w sądzie, bo na stare lata nie chciałbym kisać w pierdłu. Mama do mnie pisze 1 raz w miesiącu, ale

jest już stara i pismo ma kostropate, że już nie bardzo się da przeczytać. Benda się wciąż nie ożenił, to jest oferma, przecież tam nie ma samych włoszek, chinek czy innych skośnokoch, więc czemu się nie weźmie w kupę. Vaharz się podobno przeprowadził, gdzie go nie znają z powodu tego więzienia. Twój kumple z tej kapeli podobno też byli zamknięci, ten długi blondas, myślę, że miał na imię Leksa, i Haryk, a Lucie jest podobno w szpitalu dla wariatów, mama mi pisała, że wpadła w narkotyki, a on się z nią rozwiódł i wziął sobie jakąś młodszą. Ja ją pamiętam, to była ładna panna, ale podobno jak Haryk siedział, to przepisywała nuty dla orkiestr i czasem długo w nocy, bo musiała też wyżywić dzieciaka, i w ten sposób się przyzwyczaiła do narkotyków. To jest świństwo, tutaj też to można dostać, ale ja nawet nie chcę tego widzieć. Nawet nie piję, bo mam zły przykład taty, tylko piwo, no i palę. To przez to, że tata miał sklepik. Mama mi przysłała kartki z Kostelcem i mam je przypięte na ścianie. Na jednej jest rynek i kasa oszczędnościowa, a obok widać dawny sklepik taty i Rupa, i hotel Beranek, gdzie chodziliśmy na bilarda. Wydaje się tam wszystko takie jak za starych czasów, tylko parę domów przybyło, ale reszta taka sama, zamek i kościół, i plebania, i stary sąd z pręgierzem, do którego wtedy dla żartów przywiązaliśmy tego grubego, co grał na trąbce, a z drugiej strony browar i Czarna Hora, i Chata Jiráska, wszystko jak było. Na jednej kartce widać też magazyn Vencla, i mam też przypięte zdjęcia, co mi posłałeś, jak to wybuchło, bardzo ci się udały. Podobno umarł pan doktor Labsky, bardzo go szkoda. Tu doktorzy są tylko za pieniądze, nie jak pan doktor Labsky, a ubezpieczenie jest słabe. W zeszłym roku się finansowo zrujnowałem, bo musiałem mieć dentures, już nie wiem, jak się to powie po czesku, chyba sztuczne zęby. Tak się wykosztowałem, że w tym roku nie mogłem jechać na Tahiti. Ale jak mi się przepytasz, to sprzedam dom i na podróż statkiem w obie strony (nie samolotem) mi wystarczy. Jechałbym jakimś freighter, bo tam się czasem da kawałek biletu odpra-

cować. Poza tym tutaj za bardzo się nie spotykam z Czechami, bo tylko politykują, a ja z tego wyrośłem, przecież wiesz. Tata stracił rękę i w końcu posłali go na przedwczesną emeryturę, dostawał 350 miesięcznie, a mama nic, bo nigdy nie pracowała, bo tata nie chciał. Na szczęście rodzina z Moraw o nich nie zapomniała, mają tam spółdzielnię, to tacie jak zawsze na jesieni posyłali piękne zapasy, więc przynajmniej tą śliwowicą trochę się pocieszył. I na co to wszystko było? Drugi raz już bym się poważnie zastanowił. Więc mi się przepytaj, jeśli wiesz gdzie, chyba w sądzie, i jak uznasz, że nie jest to zbyt wielkie ryzyko, to ja bym się jakoś pod koniec roku pojawił.

Twój stary kolega

Przema

* * *

Na parkingu przed domem Krupka powiedział:

– Zauważyliście tę apaszkę? Od Saksa z Piątej Avenue! Mam w Pradze dokładnie taką samą. Szwagier mi przywiózł z Paryża.

Staliśmy wśród samochodów, a nad nami niczym ul nadzianych pszczołek świecił się nieskończenie wysoki drapacz chmur. Żłote okna wieży, w której cierpi zakłęta księżniczka O'Reilly, pozdrawiały swe ciemne siostry na brzegu jeziora Ontario. Nad czubkiem wieży wisiał w stratosferze kanadyjski księżyc.

– Jak taka dziewczyna mogła sobie wziąć takiego moralnego bankruta – odezwał się z głębokim współczuciem lotnik. – Taka piękna dziewczyna! I czeska!

Pomyślałem, że lotnik jak najszybciej postara się zmienić ten stan rzeczy. W kieszeni raglanu zacisnąłem kciuki.

– No, wiecie – stwierdził Krupka tonem posiadacza wszelkiej mądrości. – Załapała się na Amerykę. *Dolce vita*. A przy tym w Pradze mogła mieć facetów, ilu

by chciała. Ja ją znałem w Pradze. Mogła mieć i przystojnych, i politycznie wpływowych, i wszystkich razem. Ale Praga to jednak nie jest Ameryka.

– Ale takiego darmozjada, panowie! I to czeska dziewczyna! Czeska! – lamentował lotnik. – I bierze sobie amerykańskiego komucha! – nie mógł się naziwić, a jego głos ulatywał ku czystym kanadyjskim gwiazdom. O komunizmie mówił na podstawie całkiem szczególnego, osobistego doświadczenia. Opowiadał mi o tym kiedyś mistrz ozembucha Szestak. Dawniej komunizm Lojzie za bardzo nie przeszkadzał. Był gorliwym członkiem Ligi Obrony Kraju, jej wydziału lotniczego, więc jak poszedł do wojska, to wzięli go prosto do lotnictwa. A on wojsko uwielbiał i miał życiowy cel stać się zawodowym pilotem myśliwca typu MIG. Nie dlatego, żeby bronić spokojnego snu kobiet i dzieci czy coś w tym stylu. Chciał po prostu poruszać się z szybkością ponaddźwiękową.

Ale od czego byli piękni chłopcy kadrowcy, jak ich nazywał kornecista Danda w Bulvarce. Kadrowiec w administracji szkoły lotniczej stwierdził, że ojciec Lojzy walczył w Hiszpanii, więc w latach pięćdziesiątych w związku z procesem „centrum szpiegowskiego” na krótko go aresztowali i wykluczyli, a potem wypuścili i zrehabilitowali. Z punktu widzenia kadrowca oznaczało to, że skoro ojciec Lojzy został raz decyzją Partii uznany za winnego, to jego faktyczna niewinność stanowiła w istocie podstęp wobec Partii i dlatego synowi takiego człowieka nie można powierzyć naddźwiękowego myśliwca. Przenieśli Lożę z lotników do piechoty, bo nie ma sprawiedliwości ponadklasowej. Odbębnił wojsko na piechotę i zaraz po odbyciu służby poszedł odwiedzić swoje stare lotnisko Ligi Obrony Kraju. Przywitali go jak świeżo upieczonego pilota wojskowego, opili jego powrót i towarzyszył instruktor

powiedział: „Słuchaj, Lojziku, towarzysz naczelnik leci do Brna. Zatankuj mu maszynę i podkołuj ją z hangaru na pas, żebyś nie wyszedł z wprawy”.

Lotnisko było pięć kilometrów za Bratysławą. Lojzik nie odpowiedział nic, poszedł do hangaru, zatankował maszynę i podkołował ją na pas. Tam już czekali kole-dzy, na czele z towarzyszem instruktorem i towarzyszem naczelnikiem, który miał na głowie lotnicze okulary. Pa-trzyli, jak Lojzik kołuje maszynę po betonie w ich kierunku. Ale Lojzik przy nich nie zwolnił, tylko przyśpieszył. Silnik samolotu nieprzyzwoicie zaryczał, towarzysz naczelnik skoczył na beton i podniósł ręce w górę na znak „Stop!”, lecz maszyna przefrunęła nad jego głową, prze-leciała tuż nad wierzchołkami drzew na końcu lotniska, skręciła na południe, przeskoczyła topole przy szosie i zniknęła. Po dwudziestu minutach Lojzik wylądował na lotnisku aeroklubu wiedeńskiego.

A teraz tutaj rozsiewa nawozy na urodzajnych polach farmerów na Środkowym Wschodzie, posiada flotyllę pięciu rolniczych cessen i kocha się w zakłętej księżnicz-ce. Unosi pooraną przez wichry twarz w stronę preryjnego księżycyca i mówi z uczuciem:

– Taki komuszy wypierdek! Tchórz! Dezerter! Z nie-go by był doskonały dentysta w pierdlu na Ruzyni! Już go widzę! Ja ich tak nienawidzę! Tak ich nienawidzę!

Po chwili odwrócił się gwałtownie w naszą stronę:

– A wiecie, co ja zrobię? Już od dawna mi to chodzi po głowie, ale teraz naprawdę to zrobię! Żeby Jirzina widziała!

– Zabijesz go? – spytałem. – Raczej tego nie rób. Do-starczyłbyś im męczennika. Przeciwnik wojny w Wietnamie zamordowany ręką rewizjonisty i uciekiniera...

– On nie jest tego wart – odparł lotnik. – A Jirzina sama się go pozbędzie. Ona nie jest głupia, tylko teraz trochę ogłupiona, to się każdemu zdarza. Ja zrobię coś znacz-

nie lepszego! Posłuchajcie! – Znów patrzy na płonące gwiazdy, a twarz rozjaśnia mu błogi uśmiech. Ciągnie dalej. – Od austriackiej granicy jest trzy minuty lotu nad plac, na którym w Bratysławie organizują w maju parady wojskowe. Nad tę trybunę, co na niej zawsze stoją jak kukły nasze i sowieckie trepy. Z góry ich dobrze widać, bo metal się błyszczy, jak mają poprzipinane te pancerze z orderów Lenina. Idealny punkt orientacyjny. Wiecie, co ja zrobię? Wynajmę sobie w Wiedniu największy, jaki znajdę, samolot do rozrzucania gnoju, napełnię go moczówką, do której się jeszcze osobiście wysram, i jak na pierwszego maja trepy będą robiły defiladę, przylecę tam i z pięciu metrów obrzucę ich tym kanadyjskim napalmem. Zanim się zorientują, z bohaterów Związku Sowieckiego zrobią się chodzące latryny!

Przez chwilę jeszcze staliśmy, oczarowani wizją śmierdzących generałów armii okupacyjnej. Potem się pożegnaliśmy. Lojza z rykiem silnika swojego MG zniknął z niedozwoloną prędkością gdzieś w Don Mills, a ja zawiozłem Krupkę do jego hotelu. Po drodze jeszcze mnie wypytywał, czy Saks z Piątej Avenue nie ma w Toronto filii, a potem chciał się dowiedzieć, gdzie by mógł dostać damskie majtki z napisami YES, NO i MAYBE, bo takich jeszcze nie ma żadna dziewczyna w Pradze, a chce ich jego przyjaciółka. To mu też przypomniało nierozwiązany problem tapet ze wzorem *blue jeans*. Z oponami samochodowymi z białymi paskami, których do swojego saaba chciał szef agencji koncertowej, już się pożegnał, bo musiałby w samolocie płacić za nadwagę. Przywiezie więc przynajmniej jego córce prawdziwe levisy, a jego żonie albo balonowy parasol, albo meksykańskie poncho ze skóry grzechotnika. Jechaliśmy piękną, popółnocną Bloor Street i serdecznie się pożegnaliśmy przed konserwatywnie się szczerzącym czarnym portierem Hyatt-Hiltona.

Następnego dnia rano Krupka poleciał na Kubę. Jeden koncert miał w stacji uszlachetniania byków imienia Che Guevary, drugi w państwowej plantacji trzciny cukrowej imienia Wyszynskiego, a ostatni w Hawanie, gdzie przyszedł go posłuchać sam *El Jefe*. Po koncercie spędził z nim chwilę na serdecznej rozmowie.

* * *

– Przyszłość Rosji jest przyszłością świata – mówię i widzę zainteresowanie na twarzy Hakima. Mam jednak co innego na myśli, niż ci się wydaje, Hakimie.

– Sądzi pan, że Rosja napadnie na Stany? – pyta Wendy. Bellissimmo ze zmarszczonymi brwiami pali papierosa, a Sharon robi notatki.

– *That wont't be necessary, I guess.* Chodzi mi o przyszłość pewnych zjawisk społecznych, które są tradycyjnie rosyjskie.

– Myślałem, że chodzi panu o rewolucję – warczy Hakim.

Wiem, że tak myślałeś, Hakimie.

– Konkretnie zaś zjawisk, które pojawiły się w Rosji po rewolucji. Otwórzcie książki na stronie sto czterdziestej piątej. Cytuję: „Kurtz namówił tamte plemiona, aby szły za nim, prawda?”, pyta Marlow, a arlekin odpowiada: „Oni go ubóstwiali”. A teraz posłuchajcie szczególnie uważnie! – zwracam się do grupki moich uczniów, lecz wiem, że pod wpływem cytatu w ich głowach nie pojawi się obraz twarzy z potężnymi wąsami, które od czasu wynalezienia brzytwy zawsze coś starają się ukryć: kompleksy, zarozumiałość, pragnienie wyróżnienia się czy też schowania w tłumie. Czytam dalej: – „Oni go ubóstwiali. (...) Ton jego słów był tak nadzwyczajny, że popatrzyłem na niego badawczo. Zaciekawilo mnie, z jaką skwapliwością, a zarazem rezerwą mówił o Kurtzu”. Skwapliwością, a zarazem rezerwą!

– podkreślam. – Czyj portret Conrad tutaj maluje? Nie zapominajcie o tym, co powiedziałem: *Jądro ciemności* jest prorocstwem.

– Ma pan na myśli Stalina? – pyta inteligentna Nicole.

– Oceńcie sami – odpowiadam i czytam na głos: – „Przybył do nich z gromem i błyskawicą (...) i bardzo straszny. On potrafił być bardzo straszny. Nie można go sądzić jak zwykłego człowieka. Nigdy w życiu” – robię pauzę. – W partyjnym słowniku zjawisko takie nosi nazwę kultu jednostki.

– Chodzi panu o partię komunistyczną! – upewnia się Wendy. Jej głupota irytuje Bellissimma:

– *Naturally, chickenbrain!*

– *Well, I just want to make sure, gigolo!*

– Nie przeszkadzajcie, dzieci – uspokajam ich. – I słuchajcie. Słuchajcie arlekina: „Nie można go sądzić jak zwykłego człowieka. Nigdy w życiu!” Słyszycie te namiętności? Ale nie chcę uprzedzać. Posłuchajcie arlekin: „Otóż... niech tam, powiem, żeby panu dać o nim wyobrażenie: raz i mnie chciał zastrzelić – ale ja go sądzić nie będę. – Zastrzelić pana!”, przeraził się Marlow, arlekin zaś wytłumaczył, że pan Kurtz chciał go zastrzelić z powodu kości słoniowej, która należała do Rosjani-
na. Pan Kurtz oświadczył, że „może to zrobić”, bo „ma na to ochotę” – słyszycie? ochotę! – arlekin zaś dodaje: „nic go na świecie nie powstrzyma od zabicia, kogo mu się żywnie podoba. To była prawda. Dałem mu tę kość słoniową”. Z panem Kurtzem się nie dyskutuje. Jego się słucha. Nie można go sądzić jak zwykłego człowieka. Marlow znów jednak niczego nie rozumie. Zachowanie takie tłumaczy jak człowiek Zachodu: „»Przecież to wariat!«, ale arlekin zaprzeczył z oburzeniem. Gdzieżby pan Kurtz mógł być wariatem. Gdybym go słyszał mówiącego jeszcze przed dwoma dniami, nie śmiałybym sugerować czegoś podobnego”.

Kafejka opustoszała, tylko sekretarki wydziału nauk humanistycznych ostentacyjnie celebrowały *early afternoon coffee break*. Odzywa się Hakim, głosem, w którym słychać znaną mieszankę pogardy, wątpliwości, nienawiści i czegoś, co go do mnie przyciąga. Obaj jesteśmy członkami szczególnej elity. Zależy nam na sprawach, na których nie zależy ani Wendy, ani Sharon, o których nie ma pojęcia Vicky i którymi Nicole interesuje się wyłącznie z prakobiecych względów.

– Wszystko to można jednak odnieść do któregośkolwiek tyrana z historii. Na przykład do bohaterów Szekspira. Weźmy choćby takiego Ryszarda II...

– Nie zapominaj, że arlekin jest Rosjaninem – odparłem. – Zauważ, jaki nacisk kładzie Conrad na tę kluczową rozmowę pomiędzy człowiekiem Zachodu – Marlowem, i człowiekiem Wschodu – arlekinem. Już nawet to, że Marlow jest zindywidualizowany dzięki własnemu nazwisku, podczas gdy arlekina generalizuje brak nazwiska, jest symptomatyczne dla, być może nawet podświadomych, zamiarów autora. Słuchajcie dalej. Marlow ogląda przez lornetkę dom Kurtza. Wokół domu ciągnie się ozdobny płot. Na ostrzach kołków w płocie umieszczone są dekoracyjne kule. I słuchajcie uważnie: „Teraz zobaczyłem je z bliska i pod pierwszym wrażeniem targnąłem głowę w tył jak przed ciosem. Potem przesuwalem szkła starannie od słupa do słupa i przekonałem się o swym błędzie. Owe okrągłe gałki to nie był ornament, lecz symbol; wyraziste i zagadkowe, uderzały i niepokoiły – jako pokarm dla myśli, a także dla sępów... te głowy na palach...”

– *Disgusting!* – ulżyła sobie Wendy. Ja zaś ciągnę dalej, pozornie bez związku, ale związek istnieje i nazywa się Hakim.

– W powieści *W oczach Zachodu* jest też jeden kluczowy pasaż. Przeczytam go wam: „W prawdziwej rewolu-

cji najlepsze charaktery nie wysuwają się na czoło. Żywiołowa rewolucja wpada z początku w ręce ciasnych fanatyków i tyrańskich hipokrytów. Potem przychodzi kolej na wszystkich pretensjonalnych bankrutów umysłowych danego czasu. To są wodzowie i kierownicy. Zechce pani zauważyć, że pominąłem zwykłych łotrów. Natury sumienne i sprawiedliwe, szlachetne, ludzkie i ofiarne, jednostki nieegoistyczne i inteligentne mogą rozpocząć ruch, ale on im się wymyka. To nie są przywódcy rewolucji. To są jej ofiary: ofiary rozczarowania, niesmaku, często wyrzutów sumienia. Wykoślawione i zdradzone nadzieje, skarykaturowane ideały – oto definicja rewolucyjnego zwycięstwa. W każdej rewolucji były serca złamane przez takie zwycięstwo... Mnie chodzi o to, żeby pani nie była ofiarą”.

Język angielski nie ma rodzajów gramatycznych, ale mam nadzieję, że Hakim rozumie, iż nie mówię do panny Haidin. Jego czarne oczy płoną gniewem, wewnętrznymi namiętnościami. Przypominam sobie inne, równie błyszczące oczy dziewczyny, której imię prowokuje do gry językowej... Nadzieja... Nadzieźda... Nadia... Nada...

Twoja głowa trafi kiedyś na słupek, Hakimie, albo przynajmniej złamię ci serce... może i żywiołowa rewolucja stanie się bardziej cywilizowana... tacy jak ty zawisną pierwsi... lotnik Lojza... syn ochotnika z Hiszpanii... ach, niewinny Hakimie, piękne arabskie marzenie... takie szczere... tak po leninowsku dające się manipulować dzięki *reservatio mentalis*.

* * *

Z teorią rasową zgodnie z programem musiała nas zapoznać profesorka historii pani Trejtnarova, teoretycznie. Herr Schwarzkopf, który nam mierzył głowy, praktycznie. Głowy mierzył metalową miarką, ale nakowo się przed nami skompromitował, bo nie poznał,

że Benno jest po matce Żydem, a przeciwnie – powiedział mi, że w jego fizjonomii występuje bardzo wyraźny *nachgedunkeltes nordisches Element*, podobnie jak w fizjonomii pana kierownika propagandy Rzeszy Dr. Josefa Goebbelsa. Pytaliśmy się potem pani profesor Trejtnarovej, co to znaczy *nachgedunkeltes nordisches Element*, a ona sobie to zapisała, przetłumaczyła to w domu niewolniczo z pomocą słownika i na następnej lekcji historii powiedziała nam, że po czesku oznacza to „przyciemniony w potomstwie element nordycki”. Oczywiście przyjęło się to wobec Benna i innych niezbyt czystych Aryjczyków w gimnazjum. Było to w czasach początkowych zwycięstw, zanim jeszcze całkiem nie wygnali Żydów ze szkoły.

Dziewczynom pan doktor Schwarzkopf nie mierzył głów, tylko miednice. Brał je do gabinetu jedną po drugiej, a one z tego robiły wielką i rozchichotaną tajemnicę, więc doszliśmy do wniosku, że mierzył im też pierś. To był błąd.

Pani profesor Trejtnarova była już starszą panią. Niemieckiego za bardzo nie umiała, ale ponieważ historia musiała być wykładana po niemiecku, mówiła do nas w języku Rzeszy. Język ten był również obowiązkowy na matematyce, ale tam pan Bivoj załatwił sprawę prosto, nakazując, żeby liczyć wyłącznie w duchu. Dlatego lekcje matematyki w pierwszej części wyglądały jak medytacje jogi, a w drugiej, gdy odpytywano, jak pantomima. Tłumaczenie ograniczył Bivoj do tego, że nie zważając na naszą niewiedzę, bez słowa pisał kredą na tablicy skomplikowane równania, a przy odpytywaniu zamiast standardowej triady: umiesz-nie umiemi-siadaj, musieliśmy liczyć w duchu, a wyniki też pisaliśmy kredą na tablicy. W duchu było zwykle pusto, więc wyniki się nie zgadzały. Zamiast pytania Bivoj nienaturalnie wysoko unosił brwi, a odpytywany kręcił głową.

Wtedy nauczyciel gestem odsyłał go na miejsce i wpisywał do dziennika choreograficznie wyraźną dwóję.

Z matematyką tak się dało, ale historii nie można było uczyć głuchoniemą metodą. W czasie wakacji wysłali panią profesor na dwumiesięczne szkolenie ideologiczne (*Ideologische Umschulung*), na którym co prawda nie nauczyli jej niemieckiego, ale za to podyktowali ponad sto stron historii świata w całkiem nowym ujęciu. Wcześniej pani profesor opowiadała trochę o bitwach, znacznie więcej o królewskich przyjęciach, ale najwięcej o czymś, co nazywała realiami historycznymi, a co było po prostu prezentacją średniowiecznej czy renesansowej mody kobiecej. Kiedyś zaczęła lekcję, opowiadając o damskiej bieliźnie na dworze Ludwika XVI z takimi szczegółami, że wszystkie dziewczyny siedziały czerwone jak buraki, ale ona niczego nie zauważyła. Podczas odpytywania było podobnie – ja kiedyś na przykład błysnąłem opowieścią o bitwie pod Kreścakiem, ograniczając się do opisu atmosfery i zjawisk akustycznych: o tym, jak lśniły w słońcu pancerze i jak jęczeli ranni, a pani profesor zupełnie nie zauważyła, że nie podałem ani daty, ani kto z kim walczył i że w ogóle nie wspomniałem o śmierci Jana Luksemburskiego (bo po prostu nie wiedziałem, że spotkała go właśnie w tej bitwie). Dostałem piątkę i pani profesor podała mnie za wzór.

Teraz już tak nie uczyła. Już nie opisywała ani bitew, ani biesiad, ani *dessous*. Bardzo powoli – mniej więcej trzy słowa na minutę, żebyśmy zdążyli zapisać, a jej żeby to wystarczyło na całą godzinę – dyktowała nam z papierów, które wcześniej jej podyktowali na szkoleniu. Dowiedzieliśmy się, że najbardziej kulturalnym narodem czasów starożytnych byli germańscy Wandalowie, bo wyrwali z korzeniami (niemiecki termin brzmiał *ausrotten*) żydowskie kolonie handlowe w Afryce Północnej.

Również Rzymianie byli więcej niż w połowie Germanami – dobrze im służyły zdrowe walki z plemionami germańskimi na północy, podczas których dochodziło *zu einer guten Rassenmischung*. Francuzi powstali z połączenia Niemców i Anglików, a język czeski jest właściwie dosłownie przetłumaczonym niemieckim, bo Słowianie sami z siebie nie potrafią stworzyć tak bogatego języka, jakim jest czeszczyzna. Dowodem jest na przykład słowo *Schraubenzieher*, po czesku „Schroubovak”. W taki mniej więcej sposób wyglądała cała historia, a o czasach zupełnie współczesnych dowiedzieliśmy się, że *der Führer und Reichskanzler Adolf Hitler wurde in Braunau geboren* oraz *der Reichsmarschall Hermann Göring hat sich im ersten Weltkrieg als Jagdflugzeugführer ausserordentlich ausgezeichnet*. Czesi w tym rewolucyjnym ujęciu wyglądali stosunkowo nieźle, zdecydowanie najlepiej ze wszystkich Słowian. Mieli największe *Zumischung vom germanischen Blut*. Za to Żydzi byli wybrakowani i nie padło o nich ani jedno dobre słowo.

Według tej historii Niemcy reprezentowali mieszankę absolutnie najlepszych z najlepszych ras i odznaczali się wysokim wzrostem, wąską czaszką, niebieskimi oczami i jasnymi włosami. Kiedy pani profesor nam to poddyktowała, zgłosił się Leksa i spytał:

– *Bitte, warum ist der Herr Propagandaminister Dr. Josef Goebbels so klein und hat schwarze Haare?*

Wprawił tym w zakłopotanie panią profesor. Wszystko, co podczas lekcji historii robiono, robiono z powodu Ilse Selinger, która była Niemką i w tym pierwszym, zwycięskim okresie chodziła jeszcze do szkoły z nami, nie do niemieckiego gimnazjum. Pani profesor jej się bała. Dlatego po pytaniu Leksy zaczęła się jąkać, ale potem przypomniała sobie niedawną wypowiedź o przyciemnionym w potomstwie elemencie i nieporadnie tłumaczyła:

– *Herr Doktor Goebbels ist nach...gedunkelt... und... und... nach...gekleinert. Aber er hat auch germanische Elemente wie zum Beispiel er schreibt sehr schön Deutsch.*

Weszło to do naszego folkloru. Było to krótko przed Bożym Narodzeniem, a sylwestra obchodziliśmy u rodziców Haryka, którzy jeździli się bawić do brata, mającego duże gospodarstwo. Udało nam się zgromadzić znaczną liczbę butelek, głównie wina marki Château Peau Blion, ale też dwa podejrzane likiery, jeden ajerkoniak, który po domowemu, z ekstraktu, produkował Jarka Pila z Czernczic i barwił go farbami anilinowymi, oraz jedną małą buteleczkę przedwojennego rumu Meinla, jaką dostałem od Lima w zamian za trzy numery „*Erotické Revue*”. Lucie przysłała w sukni z wielkim prostokątnym dekoltem, więc kiedy się pochylała, było jej dobrze widać opalone półkule. Dlatego zaraz na początku wieczoru zaczęło się mówić o nauce i ideologii.

– Lucie, jak wam je mierzyli? – zagał Leksa.

Lucie się wyprostowała i choć doskonale wiedziała, o co chodzi, spytała, nie rozumiejąc:

– Kto i co?

– *SS Rassenforschungsoberführer Herr Doktor Schwarzkopf* – odparł Leksa, który miał językowy talent. – Gruczoły mleczne.

Lucie udała, że jeszcze mniej rozumie:

– Co to jest?

– To, co ci widać, jak się pochylisz.

Lucie zrobiła głęboki skłon aż do ziemi, bo chodziła na rytmikę, i powiedziała:

– Ja nic nie widzę.

– Za to ja doskonale – odparł Leksa. – Widzę ci.

– Co?

– Biust – stwierdził Leksa. – Jak wam Schwarzkopf mierzył biust?

– No, centymetrem – odpowiedziała Lucie. – To Leksa od razu może powiedzieć, że chodzi o piersi, skoro to ma na myśli, a nie wprowadzać tu jakieś niesmaczne pojęcia biologiczne.

– On tego słowa nie zna – odezwał się Benno. – On zna tylko ludowe.

– To znaczy jakie? – spytał Fonda. – Cycek?

– Cycki – powiedział Haryk. – To jest liczba mnoga. Są dwa.

– On zna jeszcze bardziej ludowe – mruknął Benno.

– Benno! – zaprotestowała Alena.

– Bufory? – spytał Fonda. – Tu już chyba jest liczba mnoga?

– Ja nie chciałem powiedzieć tego słowa, które znam, bo Lucie mogłaby się zaczerwienić.

– Spokojnie mogłeś – odparła Lucie. – Jakbym się miała zaczerwienić, to dostałbyś po gębie.

– To jak wam mierzył piersi? – spytał Benno. – Na długość czy też dookoła, na objętość?

– Benno!

– On nam nic nie mierzył – oświadczyła Lucie. – On fotografował.

Umilkliśmy, bo nam zaświtało, czemu dziewczyny robiły taką tajemnicę ze sprawy badań rasowych. Lucie wypita już dwa ajerkoniaki i jak każda dziewczyna – wtedy – nie była przyzwyczajona do picia.

Pierwszy przerwał ciszę Leksa:

– W staniku?

– *In natura*. Robił nam zdjęcia nago, jeśli chcesz wiedzieć. Jak któraś nie chciała, to się odgrażał, że zgłosi to na gestapo jako sabotowanie niemieckich badań naukowych.

Znów umilkliśmy i wyobrażaliśmy sobie dziewczyny – każdy inną, choć pewnie niektóre niejeden z nas – jak je Schwarzkopf bada rasowo. Ilse Selinger miała

największe piersi, pewnie dlatego, że jako Niemka była pod względem rasowym najlepsza.

– On mówił, że na zdjęciach najlepiej prowadzi się rasowe pomiary, a zwłaszcza jak się te zdjęcia rzuci na ekran – kontynuowała Lucie. – Podobno mierzy się szerokość w biodrach, w ramionach i wokół pasa, dzieli się to przez odległość tego od siebie – wskazała na swoje piersi – a potem mnoży się przez odległość pępka od tego na dole. Wyniki daje się do tabelki i na podstawie tego dokładnie ustala się typ rasowy.

– *Was für ein Rassentypus sind Sie, Fräulein?* – spytał Leksa.

– On mi to powiedział, ale ja już zapomniałam. Strasznie długie słowo. Coś jakby *niederhochböhmischmährisch-rheinländischblondmittelrundbrustiges*-coś tam...

Benno się pochwalił:

– Ja jestem *nachgedunkeltes Nordisches Element*. Jak Goebbels.

– Ty raczej jesteś jak Göring, Benno – stwierdził Haryk. – *Nachgedunkelter Rundgermane*.

– Ja nie jestem German. Ja jestem czeski Żyd – odparł Benno.

– Ale początkowo byłeś. Najpierw wszyscy byliśmy Germanie, zanim się skurwiliśmy z Żydami i Słowianami.

– A kim początkowo byli Germanie?

– No przecież małpami – oświadczył Haryk. – Jest naukowo dowiedzione, że Germanie pochodzą od małp. Pozostałe, mniej szlachetne rasy Pan Bóg stworzył z żebra Ewy.

– Nieprawda. Ewa miała je z wężem – sprzeciwiłem się.

W tym czasie pękły już dwie butelki Château Peau Blion i zabawa się rozkręcała. Benno stanął na kanapie, zwiesił ręce do kolan i rozdziawił gębę:

– Ja powstałem z szympansa skrzyżowanego z zaskrońcem – powiedział. Wyglądał jak idiota. – W sensie naukowym jestem tak zwany *nachdegundelkter Rundjudgermane*.

– Raczej *Bauchgermane* – poprawił go Leksa.

Benno się wyprostował i wypiął brzuch.

– *Riesenbauchgermane* – stwierdził Haryk.

– *Riesenbauchgermane Goeringi* – dodał językowo uzdolniony Leksa.

Benno się nadaśał, a na kanapę wskoczyła też Lucie:

– A ja co jestem?

Stała w malowniczej pozie, zresztą w jej przypadku każda by taka była, ale wyszczerzyła zęby i popatrzyła obojgiem oczu na czubek własnego nosa.

– *Rundbrustige Zahngermanin* – zaproponował Leksa.

– Jak się powie zezować? – spytał Haryk.

Nikt nie wiedział.

– *Grosszahnige Brustgermanin* – powiedział Benno.

– W przypadku Lucie dominującą cechą nie są piersi, ale włosy – oświadczył Leksa. – *Peroxyde Zahngermanin*.

– Ja ich nie mam farbowanych! – protestowała Lucie. – No, może trochę. Za to mam sztuczne zęby. Zobaczcie!

– *Falschzahnige Blondgermanin etwas peroxidiert* – poprawił się Leksa.

– Jak by się powiedziało po czesku *Riesenbauchgermane*? – spytał Benno.

– Brzuchatogerman wielki – odparłem.

– A ja? – dopytywała się Lucie.

– Lekko sfałszowana Blondgermanka z peroksydową szczęką.

– A jak by się powiedziało *Riesenbauchgermane* po łacinie?

Na tym polegliśmy wszyscy. Łacina utonęła w alkoholu. Leksa wstał i poszedł sprawdzić w słowniku łacińskim Haryka.

– A ty co jesteś? – zapytała mnie Lucie.

Nie miałem żadnego znaku szczególnego. Napiliśmy się rumu.

– *Pechgermane* – powiedziała Lucie. – Żadna go nie chce.

– Za to on chce wszystkie – dodał Haryk. – *Hurenjagender Pechgermane*.

– No wiesz co?! Za kogo nas masz – oburzyła się Lucie.

– Doniosę Mani Dreslerovej, że o niej tak powiedziałeś!

– To tylko z powodu moich braków językowych, Lucie

– bronił się Haryk. – No to *Mädeljagender Pechgermane*.

– A po czesku?

– Dziwkochciejny Pechogerman.

– Powiem Mani, że ją nazwałeś dziwką.

– Pannochciejny – poprawiła Alena. To był zupełny wyjątek, że wzięła udział w naszych grach słów w inny sposób niż tylko strofując Benna. Ale Château Peau Blion zrobiło swoje.

– Pannochciejny Aferogerman – zaproponował Leksa, który wrócił od słownika. A potem dodał – A Benno jest *Venterogermanus Giganteus*.

– A ja co jestem? Co jestem? – krzyknęła Alena. A po chwili ruszyła marszem dookoła pokoju. *Paradeschritt* z uniesioną prawą dłonią. – Co jestem?

– Ależ daj spokój, Alenko – uspokajał ją Benno.

– *Heil!* – darła się Alena. Château Peau Blion ją całym ścięto. – *Siegheil! Himmelherrgottheil!*

– *Grassrschige Heilgermanin* – powiedział cicho Leksa.

– Przestań, Leksa! – odezwał się Haryk.

– Po czesku! – krzyknęła Lucie.

– Sama sobie przetłumacz!

– A co to jest *Grassrschige*?

– Jak do odległości między tymi tutaj – Leksa pokazał te dwa punkty i dotknął ich. Lucie klepnęła go po ręce – dodasz obwód brzucha Benna i pomnożysz przez sześć.

Alena nie słuchała, tylko maszerowała dalej i wykrzykiwała:

– *Siegheil! Donnerwetterheil! Scheissheil!*

– *Isch bin ein nachgekleinerter Zwerggermane* – stwierdził Haryk i przyłączył się do Aleny. Też hajlował, ale szedł przy tym na kolanach, a Alena wznosiła się nad nim, wyższa przynajmniej o pół ciała.

– *Dame zu hoch!* – zaśpiewał Leksa na melodię *Die Fahne hoch. – Die Liebe ausgeschlossen!*

Naszła mnie inspiracja językowa, pewnie dzięki anilinowemu ajerkoniakowi Jarki Pili. Zaśpiewałem głośno:

– *Für so 'nen Zwerg, das ist ganz aussichtslos!*

W ten sposób dokonałem odkrycia cennego dla mojej późniejszej kariery literackiej. Dotyczyło najbardziej pewnych metod inspiracji. Sięgnąłem po rum.

– Ludzie, to idzie do melodii! – skonstatował Fonda. Był spośród nich najbardziej muzykalny. – Powtórzmy to jeszcze raz, dobra?

Alena i Haryk zatrzymali się, Haryk na klęczkach. Lucie zeskoczyła z kanapy i w krótkiej żółtej sukni usiadła Harykowi na ramionach, tak że miał z każdej strony głowy jej nogę. Złapał ją za kolana. Benno i Leksa objęli się w pasie i zaczęli tańczyć taniec tyrolski. Ja szybko wymyślałem następne wersy, a dzięki procesom chemicznym rum przemieniłem mi się w rym. Fonda zaintonował *a* i zaczęliśmy:

– *Die Dame hoch, die Liebe ausgeschlossen...*

Haryk z wysiłkiem się podniósł, dzięki czemu Lucie była jeszcze wyższa od Aleny, ale zachwiał się i Lucie chwyciła go za uszy.

– *Jau!* – jęknął Haryk, ale w momencie *stop time*'u.

– *Fantastycznie!* – ucieszył się Fonda. – *Śpiewaj to tam, Haryk!*

Zaczęliśmy od początku:

– *Die Dame hoch, die Liebe ausgeschlossen!*

– Jau! – Haryk umieścił swój okrzyk dokładnie w rytmie i w tonacji.

Śpiewałem dalej:

– *Für so 'nen Zwerg, das ist ganz aussichtslos!*

– Jau!

Lucie wierciła się na ramionach Haryka, krótka suknia uniosła jej się wysoko ponad kolana, a mnie znów naszała inspiracja. Nie żebym coś zobaczył. Była to czysto niewinna inspiracja. Nie wychodząc z tempa, śpiewałem dalej solo:

– *Schaff dir 'ne kleinere, mit lila Unterhosen!*

– Jau!

– *Der triffst du wohl, viel leichter in den Schoss!*

– Jau! Jau! – ryczał Haryk.

– Ty, poczekaj! Do czego pijesz? – krzyknęła Lucie, która wciąż dość frywolnie siedziała Harykowi na ramionach. On już ją trzymał za uda. – Jakie lila, co?

– To tam jest czysto ze względu na rym – broniłem się. – A właściwie na rytm.

– Chyba że tak! Ja nie znoszę różowego!

– A jakie je masz, Lucie? – spytał Leksa. Lucie zrobiła grymas i odparowała:

– Zadne!

Leksa się tego uchwycił i zaproponował pomysł racjonalizatorski. Zauważyłem, że butelki z podejrzanymi likierami są już puste, a szampan Peau Blion został już tylko w jednej na dzień.

Fonda zasiał do pianina i swingując zagrał *Horst Wessel Lied*. Lucie zeszła z ramion Haryka, ale tak sprytnie, że nie dało się zauważyć koloru, tylko, że ma czarne podwiązki. Fonda swingował *Horst Wessel* i inkrustował utwór kansaskimi riffami.

– To jedziemy, panowie!

– Lucie, wejdź na mnie! – poprosił Leksa. – Ja jestem wyższy od Haryka. – Uklęknął na ziemi i przygarbił się.

– Niech wejdzie na ciebie Alena!

– Ja na ciebie wejdę! – wrzasnęła Alena i nim się Leksa obejrzał, już mu siedziała na ramionach. Majtki miała jasnoniebieskie.

– No co ty, Alenko! – protestował Benno.

– Zostaw mnie! – broniła się.

Leksa miał zbolałą minę i sapiąc zaczął stawać na nogi jak Breitbart. Wreszcie powstał, zakotłosał się, a Alena złapała go za uszy jak wcześniej Lucie Haryka.

– *Ein arschbelasteter Schweingermane!* – stwierdził Haryk i nadstawił ramiona Lucii. Skoczyła na niego i znów nie było niczego widać prócz czarnych podwiązek. Alen nie wystawał brzeg jasnoniebieskich jęgrówek.

Fonda wystukał *a*, zaswingował parę taktów przygrywki, same kansaskie riffy, a potem ryknęliśmy niczym Mills Brothers złączeni z Boswell Sisters. Benno grał na nosie jak na trąbce, a ja bębniłem na zdjętym ze ściany tamburynie z napisem: *Souvenir de Grado*. Śpiewaliśmy z nadprzyrodzoną, alkoholową werwą przy akompaniamencie pięknego swingu:

Dame zu hoch, die Liebe ausgeschlossen,

Jau!

Fiir so 'nen Zwerg, das ist ganz aussichtslos!

Ja, jajau, jau!

Schaff dir 'ne kleinere mit keinen Unterhosen,

Jaaaau!

Der triffst du wohl viel leichter in den Schoss!

Ja, jajaja, jaja, jau!

Mieliśmy po szesnaście lat, byliśmy młodzi i wolni, nawet w tym strasznym reżimie, dla którego nie żywił się za grosz szacunku. Wiele razy później wspominałem tego sylwestra, zwłaszcza raz, kiedy funkcjonariusz innej dyktatury wziął mnie w obroty z powodu podobnej piosenki. I wydawało mi się, że wolność to sprawa młodości i dyktatur. Że gdzie indziej jej nie

ma, właśnie dlatego, że ludzie jej nie dostrzegają. Jak nie zauważa się powietrza, dopóki w komorze gazowej życia ktoś go nie zastąpi tymi kryształkami – bez smaku, bez zapachu, bez odoru...

* * *

Tamtego popołudnia opowiedziała mi o tym Veronika. Percy miał w domu kłopoty. Po koncercie, na którym jego ojciec zarobił dwadzieścia tysięcy na czysto, po wygłupach Veroniki podczas party na cześć poety, Percy miał problem. Jemu, ślepo zakochanemu, Veronika zaczęła się wydawać oślepiona. Oślepiona czarnym światłem. Wzięła ją na długą wycieczkę, za szybami jaguara świszczały łąki ogrodzone płotami, wszędzie napisy *NO TRESSPASSING*. Przedwiośnie. Szara zieleń kanadyjskiej trawy była już jakby przesiąknięta kolorami odległej jesieni. Od czasu do czasu z pustego krajobrazu wynurzała się jakaś budowla jak ze snu Dalego, jak pomnik ku czci Le Corbusiera. Do czego mogła służyć na tym smętnym, uroczym pustkowiu? Kościół, elektrownia, dykcja jakiejś firmy, budynek sądowy hrabstwa York – białe, szklane, chromowane zabytki w pustej, niemal niekończącej się przestrzeni pod szaroniebieskim sklepieniem nieba. Ponad kubistycznymi mogiłami fruwały na północ zielone gęsi. Dojechali do mołu, na nim grupka podpitych Indian i ładunek beczek. Przyplłynął stateczek, wsiedli, Indianie pownosili beczki na pokład, jedną otworzyli i wyjęli butelki. „Zapas na tydzień”, powiedział Percy. Ten stateczek mają za darmo, od rządu. Dostają też od władz rentę. „Za co?”, spytała Veronika. Za ukradzioną ziemię. Ta wyspa to ich rezerwat. Mogą tam wynajmować białym ziemię, ale nie mogą jej sprzedać. Ludzie z lądu budują tam sobie dacie.

Potem drewniana wioska z kudłatymi psami, indiańscy chłopcy w trampkach grający w baseball, dom mala-

rza. „To wielki artysta”, powiedział Percy. Malarz pokazał dorobek ostatnich dwóch tygodni. Wychodził od ornamentu: łosie, renifery, psy, squaw z dziećmi w chustach na plecach, symbole słońca, ognia, wody. Świat odziedziczony, całkiem martwy. Percy dał mu dwie stowy i wziął obraz słońca. Malarz odprowadził ich na molo, czekali na popołudniowy stateczek odwozący białych wycieczkowiczów. Pożegnali się, malarz się odwrócił i odszedł w stronę horyzontu. Na nim dwa długie palce dymu, wysoko nad słońcem pokrytym chmurami, rozplływały się w nicość. Malarz zataczał się ku wiosce.

– Wciąż jest w takim stanie – powiedział Percy. – A to nasza wina...

Dziewczyna wzięła obraz i oparła go o barierkę stateczku.

– To piękny obraz.

A Percy stwierdził:

– Za te dwie stowy może nawet ze trzy tygodnie będzie w stanie, który uważa za szczęście.

Dziewczyna spojrzała szarymi oczami ponad obrazem i popatrzyła na szary brzeg, na wioskę ukoronowaną smugami dymu, na zataczającą się postać.

Potem wracali do miasta w uroczym smutku kanadyjskiego wieczoru, jaguar pędził obok białych mogił z niedozwoloną szybkością. Słońce jak rubin w różowej aksamitce zachodu. Percy mówił o Indianach, że małe *papoose* umierają pięć razy częściej niż białe dzieci, że oni sami żyją bez celu, bez pracy, bez sensu, od jednej tygodniowej dostawy piwa do drugiej. Że kosi ich gruźlica.

– *It's just horrible.*

A dziewczyna – wydawało mu się, że zbyt chłodno – przytaknęła:

– *I'm sure it is.*

Jechali w milczeniu, ale Percy się nie poddawał. Chciał dziewczynie przywrócić wzrok, włożyć na jej

kształtny nosek okulary, by zobaczyła przez nie także jego świat, na który, jak mu się wydawało, jest całkiem ślepa. On też, uświadamiał sobie, zobaczył ten świat dopiero wtedy, kiedy pojawiła się ona. Mówił więc o Indianach, a potem o Eskimosach:

– Zupełnie zniszczyliśmy ich naturalny sposób życia. Mogą przetrwać tylko z pieniędzy z *welfare*, zamiast polować, żywią się konserwami, coca-colą. Ich stare zwyczaje popadły w zapomnienie...

A dziewczyna przytaknęła:

– Mhm.

Nie poddawał się. W tym czasie akurat gdzieś wybuchł bunt więźniów, gazety były pełne artykułów i wywiadów na ten temat. Dziewczyna je czytała. Wydawało się jej, że więźniowie mają rację. Jednostajne życie wśród murów... rzeczywiście, nie jest to wesołe. Dozorcy też nie są wolni od syndromu zamknięcia w czterech ścianach, dochodzi do kłótni, biją się. Dziewczyna nie uważała każdego zabójcy za potwora, ale myślała sobie, że zabójstwo to zawsze potworny czyn, a bycie zamordowanym potworna śmierć. W rozmowach z mordercami cierpiącymi na klaustrofobię jakoś zapominano o tych, którzy zginęli taką potworną śmiercią. Może słusznie: mieli już spokój, spali snem wiecznym, nie istnieli, nic już ich nie obchodziło. Ale dziewczyna nie mogła zapomnieć o martwych...

– ...w więzieniach jest strasznie mało opieki socjalnej. Od czasu do czasu pojawiają się przypadki bicia więźniów. A nawet gwałcenia więźniarek przez mężczyzn-dozorców...

Spojrzała na aksamitny horyzont i powiedziała zmęczonym głosem:

– Wciąż się coś robi, żeby poprawić sytuację.

– Za mało. Zdecydowanie za mało!

– Potrzeba czasu.

– To trwa cholernie długo.

Wyjechali z bocznej drogi na autostradę. Percy docisnął gaz. Dziewczyna mówiła dalej, wydawało mu się, że bez zainteresowania.

– Nie trzeba tu nic innego poza czasem. Nic innego. Natomiast tam trzeba też na to odwagi pilota doświadczalnego.

Percy poczuł się dotknięty. Zakiełkowała w nim irytacja.

– *Well* – zawahał się, ale po chwili mówił dalej: – U nas też nie wszystko jest całkiem pozbawione ryzyka. Nie możesz być choć trochę bardziej obiektywna, Niko?

Przerwało mu wycie syreny. Wyprzedził ich samochód policyjny, zwolnił. Zatrzymali się. Młody policjant z wypiełgnowanym wąsikiem i gładką twarzą podszedł do jaguara:

– *Do you know you've been doing ninety, sir?*

Na smutnej twarzy dziewczyny pojawił się uśmiech. Jej chłopak krygował się z zażenowaniem.

– *Oh, well... I just didn't... look at the speedometer...*

– *You realize it's not safe, sir?*

Przyznał mu rację. Pokornie przyjął mandat, a policjant zasalutował.

– *Thank you, sir!*

Dziewczyna uśmiechnęła się do niego, a kiedy policyjny samochód odjechał, roześmiała się na głos.

Percy był urażony. Nie bardzo. Bronił się przed tym. Veronika dusiła się ze śmiechu.

– Bałam się, że cię uderzy. Wyglądał tak groźnie, *sir!*

– *All right! He didn't call me sir.*

Dziewczyna wyciągnęła trzy palce:

– *Three times.*

– *OK. Three times. I co z tego? –* Potem przypomniał sobie zdanie, nad którym sobie niedawno łamał głowę,

bo podczas kolacji zacytowała je jego siostra. – *A cop is a cop is a cop* – powiedział.

– Kto ci to powiedział, Percy? Przecież tego nie przeczytałeś, bo ty nie umiesz czytać.

Naprawdę się rozzłościł.

– OK, OK, OK! – krzyczał. I dodał podniesionym głosem: – Ja wiem, że jestem tylko głupim playboyem i synalkiem bogacza. Wiem też, że jestem w tobie zakochany, mądra kobieto, a tragiczne losy twojego kraju zawsze mnie doprowadzają do łez.

– Mój kraj to ty masz gdzieś, kochany – odparła dziewczyna z uśmiechem, ale smutnym głosem. Percy był jednak zbyt wściekły, żeby usłyszeć smutek.

– A co twój nowy kraj?

– Mam go gdzieś – powiedziała Veronika.

Pędzili znów z niedozwoloną szybkością. Gniew w Percym powoli stygł. Po chwili odezwał się już nie tak poważnie:

– To się nazywa wdzięczność emigranta.

– Uciekiniera.

– No to uciekiniera.

– Ja ten swój nowy kraj kocham. Nigdy w życiu nie czułam się tak bezpieczna, jak tu i teraz – odezwała się cicho dziewczyna.

Na autostradę wyszła sobie na przechadzkę rodzinka kun. Percy ją ominął i wpadli w poślizg. Veronika nie miała zapiętego pasa, więc uderzyła głową o przednią szybę i nabiła sobie guza.

Percy był doświadczonym kierowcą, a szosa była pusta. Po chwili samochód znów przykleił się do autostrady. Dziewczyna rozcierała sobie głowę. Spojrzał na nią kątem oka i zalała go fala uczucia, o którym myślał, że to miłość.

– Niech to będzie dla ciebie nauczka, Niko!

Nika pokazała mu język.

– *You're an incurable innocent, Percy* – powiedziała mi-
łym głosem.

Zbliżali się do miasta. Panował znów przyjemny na-
strój, ale Percy nie był zadowolony. Coś wciąż pozo-
stawało niedopowiedziane, niezafatwione. Dopóki się
w tej sprawie nie porozumieją... nie wiedział dokład-
nie, w jakiej...

– Nie mówiłaś mi kiedyś, że ludzie uczą się tylko
i wyłącznie na własnych doświadczeniach?

Przytaknęła.

– Dlatego zabrałem cię na wyspę, Niko. Żeby to się
stało częścią twojej osobowości...

– *To make you emotionally involved.*

– Ja oczywiście doskonale wiedziałam, dokąd on
zmierza – powiedziała mi tego popołudnia Veronika.

– Lepiej niż on. A tych gruźliczych dzieci było mi żal,
naprawdę. A czego jemu było żal? Niczego! Tymi dzieć-
mi zaczął się zajmować, bo się we mnie zabujał, a jego
radykałni koleżkowie mu powiedzieli, że jestem reak-
cjonistka. Tatuś natomiast go opieprzył, że mu psuję bi-
znes i przynoszę wstyd. Ale na mą duszę, Danny, ja mu
nie mam za złe, że mu nie żal ani mojej mamy (nie znał
jej) ani tych dzieciaków (na to jest jeszcze za młody), ani
naszego kraju (bo jest to dla niego dość abstrakcyjne po-
jęcie). A kraj i tak specjalnie nie cierpi. Ja też nie wiem,
co jest większym strapieniem: tęsknota czy wściekłość,
nie wiem – ciągnęła dalej tego popołudnia. – Nie wiem
nawet, czego ja właściwie potrzebuję. Nie jest to jednak
Percy. Przynajmniej myślę, że nie. Ale nie wiem.

A ja tego popołudnia nie miałem argumentów.

Popatrzyła na Percy'ego za kierownicą i westchnęła:

– Ze mnie musi być strasznie kiepski nauczyciel.
Przecież ty naprawdę niczego nie rozumiesz!

Percy się naburmuszył.

– Przykro mi. Zapewne jestem umyślowo opóźniony.

Przytuliła się do niego, bo też chciała czymś zapełnić tę pustą przestrzeń między nimi.

– Mówię poważnie, Percy, OK?

– Ja też mówię poważnie.

– OK. Wiesz, co mi przez cały dzień robiłeś, mój drogi?

Wjechali między pierwsze domy przedmieścia. Percy tylko wzruszył ramionami i powiedział:

– *Well, I was trying...*

– Obrażałeś mnie, Percy.

– Niko! Jak tak możesz mówić!

– I robiłeś to tak delikatnie, że nawet sam tego nie zauważyłeś.

– Oczywiście, że nie. Nie zrobiłem nic innego niż...

– ...niż to, że usiłowałeś mi udowodnić, że Kanada nie jest taką Utopią, jak myślisz, że ja myślę.

Czerwony neon smagnał dziewczynę w twarz. Na czole miała siną opuchliznę.

– *All right* – odezwał się ze wściekłością Percy. – Ale mówiąc całkiem szczerze, czy trochę tak nie myślisz?

Pomarańczowy, zielony neon. Potem złote punkciki świetlne w szarych oczach. Powiedziała:

– Tak myślę. Po wszystkim, co przeżyłam w swoim krótkim, dziewczęcym życiu, całkiem szczerze myślę, że Kanada jest zbyt dobra na to, żeby mogła to być rzeczywistość. Albo jeśli jest to rzeczywistość, to długo się nie utrzyma. Jest to może niedoskonała Utopia...

– Dość mocno niedoskonała! – Percy ze wściekłością wdusił gaz. Połączenie Utopii z jego ojczyzną wydawało mu się bezczelną bzdurą. Dziewczyna ciągnęła dalej smutno, bez ironii:

– Tak. Jak zastrzelisz premiera, to ciągle jeszcze musisz iść siedzieć. I zostaniesz w pierdłu przynajmniej przez dziesięć lat...

– Słuchaj, nie bądź demagogiczna!

Z desperacją czuł, że znów są tam, gdzie byli zawsze. Wyspa, malarz, cały długi dzień – wszystko na nic. Nacisnął gaz. Pędzili między niskimi domami na północnym końcu Yonge Street, światła i neony zmieniły twarz Veroniki w dziki kalejdoskop.

– I to mnie wkurzyło – powiedziała mi tego popołudnia. – Przecież oni nie mają zielonego pojęcia, co znaczą słowa. Jak gliniarz ich trochę popchnie, nazywają to *police brutality*. A przy tym wcześniej splunęli mu w twarz. Ale ja nie wiem. Nie wiem, co naprawdę dzieje się w kanadyjskich więzieniach. Wiem natomiast, że jak zastrzelisz prezydenta, to cię nie powieszają. Czy to jest demagogia? No, powiedz? To demagogia?

– Oczywiście, że nie, Niko.

Była strasznie zdenerwowana jak na tak nieznaczącą sprzeczkę. Wydawało mi się, że z trudem łapie oddech.

– A przy tym nie interesuje ich, za ile w ich fabrykach pracują niegramotne dziewczyny z Portugalii. Tylko to, czy indiańskie dzieci mają dosyć mleka. Ich wrażliwość społeczna to jest moda. I jak każda moda, co rok się zmienia. Minisukienki i Indianie, maxi i Eskimosi, midi i biedni mordercy ze swą klaustrofobią...

– Nie wściekaj się, Niko – powiedziałem. – Moda, nie moda, ale indiańskie dzieci istotnie nie mają zbyt różowo, a portugalskie analfabetki, czy ja wiem, może przynajmniej mają tu trochę lepiej niż u siebie. Indianie są tu w domu.

Veronika odgarnęła z czoła kosmyk włosów.

– Ja wiem, Danny. Ale, czy ja... jak to wszystko...

– Co?

– Ech, nic – westchnęła, wstała i popatrzyła przez moje okno na piękne jezioro. Krążyły nad nim milionerskie samolociki jak stado ważek.

– Tak – odezwała się po chwili. – Zostawmy to koniowi. On ma większą głowę. – Odwróciła się w moją

stronę. – Chociaż na to wszystko trzeba mieć głowę jak brontozaur.

– To by było kiepsko, Veroniko. On miał mniejszy mózg niż kot.

– Poważnie? Więc już zostańmy przy tym tradycyjnym koniu – powiedziała. – No to, *good bye, Mr Chips*. Muszę już iść.

Podążyła mi drobna dłoń i popatrzyła w oczy. Nagle znów widziałem (Słyszałem? Nie, jednak widziałem!) jej głos w studenckim *common room*, jak komentowała piosenkę o dziewczynie, którą czekała śmierć, i o jakiejś czarnej limuzynie... Dlaczego właśnie ja mam być tą, której los...

– Ja jestem demagog! Ja! – parskała z oburzeniem.

– *Well*, czasem jesteś.

– A co ci twoi koledzy? – wściekała się. – Wystarczy powiedzieć słowo i zaraz wyskakuje Angela jak diabeł z pudełka!

Pędzili na południe Yonge Street, a na wprost nich sunął wieczorny exodus z miasta. Percy stwierdził:

– Akurat właśnie ty powinnaś sympatyzować z Angielką. Padła ofiarą prześladowań politycznych, jak ty i twoi rodacy.

– Angela jest zwolennikiem systemu, który zniszczył moją tatę. A ty ode mnie wymagasz, żebym z nią sympatyzowała?!

Z oczu trysnęły jej łzy.

Patrzyłem na nią ze swojego trzydziestego piętra, jak idzie na przystanek autobusu, z tej wysokości malutka, w kurtce dżinsowej i w spodniach w kwiatki, z nogawkami rozszerzonymi na kształt dzwonów, z czerwoną kokardą we włosach. W ogóle nic o niej nie wiedziałem. Była doskonale skanadyzowana, w swoim stylu elegancka, mówiła po angielsku tak jak po czesku, kroczyła pewnym krokiem w stronę przystanku na swoich pięknych, długich nogach...

Straszliwie się pokłócili. Veronika histeryzowała.

– ...nie tylko nie wiesz niczego o mnie! Ty nie wiesz niczego o niczym! O niczym, co jest ważne! Pomiedzy nami jest żelazna kurtyna głupoty!

– *All right! That's enough!*

– ...więc wpuście Eskimosów na ich łowiska i zaproście sobie Sowietów do waszych teatrów. Na koniec szczęśliwi będą w Kanadzie tylko Eskimosi, jeśli zostaną na tych swoich łowiskach i będą analfabetami! Może. Tego nie wiem tak całkiem na pewno!

– Kiedy tak histeryzujesz, w ogóle cię nie rozumiem!

– ...największym szokiem, jaki przeżyliście, było to, jak was lekarz w czasie porodu wyciągał za nogi na świat i dał wam klapsa w tyłek! Jesteś taki sam jak wszyscy twoi kompani! Ja was nienawidzę!

– To idź do tych swoich czeskich kompanów!

– Jasne, że pójdę!

– To idź! Dlaczego nie idziesz? Ja cię nie trzymam!

GO!

Patrzyła na niego przez chwilę, a potem się odwróciła, wysunęła z auta jak zaskroniec i nie oglądając się, długimi, pięknymi krokami, w dzinsach w kwiatki i w dzwony, poszła przed siebie. W światłach okien, w kanadyjskim zmroku, jej czerwona wstążka świeciła jak rubin.

– On mnie tak strasznie wkurwia! – powiedziała mi.

– Tak strasznie! Ja wiem, że to nie jego wina i że w niektórych sprawach miał rację. Ale ja też. Tylko że ja jestem kobietą i powinnam być mądrzejsza. To znaczy powinnam ustąpić, jak to kobiety robiły od niepamiętnych czasów. Ale on mnie tak strasznie...

– Ja wiem – stwierdziłem. – Ja cię rozumiem. I myślę, że zachowałaś się mądrze. Tyle tylko, że dużo straciłaś. Nie moglibyście się pogodzić? Żeby się z tobą ożenił, a ty potem w możliwie najkrótszym czasie byś się z nim

rozwiodła i miałybyś alimenty. Mądre kobiety tak zawsze robiły. Co prawda nie od niepamiętnych czasów, ale od kiedy istnieją alimenty.

– No tak – odparła Veronika. – Tylko że na to jest już za późno. On pojechał leczyć nerwy do Club Mediterrean, gdzie przyjeżdżają dziewczyny na wydaniu. Te, co posiadają tę mądrość, którą właśnie opisałeś. No, tak... Muszę już iść.

Przyjechał autobus, jakiś Murzyn przepuścił dziewczynę, czerwona kokarda zniknęła w środku. Nigdy już potem nie zobaczyłem Veroniki.

* * *

Szczęść Boże, Rodaku!

No więc nie mogę sobie odpuścić i muszę Ci się pochwalić w sprawie mojej córki Jany, która jest nie tylko ładna po matce i piękna po mnie i ma dołeczki w policzkach po stryжку, chociaż czasem się nad tym zastanawiam, bo stryjek z dołeczkami ożenił się przecież z siostrą Jany (matki), a w dodatku teraz się okazuje, że córka jest też strasznie łebska, ale po kim to ma, tego już zupełnie nie wiem. Przecież w rodzinie mojej i Jany (matki) byli zawsze tylko ludzie uczciwe, przyzwoite i bidne. Nie wiem, chyba to będzie jakaś mutacja.

Faktem pozostaje, że Janka, obecnie na pierwszym roku konserwatorium, gdzie przygotowuje się do wkroczenia na drogę aktorską, chociaż ja zawsze po cichu i głośno liczyłem, że zostanie dentystką, żebym na stare lata nie był uzależniony od państwowej ubezpieczalni, bo to by była mogiła, no i w sumie będzie, skoro z Janki stanie się aktorka... Na czym to ja skończyłem? Aha, no więc: na pierwszym roku konserwatorium poderwała sławnego poetę, dramatopisarza oraz działacza państwowego i prywatnego Jana Vrchcolaba, w dodatku zrobiła to tak sprytnie, że on się w niej zabujał w tak nadludzki sposób, że codziennie stoi pod naszymi oknami do późnych godzin nocnych i cieknie mu ślina, podczas

gdy ona go wodzi za nos i na smyczy oraz na bieżąco przekazuje mi informacje, co z nim ma.

A ma z nim to na przykład, że już dla niej napisał 1 scenariusz filmowy, gdzie Janka będzie grała główną rolę, a który ja zatwierdziłem z mocy ojcowskiej władzy (Janka nie ma jeszcze 16 lat), z wyjątkiem jednej sceny, gdzie ona miała nago biec po łące do jeziora i „hopsnąć” do niego, jak to sobie wymyślił Vrchcolab. No więc nie hopsnie, nawet w kostiumie! Żebym jednak nie wyszedł na prymitywa albo na zafanego, poleciłem Jance, żeby mu powiedziała, że ta scena jej się nie podoba, bo to jest plagiat, ponieważ podobna scena jest w klasycznym filmie „Extáze” Gustava Machatego, z 1933 roku, więc żeby tę scenę zmienił, jak bohaterka w karakułowym futrze i walonkach stoi w kolejce do Lenina, a jak wreszcie dojdzie, to hopsnie do mauzoleum. Zdaniem Janki on stwierdził, że tak się nie da i musi już zostać ta łąka, bo cały film rozgrywa się w Czechosłowacji, gdzie żadnego Lenina nie mamy, a Gottwald nam się zaśmiardł. Więc mu przekazałem, że niech tam ta łąka zostanie, skoro uważa, że będzie logiczne, że w środku upalnego lata Janka będzie po niej chodziła w karakułowym futrze i walonkach, ale koniec końców czemu nie, przecież Eisenstein też wmontował harfistów w zjazd partii bolszewickiej, chociaż bardziej logiczni byłiby chyba harmoniści czy jak tam się oni nazywają (charmoniści?). Ostatecznie przez Jankę ustaliliśmy kompromis, że ona będzie chodziła po łące w średnio długiej minispódniczce, a on tam wmontuje Hedę Kieslerovą z tej sławnej sceny Machatego, bo podobno tak się teraz w filmie robi, że to jest cytat z klasyki i że to tak chodzi po głowie bohaterowi. Może ludzie tego źle nie zrozumieją, ale tu przecież jest sprawa zasad: moja córka nie będzie się pokazywać na golasa. Zwłaszcza nie za takie śmieszne honorarium!

Po 2., pisze dla niej sztukę teatralną, którą konserwatorium wystawi jako doroczną premierę i w dodatku na życzenie Janki taką, żeby były w niej dokładnie tak samo duże role

dla niej i dla wszystkich jej kolegów i koleżanek z roku, żeby wszyscy mogli sobie zagrać, ale oczywiście Janka trochę więcej od pozostałych. Ciekaw jestem, jak Vrchcolab rozwiąże ten problem, ale w końcu dialektykę to on niezłe opanował.

Po 3., stworzył zbiór sonetów, który wydrukował w części w „Literárních Novinach”, a w całości w tygodniku dla pracujących kobiet „Vlasta”. To są dopiero perełki! I to rymowane! A te porównania! Jankę tam między innymi porównuje do zroszonego kwiatka! Czyż to nie jest wprost genialnie pasujące? Nie wiem co prawda, dlaczego zroszony, ale to podobno jest taka metafora, pouczyła mnie Janka na okoliczność, że go nie dopuszcza za blisko do siebie. Tak mi przynajmniej Janka twierdzi, a ja w tych sprawach jej dosyć wierzę. Ja zresztą też bym go za blisko nie dopuszczał.

Krótko mówiąc, jestem szczęśliwy. Tylko troszkę mnie w nim irytuje, że jest taki, jak by to powiedzieć, dosyć biurokratyczny. Ten zbiór sonetów o naszej do tej pory zroszonej (mam nadzieję) Jance, umieścił w swojej prywatnej kartotece pod B! Tylko sobie wyobraź! Od Blažejova, Jana. Żebyś zrozumiał – on ma w domu zaksięgowaną całą swoją twórczość od lat dziecięcych, w takich skoroszytach, a na każdym z nich napisany zarówno rok, jak i rodzaj twórczości. To wszystko wiem od Janki, która chodzi do niego do mieszkania, ale jak ci twierdzą, ona twierdzi, że między nimi nic nie było, bo on podobno zachowuje się wobec kobiet tak, jak kobiety chcą, żeby się zachowywał. Jak kobieta chce go ognistego, to jest z niego krzak gorejący. Jak chce angielskiego gentlemiana, to pali w fajce tytoń z Tuzeksu i milczy. Jak typu francuskiego, to całuje po rękach i klęka na chusteczce. Nasza Janka go poprosiła, żeby był mądrym, starszym, wyłącznie przyjacielem, więc (podobno) całuje ją w czoło i tłumaczy jej dialektykę czechosłowackiego życia politycznego, czego ona chętnie słucha, bo może przy tym myśleć o swoich sprawach.

Ta kartoteka zaczyna się w roku 1936, kiedy jako ośmiolatkowi wydrukowali mu w „Małym Czytelniku” wierszyk

o Tomášu Garrigue Masaryku. Aż do 1945 roku cała twórczość mieści się w jednym skoroszycie, nie dlatego, żeby pisał mało wierszy, ale mało drukował, a on przechowuje wyłącznie dzieła drukowane. Od roku 1945 już każdy rok ma jeden skoroszyt, a od 1948 w każdym roku jest jeszcze dodana następująca klasyfikacja:

WIERSZE

A) Polityczne

1) O socjalizmie (ogólnie)

2) Przeciw imperializmowi (ogólnie)

3) O socjalizmie (konkretnie)

– o budowaniu przemysłu

– o budowaniu PGR-ów i spółdzielni produkcyjnych

– o budowaniu innych

4) Przeciw imperializmowi (konkretnie)

– przeciw rasizmowi

– przeciw kosmopolityzmowi

– przeciw innym

B) Prywatne

1) Miłosne

a) ogólnie

b) konkretnie

(W tej części jest właśnie nasza Janka. Pod B – Blažejova, Jana Eliszka, po babce)

2) Inne

(Tu są takie tematy, jak miłość macierzyńska, przyjaźń, przyroda, partyjność, rodzenie dzieci, nienawiść – z wyjątkiem klasowej, bo ta jest pod A4 – i inne)

C) Wojskowe

Tutaj system jest bardziej złożony, bo dzieła są uszeregowane zarówno według rodzaju broni – np. pancerne, spadochroniarskie – jak też według tematu, np. miłosne, wartownicze, przepustkowe, dyżurno-kuchenne, aresztanckie; są też jednak i w kombinacjach, np.: artyleryjsko-przepustkowe, chemiczno-aresztanckie, itp. Tam Janka z ciekawości

zajrzała i przepisała sobie następujący wiersz, który z kolei ja tobie przepisuję, żebyś sobie nie myślał, że poezja wojskowa (zwłaszcza kategoria 7b – „wiersze aresztanckie pod kocem”) nie może być wielka:

Sprawiedliwie tu siedzę
Pod cienkim kocem w mej celi –
Usnąłem dziś na warcie.

Dzięki, towarzyszu Mali!*

(* Oficer, który dnia 5.7.1952 wymierzył mi tę twardą, ale sprawiedliwą karę, umożliwiając mi w ten sposób zastanowienie się nad moimi niedociągnięciami i błędami).

W podobny sposób jest zaksięgowana i skatalogowana pozostała twórczość, jak np. artykuły, eseje, sztuki teatralne, nekrologi, polemiki itp. Osobno w każdym skoroszycie znajduje się rozdział zatytułowany „Krytyki i recenzje moich dzieł”. Dzieli się na krytyki i recenzje:

- 1) *Entuzjastyczne*
- 2) *Przychylne*
- 3) *Niekonkretne*
- 4) *Raczej nieprzychylne*
- 5) *Nieprzychylne*
- 6) *Chamskie*

W tym ostatnim rozdziale znalazła Janinka zagadkowy tekst, wydrukowany jako epigram w czasopiśmie „Student”:

Gdybyś karać chciał wszelkie nieprawości, Panie,
Któż z nas mógłby liczyć na Twoje zmiłowanie?

Jan Vrchcolab

Tego ani ja, ani Janka nie rozumiemy.

I kiedy tak, drogi Rodaku, siedzę nad wierszami tego sławnego poety o mojej córce, to dochodzę do wniosku, że ja właściwie miałem w życiu piekielne szczęście do niego. Przecież ja dziś właściwie jestem chyba jednym z niewielu ludzi, którzy pamiętają jego dziś już niemal legendarne wystąpienie przed Jego Ekscelencją Sirem Johnem Nicholsem, kiedy Towa-

rzystwo Brytyjskie zorganizowało uroczysty wieczór na powitanie tego Sira. Nie wiem, dlaczego Cię wtedy tam nie było, bo Ty jesteś w tym towarzystwie, a ja nie. Ja się tam właściwie znalazłem przez pomyłkę. Miałem obok zebranie klubu Bridge and Marriage, a kiedy wracałem z wc, zatrzymał mnie jakiś pan w smokingu i uprzejmie mnie o coś spytał po angielsku. Ponieważ tego języka doskonale nie znam (przez co nie mam na myśli, żebym go choć trochę znał, więc pewnie powinienem to określić inaczej), wprawiło mnie to w zakłopotanie i w tej sytuacji, żeby ten pan nie poczuł się dotknięty, to powiedziałem mu: Jes. Wtedy on się uklonił i poprosił mnie gestem, żebym poszedł za nim, i po drodze jeszcze mnie o coś pytał, więc żeby urozmaicić nasz dialog, to powiedziałem: Noł. Potem weszliśmy do sali, a tam było pełno panów w smokingach (-kach?) i dam, którym suknie zaczynały się gdzieś tak od biustu w dół, i czuć było dym z cygar. Ten pan mnie zaprowadził na podium i znów o coś zapytał, a ja, żeby nie wyjść na idiotę, powiedziałem tym razem: Łel. No i tak staliśmy na podium, ja w tweedowej marynarce, w której grywam w brydża i mariasza, ze skórzanymi nałokietnikami, żeby w czasie gry nie wypychały mi się łokcie, a przede mną te gołe od góry damy i panowie w galowych strojach, wszyscy ze zdezorientowanymi uśmiechami, chyba z powodu tej mojej marynarki. Potem ten pan wygłosił krótkie przemówienie po angielsku, a na koniec zwrócił się twarzą w moją stronę i powiedział: Łelkam tu Prag, Ser Dżon!, a towarzystwo zaczęło uprzejmie klaskać. Więc uprzejmie zaczekałem, aż skończą, i odezwałem się, już po czesku: Chwila, to będzie jakaś pomyłka. Ja się nazywam Blażej.

I rzeczywiście była to pomyłka. Ten ser Dżon się spóźnił z powodu spinek do mankietów i przyszedł akurat w momencie, jak ten pan wygłaszał krótkie przemówienie, więc żeby nie przeszkadzać, postąpił uprzejmie z tyłu. Spinki miał piękne, wysadzone diamentami. A mnie już tam zostawili na programie, który za chwilę się rozpoczął.

Wtedy przysłała ta chwila. Na scenę wszedł zespół Dismana, z przodu taki tyczkowaty chłopczyzna, a pan Disman ogłosił, że zarecytuje wiersz, który na cześć Sira Johna ułożył ich członek, Jasiu Vrchcolab. Chłopczyzna uprzejmie się ukłonił i zaczął recytować.

Ten wiersz to był taki wojsbend, występował w nim i Czercił, jak pali cygaro, i było tam o tym, jak Brytyjczycy lądują we Francji w czasie drugiej wojny światowej. Całość w tzw. heroicznym kupletach, zrymowane, co jest typowo brytyjską formą i Jasiu połączył ją z burianowskim wojsbendem. Recytowała bowiem tylko połowa zespołu, a druga mruzczała różne melodie, jak na przykład „Its e long tej tu Tiperery” albo „Lok Lomond”, a potem, jak Brytyjczycy lądowali, to „Piwną polkę” i na koniec, po udanym wylądowaniu, „Got sejf ze king”.

Sukces to był niesłychany, damy w krótkich strojach (od góry) przekazywały sobie utalentowanego chłopczyznę z rąk do rąk, a on, jak mi się wydawało, czuł się jak ryba w wodzie.

Więc możesz sobie wyobrazić moje zdumienie, kiedy rok później – w tym roku, w którym był Zwycięski Luty – znowu spotkałem się z chłopczyzną i to w okresie po nieporozumieniu z moją sztuką, które ci opisałem w jednym z poprzednich listów. Za karę w Chebie w jakiejś knajpie werbowałem ludzi do kopalni, a obok w teatrze było tego dnia uroczyste zgromadzenie Czechosłowackiego Związku Młodzieży na cześć czy w proteście, czy z okazji, sam już nie wiem. Naszą brygadę agitacyjną wyrzucili z knajpy koło jedenastej, była letnia, księżycowa noc, a my widzimy, jak z teatru wali na plac tłum niebieskokoszulowców; siadają na bruku i tęsknie wpatrują się w postument, przygotowany na jakiś na razie jeszcze niepostawiony pomnik. Nagle na ten postument wspiął się ten nasz chłopczyzna, w białych spodniach i błękitnej koszuli, wszystko ucichło, a on wyciągnął ręce w stronę księżycy, jak Wielki Gatsby, ale nie zwrócił się do księżycy, tylko do towarzysza Stalina. Do dziś pamiętam, że zaczynało się to jakoś tak (jeśli dobrze pamiętam):

Stalinie wielki, Stalinie zwycięski,
Stalinie, który spełniasz nasze marzenia,
Stalinie gwiazdo, Stalinie nadziejo,
Stalinie, który jesteś wszystkim, co w świecie piękne.

Jakoś tak to szło, tym razem raczej według Nezwała, choć i tam słychać było echa tych zwycięskich kupletów. A mnie, mój kochany Rodaku, jakoś tak wprost opanowało prawie mistyczne uczucie, bo przypomniało mi to jeden włoski film z czasów wojny, w którym Isa Miranda grała białą boginię jakiegoś murzyńskiego plemienia (-iona?) w głębokiej puszczy i ona też przeprowadzała podobne rytuały w czasie pełni, mając wzniesione do księżyca ramiona białe jak spodnie Vrchcolaba. Tamten rytuał jednak odbywał się przy okazji składania ludzkich ofiar, a tutaj nie, tutaj to było raczej jak aria z Rusałki. Aż mi się, drogi Rodaku, chciało zaśpiewać... Stalinie na niebie głębokim... oczy twe daleko widzą... błędzisz po świecie szerokim... patrzysz, co ludzie robią... I naprawdę niewiele brakowało, żebyśmy zaczęli śpiewać.

To było porywające! Jak tam ten chłopczyzna stał w bladym świetle z rękoma (-kami?) wyciągniętymi w stronę księżyca, a wokół niego malowniczo porozkładane te działaczki związkowe... Rodaku, tobie mogę się przyznać – ja miałem taką erekcję, jak wtedy w kinie na Isie Mirandzie, która w całym tym filmie występowała prawie nago.

Na nieszczęście znalazł się jakiś bydlak, który naruszył ten czar, i nic nie pomogło, że związkowcy zaraz go ujęli i zaprowadzili na milicję, a potem podobno dostał piętnaście lat. Vrchcolab już kończył, wszyscy byli w ekstazie, on też, akurat recytował ostatnie dwa wersy, które, zdaje się, brzmiały jakoś tak:

Stalinie, który wiesz to, czego my nie wiemy...

Stalinie, Stalinie, Stalinie, Stalinie...

A z knajpy właśnie wytoczył się jakiś moczymorda i zaśpiewał:

Tańczy tam ta Ludmiła

Moja panna roztomiła!

Jak usłyszał ten ostatni wers Vrchcolaba, to umilkł i w ciszy, która zaległa z powodu tych wielkich wrażeń, zaśpiewał pijackim głosem i na melodię swej niedokończzonej piosenki:

...Stalineczku, Stalinie!

Co z nim związkowcy zrobili, to już ci napisałem.

No ja po prostu miałem do Vrchcolaba szczęście wprost niewiarygodne. Na przykład: zaciągają mnie do wojska i kto wraz ze mną się zaciąga, jak nie chłopczyzna. Ja jednak tam poszedłem już w wieku dość zaawansowanym, bo hodowałem w sobie różne choroby, aż ich miałem tyle, że lekarz wojskowy mi mówi: „Słuchajcie, Blażej, wam już wszystko jedno. Tak chory człowiek jak wy i tak nie przeżyje dłużej niż pół roku, to przynajmniej w tym ostatnim okresie nie będziecie wisieć rodzinie na karku!” Vrchcolab nie migał się od wojska i przyszedł jeszcze jako chłopczyzna, ale został ze mną w koszarach tylko jakiś tydzień. Wbił mi się w pamięć, jak stoi przy ścianie w toalecie, za nim na tej ścianie wydrapany strasznie tragiczny napis „Jeszcze 730!”, a on z tym optymistycznym uśmiechem agituje poborowych do kółka recytatorskiego. Za tydzień go przenieśli i przyjechał dopiero na wiosnę, ale już jako porucznik i z Wojskowym Zespołem Artystycznym. Recytował, ale głównie śpiewał, a największe powodzenie miała piosenka, którą sam napisał i która się nazywała „Piosenka żołnierskiego dziewczęcia”, i wyobraż sobie, Rodaku, że była cała napisana w rodzaju nijakim! Wtedy dbało się o moralność. Ale żołnierzom to nie przeszkadzało, bo Vrchcolab miał to tak sprytnie ułożone, że każdy znalazł tam coś dla siebie. Stał w mundurze przy mikrofonie, wokół niego dziesięć dziewczątek też w mundurach, i zawsze śpiewał pięciowiersz, mniej więcej taki:

To dziewczątko, gołębiątko,

Z odlewnikiem chodziło.

Jak odlewnik się zaciągał,

To pierścionek ofiarował,

By o nim pamiętało.

Potem występowało do przodu jedno z dziesięciu dziewczątek i śpiewało refren, jakoś tak:

Mój chłopak jest czołgista.

Kocham go bardzo szczerze.

On dzielnie broni pokoju

W codziennym trudzie i znoju,

A ja wciąż w niego wierzę.

Ostatnie trzy wersy to zawsze było powtórzenie refrenu, które śpiewało wszystkie dziesięć dziewczątek, na cztery głosy, z takim tym paruskim sopranem na górze:

On dzielnie broni pokoju

W codziennym trudzie i znoju,

A ja wciąż w niego wierzę.

Genialność piosenki polegała na tym, że w refrenie poeta kolejno wymieniał wszystkie rodzaje broni i służb, więc jak ci napisałem, każdy żołnierz znalazł coś dla siebie. I ci z wojsk chemicznych, i ci z kawalerii, którą na podstawie Naszego Wzoru znów wprowadzili. Miało to w dodatku sprytny efekt psychologiczny, że wszystkie chłopaki siedziały w napięciu, czy nie zapomniał o ich wojskach, ale on nie zapomniał! Było ciekawe, że jak wychodziło to dziewczątko i śpiewało na przykład: Mój chłopak jest kanonier, to oklaski odzywały się z innego kąta amfiteatru, gdzie siedziało z pół dywizji, niż kiedy dziewczątko śpiewało: Mój chłopak w karnej kompanii. Ale to wymyśliłem. O tej jednej formacji Vrchcolab zapomniał.

Ja sobie wtedy uświadomiłem, że Vrchcolab jest właściwie Mistrzem Formy. Ale nawet Mistrz się czasem może podłożyć, a forma, choć mistrzowska, przynosiła czasem nieoczekiwane efekty. Raz na przykład w czasie południowego odpoczynku obserwowałem kaprala Strzevliczka – pamiętasz go, taki notoryczny ojciec – jak czyta pismo „Československý Voják” i w dość regularnych odstępach wydaje z siebie okrzyki w rodzaju: „Ty kurwo!”, albo „Ty baranie!”, albo „Ty bucu!”, a nagle cisnął piśmem i wrzasnął: „To ciul dymany! Nawet mu się nie rymuje!” Zdziwiłem się, że w tak fachowy sposób pod-

chodzi do poezji, i spytałem, co czyta. A on podał mi pismo, mówiąc: „Sam sobie przeczytaj, tego palanta! Jak mu się tak chce robić, to czemu nie da sobie spokoju z tymi podróżami?! Kurwa jedna, bezbożna!” Jak wiesz, ten Strzevliczek był żarliwym czytelnikiem, ale tylko szmiry i pornografii, a jego wielkim marzeniem było, żeby raz w życiu dotrzeć na zachód od czechosłowackich granic i na placu Pigalle móc się na własne oczy przekonać, czy to rzeczywiście prawda, że tam baby na scenie i za pieniądze rozbierają się przed publicznością do naga. On przeczytał o tym w „Rudym Pravie”, więc w to nie wierzył. No ale w tym pierwszym okresie to absolutnie nie było możliwe, te zbiry nie były takie głupie, żeby zamiast kół pięciolatki napędzać koła międzynarodowych pociągów, jak to scharakteryzował nieśmiertelny Václav Lacina. Za granicę jeździli tylko ci najbardziej zasłużeni, którzy nie byli tak absolutnie niezbędni do budowania nowej rzeczywistości jak Strzevliczek, który, jak wiesz, był tylko bezpartyjnym kowalem. Więc wziąłem od niego ten magazyn, spytałem: „Kogo masz na myśli?”, i zacząłem czytać wiersz, który pod tytułem „Zazdroścę” opublikował tam, jak mogłeś zgadnąć, nie kto inny niż Jan Vrchcolab. Tytuł mnie zaskoczył, bo wydawał mi się nie bardzo socjalistyczny, ale po lekturze zrozumiałem, że jest to jednak bardzo socjalistyczne uczucie. W tym przypadku miał to uczucie jeden z tych, co nie byli tak niezbędni do budowania, więc zazdrościł tym niezbędniejszym, że są niezbędni.

Właściwie był to rodzaj bedekera, który miał strukturę (uczony jestem, co?) podobną do tego utworu o kobietach w rodzaju nijakim. Było tam zawsze:

Błądziłem po mglistym (Londynie)

(Słowo w nawiasie zmieniało się ze zwrotki na zwrotkę, kolejno na Paryż, Rzym, Nowy Jork, Chicago, San Francisco, Rio de Janeiro, Bangkok, Kair, Las Vegas, Tokio, itd.)

Gdzie nad Tamizą ponurą Big Ben smutno łka

Gdzie w restauracjach na Piccadilly

Człowiek żadnego człowieka nie spotka.

Krótko mówiąc, w każdej zwrotce był uchwyczony jeden z wielu koszmarów kapitalizmu, w każdej inny i w innym mieście (np. że na Piccadilly człowiek żadnego człowieka nie spotka to odkrywcze i metaforyczne pokazanie tego, jak społeczeństwo kapitalistyczne jest wyalienowane). Po każdym koszmarze następował odpowiednio kontrastujący refren, stale ten sam:

*A jednak zazdroszczę tobie,
towarzyszu nad paleniskiem,
który dłońmi mozolnymi
socjalizm budujesz.*

*Ty nie znasz morskiej bryzy,
ni wielkemiejskich spleenów,
lecz z towarzyszami w szeregu
ku przyszłości kroczysz!*

Mam nadzieję, że już rozumiesz, Rodaku. Za każdym razem, kiedy Strzevliczek czytał nową zwrotkę i trafiał na nazwę jakiejś światowej metropolii, to w głos przeklinał Vrchcolaba, bo dostać się nad palenisko do huty w tych pierwszych latach budowania socjalizmu to nie był tak wielki problem, jak dostać się na przykład do Frisco. A kiedy doszedł do zwrotki:

*W światłach neonów pod ciężkimi chmurami
zmęczony bez celu chodziłem po Pigalle
i widząc nagą kobietę oplutą wzrokiem,
jam przerażony w nędznym namiocie stał...*

to splunął i wrzasnął: „To ciul dymany! Nawet mu się nie rymuje!” W ogóle nie rozumiał głębi wiersza. Ani szczerego smutku tych mniej potrzebnych. Z czego wypływa nauka, którą słusznie powtarzają klasycy socjalistycznego realizmu, że technika eto nie wsio.

Ale z drugiej strony technika to jednak coś. Ja się potem zakolegowałem z Vrchcolabem, kiedy prócz wierszy zaczął tworzyć też na scenę, bo byliśmy jedna branża. I zawsze mu mówiłem: – Gdybym ja miał waszą technikę, towarzyszu, to byłby ze mnie Szekspir. Weź na przykład taką jego słynną sztukę „Matka i jej córki”. Człowieku, ile sobie ten Twój

Hemintej natęmał głowy, zanim osiągnął ten swój skondensowany styl, żeby w każdym opowiadanku była cała kra lodowa, choć widać tylko ten kawałeczek nad wodą. Vrchcolab umieścił w tej sztuce, nie takiej długiej, całą armię bohaterów. Matka ze wspomnianej sztuki poszła do łóżka tylko trzy razy w życiu, dla celów dramaturgicznych za każdym razem z tzw. charakterystycznym typem: pierwszy był łachudra, drugi burżuj, a trzeci partyzant. Z każdym miała jedną córkę, które wyszły za mąż znów za inne typy: pierwsza za przodownika pracy, druga za lekarza, a trzecia, ta najmłodsza, jeszcze nie wyszła za mąż, ale chodzi z chuliganem. Jak byś to wrzucił do maszyny do losowania, to wyleci z niego tyle wspaniałych związków międzyludzkich, np. zięć lekarz – teść łachudra, albo córka chuliganka – szwagier przodownik pracy, albo tatuś burżuj – córka żona przodownika pracy, po prostu gotowa komedia ludzka, choć poważna. Miało to tylko jedną drobną wadę, że ponieważ tych związków w porządku geometrycznym powstało trochę sporo, więc na każdy jeden zostało w sztuce jakieś trzy minuty. Z tego powodu było to co prawda poważne, ale jakieś takie trochę przyśpieszone. No, ale zbliżyło to się do Szekspira na wyciągnięcie ręki. Pamiętasz jak w sztuce „Tytus Andronikus” bohater, któremu obcięli obie ręce i obie nogi oraz wyrwali język, pisze nosem na piasku imiona swoich oprawców? No więc tak genialnego dajmoniona (widzisz, jaki jestem uczony, już po raz drugi ci na to zwracam uwagę! Ale to mam od Janki, bo oni mieli w szkole, co to znaczy) Vrchcolab w tej sztuce nie ma. Tylko ta najmłodsza córka tam na koniec walcuje z tatusiem partyzantem rokenrola, tatuś skacze żwawo jak Elvis Preslej, a potem się okazuje, że zamiast obu nóg ma protezy, bo je stracił (te nogi) podczas Wielkiej Wojny Ojczyźnianej!

Kurcundgut! Czego się Vrchcolab nie dotknął, to mu się zawsze udawało. Teraz, według meldunków mojej córki Janki, spekuluje w sprawach społecznych i dokonał takiego bardzo interesującego odkrycia historycznego: do tej pory w żadnym kraju

socjalistycznym nikt nigdy nie odszedł z kierowniczej funkcji państwowej dlatego, że mu się skończyła kadencja. Albo... jak by tu się wyrazić, żeby to było po socjalistycznemu? Aha: więc albo wobec niego zostały zastosowane niedozwolone metody socjalistycznego wymiaru sprawiedliwości, w wyniku których został fizycznie anulowany, albo został usunięty ze względu na stan zdrowia, albo całkiem dobrowolnie zrezygnował z funkcji, albo wreszcie umarł sam z siebie, bez stosowania tych niedozwolonych metod. Żeby takie rzeczy już się więcej nie powtarzały, Vrchcolab smoli teraz jakiś denkszrift, żeby zezwolić na lojalną opozycję socjalistyczną, aby komunizm znów ożył. Jeśli o mnie chodzi, to raczej wolę, że wyciąga kopyta. Dzięki temu żyje się lepiej, weselej.

Ale chłopczyzna zawsze odnosił sukcesy, więc obawiam się, że i w sprawie denkszriftu dostanie poparcie Partaji. Wtedy trzeba się będzie rozejrzeć, dokąd można wyemigrować. Gdzie ty byś w takim przypadku wyjechał? Ja do Hondurasu. Bo znam ich konsula honorowego, wyłącznie towarzysko. On tak gra w beta, że zawsze wygrywa, nawet jak ma cztery asy i piątego w rękawie!

Twój

Vratislavek, rodak

PS Właśnie mi Janka przyniosła rękopis tej sztuki. Jest tam scena, w której wszystkie dziewczyny są w akademiku w samej bieliźnie. Zatwierdziłem ją pod warunkiem, że będzie to bielizna wełniana, nieprzezroczysta, i sięgająca przynajmniej do połowy uda, a Janka dodatkowo będzie miała na sobie halkę po babci, która wygląda jak suknia na lekcję tańca. Mam zasady, że moja córka nie będzie się publicznie pokazywała w bieliźnie! A już na pewno nie za darmo!

PPS Nic z tego jednak nie będzie. Janka (żona) to ocenizowała w taki sposób, że będą musiały mieć szlafroki.

PPPS Po dojrzałym namyśle doszedłem do wniosku, że skoro już Vrchcolab chce mieć bieliznę, to niech przerobi tę scenę na męski akademik.

PPPPS Odrzucił ten pomysł z estetycznym uzasadnieniem, że nie jest pedziem.

PPPPPS Sztuka jest to piękna, postępową. Jak młodzi trzymają się jednego ogona, żeby z nich wyrosli prostolinijni ludzie z charakterem, co zresztą wśród aktorów powszechnie należy do tradycji.

* * *

Jest deszczowa, wilgotna, kanadyjska wiosna. Stoję na przystanku autobusowym przed uczelnią, bo w moim samochodzie marki Plymouth wymieniają skrzynię biegów. Dmucha zimny wiatr i pada. Jak zawsze jest mi dobrze na takim wietrze i z kroplami deszczu na twarzy. Zamykam oczy, zimna piana południowego Pacyfiku na dziobie Jane Guy pryska mi na czoło... i nagle trąbi klakson, więc otwieram oczy. To cadillac Svenssonów, a w nim Nicole. Irena. Jak na początku zimy.

– *Want a lift?*

– *That's very kind of you!*

Wciskam się na przednie siedzenie obok niej. Fotel jest wielkości niemal łoża małżeńskiego, między mną a studentką przynajmniej metr przestrzeni. Irena naciska na gaz, samochód cichutko kołysze się na jezdni. Irena ma na sobie czerwony sweter, szkocką spódnicę i szkockie podkolanówki. Kolana ma gołe. Noga na pedale gazu, w bucie z wielkim językiem.

Ledwo wsiadłem, odniosłem wrażenie, że coś się stało. Ale Nicole milczy. Wjeżdżamy na *speedway* i wciąż ani słowa.

– *What is it?* – pytam wreszcie.

– *Nothing.*

Znów długie milczenie. Nad ziemią unosi się szara mgła. Mam wrażenie, że nie poznaję okolicy. To pewnie z powodu tej mgły.

– *Blue mood?* – Patrzy przed siebie, ręce trzyma na kierownicy. Jest w nich pewność siebie dzieci tego kraju, które chyba urodziły się w samochodach. Nie patrzy na mnie, ale pyta:

- Co słyszeć u Veroniki?
- U Veroniki? Nie wiem.
- Już tydzień nie była na zajęciach.
- Tak?

Uświadomiłem sobie, że smutna dziewczyna rzeczywiście chyba się objiła.

– Rzeczywiście masz rację. Ja też jej jakoś długo nie widziałem.

– *Except the day before yesterday.*

O do diabła! Spoglądam ostro na Skandynawkę. Wciąż patrzy przed siebie, wokół samochodu zrobiło się jakoś ciemno. Białe kolanka świecą pod deską rozdzielczą.

– *Who did the legwork for you?*

– Wendy. Była z wizytą u koleżanki, która mieszka w tym samym domu co ty. Nawet na tym samym piętrze.

– No i co z tego?

Znów milczenie, a potem:

– Przed chwilą stwierdziłeś, że dawno jej nie widziałeś.

– Miałem na myśli zajęcia. Tak, prywatnie ją widziałem. Była przedwczoraj u mnie.

– Dlaczego?

– Przełuchujesz mnie w imieniu brata?

Nie odpowiada, tylko patrzy przed siebie. Jeszcze nie zawadziła o mnie wzrokiem.

– Ale o ile wiem, to on pojechał na Gwadelupę.

Znowu nic. Jest naprawdę ciemno. Wyglądam przez okienko i widzę, że jedziemy przez las. Odwracam się do dziewczyny.

– Dokąd ty mnie wiesziesz?

Milczy i milczy. Potem lekko, jakby z dumą, unosi brodę:

– Ty z nią sypiasz?

Ludzie!, wołam w duchu jak za starych czasów. Cadillac miękko kołysze się na leśnej drodze, a ja mam wrażenie, że zostałem porwany do krainy absurdu. Że w szczególny sposób ziszcza się mój prastary sen, na którym mi już jednak nie zależy, bo wiem, że życie nie jest snem. *Dziewczyna z Chicago mąci mi w głowie... jej szare oczy spod zamglonych powiek... chciałbym raz uciec z nią gdzieś na pustkowie... brzmia mi w głowie moje własne, prastare wiersze.* Cadillac cicho wsuwa się coraz dalej i dalej w mrok nieznanego lasu.

– Nie sypiam.

– Nie kłamiesz?

– Jeśli twój ojciec ma Biblię w głałkompartmentcie, to mogę na nią przysiąc.

– To dlaczego się rozstała z Percym?

Czy możliwe, żeby to przesłuchanie odbywało się jednak na zlecenie jej starszego brata? Wtedy nie byliśmy w lesie absurdu.

– Przecież twój brat ją wyrzucił z samochodu. Powiedziała, żeby sobie poszła, dokąd chce.

– Skąd o tym wiesz?

– Powiedziała mi.

– Dlaczego tobie?

– *Well*, jesteśmy tej samej krwi, ona i ja. Czesi. Trzymamy się razem. Przynajmniej za granicą.

Znów cisza i wciąż jeszcze nie zaszczyciła mnie spojzeniem. *Ma białe windy, kocham ją szalenie... leci do Paryża na Boże Narodzenie... wśród złotych kolumn pływa w swym basenie...*

– I tak kłamiesz.

– No to kłamię. *As you wish, Nicole.*

Znów leciutko, dumnie unosi brodę. Droga zaczęła się wznosić. Na wprost nas, niczym górski potok, płynie chłodna mgła.

– Percy się z nią rozstał, bo się z kimś przespała i wy-
parła się tego.

Czuję, że mój los jest przypieczętowany. Wjeżdża-
my głębiej i głębiej do lasu absurdu; nie ominie mnie
ta końcowa ironia mojego ironicznego życia.

– Dlaczego tym kimś miałbym być akurat ja?

– To był jakiś Czech.

– Nie jestem jedynym Czechem w Toronto.

– Ale dlaczego poszła prosto do ciebie po rozmowie
telefonicznej z nim? On jej o tym powiedział.

– Co jej powiedział?

– Że się z nim przespała. Z tym Czechem.

Veronika mi o tym wspominała. „Musiał o tym wie-
dzieć od Barbie. Może tam wróciła w nocy, jak już spa-
liśmy. W półśnie miałam wrażenie, że ktoś otwierał
drzwi”. Mówię:

– Nawet gdyby to była prawda, dlaczego traktuje
to tak poważnie? To przecież jest nienowoczesne.

– Percy ją kocha – odpowiada Irena. Patrzy przed sie-
bie, na dworze się ściemnia. Po chwili dodaje: – Zresz-
tą to jest mit, że to ludziom nie przeszkadza. Każdemu
to sprawia przykrość.

– A czemu ty to traktujesz tak poważnie?

Wjechaliśmy na szczyt wzgórza, Irena skręca na wą-
ską leśną dróżkę. Obok jest tablica z wypalonymi w sos-
nowym drewnie napisem: *Private road*.

– Dlatego że kochasz brata?

Unosi brodę, zdejmuje nogę z gazu i wdeptuje ha-
mulec. Wokół nas rozpościera się niski sosnowy las,
a wśród drzew pełnie mgła, jak różnobarwne strumie-
nie w delcie Missisipi.

Inagle to się staje. Blondwłosa dziewczyna opada na kie-
rownicę i zaczyna rozdzierająco płakać. Wstrząsa nią łka-
nie. Nie wydaje mi się, żeby to mogła być prawda. Ale jest.
Nigdy nie potrafiłem odgadnąć, co ludzie mają w duszy.

Kładę jej rękę na ramieniu:

– Nie płacz. Nie masz powodu.

Podnosi w moją stronę załzawioną twarz i wreszcie na mnie spogląda. Odzywa się, jakby była z przedmieścia Pragi, bo chyba nie ma znaczenia, że jest z Wiltshire Boulevard:

– Bo ty mnie w ogóle nie zauważasz!... Ty mnie tak ignorujesz!... Ty mnie... Buuuu!!!

– Zauważam. Jesteś piękna. A z Veroniką nie spałem. Słowo honoru!

Opada swoim nieco rozczochranym widalsasunem na moją pierś, omal nie wybijając mi czołem zęba. Nie jest wcale nowoczesna, typowa. A może właśnie jest. Już nic nie mówię. Wsuwam rękę pod szkocką spódnicę. Poprzez jej jasne włosy widzę, jak sięga do deski rozdzielczej i po omacku, ale z wycuciem wirtuoza fortepianu naciska jeden z wielu guzików. Przez sekundę mam wrażenie, że teraz nastąpi gag – płócienny dach cadillaca zwinie się i do środka zacznie padać. Ale ona urodziła się w samochodzie. Szerokie oparcie przedniego siedzenia powoli i cicho opada pod nami. Powstaje prawdziwe łożo małżeńskie. Mgła jest już gęsta jak mleko, niczym muślinowa kotara wokół ślubnego łoża. Nicole traci dziewictwo stylowo, w samochodzie.

* * *

– Uher? – spytała Lida Lewis. – On zniknął. Mówi się, że tych ubeków, którzy dołączyli do Pavla, to zlikwidowali.

– Tego by się nie dało ukryć.

– Niekoniecznie akurat fizycznie. Może tylko wysłali ich do Sojuza, na jakieś przeszkolenie? Ja tylko wiem, że u nas w domu już nie mieszka. I że po Inwazji ostrzegali niektórych ludzi, żeby raczej wyemigrowali.

Wspominałem byłego seminarzystę i nasze liczne spotkania. Więc tak skończył, klecha-dezertier... Kto wie, czy jeszcze żyje? Co się z nim stało? Co działo się w nim? Nigdy nie wiedziałem, co się dzieje w drugim człowieku. Ludzie byli zawsze inni, niż sądziłem. Lida jadła lody orzechowe, w kawiarni Marika było pusto.

– Dlaczego to robił?

– Pewnie już miał dosyć.

– On? Nie wyglądał na wrażliwego człowieka.

– Pozory czasem myślą – powiedziała Lida. – Pewnie wiedział znacznie więcej o sprawach, które my tylko przeczuwamy, i rzuciło mu się na głowę.

– To już prędzej. Prędzej coś takiego, niż żeby odezwało się w nim sumienie. Ja go zawsze uważałem za absolutnego...

– Kanalię?

– Nie. Raczej za takiego perwersyjnego świętego, który nigdy nawet przez sekundę nie ma wątpliwości, że cel uświęca środki. Ale może uświęca. *Who knows?*

– Pan też, jak mi się wydaje, jest już zmanierowany przez Zachód – stwierdziła Lida.

– A pani nie?

– Ja nie. Jak czuję, że łapie mnie infekcja, natychmiast jadę do kraju. Kraj to jest wspaniałe sanatorium dla pacjentów cierpiących na postępowość.

Roześmialiśmy się. Wspomniałem jej o księdzu-dezertierze, jak mi odmówił pomocy w tamtą zimową noc w kościele i jak mnie nie wydał tamtego jesiennego dnia w pociągu. I o dziwnej nocnej wędrówce księdza Huniaka.

– Biedaczek – stwierdziła Lida. – Może ma to już za sobą. A zrobił taką karierę! Wie pan, że w latach sześćdziesiątych był w ONZ-ecie?

Tak, wiem. Tam właśnie doszło do mojego trzeciego spotkania z tym dziwnym człowiekiem. W sześćdziesiątym szóstym – zaprosili mnie na jakiś kongres na Uni-

wersytecie Long Island – na tarasie widokowym Empire State Building, gdzie próbowałem dalej śnić stary sen o Ameryce, ale już mi nie wychodziło. Tam po raz trzeci wpadłem na Uhera.

Jaki był wtedy?

Neutralny. Stał przy barierce z jakimś człowiekiem i rozmawiali po rosyjsku. Zauważył mnie, ale udawał, że się nie znamy. Potem jednak Rosjanin zaczął się zbierać do odejścia, podali sobie ręce i facet poszedł. Uher zbliżył się do mnie i pozdrowił mnie po chrześcijańsku:

– Pochwalony.

– Sie masz, stary – odpowiedziałem normalnie, bo nie byłem nigdy teologiem. – Jeżeli uciekłeś za granicę, to nie mogę z tobą rozmawiać.

Popatrzył mi w oczy nie bardzo przyjaźnie:

– Te pouczenia to nie żarty! A ja tu jestem służbowo.

– Jako przedstawiciel związków zawodowych?

Patrzył na mnie badawczo, już nie wrogim, ale też niezbyt przyjaznym wzrokiem. Neutralnym. Chłodnym wzrokiem, jakby oglądał jakąś sztukę bydła. Wzrokiem władzy, niemal boskiej.

– Nie opowiadaj, że nie wiesz, że już dawno nie jestem w związkach.

– Pewnie się zdziwisz, ale nie wiem. Ja się tobą za bardzo nie interesowałem. Ty, jak sądzę, mną też nie.

– Tylko służbowo – odparł. Poczuję lekkie mrowienie w krzyżu. – Wydaje się, że jesteś w porządku. Pewnie wzięłeś sobie do serca moją radę. W tym pociągu, pamiętasz?

Że ja pamiętałem, to było oczywiste. Ale czy również oczywiste, że on pamiętał? Pewnie tak. Dobry tajniak musi mieć dobrą pamięć.

– Wziąłem sobie do serca – stwierdziłem.

– Ale od czasu do czasu zdarza się jakaś słabsza chwilka, nieprawda? Na przykład Alan.

- Głupia sprawa. Wpadłem w to, nawet nie...
- Ale ja nie myślę o Pradze. Myślę o tym tutaj.

Wtedy już się naprawdę przestraszyłem. Czy oni mają tak doskonałą sieć, że śledzą każdy mój krok, nawet w Nowym Jorku? A skoro ja jestem dla nich tego wart, to co dopiero... Podczas rozmowy przed wyjazdem z kraju na kongres kładli mi do głowy, żebym się nie spotykał z Alanem. I ja się z nim naprawdę nie chciałem spotkać. Bo i po co? On bardzo się ode mnie różnił i nie mieliśmy sobie nic do powiedzenia. A jeśli kiedyś miałem ambicję być przyjacielem dziedzica Whitmana, to po aferach związanych z juwenaliami wszystko mi przeszło. Ale naturalnie klasyczną ironią losu wpadłem na niego zaraz pierwszego dnia pobytu w Nowym Jorku, na stacji metra Grand Central. Obsłinił mnie radosnymi pocałunkami i zaprosił do siebie. Oczywiście nie mogłem odmówić.

– To był przypadek – odpowiedziałem. – A właściwie skąd o tym wiesz?

– Każde miasto... – zaczął i nagle umilkł. Stałem na progu poznania jednej z wypróbowanych metod tajniaków. Wskazał oczami na bok, więc tam popatrzyłem. Dotarło do mnie, że rozmowa, która stamtąd dobiega, prowadzona jest po czesku. Jakaś kobieta około pięćdziesiątki, wysztafirowana jak na przyjęcie, stała przy barierce ze staruszką w krzykliwej marynarce i stesonie na głowie.

– Coś podobnego! To zbudowali w tak krótkim czasie? Taki wielki dom? – dziwiła się ta pani. – U nas by to trwało dziesięć razy dłużej, a na koniec by się zawaliło. Albo zaczęłyby ludziom spadać cegły na głowę. Wiesz, że w zeszłym roku tylko w samej Pradze zginęły z tego powodu trzy osoby?

– *Oh!* – odezwał się dziadek i ciągnął dalej z amerykańskim akcentem: – To dlatego wszędzie w mieście stoi tyle rusztowań?

– Jasne. Wszędzie jest bałagan. Ale wiesz, komuchy starają się tylko o swoje koryta.

Czułem się bardzo głupio. Przyszło mi do głowy, żeby powiedzieć coś bardzo głośno po czesku, na przykład „Zobacz!”, i w ten sposób ostrzec biedną towarzyszkę. Uher uśmiechnął się do mnie lodowato i położył palec na ustach. Ubecki gest. Więc staliśmy w milczeniu przy balustradzie, niby w zamyśleniu kontemplantując kaniony Manhattanu, obok przeleciał helikopter i wylądował na dachu Pan Am Building, a niczego nieprzeczuwająca poddana kompromitowała się w straszliwy sposób. Zapewne była tu, biedaczka, na z trudem wydeptanych odwiedzinach. Obiecywała staruszkowi, że jak jej zapłaci za wizytę, to oprowadzi go po Pradze. Sprawdzona towarzyszka. I oto na tarasie Empire State tak się beznadziejnie odkryła.

Wreszcie odeszli.

– Każde wielkie miasto – kontynuował Uher z tym zimnym uśmiechem – to właściwie duża wioska. Każde ma kilka placów, na które przyjdą popatrzeć wszyscy turyści. Ta pani w doskonały sposób nam to zaprezentowała, nie uważasz?

– Zrobisz jej aferę?

Uher chwilę się zastanowił, a potem powiedział:

– A może ciebie bym o to poprosił?

Mój stary znajomy strach. Znów mnie dopadł. Znów jestem w pułapce, choć innej.

– Sprawdzę, jak się nazywa, i dam ci numer telefonu, pod który zadzwonisz w Pradze. Przecież towarzysze w Pradze uprzedzali cię, że takie sprawy należy zgłaszać?

Co powiedzieć?

– Ty to lepiej załatwisz – mruknąłem.

– Nie, nie, nie... – odparł z uśmiechem. Z tym dobrze znanym, trudnym do zdefiniowania. – W taki sposób mi się zrewanżujesz.

– Zrewanżujesz?

– No... – cedził powoli. – Ty przecież byłeś bliskim kolegą tego... i akurat byłeś w tym czasie w Kostelcu...
– umilkł. – No, powiedzmy, że zrobisz mi przysługę. Ja jadę do Pragi dopiero w przyszłym roku.

Nie miałem już z Ameryki żadnej przyjemności. Na tarasie Empire State czułem się jak w pokoju z widokiem na Czarną Horę, wtedy w niedzielę, zimą.

– Nic się nie stanie – stwierdził Uher. – Tylko ta pani przez jakiś czas nie wyjedzie za granicę. Za to ty wyjedziesz.

Ogarnęło mnie poczucie, że już raz tę scenę przeżyłem. Albo o niej czytałem. Empire State zaczynał mi się wydawać wysoką górą...

– Ja to przemyślę – powiedziałem.

– Jak uważasz. Ja w każdym razie dostarczę ci nazwisko tej pani.

W hotelu nie odbierałem już żadnych telefonów. Ale w recepcji przyjmowali wiadomości. Następnego dnia recepcjonistka wraz z kluczem podała mi karteczkę, na której jego ręką było napisane:

Mary Squarilik

I jakiś numer telefonu. Pięciodziesięć. Praski.

* * *

Obawiam się, Hakimie, że znajdziesz się wśród pierwszych. Ale właściwie wszystko mi jedno. To jest twoje życie. Może twój wybór, może los. Nikt tego nie wie. Możliwe także, że rewolucja już z tego wyrosła. Może był to naprawdę naukowy terror; w naukowy sposób przekształcił ludzi w zastraszone myszy; w przyszłości może stopniowo zelżeje, aż myszy staną się znów ludźmi, a potem...

Ech, ta cykliczność...

– W symbolach głów, uciętych i wbitych na pale wokół pałacu Kurtza, widzimy jedno z najprecyzyjniejszych proroctw Conrada – mówię cicho. Sharon notuje jak szalona; mam nadzieję, że później nie będzie w stanie tego odczytać. Cierpnę na myśl o tym, w jakiej formie pojawi się to w referatach, które Sharon napisze o Conradzie na zajęciach u moich kolegów. – Pan Kurtz, tak jak widzi go rosyjski arlekin, jest niezwykle wyrazistym symbolem. „»Ach! Nigdy, nigdy już takiego człowieka nie spotkam«, rozpaczał arlekin. »Szkoda, że go pan nie słyszał deklamującego poezje, i to jego własne, powiedział mi to. Poezje!«” Ta scena – ciągnę – podobna jest do słynnej sceny z filmu *Dyktator* Chaplina, w której dyktator Hynkel bezpośrednio po śmierci wynalazcy gra na fortepianie Beethovena. Albo przypomnijcie sobie pewnego poetę, głowę państwa, który wyrwał z ziemi tysiąc kwiatów z korzeniami...

Robię pauzę i patrzę w oczy swoim uczniom. Niektórzy z nich gapią się w pustkę i dopiero pod wpływem mego wzroku udają zainteresowanie. Czy coś im to mówi? Czy też mówię jedynie do siebie?

– Marlow dalej wspomina o „wspaniałych monologach” pana Kurtza, których arlekin wysłuchiwał z uniesieniem. Mówiły one „o miłości i sprawiedliwości, linii wytycznej życia”. Wyobraźcie sobie te szlachetne lekcje odbywane w domu otoczonym przez ludzkie głowy wbite na pale. Arlekin opowiada dalej, jak przychodzący do pana Kurtza czarni wodzowie czołgali się przed nim na brzuchu. Ale, jak mówi, najgorliwiej czołgał się on sam, arlekin. Gorliwiej niż najdzikszy z dzikusów. – Czy moim podopiecznym coś to przypomina? Czy w ogóle komukolwiek? A może tylko mnie, który w tym widzę... Ciągnę dalej: – Teraz słuchajcie dobrze. „Te głowy są głowami buntowników. Roześmiałem się, gorsząc go niepomierne. Buntownicy! Jakież określenie miałem

jeszcze usłyszeć? Byli tam już wrogowie, zbrodniarze, robotnicy – a teraz znów buntownicy”.

Bellissimo wstaje z przepaszającym uśmiechem. On i Vicky mnie opuszczają:

– *Sorry, we have a class. It's been terrific, sir!*

Hakim również zbiera książki ze stołu, ale zostaje. Chociaż wiem, że i on ma Psychology 218, te interesujące zajęcia na temat praw rządzących ludzkim zachowaniem. Profesor Medley należy do Grupy Badaczy Marksizmu...

– Ta środkowa część *Jądra ciemności* wprost roi się od szokujących obrazów. Miejscami niemal dosłownie przypominają boschowsko-surrealistyczne karykatury, zbliżone do znacznie późniejszych ewokacji Sołżenicyna z *Pierwszego kręgu*: „Widziałem go, jak szeroko otworzył usta; jego twarz przybrała żarłoczny wyraz, jakby chciał połknąć całe powietrze, całą ziemię, wszystkich ludzi...” Wreszcie zastanówmy się nad sławną puentą *Jądra ciemności*, wygłoszoną przez Kurtza na łożu śmierci. Składa się z jednego słowa: „Zgroza!” Całe pokolenia moich sławnych kolegów bawiły się w interpretacje. Co poeta chciał przez to powiedzieć? Zgroza ludzkiej podświadomości? Imperialistycznego kolonializmu? Szaleństwa? A może jakaś inna ciekawa zgroza? Inna. Ciekawa, o ile los pozwoli wam na to, na co pozwolił Marlowowi, a nie pozwolił Kurtzowi: „on zrobił ów krok ostatni, że przekroczył krawędź, podczas gdy mnie dozwolono cofnąć wahającą się stopę”. Jest to zgroza odkrycia Marksa, przyjętego dosłownie przez Lenina i w pełni skonkretyzowanego wołą Generalissimusa: że jedyna droga w przyszłość prowadzi przez bramę w płocie Kurtza.

Hakim stale się waha; jakiś magnes przytrzymuje go na krześle.

– Ta brama wiodąca ku przyszłości zdefiniowana jest w następnych zdaniach medytacji Marlowa: „Kurtz

zsumował – osądził: Zgroza! Był to człowiek wybitny. Ostatecznie jego wyrok stanowił pewnego rodzaju wyznanie wiary; były w nim szczerość i przekonanie, była drgająca nuta buntu w owym szepcie, było prze-rażające oblicze prawdy ujrzanej w przelocie – osobliwe połączenie żądz i nienawiści”.

Rozglądam się. Sharon wciąż notuje, Wendy wytrzeszcza na mnie oczy.

– *Do you really think, sir, that this may happen here?*

Więc jednak chyba mnie rozumieją. Irena wzdycha, Hakim opanowuje słabość i krzywi się ironicznie. Odzywa się protekcyjnym tonem Wielkich Braci:

– Powieść Conrada jest tak mglista, że można wobec niej stosować najróżniejsze interpretacje. Jest to cecha wielu utworów literatury burżuazyjnej. Idealistyczna, dekadenccka niekonkretność.

– **ALE DLACZEGO JEST TAM TEN ROSJANIN?!** – wykrzykuje Wendy.

Hakim wzrusza ramionami, szczerzy wspaniałe chamiczkie zęby:

– Karykatura. Conrad nie lubił Rosjan. Arlekin jest po prostu błaznem. Figurą komiczną.

Naprawdę? Ależ oczywiście. Ależ oczywiście. Z *Meisterem* Ballonem też była zabawa. Dopóki człowieka nie sypnął...

Lecz co jest z tą prawdą ujrzaną w chwili zgrozy?

Myślę o Lidzie Lewis, która jest rówieśnicą Hakima. Z innego świata. Ze świata przyszłości.

* * *

Danielku,

kiedy po raz ostatni do Ciebie pisałam? To chyba musiało być w ubiegłym stuleciu. Wiem tylko, że odpowiedziałeś mi wtedy długim listem, w którym szczegółowo opisałeś swoje kłopoty z jakąś panią Lizą Neumannową-Hartlową,

która jak się zdaje – przynajmniej wtedy – nie uległa Twemu męskiemu urokowi ani Twej sławie. Od tego czasu upłynęło jednak tyle wody, że pani Neumannova-Hartlova jest już zapewne babcią, a ty kierujesz swoje szlachetne zainteresowanie w stronę młodszych gąsek, nieprawda?

A jeśli się dziwisz, czemu po tylu latach piszę, to piszę, bo też mam szansę zostać babcią – Davidek się ożenił.

Muszę dodać, że w szybkim tempie. Nie dlatego jednak, żeby groziły jakieś przedwczesne urodziny; przeciwnie: groziła przedwczesna śmierć. Na pewno śledziłeś, co tu się działo. Davidek został zmobilizowany, a mobilizacja w Izraelu może oznaczać wojnę (nie jak w Pradze, gdzie panowie wojskowi od czasu do czasu postanawiają pokazać narodowi, że choć do niczego się nie nadają, za to mogą z każdym zatańcować) i przeważnie ją oznacza, więc Davidek zdecydował, że ożeni się z dziewczyną, z którą od roku chodził. Odbył się ślub i dziesięć minut później Davidek odjechał swoim okropnym żelaznym pojazdem na pustynię Synaj. On służy u czołgistów, tak jak kiedyś Ty, Wielki Papierowy Bohaterze!

Ta dziewczyna, czyli moja synowa, pochodzi z historycznego rodu. Należy do tych Żydów, którzy nigdy nie odeszli z Ziemi Obiecanej, nawet potem, jak Rzymianie wyrwali Jerozolimę z korzeniami. To szczęście, że Ciebie tu nie ma, bo to bardzo piękna dziewczyna. Śniada, oczy czarne o kształcie migdałów, śliczne białe zęby, a to, co u Salomona jest opisane jako dwoje bliźniąt sarnich, które pasą się wśród lilii, ma dokładnie takie, jak tam jest opisane. Jest smukła, samodzielna, dumna – mówiąc krótko po czesku: rassig, jak by powiedział mój nieboszczyk dziadek (Terezin 1942), który mawiał tak o mojej biednej mamie (Auschwitz 1943), chociaż była rudowata (czy to dobrze?) i piegata (piegowata?). Ale Noemi naprawdę jest rassig, choćby to znaczyło po czesku nie wiem co. Piękna, zdrowa, opalona – córka z rodu Davida. Na pewno będą mieć śliczne dziecko. A najlepiej dzieci.

No i Davidek poszedł na wojnę. Nie trzeba chyba kwiecicie opisywać ci mojego strachu. Myśl, że po Tym Wszyst-

kim (Ty wiesz, co w moim słowniku oznacza To Wszystko) starczyłaby tylko jedna rakietą przeciwczołgowa wystrzelona ręką jakiegoś egipskiego wieśniaka, który, biedaczek, o Tym Wszystkim i w ogóle o wszystkim nie ma najmniejszego pojęcia, żeby z Tego Wszystkiego pozostało tylko Wielkie Nic... nie, nie będę dalej pisać.

Ale Davidek wrócił. Jako bohater itd. Załatwił swoim staromodnym centurionem chyba sześć T-56; ja nie wiem, jak to możliwe. Chyba wyjątkowo tym razem czuwał nasz kapryśny Jahwe.

Davidek wrócił, jest znów na uniwersytecie, choć nie studiuje medycyny, czego pragnęłam, tylko historię. Nie bardzo się cieszę z tej zmiany, ale żyje, ma Noemi i wszystko znów jest w porządku.

Czytam, że u was dzieją się różne rzeczy. Tylko uważajcie. Wiesz Danielku, że ja jestem optymistką. Mam to już we krwi, ponieważ podświadomie czuję, że Żydzi ostatecznie przeżyją wszystko. Ale mój Boże, co znaczy to przeżywanie! W końcu wszystko się dobrze skończy, tylko wcześniej prawie wszystko skończy się źle. Kiedy pomyślę, co znaczy to „skończy się źle”, ogarnia mnie przerażenie. Przerażenie z Auschwitz, jeśli choć w przybliżeniu potrafisz je sobie wyobrazić. Chyba potrafisz, bo kiedyś mi opowiedziałeś o jakimś nieszczęsnym sabotażu, chyba że się przede mną chwaliłeś. Wtedy miałam dopiero dwadzieścia lat i nie byłam taka najgorsza, chociaż jednak nie taka jak ta z filizanki.

Danielku, ja tylko mam nadzieję, że pokój utrzyma się choć z dziesięć lat. Ale słowiańscy bracia na pewno przyczynią się do tego, żeby się długo nie utrzymał. Więc chociaż pięć. Chociaż pięć lat.

A wy tam w kraju bądźcie ostrożni. Światło jest dopiero na samym końcu długiego czarnocznego tunelu.

Twoja na życie i na śmierć
Rebekka z domu Silbernagel

– To było głupie z mojej strony, ja wiem – mówi Lida Lewis. – Pamiętać ludzie powinni. Ale nie pamiętają. Faktem jest, że dla dziewczyn trochę młodszych ode mnie Marta to już nie jest nawet nazwisko. Proszę sobie uświadomić, że ja miałam trzynaście lat, jak pocałowała tego pana, który się nazywał Dubček, a na imię miał chyba Alex. Czy może Alfred?

– Czasem zawiedzie pamięć, a czasem coś innego – odpowiadam. – Zna pani Liberdę? Niedawno czytałem jego reportaż w piśmie „Mladý Svět”, o bohaterskiej walce jakiegoś narodu gdzieś tam przeciw większości tego samego narodu, niebohaterskiej i zapewne oszukanej.

– Jasne, Liberda. Drukuje coś prawie w każdym numerze. Niedawno wziął na warsztat jakąś starszą kobietę. Podobno jest to daleka krewna któregoś zakazanego pisarza. Podobno. Ale nie wiem którego.

Tak, Liberda. Patrzę na Mrs Lewis w peruce za pięćset dolicz, zupełnie niepotrzebnej, bo pod spodem ma prawdziwe, piękne, czeskie, rude włosy. Na koszt tej dwudziestoletniej pani milionerowej popijam napój zwany Rusty Nail. Dobry napój. Nie na wątrobę. Na duszę. Ona jest chyba ważniejsza, o ile naturalnie księża mają rację. Liberda...

– On umieścił artykuł w antologii *Ich klage an!*, wydanej we wrześniu 1968 roku przez Hanser Verlag. Składała się z tekstów potępiających radziecką agresję, nie wiem, jak się na to teraz mówi w kraju. Miało to ciąg dalszy. Liberda tam dał tekst podpisany pseudonimem Tomasz Stamtąd.

– Co pan powie!

– Pseudonim ma tę zaletę, że jest dobry w obu przypadkach. Liberda jeszcze wtedy nie wiedział, czy ma zostać „zaprzedawcą”, czy też „zdrowym trzonem”. Gdyby został zaprzedańcem, mógłby się powoływać

na swój artykuł w CV i bibliografiach. Gdyby natomiast stał się zdrowym trzonem, nie mogliby go nim szantażować. Skalkulował sobie, że zdrowy trzon to sprawa pewniejsza, mniej pracochłonna, a za to bardziej lukratywna. Obecnie pisze reportaże o bohaterskich walkach i brodatych gierojach, a wszystkie dzieją się za granicą. Podróże mu opłacają i nie ma problemów z paszportem.

Piję Rusty Nail i dodaję:

– Ale przynajmniej napisał o tej dalekiej kuzynce. Pewnie jako alibi, na wszelki wypadek. Albo z powodu wyrzutów sumienia.

– Tak pan sądzi? – spytała Lida. – Ja nie wiem, czy młodzieżowi związkowcy mają sumienie.

– Bóg raczy wiedzieć. Towarzysz Kral kiedyś mawiał, że jest to burżuazyjny przeżytek.

– To nie ich wina. Pan przecież jest profesorem literatury angielskiej. To tak, jak pod koniec osiemnastego i na początku dziewiętnastego wieku...

Tak, Lido, wiem o tym. Rodzi się kolonialne imperium. *White Man's Burden*. Chrześcijaństwo dla pogan. Cywilizacja dla barbarzyńców. Socjalizm dla Angolczyków. Oznacza to również interesujące kariery za morzem. Brytyjscy młodzi ludzie głoszą ciekawe hasło: *Right or Wrong – my Country*. Coś dostrzegają. Czegoś nie dostrzegają. Wydaje im się, że w coś nie wierzą, ale w sumie traktują to wszystko *en bloc*. Nie myślą dokładnie tego, co sływa z ich warg. A czeka na nich daleki, szeroki świat. Whisky z lodem pod gorącym księżycem fantastycznej Luandy. *Gdzieś na wschodzie w Mandalay... latających rybek raj... znam tam małe, śniade dziewczę... i wyjechać od niej nie chcę...* Więc w imieniu chrześcijaństwa, w imieniu cywilizacji, w imieniu proletariatu...

Jakiś zwariowany Jonas Savimbi.

Jakiś głupi Jasiu Alfred Dubček.

– A my, pani Lido?

– Co my? – pyta mądra czeska dziewczyna. Już jakiś czas temu też zmieniała lody na Rusty Nail. – Jest tylko jedno życie. Czy pan nie należy do śmietanki towarzyskiej, panie profesorze? To co pana tak dręczy? Ma pan pięćdziesiąt lat. Kapitalizm jeszcze przynajmniej, podkreślam: przynajmniej z dziesięć lat się tu utrzyma, ze wszystkimi swoimi wspaniałymi zaletami...

– Ale co z panią, Lido?

– Ja ich nienawidzę – odpowiada Lida. – Nienawidzę wszystkiego, co jest tępe i pewne siebie. Co ma historyczną rację i dlatego kłamie. Ale ja jestem tylko jakaś Lida Lewis. Mam tylko jedno życie, więc urządziłam je po swojemu. Każdy się urządza na własną rękę.

Jenseits von Gut und Böse. Rusty Nail przyjemnie grzeje mi mózg, błyszczą rdzawe oczy Lidy. Niech pani opowie, jak pani się urządziła.

– Fajnie – mówi Lida, tak jak mawiały nieśmiertelne dziewczyny z Kostelca. – Mamy na przykład letni domek na Malcie, wie pan? Seaview Lodge. Jak z Chandlera. Pan go tłumaczył, nie? Po prostu willa na skale. Na lewo dawna twierdza rycerzy maltańskich, dookoła piękne miasteczko portowe, kościół na kościele, bar na barze, wspaniały i prawdziwy średniowieczny teatr, gdzie grają Pintera, wszystko z pomarańczowego kamienia. Z prawej strony zatoka morska z turkusową wodą, rano o czwartej, jak wschodzi słońce, płynie po niej malownicza flotylla maltańskich rybaków, którzy wracają o ósmej i potem idą z połowem na targ. Wschód i zachód słońca w technikolorze. Do pływania mamy tam ogrzewany basen bez rekinów. Do utrzymania szczupłej sylwetki – kort tenisowy. Do zabawy – najlepiej zaopatrzonej barek świata, w którym jest nawet Dobříšský čert. Do kształcenia – pełna kolekcja Penquina, mąż to prenumeruje. Do podróżowania – mały

samolocik odrzutowy marki Cessna. Widzi pan, co się może przydarzyć małej czeskiej dziewczynie?

– Wszystko – odpowiadam. – Wie pani co?

– Wiem – mówi miłościwa pani Lida Lewis i obraca do góry dnem swój Rusty Nail. – Brakuje jeszcze tylko, żeby mała czeska dziewczyna dupą wepchnęła się na Kreml.

Dobrze się rozumiemy, zaczynam wierzyć w charakter narodowy.

– Czy pani przebogaty mąż mógłby dać na to jakiś grant?

– Mógłby – stwierdza Lida. Przynoszą nam następne zardzewiałe gwoździe. – Ale i bez grantu jakaś się tam wepchnie.

Marzymy z Lidą o szczęśliwej przyszłości rodzaju ludzkiego. Niestety jest bardzo odległa. Marzymy o upadku imperium, o tej pięknej chwili, kiedy towarzysz nowy car pójdzie na premierę nowej sztuki towarzysza nowego Gogola... a po przedstawieniu... towarzysz nowy Gogol z tyłkiem ściśniętym ze strachu... a towarzysz nowy car powie: Pięknie nas ob smarowaliście, towarzyszu... towarzysz Gogol czeka, że zaraz padnie: Na Sybir!... ale towarzysz car mówi: – Nu... macie wy niewyparzoną gębę... *nu szto*. Tylko tak dalej, towarzyszu Gogol... tyłko... tak... dalej...

Rusty Nail! Oh, got the Rusty Nail Blues...

Lida Lewis w kostiumie za osiemset dolarów rusza na Ladies.

Wydaje mi się, że życie jest jednak piękne...

* * *

– Chcecie tego posłuchać? No jasne, że chcecie! – śmieje się Boczar. – Jeden towarzysz, niejaki Slavek, napisał o tym dramat dla telewizji, ale go wykopali. Nic dziwnego. Słyszał to ode mnie, a ja od pewnego

gangstera z pisma „Rovnost”. To właściwie taka legenda, gadka. Po prostu kawałek niezapisanej historii naszego stulecia. No więc do diabła, chcecie tego posłuchać czy nie?

Przytakujemy tak gorliwie, że Debilinka aż dzwoni wszystkimi wisiorami. Tylko Margitka się nie rusza, zaciska usta i wbija we mnie wzrok. Oznacza to: nie pokazuj mi się na oczy. Już wie o Irenie. *C'est la vie*.

– Więc jeden to przeżył – opowiada Boczar. – Znaczy facet. Pozostałych Sicherheistpolicja i jakieś komando SS wystrzelało co do jednego, łącznie z nasłanym agentem gestapo, który do ostatniej chwili krzyczał, kim jest. Oni oczywiście dobrze o tym wiedzieli, ale właśnie dlatego trzeba go było załatwić. Murzyn nie powinien tak sobie po prostu odejść. W obecnych, oświeconych czasach też mu trzeba zamknąć oczy. Na szczęście jednak zawsze ktoś przeżyje.

Widzę, jak ręka Boczara obejmuje udo Margitki pod białą satyną wieczorowego stroju. Na podium miejsce zespołu trampów zajęła kapela pana Mrkviczki; grają *Słodką Suzy*. Pan Mrkviczka wspaniale swinguje na skrzypcach à la Venuti.

– Otóż ten człowiek siedział wtedy w pierdlu na Pankracu, i to już dwudziesty rok. Za zabójstwo drugiego stopnia swej żony Jarmili, którego dokonał z zazdrości, mając ku temu podstawy. A tu nagle wychodzi instrukcja, że wszyscy faceci pochodzący z Lidic mają zostać aresztowani i zastrzeleni, niezależnie od tego, gdzie się aktualnie znajdują i gdzie są zameldowani. Niemiecka precyzja. No tak, ale my jakoś nie mieliśmy sumienia, opowiada gestapowiec Rössler. To był taki wzorowy więzień i w dodatku weteran: cichy, spokojny, posłuszny, pobożny. No więc go nie wydaliśmy. Z drugiej strony dla pewności nic mu o tym nie powiedzieliśmy. A więźniowie oczywiście nie czytali prasy codziennej. Więc jak

go wypuściliśmy na Wigilię, bo właśnie odsiedział dwadzieścia lat, to wciąż jeszcze o niczym nie miał pojęcia.

Wyszedł, po południu wszedł do pociągu i pojechał do Kladna, a z Kladna na piechotę do Lidic. Nie było go tam od dwudziestu lat, ale drogi do domu się nie zapomina. Szedł szosą, zapadał zmrok i wkrótce się ściemniło. Już po ciemku, w świetle zimowych gwiazd, zaczął wchodzić na ostatnią górkę. Jak wejdzie na szczyt, zobaczy...

Zobaczył pustą dolinę. Przestraszył się, ale za chwilę pomyślał: dwadzieścia lat to jednak kawał czasu; może za następną górką. Przeszedł przez pustą dolinę i zaczął się wspinać po przeciwległym zboczu. Biała, zaśnieżona równina, zimowe gwiazdy jak kryształ, puste pola niknące w ciemnościach. Za nim była dolina. Dolina Lidicka. Tylko wioska zniknęła.

Pomyślał, że musiał zwariować w więzieniu. Znów przeszedł przez dolinę i wrócił do Kladna. Ale Kladno było na swoim miejscu. Zimowe, zaciemnione miasto, puste ulice, każdy w domu, przy choince. Na skraju miasta znalazł knajpę, w której popijało kilku starszych kawalerów. Powiedział: „Ja chyba oszalałem!” „Nie gadaj! – stwierdził barman. – Masz! Napij się na zdrowie! Jest Wigilia!” Nalał mu cennego, okupacyjnego alkoholu. W czasie Wigilii nawet gestapo zostaje w domu, pod *Tannenbaumem*. „Naprawdę. Wioska zniknęła!” „Jaka wioska? Co ty bredzisz?” „Nie bredzę!”

– No więc im opowiedział – ciągnie dalej Boczar. – Starzy kawalerowie patrzyli jeden na drugiego, a barman postukał się w czoło. „Czyś ty zmartwychwstał?” – pyta, a on na to: „Ja jestem Josef, zabójca Jarmili. Minęło już dwadzieścia lat”. Wreszcie się w tym połapali.

Powoli, ostrożnie wytłumaczyli Ostatniemu Żyjącemu Mężczyźnie z Lidic, co się stało. Podniósł się z miejsca. „Dokąd idziesz?” Nic nie odpowiedział. Wyszedł

z knajpy i zniknął w mroku. Nikogo nie pytał, nie wiadomo, jak tam trafił. Zgłosił się na gestapo: *Ich melde gehorsam, ein Mann zum erschiessen!*. „Co ty pieprzysz?” – spytał go gestapowski wartownik, znudzony i zły, że ma służbę akurat w Wigilię. *Ein Mann meldet sich um erschossen zu werden* – obstawał przy swoim. – *Auf Befehl des Herrn Staatsminister Karl Hermann Frank!*. „O co ci chodzi?” – spytał wrogo gestapowiec. Wyjaśnił mu.

– A gestapowiec zawołał swojego kolegę i mieli z tego ubaw – kontynuuje Boczar. Dostrzegam, że brwi pana Zawynatcha są mocno zmarszczone, bo z takim napięciem wsłuchuje się w niezapisaną legendę nierzeczywistego czasu. Mrkviczka *boys* szaleją, podobnie jak na parkiecie wydawczynie z faszystą Frankiem. *Tigger Rag*.

– Nie chcieli go zastrzelić – mówi Boczar – ale zażądali, żeby przychodził się w każdą sobotę meldować. Więc chodził. Zawsze w sobotę: – *Ich melde gehorsam, ein Mann zum erschiessen!* Gestapowcy za każdym razem skręcali się ze śmiechu, tak ich to bawiło. Opowiadał to nam gestapowiec Rössler z „Rovnosti”.

– A co z nim było? – pyta Debilinka.

– Najpierw dostał stryczek – wyjaśnia Boczar.

– Ten morderca z Lidic?

– Nie, ta nasza gestapowska wesz. Mówił: „Jak mi to sędzia przeczytał, zrobiłem się taki sztywny, że musieli mnie wynosić z sali i wyobraziłem sobie, że będą mnie nieśli do samej szubienicy. To będzie straszne, jak kat zacznie mi ukrecać kark! Straszne!!!” Jak każdej wszy, takie rzeczy zaczęły mu przeszkadzać dopiero wtedy, kiedy dotyczyły jego samego.

– Ułaskawili go?

– Tak. Wszy mają zawsze szczęście. Zmienili mu na dożywocie. W tym samym tygodniu powiesili księdza Tiso. A ten morderca z Lidic? Nie zastrzelili go. Wkrótce mieli inne kłopoty. Więc zaczął pić, a po woj-

nie wrócił do dawnego zawodu. Kelner. Pił i milczał. Ale potem wróciły z obozu koncentracyjnego kobiety z Lidic, a rząd i zagraniczni ofiarodawcy zbudowali Nowe Lidice. Z tych kobiet stały się teraz dobre partie małżeńskie. Baba z mieszkaniem w pięknej wiosce obok Pragi to po wojnie był skarb. Zresztą jest do dziś. Wielu cwaniaczków wżeniło się w te Nowe Lidice. Morderca był tuż przed delirium, więc pewnego dnia nie przyszło mu do głowy nic lepszego, jak wyruszyć do Nowych Lidic i domagać się prawa do posiadania jednego z tych domków z begoniami. W końcu był to przecież stary mieszkaniec Lidic, nieprawda? No tak, ale tu był pies pogrzebany!

– Co? – dziwi się pan Zawynatch, jeszcze bardziej marszcząc brwi.

– Nie pasował do legendy – wyjaśnia Boczar. – Mało mu nie wydrapali oczu. Lidické kobiety-męczennice, ale jeszcze bardziej ich dzielni mężowie. Więc wrócił do knajpy, gdzie przez jakiś czas chlał i kelnerował, a jak zaczęły mu latać białe myszki, odwieźli go do szpitala wariatów w Bohnicach, gdzie dokonał żywota – Boczar żegna się szerokim gestem.

– Daj mu, Panie Boże, wieczny odpoczynek – mówi z powagą ksiądz Huniak.

– Jak by miał pasować! – odzywa się pan Zawynatch. – Wiele rzeczy nie pasuje do legendy. Pamiętacie panowie, jak w czasie wojny zachowywali się czescy robotnicy? Najwyższa wydajność pracy w całej Europie. Powiedziałem to w obronie klas średnich, które wtedy krwawiły, doktorowi Husákowi, kiedy siedzieliśmy razem w więzieniu. A wiecie, co on na to? Mówi: „To jest w porządku; wy burzuje przez cały czas istnienia republiki ojczulka Masaryka trzymaliście klasę robotniczą w nędzy i nieświadomości, więc czemu miałyby się interesować tą waszą wojną. Nie, drogi kolego, w sze-

regach klasy robotniczej byli tylko bohaterowie, a nie żadni kolaboranci. Nieuświadomienie nie jest grzechem”, powiedział mi doktor Husák.

– W tym względzie może miał rację – wtrącam. Na szczęście wszyscy są gdzieś indziej.

– Podczas gdy Eliáš i inni bohaterowie oddali życie za ojczyznę...

– Za burżuazyjną ojczyznę – prowokuję. Boczar społgłada na mnie dziwnym wzrokiem.

– Właśnie dokładnie tak – prawi. – Za ideał. Za głupotę. Wygrywają przecież zawsze cwaniaczki, a jeszcze bardziej wygrywają głupcy. Nigdy zaś bohaterowie. To jest takie prawo. Historyczne. Dialektyczne.

Potem już wszystko jest *Zone*. I w tym zamieszaniu faszysta Frank powiedział mi, że kanadyjski sąd wysłał magistra Maslo na leczenie psychiatryczne.

* * *

Historię tę opowiedziała mi Veronika po południu. Pobyt słynnego poety radzieckiego Wokurowskiego organizował również pan Svensson. Nie miała mu jednak tego za złe, bo Wokurowski, jak twierdziła, jest naszym człowiekiem.

Wymyśliła jednak mały, częściowo – ze względu na Percy’ego – pedagogiczny eksperyment. Na gzym-sie kominka umieściła dyskretnie kilka książek drukowanych po rosyjsku, ale niewydanych w kraju i stwierdziła: zobaczysz, co się będzie działo.

Wcześniej opowiedziała mi historyjkę o jakimś Frantiszku Novosadzie – kasjerze i autorze powieści detektywistycznych, bo miała ona związek ze wspomnianym eksperymentem. W dawnych czasach Novosad pisał swoje powieści pod pseudonimem Sheila Siddons, ale w latach pięćdziesiątych musiał zamknąć gębę na kłódkę i został kasjerem. Jednak w latach sześćdziesiątych

znów wystawił różki i zdobył pewną popularność dzięki serii powieści, wydanych pod pseudonimem Josefa Novakova. Ich bohaterem był porucznik milicji Honza Fialka, postać zupełnie nieprawdopodobna zarówno jeśli chodzi o język, jak też rodzaj przygód i styl zachowania. Mówił dokładnie tak samo, jak wcześniejszy detektyw Novosada – inspektor Woolstonecraft z londyńskiego Scotland Yardu, którego język był z kolei dokładną kopią języka Phila Marlowe’a, przełożonego na wulgarną czeszczyznę. Praga Fialki do złudzenia przypominała Las Vegas, była zaludniona przemytnikami narkotyków i usiana ruletkowymi szulerniami. Podobnie jak Marlowe i Woolstonecraft, porucznik Fialka też pracował raczej pięścią niż głową i mimo że w każdej powieści co najmniej trzy razy ogłuszano go ciosem kolby pistoletu w potylicę, nigdy nie zgłupiał, więc go nie awansowano. Pozostawał wciąż porucznikiem. Novosad zbierał obfite żniwo zwłaszcza przez pierwsze dwa lata po Bratniej Pomocy, kiedy te plagiaty czytano niemal jako literaturę protestu. Potem jego kariera znów się skończyła po artykule w piśmie „Tvorba”, zatytułowanym *Moralna trucizna pod płaszczkiem rozrywki*. Autor artykułu, niejaki Dohnal, był wprawdzie zdolnym do wszystkiego sługusem, lecz na nieszczęście dość inteligentnym, więc bez trudu rozpoznał źródła inspiracji Novosada i napisał, że rzekomy milicjant Fialka jest rodzonym bratem dekadentckiego Phila Marlowe’a i prawdziwi funkcjonariusze milicji nie mają i nie chcą mieć nic wspólnego z jego „filozofią”. Ogłupiony amerykańską moralnością czerpaną z ciągłej lektury kryminałów Novosad próbował się wprawdzie bronić i wysłał do redakcji „Tvorby” list, złożony głównie z cytatów z klasycznej charakterystyki Marlowe’a: „Tymi podłymi ulicami musi chodzić człowiek, który sam nie jest podły, który nie boi się i nie ma brudnych rąk...”,

ale w tym czasie redakcje drukowały już tylko te listy czytelników, które same napisały. Redaktor „Tvorby” słusznie uznał więc list Novosada za prowokację i powiadomił kierownika restauracji, która go zatrudniała, że uważa on swą socjalistyczną ojczyznę za podłą, a nasz socjalistyczny naród za tchórzliwy i o brudnych rękach. Pisarz został natychmiast wyrzucony z pracy, a jego książki wycofano ze wszystkich bibliotek i spalono. Taki sam los spotkał uczone dzieło stojącego po jak najbardziej właściwej stronie docenta Slavy Vyprdka – *Historia powieści detektywistycznej – analiza marksistowska* – które wprawdzie było całkowicie słuszne, lecz na stronie 477 zawierało przypis: „U nas, z niewielkim powodzeniem, styl amerykańskiej »twardej« szkoły usiłowali naśladować J. Novakova i F. Novosad, który w latach czterdziestych pod pseudonimem Sheila Siddons wydał kilka powieści, językiem i duchem przypominających N. Marsha, zwłaszcza jego antykomunistyczny pamflet *Pięć czerwonych śledzi*”. Uczone dzieło poszło na przemiał nie z powodu jakichś drobnych błędów faktograficznych, ale dlatego że nazwiska Novakova, Novosad i Siddons skazane zostały na całkowite wymazanie z kart literatury.

W marnym okresie między erą Sheili Siddons a erą Josefy Novakovej Novosad stał się wysoko wyspecjalizowanym złodziejem i opowieść Veroniki dotyczyła właśnie tego okresu życia obecnego pracownika fizycznego na budowie metra. Otóż kradł on angielskie i amerykańskie kryminały, które potem za opłatą wypożyczał dość licznej klienteli, zwłaszcza w służbie zdrowia. Karierę złodzieja książek rozpoczął niemal w stylu inspektora Woolstonecrafta. Kiedy władze zamknęły amerykański ośrodek kultury, ukradł jednemu z jego pracowników klucz, włamał się w nocy do zabezpieczonego biura i wyniósł wszystko, co miało

jakiś związek z kryminałem. Dwaj początkujący funkcjonariusze zapłacili za to złamaną karierą, ponieważ oskarżono ich, że w niedbały sposób przeprowadzając rewizję, nie zauważyli ważnych dokumentów – na tyle ważnych, że CIA zdecydowała się zaryzykować nocne włamanie. Nikomu nie przyszło do głowy łącznie tej kradzieży z postacią Woolstonecrafta.

Pod koniec lat pięćdziesiątych Novosad, będąc już kasjerem w restauracji, nawiązał kontakt z jednym z wydziałów Ministerstwa Spraw Wewnętrznych, który delegował kelnerów na przyjęcia organizowane przez zachodnich dyplomatów, i dzięki łapówkom udało mu się znaleźć na tej ekskluzywnej liście. Od czasu do czasu wkładał więc frak, roznosił drinki w pomieszczeniach ambasad i składał potem meldunki o zachowaniu czeskich gości. Na szczęście zachowywali się oni zawsze bez zarzutu, bo wiedzieli, że powstanie na ten temat meldunek, więc Novosad dla zaspokojenia swej namiętności nie musiał popełniać niczego, co nie dałoby się pogodzić z jego amerykańskim sumieniem. Masowe kradzieże kryminałów dyplomaci przypisywali zaproszonym gościom i dlatego zachowywali taktowne milczenie.

Novosad zaczął wykorzystywać swoje kontakty z MSW w sposób jeszcze odważniejszy. Tam też były ogromne ilości amerykańskiej literatury detektywistycznej (a także pornograficznej). Pochodziły one ze skonfiskowanych przesyłek pocztowych, wysyłanych prywatnym obywatelom czechosłowackim przez ich krewnych z Zachodu. Novosad bardzo systematycznie i pod różnymi pretekstami zaczął odwiedzać swoich kontrahentów we wspomnianym budynku i za pomocą bonów tuzeksowskich (kupowanych w restauracji) nawiązywał znajomości z coraz to nowymi ubekami. W końcu w całym ministerstwie nie było człowieka, do którego Novosad nie miałby dostępu, nie wyłączając samego

ministra. On też został klientem wypożyczalni Novosada, nie przypuszczając nawet, że znaczny procent egzemplarzy pochodzi właśnie z podległych mu zasobów. Gdyby w tym czasie jakieś centrale szpiegowskie nawiązały kontakt z Novosadem, mogłyby w nim znaleźć odpowiednika Kima Philby'ego. Nasz człowiek potrafił jednak doskonale ukryć swe podwójne życie.

Szczytem jego złodziejskiej kariery była kradzież w Moskwie. Jakoś pod koniec lat pięćdziesiątych, w czasie pierwszego zbliżenia amerykańsko-rosyjskiego, Rada Najwyższa zezwoliła Amerykanom na zorganizowanie wystawy. Wtedy też Novosad po raz pierwszy i ostatni wybrał się do ojczyzny socjalizmu, w dodatku z bardzo ambitnym celem: ukraść z wystawy komplet dzieł najstynniejszego wtedy autora gatunku – Mickeya Spillana. Oczywiście wiedział, że wystawy nie da się zwiedzać w sposób żywiołowy, lecz tylko za zaproszeniami, przydzielanymi wyłącznie najbardziej zasłużonym kadrom tego wielkiego kraju. Równie dobrze wiedział jednak, że wśród tych wybrańców znajdzie się dostateczny procent osób skłonnych do handlu wymiennego. Napełnił więc walizę damską bielizną, włoskimi butami i sweterkami typu miki-na, ale w czasie kontroli celnej na lotnisku w Moskwie niemal uznano go za fetyszystę. Na szczęście uratowała go sprytna współpasażerka, która oświadczyła, że damska odzież należy do niej, tylko nie zmieściła się jej do walizek. Za tę usługę pozostawiła sobie połowę towaru. Pozostała część wystarczyła jednak Novosadowi do zdobycia w hotelu Kijew dwóch biletów na amerykańską wystawę. W czasie pierwszej wizyty, wprost pod nosem nie tylko specjalnie nieuważnego pracownika amerykańskiego, lecz także niezwykle czujnego radzieckiego tajniaka, gwizdnął kompletnego Spillana i trzech J.D. Carrych, a za drugim razem oczyścił stoi-

sko z reszty kryminałów. Pozostał mu jeszcze tydzień pobytu, który spędził chodząc po moskiewskich antykwariatach, gdzie udało mu się ukraść zupełnie niedostępne kryminały rosyjskich autorów przedrewolucyjnych, trzy ukraińskie przekłady Gaboriau z XIX wieku i Agatę Christie po uzbecku.

Historia Novosada wydawała mi się odosobniona i wyjątkowa. Rodzaj psychicznego świra. Ale Veronika uważała inaczej. To narodowa choroba rosyjskiej inteligencji, która z powodu radzieckiej okupacji zaczyna się pojawiać również u nas. Novosad był tylko pierwszą jaskółką.

Wokurowski ruszył do stanowisk kontroli paszportowej na toronckim lotnisku w towarzystwie drobnego, bladego mężczyzny; co do jego funkcji Veronika nie miała najmniejszych wątpliwości. Ciekawa była tylko, za kogo się poda. Podał się za tłumacza Wokurowskiego.

Przedstawił się:

– *My name Ramses. I translate Wakurowskij.*

– *Oh, it's you who did those marvellous translations!* – ucieszyła się Rosemary Svensson, lecz zaraz urwała. – *But... I thought... it was W.H. Auden, who...*

– *I mean* – wyjaśnił Ramses. – *I translate what he say, then what you say. He talk, you talk, I translate.*

– *What he's trying to say is* – odezwał się Wokurowski niemal bez śladu obcego akcentu – *that he's my interpreter.*

– *Yes* – potwierdził Ramses.

W samochodzie udało się Wokurowskiemu usiąść z tyłu, między dwiema damami, Ramsesa zaś wciśnięto do przodu, obok pana Svenssona i prowadzącego samochód Percy'ego. Nie protestował, bo na przednim siedzeniu też było słychać, o czym się mówi z tyłu.

Wokurowski od razu zaprezentował się jako znakomity taktyk. Konwencjonalnie spytał o wyświetlane w Toronto filmy, a Veronika natychmiast zorientowała się,

w jakim celu. Rosemary zaczęła wyliczać różne romanse, westerny i komedie, a Veronika mimochodem dorzuciła też *Zeznanie* Costy-Gavrasa. Spojrzała przy tym na Wokurowskiego i zobaczyła, jak mu się zaświeciły oczy.

– Musi mnie pani tam zawieźć – szeptał jej potem podczas party. – Ja zupełnie nie znam Toronto. Tylko najpierw trzeba unieszkodliwić faraona. Przynajmniej na trzy godziny.

– Jak? Mam go uwieść?

– Tylko go urznąć, bo on nie leci na kobiety.

Veronika rozejrzała się. Czarne oczy małego faraona wbijały się w nich ponad ramieniem Rosemary.

Wraz z Percym wymanewrowała więc Wokurowskiego w stronę kominka i przybrała bardzo malowniczą pozę, z jedną ręką opartą na jego krawędzi. Veronika miała bardzo piękne ramiona, a Wokurowski pod tym względem nie był taki jak Ramses. Natychmiast więc zauważył książki.

Obejrzał się przestraszony i szepnął:

– O Boże! Czy pani sądzi, że mógłbym je sobie... wypożyczyć?

Veronika wymieniła spojrzenia z Percym.

– Może je pan sobie wziąć – oświadczył Percy. – Veronika przygotowała je dla pana.

Wokurowski z napięciem popatrzył na dziewczynę. Potem roześmiał się głośno i pod tą maską szepnął:

– Patrzy na nas faraon?

– Chyba tak – odparła Veronika. – Niech pan zaczeka chwilkę. Ja to załatwię. Chodź, Percy.

Wraz z Percivalem podeszła do grupki, w której środku stał Ramses. Rosemary właśnie rozpyływała się w ekstazie nad urokiem ojczyzny faraona:

– Byłam w Rosji już dwa razy. W czasie ostatniego pobytu odwiedziliśmy kilka miast w Arktyce. Wspaniałe! Cudowne! Po prostu coś niesamowitego!

– Tak – powiedział Ramses. – Ja wiem.

– Często sobie myślę, dlaczego my nie możemy zbudować takich wspaniałych miast na naszej północy.

– Nie macie tylu obywateli co my – stwierdził uprzejmie Ramses.

– To prawda, ale...

W tej chwili do konwersacji włączyła się Veronika. Choć delikatna, zrobiła to z gracją słońia:

– Te miasta zbudowały miliony więźniów, pani Svensson.

– *Oh, really?*

– Młoda dama trochę przesadza – wycedził lodowato Ramses.

– Może trochę, ale niewiele – zgodziła się Veronika.

– *Well...* – Rosemary tonęła w zakłopotaniu – *well...* tylko że my w Kanadzie nie mamy tylu... przestępców...

Wokurowski tymczasem doszedł do wniosku, że konwersacja mocno wciągnęła dozorcę, można więc spróbować rozpocząć akcję. Przysunął się do kominka i wyciągnął rękę po książki. W tej jednak chwili podszedł do niego jeden z gości, profesor Tomkins. Wokurowski się przestraszył, a ponieważ mimo zapewnień Percy'ego podświadomie uważał swój czyn za kradzież, zrobił głęboki skłon i udawał, że w tej pozycji ogląda puste wnętrze kominka.

– Szuka pan czegoś, *Mister Wokurowski*?

Wokurowski wyprostował się.

– Nie... tylko oglądam ten kominek. Ciekawy, prawda?

Profesor Tomkins spojrzał na kominek.

– Mnie się wydaje, że to całkiem zwyczajny kominek.

– Ja nigdy w życiu czegoś takiego nie widziałem – brnął dalej Wokurowski.

– Naprawdę? A co w nim jest szczególnego?

– No... bo my w Rosji nie mamy żadnych kominków... a ja... jeszcze nigdy nie byłem na Zachodzie – skłamał przyciśnięty do muru poeta.

– *Well...* to rzeczywiście... logiczne... – odparł równie skonsternowany Tomkins. – Proszę mi wybaczyć... – dodał i oddalił się.

Wokurowski znów się rozejrzał. Veronika wyraźnie rzucała się z ostrymi pazurkami na tajniaka. Spytała go:

– Pan jest podobno pisarzem?

– Tylko tłumaczem, *miss*. Członkiem sekcji tłumaczy Związku Pisarzy Radzieckich.

Zainteresowało to Rosemary. Uznała, że sprawy przekładów będą znacznie bezpieczniejszym tematem niż arktyczne miasta. Zaśpiewała więc jak z nut:

– *It that so? How interesting!* – A potem postawiła obowiązkowe pytanie. – Jaki rodzaj książek pan tłumaczy?

– Specjalizuję się w literaturze afrykańskiej.

– *Is that so? How interesting!* I pan naprawdę mówi tymi wszystkimi językami? Swahili... xhosa...

– Ja tłumaczę z angielskich przekładów. Na rosyjski.

– Rozumiem – zapewniła go Rosemary. – A ile książek pan już przetłumaczył?

– *De facto...* pracuję właśnie nad pierwszym przekładem...

– *Oh, I see...* – pomimo wszelkich dezodorantów na czole Rosemary zaperlił się pot. – *How...*

W tej chwili wskoczyła jej w słowo Veronika:

– To pan musi być cholernie dobrym tłumaczem, skoro przyjęli pana do związku, chociaż pan jeszcze nic nie przetłumaczył!

Oczy faraona popatrzyły na nią bardzo nieprzyjaźnie. Dziewczyna wytrzymała to spojrzenie. Rosemary przypomniała sobie, jakie to ciekawe, że wczoraj padało.

Przy kominku Wokurowski znów się szykował do kradzieży i ponownie mu przeszkodzono. Zarea-

gował tak jak poprzednio, tym bardziej że intruzem był teraz sam gospodarz.

– Szuka pan czegoś?

– Nie. Oglądam tylko pański kominek.

– Czy mam rozpalić ogień? Trochę tu właściwie chłodno...

– Nie, nie! Proszę nie robić sobie kłopotu!

– To żaden kłopot! Bardzo lubię palić w kominku. Tylko najpierw muszę... – pan Swensson wziął z gzymsu cenne książki i zaczął je oglądać. – Proszę spojrzeć. Może to pana zainteresuje. To chyba rosyjscy autorzy.

Podał Wokurowskiemu tomy Mandelsztamowej, Sołżenicyna i Zamiatina.

Poeta w amatorski sposób zrobił znudzoną minę. Drżącą ręką wziął skarby od pana Svenssona i nie patrząc na nie powiedział:

– Tak, to istotnie rosyjscy autorzy – opanował podniecenie i zdobył się nawet na szczyptę ironii, niezrozumiałej dla gospodarza. – W Rosji jednak nie bardzo się ich czyta...

– Kupiła to pewnie moja córka. Jeśli to pana interesuje, proszę sobie zatrzymać. Zrobi mi pan przyjemność...

To, co się zdarzyło w następnej sekundzie, zaparło panu Svenssonowi dech w piersiach. Poeta błyskawicznie schował wszystkie trzy tomy pod koszulę.

– Czy... nie jest to... trochę... niewygodne? – spytał zdumiony gospodarz.

Wokurowski uświadomił sobie, że trochę się pośpieszył. Poczerwieniał i wyjąkał:

– To jest... taka stara rosyjska... tradycja. Jeszcze... z carskich czasów... taka... druga natura...

– *Is... that so?*

Tymczasem Rosemary nieopatrznie przestała komentować zjawiska klimatyczne i zabrnęła znów na niebezpieczny teren.

– Wie pan, *Mister Ramses*, ja zupełnie nie rozumiem, po co panu Wokurowskiemu tłumacz, skoro jego angielski jest... – przerwała i dokończyła zgodnie z konwenansem – ...równie dobry jak pański.

Utkwiła swe szczere spojrzenie w nadętej twarzy tajniaka. Zanim jednak faraon zdołał coś wytłumaczyć, znów odezwała się Veronika:

– No właśnie dlatego!

Po tym wyjaśnieniu Rosemary wcale nie była mądrzejsza.

Przez następne dwa tygodnie Wokurowski usiłował upić Ramsesa, aby wyskoczyć na film, ale tajniak zachowywał czujny umiar. Dopiero w przeddzień odlotu zadzwonił telefon. Podniecony poeta błagał, żeby Veronika zabrała go spod wskazanego adresu i doprowadziła do kina, bo on nie zna Toronto i wydał już całe kieszonkowe na prezenty dla swej moskiewskiej przyjaciółki. W samochodzie ze wzruszeniem zaczął opowiadać, że czujność faraona zdołała pokonać (a nie uśpić) jakaś inna Czeszka, która na party zorganizowanym przez *chairmana* Wydziału Słowiańskiego całkowicie zmonopolizowała tajniaka. Była bardzo ekscentrycznie ubrana i mówiła dość szczególną ruszczyzną, która brzmiała jak zły przekład z angielskiego, ale za to tak wytrwale, że faraon zaczął się pokrząć, aby wytrzymać ten słowotok. I nie wytrzymał! – krzyczał w zachwycie Wokurowski, uściskał Veronikę poczwórnym chruszczowem i wpadł do kina.

Debilinka nawet nie przypuszczała, jak wielką przysługę oddała kulturze radzieckiej.

* * *

Złośliwa pułapka Uhery całkowicie zatrąła mi pobyt w Ameryce. Przynajmniej dopóty, dopóki nie wpadłem na pomysł, co prawda dość wariacki, w jaki sposób

jakoś wybrnąć z tej afery. Muszę się dogadać z panią Mary Squarilikovą i wytłumaczyć jej, jaki ja mam kłopot i jaki ona. Może razem coś wymyślimy. Jeśli nie, przynajmniej będzie wiedzieć, co ją czeka, i przygotuje sobie jakąś linię obrony. Ale to będzie trudne.

W nowojorskiej księżce telefonicznej było kilku Skvarilów, ale tylko jeden Skvarilik. Nakręciłem numer. Odezwał się mężczyzna, a ja po angielsku spytałem go, czy mogę mówić z panią Szkvarzilikovą.

– *Just a sec* – odparł i zawołał po czesku gdzieś w głąb mieszkania. – Mania! Telefon!

Po chwili w słuchawce odezwał się głos, w których słychać było lekkie zaciekawienie i dużą obawę:

– Szkvarzilikova.

– Muszę z panią porozmawiać – powiedziałem. – Czy mógłbym przyjechać pod ten adres?

– O... o czym?

– Nie chcę o tym mówić przez telefon.

– A... a kim pan jest?

Teraz w głosie było już słychać zdecydowane przeżalenie.

– Przyjacielem – dla pani Szkvarzilikovej musiało być jasne, że chodzi o tajniaka. W Nowym Jorku.

– O Boże! Czego... czego pan ode mnie chce?

– To jest w pani własnym interesie. Będę u pani za pół godziny. – Odłożyłem słuchawkę.

Potem przyszło mi do głowy, że przed wyjazdem pani Szkvarzilikova oczywiście też była na rozmowie i została pouczona o swych obowiązkach. A co będzie, jeśli zechce w Pradze zneutralizować mój donos swoim? Że ją wcześniej ostrzegłem?

Jeszcze był czas się z tego wycofać. Ale w takim przypadku musiałbym zrobić dokładnie to, czego ode mnie chciał Uher. A mieszczuch nigdy w praktyce nie może przekroczyć tych granic, które...

Pół godziny później czarny portier w eleganckim domu przy Riverside meldował mnie przez telefon komuś we wnętrzu budynku. Po następnych dwóch minutach stałem na trzecim piętrze, a przez uchylone drzwi patrzył na mnie starszy pan znany z tarasu Empire State, tyle tylko, że teraz bez Stetsona.

– Czego pan chce od Mani? Ona ma z tego *nervous breakdown*. Nie może pan o tym mówić do mnie?

Zastanowiłem się. Właściwie czemu nie?

– Jeśli chce ją pan blekmejlować, to źle pan trafił. A ja będę miał pana zabranego od policji!

To mnie zainspirowało.

– Ja chcę raczej panią Szkvarzilikovą ochronić przed możliwym szantażem.

– Jest to tak?

– Ale mogę to załatwić z panem.

– Niech pan wejdzie.

Zaprowadził mnie do wielkiego pokoju z widokiem na rzekę. Pokój przypominał muzeum, na ścianach setki fotografii oprawionych w ramki, z różnych czasów. Ludzie i miasta, głównie Praga. Także pani Szkvarzilikova. Wytłumaczyłem mu pokrótce, co się stało. Nie za bardzo zrozumiał. Co powiedziała? Czym się skompromitowała? – dopytywał się. Przytoczyłem mu to o tych zabijających cegłach.

– *Well*, czy to prawda?

– Tak, ale jest to również szkalowanie kraju.

– Skoro to prawda?

Pokręciłem głową. Politycznie nie był na poziomie. Wymieniłem mu kilka dalszych niedyskrecji Mani, ale za każdym razem musiałem przyznać, że miała rację. Zaczął mi się na nowo przyglądać z podejrzliwością. Zacytowałem wypowiedź o komuchach u koryta.

– Tacy są wszędzie politycy – odparował. – Republikańskie, demokraci. To dlaczego nie komuniści?

– Gdyby to powiedziała o republikanach...

– Wy macie też republikanów w Pradze?

– No, nie...

– *Well*, jak to mogła powiedzieć o republikanach, skoro tam ich nie macie. Macie tam komunistów, więc Mania musiała powiedzieć to o komunistach.

Przyglądałem włosy i poddałem się. Patrzył na mnie wyblakłymi oczami, zachmurzony, podejrzliwy.

– Ja tego nie lubię.

Nie zrozumiałem w pierwszej chwili czego.

– Ja tego nie lubię w ogóle – powtórzył. – Przyprowadzę Manię.

Wyszedł i po dłuższej chwili wrócił z damą z dnia wczorajszego. Wyglądała jak po ostrym ataku serca.

– Ten gentleman tutaj – mówił rozwleknie dziadek – on twierdzi, że ty jesteś w trawlu, ponieważ ty wczoraj na Empire State powiedziałaś, że komuniści się biją o koryta, a obok nas stał jakiś *police informer*.

– Jezus Maryja!!! – krzyknęła dama, aż się staruszek przestraszył. Potem opadła na kolana, ale raczej nie był to patos, tylko zwykły, socjalistyczny strach. Po prostu nogi się pod nią ugięły: – Towarzyszu, ja was błagam! Niech mnie towarzysz nie wyda! Ja tak wcale nie myślałam! Ja... Towarzysz źle usłyszał! I źle to sobie wytłumaczył.

Zemdlała. Położyliśmy ją ze staruszką na kanapie, a on wściekle warknął:

– Będę pana miał na policji! Ale najpierw panu kopnę zęby do środka! – Nie wprowadził od razu w czyn tej straszliwej groźby, tylko wybiegł dokądś i po chwili pojawił się z butelką, którą przyłożył damie do ust. Zakrztusiła się, ale mdłości przeszły. Otworzyła oczy, ale kiedy mnie zobaczyła, znów je zamknęła. Szybko jej wytłumaczyłem, jak się rzeczy mają. Uchyliła oczy:

– Wy towarzyszu... naprawdę nie jesteście towarzyszem... z Ministerstwa Spraw Wewnętrznych?

Zapewniłem ją, że nie jestem nawet towarzyszem, a tym bardziej z MSW.

– To, na Boga, niech pan na mnie nie donosi! Ja się panu zrewanżuję. Jerry ma dolary, prawda... on jest bogaty... tylko niech mnie pan nie wyda, błagam pana!

Znowu jej cierpliwie wytłumaczyłem, że jeśli na nią nie doniosę, to oboje będziemy mieli kłopoty. Była jednak za bardzo zdenerwowana, więc przyszło jej do głowy tylko coś takiego:

– To niech pan tam nie wraca!

Wyjaśniłem, dlaczego jako ulubiony autor piszący po czesku nie zamierzam zostać na emigracji. Dostała ataku histerycznego płaczu:

– Oni mnie wyrzucą z pracy! – zawyła Mania. – Oni mnie zamkną!!! Towarzyszu, Jerry się wam zrewanżuje! Nie możecie tego wziąć na siebie?!

Znowu, bardzo cierpliwie, wytłumaczyłem, że nie mogę wziąć na siebie jej szkalujących wypowiedzi, choć za dolary byłbym nawet skłonny, ale nie słyszałem ich sam. Jeśli chodzi o mnie, jest to próba mojej lojalności, podczas gdy o niej bezpieczeństwa i tak się dowie, niezależnie od tego, czy ja doniosę czy nie. Więcej dla niej nie mogę zrobić niż właśnie to, co robię: ostrzec ją, żeby przygotowała sobie jakąś obronę.

– Ja będę zaprzeczać! – rozpaczła. – Tylko że oni mają swoje metody! Jezu Chryste, co ja teraz zrobię?!!!

Tego naprawdę nie wiedziałem. I było dla mnie jasne, że jestem z tą panią w pięknej bryndzy, choć moje burżuazyjne sumienie może być spokojne. Starzec z zachmurzoną twarzą skakał wzrokiem ze mnie na nią i co chwila pociągał z butelki, z której pomocą przed chwilą cucił damę. Zacząłem bardzo żałować swojej chrześcijańskiej rycerskości. Mania na kanapie dosłownie wyła ze strachu, a ja byłem dokładnie tam, gdzie wcale nie chciałem być.

– I jak pan się z tego wykręcił? – spytała Lida Lewis.

– Uratował mnie stary kowboj Jerry Szkvarzilik.

– Jak?

– Bardzo prosto. Słuchając nas, przeszedł szybki kurs wiedzy o społeczeństwie socjalistycznym. Więc kiedy znaleźliśmy się w zupełnym impasie, oświadczył tonem nieznośnym sprzeciwu, że w tym przypadku Mania nie wróci do Pragi. I po tygodniu, jeszcze zanim ja wróciłem do kraju, Mania miała taki sam status, jaki ma dziś pani.

– On się z nią ożenił! – zawołała Lida Lewis takim tonem, jaki zawsze pojawia się w głosie dziewczyn, gdy słyszą, że którąś spotkało szczęście. Manię rzeczywiście spotkało.

– Tak. Mam wrażenie, że on ją właściwie zaprosił do Ameryki z takim ubocznym pomysłem, ale był już długo wdowcem, więc dlatego nieśmiały. Mania była jego szwagierką, wdową po praskim bracie. Więc właściwie Uher przyczynił się do szczęścia jednej czeskiej dziewczyny.

– Widzi pan, co takiej czeskiej dziewczynie może się przydarzyć? – mówiła Lida. – A co Uher? Nie szantażował pana?

– Nie mógł. Ja oczywiście zaraz po powrocie z wielką ochotą złożyłem donos na panią Szkvarzilikową. A Uher się nie odezwał. Od tego czasu go nie widziałem. Tylko słyszałem o nim.

– Pewnie ładne rzeczy.

– Nie wiem, wszystko jest chyba względne – odparłem. – To tak jak z telefonem od pani, kiedy powiedziała mi pani, że w domu znów jest wszystko w porządku. Ale wie pani, tak mnie pani zirytowała, że cisnąłem aparatem o ziemię.

* * *

W toalecie w tych ostatnich dniach pracy panowała niemal londyńska mgła i tłok jak na stadionie piłkar-

skim. Spokorniały Eisler przychodził tam tylko za potrzebą, ledwo przepychał się do pisuaru i jeszcze przepraszał. Wojna się kończyła i strachu ubywało.

Koszmary ożywały za to w opowieściach Vozenila, tego dnia o życiu miłosnym w Rzeszy.

– Niemek nam zabraniali dmuchać – opowiadał, a w mroku londyńskiej mgły wyglądał jak wielka dżdżownica. – To by było zanieczyszczanie rasy. Tylko że Niemki miały chłopów na froncie i były napalone. Chłopaki, nie wyobrażacie sobie, co taka brunhilda wyczyniała w łóżku! No ale chodziło o głowę! Więc posuwaliśmy je tylko za żarcie.

– Jaka była taksa? – spytał chłopak z lakierni.

– Jak o mnie chodzi, to wysoka. Tygodniowe kartki na mięso za jeden numerek – odparł zielony krasnoludek. – A i tak się o mnie biły! Ale ja byłem bardzo ostrożny.

– Za to mogli cię zabić, ty dromaderze – powątpiewał Malina.

– Żeby tylko! Za coś takiego robili gorsze rzeczy.

– Jakież tortury? – wypytywał Kos.

– Zależało od tego, czy to była mężatka, co miała chłopca na froncie, czy panna. Za pannę obcinali ci jaja.

– Zalewasz, ty hipopotamie! Pokaż!

– Czy ja mówię, że mi obcięli? Mi nie. Ja na każde dymanie tak się zabezpieczałem, że jedną trzecią kartek dostawał jakiś kumpel, żeby filował na straży. Ale ilu chłopaków tak załatwili! Niektórzy byli nawet żonaci, stary. No ale to jeszcze nie było takie najgorsze, bo jak cię złapali z mężatką, to obcinali fiuta.

– To już gorzej nie mieć jajec – stwierdził chłopak z lakierni.

– Nieprawda! – zaprotestował Kos. – Bez jajec to masz spokój. Ale z uciętą pałą, człowieku...

– Makabra – oświadczył ponuro Voženil. – Ilu ja widziałem kumpli, jak się męczyli, chłopaki! Nawet się wybrandzlować nie mogli, bo go nie mieli.

Zapadło pełne grozy milczenie.

Po chwili ktoś spytał drżącym głosem:

– A robili im to chociaż w narkozie?

– Z byka spadłeś? – oburzył się zielony ludzik. – Na żywca. Ale higienicznie, żeby nikt nie wykorkował. Bo wtedy taka amputacja mijałaby się z celem.

– Podobno można dosztukować sztucznego – wtrącił się spawacz Filipec. – Słyszałem, że go przyszyli tej Koupkovej, jak z niej zrobili Koupka.

– Ona go miała, tylko karłowatego – pouczył go wszechwiedzący Voženil. – Jej tylko dawali zastrzyki, żeby bardziej urósł.

– Nieprawda. Podobno ma sztucznego. Miał tu prelekcję.

– A z czego jest ten sztuczny, ty słoniu! – warknął Malina.

– Myślę, że z gumy.

– I co, taki gumowy może ci stanąć?

– On już stoi, bo tak jest zrobiony.

– A jak z nim chodzi, baranie? Ze sterczącym?

– Może jest odpinany, jak proteza.

– To jest i tak gówno warte, chłopaki – stwierdził zielony człowieczek. – We fiucie najważniejsze są nerwy, żebyś mógł coś czuć. A tych się nie da sztucznie wyprodukować.

Znów się zamyśliliśmy nad straszliwym losem obdarzonych zbyt wielką potencją robotników przymusowych w Rzeszy.

– To jest mogiła, chłopaki – odezwał się znów Voženil. – Taki facet może sobie ulżyć tylko wtedy, jak już jest tak napalony, że mu sam z siebie wystrzeli.

– Ty ośle – skwitował Malina.

Vożenił jednak jeszcze nie skończył z koszmarami.

– W Hamburgu – ciągnął dalej – gestapo miało jeszcze gorszą metodę. Trzymali tam zakażoną kurwę i każdy złapany musiał się od niej zarazić. Potem tatuowali mu na czole wielkie „S”, że ma syfa, i doktorzy w całym Rajchu mieli zakaz go leczyć.

– Ty mrówko, kopnąć cię w jaja? Jeżeli je masz – komentował Malina.

– To jeszcze było w porządku – stwierdził chłopak z lakierni. – Syfa można po wojnie wyleczyć. Gorzej mieli ci, z tymi obciętymi...

– Tak, a to „S” na czole? – spytał Vożenił. – Która kobieta po wojnie będzie chciała dać takiemu naznaczone-nu?

– Tatuaż można usunąć – stwierdził Kos.

– Nie do końca – nie zgodził się zielony weteran. – A syfa też się nie da wyleczyć. Na koniec następuje rozkład ciała. Odpada ci pała, potem uszy...

– Pocałuj się w dupę, ty komarze! – protestował Malina. – Jesteś debil!

– Poza tym jest dziedziczny – ciągnął dalej niewzruszony Vożenił. – Znałem w poprawczaku takiego Oldę Masła, który nie miał nosa. Jego stary się przekręcił na syfa.

– To co miał, jak nie miał nosa?

– Tylko nozdrza – odparł. – To znaczy jedno. Pomiedzy oczami. No i biedaczek z tego powodu wykorkował, jak go zamknęli w celi wodnej.

– W czym?

– To była taka kara. W sumie dosyć łagodna – oświadczył Vożenił i zaczął opowiadać o wczesnych latach swego życia, jeszcze przed wojną. Wyszło na to, że również przed wojną świat Vożeniła to był jeden wielki koszmar.

– To jest pewne jak w banku! – oświadcza pan Pohorsky. Jest jakiś zmęczony, nerwowy, biedny. – Na zwykłej widokówce napisze się wiadomość, ale żeby brzmiała zagadkowo i podejrzanie. Na przykład: „Informację otrzymał goździk. M. załatwi sprawę. Czekaj na wiadomości”. Albo coś w tym stylu. Potem wyśle się widokówkę jakiemuś ważnemu komuniście. Jak to się powtórzy ze trzy, cztery razy, wzbudzi to podejrzenia ubeków i zaczną się nim interesować. A teraz obliczcie. Każdy emigrant zna przynajmniej dwóch takich komunistycznych kacyków. Jeśli nawet tylko połowa napisze... – pan Pohorsky prezentuje znany ciąg geometryczny i wychodzi mu, że do końca roku kalendarzowego upadnie w kraju około pięćdziesięciu tysięcy kacyków, a prócz tego tak się przeciąży aparat ubecki, że wszystko pieprznie.

Debilinka jest jednak bardziej sceptyczna.

– To nie będzie pracować – mówi. – Jak oni niczego nie znajdą za tymi postkartami i jak nie nastąpi żaden sabotaż, zorientują się, że to houx.

– Wprost przeciwnie, proszę pani! – w głosie byłego przedstawiciela przy ONZ-ecie słyhać żalną, gasnącą nadzieję. Ale jeszcze się trzyma. – Zupełnie im się popłacze w głowach! Zaczną się panicznie bać poczty! Najdalej za dwa lata Partia będzie rozłożona!

– To nie będzie pracować – upiera się Debilinka. – To już prędzej gdyby się dały majlować letrbomby.

– Co?

– Letrbomby. Takie małe bombki, które wejdą do enwelopy. Ja nie mam idei, jak je robią, ale piszą o tym w gazetach.

Drogi Daniel,

w pierwszych słowach mojego listu przyjmij serdeczne pozdrowienia często o tobie myślę. Ten list pisze ci z wycieczki kulturalnej do Niemieckiej Republiki Demokratycznej. Dali nam te wycieczke za darmo a jak tylko wrucimy do domu napisze o niej artykuł za który mi zapłacą pszynajmniej 80 koron. To będzie jusz muj tszydziesty siódmy artykuł: Jusz napisałem 36 artykułów i wszystkie mi wydrukowali a za każdy dostałem 70-100 koron zalerzy jaki dłógi. Fcale mi tam nawet nieskreślają tylko poprawiajom mi błendy po słowacku bo ja mam czeskie szkoły a tu jest tesz taka ortografja ale inna.

W Niemieckiej Republice Demokratycznej mi się bardzo podoba majom tu towary inne od naszych i mają tu prywatne sklepy gdzie właściciele są bardzo pszyjemni. Byliśmy tesz w Karmarks Sztat co dawniej była Jena i tu troche wspominałem dawne czasy. W Jena co teras jest Karmarks Sztat byłem kiedyś na robotach u pana majstra Radaca kiedy pana majstra Akrmiana w Oberszaran zabiła bomba to był bardzo pszyzwoity majster jedzenia u niego było dosyć i miał tylko jednom rękę dlatego go nie wzięli do wojska. I nosił tesz taki mundur ale jusz zapomniałem jaka to była organizacja ale nie byli to hitlerofcy. Pan majster Radac nie był faszysta ale był w tej organizacji co to zapomniałem jak się nazywała nosili bronzowe koszule i bryczesy ale nie było to NSDAP ani SS. Rękę stracił w pierwszych walkach ja myślę że majster Radac był anty faszysta bo to był całkiem pszyzwoity człowiek.

W Drezden byliśmy w pinako tece gdzie są wystawione dzieła starych malarzy i tesz wystawa Terorangrif en Drezden o nalocie amerykańskich imperialistów na Drezden gdzie zginęło ponat 200 000 niewinnych ludzi. Oprowadzał nas niemiecki towarzysz, który dokładnie nam opisał ten angrif bo był ftedy w Drezden jako rzołniesz w luftabwer a jego słowa nam tłumaczył towarzysz ze związku młodzieży. Ale ja nie poczebowałem tłumacza bo po niemiecku jeszcze dobrze

rozumiem. Ten towarzysz opowiadał jak mieszkańcy Drezden pragneli pokoju ale amerykańscy podżegacze wojenni wysłali wielkie siły samolotów i latających fortec i zrzucili na Drezden ponad 500 000 ton bomb rozrywających i zapalających. To była nielucka zbrodnia przeciw miłującemu pokój narodowi Niemieckiej Republiki Demokratycznej ze strony podżegaczy wojennych kturzy rospentali drugą wojnę światową a do tego czasu jeszcze inne wojny na pszyklat w Korei i we Wietnamie i pszećiw Egipcjowi w Izraelu. To są zbrodniaże pszećiwko luckości jak naocznie dowodzi wystawa *Terorangrif an Drezden*.

A jednak znajdują się ludzie kturzy ich bronią. Kiedy niemiecki towarzysz mówił o cierpieniu obywateli kżoży pragneli pokoju kżożego amerykańscy imperialiści nie chcieli im pszyznać to jeden człowiek dał mu w zemby bes żadnej prowokacji. Nie był z naszej spuździelni, tylko jakiś turysta z Austri ktury tam był z biurem podróży *Wesely – Ohrenstein* z Wiednia. Chyba to był jakiś żydek miał taki nos i gęste brwi i kszyczał że dobrze im tak było ludziom z Drezden musieli go tszymać i wyprowadzić bo miał atak chisteri. Nasz towarzysz kierownik muwił że to musiał być umysłowo hory bo tylko umysłowo horzy mogą bronić amerykańskich imperialistów zamiast niewinnego narodu NRD.

Muj bracha *Olda* jest teras zatrudniony w sekretariacie Spuździelni *Chodowcóf Małych Zwieżąt Chodowlanych* a jego żona *Liwinika* inżynierka tam jest tesz jako kierowniczka. Powodzi im się dobrze chociaz jusz nie mają prywatnej chodowli tylko spuździelczą. Ich curka *Yvone* studiuje na wyższej szkole i syn *Tom* tesz który jeszcze oprucz tego zdobył mistrzostwo kraju juniorów w szachy. Moja curka *Sulejka* ktura ma imię gruzińskie od tej ulubionej piosenki która się podobała mojej kobicie jak była wciārży wyuczyła sie za fryzierkę i dostała robote w *Bratysławie* w zakładzie fryzjerskim gdzie zarabia ponad 3000 koron na miesiąc pszeważnie na napiłkach. Jest bardzo lubiana wśrut eleganckich dam w *Braty-*

stawie bo zna się na różnych najmodniejszych uczesaniach umi tesz trfała na mokro i szarpaną i chodzą do niej na omalucje wszystkie warzne klientki tesz żona prokuratora generalnego i curka pierwszego sekretarza Komunistycznej Partii Słowacji. Bardzo jestem z niej dumny i tylko szkoda że ze żonom nie mieliśmy więcej takich dzieci chociaż chcieliśmy. No ale człowiek niemoże mieć wszystko.

Tesz w Niemieckiej Republice Demokratycznej odwiedziliśmy dawny obus koncentracyjny Buchenwald i to tesz było bardzo ciekawe zwłaszcza sala tortur gdzie więźniuw wieszali na haki. Tesz tam mieli taką miarę stojącą i więźniu kazali żeby stanął tyłem to go zmieją jak jest wysoki. Ale to było oszustfo bo w tej miarze był mały ofur pszes który wsadzali pistolet i strzelali więźniu w kregostup co się nazywało genykszus opowiadał ten niemiecki towarzysz. Teraz w Niemieckiej Republice Demokratycznej ten obóz nie jest czynny bo ten towarzysz muwił że w Niemieckiej Republice Demokratycznej jusz prawie niema pszeszstępców.

Jako stary kinoman byłem tu tesz w kinie i widziałem film Die Traktoristin który jednak mi sie nie podobał i nie był udany. Kiedyś w Niemieckiej Republice Demokratycznej robili lepsze filmy jak na pszykłał Der Grose Fritz albo Grubas Trenk z Hansem Albersem to były drogie filmy i było naco popatszyć. Ale film Die Traktoristin niebył drogi tylko aktorka jakataka ale prawie przes cały czas niebyła ładnie ubrana.

U nas w domu stale chodzimy z kobitą dwa razy natydzień do kina. Widzieliśmy Teresa to był bardzo udany kryminał i tesz Czarny Piotruś ale to było nudne a głuwna aktorka nie była jeszcze rozwinięta nie powinni takich pszyjmować do filmu. Jeszcze gorsze były Stokrotki gdzie jedna aktorka była dosyć ładna ale zato druga zupełnie straszna naprawde nie wiem po co pszyjmują takie potfory. I zrozumieć tesz nic nie było morzna bo to było głupie. Takie filmy powinni zakazywać bo ich ludzie pracy nierozumią. Piękny był film Wielka ziemia amerykański z G. Pekiem. Tesz mi się podobał Miłość

blądynki chociaż aktorkę znów wzięli nieładną no ale pokazali ją nago chociaż nie całą. Ciało miała ładne ale gęmba jakby roskfaszona. Pewnie ją wzięli dlatego że rzadna ładna by im się we filmie nierozebrała. Tęsz bardzo ładny był film Mieszkanie gdzie mieli gotowe obiady co się kupuje w sklepie i tylko odgrywa fpięciu ale to było w Ameryce.

Na koniec mojego listu pszyjmuj serdeczne pozdrowienia często o tobie myślę

Tfój pszyjacięŁojza

* * *

Moje audytorium ograniczyło się do wiernej Ireny, pilnie notującej Sharon i szykującego się wciąż do wyjścia Hakima, który jednak – jak się wydaje – opuści dziś wykład na temat tajemnic ludzkiej duszy w ujęciu marksistowsko-behawiorystycznym. Jego duszę opanowały mroczne siły, które zabawiły się z moim życiem; chyba tylko jego moja tendencyjna psychoanaliza *Jądra ciemności* naprawdę interesuje. Sharon to kujon, a Irena to po prostu Irena. Oczywiście Hakim odrzuci moje fantazje i uzna je za łatwą do obalenia bzdurę, ale kto wie; może wszystko, czego udaje nam się na tym świecie dokonać, to rozsiać kropelki trucizny. Przyjmowane kropla po kropli mogą się stać lekarstwem.

– Pod koniec powieści – mówię – postać pana Kurtza wyposażona zostaje w atrybuty konkretnej przyszłości. Będę się streszczał. Nie chcę wam przeszkadzać w znacznie pożyteczniejszym, pod względem naukowym, wykorzystaniu czasu w edenvaleskim kampusie. Przypatrzcie się jednak jeszcze rozmowie Marlowa z przedstawicielem Spółki po powrocie kapitana z Konga do Belgii. Przedstawiciel zażądał od Marlowa, aby wydał mu wszelkie zapiski Kurtza, ponieważ „Spółka ma prawo do każdej bez wyjątku informacji o swoich terytoriach”. A Marlow? „Zapewniłem go, że wiedza Kurtza, aczkol-

wiek rozległa, nie dotyczyła zagadnień handlu lub administracji. Wówczas wezwał na pomoc naukę. (...) Wręczyłem mu raport o *Tępieniu dzikich obyczajów* oddartszy przedtem postscriptum". A cóż było w tym oddartym postscriptum? Pomyślcie chwilę! Cóżby innego, jak nie szalony apel Kurtza: „Wytępić te wszystkie bestie!", owa szczególna puenta „nauki” Kurtza.

Sharon bez przerwy notuje, sekretarki z wydziału nauk humanistycznych skończyły *coffeebreak* i nieśpiesznie wracają do swych maszyn do pisania. W oczach Ireny widzę niezrozumienie. Jej jednak nie chodzi o to, aby pojąć Kurtza. Hakim marszczy brwi, ale zostaje, choć z książkami pod pachą. Kontynuuję swój wywód:

– Nieco dalej dziennikarz, który również przyszedł do Kurtza, aby się czegoś dowiedzieć, podkreślił, że „była w nim wiara, rozumie pan? Była w nim wiara”. Czy waszym zdaniem nie jest to ciekawe? Przedstawiciel Spółki odwołuje się do „nauki”, do naukowej wartości akt Kurtza, dziennikarz zaś podkreśla jego „wiarę”. Kurtz pracował nad dziełem naukowym o *Tępieniu dzikich obyczajów* i zakończył je wyznaniem wiary: „Wytępić te wszystkie bestie!” Tytuł pracy sugeruje raczej naukę dziewiętnastowieczną, apel w postscriptum jest głosem barbarzyńskiego demagoga czasów biblijnych i starożytnych „...zabijcie ich wszystkich, kobiety, dzieci i starców... *ceterum autem censeo...*”

Czy ja sam poważnie traktuję swoje delirium? Delirium Conrada? Bo przecież taka sztuka to delirium. Taki autor jest tylko rezonatorem wzmacniającym głosy mrocznych sił i krwawych doświadczeń. Sił, przeczuc, wizji, ponadracjonalnych sił sztuki...

– Przekładając to na trzeźwy język historii, można powiedzieć, że Marks poddał problemy społeczne badaniom naukowym; jego nauka nie jest we wszystkich szczegółach nieomylna, ale nie jest to żadną nauką.

W odróżnieniu od starych socjalistów, którzy opierali się na odczuciach społecznych i mówili o reformie społeczeństwa kierującego się nienaukowymi prawami dżungli, Marks przyjął prawa dżungli i na nich zbudował ideę rewolucji. Po nim Lenin i Stalin przemienili jego naukę w ideologię, to znaczy w fałszywą świadomość, to znaczy w wiarę, i doszli do Kurtzowskiej konkluzji: zlikwidować wszystkie bestie! To znaczy wszystkie, których nie można oświecić. Dlatego powołajmy się na pana Kurtza i uczcijmy go minutą ciszy. Kurtz, naukowiec obdarzony wiarą. Kurtz, reformator kończący jako wyznawca reformy absolutnej: zgładzenia niereformowalnych. Kurtz, niczym Lenin w swoim testamencie, mający w ostatnich minutach życia widzenie, któremu na imię Zgroza. *The Terror. The Terror*. Zgroza, której na imię Terror.

Milknę. Przekonałem samego siebie. W sensne popołudnie w kafejce wszystko to jest takie odległe. Sharon już osłabła, gapi się przed siebie i chyba nawet nie słucha. Irena myśli swoje. Hakim przeszywa mnie wzrokiem Nadii Jirouszkovej.

– To widzenie – mówię – powtarza się pod koniec książki o strasznym panu lasu, Kurtzu, gdy Marlow dzwoni do drzwi narzeczonej Kurtza: „...ujrzałem go na noszach, otwierającego usta żarłocznie, jakby chciał pożreć całą ziemię wraz z całą ludzkością (...) zdawał się patrzeć we mnie z błyszczącej mahoniowej tafli, patrzeć tym dalekosiężnym i wszechogarniającym wzrokiem, który obejmował, nienawidził, potępiał cały świat. Wydawało mi się, że słyszę, jak wykrzykuje szepetem: Zgroza! Zgroza!”

Milknę.

– To wszystko? – pyta Hakim. Sharon z głębokim westchnieniem zakręca wieczne pióro.

– Właściwie tak. Może jeszcze tylko to, że dziennikarz – żeby nie doszło do żadnej pomyłki co do praw-

dziwego sensu proroctwa Kurtza – mówi, iż „właściwą dziedziną Kurtza powinna była stać się polityka w zakresie popularnym” ... „Pociągał ludzi ku sobie tym, co w nich było najlepsze” – stwierdziła narzeczona Kurtza. A dziennikarz: „Byłby został wspaniałym przywódcą skrajnej partii. Ale jakiej partii?” – pyta, zgadnijcie dlaczego, Marlow. „Jakiegokolwiek – odpowiedział. – To był człowiek... człowiek... krańcowy”.

Hakim milczy.

– Myślę, że to dobrze koresponduje ze stworzoną przez Conrada charakterystyką prawdziwych rewolucjonistów. Idealistów. Ludzi, których przemoc przyciąga tym, co w nich jest najlepsze...

– Dlatego że dzikich obyczajów starego społeczeństwa samo społeczeństwo nie może zniszczyć inaczej niż dzięki przemocy! – krzyczy Hakim. – I jest to doświadczenie naukowe! Wiara to wierzyć, że można tego dokonać inaczej!

Teraz milczę ja. Długo. Sharon chce coś zanotować, ale nie wie co.

Hakim zabija mnie wzrokiem.

– Obyczajów w ogóle nie można wytępić – mówię cicho. – Nie istnieją w oderwaniu od ludzi. Wytępić można tylko ludzi.

Hakim traci panowanie nad sobą:

– Jeśli są to bestie z dżungli, to ja mówię: zgoda!

Jeśli są to bestie z dżungli...

Patrzę na swoją Nicole. Bóg wie, co myśli, inna niż my. Jak wiedział to Fitzgerald. Taka, jak ją stworzył nieistniejący Al Capone. Rozglądam się, przypominam sobie piosenkę, kiedyś, w pomieszczeniu obok, tę wątpliwą interpretację jednego małego zabójstwa, jednej małej zagłady... *dlaczego właśnie ja...*

Za panoramicznymi oknami rozciąga się przesmutna preria. W przedwiosennej mgle idzie po niej w stro-

nę jeziora Ontario wielki edenvaleski kruk. *Woron. Raven.* Manitou kiedyś tu się potknął, upadł i odcisnął swą dłoń w krajobrazie. W miejscu, którego dotknęła dłoń, powstało to wielkie jezioro, a pięć palców Manitou stworzyło pięć innych długich akwenów, noszących piękne nazwy: Canadaigua, Keuka, Seneca, Cayuga, Owasco...

Lovecraft

*These were days when my heart was volcanic
As the scoriac rivers that roll –
As the lavas that restlessly roll
Their sulphurous currents down Yaanek
In the ultimate climes of the pole –*

*Well I know, now, this dim lake of Auber –
This misty mid region of Weir –
Well I know, now, this dank tar of Auber...*

*...Ah, what demon has tempted me here?
Ulalume*

*Sen i my z jednych złożeni pierwiastków;
Żywot nasz krótki w sen jest owinięty...*

William Szekspir

przeł. Leon Ulrich

Lido, najdroższa moja cipeczko,

Dlaczego się nie odzywasz? Czy coś się stało? Nie mogę spać, nie mogę jeść ani pracować. Co się dzieje? Myślę o świetle księżycy, które oświetlało te białe, aksamitne pagórki... Ach Lido, nie mogę już dłużej czekać! Błagam, odezwij się!

Nie mogę myśleć o niczym innym, tylko o Tobie! Jedynie od czasu do czasu wytrąci mnie z tego jakaś polityczna arogancja, jak na przykład pan Sacharow. Podobno amerykańskiemu robotnikowi lepiej się powodzi niż rosyjskiemu. Amerykański może ma wyższą pensję i może nieustannie o nią

walczyć, ale ja przecież wiem, jak bezpieczny, spokojny jest robotnik u Was, jak się o niego troszczą. Kiedy wreszcie tacy panowie jak Sacharow zrozumieją, że to jest właśnie prawdziwa swoboda duchowa!

Odezwij się, Lido, i napisz, bo zwariuję!
Twój Booker

* * *

– Mogę?

– Możesz. – Nosek wpuszcza mnie do środka. Za chwilę wsunęła się za mną do składziku Nadia. Nosek ją przywitał: „Całuję rączki!”, a ona się zaczerwieniła. Potem on wyszedł i od zewnątrz zamknął nas na klucz. Chwyciłem Nadię i zaczęliśmy się całować.

– Dokąd poszedł? – spytała po chwili.

– Do kibla. Właśnie był tam nalot, więc teraz przez jakąś godzinę będzie spokój.

Zachichotała.

– Co wy tam robicie? Każdy z was tak długo tam siedzi!

– Gadamy.

– Ja wiem, opowiadacie sobie różne świństwa.

– Skąd wiesz?

– No bo wiem i już. A najwyżej jeszcze rozmawiacie o futbolu.

– Raczej nie. Bardziej o życiu.

– Co o życiu?

– Takie... rozważania filozoficzne.

Nadia się zamyśliła. Nosek celowo pokreślił okienko składziku różnymi wzorami matematycznymi, żeby nie można było zajrzeć do środka. Z drugiej strony majaczyły cienie ludzi ubranych w dresy i na nich jeszcze w fartuchy. Ogrzewanie nie działało i temperatura w hali oscylowała wokół zera. Zaczęliśmy ją nazywać Syberią. Nadia też rano przyszła w dresie, a na nim miała swoją szarą spódnicę. Rozśmieszyło mnie to.

– Nie śmiej się ze mnie – powiedziała urażona. – Mogłabym sobie przeziębic jajniki.

Zdumiałem się. Nigdy nie mówiła o wstydliwych sprawach. Mnie się jajniki wydawały bardzo wstydlive, ale jej zapewne nie.

– Przynajmniej mogłabyś się zerwać z roboty. Jako kobieta mogłabyś dobrze symulować zapalenie jajników.

– Ale ja chcę mieć dzieci. A jak się przeziębic jajniki, to czasem jest to już niemożliwe.

– Dzieci? A po co?

Popatrzyła na mnie, nie rozumiejąc.

– No... przecież każda kobieta chce mieć dzieci. Pan Bóg już tak to urządził. A ty nie chcesz?

– Ja nie lubię dzieci – odparłem z lekceważącym grymasem. – Jak są małe, to robią w majtki, potem zadają głupie pytania, potem są nieprzyjemne, a w końcu...

– Nieprawda! – prawie krzyknęła. – Są... śliczne i w ogóle! – Mówiła dalej stanowczym tonem. – Bez dzieci nie ma żadnego życia.

Miała marsową minę. Jeszcze nigdy do tej pory się nie pokłóciliśmy. Obok naszego pomieszczenia przesunęła się sylwetka Ballona, więc schowaliśmy się za wanną. Ballon kilkakrotnie nacisnął klamkę i odszedł. Opętał mnie diabeł prowokacji.

– Na przykład taki Ballon też był dzieckiem – szepnąłem.

Zachmurzyła się. Zwróciła w moją stronę pałające oczy.

– Dlaczego tak mówisz? Ty też byłeś dzieckiem! – powiedziała z wyrzutem.

– No, byłem. I też robiłem w majtki, też zadawałem głupie pytania i byłem nieprzyjemny.

– Nie byłeś. Dopóki byłeś dzieckiem, to nie byłeś. Dopiero teraz jesteś!

Wydawało mi się, że jej gorejące oczy zwilgotniały. Była taka inna. Inna niż ja. I taka sama jak wszystkie dziewczyny. Irena też marzyła o dzieciach. A Marie?

– To jest piękne dać życie – oświadczyła mi kiedyś.

– Tak, ale głupio, że każdy musi umrzeć.

– Tylko zanim umrze, to też ma przeważnie dzieci.

– I tak dalej – powiedziałem.

– I tak dalej – powtórzyła Marie, ale całkiem innym tonem.

– Jaki to ma sens?

– A jaki jest sens nie mieć dzieci?

– Przerwany zostanie jeden idiotyczny łańcuch porodów. – Krótco przedtem usiłowałem ją wyciągnąć do teatru. Odmówiła, a potem była tam z Koczandrlem. Dlatego byłem na nią wściekły i w tym tkwiło źródło mojej nihilistycznej filozofii. – To jest egoizm. Ty chcesz mieć dzieci, bo je lubisz. Po prostu dla własnej, czystej przyjemności. I jest ci obojętne, że kiedyś będą musiały umrzeć.

Marie wykrzywiła się do mnie w małym grymasie. Staliśmy na korytarzu przy oknie, na dole na boisku jakiś debile grali w piłkę i właśnie rozległ się dzwonek na koniec przerwy.

– Boże, ale ty jesteś filozof, Daniczku. Co masz z propedeutyki? Dwóję?

– Już dawno nie mam propedeutyki. I nie rozumiem, dlaczego miałbym mieć...

– Ty nie lubisz grać na saksofonie?

– A co to ma z tym?...

– No, że na przykład moje dzieci może też będą lubiły grać na saksofonie. Albo że będą wciąż się chciały z kimś umawiać na randkę...

– Jeśli z kimś takim jak ty...

– Z kimś takim jak ty na przykład. I nie jest to egoistyczne z twojej strony, że chcesz im to uniemożliwić?

– Poczekaj, Mania! Kto chce komuś czegoś odmawiać?

– Ja muszę lecieć! Będę pytana z chemii!

Odwróciła się i pobiegła za swoją klasą, która właśnie zniknęła w drzwiach pracowni chemicznej.

Ja jestem filozof!

– Daniel – odezwała się Nadia po chwili ponurego milczenia. – A co to jest filozofia?

– To jest... o sensie życia i tak w ogóle... – żadna lepsza definicja nie przyszła mi do głowy, bo jednak nie byłem naukowcem.

– Jak... religia?

– Coś w tym stylu.

– I wy o tym rozmawiacie w toalecie?

– No a gdzie indziej? W fabryce w innym miejscu nie da się rozmawiać.

– Ale w kiblu?

– A o czym wy rozmawiacie w kiblu?

Nadia zaczerwieniła się.

– No, nie o filozofii. Ani o religii.

– O facetach, prawda?

Spuściła pałający wzrok.

– Czasem... też. Ale głównie o codziennych sprawach... o dzieciach...

– Prowadzicie świńskie rozmowy!

– Ja nie – zaprzeczyła Nadia. – To ty prowadzisz.

– Ja też nie. Nie za bardzo. Raczej słucham.

– Przecież jesteś wykształcony. I grzeczny.

– Grzeczny jestem. Ale wykształcony?...

– Masz gimnazjum!

Za okienkiem rozległa się palba młotów pneumatycznych. Wystrzeliły obłoki pary jak z ust. Raczej z wielkich gąb młotów.

– Ja ich słucham z powodu moich naukowych zainteresowań – powiedziałem. – Przepisuję też sobie świńskie napisy.

– To nieprawda! – oburzyła się Nadia. A diabeł znów mi szeptał:

– W damskim kiblu też są świńskie napisy?

– Ja nie wiem.

– Kłamiesz, Nadienka! – atakowałem ją dalej. – A to grzech!

Zaczerwieniła się jeszcze mocniej.

– Chodź, nie mówimy już o tym, co, Daniel!

– Ale czytasz je, prawda?

– Nie zamęczaj mnie!

– Czytasz, a udajesz, że nie czytasz!

– Ja z tobą nie rozmawiam – wstała i ruszyła w stronę drzwi. Te jednak oczywiście były zamknięte od zewnątrz. Została więc przy drzwiach, odwrócona do mnie tyłem. W ciemnoniebieskim dresie, który wypełniał jej spódnicę, wyglądała na babę przy kości. Ale nie, nie była taka jak pozostałe dziewczyny. Jak te, które znałem. Była inna. Nie rozumiałem jej. Pojąłem tylko, że o niektórych sprawach nie da się z nią rozmawiać. Z innymi dziewczynami można było rozmawiać właściwie o wszystkim, jeśli tylko człowiek potrafił odpowiednio dobrać słowa. Dla Nadii jednak słowa nie były istotne. W wypełnionej spódnicy wyglądała wręcz na pulchną panienkę.

– Ty się gniewasz, Nadiu?

– Gniewam.

A przecież się tu przed chwilą ze mną całowała i ma swojego Frantę. Jaka w tym jest logika?

Byłem młody i głupi. Żadna, pomyślałem.

– Ale nie za bardzo – drążyłem dalej.

– Bardzo.

– Dlaczego?

– Bo brzydko do mnie mówisz!

– Ja? Brzydko?

– Myślisz o mnie brzydkie rzeczy. I kto wie, czy w kiblu takich rzeczy o mnie nie opowiadasz.

– Nadiu, skąd! Przysięgam, że nie!

Podszedłem do niej i objąłem ją wokół ramion, kościstych, ukrytych pod dressem.

– Naprawdę nie?

– Naprawdę! Przysięgam!

Otarła łzy. Pogłaskałem ją po gorącym policzku, a potem pocałowałem w wilgotne usta.

– Ja o tych sprawach nigdy z nikim nie rozmawiam. Jedynie w domu z Kwieta. Ale to jest moja najlepsza przyjaciółka i ona nikomu nie wygada.

– Mówisz jej o mnie?

Spuściła wzrok.

– Muszę, Daniel. Bo ja cię kocham. Ale mówię tylko przyjemne rzeczy. Ja zresztą nie potrafiłabym o tobie powiedzieć nic brzydkiego, Daniel.

– Ja o tobie też nie, Nadiu. Ale nie rozmawiam o tobie nawet z najlepszymi kolegami.

Mówiłem prawdę. Kłamałem.

Z zewnątrz Nosek zaczął chrząścić kluczami w drzwiach. Gorące policzki Nadii znów się zarumieniły. Odskokyliśmy od siebie. Wszedł Nosek.

– Bardzo przepraszam – powiedział. – Przyszedł Eisler i wygonił nas na mróz. Przykro mi...

Czerwona jak burak Nadia wybiegła z komórki. Ja jeszcze chwilę zostałem z Noskiem.

– Chuda, ale w sumie ładna, człowieku – stwierdził ze znawstwem. – Ma wspaniałe usta.

– W ogóle to wspaniała dziewczyna.

– Dziewczę z ludu – powiedział ironicznie. – Robi to dobrze?

Mrugnąłem do niego porozumiewawczo.

– Nadia wszystko robi dobrze – odparłem. – W porównaniu z nią jestem zupełny lebiega.

Byłem jednak filozofem. Co prawda rzadko. Ale z Nadią...

– Jes, jes, aj si – mówił Milan do telefonu. Siedziała znów w jego urządzonym w pełni *bachelor apartment*, kolorowy telewizor patrzył na nią lśniącym, kataraktycznym okiem, pod odtwarzaczem stereo kupka płyt w mocno podniszczonych okładkach, a w złotej ramie blouap Suzi Kajetanowej. Opowiadała mi tego popołudnia, kiedy Milan odłożył słuchawkę:

– Odleciał na Gwadelupę i będzie tam podobno przynajmniej miesiąc. – Cierpko się uśmiechnęła i kiwnęła głową, a płowe włosy zasłoniły jej twarz. Zgarnęła je za uszy. Siedziała na kanapie w lśniących *pantihose* i trącała stopą swój but. – Więc Gwadelupa – powiedziała. – No tak, czyli znów zamyka się rozdział w życiu poszukiwaczki przygód Veroniki Prstovej.

Milan sięgnął po szklaneczkę i brzęknął nią na pocieszenie. Napił się. Był na dnie, powiedziała mi później Veronika. Ja o tym wiedziałam. Ale też byłam na dnie. I nienawidzę takich sytuacji, kiedy dwoje ludzi zbliża do siebie tylko to, że dostali po pysku.

– Ty go kochasz? – spytałem.

– No – odparła. A potem dodała: – Mam taki sen piosenkarki. Kapela zaczyna w jednej tonacji, a ja się włączam, ale jestem obok. Więc chłopaki zmieniają tonację, ale ja wciąż nie trafiam. I jeszcze raz, i jeszcze raz to samo. Nie jestem w stanie trafić w dobrą tonację. Budzę się zawsze potem zupełnie spocona. – Zwiesiła głowę i włosy znów jej opadły na czoło. Odgarnęła je za uszy. – I tak to jest. Jedno drugiemu nie może trafić w tonację. Ja z nim nie mogę być. W końcu bym od tego zwariowała – stwierdziła i spojrzała na mnie. – On jest jak ten kraj. Piękny, ale w sumie można by zwariować.

Nie traktowałem tego poważnie. Tryb przypuszczający nic mi nie mówił.

– Zejdzie ci z oczu i wszystko minie – odparłem. – Jesteś jeszcze młodziutka.

– Też tak myślę – powiedziała. – Wiziwizi... Daj się napić, bo ci tu oszaleję...

– ...w życiu tej pieprzonej poszukiwaczki przygód Veroniki Prstovej – powtórzyła.

– Może istniałaby inna możliwość... – odezwał się Milan. – ...żebyś zaczęła inny rozdział? Na przykład ze mną?

Veronika spojrzała na emigranta z biura podróży Čedok. Znacząco uniosła kącik ust i popatrzyła szarymi oczami w stronę ramy ze sztucznego złota.

– Mogę to zdjąć – stwierdził. – Noł problem.

– Jestem pod nią?

– Szur. Chcesz zobaczyć?

Kiwnęła głową, kącik ust ciągle w ironicznym grymasie. Milan ochoczo wstał i zerwał portret Suzi Kajetanovej. Pod nim pojawiły się mocno powiększone, smutne oczy Veroniki. Wstała, stanęła przed własnym megaportretem i wpatrzyła się w niego. Milan, już nieźle pijany, wpił wzrok w jej szczupłe nogi w lśniących *pan-ties*. Zdjęła buty i pod przezroczystym stylonem widział jej drobne palce. Paznokcie pomalowała na srebrnoszary kolor swego smutku. Miała czarną, jedwabną midi i białą bluzę w czarne orchidee. Jeszcze nigdy nie widział jej tak pięknej. Coś mu przypominała. Ogarnął go smutek.

Schowała ręce w długich rękawach za plecy i wciąż wpatrywała się w swój portret.

– Wiesz, Milan – odezwała się po długiej chwili – ktoś gdzieś kiedyś powiedział, że lepiej być pierwszą w Lovosicach niż drugą w Pradze.

– To mogła być ta mała Kajetanova. – Oblał się whisky. Dziewczyna spojrzała na niego z wyrzutem i pokręciła głową.

– A ty znowu jesteś nawalony jak armata, Milan. Kiedy ja cię po raz ostatni widziałam trzeźwego?

– Pewnie w kraju... wydaje mi się – mruknął. – W Pradze.

Wyszedł z pustą szklaneczką do kiczeny. Ruszyła za nim. Miał tam nowy, wielki sprzęt. *Deep freezer* ze specjalnym urządzeniem na drzwiczkach. Żeby wziąć sobie lodu, nie trzeba nawet otwierać lodówki. Wystarczy, że spragniony człowiek podstawia swą szklaneczkę pod chromowany kranik, naciśnie wajchę, a frizjer wypływa dwie zmrożone kostki wprost do szklaneczki – piękne i regularne, jakby ze szkła.

– Jak tu ma człowiek być trzeźwy – powiedział Milan – skoro ma w domu ten wysrywacz lodu.

– Jak? Nie nalewać sobie żadnego wiskacza – odparła Nika. – Ssij tylko te kostki. To cię odświeży i sprowadzi myśli na przyjemniejsze tematy. I wyrażaj się przyzwyczajenie w obecności kobiet. Albo przynajmniej po angielsku.

Natychmiast jej usłuchał. Z akcentem z kursów językowych dla emigrantów stwierdził:

– *How can I stay sober with this dammed iceshitter in the kitchen.*

– *Don't add any scotch* – oświadczyła dziewczyna. – *Just chew, chew your ice cubes.*

Wróciła do salonu i znów usiadła na kanapie. Milan chwycił butelkę i utopił kostki lodu w złotej niagarze. Od strony kanapy usłyszał drogi, lekko rozpaczliwy głos Veroniki:

– *On second thought... I could use some of that stuff, too. You've never seen me drunk anyway.*

Uniósł ogromną butelkę Johnny Walkera i zatoczył się w stronę kanapy. Dziewczyna nadstawiła szklaneczkę, ale żółta niagara, wylatując z butelki, trafiła wprost w jej stylonowe kolano.

– *Watch out!* – krzyknęła. – Będę śmierdziała jak jakieś łajno.

Milan ciężko się odwrócił i postawił butlę na brzegu komody. Ona wyciągnęła rękę i odsunęła ją dalej od brzegu. Milan na to patrzył, a potem gwałtownie przemówił:

– Niko... ty mną będziesz gardzić, ale już jestem zdecydowany. Ja to zrobię. Nie jestem żaden polityk. Ani jakiś pisarz. Ja chcę tylko żyć! A żeby żyć, potrzebuję Pragi! Ja już się przekonałem, Niko. Dajcie mi Pragę, a...

– Pewnego razu... też byłeś nawalony. Pamiętasz, co krzyczałeś? Że mają ci dać, ale nie Pragę. Krzyczałeś coś o wolności...

– Rajt – przytaknął, a w jego pijackim wzroku pojawiło się zdziwienie. – Ale jak to jest, Niko? Mam wolność, a wydaje mi się, że... właściwie nie ma dla mnie żadnej wartości... Ja... Ty pewnie myślisz, że jestem debil albo co...

Veronika wypięła głębokiy łyk i nacisnęła pilota. Kolorowa dama na ekranie zaczęła się zwierzać innej kolorowej damie, że ma zatwardzenie. Sądząc z jej wyrazu twarzy, bardzo cierpiała.

– My pewnie potrzebujemy i tego, i tego – odparła Veronika. – I Pragi, i wolności. Ale wygląda na to, że obu rzeczy naraz mieć nie możemy. Wydaje się, że to po prostu jest albo-albo...

Milan zadzwonił szklaneczką i oblał się. Przysiadł się do dziewczyny, a ta mu położyła rękę na piersi, lecz on nie miał żadnych złych zamiarów. Położył swoją rękę obok i wychrypiął:

– Ale czy ty nie myślisz... czy ta Praga nie jest... jakoś tutaj... głębiej...

Nika w charakterystyczny dla siebie sposób uniosła kącik ust.

– Jeśli masz na myśli serce, kolego, to jest ono kawałek wyżej i po lewej stronie. Tutaj masz woreczek żółciowy.

Szturchnęła go palcem w żołądek i wstała. Obrazony chwycił butelkę i oblał kanapę.

– Z ciebie się... w Kanadzie zrobił... gul, gul... taki cynik ... Ja mówię... gul, gul... poważnie...

– Ja też, Milanku, gul, gul...

– I wiesz, myślę, że to wszystko jest naprawdę... okropne – opowiadała mi potem.

* * *

Drogi Danny,

Coś mi się wydaje, że dokonaliśmy niezłej roszady. Ja już prawie od dwóch miesięcy jestem w Kostelcu, a Ty w Kanadzie. Tego byśmy nie wymyślili, nawet gdybyśmy chcieli! Ja się zastanawiałem, czy mam się na to zdecydować, czy nie, ale byliśmy już na Oceanie Atlantyckim, płynęliśmy wokół Afryki, u siebie już wszystko sprzedałem – dom i całe wyposażenie – więc pomyślałem sobie: niech już się dzieje, co się ma dzieć. Brałem też pod uwagę to, że jestem British subject, a skoro Ty napisałeś, że ta adwokat Ci mówiła, że akta zaginęły, a po dwudziestu latach wszystko i tak jest już przedawnione, więc się nie wycofałem. Oczywiście mama strasznie się ucieszyła, bo nie widziała mnie dwadzieścia lat. Już jest biedaczka dość stara i przygięta do ziemi; ciągle płakała, że tata tego nie doczekał. Mieszkam z mamą – zostawili jej pokój z kuchnią, a w drugim pokoju jest dokwaterowana lokatorka. Ten mój stary pokój po mojej ucieczce musieli oddać i też tam jest lokator. On tam przez cały czas mieszka ze swoją żoną i dzieckiem. Z mieszkaniem jest tu stale problem, więc pod tym względem niewiele się zmieniło. Pracę znalazłem od razu, w odlewni, ale nie w Kostelcu, tylko codziennie muszę dojeżdżać do Rounova. Na początku to wstawianie dało mi popalić – wiesz, w Australii od szóstej pracują tylko farmerzy – ale w końcu się przyzwyczaiłem. Jak na tutejsze

warunki, to zarabiam przyzwoicie, a doktora mam za darmo. Co prawda myślałem, że dam sobie zrobić lepsze dentures, skoro to za darmo, ale dentures nawet tu nie są za darmo, więc zostawiłem sobie stare, z Australii.

No i powiem ci, że po dwudziestu latach znowu móc pić pilzneńskie piwo prosto z beczki – to jest naprawdę wielkie przeżycie. Albo oglądać telewizji, w której mówią do ciebie po czesku. Ale jak to powiedziałem Bendzie, to on na mnie nawrzeszczał, żebym zaczął słuchać, co tam do mnie mówią po czesku. Teraz już rozumiem. Benda wygląda wciąż tak samo, tylko przybrał na wadze. Też jest kawalerem, jak ja, ale on dlatego, że jest lewy w sprawach dziewczyn – nie jak ja, co miałem w Australii do dyspozycji wyłącznie Japonki czy Włoszki albo inne barachło. Rozmawiałem też z Vaharzem, który przyjechał do mnie zobaczyć, jak mi się powodzi. Jest z niego burzuj, waży ze 100 kilo i ma brzuch taki, jak ten Twój kolega, co mieli aptekę. Tamten jest teraz jakimś oficerem, podobno w orkiestrze wojskowej. Z Twoich kolegów z kapeli już w Kostelcu nie ma żadnego, tylko ten malarz Rostia. Jest żonaty, też go zamknęli, ale już dawno odsiedział; ma piękną żonkę, która sprzedaje w galanterii, i syna, który wygląda kropla w kroplę jak on. Pracował w kopalni, ale wzięli go do Partii, więc znów uczy. I ciągle jest pies na baby; niedawno miał jakąś aferę w szkole, w której uczy rysować, że uczennice mu pozowały nago i rodzice przyszli się poskarżyć. Ale jakoś to się rozeszło po kościach, bo jest w tej Partii. Tych dziewczyn, za którymi się tu uganiałeś, też już poważnie nie ma w Kostelcu, jedynie Marie Dreslerova, która wyszła za Koczandrlego z rady narodowej. Mają córkę, która w tym roku skończyła dziewiętnaście lat, i muszę Ci powiedzieć, stary przyjacielu, że jest warta grzechu. Ma na imię Dana. Rozmawiałem też z jej matką, której praktycznie nie znałem, jak byliśmy młodzi, bo była gimnazjalistką. Ale pomyślałem sobie, co tam, skoro już jestem stary dziad, więc ją zaczepiłem. Była całkiem przyjemna i rozmawialiśmy prze-

ważnie o Tobie. Mam wrażenie, Danny, że stara miłość nie rdzewieje... Zrobiłeś głupstwo, że się z nią nie ożeniłeś. Takiej baby próżno szukać, a już na pewno nie w jakimś kangurzym kraju. I co ona z tym Koczandrlem? On tylko ciągle pije piwo Pod Beranem i rżnie w karty, a kałdun ma prawie jak Vaharz. A ona jest wciąż elegancka babka, więc kupiłem jej w Hradcu taką apaszkę z Murzynami, import z Włoch. Potem zobaczyłem, że ją dała tej Danie, ale trudno, jej też pasuje.

Poza tym chodziłem wszędzie tam, gdzie chadzaliśmy jako chłopaki. Byłem popatrzeć na fabrykę Hyczmana, w której jest teraz wytwórnia zabawek. I w Bilovsi po wodę mineralną dla mamy, i na Czernej Horze w tej starej chałupie, w której się schowałeś. Poszedłem również na grób taty, a jak już byłem na cmentarzu, to zacząłem się rozglądać, kto przez ten czas umarł. Nie wiem, czy wiesz, że nie żyje już Ponykl, który podobno dostał raka. Ani Nejezchleba, z którym podtaczałeś beczki w fabryce meserszmita – podobno siedział długo w pierdłu i tam zmarł na serce. Znalazłem też grób tej panienki z Czernej Hory, z którą wtedy kręciłeś – Nadii Melicharovej. Jest pochowana zaraz obok pomnika Ofiar Faszyzmu. Podobno tak chciała, bo jej ojca zamęczyli Niemcy. Jak tak chodziłem po tym cmentarzu, to miałem wrażenie, że jestem jak Matuzalem, bo tylu znajomych ludzi umarło. Więc poszedłem Pod Berana, a tam siedział Leneczek, taki golibroda, i tak się schlaliśmy, że następnego dnia ledwo zdążyłem na pociąg do roboty.

Tak, przyjacielu, szkoda, że Cię tu nie ma. Byłoby weselej. Tylko że ja nie upadłem na głowę i mam oczy otwarte. Robotnicy mają tu dosyć dobrze, ale Ty byś nie miał wielkich szans. Jak jest w Kanadzie? Znalazłaby się tam jakaś robota? Nie jest wykluczone, że kiedyś mógłbym Cię tam odwiedzić, bo jestem brytyjskim subjectem i mam brytyjski passport, więc mam lepszą sytuację od innych.

Rozmawiałem też ze Zdeną Pasztialkovą, która teraz się nazywa Rykrova, bo wyszła za młodego Rykra, z tych, co mie-

li konfekcję. Teraz oboje pracują u Mautnerów przy krosnach. Ona jest moją kuzynką i opowiadała mi o tym, jak do Kostelca przyjechał generał Jablonkovsky, kiedy była dwudziesta rocznica wyzwolenia. Na pewno będziesz go pamiętał – taki mały, rudy i dziesiątego maja, jak przemawiał na trybunie, to strzelał do niego Kurt Schnobel. I też będziesz pamiętać, jak mu taka mała dziewczynka recytowała wierszyk. Ty ją potem nazywałeś „latająca dziewczynka”, bo generał parę razy ją unosił w górę wraz z bukietem kwiatów. Potem oni zamknęli stryja – jej ojca – bo był sekretarzem w partii ludowej, a ciotkę też, bo mu rzekomo pomagała. Stryj tam umarł, a ciotka siedziała 15 lat, więc jak była ta 20. rocznica, to ona jeszcze ciągle była w więzieniu. A ten generał, jak przyjechał do Kostelca, to nikogo nie pamiętał. Zresztą oni pozamykali wielu ludzi i część z nich już nie żyła – jak na przykład były pan starosta Prudivy, który też umarł w więzieniu. W sumie z tamtych czasów widać jeszcze tylko Pytlika, ale też nie za bardzo, bo po sześćdziesiątym ósmym został podobno gdzieś ambasadorem. Więc generał pamiętał jedynie tę „latającą dziewczynkę” i koniecznie chciał ją zobaczyć. No a im było głupio, bo z powodu ojca Zdenka nie dostała się do żadnej szkoły i pracowała w farbiarni. Ale generał się uparł, więc musieli mu ją przyprowadzić i ten stary cap się w niej zakochał. Przez całe 14 dni, jak był w Kostelcu, nie chciał się od niej oderwać, więc musieli jej dać wolne w fabryce, żeby wszędzie z nim chodziła, zwłaszcza na te wyżerki w komitecie Partii. Najciekawsze, że generałowa też się w niej zakochała, a jak się dowiedzieli, że jest sierotą, to spytali, czy nie zgodziłyby się, żeby ją adoptowali i żeby pojechała z nimi do Moskwy. A powiedziała, że jest sierotą, bo tak jej kazali w sekretariacie Partii i nie chcieli, żeby prawda się wydała. Generałowa twierdziła, że jest toczka w toczkę jak ich córka Marusia, która zginęła w czasie wojny, i dlatego wcale nie była zazdrosna o Zdenę. W końcu tak się upierali i nie dali się przekonać, że w radzie narodowej podpisali papiery o jakiejś

„adopcji na odległość”, więc Zdena miała de facto trójkę żyjących rodziców. Oczywiście zaprosili ją do Moskwy, ale jak chciała tam naprawdę jechać, bo jeszcze nigdy nie była za granicą, to w sekretariacie Partii tak zachachmęcili, żeby nie dostała wizy i mogła sobie jechać najwyżej do Rounova. Potem wyszła za mąż; to całkiem ładna dziewczyna, ma takie duże oczy. Generał i tak wkrótce umarł, ciotkę puścili, ale też już, biedaczka, nie żyje, bo w więzieniu dostała wylewu. Zdenka ma dwoje dzieci, obu chłopaków, i jest szczęśliwa.

Jakoś się okropnie rozписаłem, ale wiesz, Danny, tutaj się strasznie dużo dzieje, nie jak w Australii, gdzie było martwo. Napisz mi, jak jest w Kanadzie. Może tam kiedyś do Ciebie wpadnę, bo przecież to straszna bzdura, żeśmy zrobili taką roszadę przez całą kulę ziemską.

Na koniec serdecznie Cię pozdrawiam

Twój stary kumpel

Przema

* * *

Tracę nerwy. Nie powinienem, ale tracę. Widzę na czerwono. Widzę krew. Ale nie swoją.

– Sugar! – krzyczę. – Sugar, *darling!* Więc ty się z tym zgadzasz? Z tym?! – I czytam biuletyn kanadyjskiego Oxfamu – organizacji, która według *blurbu* walczy z „głodem, biedą, niesprawiedliwością i nierównością w świecie”. Czytam: „Angola postawiła Oxfam twarzą w twarz z nowym problemem, ponieważ w tym kraju istniało kilka rywalizujących ze sobą ruchów wyzwoleniczych, które walczyły zarówno ze sobą, jak i przeciw Portugalczykom. Po dokładnym zbadaniu sytuacji kierownictwo Oxfamu zdecydowało jednak, że należy popierać MPLA – ruch, który pod względem liczebnym jest co prawda zdecydowanie najmniejszy, ale jako jedyny posiada poważną bazę ogólnonarodową, która nie jest związana z żadną z grup plemiennych. Wydarzenia, do których

doszło w trakcie walk wybuchłych po ogłoszeniu niepodległości, potwierdziły słuszość tej diagnozy”.

– A czy tak nie jest? – pyta zaczepnie Sugar. – Przecież Savimbi reprezentuje wyłącznie swoje plemię. Podobnie jak Holden Roberto.

– A te dwa plemiona razem wzięte stanowią jaki procent mieszkańców Angoli, Sugar?

Chociaż Sugar właściwie założyła kółko marksistowskie, to jednak nie zna odpowiedzi. Jest zbyt prosta na marksizm. Zwracam się w stronę przewodniczącego, bo ten jako *primus inter pares* z pewnością odpowie. Obdarza mnie uśmiechem, jaki starzy Brytyjczycy mieli zarezerwowany dla *dirty foreigners*.

– Zwróci pan zapewne jeszcze uwagę na obecność jednostek kubańskich – zaczyna swoje przemówienie, które znam z góry, i to na pamięć. Jest w nim zawsze ta sama, niezmienna mądrość, a obecnie, dzięki doskonałemu uzbrojeniu kubańskich wojsk, także nieomylna. – Jednak w życiu społecznym zdarzają się przypadki, że nawet liczebnie niewielka mniejszość ma rację. W takiej sytuacji ideowo spokrewnione mocarstwa mają nie tylko prawo, ale wręcz obowiązek interweniować, by pomóc tej mniejszości, bo w przeciwnym razie sprawiedliwość społeczna musiałaby przegrać. Zresztą starzy imperialiści zawsze tak robili...

– Pomagali sprawiedliwości społecznej?

Nienawistnie błyska na mnie okiem.

– Proszę mnie nie łapać za słowa. Oczywiście nie. Ale ci, którzy dziś mają rację, używają ich starych metod do walki z nimi samymi.

– W Angoli, o ile wiem, są już dziś tylko krajowcy. Jeśli się nie mylę, to imperialiści się stamtąd wycofali.

Freddy Cohen, którego fajka wprowadza w *common room* atmosferę spokoju i odprężenia, odzywa się nerwowo:

– Wydaje się, Bill, że MPLA jest naprawdę w ogromnej mniejszości. Nie chcę przez to powiedzieć, że postulaty mniejszości należy ignorować. Ale narzucać je większości, i do tego przy pomocy obcego wojska... przecież właśnie coś takiego potępialiśmy w Wietnamie...

Biedny Freddy, nieuleczalny Amerykanin. Kanadyjski Brytyjczyk ma za sobą o jedną rewolucję więcej. Ja o dwie. Brytyjczyk wypowiada się z wyższością, bo jest to odpowiedni ton dla tych, którzy są tylko o jedną rewolucję dalej, i w dodatku jedynie teoretycznie:

– MPLA to jedyna grupa głosząca inną ideologię niż plemienna. Savimbi i Roberto to po prostu ludzie przeszłości. Subiektywnie być może przyzwoici. Jednak obiektywnie dążą do utrzymania obyczajów plemiennych, które uniemożliwiają Angolczykom stworzenie jednolitego narodu angolskiego.

Patrzę na tego pana. Może ma rację. Choć nie sądzę. Ale nawet gdyby miał, to jego racja śmierdzi dziwnym kłamstwem. Skądś to znam. Oczywiście wiem skąd. Jeśli istnieje jakaś ponadnarodowa i ponadklasowa międzynarodówka, przychodzi mi nagle do głowy, to jest to międzynarodówka takich panów. Może i mają jakąś obiektywną rację. Ale gdyby miał żyć pod panowaniem ich racji, we władzy ich *menmasherów* i wychowawców, to już raczej wolałbym przejść na stronę plemiennego ludożercy Savimbiego z jego rozpłaszczonym nosem, żabimi oczkami i wargami jak krupnioki.

Przewodniczący kółka przygląda sobie starobrytyjski wąsik i zwięciskim wzrokiem patrzy na biednego Cohena.

– Mogę wam jeszcze coś przeczytać? – pytam z dużą dozą jadu i nie czekając na zgodę najrówniejszego spośród równych, odczytuję z tego samego biuletynu Oxfamu petycję przedłożoną do podpisu wszystkim prenumeratorom: „Do Jego Ekscelencji, Szanownego

Pana Jules'a Légera, Generalnego Gubernatora Kanadyjskiego Dominium. Mając świadomość fiaska polityki rządu kanadyjskiego, zmierzającej do zastąpienia tradycyjnych kultur rdzennych narodów Kanady dominującą kulturą społeczeństwa kanadyjskiego, apelujemy do rządu Kanady, aby uznał naród Dene (indiański i metyski) za jedyne go właściciela tradycyjnych ziem Dene wraz z ich bogactwami naturalnymi i odsunął w czasie realizację projektów, które przewidują wykorzystanie tradycyjnych ziem Dene (łącznie z rurociągiem naftowym w McKenzie Valley) do czasu uznania praw tradycyjnych”.

Brytyczyk siedzi nieporuszony.

– Tradycyjne prawa narodu Dene mają więc zostać uznane. Zgadzam się, bo trudno z tym dyskutować – mówię. – Natomiast plemię Jonasa Savimbiego – nazywa pan to plemieniem, nieprawda? W końcu jest tylko sto razy liczniejsze niż naród Dene – więc to plemię ma się zrzec swych tradycyjnych praw na rzecz przyniesionego zza oceanu oświecenia.

Billa Hogartha jednak nie sposób zbić z pantałyku. Wie wszystko, jak każdy z tych, co wciąż wiedzą dość mało.

– Jakościowo jest to naturalnie coś zupełnie innego – mówi z flegmą prawdziwego Anglika. – Społeczeństwo kanadyjskie zniszczyło tradycyjną kulturę narodu Dene z chęci zysku. Natomiast zwycięstwo MPLA zapewni również plemionom Savimbiego i Roberta zachowanie narodowych, czy jak pan chce: plemiennych, zwyczajów. Zniszczy jedynie plemienne wrogości. Będzie to kultura narodowa w formie i internacjonalistyczna pod...

– Czy rząd Ameryki nie zniszczył przypadkiem tradycyjnej wrogości wśród plemion indiańskich?

Gdyby nie był Brytyjczykiem, zaczęłyby pewnie krzyczeć. Ale jest.

– Tak. Metodą krwawych wojen.

– Nie wydaje mi się, żeby katusze i czołgi T-54 różniły się jakościowo od winchesterów teksańskiej gwardii konnej. Są tylko nieporównywalnie bardziej skuteczne i dzieje się to sto lat później.

– Udział Kubańczyków i ich broni stanowi jedynie dowód...

– Dopóki nie pojawili się Kubańczycy i ich broń, wydawało się, że doktor Neto i jego ponadnarodowi apostołowie dostaną porządny wycisk.

Zaczynam widzieć wszystko na czerwono. Brytyjczyka też najwyraźniej opuszcza olimpijski spokój.

– Właśnie dlatego musiała się pojawić pomoc międzynarodowa. Kubańscy żołnierze są idealistami...

– Drogi kolego! Mówiąc ściśle, kubańscy żołnierze to tylko forma spłaty długu Sowiетom. Pan Castro płaci tym, co tradycyjnie nazywamy mięsem armatnim! – krzyczę.

Brytyjczyk czerwienieje, a ja się cieszę.

– Niech pan nie obraża żołnierzy *territorio libre!* – wrzeszczy Brytyjczyk.

– Niech pan nie obraża Savimbiego i jego żołnierzy wolnej Angoli! – wrzeszczę ja.

Wydzieramy się na siebie jak dwaj idioci.

– *Gentlemen! Gentlemen!* – krzyczy Freddy Cohen. – Uspokójcie się. Ja też uważam, że Kuba nie powinna była interweniować. Robi to złą krew...

– Robi. Dosłownie. Dużo krwi – odpowiadam.

– Danny – wtrąca się nieszczęsna Sugar – ale przecież gdyby nie interwencja Kubańczyków, to... Przecież oni grozili mniejszości, że ją wymordują...

– Może, Sugar – mówię już spokojniej. – Są to biedni, czarni barbarzyńcy. Pięćset lat kolonialnych rządów. Doktor Neto jest bardziej cywilizowany. Potrafi grać na harfie. W rosyjskich rękawiczkach, rozumiesz?

Nie rozumie. Skąd by mogła? Nie skończyła żadnych kursów kina radzieckiego i nikt jej nie powiedział o klasycznej pomyłce Sergieja Eisensteina.

Ogarnia mnie zmęczenie. Co ja wiem o Angoli? Ale co wie o niej Sugar i jej przewodniczący? Ja coś wiem o swoim kraju. O internacjonalistycznej pomocy, ponadnarodowej sprawiedliwości i rozwiązaniach klasowych. Czy w Angoli to wygląda inaczej? A dlaczego? Czy mam być rasistą? Mam sobie myśleć, że biedni kolorowi barbarzyńcy pewnych rzeczy do życia nie potrzebują?

Patrzę na zaczerwienioną twarz Brytyjczyka. Też sobie zapalił fajkę. Mam wrażenie, że leżę pod kołem Historii, na którym siedzi on z fajką i z wysokości swej wygodnej pozycji wiecznie mi łamie gnaty, a także nieustająco depcze jakąś rozpląszczoną czarną gębę. Gdzie to czytałem? Przecież to prawda.

Nic na tym świecie nie trwa wiecznie. Nawet miłość do...

– OK, Sugar – mówię. – Zostawmy to koniowi.

– *What's that?* – dziwi się Freddy. – Dlaczego koniowi?

– To dosłownie przetłumaczony idiom – wyjaśniam. – Skoro konie mają większą głowę, to są mądrzejsze. Więksi są zawsze mądrzejsi, co na niemiecki tłumaczy się innym idiomem. *Macht geht vor Recht*. Ale porozmawiajmy o kobietach. Sugar, kiedy wychodzisz za mąż? A wyszłabyś za Murzyna?

* * *

Drogi Danielu,

Też Ci jest smutno, prawda? W dalekiej Kanadzie. Mnie jest tak źle, Danielu, jak jeszcze nigdy. Czytam sobie Holana: Nie mówcie, że poeta we wszystkim przesadza. Nie przesadza. Patrzę w lustro... To pomarszczona twarz człowieka, który wie, / że również Bóg, i to szybko,

żałował jego stworzenia. Coś się z ludźmi stało. Nikt się już z nikim nie spotyka, nikt nikomu nie ufa i wszyscy tylko zazdroszczą... Z pewnością czytałeś różne samokrytyki. Ale ci biedacy się mylą. Niczego w ten sposób nie uratują. Przyjaciele ich nienawidzą, a wrogowie nimi gardzą. I ta strasznie krótka pamięć. Boże, ta krótka pamięć! Wczoraj przysięgali, a dziś... Po tym wszystkim nie można dalej pisać, jeśli to, co się stało, nie jest tam obecne. A przecież stało się, Danielu. Niezależnie od tego, co by było dalej, to przecież wyrównali nasze szeregi żelazną pięścią, a to nigdy nie jest sprawiedliwe. Nie może być. W żelaznej rękawicy nie ma się czucia. Tak, mieli rację po Lutym 1948 roku, że we wszystkim musi być Luty. A dziś? Ten rok nigdzie się nie może pojawić. Można co prawda tworzyć poezję – używam specjalnie takiego sformułowania – i to nawet o tym, co po Lutym było zakazane: o miłości, kwiatach, przyrodzie, ale pod warunkiem, że nie występuje tam annus mirabilis. Taki, jaki był. Jaki był niemal dla wszystkich. Nie dla prawie niezauważalnej mniejszości, którą wsparta żelazna pięść.

Ja już nie mogę. Znowu rozkręca się znana, koszmarna karuzela: młodzi grafomani, godzący się na wszystkie skreślenia, byle tylko zobaczyć się w druku. Każda młodość pewnie jest taka. My też się godziliśmy, więc nie mam prawa mieć im tego za złe. Ale już nie mogę. I zarzucam posiadaczom władzy, że cynicznie wykorzystują głód grafomanów. Bo ja, Danielu, wreszcie zdobyłem pewność, że można się wystawić na każde ryzyko wolności, ale ryzyko niewoli jest dla człowieka zabójcze.

Ja już nie mogę go znieść. Nie piszę. Co gorsza – nawet do szuflady. Tylko czasem czytam, co piszą – tacy młodzi, a takie wiecznie stare świnię. Jak łatwo by było o tych ich wypocinach satiram scribere. Ale już nie mam siły.

Znowu do mnie powraca mój nocny koszmar: gabłota u Rupa. Kto właściwie wygrał tę wielką wojnę, Danielu? Kto wygrał tę głupią i straszną wojnę?

Dziś tylko marność swą czujemy,
grób zapadły w głębokiej ziemi,
ciągnie przeciąg przedchrześcijański
a w dachu zioną wielkie dziury...
i próżno żyć usiłujemy,
mosiądz klamek polerujemy
i darmo swe grzbiety zginamy...
Wciąż wyją i wyją zgłodniałe psy...

Wiesz, kiedy to powstało?

W latach 1939-40!

Ta gablota u Rupa! Ach, ta gablota!

*Napisz, Danielu! Może w tej Kanadzie znajdziesz jakieś
światelko! Choćby małą iskierkę!*

Twój

Jan

* * *

– W piwnicy mieli taką wycementowaną celę – opowiadał zielony Vozenil beznamiętnym głosem – w której zamykali delikwenta i napełniali pełno wody. Nie było tam żadnych okien i woda sięgała prawie do sufitu, ale zostawiali zawsze mniej więcej centymetr powietrza. Delikwent musiał stać na palcach i trzymać nos wystawiony ponad powierzchnię, żeby móc oddychać. W całkowitej ciemności, a trzymali go tak nieraz nawet dwanaście godzin. Właśnie w takiej celi Olda Masło stracił życie. Utopił się, bo nie miał nosa, tylko nozdrza, więc jak mu tam woda wpadła, to się zachłusnęła.

– Ty ośle! – powiedział Malina.

– A jak ktoś był taki mały, że nawet na palcach nie mógł dosięgnąć do powietrza, to co? – spytał Kos.

– Musiał pływać, nie? – wtrąciłem.

Vozenil pokręcił głową.

– Długo by tak nie wytrzymał. Podłoga była na śruby. Oni nastawiali zawsze według wysokości delikwenta.

– Ciebie tam też wrzucili? – zapytał Nejezchleba.

– Jasne! Byłem tam co najmniej dziesięć razy.

– Ty stonogo! – warknął Malina. – Chciałbym cię tam zobaczyć, jak oddychasz, ty kaszalocie!

– To jeszcze nic – ciągnął dalej niezrażony mistrz horrorów. – Najgorsze tam było inne pomieszczenie, gdzie z kolei było światło. To była podłużna cela, też cementowa, a delikwenta zamykali w niej na golasa. Dwie węższe ściany na wprost siebie były ruchome i umieszczono na nich w różnych miejscach takie metalowe bolce z ostrymi końcami. Coś takiego jak bagnety, osadzone w tych ścianach, długie mniej więcej na pół metra.

– Ty głupi padalcu! – odezwał się znów Malina.

– Te ściany były sterowane takim kołowrotem i powoli sunęły na wprost siebie. Pomędzy sztyletami było mniej więcej tyle miejsca, że kiedy te ściany się do siebie zbliżyły na odległość sztyletów, to jak ktoś był bardzo sprawny, to mógł tak ułożyć ciało, że się uratował. Ale mało kto był. Przeważnie to ludzi strasznie poharatało, nawet do kości.

– Pieprzysz, muflonie! – skwitował Malina.

Zielony człowiek bez słowa rozpiął dres, podciągnął bawełnianą koszulę, rozpiął brudny podkoszulek aż po pas i odsłonił zielony brzuch. Przez cały jego środek ciągnęła się czerwona blizna. Wszyscy się nad nią pochylili, a Vozenil napiął brzuch i mówił dalej:

– Człowiek musiał stać wśród tych sztyletów nawet i cztery godziny, panowie, przeważnie na jednej nodze. Nikt tego nie był w stanie wytrzymać i każdy się jakoś pokaleczył.

– I obsrał – dodał Kos.

– I oblał, ty mamucie! – powiedział Malina.

Promień przedwiosennego słońca przefiltrowany przez pajęczynę z muchami spoczął na brzuchu zielonego człowieka. Musiał to być okropny *appendix*. Voze-

nil się zapiął, w promieniach przedwiosennego słońca dym wypełniający to przytulne miejsce kreślił fantastyczne kształty.

– Mieli kilka rodzajów ścian – kontynuował Zzieleniały – a na każdej z nich bagnety były inaczej ustawione. Więc jak ktoś tam był po raz drugi czy trzeci, nie mógł liczyć na to, co zapamiętał podczas poprzedniego pobytu. Oni sobie zapisywali, jaki zestaw człowiek miał przedtem, żeby się nie powtórzył. Za każdym razem każdy musiał się inaczej skrócić...

– Ty bizonie! – odezwał się Malina. – Nie chciałbyś tego pokazać? My byśmy wokół ciebie szczali, a ty byś się skręcał między strumieniami?

– Raz to musiałem stać w taki sposób – oświadczył człowiek z chlorofilu. – I to bite cztery godziny!

Stanął na jednej nodze, w lekkim przysiadzie. Drugą wyciągnął prosto przed siebie, jak podczas kozaka. Głęboko się pochylił, jedną rękę, zgiętą w łokciu, uniósł nad głową, a drugą dramatycznie złożył w pół, jakby miał ciężki reumatyzm. Kos już chciał sikać koło niego, ale kiedy zobaczył tę pozycję, schował instrument.

– Wszędzie wokół mnie były sztylety – opowiadał Vożenil i zastygł jak znieruchomiały mistrz jogi. – Jeden przechodził mi właśnie akurat wtedy – pokazał na swój brzuch. – No więc nie wytrzymałem czterech godzin i położyłem się brzuchem na tym ostrzu. Miałem już wszystkiego dosyć i chciałem popełnić harakiri. Od tego mam tę bliznę. Aż mi wylazły na wierzch bebechy. Ale oni przez dziurkę obserwowali każdego delikwenta, więc jak zobaczyli te bebechy, to zatrzymali mechanizm, zdjęli bebechy z bagnatów, wepchnęli mi z powrotem do brzucha i odwieźli mnie do szpitala.

Malina nie był już zdolny do kolejnego zoologicznego porównania. Staliśmy nad joginem jak skamieniałymi, a on wciąż trwał w swojej pozycji i tylko coraz

ciemniejsza zielen jego skóry świadczyła o narastającym wysiłku.

– Ty to umiesz pieprzyć – odezwał się Nejezchleba.

– A nie wieszali was przypadkiem za jaja?

– Nie – odparł poważnie Vożenil. – Ala za to za palce u nóg.

Wyprostował się i zrobił sobie skręta z gazety.

– Ja już gdzieś o tym słyszałem – zabrałem głos. – Słuchaj, czy to nie było takie wahadło, u dołu ostre jak brzytwa, i ono się huśtało nad ławką, do której był przywiązany delikwent? I powoli spuszczało to wahadło, aż przecięło delikwenta, albo wzdłuż, albo w poprzek?

Zielony człowiek wpatrzył się we mnie beznamietnym wzrokiem. Światło słońca zapaliło mu rdzawe iskierki na tłustych włosach.

– Dobrze słyszałeś – przytaknął. – Tyle że tego wahadła nie spuszczało, bo było przymocowane na stałe. Delikwent musiał wciągnąć brzuch, żeby go nie rozcięło. I tak go zostawiali, czasem nawet na osiem godzin. Jak puścił brzuch, to mu rozcinało skórę.

– I bebechy wyłaziły na wierzch? – spytał chłopak z lakierni.

– Nie. Oni zawsze nastawiali to według grubości delikwenta, żeby wahadło spowodowało tylko powierzchowne zranienie. Najgorzej jednak było tym, którzy mieli pępek na wierzchu, a nie do środka.

Kos zamknął oczy i syknął:

– Ty dinozaurze!

Chłopak z lakierni odwrócił się, skoczył do kabiny i zaczął wymiotować.

– Ty jesteś tylko dla ludzi o mocnych nerwach, człowieku – stwierdził Nejezchleba. – Dla młodzieży powinien być zakazany.

Zzieleniały nawet się nie uśmiechnął.

– Na mnie nic nie robi wrażenia, chłopaki – powiedział. – Zanim mnie wysłali do Rajchu, to robiłem jako grabarz i wtedy przeżyłem dużo gorsze rzeczy. Dopiero byście się zdziwili!

– Ty anakondo! – odezwał się Malina. – Szkoda, że cię na żywca nie pochowali!

– Mnie nie – odparł Vozenil. – Ale były przypadki...

* * *

Percy poznał głos. Barbara nawet nie musiała się przedstawiać.

– Posłuchaj – mówiła do słuchawki, spokojna, ale tym, co kryło się pod maską spokoju, nie była obojętność. – Posłuchaj, mogłabym do ciebie zadzwonić anonimowo. Ale chcę grać w otwarte karty. Może jest ci wszystko jedno. Dzisiaj wielu ludziom jest wszystko jedno. Mówię ci jednak o tym na wszelki wypadek, po prostu, żebyś wiedział.

– Nie jesteś po prostu zazdrosna?

– Oczywiście, że jestem – odparła. – Ja przecież jestem tym drugim człowiekiem, którego wadzili za nos. Myślisz, że wydaje mi się to zabawne? To cześć, Percy.

Odłożyła słuchawkę, ale zanim zdołał sobie wszystko poukładać w głowie, telefon znów się odezwał.

– To ja, Percy.

– *Hi* – odpowiedział lodowato.

Głos był oddalony, jakby ginący w szumach sieci telefonicznej. Coś w nim krzyczało, ale Percy tego nie słyszał.

– Percy, przykro mi, że wczoraj tak... ale kiedy się wściekam ...

– Wiem, co robisz, kiedy się wściekasz – przerwał jej.

Dziewczyna wyczuła chłód jego głosu. Mimo niedoskonałości połączenia. On zaś usłyszał słaby, zanikający głosik:

– Bardzo się gniewasz?

– Nie. Dlaczego?

– No, bo byłam dla ciebie taka niedobra...

– Za to byłaś bardzo dobra dla tego swojego kompartioty, Veroniko.

Głosik powiedział z powagą:

– Ależ Percy... to ci Barb... to jest pomyłka...

– Masz rację, Niko. To jest pomyłka.

Nie chciał z nią tak rozmawiać. Jak w filmie. Sam się dziwił temu, co mówił. Ale mimo wszystko tak powiedział. Długo milczała.

– Możemy się dziś wieczorem spotkać, Percy?

– Myślę, że nie, Veroniko – powiedział wbrew swej woli.

– Ach – odparła. – Więc ty mi dajesz kosza?

Teraz z kolei milczał Percy. Nika westchnęła.

– *Well*, nie jest to dla mnie całkiem nowe doświadczenie...

– *I'm sure it isn't. Goodbye.*

Odłożył słuchawkę.

Dziewczyna w budce jeszcze przez chwilę trzymała swoją. Potem w charakterystyczny dla siebie sposób uniosła kącik warg i westchnęła.

– No tak. To *goodbye. Bye, bye, Percy.* Niestety nam nie wyszło.

Odłożyła słuchawkę i wyjrzała z budki na tonące w deszczu wieżowce St. James Town. Dopadła ją jakaś straszliwa tęsknota i nie potrafiła tego opanować. Z oczu trysnęły jej łzy. Wcale nie z powodu tego Kanadyjczyka.

* * *

Wynajęli z tej okazji cały Mourek Inn i teraz cała rodzina pana Mourka, w smokingach i czarnych jedwabnych sukniach, bardzo pilnie pracuje. Jednak dziś uśmiechy nie są wyłącznie profesjonalne. Towarzystwo – wy-

strojone, podpite i czeskie – owacyjnie wspiera młodą parę, która wspólnymi siłami kroi tort-gigant w kształcie zamku Karlštejn. Krawiec pana młodego pobił wszystkie dotychczasowe rekordy. Garnitur ślubny jest czarny, ale gdy pan młody obejmuje swą wybrankę, zaczyna różowieć, aż wreszcie robi się czerwony. Po raz pierwszy zaprezentowali to w kościele Świętego Wacława, przy pocałunku po obrzędzie, a ksiądz Huniak jęknął, bo myślał, że chwyta go apopleksja. Tutaj, w Mourek Inn, pan Zawynatch co chwila jest na zmianę różowy, czerwony i czarny, gdy tylko goście na to pozwalają. Panna młoda przechodzi bowiem z rąk do rąk, chyba bardziej niż jakakolwiek panna młoda w czesko-toronckiej historii. Jednak młody żonkoś z satysfakcją obserwuje entuzjazm, jaki budzi jego połowica, a jego twarz okolona kozią bródką jaśnieje w permanentnym uśmiechu na tle złotego, koronkowego gorsu. Jedyne wada garnituru polega na tym, że nie zmienia kolorów równomiernie. Właśnie w tej chwili pan Zawynatch stoi w spodniach, które mają jedną nogawkę czarną, a drugą różową, a kiedy się odwraca, na plecach jego marynarki widnieje czerwona plama w kształcie świńskiego rysunku.

Tymczasem Debilinka, ku powszechnemu zaskoczeniu, pojawiła się w kościele w klasycznie białym i nad wyraz przyzwoitym kostiumie dobrze wychowanych pańienek, przykryta gęstym welonem i w mirtowym wieńcu niemal tak wielkim, jak korona cierniowa Chrystusa. Potwierdziło się moje przypuszczenie, że wszystkie te przeróżne kreacje, które na sobie wieszała jako pańienka, miały jeden jedyny cel, również klasyczny, przynajmniej w świecie niektórych zwierząt. I przyniosło to efekt. Dlatego Debilinka odziała się teraz dostojnie. Zdjęła już welon, a jej miła twarzyczka, umalowana jak pisanka, jaśnieje najzwyczajszym szczęściem. Max Factor i perłowe ząbki.

Są tu wszyscy. Człowiek-kula pałaszuje piątą dokładkę połudwicy w śmietanie i pokrzykuje na krojącą parę głosem tura królewskiego: „Dalej, państwo młodzi! Do roboty! Różnić porządnie!” Wychudły faszysta Frank wsłuchuje się w mowę pana Pohorskiego, który kreśli jakąś nową wizję. Pan Pohorsky pozacinał się przy goleniu i wygląda jak malutki staruszek. Doktor Toth jest tu wreszcie z importowaną z Anglii narzeczoną, która okazała się chilijską pięknoscią, urodzoną przez jakąś pomyłkę na Wyspach Kerguelena. Dobrze się wpasowała w kolekcję czeskich piękności. Jirzinka O'Reilly też wygląda na szczęśliwą. Jest tu sama, bo jej pan i władca obraził się na towarzystwo reakcyjnych Czechów, a poza tym ślub koliduje z demonstracją przeciw dyskryminacji homoseksualistów na Antarktydzie. Podczas obrzędu Jirzinka zagrała marsza weselnego naprawdę prosto od serca. Słuchając go, pan Senka ze wzruszenia nie był w stanie otworzyć oczu, ale teraz popija szampana. Zamiast weselnych wstążeczek przypiął sobie na klapie (odwrotnie) wielką flagę Czechosłowacji. Jest tu też Margitka w nowej sukni, naturalnie białej, z nieprzyzwoicie głębokim dekoltem, jaki prócz niej ma tu jeszcze tylko szczebiocąca *blond, blue and beige* Georgiana Akatova. Margitka jest już znowu udobruchana, w nowej, platynowej fryzurze. Z jej twarzy bije szczęście, jakie kobiety-myśliwi odczuwają w chwili, kiedy uda im się ustrzelić królika. Boczar dla żartu wplótł weselne wstążeczki w koła swego chromowanego fotela. Wydawczyni Santnerova połyka papierosa, ale ma nową perukę, rudą, trochę w stylu afro, a na szyi wspaniałą biżuterię, ponoć ludową, niewątpliwie przemyconą z kraju. Jej zniszczony przez literaturę mąż już do kościoła przyszedł podpity i utrzymuje się wciąż w tym samym stanie. Pan Szestak z grupą trampów trzyma już w gotowości ozembuch, wyproduk-

wany z kuli dla inwalidów. Są tu wszyscy, dosłownie wszyscy. Brakuje mi tylko Veroniki...

Veronika. Nie mogę się dopasować do tego powszechnego szczęścia. Euforia wciąż nie nadchodzi. Jestem zmęczony. Rozlegają się krzyki, oklaski.

– No i go przerznięli! – głos człowieka-kuli wznosi się ponad innymi. Ale nawet pan Senka nie jest zgorszony.

– Wracajmy do Vachouszka – mówi Boczar. – Po prostu zastawili na niego pułapkę. Mastrmajndował to ten Uher. Dablejdżent Pankurek umówił się z nim na spotkanie u siebie w domu, a jak tam Vachouszek się pojawił, to z drugiego pokoju skoczyli do niego ubecy. Vachouszek wyciągnął gnata i rozpętała się jakaś chaotyczna strzelanina, podczas której ten Pankurek dostał w głowę. Jest sporne, czy go zabił Vachouszek. On przynajmniej twierdził, że strzelał do tamtych. Ale taki szutałt im bardzo pasował, bo po czymś takim Pankurek już im i tak nie był potrzebny. Vachouszek dostał w nogę, więc go dopadli. Uher wywinął się tylko z jakimś draśnięciem na dupie. Ale sam rozumiesz, Vachouszek strzelał, a za to się szło na wieszak. Czy trafił, czy nie.

W myślach powraca do mnie stary majster, przebrany za niesamowitego bikiniarza. Powraca do mnie i widzę go tak, jak nigdy wcześniej.

– Siedział w celi śmierci ponad cztery miesiące. Prawie pięć – ciągnie Boczar. – Miał po prostu pecha. Działo się to akurat w tym czasie, kiedy trzeba było powiesić najwięcej skazanych i kat po prostu nie dawał rady. Podobno od tego źle sypiał, miał nocne koszmary i zaczęło mu odbijać. Dziwny kat. – Boczar skrzywił się w grymasie. – Przeważnie te sonyboje nie są tak wrażliwi. A jeden, człowieku, mówiło się na niego Jarda Potwór...

Widzę mojego majstra, jak czeka w celi na śmierć. Powraca do mnie koszmar wojny i czuję zimny pot

na plecach. Mroźne, zimowe, niedzielne popołudnie. A przecież ja nie byłem w pułapce, tylko tak myślałem. Majster był. W ostatecznej, szczelnej, strasznej pułapce. Widzę go oczami wyobraźni, a na tle tego męczennika Mrs Debilinka Zawynatch tańczy taniec godowy z różowiejącym i czerwieniejącym garniturem męskim. Czy się bał? Na pewno. Każdy się boi. Ja już teraz nie boję się śmierci, ale tylko dlatego, że nie wiem, kiedy przyjdzie. On też dokładnie nie wiedział. Ale miał świadomość, że wkrótce; że będzie upokarzająca, straszna, przy pełnej świadomości. Że Jarda Potwór będzie się delectował tą wyjątkową egzekucją. Że aż do swojej własnej śmierci będzie wspominał te piękne czasy, kiedy kat miał nocne koszmary...

– ...miał taki wyświechtany dowcip, który oczywiście dla skazańców był zawsze nowy. Egzekucje były dwa razy w tygodniu i skazaniec musiał się sam wcześniej ogolić. Nie, nie, to nie były żadne pieszczoty jak za starych czasów. Żadne ostatnie życzenia. Najesz im się też nie dawali. Skądże znowu! Golić się! I to porządnie! Raz, dwa, panowie! – Boczar opowiada pograżony w swych strasznych wspomnieniach; słyszę już po raz trzeci o tych funkcjonariuszach, którzy patrzyli na nich przez judasze, jak się mydlili i golili, jak im się trzęsły ręce i każdy się zacinał, jak tamowali krew ałunem. – Jak już byli ogoleni, pojawiał się Jarda Potwór, przesuwiał im dłońią po policzkach i ryczał: „To ma być golenie?! Jeszcze raz!” Więc oni od początku. I znów im ciekła krew... Potem kolejny raz przychodził Jarda Potwór i mówił: „Na dzisiaj koniec, panowie! Egzekucja jest przełożona na piątek!” To był ten jego wyświechtany dowcip. I było widać, jak ci biedacy oddychali z ulgą. Mimo że to nic nie znaczyło, odsunięcie egzekucji zaledwie o dwa dni. A właściwie dodatkowe dwa dni strachu. A jednak oddychali z ulgą!

Działy się takie rzeczy, a my budowaliśmy ustrój świetlanej przyszłości, Vrchcolab, niczym Isa Miranda, wychwalał szczeniakom stalinizm. Majster wszystko to przeżył. Czuję, jakby przez to przeszedł zamiast mnie. Odczuwam smutek, wstyd, upokorzenie. Gdzie jest majster? Nawet nie ma swego grobu. Oddawali ich medykom na sekcje. Pokroili go, niefachowo, pokawałkowali, a jeden kawałek włożyli między dwie kromki chleba i najładniejszej studentce podrzucili w papierze zamiast śniadania. Wszędzie robi się takie dowcipy. Albo pochowali go we wspólnym grobie, na ośmiu poziomach, jednego nad drugim.

– Kiedyś jednego zrehabilitowali – mówi dalej Boczkar. – Nazywał się Pecha. Oczywiście pomyłka sądowa, a on miał jakiegoś wpływowego stryją, starego komunistę. Matka chciała go normalnie pochować. Zmywałem wtedy podłogę w pierdlu, więc usłyszałem, co jej powiedział Jarda Potwór. On to mówił tym swoim chamskim językiem, do matki, która przyszła w żałobie: „Nie da rady, towarzyszko. On leży szósty od góry, a minęły już trzy lata. Kto się ma pieprzyć z tym głównym aż do przedostatniego poziomu? Oni wszyscy już tak się rozpadli, że by się go nawet nie dało rozpoznać”. I ta pani w żałobie mu tam zemdląła. Dziwisz się, człowieku?

Powraca do mnie, nie wiem dlaczego, Kostelec i jego piękne okolice. Czarna Hora. Jest jesień, nad miastem w dolinie dymią kominy. Majster Vachousek. Dlaczego? Po co? Miliony takich jak on w piętrowych grobach historii. Niektórzy uwiecznieni na obrazach z barbarzyńskich wieków, kiedy ludzie jeszcze nie wstydzili się chlubić swym barbarzyństwem. Postaci wplecione w koła na gotyckich obrazach. Straszliwie zamęczeni wisielcy na krzyżach. Ludzie przepoławiani piłą, między nogami, od kroku aż do głowy, a obok piesek, ogry-

zający odciętą rękę. My jednak żyliśmy w epoce narodowych i socjalistycznych realizmów. Malowano pięknie. Przyjemnie. Pisano wdzięczną czeszczyzną.

– Co się dzieje? – słyszę Boczara. – Nie bierz sobie tego tak do serca. On to już ma za sobą. Dawno. To był równy gość. Nie złamali go.

Ale na co to się majstrowi przyda? Skoro jedno, co mamy, to nasze życie. To jedno jedyne.

Oklaski. Skończył się taniec. Pan Zawynatch szarżeje, a potem czernieje.

– Szanowna pani! – rozlega się głos jak grzmot. – Proszę teraz ze mną!

Debilinka promiennie się uśmiecha, człowiek-kula przyciska ją do piersi i również czerwienieje, ale tylko na twarzy jak księżyc. Debilinka odbija się od niego jak od trampoliny, człowiek-kula chwytą ją za rękę i podskakuje niczym gumowy słoń... Jirzinka O'Reilly rozkosznie fika nóżkami... Pan Zawynatch tańczy z wydawczynią, a jego garnitur zaczyna się bez sensu czerwienić... Bosch... Brueghel... to wszystko co mamy... nic innego...

* * *

– Twój kłopot, Hakimie, jest taki sam jak kłopot Sut-pena.

Po raz pierwszy przyszedł do mnie do gabinetu. Po raz pierwszy jesteśmy sami i staram się rozpoznać, co mi mówi wzrok Hakima. W klapie ma wielki zielony znaczek z jakimś afrykańskim wariantem sierpa i młota z gwiazdą i napisem MPLA, czyli wspiera bratnią pomoc kanonenfutrów dla kraju, który nie jest jego ojczyzną. Ale Hakim nie ma ojczyzny. Jest wygnańcem. A mówiąc ściślej, dezserterem.

Jednak sam do mnie przyszedł. Gdyby głos oczu wyrażał tylko wzgardę, to przyszedłby najwyżej na mnie

nawrzeszczyć. Nie usiąść, patrzeć, pełnym pogardy głosem stawiać pytania.

– Tego nie rozumiem – odparł. – *Sutpen's trouble was innocence*. Jeśli dobrze pana zrozumiałem na zajęciach, to niewinność Sutpena była nieświadomością klasowej istoty społeczeństwa. Więc gdzie tu jest coś wspólnego między Sutpenem a mną?

– Pouczyli cię twoi mistrzowie o rozwoju jako spirali?

Pouczyli. Komunizm jako powrót do szczęśliwej, pierwotnej wspólnoty społecznej, o jeden zwój spirali wyżej. Ten katechizm jest zapewne międzynarodowy. Mówi równie mało o stanie ducha ludzi komunizmu, jak o stanie ducha ludzi wspólnoty pierwotnej. O ile wiem, bali się duchów.

– Tak, opowieść Faulknera z siódmego rozdziału powieści *Absalom, Absalom!* to całkiem dobra marksistowska analiza narodzin nienawiści klasowej. A nawet wręcz doskonała analiza narodzin rasizmu jako dziecka antagonizmów klasowych. Pamiętasz? I cytuję mu: „Ale nie chciało się ich uderzyć, bo to nie chodziło o nich (o tych Negrów), to nie ich się chciało bić; wiedziało się, że kiedy się ich uderzy, to będzie po prostu coś takiego jak uderzenie w dziecinny balon, na którym namalowana jest jakaś twarz”*. A potem oczywiście wprost archetypowa scena, kiedy wystrojony Murzyn zawraca młodego Sutpena do tylnego wejścia, a on wtedy traci niewinność. To potrafi tylko prawdziwy artysta: wyrazić za pomocą historyjki. Że antagonizm klasowy jest głębszy niż rasowy. Że rasowa nienawiść w jednej ze swych funkcji służy do odwracania uwagi od bezprawia społecznego. Do tego miejsca jest to marksizm, powiedziałbym, niemal czystej wody. A przecież Faulkner ostatecznie postawił Lenina w jednym szeregu z Hitle-

* Przełożyła Zofia Kierszys.

rem – na długo przed Sołżenicynem. W swojej najbardziej antyrasistowskiej powieści *Intruz*, po pierwsze, bardzo nieładnie wyraził się o Związku Radzieckim, a po drugie – krytyka twierdzi, że w sposób mglisty – zdystansował się od jakiegokolwiek jankeskiej interwencji wspierającej Murzynów z Południa.

– Faulkner nie potrafił w swej ideologii przekroczyć granic, które... – zaczyna Hakim. – Z jednej strony humanista... z drugiej południowiec-arystokrata... nie mógł znieść myśli... jego uprzedzenia są...

Doskonałość szufladek znów mnie zaskakuje, choć już nie powinna. Osobowość człowieka precyzyjnie podzielona na elementy, które się dopełniają lub równie precyzyjnie ograniczają. Wszystko, co sprzeciwia się mądrości szufladek, nazywane jest przesądem...

– Hakimie – mówię – niektóre sprawy ze sfery filozofii musi znać nie tylko arystokrata-południowiec. Jego przesady to może jego mądrość. Mądrość pisarza jest inna niż mądrość tych, co cię szkolą. Pewien czeski poeta, którego nie znasz i którego nikt nie zna, bo z powodu swego języka skazany jest na istnienie tylko wśród nieliczącej się mniejszości, napisał: *...porywcze serce poety najmocniej bije w małych opowieściach... za nic jest mu znajomość wydarzeń i za nic nauka, ta krowa na szczydłach...*

– To jest irracjonalne...

– Trzeba to brać pod uwagę. Zapewne ważniejsze jest to, co odczuwamy, niż to, co wiemy. Jeśli się nam wydaje, że żyjemy dla mądrości, to właściwie żyjemy dla uciechy z mądrości. Może naprawdę nasze uczucia podpowiadają najrozsądniejsze rozwiązania. Przypominasz sobie Hawthorne'a? Jesteśmy istotami epikurejskimi. Może w naszej irracjonalności tkwi nasza wielkość. Któż to wie? Ja nie wiem. Może polega właśnie na tym, że czasem postępujemy irracjonalnie, wbrew rozumowi, żeby jednak postąpić rozumnie?

– Mówi pan jak kaznodzieja – krzywi się Hakim. – Same szarady.

– Wobec tego będę mówił sucho i prosto. Faulkner odrzuca jankeskie, czyli importowane, rozwiązanie kwestii rasowej, a czyni tak, bo stanowi ono obrazę inteligencji jego rodaków. Każdy import dokonany środkami przemocy – podkreślam: środkami przemocy – to jest obraza. Bez obrazy i upokorzenia można importować tylko myśli za pomocą myśli, a nie myśli za pomocą broni. Każdy konkwistador uważa mieszkańców zdobywanych terytoriów za mniej wartościowych. I daje im to do zrozumienia. Jeśli jednak jest coś mniej wartościowego, to myśli i idee, które można wprowadzić w życie wyłącznie za pomocą broni.

– Ale w takim razie każda rewolucja...

– Tak – kiwam głową. – Każda rewolucja z użyciem przemocy kończy się dezercją i powrotem do zgwałconych ideałów.

– Przykłady! Proszę mi dać przykłady! – woła Hakim, tak jak kiedyś Sharon domagała się przykładów sprawiedliwej wojny. Znowu staram się czytać w mrocznym, chamickim wzroku. Wydaje mi się, że tli się w nim ma lutka, lecz jednak budząca nadzieję iskierka wątpliwości. Ojcowie Kościoła twierdzili, że tak właśnie zaczyna się wiara. Myślę, że nie mieli racji. Wiara kończy wątpliwości. Ale może dzięki nim zaczyna się mądrość? Ta, która ostatecznie – w sferze interesującej Ojców Kościoła – prowadzi nas do Chrystusa Pana. Nie dlatego, że za nas umarł na krzyżu, bo to najwyżej było jego złudzenie, ale dlatego, że to był taki dobry człowiek. Zawsze po stronie poniżanych. Zawsze i wszystkich. Nie jak Angela – tylko niektórych. Taki naiwny Chrystus-socjalista, nie jak ci marksściści, którzy z czołgami w tle panują w mojej ojczyźnie, Angoli Europy...

– Drogi Hakimie – odpowiadam. – Nie będę ci dawał przykładów, bo ty jesteś niewinny. Tak jak Sutpen w górach Wirginii Zachodniej, kiedy „nawet sobie nie wyobrażał, że gdzieś na świecie ziemia jest porządnie podzielona pomiędzy ludzi i rzeczywiście stanowi własność tych, którzy nie mają nic do roboty i tylko jeżdżą po niej na pysznych koniach albo pysznie ubrani siedzą na werandach wielkich domów, podczas gdy w pocie czoła pracują za nich inni ludzie”.

– To jest obraz kapitalizmu, nie socjalizmu – przerywa mi. – Ja taki kraj znam, bo w nim mieszkam. Nie jestem niewinny, ponieważ jestem socjalistą.

– Jesteś niewinnym socjalistą, Hakimie. – Już potrafię odczytać przekaz ciemnych oczu. Widać w nich walkę. Hakim jest na drodze do mądrości.

Czy jest na drodze do czynu? Ale czyn to przecież nie tylko palec naciskający spust.

– Byłoby dobrze, gdybyś swą niewinność stracił, zanim się spotkasz z tym wystrojonym Murzynem. Zanim cię zawróci do tylnego wejścia. Jeśli ją utracisz wcześniej, nie zdarzy ci się to, co spotkało Sutpena.

– Znów kaznodzieja – odpowiada z ironią. – Znów szarady.

– Nie przydarzy ci się, żebyś jak Sutpen musiał gościć się na brud, choć będziesz się nim brzydził podobnie jak on, bo podobnie jak on będziesz wierzył, że tylko w ten sposób osiągniesz cel. – I rzeczywiście niczym kaznodzieja Biblię, unoszę Faulknera i czytam: „Zupełnie zniecka Sutpen odkrył nie to, co chciał zrobić, ale po prostu to, co zrobić musiał bez względu na to, czy chciał, czy nie chciał. (...) I w tej samej chwili, kiedy odkrył, co ma zrobić, stwierdził jednocześnie, że to jest ostatnia rzecz na świecie, do której dokonania on ma jakiegokolwiek dane. Bo on do tego czasu nie tylko nie wiedział, że będzie musiał to zrobić, ale nawet nie wie-

dział, że to istnieje, że można tego chcieć, czuć potrzebę dokonania tego...”

Hakim znów się ironicznie krzywi.

– Faulkner ze swoich mieszczańsko-mistycznych pozycji...

– Faulkner ze swoich hemingwayowskich pozycji – przerywam mu – stara się widzieć, co naprawdę czuje, a nie – co mu się wydaje... Odczuwa tylko to, co rzeczywiście odczuwa, a nie to, co – jak wydaje mu się – powinien odczuwać. Bije się z tym, co skomplikowane i co stanowi fundament naszego ludzkiego świata. Faulkner antyestetyczny. Faulkner, któremu chodzi o analizę, a nie o ilustrację starych prawd serca, równie złożonych jak atomy. Postdemokrytowski Faulkner...

– Kaznodzieja. A nie naukowiec.

– Mam tylko nadzieję, Hakimie, że poznasz, co to jest ta „ostatnia rzecz na świecie, do której dokonania masz jakiegokolwiek dane”. I że nie ulegniesz fatalizmowi. Nie uznasz, że trzeba to robić. Że będziesz szukał innej...

– Ale to trzeba robić! – woła Hakim, czarny anioł. – I ja to będę robił! Będę walczył! Bo to jest sprawiedliwa walka!

Mimo to mam szczerą nadzieję, że broszurki Hakima z pożytkiem uzupełniłem o doświadczenie połodniowca-arystokraty.

– Walcz, Hakimie, lecz nie bądź okrutny. Nie przyjmuj zasad gry. To jest niewinność o jeden zwój spirali wyżej. Sprawiedliwą rzecz strasznie łatwo zbrukać niesprawiedliwością...

– Świat to walka! Nieubłagany antagonizm, dopóki... – wyleciały z niego jego broszurki. Albo półprawdy. Półmądrości.

– Jedyne nieubłagane antagonizmy to brak antagonizmu, Hakimie – powiedziałem. – Bo go nie ma. Istnieje tylko żelazna kłapa, a pod nią...

Mam rację? Chyba mam. Mówię paradoksami. Bonmotami. To tylko częściowe prawdy, wiem. Ale budzą intelekt z zimowego snu adaptacji. To są skrajne, przesadne stanowiska, ale żeby obudzić mózg, ważniejsze jest czasem, byś zetknął się z czymś, co jest ciekawe, szokujące, niż z tym, co jest ponad wszelką wątpliwość prawdziwe.

Gdzieś to czytałem. U któregoś z tych niemiecko-żydowskich chirurgów podświadomości. Czy jednak nie odnosi się to też do owych broszurek? Do tych szokujących półprawd? Tych półinteligentnych symplifikacji, tak ostro atakujących obojętność nadzianych naukowców, że część z nich przyłącza się do wielkich symplifikatorskich ruchów, które w radykalny sposób wstrząsają podstawami świata? Zamiast swych mózgów dają tym ruchom swe nazwiska, a potem nieraz jakieś nazwisko zachęci dzieci tych ruchów do powrotu do czasów, kiedy naukowcy byli jeszcze wykształceni, naukowcy, obojętni *sub specie* spustoszeń i bardzo aktywni *sub specie* poszukiwań. Kiedy ze wszelkich sił pomagali *de omnibus dubitare* – jedyny antagonizm człowieka to nieobecność antagonizmów – konfliktów może nie antagonistycznych, ale konfliktów...

Nie wiem czemu, ale przyszła mi do głowy Veronika. Jak jej się podobało w Kanadzie, ale jednocześnie jak zachłannie słuchała tej czeskiej płyty, ten jej nostalgiczny konflikt... pragnienie posiadania wszystkiego... ten brak skromności, zapewne najbardziej ludzka cecha człowieka...

Pod oknem mojego gabinetu, w stronę jeziora, gdzie kiedyś Manitou... kroczy wielki kruk. *Woron. Raven...*

*Drogi Zaoceaniczny Krwiopijco,
serdeczne pozdrowienia od starego socjała, tkwiącego obecnie w bagnie kapitalizmu. A jednak zmusili mnie do pracy! Mnie, który się zawsze obijałem, a pieniądze same płynęły strumieniem i tylko od czasu lewą ręką podrzuciłem jakąś sztukę teatralną. Teraz chcą, żebym pisał i pisał jeden scenariusz po drugim i nawet nie mówią, że im się nie podoba, ale – sam rozumiesz – to są ich kapitalistyczne pieniądze, które w to wkładają. Więc zastanawiają się i myślą, robią analizy rynku, a te z reguły wypadają kiepsko, bo nie ma tam żadnej pornografii. Więc chcą ode mnie, żebym dopisał jakieś sceny łóżkowe w technicolorze, z wielkimi zbliżeniami tych części ciała, które są niezbędne do grania w takich scenach. A ja nawet nie mam nic przeciwko temu, żeby się prostytuować za pośrednictwem seksu. W końcu przecież często prostytuowałem się za pośrednictwem polityki, a w obu tych dziedzinach sztuki człowiek ma do czynienia z kurwami. Chociaż, jak wiesz, tamta prostytutka to był taki naddatek, żeby czasem człowiek mógł pokazać prawdę. A tutaj też mogą mi pokazać prawdę i przestać sypać groszem. Na próżno usiłuję im wytłumaczyć, że ja zawsze żyłem monogamicznie, w porządnym małżeństwie, że jak przyszło co do czego, to zawsze gasiliśmy światło i nigdy nie czytałem o tym żadnej teorii. Nie mogę przecież proponować im czegoś, czego nie znam, bo ja zawsze pisałem z własnego doświadczenia, albo przynajmniej ze strachu. Oni mi zalecają, żebym chociaż poszedł to sobie pooglądać w kinie. Ja jednak na swoje lata wyglądam dość staro i bardzo bym nie chciał, żeby te ładne bileterki w schweinkinach myślały sobie o mnie, że jestem jakiś obleśny starzec. Dlatego jeszcze nie wybrałem się do schweinkina i nie mogę służyć kapitalistom scenami łóżkowymi, tylko najwyżej takimi moralnymi alegoriami, które u nas się dobrze sprzedawały, bo nie mieliśmy żadnych takich kin. Tutaj jednak alegorie się nie przyjmą i praktycznie nie ma szans,*

żeby znaleźć szaleńca, który zainwestowałby w moralność. Żyję więc z forszusów na dzieła, które co prawda zawsze kończę, ale oni potem zawsze je wsadzają do zamrażalnika i nigdy nie wiem quousque tandem będą mi dawać takie forszusy. Nie miałbyś dla mnie w Kanadzie roboty jako dla karcianego szulera? Albo może miałbyś jakieś koneksje w Las Vegas? Pokera pamiętam jeszcze z kraju, więc wystarczyłby tylko mały trening. I postuchaj! Ty też byś coś na tym skorzystał, bo zostałbym wierny aktualnej, czechosłowackiej zasadzie bratniej pomocy. Wystarczyłoby Ci na przykład 65% z wygranych, a za przegrane byś nie ręczył?

Ze też ja, idiota, nie zostałem w naszym okupowanym kraju! Popatrz na takiego Kopidlana! Taki on ci baranek, niemal Boży, grafomanek milutki, pobożny w kategorii codziennych dziesięciu tajemnic bolesnych różańca i w dodatku jeszcze pedałek. A jakie on ma teraz żniwa! Wyciąga z szuflady jeden rękopis za drugim, które za czasów rewizjonizmu wyrzucano mu do kosza, wszystkie o takich tych subtelnych problemach wewnętrznych, w zasadzie homoseksualnych, ale napisane w taki sposób, że gdyby tak napisać Szwejka, to ludzie w ogóle by nie poznali, że chociaż to o seksie, to jednak nie stanowi odpowiedniej lektury dla pańienek z seksty. I wszystko to mu drukują! Więc on sobie wesoło pisuje recenzje, glosy, felietony – wszystko na podstawie tej pięknej zasady: niech sobie generały podrzynają gardła, a ja tylko muzykant! Ja chcę drukować i dam każdemu, kto mnie wydrukuje. No i daje, chłoptaś, każdemu, a oni go drukują i drukują, wciąż więcej i więcej. Jemu zresztą chodzi wyłącznie o druk, a nie o to, żeby ktoś to jeszcze czytał. To już nie jego sprawa.

Ze też ja tam nie zostałem! Chociaż zawsze mi chodziło o to, żeby się z tego ludzie śmiali, a na to potrzeba, żeby to czytali, tymczasem oni teraz – i słusznie – takich rzeczy nie drukują. Chyba żebym się przeorientował na taki gatunek, jak kryminały, ale raczej tego nie umiem. Do dziś nie wiem, dlaczego struś nie lata, chociaż jest ptakiem.

A w dodatku: ja byłem komuch, a na nich wreszcie przyszła sprawiedliwa kara i mają to gówna na głowie. Jest w tym z pewnością jakaś historyczna sprawiedliwość, a ja się zawsze usiłowałem wymigać się od sprawiedliwości: dawniej klasowej – więc wdepnąłem w Partię, a teraz historycznej – więc dałem dyla do Rajchu. I jeszcze byłem tak głupi, że najpierw musieli parę osób powiesić, zanim mi trochę tej głupoty ubyło, ale też nie za dużo, bo wciąż sobie myślałem, że najlepiej jednak zostać w tej Partii i pouczać towarzyszy. Miałem niezachwianą wiarę w to, że ludzi, a nawet towarzyszy, można czegoś nauczyć, dopóki się nie przekonałem, że niektórzy są absolutnie niewyuczalni, ponieważ byli już tak wyuczeni, że bardziej po prostu się nie da.

Więc zdradziłem i uciekłem przed historyczną sprawiedliwością, a ponieważ jestem wciąż głupi (choć już mniej), to uciekłem do Rajchu, a nie na Wyspy Kerguelena, gdzie czołgi nigdy nie przyjadą, boby się tam nie zmieściły. Sprawiedliwość historyczną Partia realizuje obecnie w kraju na przykładzie tych do tej pory niepouczonych towarzyszy, którzy jeszcze nie byli tak wyuczeni, że już bardziej się nie da. Mam nadzieję, że przynajmniej teraz się pouczą i w pełni włączą w proces, bo jak mawiał Engels, mądrość to zrozumienie głupoty. Mnie ta sprawiedliwość historyczna przydzieliła rolę producenta filmowej pornografii, czyli tak, jakby kabareciarzowi Šlitrowi kazać napisać nowy hymn radziecki. Kiedy tak się zastanawiam, dlaczego tu właściwie jestem, to dochodzę do wniosku, że z dość szczególnego powodu: bo jak tam wjechały te pojazdy bojowe, to się zesrałem ze strachu, więc żebym później się nie zesrał i nie pozwolił się tak wyuczyć, że bardziej już się nie da. Właściwie uciekłem dlatego, żeby zachować się jak Mistrz Jan Hus z Husínca, czyli stać w prawdzie i prawdy bronić. W dodatku jego światły przykład zmodyfikowałem w taki sposób, że pozostałem dla narodu żywy i zamiast do Konstancy, pojechałem do Wiklefa i teraz pod jego ochroną odważnie potępiam tych kardyna-

łów w kraju, którzy palą w zimnych i nieszkodliwych płomieniach tych naiwnych, co zostali w Konstancy, bo myśleli, że kardynała da się przebłagać. Nie da się.

Drogi Kanadyjski Burżuju, jeden taki tu niedawno był. Któżby inny, jak nie nasz wspólny przyjaciel, chłopczyzna Vrcholab, Jan. Całkiem jak Hus. To jest dopiero Hus, człowieku! A ja mu mówiłem, dopóki jeszcze mógł do mnie przyjeżdżać, że mu nie zrobią tej przyjemności, żeby go zapuszkować. No i miałem rację. Jak wiesz, kiedy go przestali wypuszczać, to zaczął dawać różne zdradzieckie oświadczenia prasie zachodniej, ale zostawili go na wolności, na co on, biedaczyna, naprawdę sobie nie zasłużył. I teraz wyobraź sobie taką sytuację. Siedzę ja sobie w holu hotelu Graf Etlü, dokąd czasem chodzę pograć w karty z pewnym szaleńcem, który zamówił u mnie realistyczny scenariusz na podstawie „Nowych szat cesarza” Andersena (on jest stary pedzio i ma przyjaciela – młodego pedzia, który tam ma grać główną rolę). I nagle: kogóż to ja widzę, jak nie chłopczynę, który w nieco wyświechtanym stroju z Carnaby Street sunie przez hol! Ja się tak ucieszyłem, Ty Stary Cyniku, że wprost od kart rzuciłem się na niego i zanim był w stanie opanować zaskoczenie, to już zaaplikowałem mu podwójnego chruszczowa. To zaskoczenie nie musiało być miłe, bo za nim kroczyło takich dwóch o gębach bratniej pomocy. Dostrzegłem ich dopiero, jak się zatrzymali i z wysiłkiem starali się przypomnieć sobie zdjęcia wszystkich zdrajców, żeby mnie zidentyfikować. Ale ja się tu zmienilem. Zapuściłem sobie Schnurbart, żeby sobie jakoś zrekompensować fakt, że od ciężkiej pracy zlażyły mi włosy z głowy; noszę również kapitalistyczne okulary z prawdziwego szylkretu, podczas gdy w kraju miałem tylko druciane z firmy Oční Optika, od których robiła mi się egzema na licach. No a biedny chłopczyzna powiada: „Cześć! Jak się masz! Dobrze? Słuchaj, ale gdybyś mnie jednak mógł puścić, bo oni za mną chodzą nawet do kibla”. Zrozumiałem, że zrobiłem fopa, ale szybko się zorientowałem i zagrałem

etiudę na temat Irrtum: Ich bitte Sie um Entschuldigung, mein Herr... Aber Sie erinnern mich an meine verstorbene Frau! – ryknąłem z najpiękniejszym bawarskim akcentem, na jaki mnie było stać. Wymawiałem wszystko dokładnie i wyraźnie, licząc na to, że mordy bratniej pomocy rozumieją po niemiecku. Chłopczyzna Vrchcolab natychmiast się w tym połapał i odezwał się równie wyraźnie, chociaż po prusku, dokąd wcześniej często jeździł, jak był jeszcze uznawany za patriotę: Das macht nichts, gnädige Frau! Das geschieht in den besten Familien! A potem popatrzył na mnie takim strasznie, ale to straaasznie smutnym wzrokiem, takim psim. Jakbyś zabierał psu kość i wypędzał go na mróz z przywiązaną do ogona pustą puszką, na dodatek jeszcze mu mówiąc: Kszsz! Kici, kici! Kszsz!

Tego spojrzenia do śmierci nie zapomnę. Z tych oczu popatrzyła na mnie nasza ojczyzna. Błyszcząca do mnie z głębokiej ciemności prawostawnego oświecenia takim tym światłem, o którym ta stara kurwa Václav Voňavka zwany Řezáč swego czasu, w lepszym okresie, napisała powieść.

Następnego dnia tragedia osiągnęła kulminację. Wielki artykuł w „Süddeutscher Kurieranziger”, to jest – żebyś jako niedoinformowany Kanadyjczyk zrozumiał – eine unabhängige Zeitung, co znaczy – Ty Zamerykanizowany Troglo-dyto – gazeta niezależna od faktów, a jedynie od bratniej pomocy ze strony NRD. Pisze się tam, że tyle jest gadania, jak to w CSRS opozycyjni autorzy mają Hausarrest, jak są prześladowani, pod nieustannym dozorem policji. Tymczasem wczoraj jeden z czołowych przedstawicieli der sogenannten Opposition Hans Vrchtsolapp wziął udział w premierze swojej nowej sztuki napisanej na motywach reakcyjnego carskiego dramaturga Nurejewa. Czyż nie jest to dowód na to, pytała ta niezależna gazeta, że wszelkie doniesienia o rzekomym cmentarzysku kultury w CSRS to puste kłamstwa międzynarodowej reakcji? Herr Vrchtsolapp całkiem swobodnie poruszał się przez trzy dni po Monachium (to na-

a teraz wyznał grzechy i w nagrodę nakręcił wysokobudżetowy film. To dzieło przypomina mi jeden taki filmik pod tytułem „Chłopiec i sarna”, który nakręcił pewien też bezpartyjny reżyser, który jednak tylko się mylił i nie przyznał do grzechu. Więc ta wielka produkcja była bardziej nowoczesna i nazywała się „Chłopiec i ciężarówka”. Cała trójka pokazywała na ekranie, jak jest szczęśliwa, że choć nie są komunistami, to mogą swobodnie tworzyć. Nu czoże, jak prawi rosyjskie przysłowie ludowe. Tak sobie tylko przypadkiem przypomniałem, że gdy z tym mylącym się wtedy reżyserem pisałem scenariusz – a miał to być wielki film, nie jakaś wielka produkcja: ważny, głęboki, bezkompromisowy i społeczny – i akurat wydałem książeczkę takich całkiem niezobowiązujących żarcików, które czytywałem w programach rozrywkowych w naszym teatrze, to ten reżyser mnie skarcił, że nie powinienem robić takich rzeczy, bo to jest artystyczna plama na moim nazwisku. A on teraz stworzył ten wysokobudżetowy film o chłopcu i ciężarówce, gdzie sfilmował taki mały taniec z ciężarówkami – czysto wizualną etiudę ruchową. Towarzysz Teuner w „Rudym Pravie” bardzo go pochwalił, w jak odkrywczy sposób pracuje z formą, dzięki czemu udowadnia wszystkim malkontentom, że filmy o chłopcach i ciężarówkach nie muszą być prymitywne ani pod względem ideowym, ani formalnym. No, pod względem formalnym istotnie nie muszą, tylko trochę mi przeszkadza, że dokładnie taką samą etiudę nakręcił już raz, tyle że wtedy były tam motocykle, a scenariusz napisał nie nigdy do tej pory się niemylący Beginner, tylko bardzo się mylący pisarz, który jednak też wyznał grzechy i w nagrodę mógł pojechać na urlop do Grecji. Wiesz, trochę mnie irytuje nie to, że ktoś powtarza ten sam pomysł, skoro to dobry pomysł, bo wszyscy w końcu tak robimy. Gorzej, że ten pomysł raz umieszcza tam, gdzie mówi się TAK, a innym razem – gdzie mówi się NIE. Potem zaczyna to wyglądać tak, że chodzi głównie o ten pomysł, a nie o jakieś ważne, głębokie, bezkompromisowe idee społeczne.

No cóż, umoczeni są wszyscy.

Nu czoże, jak prawi rosyjskie przysłowie ludowe, które na czeski tłumaczy Georgie Wachsmann. No i dobrze jest! To właściwie nic złego. Są jeszcze młodzi, więc chcą jak najwięcej zrobić, nawet sobie samemu na głowę. Nam, starym dziadkom, kurwienie się już tak dobrze nie wychodzi. Już tak łatwo nam nie staje. (To ostatnie zdanie dopisałem dopiero po cenzurze, dokonanej przez moją żonę Jankę).

Na koniec jakaś bardziej radosna nuta. Moja córka Jan-ka tak cudownie nauczyła się niemieckiego, że mówi jak Ilse Selingerova, jeśli ją jeszcze pamiętasz. Taka piękna, cycata blondyna w szkopskiej bluzie. Moja córka Jana oczywiście takiej nie nosi i Vrchtsolapp też już (dawno) się w niej nie kocha, bo ma teraz inne problemy, które dla Janki są ganz egal. Ona teraz chodzi z jednym bawarskim paleontologiem (to jest taka nauka, niemiecka, która podobno jest do niczego, coś jak materializm dialektyczny), ale wciąż na niego krzyczy, i to w sposób impertynencki. (Po kim to dziecko tak ma? Słuchaj, czy Ty przypadkiem nie miałeś czegoś z moją żoną Janką, o czym ja nie wiem i co przypisywałem sobie?) Mówi na przykład do niego: „Ty szwabski kretynie!” I to tylko z tego powodu, że ten nieśmiały chłopiec czasem cichutko bąknie, że gdyby Janka łaskawie się zgodziła, to on nie głosowałby na chadecję, tylko na socjaldemokratów. Albo jeszcze bardziej nieśmiało stwierdzi, że jeśli Janka się nie pogniewa, to on bardzo przeprasza, ale pozwoliłby sobie wyrazić niewiążącą opinię, że potrzeby kulturalne gastarbeiterów mogłyby być też zaspakajane w inny sposób, a nie tylko poprzez produkcję filmów pornograficznych, naturalnie o ile on się nie myli. No a ona zaraz się wścieka. Co za radość słuchać, jak wspaniale opanowała niemiecki! Tylko wciąż się dziwię, że paleontolog do tej pory nie kopnął Janki – jak by to przyzwoicie wyrazić, aha – w d...ę*, skoro najprzyjemniejsza fraza, jaką słyszałem z jej ust brzmiała: Halt's Maul, du Trottel! Du bist aber ein Idiot, Harry! Das ist ja ganz

unglaublich, dass es im zwanzigsten Jahrhundert solche Dinosaurer noch immer gibt! *A on jest na dodatek szczęśliwy, że powiedziała do niego Harry, a nie Horst, jak ma naprawdę na imię, bo urodził się w 1942 roku, co oczywiście nie jest jego ideologiczną winą, ale i tak się tego wstydzi. Mnie jednak z nimi nie ma, kiedy jeżdżą razem wykopywać zęby smoków czy coś w tym rodzaju; wtedy tam są sami i nie wiem, co się TAM dzieje, ani nawet nie chcę wiedzieć! Jestem staromodnym ojcem i mam nadzieję, że on zachowuje się przyzwoicie. Chociaż właściwie w obronie swego honoru powinien Janke kopnąć w d...ę.*

Ogólnie jestem z paleontologa zadowolony, ma posadę Docenta na tutejszym uniwersytecie i właśnie wydał osiemsetstronicową książkę, zatytułowaną „Kurze Einleitung in die Theorie der Stosszähne der Dinotheria von der Süddeutschen Ebene um München”, czyli – bo Ty, anglofilu, na pewno już całkiem zapomniałeś niemieckiego – „Krótki wstęp do teorii kłów dinoteriów z południowoniemieckiej równiny wokół Monachium”. To o jakichś zwierzętach, o których jak żyję nie słyszałem. Pewnie je sobie wymyślił dla kariery. Ale podobno za ten wymysł dostanie zwyczajną profesurę i twierdzi, że czeka już tylko na to, żeby wobec naszej Janki mógł się odpowiednio zachować, dziwkarz jeden!

Chyba muszę kończyć. Janka (to znaczy żona) już mnie goni, żebym siadał do roboty. Będę szył te „Nowe szaty cesarza”, jak zwykle na forszus. A producent nie chce ode mnie żadnych scen łóżkowych, więc chyba potrafię spełnić jego życzenie. Gołych facetów już widziałem, w wojsku, czyli mogę zostać wierny zasadom artystycznego autentyzmu.

Następnym razem, Rodaku z Kanady, napiszę Ci coś poważniejszego i bardziej bezkompromisowego, nie tylko same takie powierzechowne głupstwa, za które mnie skarcił ten wizualnie wynalazczy reżyser.

Twój

Zurückheil Glücker

(skoro jestem teraz obywatel Rzeszy, to przetłumaczyłem sobie imię i nazwisko)

* Janka (żona) pyta, co to jest d...ę. No, to jest takie ludo-
we, a więc nieprzyzwoite słowo, którego ja z zasady nie uży-
wam. A może już tak straciłem wyczucie języka? No dobra,
Tobie to napiszę: to jest po prostu .up.

* * *

Nicole chwyciła swoją zabawkę z pełną entuzjazmu ciekawością młodych ludzi. Kiedy dotarliśmy do hotelu Yvett's na Place de la Convention i zostaliśmy sami w pięknym paryskim apartamencie z szerokim łóżem i bidetem za przepierzeniem, wyciągnęła paczuszkę, którą przemyciła do kraju miłości z toronckiego Lovecraftu. Zawierała dwanaście prezerwatyw. Stałem nad tymi apostołami oczywistej rozpusty, rozłożonymi na niemałżeńskim łóżu, a wstrętne, gumowe brodawki, którymi były usiane, budziły we mnie mdłości.

– Fe, Ireno! – powiedziałem do dziewczyny, która skromnie stała obok swej wystawy w supereleganckim kostiumiku specjalnie wyszykowanym na wycieczkę do Paryża. Była przekonana, że zrobiła mi niekonwencjonalną przyjemność. – Co to jest?

– Kondomy.

– Ja myślałem, że pogładowe pomoce do studiowania nowotworów złośliwych.

– *Are you kidding?*

– *Well, what do you think?*

Nie jest pewna, ale stwierdza:

– *You must be kidding.*

Jeszcze przez chwilę patrzę na te potworności i pytam:

– Nie bierzesz pigułki?

– Oczywiście, że biorę – nieoczekiwanie się czerwieni.

– To na co to jest? Przecież tylko możemy się skrzywdzić!

– *You know very well what they are for!*

– *Well* – odpowiadam. – To jest przeciwko zajściu w ciążę, a także chroni przed zarażeniem. Bierzesz pigułkę i o ile mi wiadomo, w Paryżu chcesz się kochać tylko ze mną. Chyba że tak nie jest?

– *It's supposed to be better with them on.*

– Ależ panno Svensson – mówię. – To służy przecież uaktywnianiu ciał zbyt odpornych na rozkosz. Ty nie jeździsz konno?

– Jeżdżę. A dlaczego pytasz?

Bez słowa na nią spoglądam. Chwyta sens i znów się czerwieni.

– Dziewczyńko – powiadam. – Czuję się jak staruch, który gorszy młodzież. Będziemy raczej chodzić do kina. Grają tu piękne, europejskie filmy: Resnais, Bresson, Visconti...

Pąsowa dosłownie aż po cebulki włosów zbiera swoje okropieństwa i upycha je do kuferka za trzysta dolarów.

– Albo będziemy sobie czytać. W końcu mamy *reading week*.

Bo tak właśnie jest. Irena powiedziała w domu – specjalnie ich to nie interesowało – że wyjeżdża na *reading week* na daczę w Góry Skaliste. Zamiast tego spotkałiśmy się na lotnisku i jumbo jetem przeskoczyliśmy przez ocean. Korzystamy z osiągnięć świata zachodniego i uroków ostatniej ćwierci wieku. Hotelik Yvett's jakoś mi przypomina daczę Rostii, miejsce nieudanych prób i skład niewykorzystanych prezerwatyw.

– OK – mruczy Nicole. – Nabijaj się ze mnie, a ja cię i tak kocham.

– *How nice* – odpowiadam. – Idź się umyć, przebrać, upudrować i ruszamy na podbój wieczornego Paryża.

Gdzie rozkosz nieba do nas się zbliża.

Posłusznie znika za przepierzeniem, przez które za chwilę wyfruwa kostiumik, siateczkowe *pantihose* i pozostałe, miniaturowe części jej uwodzicielskiej garderoby. Pluska woda. Czekam, czy nie zaszumi bidet, bo Irenę niewątpliwie ciekawi ten sprzęt, słabo znany nawet w najlepszych domach Toronto. Nie ma jednak odwagi. Możliwe też, że nie wie, do czego to służy. Bóg raczy wiedzieć, czy czytała *Zwrotnik Raka*. Jej wiedza i niewiedza bywają zaskakujące.

Wychodzi naga, znów się rumieni, ale idzie pewnym siebie krokiem, świadoma swych jędrnych kształtów i swego wyzwolenia. Z kuferka za trzy stowy wyciąga dwie inne drobnostki, wkłada je i przywdziewa bajeczny model od Altmanna z Nowego Jorku. Za uchem (już zbladło) kropi się duchami Piąta Avenue i już może zakosztować paryskiej rozpusty.

Siedzimy w Les Deux Magots. Opowiadam jej, że bywał tu też Hemingway. Irenka mówi:

– *I wish Wendy could see us here. Or Sharon.*

Panienka z Kostelca na tajnej wycieczce w Karlowych Warach. Życie jest międzynarodowe.

– Albo Rosemary – dodaję.

– *Oh, well...* – odpowiada niepewnie.

Wokół nas przy stolikach amerykańscy turyści i miejscowi, wyglądający chyba na artystów. Pijemy pernoda. W Paryżu jest niepowtarzalna wiosna, jej nastrój ogarnia zarówno Irenę, jak i mnie. Jak wspaniale siedzieć tu z tą piękną Skandynawką, która mimo swego ostentacyjnego bezwstydu w gruncie rzeczy wciąż jeszcze dziwi się życiu. Czuć zapach paryskiej benzyny. Nicole tu jeszcze nie była. Pojechała tylko raz do Kiruny. Ale Kiruna to nie Paryż.

– Przyjedziemy tutaj znów, dobrze? – mówi.

– Przecież dopiero przyjechaliśmy.

- Ale po prostu jeszcze raz. Potem...
- Po czym?
- Po naszym ślubie.
- Jest pani taka pewna, panno Svensson, że się z panią ożenię?

– Oczywiście – odpowiada Nicole. – Bo ja za pana wyjdę za mąż.

Mówi mi per pan tonem głosu. Uczy się. Zanim da mi kosza, może trochę ją wyszkolę w staromodnej sztuce konwersacji.

- W tej sytuacji to oczywiście postanowione.

Patrzy na mnie, a ja przeżywam coś w rodzaju cudu. Pernod na pusty żołądek? Czy też rzeczywiście szarymi oczami patrzy na mnie Marie Dreslerova, Irena, Lucie... Mówi się, że powroty na jawie do wyidealizowanego świata młodości są pierwszą oznaką starzenia się. W takim razie muszę być matuzalemem. Idealizuję nawet tę szwedzką Kanadyjkę. Patrzy na mnie figlarnie.

– Nie wydaje się, sir, żeby był pan z tego powodu szczęśliwy.

– Och, jestem – zapewniam ją. – *But it's too good to be true.*

– Będziemy interesującą parą. Każdy sobie pomyśli, że jestem pańską córką.

- Prawie wnuczką.

– Możliwe. Będą mówili: „Ma pan uroczą córeczkę, panie profesorze”.

- Śliczną lolitkę.

W świetle paryskiego wieczoru lśnią perłowe zębki, od dzieciństwa starannie pielęgnowane pastą fluorową.

- Na lolitkę jestem już za stara.
- Biedna staruszka!
- Dlaczego nie jesteś młodszy?
- A dlaczego ty nie jesteś młodsza?

– Nie mógłbyś się ze mną ożenić.

Jest ciepła noc, barwny kapitalistyczny tłum spaceruje po bulwarze. Pachnie pernodem. Obok nas przechodzi pan w cylindrze jak z Evelyną Waugha i para amerykańskich pijaków.

– Przyjedziemy tu znowu w podróż poślubną – mówi Nicole.

– Wykluczone. W podróż poślubną pojedziemy gdzie indziej.

– Dokąd?

– *Do you know Lovecraft?*

Znów pąsowieje.

– *Well* – odzywa się z wahaniem. – *I bought those at Lovecraft.*

Zaczynam się śmiać. Na skandynawskim czole pojawia się zmarszczka. Lolitka jest znów lekko obrażona, ale nie za bardzo. Śmieję się dalej.

– *What's so funny, wise guy?* – pyta poirytowana. – *Well, I'll give it to you. They are stupid. I'll throw them away.*

– Nicole – odzywam się. – W podróż poślubną pojedziemy w Góry Szaleństwa.

– *To the Mountains of Madness? Oh, I see.* – Znowu jest udobruchana, godzi się na grę w fantazję. Jednak w amerykańskiej literaturze nie jest jeszcze taka mocna. – *OK. Where are the Mountains of Madness?*

– Znacznie dalej niż Paryż.

– Gdzie?

– Na Antarktydzie.

Czuje się rozczarowana.

– Ale tam nic nie ma – mówi. – Kathleen Young tam była z rodzicami. Tam jest tylko śnieg i stacje meteorologiczne. No i pingwiny. *They are funny* – zgadza się. – Ale poza tym nic. Jeżdżą tam ludzie, którzy już wszędzie byli, żeby mogli powiedzieć, że byli również tam.

– Kathleen Young nie była aż w Górach Szaleństwa.

– A gdzie one są?

– Na południe od bieguna południowego.

Rozczarowanie mija. Nicole nagle przypomina sobie, co im mówiłem na zajęciach.

– Ty masz na myśli Symzonię? Ten tunel, który ciągnie się wzdłuż ziemskiej osi? Przez który Ocean Atlantycki wlewa się do Morza Północnego?

– Ma pani piątkę, panno Svensson. Tylko że żadnego tunelu tam nie ma.

– Pan Pym go widział na własne oczy!

– Ale pan Verne, który ruszył śladami pana Pyma, go nie zobaczył.

– Może był tak spostrzegawczy jak Kathleen Young, która widziała tylko pingwiny. – Nicole jest młoda, piękna i wolna. Zupełnie nielogicznie przychodzi mi do głowy Nadia. I inne dziewczyny z Kostelca. Nigdy nie były w Symzonii. – Gór Szaleństwa Kathleen też nie widziała.

– Pojechała z biurem podróży.

– A my jak pojedziemy?

Kawiarnia Les Deux Magots pęka w szwach. Zamawiam następnego pernoda. Alkohol i literatura, dwoje najlepszych przyjaciół. Przyjaciół, którzy niszczą. Wokół krążą duchy: biedny Scott, łatwy do zranienia Hem, Bill tylko na chwilę, obcy poezji tego miasta, szalony Ezra, egoistyczny Joyce, lesbijka Gertruda. Wszyscy piją. Duchy Paryża powstały z martwych. Siedzą z nami... Biedaczka Nadia też... zamiera w zachwycie... toczy wokół siebie płonącym wzrokiem jak Ligeja... Och, jak tu pięknie!

– Chciał tam jechać Hawthorne. Szkoda, że nie pojechał. Hawthorne może dotarłby do Gór Szaleństwa.

– Pojedziemy z Hawthorne'em? – pyta niecierpliwie Irena. – W duchu z Hawthorne'em?

Przecząco kręcę głową.

– *No. With Lovecraft.*

– *Stop it!* – gniewa się. – Tak przyjemnie sobie rozmawiamy! Ja już nigdy nie pójdę do Lovecraftu, skoro nie chcesz. *And that's a promise.*

– Panno Svensson, panno Svensson – kiwam smutno głową. – Miała pani piątkę i nawet pani nie wie, że Lovecraft był amerykańskim pisarzem.

– *Really?* – wytrzeszcza na mnie niewinne oczy.

– Ma pani dwóję.

– Idę wprost do hotelu i zacznę czytać. W ogóle się stamtąd nie ruszę, tylko będę czytała. *After all, this is the reading week* – obiecuje. – Proszę, panie profesorze, kto to był Lovecraft?

– Taki pisarzyna – mówię. – Naśladowca Poe'go. Autor makabresek. W całym swoim życiu napisał właściwie tylko kilka genialnych stron. Wyłącznie jedną scenę...

– O czym?

Dostrzegam, że artyści z okolicznych stolików, czy kto to tam jest, zauważają moją Skandynawkę. Ich artystki dostrzegają nowojorski model stroju. Ja nieustająco chłonę jej piękno, smutne jak każde piękno, bo nie jest wieczne. Chyba że Irena przemieni się w literaturę. Ona z pewnością się przemieni. Nawet na literackiej pustyni Kanady musi się w końcu znaleźć pisarz, który zrozumie, że Irena jest w Kanadzie najważniejsza. W każdym kraju. Na całym świecie.

– O czym?! – nalega spragniona Irena.

Widzę fioletowe góry, są jeszcze dalej, za Górami Szaleństwa.

– Lovecraft był jedynym człowiekiem, który kiedykolwiek odwiedził ziemie na południe od bieguna południowego i wrócił. Przeleciał przez Góry Szaleństwa aeroplanem. My tam polecimy za nim. Tam jest ta ziemia, której

szukał biedny Poe, do której dotarł biedny Pym, do której przeniknął kapitan Guy. Daleko na południe od Wysp Kerguelena. Dotrzemy tam, droga Irenko...

– Aeroplanem?

– Na przykład aeroplanem... przez Morze Ostrygo-we...

Trzy pernody na pusty żołądek dokonały we mnie znacznego spustoszenia.

– *Shall we go?*

Shall we?

We shall...

* * *

Frank siedzi w rogu między wieszakiem a schodami prowadzącymi do toalety, które również są udekorowane wstążeczkami. Razem z nim ponury mąż pani wydawczyni.

– Cześć, Frank? Jak leci?

– Szkoda gadać.

– Jesteś jeszcze w...

Jakbym już tego nie słyszał. Przecież nie tak dawno go wiozłem. Trzy miesiące temu? Życie w kapitalizmie się zagęszcza. Tutaj tyle się dzieje.

– Przecież mówiłeś, że masz dżob...

– A, tam?... Już dawno tam nie jestem.

– To gdzie teraz jesteś?

– Chwilowo nigdzie.

Nie chcę go wypytywać.

– Towarzysze go prześladowają – odzywa się mąż wydawczyni. – Jak mnie. Tylko że mnie tacy słabi towarzysze.

– Obraziłeś liberałom Lenina, Frank?

– Obraził im żonę przewodniczącego – odpowiada mąż. – Powiedział o niej, że jest, za przeproszeniem, krowa.

– A nie jest? – Frank prawie wpada we wściekłość. – Ktoś na Florydzie do niej zatelefonował, że ją spierze po pysku. A co ona na to? Ja tych ludzi nie rozumiem, mów! Tak powiedziała w wywiadzie. Ten bolszewik Castro, z którym ona tydzień wcześniej się obściskowała na Kubie, wypędza ludzi z kraju, a ona mówi, że ich nie rozumie! To jest krowa czy nie jest? Jeszcze w dodatku z kurzym mózdzkiem!

Frank jest podobny do bardzo smutnego basseta. Mąż wydawczyni dolewa wszystkim szampana, którego pełne butelki stoją wszędzie wokół, jakby pan Zwynatch miał hurtownię win.

– Mnie z kolei się czepiają, że rzekomo byłem towarzyszem – mówi mąż. – Słuchajcie, jak im udowodnić, że nie byłem? Myślicie, że potwierdziliby mi to w ambasadzie?

– Kto się pana czepia? Liberałowie?

– Nie, jacyś ludzie stąd.

– Ambasada ci tylko może zaszkodzić, Berto – mruczy Frank.

– Jak udowodnić, że człowiek kimś nie był? – medytuje mąż. Nagle wzdryga się. – Widzicie go?! – kiwa głową w stronę baru, przy którym stoi mniej więcej trzydziestopięcioletni facet w ewidentnej peruce i niezwykle pewnym siebie tonem rozmawia po angielsku. – Sejmur – mówi cicho mąż.

– Sejmur?

– No, Pomajzl. Honza Pomajzl. Zmienił sobie nazwisko na Seymour. Napisał list do prezydium, ale na szczęście sekretarzem jest tam bardzo przyzwoity człowiek, dawny więzień polityczny, więc dał mi to przeczytać. Panie profesorze, ja myślałem, że jestem w Pradze!

– Co mu pan zrobił?

– Ja nic, ale żona. Powiedziała Pomajzlowi, że lepiej rozumie przyzwoitego komunistę niż takiego niby de-

mokratycznego bydlaka. A on to zacytował, żeby pokazać, że jest bakałarz sztuki. „Przyzwoity komunista to *eiaculatio in adiecto*, co rzuca jasne światło na ciemną przeszłość polityczną pani edytorki”.

– A jaką ona miała przeszłość polityczną?

– Żadnej! Śpiewała w jednym nocnym lokalu. Ale tutejsi towarzysze, to znaczy niektórzy tutejsi panowie, nie mogą jej wybaczyć, że z powodzeniem udaje jej się prowadzić wydawnictwo, chociaż ich zdaniem jest skażona komunizmem. Z kolei ja byłem w kraju reżyserem. A Seymour napisał, że jeśli komuś pozwolili reżyserować, to musiał być partyjnym komunistą. On o tym wie, bo tam jeździ.

Oglądam się w stronę Seymoura-Pomajzla. Jest bardzo wyelegantowany. Peruczka na miarę, leżąca jak ulał, luksusowe zęby, marynarka z pewnością nie od Simpsona. Widywałem takich towarzyszy. W garniturach od najlepszych praskich krawców debatowali w klubie pisarzy o walce klasowej, przegryzając darmowymi parówkami.

– Ale sam to Andrlemu włożył w dupę – buczy Frank.

– A ten Andrle nie tylko komuch, ale w dodatku jeszcze Żyd.

– Ale to był światowej sławy wirtuoz – mąż na to. – Moja żona taka nie jest, a ja, jak wiecie, jestem zaopatrzoniowcem u Eatona.

– Partia zawsze pieczołowicie rozróżnia – znów się odzywam.

– Ten Andrle to był właśnie dokładnie taki komunista, jakich moja żona lubi – ciągnie mąż. – Po prostu przyzwoity facet. Można z nim było pożartować. A z Seymourem to można mniej więcej tak jak dawniej z towarzyszem Kralem z partyjnego wydziału kultury.

Patrzy nienawistnie w stronę peruczki, konwersującej płynnie po angielsku z panem Murkiem, który mówi mniej więcej w stylu Hymana Kaplana.

– Napiszcie im to. Że kiedy pańska żona wypowiedziała te słowa, miała na myśli pana Andrlego, który dostał Order Kanady.

Mąż macha ręką.

– Ja się nie będę zniżał do jakichś listów. Na szczęście w prezydium jest więcej demokratów niż towarzyszy. Ale chodzi mi o żonę.

– Ją wspierają czytelnicy, nie? A wśród czytelników zbyt wielu towarzyszy nie ma. Towarzysze nie czytają, tylko zatruwają powietrze. Czy pańska żona ma Seymoura na swojej liście odbiorców?

– Oczywiście, że nie. Ale Bożka jest taki nerwus. Wszystkim się strasznie przejmuje. Co tam wydawnictwo. Ono wytrzyma. Ale żeby wytrzymała jego właścicielka – mówi ponuro mąż i zanurza nos w kieliszku szampana. Potem znów na mnie spogląda smutnym wzrokiem.

– Więc pan też myśli, że na ambasadę nie ma co liczyć?

– A nie ma na Zachodzie kogoś z dawnej organizacji partyjnej z pańskiego teatru? Kogoś, kto by potwierdził, że nie był pan u komunistów?

– Jest jeden technik od świateł. Teraz pracuje jako lokejszn menedżer w Hollywood. Ale ten powiedział – kiwa głową w stronę Seymoura – że komuniści nie są wiarygodnymi świadkami. Że dla nich nawet zeznanie pod przysięgą to tylko świstek papieru.

Howard Seymour. Jego zęby to rzeczywiście doskonała robota. Ale coś wcześniej musiał je naprawiać. Uciekł, kiedy miał osiem lat. Gdyby stary Pomajzl został w kraju...

– Cóż, chyba istotnie ma pan problem – odpowiadam mężowi wydawczyni. – Udowodnienie, że się kimś nie było, jest z reguły trudniejsze niż na odwrót. No a pan tam pracował, czyli kolaborował. Tymczasem

towarzysz Seymour-Pomajzl tylko jeździ tam wydawać twardą walutę. *C'est la vie*.

Z tłumu wyłania się blady magister Maslo z wielką muszką. Frank macha do niego. Nie przestają na niego polować. Niedawno wypuścili go ze szpitala, ale krótko potem patrol Królewskiej Policji Konnej znalazł go związanego w zaparkowanym samochodzie. Właśnie chcieli go zabić czechosłowaccy agenci, ale *mounties* ich wypłoszyli, więc dzięki Bogu ocalał. Żyjemy w niebezpiecznym świecie.

* * *

Agencja Reutersa:

Do listy nazwisk pisarzy, którzy popełnili samobójstwo po radzieckiej agresji na Czechosłowację, trzeba dopisać kolejne nazwisko. 28 sierpnia 1972 roku poeta Jan Prouza został znaleziony martwy w swoim mieszkaniu. Popełnił samobójstwo przez powieszenie. Droga literacka tego dość mało znanego opinii publicznej pisarza charakteryzowała się dużą liczbą konfliktów z oficjalnymi władzami kultury. Zaczęły się one już w 1955 roku, kiedy Prouza wydał tomik poezji zatytułowany *Miłosne osobliwości*, a nasiliły się w 1970 roku, kiedy pisarz został aresztowany i był przez krótki czas więziony za podpisanie petycji, domagającej się zwolnienia kilku uwięzionych zwolenników A. Dubčeka. Bezpośrednia przyczyna samobójstwa nie jest znana. Wydaje się, że Prouza nie pozostawił żadnego listu pożegnalnego, o ile takiego dokumentu nie skonfiskowała policja.

* * *

Weszła do przedziału w zielonym kapelusiku i białej sukience – cycata, piękna blondyna o oczach jak niezapominajki i zaróżowionych policzkach.

– Cześć, Ilsa! – przywitałem ją radośnie. Góralskiej twarzy nie ozdobił jednak uśmiech, który wcześniej zawsze odślaniał jej zdrowe, troszkę końskie zęby.

– *Ach, du bist...*

– *Ja, ich bin* – odpowiedziałem.

– Jest tu *frei*? – spytała absurdalnie, bo przedział zionął pustką i śmierdział cygarem, które dostałem poprzedniego dnia od Przemy z jakichś tajnych zapasów jego taty. Mimo to się rozglądała.

– To z ciebie się zrobiła Niemka, Ilso – stwierdziłem.

– Ja do ciebie cześć, a ty...

– Ja jestem Niemka – odparła. Usiadła, założyła grubą nogę na nogę i ostentacyjnie wyciągnęła z torebki broszurkę. Miała tytuł pisany tak ortodoksyjnym gotykiem, że nie potrafiłem go odcyfrować.

– Co ty czytasz?

Bez słowa przytrzymała mi książeczkę przed oczami. Sylabizowałem tytuł jak w jakimś rebusie.

– *Vom... Kaiser...hof... bis... zur... Reichs...* To w niemieckim gimnazjum jakaś lektura obowiązkowa?

– Czytam to, bo chcę to poznać – oświadczyła patetycznie. – To jedno z podstawowych dzieł narodowego socjalizmu.

– To rzeczywiście... musi być ciekawe.

– Bardzo – ucięła i pogrążyła się w lekturze. Zauważyłem jednak, że niezapominajki są nieruchome.

– Ty, nie czytaj – powiedziałem. – Popsujesz sobie wzrok. Tu jest nadymione. Raczej pogadajmy. Tyle czasu się nie widzieliśmy.

Najwyraźniej też wolała pogadać, ale jeszcze przez chwilę wpatrywała się w gotyk. Potem niezapominajki zwróciły się w moją stronę.

– Ty ciągle chodzisz do be?

– Nie, teraz chodzę do a. Przeniosłem się z powodu angielskiego. W be od kwinty zaczął się francuski.

Uśmiechnęła się jakby karcąco.

– Anglofil.

– Ja wyłącznie z powodu jazzu.

– To jedno i to samo.

Jej czeski mnie ucieszył. Ilse była brunhildą, sudecką Niemką, ale nasz język znała doskonale.

– Tobie się jazz nie podoba?

Pokręciła przecząco głową.

– A przecież się podobał!

– Miałam zły gust. Teraz huczy mi w uszach. Nie da się ukryć, że to murzyńska muzyka.

– To prawda. Ale Murzyni to świetni muzycy.

Wzruszyła ramionami.

– Jeszcze gra z wami ten Żyd?

– Benno?

– Tak, on.

– Gra. Najlepszy trębacz w całym województwie!

– A wciąż jeszcze chodzi do gimnazjum?

– Tak, ale miał problemy. W zeszłym roku dostał trzy poprawki.

– Miałam na myśli, czy wciąż jeszcze wolno mu chodzić do gimnazjum?

Niezapominajki były lodowate. Zrobiło mi się od nich zimno. Co się stało z Ilse? Taka całkiem fajna dziewczyna. Dawała mi odpisywać zadania z matmy. Co się z nią stało?

Było to jednak pytanie retoryczne. Wiedziałem, co się stało. Tylko nie wiedziałem, że stało się to naprawdę.

– Ilso, nie wygłupiaj się! – powiedziałem.

– Co takiego?!

– Żebyś się nie wygłupiała. Przecież jesteś z Kostelca!

– Ja cię nie rozumiem! – Podniosła swojego Goebbelsa i wpatrzyła się swymi niezapominajkami w jakieś bardzo szpiczaste, ostre „S”.

– Posłuchaj, przecież też tańczyłaś przy swingu. Nawet jak go grał ten Żyd Benno.

– Nie będziemy o tym rozmawiać – odparła sucho.

– Posłuchaj, Smirzicky. Ja jestem narodową socjalistką. Człowiek się zmienia. Zrozumiałem wiele rzeczy, które wcześniej nie były dla mnie jasne. Urosłam ideologicznie...

– Ja też – stwierdziłem.

Przerwała zaskoczona.

– Co masz na myśli?

– Urosłem przynajmniej o metr.

– Mów poważnie, dobra?

Niezapominajki wyglądały jak lodowce.

To się naprawdę stało!

Pociąg się zatrzymał. Opočno.

– Ty, Ilso, pamiętasz?

Nic nie odpowiedziała. Ale ja pamiętałem. Jak się zakochała w Jarku Pile z Opočna. I jak dla niego przebarbowała się na blond, bo Jarek powiedział, że woli blondynki. Wciąż miała blond włosy. Oczami pokazałem na jej głowę.

– To wciąż dla Jarka czy bardziej ci pasuje do twojej rasy?

Poczerwieniała.

– Jesteś wstrętny! A jak będziesz mnie dalej prowokował, to...

– To co?

Dyżurny ruchu gwizdnął i pociąg znów ruszył.

– Radziłabym ci uważać – stwierdziła Ilse. – Rzesza prowadzi wojnę i z pewnych spraw się nie żartuje.

– Z Jarka Pili?

Zrobiła się już całkiem pąsowa.

– Ja wiem, że się z nim rozstałaś, bo jest Czechem – skłamałem. Trochę się bowiem przestraszyłem. W rzeczywistości to Jarek się na nią wypiął, bo miał do wy-

boru przynajmniej trzy ładniejsze. – Było mi z tego powodu przykro, bo stanowiliście ładną parę. Ty taka *rassig* Niemka, a on z tym krzywym nosem...

– Nie miał krzywego nosa! – zaprotestowała gwałtownie.

Ja też to wiedziałem. Spojrzałem prosto w niezapominajki.

– Ilso, przecież jesteście starzy kumple, nie?

Ktoś zastukał w przeszklone drzwi. Odwróciłem się. Esesman jak byk, jak z obrazka.

– *Fräulein Ilse!* – odezwał się radośnie i wszedł do środka.

– *Herr Scharführer!*

Ilse wstała i zahajlowała. No coś takiego! Esesman usiadł i zaczęła się żywa konwersacja. Dowiedziałem się coś niecoś o życiu w Paryżu, choć oczywiście nie erotycznym. Słuchałem i jednocześnie wspominałem Ilse, jak stała zapłakana z pocieszającą ją Dadką Harbmanową przy drzwiach dziewczęcej toalety, bo Jarrek Pila szczyrzył zęby (już wtedy trochę pociemniałe od papierosów, chociaż był dopiero w kwincie) do jakiejś Isi z tercji. Jak całkiem nowe blond włosy Ilse lśniły w południowym słońcu, ale na nic to się jej nie przydało. Zastanawiałem się, czy nie wtrącić się po czesku do ich rozmowy, żeby speszyć Ilse, ale w końcu tego nie zrobiłem. To już nie była ta Ilse. Była to jakaś sztuczna kobieta, w dodatku obok ten esesman. Oczywiście miałem też trochę pietra. Pociąg zatrzymał się w Jaromierzu, a ja wysiadłem. Powiedziałem tylko: – *Grüss Gott, Ilse!* Esesman spojrzał na mnie, a Ilse nic nie odpowiedziała. Tylko w niezapominajkach dostrzegłem tak wielką przepaść, że już nigdy w życiu jej nie pokonałem.

Drogi Danny,

Myślałem, że wpadnę do ciebie do Kanady, ale nie udało mi się z forszą, więc pojechałem prosto do domu. Jednak nie do Sydney, bo tam chyba nie dostałbym dobrej roboty, tylko do Darwin, jeśli wiesz, gdzie to jest. To nowe miasto w North West Territories i dużo się tu buduje, a ja pracuję w constructions. Zarabiam nieźle, ale sporo przepijam, bo tu jest gorąco jak w piekle. Od czasu jak wyjechałem, bardzo się tu podniosły ceny, więc niedługo pewnie człowieka będzie stać na mięso tylko w niedzielę, na deser. W tawernie mówiłem o tym krytycznie, więc jestem teraz dla tutejszych Czechów podejrzany, a w dodatku byłem tak długo w kraju. Ale nie dziw się, na głupotę nie mają monopolu tylko komuniści. Jak pewnie czytałeś, wygrała tutaj Labour, co mnie dosyć cieszy, bo wreszcie zaczęli nam dawać jakieś ubezpieczenie społeczne, które u nas było już 50 lat temu, ale tutaj dopiero je wprowadzają. Tylko że powinni jeszcze zatrzymać tę inflację. Od czasu, jak mnie tu nie było, piwo podrożało z 25 na 35 centów, za norę jak dla służącej muszę tu płacić 15\$ tygodniowo, a mięso to już powoli będę jadł jak w Europie, raz na jakiś czas, dla smaku. No ale zapomniałem ci napisać, że mnie wyrzucili z kraju, a właściwie powiedzieli, że mam wybierać: albo brytyjski poddany, albo obywatelstwo czechosłowackie. Ktoś w fabryce na mnie doniósł, że coś krytykowałem, więc mi na policji powiedzieli, że jestem osoba niepożądana, chyba żebym się zrzekł brytyjskiego obywatelstwa. Ale na to nie dałem się nabrać, bo od razu mogliby mnie wsadzić do pierdła za krytykę. No to mi dali 48 godzin, że nawet nie zdążyłem się pożegnać, tylko wpadłem do taty i mamy na grób. Mama już też umarła, ale wydaje mi się, że ci postałem nekrolog. Trafił ją szlag, więc miała lekką śmierć. Wtedy jeszcze mi się wydawało, że już tam zostałem. Więc w sumie się nawet cieszę, że umarła. Była już dość stara, miała 82 lata, więc gdyby się dowiedziała, że mnie wy-

rzucając z kraju, to i tak by tego nie przeżyła. Zdążyłem jeszcze tylko wpaść do Marii, która prosiła, żeby cię pozdrowić. A potem wsiadłem w pociąg do Chocnia i dalej przez Brno do Austrii i do Triestu.

Pogoda jest tu ładna, tylko koszmarnie gorąco, ale po robocie siadam na rower i jadę na plażę, a wieczorem do tawerny. Czechów tu zbyt wielu nie ma, a w dodatku jeszcze mnie podejrzewają, że jestem komunista, więc za bardzo się z nimi nie spotykam. Tak jest najlepiej. W Kostelcu najbardziej się kolego wałem z Leneczkiem. On jest żonaty, ale niespecjalnie mu się układa, więc się cieszę, że zostałem kawalerem. Myślę, że będę pracował mniej więcej do stycznia, a potem sobie wezmę urlop i znowu wyskoczę na Hawaje. W kraju już nie mamy czego szukać, przyjacielu. Odzwyczailiśmy się siedzieć na tyłku i trzymać głowę na kłódkę. To już nie dla nas. Ale byłoby świetnie, gdybyś kiedyś mógł tu przyjechać. Finansowo chyba byś jakoś dał radę, skoro jesteś profesor. Pogadalibyśmy sobie o starych czasach. Wydaje mi się, jakby to było 1000 lat temu, a naprawdę to nie ma jeszcze nawet 30. Aż mi się w to nie chce wierzyć. Ale jak nie dasz rady przyjechać, to chociaż napisz.

Przyjmij serdeczne pozdrowienia.

Twój stary kumpel

Przema

* * *

W Colonial Tavern tradycyjny amerykański półmrok. Nie wiem, dlaczego lubię to miejsce. Przecież tak tu łatwo pomylić drobne na napiwek. Przy fortepianie siedzi Erroll Garner i wyczynia cuda. Fortepian brzmi jak elektrownia atomowa. Ogromne ręce Garnera wydobywają z niego wielkie rytmiczne bloki, z dudniącym basem, wplecionym w gałązki ozdobników, harmonii i *blue notes*. Powoli upijam się przy barze i jest to w sumie całkiem normalne, że tu siedzę ja, a tam gra legenda. Jestem właściwie szczęśliwym człowiekiem.

W pewnej chwili dostrzegam go kątem oka i przeszywa mnie stare wspomnienie. Takie samo zaskoczenie. Goguś w tweedzie od Harrisa, wymodelowane włosy, spryskane dry lookiem. Gdyby Garner wiedział, dla kogo gra. Ale nie wie. *Ain't Misbehavin'*. Przechyliam się z barowego stołka w stronę Uhera.

– A kuku!

Wzdryga się zaskoczony. Ja też wtedy się wzdrygnąłem, aż oblałem sobie spodnie. Goguś. Bikiniarz Uher.

– Sie masz! – odpowiada.

– Ty podobno jesteś martwy, człowieku?

Uśmiecha się kwaśno.

– I bym o tym nie wiedział?

– Zdarzają się takie przypadki, że ktoś już nie żyje i o tym nie wie.

– Tak? To widocznie jestem takim przypadkiem.

Patrzą na niego. Ma na twarzy opaleniznę z Florydy. Prawdziwą. Nie z jakiegoś solarium.

– Młodzi z bezpieki wspierają Pavla – medytuję. – To tak się opaliłeś na Syberii?

Ocenia mój stan.

– Co ty masz w głowie?

– Mózg.

– A w mózgu alkohol.

– A w alkoholu wspomnienia. Różne dziwne. Co tu robisz i dlaczego nie zostałeś zlikwidowany?

– Nie polegałbym na emigracyjnych plotkach.

– Aha – odpowiadam. – Czyli to, że wspierałeś Pavla, to są albo plotki, albo tam byłeś jako...

Przerywa mi:

– Raczej sobie słuchaj muzyki. Zawsze to lubiłeś, nie?

– I spogląda na Murzyna przy fortepianie, który siedzi na książce telefonicznej i wygląda jak pomalowany na czarno Żyd z antysemitycznej karykatury. Gdyby tak w Kanadzie rządził towarzysz Jodas...

– Wszystko ma swój czas – ciągnę dalej. – Albo tam byłeś jako ubek.

Znów mnie badawczo obserwuje, jak kilka razy wcześniej w moim życiu. Bar otaczają popijający Kandyjczycy, Murzyn z piegowatą panienką, kilku podpitych Babbittów w fezach Shrinerów. W intensywny sposób uświadamiam sobie równoległość światów. Irenka pochłaniająca ostrygi w Paryżu i Uher w tweedzie od Harrisa, ta komórka rakowa przechodząca metastazę tu, w Colonial Tavern, obok sympatycznego Murzyzna i białej panienci z *women's lib* – to jest nasz świat, nasz, czyli ludzi doświadczonych przez życie, a nie świat niewiniątek.

– Jesteś pijany – mówi Uher. – Ja tak tego nie nazywam, jeśli już chcesz o tym mówić, zamiast słuchać tego wielkiego jazzu. Pavel po prostu chciał się mścić. Dlatego ludzie, dla których ważna była sprawa, musieli działać.

– Na kim się chciał mścić? Na tobie?

– Chciał wyrównywać swoje rachunki.

– Jeszcze z Hiszpanii, tak?

Przez chwilę nic nie mówi, a potem odpowiada:

– Po co ja z tobą rozmawiam? Wybrałeś emigrację, to nie mamy o czym mówić.

– Mylisz się, ubeku!

W twarzy drga mu jakiś mięsień. Zapewne nie lubi tego epitetu. Ale znów nic nie mówi, więc kontynuuję ja:

– Rachunki... Te szubienice! Takich rachunków to człowiek nie jest w stanie wymazać z pamięci. To jest ludzkie, nie?

– Ludzkie jest nie tracić perspektywy.

– To jest nieludzkie. *Errare humanum est*, ojczyźnie wielbny. Ale ty się nigdy nie myliłeś.

Wzrusza ramionami.

– Ty też nie – odpowiada. – Każdy z nas ma swoją prawdę i jak widzę, każdy swojej pozostał wierny.

– Co ty wiesz o mojej prawdzie?

– Jesteś tutaj. To dość znaczące.

– A wiesz, dlaczego tu jestem?

– Podążyłeś za swą prawdą.

– Ty głównie wiesz – mówię, a Garner zaczyna *Beale Street Blues*. – Uciekłem przed waszą prawdą, bo ona na swoim podwórku nie zniesie żadnej innej.

– Bo prawda może być tylko jedna.

– Też ci dopiero prawda – stwierdzam. – Tylko że prawda musi być troszkę pojemniejsza niż ta twoja.

Krzywi się ironicznie.

– Prawda bez czynów jest martwa.

Teraz ja się krzywię.

– Widzę, że o seminarium już zapomniałeś. Nie chodzi o prawdę. Wiara! Czyny prawdę raczej zabijają.

Zsuwa się z barowego krzeselka, przeciąga się.

– Pójdę już sobie. Cześć!

– Jeszcze nie odchodź – proponuję. – Powiem ci, co o tobie wiem, co mogłoby zainteresować twoich kanadyjskich kolegów.

Zatrzymuje się, ale nie daje niczego po sobie poznać. Potem tyłkiem powoli wsuwa się z powrotem na krzeselko. Barman pyta: *More of the same?*

Uher potakuje.

– Nie wiem, czego tu chcesz – mówię z naciskiem. – Ale ja cię tu nie chcę. A są tu też ludzie, którzy cię jeszcze lepiej znają. Pamiętasz majstra Vachouszka?

Jak go wciągnął w pułapkę. Te jego gadki o perspektywach i prawdach, i czynach... Wciągnął majstra w morderczą pułapkę i doskonale wiedział, że jedyne drzwi z niej prowadzą na dziedziniec z wieszakiem. Tak samo wiedział, że *double agent* zginie niezależnie od tego, czy go majster Vachouszek trafi, czy nie.

Ale w nocy przyprowadził do niego księdza Huniaka.
A mnie w pociągu ostrzegł.

A na dachu Empire State złapał mnie w pułapkę.
Gdyby nie dziadek Szkvarzilik...

– To o nim zapomnij...

– Nie wiem, co masz na myśli...

– Zapomnij o Vachouszku i idź. Odejdź! Odejdź,
bo na widok twojej gęby robi mi się niedobrze.

Waha się. Nie wie, co ma robić. Tutaj nie jestem już
w jego władzy. Tutaj już nie. Zna mnie na tyle, by wie-
dzieć, że mnie nie kupi. Ani za pieniądze, ani za te gad-
ki: socjalizm i tak dalej. Wie też, co o nim myślę. Ale
jestem mieszczuch. Nie potrafię w uczuciach przekroczyć
granic, które...

– Spadaj! I napisz o mnie meldunek do Pragi, jak
się upijam w Colonial Tavern przy dźwiękach jazzu.
Z obrzydzenia. Ale nie do swojego losu. Do takich lu-
dzi jak ty!

Wstaje.

– Nie chciałbyś się spotkać?

– Spotkać?

– Jak będziesz trzeźwy. Żebyśmy sobie o tym poroz-
mawiali.

– Spadaj, ubeku!

Wzrusza ramionami i wychodzi. Kolorowe światła
migają na jego dry looku. Erroll Garner wbija kliny ryt-
mu pomiędzy akordy.

Wiem, że na niego nie doniosę. Nie potrafię. Biedne-
mu majstrowi już w ten sposób nie pomogę. A jak nie
on, to ktoś inny. Chce mi się za nim zawołać: Uher, ty
bydlaku! Co z ciebie za ubek? Żeby mnie ostrzegać?
Przyprowadzać w nocy księdza? Dlaczego nie jesteś
taki, jak powinienes? Żebym miał pewność...

Ale czy to ma znaczenie?

No i dobrze jest.

– Były takie przypadki – opowiadał zielony facet – że pogrzebany za życia przez pół roku żywił się robakami. Woda do niego przesiąkała, z tym nie było problemu. Chodziło o żarcie, panowie, a tam były tylko robaki. Czasem najwyżej jakiś kret...

– A gdzie srali, ty baranie? – spytał napastliwie Kos.

– No, to było najgorsze – odparł Vożenil. – Ile razy było tak, że jak takiego wykopaliliśmy, to leżała cały obłożony swoimi gównami z tych strawionych robaków...

– Ty bawole! – ryknął Malina.

– A niektórym czasem udawało się przekopać do innych trumien. Wtedy miały miejsce przypadki zjadania nieboszczyków. Jednego wykopaliliśmy całkiem spasionego. Zjadł własną żonę i dziadka. Wszyscy zginęli naraz, bo się zatruli grzybami, ale on był odporny na tę grzybową truciznę i w jego przypadku śmierć była tylko pozorna.

– Ty rododendronie!

Do opowieści Vożenila nie dało się już stosować wyłącznie zoologicznych terminów. Chyba sam to zauważył, bo niepewnie spojrzał na wrzeszczącego Malinę.

– Jak nie chcesz, to nie wierz.

Zapalił nowego skręta z gazety i nasze nosy zaatakował smród. Ale to może ktoś obok w kabinie akurat się załatwił? A może kończył się domowy nibytytoń i Vożenil palił końskie łajno? W jego przypadku wydało mi się to zupełnie możliwe.

– Co się stało z tym kanibalem? – spytał chłopak z lakierni.

– Powiesili go – odparł człowiek z chlorofilu. – Za kanibalizm jest kara śmierci.

– Ty palmo! – zawył całkiem wyczerpany Malina. – Skoro się przekopał do innych trupów, to dlaczego nie wylazł na wierzch?

– Pod ziemią człowiek traci orientację. Były przypadki, że znajdowaliśmy pochowanych za życia, wtedy już oczywiście martwych, co się wkopali nawet dwadzieścia metrów pod ziemię, zanim wykorkowali. Pod ziemią nie możesz rozpoznać, gdzie jest góra, a gdzie dół, bo nie czuje się ziemskiego przyciągania.

– Ty kaktusie! – wściekał się Malina. – Jesteś głupi i śmierzisz chrzanem!

– To nie wierz – powiedział Zzieleniały. – Jak ciebie pochowają żywego, to zobaczysz, jak będziesz podgryzał korzonki.

– Ty ogonie! – wrzeszczał dalej Malina. – Skoro korzonki, to przynajmniej po nich poznam, gdzie jest góra, a gdzie dół. I wtedy wygrzebię się na górę, wylezę i dam ci po ryju!

– Niektórzy się zdołali wygrzebać – opowiadał dalej niezrażony Voženil. – Ale przeważnie ich zaraz szlag traśniał. Z powodu tych przeżyć. Jak cię raz pogrzebią, to już z tobą koniec. Możesz sobie tylko życzyć, żebyś był martwy.

* * *

– Ty, posłuchaj, to cię zainteresuje, młody człowieku! – Boczar czyta „Rude Pravo”. – Miłe pozdrowienia z twoich rodzinnych stron – mówi i czyta na głos: „ZDECYDOWANA ODPOWIEDŹ WICHRZYCIELOM. Do setek przedsiębiorstw, które wyraziły stanowczy sprzeciw wobec antysocjalistycznego paszkwilu tzw. Karty 77, dołączyła także KOVOTECHNA, przedsiębiorstwo państwowe w Kostelcu. Podczas masowego wiecu w wielkiej hali montażowej im. Klemensa Gottwalda cała załoga jednomyślnie podpisała petycję, w której pisze się m.in.: »Zdecydowanie potępiamy wywrotowe elementy, działające na szkodę naszego kraju! Żądamy ścisłego przestrzegania *Aktu końcowego z Helsinek!*«”

Boczar przerywa. – Do diabła! – Spogląda na mnie. – Czy to nie jest trochę jak Pytia, ten postulat? Ścisłe przestrzeganie... A może tu chodzi o jakiś sabotaż w tym twoim rodzinnym miasteczku?

Ibis redibis non moriaris...

– Nie zemdłał im tam ktoś?

– Co mówisz?

– Czy im ktoś nie zemdłał na tym wiecu?

– Tego tu nie piszą – odpowiada Boczar. – A jeśli nawet, to nie jest to ważne. Nie będzie częścią historii. Liczy się, że podpisali. A nie, że im zemdłał jakiś maruder.

Ibis redibis.

Powtarzająca się tragedia to fraszka.

Powtarzająca się fraszka to...

* * *

For he was a jolly good fellow,

For he was a jolly good fellow,

For he was a jolly good fellow

And let him rest in peace!

Chór śpiewaków z ontaryjskich osad skończył swoją pieśń i wznosi puchary. Na cześć Milana. W odróżnieniu od niemal wszystkich innych takich przypadków Milan podjął decyzję publicznie. Rozprzedał kosztowne wyposażenie swego mieszkania, łącznie z ajsziterem, i urządził party dla przyjaciół. Mnie też zaprosił. W końcu byłem świadkiem jego nagłego pojawienia się w kraju wolności, więc miałem również być świadkiem jego powrotu do kraju Račan i pilzneńskiego piwa. Szukał też Veroniki, ale dziewczyna nie odbierała telefonu.

Przyjęcie u Mourków było wspaniałe i nietypowe. Powracający zazwyczaj zabierają ze sobą oszczędności oraz aparatury kwadrofoniczne i inne cenne urzą-

dzenia. Milanowi jako powracającemu bardziej zależało na przyjaciołach niż na urządzeniach. Miał bowiem wrażenie, że ich jakoś zdradza. Oni natomiast myśleli tylko, że jest idiotą.

Impreza zbliżała się do smutnego końca, bo za dwie godziny miał wystartować czarter, a Milan medytował:

– Co mi się może stać?

– Nic. Tylko cię zamkną.

– Nie zamkną – stwierdziła Marilyn Postrzichovska.

– Wsadzą cię na parę miesięcy do obozu na resocjalizację.

– Jakoś przeżyję.

– Jeśli ci chodzi wyłącznie o przeżycie, to da się to zrobić prawie wszędzie.

Oczywiście chodziło mu o życie. Widziałem go już w samolocie, który wisiał nad Atlantykiem i było za późno, żeby coś zrobić. Klamka zapadła. Spełniony koszmar senny emigranta. Towarzysz Sedlaczek albo Prochazka, albo jakoś tak, rozdaje kwestionariusze do wypełnienia: z jakimi emigrantami obywatel(ka) się kontaktował(a)... którzy z nich są aktywnymi działaczami antyczechosłowackich organizacji... jakie tam pełnią funkcje... którzy z nich, zdaniem obywatela(ki), chcieliby wrócić... z którymi można by porozmawiać... Taki mały Instant Informer Course. Więc trzeba wpisać tego pana, który żartował z pilzneńskiego piwa, że musi być beczkowe, a nie z butelek, jak w Mourek Inn. I tego, który za dużo gadał, chociaż teraz zbyt często i przesadnie głośno zwraca się do wszystkich per „towarzyszu”. I tę tonącą we łzach panią. I tego przestraszonego, który w duchu powtarza sobie przygotowane usprawiedliwienia: bał się, że w Europie wybuchnie kolejna wojna, uległ wpływom wrogiej propagandy, szantażowi...

Budzę się z tego snu-koszmaru. Jest przerażający. Słyszę pana Szestaka:

– Nie, nie będą się z ciebie nabijać, nie bój się. Powiedzą: „No wiecie, on ma dwie lewe ręce, taki jest delikatniutki, a tacy to w kapitalizmie nie mają szans. Tam jest ostro, tylko dla ostrych chłopaków. Dobrze zrobił, że wrócił. Dla takich lebiegów to tylko Czechy, jedynie Czechy, jak znalazł...”.

Już się trochę napili i przestali być delikatni. Rozkręcili fachową dyskusję na temat uroków stacji i hoteli robotniczych, wspianego życia z dziećmi, rodzicami i dziadkami w dwóch pokojach z toaletą na korytarzu i absurdalnie małą wanną w kuchni, list obecności i meldunków, podań i kolejek po ogórki. Milan tak się urżnął, że musieli mu zamówić taksówkę. Dali taksówkarzowi dwie dychy i na lotnisko dowiózł praktycznie trupa. Pewnie się ocknie dopiero w Pradze. W przypadku egzekucji najgorsza jest przecież ta długa droga na szafot...

Zostawił nam jeszcze sto dolarów, więc whisky leje się strumieniami, zagryzamy sandwiczami i śpiewamy na całe gardło. Pan Szestak wali ozembuchem, a Marilyn prowadzi pierwszy głos:

*Właśnie z tego nastroju
wziął się swing, rytm spokoju!
Jako pierwszy na to wpadł...*

Ja nie piję i nie śpiewam. Zastanawiam się, czy też bym kiedyś wrócił, ale właściwie tylko po to, żeby o czymś myśleć. Wiem, że bym nie potrafił. Każdy powrót to złudzenie. Nie można dwa razy wejść do tej samej rzeki. *You Can't Go Home Again. Never So Young Again*. A ponieważ to wiem, nie cierpię na nostalgię. Bywa mi tylko smutno, ale przeważnie jest przyjemnie.

Przyjemnie? Ależ tak. Przypominam sobie Paryż w sześćdziesiątym ósmym. Staliśmy pod knajpą Les

Deux Magots, biedni jak ubodzy krewni, którym spłonał dach nad głową, a Milan K. powiedział: „Ja mam tylko nadzieję, że szybko umrę. Już dość było tego wszystkiego. Jak długo to mamy jeszcze wytrzymać?” Też poczułem pragnienie śmierci. *Deathwish*. Z teoretycznego, freudowskiego konceptu czołgi nagle uczyniły konkretne odczucie. Uspokoilo mnie to.

Jest mi przyjemnie smutno, bo już nie jestem zmęczony. Frazes. Zbyt wiele, jak na jedno pokolenie. Też frazes. W końcu mnie osobiście nigdy się nic takiego... Same frazesy. A jednak wszystko straciło swój sens. Nie dlatego, że wyjechałem. Raczej dlatego, że wszystko cofnęło się o dwadzieścia lat. Lecz moje życie nie może się cofnąć. Biologia, w odróżnieniu od historii, nie jest procesem odwracalnym. Powtórzona historia to fraszka. Zła fraszka, niczym z Georges'a Feydeau. Dzięki ci, Panie Boże, że biologia się nie powtarza.

Ale oczywiście wciąż wracam. Do Kostelca. Jednak mogę do niego wracać równie dobrze będąc w Kanadzie, jak w Pradze. W Kanadzie z większymi wygodami, w zaciszu dekadentckiej, antypolicyjnej demokracji. Kiedy usypiam, uświadamiam sobie wciąż obowiązującą moc innego frazesu. Jakże piękne jest życie, kiedy wszystko utraci sens i człowiek zaczyna żyć dla samego życia.

Może właśnie ten wielki historyczny krach jednego małego epizodu historycznego pomógł mi poznać tę mądrość. Nie utraciłem sensu życia, tylko złudzenie takiego sensu. Gdyby to się nie zdarzyło, biologia by działała w niewoli różnych natrętnych złudzeń i koszmarów, w tym małym siedlisku nieszczęsnego i obojętnego narodziku...

Teraz on mnie interesuje tylko jako obiekt badań i jako możliwość zabaw z jego językiem. Już nie jestem jego częścią. Ojczyznę noszę w sercu. Jest narodowa pod

względem formy i międzynarodowa, jeśli chodzi o uczucia. Jestem teraz częścią tego nie-narodu, który liczy sobie milion ludzi rozsianych po preriach, wyspach i kontynentach i którym nic złego się nie dzieje. Dni uciekają, żyję sobie, używam życia, obserwuję niepowstrzymane działanie biologii, a śmierć wydaje mi się zbawiennym końcem pięknych, choć nieistotnych dni...

– Zawsze, kiedy coś opuszcza ciało, człowiek odczuwa wielką rozkosz – filozofował wtedy w Neuilly Miloš F., a Sylva go karciała, żeby dał spokój z tą niesmaczną metafizyką, bo ona już ją zna. On jednak nie zważał na protesty... – Kiedy masz pełen pęcherz i wysikasz się, co to za ulga. Jak się przeżresz i chciałbyś iść za dużą potrzebą, ale nie możesz, i wreszcie ci się uda, jaka to rozkosz! Jak jesteś w wojsku i masz post, jeśli chodzi o kobiety... – ..i idziesz do wspólnej toalety uprawiać masturbację – przerwał mu Oczenasz, a Sylva ofuknęła go: „A fe! No tak, Oczenasz. Znany na całym świecie ze swych rozmiarów!” – ...a potem jesteś na przepustce, ciągnął dalej Miloš, znajdujesz dziewczynę i tryska z ciebie nasienie, jest to rozkosz nad rozkosze. Więc kiedy twoje ciało opuści dusza, to musi to być absolutnie największa rozkosz w życiu człowieka. Znacznie większa niż wtedy, kiedy się wysrasz czy spuścisz...

– Ty byku! – powiedziała Sylva, choć nie było jej jeszcze na świecie w słynnej epoce Maliny. Ale ze strony Miloša nie był to wcale tani dowcip. Podobnie jak ja należał do poszukiwaczy sensu i rozumiał, że sens to tylko pozłacana figurka, *Seven Days Wonder*, figurka w złym guście. W obliczu Boga jest pełna demokracja. Sens to natrętna neuroza. Dopiero kiedy zniknie, kiedy się z niego wyleczymy, wtedy możemy żyć.

I ciągnąc wszystko dalej. Dla żartu, dla tego grepsu.

Jest mi przyjemnie smutno, ale nie za bardzo. Sześć tysięcy do rytmu sporządzonym z kuli dla inwali-

dów ozembuchem, a Marilyn śpiewa o jakiejś dolinie, absurdalną piosenkę o topielcu z Niagary. Wstaję i idę do telefonu:

– Nicole?

– *Hi, buddy!*

– Jak się czujesz?

– Wspaniale!

– Ja też.

– Kochasz mnie?

– Z rozkoszą popełniam to szaleństwo.

– *What's that?*

– Myślę o samochodzie marki Cadillac. Ma na desce rozdzielczej masę guziczków. Gdybym ja nacisnął jeden z nich, zapewne włączyłbym alarm i ze wszystkich stron zjechałyby się wozy policyjne. Ale na szczęście nacisnęła go pewna zręczna młoda dama...

Słyszę śmiech.

– Napisała pani pracę na temat Faulknera, panno Svensson?

– Kupiłam ją.

– Za ile?

– Za pięćdziesiąt dolarów.

– To aż tak bardzo mnie się pani boi?

– Tak, boję się.

– Pani wystarczyłaby praca za pięć dolców.

– *And you would fail me.*

– *I'll fail you anyway.*

– *I don't mind, as long as you don't fail me in my daddy's cadillac...*

– *If you push the right buttons...*

Znowu śmiech, a w nim dzwoni... Jak by to powiedział Fitzgerald? Jakoś ładnie. Ale ta Nicole jest już z całkiem innej epoki...

– Słodkich snów, panno Svensson.

– Panu też. O mnie.

– *About your daddy's golden buggy...*

Cichy śmiech i delikatnie odłożona słuchawka.

Ja też odkładam.

– Doktorze, chodź pan się napić!

Śpiewacy stoją na baczność, kieliszki w uniesionych dłoniach. Ja także biorę swój. Pan Szestak spogląda na wielki wodoszczelny zegarek dla nurków.

– Teraz jest już bliżej brzegów Starego Świata niż Nowego.

– Na wieczną pamięć Milana Fikejza, tego poczciwego idioty!

Unosimy kieliszki i pijemy w milczeniu. Nagle z hukiem otwierają się drzwi. Staje w nich Milan, błądy jak śmierć.

– Ratunku! – krzyczy Marilyn. – Oni się rozbili! To duch!

* * *

– Chodź pan zobaczyć! Chodź pan zobaczyć! – Pan Senka drży z podniecenia, jakby w piwnicy Zawynatców znalazł trupa. Ciągnie mnie za rękaw. Wstaję więc od domowego baru, wokół którego na plastikowym rusztowaniu wije się plastikowa winna latorośl. Z tyłu wynajęty Murzyn-barmikser miesza koktajle. Nad nim na ścianie wisi obraz w ozdobnej ramie, kupionej w którejś z tanich galerii. Na obrazie dziewczyna w stroju morawskim i w kozaczkach, ale strój ten ma jedynie od butów do pasa, bo wyżej jest topless. Jej złote włosy przyozdabia wieniec, też zapewne wzięty z jakiegoś folkloru. Może tanzańskiego.

W ślad za podnieconym panem Senką przechodzę przez obszerne pomieszczenie, które jest jednocześnie domowym barem, salą bilardową i galerią obrazów. Wiszą gęsto na trzech wolnych ścianach, a ich autorzy to niemal wszyscy czescy i słowaccy abstrakcyoniści,

którzy uciekli do Kanady przed europejską *Realpolitik*. „Well, jak tu przyjechali, *you know how it is* – tłumaczył nam chwilę przedtem pan Zawynatch – nie mieli *cash* i nie znaleźli jeszcze żadnej roboty. Więc kupowałem od nich, co namalowali, *to give them a start in the new homeland*. Trochę im w ten sposób pomogłem”. Patrzyłem na ten prywatny ermitaż, płótna upchane na całej ścianie, od podłogi aż po sufit, bez ram, jedno bardziej fantastyczne od drugiego. Było widać, że na tej pomocy pan Zawynatch nie stracił. Przypomniałem sobie abstrakcjonistę o surrealistycznym nazwisku Arzen Vepřový, przeklinającego swoją głupotę przy piwie u Mourków. Na początku lat sześćdziesiątych zarekwirowali mu w Pradze całą wystawę, a później w Kanadzie się zorientował, że sto baksów za jeden obraz olejny metr na dwa, nad którym śleczął ze trzy miesiące, to nie jest zbyt dużo. Ten obraz wisiał teraz na ścianie na wprost panienki topless i w kozaczkach. Pan Senka przeszedł właśnie obok niego i wsunął się do alkowy, gdzie pan Zawynatch zgromadził obrazy, których nie wywiesił w domowym *night clubie*, żeby nie narazić się na krytykę ze strony przepelnionych chrześcijańskimi i patriotycznymi uczuciami rodaków.

Pan Senka wytrzeszcza teraz oczy na widok jednego z obrazów.

– Popatrz pan na to! Niezłe, co?

Wybałusza oczy, widząc piekielnie czarne, dość realistycznie odmalowane łono w całkiem ładnie wystylizowanym akcie młodej żony Vepřovego. Można ją poznać po charakterystycznych odstających uszkach. Jest jego modelką, bo ze studolarowych honorariów nie da się wynająć zawodowej bezwstydnicy.

– Widziałeś pan kiedy coś takiego?

– Widziałem – odpowiadam. – Nie jestem co prawda żonaty, ale już to widziałem.

Pan Senka grozi mi palcem.

– Pan to jesteś niezłe ziółko! Ale nie o to mi chodziło. Czy widziałeś pan coś takiego na obrazie? Albo na rzeźbie?

Wpatruję się w ciemną, tajemniczą gęstwinę.

– Na rzeźbie to trudno wymodelować – mówię.

– Masz pan rację – stwierdza w zamyśleniu pan Senka. – Ale na obrazie chyba to łatwo wymalować. A mimo to wszystkie te Afrodyty i Wenus są na dole całkiem gołe. Tymczasem te... – rozgląda się po pokoju. Niemoralne płótna pokrywają całe ściany. – No popatrz pan! O, do diabła! Ta to ma! – palec wskazuje na akt pędzla malarza, który przeważnie zajmuje się pejzażami w kształcie kul i kwadratów. Podchodzę bliżej. Ma ją rudą. Ulubiony kolor pana Senki. Wpatruję się i przy całej stylizacji twarzy i kształtów, zredukowanych do cech elementarnych, w tej postaci czuję coś znajomego. Ależ oczywiście, to Debilinka! Dzieło musiało kosztować pana Zawynatcha chyba więcej niż stówę. Obraz na zamówienie. Debilinka jest na dole wspólnie ruda, co znaczy, że zapewne taki właśnie jest jej naturalny kolor włosów, które obecnie są kasztanowe z zielonkawymi pasmami.

– No nie! – wzdycha z przejęciem pan Senka. – No nie!

– Co pan chce? Żyjemy w czasach realizmu – powiadam. – Dawniej się idealizowało. Przecież wątpię, żeby Wenus tam się goliła.

Pan Senka śmieje się i mruga okiem.

– Widział pan *Deep Throat*?

Kręcę przecząco głową. W rzeczywistości widziałem, ale ciekawi mnie, co zrobiło największe wrażenie na panu Sence.

– Ona sobie tam goli! Na ekranie! Goli sobie tam żyletką! Aż człowiekowi chodzą ciarki po plecach, żeby

się nie skaleczyła. No ale to jest prostytutka. Nie uwierzyłbyś pan, ale w ostatnim „Penthouse” jest sfotografowana... – pan Senka znów strasznie chichoce – ... taka jedna, jak to robi z psem! Z owczarkiem niemieckim! – Rozgląda się. – Tam jest jedna bez tego – wskazuje na różowy akt, wyglądający na mistrza, który ozdobił bar pana Zawynatcha. – Ona nie jest realistyczna – mówi pan Senka niemal ze smutkiem.

– Nie. Jeśli miałyby to być realistyczne wyobrażenie prostytutki, to na dole powinna być pęknięta.

Powiedziałem tak celowo, oczekując, że w panu Sence obudzi to jakieś stare wspomnienia.

– Pan jesteś niezłe ziółko! – parska. – Tak właśnie mawiał mój nieboszyk ojciec. To było jego ulubione powiedzenie. Nabijał się ze stryjka, swojego brata, że w życiu nie potrafił zrobić innych dzieci, tylko same takie... no, jak pan to powiedział... na dole. Miał siedem sztuk takich.

Znów przygląda się obrazom. Chyba bezpośrednio nad alkową ktoś głośno spuszcza wodę w toalecie. Pan Senka dostaje nowego ataku śmiechu.

– A posłuchaj pan... rzeźby też. Wenus i takie inne... żadna nie jest na dole... – zniża głos do szeptu – ...pęknięta!

Znów straszny chichot.

– Widzi pan, to ciekawe spostrzeżenie – mówię. – Prawdopodobnie antyczni realiści aż tak daleko w swoim realizmie nie doszli. Ale – udaję, że się namyślam – z rzeźbami mężczyzn mieli znacznie większe problemy. Tam się chyba za bardzo nie da stylizować.

Pan Senka wisi na mnie wzrokiem, otwiera i zamyka usta, przetyka ślinę.

– Tak pan uważa?...

– Zna pan na przykład *Doryforosa*? Tego, co niesie na ramieniu włócznię? Włócznia jest co prawda uła-

mana – naśladowuję go i ściszam głos do szeptu – ale... to z przodu... – naśladowuję również sposób, w jaki opisuje dzieła sztuki – ...to nie jest ułamane!

Pan Senka niemal krzyczy:

– Już sobie przypominam! No tak! – I znów teatralny szept. – A wiesz pan, co mi zawsze nie dawało spokoju? Że ma to... no, jak by to powiedzieć...

Uciekam w obcy język, który zawsze stanowi dobrą ochronę przed podejrzeniem o niemoralne zachowanie.

– *He's poorly hung.*

Ale przyzwoity pan Senka nie zna hippisowskiego slangu.

– Co takiego? Hank?

Szepcę, ledwo słyszalnie:

– Że ma takiego małego.

W nagrodę pan Senka przyjaźnie klepie mnie po plecach. Nad nami ktoś znowu korzysta z klozetu, a z ust pana Senki wydobywa się zapach miętowej płukanki.

– Właśnie o to chodziło! – Milknie i dopiero po chwili ciągnie dalej: – Ale posłuchaj pan... tam jest nawet i to... – wciąż jeszcze boi się wymówić to konkretne słowo – ...czego nie ma na tych Wenus, a jest na tym obrazie! – Wskazuje zarost na łonie Debilinki.

– Pan to dopiero jest spostrzegawczy! – chwalebę go i udaję, że patrzę z uwagą na akt naszej gospodyni. – To prawda. *Doryforos* też ma włosy łonowe.

– A to dopiero! – wzdycha pan Senka. I dodaje szepcem. – Łonowe.

Wciąż udaję wpatrzonego w Debilinkę.

– Panie Senka, nie widzi pan czegoś szczególnego w tym akcie?

Pan Senka ostro spogląda na obraz. Najpierw patrzy z bliska na rudy trójkąt, potem na pępek, a w końcu na prawą pierś.

– A co takiego?

– Pan popatrz na twarz.

Patrzy. Długo się przygląda, aż w końcu niemal podskakuje.

– Pan sądzi?...

Bez słowa pokazuję mu datę pod sygnaturą mistrza. Jest bardzo świeża.

– No coś podobnego!...

– Pani domu – mówię.

Pan Senka zakrywa dłonią usta. Znad palców patrzą na mnie niezwykle podniecone, niebieskie oczy.

– No coś podobnego! Ale jeleń ze mnie! Widziałeś pan coś takiego?

– Co pan sobie o mnie myśli? Ja szanownej pani nie widziałem nawet w kostiumie kąpielowym!

– Ja tak nie myślałem – chichocze pan Senka. – Ale żeby ktoś własną żonę dał namalować... bez ubrania... a potem to wystawił...

– Pewnie tak ją kocha, że tą radością chce się podzielić z innymi.

Znów mi żartobliwie pogroził palcem.

– Pan jesteście niezłe ziółko! – poddaje akt nowemu badaniu i po chwili trąca mnie łokciem. – Ciekawe, czy ten malarz się z nim nie podzielił?!

– Pan domu z pewnością przy tym był, żeby móc w razie czego...

Pan Senka chwyta się za serce i znów mi grozi palcem.

– Chodź pan stąd, bo mnie się coś stanie!

Wracamy do większego, bardziej publicznego ermitażu. Przy barze siedzi na wózku Boczar i trąca się kieliszkiem z Debilinką. Murzyn brawurowo macha srebrnym szejkerem. Pan Zawynatch łaskawie pokazuje Margitce kolekcję swych pierścieni. Na sobie ma strój zszyty z zielonych i niebieskich kwadratów i do tego złote buty.

Prostota strojów Debilinki nie przetrwała ślubu. Obchodzi gości w długiej sukni, złożonej z wąskich skrawków różnokolorowego brokatu, które przy każdym kroku odsłaniają długie nogi kończące się w majteczkach. Majteczki stanowią jednak element kreacji. Są czarne, usiane gwiazdzistym pyłem i wcale nie przezroczyste. Mimo to pan Senka przeszywa je wzrokiem jak rentgen.

* * *

MĘŻCZYŻNA ZABITY WŁASNĄ BOMBĄ LISTOWĄ

TORONTO. Mieszkańców West Rozwicky Street nr 476 obudziła dziś około północy silna detonacja w domu należącym do Marthy Teny Elefteriade, w pokoju wynajętym bezrobotnemu Jerry'emu Pohorskiemu. Właścicielka wyważyła drzwi i w wypełnionym dymem pokoju znalazła ciężko rannego lokatora. W czasie rewizji pomieszczenia odkryto między innymi broszurę na temat produkcji bomb listowych, wydaną przez firmę Urban Guerilla Press Inc., Millburn, NY. Policja przypuszcza, że bezrobotny Pohorski usiłował domowym sposobem skonstruować bombę i wtedy doszło do eksplozji. Bada się ewentualne związki Pohorskiego ze zwolennikami junty wojskowej, odsuniętej niedawno od władzy w Grecji. Straty spowodowane przez wybuch ocenia się na 700 dolarów. Wkrótce po przewiezieniu do Toronto General Hospital Jerry Pohorski zmarł.

* * *

– To kiedyś będzie miało historyczną wartość – powiedziała Irena. Jak pogłaskany piesek siedziałem na kanapie między dwiema siostrami i patrzyłem na szczupłe kolana Ireny. Alena tymczasem oglądała jej udane zdjęcia, które zrobiłem na krótko przed tym, nim magazyn wyleciał w powietrze.

– Nie przechwalaj się, droga siostró – powiedziała Alena.

– Nie bądź taka złośliwa, droga siostró – odparła Irena. – Danny, zrób jakieś zdjęcie temu dziecku, bo się rozpłacze!

– Dobra! – Alena zerwała się z miejsca, podkasła i tak dość krótką spódnicę, pokazując pięknie opalone, proste nogi, wyćwiczone podczas gry w koszykówkę. – Mnie możesz fotografować całą. Nie tylko od pasa w górę, jak moją drogą siostrę.

– Raczej fotografuj moją drogą siostrę od pasa w dół – stwierdziła Irena. – Tak będzie znacznie ładniej. I nie bądź taka bezwstydna! – dodała ze złością, bo nie znosiła uwag na temat swoich nóg. Miała je trochę prostowane na becze.

– Przy drogim Danielu chyba mogę – powiedziała Alena i podciągnęła spódnicę tak wysoko, że aż wytrzeszczyłem oczy. Ale wiedziała, gdzie się zatrzymać. – Jako przyjaciel domu należy niemal do rodziny.

– Droga siostró – odezwałem się – podoba mi się, kiedy jesteś bezwstydna.

Znacząco popatrzyłem na kolana Ireny. Wtedy dziewczyny nosiły krótkie spódnice, a jak siedziały na tapczanie, można było sporo zobaczyć. Spódnica Ireny też była wysoko podciągnięta. Chciała ją opuścić, ale na siedząco nie dała rady.

– Nie podglądaj! – powiedziała. – I chociaż ty bądź trochę poważny, skoro to dziecko już całkiem zgłupiało.

– Bardzo przepraszam, droga siostró! – Alena ściągnęła sobie spódnicę tak, że miała ją do kolan. Ale za to w pasie wyszła jej bluzka i ukazał się kawałek białej halki. – Ojej! – krzyknęła i podciągnęła spódnicę. Efekt był oczywiście taki, że znów odsłoniła kolana.

– To naprawdę będzie miało historyczną wartość. Popatrz, droga siostró – Irena podała Alenie kilka zdjęć

przedstawiających największy sabotaż w historii Ko-
stelca.

– Świetne! Po prostu wspaniałe! – Alena oglądała zdjęcia jedno po drugim. – Podobno tak się przestraszyłeś, że aż wpadłeś do rzeki.

– To była taka reakcja fizjologiczna. Nogi mi się poślizgnęły na trawie.

– Ale był na tyle przytomny, że trzymał aparat nad głową, żeby go nie zmoczyć – pochwaliła mnie Irena.

Ze szczęścia niemal pomachałem ogonem. Zdjęcia całkowicie spełniły moje oczekiwania, również te, których nie planowałem. Była to seria, do której Irena mi pozowała, ale tylko z trzech czwartych profilu, bo tak była najbardziej fotogeniczna. I oczywiście tylko od pasa w górę, tu Alena miała rację. Całą mogłem ją fotografować tylko w spodniach narciarskich w zeszłym roku w zimie.

– Reakcja fizjologiczna? – zdziwiła się Alena. – Chyba nie chcesz powiedzieć, że się...

Poczułem, że się czerwienię.

– Nie bądź wulgarna, droga siostrzyczko! – syknęła Irena.

– No, przecież reakcja fizjologiczna...

– Miałem na myśli nerwy – powiedziałem. – To naprawdę był strasznie głośny wybuch. Strzeliły płomie-
nie, parę beczek wyleciało w powietrze, a jedna o mały
nie spadła mi na głowę.

– Biedny bohaterze – odparła Alena. – Bardzo przepraszam za niewłaściwą aso... aso... – zająknęła się na trudnym słowie, które słyszała chyba na lekcji czeskiego, bo pan profesor Voldrichovsky był surrealistą.

– Asonans – złośliwie podszeptnęła jej Irena.

– Już milczę – stwierdziła Alena.

Przyszedł pan radca, a Irena natychmiast pokazała mu zdjęcia. Nałożył binokle i z poważną miną zaczął oglądać moje dzieła.

– To będzie kiedyś miało historyczną wartość, panie Smirzicky! – odezwał się po chwili.

– On przy tym wpadł do rzeki – wtrąciła Alena. Powiedziała to poważnie, ale nie potrafiła się opanować i parsknęła śmiechem.

– Nie ma w tym nic śmiesznego, Alenko! – skarcił ją pan radca i dalej oglądał fotografie. – Tylko nie wiem, czy to miało sens – dodał i wręczył mi zdjęcia. – Aresztowali już ponad trzydzieści osób i nie koniec na tym. Nie powinien pan tych zdjęć nikomu pokazywać, panie Smirzicky. Dopiero po wojnie.

– Ja też mu to mówię – powiedziała Alena. – Niech raczej tamte pokazuje! – Wskazała palcem na zdjęcia, które zebrałem z tapczanu i trzymałem w ręku.

– Mógłbym je zobaczyć? – spytał pan radca.

– Ale to są tylko takie... portrety...

Pan radca wyciągnął rękę. Podałem mu fotografie jego córki, robione z miłością. Zaczął je oglądać równie poważnie, jak tamte dokumenty. Do pokoju wpadało słońce, odbijające się od zielonych koron dębów na drugim brzegu rzeki. Przez otwarte okno dobiegał zapach chmielu z pobliskiego browaru. Alena wstała. Panu radcy zdjęcia jego ładnej córki najwyraźniej podobały się tak samo jak mnie.

– Jaki ma pan aparat? – spytał, aby nie musieć się chwalić fotogenicznością tej, którą spłodził. – To są bardzo udane fotografie.

– Voigtländera – ochoczo podałem mu aparat. Oglądał go równie uważnie, jak wcześniej zdjęcia. Potem spojrział na nas. Siedzieliśmy w szeregu na kanapie, ja pomiędzy dwiema jego córkami.

– Nie mielibyście nic przeciwko temu, żebym zrobił wam zdjęcie? – spytał. – Tak jak siedzicie. Byłaby to ładna pamiątka.

– Ja sobie pójdę, żeby nie psuć kadru – powiedziała Alena.

– Siedz, siedz, Alenko! – zaprotestował pan radca.

– Oczywiście, panie radco! – odezwałem się szybko. Nie miałem jeszcze żadnego zdjęcia z Ireną, bo aparat był bez samowyzwalacza. A teraz nagle taka gratka! Jeszcze w dodatku z błogosławieństwem jej ojca.

– Siadaj, Alenko! – powtórzył pan radca.

– Mnie się świeci nos – odparła Alena.

– To złap się za niego ręką, niby że myślisz, droga siostró – powiedziała Irena. – Z błyszczącym nosem nie wyglądasz zbyt... jak by to powiedzieć... inteligentnie.

– Dobry pomysł, droga siostró – Alena chwyciła się za nos.

– No, dziewczęta, dziewczęta! – Pan radca przyłożył oko do wizjera. – Przysuńcie się trochę do siebie, żebyście się zmieścili w kadrze.

Ochoczo przysunąłem się do Ireny. Przez spodnie wyczułem jej ciepły bok w cienkiej spódnicy.

– Tata powiedział, żebyś się przysunął. To czemu się ode mnie odsuwasz, drogi przyjacielu domu? – spytała Alena.

– Nie mogę się przysunąć w obie strony – odpowiedziałem.

– To ja się przysunę do ciebie, jeśli droga siostra pozwoli – oświadczyła Alena.

– Alenko! – upomniał ją ojciec zza aparatu.

Alena usiadła mi na kolanach. Tyłeczek miała sprężysty, też pewnie dzięki koszykówce.

– Alenko! – skarcił ją znów pan radca, tym razem podniesionym głosem.

– No tak – odezwała się Alena z udawanym smutkiem. – To jest miejsce Ireny, a nie moje, drogi przyjacielu domu.

Zsunęła mi się z kolan, ale przycisnęła się do mojego boku. Irena za moimi plecami pociągnęła ją za włosy.

– Aua!

– Dziewczęta, przestańcie! – krzyknął pan radca.

Irena puściła jej włosy i troszeczkę się do mnie przysunęła. Siedziałem między nimi jak grzanka w tosterze. Pojawiła się reakcja, którą też chyba nazywa się fizjologiczną. Złożyłem obie ręce na podołku, żeby nie było tego widać.

– Dam przesłone pięć i sześć dziesiątych, dobrze? – spytał pan radca.

– Chyba raczej cztery – odparłem.

Pan radca nastawił przesłone.

– Nie ruszać się!

– Mnie się chce kichnąć! – krzyknęła Alena.

Ale pan radca nacisnął spust migawki.

Potem ja sfotografowałem pana radcę pomiędzy dwiema drogimi siostrami, a następnie jeszcze z każdą z nich z osobna. Kiedy skończyliśmy, poprosił, żebyśmy chwilkę poczekali, i wyszedł z pokoju. Ledwo zniknął, Alena zerwała się z kanapy i zadarła suknię tak samo wysoko jak poprzednio.

– Sfotografuj moje nogi, Danny! Żebym miała jakąś pamiątkę, jak już dostanę żylaków od tego daremnego czekania na jakąś randkę.

Zanim Irena zdążyła coś powiedzieć, chwyciłem aparat i błyskawicznie zrobiłem jej zdjęcie. Jako fotograf byłem zawsze dosyć szybki. Ale tylko jako fotograf.

– A teraz zrób Irenie, niech się tak nie wścieka!

– A nie chciałabyś, żeby cię sfotografował nago, droga siostrzo? – odburknęła Irena ze złością.

– No, jeśli on by chciał? – odparła Alena. – Ale nie wolałabyś raczej ty, droga siostrzo? Mam wrażenie, że on by chętniej ciebie sfotografował. Prawda, Danny?

– Dziewczęta, dziewczęta! – powiedziałem tonem pana radcy.

– Już milczę! – obiecała Alena.

– I bardzo dobrze zrobisz! – ofuknęła ją Irena.

– Ale może nas obie by sfotografował bez ubrania?

– spytała Alena. – Żeby było zupełnie sprawiedliwie i żeby każda z nas dostała jakąś pamiątkę na później, kiedy już będziemy miały po dziesięcioro dzieci.

– Ja bardzo chętnie, jeśli chcecie! – odparłem ochotczo.

– Chcemy, droga siostrzo? – Alena zwróciła się do Ireny.

– Fotografuj sobie Alenę, jak chcesz – mruknęła wciąż zirytowana Irena. – Mnie w przyszłości nie uwzględniaj w swojej sztuce fotograficznej!

– Chcesz, Danny? – ciągnęła dalej Alena.

– Bez Ireny nie da rady – odpowiedziałem.

– No tak, bo mi się ten nos błyszczy – stwierdziła Alena ze smutkiem.

Pan radca wrócił z karafką borówkowego wina i czterema kieliszkami z rżniętego szkła na tacce. Coś takiego jeszcze w ich domu mnie nie spotkało. A spotkało mnie tam już sporo.

– Myślę, że powinniśmy to uczcić, jak myślicie?

– Oni się zaręczyli? A ja o tym nic nie wiem? Myślałam, że Danny jest tylko przyjacielem domu! – powiedziała Alena.

– Nie zechciałabyś zamilknąć, droga siostrzo! – odezwała się Irena, już bardzo rozzłoszczona.

Pan radca był skonsternowany.

– No, dziewczęta, dajcie spokój. Ten sabotaż się udał i... Obawiam się, że za to drogo zapłacimy, ale... *c'est la guerre...*

Alena już się nie odzywała, a pan radca nam nał do połowy kieliszków i stuknęliśmy się. Pachniał

chmiel, z wina pachniały borówki, a rzeka szumiała. Na moście turkotał jakiś wóz. Było mi dobrze.

– W młodości także byłem zapalonym fotografem – powiedział po chwili pan radca. – Ale wtedy się fotografowało na płytach. Człowiek musiał narzucić sobie na głowę czarną płachtę i wyostrzyć obraz. Aparaty były na statywach. Ale za to jakość zdjęć była doskonała.

– Pokaż nam coś, tato – odezwała się Irena. – Danny jeszcze tego nie widział.

– Nie będziemy przecież pana Smirzickiego zanudzać albumem rodzinnym...

Wcale się nie obawiałem, że cokolwiek, co dotyczy Ireny i jej rodziny, może mnie znudzić. Pośpieszyłem więc zapewnić o tym pana radcę. Nie dał się dwa razy namawiać i znów na chwilę nas przeprosił.

– Masz świadomość tego, co zobaczy, droga siostrze? – spytała Alena.

– Naszą matkę w różnych porach roku – odparła Irena.

– To też. Ale...

Zanim jednak zdołała dokończyć, co miała na myśli, pan radca niemal biegiem wrócił do pokoju i przyniósł mszał w okładkach z różowego aksamitu. Usiadł obok mnie, między mną a Ireną. Jak sędzę, celowo, bo wcale nie był taki głupi, na jakiego wyglądał. No i się zaczęło. Pani radczyni, o której mówił „moja droga żona nieboszczka”, rzeczywiście w różnych porach roku, w komicznych kapełuszach i sukniach po kostki. Także w stroju narciarskim, z nartami, które miały niebezpiecznie zakręcone końce. W aksamitowej toalecie na balu. Dalej w kostiumie kolombiny z balu maskowego, dzięki czemu mogłem dostrzec, że droga nieboszczka miała nogi jak Alena. Była to ładna pani, a zdjęcia miały wspierać ostrość. Na wszystkich wyglądała co prawda na jakieś czterdzieści lat, ale

nie mogła mieć więcej niż dwadzieścia. To chyba te stroje ją postarzały. Było też zdjęcie w kostiumie kąpielowym, z sukienką po kolana, w ukośne paski. Jeszcze raz potwierdziło się moje spostrzeżenie dotyczące jej nóg oraz to, że nie mogła mieć więcej niż dwadzieścia lat. Była bardzo szczupła, a w tle widniały jakieś palmy.

– To w Ostendzie – powiedział pan radca i głos mu się trochę załamał. – Byliśmy tam w podróży poślubnej.

– Naprawdę? – spytała Alena. – To dlaczego zdjęcia ze ślubu są dopiero później?

– One mają inny format, Alenko – odparł pan radca sucho i przewrócił kartkę. Zdążyłem jednak jeszcze dostrzec jego własne zdjęcie w stroju kąpielowym na ramiączkach i z tymi samymi palmami w tle. Nogi miał jak kije hokejowe. – Ułożyłem album częściowo chronologicznie, a częściowo według formatów.

Na następnej stronie zajaśniało wielkie zdjęcie ślubne, zgromadzenie wielu panów w ciemnych strojach i wielu pań w jasnych. Druhny stały w szeregu według wzrostu, od zapewne trzyletniej aż po równie wysoką jak panna młoda, a w środku pan radca w żakiecie i nieboszczka panna młoda w bieli. Pan radca zdjął binokle i zaczął je czyścić.

– To naprawdę piękne zdjęcia! – powiedziałem szybko. – Znaczący, te pańskie. To też, ale robił je zawodowiec. Pańskie są ładniejsze.

– A to jest piękna druhna, prawda? – Alena wskazała palcem na najwyższą z dziewczyn na fotografii. Była rzeczywiście bardzo ładna. Mówiąc szczerze, ładniejsza od panny młodej.

– To ciocia Żofa, siostra mamy – wyjaśniła Irena.

Spojrzałem na Irenę. Była jakaś napięta. Za to Alena nadal było gotowa do żartów. Pan radca zakasłał, nałożył binokle i odwrócił stronę. Znów spojrzałem na Alenę. Nos jej się świecił, ale poza tym była to całkiem ładna

dziewczyna. Irena była jednak ładniejsza. Na następnej stronie salonowy portret młodej pary na tle dekoracji przedstawiającej bardzo stary zamek.

– To był taki styl tamtych czasów – powiedział pan radca. – Dzisiaj pewnie wydaje się wam to śmieszne.

– Nie, skąd. Jest to takie... w starym stylu...

Pan radca zatrzasnął album.

– No, to sobie pooglądaliśmy. A teraz jeszcze się napijemy i... – z kieszonki kamizelki wyciągnął zegarek.

– Już prawie szósta...

– To ja już muszę lecieć – odparłem zgodnie z konwencją.

– Jeszcze poczekaj – odezwała się Alena i wzięła do rąk album. – Obejrzyj to sobie do końca.

– Ależ Alenko! Pan Smirzicky już z pewnością zanudził się na śmierć – stwierdził pan radca i usiłował wyjąć album z rąk Aleny. Ona jednak zdołała go otworzyć i podsunęła mi pod nos.

– To jest nasza Irenka! – powiedziała triumfująco.

Na zdjęciu było dziecko pasące owce. Znad kosmatego kocyka wystawał goły tyłeczek, a dziecko niezbyt mądrze gapiło się w obiektyw i miało trochę rozmazaną twarz. Alena szybko przewróciła stronę.

– A to jestem ja!

Kolejny podobny, głupawy nagusek.

– Ładne – powiedziałem.

– No... to też był taki styl tamtych czasów – odezwał się pan radca. – To... na zdrowie!

Napiliśmy się. Wziąłem album i oglądałem kolejne naguski.

– Która z nas wygląda bardziej kusząco? – spytała Alena.

– Alenko! – znów skarcił ją pan radca. Trochę poczerwieniał. Nie dlatego, żeby się wstydził, tylko chyba dusił w sobie śmiech. Potem wziął z moich rąk album i poka-

zał mi długą serię stopniowo rosnących dziewczynek, aż stały się z nich dzisiejsza Irena i Alena. Myślał może, że będzie to dla mnie kara, ale nie była. Chociaż na żadnej późniejszej fotografii już nie pasły owieczek.

Pan radca zakorkował rżniętą karafkę szklanym szpuntem, mimo że zostało w niej jeszcze sporo wina, i wstał. Zrozumiałem sygnał i pożegnałem się. Irena była piękna, ale wciąż czuło się w niej napięcie. Alenie świecił się nos i wyglądała komicznie.

Był wczesny wieczór późnego lata, kiedy wracałem do domu i mijałem dworzec. Miłość tak mnie przepętniała, że niemal nie zauważyłem Marii Dreslerovej, która szła na wprost mnie od strony hotelu Granada. Była z ciotką, więc nawet nie mogłem nawiązać konwersacji, tylko w ostatniej chwili zawołałem: „Dobry wieczór!”, a Marie odpowiedziała mi w sposób neutralny: „Cześć!”

* * *

– Jesteś żywy czy martwy? – spytał pan Szestak.

– Panowie – odparł duch – ja tam pojechałem. Ja tam przyjechałem. I szedłem tym tunelem, którym już się idzie do samolotu. A tam w samolocie w drzwiach stał taki... taki...

– Towarzysz – podpowiadam mu.

– Właśnie, to jest to słowo! Towarzysz! Więc jak zobaczyłem tego towarzysza, to mi skamieniały nogi. A towarzysz tylko się do mnie uśmiechał... I wtedy coś jakby mnie złapało za ramiona i zrobiło mną w tył zwrot...

– Anioł stróż – stwierdza Marilyn.

– No i jestem znów tutaj! – mówi zdumiony Milan.

Pan Szestak wali w podłogę ozembuchem i intonuje chrypiącym basem:

For he is a jolly good fellow!

Wszyscy się przyłączamy. Milan uśmiecha się półprzyciemnie, sięga po flaszkę i przykłada ją sobie do ust.

Gromadzimy się wokół niego. Marilyn go całuje. Szestak z demokratycznym młodzieńcem podrzucają go w górę. Chwytny go i przez chwilę to powtarzamy. Mrkvíčzka do tego podgrywa na skrzypcach w swingowym rytmie.

Po chwili Milan opada na krzesło.

– Ale, ludzie... Co za afera!!!

– Co? Co się stało?

– Veronika – zaczyna łkać. – Ona patrzyła przez okienko!... Ja ją widziałem z zewnątrz!... Ona siedziała w środku w tym samolocie!... Ona... zwariowała!!!

* * *

Serwusik, Rodaku,

dzisiaj będzie krótko, nie dlatego, żebym nie lubił do Ciebie pisać – to byłoby wbrew mojej naturze, bo w końcu jezdem pisarz, choć już nie członek Czechosłowackiego Związku Pisarzy, a tylko ferajny der dojczen socialistischen schriftsteller. Dzisiaj do Ciebie szteluje szrift w pozycji leżącej na plecach, pióro trzymam w gębie i piszę na papierze, który podtrzymuje mi nad głową taka gruba siostra zakonna, której nie rozumiem, bo mówi w platdojcz. A ponieważ jest to wieczne pióro i atrament sam z siebie nie płynie do góry, więc zrobiłem od dołu (co jest relatywne, bo w normalnej pozycji jest to od góry) taką dziurkę, przez którą, sztelując szrift, jednocześnie dmucham, żeby atrament odbijał się na odwrotnej stronie papieru niż normalnie. Rozumisz? Frsztanzen?

Otóż trafił mnie szlag czy – jak się dziś ludowo mówi – zawał, a dawniej – martwica, chociaż jak na razie martwy jeszcze nie jestem (niewykluczone jednak, że nim ten list do Ciebie dotrze, to już będę, bo nikt nigdy nie wie, jak mawiata pani Skoczopolova, kiedy z Frantą Kaczandrlem chodziłem do nich na marriage i slivovage, z powodów czysto charytatywnych, ponieważ pan Skoczopole był durchundurch amatorem – w kwestii marriage, nie slivovage – ale pod koniec już

nie mógł się poruszać, więc był odcięty od knajpy Pod Beranem, bo napuchły mu nogi, podobno od forsownych marszów w czasie pierwszej wojny, a że miał tylko jedną rękę, więc pani Skoczopolova musiała za niego dokładać karty).

W czasie długich nocy tu, w kranknhauzie der hajligen Tereza fom Jezuskind, tak się nad tym wszystkim zastanawiam, nad tym moim dotychczasowym życiem, i próbuję dojść, dlaczego właściwie ten szlag mnie trafił (a może szlak?), skoro przecież nigdy nic specjalnego nie robiłem, tylko sztelowałem szrift, a poza tym moje życie miało taki spokojny, niemal usypiający rytm – od afery do afery – i wszystkie je jakoś przeżyłem. Wprawdzie miały one tendencję wzrostu, od tego, jak paliłem u Helebrantów na beczce z benzyną, poprzez to, jak pan Helebrant poskarżył mojemu ojcu, że rysowałem gołą Alenę pana radcy, a ojciec mu odpowiedział: „Ach, gdyby tylko rysował...”, z tymi trzema znaczącymi kropkami, ale pan Helebrant wytłumaczył sobie ich znaczenie nie bardzo ściśle, to znaczy bardzo nieściśle, ponieważ w odróżnieniu od mojego ojca nie przeczytał on ukradkiem listu od swojej córki Janki, który mi przysłała o tym, co jej zrobiłem, jak była na „Sprzedany (-nej?) narzeczony (-ej?) w Pradze, za co mój ojciec po ojcowsku mnie skarcił i jednocześnie wytłumaczył, co znaczy napis OLLA GUM!! na drzwiach drogerii pana Helebranta, więc jak pan Helebrant przyszedł do niego z tym malarskim problemem, to ojciec był tak zaskoczony, że nie wiedział, czy ma go poinformować o tym, co zrobiłem jego córce w Pradze, gdy ta (rzekomo) była na „Sprzedanej narzeczonej” (chyba jednak tak się pisze) i w jaki sposób (to znaczy: w jaki sposób go poinformować, a nie – poinformować, w jaki sposób to zrobiłem; Janka o tym w liście nie wspominała, bo sama nie wiedziała, ja też nie, bo nigdy wcześniej tego nie robiłem i dziwiłem się, że mi się w ogóle udało), no więc był tak zaskoczony, że powiedział tylko: „Ach, gdyby tylko rysował...”, z tymi trzema kropkami, dzięki czemu pozostało to na płaszczyźnie ogólnej, a nie na konkretnych (zaokrąglonych) płaszczyznach

Janki Helebrantovej... Na czym to ja skończyłem? Aha, więc mówiłem o tym łańcuchu afer, ciągnącym się przez całe moje życie, od palenia na beczie z benzyną, poprzez moje kawałki teatralne, aż do tego dnia, kiedy się zesrałem, żeby się później nie zesrać, i zdradziłem Partię oraz rząd, uciekając do Rzeszy (o naród czy o literaturę czeską wcale tutaj nie chodzi; ich nie mogłem zdradzić, bo nie mają nade mną władzy wykonawczej), i jeszcze do tego późniejszego dnia, całkiem niedawno, kiedy mnie trafił szlag (-k?), bo przeczytałem w der szpiглу, że szlak trafił naszego chłoptysia Jasia Vrchcolabów, chociaż on nie zdradził Partii, a tym bardziej rządu, zaś wcale – narodu. Kiedy czytałem ten opis, jak siła Partii i rządu ciągała za włosy po chodniku tę jego piękną dawną żonę i jak jego zmiętosili, to zrobiło mi się po tym słabo i odczułem ten klinicznie opisany ból pośrodku klatki piersiowej i Jaś Vrchcolabów pojawił mi się przed oczami duszy (jak się pisze w książkach, ale nie takich jak moje), przeleciał mi jak błyskawica i ja nagle doszedłem do wniosku, że on miał właściwie takie filogenetyczne życie (jak mówi mój uczonej prawie-szwagier Horst), taki jakiś paradygmat (to z kolei mówi jeden uniwersytecki profesor, też Czech, z którym tu grywam w mariasza i który tu zmienił ideologię komunistyczną na ideologię strukturalistyczną, bo on ma już ideologię we krwi i wszystko musi mieć we właściwych szufladach). No więc ten Jaś-chłoptaś był w dzieciństwie i młodości taki straszny naiwniaczek, na każdą bzdurę zaraz się dał nabrać i do wszystkiego był w równym stopniu zapalony, od Masaryka po Stalina, i to w ciągu tego samego roku kalendarzowego, aż potem powoli zaczął mądrzeć, ale tylko dzięki swym osobistym doświadczeniom, nie z książek, które mógł być przeczytać wcześniej i wcześniej zmądrzeć; z książek zaczął mądrzeć dopiero, jak już był dostatecznie mądry po tych swoich doświadczeniach. No czyż on nie jest odzwierciedleniem albo metaforą (to wziętem od jednego poety) losu każdego z nas? Na przykład kiedy sobie pomyślę o Tobie, jak mielites i mielites ozorem, mało Ci nie odpadł, a wszystko

po to, żeby rozerwać te gęsi (no, ładne, to trzeba przyznać), Irenę pana radcy i Manię D'Eusleur (pozostałych już nie pamiętam z imienia, ale było ich tyle, że musiałeś namielić tego, co do objętości, jak wszyscy elżbietkańscy dramatopisarze razem wzięci, z czeskimi klasykami na dodatek), i kiedy tak miałeś ozorem, to pewnie Ci nawet do głowy nie wpadło, że facet – zwłaszcza młody – ma na kobity jeszcze inny organ cielesny, nie tylko ozór, więc też byłeś głupi.

Wszyscy tacy byliśmy, z tym, że niektórzy pod względem politycznym po właściwej stronie, no to ich pousadzali i dziś wydaje się, że zawsze byli mądrzy. A ten Jasiu-chłoptasiu był wtedy politycznie po złej stronie, to teraz wydaje się, jakby był głupi od urodzenia. Chociaż oczywiście od strony materialnej nie był taki głupi, to raczej dziś jest. Za to dziś znowu jest mądry, chociaż nie od strony materialnej i w ogóle od strony kariery życiowej. Od tego dziś są inne cwaniaczki: na przykład taki Les, niby dramaturg, albo te tłumy, co żyją z ożywionych obrazów. Co ja na to poradzę, że Jasiu-chłoptasiu był dla mnie zawsze dycht komiczny, chociaż im dalej, tym mniej, i dziś już mi się wcale nie wydaje komiczny. Może dlatego, że mam w stosunku do niego taki czeski kompleks filogenetyczny, że on nie nasrał w pory, a ja nasrałem, ale może też całkiem obiektywnie. Przecież co on może na tym zyskać, pomijając tak zwaną nieśmiertelność i tak zwane czyste sumienie, które to walory są absolutnie nic niewarte, jak dowodzi przykład narodu czeskiego, który w tak zwanej zdecydowanej większości na oba te walory sra, dekoruje okna, pije piwo i klnie na ustrój, ale tylko wtedy, kiedy nikogo nie ma w pobliżu?

Taa, życie to strasznie cieżka sprawa, jak mawia tenże naród (czeski) i ma rację. Tutaj do mnie do Kranknhauzu przychodzi spełniać obowiązek p.t. Chorych Nawiedzać pewien apostoł Kościoła Świętego, niejaki Josef Beran, który wtedy, przed dwudziestu pięciu laty, był głupi po tej właściwej stronie, więc go na dwanaście lat zapuszkowali, ale ponieważ jest pokorny chrześcijanin, nie robi z siebie nawet dziś mądrego

od urodzenia, tylko stara się uratować moją duszę, o ile jakąś mam, co nie jest takie pewne. Więc żeby mu zrobić przyjemność, pozwoliłem się ochrzcić na tym łożu śmierci, dzięki czemu tyż jest ze mnie chrześcijanin, tak jak Ty, Mój Krajanie, ale jednocześnie jestem stary socjalista, co podobno do siebie nie pasuje, jak mówią współbracia mojego apostoła Josefa Berana z Kółka Różańcowego świętej Tereski od Dzieciątka Jezus, ale mnie się wydaje, że całkiem pasuje, więc może jeszcze stale jestem głupi. I wyobraź sobie, że ten Josef Beran miał przeze mnie kłopoty w swoim Kółku Różańcowym, gdzie bronił mojej przeszłości, twierdząc, że byłem dramaturgiem, a nadodatkowo (na dodatek?) kiedyś występowałem za świadka przed jednym sądem rehabilitacyjnym jakichś pisarzy katolickich i twierdziłem, że są dobrzy i niewinni (bo byli, zwłaszcza to pierwsze). Po tej apologii najbardziej prawowierni bracia różańcowi zakrzyčili go, że przecież byłem w Partaji, a kto tam był, jest raz na zawsze złoczyńca, czemu on nie zaprzeczał, ale bąknął coś o jakimś innym złoczyńcy po prawicy jakiegoś innego brata różańcowego – tego jeszcze nie znam, nie doszedłem tak daleko w nauce religii, muszę wolno, bo jestem śmiertelnie chory. Ale bracia stwierdzili, że mój przypadek temu nie odpowiada, więc Josef Beran się wpieprzył, a raczej uniósł się gniewem, i to sprawiedliwym, i powiedział im, że są komunistami przebranymi w jasnoniebieskie szaty, no i wszystko wskazuje, że ma w Kółku Różańcowym po ptokach. On mi kiedyś opowiadał, że Kościół nie jest jeden, tylko właściwie trzy Kościoły Święte: Cierpiący, Walczący i Zwycięski, ale zapomniał mi powiedzieć, który jest który. Więc tak sobie myślę, że on jest ten Cierpiący, Kółko Różańcowe to Walczący, no ale dla mnie zostałby już wtedy tylko ten Zwycięski, więc nie wiem, skoro ja za Kościół nigdy nie walczyłem ani nie cierpiełem, a tylko teraz czerpię z niego bezprawne korzyści duchowe. Co właściwie można ująć tak, że w rzeczy samej wygrałem.

Nie czuję się zbyt dobrze, mój Rodaku, znaczy się fizycznie. Chyba przez to dmuchanie w wieczne pióro tyknąłem sobie

atramentu i mam akwamarynową gębę, więc jak przed chwilą przyszła mnie odwiedzić Janka (żona) z Janką (córką), to się przestraszyły, że jestem siny, a więc trup. No ale na razie nie jestem trup i jak Bóg da, jeszcze przez jakiś czas nie będę (chyba że On jest taki jak ci bracia rózańcowi, ale to chyba, na Boga, niemożliwe, bo musiałby wtedy być taki, jak Stalin, a taki przecież nie może być, chociaż jak mówi Josef Beran, Jego ścieżki są niezbadane i nie przystoi nam zastanawiać się nad Jego wyrokami – nie wiem, co to znaczy, chyba coś intymnego, ale ja byłem zawsze dyskretny, więc się nie pytam).

Kobity tymczasem już do siebie doszły i udają, że nic, że wszystko jest ganc normal i że te zakonnice trzymają mnie tu z powodu kataru. Horst nie umie tak udawać, zresztą nie jest kobita i nie studiował w szkole dramaturgicznej, więc robi mi-nę jak diplodocus, co wygląda głupio. Chociaż on nie jest głupi. Że też my, Mój Drogi Rodaku, nie wzięliśmy się raczej za wykopywanie prehistorycznych zwierząt! One żadnemu reżimowi nie przeszkadzają, bo są sejfli ded, przynajmniej do tego czasu, kiedy nie zaczniesz z tego wysnuwać jakichś teorii filozoficznych jak Darwin, a po nim Marks. To już mogłoby przeszkadzać, zwłaszcza dziś, bo mam takie wrażenie, że ten ostatni zaczyna już przeszkadzać swoim braciom rózańcowym, którzy robią z niego tylko taki katechizm i zamiast brać z niego przykład i kombinować, jak on myślał, wolą być postuszni Partii i rządowi.

Więc na dziś już się z Tobą żegnam, Drogi Rodaku, może nawet nie na zawsze, a gdyby nawet, to co z tego? Przecież i tak spotkamy się wszyscy w kartotekach. Tych oni nie niszczą, bo czasy się zmieniają i nikt nigdy nie wie, co się jeszcze może komuś przydać.

Więc jeszcze raz dmuchnę w to pióro:

Bądź zdrów i zachowaj mnie w swej światłej pamięci!

Twój

Vratislavus

nawrócony grzesznik, jak by o mnie dziś powiedziała nieboszczka Nadia.

Paperback *W Górach Szaleństwa* udało mi się kupić w amerykańskim dragstorze po drodze do restauracji Savoie, gdzie urządziliśmy sobie ostrygową ucztę. Na okładce widniała kosmata czaszka z wystającymi z ust dwoma pożółkłymi siekaczami, a w pustych oczodołach wiły się robaki.

– To tam chciałbyś jechać? – spytała z niesmakiem Nicole. – Przecież to jakiś koszmar!

– Panno Svensson, koszmar też ma swój urok – odparłem. – A co to jest właściwie piękno w sztuce? To poznanie, że coś jest w niej dokładnie takie samo w rzeczywistości albo w koszmarze sennym. Lecz rzeczywistość i senne koszmar bardzo często nakładają się na siebie i wtedy rzeczywistość jest zawsze mniej doskonała, w pozytywnym i negatywnym znaczeniu tego słowa. Sztuka wychwytuje esencję, która w naturze jest mniej lub bardziej rozrzedzona. W sztuce jest ona zagęszczona, jako potencjalna możliwość. A ponieważ sztuka oznacza możliwość, może oznaczać wszystko możliwe na świecie.

Irena marszczy brwi.

– Ja jestem tylko *undergraduate* i estetyki jeszcze nie przerabiałam.

– I to pani błąd. Wpisuję pani kolejne *ef for fail*.

Siedzimy w restauracji Savoie, nad nami niebo jak z van Gogha, od strony katedry Notre-Dame słychać dzwony, a po bulwarach przechadzają się podejrzane piękności. Zamówiłem potrójną porcję ostryg.

– Będziemy się źle czuli – zmartwiła się panna Svensson – i nie damy rady się kochać.

Zapewniłem ją, że jeśli tylko jej żołądek wytrzyma, to ostrygi są afrodyzjakiem.

Potem otworzyłem Lovecrafta i pod bezpiecznym niebem Paryża zacząłem czytać – tu, nad Sekwaną, obok Nicole, która nie przypuszcza, że zaledwie parę

mil stąd leżą Góry Szaleństwa, a w ich przesmykach czają się straszni Shoggoci ze swymi minami przeciwnymi i cybernetyczną kartoteką:

„To młody Danforth pierwszy zwrócił naszą uwagę na zadziwiające regularności w zarysie majających na tle nieba wyższych partii gór. Przylegały do nich fragmenty geometrycznych sześcianów, o których wspominał Lake w swoich komunikatach i które faktycznie usprawiedliwiały jego porównanie do powstałych w sennych wizjach ruin pradawnej świątyni, na spowitych chmurami szczytach azjatyckich gór, tak subtelnie i niezwykle namalowanych przez Roericha. Prawdę mówiąc, na tym niezemskim kontynencie tajemniczych gór było coś natrętnie i złowieszczo roerichowskiego. Odczułem to już w październiku, kiedy po raz pierwszy ujrzałem Ziemię Wiktorii, a teraz uczucie to powróciło ze zdwojoną siłą. Tym razem towarzyszyło mu dodatkowo niepokojące wrażenie podobieństwa do archaicznych mitów – wrażenie, iż ta wstrząsająca kraina śmierci przypomina okryty złą sławą, posępny płaskowyż Leng z pradawnych legend. Mitologowie umiejscowiają go w Azji Centralnej, ale pamięć ludzkiej rasy – lub jej poprzedników – jest długa i niewykluczone, że pewne opowieści pochodzą z krain, gór i świątyń starszych niż Azja, starszych niż jakikolwiek ludzki świat, który znamy.

Kilku odważnych mistyków napomknęło o preplejstoczeńskiej genezie fragmentarycznych Manuskryptów Pnakotycznych, sugerując, że wyznawcy Tsathoggui byli równie obcy człowiekowi jak sam Tsathoggua. Leng, gdziekolwiek się znajdował w czasie i przestrzeni, nie należał do miejsc, które chciałbym odwiedzić czy choćby znaleźć się w ich pobliżu”*.

* Cytaty z *W górach szaleństwa* w przekładzie Roberta P. Lipskiego.

– Uff! – westchnęła panna Svensson. – I ty chcesz tam jechać w podróż poślubną?

Uciszam ją machnięciem ręki, bo nie chcę się dać wyrwać z magicznej naiwności mądrej wizji.

„W tej chwili żałowałem wręcz, że czytałem przerażający *Necronomicon* i prowadziłem rozmowy z tym gburowatym erudytą i folklorystą Wilmarthem z naszej uczelni”.

– Co takiego? *Necro...*

– ...*nomicon*. Księga, którą napisali martwi.

Nicole wzdryga się. Jest ciepły wiosenny wieczór w ciepłym Paryżu.

– Ja tam z tobą nie pojedę – kręci przecząco głową.
– Skoro chciałbyś odbyć literacką podróż poślubną, to chodź popłyniemy Missisipi. Jedno biuro podróży znów uruchomiło parowce...

– *You don't like dead folks?*

– Co to za pytanie?

Patrzy na mnie, nie rozumiejąc. Ma pięknie umalowane, siwe oczy. Robi mi się jej żal. Bóg raczy wiedzieć, co ją czeka. Znałem takie. *Necronomicon*. Taki żart dla zwariowanych przyjaciół.

– *Nigger Jim* – podpowiadam jej cicho. – Pamiętasz? Jak Huck, rzekomo martwy, wystraszył go na wyspie na Missisipi?

Śmiesznie stuka się w czoło.

– Przecież pisałam o tym pracę!

– Pewnie pani jej nawet nie przeczytała, panno Svensson. A szkoda, bo to była dobra praca. Co najmniej za trzydzieści dolców.

– Niektóre prace pisałam sama, sir.

– Te to nawet za pięć dolców byłyby za drogie.

– Co pan tak na mnie usiadł, sir?

– Czasem to pani na mnie siada – mówię cynicznie, a odważna wimpliberka czerwieni się. – Pojedziemy

w podróż poślubną na płaskowyż Leng. Czy pani chce, czy nie. Wcześniej czy później wszyscy tam pojadą.

– W podróż poślubną?

– Tak. Gody, na jakie latały czarownice. Na miotłach. Całowały potem diabła w goły tyłek i spółkowały z kozłem.

– *Don't talk like that!*

– Ja nie mam takiej absolutnej wiary w moc sprawczą słowa, że czego się nie wypowie, to tego nie ma. Tak było i będzie, choć o tym nie będziemy mówić. Całowały diabła w goły tyłek. Jak sobie zażyczył, to tańczyły choćby kozaka. Grubi i chudzi, na wysokich stanowiskach i z dostępem do informacji, spółkowałyby z kozą, gdyby im rozkazał. I będą to robić, jak dostaną polecenie. Widzę ich wszędzie wokół siebie. I w Stanach, i w Kanadzie...

– Przecież chyba tyle pan nie wypił?...

– Nie przemawia przeze mnie alkohol. Proszę posłuchać, panno Svensson, niech się pani choć trochę w tym zorientuje. Jeden taki kraj zobaczy pani na własne oczy.

I czytam:

„Kiedy zbliżyliśmy się do zakazanych szczytów, mrocznie i złowroźnie majaczących nad linią pociętego szczelinami śniegu i lodowca, ujraliśmy jeszcze więcej zadziwiająco regularnych formacji przylegających do stoków i po raz kolejny powróciłem myślami do osobliwych azjatyckich malowideł Nicholasa Roericha. Starożytne i zwietrzałe warstwy skalne odpowiadały w pełni opisom Lake'a, potwierdzając fakt, że szczyty te piętrzą się tu w niezmięnionej formie od zadziwiająco wczesnych czasów ziemskiej historii – zapewne od ponad 50 milionów lat”.

Kelner przynosi dwie góry ostryg.

– To się jakoś powtarza – mówi Irena. – Już mi czytałeś o tym Roerichu. I o Lake'u.

– Lovecraft nie miał wielkiej fantazji, ale za to intensywną. Albo raczej natrętną wizję. Jak wszyscy prorocy.

– Co prorokował? – pyta bez zainteresowania Nicole. Jej uwagę przykuwają żywe zwierzątka we wstrętnych skorupkach. Delikatną rączką ujmuje nóż do ostryg.

– To, co wszyscy prorocy – odpowiadam. – *Doom*.

– Hmmm – mruczy Nicole i wysysa zwierzątko ślicznymi ustami. – Ale to doobre!

Milknę. Zbyt intensywnie wspominam. Czuję, jakie to strasznie niesprawiedliwe, że ludzie z różnych światów mają tak różne losy. Patrę na to dziecko Zachodu, jak na moich oczach – człowieka Wschodu – w okrutny sposób morduje umierające zwierzątko i leje w jego rany sok cytrynowy.

– Mmmmm! – znów błyska nóż, jak wtedy, gdy staliśmy z Sylwą niedaleko stąd, w Neuilly, ja – martwy człowiek, ale Sylva ledwie dwudziestopięcioletnia. I wtedy ona spytała:

– Ile mam ich wziąć?

– Nie wiem. Tuzin?

– Na każdego?

– No, chyba tak.

– Wezmę raczej po dwa.

Kupiła osiem tuzinów ostryg. Sprzedawca nawet nie mrugnął okiem. Ogromna paczka skorup ważyła chyba z dziesięć kilo. Piliśmy do tego szampana, Pavelka szybko odpadł, a Miloš miał jakieś biznesowe spotkanie, więc z Sylwą musieliśmy sami sobie poradzić. W dwupoziomowym mieszkaniu w Neuilly, gdzie na górze w dziecięcym pokoju spali Martin i Martina. Już wycisnęliśmy z dziesięć cytryn, ale wciąż jedliśmy i piliśmy. Po północy Sylva zwała się na fotel i powiedziała:

– Czuję się, jakbym była w ciąży!

- Może jesteś.
 - Nie strasz mnie, człowieku! Ja mam za miesiąc premierę!
 - Ty wracasz?
 - Jasne! Nie mogę ich przecież zostawić w takiej bryndzy. Ufff! – westchnęła. – Tu mnie boli, tu mnie kłuje, a tu mnie rozsadza! – położyła sobie rękę na brzuchu.
 - Trzeba ich było mniej kupić.
 - Albo mniej zjeść.
 - Albo bardziej je podlewać – stwierdziła i golnęła potężnego łyka szampana.
 - Albo nie kropić taką ilością cytryny – dodałem. – Ja nie wracam.
 - A co będziesz tu robił?
 - No przecież umrę. I znów się narodzę.
 - Matko Boska! – westchnęła po staroświecku. – Można od ostryg dostać dzieci?
 - Dzieci ostryg?
 - Ludzkich dzieci, ty głupku! Wracaj. Co byś gdzieś indziej robił?
 - A co bym tam robił?
 - To co zawsze – skrzywiła się.
 - Boli cię brzuch?
 - Tak też to można nazwać – odparła. Wstała, zatoczyła się i pobiegła do drzwi.
- Zniknęła. Patrzyłem na pozostałe ostrygi. Zostało ich na tacy jeszcze z piętnaście. Wszystkie przedtem otworzyliśmy i teraz drżały w śmiertelnych skurczach. Było mi wszystko jedno, więc skróciłem ich cierpienia. Rano Sylva siedziała przy stole jak trup, piła alka-seltzer i łykała przywieziony z Pragi węgiel.
- Też dostałeś od nich sraczkę? – spytał jej mąż.
- Pokręciłem przecząco głową.
- Zrobiłem się po nich głodny. W nocy wstałem i wyjadłem wam wszystko z lodówki.

Pavelki już z nami nie było. W nocy wszystko prze-myślał i wyjechał porannym ekspresem do Pragi.

Teraz patrzę na Nicole.

– Jakoś ci to wyjątkowo zasmakowało – mówię. – Twierdziłaś, że za dużo zamówiłem, a nic mi nie zo-stawisz?

Kręci w milczeniu głową, bo w ustach ma ostatnią ostrygę. Umalowane oczy śmieją się złośliwą, niewin-ną młodością.

– Takich dobrych w Toronto nie dają – odzywa się po chwili z pełnymi ustami. – Takich świeżych.

Pijemy szampana, a ja znów sięgam po Lovecrafta.

– Będziesz jeszcze czytać? – pyta z wyraźną obawą w głosie.

– Już tylko kawałek – zapewniam ją. – Pozwól stare-mu człowiekowi na chwilę przyjemności.

– Ale potem wracamy do hotelu?

– Potem wracamy do hotelu.

– Czy może jeszcze przedtem do Crazy Horse?

– Przecież to nie jest pani potrzebne, panno Svens-son. Proszę posłuchać. Czytanie z książki H.P. Lovecra-fta, rozdział dwunasty, wers nie wiem który:

„W oddali, na tle białego horyzontu, poza zarysem groteskowego miasta, odcinała się bajeczna linia naje-żonego turniami fioletu, a jej wyniosłe iglice wygląda-ły niczym majak ze snu pośród przyzywającego, nabie-gającego barwą różu zachodniego nieba.

Nieco wyżej, patrząc w stronę lśniącej krawędzi sto-ków, opadających ku starożytnemu płaskowyżowi, można było dostrzec wyschnięte koryto pradawnej rze-ki, przecinające ów teren nieregularną wstęgą cienia.

Ten nieziemski widok, przepełniony nieomal kos-micznym pięknem, zaparł nam dech w piersiach, ale nie trwało to długo, ponieważ zaraz potem do naszych serc zaczęła się wkradać nieokreślona groza.

Ta odległa fioletowa linia nie mogła być bowiem niczym innym, jak przerażającymi górami zakazanej krainy – najwyższymi szczytami na Ziemi, ogniskującymi w sobie całe ziemskie zło; siedliskiem niedających się wysławić koszmarów i archaicznych sekretów; górami, do których zanosili modły i unikali jak ognia ci, którzy lękali się nawet przedstawienia w kamieniu prawdy na ich temat; stokami, których nie tknęła stopa żadnego żywego stworzenia, ale nawiedzanymi przez dziwne błyski i rozsyłającymi niezwykle, blade promienie, omiatające pobliskie równiny i rozcinające mrok polarnej nocy. Były one bez wątpienia nieznanym archetypem przerażającego i potężnego Kadath z lodowatych pustkowi, leżących poza groźnym płaskowyżem Leng”.

– Oto Góry Szaleństwa... – powiedziałem.

– Brrr! – odezwała się Nicole. – Tam na pewno nie pojedziemy! *We couldn't make love there.*

– Pojedziemy – odparłem ponuro. – Ja już tam byłem. Tam też ludzie się kochają.

– *How come you are alive?* – pyta Nicole. – Skoro tam każdy umarł.

– Ja tam umarłem – stwierdziłem. – Ale potem znów się narodziłem.

– To jakoś szybko się zestarzałeś.

– Późno się urodziłem.

Nicole nagle podejmuje decyzję.

– Idziemy do hotelu!

– I będziemy sobie czytać w łóżku. Jest *reading week*. Zrywa się nagle z miejsca i łapie się za brzuch.

– *Oh, my God!*

Wytrzeszcza umalowane oczy.

– *You're pregnant* – powiedziałem. – *You'll have young oysters.*

– *Where's the ladies room?* – pyta przerażone dziecko Zachodu.

Nadbiega kelner.

– *Où... où...* – pyta go ze zroszonym od potu czołem swoim francuskim z Toronto. – *La... la toilette?*

Kelner coś dyskretnie szepcze jej na uszko. Nicole w swym pięknym stroju za osiem stów znika za kotarą.

Och, moje dziecko! Dziecko Zachodu! *Dominus tecum...* w tych Górach Szaleństwa.

* * *

– *Booker!* – odzywa się Debilinka władczym głosem do czarnego barmana. – *How many drinks did Mr Senka have?*

– *Just one!* – odpowiada pokornie Murzyn.

– *Booker!* – rozkazuje mu głosem jak lód. – *Make Mr Senka another screwdriver!*

Murzyn posłusznie zaczyna trząść szejkerem, a bielma za sztuczną winną latoroślą mrużą się ze strachu. Pan Senka z trudem odrywa wzrok od posypanego gwiezdny pyłem kroku Debilinki i chichocze:

– Tak, tak, szanowna pani! Screwdriver. To ja bardzo lubię!

– Ta gajdka w Moskwie – opowiada Debilinka – robiła się całkiem wściekła, jak jej mówiłam, że jesteśmy Czesi. Twierdziła, że im zabiliśmy tylu najlepszych młodych ludzi! No to ja jej powiedziałam, że to jest bulszit, bo jak ktoś zabijał, to enyłej oni. Ale ona mnie przez całą naszą podróż poślubną fraunowała i była konwinst, że w Pradze działały się jatki.

– Sowieccy ludzie to lud wierzący. Prawowierny – stwierdził Boczar i wyciągnął rękę z pustą szklaneczką.

– *Booker!* – wrzasnęła Debilinka, jakby to było przed stu laty na plantacjach. – Nie widzisz, że gość ma puste szkło?!

– *Yes, ma'm!* – Murzyn kłania się uniznienie, jak na plantacjach. Gorliwie trzęsie szejkerem. Boczar nadstawia jeszcze jedną opróżnioną szklaneczkę.

– A moja żona miała pink lejdi.

– Słyszysz, Booker! – cedzi Debilinka strasznie surowym głosem. Taka się z niej stała jaśniepani? Widocznie tak. W końcu dopiero co wrócili z podróży poślubnej do Związku Radzieckiego.

Booker bierze do lewej ręki drugi szejker i stara się, jak może.

– Ślicznie pani wygląda, szanowna pani! – sapie pan Senka i znów wlepia wzrok w lśniące majteczki. Debilinka zakłada nogę na nogę, dostrzega spojrzenie pana Senki i zaczyna ukradkiem przyglądać się sobie, czy gdzieś nie ma rozpiętego zamka.

Margitka wychodzi do łazienki. Patrzą za nią, żeby też nie musieć się wpatrywać w Debilinkę. Ta jednak po chwili wstaje i wychodzi. Zapewne poprosi Margitkę, żeby szekowała, czy jest disnt.

– Młody! – słyszę ściszony głos Boczara. Nie wiem, dlaczego zawsze zwraca się do mnie w tak absurdalny sposób. Pan Senka odwrócił się w stronę baru i zasysa, a pan Zawynatch poszedł za bar, wyciągnął spod niego metalowe pudełko i nabija sobie fajkę.

– Młody! – słyszę znów szept Boczara.

– Tak? – zwracam się w jego stronę. Whisky rozplomieniła mu wzrok.

– Dziękuję ci.

– Za co?

Wzdrygam się. W zwiskowanych oczach jest trochę ironii, trochę rozpacz, ale są one wciąż przyjazne. Mimo to z trudem łapię oddech.

– Nie udawaj, że nie wiesz!

Oblewa mnie fala gorąca. Chyba spłonilem się jak chłopiec przyłapan na kradzieży śliwek.

– Tak tego nie traktuj – mruczy Boczar. – Ja nie jestem żaden potwór. A ona na to zasługuje.

Próbuję coś wyjąkać, ale właściwie nie wiem co. Co za dziwne czasy.

– Ona jest święta – ciągnie dalej Boczar. – W przeciwnym razie już dawno by się wypięła na kalekę. Zwłaszcza że na dodatek przedtem... tyle lat...

Znów usiłuję coś bełkotać, jednak nawet i do takiej formy językowej potrzebna jest jakaś treść.

Boczar wyrwał się ze swoich sentymentalnych wspomnień i spogląda na mnie jak urwis:

– Co się tak czerwienisz jak pensjonarka? Świat jest dziwny, a to jest normalne. Chodź, wypijemy za to!

Po raz ostatni staram się coś powiedzieć, ale wydobywa się ze mnie tylko idiotyczne:

– Na zdrowie!

– Na zdrowie! – odpowiada Boczar. – Oby nam dobrze służyło!

Trącamy się szklaneczkami i wznosimy toast za zdradę ukochanej żony Boczara pierwszorzędną whisky Chivas Regal pana Zawynatcha.

Pan Senka przy barze patrzy właśnie na gospodarza i trzęsie się w niepowstrzymanym śmiechu. Booker zaczyna jeszcze gorliwiej pracować. Pan Zawynatch odsłania kosztowne *dentures*.

– *What is it?* Niech mi pan powie!

– Musiałbym to panu szepnąć na ucho!

– No to niech pan szepnie!

Pan Zawynatch nadstawia ucho w stronę pana Senki, a garnitur zaczyna zmieniać barwę. Booker wściekle trzęsie szejkerem. Na tle różowej skóry topleski w folklorystycznym stroju lśnią wspaniałe, białe zęby.

* * *

Darwin, 7 maja 1977 roku

Szanowny Panie Smirzicky,

Z głębokim żalem muszę pana poinformować, że Pański list adresowany do pana P. Skoczdo pole nie mógł zostać doręczony, ponieważ adresat zginął śmiercią tragiczną podczas niedawnego huraganu, który spustoszył nasze miasto.

Z wyrazami szacunku

Kevin W. McIntyre

Główny Poczmiistrz Miasta Darwin

* * *

Wpadłem do fabryki, bo nie miałem co robić. Przy bramie siedział werkszuc Blühme i przyjaźnie się do mnie uśmiechnął. Powiedziałem mu, że byłem chory, ale on tylko machnął ręką.

– W porządku! Prawie wszyscy są chorzy.

Spokorniał i zaczął znów mówić po czesku, chociaż nazwiska na oryginalne „Bluma” nie mógł zmienić. Zdecydowanie przestał też udawać ważniaka i nawet wykazywał się pewnym poczuciem humoru. Co prawda czarnego, ale może żadnego innego nie ma. Szedłem przez dziedziniec w stronę hali, w której minionej zimy nawiercaliśmy z Nadią krzyżaki do meserszmitów. Przed spawalnią na zielonej beczce siedział Nejezchleba i ceremonialnie palił coś, co wyglądało jak wielkie cygaro opakowane w gazetę. Zanim do niego dotarłem, z biura wyszła Gerta Ceehova w szarej spódnicy i beżowej koszuli; włosy miała spięte w regularny kok. Niosła w rękę jakieś papiery i minęła kopcącego jak lokomotywa Nejezchlebę, jakby go nie widziała. Ten po chwili zeskoczył ze swojego tronu i przyłączył się do mnie.

– Idziesz po wypłatę?

Była sobota.

– A co, jeszcze dają?

– Dają. Kleinenherr urzęduje. Ale poza tym wszystkie szkopy się już zadekowały, oczywiście z wyjątkiem Ceehovej. – Obejrzał się za zatwardziałą narodową socjalistką, która właśnie zniknęła w drzwiach księgowości.

Weszliśmy na Syberię. Było tam stosunkowo tłoczno, ale to dlatego, że wszyscy przyszli po wypłatę. Panowała za to niezwykła cisza. Zamiast dotychczasowego huku młotów pneumatycznych, który mi zawsze przypominał artyleryjską kanonadę, tylko z rogu dobiegał dźwięk skrzypiących pilników, a po chwili świst, jakby ktoś wpuścił powietrze do wiertarki. To Hetflajsz i Szvestka do tej pory pracowali, a obok stał dziadek Varzeczka. Ale kiedy podszedłem bliżej, zobaczyłem, że z duraluminiowych dekli, stanowiących podstawę działka pokładowego meserszmita sto dziewięć ef, montują ozdobną budę dla psa.

Poszliśmy do toalety. W starej, dobrze znanej londyńskiej mgłę wciąż debatowało stare kółko dyskusyjne. Dziś mieli wyjątkowego gościa. To werkszuc Eisler, który wrzeszczał jak za dawnych czasów, ale teraz język mu się plątał. Pewnie dlatego nie był taki oklapły jak Blühme na wartowni. Ale wrzeszczał po czesku, przynajmniej częściowo. W odróżnieniu od starych czasów kółko dyskusyjne już nie siedziało na sedesach ze spuszczoneymi spodniami, tylko jawnie się z niego nabijało.

– Ma *Geheimwaffe*! Führer naprawdę ma! – darł się Eisler. – Taka *Geheimwaffe*, że jedna wystarczy, żeby z całą armią zrobić *kaputt*!

– Tresowane szczury, barani łbie? – spytał Malina.

– Ta *Geheimwaffe* jest fertik i przestaniecie sobie stroić żarty! Jak będzie już źle, to *Geheimwaffe* dokona zwro... zwrotu na wojnie!

– Topewnie będą syntetyczne pawie pióra – odezwał się Nosek. – Tylko jak je tej armii przymocują do tyłków?

– On ma na myśli Śpiących Rycerzy – dołączył się chłopak z lakierni. Przyszedł po wypłatę w niedzielnym garniturze w czerwone prążki i o wypchanych ramionach. – Przecież powiedział, że jak będzie źle.

– Śpiący Rycerze nie będą pomagać szkopom, ty pawianie! – oburzył się Malina.

– Dlaczego nie? Przecież święty Wacław jest pewnie teraz kolaborantem.

– Chcesz w zęby? – spytał pobożny chłopak z lakierni.

– *Geheimwaffe* będzie rozrywać atomy! – ryknął Eisler i wypił potężny łyk z piersiówki.

– Daj się napić, Eisler! – wtrącił się Kos.

Eisler lekko się zakołysał w butach z cholewami, które już nie były takie lśniące jak dawniej. Starał się skupić pijacki wzrok na Kosie i zabełkotał:

– Dam, jak się napijesz za *Geheimwaffe*!

– Nie ma sprawy! – odparł Kos. – Choćby i za japońskich kamikaze.

– Za nich też. *Richtig*. Ale przede wszystkim za *Geheimwaffe*!

Podał piersiówkę Kosowi. Ten pociągnął łyk, ale zamiast oddać mu butelkę, podał ją Malinie.

– Za zdrowie gehajmwafe, ty szcurze! – wydeklamował Malina. Napił się, a butelka krążyła dalej.

– Stać! *Halt!* – krzyknął Eisler. – Oddać sznaps!

– Eisler! – wtrącił się Vozenil. – Przecież chyba nie masz nic przeciwko temu, żebyśmy wypili za gehajmwafe?

– No, nie! – wrzasnął Eisler i wyciągnął z drugiej kieszeni inną butelkę. Była pełna. Dobrze się przygotował na koniec wojny. – Atomy wszystko rozerwą! Będzie wielki wybuch!

– Będzie, będzie – przytaknął Kos.

– Jakie atomy? – spytał Malina. – Co ten palant gada?

– Atomy... – Eisler upił tak wielki łyk, że niemal do połowy opróżnił butelkę. – Z nich się składa *die Masse*. A atomy są pełne tej... *der Energie*. BUM!!! – ryknął tak głośno, że się aż uchyliło okienko w kiblu. Oparł się plecami o ścianę i wydawało się, że już ma dosyć.

– Co on gada o jakichś masach? – zapytał Kos.

– *Masse* to po niemiecku masa – pouczył go Nosek. – Masa składa się z atomów, w których wokół jądra krążą elektrony.

– Masa? – zwrócił się do niego Malina. – Czyli znaczy się ziemia, ty gorylu? To szkopy robią gehajmwaffe z gliny?

– Masa, czyli w ogóle materia – odparł Nosek. – Na przykład twój pilnik.

Z kieszeni drelichu Maliny wystawał potężny pilnik. Pewnie też robił jakąś budę dla psa.

– Ten? I w nim coś ma krążyć, ty szympanse?

– Elektrony – tłumaczył Nosek. – Pilnik jest z żelaza, żelazo składa się z atomów, a w każdym atomie krąży wokół jądra nie wiem ile elektronów. To jest jak Układ Słoneczny. Planety krążą wokół Słońca.

– Chyba ci w głowie krąży! – wypowiedział się Kos. – Nie chcesz w szczękę, żeby ci lepiej krążyło?

– To przeczytaj sobie o tym jakieś książki, kretynie! – nie poddawał się Nosek. – Czytać chyba umiesz?

– Chcesz w ryja? – zaproponował mu Kos.

Malina uważnie wpatrywał się w pilnik. Potem przysunął go Noskowi do twarzy.

– Gównu w tym coś krąży! Musiałyby w tym być jakieś bąble powietrza, a wtedy pilnik by się złamał, ty dromaderze!

– Atomy są gołym okiem niewidoczne – klarował mu Nosek. – Ale jakbyś popatrzył przez mikroskop elektronowy, tobyś zobaczył, jak tam krążą. Jest tam tak żywo, że byś się zdziwił, palancie.

Malina groźnie podniósł pilnik w górę.

– Więc twoim zdaniem ten pilnik się rusza jak robaczywy ser?!

– To by mogła być ta gehajmwafe, chłopaki – ucieszył się zielony weteran z Rajchu. – Mają magazyny robaczywego sera i będą go zrzucać z samolotów, aż się Armia Czerwona udusi od tego smrodu.

Wtem z Eislera wydobył się okropny dźwięk i trysnęła wstrętna, zielonkawa kasza, która zalała drelich Maliny. Ten zaczął głośno kląć. Kos i Voženil chwycili werkszuka za ręce i dociągnęli go do klozetu. Tam Eisler głośno wymiotował i oddawał ducha.

– *Es lebe die Geheimwaffe!* – odezwał się po chwili chłopak z lakierni.

Malina w zarzyganym kombinezonie stał przy brudnej umywalce i starą szmatą ścierał tajną broń ze swoich spodni.

* * *

Kto we mnie wierzy, choćby i umarł, żyć będzie.

Jan, 11,25

PAN BÓG WSZECHMOGĄCY WEZWAŁ DO SIEBIE DUSZĘ
MOJEJ UKOCHANEJ MAŁŻONKI
NADIEŻDY MELICHAROVEJ
Z DOMU JIROUSZKOVEJ

ZMARŁA PO DŁUGICH I CIĘŻKICH CIERPIENIACH
DNIA 23 STYCZNIA 1946 ROKU
PRZEŻYWSZY 21 LAT.

CIAŁO ŚP. ZMARŁEJ ZOSTANIE POCHOWANE
NA CMENTARZU MIEJSKIM W KOSTELCU
DNIA 27 STYCZNIA.

MSZA ZA DUSZĘ ŚP. ZMARŁEJ ZOSTANIE ODPRAWIONA
W NIEDZIELĘ 28 STYCZNIA
O GODZINIE 10.00 W KOŚCIELE P.W. ŚW. WAWRZYŃCA.
MĄŻ FRANCISZEK MELICHAR I RODZINA

Podałem Vratii Blażejowi kwitek przez ladę i w tym momencie do drogerii weszły Irena z Aleną. Radośnie im oznajmiłem, że zdjęcia już są gotowe. Chwilę czekaliśmy, aż Vratia przyjdzie z biura, gdzie pan Helebrant trzymał wywołane zdjęcia w torebeczkach z nazwiskami klientów. Alena się obawiała, że źle na nich wyszła.

Kiedy wrócił Vratia, Alena wyrwała mu torebkę z ręki i wraz z Ireną rzuciły się na fotografię. Zaglądałem im przez ramię.

Na pierwszej był pan radca z Aleną. Wyglądała na zdjęciu lepiej niż w rzeczywistości.

– Nie świeci ci się – powiedziałem.

– Słuchaj, Vratia. Czy dałoby się tatę odciąć, a mnie powiększyć? – spytała Alena.

Mówiła to całkiem poważnie. Ale faktycznie bardzo ładnie wyszła. Irena tymczasem odłożyła na ladę następne zdjęcie, prawie na nie nie patrząc. Wziął je do ręki Vratia.

– Czyje to jest? Waszego taty? – zapytał.

– Pokaż! – Alena wzięła od niego fotografię. – Jesteś ślepy, Vratislav? Przecież to moje nogi!

Rzeczywiście. Sfotografowałem je dobrze. Na zdjęciu w ogóle nie było widać brzegu spódnicy. Tylko te nagie, opalone, wyćwiczone podczas koszykówki, piękne nogi, niemal do tego miejsca, do którego uniosła spódnicę.

– Dlaczego nie zrobiłeś wyżej, artysto? – odezwał się Vratia. – W ten sposób tylko budzisz daremne oczekiwania.

– Wyżej była spódnica – odparłem. – A w ten sposób przynajmniej pobudzam twoją wyobraźnię.

Vratia badał fotografię, a dziewczyny oglądały następne. Znów zaglądałem im przez ramię. Irena z panem radcą i uśmiechem niczym u Deanny Durbin. Też miała na zdjęciu taką trochę pucołowatą twarz. Ciekaw-

we. Wypadała ładniej w rzeczywistości niż na fotce. Spojrzałem na Alenę – nos jej się błyszczał. Irena wzięła następane zdjęcie, na którym widniał pan radca jako szczęśliwy ojciec pomiędzy obiema drogimi siostrami; Irena z półprofilu i niemal tak śliczna jak na żywo, a Alena zakrywająca sobie dłonią usta i z nosem świecącym się jak pierścionek zaręczynowy na palcu.

– Ta ci się bardzo udała, Danny – stwierdziła złośliwie Irena.

– Mógłbyś mnie odciąć? – spytała Alena. – I dołączyć mnie z tego pierwszego zdjęcia?

– Drobiazg – odparłem. – Prościutki fotomontaż.

– Dołącz tam te jej nogi – z przekąsem powiedziała Irena. – I tak ci się w niej najbardziej podobały.

– Ty to masz głowę, siostrzyczko! Gdzie są moje nogi?

Alena się rozejrzała.

– Vratia! – krzyknęła. – Co ty tam robisz?

Krzyknęła tak głośno, że do sklepu wszedł pan Helebrant i z tyłu podszedł do Vratii.

– Pobudzam wyobraźnię – powiedział. Położył zdjęcie nóg Aleny na białym papierze pakowym i miękkim ołówkiem dorysowywał resztę ciała, naturalnie pozbawionego ubrania. Trzeba powiedzieć, że umiał rysować. Nagie ciało było niemal tak samo realistyczne jak sfotografowane nogi. – Na górze dołożę twoją twarz z tego dobrego zdjęcia, na którym nie świeci ci się nos – dodał.

Nagle Vratia dostał takiego klapsa, że aż się zatoczył.

– Błażej! Co ty robisz?!

– Szkicuję, panie szefie! Na tym jeszcze będzie namalowane ubranie!

– Ja ci dam ubranie! – zdenerwował się pan Helebrant.

– Marsz natychmiast do magazynu wypakować amoniak! – Potem zdecydowanym gestem oderwał piękne nagie ciało od reszty papieru pakowego, podał zdjęcie nóg Alenie, a pomalowany papier chciał zniszczyć.

– Niech mi pan to da, panie Helebrant! – poprosiła go Alena.

Pan Helebrant się zdziwił.

– A co z tym chcesz robić, Alenko?

– Dam to tacie. On by mi nie uwierzył, że Vratia jest taka świnia. Poproszę go, żeby poskarżył się jego rodzicom.

Wiedziałem, że kłamie. Alena nie była skarżypytą, a rysunek bardzo się Vratii udał. Pewnie sama chciała przykleić do niego nogi i głowę. Żeby jej dzieci miały pamiątkę.

– Sam mogę to zrobić. Ale jeszcze się zastanowię – powiedział pan Helebrant i niczym barbarzyńca zgniótł piękny akt w nieforemną kulę. – Vratislav za karę będzie po godzinach rozpakowywał towary w magazynie.

Alena miała smutną minę i obserwowała, dokąd pan Helebrant wyrzuci kulę. Wsadził ją sobie do kieszeni. Postanowiłem, że wieczorem wpadnę do winiarni Slovan, dokąd pan Helebrant chodzi potajemnie pić wino z panem Skoczdoполе w tylnej salce. Kula może jest jeszcze nie całkiem stracona.

– No, to idziemy, sestro! – odezwała się nagle Irena. – Poproszę jeden ałun, panie Helebrant. – Oddała mi zdjęcia. – Naprawdę bardzo ci się udały, Daniczku – powiedziała do mnie słodko. Ale kiedy mówiła do mnie „Daniczku” i w dodatku tak słodkim głosem, oznaczało to, że jest wściekła. Dostała ałun, zapłaciła i chwyciła Alenę za rękę.

– Jeszcze nie widziałyśmy wszystkich zdjęć! – protestowała Alena.

– Siebie widziałaś i masz swoje nogi. Idziemy, droga sestro!

Energicznie wypchnęła Alenę z drogerii.

Zupełnie tego nie rozumiałem. Zacząłem znowu oglądać zdjęcia, a tym razem przez ramię zaglądał mi pan

Helebrant. Alena z panem radcą, Irena z panem radcą, pan radca między dziewczynami... I nagle:

– Podwójna ekspozycja – powiedział fachowo pan Helebrant.

Ale ze mnie idiota! Zapomniałem przewinąć film. Na zdjęciu siedziałem na kanapie w pokoju u pana radcy, po mojej lewej ręce przyciskająca się do mnie Alena, ładniejsza niż w rzeczywistości i bez błyszczącego nosa, a po prawej – duch. Ale kształty ducha były całkiem rozpoznawalne. Była to Marie Dreslerova, która pokazywała do obiektywu język i bardzo z tym jej było do twarzy. No tak. Spotkałem ją dzień wcześniej, kiedy miałem świeżo załadowany aparat. Zanim udałem się do córek radcy chwalić się historycznymi zdjęciami. A to było niewątpliwie najbardziej historyczne ze wszystkich.

* * *

Drogi Danny

nie dziw się, że po tylu latach znów się odzywam, i nie gniewaj się, że nie odpowiadałam na Twój list, w którym przysłałeś kanadyjski adres. Nie odpowiedziałam, drogi Danny, bo jestem już właściwie martwa. Piszę do Ciebie, ponieważ uświadomiłam sobie, że jesteś tak naprawdę jedynym człowiekiem, którego jeszcze mam na świecie. Wydaje Ci się to śmieszne, prawda? Ale jesteś jedynym, kogo mam.

Więc muszę Ci o tym napisać. Davidek już nie żyje. Ani jego żona Noemi. W miesiąc po wojnie oboje zabiła bomba w kawiarni na bulwarze Rabbi Loew.

Ach, Danny, mój Ty ostatni przyjacielu! Kiedy żołnierze przyszli mi o tym powiedzieć, to nawet nie płakałam. Nie mogłam, bo już w tej chwili byłam martwa. Już krótko przedtem mało nie umarłam ze strachu. Davidek musiał znów iść do wojska. Słowo musiał jest tu niewłaściwe. Jak tylko usłyszał w radiu, że kuzyni zbezczeszcili Yom Kippur, zerwał się

wprost od księżek i popędził do dowództwa. Przez trzy niedziele nie miałam od niego wieści, a była to krwawa wojna. Nie będę Ci opisywać tych trzech niedziel, bo i tak bym nie umiała. Pracowałam z Noemi w szpitalu, chociaż ona była już w siódmym miesiącu, więc widziałyśmy z bliska, ile nas ta wojna kosztuje. Ale Davidek wrócił. Miał znów kilka nowych medali; był w tej grupie, która przeprowiła się przez Suez i otoczyła całą jedną armię kuzynów.

Nie potrafię już płakać, Danny, ale chyba po raz pierwszy od tej wojny, którą przeżyłam w Auschwitz, czuję nienawiść. Przysięgam Ci, że wcześniej wcale nie nienawidziałam kuzynów. Nie wiem dlaczego. Może po Niemcach nic mnie już tak nie szokowało; wydawali mi się jak dzieci, które wprawdzie bawią się ogniem, ale jednak są dziećmi. Teraz ich nienawidzę. Niech Bóg mi przebaczy. Od tego czasu, kiedy żołnierze przyszli mi powiedzieć, że Davidek i Noemi nie żyją, stale czytam i czytam. Czytam książki o Arabach, o tym, co robili w czasie wojny, kiedy ja byłam w Auschwitz. Czy wiesz, że mieli nawet swoją dywizję SS – Muslim SS Handschar Division pod dowództwem jakiegoś pułkownika Sauberzweiga – i spisywali się tak, że Himmler stawiał ich za wzór innym jednostkom SS? Anglicy nie mieli wcale w swojej armii jednostek arabskich, bo uważali je za niepewne, natomiast z Berlina przez całą wojnę przemawiał Wielki Mufti.

Ja wiem, że tego nie mógłbyś powiedzieć w Kanadzie ich przyjaciółom. Powiedzieliby Ci, że Arabowie byli w brytyjskiej niewoli, więc każdy wróg Anglii był ich przyjacielem i że trzeba ich zrozumieć. Ale jeśli ktoś potrafi to zrozumieć, to dlaczego nie chce zrozumieć nas? Że przez całe wieki żyliśmy w niewoli całego świata i że gwiazdę Dawida musieliśmy nosić już wtedy, gdy Arabowie opanowali Hiszpanię? Że wreszcie chcemy mieć swoją ojczyznę i każdy, kto nam jej odmawia, jest naszym wrogiem? Nie, ja tutaj nigdy nie będę w domu, Danny, ja już do śmierci pozostanę dziewczyną

z Kostelca. Ale nasze dzieci... No tak, nie moje. Teraz wreszcie płaczę, Danny. Po raz pierwszy w życiu mówię sobie to, co mówiły kobiety w Auschwitz, którym zabili mężów, dzieci, rodziców, wszystkich: Dlaczego właściwie ja też nie wyfrunęłam przez komin?

Jestem zbyt cyniczna, żeby przestać płakać.

Napisz mi coś, Danny, żebym miała co czytać. Coś, co nie wywoływałoby we mnie nienawiści. Na przykład o tym, jak w Kostelcu jako dzieci chodziliśmy się z Bennem kąpać na Jerycho. Albo nie. Napisz mi, jak żyjesz. Czy żyjesz. Napisz mi, co chcesz, Danny, mój Drogi Przyjacielu. Napisz mi, co to właściwie jest życie.

Twoja

Rebeka

* * *

Debilinka zachowuje się okropnie w stosunku do czarnego barmiksera. To już nawet nie jest głębokie Południe, ale wręcz starożytny Rzym z czasów Nerona. A Murzyn niemal czołga się po ziemi i zachowuje jak przysłowiowy Sambo z rasistowskich dowcipów.

– Moja droga – w końcu nie wytrzymuję. – Co się dzieje? Nie powinnaś chyba była jeździć do Moskwy, bo stałaś się tam rasistką.

– Ja się nie stałam rasistką – odpowiada z godnością Debilinka. – Ale ja nie mogę stać idiotów! *Do you hear me, Booker? I can't stand idiots!*

– Pani Zawynatch! – mówi niemal z płaczem Murzyn. – Ja się starałem! Studiowałem źródła! Czytałem...

– *Oh, shut up!*

– Co on ci zrobił? – pytam po czesku.

– On wszystko zbangłował! – odszczekuje. – Tak pisał listy, że nawet ubecy w nie nie uwierzyli.

– Jakie listy?

– No, do Lidy. Przecież ci opowiadałam, że ona jest moja buzm friend w Pradze. Co ja ją chciałam, jak to się mówi... demnyd!... *marry off!* Wydać na Zachodzie!

Potem władczo zamawia sobie White Lady, Murzyn trzęsie nie tylko szejkerem, ale ona i tak wylewa mu koktajl na głowę, bo zapomniał do niego kapnąć cointreau. Kiedy się wreszcie uspokaja, przeszywa go takim spojrzeniem, że Murzyn chowa się za sztuczną winorośl.

– Mówiłam mu: musi to być seksy! Pesznt! Namiętne! – wciąż się wścieka i wprowadza mnie w całą tragedię. – A on to pisał jako *hard pornography!* I mówiłam, że powinno to być też *politically conscious!* Ale ten czarny debil to miał tak *through and through* polityczne, że by tego nie wydrukowali nawet jako lidink artikl w „Rudym Pravie”, bo uznaliby to za czystą prowokację!

Murzyn ostrożnie wychyla głowę.

– Pani Zawynatch! Ja dla tych listów czytałem nawet amerykańskiego „Workera”. Artykuły wstępne tego Gusa Balla. Wypożyczałem sowieckie powieści z biblioteki Towarzystwa Przyjaźni Kanadyjsko-Radzieckiej na Avenue Road! Ja się starałem naśladować ten styl...

– *Idiot! You chickenbrained monster!* – krzyczy Debilinka.

– Czy ty myślisz, że oni myślą, że ktoś tak rili myśli?!

– Ja sądziłem, że skoro tak piszą w gazetach...

– Ale pisałeś prajwet listy, *you nincompoop!* Odfrun!

– wrzeszczy Debilinka. – Zejdź mi z oczu!

Murzyn się chowa.

– Ja nie wiem, jaki rodzaj zupełnych bzdur do niej pisał. Ale oni ją suponowali na presinkt ubecji i powiedzieli, żeby za bardzo nie kidowała, że to są przejrzyste triks. I wyobraź sobie, Danny! – chwytła mnie za rękę. – Oni sobie pozwolili powiedzieć jej, że prostytutkę to ona może sobie uprawiać w Pradze i że po to nie musi się wydawać do Kanady! Mojej najlepszej przyjaciółce! A ona jest interpret! Sama mi to powiedziała!

Debilinka unosi się sprawiedliwym gniewem. Zezuje na Murzyna. Kuli się załamany za winną latoroślą, pod lewą piersią stripperki w stroju ludowym.

– Booker płacze – szepczę do Debilinki. Obrzuca go złym spojrzeniem.

– *Well*, a powinien, czyż nie powinien? – mówi dziwnie. – Wyobraź sobie, że on jeszcze na dodatek... jak to się mówi... upadł dla niej... czy jak to się mówi?... *Fell for her!*

– Zakochał się?

– No właśnie – odpowiada Debilinka. – Musiał w Pradze pokazać siebie, żeby to było kredibl. No i teraz on do niej wyje!

Spoglądam współczująco na Murzyna. Rozlana na ladzie Biała Pani, którą Debilinka wylała mu na głowę, miesza się z jego łzami.

– A ona upadła dla niego! *Oh shit!* – szanowna pani musiała sobie ulżyć. Pan domu delikatnie, z wyrozumiałością, mówi:

– *Take it easy, honey, take it easy!*

– *Oh shit!* – powtarza niemal z rozpaczą pani Zawynatchowa. – Ja będę teraz musiała hajrować innego, żeby to całe znów nakręcić. Teraz wezmę Włocha. Oni mają ekspiriens z komunizmem.

– A jak znowu upadnie dla Lidy?

– *Well*, daj im o to powalczyć we dwóch! – odpowiada Debilinka. Nagle świecą jej się oczy. – Posłuchaj, Danny! Nie byłoby można to aranżować tak, że jak tylko Lidę wydobanę, to między tymi dwoma wzięłyby miejsce djuel i jeden zabije drugiego, a ten drugi dostanie czapę i będzie musiał gnić w dżejlu przynajmniej z dziesięć lat albo uciekać, a ja potem wydam Lidę za ciebie! Ty przecież jesteś singl, nie? A ona jest moja buzm friend! I jest taka seksy, że po nocy poślubnej zostanie z ciebie w łóżku tylko skóra!

* * *

WSZYSTKIM, KTÓRZY PRZEKAZALI NAM WYRAZY
WSPÓŁCZUCIA Z POWODU NAGLEJ ŚMIERCI
NASZEGO MĘŻA, OJCA I TEŚCIA
VRATISLAVA BLAZEJA
Z CAŁEGO SERCA DZIĘKUJEMY
JANA BLAZEJOVA – ŻONA
JANA VON KLEINENSCHUTZ – CÓRKA
PROF. DR. HARRY VON KLEINENSCHUTZ – ZIĘĆ
MONACHIUM, 21.08.1974.

* * *

Drogi panie Smirzicky!

Pan mnie nie zna, tylko podobno znał pan moją matkę, Venusze Paroubkovą. Jestem właśnie w Anglii na koncertach z zespołem Jazz 1975, u pana Fondy Czemelika, który pożyczył mi do przeczytania Pańskie „Cztery pory roku” i zgadaliśmy się na temat Benna Manesa. Byłem bowiem świadkiem śmierci Benna w Bratysławie, w rosyjskich koszarach, więc pan Czemelik posadził mnie przy biurku i kazał do Pana napisać.

Zapewne Pan wie, że Benno był kierownikiem wojskowej orkiestry jazzowej i tanecznej AUS-u, to jest organizacji, która ściąga pozapraskich muzyków do stolicy: wprowadzie w zielonych mundurach, ale zawsze. Moja przygoda życiowa zaczęła się wtedy, gdy po czwartym chorusie „What Is This Thing Called Love” Portera Benno krzyknął: „Wystarczy! Bierzemy!” Po studiach (historia i język czeski w Pilźnie) nie miałem ochoty na normalne wojsko, więc spróbowałem na konkursie AUS-u i już zostałem przy muzyce.

Z zespołem AUS-u jeździliśmy po koszarach i graliśmy różne melodyjki naszych i demoludowskich kompozytorów. Oczywiście czasem przemycaliśmy do programu inne rzeczy, pod fałszywymi tytułami, na przykład „Płachta na byka”, zamiast „Tiger Rag”. Benny opowiadał, że robiliście tak już w czasie wojny, ale mnie jeszcze wtedy nie było na świe-

cie, więc nie mogę pamiętać. Niestety od czasu do czasu trzeba było grać w rosyjskich koszarach. Ta ostatnia trasa była w Słowacji – nie wiem dokładnie, gdzie się zaczęła, ale pamiętam ostatnie dwa dni. W przedostatnim dniu życia Benna byliśmy w wiosce pod nazwą Vihorek. Było to poza planem, z okazji jakiegoś uroczystego wesela – wydawała się córka któregoś z bonzów tamtejszej spółdzielni rolniczej. Ten facet to był podobno jakiś wasz szkolny kolega, a ponieważ miał wpływy, załatwił, że mogliśmy grać na tym weselu. Podłączył je chyba pod jakąś uroczystość wręczenia tamtejszej spółdzielni sztandaru (zdaje się czerwonego), więc rzecz była oficjalno-prywatna. Może też pomógł fakt, że córka wychodziła za radzieckiego oficera, co jednak zdarza się dość rzadko. Piszę celowo radzieckiego, a nie rosyjskiego, bo to był Gruzin, za to panna młoda była już w takim stanie, że groziło to międzynarodowym skandalem.

Na weselu była fantastyczna wyżerka, wino lało się strumieniami, a wódka płynęła jak rzeka. Benno, niestety, ostro grzał. Tego wieczoru wypiliśmy z nim po raz pierwszy brudzia. Benno nalał nam po lufie i mianował mnie szefem „jazzówki”, jak nazywaliśmy mały kwartet (p, b, dr i tb) wewnątrz orkiestry, który grał wyłącznie jazz. Benno, niestety, szybko się urznął, i to na smutno. Strasznie go to żarło, że był właściwie pierwszym z muzyków, który musiał zacząć grać dla Ruskich. Pocieszałem go: przecież wiemy, że nie mógł nic zrobić, że podlegał rozkazom, utrzymywał żonę i dziecko, i że oprócz muzyki nie potrafi nic innego. Gdyby go wyrzucili, musiałby iść do łopaty, a na to był zbyt gruby i schorowany. No ale nie za bardzo mi się udało go pocieszyć.

Następnego dnia przyjechaliśmy do Bratysławy, Pepik Syrovatko – waltornista orkiestry bratysławskiej telewizji – który podobno w czasie wojny grywał z wami na saksbarytonie, zaprosił Benna do domu na obiad. Opowiadał potem, że mu smakował i że długo sobie wspominali Kostelec i inne stare czasy. Wieczorem graliśmy gdzieś na przedmieściach Bra-

tystawy, na pętli autobusu, w koszarach, w których obecnie są tylko Ruscy, w takiej długiej sali, o dziwo nie udekorowanej na czerwono. Może było tam jakieś małe popiersie Lenina, ale naprawdę małe, bo już go nie pamiętam. Pierwsza połowa przebiegła normalnie, tylko Benno strasznie się pocił, więcej niż zwykle; rozpiął sobie koszulę i sapał. Była tam taka mała garderoba. Na końcu pauzy zawołał mnie i długo tłumaczył, że program jest za krótki. Szeregowiec Hemele, którego pożyczyla nam bratystawska jednostka w miejsce naszego stałego konferansjera, który zachorował, odmówił prowadzenia konferansjerki po rosyjsku, więc – mówił Benno – musimy zagrać jazzik. Zgodziłem się. On znowu mi w zawity sposób tłumaczył, że powinno to trwać przynajmniej 15 minut. Po przerwie zagraliśmy tylko jeden utwór całą orkiestrą, potem Benno mrugnął do mnie i usiadł za żółtą kurtyną, gdzie znów rozpiął koszulę, wywalił na mnie swój wielki brzuch, sapał i wycierał sobie pot z czoła. Byłem blisko, ponieważ fortepian miał klawiaturę prawie za kulisami. Piękny instrument, bo widać w koszarach grali też pianiści od muzyki poważnej, a ci potrzebują petroffa.

Ja także mrugnąłem do Benny i zaczęliśmy grać „Horn Sound” M. Shoofa – trzydziestodwutaktowy temat, o prostej strukturze harmoniczej. Melodię ciągnął puzon. Honza Sztichl podał temat i poleciały chorusy. Pamiętam, że w ostatnim chorusie jedną część grałem free, czego nie robiliśmy zbyt często, ale w ruskich koszarach zawsze, żeby się trochę przerazili. Potem graliśmy piosenkę Benny „Wspomnienie z małego miasteczka”, po krótkim wstępie muzycznym śpiewała ją Miluszka Patejzlova, blondynka z dużym biustem, świetnym. Benny był nią oczarowany. Nie śpiewała źle – nazywaliśmy ją barokowym aniołkiem: oczy niebieskie, włosy blond, kręcone, naiwne zachowanie, 19 lat (o ile wiadomo, to sukces odniósł tylko gitarzysta Karel Kozel, straszny przystojniak z zieloną gitarą Gibson, nazywany przez nas Gorgonzola z powodu uwielbienia dla tego sera) – ale najważniejszy był ten biust, pamiętam

go do dziś. Kiedy śpiewała tę jego piosenkę, Benno zaczął jęczeć, a chłopaki od saksofonów powiedzieli mu: „Idź, my to sami skończymy”. Nigdy nie traktowaliśmy zbyt poważnie dyrygowania Benna – on był trębaczem, ale już parę lat temu wysiadły mu płuca, więc tylko dyrygował. Miluszka śpiewała, a Benno nagle zrobił krok w lewo, w stronę fortepianu, i upadł. Pierwszy podbiegł do niego trębacz – Pavel Zamecznik, i zaciągnął prawą kurtynę, ja od fortepianu zasunąłem lewą, a Miluszka zaczęła krzyczeć. Benno był na twarzy zupełnie czerwony, jak malina. Wtedy ten Hemele, który odmówił prowadzenia konferansjerki po rosyjsku, wyszedł przed kurtynę i płynną ruszczyzną spytał, czy jest na sali lekarz. Po chwili zjawił się rosyjski lekarz i jeszcze około pół godziny utrzymywał Benna w stanie śmierci klinicznej. Nasz doktor ze szpitala, który był tuż obok, przyszedł po godzinie i już tylko stwierdził zgon. Benno leżał na plecach, nagi do pasa. Wszyscy wyszli. Pamiętam jednak do dziś i chyba na zawsze to zapamiętam, jak na tej pustej scenie w pustej sali leży ukośnie ciało z zupełnie fioletowym brzuchem i w ciemnoszarych spodniach; głowy nie było widać spoza tego brzucha. I żółta, kanarkowa rama kurtyny. Żółć i fiolet. Może jeszcze gdzieś z tyłu było popiersie Lenina, ale kiedy się po raz ostatni obejrzałem, widziałem tylko ten potwornie fioletowy brzuch i żółtą kotarę. Wróciliśmy do Pragi.

Pomyślałem, że może będzie Pan chciał wiedzieć, w jaki sposób zmarł Pański kumpel.

Serdecznie pozdrawiam

Demostenes Paroubek-Kubiszka

* * *

CANADIAN TRANSATLANTIC CABLE

MR D. SVIRICYI

217 ST. JAMES TOWN

TORONTO, ONT. M4X 2W5

JA IDIOTA STOP VERONIKA

* * *

Agencja Reutersa: FALA ARESZTOWAŃ W PRADZI!

Czechosłowacka Agencja Prasowa ČTK oznajmiła, że w ostatnich dniach aresztowano kilka osób z kręgów literackich. Ujawniono tylko inicjały aresztowanych. W informacji prasowej podkreśla się, że akcja policji nie miała związku z trwającą obecnie kampanią przeciw sygnatariuszom tzw. Karty 77. Wśród aresztowanych jest również pisarz J.V., którego sfilmowano ukrytą kamerą w jednym z praskich parków podczas przekazywania „materiałów o charakterze szpiegowskim” członkowi kanadyjskiej misji dyplomatycznej. Chodziło o attaché kulturalnego ambasady Benjamina Harkinsa, którego odwołania zażądał następnego dnia rząd czechosłowacki. Na konferencji prasowej w Ottawie pan Harkins oświadczył, że pisemne materiały, które mu przekazał pan J.V., to w rzeczywistości rękopis tomiku poezji zmarłego Jana Prouzy, który przed trzema laty popełnił samobójstwo. Harkins miał go dostarczyć pani Santnerovej, obywatelce Kanady, która prowadzi małe wydawnictwo publikujące literaturę w języku czeskim w Toronto, Ontario.

* * *

Drogi Danielu

w pierwszych słowach mojego listu pszyjmij serdeczne pozdrowienia często o tobie myślę. Jestem w sanatorjum w Karlowych Warach jusz więcy jak tydzień i czuje się dobrze. Jestem w sanatorjum bo miałem ostry atak woreczka rzutciowego nietak jak wtedy pszeszło 30 lat temu jak tu byłem bo miałem plamy na płócach. Atak woreczka dostałem w dniu wesela mojej curki Sulejki na które tesz wystąłem Tobie zaproszenie jestem ciekawy czy dostałeś. Tesz ci postałem fotografie panny młody i pana młodego i wszystkich gości.

Był to najszczęśliwszy dzień w moim rzyciu tylko żeby nieten atak woreczka. Pszeciesz Ty wiesz mój stary przyjacie-

lu że jak jedyna curka się wydaje zamąż to ojciec musi sobie golnąć. Zarznięliśmy dwa świniaki i mieliśmy pszeszto 150 gości. Jednocześnie tesz nasza spuđdzielnia rolnicza dostała tego dnia czerwony sztandar jako najlepsza w wojewuctwie, więc razem obhodziliśmy te dwie óroczystości. Spotkaliśmy sie na weselu s całą rodziną i tesz mój brad Olda który jes teras prezesem spuđdzielni dziwiarskiej. Muj bracha Olda miał wielką rodinnom tragedje uciekła od niego rzona Litfinka inżynierka zaras po pszyjściu bratnich armi. To był dla mojego brata wielki cios bo jego żona Litfinka zabrała tesz oba dzieci chłopca i dziewczynke i uciekła z nimi do Stanuw Zjednoczonych Ameryki Pułnocny gdzie miała rodzine. Mój brat chciał pszes międzynarodowy Czerwony Kszysz żeby mu dzieci oddali bo jego żona Litwinka uciekła nielegalnie i bes pozwolenia ale Czerwony Krzysz mu odpisał że dzieci są jusz doroste i chcom zostać zmatką w Stanach Zjednoczonych Ameryki. Cieszyłem się że sie muj brat rozerwał troche na weselu mojej curki Sulejki był tu zeswoją drugą żoną ktura ma 30 lat i jest Niemka z Niemieckiej Repóbliki Demokratyczny.

Moja córka Sulejka wydała sie za ruskiego porucznika Sulimana Akibidze który jest Grózin. Moja curka Sulejka ma tesz gruzińskie imie bo jak moja kobita była znią wciąrzy to podobata jej sie piosenka gruzińska Gdzie jesteś Sulejko. A poniewasz teras niema jusz takich upszedzeń jak były kiedys więc Ci napisze że moja curka Sulejka tesz jest fciąży i musieliśmy sie śpieszyć ze ślubem chociaz teras nie ma już takich upszedzeń. Mojego zińcia zaras po weselu pszenieśli do Niemieckiej Republiki Demokratyczny bo som jeszcze takie głupie ludzie co sobie robią podśmihójki z naszych dziewczuch co się żenią z ruskimi rzołnierzami. No ale nawet w socializmie są jeczce głópi ludzie. Ciesze sie że jusz niedługo zostanie dziatkiem.

Myślę że Cie zainteresuje że na weselu grała nam orkiestra z Pragi pot kierownictwem no zgadnij kogo? To był wojsko-

wy zespół taneczny pod kierownictwem Benno Manesa z Kostelca. No i sobie pogadaliśmy o starych czasach jak jeszcze i ty grałeś na jakimś instrumencie w Kostelcu. Benno popił sobie winka i kiszkuw zjadł całą gure. No a wtedy ja widocznie zjadłem za tłustą kiszke bo dostałem atak woreczka żółciowego i musieli mnie prosto od stołu zawieźć wojskowym samochodem GAZ do szpitala w powiecie. No i teraz jestem w sanatorium co jest wielką zdobyczą dla robotników nie jak w kapitalizmie gdzie tacy byli sami bogacze teraz są też robotnicy. Myślę że w Kanadzie do sanatorium jedzą wciąż tylko bogacze bo Kanada jest krajem kapitalistycznym.

Z resztą już wiele ludzi wraca co z gupoty uciekli po pszyjściu bratnich wojsk. Nic im się nie stanie tylko muszą się włączyć do procesu budowy. To właśnie Ci też chciałem napisać że ty też byś mógł wrócić. Pisarze są nam potrzebni i dobrze im płacimy.

Pisarze też się już włączyli do procesu budowy i piszą o ludziach pracy dobrze a nie jak przed tym jakieś niezrozumiałe wymysły. Ty też byś mógł bo w czasie wojny robiłeś we fabryce i znasz robotników z własnego doświadczenia i mógłbyś o nich napisać pozytywnie i może nawet dostać nagrodę państwową. Muszę Ci powiedzieć że ludzie wciąż jeszcze czytają twoje książki chociaż je wycofano z bibliotek jak nielegalnie uciekłeś za granicę. Ale jak byś wrucił i włączył się do procesu budowy to na pewno by je znowu dali do bibliotek.

Ja miałem właśnie wydrukowany artykuł w gazecie Pięć Ludu to jest organ wojewódzki o naszym kolektywie spółdzielni rolniczej która dostała pierwsze miejsce w województwie. Akurat przypadkiem był to mój 150 artykuł! Wszystkie mi wydrukowali prawie wcale bez zmian! Kto by to pomyślał mój pszyjacilu 30 lat temu że ty i ja będziemy pisać!

Żyje nam się lepiej i kulturalnie. Zanim pojechałem do sanatorium byliśmy na przedstawieniu cyrku Radzieckiego było bardzo ładnie zwłaszcza treserka tygrysów syberyjskich.

Do kina tesz chodzimy stale dwa razy wtygodniu. Widzieliśmy bardzo ładny film Radziecki o wyzwoleniu Ukrainy tytuł jusz zapomniałem i podobny czeski film O. Vavry Sokołowo tam były bardzo piękne sceny z czołgami i ciekawe bitwy. Mniej mi się podobali pszywótcy nie byli dobrze wybrani na przykład towarzysz Gotwałt (aktor co grał towarzysza Godfalda) nie był wcale podobny do towarzysza Godfalda. Ale grał dobrze. Tesz widzieliśmy film J. Wencla który tobie tesz robił film o tych dziewczynach. Ten się nazywał Nogami w błocie i był ładny o klasie robotniczy, optymistyczny. Tylko aktorki mieli w naszych czasach ładniejsze. Taka Barova czy Heide Marie Hatajer to dopiero były kobity!

Na koniec mojego listu pszyjmij serdeczne pozdrowienia często o tobie myślę

Tfój stary pszyjaciel

Lojza

październik 1975 – czerwiec 1977

Źródła cytatów

Arystofanes, *Ptaki*, w: *Komedie*, t. II, przeł. Janina Lubińska-Tyszkowska, Prószyński i S-ka, Warszawa 2003

Ezra Pound, *Pieśń LXXXI*, przeł. Andrzej Szuba, w: *Pieśni*, PIW, Warszawa 1996

Rozdział I

Aldous Huxley, *Kontrapunkt*, przeł. Maria Godlewska, PIW, Warszawa 1974

Vítězslav Nezval, *Edison*, przeł. Józef Waczków, w: *Clou downy czarodziej*, PIW, Warszawa 1969

Rozdział II

Aleksander Błok, *Dwunastu*, przeł. Wiktor Woroszyłski, w: *Antologia nowoczesnej poezji rosyjskiej*, t. I, Ossolineum, Wrocław 1971

Nathaniel Hawthorne, *Szkarłatna litera*, przeł. Bronisława Bałutowa, Czytelnik, Warszawa 1987

Włodzimierz Majakowski, *Niezrozumiałe dla nas*, przeł. Anatol Stern, w: *Poezje*, Czytelnik, Warszawa 1957

Rozdział III

Mark Twain, *Tajemniczy przybysz*, przeł. Teresa Truskowska, Wydawnictwo Literackie, Kraków 1982

Mark Twain, *Przygody Hucka*, przeł. Krystyna Tarnowska, Akapit Press, Łódź 1995

Rozdział IV

Stephen Crane, *Szkarłatne godło odwagi*, przeł. Bronisław Zieliński, Czytelnik; Warszawa 1955

Rozdział VI

Joseph Conrad, przedmowa do *Murzyna z załogi „Narcyza”*, przeł. Bronisław Zieliński, w: *Dzieła*, t. III, PIW, Warszawa 1972

Joseph Conrad, *W oczach Zachodu*, przeł. Wit Tarnawski, tamże, t. XII, 1974

Joseph Conrad, *Jądro ciemności*, przeł. Aniela Zagórska, tamże, t. VI, 1972

William Faulkner, *Zapach werbeny*, przeł. Ewa Życieńska, w: Faulkner, *Niepokonane*, PIW, Warszawa 1969

Rozdział VII

William Szekspir, *Burza*, przeł. Leon Ulrich, w: *Dzieła dramatyczne*, t. I, *Komedie*, t. I, PIW, Warszawa 1973

William Faulkner, *Absalomie, Absalomie*, przeł. Zofia Kierszys, PIW, Warszawa 1959

H.P. Lovecraft, *W górach szaleństwa*, przeł. Robert P. Lipski, Zysk i S-ka, Poznań 1999

Spis rozdziałów

Rozdział I. Poe	9
Rozdział II. Hawthorne	95
Rozdział III. Twain	195
Rozdział IV. Crane	317
Rozdział V. Fitzgerald	413
Rozdział VI. Conrad	543
Rozdział VII. Lovecraft	717
Źródła cytatów	851